W. Rejewski.

Przyjaciel Ludu.

czyli

Tygodnik potrzebnych i pożytecznych wiadomości.

Rok szósty.



Tom I.
1—26.

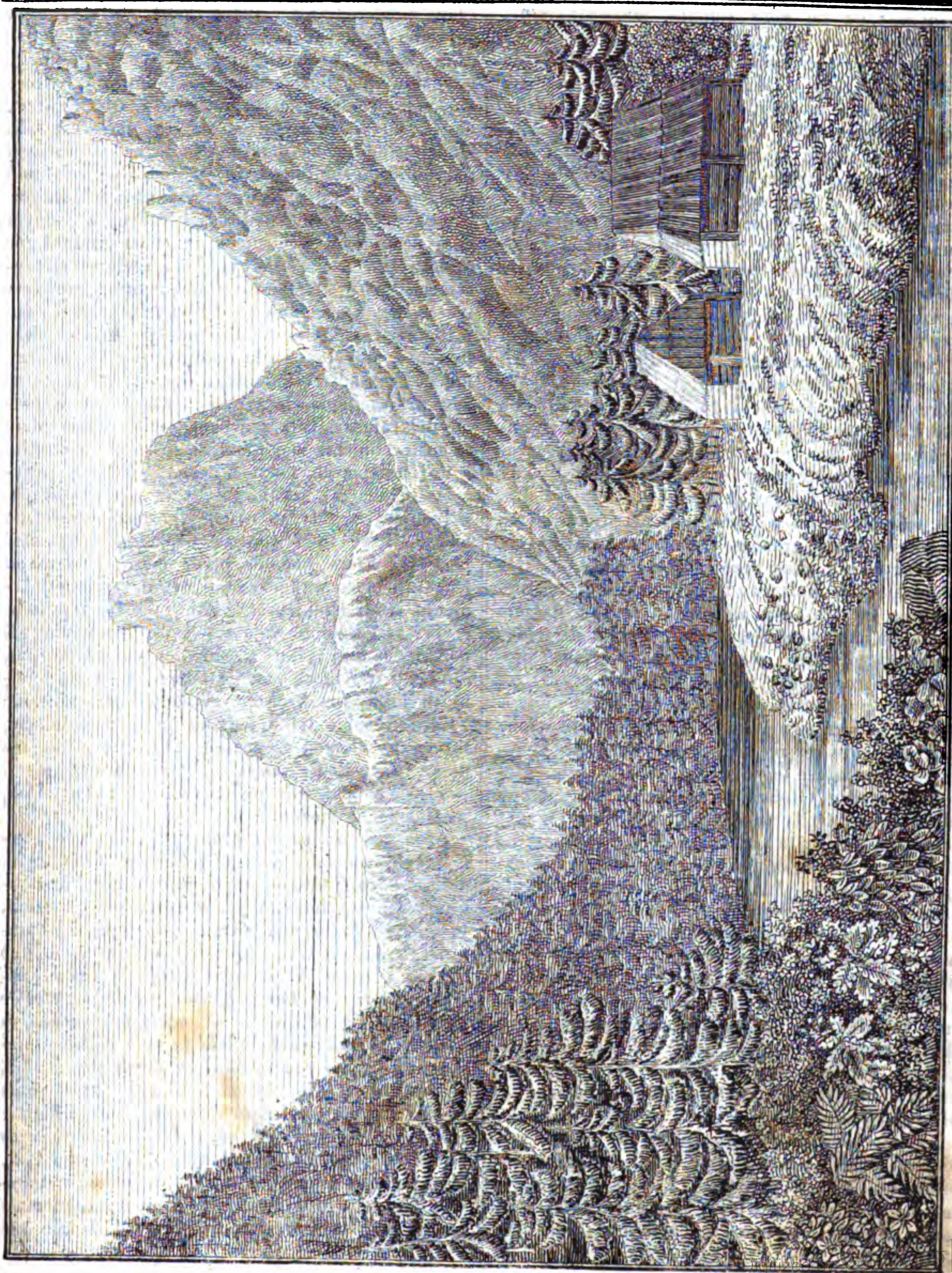
W Lesznie 1839.
Nakładem i drukiem Ernesta Günthera.

Spis rzeczy
w Tomie pierwszym roku szóstego zawartych.

(*Artykuły oznaczone * mają dodane ryciny.*)

Przyjaciel Ludu.

Rok szósty. **No. 1.** **Leszno,** *dnia* 6. *Lipca* 1839.



Droga do morskiego oka.

Morskie oko.

(Z Galicyi w obrazach.)

W dolinach, w pośród wysokiego grzbietu głównych Karpat (Tatrów), leżą tak na północnéj, jako téż południowéj stronie tychże, począwszy od tak zwanych Koperszczadów (*Kupferschächte*) aż do góry Rohacs, jeziora górskie, od mieszkańców tamtejszych, także plessami lub morskiemi oczami zwane, w wysokości 4000 do 6300 st. Krąży o nich dotąd między gminem podanie, że z morzem w podziemnym związku stoją, będąc niejako oczami morza w lądzie stałym — i że się także burzą, skoro tylko fale morskie srogą nawałnością miotane bywają; miano nawet w tych jeziorach znachodzić to szczątki dużego okrętu, to inne do żeglugi potrzebne sprzęty. Jeziora owe położone są swemi przemiernikami długości mniéj więcéj prostopadle ku głównemu grzbietowi, żadne z nich nie jest w zbliżeniu równo odległe, a same nawet okrągłe jeziora pod toż samo dają się podciągnąć prawo. Głębokość ich znaczna. Już 20 jezior takich opisano, jednakże więcéj jest ich daleko. Te, które w jednéj formacyi górskiéj tylko, lub na granicy dwojga, jako to: między granitem i wapieniem, między granitem i łupkiem błyszczowym, albo między granitem a gneizem leżą, winny swe powstanie niewykończonym kształtom dolin, lub, w połączeniu z takowemi, przedwczesnemu osadowieniu się gruzów i złomów kamiennych, tworzących na ukos przez doliny, wały, i przeszkadzających upływowi wody zjawiającéj się. Ostatnia ta własność najjawniéj się na naszem morskiém oku pokazuje, gdzie na przodzie widać część owego wału; pierwsza zaś własność piętnuje jeziora, za Krywanem położone.

Często powtarzanemu mniemaniu, jakoby wszystkie te jeziora swe powstanie wypłukaniu winne były, sprzeciwiają się już same, prostopadło w takowe wpadające ściany skaliste i znaczna głębokość jezior. Głębokość ta wprzód jeszcze, nim odpływające wody tak głębokie sobie wyrznęły doliny, pewnie była znaczniejszą, i dotąd jeszcze w równym stósunku z wysokiemi jezioro otaczającemi massami być się zdaje. Znacznie ona się umniejszyła w jeziorach, w wapieniu leżących, przez osadę z wód słodkich pochodzącą, a w wszystkich zaś jeziorach, bez wyjątku, przez wielkie massy gruzów, które od lat tysiąca w takowe z otaczających brzegów spadały. Pokazują to niektóre jeziora bardzo wyraźnie przez skały, wystające nad ich powierzchnią; a w niektórych dolinach chodzi się teraz po rumowisku, pod którém przez rozpadliny widać z szumem odpływającą wodę.

Zdaje się, że jeziora leżące w górach wapiennych, lub na granicy takowych, z górami granitowemi, co na północnéj stronie Tatrów, to jest na galicyjskiéj widać, powstały przez raptowne zapadnięcie mass wapiennych, które dla tego, że z niejednakową gęstością z dawnego żywiołu morskiego powstawały, ciężarem swoim załamały pod niémi leżące wydrążenia, nie wypełniwszy takowych jednakowoż swemi gruzami. Domysł ten niema w sobie nic sprzeciwiającego się naturze i tym ważniejszym się staje, jeżeli przyjjmiemy zdanie niektórych nowszych badaczów ziemorodztwa (geognostów), że wszystkie ogromne formacye pokładowe, nie powstały podług zasad mechanicznego prawa powolnego opadania na dół cząstek składowych, które z sobą woda tworząca unosiła, lecz przez nagłe oddzielenie się w wodzie tych cząstek. Oddzielenie to uskuteczniły potężne w pewnym porządku po sobie następujące obopólne działania sprzeczności natury, które z niewiadomych dla nas przyczyn, w różnych okresach czasu, w jednym miejscu takowe, w drugich zaś inne gatunki gór utworzyły. A może téż były już w rozlicznych częściach dawnego morza rozmaite rozpuszczone pierwotne cząstki składowe gór różnych, które téż dla tego miejscowo tylko osiadać mogły. Niech będzie jak chce, wszelakoż zdaje się być pewną, iż przy tak nagłem odstrychnieniu, nie przez wewnętrzną moc przyciągania, lecz przez zewnętrzne wspólnie działające siły zrządzonem, mianowicie gdzie to odstrychnienie w ogromnych massach się działo, i do istniejących kształtów górskich się przyczepiło, ono tak szybko na wszystkich cząstkach, składających góry w równéj gęstości osiąść nie mogło, i że tu i ówdzie wydrążenia powstać musiały, które późniéj przez ciężar nad niemi leżących mass przygniecione zostały, i po odpłynieniu wód, nadających kształty, jeziora potworzyły. Ogółem wydają się ławy wapienia alpejskiego nie tylko w głównéj części Karpat, ale téż i w Alpach szwajcarskich, w wielu miejscach jakby przekręcone, zwinięte lub zgniecione były, co sobie tylko jedynie przez zapadnięcie, lub przez zmianę w położeniu warstw, lub téż przez naciśnienie mass skupionych nad niemi w czasie owym, gdy jeszcze wapień był miękim, wytłómaczyć można.

Jeziora, leżące na granicy dwóch gór pierwotnych, możnaby uważać jako cząstki dawnych dolin; późniéj utworzone formacye górskie zamknęły ich wychody, i przemieniły je w kotliny, w których przez opadnienie powietrzne i ze stopionego śniegu, wody się zebrać musiały. A lubo góry pierwotne w jednym i tymże czasie powstały, przecież bezsprzecznie pomiędzy chwile tworzenia się takowych wchodził pewny zakres czasu. W miejscach, gdzie prawie całkiem nieznacznie jeden rodzaj skał w drugi przechodzi, chwile tworzenia się obu pewnie były sobie bliskie; albowiem leżąca formacya jeszcze dobrze nie była ukrystalizowana, gdy się już wisząca tworzyć poczęła, a zmieszawszy się z pierwszą, przechodowy kamień wydała. Jednakże w takowéj formacyi w głównéj części Karpat, niemasz jezior, jak to już sam uważałem. Gdzie zaś

między rozmaitemi rodzajami gór niema żadnego przechodu, gdzie jeden rodzaj zupełnie czysty nagle ustaje, a drugi również czysty się zaczyna, tam przerwa między chwilami tworzenia się obu, nierównie dłużéj trwała i tylko na granicy takowych formacyi znachodzą się jeziora. Wszystkie te jeziora są bardzo korzystne dla wód, płynących w głównéj części Karpat. One podczas gorącego lata i posuchy zasilają wodą ciągle strumienie, utrzymując ich wody w jednakowéj prawie wysokości; również wielki wywierają wpływ na poskromienie powodzi po długo trwających deszczach i ulewie podczas wezbrania wód na wiosnę i w jesieni.

Morskie oko, od pogranicznych Węgrów zwykle wielkiem lub polskiem rybiem jeziorem zwane, leży na granicy krainy kozio-drzewiny i lasów, to jest na wysokości 4200 stóp, a podług wymiaru w oddaleniu 8800 sążni lub koło 2½ mili od domu leśniczego we wśi Bukowinie i 4000 sążni lub mili od wyjścia Białki z gór wysokich. Jest ono największe pomiędzy jeziorami głównych części Karpat. O obszerności takowego nie raz przesadzone udzielano wiadomości, miara powierzchni wynosi bowiem 56 morgów 411 sążni kwadratowych, mając w okręgu blisko 4200 stóp, szerokie jest 500 stóp, przeszło 1600 stóp długie i na południowo-wschodniéj stronie, gdzie najgłębsze, 32 sążni czyli 192 stóp wiedeńskich głębokie. Tworzy ono prawie całkiem regularnie podługowatą okrągłość z doskonale gładkiem zwierciadłem, jednakże stojącemu na północnym brzegu takowego, wydaje się być okrągłem. Chcąc obejść całe jezioro potrzeba dwóch godzin, ponieważ gruzy i skały pochód bardzo utrudzają, aczkolwiek cały obwód nie spełna pół mili wynosi.

Południową stronę jeziora rybiego czyli morskiego oka, otaczają nagie od 2000 do 3000 stóp wysokie, prawie prostopadłe góry granitowe perłowo szaréj barwy, u których stóp jeszcze w sierpniu rozległe pola śnieżne (zleby) się rozszerzają. Góry te najeżone są kończystemi szczytami i od północno-wschodniéj strony przypierają do góry zwanéj Wysoka. Pomiędzy wszystkiemi temi cudownie pięknemi i malowniczemi górami wyszczególnia się mianowicie wierzchołek *mnich* zwany, leżący na południowo-wschodniéj stronie jeziora swoim do ludzkiéj postaci podobném kształtem, swym ostrym, ku wschodowi nieco zakrzywionym szczytem i swą prawie prostopadłą aż do płaszczyzny wodnéj pochyłością, która w nas budzi zadziwienie, chociaż góra ta wysokością swoją ledwie do dwóch trzecich części innych sięgać się zdaje. Od strony południowéj można jednakowoż dojść aż do wierzchołka, zkąd się nie do opisania cudny widok odkrywa.

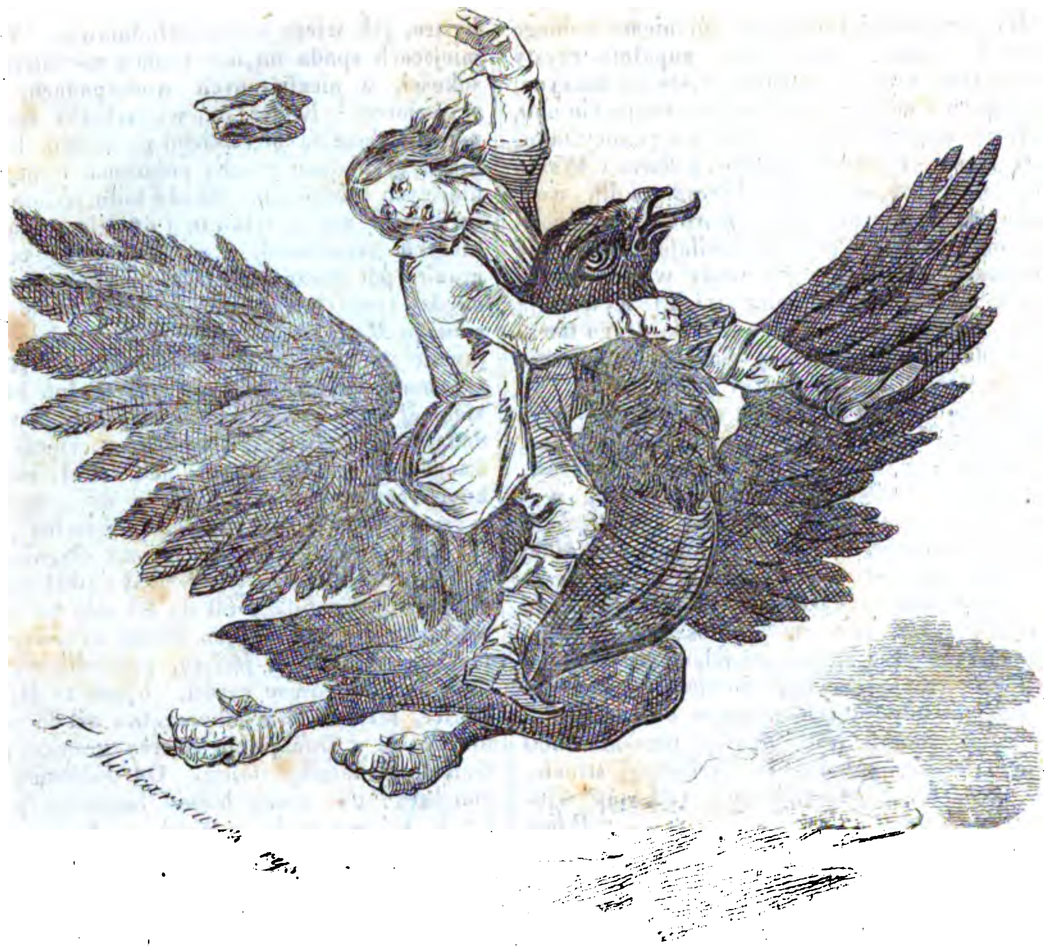
Od wschodniéj strony wznoszą się skały wapienne, a od zachodu wysokie góry granitowe, perłowo-szaréj, nieco w zieloną wpadającéj barwy, prawie bezpośrednio z jeziora, jednakże nie tak bystro, jak wieże strony południowéj. W wielu miejscach spada na dół woda z niezmiernéj wysokości, w niezliczonych wodospadach, i ginie w jeziorze. Kończyste wierzchołki tych skał porozdzielane są głębokiemi parowami, lub wązkiemi grzbietami z sobą połączone w najrozliczniejszych kształtach. Skały koło jeziora prawie całkiem są nagie, tylko tu i owdzie rosną w niektórych szczelinach i rozpadlinach, także na granicy pól śnieżnych, rzadkie rośliny górskie, pomiędzy temi: łomikamień syberyjski (*Saxifraga sibirica Walbgh*) porosty i mchy; ucierpiały one jawnie wiele przez spowietrzenie i nabyły przetoż mniéj więcéj białawo-szaréj lub białawo-zielonéj barwy; świecące kryształy kwarcowe dodają przy świetle słoneczném więcéj blasku ścianom granitowym. U stóp skał ścielą się kopce rumowisk, sięgające aż do ¼ części ich wysokości, tu i ówdzie kozio-drzewiną porosłe.

Ku północnéj stronie jeziora ciągnie się na poprzek przez dolinę wązki wał zawalonéj góry, wznoszący się blisko 60 do 80 stóp po nad powierzchnię wody. Przez środek takowego, utorowało sobie ujście jezioro, podzieliwszy go na dwie prawie równe części. Ujście to daje życie Białce, rzece, która od początku aż do połączenia swego z Dunajcem, tworzy granicę między Galicyą a spizką stolicą. Od północnéj strony morskiego oka rosną bujnie borówki, paprocie i t. p. na tym wale jednakże mało kozio-drzewiny i sosien, pomiędzy którémi jednakowoż coraz rzadsze się stające drzewo limbowe (*Pinus cembra*).

Woda ma koło brzegów jasno-zieloną barwę, w niektórych jednakże miejscach tak na krajach, jako téż w środku morskiego oka, wpada ona w ciemno-zieloną i czarniawą, co oznaczać może bagniste, lub rośliną *Conferca fontinalis* porosłe miejsca. Przytém woda niezmiernie jest czystą, a w czasie ciszy, jeżeli się góry w swych cudnych kształtach mocno odbijają na gładkiéj powierzchni, po któréj na bezpiecznéj w pogotowiu stojącéj tratwie płynąć można, widać jeszcze bardzo wyraźnie w głębokości 8 do 10 stóp każdy kamień na spodzie jeziora i ryby w głębinie pływające. Podczas, gdy dnia 14go sierpnia r. p. o drugiéj godzinie w południe temperatura powietrza + 18,3° pokazywała, miała woda + 8,3° R.

Pstrągi (*Salmo tatricus*. Jarosz. nowy gatunek), żyjące w jeziorze rybiem, które podczas pięknych wieczorów przy ujściu najwięcéj przebywają, są nader chude dla braku dostatecznego pożywienia, gdyż woda morskiego oka mało śladów żyjących w nich robaków i owadów pokazuje, wszelakoż pstrągi te ułowione i w niższéj Białce utuczone, mają być wyśmienite.

Na zachód koło upływu stoi na północnym poprzecznym wale krzyż wystawiony przez Grzegorza Tomasza Zieglera, biskupa linckiego (dawniéj tarnowskiego) z napisem: *„Hic non plus ultra, non supra nisi in cruce D. N. J. Christi* 1823.“



Targowa przygoda Bartosza.

Od krzyża otwiera się przecudny widok na całe to skaliste półkole, sprawia to największą roskosz patrzeć na niezmierną, wnet cicho stojącą, wnet słabo, wnet mocno poruszoną płaszczyznę wody, na rozliczne kształty gór i szczytów, i widzieć zmianę barw, gdy pojedyncze prędko przesuwające chmury cień i światło rozmaicie dzielą, mocno cieniują, lub malowniczego nadają uroku.

Cisza uroczysta w téj wielkiéj wspaniałéj kotlinie, przerywana jedynie szumem strumienia, wiele do wzbudzenia wzniosłych uczuć się przyczynia. Nieme skały zdają się być światem obfitującym w poważne znaki dawnéj przeszłości, a pomimo tego, że się tak niemo i bez życia wznoszą, zdają się posiadać ducha i życie. I w rzeczy saméj, skoro tylko zdołamy rozwiązać tajemnicę, która hamuje ich język, staną się one dla nas wymownemi dziejami, świadczącemi o potędze twórczych sił pierwotnych, i niszczącéj doczesności. Zaraz pod krzyżem kazał pan Homolatsch, właściciel téj okolicy, na brzegu morskiego oka barakę z stołami i ławami, tratwę do opłynienia płaszczyzny wodnéj, również pomnik z lanego żelaza Jego Excel. hrabiemu L. de Taaffe, niegdyś gubernatorowi Galicyi, wystawić. Płynąc przez obszerną płaszczyznę wody ku południowo-wschodniéj stronie na tratwie, za pomocą wioseł pędzonéj, ciesząc się przy tém szczególniejszym często powtarzanym odgłosem wystrzału z strzelby lub lepiéj jeszcze z moździerza, przybywamy w przeciągu pół godziny do ujścia i pięknego wodospadu czarnego stawu.

Czarny staw, od niektórych autorów opisujących główną część Karpat, wyłącznie morskiem okiem zwany — leży w północno-wschodnim kącie dużego jeziora rybiego, blisko o 1000 stóp wyżéj jeszcze od takowego. Dostawszy się na grzbiet ściany granitowéj, rumowiskiem i potężnemi złomami kamiennemi zasłanéj, do czego wyszedłszy od brzegu morskiego oka, pół godziny czasu potrzeba, widać z tamtéj strony u stóp góry, daleko wyżéj po nad okolicę koziodrzewiny, czarny staw, którego powierzchnia

37 morgów i 1481 sążni kwadratowych obejmuje.

Z trzech stron, zewsząd nieprzebytemi skałami ostrokręgowego kształtu otoczony, ma on postać kotliny, któréj największy przemiernik z północnego zachodu na wschód południowy leży. Nie można go obejść, albowiem ostre ściany granitowe bezpośrednio z wód jego wystają, z jednéj tylko strony, na którą się wchodzi i zkąd woda jego spada, znajduje się brzeg dostępny; tam to zwykle się odpoczywa, aby się nasycić cudnie zajmującym wrażeniem, jakie ten obraz robi. Głębokość jeziora tego dotąd jeszcze nie jest znaną, wszelakoż domyślają się, iż głębsze jest, niż jezioro morskie; woda jego wydaje się zachwyconemu i mocno tym widokiem zajętemu przychodniowi czarna, dla tego téż jezioro to nazwę czarnego stawu otrzymało.

Otaczające szczyty granitowe, perłowo szaréj barwy, do których ku północy wapień alpejski przytyka, wznoszą się z płaszczyzny wodnéj tego jeziora jeszcze blisko do wysokości 2000 stóp. Kilka parowów, czyli rozpadlin, odwiecznym śniegiem wypełnionych, sięga od głównego grzbietu góry, aż do płaszczyzny wodnéj, żywiąc obficie jezioro i zdobiąc wspaniały widok téj okropno pięknéj skalistéj kotliny. Do czarnego stawu idzie się zwykle po prawéj ręce koło morskiego oka, do czego dobréj godziny potrzeba; droga prowadzi przez rumowiska i gruzy granitowe koło pól śnieżnych, gdzie rosną: *Gentiana glacialis, verna, utriculosa i punctata, Silene acaulis, Dianthus alpinus, Ranunculus alpinus, Saxifraga androsacea, sibirica* i *ajugaefolia, Geum repens, Androsace lactea, Myosotis alpina*, ciemno-niebieska alpejska niezabudka, wpadająca pewnie w oczy każdego podróżnika piękną swą barwą. *Uvularia amplexifolia, Viola biflora,* potém wyżéj na prawo, koło mnicha, *Doronicum scarpioides*, koźi korzeń, o którym tamtejsi mieszkańcy mówią, że pożywającemu takowy, udziela szczególniejszych sił do drapania się po górach i że od zawrotu i zmordowania się strzeże; oraz gdzie się wiele innych średnio-alpejskich roślin znachodzi. Nazad idzie się zwykle po lewéj stronie, do czego równie tyleż czasu potrzeba, lecz za to pokazuje się ztamtąd w całéj swéj piękności drugi szereg skał z mnichem i spadającą na dół wodą. Wieczorem prędko się tu chłodno robi, albowiem już o 5. godzinie znika słońce, a ciepło rozpraszać się zaczyna, skoro tylko cienie w dolinach osiadają.

Obrazek nasz: „*Droga do morskiego oka*“ przedstawia część doliny Białki; widzimy tu na bujnéj polanie, Łysa zwanéj, bacówkę, gdzie się zwykle na drodze z leśniczego domku w Bukowinie do morskiego oka spoczywa, albowiem tutaj ostatnie już jest ludzkie pomieszkanie. Dostawszy się w lesistą, sosnami gęsto zarosłą dolinę, widać po lewéj stronie nagi szczyt, Wołoszyn zwany; przed sobą zaś, skoro wyjdziemy z ciemnego lasu, pokazuje się oczom niniejszy krajowidok, najprzyjemniejszy w całéj drodze do morskiego oka. Prawy brzeg szybko płynącéj Białki należy już do spizkiéj stolicy. Białka płynie z morskiego oka w północno-wschodnim kierunku, mając 20 do 30 stóp szerokości. Upłynąwszy ⅛ mili, wchodzi do niéj woda po prawéj stronie z doliny Podiepłaski, biorąca swój początek z góry Wysoka zwanéj, poczém Białka na północ płynie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Targowa przygoda Bartosza.

(Powieść gminna.)

„Niech będzie pochwalony!“ rzekł Bartosz wchodząc wieczorem do chałupy swego sąsiada Jędrzeja. — „Na wieki wieków“, odezwał się gospodarz, i podał mu rękę na przywitanie. „Siadajcie na ławie i powiedźcie mi proszę, czyście wczoraj z miasteczka szczęśliwie powrócili; boście sobie nie źle u Szmulowéj czubek gorzałką zalali. Czekałem ja na was dość długo, ile że mnie wasza o to prosiła; ale widząc, że nie ma końca, wsiadłem na wóz, wrzasnąłem na moje chetki i zostawiłem was przy kieliszku.“

Żeby was gęś kopła Jędrzeju! wy nigdy nie dotrzymacie placu: zawsze się gładko wyniesiecie, gdy się człowiek w najlepszą zagada. Właśnieśmy się z Kubą sprzeczali, czy lepiéj czynsz z roli płacić, czy téż pańszczyznę, jak dotąd było, odrabiać. Ja, jak wiecie sąsiedzie, byłem za pańszczyzną; bo to człowiek nie potrzebuje tak sobie głowy łamać, zkąd grosz wziąść; pcha robociznę, jak może, a wymłóciwszy wiertelik; to się przyda na kwartę soli. Nie potrzeba było tyle zabiegu; jeżeli przybrakło na przednówku, lub co z bydełka wypadło, to się poszło z miechem do dwora; ale teraz kto mnie poratuje?“

„Wy zawsze swoję piosnkę śpiewacie, Bartoszu, choć was już tysiąc razy przekonałem, że to próżna gadanina, którą niedołężni gospodarze swoje lenistwo, nierozum, a co gorsza, szkodliwy nałóg pijaństwa pokryć usiłują. Jakto? to wy wolicie, jak ów wół, który ciągle dla człowieka w jarzmie chodzi, na kogo innego, niż na siebie pracować? Czyż chcecie być w téj mierze koniecznie podobni do nierozumnego bydlęcia?“

Ej! co mi tam do bydlęcia! wszakże mój ojciec, dziad i pradziad, nie byli bydlęta, a dobrze im tak było; chwalili sobie dawne czasy; teraz wszystko do góry nogami przewrócone, i dla tego téż taka bieda, żeby jéj siekierą nie uciął.“

„Jak trudno jest trafić do końca z człowiekiem ciemnym, przesądnym, a do tego upartym: ksiądz swoje, djabeł swoje. Ale na szczęście nie potrzeba tu wielkiego rozumu, aby pojąć, co jest lepiéj, czy być sobie samemu niezawisłym panem, mieć zabezpieczony grzbiet od od-

lewanych, czy téż brać harapnikiem po plecach, gdy pan okomon lub włodarz, połajany sam od pana, lub z innéj jakiéj przyczyny markotny, zechce swój humor na naszych plecach rozjaśniać.“

„No, no! wyście zawsze aż do znudzenia przemądrzali, gdy zaczniecie o téj niemiłéj materyi rozprawiać. Dajcie temu pokój, bo mnie już dalibóg korci; oto pożyczcie mi na jutro gratu do koszenia owsa, a posłuchajcie mojéj wczorajszéj przygody.

„Owóż tędy utyskując z Kubą na ciężkie czasy, zwłaszcza gdy już Ś. Marcin zapasem, a tu znikąd wziąść grosza, aż człowiek w głowę zachodzi; bo jak wiecie mnie się pieniądz nie trzyma, wszystko się rozlezie. Kazałem dać półkwaterek wódki; poczciwe Kubasisko rozczuliło się, kazało dać drugi, ja trzeci. Wychodzę nareszcie ostatni z szynkowni, chcę siadać na wóz, wytrzeszczam oczy, bo mi się w głowie wszystko kręciło; nic nie widzę. Domyśliłem się zaraz, że moje zniecierpliwione szkapska, jak zwyczajnie, same do domu ruszyły. Cóż było robić? musiałem, choć mi głowa okropnie ciężyła, ba! i nogi nie statkowały, wracać pieszo do domu. Już tego wreszcie nie baczę, co się ze mną stało; pomnę tylko jak gdyby we śnie, że gdym się z trudnością dobił do rozstajnych dróg koło mostku, ten mi całkiem znikł z oczu, szukam, biedolę się, aż tu woda jakoś coraz bardziéj przybiera; ani podobna przejść. Pomyślałem sobie, (Boże odpuść ciężkie grzechy), żeby cię trzysta kaduków porwało i z mostkiem, aż tu, ni ztąd, ni zowąd, postrzegam w rogatym kapeluszu blisko mnie stojącego kusielca.

„Dobry wieczór, kumotrze“, rzekł do mnie nieznajomy; „co porabiacie? cóż wam to? czego się tak w kudły drapiecie?“

„Dobry wieczór waszeci“, odemknąłem; domyślałem się bowiem, co to za sztuczka, zwłaszcza, że nie pochwalił pana Boga; alem się go nie zląkł bynajmniéj: księżyc świecił pięknie, i ja, jak wiecie, kiedym podochocony, nie dam sobie lada komu w kaszę dmuchać. Jednakże pomyślałem sobie po chwili: lepiéj będzie dać mu dobre słowo; bo mnie tak poczciwe tatusisko, Boże świeć nad duszą jego! nauczyło: żeby być potulnym, nie brać nigdy na kieł, chyba, gdy do ostatniego przyjdzie, a wszakże lada urwisz może człowiekowi dopiąć, gdzie się ani spodzieje. Owóż tedy, dodałem spokojnie: a jakże się nie mam frasować, kiedy moje poczciwe kobiecisko, już dawno mnie wygląda; a tu przeklęty mostek znikł jako dym; żeby go trzysta diabłów wzięło! Roześmiał się mój kusal na to moje nabożeństwo, i nabierając, jak się zdawało, lepszéj ochoty, rzekł do mnie: „No, kumotrze, jeżeli tylko o to idzie, to ja was przeniosę.“ — W to mi graj, myślę sobie; tego mi właśnie było potrzeba. To jakieś poczciwe, usłużne diablisko; zapewne nie wie jeszcze, żem mu przedwczoraj rożki u figury za naszą karczmą biczyskiem poutrącał; nie wydawajmy się sami.

„No, jeżeli wielmożny pan chcesz być tak łaskaw, i nie żartujesz z biednego człowieka, który, na nieszczęście, dzisiaj trochę sobie za wiele zalał swoję mozgownicę.“ Słowo honoru! odpowiedział tamten, i w tym momencie straszne orlisko nadstawiło mi swego grzbietu. Ja nie wiele myślęcy, skłoniłem mu się nizko do nóg, a potém wewaliłem się śmiało na niego i uchwyciłem za szyję. Raz tylko machnął skrzydłem, gdyby śmigą od wiatraka, a już wzbił się het tam w powietrze zemną, jak gdyby z dudkiem. „Ależ jaśnie wielmożny orle, (byłem bowiem całkiem w jego mocy), gdzieżto u kata lecicie, wszakże ja was prosiłem tylko o przeprawę do mojéj chałupy; przecie moje gniazdo nie na skale pod obłokami zawieszone; jeżeli więc pozwolicie sobie powiedzieć.

(Koniec nastąpi.)

Do szanownéj redakcyi Przyjaciela Ludu.

W numerze 48. wyobrażony jest pomnik nieznajomego wojownika, który zwać się miał *Ognasd*. Zachodzi tu omyłka w czytaniu gotskiego napisu. Pierwsza litera nazwiska, nie jest O, tylko U; a litera trzecia nie N, tylko Y; a zatem nie OGNASD, lecz „Johannes de UGYASD.“

Ujazdowski pod Władysławem Jagiellończykiem dowodził posiłkami wołoskiemi przeciw Turkom; a po klęsce warneńskiéj, w czasie któréj Wołosi z placu uchodzili, wrócił do Polski. Że umarł jako starosta czchowski, musiał zapewne pleban Luderkiewicz z dawnych sepultur kościelnych wyczytać. Herb Ujazdowskich był dotąd heraldykom polskim nieznany; dopiero z tegoż pomnika okazuje się, że był Srzeniawą. Tarcz po drugiéj stronie pomnika, jest wołoska, podobna zupełnie do sandomirskiéj. Zawieszono herb ten na grobowcu, dla znaku niegdyś dowództwa jego nad Wołochami.

Pomyłki w wykładaniu pism gotskich, nie są rzadkie; w obrazie historyczno-statystycznym miasta Poznania, spostrzegam napis bramy ciemnéj, który być ma z roku 1503., a ja go znajduję o dwa wieki dawniejszym, co z saméj niemczyzny, jakiéj Krzyżacy w pismach swych używali, powziąść można. Liczba pokazuje rok M. CCC. V. III., tojest: 1308. Kropki tu regularnie odosobniają gatunki liczb, czyli liter; a nawet nie było w zwyczaju wyrażać liczbę 500 przez 5 CCCCC, tylko przez D. *)

Gniezno, dnia 8. czerwca 1839.

Tadeusz Wolański.

*) Wdzięczni jesteśmy bardzo za takowe prostowanie napisu nad ciemną bramką w *Obrazie historyczno-statystycznym miasta Poznania*, ale nie przekonywa ono

Tomasz Morus.

W porę, gdy w Anglii przestały płynąć krwi potoki, w wojnie czerwonéj z białą różą z taką zaciętością prowadzonéj, gdy Henryk VII. swoją energią i zręcznością nadawał temu krajowi potęgę i znaczenie, przyszedł na świat jeden z największych ludzi swego wieku i narodu, Tomasz Morus, urodzony 1480 roku w Londynie, gdzie jego ojciec, Jan Morus, był członkiem sądu królewskiego. Matka umarła, wydając go na świat. Jan Morus, będąc los swój cały winien naukom, napędzał do nich bardzo wcześnie Tomasza, który wnet nadzwyczajną pilność, postępy i zdolności okazał, uczęszczając do kollegium ś. Antoniego. W całym Londynie unoszono się nad rzadkiemi talentami młodego Morusa i wiadomość o tém nadzwyczajném dziecku doszła do uszu kardynała Mortona, arcybiskupa kanterberyjskiego, który postanowił zająć się losem Tomasza i w tym celu wyprosił go sobie u ojca. Pod opieką swego dobroczyńcy, opatrzony w najlepszych nauczycieli, przebiegł Tomasz szybko szkólne nauki, a potém udał się na uniwersytet oxfordski, gdzie retoryki, logiki i filozofii słuchał. Tu oddany duszą i ciałem naukom, unikał roztargnień i stronił od wszelkich rozrywek, chociaż miał wielką skłonność do nich, będąc z przyrodzenia żywego temperamentu i wesołego humoru i dowcipu, przymiotów, które szukają życia towarzyskiego. Ale ubogi młodzieniec przekonany, że do sławy i zapewnienia sobie na przyszłość losu innéj drogi niema, jak praca, siedział dzień i noc nad książkami i do tego stopnia wiadomości swoje rozszerzył, że już w 18. roku życia znany był w całéj Europie od uczonych mężów i już licznych miał nieprzyjaciół w cechu bazgraczy. Byłato niemylna wskazówka jego jeniuszu: bazgracze bowiem, autorowie tuzinkowych artykułów, mimowolnie przeczuwają najpierw ze wszystkich wyższy talent; razi on ich, jak światło dzienne wzrok sowy, i dla tego przeraźliwie nań skrzeczą. W 18. roku życia pisał już Tomasz wiersze łacińskie i angielskie, satyrycznego i epigrammatycznego rodzaju, w których obok wyszydzania głupstw i korzenia występków, przebija się pewna rzewność, tęsknota i obawa o przyszłość: przyszłość, która dlań gotowała wielką sławę literacką i śmierć okropną. Te pierwsze próby muzy młodego Morusa, zwróciły nań wzrok całéj uczonéj Europy. W Londynie, Paryżu, Rzymie, Padwie, Lowanium, Pradze, Krakowie, mówiono o nim i pisywano. Szczególniéj podobały się jego epigrammata, które sobie niemal z rąk wydzierano, a sławny Erazm Roterdamczyk, zwiedziwszy Anglią, nieomieszkał zapoznać się z ich autorem i o przyjaźń jego się ubiegać.

W dwudziestym roku zaczęła w żyłach Morusa grać silnie krew; ani natężona praca, ani ubóstwo, ani nareszcie wstrzemięźliwe życie, nie zdołały przytłumić budzących się zmysłowości. Usiłował on wprawdzie jeszcze powściągnąć zmysły dręczeniem ciała wszelkiemi sposoby; nosił włosienice na gołém ciele, biczował ciało w piątki i posty, sypiał częstokroć na gołéj desce, i to nie więcéj, jak 4 do 5 godzin, jadał chleb suchy, za napój używał wody. Daremna walka! zmysły odniosły zwycięztwo nad duszą, i Morus, który do klasztoru wstąpić zamyślał, wszedł w związki małżeńskie. Ale związki te odrywały go od ulubionych marzeń, od rozmyślań, a wiodły do życia rzeczywistego; trzeba było pracować na kawałek chleba, którego poezya i filozofia prawie nigdy nie dają. Za radą więc ojca, którego zawsze z dziecinném przywiązaniem kochał, zaczął Morus słuchać prawa.

Po czterech latach ciężkiéj pracy, osiągnął Morus cel swoich życzeń, został adwokatem. Wszakże, gdy corok familia jego pomnażała się, położenie jego w tym nowym zawodzie nie

---

nas bynajmniéj. W dacie napisu znajduje się wyraźnie pięć C, z których dwa ostatnie p. T. W. za rzymską piątkę uważa. Wiadomo przecież powszechnie, że w pismie gockim (proszę czytelnika zajrzeć do Montfaucona i do dzieł drukowanych z 15. i początku 16. wieku), rysy rzymskiéj piątki, odpowiadały rysom U, albo V gockiego. Obiedwie głoski znajdują się po kilkakroć w napisie nad ciemną bramką, a nie mają najmniejszego podobieństwa do dwóch CC. Takie zaś porównywanie głosek w nieczytelném pismie, jest najlepszym kluczem do decyfrowania tegoż pisma. Twierdzenie, że *pięćset* liczbami rzymskiemi wyrażało się tylko literą D, jest mylne. Miałem w ręku mnóstwo inkunabuł i rękopismów z początku samego 16. wieku, na których rok 1500, oznaczony był pięcioma C. Tak n. p. w Eutropiuszu, wydanym u Hallera w Krakowie, 1510 roku, czytam na końcu: „Expensis spectabilis viri domini Johannis Haller impresi (libri) Anno salutis nostre M. CCCCC. X. Prócz tego liczba rzymska pięćset pisze się jeszcze tak: IↃ. — Ważniejszym jeszcze dowodem, że napis nad ciemną bramka w Poznaniu nie jest z roku 1308, będzie ta okoliczność, iż osobni, polski i niemiecki kaznodzieje przy kościele Maryi Magdaleny w Poznaniu, zjawiają się dopiero w środku 15. wieku, tojest, w czasie, kiedy świątynia ta do rzędu Collegiat wyniesiona, liczbę duchowieństwa swego znacznie pomnożyła. Kiedy więc aż do roku 1450 nie było niemieckiego kaznodziei w Poznaniu, jakżeż miano dla niego mieszkanie w roku 1308 budować?

I na to zgodzić się nie możemy, aby niemczyzna w napisie nad ciemną bramką, z 14. wieku pochodziła. Mieliśmy w ręku mnóstwo wielkie przywilejów i szwargałów z 14., 15. i 16. wieku, w niemieckim języku pisanych. Wszędzie znajdowaliśmy jeden i ten sam język; wielkich odmian i postępów nie ujrzysz w nim przed reformacyą. Na dowód, niech służy początek z Krescentyna drukowanego po niemiecku w roku 1493. to jest na 10 lat przed napisem na bramce: „Dorumb das acker bawe steter erbeyt halben bedarff stercke der inwoner dunekt mich bequeme dass ich in diesem erstem buch, i t. d.“ Czyż niemczyzna ta dzieła drukowanego różni się w czemkolwiek od napisu na ciemnéj bramce? — Ale dość tego o bramce ciemnéj i jéj napisie, bo i tak niejeden z czytelników Przyjaciela Ludu czytając tę obronę, ziewnie zapewne.

Przypisek redakcyi.



Tomasz Morus.

było najlepsze, musiał przestawać na jednéj potrawie i nieraz wychodził z domu w wytartéj odzieży, podartem obuwiu. Do tego niedostatku przyłączył się najdotkliwszy dlań cios: dobra i łagodna jego małżonka umarła przy powiciu czwartego dziecka, właśnie w chwili, gdy wziętość, a z nią i dochody Morusa codzień się pomnażały. Obarczony licznemi zatrudnieniami i z czterema dziećmi, Morus niemogąc długo pozostać wdowcem, wszedł w dwa lata później w powtórne związki małżeńskie z starą i szpetną Alicyą Middleton, kobietą światową, która żałowała kawałka świecy, a bez namysłu psuła najpiękniejszą suknią aksamitną. Mimo tych przywar, Morus żył z powtórną małżonką swoją w największéj zgodzie. Tymczasem sława jego i wziętość w zawodzie obrońcy sądowego, zjednały mu miejsce w izbie niższéj. Tu w zgromadzeniu parlamentu opierał się Henrykowi VII., domagającemu się od narodu ślubnego podarunku dla swojéj córki. Okoliczność ta ściągnęła nań gniew monarchy i przymusiła go do opuszczenia Anglii. Udał się do Paryża, i tu oczekując, aż dopóki burza nie przejdzie, uczył się języka francuzkiego, arytmetyki, jeometryi, a niekiedy rozpędzał tęsknoty wygnańca, graniem na skrzypcach i uczeniem dzieci. Nagła śmierć Henryka VII. pozwoliła mu wrócić do ojczyzny. Wygnanie za przeszłego rządu, oparcie się w parlamencie systematowi skępstwa, i przyniewalania, nadto sława literacka, przyjaźń Erazma Roterdamczyka i rymy łacińskie, przezeń napisane z okoliczności wstąpienia na tron Henryka VIII., wszystko to ściągnęło nań uwagę młodego króla, który go do siebie wezwać kazał, polubił i zaszczycił swojém zaufaniem i względami. Ale byłto los przeciwny, który Morusa na dwór królewski zaniósł, nieszczęście, z którém się 25 lat pasował, aż nareszcie uległ. Nieszczęsna gwiazda jego rzuciła go wśród dworu, od którego się nie mógł oddalić, a którym w głębi swéj duszy gardził; tam bowiem gdzie był przekonany, że na siebie ciężkie jarzmo wkłada, wymagano od niego wdzięczności jak za dobrodziejstwo jakie; tam, dokąd go gwałtem wciągano, postępowano z nim tak, jakby się sam wszelkiemi siłami wdzierał.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Prenumerata wynosi rocznie 2 tal. 15 sgr., czyli złp. 15.; półrocznie 1 tal. 7 i pół sgr., czyli złp. 7 i pół. Wszystkie król. pocztamty i księgarnie upoważnione są do zbierania prenumeraty. Exempl. z 3., 4. i 5go roku można jeszcze dostać.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Red. J. Łukaszewicz.)

Przyjaciel Ludu.

Rok szósty. **No. 2.** **Leszno,** *dnia* **13.** *Lipca* **1839.**



Morskie oko w Tatrach, w obwodzie sandeckim.

Morskie oko.

(Koniec.)

Po ⅛ milowym biegu z rybiego jeziora, czyli morskiego oka, łączy się na lewym brzegu Białka z strumieniem Rostoka, płynącym z doliny pięciu stawów, a ⅓ mili poniżéj u południowéj stopy góry: Czerwona skałka, składającéj się z czerwonego gęstego wapienia, z inną małą, lewą, poboczną strugą. Występuje ona, ubiegłszy jeszcze kilkaset kroków, z gór wysokich, i wpada do Dunajca pomiędzy galicyjską wsią Dębno a węgierskiem miasteczkiem Fridmann.

Zacząwszy od morskiego oka, aż do połączenia się z strumykiem Podiepłaski, tworzą prawy brzeg doliny, w któréj Białka płynie, góra: Siedem granatów, a lewy zaś szczyt: Opalony, tak nazwany z powodu pożaru leśnego; obie góry składają się z niebiesko-szarego wapienia alpejskiego. Kształty gór granitowych, różnią się tutaj widocznie od więcéj rozpadniętych i od zwietrzenia nadpsutych gór wapiennych. Dolina prawie całkiem wypełniona jest gruzami rozlicznych formacyi górskich, które po częściéj dno takowéj chcą wyrównać, po części zaś to z lewéj, lub w większéj jeszcze ilości z prawéj strony do ścian doliny przypierają i blisko trzecią część wysokości takowych zajmują. Gdyby tych rumowisk nie było, znikłaby cała rozległość doliny. Woda przy znacznéj swéj spadzistości płynie rwiąco bezpośrednio koło prawego brzegu, lub też bliżéj takowego, niż lewego, przez kawały skał i powalone kłody, tworząc z szumem liczne wodospady; a podróżny, który opuści drogę, z wielką musi bacznością stąpać, aby się nie nadwerężyć przez szwank jakowy pomiędzy rumowiskiem pokrytém mchem, porostem i pnącemi się zielami górskiemi i obrośniętym krzami (*Lonicera nigra, Rubus idaeus i caesius*). Spód, naspy z rumowisk, jako też i brzegi doliny, jeśli tylko ostatnie prostopadle się nie wznoszą, okryte są lasami sosnowemi, które jednakowoż przez nieporządne wycinanie i od złomów wiatrowych wiele ucierpiały. Zacząwszy od doliny: Podiepłaski, aż do ujścia Rostoki, tworzą lewy brzeg doliny: północna ściana Opalonego, prawy zaś góra zwana: Wielki Opłaczka. Dolina powoli się rozstępuje i od 5 do 600 stóp szerokości nabywa. Bystry prąd Białki uniósł z sobą gruzy pobliskie, które tylko jeszcze koło brzegów doliny zgromadzone leżą; las staje się coraz wyższym i gęściejszym, a spadek rzeki płynącéj z szumem przez rozmaite rumowiska tuż pod samą Wielką Opłaczką w głęboko wypłukanym korycie, znacznie mniejszym. Prawy brzeg doliny sromiéj się wznosi niżeli lewy, aczkolwiek już obadwa kilka prostopadłych tarassów sosnami, równie jak parowy pokrytych tworzą.

Od wychodu z doliny pięciu stawów, aż po za ujście ostatniego strumienia po lewéj stronie wśród gór wysokich, dno doliny Białki szerokie jest od 6 do 800 stóp, prawie całkiem poziome i gęstym porostem młodych sosien i jodeł, a w niższéj części piękną łąką pokryte. Lewą ścianę doliny tworzą, jak się już wyżéj namieniło: góra Wołoszyn, a prawą zaś: Mały Opłaczka, odznaczający się swemi trzema wierzchołkami i Holitsa Wrch. Skoro się tylko przejdzie za ostatni strumień górski, występuje Czerwona Skałka, góra wapienna czerwonéj barwy, od zwietrzenia już bardzo nadpsuta, z któréj południowéj ściany przed kilku laty część odpadła w poprzek na dolinę, jak gdyby ją zamknąć chciała. Między nią a Białką ledwie tylko dla drogi, do morskiego oka wiodącéj, miejsce pozostało. Drogę tę założono dopiero roku 1811, a późniéj tak ją rozszerzono, iż po takowéj wązkiemi, małemi, lekkiemi, lecz bardzo mocnemi wózkami chłopskiemi jeździć można. Od tego to miejsca chcąc dojść do morskiego oka, potrzeba jeszcze godziny i ¼ czasu. W całéj dolinie pokryte są kamienie często bisiorem fijałkowym (*Byssus jolithus. Lin. Dematium petraeum Pers.*) mającym w żyjącym stanie czerwoną barwę i wydającym podczas wilgotnego powietrza woń specyficzną fijałkową; zasuszony nabywa popielato-szaréj barwy i niknie. Zwykle zowią w owych stronach górskich kamienie, takim bisiorem pokryte, fijołkowemi.

Na drodze do morskiego oka, zwiedza się jeszcze wprzódy zwykle dolinę pięciu stawów z najwspanialszym i najładniejszym wodospadem w całém główném pasmie Karpat. Droga prowadzi od ujścia strumienia Rostoki do Białki, wnet do góry, wnet na dół przez lasem porosłe rumowiska i złomy wiatrowe. Po trzech-godzinnéj drodze ukazuje się już z daleka pyszny widok tego cudnie pięknego wodospadu. Anglik Browne z *Trynity College w Cambridge* zwiedzając go roku 1825 po odbytéj podróży prawie przez całą Europę i znaczną część Azyi, powiedział o tym wodospadzie: „że mógłby się liczyć do najznakomitszych w świecie, gdyby był prostopadlejszym.“ Woda rzuca się tutaj z wysokości blisko 160 stóp przez skały na dół; lecz wśród swego spadu dzieli się na dwie części, co w prawdzie nie sprawia całego skutku, lecz za to tym bardziéj zachwyca. Woda ta zbiera się z ujścia pięciu stawów i z stopniałego śniegu wyższych okolic; wszelakoż pomimo tego jest czystą i przy swéj nizkiéj temperaturze bardzo orzeźwiającą.

Trudno jest zaiste oderwać się od tak wspaniałego widoku, możnaby tu bez unudzenia całe dnie z upodobaniem przysłuchiwać się dzikim szumiącym dźwiękom tych bałwanów wodnych. Ztąd do 5. stawów jeszcze blisko 2. godzin drogi potrzeba. Dolina takowych, leżąca na przeciw doliny Tychy, przedstawia okropną puszczę, zapełnioną znakami zniszczenia i rumowisk. Leży ona nierównie wyżéj, niż dolina czarnego stawu, dla tego też góry tworząc takową, nie wznoszą

się już tak wysoko po nad płaszczyznę doliny, jak szczyty koło czarnego stawu. Do głównego grzbietu od północnéj strony, okrytego aż do połowy swéj wysokości pokładem wapienia, przypierają nowe massy wapienne, pospolicie tamże górami rybiego jeziora zwane, są one podług naszego podziału głównych Karpat, częścią Tatrów. Cała kotlina doliny pięciu stawów, bardzo mało śladów roślinności pokazuje, gdy zaś przeciwnie dolina Tychy, najbujniejszą okryta jest wegetacyą.

Zdaje się, iż niektóre kawały skał głównego grzbietu i zachodnich gór wapiennych wyższéj kotliny, niedawno dopiero się oderwały; można to łatwo wnioskować z dużych kawałów skalistych, na spadzistościach w takiéj ilości nagromadzonych, iż małego tylko pchnięcia od burzy lub bałwanów wodnych potrzebują, aby powpadać do jeziora. Miejscami po pod rumowiska i w rozpadlinach ciągną się od wierzchołków góry aż na dół smugi śniegu, rozszerzające ostre zimowe powietrze.

Cztery wyższe jeziora, leżące w małéj odległości od siebie na niezbyt wysokich stopniach, daleko są mniejsze i szerokiemi brzegami z gruzów otoczone, które na domysł wiodą, że kotliny wodne niegdyś daleko większą miały objętość i że takowe jedynie utworzyły dla jezior dzisiejsze przedziały.

Najwyższe jezioro leży pod głównym grzbietem, jest najmniejsze, prawie całkiem okrągłe, i w lipcu jeszcze lodem pokryte, dla tego go téż Zamarzły, lub do zamarzłego zowią.

Drugie, formy owalnéj, mało co jest większe od pierwszego.

Trzecie, formy podługowatéj, prawie jednakiéj szerokości co drugie, jednakże znacznie dłuższe.

Czwarte znowu większe od poprzedzających, jest pociągłego, nierównego kształtu.

Wszystkie te jeziora, z których trzy pierwsze mniéj wyższe od drugiego mają położenie, wypuszczając wodę przez wały skaliste i rumowate, oddzielające jedno jezioro od drugiego, tworzą małe wodospady, które w ogóle mało w wodę obfitują.

Piąte jezioro wreszcie znacznéj jest wielkości, obejmując 40 morgów i 80 sążni kwadratowych, podługowato-okrągłe i leży daleko niżéj od drugich. Od północno-wschodniéj strony zamyka go gruzami pokryta skalista ściana, przez którą woda uchodząca 10 do 12 stóp szeroka, najładniejszy wodospad tworzy. Dopiero w około i pod tym wodospadem zaczyna się okolica koziodrzewiny (*Pinus Mughus* lub *Pumilio*).

Pasterze z szałasu koło trzeciego stawu, wynoszą, dla posiłku znużonego wędrowca, który się drapie po tych to górach, świeżą żentycę w małych czyściutkich czerpakach. Przebywają oni tamże z swemi owcami, kozami i rogacizną, od połowy miesiąca czerwca aż do końca sierpnia, robiąc ulubiony sér górski. Między nimi można jeszcze znaleść ślady ustaw patryarchalnych, stoją oni pod władzą najstarszego i posiadają różne stopnie w znaczeniu. *Juhas*, czyli pasterz bydła, bardziéj jest poważanym, niżeli pasterze owiec lub kóz; ma on także szczególne prawo nosić koszulę całkiem w tłustości maczaną i czarno wyglądającą, co go od gadów strzeże. I tak nawet na takich wysokościach panuje jeszcze chciwość sławy! Są oni z resztą bardzo zręczni, skaczą jako kozy przez skały i lubią muzykę. A ponieważ bardzo proste ich życie, więc téż ciało dochodzi rzadkiéj wysokości; są oni najgościnniejszymi i nie piją mocnych trunków, póki tylko z swemi trzodami na górach bawią; w innéj porze roku bardzo miernie upajających używają napojów; wielu z nich, niewidziawszy miasta za życia, umiera. Echo tutaj, równie jak wszędzie daléj pomiędzy massami granitu i wapienia, trwa dłużéj, sprawiając często powtarzający się huk, do grzmotu podobny. Droga ztąd do morskiego oka, do którego jeszcze blisko 3 godziny iść potrzeba, prowadzi przez górę Kopa zwaną; jest ona wprawdzie utrudzającą, lecz nader zajmującą. Przecudny widok przedstawia się nam ze szczytu Kopy. Oko niczém niewstrzymane sięga głęboko w Węgry; pokazuje mu się mnóstwo miast i wiosek spizkich, a z niewypowiedzianem uczuciem widzimy się z téj wysokości (6000 stóp) w bliskiem sąsiedztwie olbrzymiego Krywania, Królewskiego nosa, szczytu Lodowéj doliny, Łomnickiego i t. d. gdy niższe góry zdają się spoczywać pod nogami widza.

Przybywszy do morskiego oka, niedozwala już znużenie zbyteczne, trapiące podróżnika, czarny staw jeszcze tegoż samego dnia odwiedzić, przetoż dobrze jest przenocować tutaj, aby wytchnąć po tylu wspaniałych i wzniosłych wrażeniach, i pokrzepiwszy się, spieszyć dnia następnego dla oglądania nowych piękności natury.

Chcąc z Nowego-Sądcza dostać się do morskiego oka, jedzie się przez Łącko, gdzie się obiaduje; ztamtąd przez Tylmanowę, Krościenko, Czorsztyn do Maniowy, gdzie się nocuje, jeżeli wprzódy niechcemy poświęcić reszty dnia na zwiedzenie kąpieli w Szczawnicy. Drugiego dnia obiera się albo bliższą drogę na Harklowę i Ujbelę do Bukowiny, lub dalszą na Nowytarg, Szaflary, Biały-Dunajec i Poronin; ostatnia ta droga wprawdzie jest dalszą, ale za to lepszą. Na każden sposób wypada zanocować w Bukowinie, gdzie w nowo wybudowanym zajezdnym domu wygodnie pomieścić się można, wieczór zaś spędzić na przeglądaniu ciekawéj księgi, w któréj podróżni imiona swe zapisują, i na przygotowaniach do jutrzejszéj podróży. Według możności wyjeżdża się jeszcze przed wschodem słońca z Bukowiny, aby uzyskać nieco czasu do oglądania wszystkich miejsc pięknych; powracając jedzie się dla odmiany z Nowego-Targu przez Zaryte bardzo dobrym gościńcem, z Zarytego mamy już najpiękniejszą drogę przez Mszanę, Dobrą, Lima-



Zygmunt August.
(Z obrazu w zamku warszawsk.)

nów do Nowego-Sądcza. Cała droga nader jest malowniczą, mianowicie okolica koło Dobry i Wysokiéj góry jadąc z Limanowy do Nowego-Sądcza. Prawdziwie sztucznie na téj górze utorowana trzech-milowa droga, dozwala używać najrozmaitszych i najpiękniejszych widoków. Od Zarytego aż do Nowego-Sądcza rachują 8 mil pocztowych.

Słów kilka o życiu domowém Zygmunta Augusta i o zgonie tego monarchy.

Życie prywatne monarchy większy może wpływ na losy narodu wywiera, niż życie jego publiczne. Prawdy téj doświadczyła, niestety! Polska, pomimo tego, że władza i powaga jéj monarchów tak ograniczoną była. Słabości w domowem życiu króla chłopków, winniśmy owe roje ludu, który zaległ wszystkie zakątki dawnéj Polski, opanował wszelkie gałęzie przemysłu, niedozwolił rozwinąć się u nas trzeciemu stanowi, stanowi tworzącemu prawdziwą potęgę narodu, i skaził obyczaje krajowe nie w jednym względzie. Zygmunta starego życie i stósunki domowe rozpasały szlachtę, dały hasło do tak częstych późniéj rokoszy, kaziły włoszczyzną staropolską cnotę, siały podejrzenia, niezgodę, uczyły jak do dopięcia celu pieniądz, stopień lub trucizna, w miarę potrzeby, zarówno użyte być mogą. Życie domowe Jana Kazimierza i Jana III., rozsiało po kraju język francuzki, a z nim lekkomyślność tego narodu i wzgardę ojczystych obyczajów i rzeczy. August drugi sam oddany opilstwu i zbytkom, napełnił kraj temi występkami. Pobożność na dworze syna jego, Augusta III., natworzyła dewotek i dewotów, a co gorsza, hipokrytów i hipokrytek.

Niemniéj szkodliwy wpływ na obyczaje i losy narodu wywarło życie domowe ostatniego Jagiellończyka. Zygmunt August zmierzywszy sobie trzecią żonę swoję Katarzynę Austryaczkę, szukał w pobocznych miłostkach balsamu na rany, które mu pożycie z niemiłą sobie małżonką zadawało. Współczesny rękopism powiada, że nie tak w lata podeszły, jak raczéj roskoszami wycieńczony na siłach monarcha, nie tylko starał się usilnie o rozwód z Katarzyną Austryaczką, ale nawet zamyślał wniść natychmiast w nowe związki małżeńskie z kobietą jakąś niskiego stanu, a dla potomstwa, któreby z tego małżeństwa miał, pragnął zapewnić prawem dziedzictwa jaką prowincyą koronną w zamian za Litwę, któréj dziedzictwa zrzekł się na korzyść narodu. Gdy stany, Rzym, a nadewszystko dom rakuski tamy nieprzebyte do rozwodu stawiał, znaleźli się zaraz doradzcy, a między tymi sławny włoski herezyarcha Ochin, którzy królowi bigamią doradzali. Monarcha, nie mogący z jednéj strony rad tych słuchać, z drugiéj rozwodu dostać, wylał się odtąd całkiem na miłostki. Pierwszy wybór jego padł na jakąś Zuzannę Orłowską, nieznajomego rodu, ale nadzwyczajnie pięknéj urody, którą w domu swego faworyta Zalińskiego z Prus poznał. Przez siedm lat doznawała Orłowska względów Augusta, ale nieobdarzona

przymiotami, za pomocą których nieraz kobiety miernéj nawet urody serce i rozum wielkich ludzi krępują, wpadła w niełaskę i oddaloną została od boku króla, który ją nawet niezbyt hojnie wyposażył. Miejsce Orłowskiéj w sercu zmiennego Augusta zastąpiła wnet Zajączkowska, panna z fraucymeru królewnéj Anny. Trudna bardzo było z nią sprawa: niesłuchała żadnych prośb króla, odsełała podarunki i niewpuszczała do swojéj komnaty zakochanego Augusta. Dopiero obietnica, że król uzyskawszy rozwód z Katarzyną, podzieli z nią łoże królewskie, zmiękczyła ją i uczyniła powolną. Zygmunt August osadził ją w klasztorze sulejowskim, podejmował po królewsku i często ją odwiedzał. Ta zbyt ścisła przyjaźń z Zajączkowską, poróżniła go z siostrą, infantką Anną.

Wkrótce przecież, niestały jak motyl Zygmunt August, poniechał Zajączkowską, a rzucił się w objęcia kobiety, która umysł i wolę jego ujarzmić i wiecznie do siebie przykuć potrafiła. Kobietą tą była Barbara Giżanka. Może samo imię *Barbara*, które mu Radziwiłłownę przypominało, było dla niego talizmanem, niedozwalającym mu oderwać się od Giżanki. Barbara Giżanka urodziła się w Warszawie, gdzie ojciec jéj był radzcą. Po śmierci jego przeniosła się z matką do Krakowa, i tu, ówczesnym obyczajem oddaną została w naukę do zakonnic. Zygmunt August ujrzał ją pierwszy raz w kościele, a widok jéj takie na nim wrażenie zrobił, iż postanowił poznać ją z bliska. Użył naprzód ku temu *swoje pacholę*, Mikołaja Mniszcha, a gdy zabiegi Mniszcha opór Giżanki niweczył, przenajęto żyda, który do klasztoru z towarami i podarunkami od króla do niéj chodził. Gdy i żyd cnoty strzeżonéj pilnie od zakonnic nie mógł zachwiać, siostra starsza Giżanki, będąca za mężem w Krakowie, zjednana obietnicą i widokiem wielkich korzyści z téj intrygi miłośnéj siostry swojéj z królem, odebrała ją z klasztoru i oddała w ręce uszczęśliwionego tą zdobyczą monarchy. W rok potém powiła Giżanka Zygmuntowi Augustowi córkę. Od téj chwili stała się samowładną panią jego szkatuły, jego serca, a co gorsza dla kraju, jego woli. Z Mikołajem Mniszchem, z swoją matką i siostrą, a nawet podobno z kilku ludźmi z motłochu, szafowała łaskami królewskiemi, przedawała urzędy i godności, srebrne i złote sprzęty królewskie przenosiły się nieznacznie do jéj rąk.

Z towarzystwa Giżanki niechętnie się król odrywał do spraw publicznych. W roku 1572 udał się schorzały na sejm do Warszawy. Trudy sejmowe powiększyły chorobę i król przymuszony był leżeć w łóżku. Wtém wybuchło powietrze morowe w Warszawie i przedarło się aż do zamku królewskiego, gdzie kniaź Massalski, jeden z pokojowych pacholąt królewskich, nagle na nie umarł. Król tedy przerażony tym przypadkiem, postanowił wyjechać do Tykocina. Przed wyjazdem wezwał do siebie infantkę Annę, z którą się od dawnego już czasu był poróżnił. Czułe było zejście się jéj z bratem. Przewidując bliskie osierocenie swoje ostatnia gałązka bujnego niegdyś szczepu Jagiellonów, rzuciła się łzami zalana w objęcia dogórywającego brata; oboje przebaczyli sobie urazy, a król oddał jéj testament, postanawiając ją w nim sukcessorką generalną po sobie. Po tém widzeniu się z siostrą, puścił się Zygmunt August w podróż do Knyszyna. Wieziono go na wozie przykrytym, ciągnionym od 12 koni. W nim zawieszone było łoże, na którém leżał monarcha, kołysając się ustawicznie jak w kołysce. Giżanka bocznym traktem jechała za nim do Knyszyna. Przybył Zygmunt August do tego zamku pierwszych dni Czerwca. Tu, gdy otaczający go spostrzegli, że był bliskim zgonu, namawiali go, osobliwie biskup Krasiński, aby się wyspowiadał. Źle to przyjął król, jednakże dał się nakłonić, i opatrzony sakramentami dnia 7. Czerwca 1572 roku o godzinie 17. na całym zegarze, zawarł powieki w 53. roku życia.

Historycy nasi utrzymują, że Zygmunt August umarł zupełnie ubogim, że nawet nie było za co zwłók jego pochować. Rzecz się atoli ma inaczéj; w szkatule jego nieznaleziono wprawdzie nic, ale w sklepach knyszyńskich były skrzynie napełnione złotem, srebrem i rozmaitemi kosztownościami. „Do dworu się wszyscy panowie zjechali“, — mówi współczesny rękopism; — „do sklepów szli; skrzynkę tam odemknąwszy, naleźli w pierwszéj 50,000 czerwonych złotych, w drugiéj 21,000 czerwonych złotych.“

Targowa przygoda Bartosza.

(Dokończenie.)

Milcz, przeklęty gaduło! ofuknął mnie tenże, a trzymaj się dobrze, byś nie zleciał i karku nie skręcił. Alboż nie widzisz strzelca z fuzyą wynurzającego się z krzewiny. W saméj rzeczy! tegoby jeszcze potrzeba, żebym sobie miał dać wpakować nabój może poświęconych loftek dla takiego, jak ty, szubrawca! A któż ci zaręczy głuptasie, żeby się i tobie nie dostało.

Nie było co na to odpowiedzieć, choć wyznać muszę szczerze, że mi się nie bardzo spodobał ten ton pański, szafujący obficie tak pięknemi tytułami. Cóż było jednak robić. Połknąłem gorzką pigułkę, choć czułem w sobie chętkę nakręcić temu urwiszowi karku, który był w mojém ręku. Pomny jednak na moje własne dobro, spuściłem na kwintę i odezwałem się tonem pokornym. Ależ zważcie jaśnie wielmożny orle, że już moja nizka chatka znikła mi zupełnie z oczu. Gdzieżto lecicie jak oparzeni.

Tam do kata, jakimi zuch! Mówię ci po raz ostatni obwiesiu, siedź spokojnie; bo jak cię kopnę nogą, to zlecisz na łeb, i zetrzesz się na

miazgę, iż ani zjupniesz! Pomyśliłem sobie: Przeklęta gorzałko! do czegoś ty mnie przywiodła. Bartoszu! mógłeś sobie spokojnie chrapać przy piecu na ławie, a teraz jak włóczęga jaki wałęsasz się po nocy. Czy mnie licho opętało. Tu między kawkami za katy wietrzno i mglisto; a co gorsza, mój znarowiony wierzchowiec diable mi się coś rozbrykał; gdybym go się tak mocno nie trzymał, jużby mnie był podobno dawno z siebie zrzucił.

„No! cóż tam sobie pomrukujesz przebrzydły opoju!“ odezwał się znowu do mnie. „Tobie dobrze siedzieć, ale mnie dźwigać takiego bałwana! już mi skrzydła mdleją; szczęściem, że oto księżyc nie daleko; musisz się na moment za róg uchwycić, aż sobie trochę wytchnę.“ Nie chciałem na to przystać, bo mi się wcale nie podobało, że mam dyndać i nogami w powietrzu przebierać jak wisielec; a do tego mam garścią chwytać za ten sierp błyszczący. Lecz wiele ten z siebie zrobi, co musi; albowiem dolatując właśnie do samego miesiąca, tak się gwałtownie otrząsnął, żem mimowolnie uchwycił za róg księżyca i zawisnąłem w powietrzu.

„Do szczęśliwego zobaczenia!“ zarzegotał się szatańskim śmiechem mój powietrzny woźnica; „pozdrówcie odemnie waszą, jak ją zobaczycie, i powiedzcie jéj, że skoro będę miał naprawione moje różki u figury za karczmą, to was znowu spuszczę na ziemię; tymczasem możecie sobie trochę podyndać, i czekać na inną jaką okazyą.“

O urwiszu, obwiesiu, cygańska duszo! żebyś z piekła nie wyjrzał; tak to umiesz zwodzić poczciwych ludzi? Nakląłem mu do woli, co mi tylko ślina do gęby przyniosła, bo i nie miałem już przyczyny go ochraniać.

Gdym go tym sposobem pożegnał, obróciłem oczy moje na miesiąc, szukając zkąd jakiéj pomocy: aż tu potężne chłopisko gnój z kupy rozrzuca.

„Szczęść Boże“, rzekłem, chcąc z nim zacząć rozmowę; a lubo mi ledwo odmruknął: daj Panie Boże! pytałem go się daléj: „jak się miewacie? co porabia wasza? czemuż to tak usilnie pracujecie, jak gdyby wam podstarości stał z batogiem na karku. I, dalibyście robocie pokój; proszę was oto na tabaczkę! i opowiem wam moją przygodę.“

Ale ów mrukliwy gnojek, jak gdyby tego nie słyszał, nie ustając bynajmniéj w pracy, odezwał się do mnie groźnie: A ja wam mówię Bartoszu, idźcie sobie precz! nie ma tu dla was miejsca.

Poszedłbym bardzo chętnie, żebym tylko mógł, (odrzekłem jeszcze pokornie); przecie wam tu nie wiele zawadzam, gdy się troszynkę różka miesiąca czepiam.

A właśnie ja na to żadną miarą zezwolić nie mogę; miesiąc mógłby się przegibnąć na jednę stronę, tobym i ja się skulnął. Idźcie więc precz, mówię wam po raz ostatni!

Już mnie też niecierpliwość wzięła; widzę że to niepeć, i odparłem groźno: Ej co mi tam! komu się tu nie podoba, niech sobie idzie precz; ale ja się tu zostanę. — Widziszgo, jaki mi zuch! — Wiedzże miesięczny drągalu, że mnie teraz sam pan nie ma do rozkazania, a cóż dopiero taki drab i taki grzesznik jak ty jesteś! Myślisz pewnie, że ja nie wiem, coś ty zać? O znam ja cię dobrze, ptaszku; i słyszałem ja nieraz od mego poczciwego tatusia, Boże świeć nad duszą jego, o twojem ukaraniu. *a*) Jeżeli więc dla przebrzydłéj chciwości, cierpisz bożą karę, nie pomnażaj przynajmniéj winy nieludzkiem twojem z bliźnim obejściem; zwłaszcza, że tu zapewne rzadko kiedy kto nadużywa twéj gościnności.

Lecz ten niegodziwy mruk od gnoju ani słowa na moję perswazyą tak gruntowną nie odpowiedział; ale podniósłszy swoje widły do góry, gruchnął z całéj siły w róg, za który się trzymałem. Róg się naturalnie ukrychnął, a ja trzymając go w ręku, chet znowu w podróż z powrotem.

Szczęśliwa droga Bartoszu! zawołał teraz niegodziwy ten człowiek; pozdrówcie swoję odemnie; a nie spieszcie się tak prędko, bo wam tchu przybraknie.

Chciałem mu należycie odpowiedzieć, bo wiecie, że nie lubię chować w kieszeń takich przekąsów; ale byłem zbyt sobą samym zajęty, przewracając się jak snop słomy, to głową, to nogami na dół. Aż wtém coś zaszumiało i zagęgało mi koło uszu. Myślę sobie, dobre spotkanie, to zapewne sznur dzikich gęsi także w podróży do cieplic. I nie omyliłem się, a stary gąsior na przodzie odezwał się do mnie: Ha Bartoszu, jak się macie? co porabia wasza i dzieci, czy wszyscy zdrowi? — Odpowiedziałem, że wszystko, chwała Bogu, zdrowe. Zagadnienie takowe nie zdziwiło mnie bynajmniéj, gdyż same dziwy działy się zemną; nie uderzyło mnie więc wcale, że gąsior tak łaskawie do mnie przemówił, zwłaszcza, żeśmy się już oddawna znali.

„A zkądto,“ zapytał daléj, „i dokąd tak spiesznie?“

„Lecę sobie na ziemię z miesiąca,“ odrzekłem, „dokąd mnie niegodziwe orlisko, pomimo méj woli zaniosło, i zacząłem mu od samego początku opowiadać, jakem trochę w szynkowni miarkę przebrał i jak mi się w głowie kręciło.“

No, kiedy nie macie pilniejszego interessu, to się uchwyćcie za moję nogę; polecicie w naszéj kompanii. — Pochwyciłem go mocno za stopę i lecieliśmy razem chyżym lotem i złamanym sznurem za gąsiorem, ja i inne gęsi.

---

a) Wieśniacy powszechnie mniemają, że plamy na księżycu i słońcu wyobrażają chłopa i jego żonę, gnój rozrzucających, których Pan Jezus tam przeniósł, za karę, że poszli w niedzielę podczas nabożeństwa gnój rozrzucać.

Po małéj chwili zaleciało mnie coś i połechtało po nosie, jak gdyby moja stara szperkę na tygielku smażyła. Stójcie, gąsiorku! zawołałem na mego lotnego przewodnika, a wszakże to moja chałupa; pozwólcie mi na nią się spuścić.

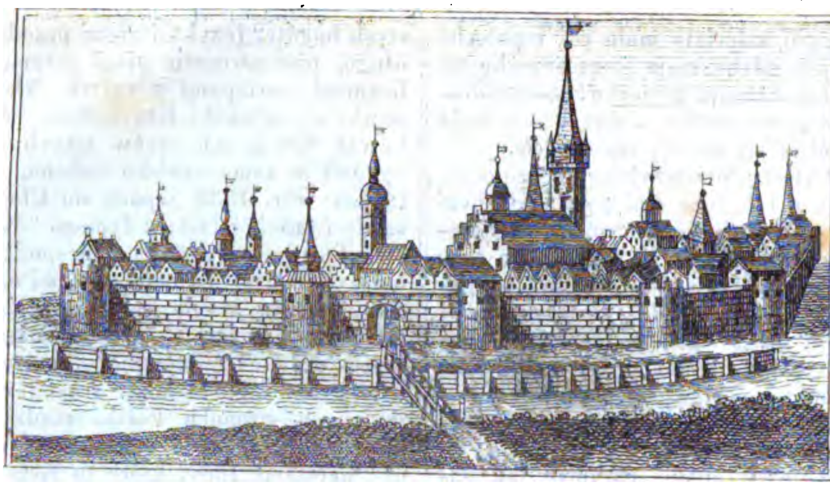
Gdzie tam Bartoszu, przetrzyjcież dobrze oczy, a zobaczycie, że tuż kałuża pod nami; gdybym was spuścił, tu pluśniecie jak szczupak. — Przecie ja to muszę lepiéj wiedzieć, gdzie moja chałupa; bo mnie już, prawdę powiedziawszy, niecierpliwość brała, że mnie jeden gąsiorek chciał rozumu uczyć; a prócz tego, już tyle razy sparzony, nie ufałem już nikomu. Nie wiele więc myślęcy, puściłem z garści gęsią stopę i — klap — plusnąłem w samę kałużę. Tą razą miał dalibóg gąsior słuszną racyą!

„A ty niegodziwy opoju, chrapisz jak zarznięty, ze łba ci się jak z komina kurzy, już słońce ma się ku południowi, a ty jeszcze od wczoraj pod płotem kiermaszujesz! Koniska same się przywlekły; półkoszki, drabki od woza pogubiły; dziś pogoda piękna, czas wyjść z kosą w pole, a ty zalawszy pałę gorzałką, w najlepszą chrapisz. O! bodaj przepadło przeklęte gorzałczysko! tyle razy ci mówiłam, że nas zgubisz twem opilstwem; a ty jakbyś się na własną ruinę uwziął, nie opuścisz i jednego poniedziałku, żebyś się nie upił, iż nie wiesz i o bożym świecie.“

Poznałem zaraz przenikliwy głosek méj Marysi, a przetarłszy oczy, przekonałem się, że nie leżę w kałuży, lecz że moja powracając z konewką wody od stoku i widząc mnie leżącego pod płotem, sprawiła mi tę orzeźwiającą kąpiel. Nie odrzekłem tą razą i słowa, lecz jak zmyty wcisnąwszy czapkę na uszy, poszedłem naklepać kosę. *R.*

Chełmno w 17. wieku.

Z opisem każdego niemal miasta naszego wiążą się drogie nam wspomnienia historyczne. Mało zaś które miasto ma ich więcéj jak Chełmno w Prusach zachodnich. Niedaleko miejsca, na którem dziś Chełmno stoi, znajdowała się już w 12. wieku osada lechicka, wystawiona często na napady pruskich pogan. Konrad, xiążę mazowiecki, dla zasłonienia swojéj dzielnicy od spustoszeń tego barbarzyńskiego narodu, sprowadził z Niemiec kawalerów P. Maryi i nadał im ziemię chełmińską pod pewnemi warunkami, których wyszczególnienie, jako nienależące do naszego celu, opuszczamy. Kawalerowie Panny Maryi objąwszy tę ziemię w posiadłość, założyli stolicę W. mistrza w Chełmnie; a chcąc miasto ochronić od częstych powodzi Wisły, na które wystawione było, przenieśli je opodal na wzgórek (1232 r.). Wielki mistrz Herman de Salca pierwszy tu osiadł, i ztąd zaczął zakon bój krwawy z narodem, który z rozpaczą bronił najświętszych sobie rzeczy, to jest ojczystych bogów, języka i ziemi przodków; i długo, długo, nim nareszcie uległ przemocy zasilanego licznemi zastępami z całych Niemiec zakonu, dawał się w znaki Krzyżakom. Nie raz zafarbował krwią ich ojców swych ziemię, nieraz ugodził w samo ognisko zakonu, i tak między innemi w r. 1239 wpadł do Chełmna, wyciął osadę i puścił miasto z dymem. Krzyżacy chcąc się ubezpieczyć nadal od niespodzianéj napaści, otoczyli miasto dwiema rzędami mocnego muru; a w zamiarze wzniesienia swojéj stolicy, nadali mu korzystne bardzo prawo, znane pod nazwiskiem prawa chełmińskiego, którem się późniéj całe Prusy i wiele miast i osad w Mazowszu i w innych stronach Polski rządziło. Okoliczność ta, dogodne do handlu nad Wisłą położenie, nareszcie łupy, które tu Krzyżacy zewsząd zwłóczyli, sprawiły, że miasto wnet zakwitło w bogactwa, i przyjęte zostało, według świadectwa Cellaryusza, do związku miast hanzeatyckich. Wszakże gdy oręż zgubny krwiożerczego zakonu coraz bardziéj Prusaków tępił, lub ich téż ku wschodowi wpierał, Chełmno, jako leżące na samym krańcu zaborów zakonu, musiało zrzec się zaszczytu i korzyści stolicy mistrza, który odtąd do Malborga się przeniósł. Od téj chwili zaczął niknąć blask dawny Chełmna, a wojny, które niewdzięczny zakon następnie przeciw Polakom prowadził, przyspieszyły zupełny upadek tego miasta. Po bitwie pod Tannenbergiem, oblegli je Polacy, przymusili do poddania się, a złupiwszy mieszkańców, większą część miasta wraz z kościołem farnym w perzynę obrócili. Niewymowne łotrostwa zakonu, których nawet sławny historyk Voigt, acz mu bardzo sprzyjający, zataić nie może, przywiodły miasta pruskie do rozpaczy; powstały one przeciw swoim ciemiężcom i poddały się królowi Kazimierzowi Jagiellończykowi. Do miast tych należało także Chełmno. Gdy się więc kroki nieprzyjacielskie rozpoczęły, oblegli je Krzyżacy w r. 1455. Doznawszy atoli dzielnego odporu z strony mieszkańców, musieli odstąpić nic nie wskórawszy. Szczęśliwsi byli Krzyżacy w roku 1457. Zdobywszy Malborg, podstąpili pod Chełmno, gdzie Morawa, Czech, przekupiony, zmówiwszy się z gminem i burmistrzem Janem Mazkau, otworzył bramy wojsku nieprzyjacielskiemu. Zajął miasto na rzecz zakonu Bernard Sonnenberg w 2000 ludzi wojska zaciężnego i zaczął natychmiast łupić bezbronnych mieszkańców. Jan Mazkau, burmistrz, upominając się o krzywdę mieszkańców, powieszony, odniósł zasłużoną nagrodę zdrajcy. Tymczasem Bernard Sonnenberg trzymał Chełmno w zaległym żołdzie, a odstąpiwszy późniéj Krzyżaków, zapewnił sobie u Kazimierza Jagiellończyka posiadanie tego miasta aż do śmierci. Po jego zgonie opanowali Krzyżacy na czas krótki Chełmno, ale musieli je wnet opuścić. W roku 1505 stało się Chełmno własnością biskupów chełmińskich



Widok Chełmna w 17. wieku.

i nieprzestało nią być aż do pierwszego rozbioru Polski. Wojna szwedzka za Jana Kazimierza zniszczyła je do szczętu, a lubo biskupi chełmińscy, a mianowicie Jan Małachowski, referendarz W. koronny, starali się całemi siłami podźwignąć je z gruzów, przecież tysiące znalazło się w tem przeszkód i Chełmno było wciąż stósem ruin, które jeszcze z każdym rokiem nieład i klęski krajowe mnożyły; wtenczas zaś, kiedy miasta nasze, jak fenixy, z popiołów swoich odradzać się zaczęły, Chełmno już nie było polskiem.

Lubo Chełmno dawało nazwisko województwu i dyecezyi, przecież nie było nigdy jego stolicą; sądy bowiem grodzkie całego województwa odprawiały się w Kowalowie, sądy ziemskie w Toruniu i Radzynie; katedra biskupia była w Chełmży. Miasto Chełmno posiadało kilka wspaniałych świątyń, mianowicie zaś kościół *farny*, kościół i klasztór franciszkański, założony 1258 roku, kościół dominikański i panien Benedyktynek. Ostatni był niezmiernie bogatym. Starowolski powiada, że między jego apparatami znajdował się ornat, cały dyamentami sadzony i złotym łańcuchem obwiedziony; miał on pochodzić z daru Magdaleny z Mortąg, ksieni tego klasztoru, w 16. i 17. wieku, pamiętnej w dziejach kościoła polskiego z licznych fundacyi PP. Benedyktynek w Polsce, jakoto w Jarosławiu, Poznaniu i t. d. Missyonarzy sprowadził tu biskup Małachowski 1678 r.

Chełmno jest ojczyzną Pawła Kuszewicza, który prawo chełmińskie na język polski przełożył i w Poznaniu u Rossowskiego 1623 wytłoczył, i kilka innych dzieł napisał. Rząd pruski założył tu gimnazyum katolickie, a dawniéj korpus kadetów, którego kommendantem, w czasie kiedy Chełmno do księstwa warszawskiego należało, był Wojciech Turski, niedawno w Poznaniu zmarły, tłumacz pamiętników Szoany i logiki Kondylaka.

Motyl i strumyk.

(Improwizacya.)

Raz motyl do strumyka rzecze poufale:
»Dali Bóg przyjacielu, nie pojmuję wcale
Szczególniejszéj twéj natury;
Od poranku do poranku,
Zawsze posępny, ponury,
Mruczysz tylko bez ustanku.
Jeśli chcesz być szczęśliwym, rób tak jak ja robię;
Co chwila nowym zajęty przedmiotem,
Igram, bujam, swawolę, myśląc tylko o tém,
Jakby to krótkie życie uprzyjemnić sobie.
Mnie miejsce nie obchodzi, bracia nie obchodzą.
Bo od jednego ziemi do drugiego końca,
Wszędzie świeci promień słońca,
Wszędzie kwiatki życie słodzą. —
U mnie tu, tam, gdziekolwiek, zawsze myśl swobodna,
Na celu same roskosze;
Z każdego kwiatka wysysam potrosze,
Ale nigdy kielicha nie wychylam do dna,
Bo to wiem z ludzkich powieści,
Że na dnie gorycz się mieści.»
Skończył motyl, a strumyk tak na to odpowie:
Co ty szczęściem nazywasz, ja nieszczęściem zowię,
Bo szczęścia, ile mówią, nikt jeszcze nie poznał,
Kto na łonie roskoszy, goryczy nie doznał!
Los twój nie zazdrość wzbudza, lecz politowanie.
Sławisz mi dolę swoją, a nie pomnisz na to,
Że nim jesień nadejdzie, — nie przeminie lato,
Już po tobie wspomnienia nawet nie zostanie!
Pytałeś, czemu mruczę? Powiem ci przyczynę:
Widzisz ten gaj, istnienia mojego początek,
Wkrótce już go nie ujrzę — daleko odpłynę,
I mruczę, że rodzinny porzucam zakątek.....
Toć mnie również jak tobie od końca do końca,
Na téj obszernéj świata przestrzeni,
Tenże sam, co i tutaj świeci promień słońca,
Lecz obce łąki kwitną, obcy gaj zieleni.
Ja przynajmniéj gdy obcéj sile uledz muszę,
Gdy cichy nurt pogrążę w szumnym Oceanie,
Tą myślą koić będę stroskaną mą duszę,
Że choć nazwiska mego pamięć tu zostanie.
Wybacz więc przyjacielu, zważywszy oboje,
Wolę moję niedolę, niżli szczęście twoje. *J. G.*

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. *(Red. J. Łukaszewicz.)*

Przyjaciel Ludu.

Rok szósty. **No. 3.** **Leszno,** *dnia* **20.** *Lipca* **1839.**



Albrycht Stanisław Radziwiłł.

Znany i wielbiony powszechnie z dokonania tylu ważnych przedsięwzięć naukowych hrabia Ed. Raczyński, zbogacił znowu gałąź historyczną literatury naszéj *pamiętnikami Albrychta Stanisława X. Radziwiłła, kanclerza W. litewskiego,* wydanemi w dwóch tomach w Poznaniu 1839 r. Dzieło to jest bardzo wielkiéj wagi do dziejów krajowych za panowania Władysława IV. i Jana Kazimierza. Późniéj udzielimy czytelnikom Przyjaciela Ludu niektórych z niego wyjątków, obecnie zaś zapoznamy ich wpierw z autorem tych pamiętników, umieszczając tu biografią jego, wyjętą z przedmowy Wydawcy:

Albrycht Stanisław Radziwiłł, pochodzący z starożytnego domu litewskiego książąt Radziwiłłów, urodził się roku 1592. z ojca kasztelana wileńskiego, i matki Myszczanki. Miał brata starszego Mikołaja, który w młodym wieku umarł, i siostrę, która przeorzyszą w zakonie Benedyktynek, w Nieświeżu, była. Ród Radziwiłłów odznaczał się zawsze zamiłowaniem nauk i pobożnością. Tak i ojciec naszego Albrychta był uczony (posiadał bowiem między innemi 12 języków, a pomiędzy temi hebrajski tak dokładnie, że nim równie poprawnie jak ojczystym pisał), a przytem nabożny. Tokarski, biograf Albrychta, powiada w swoim rękopismie, że ojciec jego post wielki corok odprawował w puszczy naliboskiéj, ciemnéj i dzikiéj, gdzie przez 40 dni unikał wszelkiéj rozmowy i społeczeństwa ludzkiego, przepędzając cały czas na rozmyślaniu.

Albrycht Stanisław Radziwiłł w młodym bardzo wieku wysłanym został od rodziców do Niemiec na naukę i dla ugruntowania się w wierze. W tém obojgu uczynił znaczne postępy. W 14. już bowiem wieku życia ukończył kurs filozofii i posiadał kilka języków. Poczém puścił się w podróż po krajach europejskich pod okiem i dozorem surowego ochmistrza, który najmniejszym słabościom młodzieńca nieprzebaczał i najniewinniejszych zabaw i rozrywek mu odmawiał, przyzwyczajając go do życia twardego i aż do drobnostek regularnego. Z takim ochmistrzem zwiedzenie Niemiec, Belgii, Holandyi, Szwajcaryi i Włoch, nie mogło być dla Albrychta bezowocném: rozszerzył on nabyte swoje w szkołach wiadomości, i nawykł do pracy, porządku, regularności i przezornego oszczędzania czasu i majątku. Z Włoch udał się do Paryża, gdzie, polecony od Zygmunta III., miał przystęp na dworze królewskim, i wkrótce dla ujmujących obyczajów swoich i nauki tak polubionym został, że wuj Maryi Ludwiki, żony Władysława IV., chciał go ożenić z siostrzenicą swoją. Już był dzień zaślubin naznaczony, gdy w młodym Radziwille odezwała się silnie miłość ojczyzny.

Biograf jego, Tokarski, powiada, że Albrychtowi śniło się wtenczas, jakoby stał przed królem francuzkim; wtém przybywa Zygmunt III., bierze go za rękę i wyprowadza, mówiąc: „Nic tu po tobie, ja twym królem jestem, idź za mną." Sen ten, który nie mógł być tylko skutkiem głęboko wpojonych uczuć młodzieńca, takie na umyśle jego zrobił wrażenie, że natychmiast postanowił zerwać związek, któryby go od ojczyzny na zawsze oddalił. Zrzeka się więc wszelkich widoków, jakie mu połączenie z jednym z pierwszych Francyi domów czynić mogło, i opuszcza potajemnie Paryż. Z wielkiem niebezpieczeństwem dostał się do portu i wsiadł na statek odchodzący do Gdańska w chwili, gdy pogoń za nim wysłana na brzegu morskim stanęła.

Skoro się pokazał w Warszawie młodzieniec rozsądny, uczony, układnych obyczajów, umiejący języki obce, a nadewszystko nabożny, musiał przypaść do smaku monarsze, który takie przymioty wysoko cenił. Jakoż Zygmunt III. wkrótce tak go polubił, że go uczynił uczestnikiem rady swojéj, do któréj tylko Bobolę, Jezuitów i kilka innych zaufanych osób przypuszczał, a umierając naznaczył go opiekunem swych młodszych dzieci. Nie szczędził téż dla niego łask swoich, albowiem dał mu natychmiast starostwo łuckie i pieczęć mniejszą księstwa litewskiego, lubo Radziwiłł natenczas żadnych jeszcze nie miał zasług i ledwie 25ty rok życia swego liczył. Co więcéj, Zygmunt zajął się jego domowym losem i ożenił go z bogatą wdową Działyńską, z domu Eyzenreich, posiadającą dożywociem starostwo gniewskie i znaczne kapitały. Za takie dobrodziejstwa *Radziwiłł* odwdzięczał się królowi, i radą i czynami mu się wysługiwał. Młodemu Władysławowi, wybierającemu się na zwiedzenie obcych krajów, towarzyszył w znaczeniu ochmistrza i czuwał pilnie nad krokami niedoświadczonego, a żywością wieku i namiętnościami unoszonego księcia. Pod Smoleńskiem (1611) towarzyszył królowi z własnemi chorągwiami i pod Chocim liczne roty wyprawił.

Władysław IV. odziedziczył zaufanie i miłość swego ojca ku Albrychtowi Radziwiłłowi. W każdéj ważniejszéj sprawie używał jego rady, szukał jego pomocy. On był pośrednikiem w zatargach Władysława IV. z Gdańszczanami, z powodu cła morskiego wynikłych; jemu dał monarcha ten chlubne polecenie przyjęcia na granicach państwa drugiéj małżonki swojéj, Maryi Ludwiki. Radziwiłł, otoczony trzynastu senatorami i liczném i piękném rycerstwem, witał królowę w Oliwie, do Gdańska wspaniale ją wprowadził i przez 5 niedziel różne, coraz nowe zabawy obmyślał Francuzom, chciwym rozrywek; a chociaż około 10,000 Polaków i Francuzów w mieście wtenczas się znajdowało, Radziwiłł potrafił powagą swoją i roztropnością zapobiedz najmniejszemu nawet nieporządkowi; co, zważając na ówczesną burzliwość umysłów, nie jest małą zasługą.

Władysław IV. zstąpił zawcześnie dla ojczyzny do grobu; a kiedy za Jana Kazimierza niezliczone klęski runęły na Polskę, i kiedy prawi jéj synowie biegli na ratunek strapionéj matki, Radziwiłł nasz nie dał się w szlachetném tém współzawodnictwie innym wyprzedzić. Długą rzeczą byłoby wyliczać wszystkie ofiary, które wtenczas ojczyznie złożył; ograniczę się przeto na wymienieniu ważniejszych. Gdy bunt kozacki szerzyć się począł, Radziwiłł wysłał okryty półk piechoty Weyherowi, wojewodzie malborskiemu, do Ołyki; półk ten doszedł tylko do Zamościa i przyczynił się znacznie do tego, że Kozacy twierdzy téj nie wzięli. Prócz tego wystawił Radziwiłł chorągiew kozacką pod rotmistrzem Jelskim, pancerną i pieszą węgierską, opłacając chorągwiom tym żołd z własnych dochodów. Na obronę powiatu pińskiego utworzył pewien oddział piechoty i opatrzył go w działa spiżowe. Pod Zborowem, gdzie Kozacy oblegli Jana Kazimierza, znajdowała się dobrze okryta chorągiew dragońska Radziwiłła. Była i pod Beresteczkiem chorągiew jego rajtarska; w Ołyce utrzymywał wciąż znaczną załogę. Podczas wojny szwedzkiéj mieszkając w Gdańsku, senat tego miasta, w wierności ku rzeczypospolitéj, układy z królem duńskim i Holendrami zawiązał. Król Jan Kazimierz, równie jak brat i ojciec jego, używał Radziwiłła do najważniejszych posług publicznych, a w najtrudniejszych okolicznościach jego rady zasięgał i nieraz w nagłéj potrzebie w nocy po niego posełał, mówiąc: „biegajcie, proście staruszka naszego kochanego; jego się musimy w téj trudności poradzić."

Za takowe i tym podobne zasługi, monarchowie polscy obsypali Radziwiłła licznemi nagrodami. Z ich szczodrobliwości posiadał starostwa: tucholskie, lipnickie, kowieńskie, wielońskie, dowgskie i gieranowskie. Pan tak obszernych włości, które jeszcze pomnażały dobra znaczne, przez niego nabyte (po rodzicach bowiem mały tylko majątek odziedziczył), używał dochodów z nich skromnie dla siebie, chojnie dla wiary swojéj, ojczyzny, dla sług, poddanych i dla cierpiącéj ludzkości. W Ołyce wzniósł i uposażył wspaniałą kollegiatę. W Pinczowie kollegium jezuickie. Wiele kościołów wzniósł z gruntu, inne naprawiał, przyozdabiał, lub w aparaty opatrywał. Chował dwór okazały, w którym młodzież uczoną i stateczną do posług ojczyznie sposobił. W wolniejszych od zatrudnień publicznych i domowych chwilach, grywał z nią chętnie w szachy, zadawał i rozwięzywał zadane wzajem zapytania uczone. Wydając z fraucymeru żony swojéj pannę za mąż, zwykł był dawać jéj 1000 złt. ówczesnych posagu, a prócz tego porządną wyprawę, 12 srebrnych łyżek i łańcuszek złoty. Z domownikami i dworskimi

obchodził się z prawdziwie chrześciańską względnością, a gdy go gniew niekiedy za daleko uniósł, starał się potém nagrodzić łagodnością ukrzywdzonemu słowem porywczém.

Ubogich był prawdziwym jałmużnikiem. Mieszkając w Ołyce, do stu nędznych pokarmem posilał. W Wilnie, Warszawie, lub Krakowie szpitale i klasztory co tydzień jałmużną zaopatrywał. Jezuitom prócz tego beczkę starego wina węgierskiego zwykł był corocznie posełać. Na majętności Jabłonnie zapisał 40,000 ówczesnych złotych polskich, od któréjto summy przychód roczni przeznaczył na wyposażenie pięciu panien szlacheckich, i tyleż z stanu wiejskiego. W starostwach swoich, wzniósł lub naprawił wiele gmachów; z poddanymi obchodził się względnie i łaskawie. Tu, równie jak w dziedzicznych dobrach swoich, utrzymywał wielkie stadniny, sprowadzając do nich konie tureckie, któremi swoich przyjaciół obdarzał, a dworzan końmi swego chowu.

Dwa razy wchodził w związki małżeńskie; raz z Reginą z domu bawarskiego Eyzenreich, wdową po Działyńskim, wojewodzie kujawskim; drugi raz z Krystyną Lubomirską, wojewodzianką krakowską.

Najwydatniejszą cechą życia Albrychta Radziwiłła było zamiłowanie pracy i religijna żarliwość. *) Duchem jéj przejęty, Stanisław Albrycht Radziwiłł, wolne chwile od zatrudnień publicznych i domowych poświęcał piśmiennictwu dzieł pobożnych, których tu spis umieszczamy:

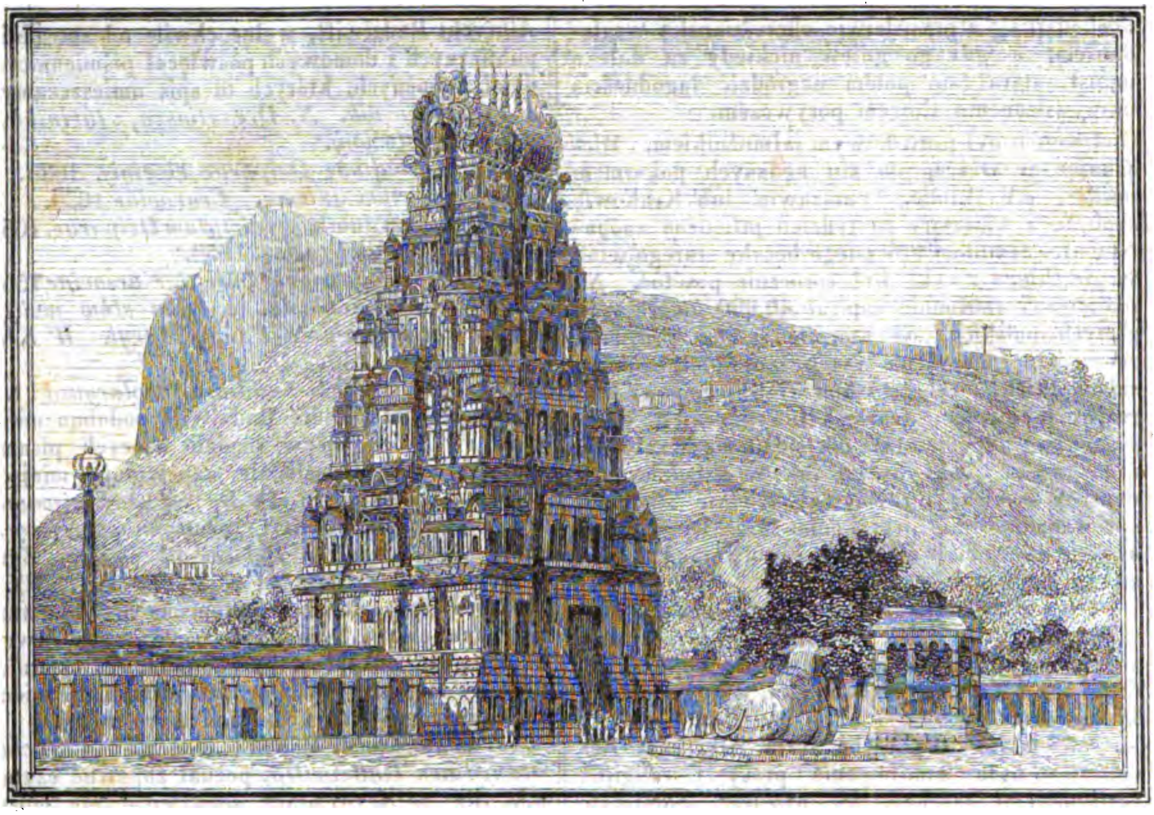
1) *Słonecznik. X. Drexeliusza, z łacińskiego przełożony.*
2) *De laudibus Deiparae virginis.* 1635.
3) *Suspirium animae. Cracoviae* 1639.
4) *Elogium duodecem virtutum Deiparae.* 1655.
5) *Żywoty świętych.* 1653.
6) *Historia passionis Christi. Varsoviae* 1555.
7) *Dyskurs nabożny, z kilku słów wzięty, o wysławieniu N. Panny Maryi. W Krakowie r.* 1650.
8) *Tłumaczenie Gennadiusa Scholaryusa* i t. d.

Lecz dzieła, które Radziwiłł podobno mniéj cenił, a które mu w rzędzie naszych pisarzy historycznych niepoślednie zapewniają miejsce, są dwa następujące: 1) *De rebus Sigismundi tertii* i 2) *Pamiętniki rzeczy znaczniejszych, które się działy w Polsce od śmierci Zygmunta III.*, to jest od r. 1632., do r. 1652. Obadwa były dotąd w rękopismach. Pierwsze uważane nawet było za stracone; szczęśliwem zdarzeniem odkryłem je w jednéj z ostatnich podróży moich. Wydając dziś drugie na widok publiczny, rzucę tu kilka nad niém uwag.

Z umieszczonéj dopiero biografii *Albrychta Stanisława Radziwiłła,* poznał zapewne czytelnik, ile po jego pracy spodziewać się może; jakoż pamiętniki te należą do najlepszych dzieł historycznych w języku naszym. Prawy, szlachetny charakter pisarza, wycisnął się w dziele jego; a lubo zbywało mu może na owym przenikliwym sądzie i znajomości serca ludzkiego, jaką się słusznie współczesny jemu historyk Piasecki szczyci; wynagradza to przecież w dziełach swoich nieposzlakowaną bezstronnością, oraz obfitością faktów i żywemi obrazami zdarzeń i obyczajów. Wszakże, będąc człowiekiem, nie mógł być wolnym Radziwiłł od słabości: bezstronność jego tłumiła w nim niekiedy żarliwość religijna, a tak prawy ów Polak, który się, wbrew ówczesnym opiniom, tak gorliwie zastawiał za swobodami miast i ludu, za powagą monarchy i dobrem kraju, ilekroć na obradach wszczęła się kwestya o różnowiercach, bezwzględny na szkodliwe ztąd dla kraju skutki, surowo na nich nastawał. Nie należy atoli o to winić znakomitego męża: byłto bowiem odgłos wrażeń w młodości powziętych, wrażeń silniejszych nad sam rozum; odgłos lubo błędny, lecz z przekonania pochodzący.

*) Żarliwość ta, albo raczéj pobożność, przechodzi wszelkie nasze tegoczesne wyobrażenia o modlitwie i umartwieniu. O dobrowolnych chłostach jego tak mówi biograf jego Tokarski: »Dyscypliny u tego pana niesłychane były i ledwo do wiary podobne, ale, sic me Deus adjuvet, to prawda. Trzeba było przed starszym pokojowym obligować się na niewydanie sekretu, który po śmierci xięcia jmci tegoż pozostali teologowie wyjawić pozwolili. Sam się nie dyscyplinował, chyba z młodu, i snadź na oczy począwszy falować, wziął tę przestrogę, aby grzbieta nie dyscyplinował. Sposób dyscypliny jego był ten. Czasem sam kazał starszemu pokojowemu, aby o téj a o téj godzinie zebrawszy sekretarzów i rózgi świeże mając, dał mu dyscyplinę, rachując zawsze plagi, czasem dwieście, trzysta, pięćset, tysiąc, półtora tysiąca, dwa tysiące plag sobie dać naznaczywszy; dwóch ze dwóch stron siekło, a czterech, albo sześciu, trzymało nas pana, dobrodzieja, ojca, kanclerza, książęcia, Radziwiłła, bez ulitowania, bo tak chciał i kazał. Co sto plag, to świeże rózgi po potłuczonych pierwszych przynoszono, i ci, co bili, odnawiali się coraz; gdy krzyczał, to poduszką głowę narzucano. Po wytrwaniu zawsze był wesół; co większa, miał to w mocy każdy starszy pokojowy, za rozkazem, a raczéj za prośbą samegoż pana, że się kazał śpiegować onemu, jeśliby w czemkolwiek Pana Boga obrażającego postrzegł go, żeby podobnym sposobem ile razy i wiele razy i każdego czasu karał pana swego non extendendo numerum nad dwa tysiące plag, i działo się to często z wielkiem ukontentowaniem xięcia jmci, pana mego, bo zwykł był starszego pokojowego za to nagradzać, kazawszy mu sobie źrebca wybrać z stada, wziąść parę soboli z skarbcu i t. p. Ściekłe krwią ciało po takiéj łaźni bywało, i chusty do ciała przywrzały, aż je z skórą oddzierali. Skoro rzekł starszy pokojowy: »Mościwy książę! pójdź do tego pokoju, abo do téj sali, trzeba waszą książęcą mość skarać i obić“, nigdy pan pobożny nie rzekł: za co? albo: nie mam czasu! lecz szedł zawsze zaraz.«

»A jeżeli się kiedy z rąk trzymających pan wyrwał, byleby mu starszy pokojowy rzekł, że jeszcze nie doszło tyle a tyle set plag, jako postanowił; bez sprzeciwiania się, bez wyrzeczenia słówka najmniejszego, respektu albo miłosierdzia żądającego, dobrowolnie zaraz się znowu położył, aby wyszedł lik plag, od starszego pokojowego naznaczonych.« *P. R.*



Świątynia indyjska w Tryczenkore.

Pamiętniki Radziwiłła pisane są w sposobie Dyaryusza. Forma takowa nadaje dziełu nieskończoną rozmaitość, bo może dotykać najdrobniejszych i najpotoczniejszych szczegółów. Dla tego też pamiętniki Radziwiłła ważnemi nigdy być nie przestaną dla historyka, chcącego poznać ducha, obyczaje, cywilizacyą i życie umysłowe narodu, za panowania Władysława IV. i Jana Kazimierza. Pisane one były przez autora po łacinie, na język zaś polski przełożone zostały przez wnuka jego, książęcia Hieronima Radziwiłła, żyjącego na początku 18. wieku.

Stanisław Albrycht zakończył pełne zasług życie w Gdańsku w czasie, kiedy jego mądre rady były królowi i ojczyznie najpotrzebniejszemi, to jest wśród wojny z Szwedami, dnia 12. Listopada 1656. roku.

Świątynia indyjska w Tryczenkore.

Kto sobie chce utworzyć prawdziwy obraz Indyi, ten głównych zarysów w dawnéj ich mitologii szukać powinien; Parwaty nazywają Indyanie owę boginią, która, jako godło płodności ziemi, rodząca i niszcząca, kolossalnéj wielkości, pyszna, martwem okiem i uśmiechającemi się ustami, z każdéj świątyni i tylu miejsc jéj poświęconych spogląda na kraj błogosławiony. Parwaty oznacza indyjską naturę; piękne są rysy jéj twarzy, spokojna i uroczysta w nich posępność.

Na rycinie wystawiona świątynia, zbudowana na olbrzymiéj skale: pomiędzy kolumnami pielgrzymi, Fakiry i inni zabobonni kraju tego uprzywilejowani żebracy, od niepamiętnych czasów jak jaskółki zagnieździli się: na boku wznosi się jedna z owych wiele znaczących, lecz niestety! milczących piramid, a która, jako szczególniejsza ozdoba w Indyi, w każdem pięknem miejscu stać musi. Główny wchód do świątyni, przeszło półtora sta stóp wysokości mającéj, jest w środku tego gmachu. Od góry do dołu gmach ten ozdobiony architektonicznemi ozdobami, a nawet w najwyższym stopniu przeładowany: wszędzie są filary, a pod filarami kule, a pomiędzy niemi tysiączne figury: jużto bogowie, ludzie, już zwierzęta — apis, alligator, Brama i tysiączne jego dzieła pomieszane pomiędzy sobą. Ale któż odgadnie teraz te hieroglify? Niniwa i Babylon, Grecya i Rzym, w czasie swéj potęgi nieposiadały takich pomników, któreby z indyjskiemi mogły pójść w porównanie.

Woda jest pierwszym ożywiającym Indyan żywiołem: jestto widoczna dusza ziemi, tudzież

ich ziemskiego istnienia; ztąd owe nieustanne uroczystości oczyszczenia, owo bezustanne kąpanie się i cześć rzeki Ganges. Około téj świątyni nie płynie rzeka, a jednakże ma wodę; albowiem inaczéj miejsce to nie byłoby świętem, a pielgrzymi nie odbywaliby tutaj swych wędrówek. Kamienna figura apisa, olbrzymiéj wielkości, pokrywa owę głęboką i nigdy niewyczerpaną studnię, gdzie szczególniéj owe wysmukłe indyjskie dziewice z naczyniami, do rzymskich podobnemi, czerpać wodę przychodzą. W niejakiéj odległości stoi pod dachem kamiennym, wspartym na czterech słupach, figura tegoż czczonego zwierzęcia, pod którą także od niepamiętnych czasów przezroczyste wytryskuje źródło. Wnijście do źródła zrobione w piersiach wołu: zkąd szerokie kamienne schody prowadzą do owéj zawsze chłodnéj i orzeźwiającéj wody, która z wnętrzności ziemi wytryska.

Rodowód teraźniejszych Greków.

Wiadomo, że pierwiastkowe tak nazwane bajeczne dzieje kraju naszego, napomykają dziwny anachronizm, to jest, o styczności Polaków z Macedończykami, a zatem i z Grekami. Dobroduszni przodkowie przekazali nam to podanie w swych kronikach, aż dopiero nasz przemądrzały wiek okrzyczał je za wierutne kłamstwo i oczywiste brednie. Jak nieposzlakowanéj wiary Herodot, długi czas za łatwowiernego uchodził bajarza, póki naoczni świadkowie, zwiedziwszy też same kraje, które on oglądał i opisał, nieprzywrócili do czci i wiary niesłusznie spotwarzonego historyka; tak podobno i nasi Kadłubkowie, Długosze, prawdziwsze, niż się naszym krytykom zdaje, przekazali nam dzieje. Teraźniejsi badacze historyczni, tak są swego sądu pewni, że skoro powieść jaka nie zgadza się z ich systematem, sprzeczną się okazuje z odkrytemi przez nich postrzeżeniami, zaraz ją, dla okazania bystrości i głębokiéj erudycyi, za bajkę poczytują, niepomnąc, że w niéj może głęboka, ale przez nich niedostrzeżona ukrywa się prawda.

Owóż tedy, co nasi kronikarze podali o wojnach i zwycięztwach nad Macedończykami, nie sprzeciwia się bynajmniéj prawdzie, z tą tylko różnicą, że te walki nie około Gniezna lub Kruszwicy, ale w samej Macedonii i Grecyi przez naszych pobratymców Sławian staczane być mogły. Jakoż pewien uczony niemiecki, nazwiskiem Fallmayer, zwiedziwszy za dni naszych Peloponez i Grecyą, przypatrzywszy się z bliska teraźniejszym tych krain mieszkańcom, przekonał się dowodnie, że owi mniemani potomkowie tak słynnych w świecie Greków, są to poczciwi *Słowacy*, językiem, zwyczajami, do swych szeroce po kuli ziemskiéj rozsianych braci, zupełnie podobni.

Znikczemniałe plemię greckie, pisze ten autor w swéj historyi półwyspu Morei, między szóstym a ósmym wiekiem wyginęło prawie do szczętu. Napróżno czciciele klassycznéj przeszłości łudzą się nadzieją, że w teraźniejszych, choć znikczemniałych mieszkańcach siół i miasteczek Grecyi, płynie jeszcze taż sama krew helleńska. Niestety! znikli oni na zawsze, tak jak wytępione zostały ich starożytne bogi. Albańczykowie, czyli Szkyparyci, rodowici Sławianie, zajęli opuszczone przez nich siedliska. W samych nawet Atenach, owym steku różnorodnego ludu z Turcyi i całego prawie wschodu, ród sławiański tak dalece przeważa, iż dla niego osobny ustanowiono trybunał, który w szkyparyckim, to jest sławiańskim języku, czynności swoje odbywa i wyroki wydaje. Ci albańscy Ateńczycy rozumieją wprawdzie po romańsku i z cudzoziemcami najczęściéj tym językiem rozmawiają, lecz między sobą, zwłaszcza po wsiach, mówią tylko po szkyparycku.

Ale może inne kraje, n. p. Beocya, okażą pomyślniejszy stósunek. Gdy wyszedłszy z Eleusis, i przebywszy wąwozy ścieśnione sterczących skał rumowiskiem, staniemy na grzbiecie Cyteru, a wzrok nasz spocznie na równinach dawnéj Beocyi, na lewo téj góry blisko wsi Kokala, spostrzegamy zwaliska Plateów, daléj stósy gruzów, gdzie niegdyś stała Leuktra i Tespie u stóp góry Helikonu. — Na drodze z Teb do Liwadyi spotykamy Haliastos, Koroneę, a daléj ku fokejskiéj granicy, ojczyznę Plutarcha, Cheroneę. A więc heleńskie pokolenie zamieszkuje jeszcze te miasta; nimfy i najady kąpią się w Krynicy Dine, a świetny orszak muz rozwodzi wesołe tany na Helikonie? Egipskie piramidy są dotychczas niepożytemi świadkami wielkości narodu; ale greckie miasta zmiecione z powierzchni ziemi, a ich miejsca zajmują liche sławiańskie wioszczyny: Dobrzana, Granica, Kapiena i t. d. Sam nawet uroczysty Helikon, przeszło od tysiąca lat znany jest tylko pod sławiańskiem *Zagory* nazwiskiem.

Jeżeli zaś z Beocyi zwrócimy kroki nasze na południe ku Megaris, daléj ku przesmykowi koryntskiemu, przysłuchując się pilnie mowie krajowców, n. p. w Pesachora i Kuluszyk, rzekłbyś, że się w głębi Albanii znajdujesz; albowiem tutejsi mieszkańcy nieznają nawet nowo-greckiego języka, aby się nim z cudzoziemcami rozmówić mogli. Niemasz więc Greków pośród Grecyi; jestto raczéj nowa Albania.

Tymczasem, rzeknie zapewne niezmordowany greckiéj narodowości obrońca, jeszcze zostaje dorycki Peloponez, kolebka greckiego pokolenia, i nadbrzeżne wyspy. W swym zapale będzie marzył o Achiwach, gotujących się pod Agamemnonem i Menelajem do wielkiéj na Troję wyprawy: przypomni sobie mężnych Spartanów, Messeńczyków klęski, rozległe Arkadyi błonia, i szukać będzie owych szczęśliwych pasterzy, żyjących na łonie matki natury, marząc o złotym wieku! Ale na samym wstępie do Peloponezu,

napotyka znowu owo dziarskie Szkyparytów plemię. W Koryncie i Argos składają oni większą część ludności, a w okolicy, gdzie niegdyś stały bogate Miceny, Hermione, Trezene, Epidaurus, w całéj krainie Argolis, rozpostarli się Szkyparyci.

Jeżeli z Koryntu obrócimy się na zachód przez pasma gór arkadyjskich, na Warszawę, Kraków aż do Kamieńca (ja nie żartuję, ale prawdziwie wymieniam wśie i miasteczka tego kraju) w Achai; a ztamtąd na południe przez Sącz i Głogów do Cylichowy i starego Wolgastu, aż do nadmorskiego miasta Nawarino, najczęściéj przypadnie nam w szkyparyckiéj popasać wiosce: lubo peloponezscy Albańczykowie od dawnych czasów w wielu okolicach zamienili swą rodzinną mowę na język sarmackich Nowogreków. Wązkie tylko nadbrzeże Morei, wolne jest zupełnie od tych sławiańskich przybyszów.

Pokonany na stałym lądzie Hellenista, cofnął się zapewne na przyległe wyspy Spezza, Hydra i Poros: tu na tych niedobytych narodowéj sławy warowniach, spodziewa się ocalić palladium greckiéj narodowości. Ale właśnie na tych wyspach najczystsza krew albańska płynie: tu to jest główne Szkyparytów siedlisko, tu środkowy punkt ich potęgi. Wyspa Hydra przyłożyła się najwięcéj do oswobodzenia teraźniejszéj Grecyi i rozstrzygnęła los morderczych z Turkami zapasów. Całe więc dzieło oswobodzenia Grecyi nie Grekom, lecz Szkyparytom, Sławianom, przypisać należy. Bohaterska obrona Missolungi, niesłychana odwaga hydryockich żeglarzy, owe najświetniejsze w powstaniu greckiém chwile, które wywołały nareszcie udział całéj Europy i litość monarchów, były wyłącznem dziełem szkyparyckich Suliotów i Hydryotów.

Gdyby sobie kto zadał tę pracę i obliczył całą w Grecyi ludność od Termopilów aż do przylądka Montopan, wraz z wyspami Spezza, Hydra, Poros, Salamis, Eubea, Andros i Egina, przekonałby się niezawodnie, że większa jéj połowa do dzielnego Szkyparytów pokolenia należy, mówiącego własnym ojczystym językiem. Jeżeli więc od pozostałéj mniejszéj połowy odciągniemy zgreczonych Arnautów, pod namiotami w północnéj Lokrydzie koczujących Włochów, daléj rolniczych Włochów, po wszystkich prowincyach zamieszkałych; osiadłych w Etolii Cyganów, toż Bulgarów, krywickich i tajgejskich Sławian, Sarmatów i Franków, zapytuję się bacznego czytelnika: ile głów na prawdziwych Greków wypadnie? *S.*

Tomasz Morus.

(Ciąg dalszy.)

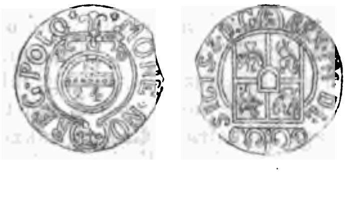
Młody adwokat, wprowadzony na dwór Henryka VIII go przez kardynała Wolseja, rozpoczął zawód polityczny poselstwami do Karóla V., cesarza, i Franciszka I., króla francuzkiego. Zaszczyty te uszczuplały jego majątek, a nieodpowiadały skłonnościom; przyjmował on je jedynie, równie jak później inne wyższe urzędy, dla tego, że nie miał odwagi odmówić, i nieumiał wybierać. Obarczony nowemi obowiązkami i zatrudnieniami, aby chwilę czasu mógł także naukom poświęcić, urywał go najpotrzebniejszym funkcyom życia ludzkiego, to jest spoczynkowi i pokarmom. Obiad jego, i tak krótko trwający, bo się zwyczajnie składał tylko z kawałka mięsa solonego, jaj, owoców i wody, niepodobna było bardziéj skracać, lecz odjął odeń miłe rozmowy, stanowiące nieposlednią uczt przyprawę. Urwany tym sposobem czas kilkugodzinny, poświęcał czytaniu, pisaniu listów do przyjaciół i uczonych mężów w całéj Europie i układaniu dzieła, które go miało wsławić w całym świecie i umieścić w rzędzie ludzi, którzy się do odrodzenia nauk przyłożyli. Dziełem tem była *Utopia*, w któréj skreślił, stósownie do wyobrażeń swego wieku, obraz idealnéj społeczności, rządu i urojonego szczęścia ludów. Żadne dzieło, ani dawniéj, ani później, nie było z tak powszechnym entuzyazmem przyjęte. Ze wszech stron odbierał Morus od uczonych pochwały i powinszowania; rzeczpospolitą jego przekładano nad spartańską, ateńską, rzymską; gieniusz jego nazywano boskim. On zaś czuł i doznawał najżywszéj i najszlachetniejszéj ze wszystkich pociech: roskoszy uczonego i uczciwego człowieka, gdy dokona wielkiego dzieła, któremu wszyscy sprawiedliwość oddają. Byłyto dni ze złota i jedwabiu, jak w ówczas mówiono, w życiu, które tak nieszczęśliwie miało się zakończyć. Byłoto jasne słońce w pośród ciemnéj mgły pracowitéj młodości i burz dojrzałego wieku. „Niech umrę", — pisał do Roterdamczyka — „o! najmilszy ze wszystkich mych przyjaciół! jeżeli pochwała, z jaką Tunstall przyjął moję rzeczpospolitą, nie uszczęśliwiła mię bardziéj, niżeli niegdyś talent attycki. Ty nie zdołasz sobie wyobrazić, jak się cieszę, jak podniósłem głowę, jak się stałem większym we własnych oczach! Zdaje mi się, iż moi mieszkańce Utopii obiorą mnie swym królem na całe życie: wyobrażam sobie, jak idę na ich czele, uwieńczony kłosami zboża, znamieniem władzy królewskiéj w Utopii; jak pięknie wyglądam w mojéj franciszkańskiéj sukni; jak w téj tak prostéj okazałości spotykać będę posłów i zagranicznych książąt, nieszczęśliwych, z tego się pyszniących, iż noszą żeńskie stroje, łańcuszki ze złota, któremi wszyscy pogardzamy w Utopii; szkarłat, perły i inne dziecinne ozdoby, czyniące ich śmiesznymi."

Miał Morus natenczas lat 35; następne 10 lat przepędził jeszcze w znacznéj części na poświęcaniu się naukom; one bowiem były głównym żywiołem jego duszy. Sława jego była wówczas tak wielka, a imię tak się świetnem stało w Europie, iż ze wszystkich stron nalegano na Roterdamczyka, aby skreślił wizerunek swego znamienitego przyjaciela. Dopełnił on tego

w roku 1519. Jestto zarazem wierny obraz rysów i charakteru jego. Morus miał naówczas przeszło 40 lat; wzrostu był więcéj niż średniego, członki ciała miał proporcyonalne, chód szlachetny, lecz, iż nachylał głowę zawsze na jednę stronę, jedno ramię zdawało się nieco podniesione. Kolor twarzy miał biały z lekkim rumieńcem, włosy ciemne, oczy błękitne i nakrapiane, co uchodziło wówczas za znak szczęśliwego gieniuszu, rysy twarzy wyrażały dobroć i wesołość. Erazm opowiada, iż ręce miał grube na dotknięcie i brudne, odzież niezbyt chędogą, sposób życia nie wyszukany; iż nie nosił nigdy ani jedwabiu, ani szkarłatu, ani łańcuszka złotego, chyba gdy obowiązek tego wymagał, albo gdy było nieprzyzwoicie nie mieć go na sobie; iż głos miał łagodny, przenikający; iż mówił ani zbyt powoli, ani zbyt prędko; iż obejście się jego było miłe, zniewalające, wolne od wszelkiéj wymuszonéj grzeczności, którą poczytywał za rzecz kobiet; iż namiętnie lubił odpoczynek i swobodę, lecz gdy sprawy wymagały, był wzorem niezmordowanéj pracy, gorliwości i cierpliwości; iż zdawał się być stworzonym dla przyjaźni, tak był łatwym w wyborze, wyrozumiałym i mało wymagającym, iż stale się trzymał swych przyjaciół, poświęcając swe zatrudnienia dla nich, i wielu ich liczył: a jeżeli który z nich okazał się go niegodnym, wówczas jakby przypadkiem zapominał o nim, rozwięzując, nie zaś zrywając przyjaźń. Z resztą nie lubił żadnych gier, ani ciskania do celu, ani kości, ani kart, przenosząc nad nie rozmowy z przyjaciółmi, których często rozweselał, chociażby strapionych, swojemi żartami. Tak zaś bawiły go żarty, iż nawet pozwalał śmiać się z siebie, byleby dowcipnie, i to mu więcéj podobało się, niż wszelka pochwała. Chętnie téż bawił się rozmowami wszelkiego rodzaju, równie z głupcami, jak z uczonymi: nigdy nie mówił poważnie o czemkolwiek, bądź do kobiet, nawet do własnéj żony, albowiem kobiety wówczas nie były jeszcze równe mężczyznom nawet w Utopii, i z największem upodobaniem przysłuchiwał się rozmowom prostego ludu na rynkach, ucząc się od niego pospolitych zwrotów, które późniéj pismom jego polemicznym tak powszechną wziętość nadały.

Wszystkie te przymioty, stanowiące w innem położeniu szczęście człowieka, przyczyniły się do jego zguby. Wziętość jego, jako człowieka czynnego, pilnego, zdolnego do najtrudniejszych spraw; jego talenta, jako uczonego, wzywały go do rządu; jego wesołość, dowcipne żarty, czyniły go przyjemnym i potrzebnym dla Henryka VIII., monarchy z natury ociężałego i ponurego. Morus przeto w krótkim lat przeciągu z radzcy gabinetowego został podskarbim koronnym, potém kanclerzem lankasterskim. Przyjaźń Henryka VIII. ku Morusowi codzień wzrastała. W każdy dzień świąteczny, a wówczas wielka była ich liczba, posełał po niego i zamykał się z nim w swym gabinecie; tam kazał mu rozprawiać o naukach, o teologii, niekiedy o rządach Wolseja, o którym rad był słuchać wszelkich uwag, jak wszyscy królowie, co się nie mogą obejść, ani téż pozbyć się pierwszego ministra. Czasem także, gdy noc była pogodną, przechadzali się po odkrytych galeryach pałacu, rozmawiając o astronomii, o ruchu i biegu planet, nauce, którą Morus zgłębił w swojéj młodości, a któréj znajomość stanowiła wówczas część zupełnie ukończonego wychowania. Królowa podzielała przywiązanie swego męża do Morusa. Niekiedy wzywali go na wieczerzę i sadzali obok siebie u stołu królewskiego. Morus bawił ich krotofilnem opowiadaniem i rozmową pełną dowcipnych żartów. I tak najcnotliwszy człowiek w Anglii, wykonywał rzemiosło nadwornego przy królu żartownisia. Ceniono zaś w nim nie cnotę, lecz przymiot najmniéj go zalecający, tak, iż nie było dlań innego sposobu zawarować się od téj przyjaźni króla, namiętnie wzrastającéj, jak być skąpszym w żarty i udawać jałowość myśli, co okazywać w dalszem życiu, coraz bardziéj smutniejszem, nie było dlań trudnem.

Tymczasem przyjaźń Henryka VIII. ku Morusowi zaczęła ostygać. Monarcha ten rozrzutnością swoją wypróżniwszy skarb publiczny, zażądał nowych ofiar od narodu; zwołał parlament i dokazał, że Morus został obrany na mówcę parlamentowego, aby propozycye królewskie popierał. Ale summa, któréj Henryk od poddanych swoich żądał, tak była wielką, że ją parlament jednomyślnie odrzucił. Ztąd pierwsze dąsania Henryka na Morusa: nie udanie się bowiem zamiarów króla, przypisywano Morusowi. Z tem wszystkiem polemika Henryka VIII. z Marcinem Lutrem, w którą także Morus wpływał, naprawiła wszystko, i król powrócił mu dawniejsze zaufanie swoje. Dla większéj zaś oznaki przyjaźni, zamiast tego, iżby posełał po niego, sam go odwiedzał, bądźto w Londynie, bądź też w mieszkaniu jego w Chelsea, i często, kiedy go bynajmniéj się nie spodziewano, siadał u skromnego stołu, najchętniéj przestając na potrawach, na jakie się rodzina Morusa zdobyć mogła. Po obiedzie Morus i gość jego długo się po ogrodzie przechadzali. Henryk opierając się na ramieniu swego ulubieńca, miewał z nim długie poufałe rozmowy, które obudzały tysiąc domysłów i najpochlebniejszych nadziei w rodzinie Morusa, ciekawie się temu przypatrującéj. Po jednéj z takich przechadzek, gdy Roper, mąż jego córki ukochanéj, Małgorzaty, cieszył się przed teściem, iż król zaszczyca go przyjaźnią, jakiéj nikomu, nawet Wolsejowi nie okazuje, Morus rzekł doń smutnie: „Rzeczywiście, synu mój, widzę, jak król jest dla mnie niewypowiedzianie dobrym, oraz, iż mi okazuje więcéj względów, aniżeli któremukolwiek ze swoich poddanych. Lecz mogę ci szczerze powiedzieć, iż niema się z czego nam pysznić, albowiem



Półtorak Zygmunta III.

gdyby za moję głowę mógł wziąść choć jeden zamek we Francyi, nie wahałby się ani na chwilę i zdiąćby ją rozkazał.“ Pierwszy to raz wtenczas Morus wynurzył swą myśl tajemną o téj zgubnéj przyjaźni, w którą coraz bardziéj się wikłał, przez samę nawet usilność uniknienia jéj.

Zawikłane stósunki małżeńskie Henryka VIII., jego niechęć ku Rzymowi i inne okoliczności, sprowadziły upadek Wolseja. Nie chciano po nim obrać na następcę w urzędzie osoby duchownéj, i wybór króla padł na Morusa. Morus przyjął godność kanclerza z umysłem skłopotanym i duszą smutkiem głęboko przejętą, przecież dla dobra publicznego czynił z siebie wspaniale ofiarę. Zostawszy kanclerzem, starał się poprawić dotychczasowy sposób postępowania sądowego; w przypadkach, gdy ustawy zgadzały się ze zdrowym rozsądkiem, przyspieszał ostateczne postanowienie; w innych łagodził ostrość praw wyrozumiałością; w niektórych wymierzał sprawiedliwość na wzór Salomona.

(Koniec nastąpi.)

Półtorak Zygmunta III.

Powyżéj odrysowany, a nieznajdujący się w Czackiego tablicach, pieniążek polski: *półtorak*, z czasów Zygmunta III., ma na stronie głównéj pięciopolową tarcz z narodowemi herbami, a we środku snop, herb Wazów, i na dole tarcz małą, w któréj jest liczba wartości 3, to jest: trzy półgrosze. Napis: *Sigis*. 3. *D. G.* — *Rex P. M. D. L.* Na stronie odwrotnéj, w obwodzie królewskiego jabłka, jest liczba 24, która oznacza, że w początku panowania Zygmunta III. talar 24 takich sztuk, czyli groszy 36, zawierał. Koło krzyża liczba 20. znaczy rok 1620. Spodem w małéj tarczy jest herb podskarbiego. Napis: *Mone. No. Reg. Polo.*

U Czackiego (w tablicach monet polskich i litewskich) jest w prawdzie (na tab. IV. N. 74.) półtorak z tegoż roku 1620. i na stronie głównéj herby są podobnie, jak na niniejszym, wyciśnięte, ale ma nieco odmienną koronę i napis: *Sig. III. D. G. Rex P. M. D. L.*, a na stronie odwrotnéj: *Monae. Nov. Civi. Rigc* i u spodu królewskiego jabłka, zamiast herbu podskarbiego, są klucze miasta Rygi.

Do redakcyi Przyjaciela Ludu.

Pragnąc zadość uczynić żądaniu redakcyi Przyjaciela Ludu, które w Nrze 20 z r. 1838 tego czasopisma wyczytuję, udzielam następujących wiadomości o zamku, czyli raczéj zameczku w Zawadzie.

Pomieszkanie to było w wieku XVI. i XVII. siedzibą familii Ligęzów, w ówczas zamożnéj i świetnéj. — Starożytność tutejszych murów zaświadcza ich struktura, a jeszcze bardziéj odwieczne dęby, które się rozniosły na wałach, jakiemi ten zamek był otoczony, i które, ile ich tylko było, święcie zachowałem; lubo ta część wałów, która z drzew tych była ogołoconą, musiała zostać zrównaną, dla wilgoci, jaką w murach utrzymywała.

Zawada, wraz z miasteczkiem Dębicą i wśiami do tego majątku należącemi, przeszła przez sukcessyę w dom Prebendowskich, a Henryka Dorota, jedyna córka Jerzego Prebendowskiego, podskarbiego w. k., wniosła te dobra w dom xiążąt Radziwiłłów, wszedłszy w śluby małżeńskie w r. 1714 z Janem Mikołajem xięciem Radziwiłłem; — dziś zaś są one własnością mojéj żony, córki i sukcessorki xięcia Dominika Radziwiłła, kraycżyca litewskiego, wnuka wyż wzmiankowanéj Doroty z Prebendowskich 1mo voto Radziwiłłowéj, 2do marszałkowéj Bielińskiéj.

Gdy w r. 1819 majątek ten objąłem, zastałem zameczek zawadzki po części ruiną, po części składem zboża. Wieże dwie równe były z ziemią, inne dwie nie miały téj wysokości, jak dziś. W r. 1820. przedsięwziąłem restauracyę, a po części nowe wystawienie rozsypanych murów. Facyata strony wschodniéj jest według planu architekta Schinkel, któremu Prussy winne odrodzenie architektury, téj podobno najświetniejszéj gałęzi sztuk wyzwolonych; inne zaś strony zostały wykończone za moim rysunkiem. Przystawa poboczna całkiem jest nową; lecz główny budynek zupełnie w dawnym kształcie zachowany. Ostatni ślad posiadania tego majątku przez Ligęzów nie jest zbyt dawnym, gdyż legata kościelne téj familii przechodzą r. 1700.

Kościół zawadzki nie mniéj zdaje się być starym jak zamek; a we wśi Pustyni, do państwa dębickiego należącéj, znajduje się dotąd kapliczka z drzewa modrzewowego, w któréj S. Stanisław nabożeństwo miał odbywać.

Żałuję mocno, iż ciekawszych szczegółów dać nie umiem, i dziwić się bynajmniéj nie będę, jeśli podane teraz przezemnie, nie będą uznane godnemi zajęcia miejsca w czasopiśmie tak interessującem, jak jest Przyjaciel Ludu.

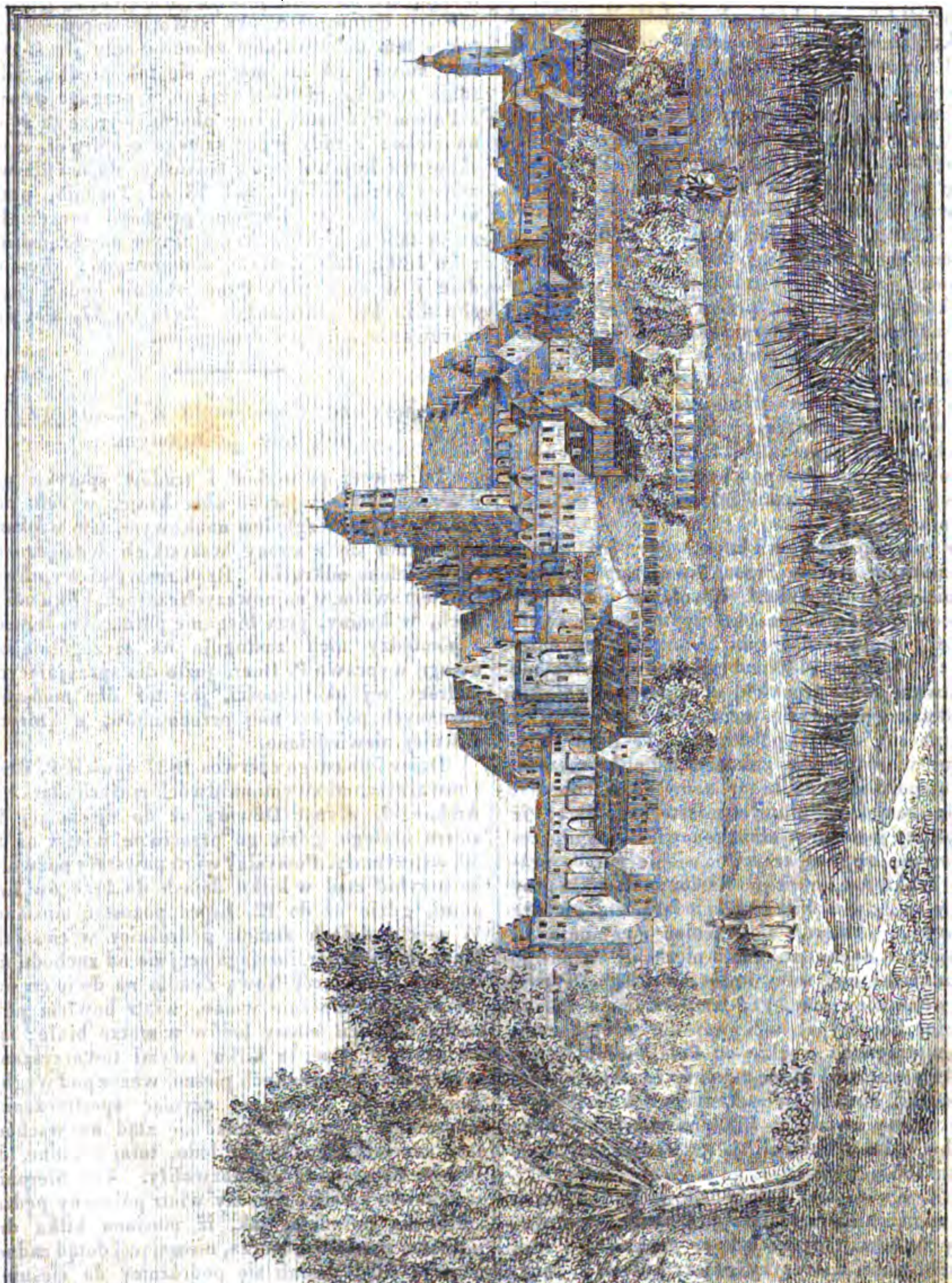
Z Zawady dnia 30. Maja 1839.

A. Raczyński.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Red. J. Łukaszewicz.)

Przyjaciel Ludu.

Rok szósty. **No. 4.** **Leszno, *dnia* 27. *Lipca* 1839.**



Kwidzyna.

Kwidzyna.

Kwidzyna, po niemiecku *Marienwerder,* dziś stolica regencyi kwidzyńskiéj, leży na wzgórku nad rzeką Labią, wpadającą o pół mili ztąd do Wisły. Jak wszystkie niemal miasta w Prusach wschodnich i zachodnich, winna swój początek Krzyżakom. Hartknoch tak o jéj założeniu opowiada: Gdy po zdobyciu ziemi chełmińskiéj, zakon krzyżacki panowanie swoje nad Pomezanią chciał rozszerzyć, udał się w. mistrz jego Wisłą w górę kilku statkami, napełnionemi materyałami do budowania, a przybywszy do wyspy Kwidzyno, leżącéj niedaleko dzisiejszego Kwidzyna i nazwanéj tak od Kwidzyna, męża córki Pomezona, wyspę tę opanował, wybudował na niéj zamek i nazwał go *Marienwerder.* Miało się to dziać około 1233 r. Ponieważ atoli dla niedogodnego położenia pierwiastkowego tego zamku, Krzyżacy nie mogli ztąd korzystnych wypraw przeciw Prusakom przedsiębrać, przeto Burchard, burgrabia brandenburgski, który zakonowi z znacznemi posiłkami przeciw Poganom w pomoc przyszedł, przeniósł zamek Kwidzynę o milę daléj, to jest w miejsce, na którem dzisiejsza Kwidzyna stoi. Wkrótce potém książęta: Konrad mazowiecki, Henryk brodaty wrocławski, Odonicz gnieźnieński, Światopełk pomorski, przybywszy na pomoc zakonowi, wzmocnili zamek Kwidzynę i założyli przy nim miasto.

W późniejszych wiekach, gdy już zakon krwiożerczym orężem Prusaków ujarzmił i Prusy na 4 biskupstwa podzielił, Kwidzyna dostała się biskupom pomezańskim, którzy tu stolicę swoję założyli. Dalsze zdarzenia historyczne tego miasta są: W roku 1440 zebrali się w Kwidzynie deputowani miast pruskich, w celu naradzenia się o środkach oparcia się uciskowi Krzyżaków i poddania się królowi polskiemu. W roku 1464, gdy już wojna między zakonem a Polską wrzała, wojsko polskie wpadło w nocy do Kwidzyny, ubiegło zamek i złupiło miasto, za karę, iż mieszkańcy jego sprzyjali zakonowi, którego przecież jarzmo niegdyś zrzucić z siebie gorąco pragnęli. Traktatem toruńskim Kwidzyna została przy zakonie, a gdy w kilkadziesiąt lat późniéj mistrz krzyżacki, Albert, siostrzeniec Zygmunta I., działając w duchu zakonu, niechciał uznawać zwierzchności nad sobą króla polskiego, i ztąd do nowéj wojny pomiędzy Krzyżakami a Polską przyszło, Kwidzyna, w któréj się Albert zamknął, wytrzymała ciężkie od Polaków oblężenie. Gdy Albert zrzucił ubiór zakonny i ostatni biskup pomezański, Erhard Ovisses, życia dokonał, Kwidzyna zajętą została r. 1529 na skarb książęcy. W roku 1628 opanowali ją Szwedzi; toż samo w roku 1655.

Dziś Kwidzyna, należy do porządniejszych miast monarchii pruskiéj; ma 8000 mieszkańców, szkoły wyższe, fabryki sukna, garbarnie i t. d. Do osobliwości Kwidzyny należy kościół ś. Jana, niegdyś katedralny, gmach największy w całych wschodnich i zachodnich Prusach. W świątyni téj pokazują dotąd miejsce, w którém ś. Dorota pruska przez 14. miesięcy zamurowaną była. Opisał jéj żywot Fryderyk Szembek, Jezuita; ten sam, który miał walki uczone z Brosciuszem o szkoły jezuickie, i wydał pod tytułem: *Patronka starodawna państw pruskich, S. Dorota z Prus, wdowa* etc. W żywocie wspomnionym tak o tém dobrowolném zamurowaniu się ś. Doroty mówi: „A nie mogąc się tak prędko, jako sobie życzyła, nieba doczekać, i pragnąc usilnie z Panem być ustawicznie obecną jeszcze tu żyjąc na ziemi: z rady jegoż samego osobliwéj, z biskupstwa kujawskiego z Gdańska, do Kwidzynia miasta krzyżackiego, mil 13 od Torunia, przeniósłszy się: za długiemi prośbami otrzymała, że ją tam w kościele katedralnym pomezańskim, roku 1393, dnia 2. Maja, zamurowano: aby we dnie i w nocy przy Panu obecnie będąc, jego chwaliła bez przestanku. Żyła lat 47, a w zamurowaniu miesięcy czternaście.

Najnowsze doniesienia z krain przy biegunie północnym.

Im więcéj przeszkód i trudów spotyka podróżnika, zwiedzającego obce kraje, w celu poznania ich pod względem naukowym, tém większa należy mu się z strony wszystkich wdzięczność za udzielone odkrycia. Rząd rossyjski wyprawił kosztem swoim, w najnowszych czasach, kilku uczonych, w krainy, przy biegunie północnym leżące; z pomiędzy nich zasługuje na szczególniejszą uwagę wyprawa P. Baer, jużto dla sprzyjających podróży téj okoliczności, już też dla mnóstwa poznanych podczas niéj przedmiotów, o których dawniéj niewiedziano.

Dziewiętnastego czerwca 1837 opuścił P. Beer z towarzyszami swymi na dwóch małych statkach Archangel, płynąc Dźwiną aż do ujścia jéj do morza białego, gdzie go przeciwne wiatry aż do 30. wstrzymały. Pomyślny wiatr powstały pozwolił im przybić ztąd w kilku dniach do brzegów Laponii, gdzie aż do 12. Lipca pozostać musiano. W pięciu dniach stanęli podróżnicy w cieśninie Matoschkin-Schar, rozciągającéj się od zachodu na wschód i dzielącéj Nową-Zemlią na dwie części. Morze było zupełnie wolne, wiatr bowiem północny zapędził massy lodów w morze białe; ląd zwiedził P. Baer z kilku swymi towarzyszami w rozmaitych kierunkach pieszo, ważne pod względem historyi naturalnéj czyniąc spostrzeżenia. Życzeniem jego było udać się ztąd na wschód, lecz zamysłu tego, massy lodu, tutaj zebrane, do skutku przywieśdź nie dozwoliły. 4go Sierpnia wciągnięto kotwice: mocny wiatr północny pędził statki na południe, tak, iż musiano kilka dni pozostać w odnodze morza, niemającéj dotąd żadnéj nazwy; ztąd dostali się podróżnicy do cieśniny

Kostin-Schar, daléj do odnogi, *nieświatowéj* noszącéj imię; 31. Sierpnia opuścili nakoniec Nową-Zemlią i trzymając się południowych brzegów Laponii, wpłynęli dnia dziesiątego żeglugi do Archangelu.

Ważne są spostrzeżenia P. Baer pod względem fizyki i historyi naturalnéj podczas téj jego wyprawy. Przy ujściu Dźwiny znalazł P. Baer piękne łąki i liczne drzewa znacznéj wysokości; na wschodniéj stronie morza białego pod 65° 20′ północnéj szerokości zebrał wiele roślin kwitnących, gdy w częściach lądu, na północny wiatr wystawionych, oprócz mchów i trochy rozchodniku, nic niewidział. Pod 66° 10′ półn. szer. znalazł P. Baer niezliczone mnóstwo muszli rozmaitego kształtu i wielkości; brzegi morza, na 100 stóp nad powierzchnią wody wzniesione, pokryte były trawą zieloną, podczas, gdy szczeliny skał zmarzłe napełniały śniegi. Z pagorków nad morzem widać naokoło, w wszystkich kierunkach, równiny okryte mchem i karłowatemi krzaki. Finnowie zowią równiny te Tuntur lub Tundra. Gór, o których nam dawniejsi geografowie na wschodniéj części Laponii wspominali, nieznalazł P. Baer wcale: w części zachodniéj spostrzegł tylko ciągnące się pasmo pagórków, do skandynawskich gór należących. Rzeki główne biorą tu swój początek z rozległych błót; bieg ich wolny, brzegi skaliste. Zwierząt ssących bardzo mało; ptastwa, oprócz niektórych gatunków wodnego, niewiele; ryb za to mnóstwo, mianowicie w wiośnie; rzeki wszystkie dostarczają mieszkańcom ryb wybornych, które za rum, mąkę, herbatę i inne przedmioty w zamian dają.

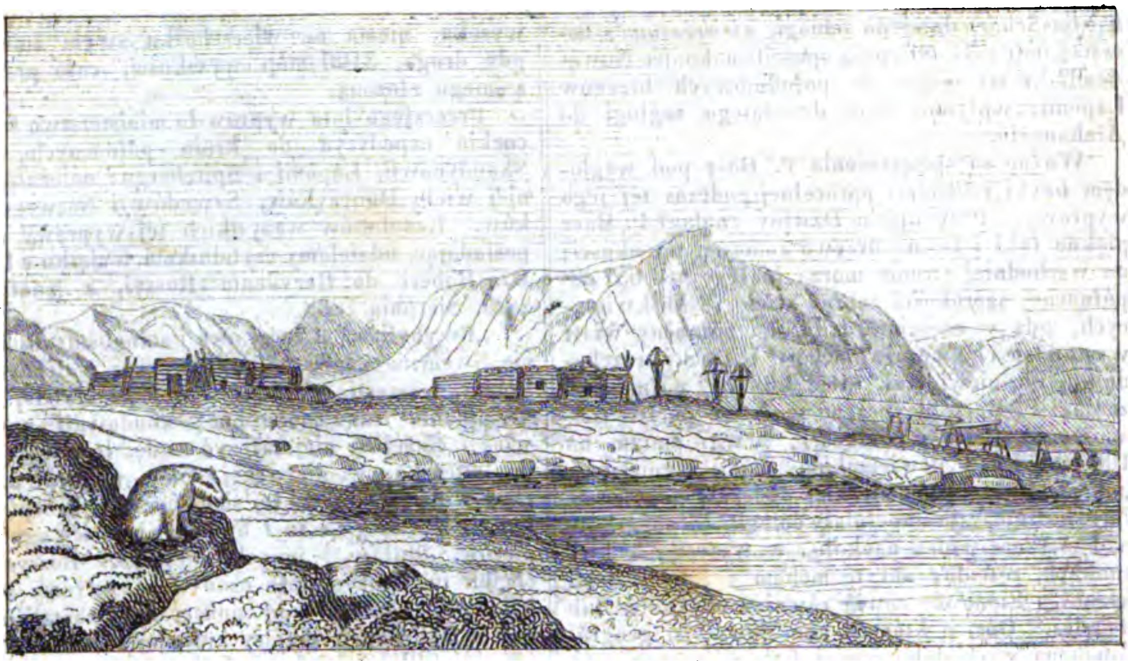
Nowa-Zemlia smutny przedstawia widok; jest to kraj skalisty, z zachodu otoczony pasmem pagórków, tu i owdzie pod wodą ukrytych. Wegetacya bardzo nędzna, gdzieniegdzie znajdziesz tylko mchy i porosty. Najzwyczajniejszém drzewem tutaj jest wierzba: niewyrasta ona wyżéj jak dwa cale, w grubości pióra, nad mech okrywający ziemię. Oddaliwszy mech, zobaczysz pod nim ciągnący się korzeń, połączony z wielu podobnemi wyrostkami. Dwa inne gatunki wierzby, rosną w południowéj części kraju; jeden (Salix reticulata), dochodzący 4 do 5 cali wysokości; drugi (S. Canata) za najwyższe uważany drzewo, od 6 do 8 cali wzniosły. Z królestwa zwierząt mieszkają tutaj tylko szczury grenlandzkie w znacznéj ilości i lisy, wytępiające ptastwo zlatujące się w wiośnie. Z ryb znajdują się w rzekach łososie, na brzegach morza okazują się wieloryby.

W poszukiwaniach linii śnieżnéj, poznał P. Baer, że w końcu Lipca w płaszczyznach śniegi topnieją; w miejscach zaś górzystych, lub w dolinach, wiatrami w kupy zgromadzone, cały rok zostają. Nad brzegami ciaśniny Kostin-Schar, znajdują się całe góry z niego usypane; przy Matoschkin-Schar stoją naprzeciw siebie dwie znacznéj wysokości góry; jedna, 3400 stóp wysoka, niema na wierzchołku swym śniegu; gdy druga, 3100 stóp wysokości, cała prawie z śniegu złożona.

Przeszłego lata wyprawiło ministerstwo francuzkie expedycyą do krain północnych, do Skandynawii, Laponii i Spitzbergu; należało do niéj wielu Duńczyków, Szwedów i Norwegczyków. Rezultatów wszystkich téj wyprawy nieposiadając, udzielamy czytelnikom wyjątku z listu Dr. Robert do Rezydenta Rossyi, z Kaafjord z 29. Sierpnia 1838.

„Przybyliśmy 15go Lipca i stanęliśmy w porcie Swearingburgh, odkrytym przez Holendrów, którzy wznieśli tu szopy i inne budowle, do wytapiania tranu potrzebne; zbudowali nawet wieś i chcieli w niéj założyć osadę, lecz wszyscy jéj mieszkańcy pierwszéj zimy nieprzetrwali. Dziś widzisz szczątki téj siedziby; na skrzepłych łodach spostrzegasz tu i ówdzie ślady ich ognisk, pieców, kotłów i innych narzędzi. Rossyanie chcieli tu założyć stałe osady, lecz gdyśmy wylądowali, okolicę całą opuszczoną zastaliśmy; nawet Hollendrzy, mający zwyczaj zostawać dłużéj dni kilka w tych strefach od naszych ziomków, już byli odpłynęli. Dziwno nam było, iż ludzie ci, przyzwyczajeni do zimna i oswojeni z niebezpieczeństwami klimatu, powracali już w epoce, kiedy cieplej było, termometr bowiem okazywał 45°.

Ponieważ port Swearingburgh zdawał nam się bardzo wystawionym na wiatry północno-zachodnie, bardzo zimne w téj szerokości; postanowiliśmy więc, dopóki morze było żeglowne, posuwać się brzegiem wyspy ku północno-wschodniéj stronie, chcąc wynaleść schronienie bardziéj osłonione. Radość nas przejęła, gdyśmy takowe o 2 mile od pierwszego miejsca napotkali. Rozpoznawszy położenie, zarzucano kotwicę o 50 sążni na dno kamieniste; grunt był skalisty; nieprzerwane pasmo gór, przepaści i skał, zaległo tę krainę, zdającą się na pierwszy rzut oka każdego przerażać. Kupy lodów i śniegu przedstawiają się oku w tysiącu najrozmaitszych i najdziwniejszych kształtów, jaśniejących rażącym blaskiem, przy żywych promieniach słońca, podczas jasnéj pogody. Raz wydają się nakształt zwierciadeł, odbijających purpurowe promienie zachodzącego słońca, to znów przybierają barwę niebieską, a niekiedy zdobiąc się w różne kolory tęczy, przechodzą blaskiem najkosztowniejsze kamienie; inną zaś razą, rozlewają na atmosferę światło, przewyższające ognie brylantowych dolin, w tysiącu noc arabskich opisanych. Poziom lądu wznosił się stopniowo aż do podnóża góry; gdzie spostrzegliśmy kilka małych strumieni, spadających w doliny. Z trzech stron osłaniały odnogę wyniosłe brzegi: tutaj, pod 78° szerokości północnéj, postanowiono przepędzić zimę. Wszędzie panowała głęboka cisza. Wysłani ludzie na zwiady, znaleźli okręt na brzegu, zupełnie lodem pokryty; cokolwiek daléj czołno, zamienione w bryłę



Spitzberg.

lodu i kilka naczyń drewnianych podobnych; nareszcie spotkali mieszkanie Rossyan z drzewa, na wzór wieśniaczych chałup w Norwegii. Ci, co wybudowali te chaty, posnęli snem wiecznym: ciała ich spoczywały pod massami lodu; ostatni z tych ludzi leżał w chacie zlodowaciały. Później dowiedzieliśmy się, iż zmarzło tu 28 majtków rossyjskich, ponieważ niemogli byli mieszkania swego przeciw nagłym mrozom zabezpieczyć. Mieliśmy zamiar mieszkania te od lodów uwolnić i dla nas je urządzić, lecz niezgodzili się na to wszyscy; postanowiono więc, nowe schronienia na źimę wybudować; rozbito więc namioty w miejscu, gdzie pomarzli Rossyanie trzy krzyże byli wznieśli. Pomocnik kapitana miał ciągle mieszkać na statku z dostateczną liczbą ludzi, potrzebnych do pracy, podczas burzy; ostrożność ta była nieodbicie potrzebna, pomimo to, żeśmy rzucili 3 kotwice, na głębokości ledwie 12 sążni wynoszącéj, i w miejscu oddaloném od brzegu na dwa pociski kamienia.

Schronienia nasze na źimę umyśliliśmy urządzić na wzór Kamczadanów. Zaczęto kopać dół na 60 stóp długi, 20 szeroki, w głębokości 50 stóp dochodzący. Na sześć cali znaleźliśmy ziemię zupełnie zmarzłą. Kopiąc, napotkaliśmy rozmaite pokłady, do osadów wód stojących nader zbliżone. Ziemia roślinna, czyli zwierzchnia warstwa gruntu, znajdująca się tu w bardzo małéj massie, składa się z małéj ilości szczątków roślinnych i pomiotów ptasich. Drugi pokład kształciły żwiry i kamyki, ruchem wód zaokrąglone; te spoczywały na warście gliny, która nie czem innném jest, jak tylko osadem w wodach utworzonym. Daléj znajdował się łupek gliniany, leżący na kamieniu wapiennym, na którym robotę naszą wstrzymaliśmy. Z wykopanéj ziemi usypano foremny i prawie okrągły pagórek, dla osłony od wiatrów i deszczów; za najwyższą zaś ścianą naszego mieszkania, t. j. od morza, kilkaśmy wykopali rowów szerokich, z obawy zalewów; albowiem najmniejsza zmiana powietrza, mogła stopić wielkie massy śniegów, nad nami leżące. W mieszkaniu naszém podziemném, którego dach tylko nad ziemię wystawał, niemieliśmy okien, oświecaliśmy je lampami, ciepło i światło razem dającemi.

Uskuteczniwszy z największą trudnością prace na lądzie, zebrano wszystko, co można było, z okrętu. Podnoszenie się morza, zaledwie stopy dochodzące, niewiele nam pomogło w przybliżeniu okrętu do lądu; musiano użyć haków. Lecz gdy skupiające się lody w odnodze grozić mu zaczęły, musieliśmy podnieść kotwicę i wciągnąć okręt pomiędzy dwie ogromne bryły lodu, pewny rodzaj wału tworzące. Lody te bardzo grube, dna dotykały, którego wkrótce się ujęły; a następnie zostawszy odwilżą stopione, działaniem mrozu jedną stały się bryłą. Tak więc obawa utraty naszego okrętu, zupełnie ustała.

Zabezpieczywszy wszystko, zajęliśmy się poznaniem wnętrza kraju: było to przedsięwzięcie trudne i niebezpieczne, z powodu głuchéj i nieprzebytéj pustyni, gdzie wszędzie massy odwiecznych lodów i śniegów; powietrze nawet rzadko tu bez lodu. Skały szczególniejszy przedstawiają widok: przed nadejściem burzy, ogniem płonąć się zdają, co pochodzi od blasku promieni



Okręt w przystani.

słonecznych, z połyskiem śniegu połączonych. Wierzchołki gór, zawsze prawie obłoki zakrywają, tak, iż szczytów ich dojrzeć nie możesz. Niektóre skały zdają się być z jednego kamienia, stercząc jakby szczątki gmachów zniszczonych; inne składają się z kilku brył ogromnych, a powierzchnia ich przedstawia mieszaninę różnobarwną, na pierwszy rzut oka do marmuru podobną. Na stronach skał, ku południu zwróconych, rosną trawy, mchy i inne zioła, téj strefie właściwe; gdy tymczasem na pochyłościach, na wschód i północ wystawionych, dla ciągłych zimnych wiatrów, życie roślinne rozwinąć się niemoże. Do połowy Maja cała okolica jest jeszcze lodem pokryta, w środku lipca rośliny już kwitną. Ziemia winna swą żyzność gnojom ptaków, gnieżdżących się w tych miejscach. Zasiałem kilka gatunków zboża, lecz żadne nie zeszło, prócz drobnéj trawki sałatnéj, kilka tylko listków wypuszczającéj.

Na wyprawach naszych zabraliśmy znajomość z Lapończykami. Litowaliśmy się nad ich biednem życiem, lecz nie zgodzę się nigdy na te relacye podróżników, którzy nam ich wystawiali jako niczem innem, jak tylko postacią, różniących się od zwierząt. Pomiędzy Nomadami, w bliskości Tornei, napotkaliśmy wielu uprzejmych i gotowych do przysługi bliźniemu; mianowicie kobiety okazywały się gościnnemi i starannemi o swe dzieci, które, poobwijane troskliwie w skóry renów i inne futra, do piersi przywiązane nosiły. Podeszłe w wieku niewiasty lubią tytuń i trunki mocne, dzieci pożerają z chciwością tłuszcz i wszystko, co tylko im podasz. Jutro mamy zamiar poznać Laponią bliżéj, albowiem, podług udzielonych nam instrukcyj, o wszystkiém dokładną mamy zdać sprawę, i tak daleko się udać na północ, jak tylko będzie można.“.

Tomasz Morus.

(Dokończenie.)

W krótkich chwilach odetchnienia po licznych i mozolnych zatrudnieniach urzędu kanclerskiego, oddawał się Morus naukom, mianowicie zaś, tak zwyczajnéj owym wiekom polemice religijnéj. Jego walki z różnowiercami, jednały mu miłość duchowieństwa, ale niepodobały się królowi, który poważniwszy się z Papieżem, zaczął umysł swój skłaniać ku reformacyi. Niechęć ta króla rosła, a Morus chcąc uniknąć całego wybuchu gniewu monarchy, który bez braku przyjaciół swoich, kochanki i nieprzyjaciół na rusztowanie posełał, złożył pieczęć wielką. Tymczasem król ożenił się z Anną Boleyn i ogłosił się głową kościoła angielskiego. Do ludzi, którzy tych kroków Henryka VIII. niepochwalali, należał Morus. Henryk szukał przeto wszelkich pozorów występku w życiu wielkiego męża, aby go zgubić. Najczarniejsze potwarze, najbłachsze zarzuty były mu czynione; sędziowie uznali atoli niewinność jego. Zguba atoli jego, na chwilę tylko odwleczoną została; gdy bowiem wzbraniał się złożyć przysięgi królowi, jako głowie kościoła, skazany został na wieczne więzienie i natychmiast przeprowadzony do Tower. Tu używano wszelkich sposobów, aby go nakłonić do przysięgi; a gdy stałość jego niczem pokonaną być nie mogła, odjęto mu wszelkie dozwolone dotąd w więzieniu wygody i pociechy, i zaczęto się z nim obchodzić jak najsurowiéj; nareszcie skazano go na śmierć. Treść wyroku

była następująca: „Morus przez całe miasto Londyn aż do Tyburn ciągniony będzie na taczkach; przybywszy na miejsce exekucyi, powieszony zostanie aż do pół śmierci, poczem za życia ma być ćwiertowany, a po wydarciu szlachetnych części i spaleniu wnętrzności, ćwierci ciała jego będą wystawione na czterech bramach starego miasta, głowa zaś na moście londyńskim.“ Henryk złagodził karę, zmieniając ją na ścięcie głowy. „Niech Bóg uchowa mych przyjaciół od litości króla,“ rzekł Morus, „a wszystkich mych potomków od jego przebaczenia.“

Gdy dzień exekucyi nadszedł, oddany został o godzinie 9 szeryfowi przez dozórcę zamku Tower i udał się na miejsce kary. Broda mu długa wyrosła, twarz jego była blada i wychudła; trzymał w ręku krzyż czerwony i często wznosił oczy ku niebu. Jedna poczciwa niewiasta podawała mu szklankę wina, lecz jéj nie przyjął, mówiąc, iż Chrystus nie pił przed skonaniem wina, lecz żółć z octem. Dwie niecne białogłowy, jak domyślano się, podmówione, aby zniszczyć wrażenie szlachetnéj jego śmierci, zatrzymały go w pochodzie. Jedna domagała się zwrotu pewnych książek, które mu dała do schowania, gdy był lordem-kanclerzem; druga użalała się na wyrok niesprawiedliwy, niegdyś przezeń wydany. Pierwszéj, łagodnie odpowiedział, iż król uwolnił go od wszelkich kłopotów o książki, papiery i inne rzeczy tego rodzaju; drugiéj, iż przypomina sobie jéj sprawę, i gdyby przyszło mu znowu ją sądzić, swego wyroku nie zmieniłby. Potrzeci raz go zatrzymał, lecz bez żadnego złego zamiaru, pewien człowiek z Winchester, którego niegdyś Morus odwiódł od rozpaczy. Teraz zaś przybywszy do Londynu, zaszedł mu drogę i prosił go, aby w swych modłach nie zapomniał o nim, powiadając, iż znowu go rozpacz ogarnęła. „Idź“, rzekł Morus, „i proś za mnie; ja się za ciebie będę modlił z całego serca.“

Przyszedłszy przed rusztowanie, które tak słabo było złożone, iż się chwiało, rzekł Morus do dozorcy więzienia: „proszę cię, staraj się; abym mógł wejśdź bezpiecznie, zejdę zaś jak mi się uda.“ Kiedy począł mówić do ludu, szeryf mu przerwał; przestał więc na tem, iż prosił tylko, aby zgromadzeni modlili się za niego i wszyscy byli świadkami, iż umiera jako wierny sługa Boga i króla. Potém uklęknąwszy, z wielkiém zebraniem ducha odmówił psalm: *miserere*. Oprawca prosił go o przebaczenie, Morus go uściskał i rzekł: „Ty mi wyświadczysz przysługę, jakiéjbym od nikogo nie mógł odebrać: miałżebym brać za złe, iż wykonywasz swą powinność? Szyja moja krótka, strzeż się, abyś nietrafnie nie uderzył, i honor swój utrzymaj.“ Oprawca chciał mu oczy zawiązać. „Sam to zrobię“, powiedział, i nakrył się chustką, którą na to z sobą przyniósł. W ówczas położył swą głowę na pniu, rozkazując oprawcy zaczekać, aż uchyli swą brodę, która nigdy się zbrodni nie dopuściła. Te były ostatnie jego słowa. Oprawca za jednym ciosem odciął głowę od tułowu. Tak skończył życie jeden z najcnotliwszych i najuczeńszych ludzi swego wieku.

Karól Wyrwicz.

Czytelnikom pisma naszego znane już są z poprzednich numerów sławne obiady czwartkowe Stanisława Augusta. Rycina niniejsza wyobraża jednego z uczestników tych uczonych uczt: jestto xiądz Karól Wyrwicz. Urodził on się roku 1717 w księstwie żmudzkiem. Pierwsze nauk początki odebrał w szkołach jezuickich, a wstąpiwszy w 17. roku życia do tego zgromadzenia i zbogaciwszy umysł swój rozmaitemi naukami i wiadomościami, odbywał późniéj w różnych kollegiach jezuickich obowiązki professora publicznego. Chęć zwiedzenia obcych krajów, skłoniła go, po kilkuletniéj mozolnéj pracy w szkołach publicznych, do przyjęcia mozolniejszych jeszcze, a daleko niewdzięczniejszych obowiązków nauczyciela prywatnego przy młodym Józefie Hilzenie, późniéj wojewodzie mścisławskim, z którym podróż do Francyi, Niemczech, Belgii i Włoch odprawił. Byłoto w czasie, w którym nieśmiertelnéj pamięci Konarski wielką a tak zbawienną dla kraju reformę w szkołach pijarskich zaprowadził. Tym krokiem rywalizującego z sobą zgromadzenia pobudzeni Jezuici, raczyli także myśleć o reformie szkół swoich, ale zbywało im na zdatnych, z nowszym trybem szkólnym za granicą obznajmionych nauczycielach. Polecili tedy Wyrwiczowi, aby celniejsze zakłady naukowe za granicą zwiedził, urządzenie ich pilnie roztrząsnął, i metody i sposoby wykładania w nich nauk poznał, a to dla stawienia w tym względzie w Polsce czoła Pijarom. Wyrwicz wypełnił najściśléj polecenie swoich przełożonych, którzy go za powrotem do kraju wynieśli na urząd rektora jezuickiego *collegium nobilium* w Warszawie. Wyrwicz rządząc tym domem, oswobodził go swoją dobrą ekonomiką z długów, które do kilkudziesiąt tysięcy złotych wynosiły, zaprowadził nowy, prawdziwie użyteczny plan wychowania i zaopatrzył instytut w zdatnych nauczycieli, których po części sam dopiero musiał kształcić, po części téż szukać w rozpierzchnionych po całéj Litwie i koronie kollegiach. Jego niezmordowanem staraniem zakwitły konwikt jezuicki warszawski, nie mógł wkrótce objąć liczby młodzieży, która się do niego ze wszystkich stron Polski chciwie cisnęła; zaczął tedy myśleć o rozprzestrzenienin go, do czego i Stanisław August rękę swą podawał, gdy bulla papiezka zakon Jezuitów zniosła. Po zniesieniu Jezuitów w Polsce, szkoły ich lat jeszcze kilka utrzymano. Wyrwicz zostawał rządzcą swojéj aż do roku 1776. Dawszy poprzednio dowody liczne głębokiéj

nauki swojéj, zyskał powszechny szacunek, a król nagradzając jego zasługi w nauczycielskim i literackim zawodzie, kazał wybić dla niego medal, wyobrażający po jednéj stronie popiersie jego z napisem: *Carolus Wyrwicz, rector collegii nobilium Varsaviensis societatis Jesu*; po drugiéj: *Juventutis institutione scriptisque de Patria et literis bene merenti Stanislaus Augustus Rex MDCCLXXII.* (Wychowaniem młodzieży i pismami wielce w ojczyznie zasłużonemu, Stanisław August król (1772). Prócz tego opatrzył go Stanisław August chlebem duchownym, zrobiwszy go opatem hebdowskim. Nieszczęścia krajowe, własne straty i nareszcie wiek już dosyć podeszły, sprowadziły śmierć jego roku 1793 w 76. roku życia.

Wyrwicz był jednym z najuczeńszych ludzi za panowania Stanisława Augusta; w pracy zaś i pilności mało sobie miał równych. Wydał w języku francuzkim, w którym był bardzo biegłym, (przymiot naówczas niezmiernie potrzebny dla rządcy *Collegium nobilium*) krótki rys historyi powszechnéj, pod tytułem: *Abregé de l'histoire universelle*, 2 tomy; w polskim: *Jeografia czasów teraźniejszych*, tom I. (Tom II. mający zawierać obszerny opis Polski, nigdy z druku nie wyszedł, dla tego, jak mówią, że się nie podobał posłowi pewnego zagranicznego mocarstwa); *Jeografią powszechną; Historya Ludu Bożego*, i wiele innych prac zostawił, częścią drukowanych, częścią téż w rękopismach.

Stanisław August lubił niezmiernie Wyrwicza i w początkach swego panowania wysłał go do Wiednia, w zamiarze negocyowania sekretnie o małżeństwo z arcyksiężniczką domu austryackiego. Najpierwsze w kraju osoby zaszczycały go swoją przyjaźnią; jemu wszakże najmilszym był dom Hilzenowéj, wojewodziny mińskiéj, i jéj familii, gdzie po pracach miłe znajdował wytchnienie. Mógł wysokiego dostąpić znaczenia, albowiem po śmierci kanclerza Młodziejowskiego, Stanisław August chciał go wynieść na podkanclerstwo, ale nigdy się za dostojeństwami nie ubiegał. Więcéj pociągu dlań miały pieniądze, które atoli godziwym sposobem i dobrą, można mówić, zbyt ścisłą ekonomiką, zbierał i na banku Tepera i innych składał, a straciwszy je z bankructwem tych banków, cios ten dotkliwie uczuł. Pamiętną jest odpowiedź, którą dał żalącemu się nad swojem ztąd nieszczęściem Wyrwiczowi X. Łuskina, dawny jego kollega i przyjaciel, znajomy czytelnikom redaktor niegdyś jednéj z gazet warszawskich, który podobnéj podpadł stracie: „Mój miły bracie", — rzecze mu, — „nie my, lecz nasi niech się o to troszczą sukcessorowie." Ale nie same tylko pieniądze zbierał Wyrwicz, zgromadził on także bardzo znaczny zbiór wybornych książek, które na kilka lat przed śmiercią sprzedał jenerałowi Ignacemu Działyńskiemu.

W obcowaniu z ludźmi był Wyrwicz prosty i otwarty: miał nawet pewną szorstkość, która jednak bynajmniéj od niego nie odrażała, bo człowiek całe życie w księgach zatopiony, nie mógł nabyć salonowéj grzeczności, którą się szczycą ludzie tak nazwanego wielkiego świata. Dowcip miał niepospolity, czego częste dawał dowody na uczonych obiadach u Stanisława Augusta, gdzie nieraz zaczepiany od Naruszewicza i innych, odcinał się żywo i za *wyrwicza* odpłacał *naruszewiczowną*. W podeszłym wieku stał się małomownym, a po dolegliwéj dla siebie stracie majątku, posępnym. Pamięć niezmiernie szczęśliwą zachował do saméj śmierci. Za jéj pomocą i przy bardzo zdrowym rozsądku, posiadał nadzwyczaj wiele wiadomości i mógł być nazywanym encyklopedyą chodzącą, ale encyklopedyą porządnie i gruntownie ułożoną. Dobrego smaku w literaturze nie miał wiele, a wymowa kościelna była mu obcym zupełnie przymiotem, jakto okazuje kilka mów pogrzebowych, po nim pozostałych.

Wyjątek z wiersza do muzyki,

napisany w imionniku P. Maryi Szymanowskiéj w roku 1827.

Witaj darze! którego czarująca władza,
Czuciom użycza mocy, a myśli niezdradza.
Ledwie się słyszeć dadzą twe uroczne brzmienia,
Cisną się niewystępne łzy, radość, westchnienia.
Milczenie jest twym hołdem. — Godłem wieniec sławy,
Ozwiesz się, drzę i słucham, lecz drzę nie z obawy.
Milczysz, — a ja dumając nad mym stanem jeszcze,
Urokiem znikłych dźwięków zmysły moje pieszczę,
Unoś — rozrzewniaj — łagodź — a mocą włady
Podbij świat — panuj czasom — i pocieszaj ludy!

K. K.

Wiersz do autora ziemiaństwa,

napisany na morzu, wśród burzy, w chwili czytania jego dzieła.

Wpośród szumu bałwanów, na morskiéj głębinie,
Wznosimy twoje zdrowie, wieszczu ziemianinie,
Coś uczcił taką pieśnią wśi obywateli,
Jakiéj królowie nie mieli.
Coś tyle kwiatów wywiódł z polskiéj roli łona,
Ile w pięknéj Auzonii boski flet Marona;
Kiedyż uwitym wieńcem, wśród ojczystéj niwy,
Ozdobiem twój włos sędziwy?
W milczeniu wznieśmy zdrowie — bo ziemia nie bliska;
Bo zginiem — już Ocean z zazdrości się ciska,
Że on starszy od ziemi, a jemu się jeszcze
Takie niezrodziły wieszcze.



X. Karól Wyrwicz.

Wyjątek

z poematu niewydanego: Stefan Czarniecki.

Inwokacya z pieśni Iszéj.

. . . .

. . . .

Ty, któryś wybranego pomiędzy proroki
Eliasza, w ognistym wozie wzniósł w obłoki,
Panie wieczny! spuść na mnie promień ognia z nieba.
By śpiewać twoje cuda, nowych cudów trzeba.
Niech mnie twa ręka wesprze — i pieśni ośmieli,
Zawrze ogniem pierś wieszcza, choć śron skronie bieli.
I Ty trzecia osobo! trójczéj tajemnicy,
Która postać przybrałaś śnieżnéj gołębicy,
Duchu najświętszy! spuść się z niebieskich obłoków,
Otwórz przedemną xięgę odwiecznych wyroków,
Wiem z dziejów świata, jakie padły na nas ciosy,
Gdy gnębionéj ludzkości głos przebił niebiosy,
I na zagładę naszą, już szale przemagał,
Wiem, kto bóstwo rozgniewał — objaw — kto przebłagał.
O Ty, któréj przy Ojca przedwiecznego tronie
Xiężyc u stóp przyświeca, gwiazdy wieńczą skronie,
Królowo niebios! ziemi najczystsza dziewico!
Co cię Bóg syn zna matką, Duch oblubienicą;
Ach! twoja to wszechwładna zjednała przyczyna,
Bo czegóż prośby matki, nie sprawią u syna;
Niech więc naprzód twa chwała zabrzmi w moim rymie
Niech ołtarze, świątynie, sławią Twoje imie,
Aż po ten dzień ostatni, gdy trąba anioła,
Przed sąd straszny, ciemiężców ludzkości powoła.

K. K.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (*Red. J. Łukaszewicz.*)

Przyjaciel Ludu.

Rok szósty. **No. 5.** **Leszno,** *dnia* 3. *Sierpnia* 1839.



Józef Peszka.

Do najcelniejszych współczesnych nam malarzy polskich, należał niezaprzeczenie Józef Peszka. Zebrawszy więc wiadomości dotyczące życia i prac tego męża, dla zachowania od zagłady, pospieszamy z udzieleniem ich w niniejszém piśmie lubownikom pamiątek ojczystéj szkoły malarstwa. Józef Peszka urodził się w Krakowie 19. Lutego 1767 r. z Piotra i Sabiny Peszków, mieszczan krakowskich. Okazując od dzieciństwa talent do rysunków, przez rodziców oddany był ze szkół do Dominika Estreichera, malarza i nauczyciela publicznego rysunków w Krakowie. Nieuszedł oka Hugona Kołłątaja talent młodego Peszki. Zachęcony przez niego, udał się wcześnie do Warszawy, i tam przez lat kilka pod okiem Franciszka Szmuglewicza pracował, i wkrótce do tak wysokiego stopnia w sztuce malarskiéj postąpił, iż już w czasie czteroletniego sejmu, malowaniem potretów wziętość sobie zjednać zdołał. Kiedy Szmuglewicz na professora malarstwa przy uniwersytecie wileńskim powołanym został, nieodstępny jego towarzysz, Peszka, porzucił Warszawę, i razem z swym nauczycielem do Wilna

się udał. Ztąd robił Peszka wycieczki do Petersburga, Witepska, Mochilewa, Mińska, i bawił w wielu domach zamożnych gubernij litewskich i rossyjskich, bo jego talent i słodki charakter, wszędzie mu przystęp jednały. W roku 1807 za namową brata swego, rektora Missyonarzy w Moskwie, zjechał do téj stolicy, gdzie lat cztery przepędził. W epoce téj Józef Peszka nie samemi tylko trudnił się portretami; zostawił i obrazy historyczne własnéj kompozycyi. W Petersburgu, dokąd z Szmuglewiczem był wezwany, w pałacu cesarza Pawła znajdują się prace ręki jego. W roku 1809, okazawszy dzieła swego pomysłu, uzyskał od Uniwersytetu wileńskiego stopień magistra sztuk pięknych. Pamiętna wyprawa wojenna w r. 1812, zniewoliła Peszkę do opuszczenia Moskwy, i w roku 1813, po trzydziestu latach nieobecności, powrócił do rodzinnego miasta Krakowa, gdzie mile przyjęty, w roku 1817 przez kommissarzy pełnomocnych do organizowania miasta Krakowa i jego okręgu, przez trzy najjaśniejsze dwory delegowanych, professorem publicznym malarstwa i rysunków przy uniwersytecie Jagiellońskim mianowany został. Na téj posadzie Peszka oddany ciągłéj pracy i dla uczniów swych wylany, zostawał aż do dn. 4. Września 1831 r., w którym w 64. roku wieku swego życie na cholerę zakończył. Pozostawił wdowę i jedyną córkę. Śmierć Peszki pogrążyła w nieutulonym żalu uczniów i przyjaciół, bo dla pierwszych był prawdziwym ojcem, drugich szlachetne jego przymioty przyjaźń mu stałą jednały. Wszystkie chwile wolne od pracy, poświęcał Peszka własnemu kształceniu się czytaniem historycznych książek, a mianowicie dziejów ojczystych dotyczących. Dla tego nieobce mu były i dawne kroniki polskich pisarzy. To zamiłowanie w rzeczach ojczystych, było źródłem wielu prac jego, które po sobie zostawił. Oprócz bowiem portretów, obrazów familijnych, religijnych i widoków aquarellą z natury w Polsce i Rossyi robionych, zostawił Peszka kilkanaście dużych obrazów, wystawiających zdarzenia polskie, jako to: zwycięztwo Sobieskiego pod Wiedniem, przyjęcie królowéj Jadwigi przez posłów na granicy węgierskiéj, Małgorzata Zębocińska, zdrada Zbigniewa, Władysław Jagiełło i posłowie krzyżaccy, Stefan Czarniecki, oblężony w Krakowie i t. p., jak niemniéj sześćdziesiąt kilka z dziejów polskich pomysłów, wykończonych tuszem na papierze, i zbiór strojów i uzbrojeń dawnych Słowian i Polaków, zebranych z starożytnych pomników, lub z opisów dawnych pisarzy, przez Peszkę w szkicach rzuconych. Ostatnie dwa zbiory świeżo nabyte zostały przez znanego miłośnika sztuk pięknych, W. Gwalberta Pawlikowskiego. Niektóre obrazy olejne są jeszcze do nabycia w Krakowie. Wizerunek Józefa Peszki zdjęty jest z obrazu familijnego, przez niego samego malowanego. *W. K.*

Bołdy *)
na Sokolowém w Polanicy.

Przedgórza Karpatów stryjskich wybiegają nierzadko w mury ogromnych jednostajnych skał, które najczęściéj od gór podnóża wysoko nad ich wierzchołki się wznoszą. Zdobią one osobliwszym sposobem wybrzeża Stryju, Oporu i Brieżki, i są jakby wystawy i godła, wywieszone od przyrody, dla uprzedzenia przechodnia, w jakie królestwo wstępuje. Przechodząc przed kilką laty z Sinowódzka do Urycza, ujrzałem za Kruszelnicą rzędy ogromnych zabudowań, którym dla spóźnionéj dnia pory dokładnie przypatrzyć się niemógłem. Poznawałem z daleka korynckie słupy z ich nagłówkami, wysokie piętra i krużganki ubielone księżyca promieńmi i gęsto łamiącym się cieniem przecięte. Śledziłem w różnych kierunkach ciągnące się ulice; niemałym tylko było mi dziwem, że ani w oknach światła upatrzyć, ani z ulic wrzawy, ba i najmniejszego gwaru dosłyszeć niemógłem. Wyobraźnia moja przylgnęła mocno ku temu, jakby zaklętemu miastu, do którego w spiesznym moim pochodzie zboczyć, było mi rzeczą niepodobną. Wracając dopiero z Urycza przez Podhorodzie, miałem czas i sposobność przypatrzyć się z bliska i po dniu białym téj okolicy, a w miejsce gmachów i słupów korynckich, ujrzałem pasma skał nagich, ciągnące się z zachodu ku wschodowi, jakby kołowaniem ziemi wyrzucone, rozmaitéj postaci i składu, najczęściéj wydrążone i kończące się w wysokie ostrosłupy, nad któremi się mnóstwo orłów kołysało. Pojedyncze takowe skały napotykałem po lasach w całéj mojéj wędrówce ku Beskidowi, najwięcéj zaś i najosobliwsze w okolicach Skolego. Położenie ich zwyczajne ku pochyłości gór, wyjaśnia ich początek. Sąto pospolicie jądra gór, którym spłukiwana z wierzchu ziemia w okropną wielkość rość dozwoliła, a przyrodzona miękkość kamienia oddała burzy i piorunowi rząd ich postaci. Pełno w nich bądź przypadkowych, bądź umyślnych, z niemałą pracą dokonanych wydrążeń, a te ostatnie zasługują na szczególniejszą uwagę. — Lud w różnych stronach nazywa różnie takowe skały. Berdy, bołdy, chełmy, niekiedy uszczołby, są to słyszane dotąd miejscowe ich miana. Najznakomitsze z tych, które oglądałem, tak przez swój skład osobliwszy, jako i znajdujące się w nich wydrążenia są te, których szczegółowemu opisowi tych parę stronnic święcę, zatrzymując w ich opisie właściwą, w ustach okolicznego ludu żyjącą ich nazwę: Bołdy.

Na obszernéj dolinie, ciągnącéj się od Karpatów ku Bolechowu, którą jedna z piękniejszych rzek górskich, Brieżka, przerzyna, leży

*) Bołd, znaczy massę skał; podobnie jak boldur oznacza w powiatowszczyźnie skupioną chmur massę.

wieś Polanica. Grunta jéj w górzystéj stronie północnéj, zwane sokołowe, stykają się z gruntami Bubniska i Truchanowa. Ta część najeżona jest mnóstwem bołdów, z których wyższe w dniu pogodnym o mil parę z równiny bolechowskiéj, lub okolic truchanowskich, ujrzeć można. Zbliżając się ku nim od strony południowéj przez wysoką połomicę, borem okrytą, wychodzi się na niewielką polanę. Na raz odsłania się tu przed okiem okrągły góry wierzchołek, w koło wiekowemi bukami obrosły, mieniący się barwami gęstolistéj swéj szaty, którą wiatr z szelestem w rozmaite fałdy układa, a w ich środku, jakby jedno olbrzymie buczysko, w przedpotopowéj przyrodzie wybujałe, liści i konarów pozbawione, i płową mchu szatą okulane, wznosi jeden z najwyższych bołdów spokojnie surowe swoje oblicze. O kilkaset kroków odkrywa się cała ich gromada, tak jak ją załączona rycina, na miejscu przez naszego ziomka rysowana, przedstawia.

Skład ich ogólny ma postać warowni, przeciw zniszczeniom czasu umocnionéj, najeżonéj gęstemi wieżami i w olbrzymich rozmiarach. Dwie ściany skał, szczelnie się z sobą wiążących, 50. do 60. kroków długich, zamykają kąt prosty; mocny nasyp, czyli wał, od południa i wschodu, równolegle do ścian usypany, w którym ostatki muru widzieć się dają, oraz otaczająca je fosła, tworzy z powyższemi skałami nieforemny czworobok. W równych odstępach, ze ścisłém niemal odliczeniem kroków, wznoszą się na rogu wschodnio-południowym i południowo-zachodnim, pojedyncze, w postaci głowy cukru, na kilkaset stóp wysokie kamienie, tworząc narożniki téj przyrodzonéj warowni. Dwa inne téjże postaci, nieco nawet wyższe, zajęły w dalszym trąche odstępie róg północno-zachodni; stoją one obok siebie, a wierzch jednego z nich, wyobraża ogromną twarz człowieczą. Ściana skał od zachodu ma następujące wydrążenia, odznaczone dość wyraźnie na przyłączonéj tu rycinie. Pierwsze, jest długa izba foremnie wykuta, bez okien. Dwie kamienne przyspy ciągną się w dłuż ścian. Po nadłamanéj ku ich środkowi krawędzi można poznać, że pierwotne nieforemne wydrążenie, poprzedziło wykucie, które dziś oglądamy. Uwagi godna jest dość wysoka niża nadedrzwiami, jakby do wystawiania posągów zrobiona. Znajdujące się nad nią zakrojenie skały, zdają się świadczyć, o przytykającém niegdy do niéj pokryciu, celem zabezpieczenia tych wystaw od słoty. Nieco daléj ku środkowi, na spojeniu dwóch skał, jest wydrążenie, ciągnące się przez całą ich wysokość, u wierzchu otwarte, i zdaje się być od deszczu wypłukane; po lewéj stronie widać kamienną przyspę, jak i w poprzedniczém. Następuje izba czworogranna, któréj trzy ściany w skale wykute, czwarta zaś od wschodu domurowana. Kawał pobielonego muru pozostał jeszcze z téj ściany. Obok niéj jest jeszcze jedna izba, tym sposobem, jak pierwsza wykuta, lecz mniejsza nieco. Nareszcie wchodzi się za pomocą wschodów, umyślnie na to przyrządzonych, do dużéj izby na pierwszém piętrze. Uderza w niéj osobliwie czworogranne w jéj posadzce wykucie, mające postać głębokiéj studni, wysoko piaskiem i kamieniami zasypanéj. Z téj izby ciągnie się sklepiony wychód na skałę; w sklepieniu jego widać między łupanym kamieniem kawałki cegły. Prócz tych wydrążeń, jest jeszcze w ścianie północnéj jaskinia, jakby gwałtownym wpływem wody zdziałana, a w niéj na lewo niża ogromna, podmurowana od spodu. Większa część wydrążeń zakopcona jest dymem i mchem obrosła. Ze środka tego zamczyska prowadzą głęboko kowane schody w różnych kierunkach po całéj skał powierzchni, aż do najwyższego ich szczytu. Są one mocno wydeptane. Na samym wierzchołku skały, z którego na promień kilkunastu mil w około zajrzeć można, jest otwór wielkości kociołka piaskiem uścielony, kolebka i przytułek nie jednego z tych ptaków królewskich, co swoim tu pobytem nazwę temu miejscu nadały. Taki jest stan obecny tych bołdów. Chcąc z dostrzeżonych dziś znamion wyrzec coś pewniejszego o ich przeszłości, potrzeba uważać koléj, jakiéj wszystkie rzeczy podlegają. Cząstkowe osuwanie się ziemi, wystawiało je coraz bardziéj na ciosy burzy i ludu, gnieżdżącego się w ich okolicy. Do przyrodzonych lub przypadkowych klęsłości, przybywały ręką ludzką zrządzone, które ze zmianą potrzeb czasu mnożyły się lub przeinaczały. Wiek za wiekiem dotłaczał tu swoje piętna, a stan ich dzisiejszy przedstawia nam przewyżkę sił, które się tylu wiekom oparły, i zawiera w krótkości ich dzieje. Trzy są okresy, do których wszystkie tu wyciśnięte znamiona odnieść się dają. Pierwszym jest okres tułaczego, powiększéj części pasterskiego życia czerwonych Chrobatów. Odznacza on się zamiłowaniem i czcią przyrody, czyli wielobóstwem. Okres ten przeciąga się aż do ostatnich czasów bałwochwalstwa, i kończy się z jego upadkiem. Można twierdzić z niejaką pewnością, że za czasów tych przyrodochwalców, miejsce tyle odszczególniające się w całéj okolicy, było Bugajem, czyli miejscem świętem, do którego w dniach zwyczajnych surowo zabroniony był przystęp wszystkim, prócz kapłanów. Większa część wydrążeń należy do owych kamiennych, że tak rzekę, wieków, z których wykopywane toporki lub naczynia kamienne, tyle nas swojém misterstwem zadziwiają. Są one właściwe wiekom i ludziom, którym kruszec za mało jeszcze był znany. Wtedy to wznosiły się tu posągi Peruna i Łady, i nigdzie uroczyściéj nieprzemawiał bóg grzmiący, jak w kamiennym tych skał oddźwięku. Same nawet ich wierzchoły, tak zgrabnie twarze udające, mogły, za dołożeniem jakiembądź ręki, przedsta-



Boldy na Sokołowém w Polanicy.

wiać bogów w całéj ich wielmożności. Stado krogulców rozweselało gaj święty, a szerokie do koła płyty kurzyły się żertwami ku czci bogów. Ilekroć spojrzałem na leżące niedaleko ztąd truchanowskie płyty, zdawało mi się, że to o nich słyszę głos Czestmira:

Dosiądź rumaka, niech wiatronogi
Skokiem jelenia knieje przebieży;
Jest tam w dąbrowie skała u drogi,
Bogów siedziba, ty na jéj szczycie
Hojnym obiétem uraczysz bogi
Za wybawienie, za życie....

W zebraniu szczególnych nazw osad i miejsc okolicznych, jakiemi są: Pobog, Caryny, Sokołowo i t. p., możnaby znaleść dowód powyższego twierdzenia. Wyparte wreszcie i prześladowane wielobóstwo, mogło się w miejscu tak mało dostępném do najpóźniejszych przechowywać czasów. W drugim okresie napady i pustoszenia Tatarów zrobiły to miejsce dla okolicznego ludu warownią, i do tego to okresu odniósłbym okopy, mury i fossę, o których wyżéj namieniłem. Ku śledzeniu poruszeń nieprzyjacielskich, bardzo były nagodne wiodące pod wierzchołek schody, i w ówczasto znaczny one otrzymały przyrost. Wreszcie, z ustaniem napadów tatarskich i wzrastającą bezsilnością rządu, służyło to miejsce za przytułek nie jednéj zgrai łotrów, która prócz zakopconéj tu i ówdzie kryjówki, i powszechnego w umyśle ludu postrachu, żadnéj po sobie niezostawiła pamiątki. A to jest okres ostatni. Kilka wierszy, w żyjącéj kronice ludu zajrzanych, da się wygodnie odnieść w te trzy różne okresy. Najdawniejsza zapewne jest wieść między ludem truchanowskim słyszana. „Było dawnych ludzi zamiarem (tak opiewa powyższa kronika), wykować sobie całe miasto ze skał. Zabrano się żwawo do pracy, wstawały coraz nowe z łona ziemi kamienie, mnożyły się jaskinie, wrychle by przyprowadzone było wszystko do skutku, ale waśń dwóch naczelnych braci, zniweczyła uskutecznienie zamiaru i skończyła się bratobójstwem. Cała ta historya (dodaje opowiadacz) wypisana jest na tych skałach; mają się nawet tam znajdować wykute szczątki ich obrazów. *) Późniejsze jest to, co mi wieśniak jeden w Bubnisku powiadał, że pan jakowyś mieszkał w tych pokojach; nie bał on się nikogo, bo żadnemi wojskami nie można było nic zdziałać przeciw niemu. Zdaje się to wskazywać na jakiego starostę lub horodniczego, broniącego się przeciw Tatarom, lub innym wrogom dawnéj rzeczypospolitéj. A może był nim który z Konfederatów barskich, o nich bowiem powiadano mi wiele w okolicach Skolego, a na Beskidzie, niedaleko wioski Zupanie, pokazywano mi grób jednego z nich, poległego przypadkowo od swoich na placówce. — W końcu rozpowiada lud o Doboszu, jak tenże napadł był na miasteczko Bolechów w sam jarmark, i z łupami powrócił w swoje podówczas siedlisko: polanickie jaskinie.

*) Co do napisów starożytnych, na takowe tak tu, jak i w kilkunastu innych skałach, które wraz z towarzyszami kilkakrotnie opatrywałem, nie natrafiłem. Śmiem nawet twierdzić, że ich tu nigdy nie było i niema. Kilka kirylickich i hebrajskich wyrazów na płycie truchanowskiéj, są, po lepszém w nich rozpatrzeniu się, zwiedzających je gości nazwiska.

Nim zamkniem te słów kilka o Bołdach, rzućmy raz jeszcze okiem na ich okolicę i przebieżmy myślą ich dzieje. — Dzieci niepodległéj i bujnéj przyrody, składały niegdy wraz z ziemią jedno ciało. W następnych przemianach czasu były miejscem czci bogów, obroną i przytułkiem prześladowanéj cnoty, lub garści łotrów kryjówką. Odłączone od ziemi rodzinnéj, nagie i piorunami krajane, przedstawiają dziś, pośród kwitnącéj do koła przyrody, dziwne przeciwieństwo. Wyżółkłu mchu garstka, gałązka sosny lub bluszczu, wciskając się pomiędzy rozpadliny skał, jak nadzieja w serce zrozpaczone, siłą się nadać im barwę życia, niepomne, że je przed czasem północny wicher obedrze. *A. B.*

Wystawa obrazów w Poznaniu.

Poznań, który z każdym dniem wzrasta, tylu pięknemi gmachami corok się przyozdabia, i życia i ruchu naukowego nabierać zaczyna, nie jest także obojętnym na sztuki piękne. Zawiązane tu przed kilku laty towarzystwo sztuk pięknych, wystawia co dwa lata na widok publiczny, w obszernéj sali hotelu drezdeńskiego, celniejsze obrazy mistrzów wszelkich szkół nowszych, a publiczność licznem odwiedzaniem wystawy dowodzi, że ją sztuki piękne przyjemnie zajmują. Nie zamierzamy zdawać czytelnikom Przyjaciela Ludu obszernéj sprawy z tegorocznéj wystawy; dotkniemy tylko z lekka niektórych lepszych obrazów, zostawując ocenienie reszty bieglejszemu w tém od naszego pioru.

W pierwszym przedziale sali zajął nasamprzód uwagę naszę obraz, przedstawiający zaprowadzenie chrześciaństwa w Polsce przez Mieczysława I., pędzla P. Suchodolskiego, artysty, dziś w Warszawie mieszkającego. Obraz ten przeznaczony jest do kaplicy Mieczysława I. i i Bolesława Chrobrego w kościele katedralnym w Poznaniu. Artysta pochwycił zręcznie najważniejszy moment w wielkim dramacie nawracania ludu pogańskiego na wiarę chrześciańską, to jest publiczne niweczenie pogańskich bożków. Mieczysław I., w towarzystwie swéj małżonki, Dąbrowki, otoczony licznym dworem, siedząc na dzielnym koniu, przypatruje się z uroczystą powagą temu obrzędowi, mającemu w Lechii w moralnym i politycznym względzie zmienić zupełnie dawną postać rzeczy. Z lewéj i prawéj strony orszaku królewskiego widać grupy ludu pospolitego. Kilku barczystych i ogorzałych Lechitów kruszy po lewéj stronie siekierami posągi bogów. Znawcy chwalą szczególniéj wyraz twarzy, jaki artysta nadać umiał tym ostatnim. Czytać na nich można dreszcz przechodzący ich członki na myśl samę, że się na świętość, niedawno powszechnie czczoną, zuchwale targają; obawa, aby lżone bogi ojczyste srogiéj zemsty nie wywarły, ścina krew w ich żyłach; słowem, artysta pojął tu i oddał dokładnie w obrazie walkę wewnętrznego przekonania i opinii, od dziecinstwa wpojonych, z nowemi o rzeczach wyobrażeniami i korzyściami, które ostatnie z sobą niosły. — Niemniéj podobają się znawcom konie i inne szczegóły w obrazie wspomnionym; za to przyganiają zbyt słaby koloryt, zwłaszcza obłoków. Wszakże piękny obraz ten, nieprzeznaczony bynajmniéj na wystawę, większy nierównie na widzach effekt sprawi w swojém właściwém miejscu, to jest w kaplicy królów polskich, gdzie jako część wielkiéj całości, podwyższy harmonijnie jéj piękność, odbierając sam od niéj nie mało blasku.

Obraz, wystawiający *pieśń wieczorną śpiewaka*, pędzla P. Huxoll z Frankfurtu nad Menem, tak jest piękny i liryczny, że widz patrząc nań, uczuwa całą rzewność poezyi Uhlanda. Życie niespokojne rycerza, jego walki i cierpienia, jego miłość i żal, odbijają się wyraźnie w twarzy śpiewaka, nucącego balladę. Inne szczegóły tego obrazu, jakoto dwa dziewczęta i brytan, niemniéj są dobrze oddane, ale w twarzy rycerza niedostrzegają znawcy właściwego, odpowiadającego przedmiotowi i sytuacyi, wyrazu, a zbyt bystry, acz z natury wiernie oddany, blask słońca, grupy oświecający, niweczy wszelki effekt tego, zkądinąd pięknego dzieła.

Pismo święte, jak zwyklé, dostarczyło i tą razą artystom wiele materyi. Dwóch, to jest P. Wagner z Berlina i Besser z Warszawy, wzięli wątek do swoich obrazów z historyi króla Dawida. Obraz P. Wagnera wyobraża: *Ocalenie Saula w jaskini*. Pan Besser skreślił: *Zwycięztwo Dawida nad Golliatem*. W pierwszym obrazie chwalą znawcy dokładność w wykonaniu niektórych części, ale zarzucają artyście brak poetyczności, a tem samem zajęcia. W obrazie P. Bessera, twarz i postawa Dawida są bardzo pospolite, niemają życia, ani wyrazu, odpowiadającego wzruszeniom, które Dawida na widok olbrzyma przejąć musiały.

Obraz: *Żal Jakóba za synem Józefem*, pędzla P. Bender z Królewca, ma wiele zalet. Uderzają w nim szczególniéj pojedyncze figury, lubo całość nie czyni pożądanego effektu. Odbija tu dobrze niewinność małego Benjamina od zmyślonego żalu starszego brata jego, gdy Jakóbowi o losie Józefa donoszą. Głowa patryarchy mniéj za to udała się artyście; w twarzy jego nieczytamy owéj boleści, która serca ojcowskie po utracie ukochanego syna przenikać powinna.

Wypchnięcie z domu Agary, przez Dietrycha z Drezna, jest bardzo miernym obrazem. Grupowanie figur jest w nim takie same, jak w wielu innych, przedmiot ten wystawujących. Agara trzymając za rękę swego synka, opuszcza dom. Abraham idzie za nią i daje jéj na drogę rady i pociechę. Figury nie są w tym obrazie pod względem historycznym dobrze oddane; twarz Abrahama nie ma właściwego sytuacyi obrazu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Bitwa pod Kircholmem.

Dawszy, ile możność pozwoliła, wyobrażenie o wojenności staropolskiéj, w numerach 28. 29. 30. 31. 33. 34. 35. 37. Przyjaciela Ludu z r. 1839; dla dopełnienia obrazu, następnie rozwiniemy teraz w szczegółach strategicznych *bitwę pod Kircholmem;* dla tego zaś tę a nie inszą obraliśmy, że już to policzyć ją należy do najsławniejszych bojów polskich, już téż, ponieważ ze wszystkich najlepiéj wyświeconą została, i przez staropolskich latopisarzy, tudzież przez J. S. Bandtkiego *a*), Adama Naruszewicza *b*), J. U. Niemcewicza *c*), wreszcie przez Henryka Krasińskiego *d*).

Za czasów Zygmunta III., potężnéj Polski granice rozciągały się szeroko na wszystkie strony, albowiem od zatoki finlandzkiéj i brzegów Baltyku, aż do Karpat i morza czarnego, i znowu od Odry po Dniepr i Dźwinę dosięgało państwo to rozległe od 48° do 58° szerokości, w szerz na 200, wzdłuż na 240 mil niemieckich; złożone z 18 millionów mieszkańców, spólnością kolebki, obyczajami, mową jednorodnych. Dochód publiczny wówczas był znakomity, urządzenia wojenne zastósowane do przyjętych zasad; więcéj jednakże siła na chęci odznaczenia się i waleczności możnych, aniżeli na dobrze zaprowadzonym porządku spoczywała; przemysł i bogactwo w całym kraju ożywione; lecz władza wykonawcza już nazbyt określona, straciła równowagę do innych ogniw ruchu publicznego, i nie wiele sprężystości w działaniu rozwinąć mogła, musiał przeto w rzeczy publicznéj zakradać się nieład.

Szwecya była wprawdzie natedy nie wielkiém państwem, do 4 millionów ludności liczącém, ale władza samowładnie w ręku jednego skupiona, silny wpływ na zewnątrz wywierać mogła o tyle, o ileby zapał ożywiał władzcę; a właśnie téż Karól Sudermanii z dumy i popędliwości zasłynął, odpowiednio utorowawszy drogę do sławy synowi Gustawowi Adolfowi. Ze wszystkich narodów, z któremi Polakom przez tyle wieków przyszło wchodzić w zapasy, Szwedzi najstraszniejszymi byli; więcéj od innych mężni, zręczni, cierpliwi na głód, zimno i wszelkie bojowe niewygody, dotrzymywali w polu z orężem w ręku; ożywiała ich na wskróś umiarkowana wolność; zahartowani na łowach i rozlicznych trudach od młodości, gardzili niebezpieczeństwy; prowadzeni przez wybornych jenerałów i officerów wszelkiéj broni, kiedy mianowicie stanął na ich czele władzca w kwiecie młodości, cały pożerany żądzą sławy, nie dziw, że zasłynęli walecznością od osi do osi; mogli wnijść w szranki z Polakami i żadna wojna w Polsce nie była zaciętszą, jak kiedy bojowano z synami półwyspu Skandynawii.

Polacy, choć ożywieni wojenném męztwem, dalecy byli jednak od żądzy podbojów, jedynie najświętsze umowy, albo własna i wyraźna wola sąsiednich ludów, łączyła je najsilniejszym, bo bratnim z Polakami węzłem; tak téż w r. 1561 Wilhelm Fürstenberg, wielki mistrz kawalerów mieczowych, naraz uciśniony od Szwedów, Moskali i Duńczyków, oceniając swobody polskie, oddał się Zygmuntowi Augustowi, zgodnie z życzeniami ludu swojego, poddając Polsce całe bogate i przemysłem ożywione Inflanty — oto zaród niezgody Szwedów z Polakami. I dla tego przezorne Stany polskie, skoro mężny Stefan Batory życia dokonał, za staraniem mianowicie Anny wdowy, i Jana Zamojskiego K. i H. W. K., obrały królem polskim Zygmunta, królewicza szwedzkiego, już to, że z krwi Jagiellońskiéj, tyle drogiéj Polakom, pochodził, już téż, ażeby stał się najsilniejszém ogniwem zgody i zjednoczenia dwóch narodów, ale los zawistny inaczéj rozrządził.

Więcéj bojaźń, by berło polskie nie dostało się w ręce moskiewskiego władzcy, niż chęć otrzymania go dla syna, skłoniła Jana szwedzkiego, że się o nie przez posły swoje ubiegał; a tak od początku zabiegów wkradła się zaraz nieufność i dwuznaczność między strony; Szwedom szło o Estonią, Polakom, że nieznaleźli w Zygmuncie spodziewanych przymiotów.

Przy końcu r. 1592 odebrał Zygmunt wiadomość o śmierci ojca swojego, która go ciężkim przejęła smutkiem z uwagi na stan rzeczy, niepewny w obudwóch królestwach. W Szwecyi albowiem stryj, Karól książe Sudermanii, umysłu wyniosłego i do przedsięwzięć śmiałego, o berło niespokojności wzniecał, w Polsce rozejście się sejmu bez ukojenia podejrzeń, rozjątrzenia, zawziętości prawie powszechnie obudzone, nic pomyślnego nie wróżyły; — jakoż nie chciano zezwolić na wyjazd króla wśród takich okoliczności i na sejmie warszawskim w maju 1593, kanclerz, prymas i wielu znakomitszych senatorów radzili Zygmuntowi, aby i koronę i sprawy królewstwa szwedzkiego tylko przez Posłów objął, aż dopiero po przeczytaniu listów, pisanych ze Sztokholmu, w których konieczność bytności Zygmunta w Szwecyi jasno dowiedzioną była, po przyrzeczeniu powrotu w przeciągu roku jednego, stany na wyjazd zezwoliły. Zygmunt więc dnia 3. Sierpnia wsiadł na nawy, w tym celu na Wiśle przygotowane i koło Płocka,

---

a) Dzieje królewstwa polskiego przez J. S. Bandtkie, Dr. fil. Pr. i Bibl. w U. J. Tomów dwa, w Wrocławiu r. 1820.

b) Historya Jana Karóla Chodkiewicza, wojewody wileńskiego, hetmana w. l., przez A. Naruszewicza; w Warszawie, ed. T. Mostowskiego, r. 1805. T. I. od stron. 44.

c) Dzieje panowania Zygmunta III. przez J. U. Niemcewicza; w Wrocławiu r. 1836. T. I. od stron 332.

d) Bataille de Kircholm, roman historique par Henri Comte Krasiński. Paris 1836. Rozdział 32gi, t. II. od stron 211.

Torunia przypłynął do Gdańska, zkąd puściwszy się w 60. okrętów, stanął dn. 10. Października w Sztokholmie. Już blisko jedenaście miesięcy upływało od śmierci Jana szwedzkiego, Karól xiąże Sudermanii, jeszcze za życia jego nieumiejący ukrywać żądzy panowania, niespokojny, zuchwały, popędliwy z natury, wiedzący jednak jak się hamować, surowy lub uprzejmy ze szlachtą, lecz z ludem poufały zawsze, Karól, mówię, nie zaniedbał użyć długiéj nieprzytomności króla, torując sobie drogę do wysokich zamysłów. Zaraz po śmierci Jana, objąwszy tymczasowo rządy państwa, wysłał do Zygmunta z doniesieniem o zgonie ojca, tudzież z odezwą raczéj, niż z prośbą, o potwierdzenie swobód narodowych, z oświadczeniem wreszcie, że do przyjazdu jego czuwać nad losami państwa i pokój z Moskwą starać się będzie zachować, a w jednymże czasie przykazał rządzcom Estonii, żeby nie ustąpili téj ziemi, chociażby król, przynaglony od Polaków, na to zezwalał. Nim jeszcze te listy doszły do Polski, xiąże Sudermanii zgromadził senat, i uchwalono, że ponieważ królewicz Jan (syn zmarłego króla z powtórnego łoża) był małoletnim, Karól w niebytności Zygmunta, za głowę rodu królewskiego i rządzcę państwa uważanym być ma. Tak rzuciwszy nowego rządu zasady, rozsiawszy wieść po kraju, że Zygmunt za powrotem swoim do Szwecyi, religią katolicką i Jezuitów zechce znowu przywrócić; naradzał się ze Stanami, jakby religią protestantską utwierdzić i wszelki wstęp do kraju Katolikom na zawsze zamknąć; w tym celu naznaczono synod w Upsalu, gdzie nawet inny arcybiskup został obranym; zatém Zygmunt, uwiadomiony wkrótce od przychylnych sobie senatorów o zaszłych w Sztokholmie uchwałach senatu i stanów, widząc, na co się zanosi, zaraz wysłał wiernych sobie Szwedów do objęcia ważniejszych zamków w Estonii i Szwecyi; równie polecił Janowi Sparr, aby przysięgę od tyle dzielnych Finlandczyków odebrał i tamże wszystkie twierdze zabezpieczył; — oto pierwsze iskry niezgody i zawiści między Zygmuntem a Karólem.

Z tém wszystkiem przyjazd króla rodaka, otoczonego małżonką, siostrą i wspaniałym dworem, niemógł być Szwedom niemiłym; łatwo więc rozsądkiem i trafnością w postępowaniu mógł był ująć serca poddanych i panowanie utwierdzić; lecz przeciwnie Zygmunt, jako w Polsce Szwedom, tak w Szwecyi samym tylko Polakom ufność swoją dawał; najpoufalszym zaś powiernikiem jego był Malespina, nuncyusz papieski, mniéj w żarliwości swojéj ostrożny, niżby w różnowierczym narodzie przystało; zapalczywe zatem o przesądy religijne powstawały rozruchy, a Karól z radością uważając wzrastające rozjątrzenia, ukryty, zręczny, na pozór ulegający, tajemnie działający najczynniéj, z udaną pokorą oddalił się wprawdzie ode dworu i spraw publicznych, lecz pobudził stany do uczynienia Zygmuntowi licznych przedstawień, które gdy on pozostawił bez odpowiedzi stanowczéj, nakoniec senat w trzy miesiące potém widział się zmuszonym zniewolić Zygmunta, iżby na koronacyą do Upsalu zjechał; — już teraz gotował mu zdradę Karól, przecież czujnością podkanclerzego Tarnowskiego i Łaskiego, wojewody sieradzkiego, zdrajca wpadł w zastawione przez siebie sieci i jedynie łagodności króla winien ocalenie życia; wreszcie skoro dopiero Zygmunt przyrzekł na piśmie stanom swobody wymagane, odbył się obrzęd koronacyjny dnia 19. Lutego 1594 r. W czasie dalszego pobytu w Szwecyi i następnie ciągnące się zatargi, zniewoliły króla, iż przywołał niejakie oddziały z Polski, co jeszcze więcéj zniechęciło ku niemu obywateli. — Wkrótce zaszłe wypadki w Polsce, odwołały Zygmunta ze Szwecyi; odjechał więc, nieprzepisawszy kształtu rządu, zostawiwszy w zawieszeniu wiele spraw ważnych, a nierozważnie, chcąc sobie niby ująć Karóla, acz nieprzytomnemu zdał rządy nad państwem, z dodaniem rady senatu; a tak Zygmunt w Szwecyi opuścił wszystko w zamieszaniu i niepewności, nie dość zręczny i uprzejmy, by umysły pozyskać; nie dość odważny i stały, by je przymusić, ani serc pociągnąć, ani władzy utwierdzić nie umiał; największem atoli było dla niego nieszczęściem, że miał do czynienia z Karólem, xięciem Sudermanii; z człowiekiem, który właśnie te wszystkie przymioty posiadał, na których mu zbywało.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Pieśni, które lud wiejski w okolicach Osterode, w Prusach wschodnich, śpiewa.

W Prusach wschodnich, zwanych dawniéj książęcemi, na znacznéj bardzo przestrzeni, mianowicie zaś w tych okolicach, które się z Mazowszem stykają, przechował się dotąd język polski pomiędzy ludem wiejskim w całéj swojéj czystości. Mówią tu nawet i piszą nim tu i ówdzie wyższe stany, a duchowni nie mogą z ambony do ludu innym przemawiać językiem, gdyżby nie byli rozumiani. Jeden z tych duchownych, zacny i uczony X. Gizewiusz, pochodzący zapewne z polskiéj rodziny Giżewskich, i pełniący obowiązki przy kościele ewangelickim polskim w Osterodzie, zebrał pieśni, które lud wiejski w okolicach Osterody śpiewa, i dołączył do nich melodye. Umieszczamy tu kilka z tych pieśni; czytelnikom bowiem Przyjaciela Ludu miło będzie zapewne poznać duch i charakter ludu polskiego w Prusach wschodnich, przebijający się w tych pieśniach.

Zalétki moje
Na cóż mi wyszły?
Opuścił mię
Mój najmilszy,
A do inszéj myśli.»

Choćci mię opuścił,
Ale we cnocie,
Nie zostawił mię
Mój najmilszy
W żadnéj sromocie.

W żadnéj sromocie,
Ani we złości,
a) Jeno w złém ludzkiem
Obgadaniu
A w swéj niestałości.

Przychodził do mnie
I namawiał mnie:
»A ty moja
Najmilejsza
Spuszczaj się na mnie.«

Jam się spuszczała,
Bo on mnie kochał;
Tegom w życiu
Nie myślała,
Coby mnie poniechał.

Ale nic niedbam, b)
Bo inszego mam;
Jeno mi tego
I serca żal,
Co mi przymawiał. c)
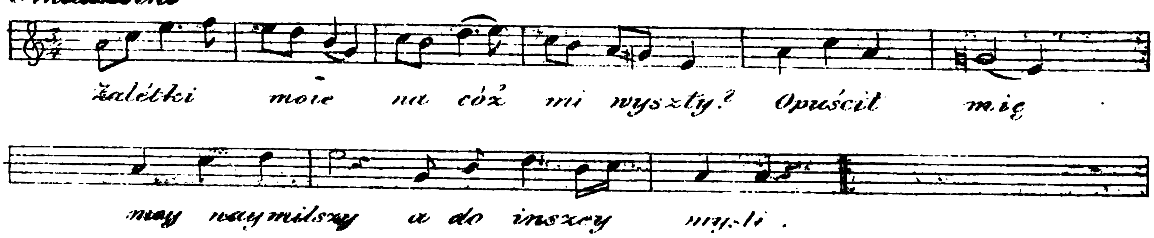
---

a) *Alias*: *Rozstalim się*
Z mym najmilszym
Jeszcze w miłości.

b) *Ja o cię nie dbam.*

c) *Coś mi przymawiał.*

Andantino



Stoi jawór zielony,
Złotem pokrapiany;
O! jużci mnie, już odjeżdża
Najmilszy kochany.

Oj choćci on odjedzie,
To znowu przyjedzie;
Moje serce zasmucone,
Pocieszone będzie.

Przyśniło się Kasiuchnie
Na łóżku leżącéj:
Oto Jasieczek utonął
Przez Wisłę jadący.

Oj utonął, utonął,
I chusteczkę zgubił.
»Oj wszystkoć to dla dziewczyny,
»Com ją szczerze lubił.»

I skoczyła Kasiuchna
Do bystréj wodeczki;
Pytała się, pytała się
Téj drobnéj rybeczki:

»O rybeczki, rybeczki,
»Dla Boga żywego,
»Nie widziałyżeśta tutaj
»Jasieczka mojego?«
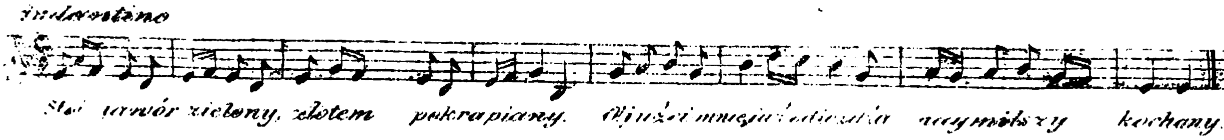
»»Oj widziałym, widziałym,
»»Ale nie żywego;
»»Ostrym mieczem przebodzone
»»Boki, serce jego.««

I skoczyła Kasiuchna
Z mostu wysokiego,
I wydarła ostry mieczyk
Z boku Jasiowego.

I wydarła, wydarła,
Sama się przebiła,
A to małe dzieciąteczko
Na wodę puściła.

»A kiedy już umrzewa,
»Umrzyjważ oboje;
»Niechże nas téż pochowają
»W jeden grób oboje!«

Andantino



Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (*Red. J. Łukaszewicz.*)

Przyjaciel Ludu.

Rok szósty. **No. 6.** **Leszno,** *dnia* **10.** *Sierpnia* **1839.**



Chodowieckiego: *Ucieczka króla Stanisława z Gdańska.*

Niemasz może uboższego kraju w dzieła sztuk pięknych, jak dawna Polska. Polak bowiem na przedniéj straży zachodniéj Europy, przeciw Bisurmanom, siczy i innym barbarzyńcom, zawsze na koniu, albo wśród gwaru obrad publicznych, nie miał nigdy czasu, nie miał spokojnego zacisza, tak potrzebnego oddającemu się sztukom pięknym. Do tego przydać jeszcze należy wewnętrzne nasze przeszkody wydoskonalenia się w sztukach pięknych, to jest: brak wytrwałości i talentu. Polak, który w ulubionym sobie żywiole, w wojnie, rok ciągle nie wytrwał, miałżeby lat kilka, lub kilkanaście nad pędzlem, lub dłótem siedzieć? Z tych też i innych przyczyn nie posiadamy wcale sławnych malarzy i snycerzy. Nadaremnie wyjedzie nam kto, na zbicie tego twierdzenia, z Lubienieckim, Czechowiczem, Lexyckim, Szmuglewiczem i t. p. Nie przeczymy, są to wielcy mistrze, ale gdzie? u nas! Porównani z mistrzami szkoły włoskiéj, flamandzkiéj, hiszpańskiéj, francuzkiéj, nikną z swoim talentem, jak światełko lampy przy blasku słońca.

Los we wszystkiém nam zawistny, wydarł nam nawet Chodowieckiego, sławnego malarza i rytownika, na schyłku zeszłego wieku: po-

chodził on wprawdzie z polskiéj familii, *) sam liczył się pomiędzy Polaków, **) ale nie umiał ani słowa po polsku, czuł i myślał po niemiecku. Urodził się w Gdańsku, dnia 16. Października, 1726 roku. Ojciec jego, Gotfried Chodowiecki, handlował ogrodowinami i kwiatami, a znając nieco rysunek, udzielał go w wolnych chwilach synowi. Zawczesna śmierć Gotfrieda Chodowieckiego, wprawiła rodzinę jego w smutne nader położenie. Wdowa po nim, nie mogąc dzieci utrzymać, poumieszczała je, jak mogła, a Mikołaja oddała do sklepu korzennego. Biedny młodzieniec, nie mając najmniejszego pociągu ku ważkom i miarom, musiał od 6téj godziny z rana, do 10téj w wieczór, ważyć pieprz, farynę, mierzyć oliwę i inne ciecze. Skoro 10ta uderzyła, biegł na poddasze, i przy mdłem świetle kopcącéj lampy, ćwiczył się po całych nocach w rysowaniu, kopijując ryciny, jakie mu przypadkiem do ręki wpadły. Pomyślna gwiazda Chodowieckiego zdarzyła, że kramarz, u którego w nauce zostawał, zbankretował. Matka Chodowieckiego wysłała go teraz (1743) do Berlina, do swego brata, kupca Ayer. Tu, podobnie jak w Gdańsku, doskonalił się Chodowiecki w wolnych od zatrudnień kramarskich chwilach, a czując się już nieco na siłach, zaczął robić rozmaite miniaturki na tabakierki, które jego wuj bardzo korzystnie sprzedawał. Zręcony zarobkiem, zaczął talent siostrzeńca podsycać dostarczaniem mu rozmaitych rycin, a nadewszystko udzielaniem więcéj wolnego czasu. Tym sposobem Chodowiecki wydoskonaliwszy się w rysowaniu, pożegnał niemiły sobie zawód kupiecki w 28. roku życia, i z całym zapałem młodzieńca, rzucił się do malarstwa i rysunków. Bez dokładnéj atoli znajomości prawideł téj sztuki, doznawał z początku wielkich trudności, nim jaki rysunek wypracował. Nie był więc nigdy, mówiąc prawdę, umiejętnym rysownikiem, ale nadzwyczajna zdatność i łatwość, zastąpiły miejsce nauki i wyniosły Chodowieckiego na stopień najcelniejszego rytownika swego wieku. Rycina, którą w roku 1756 pod tytułem: *Gra wkostki*, zrobił, ściągnęła nań uwagę akademii malarskiéj w Berlinie, która mu poleciła robić ryciny do swoich kalendarzyków politycznych. Kalendarzyki te stały się przezto niezmiernie poszukiwanemi, a wziętość Chodowieckiego tak wzrosła, że z całych Niemiec odbierał zamówienia rycin, winiet i t. p. do dzieł wówczas wychodzących.*) Porzucił zatém zupełnie malarstwo, a oddał się wyłącznie rytownictwu, w którém tak był obfitym, że przeszło 3,000 rycin zrobił. W roku 1798 został dyrektorem akademii malarskiéj w Berlinie, lecz się tym zaszczytem nie długo cieszył; w roku bowiem już 1801., dnia 9 Lutego życia dokonał, mając lat 75. Dla prawości swojéj i słodyczy charakteru powszechnie poważany, odprowadzony został na miejsce wiecznego spoczynku od wszystkich niemal mieszkańców Berlina.

*) Jeden z przodków, Jan Chodowiecki, pochodził z polskiéj familii, z miasteczka Chodcza; zostawszy duchownym, wyznania Braci czeskich, posłany został od przełożonych swoich do Gdańska na kaznodzieję, przy kościele Braci czeskich tamże. Ożeniwszy się z Gdańszczanką, dał początek rodzinie niemieckiéj Chodowieckich, z któréj nasz Mikołaj Daniel pochodził.

**) Między innemi w liście do Łęskiego, niegdyś professora astronomii w Krakowie, umieszczonym w Bandtkiego Historyi drukarń krakowskich, na stronie 206.

*) P. Mielcarzewicz, który pismo nasze tylu pracami swemi przyozdobił, powiększył jeden z rysunków Chod..., *ucieczkę Stan. Leszczyńskiego* wystawiający, któryśmy na czele artykułu umieścili.

Bitwa pod Kircholmem.

(Ciąg dalszy.)

Zaledwie Zygmunt oddalił się od szwedzkich brzegów, natychmiast Karól z zamysłami swojemi śmiało wystąpił. Duchowieństwo polepszeniem dochodów, wodzów i żołnierstwo darami, lud zwodniczą poufałością ująwszy sobie, wszystkie ustawy królewskie pogwałcił i zniszczył, wszystkich stronników Zygmunta rozpędził i wytępił; pozyskanie nawet przyjaźni postronnych władzców nie uszło jego baczności: odpowiedniemi darami, pochlebnemi poselstwy, wcześnie ich do siebie pociągnął. Skoro takie rozliczne bezprawia Karóla, doszły wiadomości Zygmunta, wyprawił do Szwecyi poselstwo z upomnieniem go, aby się w gwałtach swoich upamiętał i do powinności powrócił. Zręczny Karól, że niby osobistości nie szuka, chcąc się popularniejszym w narodzie zrobić, składa na chwilę rządy państwa, wkrótce jednak, jakoby na powszechne żądanie, znowu stér ujął i sejm w Abrogu złożył. Dopiero tylą obelgami poruszony Zygmunt, postanowił nakoniec roku 1598 udać się do Szwecyi, lecz wybrał się nie podług zdrowéj rady, z niedostateczną siłą; przecież pierwsze starcie, pod Stegeborg zaszłe, szczęśliwém dla niego było; jednakże, gdy nawet ze zwycięztwa korzystać nie umiał, nie długo Karól w groźnéj stanął postaci, i królowi po bitwie w dniu 25. Września, niedaleko Linkoping, narzucił warunki, i nie dziw, że Zygmunt, nieumiejący w chwilach pomyślnych silnego wziąść postanowienia, nie znalazł go w ciężkiéj przygodzie, więc strapiony, przez Kolmar, Gdańsk, wrócił do Polski.

Odtąd Zygmunt ujrzał zniszczone swoje nadzieje na północnym półwyspie, mianowicie od śmierci mężnego i wiernego sobie do zgonu admirała Fleming, i przez zwykłą opieszałość nawet nie zabezpieczył granic Polski od téj strony; odtąd Karól zacząwszy wielowładnie panować w Szwecyi, nieporzestał na tém, ale jako dobry polityk, w własnéj siedzibie zatru-

dnił nieprzyjaciela; jakoż w roku 1600. wkroczył do Estonii; Rewal, tudzież wiele miast zajął, bo mu tu tylko słaby odpór dawał Jerzy Farensbach, wojewoda wendeński, w tysiąc Polaków do obrony całéj ziemi pozostawiony; lecz choć z tak słabą siłą nie mógł dostatecznie osadzić twierdz, ani stawić czoła w otwartém polu, to przecież mężny wojewoda podjazdami nie mało trapił nieprzyjaciela i pochód cały utrudniał.

Wkrótce też na pierwszy odgłos najazdu tego, Krzysztof Radziwiłł, H. w. l., z synem Januszem, podczaszym litewskim; Dorohostajski, W. m. l.; Dębiński, wojewoda parnawski; pośpieszyli w 5,000 jazdy i 600 piechoty pod Kokenhaus, i zwodząc ciągłe boje, szczególniéj pod Kiessi niemałą korzyść nad generałem Wrangel odnieśli; gdy zaś w roku 1601. na wiosnę przyłączył się do nich Chodkiewicz w 800 ludzi, zaraz przy rozpoczęciu nowéj walki, zdobyto Kokenhaus, Treyden, Zygwolt i Wendę. To gdy się dzieje, król zawsze skory w początkach przedsięwzięć, ruszył z Zamojskim w 14,000 jazdy i 6,000 piechoty w Październiku r. 1601, i zaraz zdobyto Wolmar; gdy jednak dla srogości zimy nie wiele w polu poczynać można było, nie długo, jak zwykle, zrażony Zygmunt, dnia 5. Grudnia odjechał na sejm do Wilna, dowództwo całéj siły na rok 1602. zostawiwszy Zamojskiemu, który wprawdzie zdobył Felin i Białykamień; jednak znając umysł Zygmunta, a przytém skołatany wiekiem i na zdrowiu, usunął się od dowództwa w zacisze domowe na początku r. 1603.

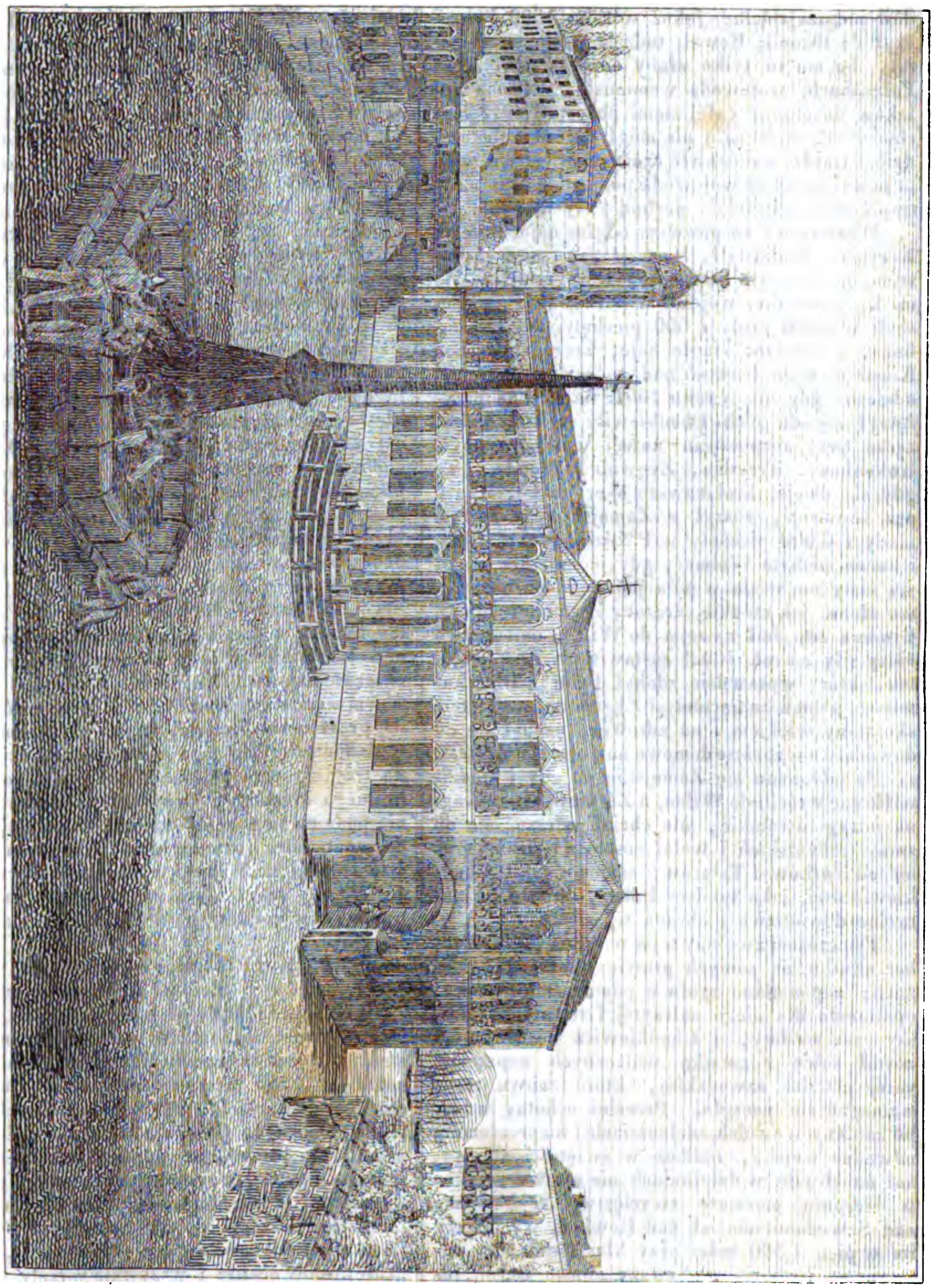
Po oddaleniu się Zamojskiego, gdy i Radziwiłłowie wrócili do Wilna, a Zółkiewski, z uwagi na intrygi dworskie, nie chciał mieszać się do spraw inflantskich i wolał zostać na straży granic od Turków i Tatarów; samemu tylko Chodkiewiczowi, jako rządzcy Inflant, dostało się naczelne dowództwo i obrona téj ziemi.

Tymczasem zwołany sejm w roku 1603, zszedł bez skutku na samych prawie o urzędy zabiegach; zapomniano zgoła o pomnożeniu wojska, opatrzeniu dla niego należytéj i trwałéj na dalszy czas zapłaty, i Chodkiewicz zostawionym został sobie z garstką walecznych naprzeciw całéj potędze szwedzkiéj, która znowu coraz wzmagać się poczęła. Przecież ochotny wódz, bo zaufany w swoich zdolnościach i nieprzełomnéj odwadze wojska, tudzież w świętości sprawy, ani na chwilę w działaniach nie ustawał; jakoż w Sierpniu pierwsze zwycięztwo znakomitsze nad Szwedami odniósł pod Rewlem, wyciąwszy im w pień 1,500 ludzi przy klasztorze *Paz* nazwanym; wreszcie zdobywszy miasto Derpt, ludne i dosyć obszerne, nad rzeką Embek, z przyczyny wczesnéj i nader srogiéj zimy, tamże na zimowe leże rozłożył się obozem. Za nadejściem pierwszych dni wiosny r. 1604, zebrane wszystkie siły Szwedów pod wodzą Lindersona, znowu groźną postać przybierać poczynały, lecz takowe Chodkiewicz, do 6,000 wynoszące, nie mając swoich jak 2,000, zachwycił pod Białymkamieniem i ze szczętem zniósł; 15 dział, 24 chorągwi, całe zapasy, dostały się zwycięzcom. Tyle świetne zwycięztwa zjednały mu po świeżo zeszłym Krzysztofie Radziwille, buławę w. litewską.

Lecz w tymże jeszcze roku, mimo dotkliwych strat, w Inflantach poniesionych, książe Sudermanii zostawił Lindersona z niedobitkami, sam zaś wrócił do Szwecyi, i zachęcony mianowicie od Moskwy, ogłosił się królem szwedzkim; a że Polska teraz wplątała się zarazem w wojnę z Moskwą i Turcyą, i Inflanty stały prawie otworem z wojsk ogołocone, albowiem Zygmunt dwie prowadząc wojny, nie mógł dosyłać posiłków na obronę téj ziemi; przeto Karól aż nadto dobrze umiejący korzystać z każdéj okoliczności, gorąco pałający zatrzeć ostatnie swoje klęski, dodać blasku świeżo na głowę włożonéj koronie, powiększyć państwo tak piękną zdobyczą, wszelką wytężył siłę. Zaczém na początku Sierpnia r. 1605. przypłynął w 64. okręty pod brzegi inflanckie i wysadził na ląd bez najmniejszego oporu, liczne, we wszystko dobrze zaopatrzone wojsko, któremu pod nim przywodzili generałowie: Andrzéj Linderson, Fryderyk hrabia Mansfeld, i Fryderyk książe lüneburski; a Karól pełny nadziei zdobycia, już nawet ostatniemu, jako zięciowi swojemu, przeznaczał księstwa Kurlandyi i Semigalii. Głównym zamiarem Karóla było, otworzyć wyprawę przez zdobycie Rygi, miasta najznakomitszego w Inflantach; do tego więc celu rozdzielił siły na trzy części: jeden oddział, pod rozkazami hrabiego Mansfeld, popłynął na statkach, aby niespodziewanie zająć zamek Dyament, klucz do upatrzonego stanowiska. Linderson od Rewla ciągnął ku Rydze, w odwodzie pierwszemu; Karól, aby mógł rzucić się, gdzieby zaszła potrzeba z wywiniętych okoliczności, stanął pod Parnawą.

Miasta Rygi broniło wówczas stu wybrańców szawelskich Sierotki Radziwiłła, czterdziestu Szkotów królewskich i kilkudziesiąt ciężkich jeźdców Dönhoffa, tudzież parę tysięcy miejskiéj straży; a osada zamku Dyament składała się zaledwie z 250 pieszych. Wiedział o tém bardzo dobrze Mansfeld, dla tego nieomieszkał wysłać trębacza do Gabryela Białłozora, dowódzcy zamku, z listem następującéj treści: „Zanim „szturm nakażę, wzywam cię szczerze, po przy„jacielsku, w imieniu króla Szwecyi, pana mego „najmiłościwszego, do złożenia broni i oddania „bez odwłoki zamku; co jeśli uczynisz, i życie „całéj osady ocalisz i wszystkie sprzęty wywieść „tobie będzie pozwolono; lecz przeciwnie, gdy„byś trwał w uporze lekkomyślnéj i bezużytecz„néj obrony, doznacie wszelkiego okrucieństwa i „nikt z życiem nie ujdzie. Zamek rozkażę zni„szczyć tak, aby kamień na kamieniu nie został „i śladu najmniejszego, gdzie stał, nie było.“

Na co mężny Białłozor krótko odpowiedział:



Pałac Necessidades.

„Wybaczam zarozumiałość młodości twojéj; któż „jesteś i zkąd przybywasz, że się odważyłeś „tak zuchwale i bezrozumnie odezwać? aniś „ty ów Tytus, ani my Jerozolimą. Murów Dya„mentu broni polski żołnierz.... wolno walczyć; „lecz jeżeli kto drugi przyjdzie z podobnemi wa„runkami, głową przypłaci; czekamy, ale z bro„nią w ręku.“ Po takiéj odpowiedzi zaraz Mansfeld rozkazał zatoczyć działa i trzykroć szturm do zamku przypuścić; lecz tak dzielnego doznał odporu, że jeszcze tegoż dnia od oblężenia całkiem odstąpił. W obronie Dyamentu odznaczyli

się także nie mało Szkotowie, sławni strzelcy, w służbie polskiéj zostający, pod wodzą dzielnego Węgrzyna Boremissy, tudzież officer francuzki, Piotr de la Villatelle.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Pałac Necessidades.

Z środkowego punktu Lizbony, ciągnie się długa ulica San Paulo ku kościołowi tegoż nazwiska, około wielu klasztorów, fontan, ogrodów, przez wysokie terassy i głębokie fossy, aż do téj części miasta, któréj główną ozdobą jest pałac Necessidades, teraźniejsza rezydencya królowéj Donny Maryi. Droga ta jest dość długa, idzie się dobrą godzinę; a nawet powozem prędzéj jéj przebyć nie można, ponieważ muły, dla nierównéj drogi, nie wiele prędzéj, jak pieszy, postępują. Lepiéj ten uczyni, kto zaraz na placu Remulares, wsiadłszy w statek na rzece Tagu, tu płynącéj, każe się zawieść z Barquein do portu Pampulia; podróż ta, między pysznemi nad wszelki wyraz brzegami, jest czarująca. Lekko sunie łódka po zwierciadlanéj wodzie, obok niezliczonych ociężało stojących okrętów, a łagodny zefir od morza wiejący, mile chłodzi żar słoneczny. Pampulia nazywa się plac portowy, do którego płynie się pół godziny. Tu się ląduje pod groblą kamienną i wchodzi się po wschodach. Ztąd prowadzą w górę dwie szerokie, lecz nie proste ulice, na wielki wspaniały taras, okolony gmachami, które nasza rycina przedstawia. Jestto pałac Necessidades ze swemi pobocznemi i tylnemi budynkami. Nie jest on zbyt wielki, ma dwa dziedzińce, gdzie się roją psy, żebracy wszystkich farb, a mianowicie Murzyni, muły, wozy, służba, żołnierze i t. d. Wschody główne, prowadzące do pałacu, są wspaniałe i urządzenie wewnętrzne gmachów pyszne, jednak przebija się wszędzie zaeuropejski, brazyliański zbytek, który tu jedynie spostrzegać się daje. Okna po lewéj stronie od altany należą do komnat królowéj i księcia Don Fernando. Mają wielkie szyby, jak w niektórych paryzkich, lub londyńskich sklepach, znamionujące wielki przepych. Wzniesiony budynek za wieżą, ozdobioną stósunkowo zbyt wielkim kogutem świetnym, jest dawniejszy klasztór Necessidades, obszerna i piękna budowla, w któréj celach obecnie podrzędna służba królowéj i jéj małżonka się mieści. Jeszcze dotychczas stoją w posępnych korytarzach tego budynku posągi i obrazy świętych, które groźnie z swych ponurych przybytków na tę światową wrzawę spoglądać się zdają. Wielki ogród rozciąga się za klasztorem, którego drzewa Tujo, aż ponad dach klasztorny sięgają, ale uprawa jego jest dość zaniedbana. Dzika winna macica pnie się około złocistéj cytryny, daktylu, przytłumiając swemi szerokiemi liściami wzrost tych szlachetnych drzew. Niezliczona moc róży zdobiła ściany rzęsistemi wieńcami; ale oraz bujne zielsko walczyć się zdawało o pierwszeństwo z najpiękniejszemi kwiatami. Fontana na froncie jest jedną z owych *Agoas libres*, których Lizbona kilka set liczy, a przy których ciągle massa ludzi pijących, czerpających, śpiących, zalega. Nie każdemu jednak wolno brać wodę, tylko *agoateirom*, tojest nosiwodom, płacącym za to magistratowi pewną daninę.



Franciszek Xawery Dmochowski.

Franciszek Xawery Dmochowski.

Nieraz zasługa prawdziwa, zwykle skromna, nie przedziera się do uszu stugłowéj publiczności, albo też dawszy się nieco poznać, wnet zapomnianą, a niekiedy nawet i spotwarzaną bywa. Takiego losu doznał Franciszek Xawery Dmochowski, mąż uczony, w swoim czasie i sferze niezmiernie wiele dla nauk i dobra ogólnego działający, jeden z szczupłéj bardzo liczby owych wybranych, którzy po r. 1795 narodowe Palladium, tojest oświecenie krajowe z pożaru powszechnego unieśli.

Urodził się w roku 1762. w województwie podlaskiém, z ubogich, ale rozsądnych rodziców, którzy się starali wszelkiemi sposobami pozostawić mu największą i najtrwalszą puściznę, jaką dzieci po rodzicach odebrać mogą, tojest, dobre wychowanie. Oddany przez nich w młodocianym wieku do szkół pijarskich w Drohiczynie, szybkie w naukach robił postępy, a swojém bystrem obejmowaniem rzeczy, porządnem myśleniem i wyższym nad lata rozsądkiem, rzadkiemi przymiotami, połączonemi z niezmordowaną

niczem pilnością, ściągnął na siebie uwagę uczonego zgromadzenia XX. Pijarów, które go w poczet członków swoich policzyć pragnęło. Dmochowski nie miał wprawdzie żadnéj skłonności do stanu duchownego, jak się to pokazuje z dziełka, przypisywanego mu powszechnie, pod tytułem: *Xiądz małżonek, nic nowego, nic dziwnego;* ale przecież z rozmaitych względów, stósunków familijnych, nareszcie z braku doświadczenia i z przywiązania i szacunku ku swoim nauczycielom, wstąpił do nowicyatu pijarskiego, w 16tym roku życia. Ukończywszy z wielkim dla siebie pożytkiem i zaletą nauki, jakich po młodym Pijarze wymagają, uczył następnie sam w kollegiach: radomskiem, łomżyńskiem i warszawskiem. W ostatniem wykładając retorykę, dał się uczonéj publiczności poznać kilku literackiemi pracami, jako przekładem sądu ostatecznego Edwarda Junga, pochwałą Karpia, chorążego upitskiego, mową łacińską przy odnawianiu nauk w kollegium pijarskiem mianą, swoją sztuką rymotworczą, a nadewszystko ułamki z przekładu swego Illiady Homera i pismem wymierzonem przeciw professorom akademii krakowskiéj, wydanem pod tytułem: *Zakus nad zacickami wszechnicy krakowskiéj.* Powodem do tego pisma była następująca okoliczność. Po zreformowaniu przez nieśmiertelnéj pamięci kommissyą edukacyjną nauk w téj szkole głównéj koronnéj, professorowie jéj, uważając się za drugą Sorbonnę, chcieli być prawodawcami języka polskiego, i wprowadzali do niego mnóstwo wielkie nowych niezgrabnie utworzonych wyrazów, dzikich zwrotów, ciemnych i niewłaściwych sposobów mówienia. Przykład był niebezpieczny, bo miał za sobą powagę kilkuwiecznéj zasługi akademii. Dmochowski wytknął niedorzeczność tych nowych reformatorów i zraził skwapliwych i ślepych złego naśladowców. Wśród téj walki Dmochowskiego z akademią, nastąpił ów pamiętny w dziejach Polski sejm wielki. Jeden z głównych jego działaczy, sławny Hugo Kołłątaj, natenczas podkanclerzy w. koronny, upatrzywszy w Dmochowskim wszystkie przymioty, zdolne kierować opinią publiczną, wyprosił go sobie u przełożonych XX. Pijarów i używał go do rady i pióra; dla tem większego zaś zobowiązania go sobie, wyjednał mu dość intratne probostwo w Kole. Dmochowski w czasie wielkiego sejmu niezmiernie był czynnym: wydawał bezimiennie ulotne pisemka w duchu lepiéj i zdrowo myślącéj większości sejmu; poprawiał, przerabiał, redagował pisma, przez innych w tym samym celu wydawane; pisał artykuły do pism peryodycznych, treści politycznéj; zbijał zdania opponentów konstytucyi 3go Maja.

Po przystąpieniu Stanisława Augusta do konfederacyi targowickiéj, Dmochowski zmuszony z wielu innymi opuścić ojczyznę, udał się do Drezna, gdzie wraz z Kołłątajem i Ignacym Potockim ułożył i wydał w *Lipsku,* (właściwie w Krakowie u Maja) znajome dzieło: *O powstaniu i upadku konstytucyi 3go Maja.* Powstanie Kościuszki przywołało go na powrót do kraju. Zasługi położone dla współziomków w nauczycielskim i literackim zawodzie; zdatność do spraw publicznych, podczas sejmu wielkiego okazana; nareszcie gorliwość, zapał i bliższe stósunki z Kołłątajem i Ignacym Potockim, utorowały mu drogę do najwyższych godności w nowym rządzie: mianowany został członkiem rady najwyższéj. W tym nowym zawodzie służył krajowi z całych sił swoich; wednie uczęszczał na posiedzenie rządowe, układał postanowienia i odezwy rządu; noce poświęcał redakcyi gazety rządowéj, która od Kwietnia do pierwszych dni Listopada 1794 wychodząc, niezmiernie na kierowanie opinii publicznéj wpływała.

Klęska pod Maciejowicami, wygnała go znowu, jak wielu innych, w obce ziemie. Z zakrwawionem sercem, z książką w ręku, bez grosza, tułał się Dmochowski po Niemczech, Francyi i Włoszech. Nareszcie straciwszy ufność, jak Godebski i wielu innych, w samolubczéj rachubie zachodniego narodu, który o sobie tylko myślał, zaczął tęsknić do ojczyzny, a sławny Ignacy Krasicki, arcybiskup gnieźnieński, wyrobił mu wolność powrócenia do kraju i dał wygnańcowi gościnny przytułek w domu swoim. W roku 1800 powrócił Dmochowski do Warszawy, a lubo był wzywany na professora przy akademii wileńskiéj, posady téj nie przyjął, i żyjąc prywatnie, oddał się całkiem pracom literackim.

Ile człowiek przy szczerych chęciach i wytrwałości dokazać może, dowodem tego jest życie Dmochowskiego od roku 1800—1808., tojest do zgonu tego męża. W tym krótkim przeciągu czasu, wydał on na widok publiczny swój wyborny przekład Illiady, przełożył dziewięć ksiąg Eneidy, pierwszą księgę Odyssei, wydawał przez pięć lat Pamiętnik warszawski, dzieła Karpińskiego, Krasickiego, satyry Boala tłumaczenia Gorczyczewskiego, tłumaczył listy i satyry Horacego, Raj utracony Miltona i wydał mnóstwo pism drobnych bezimiennie, pod swojem lub téż obcem nazwiskiem; był jednym z tworców i najczynniejszych członków towarzystwa przyjaciół nauk w Warszawie.

W téj téż epoce wzdychając do swobody życia familijnego, wszedł w związki małżeńskie z Izabellą Mikorską. Krok ten nierozmyślny, nabawił go wiele przykrości; szarpali go ze wszech stron ludzie, którzy najczęściéj nie byli warci, jak Chrystus Pan wyrzekł, rzemienia u trzewika jego odwiązać, i wplątali go w polemikę, która mu wielu nieprzyjaciół narobiła. Gdy przeto w roku 1807 nastąpiła zmiana stósunków krajowych, zapomniano zupełnie o wielkich zasługach Dmochowskiego,

nie chciano, czy nie umiano, przebaczyć słabości, i nie wezwano go do dzieła odrodzenia, w którem tak użytecznie mógł pracować; gdy tymczasem występkowi pozwolono rozpierać się w senatorskich krzesłach i podłą pierś orderami zdobiono. Dmochowski znękany tylu przeciwnościami, wycieńczony na siłach pracą, dotknięty do żywego niewdzięcznością, umarł w saméj sile wieku, roku 1808, mając nie spełna lat 46.

Pieśni, które lud wiejski w okolicach Osterode, w Prusach wschodnich, śpiewa.

(Ciąg dalszy.)

Na pierwszego Maja
Wojnę zaczynano,
Wszystkim wojennikom
Na nią rozkazano. .|. *a*)

Oj radbym ja, radbym
Na wojenkę jechał,
Kieby mi konika
Kieby kto osiodłał! .|. *b*)

Najmilejsza jego
Gdy to usłyszała,
Poszła (albo padła) do stanienki (stajenki),
Konia osiodłała. .|.

Konia osiodławszy,
Wzięła rzewnie płakać:
„Jak się, najmilejszy, *c*)
Mam bez ciebie ostać?“ .|.

„„Najmilejsza moja, *d*)
Wziąłcibym cię z sobą;
Kolaseczki nie mam,
Ślubu'm niebrał z tobą. .|.

A (albo aż) siódmego roczku,
Gdy się z wojny wrócę,
To tobie najmilsza (albo dziewczyno),
Z serca żalu skrócę.“ “ .|.

Siódmy roczek mija (albo nastał),
Jak był (albo któren) obiecany:
Nie jedzie najmilszy, *e*)
Nie jedzie kochany. .|. *f*)

Wyszła na gościniec (albo póleczko),
Gdzie żołnierze jadą;
A jéj najmilszego
Tam z sobą nie wiodą. .|.

a) *Drudzy kładą jako wiersz wtóry*:

Dzisiaj rozkazano,
Jutro wyjeżdżano,
A miłym rodzicom (albo smętnym kochankom)
Ciężki żal zadano.

b) *Drudzy tak*:

Oj i jacbym na nią,
Oj i rad pojechał,
Kieby mnie kto konia
Mojego osiodłał.

c) *Drudzy*:

Smętne moje serce,
Nie mogęć rady dać!

Albo tak:

Nieszczęsna godzina
W żołnierzu się kochać.

d) *Albo* · Cyt, najmilsza, nie płacz.

e) *Drudzy*:

Wygląda najmilsza,
Czy jedzie kochany.

f) *Odtąd drudzy w taki sposób całą pieśń kończą*:

Wyszła na gościniec,
Gdzie żołnierze jadą;
Pyta się o swego, *)
Czyli jego wiodą.

Oj wiodąć konika,
Żałobą okryty;
„A twój najmilejszy
„Na wojnie zabity.“

Oj leżyć on, leży
W tureckiéj granicy;
Zabilić go tamój
Cudzy wojennicy.

A jego koniczek
Stoi kole (albo kiele) niego,
Stoi, nóżką grzebie,
Stoi, żałuje go:

„A kiedym ja bywał
U swojego pana,
Nie chciałem ja żérać
Owsa, ani siana. **)

A teraz ci nie mam
Razu garści (albo ani gołéj) sieczki.
Oj stoję ja, stoję
We krwi wpół kosteczki.

A teraz ci nie mam
Razu wiązki siana.
Oj stoję ja, stoję
We krwi wpół kolana.

A teraz ci nie mam
Razu prostéj słomy;
Objedzą mnie krucy,
Obierzą mię wrony.“

Porosła, porosła
Murawa zielona;
A na téj murawie
Chorągiew czerwona.

*) *Drudzy*:

„Moi wojennicy
„Czyśta (czyście) z wojny wszyscy?“

„„Oj wszyscyśmy, wszyscy,
„„Wszyscy bez jednego:
„„Wszyscy powracamy,
„„Jeno niema twego.“ “

**) *Zamiast tego wiersza drudzy tak*:

Wstawaj, panie młody,
Wstawaj z téj murawy;
Pierwéj'eś mi dawał
Owsa, siana, trawy.

Oj wiodąć konika;
Żałobą nakryty.
„A mój najmilejszy
Na wojnie zabity!“ .|.

Podobnéj treści piosnka jest ta:

Na Podolu równe pole,
Stroi Polak wojsko swoje.
A jakci go wyszykował,
Z panem Rusem się próbował.

W kotły, w bębny uderzono,
Na wojenkę rozkazano.
„Radcibym ja na nią jechał,
„Kieby mi kto konia siodłał.“

Starsza siostra usłyszała,
Bratu konia osiodłała;
A ta średnia miecz podała,
A ta młodsza zapłakała.
„„Nie płacz, siostro! za trzy lata
„„Obaczysz ty z wojny brata.“ “

Nie wyszłoć tam rok, półtora,
Wojennicy jadą z pola.
„Pytam się was, wojennicy,
„Jeźliśta téż z wojny wszyscy?“

„„Wszyscy'm, wszyscy'm, bez jednego,
Bez braciszka, bez twojego.
Hajnu (oto) leży na Podolu,
Leży główka na kamieniu.
Konik jego koło niego
Grzebie nóżką, żałuje go.
Wygrzebałci wpół kolana,
Żałujący swego pana:

Kiedym był u swego pana,
Jadałem (żerałem) ja gołe ziarna;
A terazci z prostéj słomy
Obierzą mię krucy, wrony.
Ni ja sieczki (owsa), ni ja siana,
Jeno we krwi wpół kolana.“ “
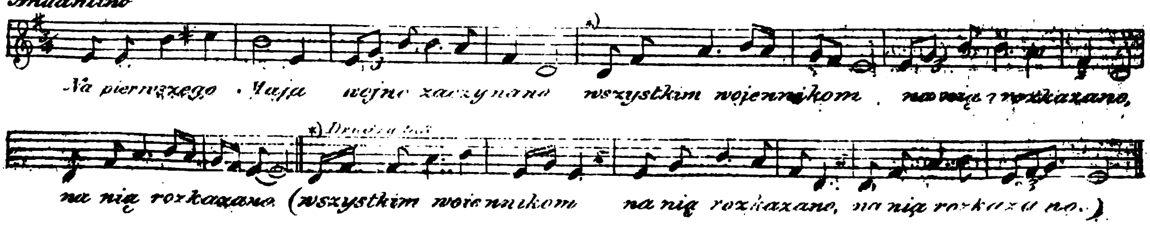
Na Podolu gawron kracze,
Siostra brata swego płacze.
„Nie płacz, nie płacz, siostro moja,
Już u Boga dusza moja.“

Jeszcze druga podobna.

Pod zielonym laskiem
Ptaszeczki śpiewają,
A mego Jasieczka
Na wojnę wołają.
Oj jużci wołają, *a)*
Koniczek siodłany.
„Komuż mię zostawisz
„Mój Jaśku kochany?“
„„Zostawię cię têmu,
Co nad nami w niebie,
Aż za roczek, za dwa,
Wrócę się do ciebie.“ “
Siódmy roczek idzie,
Jak się wojna toczy;
„A po moim Jaśku
„Nie oschną me (moje) oczy.“
Idą wozy, idą,
Wozy za wozami;
„A mego Jasieczka
„Niemasz między nimi.“ *b)*
Odezwałci jéj się
Już leżący w żłobie:
„„Idź, Maryś, do domu,
„„Odpoczywaj sobie.“ “
Biegła Maryś, biegła,
Bez (przez) wojsko krzycząc;
Żołnierze ją cieszą,
Winem częstujący.

---

a) *Drudzy:* A niechże wołają.
b) *Drudzy przyłączają ten koniec:*
I poszłać go szukać
Po gorącym piasku;
Odezwał ci jéj się:
„Nadobny robaczku!“



Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Red. J. Łukaszewicz.)

Przyjaciel Ludu.

Rok szósty. **No. 7.** **Leszno,** *dnia* **17.** *Sierpnia* **1839.**



Godefryd de Bouillon i dwaj aniołowie.

Godefryd de Bouillon i dwaj aniołowie.

Gdy Chrześcianie w roku 1099 Jerozolimę opanowali, pierwszém staraniem ich było: obrać z pośród siebie kogo, któryby był najgodniejszym panować w tych świętych miejscach i wstąpić na tron Dawida. Kandydatami, których głos publiczny do tego dostojeństwa wzywał, byli: Tankred, książę Normandyi, hrabia Flandryi i Godefryd. Lecz Tankred szukał tylko sławy z oręża, a miano rycerza przekładał nad zaszczyty berła. Robert, książę Normandyi, był z przyrodzenia swego słabym; wzgardził królestwem angielskiém, miałżeby się ubiegać o tron jerozolimski? Hrabia tuluski miał wielu nieprzyjaciół i lękano się jego dumy. Hrabia Flandryi wzdychał za powrotem do Europy, aby żyć w spokoju na łonie familii. Wszystkich oczy zwróciły się więc na Godefryda; tymczasem mogli się zgłosić inni współubiegacze.

Postanowiono, mówi sławny francuzki historyk krucyat (Maimbourg), aby rada, złożona z dziesięciu najznakomitszych osób z pośród duchowieństwa i wojska, wybrała króla wskrzeszonéj Jerozolimy. Nakazano modlitwy, posty i jałmużny, aby niebo raczyło przewodniczyć w wyborze. Rada nieszczędziła żadnych starań, aby zgłębić opinią jego o każdym dowódzcy. Wilhelm z Tyru opowiada, iż troskliwość swoję w téj mierze tak dalece posunęła, że badała ściśle i pod przysięgą rodziny i sług tych, którzy sięgali po koronę jerozolimską, o obyczajach, charakterze i najskrytszych skłonnościach ich panów. Słudzy Godefryda de Bouillon złożyli najpiękniejsze świadectwo o jego cnotach domowych, a w swojéj prostocie wyrzucali mu tylko jednę wadę, to jest, iż z zbytnią ciekawością przypatrywał się obrazom i malowidłom po kościołach, zatrzymując się w nich tak długo, nawet po nabożeństwie, że często zapominał o godzinie obiadowéj, i że potrawy, na stół przygotowane, stygły, smak tracąc. Łatwo jest, dodaje Pan Michaud w przypisku, poznać, że jeden z tych sędziów musiał być doskonałym kucharzem, drugi szafarzem.

Przywodzono na pamięć przysługi księcia lotaryngskiego w wojnie świętéj; przypominano sobie, że w oblężeniu Nicei zgładził ze świata najniebezpieczniejszego z Saracenów; iż przebił na moście antyocheńskim olbrzyma; iż w Azyi mniejszéj naraził na niebezpieczeństwo życie własne w obronie żołnierza, ściganego od niedźwiedzia. Opowiadano o nim wiele innych rysów odwagi, która już sama w opinii Krzyżowców wynosiła go nad wszystkich innych wodzów.

Tym sposobem Godefryd zyskał dla siebie wszystkie głosy ludu i wojska; aby zaś na niczem niezbywało jego prawu do najwyższéj władzy, aby jego wyniesienie we wszystkiem zgadzało się z duchem czasu, zdarzyło się, że cudowne objawienia ogłosiły go królem poprzednio. Książę lotaryngski pokazał się we śnie wielu osobom wiary godnym; jednéj, siedząc na tronie z samego słońca, otoczony ptakami niebieskiemi, obrazami pielgrzymów; drugiéj, trzymając w ręce lampę, podobną do gwiazdy nocnéj i wstępując po złotéj drabinie do niebieskiego Jeruzalem; trzecia osoba widziała na górze Sinai bohatera chrześciańskiego, którego dwaj posłańce boscy pozdrawiali i którego zadaniem było prowadzić i rządzić lud wybrany.

To ostatnie objawienie, P. Frederyk Madrazo, młody malarz hiszpański, wystawił w obrazie, którego rys czytelnikom pisma naszego załączamy. Koloryt i światło zalecają nadewszystko ten obraz, który z resztą zrobionym jest w wielkich pomiarach. — Wiadomo powszechnie, że rada ogłosiła królem Godefryda. Nominacya ta wznieciła największą radość w wojsku. Zaprowadzono króla w tryumfie do kościoła grobu Zbawiciela, gdzie złożył przysięgę, że będzie szanował prawa, honor i sprawiedliwość. Nie przyjął diademu i innych oznak godności królewskiéj, mówiąc, iż nieprzyzwoita jest rzecz nosić tam koronę złotą, gdzie Jezus Chrystus, syn Boga, nosił koronę z ciernia w dniu swego umęczenia. Jedna kronika włoska utrzymuje, że Godefryd koronowany był koroną ze słomy.

Przestał, mówi M. Michaud, na skromnym tytule obrońcy wiary i tytule barona grobu świętego. Utrzymują, iż w tym względzie słuchał rady duchowieństwa, które się obawiało, aby duma nie zasiadła na tronie, na którym duch Jezusa Chrystusa powinien był panować. Cóżkolwiek bądź, Godefryd zasłużył przez swe cnoty na tytuł króla, który mu historya nadała i który mu był daleko przyzwoitszym, niż tytuł królestwa jego słabemu państwu. *C.*

Do redakcyi Przyjaciela Ludu.

Należąc od lat kilku do liczby prenumeratorów Przyjaciela Ludu, czytywałem w piśmie tém zawsze z największem upodobaniem artykuły, które uwagę czytelnika na przeważne przodków czyny i dzieła, na zdarzenia i pomniki przeszłości, nareszcie na rodzinną ziemię, przyjemnie zwracają. Sądząc, że to uczucie, ten smak mój podziela większa część czytelników Przyjaciela Ludu, przeséłam redakcyi do umieszczenia list jednego z przodków moich, opisujący w krótkości przyjęcie na ziemi naszéj Ludowiki Maryi, drugiéj małżonki Władysława IV.

R. S.

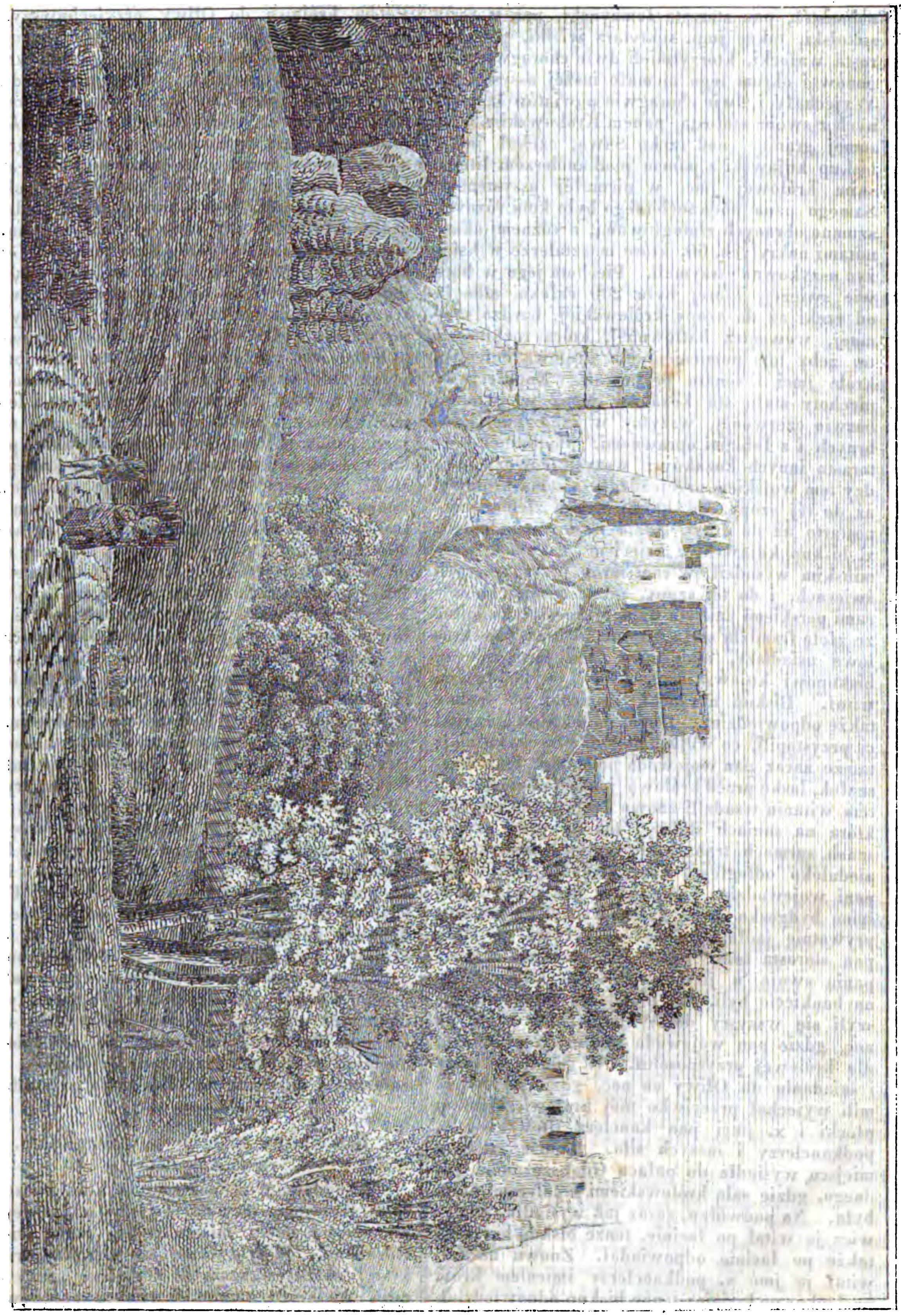
„Wczora o południu wrócił mi się czeladnik, któregom umyślnie słał do pana starosty, szwagra mego, dawając mu znać o złem zdrowiu pana ojca. We Gdańsku, nie w Lemburgu, królowa jmć mięsopustowała. We czwartek tłusty zajechali drogę za granicę ćwierć mili urzędnicy królowéj jmci, jakoto pan wojewoda pomorski,

ochmistrz, pan starosta łomżyński, pan starosta sokolski, także jmp. sekretarz wielki, pan starosta wałecki, którzy mieli dwie chorągwie dragonów i okrom tego niemało inszéj assystencyi. Wyjechały i dwie chorągwie powiatów tamecznych z swoim starostą, panem Krokowskim. Na saméj granicy, nad rzeką Sawą, czekał jmks. biskup kujawski z panem podkanclerzem litewskim królowéj jmci w niemałéj assystencyi. Samego pana podkanclerzego było koni różnych szumno ubranych złotogłowami, a różnemi aksamitami nakrytych, 60, które masztalerze w księżyc uszykowane trzymali. Piechota jego w barwie świeżéj, któréj było 200 człeka, stanęła od rzeki aż do szopy królewskiéj, bardzo szumnéj, wewnątrz haftowanéj, którą rozbito na to, żeby tam pomienieni jmć królową imieniem króla jmci i senatu przywitali. Naprzeciwko piechoty stało sto kozaków jegoż w świetnéj barwie czerwonéj, wszyscy w rządzikach srebrnych i z łubiami oprawnemi. Podle nich półtorasta innych kozaków; wszystkie wozy między tém wojskiem przejeżdżały i sama królowa, aż do téj szopy, od któréj sukno zielone rozpostarto aż do drogi, gdzie królowę z lektyki x. biskup kujawski z księciem biskupem warmińskim wysadził, w sam mrok przy jarzęcych świecach, i do téj szopy, gdzie ziemia kobiercami perskiemi nakryta była i krzesło aksamitne ze złotą frandzlą stało, zaprowadzili. Tam królowa usiadłszy, audyencyą dała jmci księdzu biskupowi kujawskiemu, który ją po łacinie witał. Biskup auryacki, Francuz, po łacinie także odpowiedział. Potém do pocałowania ręki ci przystąpili, co wyjechali byli przeciwko niéj; tamże zaraz pan wojewoda pomorski, jako marszałek, laskę przed królową jmcią podniósł. Po tém witaniu wsadzili znowu królowę do lektyki, która na saniach stała, i tak ją przy szyposzach, surmach, trąbach, do zamku lemburskiego, niedaleko odległego, zaprowadzili, gdzie jmć pani wojewodzina pomorska z jmć panią starościną bydgoską drogę zajechały. Tam królowa prywatnie jadła, przecież służył jéj do stołu pan starosta łomżyński. PP. posłowie z kompanią swoją u jmci x. biskupa kujawskiego na bankiecie byli. W piątek po śniadaniu, ruszyli się wszyscy do Wejerowskiéj Woli na noc, gdzie pan wojewoda malborski prowiantu dla królowéj przysposobił. W sobotę po mszy i śniadaniu do Oliwy na noc, gdzie na ćwierć mili wyjechał przeciwko niéj królewicz biskup płocki i x. jmci pan kanclerz litewski i x. podkanclerzy i inszych siła. Tamże na tem miejscu wysiadła do pałacu Gdańszczanina jednego, gdzie sala królewskiemi szpalerami obita była. Na podwórzu, zaraz jak wysiadła, królewicz ją witał po łacinie, tenże biskup auryacki także po łacinie odpowiadał. Znowu na sali witał ją jmć x. podkanclerzy imieniem króla jmci także po łacinie; tenże biskup odpowiedział. Potém królowa do Oliwy przyjechawszy, do kościoła naprzód wysiadła, z którego frauncymer polski z panią Rawską naprzeciw do karety wyszedł i do kościoła w ostatniéj godzinie wprowadził, gdzie do drzwi opat pontificaliter ubrany wyszedł. Muzyka królewska: *Te Deum laudamus* grała; opat modlitwy przed ołtarzem, za szczęśliwy przyjazd królowéj panu Bogu dziękując, odprawił. Potém królowa do pokoju, obiciem królewskiém ozdobionego, zaprowadzona, jadła prywatnie. W niedzielę mięsopustną, po mszy i śniadaniu, do Gdańska się ruszyła. Gdańszczanie, lubo w Oliwie przez dwu radnych imieniem wszystkich witanie odprawili, wyszli wszyscy naprzeciwko królowéj. Piechoty ich po wałach pełno było, i nadto od pierwszego przedmieścia począwszy, piechota pod bronią przez całe miasto szła, któréj na kilkanaście tysięcy rachują. Konnych także tysiąc, i lepiéj, mieli, którzy wprzód wjeżdżali; za nimi różna jazda panów posłów, toż dopiero kalwakata przed karetą królowéj aksamitną, którą jéj król przysłał. Wszyscy PP. senatorowie i królewicz konno ją wprowadzali; przy karecie pan starosta czorsztyński, jako koniuszy, a za karetą młódź wszystka panów posłów. W sam mrok do Gdańska wjechała. Nazajutrz w poniedziałek bankiet publiczny na srodze wielkiéj sali, muzyka królewska na dwu gankach; podle królowéj, po lewej ręce, siedział królewicz, a w końcu stołu poseł francuzki, co tu dawno mieszka, a podle niego po prawéj ręce posłowa, co z królową przyjechała, Madame Guebriant. Biskup auryacki nie był na tym bankiecie, bo mu nie chciano dać miejsca u stołu królowéj. Panowie senatorowie po jednéj stronie sali, a frauncymer po drugiéj siedzieli. Łuki tryumfalne, race i insze ognie, komedye, tańce, maszkary, przed pałacem przy świecach jarzęcych srodze szumne, trudno szczegółowo opisać, boby i papieru i czasu więcéj na to trzeba. Dość na tem, że i królowa bardzo kontenta i Francuzowie zadziwieni byli, że się oni na nic podobnego zdobyć nie mogli. W popielec była królowa na Latarni, gdzie ją Gdańszczanie i assystencyą wielkim dostatkiem częstowali, i prochu na sali siła napsowali. W przeszły poniedziałek wyjechała królowa do Czczewa, zkąd się uda do Nieporętu, gdzie do środopostnéj niedzieli wytchnąć ma; tam jéj dopiero król zajachać i do ślubu do Warszawy prowadzić.“

Rozwaliny zamku w Odrzykoniu.

(Z obrazów Galicyi.)

W oddaleniu jednéj mili za król. miasteczkiem Krosnem, leży na równinie, ciągnącéj się ku obwodowemu miastu Jasłu, mała wioska Odrzykoń. W tyle wznosi się wysoka góra, na któréj skalistym szczycie powalone gruzy niegdyś wielkiego zamku Kamieńca spoczywają.



Rozwaliny zamku w Odrzykoniu.

Ztądto przedstawia nam się daleki i pyszny widok, jak rzadko znaleść można. Przed sobą mamy urodzajną równinę, przerzniętą wieloma zagięciami rzek Wisłoki i Lubatówki. Na przodzie ku południowi wychylają się z niebieskiego morza powietrznego mgliste szczyty Bieszczadów — ciągnącego się pasma Karpat — z pomiędzy nich wystaje najbardziéj góra *„Cergowa“*, u któréj stóp wierzchołki wież miasta Dukli dostrzedz można; daléj ku południowo-wschodniéj stronie, widać błyszczące w promieniu słonecznym dachy miasteczka Rymanowa, co niezwykłe sprawia wrażenie. Pod górą zamkową spoczywają w wiejskiém zaciszu: przemysłowe miasteczko Korczynna, znane z swych wyrobów obrusowych, i park angielski we wśi Kąbornia z kształtnym pałacykiem. Ku północy mniéj rozmaitszą staje się okolica; bystre, lasem porosłe, skałami i złomami pokryte wzgórza, ograniczają widok. Ku zachodowi buja roskoszą upojone oko po nad równiną, wieloma miejscami obsianą, na któréj się szczególniéj ładnie Jasło, Ulaszowice, Moderówka, Gorajowice, Tarnowiec i Krosno wydają.

Zamek sam należał niegdyś do największych w kraju; północno-zachodnia część jego najmniéj jeszcze ucierpiała. Obszerny cztero-graniasty dziedziniec, strzegą wysokie mury, na skałach spoczywające. W południowo-zachodnim końcu wznosi się cztero-graniasta baszta, w środku zaś widać ślady stajen i piwnic. Do tego przytyka wysoki, na stromych skałach sztucznie wystawiony gmach, niegdyś o kilku piętrach. W skałach widać wykute wschody i framugi, kamienne osady drzwi i okien, nad któremi się zewnątrz herb Firlejów znajduje, opierają się dotąd niszczącemu czasowi i udzielają dalekiego widoku na romantyczne okolice. Na wierzchu w murze są strzelnice i małe chodniki, a daléj była trzykątna zbrojownia z gotycką kamienną bramą. Za nią prowadził sklepiony kurytarz do kaplicy zamkowéj, gdzie dotąd jeszcze szczątki kamiennéj kazalnicy widać. Obraz ołtarzowy, przedstawiający św. Antoniego, przeniesiono do farnego kościoła w Odrzykoniu. Po kaplicy zamkowéj następuje reszta już mniéj obronnych pokojów mieszkalnych, opatrzonych dokoła murem otaczającym, bramą zajezdną i obszernym dziedzińcem, w którym się głęboka, w kamieniu kuta, teraz już zasypana studnia znajduje. Mocna baszta i wysoka kamienna wedeta, kończą całe długie zabudowanie zamkowe. Całe to wzgórze, otoczone było głębokiemi okopami i wałami, także krętą drogą zamkową, która do kilka-milowego podziemnego ganku prowadziła.

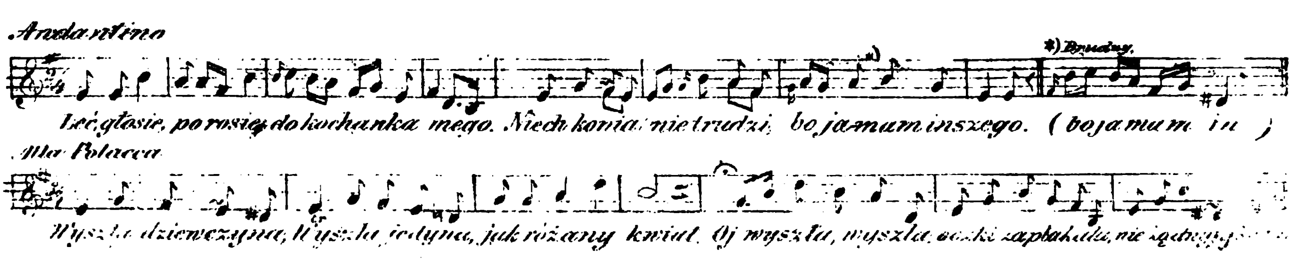
Zbudowanie zamku tego, dla skalistego swego położenia *„Kamieniec“* zwanego, przypada w czasy najdawniejsze. Z początku zdaje się, że to było do nabożeństwa od starych pogan używane miejsce, albowiem dotąd jeszcze widać ślady widoczne pogańskiego ołtarza kamiennego w wedecie zamkowéj, który co do kształtu zgadza się zupełnie z wszystkiemi innemi dotąd odkrytemi. Późniéj przeszedł zamek Kamieniec, tworzący oddzielne, Krosno obejmujące starostwo, w posiadłość rodziny Bonarów, Firlejów i Moskorzewskich, którzy tutaj, podług podania, byli zwolennikami aryjanizmu. W 17tym wieku był własnością Kamienieckich. Ragotzi podczas napadu swego w Polsce oblegał zamek ten przez długi czas bezskutecznie. Załoga omamiła — jak to podanie głosi — oblęgających przez zrzucanie ryb suszonych, aby ukryć niedostatek żywności. Lecz gdy już największa nastąpiła potrzeba, umknęła załoga przez ganek podziemny z zamku, a rozjuszony tym podejściem Ragotzi, nasycił wściekłość swoją zburzeniem zamku. Kaplica zamkowa przez długi czas jeszcze w całości stała, a jeszcze przed kilkoma laty żył tamże we wśi stoletni starzec, który w młodości swéj do mszy św. w kaplicy téj sługiwał. Kościół Kapucynów w Krośnie wystawiono prawie całkiem z kamieni ciosowych, z zamku branych. Dotąd jeszcze wyciąga chciwość z szanownych gruzów kamień po kamieniu i z dziką obojętnością niszczy zabytek, któryby długi czas mógł być jeszcze ozdobą kraju.

Zamek w Odrzykoniu pamiętny jest także mieszkaniem sławnego w 15tym wieku przepisywacza rękopisów, Janą z Odrzykonia.

Pieśni, które lud wiejski w okolicach Osterode, w Prusach wschodnich, śpiewa.

(Dokończenie.)

Leć głosie
Po rosie



Do kochanka mego,
Niech konia nie trudzi (swego konia),
Bo ja mam inszego.
»Nie mój koń,
»Nie mój koń,
»Jeno brata mego;
»Dajże mu, najmilsza,
»Owiesku gołego.«
Nie dam owsa,
Nie dam owsa,
Bom go nie nasiała.
»Dajże mu, najmilsza,
»Z ogródeczka siana.«
Nie dam siana,
Nie dam siana,
Bom go nie nasiekła.
Padał deszcz, padał deszcz,
Woda z nieba ciekła.
»Świeć miesiąc
»Świeć miesiąc,
»Gwiazdeczko na niebie!
»Puśćże mnie, dziewczyno,
»Puśćże mnie do siebie.«
»Tom stojał,
»Tom wołał,
»Nie chciałaś otworzyć.
»Musiałem główeczkę
»Na prożek położyć.
»Główkę na próg,
»Główkę na próg,
»Boczek na kamiuszczek.
»Bolał mnie mój boczek
»Bez całuchny roczek.

Wyszła dziewczyna,
Wyszła jedyna,
Jak różany kwiat.
Oj wyszła, wyszła,
Oczki upłakała,
Nie żądny jéj świat.

»Czego, dziewczę, płaczesz,
»Czego tak narzekasz,
»Najmilsza moja?«
»»Jak ja nie mam płakać,
»»Jak nie mam narzekać;
»»Nie będę twoja.««

»Będziesz, dziewczyno,
»Będziesz jedyna,
»Będziesz dali Bóg;
»Ludzie mi cię rają
»I rodzice dają,
»I sam sędzia, Bóg.«

»»A Bóg że wam zapłać,
»»Moi mili ludzie,
»»Co (że) mię raicie.
»»Oj będzieć ze mnie
»»Dobra gospodyni;
»»Sami widzicie.««

Bitwa pod Kircholmem.

(Dalszy ciąg.)

Pomimo wszystkich korzyści, nader przykre było położenie Chodkiewicza, cała jego skupiona siła zaledwie wynosiła 3400 ludzi i to powiększéj części jazdy. Codzień wyprawiał gońców do Warszawy, aby zniewolić Zygmunta do nadesłania posiłków; lecz zawsze, podług zwyczaju, obiecywano tylko, a skutku nie można się było doczekać; przeto w końcu zniecierpliwiony, widząc się opuszczonym od króla i narodu, i niepodobieństwo opierania się dłużéj z taką garstką tyle przeważnéj sile, nieodmiennie postanowił, wysadziwszy wszystkie twierdze w powietrze, wydać walną bitwę. — Z przedsięwzięciem zwyciężyć albo zginąć, o niczém więcéj nie myślał, jako tylko o wybraniu dogodnego stanowiska, w któremby nieprzyjacielowi czoła śmiało nadstawiać mógł, raczéj w myśli drogo sprzedania życia, aniżeli w nadziei świetnego zwycięztwa, które mu się niepodobném prawie wydawało. Nie mogąc przeszkodzić połączeniu się wszystkich sił szwedzkich pod Parnawą, bo miał całą swą siłę w jeździe, dla czego unikać musiał brzegów morskich, ani rozdzielić takowych, aby w pojedyńczych oddziałach Szwedów stłumić, pod Kiessą w otwartém i dogodném stanowisku okopawszy się, czekał na nieprzyjaciela.

Szwedzi całą potęgę zwrócili na Rygę. — Chodkiewicz chciał zawsze na odsiecz miastu temu być gotowym; korzysta więc z ciemnéj nocy, uwodzi czujność nieprzyjaciela, w największéj cichości zwija obóz i przyśpieszonym pochodem staje pod miasteczkiem Iskulą, cztery mile od Rygi, pod zasłoną Kircholmu; pewny, że nieprzyjaciel zbliska widząc wojsko jego strudzone pochodem, zniecierpliwiony ustawicznemi harcami, przyjmie bitwę, na którą hetman teraz zupełnie był przygotowany. Twierdza Kircholm stała niegdy o dwie mile od Rygi, na wyspie rzeki Dźwiny, zbudowana w r. 1160 przez Meinharda, biskupa inflantskiego, który z kupcami niemieckimi przybył do Inflant pierwszy dla przepowiadania wiary chrześciańskiéj. Dziś gruzami świeci tyle świetna narodowa pamiątka, jak i wiele innych pomników ubiegłéj chwały!

Karól wycieńczony kilkokrotnym nadaremnym szturmem do Rygi, poprzestawał na uważaniu obrotów Chodkiewicza, przez mocne straże, na wszystkie strony rozesłane, — lecz na zebranéj teraz radzie wojennéj Szwedów postanowiono, że wprzód znieść należy siły polskie, zanimby się stanowcze oblężenie rozpoczęło, bo obecność Chodkiewicza ożywiałaby ducha oblężonych i udaremniała zdobycie Rygi, a nawet dla tego, ponieważ bardzo wielkie było prawdopodobieństwo zniesienia garstki Polaków, tyle przeważną siłą. — Lecz gdy Szwedzi, zaledwie

do wśi Blumenthal dotarłszy, ostrzeżeni przez szpiegów zostali, że ich Chodkiewicz w szyku sprawionym z całą gotowością czeka, obawiali się jakiego podstępu, i gdy ulewna burza użyć broni palnéj nie dozwalała, przeto jeszcze wojska wstrzymały się w odległości trzechmilowéj od siebie.

Chodkiewicz lubo pragnął stanowczéj bitwy, wiedział jednak dobrze z kim miał do czynienia, umiał ocenić męztwo Szwedów, dla tego nie zaniedbał żadnych ostrożności i zabiegów wojennych. Zewsząd odbierał wiadomości od rozesłanych szpiegów, o zbliżeniu się, siłach, obrotach i całém położeniu nieprzyjaciela; lecz oczekiwał jeszcze, lubo niecierpliwie, na posiłki, które mu nadesłać przyrzeczono uroczyście i których codziennie spodziewał się, a które chociażby, nie nadeszły, osądził, że zawsze chwilę walki wypadało odciągnąć przynajmniéj tyle, ażby już konieczność ostatnia i rozpacz powodowała, a okoliczności za pomyślne prawdopodobieństwo ręczyły; wiedział albowiem, że w nim cała obrona téjtu ściany ojczystéj, ale nietracąc nadaremnie czasu, coraz umacniał stanowisko; rozesłał także z swéj strony liczne zwiady, aby uniknąć podejścia i być panem okoliczności, tudzież trapił Szwedów ciągłemi podjazdami, słowem, znał i umiał, jakto po hetmańsku rozrządzać wojskiem w polu.

Karól szwedzki pyszny liczbą, wstrzymawszy się tylko nieco, aby uchwycić jak najdogodniejszą do boju chwilę, w tém wytchnieniu jeszcze rozogniał żołnierstwo obietnicą podwójnéj po zwycięztwie płacy, naprzód obdzielił wodzów swoich zdobyczami obozu polskiego i chcąc ile można przywiązać do siebie i ożywić zapał powszechny, dał świetną ucztę dla całego wojska, wszystkich zaś wyższego stopnia wojskowych do siebie zaprosił; rozlewało się rzęsisto wino; kosztownych darów, pochlebnych słówek, niczego nie zaniedbał, co tylko w swojém uważaniu rzeczy rozumiał, że wpływa na serce ludzkie; tego tylko nie wiedział, że czucie, męztwo, zapał, czuciem jedynie, męztwem i zapałem natchnąć można; zabiegi polityczne wprawdzie na chwilę ułudzić namiętności ludzi są zdolne, lecz nie wzruszą szlachetnych uniesień; żimno, po wierzchu, obejdą człowieka.

Już długo ciągnęła się biesiada, kiedy wtém przed króla przyprowadzono Krajewskiego, w utarczce przednich straży pochwyconego; wspaniała, rycerska, prawdziwie wojenna jego postawa, świetne i olbrzymie całe uzbrojenie, na barkach zwieszona skóra lamparcia, zwróciły na niego wszystkich biesiadników oczy, jednając mu powszechny szacunek; a on bynajmniéj przygodą niezmieszany, w znaczącém milczeniu, jak gdyby wyzywał kogobądź na zapytania. Jenerałowie szwedzcy długo wpatrując się z uniesieniem w poważne Krajewskiego oblicze, szeptali sobie nawzajem najpochlebniejsze dla niego uwagi, a Mansfeld najwięcéj uderzony szlachetnemi rysy, nie będąc w stanie powściągnąć podziwienia, wyrzekł do króla: „jeśli wszyscy Polacy, miłościwy panie! są do tego człowieka podobni, ani wątpić, że bardzo krwawy bój jutro stoczyć nam przyjdzie.“ Pochwała ta mocno dotknęła Karóla, odparł więc z gniewem: „włóż i ty na siebie wilczą skórę, a równie strasznym będziesz: jakże można z jednego brać wyobrażenie o wszystkich.“ — Gdy taki obrót rozmowa przybrała, Krajewski uprzedzając obelżywe pytania, prosił o głos i przemówił: „Wojsko nasze, najjaśniejszy książę, jest mocno pochodem strudzone, nieliczne, ledwie półczwarta tysiąca wynoszące; posiłków dopiero za dwa tygodnie oczekujemy; jednakże hetman mój, i w téj szczupłości sił, bój z wami stoczyć zupełnie jest gotów; oto czeka w szyku. „Jakto, czeka w pogotowiu do walki!“ z przyciskiem odpowie Karól; „to nie na jego roztropność obwołaną, dążyć lekkomyślnie na oczywistą, przeciwnie dla niego zgotowaną zgubę.“ Tu znowu wojskowi szwedzcy, otaczający króla, którzy godnie oceniali męztwo i rozwagę Chodkiewicza, nie wahali się głośno oddać mu zasłużoną sprawiedliwość; uniósł się wprawdzie Karól jeszcze mocniéj jak pierwéj, ale powściągnął swój gniew na chwilę, bo osądził, że nie była to pora, dniem przed bitwą jątrzyć przeciw sobie umysły wojskowych; nawet rozkazał rozciąć więzy jeńcowi, opatrzyć starannie rany jego; co więcéj, przypuścił go do stołu razem z sobą; przecież rozmowa ta cała przetrwała wieki, albowiem charakter ludzi nie tylko w natłoku nieszczęść i przeciwności, ale owszem tym mocniéj na szczycie blasku i potęgi odznacza się całkiem; nie tylko w wielkich czynach, gdzie człowiek z całą rozwagą występuje, ale owszem tym mocniéj w drobnych na pozór odcieniach uczucia, kiedy mu z natchnienia, bez namysłu, działać przychodzi.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Jan Fryderyk Sapieha.

Możny niegdyś, a dziś już niknący dom Sapiehów, odznaczał się zawsze dzielnością w boju, mądrością w radzie; słynął szablą i piórem. Lew Sapieha był wierną i zdrową radą Zygmunta III. Na Piotra Sapiehy, starosty uświatskiego, przeważne czyny, patrzały Moskwa i Wołochy; miecz jego szczerbił się o bramy Kremlina. Alexander Sapieha, wojewoda mścisławski, wyświadczył krajowi ważne posługi pod Smoleńskiem i Chocimem. Wstępowali w ślady swoich przodków następni Sapiehowie, a chociaż za panowania Augusta II. zaburzyli Litwę i przelewali krew współbraci, przecież wnet z tego obłąkania powrócili na tór prawy i wiek nasz jeszcze zapatrywał się na rzadkie cnoty



Jan Fryderyk Sapieha.

obywatelskie w Kazimierzu Sapiesze, marszałku wielkiego sejmu, i wielbił naukę i poświęcenie w Alexandrze Sapiesze, mężu uczonym, który bibliotekę towarzystwa przyjaciół nauk hojnie i wspaniale wzbogacił.

Z takiego rodu pochodził Jan Fryderyk Sapieha, którego wizerunek rycina niniejsza przedstawia. Urodził się przy schyłku 17go wieku z Kazimierza Sapiehy, wojewody trockiego. Nauki odbył w Brześciu, Lublinie i Warszawie, w kollegiach jezuickich. Zostawszy starostą brzeskim w młodym bardzo wieku, zwiedził obce kraje, Niemcy, Holandyą, Anglią i Francyą, ćwicząc się w językach i umiejętnościach. Powróciwszy do kraju, sprawował rozmaite godności, a nasamprzód był referendarzem w. x. litewskiego. August II. polubił go i wyniósł na kasztelanią mińską; wkrótce potém posuniony został Sapieha na kasztelanią trocką, na kanclerstwo wielkie w. x. lit. i ozdobiony orderem orła białego. Przychylność współziomków, którą sobie cnotami i uprzejmością zjednać umiał, oddała mu laskę marszałkowską trybunału litewskiego roku 1729. Umarł jakoś w środku panowania Augusta III.

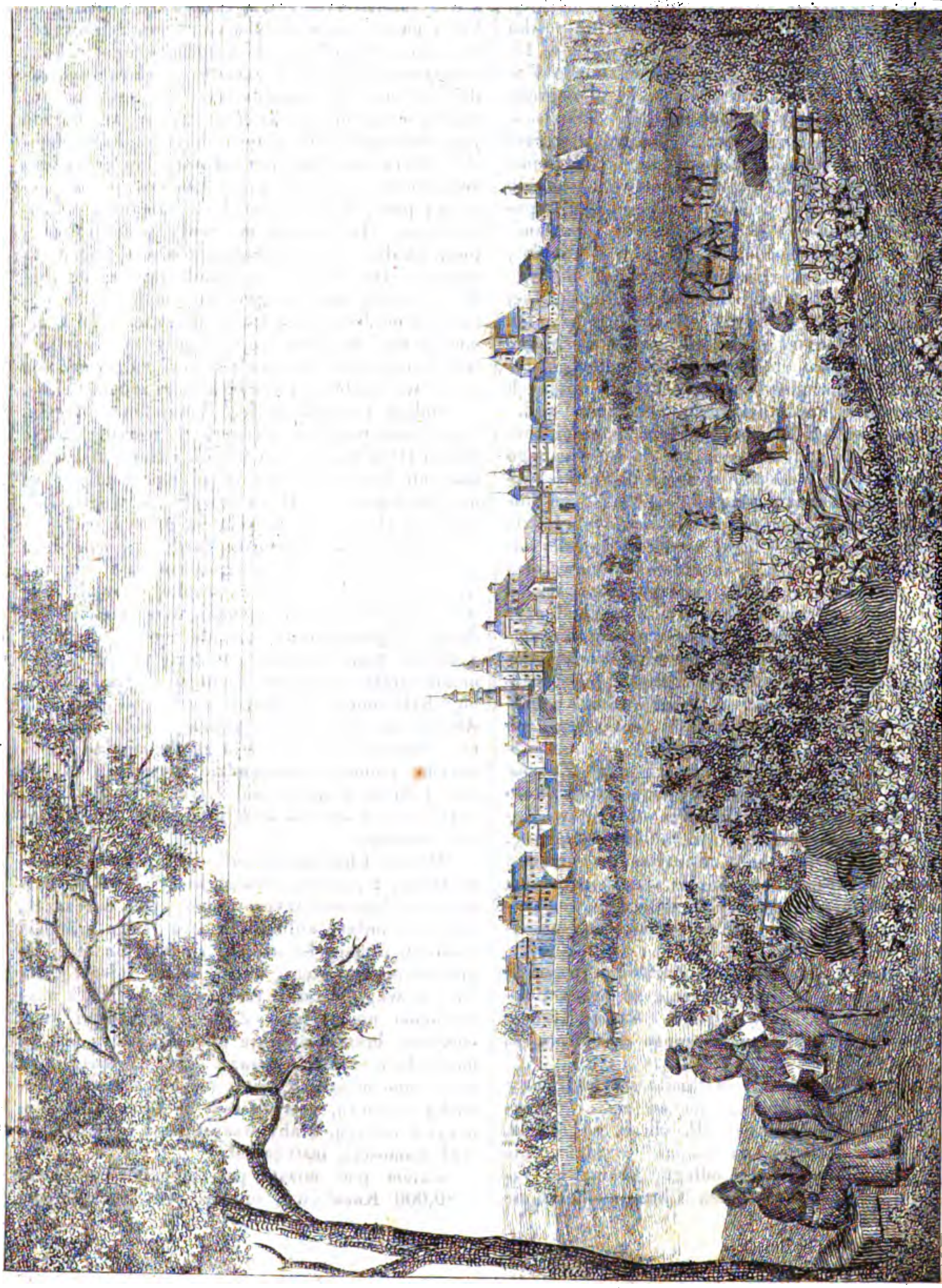
Jan F. Sapieha należy do owych mężów, którzy nauki w kraju naszym za Augusta III. własnemi pracami, zachęcaniem innych i ofiarami majątku dźwigali. Uczeń niegdyś Jezuitów, sprzyjał do śmierci temu zakonowi, i w zatargach z Pijarami wileńskimi, był jednym z głównych jego filarów. Kochał się w książkach, i w Kodeniu, majętności swojéj, zebrał piękną bibliotekę, złożoną powiększéj części z pisarzów krajowych. W tém samém miejscu wzniósł wspaniałą świątynię, uposażył ją i wyniósł do rzędu kollegiat. Wolne od zatrudnień publicznych chwile, poświęcał naukom, i zostawił po sobie następujące dzieła:

1. *Adnotationes historicae de origine, antiquitate, excellentia heroici ordinis equitum aquilae albae etc. Coloniae* 1730. 4.
2. *Historya rewolucyi zaszłych w rządach rzeczypospolitéj rzymskiéj* (*z Wertota*). *W Warszawie* 1736.
3. *Historya obrazu kodeńskiego Panny Maryi. W Toruniu* 1720. *4to.* (*Dzieło to wydał pod nazwiskiem Walickiego.*)
4. *Zbiór różnych mów. W Lublinie.*

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (*Red. J. Łukaszewicz.*)

Przyjaciel Ludu.

Rok szósty. **No. 8.** **Leszno,** *dnia* **24.** *Sierpnia* **1839.**



Widok Zamościa.

Zamość.

Zamość, starożytne siedlisko potomków Floryana Szarego, którego męztwo, szlachetne rany na polu sławy odniesione i trafną odpowiedź, Władysław Łokietek na pobojowisku pod Płowcami hojnie nagrodził, leży w dawném województwie bełskiém, dziś w gubernii lubelskiéj. Rodzina Szarego, w czasie, kiedy szlachta polska zaczęła się od włości swoich nazywać (w 15. wieku), przybrała od Zamościa nazwisko Zamojskich, a wielki Jan Zamojski, w nagrodę niejako udzielonego przodkom jego nazwiska, z nic nieznaczącéj wioski Zamościa, utworzył w 16. wieku jedno z najporządniejszych miast polskich. Wystawił w niém mnóstwo na sposób włoski murowanych domów, wzniósł kilka wspaniałych kościołów, otoczył murem i wałami, sprowadził rozmaitych rzemieślników i kupców, osobliwie Ormian i Niemców, wyrobił dla jego mieszkańców u królów i Rzeczypospolitéj polskiéj korzystne bardzo swobody i ozdobił nowy ten gród, największym, jakim się miasto pochlubić może, zaszczytem, to jest uniwersytetem, sprowadziwszy do niego na nauczycieli uczonych mężów, jakoto: Birkowskiego, Bursiusza i t. d.

Odtąd miasto Zamość, stolica znacznéj bardzo ordynacyi, z tylu żywiołami do znamienitego podniesienia się, odegrało w dziejach Polski bardzo ważną w każdym względzie rolę. Jego uniwersytet wydał krajowi wielu uczonych ludzi; jego mury zasłaniały kraj nieraz od napaści najezdników, otwierały w zaburzeniach wewnętrznych przytułek spokojny mieszkańcom wsi i miast okolicznych; w jego świątyniach łączył się kościół wschodni ścisłemi węzłami z rzymskim (r. 1720); jego drukarnie wytłaczały mnóstwo ważnych i użytecznych dzieł; jego warsztaty i kramy zaopatrywały województwo bełskie, i inne, w rozmaite wyroby, rozszerzały po kraju przemysł i handel.

W świetnych swoich czasach miał Zamość przeszło 12000 mieszkańców; dziś ma ich około 6000; obszerny zamek, niegdyś ordynatów Zamojskich, piękny ratusz, wspaniałą kollegiatę, klasztór i kościół X.X. Bazylianów obrządku uniackiego, kościół ormiański; jest siedliskiem rozmaitych władz rządowych, stanowi mocną warownią i nie zbywa mu na rzemiosłach wszelkiego rodzaju.

Z licznych oblężeń, które Zamość wytrzymał, najpamiętniejszém jest oblężenie go przez Bohdana Chmielnickiego w r. 1648. Szczegóły tego oblężenia, wyjęte z współczesnego rękopismu, są następujące:

„Rozumieli wszyscy, że Chmielnicki od Lwowa już na Ukrainę pójdzie; ale od czerni okrzykniony, do Zamościa poszedł, chcąc go obledz, albowiem starszyzna na rabunki wysłana, nie miała bezpieczeństwa w odległą krainę na rabunki udając się. Władza Chmielnickiego nie zawsze była niezawisła, czasem musiał to czynić, co bunt kazał. Zaczém ruszywszy się z pod Lwowa, echo puścił, że pod Warszawę ciągnie, ale pierwéj Zamość ma odwiedzić.

Zamość, miasto i forteca, w ziemi chełmskiéj leży; przedtém mała wioska, Jelitów herbu gniazdo, trzy razy przebodzonemu kopiami w bitwie z Krzyżakami rycerzowi, zkupiwszy sąsiada, od króla na uleczenie oddana, w domu Jelitów zostawała; aż Jan Zamojski, kanclerz i hetm. w. kor., założywszy miasto, i fortecę regularną sporządził, Zamościem nazwawszy. Zakupił naokół wielką obszerność, i królewszczyzny, w nagrodę jego sławnych i odważnych akcyi, rzplta w ziemskie dobra obróciła, pozwoliwszy mu ordynacyą swéj fortuny uczynić, która konserwuje się possessyą pod jedném Zamojskich imieniem, aż dotychczas. Ta forteca ma wały podmurowane, fossy około wałów głębokie, nie wszędzie wodą oblane. Do téj fortecy, Władysław, margrabia Myszkowski, starosta grodecki, mając sobie poruczoną od Jeremiasza ks. Wiśniowieckiego kommendę nad dywizyą wojska, gdy tak wielkiéj rebellizującego Kozactwa potencyi zatrzymać nie mógł, we czterechset konnych ludzi rejterował się.

Dokąd Ludwik Wejer, kasztelan elbląski, z półkiem piechoty niemieckiéj wszedł; także Stefan Oborski, starosta liwski, i Bar, półkownik dragonii koronnéj, 300 ludzi wprowadzili; za nimi ks. Jeremiasza Wiśniowieckiego, węgierskiéj piechoty chorągiew, weszła na prezydium.

Przytém Jan Zamojski, ordynat, pan tego miejsca, 800 ludzi swym groszem na obronę tak téj fortecy, jako i zaszczyt rzpltéj chował, przy wszelkiéj ammunicyi wojennéj, w cechauzach będącéj, i prowiantach na oblężenie. Szlachta z domów pouchodziwszy, w tejże fortecy schronienie miała, z którymi rachując, 3500 ludzi do boju było, oprócz poddaństwa zewsząd zbiegłego. Armat, prochu, poddostatkiem, także puszkarzów umiejętnych, przytém zgoda między rycerstwem; jednego kommendzie poruczona ta forteca jednego pana, w należytym porządku była, a rzpltéj, że siła do nich interessuje się, mizernie niszczeją.

Wysłał Chmielnicki półkownika Niebuba, nazwanego, z przednią strażą, który chciał na rozmowę z Zamościa wyprowadzić kilku mieszczan, sam pod fortecę zbliżywszy się. Lecz z miasta wysłany trębacz kazał, aby się ztąd umknął, bo przełożeni w fortecy, zacni ludzie, niechcą dla swéj powagi w żadną rozmowę wchodzić, a mieszczanom nie wolno. Zaczém w nadziei swéj omylony, bramy miejskie otwarte, jak w pokoju na wałach rzadkie straże, czy z niedbalstwa prezydium mających, czyli téż lekce ważyli kozacką potencyą, powróciwszy do Chmielnickiego, uczynił relacyą, i aby wszystkiemi siłami dobywał Zamościa, instygował.

Zatém pod miasto przyciągnął Chmielnicki z 80,000 Kozaków, oprócz ordy zaciągnionéj

z Alimurzą i Wołochami. Tłum ten ludzi tylko ucierał się harcując, i okopy czyniąc. Chmielnicki pod wsią Łabanki stał, i tam rady czynił, jak miał szturmować do Zamościa, czas przewłócząc. Zatém półkownicy poczęli na Chmielnickiego narzekać: iż rozpiwszy się, o niczem nie myślisz, strach cię opanował; najbardziéj szalona głowa Czarnota, na Chmielnickiego czynił inwektywę, iż po wziętych w niewolą hetmanach, po zniesieniu wojsk polskich, po okupieniu się Lwowa, Zamość, prywatny zamek jednego Polaka, nie może naszéj potencyi wytrzymać; tylko, że hetman już począł folgować Polakom, z nimi mając skryte fakcye. Nie miło było słuchać Chmielnickiemu, zważając, co za głowa Czarnota, nie tylko nieprzyjaciel, ale i samego Chmielnickiego główny adwersarz.

Lecz daremna Kozaków była furya, już czas nie po temu był dobywać fortecy, dzień 4. Listopada jak pod Zamość podstąpili, mrozy i tumany wielkie, nie podobno było aproszów kopać. Zatém w kozackiem wojsku echo poszło, że się Zamość chce okupić. Chmielnicki chcący doświadczyć prawdy, wyprawił posłów, i list pisał, zaleciwszy posłom, żeby się informowali o potencyi fortecy, i o zamysłach broniących się. Najpierwéj Myszkowskiemu kłaniał się, odwiedzając zdrowie jego, i do szlachty znajoméj pisał, osobliwie do Wejera, rozumiejąc, że cudzoziemiec, do swéj onego zaciągając partyi: ale Wejer odpisał Chmielnickiemu żwawo:

„Że ja Wejer, jestem nietylko szlachcic polski, ale wraz i senator król. pols., kasztelan, w Zamościu mam kommendę, i na tém miejscu, przodków moich cnoty popierać, nie zdradą mazać staram się. Mam więcéj niż 3000 piechoty, którzy lubo wszyscy po niemiecku ubrani, jednak z Prus, Pomorza, Kaszub, Inflant i Kurlandyi zaciągniony żołnierz i z innych król. pol. należących prowincyi, jako żyć w wierności ojczyznie, tak pierwéj poledz, niż się zdradą zmazać dadzą. Jeżeli odstąpią rebellii i nieprzyjaznego umysłu Kozacy, będzie między nami zgoda, i wkrótce po obranym królu, złączymy siły i broń naszę, na nieprzyjaciela rzpltéj.“

Ażeby pokazał przed Kozakami ochotę swoję do szturmowania Zamościa, kazał Chmielnicki przygotować się wszystkim do attaku, przeciwko armatom porobić kosze ziemią nasypane, na kołach one pomykając, faszyn, słomianych snopów i innych do zapalenia przygotować rzeczy, gorzałki kufami wystawić w Majdanie, sam do Kozaków pijąc, zachęcał Kozaków czerń; sporządziwszy z grubego drzewa zakrywki, aby się za niemi od impetu kul mogli ukryć. Z tyłu zaś, obtoczyć kazał żerdziami i ostrokołami, aby nie uciekali we środku będący, i do téj machiny popojoną czerń kozacką, aby weszli, ordynował, i onę pomykał pod mury, a za nimi weteranów Kozaków doświadczone półki, przydawszy po bokach konne wojsko kozackie. Zatém dano z burzących armat ognia; to było hasło do zaczęcia szturmu; lecz powoli ciągnęła czerń sporządzoną machinę, obawiając się z przodu Polaków, a z tyłu od jazdy sztychów, któremi leniwych i tchórzów popychali do szturmu. Taki był z obu stron ogień, iż dzień mglisty rozjaśniał; z Zamościa jednak rzucane kule, więcéj Kozakom szkodziły, niżeli kozackie, bo ich tylko mury tłukły. Zaczém popojonym minęło i pijaństwo, że porzuciwszy machinę, uciekać poczęli, a co mieli zasłaniać weteranów, to onych pomieszali uciekając, osobliwie jak z miasta wypadli nasi, siła w téj klatce, jak na rzeź wysadzonych wycięli. Z miejskich murów jak dano z armat ognia, zaraz zabito humańskiego setnika, Kos nazwanego, i kapelana Chmielnickiego, przy nim stojącego, kula rozszarpała.

Zaczém zagniewany Chmielnicki, Czarnotę ordynował na mury od północnéj strony, jako żarliwie instygującego, aby do Zamościa szturmowano. Poszedł Czarnota, jako desperat, faszynami kazał fossę napełnić, starając się przystąpić do murów z drabinami, a po nich wlazłszy, opanować mury i wały; lecz z drabin odważni pospadywali, jak kartaczami na nich wystrzelono. Daremne usiłowanie i szalona odwaga; siła kozactwa tam padło trupem i sam Czarnota w lędźwie postrzelony, ukontentował się z przypuszczonego szturmu, a z ciężkiego bólu od postrzału, przeklinał swoję szaloną rezolucyą.

Z polskiéj strony tego dnia siedmnastu zginęło; Kozaków siła poległo w otwartém polu, z gołemi piersiami szturmujących od rana aż do wieczora. Noc ciemna dała odpoczynek z obu stron; ale Chmielnicki nie mógł spać dla myśli różnych, widząc, że ciężko dobyć Zamościa, a odstąpić hańba; po tak wielkich sukcessach, jedna mu się forteca oparła.

Opuściwszy tedy z różnych stron daremne attaki, nie po jednokrotnie przypuszczane, rzucił się do sztuki:

Z pobliższych wiosek namówił i przekupił chłopstwo, aby zmyśliwszy, że niewoli kozackiéj uszli, do miasta wpuszczani, ono zapalili, lub téż tam będących zbuntowawszy, do uciekania z miasta namówili. Gdy się to nię udało, a już Listopad się kończył, posłał trębacza z listami donosząc, iż elekcya skończyła się, gdzie i Kozacy, jako téjże ojczyzny synowie, dawali na króla Kazimierza głosy, i dla respektu onych zgodzili się Polacy na jednego króla, bo Kozacy zaporozcy tak kochają króla, jak synowie ojca, i póki ukoronowany nie będzie, dla zaszczytu majestatu królewskiego, wojsko zaporozkie w Polsce stać musi. Zaczem, aby Zamość bramy otworzył, jako swym przyjaciołom życzył po przyjacielsku, nie przywodząc Kozaków w desperacyą do dobycia zamku. Jeżeli to się nie podoba, macie przykład ze Lwowa; tak postąpcie i wy, a tym przykładem idąc, pokój i całość mieć bę-

dziecie, nauczywszy się rozumu z roztropności lwowskiéj.

Przyjąwszy trębacza z listami do Zamościa i onego udarowawszy i uczęstowawszy, odpisali z Zamościa do Chmielnickiego:

Dziękują tu będący w Zamościu Jpanu Chmielnickiemu, że gdy poczta nie mogła przejść dla rozruchów wojennych, nowiny z Warszawy trębacz wojskowy nam kommunikował. Mamy i my z Warszawy, że Jan Każimierz obrany zgodnie królem, ruszył do Zamościa dla uspokojenia tych kłótni wojennych, którego się tu wkrótce spodziewamy; który przybywszy, rozezna, kto jest przyjacielem ojczyzny, a kto nieprzyjacielem; czy ten, co broni całości rzpltéj; czy, co następuje i szturmuje.

Tak odpisał gubernator; mieszczanie po przyjacielsku z Kozakami z murów rozmawiali, jeden z drugim żartując, oraz cztery kufy wina węgierskiego Chmielnickiemu posłali, aby zagrzawszy sobie tym trunkiem głowę, wojennych zapomniał nieprzyjaźni.

Stojąc pod Zamościem Chmielnicki, pisał do Warszawy na elekcyą, iż przymuszony do wojny i gotów napowrót co prędzéj odejść, byle krzywdy od księcia Jeremiasza Wiśniowieckiego i od Koniecpolskiego jemu poczynione, nagrodzone były. Tak albowiem nienawidził tych dwóch kawalerów, iż nieraz chlubił się: „gotów jestem wydobyć z niewoli tatarskiéj hetmanów, byle tylko rzplta nie dała komendy nad wojskiem Jeremiaszowi.“ Na konkluzyą elekcyi wyprawił posłów do Warszawy, Jędrzeja Hunel Mokrskiego, wyćwiczonego w zakonie różnych nauk, przydawszy mu stryjecznego brata swego Chmielnickiego, przez których skarżył się na opressyą swoję, dla któréj do téj rezolucyi udać się musiał, i w różnéj przemieniającéj się Proteusz figurze wmawiał Polakom niewinność swoję, choć tak szkaradnemi uczynkami poprzysięgłym był rzpltéj nieprzyjacielem?

Zaczem obrany król naradziwszy się z stanami, wyprawił Jakóba Śmiarowskiego, szlachcica ruskiéj wiary, z oznajmieniem, że królem został J. Kazimierz, który się starać będzie spokojnemi środkami ojczyznę i dyfferencye zmiarkować, niech tylko Kozacy spokojnie do swych krajów odejdą, spuściwszy się na klemencyą królewską; gdyż król jmść, co się dotychczas stało w ojczyźnie, bardziéj wyrokom Boskim i błędom wszystkich, aniżeli występkom partykularnych ludzi przypisuje.

Z tem do obozu kozackiego wyjechawszy z Warszawy dnia 27. Września, przybył pod Zamość dnia 1. Października; Śmiarowski mile przyjęty od Kozaków, bo już słoty, źimna i głód Kozactwu dokuczały. Przyszła też wieść, że dano kommendę nad wojskiem Jeremiaszowi Wiśniowieckiemu, który zebrawszy wojsko, spieszy się na odsiecz Zamościa. Co Kozacy usłyszawszy, przyjęli ochoczo, i częstowali Śmiarowskiego, i przez niego deklarowali, iż zasługując się na łaskę królewską Chmielnicki, ruszy się ztąd z wojskiem, a kazawszy z armat dać ognia, od oblężenia Zamościa odstąpił.

Skoro się ruszył, zebrawszy się Polacy, i cokolwiek jazdy było w Zamościu, z tyłu attakowali Kozaków, od rabunków odpędzili; osobliwie w téj akcyi Jakób Rogowski popisał się, który na przeprawach znosił Kozaków, najbardziéj półkownika Kalina nazwanego, dufającego w wielką gromadę ludzi kozackich, w małéj liczbie wojska prędkością zwyciężył i wyciął.

Po odejściu z pod Zamościa Kozaków, uwolnieni od oblężenia, co żywo z miasta wychodzili oglądać obozowisko Kozaków, szeroko w okrąg rozciągnione; zważali okopy kozackie z rowami głębokiemi, szerokim i wysokim wałem otoczone; winszowali sobie jeden drugiemu; żołnierzów nieustraszone serce i umysł, mieszczan ochotę i szczerość, obywatelów okolicznych odważne animusze wychwalając, Bogu dzięki czynili, Te Deum laudamus śpiewając w kollegiacie Akademii zamojskiéj. Do wielkich czynów Jana Zamojskiego, ordynata, starosty kałuzkiego i to przydać należy, że nie żałował grosza dla żołnierzy, dając lenungi i każdemu podług proporcyi suplement obmyślił pieniężny; albowiem miał to w konsyderacyi, iż lepiéj ojczyzny synom, zasłaniającym się za całość rzpltéj, to oddać, coby nieprzyjaciel dobywszy fortecę, tyrańską wydrzeć mógł ręką.“

Bitwa pod Kircholmem.

(Ciąg dalszy.)

Po tém wszystkiém, co zaszło, tym tkliwsze wszystkich spółczucie pozyskał Krajewski, bo wszędzie i zawsze łatwo zrozumieją się szlachetni i mężni; wspólność trudów, niebezpieczeństw, sposobu życia i myślenia, nieraz kojarzy serca nawet najzaciętszych w boju przeciwników. Któż mógłby mocniéj pojmować i czuć rzetelną miłość bliźniego, jeżeli nie ten, który co chwila gotowym być musi stanąć w przybytkach nieśmiertelności. Kto nie wacha się każdéj chwili narażać życie z przekonania, ten nigdy o godności człowieka nie zapomni, podłym służalcem być nie umie; dla tego to wszyscy waleczni Szwedzi ocenili męztwo Krajewskiego, uszanowali czcią odpowiednią Chodkiewicza czyny, już głośne w Europie.

Ponieważ, jak dzieje rozniosły, Chodkiewicz niecierpliwy walki, aby rozdraźnić dumę i popędliwość Karóla, umyślnie wyprawił Krajewskiego, doświadczonego już w wielu razach, który się całkiém poświęciwszy, święcie dopełnił polecenia; z pochwycenia więc jego dorozumiał się przezorny hetman, iż nieprzyjaciel bardzo blisko i że walka jutro nieuchronnie nastąpi; podwoił więc zabiegi i ostrożności, w całym obozie na-

kazał powszechne modły, sam z pokorą ugiął kolana przed Stwórcą wszech rzeczy, naznaczył na przypadek zgonu następców swoich i zobowiązał Lackiego, którego najwięcéj szacował, aby jeżeli polegnie, zwłoki jego do ojczyzny, do grobu przodków, uniósł.

Zaledwie poranna jutrzenka zmrok nocny rozpędzać poczynałą i słońce ponad horyzont ziemi promienie swoje wymykać, aliści podsłuchy Chodkiewiczowi znać dają, że Szwedzi wszystkie okoliczne pagórki okryli; natychmiast więc udał się na ich rozpoznanie zblizka, i doszedł, że Szwedzi w liczbie 13,000 pieszych, 4,000 jezdnych, z liczną artylleryą, dowodzeni przez samegoż króla, wystąpili dziś do stanowczéj walki; nieco opodal od wojska polskiego, przedzieleni rozległą równiną, na dogodném dla nich, jako piechotą przeważnych, stanowisku, następujący szyk rozwinęli: samo czoło tworzyła piechota wyborowa, rozstawiona w dwie linie bojowe, w tym sposobie, że każdy muszkietnik miał przy sobie w szeregu dwóch ze spissą, a to dla łatwiejszego wytrzymania natarczywości jazdy; skrzydła szyku tego, łącząc środek ze skrzydłami głównemi, zabezpieczała lekka jazda inflantska Reinholda Engelsa; piechocie zaś i naczelnie całemu czołu przywodził Andrzéj Linderson, a po nim Andrzéj Stywer. Henryk Brandt przywodził lewemu skrzydłu, złożonemu z pięciu głębokich czworoboków ciężkiéj jazdy (rajtarów); przeznaczeniem jego było obejść od Dźwiny prawe Polaków skrzydło i natrzeć z tyłu w środku najzaciętszéj walki. Prawe skrzydło całego szyku trzymała także ciężka jazda, w sześciu głębokich czworobokach ustawiona, pod wodzą hrabiego Mansfeld. Wreszcie nieco w tyle powyższego szyku, w odwodzie, stanęła cała straż przyboczna Karóla, piesza i konna z oddziałami Krzysztofa Szuma oboźnego, Eryksona i częścią także jazdy inflantskiéj. W przedziałach czworoboków szyku, pomieszczono artylleryą, a nieco przed środkiem linii bojowéj, na wzgórku, postawiono jedenaście dział lekkich.

Skoro już Chodkiewicz dokładnie rozpoznał liczbę i szyk nieprzyjacielskiego wojska, objeżdżał swoje szeregi i przemówił do wojska z zapałem, jaki go ożywiał: „Żołnierze! nieprzyjaciel liczny i w dogodném dla siebie stanowisku; znacie już jego męztwo; niemałe zagraża niebezpieczeństwo, odwrót niepodobny. Dziś właśnie pozyskać możemy chwałę nieśmiertelną, albo zgon chwalebny; a tak przyszłe pokolenia albo podziwią nasze zwycięztwo, albo uczczą nasze popioły; złóżmy więc uroczyste dzięki niebu, że nam nastręczyło tak świetną sposobność zyskania nieśmiertelności!“ — Gdy tak przemówił głosem poważnym i szlachetnym wódz, który każdemu wrażał dla siebie cześć i zaufanie, i którego samo imie dawało otuchę do zwycięztwa; jeden tylko okrzyk wydało całe wojsko: „niech żyje hetman! śmierć Szwedom!“ „Śmierć Szwedom!“ pochwycił Chodkiewicz; „śmierć Szwedom!“ znowu powtórzyło wojsko na wskróś przejęte zapałem wojennym; a głos ten natchnienia rozlegając się w całéj okolicy, doszedł nieprzyjacielskich szyków.

Nawzajem Chodkiewicz ożywiony zapałem wojska, wesoło, w zaufaniu zupełném szykował Polaków; ściśle stósując się do rozpołożenia Szwedów, powziętych przez siebie zamysłów i ducha, jaki w szeregach panował, a przeto na czoło wysadził swój oddział wyborowy, z trzystu husarzy złożony, pod wodzą doświadczonego w bojach Wincentego Wojny, starosty inturskiego, i kilka innych czworoboków najlepszéj jazdy; wództwo czoła przy sobie zostawił, powziął albowiem przekonanie, że pierwsze spotkanie stanowcze i swoich ożywi i nieprzyjacielowi odwagę odejmie. Na lewém skrzydle postawił dwustu husarzy, w drugiéj zaś linii trzystu pancernych i trzy lekkie tatarskie chorągwie; skrzydłu temu przywodził Tomasz Dąbrowa, a pod nim Komorowski, Plettemberg, Sakin i Kossakowski; dotykało ono aż do Dźwiny i zabezpieczał je załamek téj rzeki. Prawemu skrzydłu przywodził Jan Piotr Sapieha, starosta uświatski, który, oprócz licznéj jazdy pod wodzą Młockiego, Borkowskiego i Giedrojca, miał jeszcze część piechoty Niwiarowskiego; odebrał Sapieha szczególne polecenie, pilnie uważać na poruszenia jazdy Brandta i nie dać się téjże oskrzydlić. Wreszcie w odwodzie, za samym środkiem szyku, tuż następował Teodor Lacki z chorągwią dwustukonną, i stanęła cała piechota skupiona pod sprawą Rossego, wraz z strzelcami Gąsiewskiego i Wilkowskiego. Ponieważ lewe skrzydło szyku było osłonione rzeką, przeto Chodkiewicz lubo bezpośrednio przywodził czołu, szczególną jednakże uwagę zwrócił i na prawe skrzydło, jako na punkt najsłabszy stanowiska swojego, gdzie go nieprzyjaciel oskrzydlić mógł nader licznemi oddziałami. Nakoniec siedm dział lekkich przed szyk wysunięto.

Cotylko miało nastąpić spotkanie, wtém pokazuje się czworobok jazdy, który w całym pędzie zbliża się do Dźwiny, w bród śmiało przebywa tę rzekę szeroką bez straty i łączy się z Polakami; byłoto 300 koni jazdy kurlandzkiéj, którą przyprowadził książe Fryderyk, wierny sprzymierzeniec i lennik Polaków. Któżby opisać zdołał uniesienia radosne całego wojska, na tak niespodziewaną pomoc dzielnéj chorągwi; uważano ją za posiłek z nieba zesłany w ciężkiéj przygodzie i jako pomyślną wróżbę powiedzenia się w boju. Kurlandczyków użyto do wzmocnienia środka szyku. Wkrótce zagrzmiał na całéj linii bojowéj hymn: „Boga rodzica,“ a widok tylu tysięcy serc ukorzonych, na nikim bez głębokiego wrażenia pozostać nie mógł. — To gdy się dzieje, z daleka za prawém skrzydłem, ukazały się nowe wcale czworoboki, zupełnie do boju pod znakami uszykowane, i temiż

pieniami, co główne wojsko polskie ożywione; z czego także w szeregach powstała niemała radość; rozeszła się albowiem natychmiast po wszystkich wiadomość, że Radziwiłł z świeżemi litewskiemi posiłkami przybywa. Lecz w rzeczy saméj byli to ciurowie obozowi, których przebiegły Chodkiewicz tajemnie uszykował w szeregi, z poleceniem, iżby wystąpili w szyku z obozu, skoro tylko walka będzie się miała rozpocząć, dla ożywienia swoich, a strwożenia nieprzyjaciela. Podstęp ten wojenny, trafnie i szczęśliwie wykonany, nie chybił zamierzonego skutku, łatwo uwiódł obie strony, gdyż o mających nadejść posiłkach wiedziano.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Korrespondencya.

Pan Kajetan Morawski, młodzieniec pełen nadziei, zwiedzając obecnie Włochy, pisze w liście swoim do szanownego obywatela, trudniącego się wzniesieniem w kościele katedralnym poznańskim pomnika Mieczysławowi I. i Bolesławowi Chrobremu, co następuje:

„W czasie mego pobytu w Rzymie, miałem przyjemność, poznać pana Brzozowskiego i odwiedzić jego pracownią. Poczytuję sobie za obowiązek donieść panu, co widziałem z obrazu, którym pan znów przyozdobisz ziemię polską, a tém samem, mam miłą sposobność, przypomnienia się jego łaskawéj pamięci.

„Pan Brzozowski, jak zwykle, podobno nawet w czasie największych upałów, pracuje nad obrazem; układ i rysunek zupełnie ukończony, wkrótce zacznie go już malować, i jeśli koloryt odpowie doskonałości tego, co skończone, wtenczas podług mych małych znajomości, co do sztuk pięknych, obraz ten nie zostawi nic do życzenia, i otworzy nową szkołę malarstwa polskiego, którą będziem winni panu, co odkryłeś tak zdolnego artystę. Przedmiot obrazu nadto znajomy panu. Bolesław klęczy *en face* do widzów, Ottona widać z profilu; równie w twarzach królów, jak giermków i rycerzy, widać charakter dwóch odrębnych narodów, łączących się w węźle świata, w modlitwie. Za grobem i obok, stoi kilku xięży; wyraz ich twarzy bardzo piękny; widać, że artysta korzystał z arcydzieł średnio-wiecznéj, religijnéj szkoły włoskiéj; wreszcie, że jest uczniem Owerbecka, który najbliżéj wtajemniczył się w sztukę religijnego malarstwa. Pan Brzozowski zajęty był szkicą obrazu‘ którą panu niezwłocznie prześle; prosiłem go, by to jak najprędzéj uczynił, wiedząc, jaką zrobi przyjemność panu i publiczności, która z niecierpliwością oczekuje, ten nowy dar, tę nową ozdobę swéj ziemi.

Florencya 2go Sierpnia 1839.“

Kronika literacka.

Wybór kazań oryginalnych, z najlepszych naszych dawniejszych i nowszych kaznodziejów zebrany. Poszyt I. W Lesznie, czcionkami Ernesta Günthera.

Chcąc być mówcą, podobnie jak i poetą, trzeba się nim urodzić. Prawda, że nauka, praca i wytrwałość więcéj tu dokazać mogą, niż w poezyi, ale nieutworzą jeszcze bynajmniéj wielkiego mówcy. Tylu było uczonych duchownych, a jak mało Bossuetów, Massilonów, Skargów, Birkowskich, Woroniczów! Aby w jakiéjkolwiek nauce nad tłumem celować, potrzeba gieniuszu. Gieniusze takie, wszędzie rzadkie, miałyżby być pospolite w wymowie kościelnéj, owym najszczytniejszym darze człowieka, za pomocą którego kapłan odrywa śmiertelnika od znikomości ziemskich, przenosząc myśl jego w wyższe sfery i łącząc niejako z Twórcą wszech rzeczy? Niedziw przeto, że i w literaturze naszéj, w ciągu kilku wieków, bardzo mało pojawiło się prawdziwych mówców kościelnych: Skarga, Wujek, Białobrzeski, Bembus, Grodzicki, Bierkowski, Woronicz i kilku innych, oto cały już ich szereg. Ale i ci jeszcze *elici* mówców naszych kościelnych, nie wszędzie są sobie równi: w wielu n. p. kazaniach księcia kaznodziejów polskich, Skargi, nie poznasz samego Skargi; opuszcza go nagle ów zapał święty, którym, podobny do wezbranego potoku, lub piorunu, wszystko obala lub kruszy, jak w kazaniach sejmowych; albo na wzór dobroczynnego deszczu, słodką wymową swoją wszystko orzeźwia, przenika i najtwardsze, choćby z opoki, serca miękczy, jak w kazaniach o miłosierdziu; staje się z mówcy gadułą, słowa, częstokroć czcze i bez znaczenia, wleką mu się i urywają. Cóż powiedzieć o innych kaznodziejach naszych od Starowolskiego począwszy, aż do Balsamów, Męciszewskich, Lachowskich i t. d., którzy zwykle całą bibliotekę kaznodziejską naszych duchownych stanowią?

Ważną przeto, bardzo ważną przysługę wyświadczył literaturze naszéj, mianowicie zaś duchowieństwu, wydawca niniejszego *Wyboru kazań oryginalnych*, uczony X. Tyc, proboszcz w Lesznie, zebraniem w jedno dzieło najwyborniejszych kazań polskich. Znajdujemy tu sam kwiat naszéj wymowy kościelnéj z Skargi, Wujka, Bierkowskiego, Białobrzeskiego, Woronicza. Gdzie zaś w mówcach złotych wieków Zygmuntowskich nie stało prawdziwego, że tak rzekę, kruszczu, tam wydawca obejrzał się gdzieindziéj, i nieraz wydobył z plew najczystsze ziarno: tym sposobem stanęli tu godnie obok Skargi: Linowscy, Dobrowolscy i inni. Życzymy z serca, aby szanowny wydawca *Wyboru kazań* przebiegł w tym sposobie cały obszar naszéj wymowy kościelnéj, i niewątpimy, że światłe Duchowieństwo polskie pracę tę wdzięcznie

przyjmie: wszakże ona zastąpić może zbiory mnóstwa kazań, w których się nieraz duchowny błąka jak rólnik w gęstym lesie, nie wiedząc, które ściąć drzewo. *X. K.* *

Czy już wiosna?

Mury, dachy, w szerz i dłuż,
Nad dachami dym i kurz;
Ani nieba, ani łąk,
Ani mówią tu skowronki:
Czyto wiosna już?
A, tam w oknie coś zieleni;
To wazonki
Pełne lilii, róż.
Biedne kwiatki
Z swojéj klatki
Zapytują tych kamieni:
Czyto wiosna już?
Czy już wiosna? Kto nam powie,
Czy nietoperz, pan ciemnicy,
Czy powiedzą krzyki sowie
Z pustek dachu? — Źle, kto budzi
Duchów nocy! — spytam ludzi.
Ot-tam widzę ogrodnicy
Z koszykami na targ spieszą,
Z wiosny się cieszą,
Bo z wiosny żyją.
Mają ogórki, sałatę, groch młody,
Tętna przyrody pierwéj dla nich biją,
Jak dzieci wiszą u piersi przyrody,
Ich zapytam.
Czy już wiosna?
Czy się rozmaiły lasy;
Łąki w majowe przybrały atłasy;
Czy dużo kwiatków; kukułka miłosna
Czy kuka?
Ogrodnik.
Nam, co po wiośnie;
U nas bez wiosny, a wszystko rośnie.
To sztuka!
Ja.
Aleź drzewa, murawa. —
Ogrodnik.
Tylko dla oczu zabawa
Ogród angielski; u mnie warzywny
Nie piękny, lecz pożywny.

Źlem trafił; on zysku kłem
W ziemi ryje, jéj przerabia soki
Zgnilizną, szkłem;
I myśli, że Bóg obłoki,
Że stworzył ziemię i światy
Dla ogorków i sałaty.
Tam grono miejskiéj czeladzi
W święto niedzielne rade się prowadzi
Od warsztatów, na wioski, na błonie,
Wyschłe piersi poić zdrowiem;
Lśnią się oczy, radość w łonie,
Od nich o wiośnie się dowiem.
Moi panowie! pewnie z przechadzki?
Jeden z czeladzi.
Tak, ze wśi.
Ja.
Czy tam już wiosna? — nie wiecie. —
Czy jak dziewica wieniec sobie plecie,
Rozwiesza perły i motyle, cacki;
Czy się rumieni rumieńcem róż,
Czy zerka oczkiem strumyków,
Powiedzcie, czy wiosna już?
Jeden z czeladzi.
Któż to powie! ogrodników
Pytaj panie, czy tam wiosna;
Tam masz piwo
I Marysię czarnobrewą,
I zieleni się tam sosna,
Godło karczmy; —
słuchaj kumie!
Bo to waszeć wszystko umie,
Jeśliś widział, powiedz panu.
Drugi z czeladzi.
Niewidziałem .....

Czcza mozoła!
Duszą, ciałem lgną do dzbanu,
Świat im krąży po pijanu,
Oni osią tego koła.
Klnę tęsknotę!
Z ust prostaka, w szczerozłote,
Fantazyjne chciałem ramy
Ująć obraz, jak zwierciadłem
Porozświecać głąb méj jamy
Słońcem wiosny, i w noc wpadłem!
Bądź, co bądź,
Choćbym miał się lodem ściąć,
Zapytam jeszcze. Widzę młodziana,
Z książką w ręku wraca z pola,
W oku myśl wielka wplątana,
Czytał Jean Paula.
Młodzieńcze! z nóg twych okurzonych pyłem,
Wnoszę, żeś był za miastem.
Młodzieniec.
Byłem.
Ja.
Ha! czy tam wiosna? schwytałżeś wietrznicę
I tulisz w zmysłach, jak w oku źrenicę,
Barwę, cień, blaski; jak w zaklętym domie
Sił rozpowiciem grałać niewidomie,
A tyś dźwięk łowił, trzymał w dzwonie ucha,
Aż w rym odegrał dzwon ducha.
Czy tak? — wiosna, młodzieniec —
Myśl jedna; milion kwiatów w jeden wieniec —
Ty mi objaw wiosny cud.
Młodzieniec.
Cud wiosny? — po deszczu coś trochę zielono,
To fenomen; ziemi łono
Resztką ognia topi lód.
Czytam wulkanów systema,
I powiadam: wiosny niema,
I być niemoże; w jądrze żar przygasa,
Z wierzchu rośnie lodów massa,
Słońce toż samo w lody się zamyka
I znowu chaos nastaje dziedziczny.
Ja.
Więc wiosny niema? — Dowód śliczny!
Jam go wzniósł nad blask uliczny,
A on mu niewart rozwiązać rzemyka!
Jest wiosna, bo jest miłość;
Rozpowicie, bo zawiłość.
Pierwéj krąży sok pod korą,
Nim wystrzeli maju wiankiem,
Zgaduj czuciem, a przed porą
Staniesz się wiosny kochankiem. *L. S.*



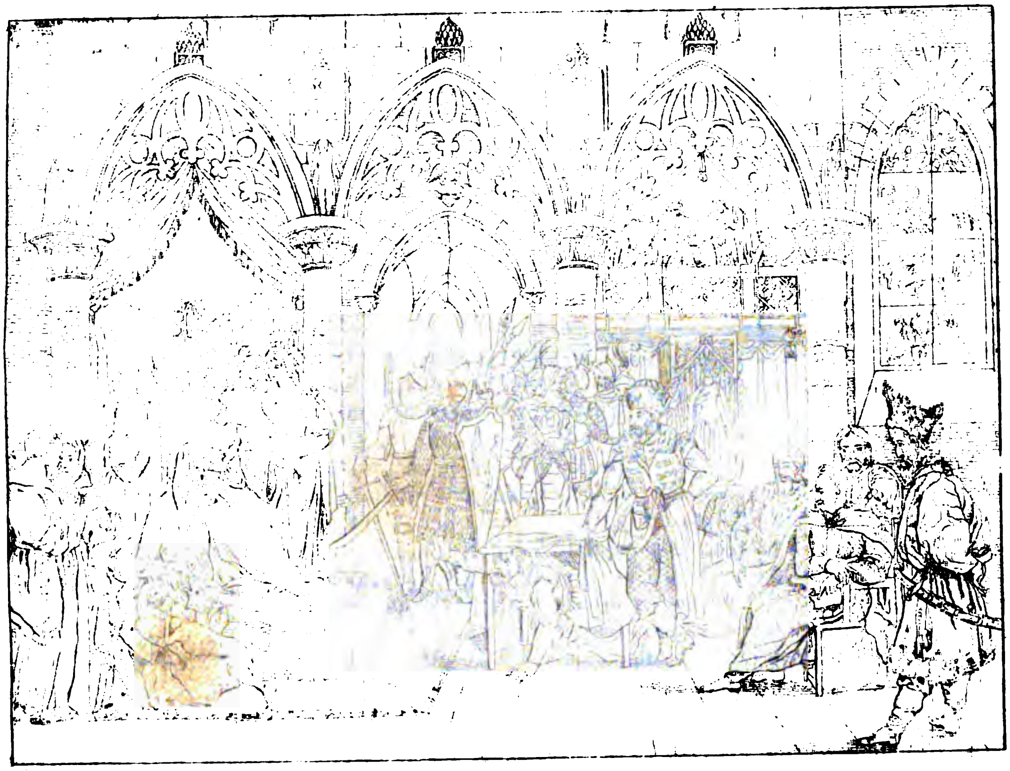
Mikołaj Bakon.

W historyi Anglii i w świecie uczonym, niepospolitą gra rolę rodzina Bakonów, którą z domowego zacisza wywiódł pierwszy na scenę Mikołaj Bakon. Pochodził on z starożytnéj, ale ubogiéj familii, w hrabstwie Nordfolk. Odbył nauki w uniwersytecie oxfordskim, gdzie prawa słuchał. Później sprawował rozmaite urzędy pod Henrykiem VIII., Edwardem VI. i Maryą. Bliski krewny jego, Cecil, zaznajomił go z królową Elżbietą, któréj tak się umiał przypodobać, że go wnet radzcą stanu i wielkim pieczętarzem zrobiła, i o zaszczyceniu wielkiem kanclerstwem zamyślała. Ale łaska pańska na pstrym koniu jeździ: równie szybko wpadł Bakon w niełaskę u królowej, a to jeszcze z przyczyny, (o coby się dziś żadna dama nie gniewała), że ją dla dobra kraju do wniścia w związki małżeńskie zachęcał. Nieprzyjaciele jego, o których ludziom na tak wysokich urzędach, na jakich był Bakon, nie trudno, spostrzegłszy oziębłość i niechęć królowéj ku Bakonowi, postanowili go zgubić. Hrabia Leicester oskarżył go o udział w napisaniu i rozszerzaniu pewnego paszkwilu przeciw Elżbiecie. W skutek tego oskarzenia Bakon został uwięziony i był długo w więzieniu trzymany. Gdy się atoli niewinność jego okazała, wypuszczonego na wolność przywróciła Elżbieta do dawnych godności. Potrafił on téż wkrótce odzyskać jéj zaufanie, i odtąd obowiązki wielkiego kanclerza, nie mając atoli tytułu tego, aż do śmierci, przypadłéj w roku 1578, sprawował. Żył lat 69. Prawość charakteru, pracowitość i zręczność w kierowaniu sprawami publicznemi, były głównemi cechami wielkiego tego publicysty. Z pracy rąk własnych i z względów Elżbiety, dorobił się bardzo znacznego majątku; lecz lubiąc nadewszystko wierność, był skromnym w ubiorze, pokarmie, mieszkaniu; we wszystkiem zgoła. Gdy mu przeto królowa w poufałéj rozmowie wyrzucała, że mały na swój stan domek zamieszkuje. „Domek ten,“ — rzecze — „nie byłby dla mnie małym, ale w. k. mość zrobiłaś mię dlań za wielkim.“ — Synem jego był sławny filozof Franciszek Bakon (kanclerz wielki za panowania Jakóba I.), z którym czytelników polskich tak pięknie zaznajomił uczony Michał Wiśniewski, professor przy uniwersytecie krakowskim.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (*Red. J. Łukaszewicz.*)

Przyjaciel Ludu.

Rok szósty. **No. 9.** **Leszno,** *dnia* **31.** *Sierpnia* **1839.**



Potwarca ukarany.

Po śmierci króla Ludwika postanowili Polacy wezwać na tron córkę jego najmłodszą, Jadwigę, i przybrać jéj męża. Po berło, do którego przydawano rękę młodéj i pięknéj dziewicy, sięgało kilku postronnych książąt. Pomiędzy innymi, zgłosił się także o nie nie młody już natenczas Jagiełło, wielki książę litewski. Ofiary, które składał, tak były dla Polski korzystne, że naród posadził go natychmiast na tronie Piastów; a Jadwiga, kochająca i kochana od Wilhelma, księcia austryackiego, z skrwawionem sercem, zrzekła się dla dobra kraju najtkliwszych uczuć i oddała swą rękę Jagielle. Nie była atoli w swojém pożyciu z nim szczęśliwą. Pominąwszy bowiem różnicę, jaka w wieku, obyczajach i skłonnościach między małżonkami zachodziła, Jagiełło dręczył Jadwigę ustawicznemi podejrzeniami. A że na dworach nie braknie nigdy intrygantów, znalazł się i na zamku krakowskim pochlebca, który króla przeciw jego cnotliwéj małżonce podburzał. Imię tego niecnoty jest Gniewosz: oskarżył on Jadwigę przed królem o niewiarę. Oskarzenie to i skutki jego, tak nam opisuje nieoceniony nasz kronikarz Joachim Bielski:

„Natenczas téż króla powadził z królową Gniewosz (Damalewicz), krakowski podkomorzy, śmiejąc to twierdzić przed królem, żeby miała królowa obcować pierwéj z Gwilelmem, bywając z nim w klasztorze ś. Franciszka, i potém, żeby nieznacznie tu kilkakroć Gwilelm do Krakowa miał przyjeżdżać, i widywać się potajemnie z nią. Królowa żądała powiadacza: powiedział król na Gniewosza. Gdy Gniewosz stanął, powiedział, iż słyszał od Gwilelma, iż je pokładano społu jeszcze dziećmi w Węgrzech. Królowa się do tego znała, ale ani tam, ani tu w Krakowie nigdy tego nie było, coby jéj panieństwu miało szkodzić: gdzie dobrowolnie tego przed pany przysięgą poprawiła. W czem ję

też wyświadczał Jaszko Tęczyński, powiadając, iż będąc przy niéj przez ten wszystek czas, nigdy nic po niéj takiego nie burzył. A tak Gniewosz był o to pozwan na sejm do Wiélicy, który gdy tego dowieść nie mógł, co mówił, z dekretu królewskiego pod ławą to odwoływać, albo, jako pospolicie mówią, odszczekiwać musiał przed wszystkimi, ku swéj wiecznéj hańbie.“

Historyczne to zdarzenie podało P. Władysławowi i Antoniemu Oleszczyńskim, myśl do niniejszéj ryciny, króla atoli bynajmniéj nie poprawiło; dręczył on bowiem jeszcze swojemi podejrzeniami i czwartą małżonkę Zofią.

Świat i Poeta.

Powieść J. Kraszewskiego. W Poznaniu 1839.

Romans w ostatnich czasach zajął w literaturze europejskiéj jedno z najcelniejszych miejsc. Dawniéj był on tylko dziejami dwóch rozkochanych serc, które nareszcie niesłychane przygody i cierpienia, zwykle, a zawsze monotonnie łączyły. Cervantes, Le Sage i Richter utworzyli z niego pierwsi narzędzie użyteczne do wychłostania hipokryzyi lub poważnéj śmieszności, tak całych korporacyi, jako też pojedyńczych osób. Dziś granice romansu rozszerzone zostały niezmiernie. Jego własnością jest historya, on uczy gospodarstwa, marynarki, administracyi i Bóg wie nie czego. Zdaniem atoli naszem, ten rodzaj romansu jest najlepszym, najużyteczniejszym, który, zastępując dziś miejsce zarzuconéj prawie satyry, ma na celu poprawę obyczajów. Zbliża się do tego rodzaju romans obyczajowy, malujący wiernie obrazy indywidualnego życia. W tym gatunku romansu, celuje u nas P. Kraszewski. Najnowszy romans jego, pod tytułem: *Świat i Poeta,* mistrzowskiem piórem skreślony, jest tego dowodem. Obrazy w nim tak są wierne, tak naturalne, że czytającemu zdaje się, iż nie romans ma w ręku, ale raczéj własnemi oczyma patrzy na prawdziwe zdarzenia i czyny w życiu poety, który, niestety, nie jest do życia praktycznego stworzony. Ośmielamy się zachęcać P. Kraszewskiego, aby napisał romans wątku, wziętego z życia narodowego. Jesteśmy pewni, że tak znakomity romanso-pisarz obdarzyłby literaturę naszę drugim *Don Quichotem, Idzim Blasem, Djabłem kulawym,* albo *Iwanem Wyżyginem,* i tyleby dobrego, ale powszechniéj, zdziałał, ile satyry naszych Opaleńskich, Krasickich i t. d.

Tymczasem, nim to nastąpi, udzielamy czytelnikom Przyjaciela Ludu rozdział jeden z romansu: *Świat i Poeta.*

Autor opowiedziawszy poprzednio, jak młody poeta, wypchnięty z domu swego opiekuna, po kilku latach niebytności, zapragnąwszy znowu ujrzeć drogie sercu jego osoby i miejsca, zimno i z wzgardą przyjętym od swoich krewnych został, wprowadza go powtórnie, ale już bogatym w dom jego opiekuna, i tak drugie odwiedziny te opisuje:

Drugie odwiedziny.

A ci, co z tobą teraz przestawają,
Twéj się fortunie, nie tobie kłaniają.
Kochanowski. Ks. II. III.

A ja w szlafroku! krzyknął Pan Werner, porywając się z kanapy i biegąc się przebrać, zobaczywszy przez okno świeży kocz, czterema pięknemi końmi zaprzężony, zajeżdżający szumnie przed ganek.

Któż to jest? zawołała Pani Ostrowska, nieznajomy ekwipaż. — To gość zdaleka!

— Nie rozumiem! przebąknęła Marynia, przyglądając się powozowi, uśmiechając się do siebie i myśląc: — pewno do mnie przyjechał!

Pani Werner prędko kazała pościągać kapki z krzeseł, pył pościerać i zdjąć serwetę od kawy. Lokaje biegli się dowiedzieć, kto to taki. Pan Werner aż dwóch posłał, oba przybyli z wiadomością: pan Gustaw!

— Poszaleli! czy co? krzyknął stary, kręcąc peruką: pan Gustaw! takim koczem z liberyą! takiemi końmi! osły!

Tenże sam głos dał się słyszeć w salonie! — To być niemoże! to być niemoże! Marya niespokojna trzęsła głową i patrzała w zwierściadło, nieukontentowana tą wiadomością. Pani Ostrowska szastając się po salonie z tabakierką, wypytywała się, czy to ten sam, co był niedawno?

— Ale to być nie może! zawołali wszyscy nareszcie! — I w téj chwili otworzyły się drzwi, a Gustaw wytwornie ubrany, śmiałym krokiem, mocno jednak zarumieniwszy się, wszedł do salonu. Pan Werner stał na progu drugiego pokoju w nowym fraku, przyczepiając dewizki do zegarka, i zobaczywszy Gustawa, a za nim zamykające się drzwi, poszedł się rozebrać. — Pani Werner przyjęła go czule, ale trochę zmięszana; Marya zimno, obojętnie, a dla odstręczenia od siebie, trochę pogardliwie; Pani Ostrowska z wytrzeszczonemi ciekawie oczyma.

Wszedł nareszcie P. Werner w szlafroku i zimno Gustawa przywitał. Potém pobiegł do okna spojrzeć na pojazd.

— Śliczny ekwipaż! Czyjże to Gustawie? zapytał.

— Mój! odpowiedział Gustaw zimno.

— Twój? zakrzyknął zdziwiony, odwracając się szybko od okna, a wszyscy spojrzeli po sobie. —

Cóż, zkądże to? wygrałeś w karty? co?

Nigdy nie gram! odpowiedział Gustaw; kupiłem go.

Ale zkądże wziąłeś pieniędzy? zapytał niecierpliwie P. Werner.

Mając taki, jak ja mam majątek, cóż dziwnego, że mam kocz i konie! — Podziwienie wszystkich rosło. Milczeli.

Ale zkądże znów masz majątek? zapytał Werner; jeśli sukcessya jaka, to i mojéj żonie przypada połowa. A możeś się?....

Nie, nie jest to ani spadku, ani ożenienia skutkiem, odpowiedział Gustaw powoli, patrząc na Maryą, która wielkiemi oczyma patrzała także na niego. — Sądziłem, że to być musi od dawna wujowi i cioci wiadomo?

Cóż? ale cóż takiego? zawołali, P. Werner z podziwieniem, Pani Werner z radością.

Niema nic ciekawego, to późniéj opowiem, rzekł Gustaw niedbale; wszak wuj pozwoli mi przenocować? Pan Werner już dzwonił z całéj siły.

A jakże, jakże, kochany Guciu, konie do stajni! I wszyscy poruszyli się, szepcąc do siebie, ruszając ramionami, niepojmując nic jeszcze; Gustaw zimny, obojętny, chodził po salonie i nie patrzał nawet na Maryą, która zaczynała już być obrażoną jego obojętnością, wprzódy tak usilnie pożądaną.

I jakże to było? i co to było? rzekł Pan Werner, natychmiast wracając. Powiedzże nam to, Guciu, jesteśmy ciekawi, cieszym się twojem szczęściem, mocno się cieszym.

Było to tak, odpowiedział nareszcie Gustaw głośno i powoli: Wyratowałem na ulicy od roztratowania końmi ubogą staruszkę; tą staruszką była hrabina N., która wygrawszy proces z dziećmi, zapisała mi darem majątek Wasilków.

Wasilków! krzyknął Pan Werner, chwytając się za perukę. Na Boga! pszenne grunta, rzeka! staw! 40,000 intraty przy dobrym gospodarstwie! Ej, toś ty bogatszy od nas!

I stał osłupiały. — Marya wyszła z pokoju. Pani Ostrowska już Gustawa częstowała tabaczką, Pani Werner go ściskała, a Pan Werner ruszał ramionami, chodził po pokoju i myślał sobie: gdybym był wiedział, byłbym tam Franciszka posłał na ratunek.

A gdzież jest brat Franciszek? zapytał Gustaw.

Na polowaniu! odpowiedziała matka.

Potém rozmowa powolna i żywa, na przemian tysiąc pytań, odpowiedzi, powieści, śmiechu i wszystkiego tam było przez wieczór, póki się nie wtoczył Franciszek ze swojém towarzystwem myśliwskiém. Słychać go było zdaleka, a Pan Werner był jak na gorących węglach, lękając się, żeby zimnem przyjęciem Franciszek nie obraził nowego bogacza. — Bo myślał sobie, kto wie? blady, chudy, może umrzeć bezdzietnie, my najbliżsi krewni! kto wie? — I tak ten samolub już swoje korzyści rachował w szczęściu Gustawa, już myślał, jak mu się przypochlebić, już dumał nad wymyśleniem pretensyi do niego za utrzymanie, za koszta wychowania i t. d.; jak ci wszyscy, co się nigdy cudzem szczęściem inaczéj cieszyć nie umieją, jak wyciągając z niego dla siebie korzyści i widoki!

Franciszek nie sam był jeden; bracia Marmurki, Pan Bonifacy i Pan Trepsza, towarzyszyli mu. Z trzaskiem otworzyli drzwi salonu, a każdy z nich niósł w ręku zająca.

Ot! to polowanie! wykrzyknął wchodząc Franciszek; charty nasze popisały się należycie; trzy godziny, trzy zające.

A moja chartka, rzekł Pan Trepsza, zawsze była na przodzie, i wodziła tylko resztę psów za sobą.

Co to zające! odezwał się pan Bonifacy, łoś, to zwierzyna! W roku 1812, było to w jesieni —

Ubiłeś łosia! przerwał mu Franciszek; wiemy o tém dobrze. I zaczęli się witać wszyscy. Bracia Marmurki ukłonili się jednakowo i oba razem wszystkim, w takt jak dwie lalki poruszone jedną sprężyną, siedli obok siebie jednakowo się trzymając, milcząc, wyprężeni jak strony, uśmiechając się tylko za wspólną zgodą do P. Ostrowskiéj, która wzięła na siebie obowiązek bawienia ich.

Ojciec porwał Franciszka nieznacznie na stronę.

Czemu się nie witasz z Gustawem, rzekł mu na ucho. Gustaw tu jest. Osobliwszym przypadkiem stał się bogatym, ma pół miliona majątku. Bądźże grzeczny dla niego.

Ożenił się?

I nie; potém ci to opowiem, rzekł ojciec; idź, idź się przywitaj! tylko serdecznie.

Franciszek, nie w ciemię go bito, skoczył tak namiętnie ściskać braciszka, że mało go nieudusił.

A! jakżem szczęśliwy, że cię widzę! jakże ci zdrowie służy? Utyłeś zdaje mi się? ślicznie wyglądasz; siadajże, proszę!

Wszyscy posiadali, patrząc z podziwieniem na to, a Pan Bonifacy odezwał się po cichu do Pana Trepszy:

Wszak to ten hołysz, co to był na polowaniu?

Ten sam hołysz, co moją chartkę zepchnął z kolan, jakiś fanatyk! odpowiedział P. Trepsza.

Milionowy pan! przerwała im po cichu przysuwając się Pani Ostrowska, czy nie wiecie? a! to awantura arabska! scena! ratował z pod koni na ulicy jakąś hrabinę i ta darowała mu ogromny majątek! a! awantury! ktoby się to spodziewał!

Jemu? zapytał P. Trepsza.

Tak, jemu!

A! rozumiem! odpowiedział Pan Bonifacy, musiał — i kiwnął głową, dając do zrozumienia Panu Trepszy, z czego to zbogacenie powstać mogło.

A! broń Boże! przerwała Pani Ostrowska. Waćpanowie to zaraz takie niegodziwe podej-



Kalwarya.

rzenia wymyślicie. To siedmdziesiątletnia kobieta!

Bywają przykłady! odpowiedział Pan Bonifacy; wiem właśnie jednę anegdotkę stósowną.

Daj temu pokój! rzekł Trepsza niecierpliwie; ot lepiéj zaproponujmy mu wista. Możemy go ograć. Z rozegranej wyniknie faraonik; trzeba łyka drzeć. I zaraz rozpieczętowawszy talią kart, podał Gustawowi cztery, jak zwykle do wyboru.

Ja nie grywam nigdy, rzekł Gustaw; długie ubóstwo nauczyło mnie oszczędności, — niebyło co przegrywać, teraz nie umiem.

Ale jakto nie umieć, rzekł nalegając Pan Trepsza, dla kompanii! dla kompanii! to może jaką inną grę, — na prawo, na lewo — to bardzo łatwo, a wieczór tak długi.

W tym domu, rzekł Gustaw z uśmiechem, będzie mi się pewno bardzo krótki wydawał. Odstąpił przecie natręt; lecz mimo tego założył banczek w nadziei, że się Gustaw do niego póżniéj przyłączy; — bardzo się na tém omylił. W położeniu Gustawa to było najśmieszniejsze, że nie bardzo jeszcze dawno, w tym samym domu, od tych samych osób, pogardzony, zapomniany siedział w kącie; teraz w jego osobie, oddawano podły hołd złotu, które do niego przyszło. O ludzie! pomyślał; o głupcy! trzeba być ubogim, ażeby poznać podłość waszę i nędzne rachuby, kryjące się pod zimnemi pozorami grzeczności. Teraz już mnie nie oszukacie, wiem ile wam wierzyć!

Ku wieczerzy przyszła i Marya, w bardzo złym humorze, do salonu. Skarżyła się na ból głowy i niechciała grać na fortepianie. Franciszek uczynny, ciągle ją zbliżał do Gustawa i żartował z nich; ojciec teraz już życzący go sobie całem sercem za zięcia, przypominał im wszystkie dzieje młodości, lecz oni oboje byli obojętni, — nic ich już nie wiązało. Nareszcie, niby przypadkiem, zostawiono ich samych przy fortepianie. Marya patrzała w okno, Gustaw na salę — nagle obudził go z dumania dźwięk cichy fortepianu. Była to nóta bardzo mu znajoma, téj dawnéj dziecinnéj ich piosenki:

O mój aniele, pójdziem połączeni
Przez świat i życie, roskosz i boleści,
Jak powój co się na dębie zieleni,
I miękkim listkiem korę jego pieści!
Jak dwie łzy oczu, dwa piersi westchnienia,
Razem do życia i świata skończenia.
Ty ze mną zawsze, ja zawsze przy tobie,
Na świecie, w niebie i w grobie!

O mój aniele pójdziem połączeni,
Przez świat ten zimny, przez życie bez celu,
Przez burze, lata i wichry jesieni,
Razem méj duszy luby przyjacielu,
Jak dwie łzy oczu, dwa piersi westchnienia,
Razem! o razem do świata skończenia,
Ty zemną zawsze, ja zawsze przy tobie,
Na świecie, w niebie, i w grobie!

I coraz ciszéj, ustała piosnka i westchnienie Maryi zakończyło ją, a Gustaw mimowolnie w przeszłość przeniesiony, uniósł się ze łzą w oku w krainę marzeń i w niéj zobaczył pierwszy pocałunek i dawną Maryą swoję. Lecz spojrzał tylko, — i urok pękł od razu — nie była to Marya z pod bzów kwitnących! Zbliżył się do fortepianu i jedną ręką, po cichu, zagrał na odpowiedź wesołą pieśń drugą:

Chódź mój motylu, chódź mój skrzydlaty.
Zaprzęgam ciebie, wież mnie wysoko!
Lećmy na łąki, lećmy na kwiaty,
Gdzie zechce serce, upatrzy oko,
Przez wszystkie nieba, przez wszystkie światy,
Nieś mnie daleko, nieś mnie wysoko!

Marya, od pierwszego uderzenia w klawisze, porwała się szybko, spojrzała i odstąpiła od fortepianu. Zrozumiała ona dobrze tajemną rozmowę, poszła do okna i dumać zaczęła.

Teraz w jéj sercu kobiecem obudziła się miłość wzgardzona. Póki jéj żądał biedny Gustaw, niebyło — teraz kiedy ją odpychał, wzrastała ze zgasłych popiołów. — Nie przypuszczam, niechcę wierzyć, boję się wnioskować, aby podły pociąg do złota, skierował sercem, lub postacią uczuć Maryi, jeśli w niéj uczuć nie było już wcale. Postępowanie jéj mogło być tylko zwykłą kobiecéj naturze sprzecznością, a trudno téż zaprzeczyć, choć smutno wyznać, że przepych i powierzchowność, niewiadomym, magnetycznym sposobem często na uczucia téj natury wpływa. — Rozeszli się więc po téj muzykalnéj rozmowie, nie tak obojętni, jak trochę rozgniewani na siebie, a bardziéj jeszcze zgody pragnący. Poznał Gustaw obudzające się w Maryi uczucie, i już powoli zaczął w niéj upatrywać podobieństwo i toż samość z dawną Maryą swoją, tak dalece biedny, potrzebował drugiego młodego serca, któreby sercu jego biciem i uczuciem odpowiedzieć mogło.

Cóż to jest, żeście z Maryą tak na zimno? rzekł mu Franciszek cicho, — czy się gniewacie?

O! bynajmniéj, odpowiedział Gustaw, lecz mógłeś uważać, że tak samo było i za pierwszą razą, kiedym tu był.

Franciszek zagryzł usta. — Goście grali w karty. Ty nie grasz? zapytał Gustawa Pan Werner.

Nigdy!

Bardzo dobrze robisz; mogłoby to wejść w nałóg; często powtarzam Franciszkowi, że nic gorszego nad karty! Gustaw się uśmiechnął, pewny będąc, że wszystko, co teraz zrobi, będzie zawsze najlepszem. Chciał sam jeden podumać, ale mu niedano chwili spokojnéj; wszyscy się go z kolei czepiali, a on uśmiechał się szydersko, widząc te nadskakiwania osobliwsze. Nawet Pan Trepsza gadał z nim o polowaniu, nawet Pan Bonifacy cztery razy opowiedział mu, jak zabił łosia w 1812 roku; nawet bracia

Marmurki kłaniali mu się z uśmiechem, nawet Pani Ostrowska ciągle powtarzając awantury, sceny, częstowała go tabaczką i opowiedziała mu z rzadką wytrwałością i ciągiem niezwykłym jéj rozmowom, całą historyą powszechną okolicy. I ona biedna chciała go usidlić, jeśli nie twarzą, na którą i pociemku nawet rachować nie mogła, to przynajmniéj dowcipem.

Ledwie o północy dano mu zasnąć spokojnie, a jaką mu jeszcze Franciszek chciał na dobitkę uczynić przysługę, tego wam nawet powiedzieć nie mogę.

Kalwarya.

Do najciekawszych miejsc na drodze z Biały do Lwowa, należy bezsprzecznie sławne miejsce pielgrzymek pobożnych w obwodzie wadowickim, Kalwarya Zebrzydowska, tak po swym założycielu nazwana. Miejsce to rozróżniać należy od Kalwaryi Pacławskiéj, dwie mil od Przemyśla odległéj, zwłaszcza, iż to ostatnie co do bogactwa, piękności i wspaniałości kościołów i kaplic, jako téż co do swego położenia i widoków, daleko niżéj od pierwszego stoi. U stóp góry Kalwaryi leży miasteczko Kalwarya, liczące 1800 mieszkańców, trudniących się tkactwem i rólnictwem. Otwiera się ztąd daleki widok na nadwiślańskie okolice, a żaden obcy i krajowiec nie wstępuje bez zachwycenia na górę Kalwaryi, ten najwyższy cypel pasma przedgórzy, składającego się z dawniejszego i późniejszego piaskowca i wapienia, między któremi jednakowoż pierwszy w znaczniejszéj znajduje się ilości. Pomiędzy ciemnemi jodłami i sosnami, jakiemi góra Kalwaryi jest porośniętą, wystaje mnóstwo bielejących się kaplic, z których każda osobnéj scenie z męki naszego Zbawiciela jest poświęcona; widok onychże wzbudza pobożne, religijne uczucie. Do tego to świętego miejsca pielgrzymuje corocznie mnóstwo pobożnych pielgrzymów z Galicyi, Polski, Węgier, Szląska i Morawii, aby odprawiając swe nabożeństwo w tych świętych miejscach, wiarę swą wzmocnić, lub święte śluby wypełnić. Szczególniéj wielkim bywa natłok ludu na Wielkanoc i w święta P. Maryi poświęcone, a mianowicie największym w święto Wniebowzięcia Maryi Panny. W takowych dniach liczono nieraz przeszło 30,000 pobożnych Chrześcian, którzy w dużych gromadach, częścią w otwartych miejscach lesistych spoczywają, częścią pojedyńczo w zabudowaniach koło klasztoru lub w miasteczku znajdują przytułek. Po lesie rozlegają się od samego świtu do późnego wieczora nabożne pienia pojedyńczych processyj, zatrzymujących się przed każdą kaplicą i odprawiających przepisane nabożeństwo. Jestto widok, na jaki pewnie każdy czuciem obdarzony człowiek, bez wzruszenia patrzeć nie może.

Na szczególniejszą uwagę zasługuje tutaj wyobrażony klasztor Bernardynów z dużym kościołem, przy którym obecnie 16 braci zakonnych wraz z przełożonym żyje. Teologiczny naukowy zakład dla zakonników galicyjskich, miał tu od czasu swego powstania siedlisko, dopóki w r. 1830 nie został do Lwowa przeniesionym. W krużgankach klasztornych wiszą popiersia familijne Zebrzydowskich i piękny obraz świętego Franciszka w grobie, u którego stóp papież w nabożeństwie zatopiony klęczy; naprzeciw wielkiego ołtarza wisi obraz króla polskiego Władysława IV., który w r. 1621 po zwycięztwie chocimskiem uroczyste dzięki najwyższemu składał, oraz i drugi obraz, przedstawiający odwiedziny ś. p. zmarłego cesarza Franciszka.

Założycielem tego sławnego miejsca pielgrzymek pobożnych jest Mikołaj Zebrzydowski, wojewoda krakowski i starosta lanckoroński, który żałując za rokosz podniesiony, i chcąc przebłagać poległych w téj walce, wraz z żoną swą Dorotą Herburtową, tutaj kościół zbudować postanowił. W tym to celu przykazał dworzaninowi swemu, Hieronimowi Strzale, przedsiębiorącemu właśnie pielgrzymkę do Jerozolimy, dla odwiedzenia grobu Zbawiciela, aby mu przywiózł rozkład budowniczy tamtejszego kościoła Św. krzyża i Bożego grobu. Strzała powrócił nazad 1600 roku i przywiózł żądane rozkłady budownicze, poczém Zebrzydowski 4go października 1600 r. kamień węgielny do teraźniejszego kościoła położyć kazał. Koło budowy onegoż tak pilnie pracowano, iż już rok późniéj, to jest 4go października 1601, stanął z ciosowego kamienia zmurowany kościół, który papiezki poseł na polskim dworze, Klaudyusz Rangoni, w przytomności krakowskiego biskupa, Bernarda Maciejowskiego, uroczyście poświęcił. Roku 1602 powziął Zebrzydowski myśl zbudowania klasztoru wraz z kościołem. Bernardyni, mieszkający wtedy w Radomiu, chętnie przyjęli wezwanie, a w roku 1603 poświęcił wspomniony już wyżéj biskup krakowski, kamień węgielny nowéj budowy. Aż do ukończenia onéjże kazał założyciel wystawić drewniany budynek z pomieszkaniami dla 5. braci zakonnych. W owym czasie znajdował się w téj okolicy komissarz ziemi świętéj, O. Chryzostom z Kopranicy, ten wiele podobieństwa między tém miejscem a Jerozolimą upatrywał. To było powodem pobożnemu założycielowi, iż podług rozporządzenia sławnego miernika i nauczyciela matematyki, Szczęsnego Zebrowskiego, podobne gmachy, jak ratusz Piłata i grób Chrystusa, w Jerozolimie wystawione, już dobudować kazał. Wewnętrzne niespokoje krajowe, oddaliły na trzy lata założyciela od swego miejsca ojczystego i były przyczyną, iż dopiero po swym powrocie w roku 1609 klasztor i resztę budynków OO. Bernardynom uroczyście mógł oddać. Całe założenie potwier-

dził król Zygmunt III. Aż do roku 1616 sam założyciel budową był zajęty, po śmierci zaś dokończył syn jego Jan wszystkie kaplice i budowy. Michał Zebrzydowski, również wojewoda krakowski, kazał kościół wraz z klasztorem rozszerzyć i powiększyć. Tyle nam dzieje o założeniu Kalwaryi powiadają. Poniżéj miasteczka leży wieś Zebrzydowice z klasztorem Miłosiernych braci, którzy się trudnią pielęgnowaniem chorych z okolicy.

Bitwa pod Kircholmem.

(Dalszy ciąg.)

Dzień 27. Sierpnia 1605 roku był pogodny; promienie słońca w tysiącznych odcieniach odbijały się od świetnego, stalistego uzbrojenia; połyskały się oręże, wiatr igrał z piórami hełmów, cichość grobowa obległa szeregi, czekano tylko hasła. Widok wojsk, do bitwy uszykowanych, ma w sobie coś zajmującego, ponurego, wzniosłego, porusza wszystkie sprężyny czucia w człowieku. Ów liczny stek ludzi jednako ustrojonych, jedną i tąż samą ożywionych myślą, dobrowolnie życie, wszystkie swoje doczesne nadzieje narażających, zdumiewa oczy i rozum, wznieca w każdym szlachetny zapał i poświęcenie się w pośród tylu; tu kres hartu moralnego dla każdego młodego, tu dopiero poznać może w całym świetle rzetelną godność człowieka, jako na progu wieczności. Mówimy zaś o walkach w obronie swobód prawdziwych, z własnego popędu ogółu prowadzonych; ubliżeniem byłoby te wzniosłe pojęcia stósować do rzeźi, które przemoc dla osobistych widoków prowadzi, popychając gwałtem tłumy za lichą strawą.

Nim nastąpiła ogólna walka, trwały harce od godziny osméj zrana do południa szczęśliwie dla Polaków, wszakże nieprzyjaciel z posady swojéj występować nie chciał. Największa w tém trudność dla hetmana zachodziła, ponieważ na szwedzkie szyki, szeroko po górzystych miejscach rozstawione, z jazdą swoją, w któréj całe zaufanie położył, natrzeć bezpiecznie nie mógł. Niebezpieczno téż było bitwę walną dłużéj odwlekać, ona bowiem roztrzygnąć miała wszystko. Żeby więc z pagorków owych na przyległe i rozłożyste pola podstępem nieprzyjaciela wyciągnąć, nagle rozkazał zwinąć się swoim harcownikom, wypuścił pułk ussarzy z poleceniem, ażeby tenże dotarłszy aż do samego szyku szwedzkiego, wkrótce cofał się, nigdzie nie dotrzymując, z początku powoli, potém w rozsypce, nakoniec ażeby w zupełnym nieładzie do swoich dopędził w przeznaczone miejsce, a to dokładnie zmyślając ucieczkę. Tak często powtarzanemu wybiegowi dał się jednakże uwieść zbyt popędliwy Karól, i skoro tylko pułk ten ussarzy zaczepiwszy kilka czworoboków szwedzkich, udawać począł ucieczkę, całkiem, jak gdyby odparty i zniechęcony; natychmiast wykrzyknąwszy: „a nie mówiłżem, że Polacy uciekną,“ pomimo przedstawień generałów swoich, rozkazał całemu wojsku zstąpić z pagorków, z pośpiechem jak do pogoni, przez co szyk znacznie nadwerężonym został. Tylko téż na to czekał Chodkiewicz; zaraz więc za danym znakiem harcownicy miejsca swoje zastąpili, rozciągnęły się ściśnione pierwéj szyki, stawiając równe nieprzyjacielowi czoło; na hasło do bitwy zagrzmiały wszystkie bębny i trąby, i aby korzystać z pierwszego nieładu Szwedów, pchnął hetman hufiec Wincentego Wojny na łamanie piechoty szwedzkiéj, w czole ustawionéj, w pośród okrzyku całego wojska: „Jezus, Marya! śmierć Szwedom!“

Długo nieprzyjaciel stał jak mur nieporuszony, nasrożywszy całe czoło długiemi kopiami, koląc zdala natarczywe konie, kiedy tymczasem muszkietnicy owi, gęstym jakby z za rogatek rażili ogniem. Ussarze po wystrzeleniu z ręcznéj krótkiéj strzelby, jedni zapędem dzielnych koni tratując, drudzy kopiami bodząc, inni dobytemi pałaszami drzewca nasrożone siekąc, rum sobie na złamanie szyku torowali; za nadbiegnięciem znowu kurlandzkiéj jazdy, nadwerężone już szyki szwedzkie łamać się poczęły; pękła nakoniec ta spisami utkana zapora, śmierć walecznego Lindersona długo wątpliwą walkę roztrzygnęła, który od ciężkich ran na nogach już utrzymać się nie mogąc, padł na kolana i jeszcze nim skonał kilku Polaków powalił. W téj wrzawie, Stygiel, który u Szwedów prowadził węgierską piechotę, ustępując powoli z bojowiska, z niedobitkami schronił się do bliskiego kościółka, gdzie zatarassowany mocno, przez okna i z dachu raził Polaków ze strzelby, dopiero widząc, że nie ujdzie, udawał Polaka mową i począł swoich Węgrów mordować, jednak poznany wkrótce, ponieważ nie wachał się użyć tak okropnego podstępu, w sztuki rozsiekanym został.

Kiedy tak zacięcie bojowano w środku, Tomasz Dąbrowa, przywodzący lewemu skrzydłu, w obawie, aby nie być wziętym z boku i korzystając z wiatru powstałego od morza, dym i piasek w oczy nieprzyjaciół miotającego, dzielnie natarł na jazdę Mansfelda, choć co do liczby wielce przeważną, takową rozproszył i ze szczętem zniósł i sam cudów męztwa dokazywał; z jego to ręki poległ książę lüneburski, potykający się pieszo, bez hełmu na głowie, z męztwem rozpaczy, aby przekonać, że nie jest trwożliwym, jak go niesłusznie wczora z naigrawaniem się posądził Karól.

(Koniec nastąpi.)

Bonawentura Kudlicz.

Znakomity ten artysta dramatyczny, w roku 1801 wszedł do teatru, zostającego wówczas pod zarządem Wojciecha Bogusławskiego.



Bonawentura Kudlicz.

Dziś ulubieniec publiczności, jest ciągłą jéj roskoszą, i słusznie, bo kogoż gra jego naturalna i szlachetna do łez nie wzrusza w Teresie, Malwinie, Estelli, Trzydziestu latach życia szulera, Powrocie majtka, Pierścieniu? Kogoż do śmiechu nie zmusza, delikatna i wyższa komiczność: w Księżnie i Paziu, Fryderyce Brown, Braciach niezgodnych, Córce Faraona, Lektyce na przedaż? Słowem, ilebyśmy dzieł scenicznych wymienili, w których ten artysta się odznacza, tyle zarazem tryumfów gry jego naliczyćbyśmy musieli, a spis ten byłby zbyt długim. Jakaż to rozmaitość charakterów, ileż delikatnych odcieni, mistrzowską grą jego oddanych!

Lecz nietylko jako utalentowany artysta położył on zasługi swoje dla sceny krajowéj: winna mu ona wdzięczność za ukształcenie tylu znakomitych dzisiaj artystów płci obojéj. — On wiódł pierwsze kroki w tym trudnym zawodzie: Daszkiewiczównéj, Werowskiéj, Kosteckiéj, Jasińskiego, Panczykowskiego, Majewskiego, Baranieckiego, Karasińskiego. — Jeszcze niezmordowany tyloletnią pracą, ciągle gra i poświęca się ukształceniu młodzieży do zawodu, który sam miłując nadewszystko, najczynniéj do wzniesienia i uszlachetnienia jego się przyczynia.

Jeśli Francya szczyci się Michotem, Poliem, Lepeinstrem starszym; Niemcy Ifflandem, Devrienem, Brockmanem; my śmiało szczycić się możemy tym utalentowanym artystą, który niemylnie dzisiaj jest jedną z najcelniejszych ozdób sceny naszéj.

R. F....

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (*Red. J. Łukaszewicz.*)

Przyjaciel Ludu.

Rok szósty. **No. 10.** Leszno, *dnia 7. Września* 1839.



Don Ramon Cabrera.

Cabrera, wódz naczelny siły zbrojnéj w Arragonii, Walencyi i Murcyi, hrabia de Morella, objąwszy komendę po śmierci *Zumalacareguya,* odznacza się równie niepospolitą znajomością sztuki wojennéj, jak niesłychaném okrucieństwem, jakiego się przeciw stronnikom królowéj dopuszcza. Z ubogich rodziców w Tortozie r. 1813 urodzony, w młodości swojéj zupełnie był zaniedbany, a będąc żywego temperamentu, puścił wodze namiętności do gry w kostki i karty. W siedmnastym roku życia udało się ciotce jego, która jest zakonnicą, odwieść go od rozwiozłego sposobu życia i namówić, aby się do stanu duchownego sposobił. Usłuchał rady ciotki młody Cabrera, wstąpił do seminaryum i w roku 1831 odebrał cztery mniejsze święcenia; lecz widząc, że stan, wymagający zupełnego zaprzenia samego siebie, jest zbyt dla niego uciążliwym, porzucił sukienkę duchowną i wstąpiwszy do wojska powrócił do dawnego sposobu życia. Już w r. 1835 stanął na czele oddziału powstańców, walczących w sprawie Don Karlosa; czyny jego śmiałe, plany w jednéj chwili powzięte i wykonane, zjednały mu w krótkim czasie miłość wojowników, którym przywodził, i łaskę Don Karlosa. Mierzył się on nieraz z *Miną,* nielękając się z małym oddziałem swoim osiwiałego w trudach wojennych wodza; a gdy tenże na dniu 16. Lutego r. 1836 ośmdziesięcioletnią matkę *Cabrery* rozstrzelać rozkazał, mścić się za to do śmierci poprzysiągł. Od chwili téj serce jego stało się zupełnie nieczułem; pochód swój w prowincyach, przez wojska i sprzymierzeńców królowéj zajęte, odznacza Cabrera największemi barbarzyństwami. Śmierci tysiąców jeńców z najzimniejszą krwią przypatrywał się nieraz; wszędzie, gdzie przybył, mieczem i ogniem wszystko niszczyć rozkazuje, narażając się sam na największe niebezpieczeństwa. W bitwie przy *Rincon* ranny ciężko, pozostał pomiędzy trupami na polu bitwy: znaleziony przez wieśniaków, ukryty w wypróchniałém drzewie, a późniéj w ich mieszkaniu za-

ledwie wyleczony, stanął na nowo na czele wiernych towarzyszów, gdy wieść o śmierci jego radością napełniała szeregi wojowników królowéj, i nowe klęski zadawać im zaczął. W roku 1838 dobył twierdzy *Morella,* od czego tytułem hrabi de Morella zaszczyconym został.

Cabrera jest średniego wzrostu, czarnych żywych oczu, i takich włosów. Ubiór jego jest bardzo skromny, nieróżniący się w niczém od jego żołnierzy. Stronnicy Don Karlosa poważają go wielce dla niepospolitych talentów i szlachetnego serca. Dwie siostry *Cabrery* poszły za żołnierzy gwardyi narodowéj w Tortozie; jeden z jego szwagrów zostaje u niego w niewoli. Dwaj wieśniacy, którym życie swoje winien i wyleczenie z raz odniesionych przy *Rincon,* są nieodstępnymi jego towarzyszami.

Bitwa pod Kircholmem.

(Dokończenie.)

Brandt pamiętny rozkazu, ażeby w czasie potrzeby zaszedł prawemu skrzydłu Polaków w tył, nie mogąc nawet dojrzeć w owéj kurzawie, na którą stronę chyliło się zwycięztwo, puścił się ku Dźwinie i natrafił tam na oddziały Sapiehy; w jednéj chwili uderzył mężnie i przełamał pierwszą linią; nie dał mu jednak korzystać z pierwszego zwycięztwa mężny Sapieha, przypadłszy ze świeżemi rotami; na nowo wszczęła się zażarta walka, cztery godziny potykano się wręcz z wątpliwym na obie strony losem, wreszcie Chodkiewicz uspokojony nieco o inne punkta, osobiście poruszył ostatnie odwodowe oddziały pod wodzą Lackiego zostające i bój rozstrzygnął; odtąd już nie bitwa, ale okropne pomieszanie, rzeź krwawa nastąpiła, albowiem rozproszonych Szwedów i w nieładzie zupełnym pierzchających pędzili Polacy aż do wioski Blumenthal, zaściełając pola trupami; wielu też w ucieczce przez Dźwinę wyginęło.

Na samém pobojowisku naliczono dziewięć tysięcy poległych, oprócz tych, co daleko od pola bitwy w ucieczce przez ciurów i włościan miejscowych pobitymi zostali; jedenaście dział, sześćdziesiąt chorągwi, wszelkie zapasy wojenne i cały obóz szwedzki, były nagrodą tego przesławnego zwycięztwa, w dniu 27. Sierpnia 1605 r. odniesionego. Najznakomitsi Szwedów dowódzcy polegli, albo rannymi zostali, oprócz bowiem naczelnie dowodzącego jenerała Linderson, polegli Fryderyk książe lüneburski i pułkownik Szkotów Forbes. Mansfeld, ciężko raniony, uszedł przecież za rzekę Gawią. Brandt ujęty jeńcem, jako zmiennik i zdrajca Zygmunta, ściętym został; sam nawet Karól raniony, uciekając do okrętów bez kapelusza, byłby się Polakom do niewoli dostał, gdyby nie poświęcenie się Henryka Wrede, który mu własnego konia poddał, ale sam był rozsiekanym na miejscu.

Z polskiéj strony poległo do stu rycerstwa, między innymi: Talwosz, Lutkowski, Mamocki, Strepkowski, Jabłonowski, Hohol, Pągowski, Milecki, Skrzetuski, Kufarski, Mićkiewicz i dwaj bracia Jurahowie — cześć popiołom obrońców ojczyzny! Chlubne odnieśli rany: sam Wojna, Czarkowski, Maliszewski, Kiermowski, Zaborowski, Tański, Luciminski, Sielecki, Korytowski, Cieciszowski, Kamieński, Młodzianowski, Piotrowski; mnóstwo przytém koni pokłuto włóczniami.

Tym sposobem Chodkiewicz oczyściwszy całe Inflanty od nieprzyjaciela, wszedł do Rygi, uwolnionéj od oblężenia; zwycięzca ze skromnością oddał dziękczynienie Wszechmocnemu w kościele Śgo Jakóba, ciała wszystkich poległych okazale ze czcią pogrzebać rozkazał i dnia 30. Września wysłał do króla Jana Sapiehę, Lackiego i Dąbrowę z doniesieniem o tak ważném zwycięztwie.

A tak Chodkiewicz pod Kircholmem w 3700 ludzi zniósł ze szczętem 17000 Szwedów; przyzwyczajonym w czasach dzisiejszych do tych morderczych wojen, które narody zerwane z posad swoich toczyły, bitwa pod Kircholmem między tak szczupłemi wojskami wcale nieznaczną zdawaćby się mogła, lecz dzisiejsze przykłady nie można do dawnych stósować i zawsze bitwa ta piękną zostanie pamiątką sławy dla Chodkiewicza i Polaków. Dla tego rozważając zblizka szczegóły jéj wojenne, przyznać każdy musi wysoką biegłość wojenną Chodkiewiczowi, niepospolitą zręczność w rozwijaniu i zwijaniu szyku, odmianie czoła, użyciu harcowników i wszelkiego rodzaju wojska w stósownéj porze, wielką ostrożność i trafność w całém postępowaniu, znajomość doskonałą wszelkich bojowych podstępów i całéj umiejętności wojowania; co do wojska, znać, że każdego ożywiała rozsądna żądza sławy i miłość ojczyzny. Chociaż jeden traf nadspodziewany wielki wpływ wywrzeć może w toczących się bojach i dla tego rozpowszechniła się zasada: że los wojny zawsze wątpliwy, to przecież pomyślność sprzyjać musi temu, kto stósowniejszych środków do dopięcia celów swoich i przedsięwzięć używa. Sprawiedliwie przeto cała Europa w owym czasie podziwiała czyn ten wojenny Chodkiewicza. Papież Paweł V., cesarz Rudolf i Jakób angielski, sam nawet Sułtan turecki i Abba Szach perski, złożyli mu z darami listowne powinszowania; we Flandryi sporządzono jedwabne szpalery, wyrażające to sławne zwycięztwo; w całéj zaś Polsce, mianowicie w Wilnie, odprawiały się publiczne modły, huczne biesiady, palono sztuczne ognie, oświecano miasta; słowem, każdy Polak podzielał Chodkiewicza sławę, uczcił go po swojemu, na uwiecznienie wreszcie zwycięztwa Kircholmskiego odbił wyobrażenie jego z miedzi rytownik Thum, i dziś jeszcze spotkać można obrazy podobne po ścianach znakomitych w Rzymie rozwieszone. Po-

lakowi smutne tylko pozostało wspomnienie: nie wolno iść torem przodków!

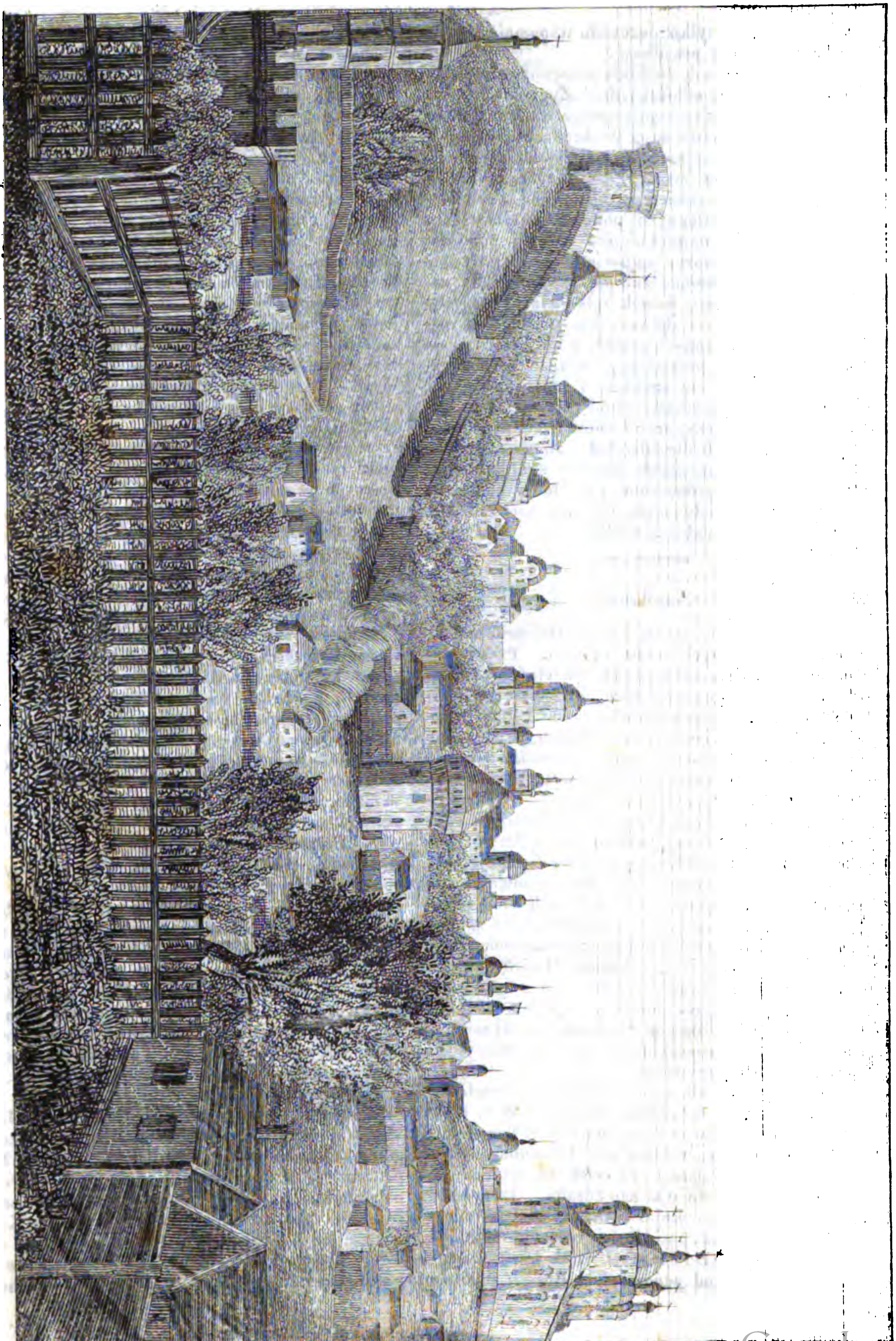
Pomimo, że tak świetnie poczynał oręż polski w Inflantach, nie odniósł jednak Zygmunt żadnych korzyści z tyle sławnego zwycięztwa z przyczyny burzliwości i niesforności w obradach domowych, tak, że wojna inflantska ledwie dopiero w lat sześćdziesiąt, ze stratą Estonii zakończyła się w roku 1660 przymierzem oliwskim; zkąd wypłynęła dla następnych pokoleń ta zbawienna przestroga, że najpiękniejsze chęci i pomysły, najśmielsze zamiary, najświetniejsze czyny pojedyncze, odosobnione znikają w skutku dla narodów i ludzkości, dymek tylko sławy pozostawiwszy za sobą, i ile razy kto wystąpił w rozległych i zbawiennych celach, a nie był w stanie otrząsnąć się z przesądów, wyrzec zarozumiałości, poświęcić się zupełnie i całkiem zaprzeć samego siebie, wreszcie pamiętać, że nikt sam sobie nie wystarczy, zrobił może wiele dla sławy, ale nic wielkiego nie zdziałał i znowu napróżno się kto poświęca, jeżeli nie ma spółdziałania; spólne tylko, zjednoczone siły ludzi stanowią, bo tak chciały odwieczne wyroki, ażeby każdy w bliźnim uznawał człowieka! *J — G.*

Smoleńsk.

Smoleńsk, na lewym brzegu Dniepru, należy do najdawniejszych miast ruskich. Przed piętnastym wiekiem miał swoich udzielnych książąt. Po śmierci ostatniego z tych, Świętosława, Witold Smoleńsk i całą prowincyą do Litwy przyłączył, syna Świętosława, usiłującego odzyskać utracone ojczyste dziedzictwo, pokonał, załogi i urzędników litewskich w Smoleńsku i po wszystkich grodach prowincyi osadził. Wszakże Smoleńszczanie, bądź to, że jarzmo litewskie było nieznośnem, bądź téż, że mieli odrazę ku obrządkom kościoła zachodniego, w Litwie panującego, usiłowali nieraz wybić się z pod panowania Litwinów. Już w roku 1441 podnieśli bunt przeciw Kazimierzowi Jagiellończykowi, świeżo naówczas w. księciem litewskim ogłoszonemu, uznali za swego pana Jerzego księcia Mścisławskiego i otworzyli mu bramy miasta. Na odgłos tego buntu pospieszył Kazimierz z wojskiem pod dowództwem Gastołda pod Smoleńsk, spalił miasto, dobył zamku i mieszkańców całéj prowincyi do posłuszeństwa przywiódł.

Od początku 16. wieku począwszy, Smoleńsk był narażony na ustawiczne napady. W r. 1500 oblegl to miasto Iwan Bazylewicz, car; lecz dzielność Jerzego Paca i Mikołaja Sołohuba, utrzymała je przy Polsce. Przecież co waleczność utrzymała, wydarła wkrótce zdrada. W r. 1514 haniebnéj pamięci kniaź Michał Gliński oderwał Smoleńsk od posiadłości rzeczypospolitéj i poddał Rossyi. Odtąd przez wiek blisko zostawał Smoleńsk pod panowaniem Rossyi, pomimo świetnych zwycięztw nad nią odniesionych przez Konstantego Xcia Ostrogskiego, Batorego i Zamojskiego. Nareszcie w roku 1609 w miesiącu Wrześniu obległ to miasto Zygmunt III. z wojskiem polskiém i litewskiém. Bronił dzielnie miasta Michał Borysowicz Sehin w 40 tysięcy ludzi. Po 20 miesięcach ciężkiego oblężenia, to jest dnia 13. Czerwca, Bartłomiéj Nowodworski, kawaler maltański, zrobił w murze wyłom 30 łokci szeroki; tym wyłomem wpadły do miasta półki gwardyi królewskiéj pod dowództwem Dorohostajskiego. Mieszkańcy niektórzy z żonami i droższemi sprzętami swemi schroniwszy się do cerkwi zamkowéj, ogień do prochów w lochach będących podłożyli i sami się w powietrze wysadzili. W oblężeniu tém, według powieści Kobierzyckiego, zginęło w Smoleńsku do 70000 ludzi. Od tego czasu był Smoleńsk znowu polskiém miastem. Po śmierci Zygmunta III. w roku 1632, w czasie bezkrólewia, chcieli go Rossyanie zająć na nowo. Przybyli pod Smoleńsk w 100000 ludzi pod dowództwem Sehina, tego samego, który go w roku 1609 przeciw Zygmuntowi III. tak walecznie bronił. Był natenczas kommendantem Smoleńska Stanisław Wojewodzki, szlachcic z województwa podlaskiego. Wytrwałością, odwagą, a nadewszystko niezłomnym hartem duszy, na czele szczupłéj załogi, bez dostatecznych zasobów ammunicyi i żywności, odparł kilkanaście szturmów i wytrzymał ośmiomiesięczne oblężenie, aż mu przybyli na odsiecz, naprzód hetman litewski, Krzysztof książę Radziwiłł, a wkrótce po nim Władysław IV., król polski. Teraz zmieniła się postać rzeczy. Sehin z oblegającego stał się sam oblężonym i zmuszonym do kapitulacyi dnia 14. Lutego 1634 roku. Wkrótce po tém zwycięztwie stanął pokój pod Wiazmą nad rzeką Polanowką, dnia 15. Czerwca 1634 r., na mocy którego Smoleńsk z Czernichowem ustąpione zostały Polsce na zawsze. Pomimo atoli takowego zrzeczenia się Smoleńska, obległ go znowu w roku 1654 car Alexy Michałowicz, a Filip Obuchowicz, wojewoda i dowódzca w téj twierdzy, nienaśladjując bynajmniéj przykładu Wojewódzkiego, chociaż miał daleko większe, niż tamten sposoby obrony, poddał ją nieprzyjaciołom, i od tego czasu Smoleńsk odpadł wraz z całem województwem na zawsze od posiadłości polskich. Jan III. traktatem Grzymułtowskiego, roku 1686 zawartym, upoważnił tę dotkliwą z wielu względów dla rzeczypospolitéj utratę.

Oblężenia Smoleńska pod Zygmuntem III. i Władysławem IV. skreślili dokładnie i szczegółowo Niemcewicz w panowaniu Zygmunta III., Karamzyn, Kwiatkowski i Radziwiłł w swoich pamiętnikach. Mniéj jest znanem oblężenie przez Rossyan tego miasta za panowania Jana Kazimierza, w r. 1654. Umieszczamy tu więc opis jego, wyjęty z *Współczesnych pamiętników do panowania Jana Kazimierza*, które w téj chwili



Smolensk.

uczony hr. Edward Raczyński w Poznaniu drukiem ogłasza:

„Car moskiewski w 80000 wojska wyszedł do Litwy. Oprócz Kałmuków, miał 20000 Kozaków przy sobie pod dowództwem półkownika Złotorenki. Dorohobuż dobył i wyciął: Newel, Mohyłow, Połock, fortecę nad rzeką Dźwiną opanował.“

„Ruszył przeciwko Moskalom książę Radziwiłł, żołnierz odważny i wojennemi czynami, gdyby ludzkiéj rady słuchał, a ludzi niepospolował, w swojém się zdaniu kochając. Z ośmiu tysiącami wojska, które miał przy sobie, nie podobna było oprzeć się potencyi cara moskiewskiego, a nie wzywał do téj akcyi hetmana polnego Gąsiewskiego, ani się z dywizyą jego chciał łączyć; także pospolitego ruszenia litewskiego, lekce je ważąc, nie potrzebował. Przybywszy pod Orszę, Mirskiego i Ganckofa, półkowników, z 3000 wojska lekkiego wyprawił, rozkazawszy, aby z nieprzyjacielem spotkali się, lub też na obóz uderzywszy, szałase jego zapalili, a znak na sobie z nieprzyjacielem przynieśli.“

„Nieprzyjaciel dufając potencyi swojéj, kraj obstraszywszy, nie zbyt był ostrożny, aliści Ganckof w 7 chorągwi manowcami przybywszy, na same gwardye carskie uderzył. Nieprzyjaciel twardym snem po pijatyce uśpiony, przez rany i rzeź ledwo obudzony: a tu w trąby uderzono i huk zrobiono. Podczas ciemnéj nocy zapalił nieprzyjaciel kilka stogów słomy, dając swoim wiedzieć o inkursyi naszych. Dogodziło to Litwie; jaśniéj było zabijać: zabili Orthoma, wojewodę, i różnych 1000 wycięli; wzięli 16 bojarów i carskiego buńczucznego z buńczukiem. Zatem dnieć poczęło, Litwa na odwrót zatrąbiła: ledwo można było odciągnąć żołnierzy, tak się zawzięli w passyi do zabijania. Potém nieprzyjaciel zebrawszy się, gonił naszych wielkim impetem, że zdobycz musieli topić, a więźniów starszyzna kazała ścinać.“

„Ten szczęśliwy podjazd wzbudził w księciu Radziwille desperacką imprezę, iż z całem wojskiem litewskiém na tak wielką potencyą nieprzyjacielską ruszył, chcąc wydać batalią. Król zakazywał i prymas pisał, żeby króla słuchał, a nie narażał się na takową potencyą, nie gubił wojska, nie czynił dyffidencyi z kollegą, złączył się z dywizyą onego i z pospolitem ruszeniem, wszelkim sposobem otwartego unikając boju, partyami nieprzyjaciela infestował. Nie słuchał ni króla, ni prymasa, swoją prezumcyą, nie łącząc się z nikiem, 10000 ledwie tylko mając, na 40000 nieprzyjaciela pod Szkłowem nastąpił, spodziewając się, że nieprzyjaciel ustraszony sławnemi akcyami jego, będzie umykał, a Moskwa z całą potęgą na niego ruszyła się trzema kolumnami. Na pierwszą kolumnę odważnie książę uderzył, lecz gdy drugie kolumny otoczyć go usiłowały, ustała ta buta i z owéj odwagi do ucieczki przyszło.

„Zmieszały się szyki litewskie; biegał wszędzie książe zachęcając, ale niemógł nic wskórać: tabory litewskie z armatami opanował nieprzyjaciel: co najsławniejsi rycerze polegli, sam książę mało co nie utonął. Nieprzyjaciel ucieszony tą wiktoryą, wyprawił wojsko swoje do Litwy, kraj niszcząc: sam car pod Smoleńsk ruszył się.“

„Smoleńskie księstwo na granicy moskiewskiéj przedtem swych udzielnych książąt miało. Świętosław, ostatni z książąt smoleńskich od Witołda, po koronacyi króla Jagiełły, polskiém i litewskiém wojskiem pokonany, a Smoleńsk do Litwy i Polski przyłączony, synowi Świętosława, Jerzemu, lenném prawem do rządów oddany został, z poprzysiężeniem wiernego poddaństwa Rzeczypospolitéj. Lecz, gdy w roku 1403 rebelizować począł, zwyciężony, z Smoleńska wypędzony, na wygnaniu w Węgrzech życia mizernie dokonał.“

„Potém Iwan Wasilewicz, car, za zdradą Glińskiego Michała w roku 1514 opanował. Zygmunt zaś III., król polski, po dwuletniém oblężeniu odzyskał. Władysław, syn Zygmunta III., gdy nieprzyjaciel z liczném i potężném wojskiem przyciągnął Smoleńsk dobywać, i wojsko jego zniósł i Smoleńsk od oblężenia uwolnił.“

„Smoleńsk miasto Dniepr oblewa; od południa piaszczyste ma pagórki, które miejsce zowie się *Pokrowy*; błotami i bagnami otoczone. Na 40 mil kraina smoleńskiego księstwa rozciągnęła się aż do Berezyny rzeki. Około miasta zamki i mury z ciosanego kamienia zrobione, tak szerokie i grube, że po wierzchu dwa wozy rozminąć się mogą, przytém strzelnice wystawione, co muru bronią; król Władysław przydał fossę i wał szeroki. Miał kommendę w Smoleńsku Filip Obuchowicz, niedawno wojewodą smoleńskim od króla uczyniony. Załoga w zamku wynosiła 2000 ludzi pod kommendą Korfa; pod nim dowodzili Mikołaj Tyzenhaus i Jan Duka; przytém stare prezydyum kommenderował Piotr Świadzki, szlachcic smoleński. Miasta broniła szlachta smoleńska, których 4000 rachowało się pod urzędnikami ziemskimi podkomorzym i chorążym (nazwiska ich autor nieprzytacza), Hieronimem, Ciechanowiczem, sędzią czernichowskim, Bakanowskim podczaszym. Byli i Moszczeryn, Limont, Giełgut i inni rotmistrze. Najpierwéj zachowano tę ostrożność, że mieszczan dysunitów wszystkich dyzarmowano. Jędrzej Kwaśniewski, przezwiskiem Złoty, arcybiskupem smoleńskim ruskiéj wiary był, ale tak życzliwy ojczyznie, iż ustawnie Ruś napominał, aby niemiała konszaftów z nieprzyjacielem. W dzień ś. Antoniego padewskiego Moskwa otoczyła miasto i zamek; sam car przytomny był, Trubecki wojsko kommenderował, tudzież Serebny, Chowański, Dołhoruki i inni officerowie z Genui i Holandyi; z Francyi Bryan i Sperbit, ze Szwecyi Erkar i Bilansen, którzy razem u Moskwy byli półkownikami. Wkrótce naokół aprosze pokopali tak, jako

Władysław król Sehina odpędził. Zamknęło się miasto. Wojewoda starał się utrzymać je, jako przedtem jego antecessorowie. Uczyniono z miasta wycieczkę w 400 ludzi, którymi Plater kommenderował: napadł na kopiących aprosze, wyciął kopiących, i porobione retranszamenta zaczął rozrzucać; wtém nieprzyjaciel w wielkiéj *sile* napadł na niego i odpędził. Zginęło w téj wycieczce 36 ludzi. Zatém z armat zaczęli gęsto strychować nieprzyjaciela, i odpędzili go. Potém najprzedniejszy puszkarz żonę i dzieci porzuciwszy, do Moskwy uciekł i wydał wszystkie defekta fortecy, jakoto: podle michałowskiéj bramy mur woda podmyła, łatwo się może obalić, byle go trochę podkopano. Zaczem w dzień ś. Jana Chrzciciela, podług kalendarza ruskiego, sam car ordynował szturm pierwszy: kazał z armat gęsto zatoczonych bić. Kiedy muru nadtłukli, zawołano do szturmu, i o pierwszych kurach zewsząd wojsko na mury lazło, najbardziéj do bramy michałowskiéj impet wywarłszy. Lecz tam znaleźli wał usypany i miny zakopane. Zaczem około strzelnic szturm się zabawiał i aż pod same fossy drudzy przebrali się, wywijając swoje chorągwie.“

„Załoga należycie stawała, Korf ordynował dragonią, z miasta wypadła szlachta na troje staj, odpędziła nieprzyjaciela, który opanował szaniec z ziemi zrobiony, nazwany żelazny, niewiedząc, że tam miny zakopane. Długo nasi certowali o ten szaniec z nieprzyjacielem, naostatek ustąpili: a tu miny zapaliły się z takim grzmotem ziemi, o kilka mil słyszanym; lecz nie tylko minami nieprzyjaciel wysadzony, ale w tém zamięszaniu i zaćmieniu od prochów, nasi na nieprzyjaciela wsiedli, niewiedzącego dokąd ma uciekać, i na kilka tysięcy trupem położyli.“

„Nazajutrz trębacza nieprzyjaciel przysłał o armistycyum prosząc, dla pochowania trupów; na co nasi pozwolili. Potém kazał car puszkarza tego, co z miasta do niego przybył i relacyą uczynił o słabości miejsca podle bramy michałowskiéj, że nie tak się okazało, obwiesić, a do innych przemysłów udał się.“

„Kilka dni zpauzowawszy nieprzyjaciel, tylko z armat mury tłukąc, innych nie czynił nawałności, ale nowe robił fortyfikacye, dla przybliżenia się ku murom, bez szkody swojéj od oblężonych. Wojewoda bowiem zakazał wycieczek z zamku i miasta, mieniąc, że przez to umniejsza się załoga. Zaczem siedzieli, darmo zjadając prowianty, o co urażona szlachta i urzędnicy powiadali, że nieznając się na wojnie, dyszkurować, nie wojować przyuczony, zgubi nas i fortecę, co i oficerowie potwierdzali.“

„Unikał zatem wojewoda przed urzędnikami i szlachtą. Czasu jednego szlachta go przydybała i poczęła mu wymawiać: za co folgujesz nieprzyjacielowi, a srożysz się na swoich? Odpowiedział: że przodkowie nasi siła czasu strawili, nim Smoleńsk od nieprzyjaciela odzyskali, a WPanowie chcecie w krótkim czasie on zgubić? Lecz mu szlachta replikowała: widzimy jawnie, co przodkowie prostotą odważną od nieprzyjaciela wydarli, to ty twoją szaloną mądrością chcesz zgubić.“

„Prosił car na rozhowor. Nasi długo niepozwalali; potém zezwolili tą kondycyą, aby car nie kazał strzelać i nie zabraniał poprawy murów i wałów; ale podkomorzy smoleński nie życzył rozhoworu z carem, który bez żadnéj przyczyny stał się nieprzyjacielem ojczyzny. Ale już poczęli desperować o wytrzymaniu Moskwie, tak wojewoda, jak duchowni, a wojewoda powiedział w klar, że ja mam od króla daną moc z carem traktować.“

„Duchowni dla kościołów obrony, pospólstwo dla ostatniéj zguby, życzyli traktować, mówiąc: król daleko, Radziwiłł zniesiony, Gąsiewski, hetman polny, skarbem zatrudniony i nie wielkie ma siły, zniskąd sukursu spodziewać się nie można, chyba z nieba; nie stanie prowiantów na długie oblężenie, prochów także, dla ustawnego strzelania nieprzyjaciela, który coraz więcéj wojska mieć może, nie tylko attakować nas, ale czapkami zarzucić mogą; można przez traktaty i wiarę utrzymać i wolność, a jak przez potencyą dobędą, wszystko razem stracim i sami zginiem.“

„Siła, co tam w oblężeniu byli, czynili relacyą, iż w nocy wielu z nieprzyjacielem znosiło się, i żołnierze stojący na warcie widzieli, że do zamku fórtę otwierano, a fórtą pieniądze do zamku z workami ciężkiemi wnoszono. Zatem podkomorzy smoleński nie chcąc na zgubę ojczyzny patrzeć, szczęśliwie zmarł przy wolności, i konając szlachtę obligował, aby się do upadłéj broniła.“

„Stanęły w zamku traktaty poddania się carowi. Wszedł z częścią wojska Serebny, bramy w zamku i mieście opanował: witali go burmistrze i częstowali mieszczanie. We 4 dni potém piechoty i dragonie rozwinąwszy chorągwie, z lontami zapalonemi i bronią, w bębny bijąc, wyszły z miasta; drudzy do nieprzyjaciela przystali, mając w mieście swoje żony i obejście.“

„Żegnał cara wojewoda smoleński Obuchowicz, któremu car kazał powiedzieć: idź hultaju, a swemu królowi opowiedz, jakieś widział wojska i w jakich byłeś opałach. A gdy już odszedł Obuchowicz do swoich, car rzekł: nie chcę ja, aby który z was onego naśladował; a który tak będzie robił, zapewne na haku wisieć będzie.“

Kronika literacka.

Wspomnienia moje o Francyi,

przez L. z G. R.

Pod powyższą nazwą wyszło właśnie pismo w Krakowie u Gieszkowskiego, a jakkolwiek autorka położonemi na tytule pierwszemi litery,

odgadnienie imienia domysłom zostawiać zdawała się, poświęcając atoli pracę swą *bratu rodzonemu, Konstantemu Giedroyc,* niebawem, bo za odwróceniem pierwszéj kartki, zagadkę domysłów rozwiązała. Okoliczność ta, wachanie pewne, jestże bez powodów? możeż być usprawiedliwione? — idźmy do pisma samego.

Godło, pod którém autorka obraz wspomnień kreślić zamierzyła; jest: *prawda*, a do tego wierna, a nawet surowa, słodyczy, co gorsza, usprawiedliwienia samegoż niemal pozbawiona: ta otwartość w piśmie krajowi naszemu ofiarowaném, w którym gallomania gorzéj od morowéj zarazy grassuje; gdzie znaczna część mieszkańców klass niby lepszych, w szale urojeń, w obłędzie marzeń żyjąc; ojczystego ani zna, ani używa nawet języka, i to do tego stopnia wygórowanego złego, jakiego próżno pod słońcem szukalibyśmy, posuwa, albowiem złe nałogi aż do zniewagi samego Boga, przed którym z najgłębszą pokorą ducha, najszczersze wyznanie wiary, cześć Jego, zamiast w rodzinnéj, to w Gallów czyni mowie; w towarzystwie zaiste takiém, rozsądku nawet pozbawioném, pisać przeciw Francyi, jest zaiste odwagą, co powiem, zuchwalstwem dla mężczyzn; niedopieroż dla damy, tychże salonów wychowanki!... To zaiste pojęcie rzeczy, spowodować musiało autorkę do rzucenia pewnéj zrazu zasłony na imie swoje, którą wyższe uczucia niezwłocznie uchylić nakazały.

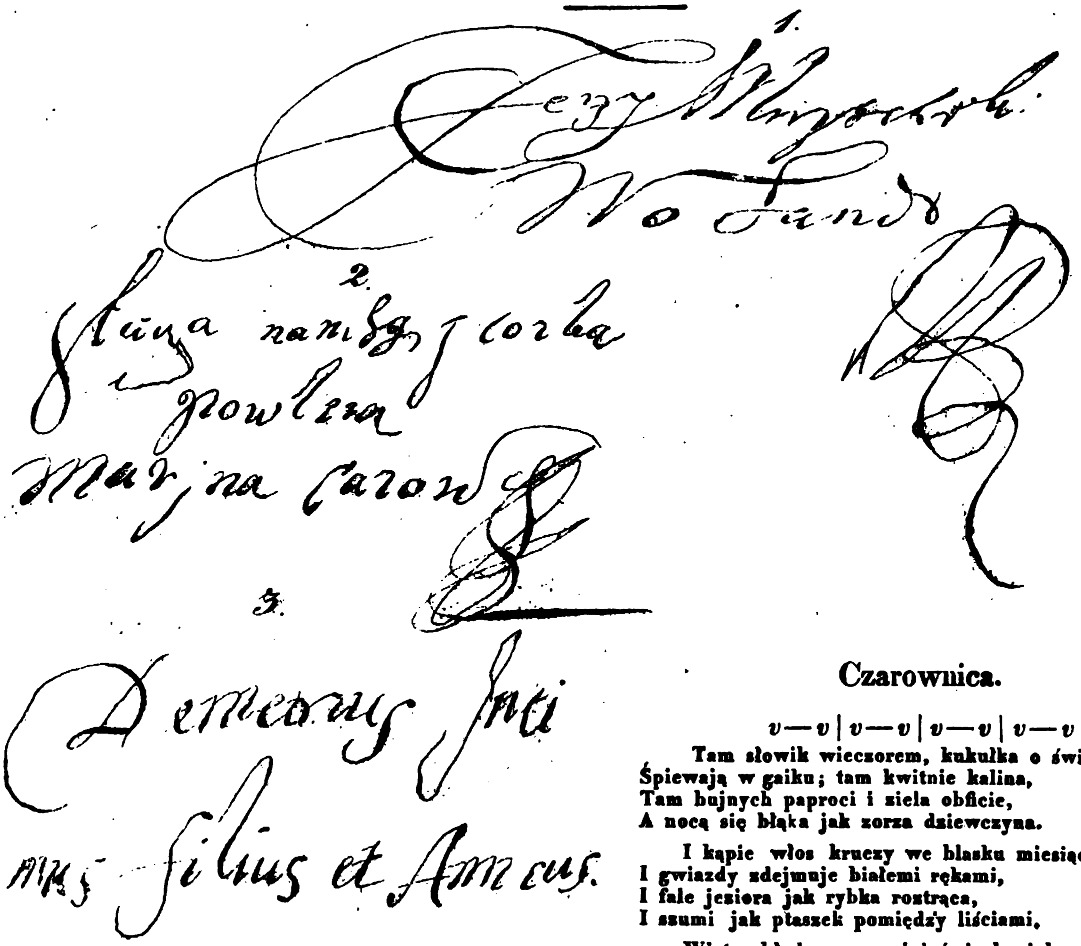
Niemożemy się tedy dziwić, dla czego pismo to za pierwszém zjawieniem swém, tyle narobiło wrzawy, i dla czego tak sprzeczne o sobie wywołuje zdania; z których jedno wynosi wartość jego pod niebiosa, gdy tymczasem drugie aż do dna piekieł strącić go usiłuje! Szlachetném ożywieni uczuciem, lub dobro podarzanych na oku mający instytucyi, lub nakoniec macierzyńskiego pierwszeństwo języka wyznawający, niemogą jak tylko pochwalać. Dzieło, które zastarzałe przesądy uprzedzenia i nałogi, Gallomanów leczyć zamyśla, wiernem bezogródki wad francuzkich wystawieniem; lubo wyznać winniśmy szczerze, iż niewszystko ze złéj brać należało strony, tém bardziéj, gdy bezstronność pierwszą winna piszących być zaletą; lecz, gdy w ciągu dzieła samego dowiadujemy się, o drugim nastąpić mającym tomie; nietracimy nadziei, iż autorka z równą skwapliwością, w wyszukiwaniu prawd zbudować nas mających, godnych naśladowania, zaletą Francuzów będących, postępować nieomieszka; jakiemi n. p. są: Zamiłowanie ziemi ojczystéj, pielęgnowanie najdroższéj puścizny macierzyńskiego języka, ważność instytucyi publicznych, liberalność uczonych, wstręt do cudzoziemczyzny i t. p. A tak, zawieszając nateraz sąd nasz, przejdźmy niektóre szczegóły pisma, czytelników *Przyjaciela Ludu* zabawić lub oświecić zdolne; z których zupełne o stylu i trafności obrazów autorki, powziąść będą mogli wyobrażenie.

Tytuł *Wspomnienia,* usprawiedliwia poniekąd wykład materyi, które zwykle w różnorodnéj mieszaninie czytającemu się przedstawiają, a nieraz i w innych rozdziałach wznawiają.

W pierwszym ustępie rzecz polityczna, celniejsze zajmuje miejsce; postępowanie wszakże dziś panującego Filipa bez względu na jego położenie i stan obecny Europy, w cierpkim odmalowane są obrazie. Duch wieku, a raczéj zły duch, i w dalszych ustroniach naszéj cywilizowanéj części świata objawiający się, nierównie w wierniejszym i trafniejszym oddany jest rysunku, któren w całości, nie w wyimku, w samém piśmie czytany, każdego zająć potrafi; tém bardziéj, że i o przykłady tego obłędu umysłowego i u nas nietrudno, gdzie dzieci czytać, ani pisać jeszcze nieumiejące, do niczego nieusposobione, a jednak reformatorami świata socyalnego być nieraz zamyślały i różne i najświetniejsze towarzystwa i ustawy kleciły już ku temu. W drugim rozdziale rozprawia autorka o charakterze dzisiejszych Francuzów, a zmienność i sprzeczności jego rozważając, kończy na trafném porównaniu *fraczka* i *bluzy* *) temi słowy: „Wszedłszy do salonu (fraczek), ukłoni się z twarzą znudzoną, poziewnie razy kilka, nim przemówi do któréj z wystrojonych kobiet, czekających na jego słowo; poczém oddali się do kominka, oprze na nim z niechcenia, a przyłożywszy lornetkę do oka, zrobi przegląd wchodzących i wychodzących; rzuci następnie najbliżéj stojącym kilka myśli o rzeczach stanu, o polityce europejskiéj (niby na wzór Anglików), a przekonany, że jest zupełnie *fashionable* (faszionebl, człowiek w tonie, salonowy), wymyka się co prędzéj w innych tego dnia otwartych domach podobną odegrać scenę. W Paryżu, gdzie każdy od pierwszego ministra aż do mieszczanina, ma wybrany jeden wieczór w tygodniu, czasem nawet ranek, w którym drzwi dla wszystkich znajomych otwiera, wybór tylko trudny, znałam też takich, co po 8 do 10 podobnych zgromadzeń codziennie odwiedzali; a tak się naziewawszy, weseléj dopiero kończyli wieczór (to coś tak jak i u nas) u jakiego artysty, u ładnéj aktorki lub w podobnym towarzystwie. Tam cygara, poncz, przy kominku; szampan, dowcip i śmiechy..... Wielu, przekładając wesołość i wygodę nad tytuł *faszionebla,* nudą okupiony; porzuca, wyrzeka się błyskliwych salonów, w mniéj wykwintnych szukając rozrywki. Zowią to: *prowadzić życie artysty.* Wtenczas wieczór zaczyna się na teatrze a kończy się tak, jak wyżéj mówiłam, lub u dobrego restauratora, przy smacznéj

---

*) We Francyi wszyscy furmani, wieśniacy, znaczna część ludu przemysłowi oddana, pospólstwo nakoniec, pospolicie w dniach powszednich, w drodze lub do pracy, oblekać się zwykła wdziewaniem na cały ubiór koszul i u nas dziś u dzieci używanych, z płócienka błękitnego, które *bluzą* nazywają.



Facsimilia.

Z zbioru nadesłanego facsimilium udzielamy 3 podpisy:
1. *Jerzy Mniszek, wojew. sandomirski.*
2. *Maryna Carowa.*
3. *Demetrius* (*Samozwaniec*).

kolacyi. Ztąd wielka trudność zgromadzenia mężczyzn, i oprócz domów ministrów i wysokich urzędników, dokąd nęci interes, liczba ich bardzo rzadko odpowiada liczbie kobiet. Ztąd ubieganie się za niemi, które obok ich zarozumienia, miłość własną, płochą dumą roznieca, a poniża i ujmuje godności płci pięknéj. Jakżeby się zdziwił niejeden z dawnych Francuzów, *Richelieu, Grammont* albo *Lauzun* jaki, gdyby mu kazano w tych ziewających, czarno ubranych, niby angielskich modnisiach, swych prawnuków poznawać! Gdyby przynajmniéj o tyle obyczaje zyskały, ile zewnętrzne formy straciły! lecz niestety! po większéj części, zamieniono tylko rolę... a na téj zamianie nie my skorzystali!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Czarownica.

v—v | v—v | v—v | v—v

Tam słowik wieczorem, kukułka o świcie
Śpiewają w gaiku; tam kwitnie kalina,
Tam bujnych paproci i ziela obficie,
A nocą się błąka jak zorza dziewczyna.

I kąpie włos kruczy we blasku miesiąca,
I gwiazdy zdejmuje białemi rękami,
I fale jeziora jak rybka roztrąca,
I szumi jak ptaszek pomiędzy liściami.

Wiatr chłodny roznosi i śmiechy i krzyki,
I jęki ktoś słyszał od strony mogiły.
I duchy ktoś widział i modre płomyki,
I dzwony w kaplicy same zadzwoniły.

Chędoga jéj chatka bieleje śród lasku,
Tam więdną na płaczu jéj piękne źrenice:
Dziewczyna czarowna jak święta w obrazku,
Dzień cały we dłoniach kraśne chowa lice.

A szepty biegają od chaty do chaty:
Tu mleko gdzieś znikło, tam chłopiec oszalał,
Tu trzodę zbłąkano, zwarzono tu kwiaty,
Tam zboże na polu rzęsisty deszcz zalał.

I widział dziad żebrak, gdy do dom szedł z miasta,
Na drodze rozbieżnéj w północy milczeniu,
Na kopcu granicznym siedziała niewiasta
I głowę na krwawém zwiesiła ramieniu.

Piękniejsza dziewczyna w gaiku nie mieszka,
Jéj lice barwione jak owoc jabłoni,
A przecie do wrót jéj zarosła już ścieszka,
Od hożéj dziewczyny okólna młódź stroni.

Daremnie barwinek listeczki rozkłada,
Daremnie na chatce wciąż sroczka szczebiota;
Ptak chyba podróżny słów kilka zagada,
I gacek po nocach w okienko łopota.

J. kr. D.—B.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (*Red. J. Łukaszewicz.*)

Przyjaciel Ludu.

Rok szósty. | No. 11. | Leszno, dnia 14. Września 1839.



Karól V., cesarz niemiecki.

Niemasz w nowéj historyi Europy ważniejszéj epoki nad wiek Karóla V., cesarza niemieckiego. W tymto bowiem czasie panowali współcześnie z nim najwięksi monarchowie. Zygmunt I. rządził Polską, Franciszek I. Francyą, Gustaw Waza Szwecyą, Soliman Turcyą. Protestantyzm rozwinął się w całéj niemal Europie; moc i władzę katolicyzmu ustalało koncylium trydenckie; języki krajowe zaczęły odzyskiwać prawa swe przyrodzone; sztuka wojenna, żegluga, handel, przemysł, nauki, olbrzymie robiły postępy i nadały Europie nową zupełnie fizyognomią. Przecież Karól V. do tego popędu nagłego przeobrażenia się Europy nieprzyłożył się bynajmniéj, owszem całe jego burzliwe panowanie było ciągłém pasmem usiłowań zahamowania postępu. Przeto też w dziejach świata stał się głośnym nie z czynów świetnych, szlachetnych usiłowań, ale raczéj z stanowiska, na jakie go ślepy los w tak brzemiennym w wielkie wypadki czasie trafunkiem rzucił. Gdyby środkom, które miał w ręku, odpowiadały były umysłowe zdolności, mógł był stać się prawdziwym zbawcą, nieprzebraném źródłem pomyślności Europy, i zapobiedz tylu smutnym zdarzeniom, które się po jego śmierci, jak z pudła Pandory, na Niemce, Hiszpanią, Hollandyą i resztę zachodniéj Europy zlały.

Urodził się dnia 24. Lutego r. 1500 w Gandawie, w Flandryi. Ojcem jego był Filip, syn cesarza Maxymiliana I.; matką Joanna, córka Ferdynanda, króla Arragonii, i Izabelli, królowéj kastylskiéj. Pod okiem Wilhelma de Croy odebrał troskliwe wychowanie. Między jego nauczycielami znajdował się także Adryan Florens, mąż uczony, który późniéj pod imieniem Adryana IV. na stolicy świętéj siedział. Łacina, którą Karólowi ten wykładał, nie szła mu do głowy, za to robił postępy znaczne w językach żyjących. Ojca postradał wcześnie, bo już w 6tym roku swego życia (1506); a ponieważ matka jego cierpiała pomięszanie zmysłów, przeto dostał się pod opiekę swego dziada, Ferdynanda, króla arragońskiego, który go mniéj kochał, niż jego brata młodszego Ferdynanda, i ostatniego na tron hiszpański wynieść zamierzał. Zmienił przecież ten zamysł, i Karól po jego śmierci (roku 1576 przypadłéj) ogłosił się królem Hiszpanii i objął rządy tego kraju, lubo nie bez krwi rozlewu, w roku 1517. Od téj chwili ważne wypadki w życiu Karóla V., następowały jedne po drugich bez przerwy. W roku 1519, po śmierci cesarza Maxymiliana, swego dziada, po mieczu, ubiegał się o cesarstwo niemieckie; między współubiegaczami do téj godności był także Franciszek I., król francuzki, który intryg i pieniędzy nieszczędził. Karól, który téjże saméj używał broni i którego młodość mniéj się niebezpieczną zdawała elektorom, niż potęga jego współzawodnika, przeniesiony został nad Franciszka I. i koronowany w Akwisgranie 1520 r. Okoliczność ta była przyczyną do wojny między królem a Francyą, z różném szczęściem prowadzonéj przez lat kilka. Nareszcie po nieszczęśliwéj bitwie pod Pawią, Franciszek I. dostał się do niewoli (1525 r.), z któréj nie wpierw wypuszczonym został, aż podpisał traktat upokarzający i zgubny dla Francyi, dyktowany mu od przeciwnika. Wypuszczony na wolność, nie dotrzymał zobowiązań, ale owszem połączywszy się z Wenetami, papieżem i królem angielskim, rozpoczął na nowo kroki nieprzyjacielskie; wszakże niewspierany należycie od Anglii, przymuszonym został do podpisania uciążliwego pokoju w Cambray 1529 roku. Karól upokorzywszy Franciszka, upokorzył papieża bardziéj jeszcze, kazawszy mu się koronować na cesarza. Tymczasem, gdy się to działo na zachodzie, Turcy wypowiedziawszy wojnę, wkroczyli do Austryi i oblegli Wiedeń, lubo nadaremnie. Wewnątrz Niemiec wrzała wojna religijna, co Karóla zmusiło do zwołania sejmu rzeszy do Augsburga i potwierdzenia wyznania Protestantów; cofnął atoli wkrótce takowe potwierdzenie i zaczął nowowierców prześladować. Ale gdy Turcy w roku 1532 na nowo do państw domu austryackiego wpadli, a uciśnieni Protestanci posiłków dać nie chcieli, Karól złagodził swoje postępowanie względem nich, a zyskawszy tym sposobem znaczne posiłki, ruszył przeciw Turkom. Dowiedziawszy się przecież, że Soliman z znacznemi łupami do swoich krajów wraca, zamiast ścigania go, rozpuścił swoje wojsko i udał się do Hiszpanii, gdzie dwa lata mieszkał. Gdy tu bawi, wezwał jego pomocy wygnany od Barbarossy król Tunisu, Muley Assem. Karól popłynął niezwłocznie na czele licznego wojska do Tunis (1535), i przywrócił na tron Muley Assema, pod warunkiem dawania pewnéj daniny królom hiszpańskim. Poczém powróciwszy do Europy, wplątał się znowu w wojnę z Francyą, którą dość nieszczęśliwie prowadził, i nareszcie za pośrednictwem papieża, w roku 1538, zawieszenie broni w Nizza na lat 10 zawarł. Po zawarciu tego rozejmu, miasto Gandawa, któréj cesarz wiele swobód odjął, podniosła rokosz i postanowiła całą Flandryą poddać Francyi. Dla przytłumienia tego pożaru w samym wybuchu, potrzebną była przytomność Karóla. Przebywał on natenczas w Hiszpanii, a ponieważ inne drogi do Flandryi były częścią zadalekie, częścią niebezpieczne, umyślił puścić się w tę podróż na Francyą. Obawiając się zaś, aby go Franciszek I. nie zatrzymał, udał, że jedzie do Włoch, dla nadania w lenność księstwa medyolańskiego jednemu z synów Franciszka I. Zwiedziony tą obietnicą Franciszek, wyjechał naprzeciwko swemu największemu nieprzyjacielowi i przyjął go jak najwspanialéj. Karól zabawił kilka dni w Paryżu, nie obawiając się niczego; a gdy mu jeden z dworzan jego napomknął, że Francuzi okażą wielką słabość, albo zaślepienie, jeśli go nie uwiężą; „okazali oni je już nieraz,“ odpowie Karól, „i dla tego im ufam.“

Ukarawszy Gandawczyków i złożywszy sejm rzeszy w Regensburgu 1541 roku, na którym się o wojnie tureckiéj naradzano, poszedł znowu na wyprawę do Afryki. Ale tą razą mniéj szczęśliwy, utraciwszy przez burze wiele statków i ludzi, musiał z niczem powrócić. Wtém Franciszek I. upomniał się o księstwo medyolańskie, synowi jego przyrzeczone. Gdy Karól kraju tego z rąk swoich wypuścić niechciał, przyszło znowu do wojny z Francyą, w któréj Karól opanowawszy zdradą księżny d' Etampes Epernai i Chateau-Thierri, przymusił Franciszka do pokoju w Crespi. W tym czasie zawarł także zawieszenie broni z Turkami, a zabezpieczywszy się tym sposobem zewnątrz, postanowił powagę swoję w Niemczech rozszerzyć. W tym celu złożył w roku 1545 sejm rzeszy w Worms i usiłował na nim przymusić Protestantów do przyjęcia uchwał koncylium trydenckiego. W skutek tego kroku Karóla, wybuchła tak zwana wojna smalkaldzka. Protestanccy książęta odnieśli z początku nad wojskami cesarza niejakie korzyści, ale w roku 1547 zwyciężeni od niego, utracili główne podpory protestantyzmu w osobach elektora saskiego i landgrafa heskiego, którzy się do niewoli dostali, i związek smal-

kaldzki upadł. W tym samym czasie zbuntowali się Neapolitańczycy, z przyczyny zaprowadzenia inkwizycyi świętéj, ale Karól wnet bunt przytłumił. W roku 1551 znowu Karól wplątany był w wojnę z Turcyą; w następnym roku Maurycy, nowy elektor saski, nie mogąc u cesarza wyjednać uwolnienia więzionych książąt saskiego i heskiego, zawarł potajemne przymierze z Francyą, i byłby samego cesarza w Inspruku schwytał, gdyby ten, przestrzeżony o zasadzce, nie był z miasta potajemnie zemknął; zmusił przecież Karóla pokojem w Passau do wypuszczenia uwięzionych książąt i do udzielenia Protestantom pewnych swobód.

Karól sprzykrzywszy sobie nareszcie tak burzliwe i niespokojne panowanie, złożył w roku 1555 koronę, podzieliwszy swoje niezmierne posiadłości pomiędzy brata swego Ferdynanda i syna Filipa. Sam osiadł w klasztorze ś. Justa w Estremadurze i trudnił się mechaniką i ogrodnictwem. Ostatnie chwile życia przepędził zupełnie w sposób mnichowski, pełniąc ściśle obowiązki zakonne. Umarł dnia 21. Września r. 1558, mając lat 59. W rządach był czynnym, kochał sprawiedliwość, ale dane słowo często łamał, w jadle i napojach był wstrzemięźliwym, w bitwie walecznym: wyższych nad pospolitych ludzi zdolności nie posiadał; ku schyłkowi życia opanowała go tęsknota, niespokojność, i ich nieodłączna towarzyszka, dziwaczność.

Lwów.

Lwów, stolica niegdyś Rusi czerwonéj, opisany jest już tylokrotnie w geograficznych i statystycznych dziełach, w polskim i niemieckim języku; do nich więc odsełając czytelników, umieszczamy tu raczéj opis oblężenia tego miasta od Chmielnickiego, wyjęty z pamiętników do panowania Jana Kazimierza, znajdujących się obecnie w druku.

„Lwów, stolica ruskich krajów, obronnie ufortyfikowane miasto, gdzie prezydium ks. Jeremiasz Wiśniowiecki wsadził i dał kommendę Krzysztofowi Arciszewskiemu, staremu półkownikowi wojska cudzoziemskiego piechotnego, obiecując wkrótce sukurs od Rzpltéj; tamże szlachta okoliczna z żonami i dziećmi zebrała się i chłopstwo okoliczne jednéjże z Kozakami wiary tam się zamknęło.

Pierwszy Głowacki, szlachcic polski, z kozacką jazdą przyszedł pode Lwów; następował traktem gliniańskim z całą potencyą Chmielnicki, i założywszy o 2 mile obóz, pierwéj po przyjacielsku traktował, napisawszy do magistratu list, że obrońca wiary i wolności ruskiej do stołecznego miasta ruskiéj prowincyi przybywając z wojskiem, chce was z niewoli i opressyi Polaków oswobodzić, gdyż wielu mieszczan i mieszkańców do mnie odzywało się, prosząc o to. Zaczem teraz we 200,000 wojska przybywam do was, oprócz ordy licznéj. Nie na was to wojsko ściągnione, ale na postrach Polaków; zatem miasto wasze uczyni sobie pomyślny skutek, kiedy jednéjże wiary z wojskiem zaporozkiem będąc, jedność z nami trzymać zechce, a Polaków z pod Piławiec zbiegłych, i tam się tułających wyda, pierwszy dowód swéj przyjaźni pokażecie, i z nami zaprzysiężecie jedno rozumienie. Jeślibyście zaś pogardzili naszą przyjaźnią, samymże sobie zaszkodzicie. Przeczytawszy list, zważali sztuczną nieprzyjaciela zdradę, do obrony jednostajnie wszyscy sprzysięgali się. Jednak żeby sponowany nie szkodził okolicznym wsiom i folwarkom, respons dać umyślili w ten sens:

Nie może pojąć miasto Lwów, że od hetmana zaporozkiego list z przyjaźnią odbiera, a wojsko zaporozkie po nieprzyjacielsku okolicznie postępuje. Przyjaźni, byle szczera była, nie odbijamy, wchodzić zaś w ligę z zaporozkiem wojskięm nie możemy, ponieważ za skończoną elekcyą króla, wszystkie te differencye wojsk zaporozkich wkrótce uspokoją się; a zatem spodziewamy się dobréj przyjaźni wojska zaporozkiego, któremu żadnéj okazyi do urazy nie daliśmy. Panowie z pod Piławiec przejeżdżali tędy i na elekcyą z miasta tego wyjechali; mieszczanie tylko i przedmieszczanie w mieście zamknęli się, zamki oba Rzpltéj mają prezydia wojennych ludzi, nad którymi, jak i nad miastem, ma gubernator kommendę. Zatém życzymy wszego dobra jmści panu hetmanowi. Miasto Lwów, naokół góry opasały; co najwyższa zowie się Łysa, że piaski bielące się zdaleka widać. Na téj górze dawni książęta ruscy zamek założyli, bardziéj dla apparencyi, niżeli dla obrony, bo miejsce ciasne i wody niemające, tylko jednę studnią, w któréj woda nie jest zdrowa. Podczas pokoju, nikt tam nie bywa, podczas trwogi zaś, ludzi tam kommenderują, bo z tego zamku wszystko w mieście widać. Zaczém tam burgrabia z 70 ludzi wojennych osadzony, i ludzie ze wsi i przedmieść pouchodziwszy, tam się bronili. Do tego zamku Kozacy najpierwéj szturmować poczęli, łażąc na górę; ale kamieńmi od pospólstwa ranieni, na mury zaś włażących, kosami, a po odpędzeniu od murów, strzelbą rażono.

Za przybyciem ordy 6. Października, gubernator Arciszewski, przestrzegając całości miasta Lwowa, kazał popalić przedmieścia, żeby tam nieprzyjaciel nie krył się, a miastu ztamtąd nie szkodził; wnet popalono wszystkie tak domy, jako cerkwie i kościoły.

Przyszedł Chmielnicki z Kozakami do szturmu miasta, od ulicy garncarskiéj, chcąc attakować; gdzie klasztór Karmelitów bosych, szaniec usypawszy, przez dwa dni do miasta strzelał, potém weteranów kozackich do szturmu ordynował. Przy bramie halickiéj insze wojsko około miasta rozłożywszy, zewsząd attakować kazał, sam biegając, ochoty dodawał. Półkownicy, każdy przed



Widok Lwowa.

swym półkiem, zachęcali Kozaków, najbardziéj Eustachi i Głowacki do szturmu ochoczy byli; przeciw nim Arciszewski miał ostrożność i przezorność wielką; szlachta także rezolutna, mieszczanie posłuszni i do obrony gotowi, tylko obawiali się, aby przedmieszczanie i chłopstwo z wiosek buntu jakiego nie uczynili, bo i Władyka był w suspicyi, ponieważ jego listy do Kozaków pisane, przejęto. Jerzy, mieszczanin bogaty, pod pretekstem zbycia żelaza i ołowiu, różny apparat wojenny nieprzyjacielowi przygotował, ale spostrzeżony, przykładnie ukarany.

Zabiegając tedy zdradom pomięszani Ormianie, Ruś z katolikami, przydani szlachta do każdéj straży. Jak tedy nieprzyjaciel przymykał się do murów przez fossy, tak od murów zawsze odpór i wstręt odebrawszy, siła tracił ludzi. Wypadając z miasta wycieczką od Bazylianek, przeciwko Bernardynom, nieprzyjaciela poznosili; naostatek pod samym Chmielnickim konia z armaty zabito. Wycieczka druga od fórty jezuickiéj, także nieprzyjaciół poraziła; znów z inszéj strony mieszczanie wypadłszy, w aproszach Kozaków wycięli, a zatém od halickiéj bramy szturm począł ucichać i już nasi ośmielili się, z miasta wypadłszy, uganiać się za kozactwem, których jednego dnia więcéj niż 2000 zginęło.

Ku wieczorowi odstąpili od szturmu, więźniów odsełając do miasta, a w zamian swoich windykując, bo siła, jak pod mury miejskie w lochy trafili, od mieszczan kozaków nabrano i w więzieniu chowano. Zatém słoty jesienne dokuczały Kozakom, przytém głód, gdyż naokół kraj zniszczywszy, sami potém nie mogli mieć żywności. Zaczém Chmielnicki musiał rozesłać w różne krainy wojsko, aby rabując, tam się sustentowali. Ochoczych na rabunki co żywo znalazło się więcéj, niż do szturmu.

Ordynował półki ponad Wisłę, aby kraj ruinowali, nietylko ludzi zabijając, lecz domy, pałace, mury rujnując i pustosząc. Chmielnicki sam zostawszy pod Lwowem, szukał sposobów wszelkich dobyć Lwowa i sławy poprawić, ustawnie do murów z armat bić kazał, stósy drew znosić dla zasłony od miejskich kul, kopał aprosze ku miastu, wysypawszy wały od siebie, aby wycieczki z miasta szkodzić nie mogły.

Zatém Głowacki, znajomy mieszczanom w częstych rozmowach, otrzymawszy pozwolenie do miasta wnijść, wyciągniony sznurami na mur, obaczył wszędzie gotowych do obrony ludzi stojących, odpowiedział: Dość już téj bitwy, doświadczyliśmy, co wy umiecie; tak u was, jako i u nas ludzi wiele jest do boju; tak u was, jako i u nas ludzie są śmiertelni. Jabym życzył, jeżeli chcecie siedzieć w pokoju i dzieci z żonami aby bezpiecznie wyspać się mogły, dajcie na wojsko zaporoskie pieniędzy, jako są głodni, wnet pokój będzie.“ Lecz mu odpowiedzieli mieszczanie: że bronić się, nie okupować rezolwowaliśmy się wszyscy. A gdy w otwartych kramach widział różne towary i żywności poddostatek, pokazując ręką: czemu dla Kozaków nie posełacie tego? odpowiedziano mu: posłać możemy, jeśli będą żyć z nami po przyjacielsku; inaczéj to témi, co ongi, potrawami częstować będziemy.

Azatém pokazał, że Kozacy już są umitygowani, pokojn żądają, którego i miasto życzy. Zaczém uczyniwszy radę, zgodzili się dać co Kozakom, już albowiem zamek górny na końcu Października poddał się, w mieście gromada ludzi, zatém głód aby nie przystąpił, obawiali się; choroby téż już poczynały się, zatém i z gubernatorem radę uczynili. Zdało się rozhowor uczynić z Kozakami. Pod Wilczą Górą stali Kozacy, Chmielnicki z Tatarami stał w bliskiéj wiosce Leśmioch, zaczém sędyk miejski i kilku mieszczan expostulowali z Chmielnickim, aby dał pokój niewinnemu miastu, a wojsko ztąd odprowadził, obiecując mu na zapłatę Tatarom złożyć się.

Trzeciego dnia przybywszy Chmielnicki pod mury, czapkę włożył na laskę, znak dając, żeby z obu stron wojna ustała. Zatém Głowacki i Pyr Aga Tatarzyn, weszli do miasta traktować o okup. Dla czego zebrali, zewsząd od różnych ludzi, księży i klasztorów, 100,000 talarów bitych; oprócz tego różnych sukien i kitajek, i zapchali paszczękę rozdziawioną na miasto ordy i Chmielnickiego z kozactwem.

Zostawił Chmielnicki Zacharyasza, brata stryjecznego swego, z 10 starszyzny kozackiéj, w zastaw we Lwowie, że dotrzyma traktatów, kazawszy ognia z armat dawać na tryumf ugody; ruszył się ze Lwowa z wojskiem; miasto téż Panu Bogu *Te Deum laudamus* śpiewało, że za radą dobrą mogli się okupić i zgubę od miasta ostatnią oddalić.

Kronika literacka.

Wspomnienia moje o Francyi.

(Ciąg dalszy.)

W lepiance da się jeszcze usłyszeć hoża śpiewka wodwilowa, narodowością tchnąca; tam miłość własna, zarozumienie narodowe, przekonanie najgłębsze, iż to jedynie dobre, co u nich żadnego naśladownictwa niedopuszcza; i dla tego pod *bluzą* łatwiéj znaleść *rzetelnego* Francuza, niż we fraku. W wyższych klassach na zarózumieniu wprawdzie niebrakuje, lecz to się więcéj do rzeczy intellektualnych zwraca. Paryżanin salonowy jest pewnym, że tylko w Paryżu wyłącznie można mieć rozum; że tam tylko rodzą się jeniusze, mędrcy, artyści i t. d. Co zaś do rzeczy zewnętrznych, chętnie dla samego odróżnienia się szuka obcości, gdy tymczasem ubogi mieszczanin i rólnik, święcie dochowuje wszystkie z ubiegłych czasów zakrzewione w domu zwyczaje. Szlachetność uczuć

waleczność na polu chwały, są im wspólne; lecz Francuz w bluzie jest ochoczy do zabawy, do śmiechu, do igraszek, długo młodym wrażeniom wierny. Spojrzawszy zaś na wyższe nieco hierarchii socyalnéj szczeble, już tego wszystkiego nieznajdziesz. Każda twarz między dojrzalszymi, nosi powłokę nudów, czczego, niczém nienasyconego, jakby zawiedzionego życia! Na młodych postrzegać się daje przeczucie tego zawodu, zniechęcającego ku światu, co rzuca cień przedwczesnéj starości; lub téż wyraz chciwości, interessu, który bardziéj do zmarszczek, niż do różanego lica, należećby powinien. Jakkolwiek *kontradans* wcale nieodpowiada pierwotnemu charakterowi Francuzów, i dziwić się należy, że jest narodowym tańcem ludzi z natury do wesołości usposobionych; na trawniku jednak, przy zagrodzie, na uroczystości wiejskiéj, i ten taniec hożych znajduje zwolenników, a ochoczo tańcowany, traci na swéj oziębłości. Na ukwieconym zaś balu, jeżeli jaki panicz wyciągnie od niechcenia ramię, by damę do tańca zaprosić, można być pewnym, iż w tém jakaś nim powoduje rachuba. Albo owa dama należy do tych pierwszych elegantek, rej w towarzystwie wiodących, tak, iż przez obcowanie z nią można nabyć wziętości; lub, co się częściéj jeszcze zdarza, materyalniéj rzeczy biorąc, ten kontradans ma być podziękowaniem za obiad, nadzieją drugiego (jak u nas), albo biletu do loży na operę; zawiera on prośbę wstawienia się do ministra, lub jest pierwszym krokiem do posagu córki. Ztąd daleko więcéj widać w kole podstarzałych matek, aniżeli córek, a młode osoby, codzień bardziéj tracą gust do balów, wypraszają się od nich. Taniec taki, niemoże być ani wesołym, ani wdzięcznym, bo w nim raczéj chodzą, niż tańczą.“ *)

Rozdział III. pisma obejmuje wrażenia, jakich autorka tak po wjezdzie do Francyi jak i Paryża doświadczyła; po przebyciu przepysznych Renu okolic i kilku schludniejszych stolic niemieckich; odludność miejsc, przez które nowy gościniec Napoleoński przebiega i nieochędóstwo w ciasnych, brudnych i źle oświeconych ulicach paryskich, które w dziejach nieochędóstwa europejskiego, niepospolite zajmują miejsce, najwierniéj wystawiwszy, podwala sławne tak opisuje: „Ujrzałam szeroką ulicę z obu stron dwoma rzędami drzew wysadzoną; domyślałam się, że to są owe zawołane bulewary. *) Dziwiła mię ich ponurość, kiedy w parę minut, jakby czarodziejską władzą przeniesiona, znalazłam się w miejscu najświetniejszém, tysiącami ogniów jaśniejącém. Światła te padały z licznych sklepów, bogato gazem oświeconych, i z salonów tak błyskliwych, jak gdyby do balu przygotowane były. Większe jeszcze na mnie ten cały blask sprawił wrażenie, gdym wychodziła (wyjechała) z ciemności. Ten tłum hucznych, wesołych ludzi, snujący się pomiędzy drzewami, w pośród ozdobnych, przepysznych magazynów, cudny zaiste przedstawia widok. Tu, na illuminowanych gradusach wystawiono kilkaset prześlicznie wyrobionych zegarów marmurowych, bronzowych, alabastrowych; tam, na podobnych schodach kryształy i porcelany stoją; tu znów, pióra i kwiaty wyrabiane; tam, posągi, kandelabry, wazy i inne kunsztowne wyroby. Za niemi przez szklanne ściany widać cukry, naśladujące brylanty, lalki, altany lub zwierzęta. W drugim sklepie, już niecukrowe brylanty, lecz prawdziwe szmaragdy, diamenty, rubiny i co tylko zbytek z gustem połączony wymyślić może. Obok niego skład sukien męzkich, daléj stroje i kapelusze damskie; tu srebra, tam owoce i kwiaty świeże; wszystko z największym kunsztem, z wyrachowaną ułożone kokieteryą, odbija się w tylnych ścianach zwierciadłami pokrytych, tak, że oko złudzone, nie wie, ku czemu się zwrócić, gdzie się zastanowić, czém się bardziéj zachwycić. Sale zaś, które mi się zdawały do balu gotowe, są to zwyczajne kawiarnie, całe zwierciadłami, lustrami, draperyami strojne, od ulicy szkłem przejrzystem oddzielone, zdumiewają i nęcą przechodnia. W koło marmurowych, bronzem opasanych stolików, licznych widać płci obojéj gości; w pośród nich, schludni, zwinni posługacze roznoszą chłodniki, ciepłe napoje lub potrawy. Trudno z pierwszego razu zmiarkować, czy to jaki wspaniały jarmark, czy jedna z tych uczt, królom niegdyś dawanych, w czasach, kiedy królowie niezmieniali codzień ministrów, kiedy ministrowie wiedzieli, za co i na co podobne uczty swym panom wyprawiać. Nieraz tam, między wymyślnemi konceptami, naśladowano jarmarki, gdzie bogactwa, przepych i smak dobry o pierwszeństwo walczyły. Komu się zdarzyło czytać podobnych zabaw opisy, a chce ujrzeć żywy ich obraz, niech pojdzie *na*

*) Francuz bynajmniéj się nietroszczy ani o miejsce, ani o muzykę, gdzie bądź, pod drzewem, na piasku, pramie, skrzypki lub takt w bęben pojedynczą wybijany pałką, porusza w okamgnieniu zbiegające się pospólstwo. Praczka z praczką, węglarz z młynarczykiem, ulicznik z opasłą przekupką i t. d., wszystko się kręci, skaka, wywija, tumany sypie z siebie kurzawy; niepotrzeba atoli wyobrażać sobie, aby ten zawołany kontradans, tyle gdzieindziéj mozolący tancerzy, czémś miał być szczególniejszém w Paryżu; i owszem, jest on najprostszym, jaki tylko wystawić sobie można, pląsem; jedno, a najwięcéj dwa *pas* z przemianą miejsc, jest wszystkiem, co tylko o nim powiedzieć można. Na balach publicznych w Paryżu, tysiączne koła tancerzy nie inne ruchy lub figury odbywa, które patrzącemu a monotonią zdziwionemu oku, nie ludźmi, ale machinami być się wydają.

*) Po rozrzuceniu dawnych wałów, środek miasta niegdyś otaczających, powstały ztąd zwane podwala, czyli bulewary, które staremi i nowemi nazywają; pierwsze zaludnieniem i budowlami; drugie świeżością powietrza i ciszą, jako po większéj części ogrodami otoczone, odznaczają się; te na lewym, a tamte na prawym brzegu Sekwany są.

włoskie (des Italiens), *Kapucynek* (des Capucines), lub im sąsiedne bulwary.“

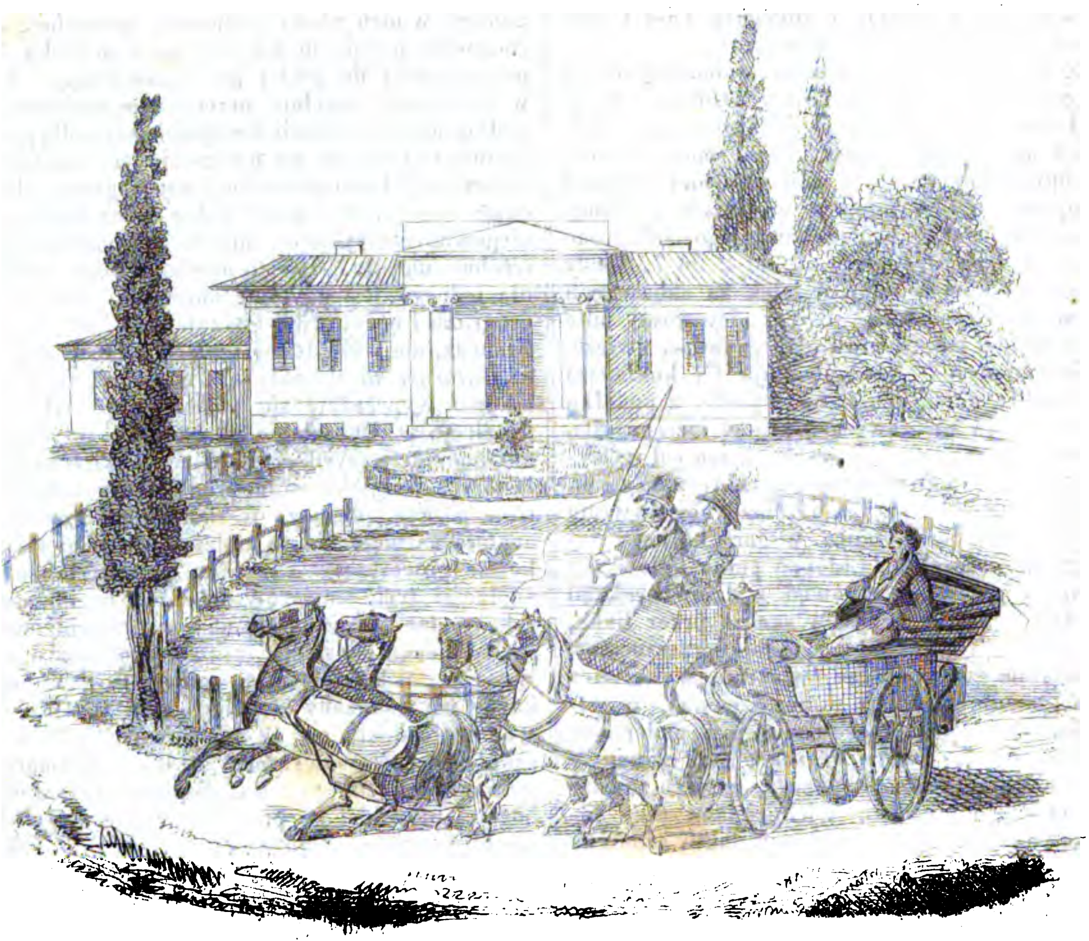
Z ustępu czwartego opisów, zobaczmy *dzieci Paryżan* i rzut oka *na teatr*: „Gdyśmy doszli do końca ulicy (w ogrodzie Tuileryi), przedstawił mi się świat inny; świat mały, ładny, zgrabny, śmiejący się i najgustowniéj (czysto) ustrojony; byłoto miejsce wyłącznie przeznaczone dla dzieci. Nic piękniejszego, jak grono dzieci w Paryżu, dzieci od lat 2 do 7, kiedy jeszcze matkom w miejscu lalek za zabawkę a razem za ozdobę służą. Kogoż niewzruszy mile obraz młodéj matki, prowadzącéj ładne, świeże, rumiane dziecię? Niezaniedbują téj kokieteryi Paryżanki; dzieci ich zawsze jakby z pudełka wyjęte, uczą się zawczasu gracyi i zręczności, w licznych zabawach i grach na ten cel wymyślonych. Jedno kijkiem popędza obręcz po ziemi, tak zręcznie, aby się jak najdłużéj bez wywrotu toczyła. Drugie wyrzuca w górę kółko i łapie go na pałeczkę. Chłopcy pełno figlów dokazują z piłką, a zarówno z dziewczynkami z zadziwiającą zręcznością skaczą przez linkę, nad głowę i pod nogi ją sobie przerzucając. To ostatnie gymnastyczne ćwiczenie, wykształca kibić, nadaje giętkości w poruszeniach, w początkowém więc wychowaniu jest nader korzystne. *) *La petite Provence* (tak zowią tę część ogrodu) mała prowancya, zawsze prawie jest otoczona widzami, wielbicielami tego ładnego pokolenia. Gry i zabawy, jakby sztuki na scenie wystawiane, mają niezaprzeczoną wadę, iż zbyt wcześnie dzieci, a szczególniéj dziewczynki, do zalotności zaprawiają. Matki, kilka razy pokazawszy się w modnéj alei (pobliska część tegoż ogrodu), wracają do dziecinnego placu z przyjaciółmi i znajomymi, a chcąc się pochwalić zgrabnością córeczek swoich, same je podniecają, wmawiają chęć i potrzebę podawania się za przedmiot podziwienia. Wtenczas to podwieczorki także, kostiumowe baliki, komedye, tańce teatralne, więcéj może dla zabawy matek, aniżeli dzieci przemyślane, jeszcze bardziéj rozwijają i na całe życie zaszczepiają tę próżność. Może się trafi, że kto westchnie nad przygotowaną tym sposobem przyszłością; nie mniéj dla obojętnego widza ten zbiór aniołków, te wzory Albana są miłe, unoszące! ... Niedługo atoli przyświeca ta błoga zorza zabaw i rozrywek! wychowanie domowe, jak słusznie dla mężczyzn, tak i dla dziewcząt, nie jest zadostateczne we Francyi uznane. Chłopiec wychodzący z lat wdzięku i gracyi, oddany do szkół, pobiera w nich nauki wyłączne, specyalne, zastósowane jedynie do karyery, jaka go czeka, lub przynajmniéj do jakiéj go przeznaczają. Tam w systemacie zupełnie przeciwnym naszemu, a podług mnie, nierównie korzystniejszym dla praktycznego życia, nie na mnogości, lecz na doskonałém posiadaniu potrzebnéj nauki grunt zakładają; bo kto chce umieć jednę rzecz doskonale, niepowinien tysiącem innych zaprzątać niepotrzebnie umysłu. Często między dwoma braćmi, dla jednego jest zupełnie obcém to, nad czém drugi dni i nocy trawi, i wzajemnie. Żaden téż Francuz, nie wie gdzie *Hundsfeld* (Psie pole) i o *Batorym* niesłyszał, ale w swoim wydziale nikomu wyprzedzić się nieda. Ztąd tylu cudzoziemców wykwintne odebrawszy wychowanie, umiejąc wszystkie języki, wszystkich krajów historyą, wszystkie tragedye Woltera i Lamartyna poezye, niemogą w potrzebie korzystnego znaleść zatrudnienia; a rodzice ich pamiętni na koszta guwernerów i metrów, pomnąc także na zdolności tych jeniuszów salonowych, tak szeroko rozlane, dziwią się nad nieprzewidzianym wypadkiém, i nie siebie, lecz złą chęć synów obwiniają. We Francyi, czy to bogacz, czy ubogi, każdy ma wskazany od dzieciństwa zawód; zawód ten zabiera go, że tak powiem, prosto ze szkół przygotowawczych; a tak: niezmarnowawszy, ani jednego roku, obszerną przyszłością bogaty, prowadzi go przez wszystkie swéj hierarchii szczeble. Ztąd we Francyi, w żadnéj okoliczności, nigdy ludzi zdatnych niezabrakło. Dziewczęta, gdy dochodzą wieku, w ktorym lata ich z latami matki porównane, mogłyby zbyt dużą cyfrę wynosić, oddane bywają na pensyą lub do klasztoru. Wychowanie klasztorne wielką dotąd ma wziętość, i dziwić się temu niemożna, porównywając je z pensyami powiększéj części pełnemi zaniedbania, nadużyć, a częstokroć i złych obyczajów. To więc wypielęgnowane, wychuchane dziecie, z cukrowych pieszczot raptownie przechodzi za ponurą kratę, którą często w wilią ślubu, lub mało co wprzódy, opuszcza. Pod tym względem, Francya od swych naddziadów bardzo małéj zmianie uległa.“ *)

Co do teatrów paryskich, tak autorka rzecz prowadzi: „Przyszło mi na myśl po 2 lożowe posłać bilety, co mi się tém łatwiejszem do uskutecznienia zdawało, iż postrzegłszy, że afisze dziwnym zwyczajem o opłacie zamilczają, opatrzyłam się w oficyalną książeczkę, w któréj ceny każdego miejsca, w każdym teatrze, były wyrażone. Wszelkie więc szalbierstwo niepodobném mi się zdawało. Tymczasem nie tak się rzeczy mają; kupując bilet przed otwarciem bióra (kassy), niemożna się stósować do ceny

---

*) Gra w piłkę w różnych odmianach, palant, wolant, łyżwy, taniec, jeżdżenie na koniu i pływanie, jest to niemał wszystkiem, co podobnież, jak u nas, do rozsądnéj i użytecznéj gymnastyki młodzieży paryskiéj należy; nie zaś łażenie po linach, wieszanie się po sznurach i t. p. wymysły, które otwierając pole zarobku szarlatanom, na szwanku członków i grabieży cudzéj kieszeni, kończyć się zwykło! .....

*) Zdanie to o pensyach, które jest rzetelném zwierciadłem prawdy; niechaj służy za przestrogę dla tych, którzy bez względu na uzdatnionych i obyczajami zaleconych współziomków, lada przybyszowi ufając, nieraz już szczęście dzieci i własne podkopały ! ....



Druga wizyta. *)

urzędownie ogłoszonéj, lecz trzeba tę przyjąć jaką biórowy naznaczy. Ztąd niesłychane zdzierstwa i nadużycia pochodzą. Cena zaś przepisana i tak już bardzo wysoka, temu tylko służy, co w tłoku za drzwiami stanąwszy, z kolei bilet kupi i natychmiast do sali uchodzi. W takim porządku rzeczy niepodobna było posłać kommissyonera *a*) po bilet; po krótkiéj więc naradzie, zdecydowaliśmy się pójść sami. W *Palais Royal b*) są dwa teatra: teatr francuzkim zwany (*théâtre français*), przeznaczony dla tragedyi i komedyi wyższéj i teatr nazwę miejsca noszący (*théâtre du Palais Royal*), w którym drugiego rzędu komedye i wodwile przedstawiają. Na tym ostatnim miała grać tego wieczora sławna panna *Dejazet,* w jakiejś nowéj bardzo zachwalonéj sztuczce. Na ten padł nasz wybór.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

*) *Podajemy nadesłany nam, lubo cokolwiek spóźniony rysunek do ostatniego romansu J. Kraszewskiego, odsełając łaskawych czytelników do N. 9. P. L. str.* 66.

a) *Wyrobnicy* i *drążnicy*, pod tém imieniem uchodzą w Paryżu. — *b*) *Pałacem królewskim* nazywa się pałac prywatny księcia Orlean.

Niesłuchaj piosnek.

Do * * *

Niesłuchaj dziewczę piosneczek guślarzy,
Choć ucho głaszczą słowiczemi dźwięki;
Zatruty oddech kwiat twéj wiosny zwarzy;
Guślarz dba tylko o sławę piosenki.
Piosnka guślarza, to uścisk upiora,
Co w śnie niewinnym krew dziewic wypija;
Z jedwabnych rzęsów, z rumieńca, kędziora,
Piosnkę uprzędzie, spokojność zabija.
Słyszałaś w bajkach, jak wędrowca zdradą
Wabi na bagna szatan w złota blasku;
Tak guślarz wabi w swoje Eldorado,
Aż wyprowadzi na pustynie piasku.
Bo serce jego, — jak wulkan spalony,
A ideały — jak pajęcze sieci;
Westchnienie jego, — jak rozbite dzwony;
A błędny ognik do krésu mu świeci.
Niesłuchaj piosnek, dla duszy swobody!
Każda z nich wagą uczucia się ceni;
Uczucie wielkie — diament cudnéj wody,
Ozdoba koron — rozbity, pierścieni.

L. S.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (*Red. J. Łukaszewicz.*)

Przyjaciel Ludu.

Rok szósty. **No. 12.** Leszno, *dnia* 21. *Września* 1839.



Ruiny zamku trębowelskiego.

Ruiny zamku trębowelskiego. *)

W dziejach wojen narodu naszego pamiętną jest obrona bohaterska Trębowli w roku 1675, któréj opis zostawili nam Andrzej Załuski w listach swoich, Coyer w historyi Jana III. i inni. Szczegóły jéj są następujące: Wódz turecki, Ibrahim basza (Coyer nazywa go Kara Mustafa), po kilku klęskach, które Tatarzy ponieśli, postanowił kampanią roku 1675 świetnym czynem zakończyć. Nieśmiejąc (choć miał liczne zastępy) uderzyć na garstkę walecznego wojska polskiego pod dowództwem Jana III., poszedł raczéj pod Trębowlę. Byłto zamek położony na dość wysokiéj skale, otoczony głębokiemi fossami i grubym murem, oblany naokoł rzeką Janów, głęboką, błotnistą, dzielącą się na wiele ramion. Przystęp do niego był z jednéj tylko strony wąską i zakrytą drogą.

Ibrahim basza pochlebiał sobie, że Trębowlę weźmie wpierw, nim Jan III. na odsiecz przybyć zdoła. Pragnąc atoli oszczędzić krwi Janczarów, a przytém dopiąć swego celu, uciekł się do chytrości. Nabawiało go obawy męztwo dowódzcy zamku. Był nim Samuel Chrzanowski, żyd chrzcony, rodem z miasteczka Chrzanowa pod Krakowem. Ibrahim miał pomiędzy jeńcami polskimi szlachcica, niejakiego Makowskiego, którego rozkazawszy do siebie przyprowadzić, zalecił mu surowo, aby napisał do Chrzanowskiego list w téj myśli: „Nie upierając się bronić nadaremnie twierdzy, która niezawodnie upaść musi, myśl raczéj o zjednaniu sobie łaski zwycięzcy, niż o ściągnieniu gniewu jego na twoję głowę. Poddając się niezmiennemu przeznaczeniu, możesz się spodziewać wraz z załogą i mieszkańcami łaskawego obejścia. Wiedz przytem, że Ibrahim basza, pomimo surowych zakazów Mahometa, może udzielać swoje względy, komu mu się spodoba, a nadewszystko umie on rozróżniać od gminu mężów dzielnego serca.“

Chrzanowski odebrawszy ten list, odpowiedział nań osobno Makowskiemu, osobno Ibrahimowi. W liście do Makowskiego tak się wyraził: „Nie dziwi mię bynajmniéj, że będąc sam w kajdanach, masz duszę niewolnika, ale pojąć tego nie mogę, jak mi śmiesz prawić o łaskawości seraskiera po wyrznięciu mieszkańców Podhajec, po twoich własnych cierpieniach. Bądź zdrów! Wszystko złe, którego ci życzę, jest, abyś żył długo w hańbie i pętach, na które zasłużyłeś. Śmierć, któréj sobie zadać nieśmiesz, byłaby dla ciebie dobrodziejstwem.“ Odpowiedź dana Ibrahimowi niemniéj była dumną i szlachetną. „Mylisz się“, mówi w niéj Chrzanowski, „jeśli sądzisz, że u nas złoto znajdziesz: w zamku trębowelskim niema nic więcéj, tylko żelazo i garstka wojska. Ale odwaga nasza jest bez granic. Nie rój więc sobie, że ci się poddamy: gdy ostatni z nas zginie, wtenczas dopiero zamek weźmiesz. Dobitniejszą odpowiedź gotują ci paszcze moich dział.“

Po takiéj odpowiedzi seraskier pieniąc się od wściekłości, wydał natychmiast rozkaz strzelania do zamku. Nie zbywało mu bynajmniéj na męstwie: nieraz widziano go w przykopach naglącego Jańczarów, pomimo gradu kul sypanych z dział twierdzy. Polacy bronili zamku na podziw dzielnie: wszyscy pełnili swoję powinność, a żona dowódzcy, także chrzcona Zydówka, piękna jak Judyth, nie mogąc, jak owa, uciąć głowy śpiącemu wodzowi nieprzyjaciół, wypadała na czele małych oddziałów wojska z zamku, brodziła w krwi pohańców, niszczyła ich roboty, walczyła na wałach.

Wszakże pomimo tak mężnéj obrony twierdzy, szlachta podolska, która się do niéj schroniła, widząc wyłom w murach, co godzina się powiększający, i obawiając się, aby Ibrahim wziąwszy szturmem Trębowlę, w pień wszystkich nie wyciął, utraciła odwagę. Zebrawszy się więc w jedném mieszkaniu, uradziła poddać zamek nieprzyjacielowi. Chrzanowska dowiedziawszy się o tem, pobiegła natychmiast do męża, zajętego na wałach wydawaniem rozkazów obrony, i odkryła mu niecny zamach tchórzów i samolubów. Dzielny Chrzanowski udaje się natychmiast do koła tych nikczemników i rzecze do nich: „Wątpliwą jest jeszcze rzeczą, czy nieprzyjaciel twierdzę weźmie, ale pewną, że was wszystkich w tém miejscu spalę, jeśli w podłym zamiarze waszym trwać będziecie. Zołnierze stoją za drzwiami z zapalonemi lontami i na jedno skinienie wykonają moje rozkazy.“ Widok śmierci nieuchronnéj wrócił im odwagę. Zawstydzeni, pobiegli na wały, pragnąc hańbę tę zatrzeć męztwem.

Tymczasem seraskier dowiedziawszy się, że Jan III. na czele 33000 wojska Trębowli na odsiecz idzie, przyspieszał attaki. Twierdza wytrzymała ich już cztery, ale szeregi walecznych jéj obrońców przerzedziły się znacznie i sam Chrzanowski zaczął się lękać piątego i zamyślał już o poddaniu. Chrzanowska, poznawszy zamysł męża, porywa dwa sztylety i biegnie do niego. „Tym cię“, rzecze, „jeśli się poddasz, przebiję; ten w własném łonie utopię.“ Taką nadludzką odwagą małżonki swéj zadziwiony Chrzanowski, postanowił raczéj się w gruzach zamku zagrzebać, niż go poddać Turkom. Odparł jeszcze kilka szturmów i oczekiwał bohaterskiéj śmierci, gdy wtém Jan III. nadszedł z wojskiem polskiem i litewskiem pod Trębowlę, pogromił seraskiera i zamek został ocalony. Chrzanowski zyskał za dzielną obronę wyższy stopień w wojsku; załoga, prócz zaległego żołdu, otrzymała nagrodę w pieniędzach; a Chrzanowska, prawdziwa zbawczyni zamku, która na wdzięczność narodu i na posągi za-

*) Zob. P. L. rok II. t. I. N. 8.

służyła, musiała przestać na samym oklasku. Pod nieszczęśliwém panowaniem królów z domu saskiego zapomniano nawet w narodzie o téj bohaterce, i dopiero sławny Józef Wybicki przypomniał ją współziomkom w operze swojéj, wydanéj w roku 1788 pod tytułem: *Polka, czyli oblężenie Trębowli.* Gorzéj jeszcze wyszedł zamek trębowelski. Nienaprawiano jego murów, a ząb czasu i nieład, do tylu sławnych ruin w Polsce, na widok których rodak klękać powinien, przydał także ruiny zamku trębowelskiego, *W. M.*

Do redakcyi Przyjaciela Ludu.

Panie Redaktorze!

Gdy wszystko, co się języka polskiego tyczy, w dzienniku pańskim właściwe ma miejsce, proszę o umieszczenie następującego listu, który niedawnemi czasy otrzymałem, a który charakterystyczną cechę nosi na sobie miejscowości. Dla dogodzenia mieszkańcom innych części Polski, dla których wiele z przyłączonych wyrazów niezrozumiałymi będą, dodałem na końcu słowniczek, przekładający te słowa z wielkopolskiego dialektu na małopolski.

„Już téż skończyłem z wełną i wywiedziawszy się dokładnie o cenach wrocławskich, i *dość* oni tam płacą, podług tego tutejszym kupcom przedałem. Jakoż i nie źle mi się wypłacili i *latoś* nawet *ździeblko* więcéj dostałem, jak *łąskiego roku.* Jagniąt wełna wcale jest piękna, zwłaszcza z *latosinych.* Na tę jagnięcą wełnę, choć jeszcze nie czas, już tu był kupiec *onegdany,* ale niemogliśmy się zgodzić, bo najprzód bardzo *ździeblko* ofiarował, a potém chciał zapłacić drobną monetą, i nawet *koprowiną.*

„Chwała Bogu, *latoś* wszystko dobrze rodzi na polu i na łąkach. Już *sieklišmy* dwa razy i byle *ździeblko* zaczekać, znowu będzie można *siec. Rzep* nasz pięknie stoi, i prawdziwie *plażący* sprawia widok. *Perki* téż dobrze zeszły. Jest ich *bardzo dość,* i będzie czem gorzalnią opędzić. Postaram się téż, aby *latoś* lepsze były *młodzie* jak przedtém, ale mi się zdaje, że więcéj gatunek wody szkodził, bo i w piwie czegoś niedostaje, i nie ma dobréj *smaki.* Nic to jeszcze *zła smaka,* żeby tylko piwo było dobre *na przedaj.* Ale cóż? kiedy nie chcą go pić w *gościńcu,* choć nasz *gościnny* dobrze umie towar swój zalecić.

„W sadach i ogrodach nie tak pomyślnie idzie. Wyrodziło się *latoś* ogromnie *dość wąsionek, całkie* drzewa niemi są przykryte, i *całki* téż liść i kwiat wyżarły. Tępiliśmy je jak można było. Całe *węborki* niemi zapełnione wynosiliśmy i do ogniaśmy rzucali. Wszelako nic można im było podołać, i nie wielka *latoś* nadzieja owocu. Wysokim chwastem tak téż nasz ogród zarosł, że *ganków* już prawie nie widać.

„*Świętojanek, angrestu,* i innych takich *kierzkowych* jagód, będzie podostatkiem; ale z lepszych owoców jedne tylko *aprykozy,* których przecie *wąsionki* nie tknęły.

„Do stada naszego jeszczeby nam trzeba najmniéj dwóch klaczy; *słyszałem mówić,* że na gnieźnieńskich jarmarkach piękne teraz bywają konie *na przedaj;* widziałem już nawet u sąsiadów sprowadzone *tamstąd* i prawdziwie *plażne* na spojrzenie. Więc za pierwszym jarmarkiem *poletę* ja tam i może co dobrego wynajdę.“

Bardzo dość, wiele; — *latoś,* tego roku; — *ździebko,* nieco; — *łąskiego roku,* przeszłego roku; — *latośne,* tegoroczne; — *onegdany,* onegdaj; — *ździebko,* mało; — *koprowina,* miedziana moneta; — *siekliśmy,* kosiliśmy; — *sieć,* kosić; — *rzep,* rzepak; — *plażący,* miły; — *perki,* ziemiaki; — *bardzo dość,* bardzo wiele; — *młodzie,* drożdże; — *smaka,* smak; — *na przedaj,* na przedaż; — *w gościńcu,* w karczmie; — *gościnny,* karczmarz; — *wąsionki,* gąsienice; — *całkie,* całe; — *węborki,* wiadra; — *ganki,* dróżki; — *świętojanki,* porzeczki; — *angrest,* agrest; — *kierzki,* krzaki; — *aprykozy,* morele; — *słyszałem mówić,* słychać że; — *tamstąd,* ztamtąd; — *plażne,* miłe; — *poletę,* polecę.

Basza Damaszku.

(Powieść wschodnia.)

Żadnego kraju dzieje nie liczą tyle nadzwyczajnych przykładów, jak w państwie otomańskiém, że ludzie częstokroć z najniższego stanu, nagle najwyższy szczyt, potęgę i wielkość osięgli. Zwyczaje i ustawy tureckie sprzyjają téj nagłéj zmianie fortuny; dla tego większą część wielkorządztw pod zwierzchnictwem Porty zostających, i najwyższe urzędy u dworu, posiedli śmiali, przebiegli awanturnicy, wyzwolency, ludzie częstokroć z samego steku gminu wzniesieni. Ze wszystkich atoli przykładów, w dziejach tureckich opisanych, nie ma podobno dziwniejszego, jak było wyniesienie na baszę *Muhameda,* baszy *el Adme,* wielkorządcy Damaszku.

Muhamed i *Murad* byli synami pewnego bogatego kupca w Konstantynopolu, których w wieku młodzieńczym odumarł. Synowie odziedziczyli po ojcu znaczny majątek. Murat trudniąc się handlem, wkrótce puściznę po ojcu o połowę powiększył; Muhamed przeciwnie, trwoniąc ją na zbytki, otoczył się zgrają marnotrawców i pochlebców, wylewając się z nimi na wszystkie nierządy i rozpusty. Rozrzutne wydatki tak nieporządnego życia, pochłonęły w jednym roku cały majątek Muhameda; poczém i towarzysze zbytków opuszczali go jeden po drugim. Własny brat nawet jego, pod pozorem, że Muhamed przestróg jego słuchać nie chciał, zamknął przed nim drzwi i widzieć się z nim nie chciał. Lubo to jest zwyczajną koléj marnotrawców, to wsze-

łako postępek takowy oburzające na umyśle Muhameda uczynił wrażenie; posiadając atoli hart duszy niezłomny, nie upadł na sercu, ale mężnym umysłem nieszczęście swoje znieść postanowił. Nie mając żadnego sposobu utrzymania się, prosił do meczetów wchodzących o jałmużnę, karmiąc się przynajmniéj nadzieją, że i jemu jeszcze pogodniejsze zajaśnieje słońce.

W tym czasie odprawiał sułtan w piątek nabożeństwo w jednym z główniejszych meczetów stolicy. Najwyżsi dygnitarze towarzyszyli mu w najkosztowniejszych szatach; a obok niego szło dwóch dworzan niosących worki z pieniędzmi, które sułtan, podług chwalebnego zwyczaju, własnemi rękoma pomiędzy lud rozdzielał. Każdy pieniądz złoty, czy srebrny, w papierek był owinięty; a między niemi były niekiedy i szkiełka w miejscu drogiego kruszcu; ale wtenczas papierek zwykle zawierał wiersze i nauki ułożone przez samego sułtana i pisane własną jego ręką. Uwagi te zawierały pospolicie pochwały ubóstwa i dowcipne przycinki na bogaczów. Łatwo sobie każdy wystawi, że tłum ludu, postępujący wszędzie za sułtanem, daleko chciwiéj chwytał kosztowny kruszec, niż owe szklanne moralne odrobiny.

Muhamed przyszedłszy, jakośmy powiedzieli, do nędzy, wmieszał się jednego dnia do gawiedzi postępującéj za sułtanem. Bacznie śledził wszystkie poruszenia monarchy, a gdy tenże ściągnął rękę do worka i spuścił na tłum upragniony deszcz złoty, pochwycił jeden zawinięty papierek. Nie odwinął atoli zaraz swojéj zdobyczy, dopiero gdy się ujrzał na osobności; ale jakże bolesnego doznał uczucia, gdy zamiast złotéj sztuki, szkiełko okrągłe znalazł. Właśnie chciał je rozbić o kamienie, gdy mu napis wpadł w oczy téj treści: „*Zręczność i śmiałość nie jednemu utorowała drogę do zaszczytów.*“ Zdanie to przypadkiem różniło się zupełnie od innych zwyczajnych na ten cel wybieranych nauk moralnych. Muhamed długo nad nim myślał, poczem schowawszy starannie szkło i papier do kieszeni, oddalił się pewnym krokiem, zdecydowany, co ma czynić.

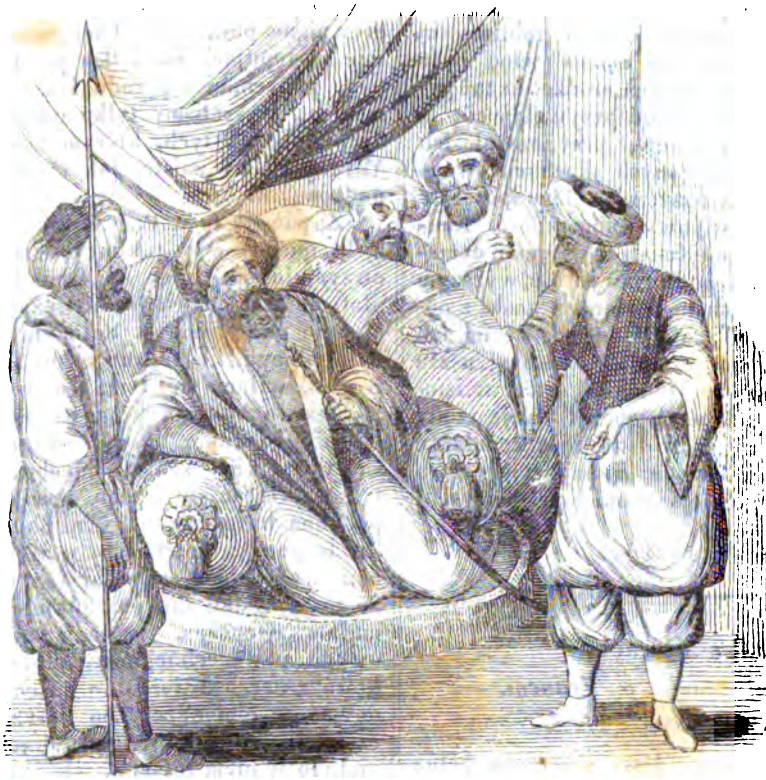
Są w Konstantynopolu kupcy, trudniący się wypożyczaniem rozmaitych sukien, od najkosztowniejszych i diamentami połyskujących szat wezyra, aż do skromnéj odzieży derwisza. Składy takowe dla tego najwięcéj utrzymują się, że w Turczech nagle na dostojeństwa wyniesieni, spiesznego potrzebują przybrania. Z tego także powodu kupcy owi, oprócz szat, zwykli potrzebującym dostarczać: koni, sług, przybocznéj straży, domowników i wszystkich podobnych dworskiéj okazałości zwyczajnych oznaków; przedmioty, które za tygodniową lub miesięczną zapłatę wynajmują. Do jednego z takich kupców udał się Muhamed, a ponieważ miał i minę poważną i rysy twarzy zajmujące, udało mu się przeto nakłonić kupca, że mu tenże najbogatszych sukien, pięknych koni, pysznie przybranéj służby dostarczył. Nieupłynęła i godzina, a biedny żebrak przemienił się w znakomitego baszę, który swoją imponującą miną, zachwycającą postacią, wszystkich oczy na siebie zwracał.

Całe to bogate oporządzenie obowiązał się nasz tak nagle kreowany basza, w bardzo krótkim przeciągu czasu zapłacić. Muhamed nie miał wprawdzie pieniędzy, ale miał głowę nie dla kształtu tylko na karku, któréj, w piękny turban przybranéj, drugie tyle rozumu przybyło. Skręcił więc z swoim dworem przed dom brata, a stanąwszy na dziedzińcu, wysłał jednego z sług swoich, aby mu doniósł, że Muhamed brat jego życzy sobie z nim mówić. Murad chciał mu właśnie niechętną dać odprawę, gdy przypadkiem wyjrzawszy na dziedziniec, postrzegł świetnym orszakiem otoczonego brata, przedstawiającego się w całéj okazałości baszy. Muhamed, połyskujący klejnotami, nie był to już ów wzgardzony żebrak; — szybko więc pospieszył przed próg na jego przyjęcie. „Muradzie,“ odezwał się do niego Muhamed, nie zsiadając z konia, i tylko z lekka pozdrawiając brata, sułtan, nasz pan, mianował mię baszą Damaszku. Potrzebuję znacznéj summy pieniędzy, abym się stósownie do méj godności mógł urządzić. Przygotuj te pieniądze na jutro, wypłacę ci późniéj, jak na brata i baszę przystoi.“

„Oby nieba pomnożyły chwałę Padyszy, naszego miłościwego pana“, odpowiedział Murad; „Muhamedzie, przez ciebie opatrzność wynosi naszę familią do godności. Odtąd cały mój majątek do ciebie należy; bierz, ile ci się podoba, baszo Damaszku; oby ci Allah wynagrodził twoje zasługi!“

Przez noc przygotował się Muhamed do wyjazdu: zebrał sobie gwardyą przyboczną, z pięćdziesięciu ludzi złożoną, i przydał do swego orszaku kilku gońców tatarskich. Nazajutrz posłał swego podskarbiego do domu brata, dla odebrania 20000 czerwonych złotych, z których popłacił wszystko, co natychmiast zaspokojone być musiało; poczém przeprawił się przez Bosphorus i obrócił, czy zgadniesz dokąd? domyślny czytelniku, — oto prosto do Damaszku.

Muhamed nie był to zwyczajny oszust, jego rachuba sięgała wyżéj. Imponująca jego postawa, w miejscu, gdzie tak nagłe wyniesienia nie są zbyt rzadkie, przekonała każdego, równie jak jego orszak, że to jest istotny przez sułtana na tę godność wyniesiony basza. Z początku odprawiał swą podróż w cichości, dopiero, gdy się już znacznie od stolicy oddalił, zbliżając się do granic swéj prowincyi, zaczął wszędzie rozgłaszać swe wyniesienie i rozdawać stósowne podarunki po miastach, przez które przechodził. Wszędzie przyjmowano go z czcią przynależną; dawał, odbierał upominki u namiestników, do których wstępował, a którzy przez wzgląd na wyższą dostojność baszy Damaszku, nie dopuścili, aby nowy posiadacz téj godności na tém szkodo-



Basza Damaszku.

wał. Gdy już trzy dni tylko jazdy od Damaszku był oddalony, kazał stanąć i rozbić namioty. Poczem zawołał swego sekretarza, i podyktował mu list do najznakomitszych emirów w Damaszku, w którym im donosi, że wielki wezyr, przeniewierzywszy się sułtanowi, popadł w niełaskę i głowę stracił, i że przeto syn jego, teraźniejszy basza Damaszku, jako współwinowajca, na tęż samę wskazany jest karę. Muhamed napisał ten list w swojém imieniu, z tym dodatkiem, że on, jako nowo wyznaczony basza, przybywa wykonać wyrok sułtański i rozkazuje Emirom, schwytać natychmiast syna wezyrowego i do jego przybycia trzymać pod strażą.

Nim atoli Muhamed list ten odesłał, wyprawił pewnego i szybkiego posłańca z rozkazem, aby się udał do pałacu baszy i doniósł mu sekretnie o ścięciu jego ojca, jako też, że i jego samego od przybywającego następcy ta sama czeka kara. Skutkiem tego odkrycia było, iż biedny basza, w przekonaniu, że mu niechybna śmierć zagraża, wiedząc nadto, że nie posiada miłości swych poddanych, dopadłszy co prędzéj tęgiego biegana, w spiesznéj ucieczce szukał ocalenia, odbiegłszy nawet swych skarbów i kobiet.

Emirowie odebrawszy list, zebrali się, chcąc się naradzić, jakie mają przedsięwziąść środki. Właśnie, gdy się jeszcze nad tem naradzali, przybywa drugi goniec z listem podobnéj treści, daléj trzeci i czwarty, coraz surowsze przywożąc rozkazy. Nareszcie Emirowie w wielkiéj obawie, żeby z ich oporu i zwłoki niebezpieczne dla nich niewynikły skutki, zgromadzają swych stronników i wzywają mieszczan, aby dawnego baszę uwięzili, a nowego z należną czcią przyjąć chcieli. Zebrawszy tłum mieszkańców, udają się do pałacu baszy, a nie znalazłszy żadnego odporu, przetrząsają wszystkie kąty, ale na próżno.

Rozjątrzony tłum ganił opieszałość Emirów, i byłby niechybnie wybuchnął bunt, a następnie i powszechny rabunek miasta, gdyby z dala nie odezwały się były radosne okrzyki ludu witającego baszę. Za chwilę nadjechał sam Muhamed, otoczony świetnym orszakiem, rzucając obficie pomiędzy gmin złoto na wszystkie strony. Pierwsze jego słowa, gdy zsiadł z konia przed pałacem, były: „gdzie jest winowajca?“ Ta pewność, ten ton rozkazujący, zmieszały Emirów. Wasza wysokość, (odrzekł jeden z zagadnionych Emirów pokornie), raczy nam przebaczyć: zapewne odebrał prywatne doniesienie z Konstantynopola, albowiem, gdyśmy pałac opanowali, już go nie było. — A więc uciekł! zawołał piorunującym głosem Muhamed. Nędznicy! wiedzcie, że moje rozkazy są rozkazami samego sułtana; waszemi głowami odpowiecie za zbiega! Precz z oblicza mojego! wkrótce poniesiecie karę, na jaką zasługują ci, co tak jak wy, pełnią rozkazy naszego najmiłościwszego pana.

Groźba ta rzuciła pomiędzy Emirów postrach i trwogę. Już był basza swoją szczodrobliwością ujął sobie gmin prosty, nie można więc było myślić o odporze. Stroskanych srodze, kazał pojedyńczo Muhamed do siebie przywoływać; a powściągnąwszy swój gniew, przyjmował ich łaskawie, i hojnie obdarzonych skarbami swego poprzednika, do domów puszczał. Tym sposobem trwoga przemieniła się w powszechną radość. Emirowie tak zastraszeni, nie śmieli bynajmniéj domagać się, aby nowy basza, podług zwyczaju, wyższym urzędnikom, czyli szlachcie, firman sułtański z nominacyą na baszę pokazał, kontenci, że im ich opieszałość względem ostatniego baszy uszła bezkarnie. Tymczasem Muhamed, który w istocie wielką posiadał zdatność, zaczął swoje rządy od ulżenia ludowi ciężarów i zniesienia nadużyć swoich poprzedników, wydając zbawienne prawa i biorąc pod szczególniejszą opiekę przemysł i rólnictwo.

(Koniec nastąpi.)

Kronika literacka.

Wspomnienia moje o Francyi.

(Dalszy ciąg.)

Nietracąc ani minuty, jeszcze z gębą pełną deserowéj gruszki *), pospieszyliśmy do sieni teatrowych. Tam już wielka gromada czekających, całe wnijście zalegała. Dowiedzieliśmy się od szczęśliwszych, to jest bliżéj drzwi stojących, inaczéj mówiąc, wcześniéj przybyłych, a zatém dawniéj czekających, że za dziesięć minut możemy się spodziewać otwarcia. Te 10 minut, jeżeli ich tyle tylko było, bardzo mi się długie wydawały, coraz więcéj bowiem przybywało kandydatów do drzwi, coraz się bardziéj tłoczyli, trącali, wpychali. Już wyczerpawszy cały zapas cierpliwości, miałam ochotę ku teatrowi francuzkiemu zwrócić, kiedy nareszcie skrzypnęły podwoje. Ach! to już koniec naszego utrapienia! zawołałam radośnie.... To dopiero początek; odrzecze mój towarzysz! — Dreszcz po mnie przeszedł; spojrzałam, co się dzieje przedemną, ale prócz pleców poprzedzających mnie, nic widzieć niemogłam. Co parę minut posuwaliśmy się jak w processyi i znów zastanawialiśmy się, jakby pojazdy przed balem, czekające na wysiadających. Niewiedziałam przyczyny tak powolnego i utrudzonego postępu, lecz uroczyście sobie przyrzekłam, raczéj wszystkich widowisk się zrzec, niż się drugi raz puścić na podobną próbę. Po nowym w przejściu drzwi trudzie, przekroczyliśmy nakoniec próg sieni. Mniemałam, że za jednym krokiem już w loży się ujrzę, a to dopiero weszliśmy w jakąś wązką, dzielącą sień przegrodę! między dwa drewniane parkany! Tam jeszcze wolniéj prawie postępując, bo tylko po dwie osoby frontem, popychani z przodu i z tyłu, stawając co moment, słyszeliśmy tylko sykanie nadto ściśnionych, lub jęk tych, którym nastąpiono na nogę. Wyglądaliśmy zaiste, jak trzoda ciasną dróżyną pędzona!....

Zowie się to w Paryżu *iść za ogonem* (aller à la queue) *a*); takim to smutnym sposobem otrzymuje się bilet za franków pięć, to jest złotych ośm od osoby! Wyznaję, iż byłabym chętnie parę franków dołożyła, gdybym mogła była przewidzieć okrutny los, jaki mię czekał. I niedziwiłam się tym, co wolą przystać na zdzierstwo biórowych, a wcześnie kupionym biletem swobodnie miejsce swoje zająć. Już mi się wszystkich zabaw odechciało i pragnęłam tylko wycofać się z tego zgiełku, lecz to niepodobną było rzeczą. Ani naprzód, ani w tył; każde poruszenie, choćby o życie chodziło, było nam wzbronione. Towarzysz mój utrzymywał, że to wszystko dla porządku się dzieje. Mniemałam wtenczas, że to zdanie jest skutkiem owego powszechnego uwielbienia dla Paryża, które zawczasu wszystko miłém i dobrém znajdować w nim każe; bo Paryż ma tego rzędu czcicieli. Późniéj jednak przekonałam się, iż niebyło w niém fałszu. Nic okropniejszego, jak w Paryżu zgiełk bez porządku i hamulca. Kto z niego wyjdzie przy życiu i przy wszystkich członkach, niech stokrotnie dzięki Bogu złoży! Francuz w zgiełku wyzuwa się z wszelkiéj nie tylko grzeczności, ale nawet ludzkości; o siebie tylko dbały, potrąca, wywraca, chodzi, depce po słabszych; słowem, wpada w jakąś wyuzdaną dzikość. *) Szczęściem, że wszystko w tym świe-

*) W Paryżu zwykle dają gruszkę zimową gotowaną na talerzyku i pocukrowaną, na wety.

a) Czytaj *Przyjaciela Ludu*, Nr. 28. z 12. Stycznia 1838, stron 222.

*) Dla dopełnienia obrazu prawdy, załączam parę szczegołów z rękopismu mego: *Opisanie bezstronne i szczegółowe Paryża*, z którego nie jeden już artykuł pisma krajowe dawniéj drukiem ogłosiły. Dajmy, n. p.: że Talma jaki lub Raszel na scenę ma wystąpić, uwiadomiona o tém publiczność, pewna natłoku, a niepewna miejsc, przemyśliwa nad sposobami dostania się w teatr. Nadchodzi dzień, ciekawość od rannych godzin sprowadza widza, ściąga chołotę, która na mocy przepisu porządku przestrzegając, od okienka kassy (kratami i kratkami warownego) parami szykuje się i tworzy w miarę przybywania osób tak zwany *ogon*. Inni, pewni miejsc, lub od faktorów z nabytemi nadbiegając biletami, przed teatrem na podobieństwo pszczół w ulu wylegają, pory wciśnienia się upatrując. Spoźnieni, a wstęp zapewnić sobie chcący, wchodzą z zastępcami ugryzkami ogona o stanowiska w układy, które wedle długości jego wśród zapór, szranków, poręcz i t. d. niekiedy aż na ulicę publiczną wodzonego, to jest w miarę odległości od kassy na różne przychodzą ceny. Pozbył podejmca znoju i mozołu swe stanowisko, to bieży cwałem w koniec ogona i na nowo stojkę odbywa; frymarczy, i póki się tylko da, strzępy jego przedłuża. Broń Boże! wyboczyć, przestąpić w ogonie, zewsząd wszak à la

cie ma koniec; ujrzeliśmy nareszcie i my koniec zaparkanionéj przegrody. Za nią był rodzaj okienka, czyli raczéj dziurki, przez którą podawano bilety, a odbierano pieniądze. Czas potrzebny do téj zamiany dla pierwszéj wychodzącéj z zagrody pary, wstrzymywał dalsze. Ztąd takie utrudzenie, nudy i przykrości. Kupiwszy bilety, weszliśmy do drugiéj sieni, gdzie je od nas odebrano, przejrzano, róg każdemu oddarto i wskazano, na które schody udać się mamy. Na kurytarzu lożowym, wyskoczyła naprzeciw nas stara baba z pękiem kluczów u pasa i z okularami na nosie. Wziąwszy poobdzierane bilety, zbliżyła je do kinkietu, spojrzała i potrząsła głową, odséłając nas do drugiéj odźwiernéj. Druga, podobna pierwszéj baba, przejrzawszy bilety, powiedziała, żebyśmy się na lewą stronę udali, gdyż na prawéj wszystkie pierwsze miejsca już są zajęte. Tém smutniejszą dla nas była ta wiadomość, że słyszeliśmy zaczętą już sztukę. Pocieszając się myślą, że zwykle od najlichszéj zaczynają, śpiesznym krokiem okrążyliśmy całą salę. — Na lewym skrzydle nowa nas spotkała klucznica; ta oświadczyła, że ani jednego frontowego miejsca niemasz; a gdyśmy jéj na półżartem ręczyli, żeśmy kilka próżnych widzieli, to rzekła: już są zamówione lub zatrzymane chustką albo kapeluszem, których państwo widzieć niemogli. Mam tu wprawdzie dwa tylne pod numerem 3, które jeżeli będą dogodne, można je zająć, inaczéj państwo chyba na drugie piętro się udadzą; to mówiąc, otworzyła nam numer trzeci; tam, już cztery miejsca były zajęte przez samych wprawdzie mężczyzn, lecz widać było z ich miny, iż żaden niemiał ochoty ustąpić swego krzesła; tyle tylko odwróciwszy głowę, aby syknąć na znak cichości, śmiał się daléj i poklaskiwał sztuce, nietroszcząc się bynajmniéj, czy siedzący za nim widzi co, lub nie. W naszym kącie nietylko nic widzieć, ale nawet wygodnie usiąść niemożna było, czego po całodziennem utrudzeniu nogi moje gwałtem się dopominały. Zaczęłam się tedy nakłaniać ku drugiemu piętru, mój towarzysz zaś był zdania, aby wsunąć w rękę parę franków babie (ouvreuse), gdyż to jedyny jest sposób otrzymania miejsc wygodnych, zwłaszcza, żeśmy ich pełno przed sobą w innych lożach niezajętych, widzieli. Taki nieład, takie odséłania bez względu na miejsca oznaczone biletem; ta, że tak powiem, serya oszukaństw i zdzierstwa bez miary, tak mię oburzały, iż widząc, że odźwiernéj chodzi tylko o wyłudzenie pary franków, po które co moment pod rozmaitemi pozorami do naszéj loży zaglądała, jak najusilniéj opierałam się temu, i wolałam wyrzec się ceny pierwszo piętrowéj loży, na drugie udając się piętro.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Ksiądz Kajetan Kamieński.

W świecie moralnym, równie jak w fizycznym, wszystko potrzebuje pewnego popędu, aby szło naprzód. Nieraz jeden wielki człowiek, jedna myśl szczęśliwa, a nawet jeden goły przypadek, zrządza nieprzewidziane odmiany, porusza całe narody, posuwa oświecenie i wynalazki o wieki. Dowodem tego między innemi jest ú nas zakon Pijarów. Dopóki się w nim Konarski nie zjawił, nie różnił się on w niczém od

---

queue! à la queue! (w ogon do ogona!); siłą nawet popierany, porządek w szeregach naprawia. Biada niejednemu, który się pomiędzy podobnych amatorów dostaje; tłok, znój, szturchańce; ileż mocy ducha, twardości barków, ileż wytrwałości niewymagają? .... Wybija przed zaczęciem godzina; kassa otwarta, porusza natychmiast i mocniéj burzliwe szranki, podwaja niecierpliwość, ścisk, wrzawę, którą zbrojne i gęsto rozstawione czaty (żandarmy z karabinami) zaledwo powściągnąć zdołają. Pochwycony, ledwo nie z urwą ręki z okienka bilet, pędzi ku scenie widza i wtrąca w parter, odmęt prawdziwy rozhukanego morza. Susy, skoki po ławkach, popychania, przepadania, podsiadywania wzajemne i t. p., wszystko to ma miejsce i do porządku dziennego należy; wzdymają się coraz to bardziéj bałwany, przepełniają miejsca, znaczą nadto z szyj zdejmowane chustki przewiązaniem ławki, dla przybyć jeszcze mających nowe szczeliny; rozumiałbyś, że już szpilki niezatknie! jako żywo, klinuje się przybysz o sto niekiedy kroków od kolegi wołany, tłucze drugim członki, sam własne obrabia boki; źle, gdy z bocznych wszedłszy drzwi, wzdłuż ciasną ławkę przebywa; gorzéj, kiedy od tylnych zmuszony wchodzić, przedziera, krzyżuje się. Zatarassowane przejścia, niecierpliwość, niewyrozumiałość, nieużytość, wszędzie i zawsze na przeszkodzie niejednemu aż krwawy znój wytoczą. A chociażby dla natłoku, wielu ni widzieć, ni słyszeć, ani dychać miało; nic to nieprzeszkadza, drzeć jednak, tłoczyć się zawsze gotowi! ... Cóż to? dla Boga! Czy *salto mortale?*... nieinaczéj; ... cisnącego się przez zwarte barki, koalicya rąk bierze w opiekę; pcha, nęka, rzuca nakoniec po nad głowy widza widzom! ten pada, tłucze drugich! ... powszechna zrywa się zawierucha, wyższe nawet miejsca udział biorą, zewsząd wrzeszczą: *à la porte* (za drzwi), niewolą za teatr, i przy braku odporu, wymiotnąć nawet gotowi. Potulność w attakowanym, szkodliwsza tam nad gburowatą rubaszność; ztądto tak częsta na zimnych Anglików napaść; łatwe z nich ofiary! Niedosyć na tém; spada przypadkiem kapelusz; nuże wojażować; pada,. jego ciska jeden drugiemu, śmiga i najdalsze wyższych nawet miejsc kąty zwiedza, pomiata. Inni tymczasem zniecierpliwieni gwiżdżą. świszczą, bębnią lub tupają, inni gdaczą, krakają lub miauczą, by co prędzéj odsuniono. Trafniejszy wyskok niby dowcipu, wymysł lub zdarzenie, zapijanie lepsze i t. p., śmiech, chychoty pobudza lub oklaski wzrusza; aż nakoniec litościwy czas, władzca wszech rzeczy, uchyla kortynę i kładzie zwykle tamę wszelkiéj rozpuście; jakoż na widok sceny nagła po burzy cisza, każdy odkrywszy głowę, w miejscu utkwiony, milczy i z natężeniem wszelkie ku scenie zwraca zmysły, tak dalece, że miałby się znaleść śmiałek jaki i przerwać milczenie, maxyma parteru, prawa dającego: »*kto zachować się nieumie, niewart być z nami!*« .... wszystkich porusza, i kommenda „*zadrzwi!*“ piorunem skutkuje.....



Ksiądz Kajetan Kamieński.

innych zakonów. Ale skoro wielki ten mąż zbawienne w nim reformy zaprowadził, wyścignął natychmiast wszystkie reguły i wydał znaczną bardzo liczbę sławnych ludzi. Z łona tego zakonu wyszli: Ostrowski, Skrzetuski, Jodłowski, Dogiel, Wiśniewski, Zaborowski, Osiński, Krajewski, Siarczyński, Kopczyński, Dmochowski i tylu innych uczonych.

Rycina niniejsza wyobraża jednego z tych zasłużonych krajowi i naukom zwolenników ś. Józefa Kalassantego. Wielu może z czytelników Przyjaciela Ludu przypomną sobie w niéj rysy twarzy X. Kajetana Kamieńskiego, prowincyała niegdyś XX. Pijarów i rządzcy konwiktu na Żoliborzu. Urodził on się dnia 4. Stycznia 1758 w województwie krakowskiém. W roku 1777 wstąpił do zakonu Pijarów w Podolińcu, a ukończywszy nauki, sam wykładał je naprzód w *kollegium nobilium* w Warszawie, a późniéj w Górze. Następnie powołanym został na prefekta tegoż *kollegium nobilium* w Warszawie, a w roku 1801 wyniesiony na rektora, urząd ten lat kilkanaście sprawował. Gdy w roku 1807 *kollegium nobilium* Konarskiego na lazaret wojskowy obrócone zostało, a innego gmachu do umieszczenia kilkunastu nauczycieli i konwiktorów niebyło, Kamieński rozpuściwszy połowę ostatnich, przeniósł konwikt naprzód do dawnego kollegium, a późniéj na Żoliborz (joli-bord, piękny brzeg) za miastem, i pomimo wojennych owych czasów, urządził tu wnet dom na 50 uczniów i piętnastu nauczycieli, uczących w 6. klassach, i stał się właściwie założycielem tak wziętéj w swoim czasie szkoły na Żoliborzu. Prócz tego opatrzył nową tę niejako szkołę w muzea, powiększył jéj bibliotekę i trudniąc się administracyą instytutu, nieprzestawał w nim wykładać nauk z wielką korzyścią młodzieży. W nagrodę licznych zasług, Towarzystwo przyjaciół nauk przybrało go za swego członka, a zgromadzenie XX. Pijarów mianowało go swoim prowincyałem. Wydał następujące dzieła:

1. *Grammatykę niemiecką, w Warszawie* 1790 *roku.*
2. *Grammatykę francuzką Vaillego, przerobioną.*
3. *Grammatykę francuzką własną, w Warszawie* 1799 *roku.*
4. *Rady dla pospólstwa Tyssota, z francuzkiego na język ojczysty przełożył. W Warszawie* 1785. 2 *tomy.*

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (*Red. J. Łukaszewicz.*)

Przyjaciel Ludu.

Rok szósty. **No. 13.** **Leszno,** *dnia* **28.** *Września* **1839.**



Lady Estera Stanhope.

Czytaliśmy niedawno w pismach publicznych krótkie doniesienie w tych słowach: „Po długiéj chorobie pożegnała się z tym światem w Dschuni, w Syryi, w 64. r. życia *Lady Estera Stanhope*.“ Nic więcéj niewspomniano o dziwnéj téj kobiecie, co sprzykrzywszy sobie Europę, na pustyni wśród dzikich Druzów i Turkomanów osiadła. Niebyło i niebędzie w dziejach wschodu tak dziwnego zjawiska, jakiém było ukazanie się Estery Stanhope. Wystaw sobie na gruzach Palmiry zgromadzonych 40000 Arabów, wolnych jak pszczoły, przenoszące się z jednego kwiatka na drugi, gorących jak promienie słońca, stepy Syryi rozpalające, stojących w milczeniu, podziwiających córę zgasłego Stuartów domu i mianujących onę księżną pustyni, królową Palmiry; spytasz się, zkąd ta niewiasta, co jakąś nieznaną, czarodziejską mocą opanowała umysły Muzułmanów i rządzi nimi podług woli swojéj.

Lady Estera Stanhope, mówi Lamartine w podróży swojéj po wschodnich krajach, była siostrzenicą Pitta, po którego śmierci opuściła ojczyznę, aby obce zwiedzić kraje. Młoda, piękna, bogata i utalentowána dama, wszędzie była przedmiotem podziwienia; wielu starało się o jéj rękę, tak Anglików, jako i obcych, lecz dumna Albionu córka, postanowiła już wtedy niewstępować w związki małżeńskie, że plany swe poetyczne mogła przywieść do skutku. Po kilku latach podróży po Europie, udała się nareszcie Lady Estera z licznym dworem do Stambułu na ciągłe mieszkanie. Niedowiedziano się nigdy, co spowodowało Lady do téj wędrówki; jedni domyślali się, iż śmierć młodego angielskiego jenerała, poległego naówczas w Hiszpanii, a miłego sercu Lady, była podróży przyczyną; inni znajdywali powód jéj w żywym temperamencie damy, pragnącéj czegoś nadzwyczajnego. Po kilku lat pobytu w Carogrodzie, wsiadła Lady na okręt angielski, zabrawszy z sobą większą część swego majątku, i mnóstwo podarunków bardzo kosztownych, i kazała się zawieść do Syryi. Wielka burza zgruchotała ten okręt przy odnodze makrejskiéj na drodze do Karamanii; skarby Lady zatonęły, sama tylko cudem prawie uratowaną została.

Strata tak wielka niepotrafiła jednak odwieść zapalonéj kobiety od uskutecznienia raz powziętego zamiaru, powróciwszy bowiem do Londynu, i spieniężywszy swoje posiadłości, wsiadła powtórnie na okręt i wylądowała szczęśliwie w Latakieh (dawnéj Laodycei). U stóp Libanu wybrała sobie mieszkanie, niedaleko Palmiry, owego miasta słynnego panowaniem Zenobii. „Europa sprzykrzyła mi się", powtarzała często, dla swojéj jednostajności; smutno jest mieszkającemu w jéj krainach patrzeć na niegodne wolności narody, przyszłość przedstawia mi się jako obraz nieustannych zamieszań i krwi przelewów." Nabycie języka arabskiego, poznanie charakteru i sposobu życia ludów, wśród których żyła, zajęły odtąd całkiem Lady Stanhope. Na czele licznéj karawany, z bogatymi darami dla szeików rozmaitych pokoleń, zwiedziła po kilka razy Jerozolimę, Damaszek, Aleppo i całą okoliczną pustynię. Pochód jéj równał tryumfowi zwycięzcy jakiego, wychodziły bowiem naprzeciw jéj wszystkie pokolenia, do których się siedzib zbliżała, witając ją z chlebem i solą w ręku, wśród pieśni i radosnych okrzyków. Nazwisko swoje rodzinne zmieniła na imię Cyda; okazałość i przepych, z jakim przyjmowała do mieszkania swego składających jéj hołd i uszanowanie Emirów i różnego rodzaju pielgrzymów, niemniéj zachwycały wszystkich, jak przytomność umysłu i odwaga w niejedném niebezpieczeństwie okazywane. Europejczyków rzadko, Anglików nigdy do siebie nieprzypuszczała. Z okiem ku niebu wzniesioném przepędzała często noce całe, zatopiona w marzeniach bujnéj swéj wyobraźni; we dnie uczęszczała do groty słynącego swoją pobożnością derwisza, aby u nóg jego, w pokorze serca, słuchać ustaw Koranu.

Skromne jéj z początku mieszkanie, zmieniło się wkrótce, jakoby za dotknięciem laski czarnoksięskiéj, w pałac pełen ozdób i okazałości wschodu, a przy nim powstał ogród z drogami wysadzanemi cedrami i myrtowemi drzewami. Pielgrzym, któremu dozwolono złożyć cześć królowéj Palmiry, zastawał ją leżącą na wezgłowiu, w pąsowym zawoju, w sukni bogatéj, na sposób wschodni, z ataganem przy boku, i sztyletem bogatym, pod śnieżną piersią ukrytym. Cała postawa Lady była poważna, rysy twarzy szlachetne i miłe, krok powolny, cały ruch mający w sobie coś majestatycznego.

Lecz cały ten urok otaczający ją, niknąć zaczął wraz z upadającemi dochodami, tak, iż pałace jéj w kilka lat przed śmiercią przybrały postać smutnego klasztoru, i nikt niepytał się wcale o królowę ową, co opływając w dostatki, podpisywała firmany, zapewniające niedawno bezpieczny pochód pielgrzymom, wśród rozbójniczych synów pustyni.

Kronika literacka.

Wspomnienia moje o Francyi.

(Dokończenie.)

Nietrzeba sądzić, że tego rodzaju nieład, te oszustwa, w teatrach tylko *drugiego rzędu* uchodzą *), których partykularni są przedsiębiercami; w czterech (pięciu) pierwszych teatrach, *królewskiemi* zwanych, pod opieką rządu zostających, też same są nadużycia, a w najmodniejszym i najdroższym, to jest w operze włoskiéj, największe bywają szachrajstwa!.... — Na drugiém piętrze, po wielu trudach i zabiegach, dostaliśmy się nareszcie do miejsc, w których jeżeli naszym fizycznym istotom niebyło wygodnie, przynajmniéj moralnie zadowolnione być mogły, bośmy słyszeli i widzieli wszystko doskonale. Nie mogąc ani ręką, ani nogą poruszyć, ale łatwiéj znosić ten rodzaj tortury, całą uwagę ku scenie zwracałam. Wysłuchałam tak dwie sztuki, każdą we 2. aktach, a między wszystkiemi zaletami wystawy, najbardziéj zdumiałam się nad rozwiozłością ich osnowy: myśli swawolne, słowa dwuznaczne, z największemi przyjmowano oklaskami; położenia częściéj nieskromne, niż czułe, grunt rzeczy niemoralny, interes zastąpiony dowcipem, wszystko to zdawało się do smaku publiczności przypadać."

Daléj, oddając autorka sprawiedliwe pochwały grze artystów, a pannie Dejazet szczególniéj, dla znużenia i paru wyszedłszy na wolne powietrze, przytacza sceny, jakich była świadkiem z narzucania przez uliczników biletów do sąsiedniego tamże teatru *francuzkiego*, a za bezcen nabywszy podobne, na koniec reprezentacyi doń udała się, dla zobaczenia sławniejszéj jeszcze aktorki, znanéj panny *Mars*, któréj najsprawiedliwszych nieszczędzi pochwał, równie jak samemuż teatrowi, lubo dziś dla skażonego gustu publiczności mniéj uczęszczanemu.

Dawne czasy, zbiór starożytności p. Sommerard z niekorzystną fizyonomii jego szkicą; St. Denis z grobami królów francuzkich, pensya córek członków legii honorowéj i t. p. szczegóły, rozdział *piąty* zajmują, i nie bez interessu czytanemi być mogą. *Szósty* modom poświęcony, a *siódmy* pojazdom publicznym przekazany. Przygody, jakich autorka puściwszy się *wszechwozem*, czyli *omnibusem*, na odwiedzenie w dalszéj części miasta sobie życzliwych, jest zaiste najtrafniejszym opisowym obrazem złorzeczenia, atoli powozom w ogóle publicznym

*) Teatra *pierwszego rzędu* nazywają się inaczéj *królewskiemi*, mają loże dla panującego strojną i pobierają ze skarbu publicznego znaczne wsparcia, n. p.: sama wielka opera, do półmilioną okładem franków rocznie; do tych należą, prócz *opery*, *teatr francuzki*, *odeon*, *opera włoska* i *komiczna*, reszta zaś *pomniejszych* albo *drugiego rzędu* noszą nazwy, swobód powyższych nieużywające.

paryzkim czynione, nie są słuszne; od woli albowiem najmującego zależy wybór lepszych, porządnych i najwygodniejszych w świecie, jakiemi n. p. są karyolki (cabriolets) i t. p. między tysiącami tysiąców fiakrów, wszelkim stanom i możności osób na każde skinienie usłużnych.

Ci szczęśliwi, którzy to najdroższe dobro na ziemi, *czas*, na czytaniu płonnych romansów marnotrawią, znajdą najrzetelniejszy i najbogatszy wywód literatury rzeczonéj, przez autorkę sporządzony, i to w obu następnych ustępach *dzieła wspomnień;* wskazane tamże celniejsze wyborowe pisma tego zawodu, niemniéj szczegóły ciekawsze o pisarzach samych, nie bezkorzyści dla *ultraczytających* zostaną. Przyjaciele teatru, równie jak nieprzyjaciele skażenia sceny dzisiejszéj w Europie, ci pociechę, tamci zaś przestrogę, a może i naukę z przejrzenia krytycznego rysu odnieść będą mogli. Między autorami i nasz *Mickiewicz* chlubne zyskał tam westchnienie!... Ma swoje miejsce i *Hoëne Wroński*, dawny inżynier polski, transcendentalnością wyobrażeń i marzeń w Paryżu słynny, przez delikatność autorki pierwszą tylką głoską W..... przytoczony; proces z Anglikiem Arsonem, jako drukami ogłoszony i u nas jest dość wiadomy. Poezya dzisiejsza i jéj przyszłość, niemniéj rozważane są przez autorkę lubo w rodzaju lżejszéj niwy, salonom szczególniéj poświęcanym. — Przebiegając autorka w końcu rozdziału dziesiątego stan muzyki i niektóre z produkcyj dzisiejszych kompozytorów francuzkich; tak dalece niekorzystne o artystach i samymże kraju wydaje zdanie, że w końcu zaprzecza całemu narodowi francuzkiemu nietylko kompozytorów i muzyki narodowéj, ale jeszcze na domiar potępienia odmawia Francuzom nawet braku uczucia muzykalnego!.... Bezstronnie rzeczy biorąc, zdaje się, iż zły humor pewnym niesmakiem zaprawić musiał pióro piszącéj, trudno albowiem by zdania podobne ucho dla się znalazły; a jedno wydarzenie Majerbera, nie jest dostatecznym powodem do rzucania brzemienia pocisków lub wyrokowania o wyższości opery drezdeńskiéj nad paryzką! Czytającemu zresztą, nietrudno jest spostrzegać i pewne sprzeczności w wydawanych zdaniach, na które nieraz, jak w ciągu dzieła całego, tak i tu, natrafiać się daje.

Żywot domowy i publiczny księżnéj d' Abrantes (Junot) niemal cały jedenasty zajmuje rozdział i przyjemnie i użytecznie czytać się daje. Toż samo powtórzyć można o Sęsymonistach i ich założycielu Saint-Simon, którego biografia, marzenia zwolennicy i upadek, wiernie skreślonemi są.

Nakoniec, pominąwszy niektóre już z używania wyszłe makaronizmy, pismo całe po większéj części zaleca czystość języka i zręczność wyrażeń; wydanie nakoniec samo tego użytecznego dzieła, poprawnością i nadobnością odznaczające się, czynią zaszczyt i księgarni, kosztów nieoszczędzającéj, która do pierwszych dziś w Krakowie liczoną jest. *Kr.......*

Krysztof Arciszewski.

Sławny w dwóch częściach świata, Europie i Ameryce, wojownik, Krysztof Arciszewski, był synem Eliasza Arciszewskiego, który w młodości swojéj podróżując po Szwajcaryi, zapoznał się z Socynem i do nauki jego natychmiast przylgnął. Krysztof miał młodszego brata Eliasza, który był rotmistrzem w wojsku duńskiém, a późniéj dworzaninem Władysława IV. i w wojnie moskiewskiéj i kozackiéj za panowania Jana Kazimierza, półkownikiem piechoty niemieckiéj. Matką obudwóch była Helena Zakrzewska, córka Filipa Zbożnego Zakrzewskiego, zagorzałego Socyanina, który z duchowieństwem katolickiém żwawe wiódł utarczki piśmienne. Krysztof urodził się na schyłku 16go lub na początku 17go wieku, podług wszelkiego podobieństwa do prawdy, we wśi Rogalinie, pod Mosiną, należącéj dziś do hr. Edw. Raczyńskiego, którą prawem dziedzictwa, czy téż zastawu, rodzice jego posiadali. Ojciec jego Eliasz nabył późniéj także część Szmigla, gdzie była szkoła socyańska, założona od Dudycza; w niéj młodzi Arciszewscy odebrawszy pierwsze nauk początki pod Andrzejem Lubienieckim, zwiedzili następnie szkoły swego wyznania w Rakowie i otarli się także o szkoły zagraniczne. Po ukończeniu nauk, osiedli w Szmiglu, nie zatrudniając się zgoła niczem użytecznem, albowiem wyznanie ich zabraniało im wszelkiéj usługi publicznéj, a cząstka Szmigla, do ojca ich należąca, nie była tak znaczną, aby młodzieńcom żywym i z wyższemi zdolnościami, podawać mogła sposobność do zajęcia w rozmaitym względzie umysłu. Drugiéj, daleko znaczniejszéj części Szmigla, był dziedzicem Gaspar Jaruzel Brzeźnicki, wymowny, biegły w prawie krajowém, i jak się zdaje, pieniacz. Z tym możnym sąsiadem swoim, acz z współwiercą, niemogli się Arciszewscy, pochopni bardzo do kłótni i korda, zgodzić. Żywioły kłótni były rozmaite i coraz inne: raz chodziło o płósę roli, którą sobie Brzeźnicki przywłaszczał; drugi raz bydło Arciszewskich zrządziło szkodę na polu Brzeźnickiego, inną znowu razą charcica młodych Arciszewskich, o zgrozo! ważyła się dopędzić zająca tuż pod ogrodem Brzeźnickiego. Ztąd powstawały ustawiczne zatargi prawne, które najczęściéj w sądach krajowych na korzyść Brzeźnickiego roztsrzygane były, bądź to, że Brzeźnicki miał za sobą słuszność, bądź téż, że sam biegły prawnik i świadomy dobrze przebiegów trybunalskich, potrafił interessowi swemu pomyślny nadać obrót. Cóżkolwiek bądź, Arciszewscy nie mogąc w grodach i trybunałach przeciwnikowi swemu podołać, postanowili korzystać należycie z złotéj

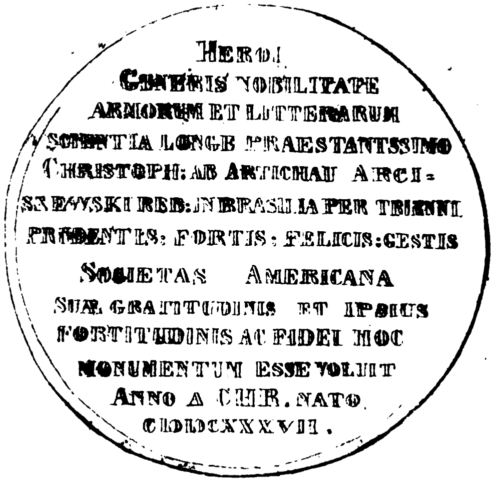


Krysztof Arciszewski.

wolności brojenia złego i wywrzec zemstę krwawą na nienawistnym sobie sąsiedzie. Szkaradny zamiar swój przywiedli też do skutku w następującym sposobie: Brzeźnicki ustanowiony poborcą podatków w województwie poznańskiem, wyjechał razu jednego z Szmigla do Środy i indziéj, dokąd go sprawy jego urzędowania wzywały. Gdy z podróży téj z pieniędzmi skarbowemi do Szmigla powracał i już za Kościan się dostał, Arciszewscy na czele kilkunastu ludzi zbrojnych zastąpili mu na drodze, ściągnęli z bryki, zawlekli pod szubienicę kościańską i tam go barbarzyńskim sposobem wpierw męczywszy, nareszcie zamordowali. Wykonawszy tę haniebną zbrodnię, splamili jeszcze swoje dłonie grabieżą: rzeczy bowiem, konie i pieniądze zamordowanego, podzielili pomiędzy siebie i wspólników zbrodni. Brzeźnicka, wdowa zamordowanego, wytoczyła sprawę przeciw zabójcom swego męża, i po długiém prawowaniu się, zyskała nareszcie wyrok, który starego Arciszewskiego, jako *pryncypała* zbrodni, na śmierć wskazał, a synów jego Krysztofa i Eliasza z kraju na wieczne czasy wywołał. Czy wola wyroku co do osoby starego Arciszewskiego wykonaną została, niewiadomo mi; synowie przecież jego wynieśli się niezwłocznie z kraju: Eliasz poszedł do Danii i przyjął służbę w wojsku duńskiem, dosłużył się stopnia rotmistrza, a przywołany później do ojczyzny, jako półkownik piechoty cudzoziemskiéj w oblężeniu Smoleńska, za Władysława IV. ważne przysługi krajowi wyświadczył; później zaś znajdował się w nieszczęśliwéj bitwie pod Piławcami i w innych potrzebach za panowania Jana Kazimierza.

Krysztof udał się do Hollandyi, wszedł podobnież w służbę wojskową téj rzeczypospolitéj i stopniami dostąpił już półkownikostwa, gdy następująca okoliczność nastręczyła mu porę pokazania wyższych talentów wojskowych i wsławienia swego imienia w całym świecie. Hollendrzy zamierzyli wtenczas wydrzeć Portugalczykom, albo raczéj połączonym z nimi wrogom swoim Hiszpanom, Brazylią, i w tym celu wyprawili do Ameryki znaczne wojsko (1636) pod dowództwem hrabiego Maurycego de Nassau. Maurycy otoczywszy się wielu biegłymi oficerami, wziął także z sobą na tę wyprawę Arciszewskiego. „Arciszewski,“ mówi Albertrandy, „dla biegłości swéj w kierowaniu artyleryą i wojskowych obrotach, częstokroć całemi oddziałami wojska dowodząc, miał nie jednę sposobność





Medal na cześć Krysztofa Arciszewskiego.

wsławienia się przez bitwy staczane i fortece zdobyte. Arciszewskiemu, jako na czele wojska zostającemu, przypisać należy znaczne zwycięstwo nad Portugalczykami pod Porto-Calvo, gdzie hrabia Baryola, wódz portugalski, po uporczywéj bitwie, do ucieczki był przymuszony. Nieco pierwéj kierował Arciszewski oblężeniem fortecy Larrayal, którą także dobył, nie bez dzielnego odporu, i tu był ranny. Po zdobyciu fortecy Porto-Calvo, zostawała twierdza Parvacaon tak mocno i porządnie okopana, iż się do niéj przedrzeć nie można było bez oblężenia rozpoczętego podług wszelkich prawideł sztuki wojennéj. Tego także oblężenia nie tylko dozór Arciszewskiemu był powierzony, ale i plan onego, dotąd pozostały, przez Arciszewskiego był odrysowany. Broniła się mężnie załoga, ale naostatek kapitulować musiała; to pociągnęło za sobą zdobycie innych fortec.“ Wśród tych ważnych i świetnych czynów Arciszewskiego w Ameryce, Portugalia oderwała się od Hiszpanii; nowy monarchà Portugalii, z domu Braganza, zawarł w roku 1641 przymierze z Holendrami, na mocy którego obadwa państwa wspierać się wzajemnie miały przeciw nieprzyjaciołom swoim w Europie; co do Indyi zaś tak wschodnich, jakotéż zachodnich, umówiony został rozejm na lat dziesięć. Arciszewski powrócił tedy do Europy, a następnie do Polski, uczczony tytułem admirała holenderskiego i medalem na cześć jego bitym, który czytelnik znajdzie w szacownem dziele hrabiego Ed. Raczyńskiego: *gabinet medalów polskich.* *)

Ostatnie lata życia przepędził Arciszewski na usługach własnéj ojczyzny. W roku 1649 był z Janem Kazimierzem pod Zbarażem i dowodził artylerya. Grądzki w dziele: *Historia belli cosaco-polonici*, powiada, iż gdy tu wojsko polskie pałało żądzą spotkania się z Tatarami i Kozakami, Arciszewski zachęcał króla do stoczenia bitwy, zaręczając, że miejsca położenie i szyk wojska polskiego był taki, iżby się wojsku nieprzyjacielskiemu, 400000 wynoszącemu, oprzeć mogło. Ale Ossoliński, kanclerz w. koronny, lew w domu — są słowa Grądzkiego — zając w polu, skłonił króla do zawarcia pokoju. Jeszcze w roku 1648 Krysztof Arciszewski zostawiony od księcia Jeremiasza Wiśniowieckiego w Lwowie z garstką wojska, obronił tę stolicę Rusi czerwonéj przeciw Kozakom i Tatarom.

Trudy wojenne, zgryzota, smutek, w jaki go wprawiał nieład w wojsku i w całym narodzie, nareszcie rany i wiek, osłabiły zdrowie jego do tego stopnia, że w roku 1650 musiał opuścić szeregi obrońców ojczyzny i szukać spokojnego przytułku w Gdańsku, gdzie w roku 1656 życia dokonał. Zwłoki jego sprowadzone do Leszna i złożone w kościele braci czeskich, (w Hollandyi bowiem wyznanie helweckie przyjął) spalone zostały w pamiętnym owym pożarze Leszna, który przeniewierstwo na to miasto ściągnęło.

*) Gdy dzieło hr. Ed. Raczyńskiego nie w każdego jest ręku, udzielamy z niego wierny rysunek bitego na cześć Kr. Arciszewskiego medalu z opisem:

Słup, na którym zawieszony jest herb portugalski; nad nim widać skład rozmaitéj broni. Wyżéj wieniec laurowy. Pole medalu zajmuje kraj przestronny. Po jednéj stronie widać fortecę warowniami opasaną. Oprócz głównéj téj twierdzy, widać tu i ówdzie pomniejsze szańce. U góry jest napis: VICTRICEM ACCIPE LAURUM, t. j. odbierz laur zwycięski. U dołu napis: HOSTIS HISPAN us) PROFLIGAT(us) t. j. Hiszpan nieprzyjaciel porażony.

Strona odwrotna sam tylko napis zawiera: HEROI GENERIS NOBILITATE ARMORUM ET LITERARUM SCIENTIA LONGE PRAESTANTISSIMO CHRISTOPH(oro) AB ARTICHAU ARCISZEWSKI REB(us) IN BRASILIA PER TRIENNI(um) PRUDENTIS(sime) FOR-

Basza Damaszku.

(Dokończenie.)

Zasłużywszy tym sposobem na szacunek ludz uczciwych, zjednał sobie u gminu powszechną miłość, dając huczne bankiety, i ujmując serca uboższych szczodrobliwym szafunkiem skarbów swego poprzednika. Wspaniałomyślnie obszedł się z familią byłego baszy i najznakomitszych baszów nowemi obsypał dobrodziejstwy.

Wtenczas nie tak ciągłą była kommunikacya między stolicą a Damaszkiem; a tak nie mało upłynęło czasu, nim się sułtan o nadzwyczajnych w Syryi wydarzonych wypadkach dowiedział. Przez złożonego z urzędu baszę, wykryła się prawda. Ten z Damaszku uszedł puszczą do Bagdadu. Tu nie mając sposobu do utrzymania się, przymuszony był najprzód żebrać przy meczetach, późniéj poszedł w służbę do pasztetnika, ukrywając starannie swoje imię i dawniejszą dostojność, z obawy, aby go i tu przeznaczona nie dosięgła kara. Turek przyzwyczajony jest do nagłéj zmiany losu; niespodziewane wyniesienie, równie jak i nagły upadek, z spokojnym znosi umysłem, tak i biedny basza ulegając konieczności i losom swego przeznaczenia, kilka miesięcy przepędził w poniżeniu i pracy, nie mając odwagi wspomnieć tylko nazwiska wielkiego wezyra, swego ojca, lub téż wyjść na publiczne miejsce z bojaźni, aby nie był poznany. Trafiło się nareszcie, że jeden urzędnik dworu porty ottomańskiéj zobaczył go przy pasztecikach i poznawszy baszę Damaszku, zawołał: „jakto wasza wysokość w tym stanie! wszakże mówię z baszą Damaszku.“ — „Mylisz się, panie“, odparł przerażony basza z widocznem pomieszaniem, „jestem biedny rzemieślnik, pasztetnik z tego miasta.“ — „Po co to udanie,“ rzekł daléj urzędnik, alboż was nie poznaję; jesteście synem wielkiego wezyra, swego miłościwego pana. Cóżby wasz ojciec powiedział, gdyby was ujrzał w tym stanie.“ — „W imię ałły“, szepnął mu biedny Eubasza do ucha, „jeżeli byłeś przyjacielem mego ojca, zaklinam cię, na drogie jego zwłoki, milcz i nie wydawaj mnie!“ — „Zwłoki?“ odrzekł zdziwiony urzędnik, „wasz ojciec żyje, dopiero wczoraj list od niego odebrałem.“

Dalsza rozmowa wyjaśniła rzecz całą. Ucieszony syn wezyra udał się do mieszkania urzędnika, aby się najprzód przybrać w szaty godniejsze jego stanu. Ponieważ się oczywiście pokazało, że to wszystko było najszkaradniejszém oszukaństwem, postanowili obydwaj niezwłocznie udać się do Konstantynopola, i u samego sułtana szukać sprawiedliwości. Wezyrowi nie mogło się w głowie pomieścić, gdy się z ust syna dowiedział o jego przygodzie; sam nawet sułtan wierzyć temu nie chciał, gdy mu nieszczęśliwy wygnaniec na uzyskanéj audyencyi rzecz całą opowiedział. Przyrzekł zapobiedz temu nadużyciu i wyprawił natychmiast kapdji baszę, to jest officera, do Damaszku, z rozkazem

---

TIS(sime) FELICISS(ime) GESTIS SOCIETAS AMERICANA SUAE GRATITUDINIS ET IPSIUS FORTITUDINIS AC FIDEI HOC MONUMENTUM ESSE VOLUIT ANNO A CHR(isto NATO CICICCXXXVII; t. j.: Rycerzowi wielce znakomitemu szlachetnością rodu, znajomością sztuki wojennéj i innych nauk, Krysztofowi z Arciszewa Arciszewskiemu, na pamiątkę dzieł w Brazylii przez lat trzy z osobliwszą roztropnością, męztwem, i szczęściem dokonanych, towarzystwo amerykańskie zostawić chciało dowód ten wdzięczności swojéj i jego męztwa, w roku od narodzenia Chrystusa 1637.

Medal ten w kraju naszym dość rzadki, znajduje się niemal we wszystkich numizmatycznych zbiorach Hollandyi, gdzie go w kilku widzieliśmy miejscach. Posłuchajmy, co Gerhard Loon autor historyi numizmatycznéj Rzeczp. hollenderskiéj, o Arciszewskim mówi; pochwała ziomka w dwójnasób jest miłą, kiedy ją z ust cudzoziemca słyszymy.

„Stany zjednoczone zwycięzkiemi widziały wojska swoje w Indyach zachodnich pod chwalebném dowództwem Korneliusza Krysztofa Arciszewskiego, szlachcica polskiego, który na ich czele przez 3 lata w Ameryce walczył. Wódz ten pełen nauki i doświadczenia, sądząc, że podbita przez Hollendrów część Brazylii spokojną być niemogła, dopókiby zamek Arrayel, na górze nad rzeką Desaffogados położony, w ręku Portugalczyków zostawał, obledz go postanowił, pomimo znacznéj załogi, wyrównywającéj niemal wojsku Arciszewskiego. W tym celu podstąpił pod twierdzę w nocy, przeszedł przez rzekę i 5 szańców wysypać kazał, dla przecięcia wszelkiego żywności dowozu. Nieprzyjaciel częste czynił wycieczki. Arciszewski, pierwszy zawszę na placu bitwy, w rękę raniony został, co go zniewoliło, że z pobojowiska ustąpić i z łóżka oblężeniem kierować musiał.“

W kilka dni po odebranéj ranie, gęste wystrzały dały poznać wodzowi polskiemu, iż załoga znowu na oblężeńców była uderzyła; Arciszewski schorzały zrywa się z łóżka, dosiada konia, spieszy do stanowiska, gdzie Portugalczykowie nacierali i nieznajduje w tém miejscu tylko sześciu ludzi do boju zdatnych. Na głos Arciszewskiego zbierają się rozproszeni żołnierze, a nieprzyjaciel ustępuje do twierdzy, która wkrótce się poddała Hollendrom Tenże los spotkał Portugalczyków w zamku Nazarette, gdzie Piotr Gamba w 300 ludzi dowodził. Tym sposobem zabezpieczył Arciszewski zdobytą część Brazylii kompanii indyjskiéj, która zawdzięczając mu jego zasługi i chcąc zachować pamiątkę waleczności jego, kazała mu w Brazylii wystawić pomnik zwycięzki, herbem portugalskim ozdobiony.

Późniéj Arciszewski złączył się z Janem Maurycym de Nassau, Wielkorządcą Brazylii. Obaj wodzowie wydali pole wojsku hiszpańskiemu i portugalskiemu pod sprawą hrab. Baniola i świetne nad nim otrzymali zwycięztwo. Skutkiem i owocem wygranéj było zdobycie przez Maurycego twierdzy Parvacaon nad rzeką Porte-Calvo. Bądźto, że Arciszewski nieoddawał sprawiedliwości niechętnemu sobie współzawodnikowi, który mu plon jego zwycięztw odbierał, bądź téż, że hrabia de Nassau sławie mężnego Polaka zazdrościł; tyle jest pewna, że nieubłagana niechęć wkrótce obu poróżniła wodzów.

Arciszewski popłynął do Hollandyi, w celu uskarżenia się na swego przeciwnika. Kompania zachodni-indyjska pochwaliła jego postępowanie, nowy mu oddział wojska do Brazylii przeznaczony w dowództwo oddała i dla większego zasług jego uczczenia, wybić kazała medal, na którym fortecę Arryal, obóz Arciszewskiego i pomnik zwycięzki, wzniesiony mu dawniéj w Brazylii, wraz z stósownym napisem wyryto.“

sprowadzenia do Konstantynopola owego śmiałka i przydał mu czterysta Janczarów.

Ośmiomiesięczne rządy Muhameda, były dobroczynne dla mieszkańców téj prowincyi, którzy w nim znaleźli prawdziwego ojca. Gdy officer sułtana przybył, Muhamed pocałował rozkaz cesarski, przycisnął go, na znak zupełnego poddania się, do czoła, i prosił tylko o kilka godzin do przygotowania się do téj podróży. W tym czasie zwołał Emirów, powiedział, że sułtan odwołuje go do stolicy, i czule się z nimi pożegnał. Ledwo opuścił miasto, otoczony strażą Janczarów, gdy Emirowie uradzili, aby podać prośbę do sułtana, iżby im innego baszy jak Muhameda nie dawał; i tę natychmiast wysłali gońcem do Konstantynopola; ale ponieważ im się prośba ta, po niejakim namyśle, nie dość usilną być zdawała, ułożyli drugie jeszcze pismo, w którém wszystkie zasługi Muhameda, położone około dobra prowincyi, obszernie wyłuszczyli, dając wyraźnie poznać sułtanowi, że innego baszy, jak Muhameda, nie przyjmą.

Tymczasem Muhamed przybył do Konstantynopola i był przed sułtana stawiony. Kto jesteś? urzędniku, pytał się sułtan.

Jeden z baszów W. C. Mości, odpowiedział Muhamed z uszanowaniem, ale bez obawy. Kto cię zrobił baszą? albo kto podpisał firman twojéj nominacyi, nędzny oszuście?

Wasza cesarska mość, odpowiedział śmiało Muhamed.

To już za wiele, krzyknął sułtan, pokaż mi go natychmiast, albo każę cię wbić na pal. Oto jest, odrzekł Muhamed, i wydobył z zanadrza kawałek papieru, w którym owo szkiełko było owinięte. Sułtan pochwycił niecierpliwie skrawek papieru, przypatrzył się pilnie pismu i poznał swoję rękę. Kilka chwil zostawał w zamyśleniu, podczas gdy W. wezyr stał na boku, pewny bliskiéj zemsty, a Muhamed, w nadziei uzyskania przebaczenia, zgiął kolano.

W téj stanowczéj chwili nadeszły owe listy z Damaszku i zostały jako nadzwyczajnie ważne i pilne natychmiast sułtanowi oddane. Sułtan przeczytawszy je, po dojrzałym rozmyśle, co czynić wypada, odezwał się w te słowa:

Wezyrze! gdybym tego człowieka ukarał, zaburzyłbym spokojność mego kraju. Wolę więc waszemu synowi dać inną prowincyą. Ciebie zaś Muhamedzie, mianuję baszą, ale pamiętaj, że gdyś przebiegłością przywłaszczył sobie tę godność, jedynie tylko dla tego otrzymujesz przebaczenie i potwierdzenie tego tytułu, żeś okazał niepospolitą zdatność i dobre serce. Dobrze, że tak złe zdanie w gorsze nie wpadło ręce. Idź.

Muhamed rządził dwadzieścia pięć lat mądrze i szczęśliwie w Damaszku. *S. z L.*

Wjazd do Konstantynopola księcia Krysztofa Zbarawskiego, koniuszego koronnego, posła wielkiego od Rzeczypospolitéj i Zygmunta III. do Porty ottomańskiéj 1622 roku.

(Z rękopismu współczesnego).

Dawniéj u porty ottomańskiéj, gdzie od prostego Janczara aż do Wezyra, wszystko było przedajném, więcéj zwykle dokazał poseł wystawnością, złotem, niż rozumem, przebiegłością dyplomatyczną. Z téj przyczyny królowie polscy, którzy Dantyszków, Kromerów, Ossolińskich, Ronkaliuszów i t. p., do monarchów chrześciańskich wysełali, legacye do Konstantynopola powierzali raczéj ludziom majętnym, hojnym i kochającym się w przepychu, niż biegłym dyplomatykom. Do tego rzędu posłów polskich do dworu porty ottomańskiéj należał książe Krysztof Zbarawski. Natura nie obdarzyła go bystrym, wyższym nad pospolity rozumem; nauka nawet nie przyszła w pomoc miernym jego zdolnościom; ale za to Zbarawski był panem kilkumilionowego majątku, a hojnością w częstowaniu, uprzejmością w obejściu się, ujmował szlachtę. Gdy więc po wyprawie chocimskiéj, na mocy umowy, rzeczpospolita wielkiego posła do porty wyprawić się obowiązała, książe Zbárawski uznanym został za najzdatniejszego do téj posługi; nikt bowiem nad niego godniéj w oczach Muzułmanów, powagi Rzeczypospolitéj niemógł utrzymać. Poselstwo wielkie wymagało jak najokazalszego przepychu; Rzeczpospolita skołatana już w ówczas tylu przygodami, wycieńczona świeżą wojną, nie mogła na nie więcéj wyłożyć jak 500000 zł. w gotowiznie, a 200000 w upominkach; książe Zbarawski odłożył wspaniale na ten cel 2000000 złtp. z własnéj szkatuły. Nic téż równego przepychowi posła polskiego Stambuł dawno niewidział. Współczesny rękopism tak jego wjazd do Konstantynopola opisuje: „Naprzód piechoty sześćdziesiąt w barwie czerwonéj z muszkietami długiemi noremberskiéj oprawy, między szeregami szła kareta sześcią koni ciągniona, aksamitem czerwonym z wierzchu okryta. Potém szło koni dwanaście polskich, bardzo cudnych, deki na nich były na białych i czerwonych aksamitach złotem haftowane, które się aż ziemi tykały; masztalerze mieli atłasowe ferezye, żupany także atłasowe. Potém jechało pacholików do półtora set, na koniach dobrych, w rzędach oprawnych, wszyscy w aksamitnych ferezyjkach, a w dołomanach atłasowych. Zatém jechało osób przed księciem piećdziesiąt i siedm, wszyscy w kopieniakach, sobolami a rysiami podszytych, na koniach bardzo pięknych. Rzędy, kuncerze i pałasze, wszystko od kamieni.“

„Potém dwóch baszów jechało przed samym książęciem; sam książe miał na sobie ferezyą atłasową, złotem haftowaną i dołoman także haftowany, koń polski bardzo cudny, rząd na nim

dyamenty sadzony. Kuncerz także i pałasz dyamenty sadzone. Zapona dyamenty sadzona i kita tak bogata, że mu za nie dla cesarza dawano 5000 złt. (ówczesnych), tudzież pętlice u téj ferezyi.“

„Potém szło sześć lokajów w atłasiech podle konia; potém giermkowie trzej, strojno na koniach, rzędy od rubinów; jeden niósł szablę, drugi znak, trzeci buławę. Zatém jechało pacholików w barwie do 200; czerwone falendyszowe, rzędy białe srebrne, po trojgu, strzelby, karabiny w ręku trzymali. Zatém obożny, człowiek rycerski jechał; za nim Kozaków trzydzieści. Potém szło piechoty dwieście w barwie, między któremi szło stosześćdziesiąt wozów po cztery konie; wszystkie czerwoném suknem przykryte. Potém jechało do trzechset pacholików różno zebranych, towarzyskich, także na koniach dobrych. Za nimi dopiero wozy i tabor kupiecki!“

O polskim języku łowieckim i o świecie łowieckim. *)

Łowiectwo należy do najstarożytniejszych zatrudnień człowieka. Najpierwsze pokolenia ludzkie, otoczone dzikiemi zwierzęty, musiały z niemi walczyć, to broniąc się od ich napaści, to potrzebując skór i mięsa lub ciał na obiady bogom, to podbijając je pod swoje panowanie, to obierając siedliska w miejscach ich przytułku. Dla pierwszych więc ludzi łowiectwo było potrzebą; oni-to idąc w codzienne zapasy ze zwierzęty, tworząc prawie jedno z niemi towarzystwo, znali dokładnie ich istotę i nie tylko je ponazywali, ale przymioty ich, ruchy, głosy, w słowach oddali — oni-to są twórcami języka łowieckiego, który w owych czasach nie nosił téj oddzielnéj nazwy i dopiero wtedy ją przybrał, kiedy świat łowiecki, przestawszy być sceną powszechnego życia ludzkiego, stał się tylko miejscem zabawy. Jak wszystko, co w odległéj starożytności powstało, jak n. p. staroświeckie poezye, tak i język łowców był zwierciadłem przyrody, a słowa jego wiernem malowidłem przedmiotów. Później, gdy ludzie odwykając obcowania z przyrodą, coraz mniéj ją pojmowali, jeszcze później, gdy nauki przestały, że tak powiem, wyrastać z serca narodów, ograniczane ciasnemi prawidłami pokojowych literatów, straciła przyroda w ich mowie barwę, głos i życie. W ówczas i prawda gubić się zaczęła i człowiek ciemniejszą stawał się zagadką. Pierwszy raz sił swoich doświadczyli zapewne ludzie na zwierzu; bohatyrami nazywano tych, którzy wytępiając szkodliwe zwierzęta, stawali się użytecznymi ludzkości, i w istocie są oni w pierwszych wiekach tém, czém w późniejszych rycerze i wojownicy. Takimi byli heroy greckie Herakles, Perseos, Bellerofon i inni, takimi w średnich wiekach Syfrit i Sankt Jörg, takim był nasz Krakus. Dobrze się zasłużyli ludowi; pochwałami ich brzmiały biesiady, obchodzono na cześć ich święta, czyny ich ubrał duch ludu w urocze poezyi szaty, w których nam we mgle wieków, jak fantastyczne obrazy nadzwyczajnego męstwa, rzadkiéj zręczności i wielkich sił fizycznych jaśnieją.

Sławianie od niepamiętnych czasów trudnili się łowiectwem, czcili boginią łowów, mieli rozmaite bóstwa leśne. W Polsce, według świadectwa latopisarzy, polowania są bardzo stare. Bractwa strzeleckie bywały w Krakowie, Warszawie, Poznaniu i we Lwowie. — W szkole strzeleckiéj, z dawna istniejącéj w Krakowie, strzelano z łuków, kusz i rusznic do kurka (koguta) drewnianego, a kto go zestrzelił, robiony był na cały rok królem kurkowym i otrzymywał różne przywileje. Strzelanie, albo jak dawniéj lepiéj mówiono, strzelbę, uważano kunsztem rycerskim, a ćwiczenie się w nim za przyzwoite mężowi. Prawie wszyscy królowie polscy lubili łowy, niektórzy większą część czasu na nich trwonili, jak August III. I szlachta polska lubiła polowanie i używała różnych jego rodzajów, bądź z drapieżnemi ptaki, bądź z psami, bądź innych; odbywano je niekiedy z wielką wystawą i tu nieraz, jak w wielu innych rzeczach, czyniono zbytki ze szkodą własną i kraju. Były i niewiasty, podzielające z mężczyznami przyjemność polowania. Śród takich okoliczności dojrzewał język łowiecki polski *), nosi on niezaprzeczoną cechę dawności; słowa, któremi objawił myśli natury, obrazy, w których ją zmysłowie przedstawił, czynią go poetyckim.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

*) Wyjęte z Prac literackich, t. I. Wiedeń 1838. Tom pierwszy „Prac literackich“ wydanych staraniem Józefa hr. Dunina-Borkowskiego, jest wieńcem rodzimych kwiatów, zebrany na ziemi galicyjskiéj. Znajdziesz w nim twory Bielowskiego, Chlibkiewicza, Dunina-Borkowskiego, Alex. Dzierzkowskiego, Fredro, Goszczyńskiego, Maguuszewskiego, Siemieńskiego i K. W. Wojcickiego.

*) Są i inne języki jako: gospodarski, rzemieślniczy, rzeźnicki, flisowski, rybacki i t. d, ale pono uboższe od łowieckiego. Gdybyśmy wszystkie ich słowa zebrane mieli, zbogacilibyśmy naszę mowę a zarazem przekonali się, że nam wiele rzeczy dawno znajomych było, na których oznaczenie, dziś słabszych, a często cudzoziemskich używamy wyrazów. Kwitni nie niektórych roślin nazywa się: pszenicy, sypaniem; hreczki, rzucaniem kaszki; kukurudzy, przędzeniem; dziewany, wypatrzeniem. Kolano u rzeźników, królewski nos; skrzydła wiatraku są śmigi; mleko zaraz po ocieleniu krowy, siara; naczynka, faszerowanie. — Kołban, miejsce legowiska sumów, szaranów.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (*Red. J. Łukaszewicz.*)

Przyjaciel Ludu.

Rok szósty. No. 14. Leszno, dnia 5. Października 1839.



Hrabina Lovelace.

Ada Augusta, hrabina Lovelace, jest jedynym potomkiem zawcześnie zgasłego poety wieku naszego, Byrona. Nieprzyjazny los zrządził, iż ukochane dziecię, niedługo po urodzeniu, odłączoném zostało od ojca, nigdy go niewidziało w swém życiu, lubo było zawsze w żywéj myśli i sercu pełnego poetycznego ognia rodzica. — (Znajdziesz w pismach **Byrona** tkliwe i

wzniosłe miejsca, zwrócone do swéj kochanéj Ady.

Lady Lovelace urodziła się 10. Grudn. 1815.; w żyłach jéj płynie krew królewska, matka bowiem Byrona, Katarzyna Gordon, w prostéj linii od Jakóba II., króla Szkocyi, przez córkę jego, margrabiemu Huntley w zamęście daną, pochodziła. Córka Byrona jest pierwszą pięknością pomiędzy Albionu damami: dnia 8. Lipca 1835 poszła za mąż za lorda King, przy koronacyi królowéj Wiktoryi na godność hrabiego de Lovelace wyniesionego. Podziwiana z wdzięków swych Ada, została obecnie matką drugiego dziecięcia.

Formalista, czyli *czarno na białém.*

Przysłowie w scenach wystawione.

(Przez autorkę *Powiastek dla dzieci z prawdziwych wydarzeń.*)

Gabinet pana Planowskiego. Na dużym stole, przykrytym suknem zielonóm, wiele papierów, tek, pugilaresów.

P. Planowski i sekretarz.

P. Planowski (chodząc po pokoju).

Odczytaj mi waćpan, com dyktował.

(Podczas czytania sekretarza, p. Planowski ustawia krzesełka, równia książki na pułce, poprawia biust na kominku.)

Sekretarz (czyta).

„Zapobiegając niedogodnościom, przywiązanym do miejsca waćpana, i nadużyciom, jakich „się podwładni jego dopuszczają, a na które przesłałeś nam waćpan na dniu 27. Maja r. b. pod „Nrem 349. przełożenie, posełam waćpanu in„strukcyą i urządzenia, które wszystkim nie„przyzwoitościom w tym względzie zapobiedz „zdołają."

P. Planowski (zbliżając się do stolika).

Tak, tak, wszystko powinno być *czarne na białém*; bez tego do niczego trafić niemożna.

(Wchodzi Jan lokaj.)

Jan (meldując).

Jegomość porządnie ubrany prosi Jaśnie pana...

P. Planowski (przerywając).

Wszak dziś Antoni powinien być na służbie w przedpokoju, dla czegóż ty wchodzisz?

Jan.

Antoni zasłabł raptem na krzyże, nie może się ruszyć, a ten pan powiada, że pilny ma interes.

P. Planowski.

Do ciebie to dziś nie należy. Antoni nie oznajmił rządzcy domu, że zasłabł, a więc powinien pełnić służbę przedpokojową; ty wróć do swojéj roboty przy kredensie, a Antoni niech mi zamelduje tego czekającego pana.

(Jan odchodzi.)

P. Planowski.

Ci ludzie są wiecznymi nieprzyjaciółmi porządku! Mają jednakże ciągle przed oczyma wprawny i zawieszony w przedpokoju przepis szczegółowy swoich powinności.

Sekretarz (z nieśmiałością).

Ale podobno Jan i Antoni czytać nie umieją?

P. Planowski.

To nic nie szkodzi! Jestto niezbędna formuła dla wszystkich, jacy byli, są i będą u mnie, lokai. Co *czarno na białém*, raz na zawsze zostaje. Podaj mi waćpan te papiery.

Sekretarz (z uśmiechem i na stronie).

Ma je pod swoją ręką, ale ja z urzędu muszę mu papiery podawać. (Głośno.) Składam JW. panu papiery.

P. Planowski (przerachowawszy arkusze).

Dobrze! Już tedy ukończona moja organizacya. Że téż żaden z moich poprzedników o niéj niepomyślał! Nie dziw, że taki był nieład, takie nadużycia! Teraz wszystko pójdzie inaczéj, bo tu (uderzając po papierach) tu wszystko przewidziałem, przepisałem, obostrzyłem, ugruntowałem!

Sekretarz.

Pozwoli sobie JW. pan powiedzieć, iż wykonanie tych przepisów zależeć będzie od osób do tego użytych, a te częstokroć nieodpowiadają życzeniom. Prócz organizacyi potrzebaby jeszcze...

P. Planowski.

To najważniejsze! na tym grunt cały! Skoro są przepisane pewne formy, prawidła, któremi rzeczy przechodzić mają, jest już do czego się odwołać, na czém się oprzeć, czemu zaufać. Tak, tak, to jedno stanowi cały bieg, cały porządek spraw naszych. Niech tylko będzie we wszystkiém *czarno na białém*, to dosyć, więcéj niepotrzeba; reszta sama z siebie przyjdzie.

(Przybywa Antoni, prowadzony przez Jana.)

Antoni.

Jakiś jegomość..... ach moje krzyże! moje krzyże! czeka... i bardzo prosi... ach już nieustoję z przeproszeniem Jaśnie pana.

P. Planowski.

Oznajmić rządcy domu, żeby zmienił dzisiejszą koléj służby, a wtedy Antoni uda się do doktora, wprzódy jednakże niech powie czekającemu, iż wejść może. (Do sekretarza, gdy lokaje odchodzą:). Złożysz waćpan, com dyktował, spiesznie w expedycyi. Proszę tylko ostrzedz kancelistę, aby przepisując, odstępy wiersz od wiersza czynił równiejsze. W instrukcyi, jaką dla kancelaryi wydałem, nic się podobno o tém nie wspomniało; mam téż już kilka myśli użytecznych, jakkolwiek na pozór może mniéj znaczących, które w nowéj organizacyi koniecznie wypadnie rozwinąć. Możesz waćpan odejść.

(Sekretarz odchodzi, suplikant przybywa.)

Suplikant (kłaniając się nisko).

Ufny w łaskawości JW. pana, odważam się trudzić go moim interesem; oto w téj nocie....

P. *Planowski.*

Noty w biórze tylko przyjmuję.

Suplikant.

Ja właśnie ośmielam się błagać JW. pana, aby raczył u siebie przejrzeć tę notę. Interes ten był już w ministeryum, ale niechętnym mi osobom powierzony, tak idzie opieszale, iż od roku odpowiedzi doczekać się niemogę. Podaję na nowo prośbę, w krótkości rzecz wyjaśniam, a ponieważ ma ona pójść do referatu JW. pana, sam przez siebie, a nie przez swoich podwładnych, o tym interesie objaśnić się raczył, i na jutrzejszą sessyą, jeżeli można, wprowadzić zechciał. (Rozkłada prośbę i z nieśmiałością podaje ją panu Planowskiemu.)

P. *Planowski* (rzuciwszy wzrokiem na papier).

Co widzę! Podaj waćpan.

Suplikant (z radością).

O łaskawy panie!

P. *Planowski* (napisawszy coś na prośbie).

Poprawiłem ważne uchybienie.

Suplikant.

Niech Bóg stokrotnie JW. panu nagrodzi!

P. *Planowski* (zwraca prośbę, nieczytawszy jéj daléj).

Że téż nigdy niemożecie się nauczyć, iż to, co jest *czarne na białém*, powinno być gruntownie wyrażone, z wszelką formalnością napisane. Jak można było nie położyć kréski pod numerem!! Jestto zbyteczną powolnością z méj strony, iż sam sprostowałem to ważne uchybienie waćpana! W biórze nie przyjąłbym prośby z taką omyłką, z takiém zaniedbaniem napisanéj. Teraz możesz ją waćpan bezpiecznie wręczyć sekretarzowi wydziału, ten zrobi z niéj wyciąg i przełoży naczelnikowi bióra, a ja, gdy przyjdzie koléj na ten interes, wniosę go na sessyą i popierać będę, ile rzecz ta dozwoli.

Suplikant.

Więc JW. pan nie raczy sam odczytać?

P. *Planowski.*

Urząd mój niedozwala mi od form przyjętych odstępować, ale skoro rzecz ta jest już *czarno na białém*, to najważniejsza; możesz waćpan być zupełnie spokojnym, czekać tylko cierpliwie wypada. Żegnam waćpana, do zobaczenia w biórze.

Suplikant (odchodząc).

Niech mię Bóg uchowa od tego formalisty! Wolę wprost udać się do samego ministra. Ten przecie nie taki!....

(P. Planowski siada w fotelu, otwiera duży pugilares i wyjmuje zapisane papiery.)

Dziś tedy na sessyi przeczytam moją ogólną organizacyą! Byle tylko chciano jéj słuchać. Zbyt lekko u nas te rzeczy uważają. Trzeba koniecznie w każdéj czynności, pewny tryb, pewne formy zaprowadzić. Wyłożyłem przeto jasno i dokładnie każdemu członkowi, każdemu bióraliście, najmniejszemu kanceliście, aż do woźnych, posługaczy i stróżów, ich obowiązki, ilość dni i godzin pracy i służby. Obostrzyłem potrzebne rekwizyta przy stolikach do pisania. Przepisałem ich kształt, wysokość i długość. Matematycznie wymierzyłem ilość piasku i atramentu (zacierając sobie ręce z radością). O teraz to, teraz dopiero wszystko pójdzie jak z płatka!

(Słychać pukanie do drzwi i zapytanie: czy można?)

P. *Planowski.*

To moja żona. Poznaję po głosie, ale na cóż kilka razy puka, kiedy dla niéj jedno stuknięcie jest przepisane. (Wznosi głos:) Attendez! (Do siebie:) Muszę ją ukarać, niech czeka.

(Pani Planowska za drzwiami stuka po kilka razy.)

P. *Planowski.*

Któż tak natrętny! Proszę czekać, nie można!

Pani Planowska (za drzwiami).

Ale to ja, czy mię niepoznajesz?

P. *Planowski.*

Ach któżby cię mógł poznać! Wszak powinnaś raz tylko stuknąć. Entrez! Entrez!

Pani Planowska (wchodząc).

Jakżeś nudny z twemi formalnościami! Nie dość, że do ciebie wejść nie mogę bez pozwolenia, mam jeszcze pamiętać o ilości stuknień do drzwi twoich. Wierz mi, że nie każda żona zgodziłaby się na podobny układ! A przytém zapomniałam o wszystkich twoich poleceniach, spotkawszy na schodach jakiegoś bardzo zasmuconego suplikanta z prośbą w ręku. Czyś niemógł nic dla niego uczynić, że wyszedł od ciebie niepocieszony?

P. *Planowski.*

I owszem, zająłem się gorliwie jego interesem, gdyż wskazałem mu drogę, którą przechodzić powinien. Obowiązek mój nie pozwala mi od pewnych form odstępować.

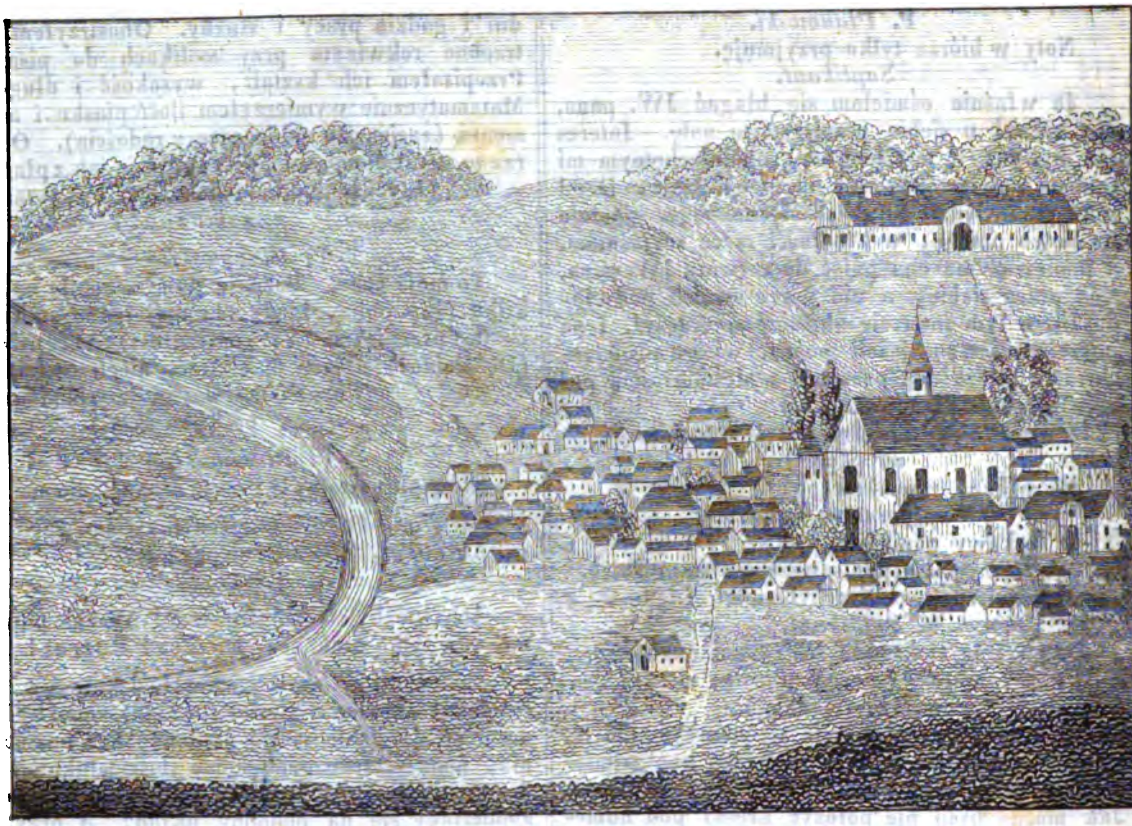
Pani Planowska.

Niech cię to nieuraża, co ci powiem, ale dostrzegłam, że zbyteczne przywiązywanie wagi do formalności, paraliżuje nieraz szlachetne poruszenia twéj duszy, i często sercu swemu niedogadzasz dla tego jedynie, aby drobiazgowym przepisom nieuchybić!

P. *Planowski.*

A twoje serce, moja dobra przyjaciółko, nie dozwala ci zrozumieć, jak wielce jest ważne zachowywanie raz przyjętych przepisów, i jak jedno ich uchybienie wiele złego za sobą pociągnąć może. Wiedzieli o tém dobrze łacinnicy, gdy mówili: *littera docet, littera nocet.*

(Dalszy ciąg nastąpi.)



Kołaczyce.

W jednéj z najżyzniejszych okolic obwodu jasielskiego, który chlubne ogrodu galicyjskiego nosi nazwisko, wśród pięknych włości Nawśia, Bieździedzy, Bieździatki, Brzysk i Ujazdu, nad spławną niegdyś rzéką Wisłoką, otoczone piętrzącemi się do koła góry: Liwocza, Kluczowy i Zamkowéj, o milę od miasta obwodowego Jasła z południowéj, i o tyleż niemal z północnéj strony od miasteczka Brzostku odległe, — w przyjemnéj nader dolinie, na trakcie komunikacyjnym z Pilzna do Dukli, leży miasteczko *Kołaczyce*, którego obraz w krótkości przedstawić umyśliłem.

Nie wielkie to miasteczko, liczące domów 275. i dusz ogółem 1632., ma kościół parafialny, dawnością swoją średnich sięgający wieków, założony przez opatów tynieckich zakonu Ś. Benedykta w roku 1339., będących niegdyś właścicielami miasteczka. Ma szkołę trywialną o trzech normalnych klassach, dwa uprzywilejowane cechy, posiada prawo utrzymywania corocznie 12 jarmarków, za przywilejem Zygmunta I. z roku 1546., prawo propinowania, i własną magistraturę. Od czasu pogorzenia w roku 1598., poświadczają akta urzędowe, iż od dawna, na wzór innych miast municypalnych, magdeburgskiém rządziło się prawem, i wykonywało prawo miecza. Na dowód czego, przywodzę tu dosłownie dekret pod dniem 18. Kwiet. 1761. roku, przez magistrat miejski ówczesny za zbrodnię zabójstwa wydany, którego treść następująca: „My prawo miejskie kołaczyckie, z sławetnemi, urzędem, cechmistrzami, wyrozumiawszy z obydwóch stron tak skargi sław. wdowy Ślęzakiewiczowy, jako i odpowiedzi Tomasza Mrzygłoda, i świadków poprzysiężonych, a ponieważ stał się kazus niepraktykowany w święta zmartwychwstania Pańskiego w wieczór, jako Tomasz Mrzygłód naszedł dom nieboszczyka ś. pamięci sław. Józefa Ślęzakiewicza z orężem, to jest z wiosłem, chcąc powetować i oddać za pobicie i uszczérbek swój, uderzył tylko raz wiosłem w głowę, i mowa zamkniona była do śmierci; od którego uderzenia w głowie rana przecięta do mózgu, jako obdukcya świadczy, który tylko żył trzy dni; nazajutrz ogłaszając na czterech rogach w miasteczku naszém zabitego nieboszczyka świętéj pamięci, stanął dekret w prawie naszém za występek niepraktykowany, zabicie nieboszczyka z inkwizycyj wyprowadzonych, aby Tomasz Mrzygłód był mieczem ścięty. Wyprowadzony przed ratusz na rynek przez mistrza, po przeczytanym dekrecie, uprosiły strony do dnia pierwszego na kombinacyę do ugody, gdzie nazajutrz zgodzili sławetną Józefową Ślęzakiewiczową, jako się w kombinacyi opisali, i uprosiły strony z daru ducha świętego od kary z dekretu prawa stawionego; a Tomasz Mrzygłód przez sławetnych ludzi godnéj wiary, obliguje

zadosyć uczynić sławetnéj wdowie Ślęzakiewiczowy w grzywnach trzechset dwunastu i pół, w naznaczonym terminie. Ponieważ zaś, kiedy Tomasz Mrzygłód śmiercią nie ginął, ale na ciele publicznie na rynku w czterech rogach miał być karany, za instancyą WW. JMciów panów stanu szlacheckiego, i Ichmościów księży duchownych, i różnéj kondycyi, wolnym zostaje. Jednak my na powtóre zasiedliśmy na ratusz, z uwagi naszéj nakazujemy dekretem naszym, więzienia na ratuszu miejskim, aby Tomasz Mrzygłód zasiadł, i wyterminował niedziel cztery, i od jutrzejszéj niedzieli ma stać w kapie z krucyfixem przed wielkim ołtarzem na mszy ś. pierwszéj, niedziel siedem, to jest w każdą niedzielę. W drogę powinien iść na święte miejsca, do Częstochowy Matki boskiej Jasnéj góry i na Kalwaryą, o proszonym chlebie, prosić majestat boski, błagać o odpuszczenie grzechów swoich, i nieboszczyka ś. pamięci, aby P. Bóg obraniał każdego człowieka od takiego kazusu. Z miejsc świętych testymonium aby miał dla wiary, w domu sław. Ślęzakiewiczową wdowę z całą familią rodu tego, powinien przeprosić, i pamiętać póki żyć będzie, w czémkolwiek nagradzać, prawo kontentować, z zejścia z ratusza przeprosić sławetnych, prawo, urząd, cechmistrzów. Wadium zaś takowe zakładamy między temi stronami z obydwóch stron, tak sław. wdową Ślęzakiewiczową, jak i Tomaszem Mrzygłodem, żeby się miały strony z nich lub dzieci chełpić z tego niepraktykowanego kazusu, lub z mieszczanów i ktokolwiek, takowy popadnie więzienia miesiąc, i dworskich grzywien 30. nieodpustnych.“ Lecz dzięki teraźniejszemu oświeceniu, że kraj ten już od podobnych sądów uwolniony! —

Od lat kilku ludność i zamożność miasteczka tego znacznie wzrosły. Mieszkańcy jego, po największéj części garncarze i tkacze, zabiegliwi są i pilni tak dalece, iż trafia się nieraz, że w dniu jednym razem mąż, żona i dzieci, każde w inną stronę, rozchodzą się z wyrobami swemi do sąsiednich miasteczek na targi, zostawując dom cały pusty własnemu losowi. Jest tu i kilku jeszcze innych zdatnych rzemieślników, jako pozostałe szczątki po upadłéj, kosztownéj niegdyś fabryce nankinów, do któréj ich dziedzice Nawśia z odległych sprowadzili krajów. Sławne tutejsze naczynia garnczarskie, spuszczano przed laty na galerach do Warszawy i Gdańska, zkąd znowu mężowie dla swych żon przywozili złote czapki, i wielkie w srebro okute francuzkie korale, których zabytki podziśdzień jeszcze, tu i ówdzie widać. Ubiór starodawny płci obojga, utrzymuje się tu jeszcze. Mężczyzna, w dni uroczyste, stroi się w długą sukienną granatową, fałdzistą kapotę, pas jedwabny kolorowy, i wysoką z siwego barana, z wstążkami na boku, czapkę. Strój kobiet, jest materyalna czapka w złote kwiaty, gdzieniegdzie nasadzana perełkami, lub droższemi kamieńmi; jupka takaż, podbita lisami lub futrem białem, fałdzista w kwiaty spodnica, i czerwone albo żółte na korkach trzewiki. Młodsze mężatki stósują się już do ubioru teraźniejszego miast większych. Dziewczęta noszą długie sploty włosów, z rozpuszczonemi na plecy wstążkami, kaftaniki białe, lub kolorowe gorsety, z wywiniętą na nie około szyi suto obszlarkowaną koszulą, białe perkalowe krótkie spodnice i fartuszki, i różno-farbne trzewiki. Mowa gminna jest dyalektu mazowieckiego.

O pół mili z Kołaczyc na południe, na górze skalistéj, Zamkową zwanéj, pośród jodłowego lasu, stérczą ruiny upadłego zamczyska, z czasów jeszcze, jak się zdaje, Kazimierza Wielkiego. Trudno dociec, kto był i na jaki koniec założycielem jego; a wieść gminna głosi tylko: że był spółczesnym również dziś w zwaliskach swych tylko leżącego, o mil trzy ztąd odległego zamku nad Odrzykoniem; że były obydwa niegdyś obronne i wspaniałe, czego dowodem są jeszcze owe odrzykońskie, siłą czasu nie tyle spożyte ruiny;*) że przez dwóch rodzonych braci są wystawione, i że znajdować się mają podziemne kanały, obydwa te zamki łączące z sobą. Jak dalece powieść ta zgadza się z prawdą, zostawiam to ciekawszym do dochodzenia; ja tu tylko napomknę jeszcze o założonych przez zmarłego właściciela Nawśia W. Achillesa Johannotta, pełnych wdzięku przechadzkach po tej górze, wraz z domkiem porządnym dla rozrywki, teraz już w zaniedbaniu będących; niemniéj o źródle mineralném (siarczaném) pod tąż górą w stronie wschodniéj wytryskującém, dokąd z przyległego Jasła i okolic liczni co lato uczęszczają goście: i kończę ten obraz wyjątkiem na pochwałę tych miejsc przez kogoś na drzwiach owego domku zabawy w lesie, ołówkiem nakreślonych wierszy:

„Tu melancholik umysł rozerwać ponury,
Tu się schodzi wesołe okoliczne grono,
Słodkie zlewać uczucia na przyjaźni łono;
Tu i amorek czasem z lotnemi cięciwy
Zagląda, by gdzie utkwił pocisk swój dotkliwy;
I zmordowana w myślach nieraz wieszcza sztuka,
Dla swojéj wyobraźni tu żywiołu szuka“ i t. d.

O polskim języku łowieckim i o świecie łowieckim.

(Ciąg dalszy.)

Wiele zapewne słów zatrzymał jeszcze z czasów pogańskich, inne ustąpiły miejsca późniejszym, inne znowu weszły, bogacąc tylko język, wiele może zaginęło, wiele dotąd nie zebranych, błądzi po ustach starych myśliwych.

*) Zob. P. L. rok VI. Tom I. Nr. 7. str. 52.

Dziś łowy rzadsze, język łowiecki widocznie zaumiéra, bo młodzi myśliwi często z języka swego ledwie kilka słów umieją; dawniéj taka obojętność była naganną i karaną, i nieraz modny paniczek wszedłszy w świat łowiecki, dostał sforami na zwierzu, albo okupić się musiał za nieumienie języka łowców, albo za spudłowanie (chybienie) niedźwiedzia lub dzika, z któremi się potykając ojcowie jego, drwili z tatarskiego tańca i żadnéj kuli nie puszczali darmo na wroga. Niektóre obce narody mają podobne języki. Język niemiecki-łowiecki, acz piękny, nie wyrównywa naszemu. Przystępujemy teraz do części składowych polskiego języka łowieckiego; może nie wszyscy uczują, jakbyśmy radzi, całą piękność mowy myśliwych przodków naszych, płeć piękna szczególniéj, mimoto jednak pisaliśmy w przekonaniu, że i rzecz najdrobniejsza, na ziemi ojczystej powstała, obojętną być nie może i być nie powinna.

Są różne rodzaje polowania, jako: obława, czaty, podsłuchy i t. d. Polowanie nazywa się polem. Czarne pole jest polowanie na dziki; szklanne, wodne, legawe pole, albo brodzenie, polowanie na lotną wodną zwierzynę. Dodniówką nazywa się zaranie i polowanie w zaranie, najpowszechniéj używane na lisa; wieczorką, polowanie wieczorne. Ostre pole, ziemia grudowata; mówiące, widne pole, ziemia, na któréj znać ślady; ślepe pole, gdzie ich nie znać; srokate, mieszane pole, ziemia gdzieniegdzie śniegem pokryta; dzikie pole, pustynia. Wysoki las, jest las z drzew wielkich; niskim lasem, są krzaki; knieja podszyta, t. j. krzewiną zarosła; ponowa, ranny trop zwierza na śniegu; hasłem, jest trąbienie. Czarną zwierzyną nazywają się dziki; płową, jelenie; lotną, ptaki. Pole zakładać, znaczy polowanie zaczynać. Zwierzęta są miejscowe albo domowe, albo przechodnie.

Pies, istota zadziwiającéj pojętności, stróż człowieka, przyjaciel dzielący z nim stale wszystkie losu koleje, towarzyszy mu i na świecie łowieckim; tu on rozwija różne swoje przymioty, tu prawie każdy ruch jego ciała, każdy odcień ducha, znajduje nazwę i nieśmiertelność w słowie: tu mu się człowiek moralnie najwięcéj odwdzięcza. Różne ma nazwy, to gatunkowe, jako: brytan, kondel, ogar, chart, gończy, wyżeł, jamnik, pijawka; to przymiotowe, jako: mistrz, bardzo zręczny; bałamut, goniący lada co głosem; bydlarz, porywający się do bydła; zapaśnik, łgarz, i t. p., to według kształtu, barwy, głosu, albo usług, jakie pełni, np. śpilka, pałasz, cygan, płaczek, gęśla, duda, podsokoli, postrzemienny. Głowa jego, jest twarzą; pysk trąbą; zęby u charta, szpilki; ogon, kitą; czuch, albo pach, albo wiatr, powonieniem; przymioty, cnotą; odzywanie się goniąc, graniem; lata, polem. — Pies spąchiwa, to jest poczuwa zwiérza; rusza, wypędza; goni po zwierzu, po tropie, albo na oko, kiedy gra postrzegłszy tylko; zławia, odzywa się, nie widząc zwierzyny; zaciera, gubi ślad; unosi się, za ślad wybiega; wiatrem goni, tylko za wyziewem zwierzęcia w powietrzu rozlanym; trzyma, długo goni; ucina, przestaje gonić; zaléwa się, pysk w rosie macza; dłubie, źle goni; zbija, jeden drugiego przegania; wyrzuca, wyprzedza inne; na przełaj idzie, zachodzi drogę zwierzynie; bucha, w śnieg zapada; kopnął się, wyskoczył z śniegu lub jamy; pudło (mydło) wozi, z tyłu zostaje; dociera, dogania; pracuje, albo już dopracował się, dogonił. Wyżeł waruje, bobruje, na brzuchu się kładzie; dzwoni, ogonem macha; mamla, ino oszczekuje zwierzynę; znosi przynosi z wody. Psy się odzywają różnémi głosy na rozmaitego zwierza, to grubszym, to cieńszym, altem, basem, dyskantem, drząco, rzewnie, zapalczywie, albo cukrują, t. j. głosem przyjemnym; na lisa żarliwiéj grają jak na zająca, za pierwszym pospolicie sznurem, t. j. linją prostą, za drugim krzywą gonią. Charty się smyczą; gończe sforują; kondle drążkują. Zgraja, łaja, jest psów gromada; luzem idą, kiedy nie powiązane. Pancerz, jest ubiór na piersi, zabezpieczający je od dzika; pierścień, naszyjnik, kolczata obroża. Wprawa, nauka psom dawana. Odprawą są skoki zajęcze, chleb w kostki krajany, lub inny pokarm, dawany psom po uszczuciu zwierzyny; nawara, pokarm zwyczajny robiony z mąki owsianéj, z dodaniem chleba, nóżek baranich lub mięsa. Uważać należy, aby psy regularnie jeść dostawały i czystą wodę miały i najochędóżniéj były utrzymywane. Pies w koszyku leży, kiedy w kółko zwinięty wypoczywa; dobry i zdrowy pies w gorącu rozciągnięty, a w chłodzie w koszyku leży. Kotłowy, jest dozórca psów i wprawiający je. Suka po zapłodnieniu przez trzy tygodnie używaną być może; z młodémi bardzo ostrożnie postępować należy, aby nie zrażić, nie osłabić, a zawsze z dobrémi psami układać. Psy miewają rozmaite choroby, jako: febrę; skwinancję, zapalenie gardła; splec, gatunek kurczu z zaziębienia, na który spirytusy rozgrzewające pomagają; podbicie, na które kąpiel ciepła pomocna; parchy, dobra na nie woda, z liści orzecha włoskiego wygotowana, lub maść siarczana; weszkę, którą wycierają prochem strzelniczym; rany, z których się zwykle same wylizują, i ztąd nasz sposób mówienia: wylizał się; wytecz, wykrzywienie nóg; wściekliżna, krwotok, kaszel, robaki, nosacizna; — lecz nie tu miejsce obszerniéj się nad tém rozwodzić.

Zając najpowszechniéj zwany kotem, ma

i inne nazwy, jako od ubarwienia; bielak, szarak; od pory roku: marczak, wrześniak, przytem ślepak, wytrzeszczak, śpioch, skotak, korpal, koszlon, wacho (może od niemieckiego *wachen*). Gachem jest w porze miłostek. Oczy jego są wytrzeszcze; uszy, słuchy; zęby, strugi; wąsy, strzyże; nogi, skoki; ogon, kosmyk, osmyk; okryty, kożuchem, a na Rusi smużkiem. Tłuszcz jego jest skromem; sierść, turzyca; miejsce legowiska, kotlina; miejsce zabaw w nocach miesięcznych i zabawy same, kołem; wrzeszczy, kniaźi, a w czasie miłostek muska. W biegu swoim kluczy, albo robi klucze, t. j. miesza tropy; susa, przesadza rowy; chyca, wyskakuje; łamie, bałamuci charty; robi susy; stawia słupki; majaczy; krąży w około; przycupa, przypada do ziemi, albo w krzak; kołkuje, staje w miejscu i słucha; wysworowywa się, wychodzi na miejsce, gdzie łatwiejsza ucieczka; ćmi, bardzo daleko się pokazuje; miga, pokaże się i znika; szusta, zapada w śnieg; modli się, kiedy otoczony chartami; kica, bieży powoli; kipi albo kładzie się po sobie, zmyka w całym pędzie; prosi się, kiedy pod wsie w zimie podchodzi, a polowanie wtedy: na proszonego; łapy liże, uciekł. Jest albo żakiem, niezręcznym, albo graczem. Ślad jego dobrze oznaczony jest ścieżką, a miejsce, kędy przemyka, przesmykiem. Ogrodowiznę strzyże, wystrzyga, psuje.

Lis jest psem; zakradający się do kurników, kurnikiem; wychodzący zawsze o świcie, zorzanem; pysk jego, nosem; ogon, kitą, albo łopatą; nogi, stawki; dynduje, t. j. biega; myszkuje, poluje na myszy; składa psy, zwodzi; choica się, zbliża ukradkiem; znika, w jamę się kryje.

Jeleń jest bykiem albo rogalem; oczy jego, świéce; uszy, łyżki; nogi, badyle; rogi mu nie odrastają, ale wieniec wkłada i przyozdabia gałęziami, perłami, różą, pierścieniem, mchem, które są częściami wieńca; roguje, bije rogami. Sarna jest kozą; samiec sarny, sarniec albo cap; u niéj ogonem, kwiatek; nogami, cewki; na tyle ma serwetkę albo chusteczkę, t. j. znak biały; bieg jéj drzeniem albo podrzeniem.

Wilk jest basiur albo dziki pies, albo z łacińskiego *lupus*; porywający się do tęższych koni, kobylarzem, albo kobylakiem; zgłodniały, zbójem; głowa jego, latarnią; oczy, lampami, na Rusi *kagańcami*;*) zęby, kłańcami, a dzwonienie zębami; kłańcaniem; ogon, polanem, wiechą, kądzielą; głos, wyciem albo trąbieniem; skrada się, podchodzi pod bydło; wynosi, zajada; cupie, obces się rzuca; zaświéca, w nocy pokazuje się; korowodzi, gromadnie chodzi; zaumiera, zaczaja się postrzelony; bebni, po strzale zaraz pada.

Dzik jest odyńcem; roczniak pojedynkiem; młody warchlakiem; samica lochą lub samurą; inaczéj zwany błociarzem, smolakiem, i t. p., według miejsca lub zatrudnienia; ryjak jego gwizdem; ma pióra zamiast szczeciny; szablę zamiast kła, którą obcina, kaleczy, a myśliwy ostrożnym być powinien, kiedy idzie na dym, t. j. po wystrzale na strzelca. Odzywa się gwizdaniem, gruchaniem, kwikaniem, grzechotaniem, szumem albo krzykaniem. Buchta, miejsce poryte przez dzika; miejsce przechodu, droga.

Niedźwiedź, jest włochacz albo miś, lub misio; miód wykradający, bartnik; młody niedźwiedź, piastun; łapa jego, plackiem albo łopatą; włos, kudłami; chód, telepaniem, łazem; głos, rykiem, porykiem, hukiem, mową; miejsce legowiska, domem albo złomem; wodzi za pasy, boryka się; stawia drabinę, spina się na przednich łapach; wichrzy, strzela, miota kamienie, drzewo; pieści albo ścieka, dusi; zamiata, do koła się broni.

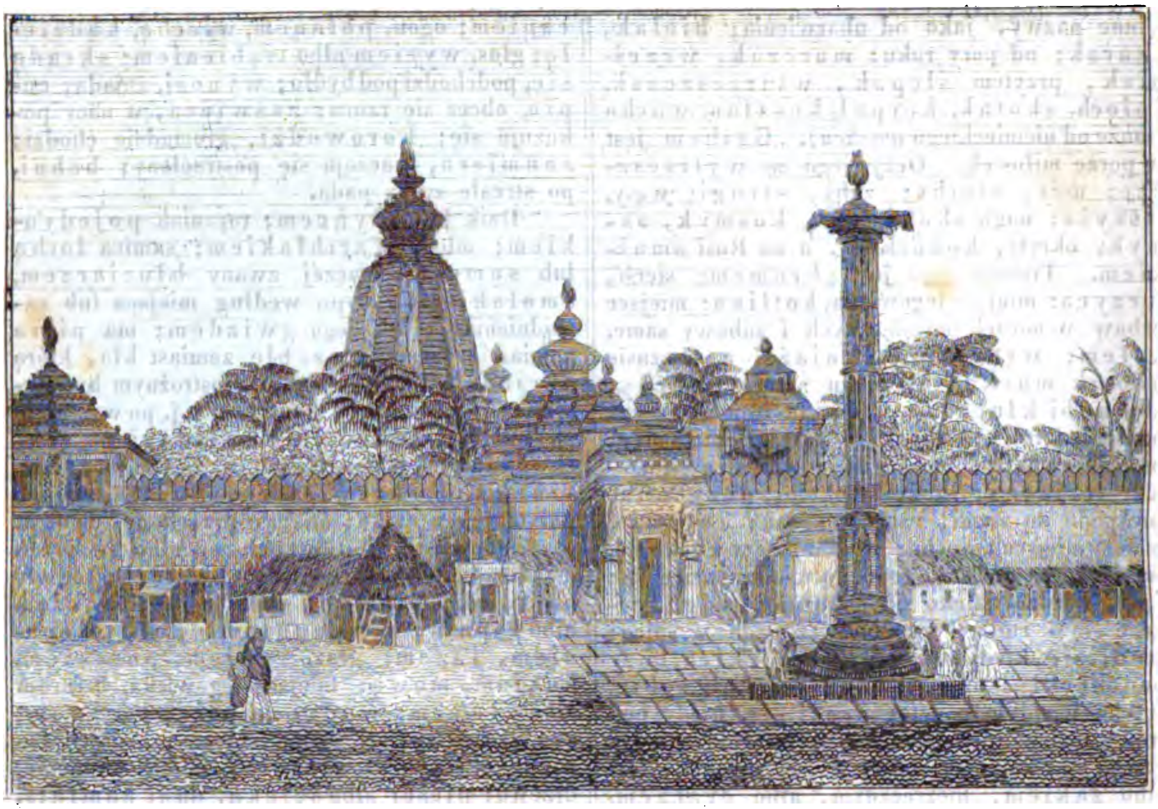
Borsuk jest norem albo jaźwcem; suseł, świszczkiem; łasica, strzałą, a jéj mieszkanie dupłem. Na żubra czole skóra włosem okryta, jest wirem, a grzywa jego kądzielą. Bobra ogon, kielnią; tłuszcz strojem; głos kwileniem lub swistaniem, miejsce osady, żeremiem.

Krew zwierząt jest barwą (farbą); dzika posoką; niedźwiedzia jucha. Ubarwienie w ogólności zwierząt i ptaków, nazywa się suknią; ziobra, piórami, wnętrzności, patrochami; grzbiet, combrem; bok, połciem; węch, wiatrem; stado, chmurą. — Wielki zowie się mocny; piękny, dobry; chudy, cienki; postrzelony, chory; dobrze się broniący, cięty. Zając tłusty jest skromny; jeleń, kraśny; dzik, sadlisty. O ptakach mówi się, że są oblane albo żerne, co niektórzy i do zwierząt stósują; kuropatwa, pyszna albo piczna; gęś zażywna, sytna. Śladem zwierząt jest trop, ślak, sznur albo pęd. Miejsce ich przebywania koczowiskiem, żerowiskiem, leżą.

Przechodzimy do lotnéj zwierzyny. Ptaki są albo miejscowe, albo przelotne, t. j. odlatujące na zimę, albo tułające się, jak wrony, kawki; inne zimowe, jak śnieguły. Niektóre ptaki mają różne nazwy, bądź gatunkowe, bądź przymiotowe; dzikie kaczki są: krzyżówki, cyranki, podgorzałki, podlotki, łyski, kozy, nurki; noga dzikiéj

---

*) W tebe oczyszcze, kahańczyszcze.
W tebe fostyszcze, kudełyszcze; u ciebie oczyska, kagańczyska; u ciebie ogonisko, kądzielisko. Z pieśni gminnéj ruskiéj, w któréj rozmawiając koza z wilkiem, tak mu przymawia.



Świątynia indyjska w Oryssie.

kaczki jest wiosłem, połyskujące na skrzydłach pióra, zwierciadłem. Bekas jest: dubelt, krzyk, baranek, słomka, kulik, kuliczek, samotnik i t. d. Drozd: paszkot, kwiczoł, kos, zawojec, średniak.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Świątynia indyjska w Oryssie.

Dziwne mają wyobrażenia o Bogu wschodnie narody. Chinczyk czci go w swoim *Fo*; Japończyk mianuje go *Budso;* Tybetańczyk bije czołem przed swoim *Budda* i *La*. Cóż znaczą owe różnokształtne postaci, z głowami lwów, słoni, i świń, podobne resztą ciała do ryb lub morskich potworów. Sąto bogowie ludów indyjskich, szukających Boga w zwierzętach, a dusz rodziców swych w obrzydliwém robactwie; im wystawiają dziwne, ogromne przybytki, gdzie się tysiące ludzi zbiegają, na głos Braminów, aby w obrzędach, na które serce Europejczyka się wzdryga, oddać chwałę bożyszczu, utrzymującemu lub niszczącemu wszystko. Obeznany z tajemnicami wiary, sobie tylko wiadomej, prowadzi pielgrzymów corocznie tłum Braminów, obszedłszy krainy wszystkie Indyi, do jednéj z największych i najstarożytniejszych świątyń, prawdziwego arcydzieła sztuki, na święto wielkiego Wischnu, obchodzone w środku Czerwca. Za zbliżeniem się pobożnego ludu, wyprowadzają kapłani z wnętrza świątyni posąg bożyszcza, na wielkim wozie 60 stóp wysokim, ciągnionym przez dwudziestu słoniów, umyślnie na to utrzymywanych, wśród przeraźliwego okrzyku przybywających i huku trąb i kotłów. Za złożoną pewną opłatą, wolno ci wtedy wstąpić do wnętrza świątyni i ogrom jéj podziwiać. Łatwo wystawisz sobie jéj wielkość, gdy się przekonasz, że 3000 braminów, 400 służalców i 1200 dziewic śpiewających i tańczących podczas nabożeństwa, w jej murach mieszka. Wielkie święto obchodzone z największym przepychem w Oryssie trwa dni ośm; liczono przybywających na nie nieraz do 200000, zostawiających tutaj cały swój dobytek, aby tylko módz raz w życiu przestąpić próg świątyni. Lecz jakże smutny ich powrót bywa; w nędzy wracają pobożne te tłumy do swoich siedzib; z głodu i trudów, trafiając zwykle na porę roku dżdżystą, stają się ofiarą okropnéj cholery. Wiary godni wędrownicy opowiadają, iż widywali w podróżach swoich po Indyach, po święcie tém, po kilkadziesiąt ludzi pod gołém niebem umarłych, na pastwę dzikich zwierząt i ptastwa drapieżnego rzuconych, lub walczących z okropną śmiercią, bez ratunku i pomocy.

Przyjaciel Ludu.

Rok szósty. **No. 15.** **Leszno,** *dnia* 12. *Października* 1839.



Michał Stachowicz.

Kto stolicę Jagiełłów zwiedził, nie pominął zapewne pałacu biskupów krakowskich, odnowionego staraniem nieśmiertelnéj pamięci arcybiskupa Woronicza, ozdobionego pięknemi malowidłami, przedstawiającemi zdarzenia z dziejów narodowych. Są one wszystkie pędzla Michała Stachowicza, jednego z szczupłéj liczby lepszych malarzy naszych. Urodził się ten artysta w Krakowie dnia 20. Września 1768. z rodziców, więcéj prawością obyczajów i ścisłém wykonywaniem obowiązków ciężkiego powołania, niż łaską losu, majątkiem lub jakimkolwiek blaskiem pamiętnych. Ojciec jego, nadworny drukarz króla polskiego, miał liczne potomstwo, między którém Michał, ledwie rok mając, wypadł z ręki piastunki i tak mocno o ziemię uderzył, iż mu się głowa spłaszczyła. W skutek zapewne tego przypadku utracił zupełnie pamięć i nie mógł się nauczyć mówić, aż drugie, niemniéj smutne zdarzenie, rozwiązało mu w piątym roku życia spętany język. Igrając z nożem, przebił sobie na wylot dłoń. Ból i zlęknienie tak gwałtownie na mózg jego działały, że odtąd zaczął mówić, wszakże pa-

mięć została na całe życie tępą. Gdy już doszedł lat zdolnych do uczenia się, ojciec oddał go do szkół publicznych, ale młody Stachowicz, pomimo największéj pilności i usiłowań, nie robił w naukach żadnego postępu; zbywało mu bowiem na najpotrzebniejszym przymiocie do nabrania wiadomości, to jest na pamięci. Spędziwszy nadaremnie czas do roku czternastego w szkołach, zaczął Stachowicz myśleć o obraniu sobie zawodu, w którym usługa pamięci mniéj jest potrzebną; ojciec oddawał go do rozmaitych rzemiósł, ale gdy w nich młody Stachowicz żadnego upodobania nie znajdował, powierzył go nareszcie biegłemu malarzowi krakowskiemu, Kazimierzowi Mołodzieńskiemu. Teraz Stachowicz znajdował się w swoim żywiole, i w pracowni tego malarza w krótkim przeciągu czasu takie zrobił postępy, że gdy sławny Franciszek Szmuglewicz, powróciwszy z Rzymu, oglądał jego obrazy, spostrzegł zaraz w Stachowiczu wyższy talent i usiłował go sprowadzić do Warszawy, robiąc mu bardzo pomyślne nadzieje. Lecz Stachowicz, bądźto z przywiązania do swego gniazda ojczystego, bądź téż, że obowiązki względem zgrzybiałych rodziców i dobrego rodzeństwa wstrzymywały go, odrzucił ofiary Szmuglewicza i pozostał w Krakowie. Nie długo téż potém umarli mu rodzice, co go oderwawszy od warsztatu malarskiego, wprzęgło w mozolne zatrudnienia gospodarskie, aby być użytecznym młodszemu rodzeństwu. Przez lat kilka nie zajmował się Stachowicz wcale malarstwem, aż nareszcie klęski krajowe podały mu znowu pędzel w rękę i z tegoto czasu pochodzą piękne jego obrazy: *Grób ojczyzny, Przysięga Kościuszki, Zwycięstwo pod Racławicami; obozy narodowe.* Po upadku Polski, Stachowicz porzucił malarstwo historyczne, oddawszy się całkiem malarstwu religijnemu, i przyozdobiwszy obrazami swemi mnóstwo świątyń, jako to kościół franciszkański i dominikański w Krakowie, kościoły w Kielcach, Przemyślu, Jarosławiu i t. d. Po niejakim czasie wrócił się znowu do malarstwa historycznego i odmalował bitwę Bolesława III. z Henrykiem V., bitwę pod Byczyną, wejście wojska polskiego pod księciem Józefem do Krakowa. Jedném z ostatnich, a oraz najcelniejszych dzieł jego, jest przyozdobienie pałacu biskupów krakowskich obrazami, do których wątek czerpał z rzeczy ojczystych. Umarł dnia 26. Marca 1825, mając lat 57. Uczony professor, Paweł Czajkowski, uczcił pamiątkę jego mową pochwalną, na posiedzeniu towarzystwa naukowego krakowskiego mianą; z niéj daliśmy niniejszy rys życia Stachowicza.

Widok miasta Koźmina w roku 1772.*)

W odległości siedmiu mil od Poznania, w żyznéj i wesołéj okolicy, leży miasto Koźmin, jedno z najporządniejszych w dzisiejszém wielkiém księstwie poznańskiém. Mało jest osad w dawnéj Wielkiéj Polsce, któreby tyle pamiątek z upłynionych wieków przechowały, tylu uczonych ludzi krajowi wydały, ile miasto Koźmin. Należy ono do najdawniejszych osad lechickich, i w 12tym, 13tym i 14tym wieku było własnością zamożnéj rodziny Borkowiczów, którzy w téj stronie pierwsi dali przykład wyuzdanéj swawoli, podkopującéj władzę monarszą i niszczącej w kraju wszelki porządek i praw powagę. Z téj rodziny Maciéj Borkowicz, wojewoda poznański, knujący przeciw Kazimierzowi Wielk. spiski i łupiący na czele hultajstwa podróżnych, kupców, dwory i kościoły, ukarany od Kazimierza W. okrutnie, na postrach innych wichrzycieli bezpieczeństwa publicznego, znalazł nieudolnego mściciela w bracie swoim Janie, dziedzicu Czacza i Koźmina. Jan Borkowicz wnet pochwycony, dał niespokojną głowę pod miecz katowski, a dobra jego przeszły na skarb królewski. Od tego czasu Koźmin stał się własnością rządową i zapewne Kazimierz W. otoczył go murem i fosami; przynajmniéj niedługo po śmierci tego monarchy, to jest w roku 1382, był on już mocną warownią, w któréj Bartosz, starosta odalanowski, sprzyjający Ziemiowitowi, księciu płockiemu, napróżno oblegał załogę węgierską Zygmunta, margrabi brandenburskiego, ubiegającego się o tron polski po śmierci króla Ludwika. Pod rozrzutnymi następcami Kazimierza W., Koźmin przeszedł, niewiedzieć jakim sposobem, w ręce prywatne, i już na początku 15go wieku był własnością Górków, mianowicie, Łukasza Górki, wojewody poznańskiego, który w roku 1404. nadał tu przywiléj bractwu sukienniczemu. W ręku Górków zostawał Koźmin do śmierci Andrzeja Górki, kasztelana międzyrzeckiego, przypadłéj przy schyłku 16go wieku. Późniéj przeszedł do rąk Przyjemskich, od tych do Sapiehów, od ostatnich do Kalkreuthów; dziś jest własnością rządową.

Wciągu kilkuwiecznego istnienia swego, ucierpiał Koźmin wiele; Szwedzi spalili i złupili go podwakroć, (za panowania Jana Kazimierza i Augusta II.), powietrze morowe wyludniało jego mieszkańców po kilkanaście razy, i często stawał się pastwą płomieni, odradzając się zawsze coraz piękniéj z popiołów.

Górkowie wznieśli tu w 15tym, a rozszerzyli w 16tym wieku wspaniały zamek, jeden z najobszerniejszych w poznańskiém, przypominający bardzo podróżnym starożytne niemieckie

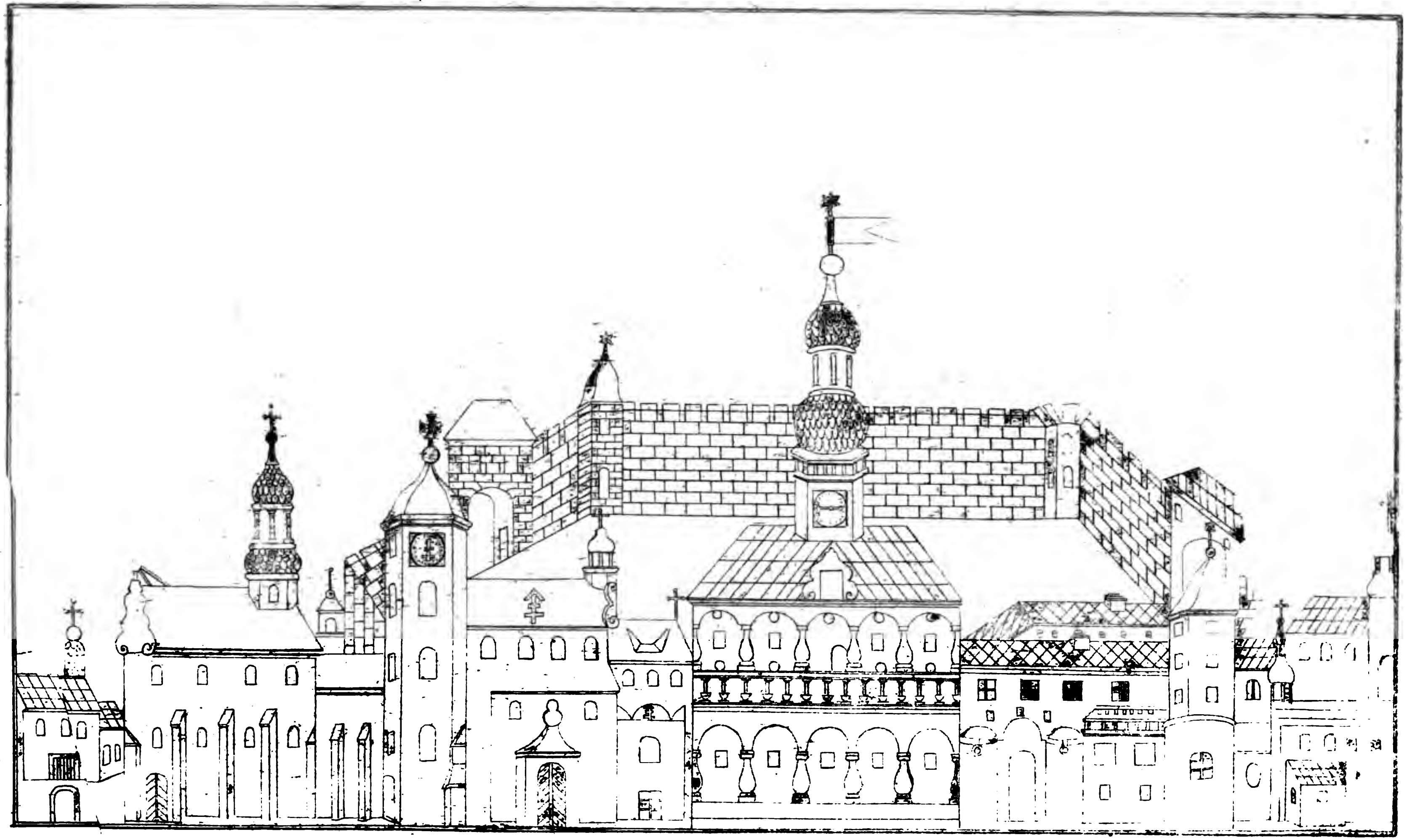
*) Widok ten udzielony redakcyi przez zacnego i światłego proboszcza miejscowego, JXiędza Gagackiego, zdjęty jest z płaskorzeźby na tablicy srebrnéj.

zamki. W 18tym wieku Sapiehowie rozprzestrzenili ten gmach.

Na przeciwko zamku stoi piękny kościół farny, niegdyś kollegiata, złożony z kilku części, z których najmniejsza, na wschód letni obrócona, najstarszą się być zdaje. W téj części znajduje się nagrobek z czerwonego marmuru Barbary z Herburtów, małżonki Andrzeja Górki, kasztelana międzyrzeckiego, zmarłéj 1579 roku. Na ścianie téj saméj części kościoła, jest także napis w łacińskim języku: *Erectum* 999, *restauratum* 1671; (wystawiony 999, odnowiony 1671 roku). Lubo przypuścić nie można, aby gmach ten był tak starożytną budową, przecież napis wspomniony jest dowodem, że kościół duchowny, czyli parochia koźmińska, azatem i sam Koźmin, już w 10tym wieku istnął. Prócz tego ma jeszcze kościół kilka pięknych zabytków starożytności, jako to: nagrobek z marmuru, wyobrażający niewiastę w ubiorze z 16go wieku, bez napisu; wizerunki kilku zmarłych proboszczy i obywateli koźmińskich, lichtarze robione w r. 1493, dzwon z 15go wieku; a chór jego ozdobiony jest wizerunkami sławnych Koźmińczyków, np. Jana, Benedykta, Albina i t. d.

W jednym z sklepów świątyni pokazują doskonałą mumią. Są to zwłoki Alexandra Przyjemskiego, dziedzica niegdyś Koźmina, zmarłego roku 1694., pana niezmiernie dobroczynnego, którego dzień zgonu był dla Koźmińczyków i poddanych jego dniem powszechnego smutku, dniem gniewu Pańskiego. O tym Przyjemskim taką nam podaje wiadomość X. Franciszek Salezy Jezierski, kanonik krakowski, w dziele dziś rzadkiém, pod tytułem: *Niektóre wyrazy,* wydaném w Warszawie 1791 r. „W województwie kaliskiém, w miasteczku Koźminie,“ mówi, „dowiedziałem się przypadkiem, że ciało Przyjemskiego, podkomorzego kaliskiego, pochowane w grobie przed 97 laty, zostaje całe w zupełném nienaruszeniu. Starałem się widzieć tę osobliwość natury, a z téj przyczyny wszedłem w wywiadywanie się o życiu i okolicznościach tego zmarłego. Nic nie można było osobliwszego wynaleść kwoli jakiéj pamiątce, przypominającéj wielkość sławy Przyjemskiego. Nie było nagrobku z rytemi pochwałami na marmurze, nie czytałem panegiryku, napchanego herbami i kolligacyami domów; sposób pochowania pokazywał trumną i odzieżą, że Przyjemski był majętnym człowiekiem, (ale cóż bogactwa mają wspólnego z prawdziwą wielkością i sławą dobrą?). Powiedziano mi, że ten Przyjemski był podkomorzym kaliskim i dziedzicznym panem Koźmina; chciałem i w téj wiadomości być pewnym i prosiłem o dowód. Na to odebrałem odpowiedź: że tranzakcye w archiwach o tém upewniają, a prócz tego jest zapis przy kościele w książce pogrzebowéj. Prosiłem, aby mi pozwolono przeczytać zapisanie tego pogrzebu; lecz jakież było zadziwienie moje, gdy w książce staréj pożółkłemi i krzywemi literami znalazłem wyrazy prawdziwéj chwały w całym swym blasku, złożone nie wynalazkiem dowcipu, ale dziełem saméj przez się prostoty i rzetelności. Nie wiem, ksiądzli, czyli organista lub kościelny, położywszy datę zgonu Przyjemskiego, tak daléj napisał: *Umarł nasz pan dziedzic, Przyjemski, podkomorzy kaliski, którego ciało gdy wynoszono z zamku do kościoła na pogrzeb, to dzwonów nie można było słyszeć od płaczu ludzkiego.* Krótkie te i proste wyrazy, mające za sobą powagę prawdy, rozrzewniły duszę moję. Widziałem, że Przyjemski nie był tyranem swoich poddanych wieśniaków: on owszem musiał być ich dobróczyńcą. Otworzyła mi się natychmiast pora do domysłów: że Przyjemski musiał być wiernym obywatelem swojemu narodowi, przyjacielem równości; nie mogła w nim przewodzić łakoma chęć znaczenia i przewodzenia, dumny bowiem musi pychy popierać trwonieniem majątku, a jego dzierzawcy, zastawnicy i zajeżdżacze, nie bywają dobroczyńcami poddaństwa. Płacz ludu powszechny po dziedzicu, stawia wyobrażenie wszelkiéj cnoty umarłego, a głos o tém, im prościéj potomności podany, tém jest rzetelniejszém świadectwem cnoty i zasłużonéj sławy.“

Oprócz fary znajduje się w Koźminie kilka jeszcze kościołów, z których zasługuje szczególniéj na uwagę niegdyś bernardyński. Fundował go w roku 1626. Paweł Gajewski, proboszcz. Klasztór przy nim, dziś na więzienie przerobiony, mieścił w sobie kilkunastu zakonników, którzy się utrzymywali z chojnych jałmużn dziedziców Koźmina, i z kwest po wśiach i miasteczkach województwa kaliskiego. W tym celu gwardyani miejscowi dobierali zręcznych i obrotnych braciszków, i ja sam w dziecinnych latach znałem jednego z takich kwestarzy koźmińskich. Byłto wielki psycholog, chociaż czytać i pisać nie umiał! Wyjeżdżając na kwestę, zaopatrywał się w pierniki, włoskie orzechy i t. p. łakocie dla dzieci wiejskich, a przybywszy do którego domu i pochwaliwszy Pana Boga, obracał się natychmiast do dzieci i wydzielał im cząstkę z przywiezionych zapasów, i tym sposobem na samym wstępie do domu chwytał za serca matki, które za to na jego brykę, gęsi, kury, jaja i t. p. (a wszystko do klasztoru przyda się) ładowały. Na starszych i niematki, miał on inną wędkę: kobietom przywozil częstochowskie szkaplerze, obrazki śś. pańskich, i t. d.; męszczyznom opowiadał przy rzęsistém świetle łuczywa o Przyjemskim, jak w ręce jego prawéj, która ubóstwo tak chojnie wspierała, róże i lilie po śmierci zakwitły i woń niebieską po całym kościele i cmentarzu rozszerzały; jak jeden z Sapiehów, równie sprawiedliwy, jak groźny, kazał obwiesić chłopa, który dwa karpie z sadzawki zamkowéj ukradł; jak szlachcicowi jednemu, który go pozwał o pobicie swego Żyda,



Widok miasta Koźmina w roku 1772.

cały wóz drabisty Żydami napełniony posłał i przed dworem szlachcica, jak barłog z woza, zrzucić kazał; jak w zamku koźmińskim niegdyś pokutowało, dopóki nieodprawiono exekwiów wspaniałych za innego dziedzica Koźmina, który za swego życia, natrętnego braciszka bernardyńskiego sługom za drzwi wypchnąć kazał, a potém za tę nieludzkość po śmierci w habicie bernardyńskim po kurytarzach obszernego zamku koźmińskiego pokutować musiał; nareszcie, jakto przed laty było daleko lepiéj, gdy czarownicom niedozwalano bezkarnie, jak teraz, poszustnemi karetami na łyse góry jeździć. O figlach koźmińskich czarownic i ich srogich karach, opowiadał staruszek z tylu szczegółami, z takiém wzruszeniem i tak żywemi kolorami, że słuchaczom włosy na głowie stawały. Dziś, po trzydziestu z góry latach, dopadłszy przypadkiem szczątków akt kryminalnych koźmińskich, przekonałem się, że brat Mikołaj w opowiadaniu swojém o czarownicach koźmińskich, nie przesadzał bynajmniéj. Koźmin, owa ojczyzna Benedyktów, Albinów, Janów i tylu innych uczonych Koźmińczyków za czasów Jagiellonów i Wazów, stał się po Janie Kazimierzu siedliskiem czarownic, to jest ciemnoty. Na dowód umysłowego obłąkania jego najznakomitszych mieszkańców, to jest ludzi, magistrat w roku 1692 składających, umieszczamy tu inkwizycyą i zeznania



Dzisiejsi Egipcyanie.



Dzisiejsi Egipcyanie.

mniemanych czarownic, w tym samym roku z nieszczęśliwych ofiar na torturach wyciśnione:

„Actum in civitate Magna Cosmin die 27. Maji 1692."

„Będąc Mateusz Kleszka z Nowego miasta do sądu wójtowskiego Wielkiego Koźmina oddany i pytany po kilka razy *bonis modis* będąc, do niczego się nie chciał przyznać. Tak tedy wzięty jest na tortury; ledwo trochę spróbowany, przyznał się do wszystkiego, spuszczony będąc z tortur: Zem ja, Panowie, ten klębek nici obsnował w kościele farskim w poniedziałek przewodni, około dziewiątéj godziny, przed wielką Mszą. Spytany od sławetnego sądu: Ktoby mu to rozkazał? odpowiedział: Milczanka, kuśnierka z Nowego miasta, co jest za Tomaszem Milczanem. Mówiła mi: Miły bracie, zróbże mi to, żebyś mi obwinął temi niciami około ławek w kościele u fary, od wrót aż do ławek pańskich. Jam jéj pytał: na co to? Ona odpowiedziała: a nie baj, jeno tak zrób, jakoć mówię. Już ona mnie dawno na to namawiała, jeszcze tedy, kiedy ojciec mój żył, kiedy mię był wziął z sobą na łysą górę około bocianiego gniazda za Koszewcem."

„Tenże Mateusz zeznał i powiedział, że grabarka Józefowa, co podle Świeczki mieszka, téż tam na łysej górze bywa. Janowa, krawcowa, co teraz wdową jest, téż bywa na łysej górze. Maniszewska, co też teraz wdową jest, téż bywa na łysej górze. Panowie nie rzeklibyście nigdy, jako stara Siejna ochotna jest, bo jest szafarką do jadła. Na téj łysej górze zda się tam być niby zamek; są tam komory. Pytany: jakoby tam dawno bywał? odpowiedział: od tych czas, jako mnie ojciec mój był wziął z sobą. Pyta go znowu *judicium*: a teraz jako dawno, jakeś tam był? Odpowiada: w tentam przeszły czwartek byłem na łysej górze i widziałem osoby, com wam o nich powiedział. Pytany będąc tenże Mateusz, jakimby tam sposobem zaszedł na łysą górę, odpowiada: przyjeżdżali po nas w karecie panowie, ale to diabli byli, sześcią końmi czarnemi. Pyta się *judicium*: jeżeliby to nie temi klaczami pańskiemi się woziły? Odpowiada: nie wiem ja tego, jedno takie czarne były i jam z niemi w téj karecie jeździł i w niéj siadał. Pytany będąc: jakoby on to miał wiedzieć o tém, kiedy kareta po nie przyjechała? powiedział: bo mi ta moja polubienica diablica, Regina jéj imię, powiedziała, co się do mnie przykrasiła, chodzi w szatach pięknych, raz pięknie, drugi raz jeszcze piękniéj. Ojciec mój mi to wszystko sprawił i on mnie temu czartowi oddał. Miałem z nią wesele, dawał mi ślub z nią na łysej górze Woźny z Rozrażewa, chłopem go zowią, ale nie wiem jako mu imię, wraz człowiek, nie stary, nie młody; tam na łysej górze księdzem jest; dał mu ojciec mój dwa bite talary od ślubu, co mnie z nią związał. Tak mi kazał mówić: odprzysięgam się Pana Boga i Matki jego i wszystkich świętych, a tobie przysięgam Regino, żeć będę wierny. Kiedym miał wesele, to ci woźnicy, co po nas przyjeżdżali, przywieźli beczkę miodu i beczkę wina z Kalisza, bo mi ojciec o tém powiedział. Tenże powiedział, że mu Milczanka o tém powiedziała: że ten kłębek nici na to obsnujesz w kościele, co będą ludzie i dzieci marli."

„Tenże zeznaje, że Maniszeska ma swego polubieńca diabła, Jaśka, wysoki, chodzi w czerwonych szatach, w czerwonych bótach, w sobolowéj czapce. Maniszeska siada w krześle pięknem, aksamitném, bo ona jest najwyższą i najstarszą; siada w końcu na przedniém miejscu. Siejna stara siada za stołem, a jéj polubieńcowi diabłu Kuba i t. d."

Po takiém zeznaniu Mateusza Kleszki, wzięte zostały na tortury od mądrego areopagu koźmińskiego kobiety oznaczone w zeznaniach Kleszki jako czarownice. Z kilkunastu nieszczęśliwych istót tylko jedna przeczyła stale, nawet na torturach, że nie jest czarownicą; inne wszystkie przyznały się do tego mniemanego czarostwa i plotły trzy po trzy o łysej górze, zabawach swoich na niéj i t. p., a jedna z nich nawet rzekła: „gotowam iść na straszny sąd boski, że tak jest, a nie inaczéj: te osoby, com wam o nich powiedziała, prawdziwie pospół ze mną bywały na łysej górze, i nie ustępuje ich, bobym zbawioną nie była, gdybym je zataić miała."

Dzisiejsi Egipcyanie.

Jakkolwiek Egipt dzisiejszy, w porównaniu z innymi wschodnimi krajami, na wysokim stoi oświaty i znajomości kunsztów stopniu, w czém pod rządami Muhameda Ali zasłynął, toć jednakże z starożytnym Egiptem żadną miarą porównanym być nie może, i co nawet dziwna, mniéj od niego liczy mieszkańców. Gdy bowiem pod Faraonami do siedmiu milionów liczba mieszkańców dochodziła, dziś zaledwie dwa miliony wynosi, złożone z 1,750,000 Egipcyan Mahometanów, 150,000 Koptów, 10,000 Turków, 5,000 Syryjczyków, 10,000 Greków i Żydów, 2,000 Armeńczyków; resztę stanowią Arabowie, cudzoziemcy, biali i czarni niewolnicy.

Stolica Egiptu, od Europejczyków *Kairem*, przez krajowców *Muzr* zwana, nosi cechę odległéj starożytności, murem jest cała opasaną, z warowną i groźną cytadelą. Ulice jéj są ciasne, domy wysokie, lecz nieregularnie budowane. Zabytki sztuk z czasów arabskich, leżą w gruzach zaniedbane; wszędzie razi cię nieporządek pospolity po miastach wschodu. Uwagę podróżnika zwraca na siebie kilka meczetów z wysokimi swymi minaretami; najsławniejszym z nich jest meczet, wzniesiony na skale *Kalat-el-Kebsch*, zbudowany na wzór Kaaby w Mece. Wspaniałe groby królów egipskich, prawdziwe cuda

budownictwa, widzisz dziś zapadające się i niszczejące, tak, iż w pięćdziesiąt lat i śladu ich nie będzie. Mieszkańcy Kairu trudnią się najwięcéj handlem, rzemiosła są po większéj części w ręku obcych.

Dzisiejsi Egipcyanie są mieszaniną rozmaitych pokoleń arabskich; odznaczają się mocną budową ciała; rysy twarzy przyjemne, płeć żółtawa, czoło wysokie, oczy czarne, pełne ognia, usta grube, zęby szczególnéj piękności, włosy czarne. Mieszkańcy południowéj części kraju są brunatni i mniéj wytrwali jak północni Egipcyanie. Ubiór wszystkich bardzo prosty; spodnie szerokie, koszula obszerna z szerokiemi rękawami, na niéj suknia wełniana fałdzista, turban lub jarmułka wełniana na głowie, składają odzienie zwyczajne Egipcyanina. Niewiasty w młodości swéj niepospolitéj są piękności, lecz wcześnie się starzeją. Ubiór ich w niższych klassach jest prosty, twarze całe tak zasłaniają, iż oczy im tylko widać; bogatsze jeżdżą na osłach. Życie ich w haremie, jakkolwiek nam zdaje się przykrém, nie jest przecież tak nieznośném. W godzinach wolnych od pracy odwiedzają się bowiem wzajemnie, bawiąc się tańcem i muzyką, lub téż udają się do łaźni, gdzie jedna drugą w stroju przewyższyć się stara. Żadnego niemając kłopotu, o niczém inném nie myślą, jak tylko o intrygach i zabawach.

Egipcyanie bardzo są muzykalni, lecz im się nasza muzyka wcale niepodoba; w wojsku zaprowadził Mechmed Ali muzykę na sposób europejski; dziwi się jéj lud, gdy słyszy wykonywane włoskich mistrzów dzieła, lecz przyzwyczaić się do niéj niemoże. Większe upodobanie znajduje, słuchając pieśni śpiewaczek swych po miejscach publicznych i ulicach, mających w swojém towarzystwie tanecznice, wywodzące tańce do hiszpańskiego Andago podobne. — Szkoły zaprowadzone są przez Mechmeda w całym kraju. Najmniejsza wieś, mająca dom modlitwy, posiada także i szkołę, zostającą pod dozorem nauczyciela, przez rząd ustanowionego. Dzieci chodzące do szkoły, odzienie nawet z kass rządowych dostają. Siedząc na ziemi wraz z nauczycielem, z tablicą w ręku, na któréj lekcyą mają napisaną, powtarzają ją za nauczycielem dopóty, dopóki się ich na pamięć nie nauczą. Oprócz koranu, nic nie czytają po szkołach; nauczywszy się go na pamięć, przystępują dopiero do pisania. Dziewczęta rzadko umieją czytać, lecz za to uczą się haftować i szyć.

Młodzieniec ćwiczy się z młodu już robić bronią, a w niektórych okolicach konno jeździć. Jazda egipska wiele ma zręczności i odwagi, mianowicie z pokoleń Mameluków wybrana. Do morskiéj służby, z północnego tylko Egiptu najwięcéj ludzi wybierają, którzy angielskim majtkom w wytrwałości wyrównywają.

Formalista, czyli *czarno na białém.*

(Dalszy ciąg.)

Pani Planowska.

Ja właśnie przychodzę do ciebie z prośbą o tę literę, która niesprawia *nocet*. Patrzaj, oto jest zarubrykowany przez ciebie, jak nazywasz, budżet miesięczny naszych wydatków. (Rozwija papier, kratkami oznaczony.) Przekonałam cię już tyle razy, że to, coś na oszczędność zarubrykował, nie może zostać nietykalne, gdyż wydatki nasze powiększyły się znacznie; ale wolisz, abym długi zaciągała, niżeli z odkładanéj oszczędności użyła, a to jedynie dla tego, żeś od początku roku położył kratkę na długi i na oszczędność.

Pan Planowski.

Cóż robić moja kochanko! Trzeba znosić te małe niedogodności dla dobra i porządku raz postanowionego.

Pani Planowska.

Jak? to małe niedogodności! I co za porządek! Co miesiąc brać na kredyt to lub owo, a z żalem patrzeć na pełną szufladkę oszczędności przeznaczoną, z któréj nic ruszyć aż do przyszłego miesiąca nie można! Nieuwierzysz, jak to przykro i jaka ztąd matwanina w rachunkach!

Pan Planowski.

Na rok następny ułoży się inny etat wydatków domowych, ale nateraz nieodstąpię od tego, com ci dał *czarno na białém*. Już mię znasz w téj mierze.

Pani Planowska (z westchnieniem).

O gdybym była pierwéj poznała!....

(Wchodzi Jan.)

Jan.

Pan Baron prosi Jaśnie pana jutro na obiad.

Pan Planowski.

Gdzież jest karta zapraszająca?

Jan.

Niemam jéj, lokaja tylko przysłano.

Pani Planowska.

Na co ta etykietalność z Baronem! jesteście z sobą w tak ściśléj przyjaźni.

Pan Planowski.

Baron jest urzędnikiem i jutro daje obiad urzędowy. Na taki obiad kartę zapraszającą poséła się trzy dni naprzód. (Do lokaja:) Powiedz, że bardzo przepraszam i że nie będę mógł służyć. (Do żony:) *Verba volant, scripta manent*; moja kochanko, tego nie ja, ale mój urząd wymaga.

(Lokaj odchodzi.)

Pani Planowska.

Wyrzekłabym się i urzędu i znaczenia i wielkości, gdybym miała takim drobiazgom dać się opanować! Szczęście, że nie wszyscy urzędnicy do ciebie, mój mężu, podobni! Ale dajmy pokój temu. Już ty się niczém nie poprawisz.

Pan Planowski.

Mów raczéj nie popsujesz. Akuratność jest podstawą wszystkiego, od téj w niczém ani na jotę nieodstąpię.

Pani Planowska.

Zobaczysz, iż na tém się skończy, że od ciebie odstąpią; stracisz miejsce, ludzi sobie ponarażasz, w domu nieład zaprowadzisz, a to wszystko ze zbytecznego porządku! że nie powiem z drobiazgowéj formalności!

Pan Planowski.

Jeżeli tak w księdze przeznaczenia napisano, trudno walczyć przeciw temu! Widzisz jak *czarne na białém* jest podstawą wszech rzeczy; używamy nawet téj przenośni do wyroków przedwiecznych!

Pani Planowska (z politowaniem).

To widzę coraz powiększa się w nim ta choroba! — No, muszę cię pożegnać na parę godzin, bo jadę na sessyą towarzystwa dobroczynności.

Pan Planowski.

Ałboż do niego należysz?

Pani Planowska.

Zapomniałam ci powiedzieć, że hrabina, która jest duszą tego zakładu, proponowała mi, abym należała do wydziału opiekunek; chętnie na to przystałam, i dziś mam pierwszy raz w ich gronie zasiadać.

Pan Planowski.

Ale powinnaś mieć wezwanie na piśmie od prezesa towarz. dobr.

Pani Planowska.

To ma być późniéj mi nadesłane, a tymczasem jadę do hrabiny, gdzie się dziś właśnie wszystkie opiekunki zbierają, gdyż mam jednę bardzo nieszczęśliwą rodzinę, któréj wspólna narada najskuteczniéj dopomódz zdoła.

Pan Planowski.

A ja bardzo cię proszę i nalegam na to, abyś żadnego wstępu do towarz. dobr. nieczyniła, póki nie będziesz miała *czarno na białém,* żeś do niego wezwana.

Pani Planowska (prosząc).

Mój mężu!

Pan Planowski (dostając pieniędzy).

Oto masz tymczasem dla twoich ubogich, a nieścierpię, abyś się miała na sessyi opiekunek znajdować, bez formalnego wezwania. Idźże się ubrać, gdyż wiesz, iż zaprosiłem do nas na ranny obiad wyjeżdżającego ztąd konsula z żoną.

Pani Planowska.

Będę miała jeszcze dość na to czasu, wszak nie przybędą aż o 2giéj.

(Słychać hałas za drzwiami. Pan Planowski dzwoni. Wbiega kucharz, kredencerz, szafarka, kamerdyner, ogrodnik i froter.)

Pan Planowski.

Cały mój dwór! Co się to ma znaczyć?

Szafarka.

Ja do samego pana odwołuję się, bo sam pan mi przepisał, czego się mam trzymać w moim szafarskim urzędzie.

Kucharz.

Wszak z rozkazu Jaśnie pana odebrałem od rządzcy domu na piśmie polecenie, żeby dziś był obiad na 2gą godzinę, a szafarka nie chce mi wydać ze śpiżarni aż o zwykłéj godzinie!

Kredencerz.

Ja uskarzam się na ogrodnika, który nie chce mi wydać owoców na desser aż o 4téj, a to będzie musztarda po obiedzie!

Kamerdyner.

Sala jadalna jeszcze niewyfroterowana, bo na Jana była dziś koléj, on tymczasem odszedł na miejsce Antoniego, a froter powiada, że to do niego dziś nienależy, i posługuje w kuchni.

Kucharz.

Posługuje w kuchni, w któréj dotąd nic nie ma do roboty z łaski panny szafarki!

Szafarka.

Mam napisano w moim regulaminie, iż pod utratą służby, śpiżarnia nie powinna być otwartą aż o godzinie 10téj. Jeszcze brakuje 10 minut.

Kucharz.

Ale ja już od dwóch godzin chodzę i proszę, bo muszę wcześniéj obiad gotować. Wszystko będzie twarde, niedosmażone, niedogotowane!

Szafarka.

A mnie co do tego! Ja swego pilnuję.

Ogrodnik.

I mnie na kontrakcie napisano, tak oto: W lecie, ażeby owoce były świeże, nie rwać ich aż o godzinie 9téj przed samym obiadem pańskim. Ja się tego trzymam, bo wiem, czem to pachnie, żebym miał zmienić, co Jaśnie pan napisał!

Paweł.

A i ja nie w ciemię bity! i dobrze pamiętam, że tylko w soboty, czwartki i wtorki mam pokoje froterować, a w inne dnie w kuchni posługiwać. Dziś poniedziałek, co mnie do tego, że w kuchni nie ma nic do roboty, ja swego pilnuję, jak Jaśnie pan przepisał.

Pani Planowska.

Więc z tego wszystkiego wynika, że niebędziemy mieli ani obiadu, ani pokoju do przyjęcia naszych gości.

(Koniec nastąpi.)

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Red. J. Łukaszewicz.)

Przyjaciel Ludu.

Rok szósty. **No. 16.** **Leszno,** *dnia* **19.** *Października* **1839.**



Góry Pieniny (w Galicyi).

Góry Pieniny.
(*Z obrazów Galicyi.*)

Zaraz koło miasteczka Krościenka, 7 mil od obwodowego miasta Nowego-Sądcza, wznoszą się góry Pieniny, jedna z najciekawszych odnóg karpackich. Przyroda nie jest tu już tak wzniosła i wspaniała, jak w głównych Karpatach, jednakowoż obfituje w rozliczne piękności. Całe pasmo gór tych zajmuje może tylko milę kwadratową, zaczyna się przy końcu nowotargskiéj doliny, koło Czorsztyna, i ciągnie się, przecięte od złączonego Dunajca, aż do Krościenka. Sąto same późniejsze wapienia, przez które się niespokojna rzeka przerznęła. Nawet najżywsza wyobraźnia, połączona z zręczném, poetycznem piórem, nie wydoła opisać rozmaitych piękności i przyjemności téjto górzystéj okolicy. Tutaj wznosi się sędziwa skała wpośród lasu i mami sporzącego kroki wędrowca, który myśli, że widzi przed sobą gruzy starego zamku; tam znowu przeraża go bezdenna roztwarta przepaść, w któréj głębokości mruczący strumyk szumi. Ciemne lasy sosnowe, bujne łąki kwieciste, odmieniają się na przemiany. Szczególnie malowniczy widok przedstawia tutaj Dunajec, który ścieśniony dwoma stromemi ścianami skalistemi, kręto, jakby wąż niebieski koło ściany południowéj doliny się przedziera, a potém ku wschodowi w przyjemną dolinę górską wstępuje. Najwyższy szczyt Pienin zwie się *Sokolica*, zapewne od wielu sokołów, które się na nim niegdyś gnieździły; od południowéj strony wznosi on się kilkaset sążni bystro do góry, od północy zaś powoli się zniża. Grzbiet jego obrosły wysokiemi sosnami, które nie mało piękności dodają. Niedaleko ztamtąd znajduje się obszérna pieczara. Jeden z najpiękniejszych widoków w odległość, przedstawia nam się z najwyższego wierzchołka góry, wznoszącéj się od zachodu. Przed sobą ku południowi widzimy urodzajne Węgry i samotny tak zwany *Czerwony klasztór*, niegdyś do zakonu Trappistów należący i od wszystkich zwiedzających tę okolicę znany i uczęszczany. Koło tego spustoszałego klasztoru tworzą dolinę Dunajca, która to rzeka w przełom tak zwanych koronnych gór wstępuje, wysokie i bystre, częstokroć prostopadłe ściany skaliste; jest ona tak wązką, że podczas małéj wody z trudnością tylko pieszo przejść można. Właściwie tworzą lewą ścianę doliny tylko owe, od podróżnych tak zwane góry koronne, które nazwę swą od śpiczastych końców, do hrabskiéj korony podobnych, otrzymały. Stósowniéj jeszcze możnaby je porównać z rzędem blisko koło siebie stojących domów, których śpiczaste dachy końce téj ściany skalistéj przedstawiają. W oddaleniu może jednéj ćwierci mili, rozszérza się znowu nieco dolina, jednakże aż do Krościenka ciągle jest jeszcze wązką, dopiero poniżéj miasteczka, coraz staje się szérszą. Od złączenia się z Białką, która na galicyjskiéj stronie z głównych Karpat z Morskiego oka wypływa, aż do połowy mili, poniżéj Czerwonego klasztoru, tworzy Dunajec granicę między Śpiżem i Węgrami. Powierzchnia wody jego wzniosła tutaj 1520 stóp nad poziom morza.

Pieniny posiadają także historycznie ciekawe miejsce. Sąto gruzy zamku, leżące wpośród gór na stroméj skale. Na samotnych rozwalinach murów, rosną teraz jodły i buki, a w zdziczałym ogrodzie zamkowym rosną jeszcze krzaki bukszpanowe wpośród bujnych roślin górskich. Nader trudny przystęp do tego obronnego zamku dał pewnie powód do pobożnego podania, jakoby go zbudowali anieli. — Podczas drugiego napadu Tatarów pod Nogajem i Telebugiem, ukryła się tutaj roku 1259 święta Kunegunda z 70. zakonnicami. Tatarzy oblegli zamek, lecz podług powieści, na prośbę świętéj, tak gęsta mgła upadła, iż oblegający nieprzyjaciele, nic nie zrobiwszy, wrócić musieli. Po obu stronach Dunajca, który tutaj wązką dolinę górską przerzyna, leży miasteczko Krościenko, a niedaleko ztamtąd Szczawnice. Do ciekawości Krościenka należą nowo założone kąpiele i źródło kwaśnéj wody, leżące na prawym brzegu w parowie, które w 2ch funtach wody z następujących cząstek się składa:

Solanu sody	3,049,470
Solanu wapna	7,436,650
Węglanu sody	1,750,911
Węglanu magnezyi	8,744,555
Gazu kwasu węglowego	27 sześciściennych cali.

Pieniny mają równie, jak wszystkie wapienne góry, bardzo obfitą wegetacyą; pomiędzy innemi kilka alpejskich roślin. Znany botanik, Dr. Herbich, odkrył tutaj nowy odznaczający się rodzaj rośliny, którą nazwał *Chrysanthemum Zawadzki*, i która się w dziele jego: *Additamentum ad floram Galiciae*, opisana i wyobrażona znajduje.

Formalista, czyli *czarno na białém.*
(Dokończenie.)

P. Planowski.

Wszystkiemu łatwo zaradzić. (Do kucharza:) Czego ugotować nie zdążysz, każ przynieść od Zbarborego; to najlepszy restaurator; a wreszcie mniejsza o to, że trochę mniéj wykwintny obiad zje raz w życiu pan konsul! (Do kredencerza:) Kupisz najpiękniejszych owoców u przekupek. (Do kamerdynera:) Nakryj do stołu w salonie. (Do szafarki, ogrodnika i frotera:) A wy dobrzeście się waszemu panu zasłużyli. Oświadczam wam moje zadowolenie. (Ci się kłaniają i odchodzą.)

Kucharz (odchodząc, sam do siebie.)

A ja za służbę podziękuję! Bo już mi kością w gardle taki porządek.

Kamerdyner (odchodząc).

Byle mi do 1go. dosłużyć! Więcéj we wszystkiém mitręgi, jak służby!

Kredencerz (odchodząc).

Nudna taka służba! Za każdą rzeczą od Anasza do Kaifasza. Dalipan! że i kwartału niedosłużę!

P. Planowski (do żony).

Widzisz kochanko, jak to wszystko porządnie idzie, byle tylko trzymać się stale tego, co się raz *czarno na białém* położyło!

Pani Planowska.

Biedna ja, biedna, z takim porządkiem!

P. Planowski.

Moja przyjaciółko! wypadek ten zaciągnie się w kratkę, przeznaczoną w budżecie naszym na nieprzewidziane wydatki; a daleko lepiéj przyczynić sobie kosztów, niżeli odstąpić od raz przyjętego trybu.

(Wchodzi Jan, meldując.)

Pan nauczyciel z paniczami.

Pani Planowska.

Niech wejdą, niech wejdą, jeszczem ich dziś niewidziała! (Jan nieodchodzi.)

P. Planowski.

Cóż ich tak rano sprowadza! to nie pora, w któréj zwykłem ich widywać! (Do lokaja:) Dzieci odprowadzić do ich pokoju: pana Oświatowskiego prosić, gdyż mam z nim coś do pomówienia. (Jan odchodzi.)

Pani Planowska.

Więc dziś niezobaczysz twoich synów, jedziesz niebawnie na sessyą, a oni za godzinę, jak ci wiadomo, na kilka tygodni odjeżdżają na wieś.

P. Planowski.

Rozkład czasu, porządek przedewszystkiém! Do tego trzeba wcześnie dzieci przyuczać.

Pani Planowska (z żałością).

Formalność i akuratność, przytępiają w nim wszelkie uczucia!

(Wchodzi nauczyciel.)

P. Planowski.

Choć w niezwykłéj porze, rad jestem widzieć pana Oświatowskiego; ale cóż mi go sprowadza?

Nauczyciel.

Metr muzyki uchybił swéj godziny; korzystaliśmy z czasu, pragnąc pana pożegnać przed naszym odjazdem; przytém chciałem trochę obszerniéj pomówić o moich wychowańcach.

P. Planowski.

Jakże tam moi synowie postępują pod światłém jego przewodnictwem?

Nauczyciel.

Znając ważność niedawno podjętego obowiązku, chciałbym naradzić się z rodzicami, znającemi bez uprzedzenia przymioty i wady swych dzieci; udzielić im moich uwag i postrzeżeń nad charakterem i zdolnością moich wychowańców; a tak wspólnie sobie dopomagając, skuteczniéj i łatwiéj będę mógł odpowiedzieć położonemu we mnie zaufaniu.

Pani Planowska.

Jakże przez to samo powiększasz pan naszę ufność i szacunek!

P. Planowski.

Ja mu i ufność i szacunek oddałem, skoro przeczytałem systemat i plan edukacyi, przez niego na moje żądanie napisany.

Nauczyciel.

Wypełniłem w tém wolą pańską, ale kreśląc ten plan, czułem i znałem, jak teorya daleką jest od praktyki, jak wszystkie plany i metody wychowania domowego, ulegają nieskończonym modyfikacyom, stósownie do okoliczności, do charakterów. I właśnie starszy syn państwa nader jest trudnym do prowadzenia. Umysł bystry, pojętny, ale nieugięty; serce dobre, ale.....

Pan Planowski (przerywając).

W każdym razie trzymać się należy raz przyjętych zasad. Wytrwałość daleko zaprowadzić może. Pan napisałeś swój plan edukacyi, ja go potwierdziłem, podpisałem; mamy przeto najważniejsze już zrobione, bo *czarne na białém.* Trzymając się pewnych, nieodmiennych prawideł, mamy niejako usprawiedliwienie i podporę naszego postępowania z dziećmi, co bardzo wielką, nieocenioną staje się pomocą w wychowaniu. Tak napisano, tak przepisano i basta! Niech o nic więcéj nie pytają. To tylko miałem panu do zalecenia.

Pani Planowska (pół smętnie, pół żartobliwie).

A ja proszę, zaklinam pana, ażeby synowie moi nieznali, niewiedzieli, co znaczą formuły, przepisy, plany, urządzenia, organizacye, prawidła, systema, metody, tryby i tym podobne wyrazy, ciągle brzmiące w ustach formalisty!

(Wpada Jan z przerażeniem).

Państwo! gore! Zapaliło się w kominie.

Pani Planowska.

Ach dzieci nasze! Gdzież są? (Wybiega.)

P. Planowski.

A moja organizacya? Gdzieś mi się zarzuciła. (Szuka jéj na stole między papierami.)

Nauczyciel (patrząc w okno).

Dym i płomień okropny bucha, trzeba nam ztąd wychodzić, niech pan wyda jakie rozkazy.

P. Planowski.

Wiedzą dozorcy i kominiarze, jaka ich powinność w tym razie; ja chwili nie mam do stracenia. (Patrzy na zegarek.) Ach! za kwadrans mam czytać moją organizacyą na sessyi! Muszę spieszyć.

Pani Planowska (przelękniona wbiega).

Uchodźże ztąd mężu, i spiesz na podwórze; komin się rozpękł, cały dom może spłonąć. Co tu straty, co tu szkody by było!



Andaluzyjczykowie.

P. Planowski.
Jestem spokojny zupełnie. Wszystko śpieszne, dom oceniony i zabezpieczony w towarzystwie ogniowém, opłacam procenta od 200,000. Wszystko to jest *czarne na białém*. Widzisz, że zawsze na moje wychodzi! — No, uchodźmy ztąd; ratujcie, co możecie, ja moją organizacyą wynoszę. Ciekawym, jakie też sprawi wrażenie!

Ułamek z najnowszéj podróży po Hiszpanii.

Przebywszy Pireneje, ów mur piętnastu mil grubości, ręką przyrodzenia pomiędzy Francyą i Hiszpanią wzniesiony, wstępujesz do krainy, która z żadną inną w Europie porównaną być nie może. Jadąc od Oleron, jedyną wolną do przebycia, przez Karlistów zostawioną drogą, puszczasz się ciasnym gościńcem, ciągnącym się nad rzeką Gave: nad głową twoją wznoszą się ośnieżone gór szczyty, gdy oko twe błądzi w około po bujnych gajach i prześlicznych ogrodach; wszędzie cię otaczają dzikie piękności przyrody, wszędzie spostrzegasz ślady ręki ludzkiéj. Zaledwie zaś ujrzysz hiszpańskie graniczne słupy, wszystko nagle się zmienia, jakoby na skinienie różczki czarno-księskiéj. Okolica smutna i nieurodzajna, gościniec wązki, wiodący pomiędzy samémi niezmierzonemi, z obydwóch stron drogi głębokiemi przepaściami. Wóz, jeśliś go dotychczas używał, musisz natychmiast porzucić, a nająć muła, zrodzonego do takiéj drogi. Zwierzę to stąpa z tobą wolnym, lecz pewnym krokiem; pierwszego dnia jedziesz zwykle z Urdax do Canfrun, drugiego z Canfrun do Ayerbe. Od czasu, jak drogi do Biskai i Katalonii są zamknięte, ta droga tylko do Hiszpanii jest wolną.

Uwagi godnymi są ludzie, trudniący się chowem i wynajmywaniem mułów w tych okolicach. Są to silni, rośli i odważni ludzie, nieznający i niezważający na żadne niebezpieczeństwa. Im daléj do Arragonii wstępujesz, tém coraz w smutniejszym obrazie widzisz nędzę; wszędzie spotykasz tłumy żebraków, obdarte i wynędzniałe dzieci po drogach, wyciągające drobne swe rączęta po jałmużnę. Karczmy nieporządne, są takie same, jak były za czasów Don Quixota; strawa, jaką ci podają, chyba zgłodniałemu smakować może; wino przechowują w worach skórzanych. Uderza cię także w pogranicznych miastach przedajność urzędników, ręce na kubany do podróżnych wyciągających. Cło jest tym samym sposobem urządzone, jak we Francyi: poszukiwanie wprowadzanych towarów ścisłe, lecz kilka złotówek wciśnionych w rękę celnika, ułatwi im wstęp do kraju.

Pisarze dawniejsi podziwiali piękne hiszpańskie krainy; nie jeden wieszcz opiewał w pie-



Arragończykowie.

śniach swoich czarujące cytrynowe i oliwne gaje i urodzajne niwy nad brzegami Ebru. Dziś naprózno ich szukać będziesz; mojém zdaniem w całéj Francyi nie znajdziesz tak smutnego i bezludnego kawałka ziemi, jak dolina Gallego, na drodze do Sarragossy. Na przestrzeni 15 mil geograf. nie znajdziesz ani jednego drzewa; od Ayerbe do Saragossy same piaski nieurodzajne, a na nich gdzie niegdzie krzaki rozmarynu rosnące; wśi żadnéj nie widzisz; na całéj téj przestrzeni dwa nędzne napotykasz miasta, Gurrea i Zuera. Znudzony tą jednostajnością, ujrzałem nareszcie sławną Sarragossę, podobną na pierwszy widok wysmukłemi swemi wieżami do jakiego z miast wschodu. Czterdzieści ośm kościołów, w których po większéj części zakonnicy służbę bożą odprawiali, próżne dziś stoją. Ulice miasta wązkie, domy wysokie. Mieszkańcy Sarragossy przypominają ci zaraz, gdy się z nimi wdasz w rozmowę, iż onito stawili dumne swe czoło w dwóch oblężeniach francuzkim wojownikom: prowadząc cię na miejsca rzeźi, gdzie żołnierz z żołnierzem walczył szczegółowo, pokazują, jak dom po domu zdobywanym być musiał przez Francuzów: jak nieprzyjaciel niemógł się szczycić posiadaniem miasta, chociaż okopy i mury były w jego ręku. Dumny Arragończyk ma się sam za prawego Hiszpana, dla tego patrzy na ziomków swych z innych prowincyj pogardzającém okiem.

Niewiasty arragońskie walczą o pierwszeństwo co do piękności z Walencyankami. Wysmukła ich kibić, oko czarne pełne ognia, ubiór skromny, lecz gustowny. Twarz okrywa zasłona czarna, podnosząca tém bardziéj białość twarzy; skromne i pobożne, trzymają się ściśle zwyczajów przodków, gardząc modami wkradającemi się pomiędzy polerowniejszą klassę z sąsiedniéj Francyi. Żałować tylko należy, iż wstąpiwszy w związki małżeńskie, smutne i jednostajne prowadzą życie, gdyż wola męża, jest dla nich wolą samowładnego pana.

O polskim języku łowieckim i o świecie łowieckim.

(Ciąg dalszy.)

Jastrząbka gdzieniegdzie zowią **kogutkiem**; kuropatwa jest **kurą** albo **starką**; dziki gołąb', **grzywaczem**; turkawka, **gołąbkiem**, **kwilotem**; drop', **indykiem**, bieg jego, **unoszeniem**; dzięcioł, **kowalem**; bocian, **bociem**, albo **bockiem**, lub **buśkiem** (po rusku **czornohus**); dzika gęś, **gąską**. — Ptaki **jadą**, t. j. latają; **padają**, **okrywają**, siadają; **biesiadują**, przebywają; **wędrują**, w jesieni odlatują; **koczują**, przebywają gromadnie; **błąkają** lub **błądają**,

z miejsca na miejsce się przenoszą; wiszą, kiedy na powietrzu w jedném miejscu się ważą; są w krzyżu, np. jastrzębie, kiedy rozciągniętemi skrzydły krzyż tworzą; paprzą, grzebią; kąpią się, tarzają w piasku; furnają, raptem odlatują albo zrywają się; brykają, odjeżdżają, nietrafione ulatają; wiosłują, pływają; mogą być albo obarczone, postrzelone, albo koziołkować, przewracać się wpowietrzu, albo spaść z dymem, upaść kamieniem, t. j. spaść zaraz po strzale; opiérzyć, znaczy tak strzelić, że się tylko piérze z ptaka posypie. Ptaki przeoczają, przez sieć uciekają i nie chwytają, ale łamią inne ptaki. Lot słomki jest przeciąganiem; krzyka wymykiem; derkacza i przepiórki uskokiem; kuropatwy i dropia bieganiem; dzikich gęsi i kaczek, żórawi, ciągiem; dzikich gołębi, siewek, turkawek, obłokiem, chmurą, kiedy lecą gromadnie. Piękne ubarwienie ptaków jest ubraniem; skrzydła ich są loty albo żagle; miejsce ich padania siadłem, ziarnikiem, żerowiskiem, tokiem, paprzą; gniazdo drapieżnego ptaka, pieleszem; czas zbierania się ptaków, zloty. Młoda gęś, kaczka albo kuropatwa, mało co upiérzona, zowie się farbówką.

Polowania z drapieżnemi ptaki należą do najdawniejszych: używano u nas orłów, sokołów i różnych ich gatunków, jako białozorów, t. j. sokołów bielejących na starość, kobusów, rarogów, krogulców, jastrzębi, bądź krajowych, bądź zagranicznych. Gniazdowiec jest ptak z gniazda wzięty; gałężnik, który dopiero z drzewa na drzewo wylatuje; takie mają być najlepsze do polowania. Dobry sokół i w ogóle każdy ptak drapieżny powinien być chudy, oczu pełnych ognia, skrzydeł silnych, nóg mocnych i szponów ostrych. Drapieżnym ptakom odbierają dzikość bezsennością, a potém je uczą, co się nazywa unoszeniem. Żywność dla wszystkich tych ptaków, świeża być powinna, a trzymać je należy w miejscu chłodném. Iść czarnym szlakiem, albo berem, znaczy podchodzić lotną zwierzynę; pod piérzem szczwać, polować z ptakiem drapieżnym.

Uboższym jest język łowiecki co do ptaków, których państwo jaśnieje rozliczném barw bogactwem, zajmuje tysiącznemi pieśniami, może dla tego, że nie wszystkie nazwy i słowa są znajome; wiele także ptaków nie należy do zwyczajnego polowania. Nazywają jeszcze szczygła kulczykiem; wilgę, gwizdą; sojkę, babą; kukułkę, kukawką; jaskółkę domową, domaszką; rybitwę, rybakiem; dudka, wudwudkiem; bąka, hukałem, albo hupałem. Sąto nazwy łowiecko-ptasznicze; słyszałem je od ptaszników częścią w królestwie, częścią wGalicyi. Jak zaś rozmaite jeden ptak miéwa nazwy, patrz Zoologią Jarockiego tom II. str. 116. I jeden i tenże sam ptak różnie w różnych stronach nazywany. (*)

Słowa łowieckie są bardzo właściwe; żaden inny wyraz nie wyrówna słowu kicać na oddanie powolnego biegu zająca, a zając w największym pędzie czyliż nie kładzie się po sobie? albo któż nie widział na polowaniu, jak zając łamie charty, jak przez swoje różnostronne, szybkie ruchy, w istocie zdają się łamać? Głosy niektórych zwierząt, jak żubr jęczy, jeleń beczy, lis skomli, wiewiórka pryska, orzeł szczeka, sęp kłapa, sokół kwili, kuropatwa, gdaka, cięgoce, przepiórka bije, gęś gęga, drop' ksyka, słomka chrapi, śnieguł piszczy, gołąb' bębni, grucha, bruka, żołna skrzeczy, kwiczoł piska, kawka plegoce, skowronek dzwoni, przepierkuje, jaskułka piskoce, żuraw' struka, puhacz woła (**), jak wiernie oddane. Co powszechnie parzeniem nazywamy, myśliwi zowią u jelenia bekaniem, u niedźwiedzia grzaniem, u głuszcza tokowaniem, u jarząbka graniem, u kaczek deptaniem, i naturę żywiéj malują. Nie będę się rozwodził nad pięknością każdego słowa; nie ujdzie zapewne baczeniu znawców, a przyjaciele ojczystéj mowy ujrzą i w jéj odnodze, w języku łowieckim, tę cechę wyższości, która stanowi jéj starszeństwo między siostrami sławiańskiemi. Pełen życia i poezyi jest nasz język łowiecki, żaden powszechnie używany wyraz nie zdoła zastąpić słów jego; są one w porównaniu z niemi, czém kwiat sztuczny z kwitnącym. Ale cóżby na to rzekli ś. p. niby klassyczni literaci, którzy obsiadłszy trójnogi rzymskie, w naturze tylko geografią, zoologią, botanikę, albo mineralogią, w mowie ludzkiéj tylko gramatykę Kopczyńskiego widzieli; coby rzekli, że w szczególnych słowach języka łowieckiego polskiego, więcéj jest poetycznéj prawdy, niż we wszystkiéj rymowanéj prozie Delilla?

Strzelba świeży albo żywi, kiedy nie do razu ubija; dołuje, góruje, bokuje, rozrzuca, albo gęsto bije. Koniec rury jest okiem; częściami strzelby są: kolba, lufa, albo rura, cel, łoże, przykład, ujęcie, warkocz, stępel, kapsel, kominek, zamek i t. d. Rozmaite także mają nazwy, n. p. pojedynka, dubeltówka, ptaszniczka, kniejówka, szmigownica, dziwerówka, jańczarka, tyrolka, sztuciec, i t. d. Sieci jest mnóstwo, jako: płot, parkan, na grubego zwierza; rozjazd, włok, trokówka, płotek, pajęczyna, niewód i t. d. I trąbki są różne: charciówka, borówka, kniejówka i t. p., i trąbi się rozmaicie

(*) Nietoperze w sandomierskiém nazywają pięknie wieczorkami.

(**) Mówią także puha, i to słowo maluje głos jego; pierwsze zaś powstało z mniemania pogańskiego i dotąd trwającego, że puhacz przeczuwając śmierć ludzi, woła tych, którzy umrzeć mają.

według potrzeby. Jest także kilka słów obcych w używaniu, mogą one być ojczystemi zastąpione: apel (przybywaj), cwajnos (dwunosy), forsować (kuplować) i t. d. Do łowców należą: myśliwi, strzelcy, sokolnicy, bobrownicy, ptasznicy. Nie mieliśmy w zamiarze rozszerzać się nad wszystkiém, co dotycze łowiectwa, i chcących obszerniejszych wiadomości, odsełamy do dzieł, o tym przedmiocie mówiących. (*)

Rzekniemy nakoniec słów kilka o świecie łowieckim. Kiedy jeszcze pola i lasy bóstwami były ożywione, a rzeki i jeziora oszumiewały pląsaniem i wesołém pluskaniem dziewic, źródeł opiekunek; jakież tam życie oddychało wszędzie, jak wszystko silnie przemawiało do duszy człowieka, jakie go wrażenia przenikały, jakie myśli wyrzucał z przepełnionéj piersi! Zatarły je czasy późniejsze aż do najdrobniejszych okruchów. Obszerny jest świat łowiecki, najeżony górami i skały, zaczerniony puszczami, rozjaśniony zwierciadłami rzek i stawów, straszny przepaściami, uśmiechający się rozległemi rolami i błoniami, jaśniejący różnowzorowemi barwy, brzmiący tysiącem dźwięków. Tu się puszą na berłach sokoły w karnalach (kapturach), tu psy snują drżące od niepokoju i zapału, tu jak na wojnę idzie wyprawa na odyńca lub niedźwiedzia; ówdzie pola migają rozsypanemi jeźdźcami i lotnemi charty; w około lasów wstają płoty, słychać muzykę w kniei; myśliwy wypręża oko na przesmyku, tam samotny idzie za psem przewodnikiem, albo czatuje ukryty w burzany. Jednych blask słońca oblewa, drugim wieczór przychylniejszy; tych zorza, tych światło księżyca prowadzi; inni lubią noc ciemną, albo ją pochodniami rozświecają. Ci w kręte wąwozy wnikają, ci toną w nieprzebyte gęstwy, ci lgną w dyszące moczary, ci posuwają saniami po iskrzącym śniegu. Ale któż zdoła wiernie opisać ten ruch ogólny, tę wrzawę różnojęzyczną, tętęt koni, lot psów, pęd zwierząt, ich obroty, trwogę, wściekłość, bój, grzmoty broni, trąb huki, zapał ludzi i setne ich uczucia; głosy szczególne, niknące w ogólnym gwarze; a ten gwar powtórzony odgłosem, rozbity o gór ściany, rozsypany po dolinach. Uważać można polowanie jako żyjące poema; musiało ono wpływać na umysł łowców, prędszy krwi obieg, mocniejsze życie, tyle barw i dźwięków, tyle lat przepolowanych znajdowały malarzy w języku poetyckim. Dodajmy do tego niewiasty, które czarodziejskiém okiem rozświecały koła myśliwych, (bo kobiety w one czasy nie drżały na widok rumaka, nie mdlały na wystrzał, ale za to nie rodziły, jak dzisiaj, chrząszczów, ale lwy), rozmaite przygody i wypadki i świat rycerski, spokrewniony z światem łowieckim. Nieraz zapewne na zgromadzeniach łowców rodziły się pomysły to jak żubry, jak lekkonogie sarny, jak szczebiotliwe ptaki, — bo myśl rozogniona, wiecznie za temi przedmiotami goniąca i wiecznie je przed oczyma duszy trzymając, niejako ich odcisk, ich odblask w słowach wydawała i mowę okrywała różnobarwną suknią zwierząt. Z tylu marzeń, z tylu powieści, cóż pozostało? szczątki obrazów, zamglone wyjątki z opisów, szczególne nazwy, samotne myśli, prawie tylko echo niewyraźne przeszłości. Myśliwi nie stanowili osobnéj kasty, wiadomości ojca często nie przechodziły do syna i z nim umierały. Miejsce bóstw wygnanych zastąpiły na świecie łowieckim duchy i strachy, jakoby cienia zagniewanych bóstw pierwotnych. Co było niegdy prawdą, stało się zabobonem, a wiara w nie pozostała już tylko u ludu.

Zabobonni myśliwi wierzą w duchów złych i dobrych. Do złych należą: Boruta, któremu, dla ułagodzenia, naczynia z potrawami wystawiają; zły duch, albo szatan, przybierający na się różne postaci zwierząt, i trapiący czasem całe dni strzelców, gdyż ci ustawicznie strzelają i chybiają; mara, która w postaci mgły, albo pary, zamydla oczy strzelców; tuman, tylko w nawalnéj źimie prześladujący myśliwych, sprowadzając ich na obłędne szlaki. Myśliwy, będący w porozumieniu z dobremi duchami, mieć może na strzał, co zechce, i zawsze ubije; dobre duchy, w postaci ptaków, najczęściéj wron, kukułek, pokazują drogę strzelcom. Wierzą w czary, strzelbę mogą zaczarować samém spojrzeniem złe oczy; takie oczy najpospoliciéj mają młynarze, dziady włóczące się z torbami, i baby. Strzelba zaczarowana może sama wystrzelić, dla tego na noc w pokoju nie trzeba jéj zawieszać; dla zabezpieczenia zaś od uroków i czarów, wyrzynają na kolbie rozmaite znaki, figurki i krzyże. Spotkawszy złe oczy, należy nabój wystrzelić, a strzelbę opluwszy, położyć na źiemi, aby źiemia czary wyciągnęła, ale to skutkuje tylko zaraz po zaczarowaniu. Zakopanie lufy pod próg, którędy się przechodzi, ma czynić strzelbę niezawodną; w roztopiony zaś ołów wrzucają serce nietoperza, aby kule były dobre. Aby strzelba nie żywiła, trzeba wrzucić w nią żywą gadzinę i wystrzelić, albo wpuścić kilka kropel krwi z ubitéj zwierzyny. Strzelcy niektórzy i gajowi wieszają na płotach i bramach głowy zwierząt, ptaki, albo ich skrzydła; strzeże to ich od czarów i sprowadza szczęście. W niedzielę i święta polować nie należy, bo się nie szczęści. Strzelcy omijają niektóre ścieżki, pod niektóremi drzewami nie strzelają, niektóre miejsca obchodzą

(*) Niektóre z dawniejszych są:
Myślistwo z ogary Jana Ostroroga.
Myślistwo ptasze.
Gospodarstwo jezdzieckie, strzelcze i myśliwe.

wróżą z lotu ptaków, z wianków wiszących na obrazach albo figurach nadrożnych, z chodu i twarzy zdybywanych osób z księżyca, którego odmiany wywierać mają wpływ na węch psów; z gwiazd, z ułożenia chmur i obłoków na niebie i t. p., lecz sąd ich w téj mierze opiera się raczéj na indywidualnych wyobrażeniach, niżeli na pewnych ogólnych prawidłach. Wilkołek, albo wilkołak, jest człowiek, mogący się przemienić w wilka; wiara w nie jest bardzo starożytna; strzelcy wystawują go sobie jako wilka z głową człowieczą, długą i brodatą; istota ta może znowu do dawnéj wrócić postaci, jest bardzo mściwa, i wielkie, szczególniéj w owczarniach, robi szkody.

(Koniec nastąpi.)

Rozmaitości.

Galwaniczny telegraf.

Pismo angielskie: *Morning advertiser,* daje następujące sprawozdanie z urządzonego na kolei żelaznéj Great-Wester telegrafu: „Słój do téj machiny, który wygodnie na stole da się postawić, nie jest większy, jak pudło od kapelusza. Telegraf ten pracuje za pomocą małych klawiszów, przez galwanizm w ruch wprawionych, a które na przeciwnym punkcie telegraficznéj linii pokazują litery, jakie te klawisze oznaczają. Pomiędzy niemi znajduje się także jeden z krzyżem, służący do oznajmienia, kiedy pomyłka zaszła w depeszy, a zatém, iżby całe doniesienie jeszcze raz powtórzono. Na pytanie n. p., ile podróżnych wyjechało z Puddington wozem parowym, w dwóch minutach otrzymała odpowiedź stacya w Drayton, chociaż obie te stacye przeszło 30 mil angielskich od siebie są odległe. Postanowiła przeto dyrekcya żelaznych kolei Great-Wester rurę galwaniczną przeciągnąć aż do Bristolu. Całe urządzenie machiny i rury kommunikacyjnéj, jest nader proste, łatwe przy każdéj już exystującéj kolei do zaprowadzenia, a mające tę wielką korzyść, że i w nocy takim galwanicznym telegrafem pracować można.

Gorzałka.

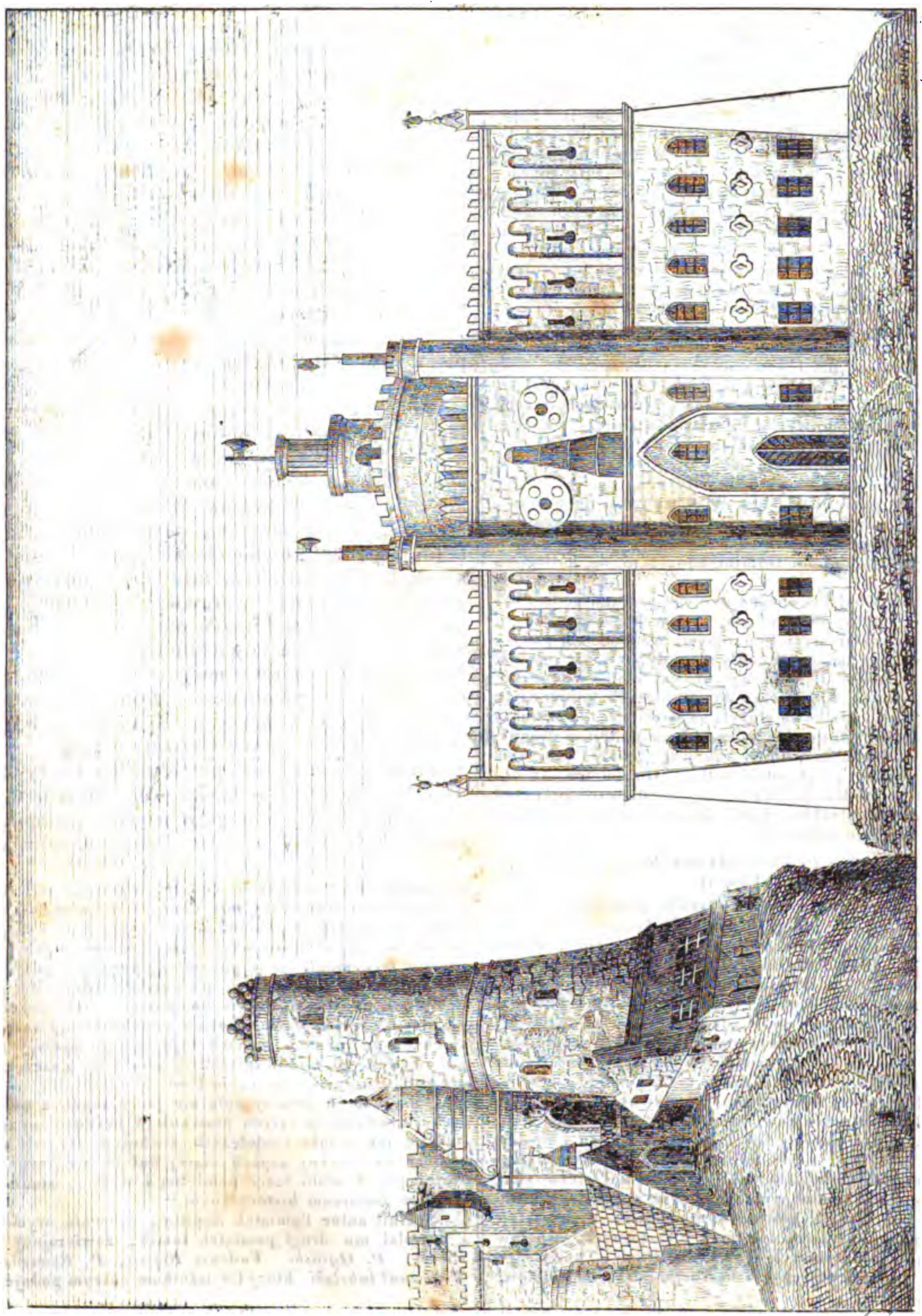
Spustoszenia, jakie teraz zabójczy ten płyn zrządza, nie były dawniéj wcale znane. Już samo nazwisko téj cieczy oznacza zniszczenie, jéj techniczne miano jest arabskie, **Alkohol**, ponieważ w Arabii około roku 1000 po Chr. wynalezioną została, gdzie jednak przez kilka wieków, tylko do lekarstw używaną była. — Ztamtąd około roku 1200. do Włoszech przeniesiona, zkąd pod zwodniczém nazwiskiem *aqua vitae* przez kupców do Niemiec się dostała. — Do reformacyi i wojny trzydziestoletniéj nie znano innego napoju posilającego, jak piwo i miód. W czasie wojny trzydziestoletniéj zaczyna się wódka upowszechniać. Widać to z oburzenia i zakazów, któremi wtenczas szerzącéj się zarazie zapobiedz chciano. (*) Okropne są doniesienia z amerykańskich, angielskich i niemieckich domów poprawy i waryatów, z których się okazuje, że cztery czwarte wszystkich kryminalnych processów i trzy czwarte ubogich, a więcéj niż połowę szalonych, wypływa z zbytniego używania gorzałki!

(*) U nas w Polsce gorzałka od dawnego bardzo czasu była znaną; używanie atoli jéj powszechniejszém się stało dopiero za czasów Jana Alberta, to jest przy schyłku 15go wieku; wszakże wiek cały minął, nim się stała niezbędną potrzebą, ulubionym napojem klas niższych w narodzie. Magistraty po miastach opierały się długo zaprowadzeniu szynków gorzałczanych, przekładając słusznie nad ten trunek piwa wszelkiego gatunku. I tak n. p. w Poznaniu szynki gorzałczane zjawiły się dopiero za panowania Zygmunta III. Odtąd ślachta, żydzi, mieszczanie, zgoła wszyscy, rzucili się na wyścigi do tej gałęzi nieszczęsnéj przemysłu i Polska zamieniła się prawdziwie w same gorzalnie i szynkownie gorzałczane. Na Rusi, Wołyniu, Litwie i Ukrainie wszystko prawie żyto wypalano na gorzałkę i tę wielkiemi kufami po całym kraju rozwożono. Tym sposobem rozpił się prosty lud, utracał zdrowie i chudobę swoję, ale przeciw téj zarazie nikt nie śmiał powstawać, bo gorzałka właścicielom dóbr bardzo znaczne intraty przynosiła. Z gorzałek polskich słynęła szczególniéj gdańska, pędzona ze słodu żytniego i jęczmiennego, a potém rozmaitemi ingredyencyami przyprawiana. Gdańszczanie wywozili ją do Anglii i Hollandyi, i odnosili znaczne korzyści. Rozchodziła ona się także po kraju w flaszach, i każdy, kto na *frijor* do Gdańska się puścił, nie tylko się sam zaopatrzył tamże w puzdra tego trunku, ale go nawet swoim sąsiadom i znajomym przywoził. Na Podgórzu pędzono także gorzałkę z śliwek, która atoli długo stojąc, kwaśniała.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (*Red. J. Łukaszewicz.*)

Przyjaciel Ludu.

Rok szósty. **No. 17.** **Leszno,** *dnia* 26. *Października* 1839.



Zamek lubelski. (*)

Trybunał lubelski. (*)

Ośmdziesiąt lat mija, jak bieduję na tym padole płaczu, a i drugie, i trzecie lat tyle przeżyłbym, a nigdybym nie zapomniał wrażenia, jakie na mnie zrobił trybunał lubelski; chociaż na nim byłem nie dzieckiem, ani młokosem. Lubom starzec, nie zazdroszczę młodzieży naszéj, że mnie przeżyje, bo nigdy widzieć nie będzie tego, na cośmy patrzali. Doczeka się i ona swego czasu czegoś dobrego, ale takie nie będzie to, co było. I nasze trybunały były pełne powagi, i było na co patrzyć; ale trybunał koronny był nierównie okazalszy, bo starszy wiekiem i więcéj narodom sprawiedliwość wymierzał. Na Litwie dziesięć województw, a w Koronie ledwo nie trzydzieści. Otóż kiedy konfederacya barska się rozwiązała, kraj pierwszy raz podzielono, a mój pan już nie żył, osiadłem, jak to powiadają, jak na lodzie. Miałem ja chętkę i w wojsku Rzeplitéj służyć, i o tom się starał; ale departament przyjmował konfederatów barskich z równą uprzejmością, jak pies jeża. Cóż tu było robić? Przypomniałem sobie czasy dawne, jak to ja kiedyś u wuja relacye pozwów przepisywałem; pomyśliłem sobie, pójdę do palestry obywatelom służyć. Coś się z prawa pamięta, reszty się douczy: nie święci garnki lepią. Pomagali mnie też ludzie. W Polsce, kto się bił za ojczyznę, a jeszcze coś dla niéj oberwał po kościach, między swoimi z głodu nie zginie. Pan Fabian Wojniłowicz, regent ziemski, wziął mnie na dependenta; a przy takim łepaku, kto nie chciał, prawąby się nie nauczył, a cóż dopiero, fałdy przysiedziawszy! Wkrótce człowiek wprawił się stawać, jak potrzeba; a że w kieszeń pacyentom niebardzo zazierał, szlachta powierzała interessa. Właśnie wtenczas na rękę mi poszło, że pan Stefan Oborski, plenipotent księcia wojewody, ożeniwszy się z panią Chrapowicką, bogatą wdową, któréj wydźwigiwał majątek nieco zawikłany, musiał się przenieść na Białą Ruś, a zatém księciu podziękować. Wielu było ubiegających się, aby jego miejsce zastąpić, i mocne były intrygi. Ale książe z własnego

---

(a) Rycina ta, wyjęta z dziełka: *Obraz miasta Lublina przez Seweryna Zenona Sierpińskiego, A. T. L. w Warszawie* 1839. Autor tak opisuje zamek lubelski: „Budowa zamku lubelskiego odległéj sięga starożytności. Podług śladów w Archiwach miejskich i podań ustnych, Bolesław W. 1025 r. miał tu wystawić zamek drewniany, na górze odosobnionéj zewsząd, nad łąkami i wodami w stronie wschodniéj. Roku 1240 Tatarzy go spalili. Kiedy Rusini 1246 roku opanowali Lublin i sam zamek sztuką zdobyli, wówczas wódz ich Daniel, książe halicki, dla większéj obrony, w miejscu drewnianych szańców, kazał wznieść murowane fortyfikacye, dla tém pewniejszego ubezpieczenia się wpośród kraju obcego; niedługo jednak ztąd ustąpił. W roku 1340. Tatarzy, wszedłszy do miasta i spaliwszy je, wszelkimi sposoby usiłują zdobyć zamek, który im się długo bardzo opierał; wziąwszy go wreszcie, zburzyli mury przez Daniela wzniesione. Każimierz W. przybył wkrótce z wojskiem, wypędził Tatarów i zamek na nowo wybudować kazał; postawiono wzniosłe baszty i szańce południowe, wówczas téż wzniesiono obronne mury w około miasta, dla lepszéj na przyszłość przeciw wrogom obrony: na ulicy jezuickiéj znajduje się stara baszta, mało od kogo zważana, która jest ostatnia z tych szańców Każimierzowych, wystawiona z cegły i kamienia, na trzy piętra, ze strzelnicami do łuków. Szańce miejskie, poczynając się od kollegium jezuickiego i krakowskiéj bramy, przechodziły ulicą Nową, daléj miejscem, gdzie dziś dom Pawęczkowskiego, łamały się w końcu ulicy rybnéj; jeszcze znajdują się tu szczątki dawnego muru nad kanałem; ztąd górą szły do bramy grodzkiéj, od niéj ku Dominikanom, aż do kollegium Jezuitów.“

„Zamek lubelski, oprócz swojego przeznaczenia, był miejscem sądów wójtowskich prawa magdeburgskiego, mieszkaniem starosty i monarchów, w czasie ich pobytu w Lublinie; tu także odbywały się sądy ziemskie i grodzkie. Władysław Jagiełło wymurował w dziedzińcu kościół; synowie Każimierza Jagiellończyka pobierali tu nauki. Wieża zamkowa służyła za więzienie dla szlachty *in turri et in fundo*, na wierzchu za mniejsze przewinienia; w lochu zaś, który tak jest głęboki, jak sama wieża wysoka, za zbrodnie tylko. Gmach ten, z obszernym w środku dziedzińcem, zrestaurowany przed kilku laty w gotyckim stylu, jest własnością rządu, i zdobi wspaniale miasto.“

(*) Wyjątek z *Pamiątek JPana Seweryna Soplicy, cześnika parnawskiego*. Tom II.

W przedmowie do tomu I. tychże pamiątek, zawierających powieści jędrne: „*Kazanie konfederackie, P. Dzierżanowski, P.* Bielecki, *Książe Radziwiłł, Panie kochanku, Ksiądz Marek*,“ tak mówi o pisarzu ich wydawca: „Autor z rzadką sztuką umiał się przenieść w przeszłość, doskonale i jak prawdziwy poeta widzi ją, słyszy, pamięta, opowiada. Sątu rapsody wielkiéj epopei, któréj bohaterem dawna kontuszowa Polska. Niechże nam ją autor rozwinie w jak największéj liczbie podobnych powieści; niech niezamykając się w jednéj tylko epoce, wszystkich tych dawnych i z różnego wieku Polaków antenatów, których szanowne rysy w napół zatartych i zamierzchłyck portretach, tu i ówdzie widzieć możemy; niech mówię całe to mnóstwo domowych naszych nieboszczyków, tak dla nas ciekawych, a między sobą podobnych, pozbiera z wysokich ścian zamków, z niskich kościołów miejskich, z zakrystyj, refektarzów, korytarzy i framug klasztornych, z kątów i strychów ratuszowych i trybunalskich, powyciąga nawet z grubych pajęczyn i czarnego kurzu nagrobków, nie przepomniawszy i tych, co tylko w starych sztychach heraldyków i kronikarzy mieszkają: a odświeżywszy im szaty, przetarłszy karabele, poprawiwszy wąsy i czapki, tchnie w nich na nowo wzrok, słuch i mowę, żeby pod piórem jego mogli znów popatrzeć, pogadać, pożyć po dawnemu, po krajowemu, po polsku. Niech ich rozprowadzi po ich dawnych komnatach, ich obozach, zjazdach, trybunałach, kołach szlacheckich i senatorskich, i po różnych scenach tego samego życia, które oni niegdyś, jak sejmik zgiełkliwy z hukiem, z szczękiem i paradą, a zawsze ze czcią i wiarą odbywali, — życia, na którego szczery opis nie jeden może z omdlałych i zcudzoziemczałych prawnuków krzywić się teraz będzie, jakby jaki niedołężnik, suchotnik krzywił się i słabnął na potężny zapach staréj butelki węgrzyna żywotniego; a zrobi rzecz pamiętną i sławną, stanie się wielkim malarzem historycznym.“

Spełnił autor Pamiątek Soplicy, życzenia wydawcy i przesłał mu drugi pamiątek tomik, zawierający powieści: *P. Ogiński, Tadeusz Rejten, P. Rewieński* i *Trybunał lubelski*, który Czytelnikom naszym podajemy.

instynktu, przypomniawszy sobie, że widywał mnie w bitwach, i że parę razy byłem do niego posłany z sekretnemi instrukcyami przez JW. Ogińskiego, wojew. witebsk., wówczas pana mojego, przez wzgląd na te moje jakieś zasługi dla kraju, powierzył mi attentowanie wszystkich spraw, jakieby mógł mieć tak w ziemstwie, jak i w grodzie nowogrodzkim.

Już od lat kilku chodziłem koło pańskich interessów, kiedy książe mi kazał jechać do Białéj z częścią swojego dworu, i tam na niego czekać. Książe przybywszy do Białéj, niedługo w niéj gościł i pojechał do Lublina, gdzie finalnie sądzona być miała jego sprawa zadawniona, która przez wielkie forsy przechodziła. Sięgała ona jeszcze czasów księcia Radziwiłła Sierotki, a okoliczności, z których wynikła, głośnemi są dotąd na Litwie. Książe Sierotka żył w ścisłych stósunkach z JW. Iliniczem, wojewodą brzeskim litewskim, co miał wielkie dobra, a między innemi Białę, w któréj mieszkał; kiedy więc powziął zamiar odbycia pielgrzymki do ziemi świętéj, powierzył go przyjacielowi swemu. A że w kraju, gdzie barbarzyństwo pogańskie panuje, gdzie morowe powietrze nie ustaje, gdzie dostać się nie można, jeno przebywając góry, morza i pustynie, podróż tak jest niebezpieczna, iż można było zakład trzymać, że się z niéj nie powróci; książe będąc kawalerem, i nie mając sukcessorów, prócz książąt Radziwiłłów, upartych Kalwinów, którzy go z powodu, że rewokował, ile mogli prześladowali, a tém i on do nich nie wiele miał serca, i nie rad był, aby po jego śmierci ogromne spuścizny miały wzbogacić nieżyczliwych krewnych, umyślił majątkiem swoim obdarzyć przyjaciół. Te wszystkie okoliczności przyjacielowi wynurzając, prosił go o radę. Na to Pan Ilinicz: „Jak zrobisz testament, mój książe, a Pan Bóg ciebie do kraju nie wróci, ci, których obdarzysz, nie będą korzystali z twojéj szczodroty. Ty wiesz, że w prawodawstwie naszém żaden testament nie jest tak mocnym, aby *interpretationi* nie podpadał: krewni twoi Radziwiłłowie Birżańscy, są silni, oni réj wodzą Dyssydentami obudwóch narodów, a w Litwie i Katolik nawet po twojéj śmierci ich nie odstąpi; zwalą twój testament, owładną twoje dobra i napełnią je Bombizami. Jabym ci radził, nie testamentem, ale formalną tranzakcyą rozporządzić majątek.“ — „A to jakim sposobem?“ zapytał książe. — „Ty nieżonaty“, odpowiedział JW. Ilinicz, „ja dzieci nie mam; zróbmy więc między sobą tranzakcyą na przeżycie. Ja pierwéj umrę? — wszystkie dobra twoje; Pan Bog ciebie pierwéj zawoła do chwały swojéj? — Słuczczyzna, Kojdanowszczyzna, Siebież, i co tylko teraz posiadasz, będą moje: a zjedzą diabła Kalwini, jeżeli mi jedną piędź twojéj ziemi wydrą.“ — „Zgoda“, powiedział książe. Zaraz oba panowie pojechali do Brześcia, dla przyznania sobie tranzakcyi. Książe Sierotka puścił się na pielgrzymkę. Minął rok jeden i drugi; już tedy JW. Ilinicz wyglądał tylko pewnego doniesienia o śmierci księcia; bo chodziły wieści, raz, że okręt, na którym płynął, rozbitym został; raz, że z dżumy umarł; inny raz, że bisurmanie go zabili. A że wojewoda był łakomy, bardzo niecierpliwie musiał oczekiwać dokładniejszéj wiadomości; pięć księstw i trzynaście hrabstw, nie piechotą chodzą! Ale człowiek sporządza, Pan Bóg rozrządza. Książe Sierotka wszystkie trudy i niebezpieczeństwa przy pomocy Anioła swego przebył i zdrów wrócił: szukał śmierci po szerokim świecie i jéj nie znalazł; a ona pana Ilinicza w jego własnych dobrach wytropiła. Bo kiedy książe Sierotka już wracał do Nieświeża, w Krakowie ledwo kilka dni zatrzymawszy się, obrócił podróż na Białę, aby przyjaciela uściskać, — aż wjeżdżając do miasta, spotyka kondukt bardzo okazały; zapytuje, kogo to prowadzą, i dowiaduje się, że JW. wojewodę Ilinicza, którego przed dwoma dniami na polowaniu niedźwiedź rozdarł. Oddał mu ostatnie posługi książe i szczerze po nim płakał, bo był czułego serca, jako o nim piszą, że nie było cnoty, któréjby nieposiadał. Ale że tranzakcya jak wół była wyraźna, dostało mu się czém łzy obetrzeć, i ubogim za duszę nieboszczyka świadczyć. Biała, Sławatycze, Zabludów, Mir, i tyle innych dóbr Iliniczowskich, weszły w dom Radziwiłłów. Tak jemu pielgrzymka i na ten i na tamten świat pomogła, bo był wart tego. Zona wojewody Ilinicza, Tarłówna z domu, miała posag swój oparty na dobrach męża: Książe Sierotka, chociaż ona nie miała dożywocia, póki żyła, ich nie tykał, zostawując jéj wszystkie dochody; a ona wywdzięczając się za tę łaskę, listem własnoręcznym zapewniła księcia, że ani sama, ani jéj sukcessorowie, o jéj posag nigdy upominać się nie będą, gdyż aż nadto została zaspokojona. Ale potém Tarłowie zaczęli pieniać księcia, jakoby takie ustępstwa kobiece, nie listem, ale tranzakcyą przyznaną w assystencyi krewnych, miały się robić. Przez lat półtorasta oto wszczynały się i urywały sprawy. Książe Michał Radziwiłł, hetman wielki litewski, ojciec księcia wojewody, na trybunale lubelskim zjechał się był z Tarłą, wojewodą lubelskim, który mu niemało nadokuczał, będąc najzuchwalszym z ludzi; ale wtenczas na niczém spełzło, a wkrótce JW. wojewoda lubelski, ostatni z domu Tarłów po mieczu, zginął na pojedynku od Jaś. Ośw. księcia Poniatowskiego, podkomorzego koronnego, o którym to pojedynku wiele było gadania. Sprawa dostała się w spadku Jaśn. Ośw. księciu Lubomirskiemu, marszałkowi



Cecylia Renata.

wielkiemu koronnemu. Jeśli świadomy jestem tego wszystkiego, nie dziw, bo od deski do deski, sto razy może przeczytałem wszystkie dokumenta, tyczące się téj sprawy.

Pojechaliśmy więc do Lublina za księciem. Do bryki, w któréj siedziałem, dodano mi pana Bartłomieja Chodźkę, dworzanina księcia. Dobry chłopiec, ale paliwoda, jakiego świat i korona polska niewidziały. Ojciec jego, sędzia ziemski upitski, miał piękny majątek i kilka razy deputatował na trybunał. Mógłby on sam wykierować syna, ale rady mu dać nie mógł, taki był zabijak. Oddał go do palestry, chcąc mieć niedaleko swego oka; ale ten więcéj szabelki, niż pióra pilnując, tyle ponakrawał łbów, że w jednym roku do trzydziestu tysięcy musiał zapłacić za jego burdy. Naprzykrzyło mu się; a że był spadkowie przyjacielem domu Radziwiłłów, a książe Radziwiłł lubił szlachtę łapczywą do korda, więc go oddał do Nieświeża. Wzrostu był małego i sucharlawy, figura niepoczesna; ale mało ludzi równéj siły i tak szablą robiących. Miał on pałasz cieniutki, który smyczkiem nazywał. Najmilsza jego zabawka była, wpaść między nieznajomych, i udając mazgaja, przyjść do zaczepki. Pozwalał naprzód z siebie żartować, potém odciął się czém grubém, żeby być wyzwanym, dopiero minę tchórza przybrawszy, wypraszał się od pojedynku, a nakoniec z musu niby bił się i kaléczył tych, co się na nim nie poznali. Ja, że byłem już ojcem dzieciom, a do tego zaszczycony przyjaźnią W. sędziego upitskiego, więc miałem przewagę na panu Bartłomieju, i wierzył mi. Bywało nieraz umityguj go, kiedy przyjechawszy do Nowogródka, wpadnie w burdę; bo on zawsze do mnie zajeżdżał, jako do sługi jednego dworu. Więc z nim na bryce siedziałem; a on, że nigdy dotąd z Litwy nie wyjechał, wypytywał się mię w drodze o koronie. Razu jednego mówi mi: „Wybacz panie Sewerynie, ale taki mój smyczek musi się pobratać z Koroniaszami; szczególnie radbym poznał jakiego Łęczycanina.“ — „A to czemu?“ — „Temu, że kiedy mnie w szkołach męczono, wyczytałem w Trocu, że Francuzi mówią: bić się po diabelsku, a Polacy: bić się po łęczycku. Tyle mi się zostało z całéj francuzczyzny. Otóż radbym się przekonał, czy lepsze gracze w Łęczycy, czy w Poniewieżu.“

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Opis uroczystości weselnych podczas ślubu Władysława IV. z Cecylią Renatą, w roku 1637., wyjęty z współczesnego rękopismu.

„Przyjechałem do Warszawy czterema dniami przed weselem, gdzie wielką drogość zastałem, a teraz jest jeszcze większa za zjazdem panów litewskich, biskupów i innych prałatów. A że Wisła mała, tedy nic do żywności należącego Warszawie dodać nie mogą wodą, zaczem dziwne a wielkie mdłości na mieszek padają. Król jegomość we czwartek przed niedzielą weselną powrócił do Warszawy z Jeży, majętności biskupa krakowskiego. Tam nieznacznie zajechał był dla widzenia i oglądania królowéj jéjmości. Skoro tak sobie postąpił, naprawił był jmć pana wojewodę sieradzkiego, jmć pana marszałka wielkiego koronnego, aby o audyencyą prosili królowéj jéjmości, którą ona pozwoliwszy w innéj izbie i dalszéj od swego pokoju, gdy po audyencyi wracała się do swego pokoju, król tylnemi pokojami zaszedł jéj drogę i we drzwiach stanął. Sama królowa jéjmość zdumiała się, iż któryś pan, po niemiecku ubrany, zastąpił jéj we drzwiach, i ustąpić nie chce. Poczęła sobą trwożyć, aż król jegomość postrzegłszy to strwożenie królowéj jéjmości, porwał ją za rękę i ścisnął. Królowa dopiero się domyśliła, że żadenby nie śmiał inny tego czynić okrom króla; natychmiast nisko aż do nóg się ukłoniła, potém w pokoju z sobą rozmawiali. Nazajutrz rano po śniadaniu odjechał król do Warszawy, gdzie dnia 10. Września wieczorem przybył. Królowa jéjmość potém wjeżdżała w sobotę dnia 12. Września; aż do Ujazdowa ksiądz biskup warmiński, Szyszkowski, z księdzem biskupem płockim i księdzem podkanclerzem, naprzeciwko niéj wyjeżdżali. Ze świeckich téż senatorów sześciu wojewodów litewskich i kasztelanów, także z duchownymi wyjechali do Ujazdowa. Przed wieczorem dopiero wysłano poczty bardzo ozdobne: kopijników 400 pięknie ubranych, piechoty różnéj 3,500 ludzi, osób konnych pod trzysta, i innych, dragonów, kozaków pod tysiąc. Było bardzo szumno od rzędów bogatych, koni dziarskich: zgoła pięknie wjechali z podziwieniem różnych narodów ludzi. Posłowie cudzoziemscy prowadzili królową, i na koniach tuż byli przy boku, jako to: poseł króla duńskiego, poseł cesarski, poseł kurfirszta brandenburskiego. Króla francuzkiego, angielskiego i hiszpańskiego posłów niebyło. Był poseł hiszpański w Warszawie, ale na tydzień przed weselem wyjechał;





Medale, wybite na pamiątkę zaślubin Władysława IV. z Cecylią Renatą.

co to za *artificium*, wywiem się pewnéj rzeczy i oznajmię. Dwie bramy, jednę przed Bernardynami, a drugą przed Gerardowym dworem od Ujazdowa, niedaleko od Bernardynów, postawili. Tam muzyki rozmaite dęte grały; król jegomość na cudnym koniu siwym tureckim siedział, w brud farbowanym, rząd bardzo kosztowny dyamentowy; ubiór na nim jako złota blaszka tak na nim nie leżała, ale stała: bardzo rzecz kosztowna i misternie robiona! Z dział bito, w trąby i bębny, w szałamaje, surmy: zdało się nam, że się Warszawa od wielkiego łoskotu i puków roztrząść miała. Kareta, w któréj królowa siedziała, bardzo kosztowna, trzydzieści sześć tysięcy kosztowała; sześć koni tureckich, w brud farbowanych, ciągnęło ją; szor aksamitny, błękitny, sprzączki złociste srebrne, woźnice od hatłasu i aksamitu, pętlice złote. Sama królowa, świetnie także ubrana, z Leopoldową, arcy-księżną, siedziała w karecie, a przed niemi królewna jéjmość z królewiczem Karólem, biskupem wrocławskim. Trębaczów króla jegomości 16stu ze srebrnemi trąbami, z munsztukami, i altembasy przy trąbach, a królewskie herby złotem haftowane były. Dwa bębny usarskie srebrne, bardzo wielkie, z herbem królewskim na obudwóch, pozłocistym. Gdy do miasta wjechali, zaraz pominąwszy zamek, do kościoła ś. Jana przyjechali; tam królową jéjmość ksiądz biskup poznański z kanonikami witał. Potém benedykcyą dawał ksiądz arcybiskup gnieźnieński, i potwierdzenie było ślubu, ratyfikując ślub w Wiedniu uczyniony. Potém: *Te Deum laudamus*, po którém piechotą król jegomość szedł przed królową, a za nim królowa szła; dwanaście pacholąt poprzedzało królestwo ichmość z świecami jarzęcemi. Tam dopiero muzyki po gankach, oknach pokojowych, tamże i strzelbę wypuszczono. Z dział i ręcznéj strzelby bardzo wielkie ognie dawali, tak, że niejedna kamienica, mianowicie okna, akt ten poczuły. Niektórzy panowie zostali, zaprowadziwszy królową, a większa część do kamienic się rozjechała. Potém w nocy *privatim* wieczerza była. Nazajutrz w niedzielę nierychło bardzo król jegomość z królową do kościoła przyszli, aż o czwartéj godzinie z południa poczęła się msza święta, którą odprawował ksiądz arcybiskup gnieźnieński i ten akt koronacyi czynił. Przyczyna tak nierychłego przyjścia królestwa ichmość była, że poseł króla duńskiego chciał podsiadać legata papieskiego, który też niechciał dać precedencyi onemu. Sam król jmć przez wielu ludzi kilka godzin traktował, tak, że się akkomodowało, że legat na swojém miejscu siedział, a poseł duński podle królewicza Kaźimierza, przed którym klęczała królewna, przed nią arcyksiężna Leopoldowa, a potém na majestacie królowa pod baldakinem, nakoniec król. biskupów czternastu było z suffraganami *pontificaliter* ubranych. Królowa kommunikowała przy mszy z rąk księdza arcybiskupa gnie-

żnieńskiego; król jmć i ona na ofiarę chodzili; król jmć w ubiorze królewskim, w kapie, dalmatykach, jako biskup siedział, oprócz tylko mitry, albo infuły, ale na to miejsce korona królewska na głowie była; królowa podle niego na sążeń siedziała z koroną na głowie, w prawéj ręce berło trzymając, w lewéj jabłko złote z krzyżykiem; muzyka po wszystkim kościele bardzo głośna, krzykliwa. Po tém nabożeństwie, odprawiwszy jmć ksiądz arcybiskup gnieźnieński mszą, zaczął: *Te Deum laudamus.* Muzyka kończyła, a królestwo ruszyło się z jmć panami senatorami do zamku. Tam rozmaite strzelanie, znowu inne muzyki w zamku, gdzie muzycy śpiewaniem swém wdzięczném witali królowę, śpiewając: *Salve Caecilia Renata, Regina Poloniae.* Tam daléj w takim tumulcie i ludzi i samychże muzyków i instrumentalistów, trudno było wyrozumieć dalszego textu: skończyło się to przed szóstą na półzegarzu przy świecach: począł się obiad na sali nowéj; stołów było dziewięć długich przez salę, ale ani jmć ksiądz biskup gnieźnieński, ani legat, ani inni biskupi i wielu panów nie było, do kamienic swych poodjeżdżawszy. Potém zaś zgromadzili się i byli świeccy panowie na tym bankiecie i tańcowali. W nocy race miasto wyprawiało i ognie rozmaite. Ojcowie téż Jezuici, oprócz nich żadni insi księża nieodprawowali takich figlów jako oni: rozmaitemi lampami, ogniami, obrotami słonecznemi, miesięcznemi, wieżę swoję przykryli i otoczyli. Panowie ze dworów swych ognie palili, race puszczali, mianowicie z batu szumnego, który Gdańszczanie w podarunku królowi jegomości przysłali; tam race puszczali rozmaite. A jmćpan podskarbi koronny foremne i odważne ognie i race puszczać kazał z wieży, na dworze jego umyślnie dla tego uczynionéj. Tak noc niedzielna przeszła i odprawowała się w ogniu ustawicznym i racach. Inne dni weselne, jako się odprawiły, wie, kto był przy tém.“ —

Związek Władysława IV. z Cecylią Renatą, arcyksiężniczką austryacką, powodem był do wybicia umieszczonych tu medalów, wyjętych z szacownego dzieła hr. Edw. Raczyńskiego. — „Pomimo obstawania Polaków przy zgubném prawidle wolnéj elekcyi, życzył naród potomstwa panującemu królowi tém więcéj, iż dwaj młodzi bracia królewscy, Jan Albrecht i Alexander Karól, wkrótce po ojcu swoim Zygmuncie III. byli zmarli. Zamiarem było Władysława IV. pojąć za żonę Elżbietę, córkę Palatyna Renu; księżniczka ta przecież w wierze protestanckiéj wychowaną była, co Polaków od niéj odstręczało; zamyślał potém Władysław IV. o księżniczce mantuańskiéj, która później żoną jego została, lecz i ten związek nie przyszedł do skutku; a stósunki ówczesne dworu polskiego i austryackiego powodem były królowi, że się oświadczył o rękę arcyksiężniczki Cecylii Renaty, którą Jan Kaźimierz, królewicz, posłem do Wiednia wysłany, zaślubił bratu dnia 9. Sierpnia 1637 roku.

Pierwszy medal większy wystawia króla i królowę, przy stole ręce sobie podających. Napis w otoku: VLADISLAUS IV. POL(oniae) SUEC.Q. (Sueciaeque) REX ET CAECILIA RENATA ARCHIDUX AUSTR(iae) SPONSI AUGUSTISSIMI; tojest: Władysław IV., król polski i szwedzki, i Cecylia Renata, arcyksiężniczka austryacka, małżonkowie najjaśniejsi. — Drugi zaś wiersz w około: HUNC GENUIT BOREAS HAEC NOMEN DUCIT AB AUSTRO REGIBUS HIS MUNDI PLAUDIT UTRUMQ(ue) LATUS; tojest: Ten na północy zrodzony, ta od południa; z obu stron świata uwielbiają ich. U góry medalu są aniołowie.

Strona odwrotna: Mars i Pallas trzymają koronę nad sercami gorejącemi; po jednéj stronie jest herb polski, po drugiéj austryacki; w około we dwóch wierszach napis: ASPICE QUAM FAUSTO COEANT IN FOEDERA NEXU SARMATA LIBERTAS AUSTRIACUM IMPERIUM DI RERUM DOMINI FACIANT PLACIDEQUE DIUQUE GAUDEAT UT TANTIS ISTUD ET ILLA BONIS; tojest: Patrzaj, jak się przyjaźnią połączyły wolność sarmacka z dawną Austryaków chwałą. Nieba sprawcie, aby w długie czasy oboje w obfite opływały dary.

Drugi medal. Str. główna: Cyfra Władysława IV. i Cecylii Renaty, nad nią korona, u góry w płomieniach imię Jezus i napis: IN MEMORIAM REGIARUM NUPTIARUM; tojest: Na pamiątkę królewskich zaślubin.

Str. odwrotna: Herby na dwóch tarczach, polski i austryacki, i dokończenie napisu strony głównéj: CELEBRATARUM VARSAVIAE 13. SEPT(embris) 1637.; tojest: Odprawionych w Warszawie dnia 13. Września 1637. Nad tarczami jest napis: AUTOR CONJUGII DEUS, t. j.: Bóg małżeństwo ustanowił.

O Daguerotypie.

Wielkie optyczne odkrycie Daguera, do ustalenia i schwycenia obrazów w *Camera obscura* odbitych, już nareszcie światu objawione zostało. Wynalazca, par Daguere, zaszczycony poprzednie krzyżem legii honorowéj, teraz w nagrodę swych zasług i ważności wynalazku, otrzymał od narodu francuzkiego dożywotnią roczną pensyą, 6,000 franków. Sławny badacz natury, pan Arago, na dniu 19. Sierpnia czynił z tego tak ważnego wynalazku sprawozdanie w akademii, w którém podał najprzód w krótkości historyą *Camera obscura*, mogącą w téj chwili nie jednego interesować. *Camera obscura*, dotąd igraszka i zabawka dzieci, przez Daguera zaś do doskonałości najbieglejszego ry-

sownika podniesiona, a nawet w wierności naśladowania przedmiotów wyższa nad wszelką sztukę, była wynaleziona w połowie 16. wieku przez neapolitańskiego lekarza, Jana Baptystę Porta, pilnego badacza natury. Najsławniejsi uczeni czasu odwiedzali dom jego, tak że Porta założył tak nazwaną *Academia degli arcani*, której członkowie obowiązani byli udzielać sobie nieznanych dotąd użytecznych wynalazków. Tym sposobem zebrał sobie materyały do swego ważnego dzieła: *J. B. Portae Magiae naturalis, seu de miraculis rerum naturalium libri IV. Neap.* 1558. *fol.*, które prawie na wszystkie europejskie języki, nawet na arabski, przełożone zostało.

Porta pisze w tém dziele, że przez mały otwór, w okiennicy zamkniętéj zrobiony, wszystkie zewnętrzne przedmioty odbijają się na płaszczyznie białéj, w pokoju naprzeciwko trzymanéj, w naturalnych kolorach, tylko odwrotnie; wprawiwszy zaś w otwór szkło wklęsłe, stają się przedmioty daleko wyraźniejsze, tak dalece, że nawet rysy znajomych osób rozpoznać można. Za pomocą więc izby tak zaciemnionéj, można otrzymać najdokładniejsze obrazy ludzi, zwierząt i innych przedmiotów, a nawet obserwować zaćmienie słońca. Porta użył także w miejsce naturalnych przedmiotów, małych malowanych obrazków, które blisko szkła wklęsłego odwrotnie ustawił, tak, aby od słońca oświecone były, i którym różne mógł dawać poruszenia, przez co naśladował polowanie, co wtenczas za nadzwyczajne cuda uchodziło. Zaraz z początku, dodaje Arago, żałowano, że tak pięknych obrazów nie można schwycić; a gdy przy końcu zeszłego wieku działanie światła na zmianę koloru papieru, w saletrzanym niedokwasie srebra zamaczanego, rozgłosiło się, czynił francuzki badacz natury, Charles, w téj mierze doświadczenia, równie jak i sławny angielski chemik i fabrykant porcelany Wogwood, które atoli bez skutku pozostały.

Około roku 1815. powtarzali te same doświadczenia najprzód niezależnie jeden od drugiego, póżniéj poznawszy się wspólnie, pan Nièpce, właściciel dóbr z okolicy Chalons nad Saoną, i nasz Daguere, i doszli nareszcie, po przezwyciężonych wielu trudnościach, do tego rezultatu, że w 14. Grudnia 1829. zawarli formalną ugodę, w celu dalszego wydoskonalenia manipulacyi, zkąd się okazuje, że główną ideę podał Daguere. (*)

To udoskonalenie nareszcie się udało, i Arago utrzymuje, że na mocy najściślejszych badań kommissyi, za pomocą Daguerotypu otrzymane obrazy, wyjąwszy kolory, tak są odbitym przedmiotom podobne, że tak dokładnie nie ludzka ręka, ale chyba sama tylko natura rysować potrafi. Za pomocą téj *Camery* będzie można, n. p. miliony hieroglifów egipskich w jednéj chwili przekopijować; ryciny znanego francuzkiego dzieła w tym przedmiocie zmaleją i znikną przy tém nowém odbiciu, a jeden człowiek z tém czarodziejskiém narzędziem, w jednéj chwili więcéj dokaże, jak całe uczone towarzystwa przez przeciąg lat kilku. Obrazy Daguera nie są to rysunki liniowe, lecz czyste tynty, jakie natura przedstawia, które szczególniéj w oddaleniu i przez szkło powiększające widziane, magiczne czynią wrażenie. (*)

Manipulacya jest następująca:

Tabliczka miedziana, obłożona cienką blaszką srebra, na któréj się ów odcień obrazowy odbija, wstawia się najprzód w naczynie, gdzie się wsypało nieco jodu, który w zwyczajnéj temperaturze ulatując, okłada srebro żółtą powłoką. Tak przygotowaną tabliczkę wstawia się w *camerę* na działanie światła. Wyjąwszy ją po kilku minutach, nie widać na niéj żadnéj figury. Żółta powłoka jodu na srebrze, na któréj się obraz odcisnął, nie okazuje żadnéj zmiany. Tabliczka ta wstawia się w inne naczynie, gdzie się znajduje merkuryusz, pod którém zapala się lampa z spirytusem.

Ogień rozgrzewa merkuryusz i zamienia go na wapory. Natychmiast te ulotnione, czepiają się tych miejsc, na które światło padało, nie chwytając się bynajmniéj innych, gdzie był cień, i zmniejszając się w stósunku, jak światło słabieje. Przy świecy można już tym sposobem widzieć, jak się obraz z téj powierzchni wynurza, jak owe wapory merkuryuszowe wydobywają wszędzie pożądaną figurę, w miarę, jak na powierzchni mniéj lub więcéj oświeconéj osiadły.

Wyjaśnienie tego fenomenu jest następujące: Przez działanie światła ulotni się w *Camera obscura* jod, powierzchnią srebra składający, w miejscach przez światło dotkniętych. Te więc miejsca obnażone, wystawiają metal na działanie waporów merkuryuszowych w czasie dru-

(*) Sukcessorowie pana Nièpce otrzymali 4,000 fr. pensyi, jako wynagrodzenie współudziału w tém ważném odkryciu.

(*) Najbardziéj na tych obrazkach podziwiają wierność i dokładność w wykonaniu, do jakiéj ani oko, ani ręka ludzka wcale niezdolne. Próby okazywane w izbie deputowanych w Paryżu, wystawiały widok trzech ulic w Paryżu, wnętrze warsztatu pana Daguera, i grupę bustów muzeum starożytności. Najmniejsze wzniesienie bruku lub wypukłość muru, towary powykładane na ulicach, najdelikatniejsze przedmioty, drobne kamyczki pod wodą w kanałach i różne stopnie ich przebijania się przez wodę; wszystko to jest z niepojętą dokładnością oddane. Jeszcze bardziéj zdumiewamy się, jeżeli weźmiemy do ręki szkło powiększające, spostrzegając mianowicie w liściu drzew tyle nowych szczegółów, których gołe oko dostrzedz nie mogło. W izbie deputowanych pokazywane tabliczki były 9 do 10 cali długie, 6 do 7 szerokie. Pan Daguere szacuje wartość takiéj miedzianéj, srebrną blaszką obłożonéj tabliczki, prawie na 4 franki; cały zaś apparat ma kosztować 400 franków.

giéj operacyi, tworząc na tych punktach białe blade amalgama.

Z początku nie można było tych eterycznych obrazów wcale się dotknąć, ani ich daléj przesłać bez uszkodzenia; lecz teraz wynaleziono już pewien pokost, polewając tę tablicę jedną częścią dextriny, rozpuszczonéj w pięciu częściach wrzącéj wody; pokost ten nieszkodzi bynajmniéj piękności obrazów, a czyni je dopiero przystępnemi dla rysownika, lub rytownika, którzy je teraz jak zwyczajny rysunek, lub przez przezroczysty papier przekopijować, lub też na tym samym metalu zaraz sztychować (igłą ryć) mogą, aby je w tysiącznych rozpowszechniać exemplarzach.

O polskim języku łowieckim i o świecie łowieckim.

(Koniec.)

Zagłębmy się daléj w świat łowiecki, tu się dowiemy od starych myśliwych, że państwo zwierząt istnieje w niedostępnych borach, że w niém dziwne, nam nieznane, mieszkają zwierzęta; że niedźwiedź rozumie mowę ludzką i sam czasem przemawia; że wilk pięciu głosami wyje w łapę, że mu corok po jednéj przybywa wątrobie, że na niego głosem wołać nie należy, aby nie ochrypnąć; że jeśli człowiek wilka pierwszy postrzeże, to wilk się zlęknie; jeśli zaś wilk człowieka, to człowiek. Że starego dzika inne trzebią, i wtedy **samotnikiem** nazwany, pustelnicze wiedzie życie. Że sarny z upodobaniem wpatrują się w ludzi, że ich oczy wzbudzają miłość; że postrzelone niektóre zwierzęta, jako jelenie, sarny, wyszukują zioła i niemi się leczą; że w pieleszach znajdywano drogie kamienie i pierścienie; że w gniazdach zwierząt bywały kamyki czarodziejskiéj mocy. Tu nam powiedzą, jak bobry domki budują, jak się rządzą, jak ścigane odgryzują sobie strój i rzucają strzelcom, jak kozy olbrzymie robią skoki; jakich przebiegów używają zwierzęta w obronie; jakie bitwy toczą ptaki między sobą i z zwierzęty; a daléj o złotach bocianów; ich pielgrzymkach, o ich sądach, o ich przywiązaniu do ojczyzny i rodziców, i innych cnotach, dla których nie godzi się je zabijać. Tu nam powiedzą, że naczynia z rogów żubra są bardzo zdrowe i w wielu słabościach pomocne; że sadło niedźwiedzia, smarując nim czoło, pamięć naprawią; że skrom zajęczy dobry na odciski i odmrożenie członków; że wpatrywanie się w żołnę wzrok naprawia; że strój bobrowy kaszel uśmierza; że rogi jelenie starte i używane do picia, piersi wzmacniają; że podkadzanie nosem lisim ratuje w niebezpieczeństwach poronienia. (*) Tu nam odkryją tajemnice zwabiania zwierzyny, sprowadzania téjże aż pod wrota, przeczuwania i unikania niebezpieczeństwa. Tu nam wspomną dawnoczesne łowy i przygody łowców i dzielność koni i usługi sokołów, miłosne przynoszących upominki; tu usłyszymy o miłości niedźwiedzi ku niewiastom; jak niedźwiedź, wykradłszy córkę pewnego szlachcica, chował ją przez trzy lata, dzbanuszki jéj wyplatał ze trzciny, wodę ze zdroju nosił, jagody zbierał w gaju, a wieczorami bawił graniem na skrzypcach; i różne inne o podobnych miłostkach powieści. Jak zaślepionym myśliwym, wytępiającym bez miary zwierzynę, objawiały się wielkie, starością omszone jelenie, błagając o zachowanie mieszkańców leśnych, i rycerze wstrzymywali krwawe zapędy — bo przodkowie nasi mieli serce równie poczciwe, jak bitne ramię. Jak się polującym ukazowały zwierzęta z krzyżem między rogami i innémi cudownémi znakami. Według podania, kościół na górze świętokrzyskiéj winien swój początek podobnemu zdarzeniu. Mówią, że gdzieś w górach mieszkają najdoskonalsi strzelcy, mający pałac podziemny i w nim zawsze obficie wybornéj zwierzyny, a w piwnicach przednie napoje i ogromne skarby. Ci myśliwi od dawnych czasów mieszkać mają w tém podziemiu; nieraz w ich okolicy słychać granie psów, szelest sokołów, trąbki i wystrzały, ale biada ciekawemu, któryby się śmiał zbliżyć ku ich pałacowi. ‚Mają oni kiedyś zejść na dół i pokazać się. A powieści wreszcie o napadach wilków, o trudach i przyjemnościach myśliwskich, i t. d., śliczne zmyślenia! ozłacają ponure zimowe wieczory i sny roskoszne nawodzą.

Z przysłów łowieckich, których jest dużo, przytaczam: Człowiek strzela, Pan Bóg kulę nosi. Chartem, jastrzębiem, przyjaźń jednają. Skoki przypiekać, znaczy myślistwa nie znać, albo polować jak król Popiel. Kto jedzie na niedźwiedzia, niech sobie łóżko gotuje; a kto na wieprza, grób. Ogar łakomy, chart pokorny, wyżeł zwajcza, dobrzy bywają.

Patronem łowów jest Święty Hubert; przypada 3. Listopada. Po Świętym Bartłomieju, tojest po 24. Sierpnia, rozpoczynają się polowania.

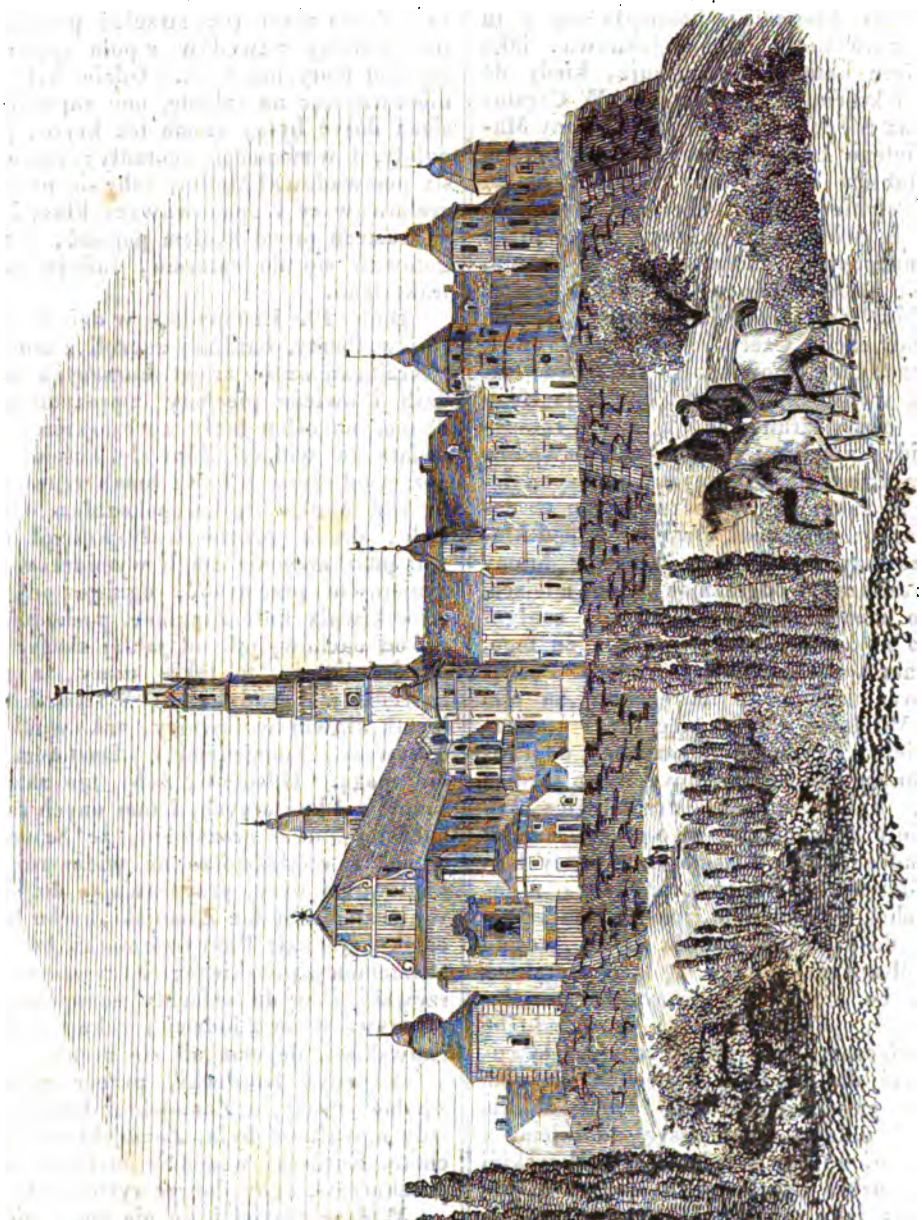
Józef hr. *Dunin-Borkowski.*

(*) Przekonałem się własném doświadczeniem, że ten środek bardzo skuteczny i powinienby być szczególniéj po wsiach upowszechniony.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (*Red. J. Łukaszewicz.*)

Przyjaciel Ludu.

Rok szósty. **No. 18.** **Leszno,** *dnia* **2.** *Listopada* **1839.**



Kościół częstochowski w roku 1829.

Oblężenie Częstochowy przez Szwedów w roku 1655.

(Wyjątek z Pamiętników do panowania Jana Kazimierza, które hr. E. Raczyński wkrótce drukiem ogłosi.)

Müller nie tak z nabożeństwa chciał być w klasztorze częstochowskim, jako z łakomstwa, raczéj się ofiarował dla skarbów, niżeli majestatu Boskiego błagania; pokazała się i tu szczera intencya króla Karóla Gustawa, jako szczerze wiarę katolicką utrzymuje, kiedy do klasztorów i kościołów szturmuje. W Częstochowie obraz Niepokalanie Poczętéj Panny Maryi, od świętego Łukasza, ewangelisty, na cyprysowéj tablicy odmalowany, od tak wielu lat cudami słynie; ztąd łakomstwo Szwedom urosło, że tu wielkie są skarby, przez kilka set lat od nabożnych, ofiarujących swoje wota, zgromadzone, które łakomstwo heretyckie chciało ztąd zagrabić. Najpierwéj Jan Weihard, hrabia na Wrzeszowicach, Czech rodem, instygował, jako natenczas ludzie powiadali. Burchard Müller, generał wojsk szwedzkich, chciał te Bogu poświęcone ofiary zrabować, a na Wrzeszowicza inwidyą zwalić, i onego z 4000 Szwedów przodem do Częstochowy ordynował, spodziewając się, iż zakonnicy ustraszeni, sami te dostatki wydadzą; przyszedł z wojskiem pod klasztór, kazawszy trąbić, aby klasztór bramy otworzyć rozkazał, odgrażając temu miejscu, do którego z nabożeństwem przedtém czołgał się. Na co zakonnicy odpowiedzieli: że tego, co Bogu ofiarowano, porzucić trudno. Począł tedy dobywać klasztoru; następował za nim Müller od Wielunia z 9000 piechoty i z armatami, tudzież z strasznym apparatem, do Prus przygotowanym, do Częstochowy mimo jazdem obróconym. Spodziewał się Wrzeszowicz, że wyperswaduje zakonnikom, jako przedtém miał z nimi konfidencyą, że klasztór zwycięzcy Karólowi, królowi szwedzkiemu, poddadzą, a jeżeli nie zechcą dobrowolnie, postraszeni szturmowaniem, do protekcyi Karóla króla, wespół z całém królestwem, garnąć się zechcą. Lecz omylił się, bo nie chcieli prezydium szwedzkiego przyjąć, powiedziawszy, iż na służbę Boską poświęceni, poprzysięgli miejsce to cudowne bronić do upadłéj, świeckim ludziom obrony nie powierzać. Króla Jaśnie Mości szwedzkiego należytą submissyą adorujemy i wiemy dobrze, że bez wiadomości królewskiéj wojsko szwedzkie Częstochowę atakuje gwałtownie, który jako protektor królestwa polskiego, tak i wiary świętéj katolickiéj, nie kazał tego czynić. Mieli i salwę gwardyą na piśmie od króla, którą Częstochowę wziąwszy w swoję opiekę, od wszelkich ciężarów żołnierskich uwolnił i od atakowania bronić deklarował; gdy się tém klasztor wymówić nie mógł, zaczęli Szwedzi mury z armat burzyć, zatém granaty i ogniste kule rzucać, któremi zapalili gumna klasztorne z różném zbożem; wystawiono przeciw klasztorowi szańce, na nich kosze ziemią nasypane; armaty zatoczono od północy, gdzie Müllera była kwatera, i do szturmu gotowali się Szwedzi, z drugiéj strony Landgraf heski i Wacław Sadowski, półkownik, także szańce wysypali i z armat ustawnie bili. Lecz nie siła szkodzili, bo we środku murów ziemia była. Z klasztoru téż strzelać poczęli, że we trzy godziny Szwedów z pola spędzili, ażeby się pod mury nie kryli. Gdzie były budynki, nie zważając na szkodę, one zapalili, lubo tam siana dosyć było, słomą téż kryte, prędko się zajęły, i w momencie zgorzały; zatém przez listy perswadował Müller, żeby się poddali, chcąc zrabowawszy i opanowawszy klasztór, tém się w Prusiech przed królem popisać, a tymczasem gotowali się do szturmu, łudząc zakonników traktatami.

Dnia 19. Listopada, w dzień ofiarowania Najśw. Panny, bardziéj zaczęli z armat bić, bo z Krakowa sześć armat burzących przyprowadzili i świeże piechoty z prezydium sprowadzone, na oślep lazły z wrzaskiem; od prochu świata nie widać. Zdał się kościół i klasztór gorzeć od częstych kul i bomb rzuconych. Lecz tu cud Matka Boska pokazała: odskakiwały kule, drugie przelatywały kościół i klasztór. Ani puszkarze nie mogli wymiarkować, ani inżynierowie przemyślić, ogniste od dachówki odskakiwały kule zapalone, pochodnie odbijały się od dachów, jak od jakiéj skały. Heretycy powiadali, że to jakie czary, a tymczasem Szwedzi jak grad lecieli. Wstydzili się zatém, iż tak sławni wojownicy, tak wielkich fortec dobywszy, z mnichami i klasztorem rady dać nie mogą. Odstąpili, żeby nie rażono onych z murów klasztornych, i tam onych rażili. Najbardziéj Müller urażał się, że Szwedzi szturmują, a w klasztorze na wieży różne muzyki i śpiewania były, przygrawając do bitwy. Był w klasztorze Stefan Zamojski, herbu Róża, Miecznik sieradzki; Piotr Czarniecki, brat stryjeczny kasztelana kijowskiego; Krzysztoporski, Skórzewski i wielu szlachty sieradzkiéj, którzy złączywszy się z ludźmi i zakonnikami częstochowskimi, dopomagali się bronić.

Augustyn Kordecki, przeor częstochowski, z jednéj strony, a Zamojski z drugiéj pilnowali. Gdy nawałność była, Zamojski ordynował piechotę, Kordecki wszędzie doglądał, najbardziéj puszkarzów, żeby dobrze rychtowali armaty.

Widząc Szwedzi, że nie mogą nic wskórać, zatém i noc nadchodziła, odstąpili. Czarniecki nie dając wyspać się spokojnie Szwedom, w nocy z sześciudziesiąt piechoty wypadł z klasztoru w same pierwospy i cichuteńko aż do kwatery Müllera przybywszy, spracowanych i śpiących, okrzyk zrobiwszy, zabijał; polękli się wszyscy podczas ciemnéj nocy; Müller porwawszy

się z łóżka, kazał trąbić, pobudzając Szwedów do obrony. Czarniecki, kawaler silny i odważny, placową straż zniósł, i na szaniec wlazłszy, pozabijał co było na straży; na przybywających w sukursie śmiało następując, onych rozgromił. Całą noc nie dał Szwedom odpoczynku, i więcéj Szwedów zginęło, niż ludzi z klasztoru wypadło; zabity z szwedzkiéj strony graf Horn, człowiek zacny, w Krzepicach był na prezydium komendantem, inżynierem sławnym był przy armacie; ręką Czarnieckiego zabitym został i Włoch, oberst-lieutenant u Szwedów, nazwany de Fossis; tam zginął także kapitan od regimentu Wrzeszowicza; siła prostych żołnierzy nie doliczyli się; do Krzepic trupów i rannych prowadzili; z częstochowskich ludzi jeden tylko Węgrzyn zginął, i to od swoich, bo opodal niepoznany, w nocy z strzelby zastrzelony.

Zatém Müller mnichom tylko perswadował, żeby się poddali. Znaleźli się i w klasztorze tacy, co zakonnikom perswadowali, aby się zdali; lecz nie słuchali onych zakonnicy; nieprzyjacielskich pogróżek nie bali się oni, perswazyi zdradliwych nie akceptowali, mężnie szturmy wytrzymywali, buntujących się żołnierzy częstochowskich zgromili; tak zakonników, jako i szlachtę, co się zlękli, do odwagi i rezolucyi pobudzali, w murach i wałach wybite dziury zatykali, jedném słowem, mężnie nieprzyjacielowi obronili się. Nieludzką jednak siłą, ale Boską obroną i Panny Najświętszéj.

Spuścił Pan Bóg taką mgłę, że nie mogli trafić do klasztoru. Pannę w niebieskiéj szacie armaty rychtującą i przeciwną kulę odpychającą, sam Müller widział; sędziwy staruszek, skałę kujących, dla podsadzenia min pod klasztór, wypędził z jamy Szwedów. Także żołnierza szwedzkiego, do obrazu strzelić chcącego, znaleźli zdrętwiałego; drugiemu, jak do twarzy flintę przyłożył, zmierzającemu do obrazu, flinta przyrosła do twarzy, aż cyrulik musiał od twarzy pruć. Dziecięciu, w kolebce leżącemu, kula granatu rozsypawszy się przed kolebką, żadnéj szkody ani strachu nie udziałała; sześciu puszkarzy szwedzkich, zapalających armaty, proch zapałem wyskoczywszy, oślepił ich, i poroztrzaskiwały się armaty. Czego doczyta się ciekawy z historyi klasztornéj.

Żołnierze, co w Krakowie na prezydium byli, w księstwie siewierskiém rozłożeni, odpoczywali podług traktatu, z królem szwedzkim uczynionego, mianowicie regiment gwardyi króla Kazimierza, w komendzie Wolfa, starosty dyneburskiego, będący. Nie obawiali się żadnéj zdrady, bo to sobie warowali poddając się w Krakowie; Müller nie mogąc Częstochowy dobyć z szwedzką piechotą, wysłał jazdę szwedzką i zagarnął ten regiment, kazał mu przysiądz, że szczerze będą służyć królowi szwedzkiemu; musieli wykonać jurament, ogarnieni szwedzkiém wojskiem. Po przysiędze onych ordynował, aby szturmowali do Częstochowy; poznali chorągwie i ludzi polskich księża częstochowscy; narzekają na nich, iż Katolikami będąc, następują na klasztór, Matki Bożéj przybytek; lecz gdy jeden z żołnierzy dostał się do klasztoru, uczynił relacyą o przymuszeniu tych żołnierzy.

Zatém Czarniecki, kasztelan kijowski, doznawszy zdrady takiéj od Szwedów, rozweselił się, że mu Szwedzi nie dotrzymali traktatów i dali okazyą, aby zaczął ojczyzny bronić; nie czekając, żeby mu więcéj ludzi zabrano, ruszył się z dywizyą swoją w góry.

Zatopili księża częstochowscy srebro kościelne w stawie, nie dufając klasztorowi, żeby Szwedzi dobywszy onego, nie zabrali. Było przy Szwedach więcéj tysięcy Polaków w kommendzie Kalińskiego i Kuklinowskiego, półkowników; tych czeladź, pływacze sprawni, chcąc ryb ułowić w stawie klasztornym, zapuścili sieć, i zamiast ryb, srebro kościelne wyciągnęli. Panowie o tém dowiedzieli się; koło tego srebra harmider wielki powstał; towarzystwo sobie, Müller sobie, pretendowali. Polacy nie chcieli dać Szwedowi, Szwed zaś Polakom; gwałtem chciał wydrzeć onym Müller; Polacy certując odpowiedzieli: nasze szczęście, cośmy znaleźli, nam należy, nie tobie, ale że to kościelne rzeczy, Bogu poświęcone, niechże się Bogu dostaną. Na czém Müller przestał, widząc, że nie wydrze od Polaków; aby się tedy ni Polakom, ni jemu nie dostało, odsyłają do klasztoru.

Posyła Müller do księży srebro to z oświadczeniem, że je mają z łaski jego, którego gdyby nie kazał powrócić klasztorowi, pewnieby hultajstwo polskie rozszarpało one. Piotr Śladkowski, rotmistrz tychże Polaków, z tym komplementem od Müllera do księży był wysłany, mając od Müllera ordynans, aby księży obligował do poddania się; ale on jako Katolik, perswadował księżom, żeby się jak zaczęli, do końca mężnie bronili, oznajmując, że wkrótce król Kazimierz do ojczyzny powróci, któremu Tatarowie idą w sukkurs, ponieważ go Polacy odstąpili.

Dokuczała zima, nie dozwalając więcéj szturmować, ani aproszów kopać; Müller z desperacyi, że dobyć nie może Częstochowy, szalał, albowiem w Niemczech wojując, miał wielką reputacyą, nie jednę dobywszy fortecę, a tu z Mnichami nic wskórać nie może. Najbardziéj to go bolało, że się księża pokornie prosili, a strzelali gęsto z armat i zawsze szkodzili, jako tedy natenczas siostrzana jego, na pościeli leżącego, armatna kula, z klasztoru przyleciawszy, w drobne kawałki roszarpała, samego w nocy jakieś straszydło mało nie zadusiło. Kilka armat porwali klasztorni ludzie, drugim otwory zatkali, iż nie można było więcéj z nich strze-

lać; siła officerów w szturmach poginęło, tak dalece, że u Szwedów urosło przysłowie: jeśliś dobry pachołek, idź, szturmuj do Częstochowy. Ostatni szturm w samo Boże Narodzenie przypuścił Müller do Częstochowy, wielkim grzmotem z armat bijąc, wszystkiemi siłami na skały i mury pnąc się; ustraszeni we środku, mieszać się poczęli księża i garnizonowi desperują o obronieniu się. Lecz Bóg nie chciał dać w pohańbienie miejsca tego, sobie poświęconego, nastraszył Mnichów i żołnierzy, żeby sobie téj obrony nie przypisywali, ale pomocy Boskiéj onę przyznawali i majestatu jego o wspomożenie rzewliwie dopraszali się: po suplikacyach, niespodziewana śmiałość i rezolucya we wszystkich znalazła się; Kordecki, przeór, zakonników, Zamojski, szlachtę napominali, także garnizonowych ludzi, a chcąc słowa swoje uczynkiem potwierdzić, wypadł z klasztoru Zamojski w samo południe, znalazł kujących skałę dla podsadzenia min, 13 onych wyciął, drugich rozpłoszył, siła poraźiwszy, aż w same aprosze wpadł. Potém opodal od klasztoru, obrawszy sobie kwaterę Müller, jadł obiad, a przy obiedzie zębami zgrzytając, odgrażał się kościół i klasztór do góry nogami przewrócić; w momencie, armatna kula przeszywszy ścianę, potrawy rozrzuciła, kieliszki i flaszę potłukła, i siedzących u stołu rozpędziła, Müllera w ramie, już się zmógłszy, trafiła, iż padł na ziemię; zatem wszyscy rozpłoszyli się.

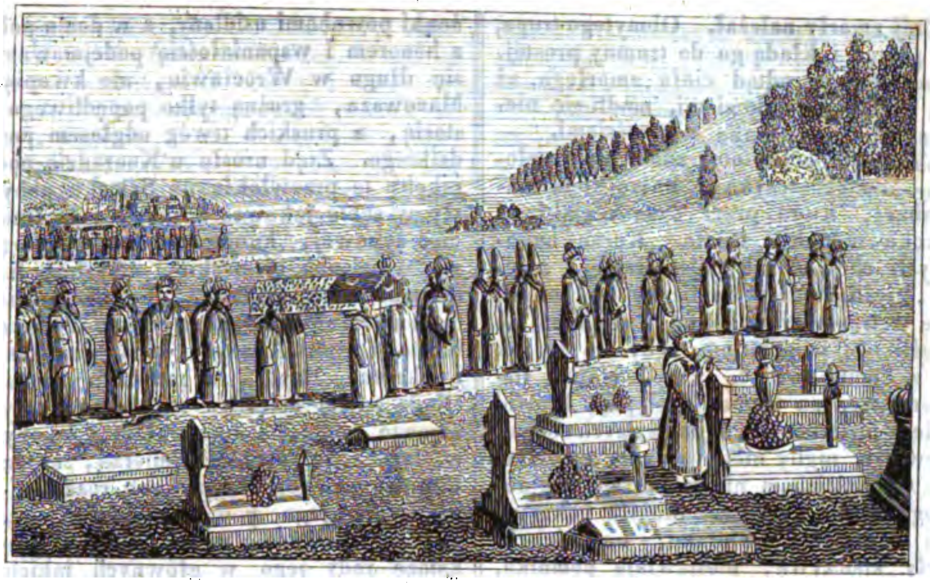
Tak Pan Bóg, chcący męztwa dodać oblężonym księżom i garnizonowym ludziom, sam za nich wojował; wszyscy w odważnéj rezolucyi do końca trwali. Zaczem Müller list pisał do klasztoru w te słowa: „Listy wasze płonnym napełnione dymem, zasłużyły na dym i ogień, tylko na jednych ceremoniach i zwłoce czasu przy uporze fundując się, nie chcecie przyjąć protekcyi króla JMci szwedzkiego, tak potężnego i łaskawego Pana, i onemu się poddać; cóż mamy czynić nadto, co się już stało? gdy od krzemienia twardszy upór wasz klemencyi królewskiéj pokazujecie: zguba wasza z samychże was; ostatni wam sposób podaję: albo z fortecą królowi wszyscy poddacie się w protekcyą, albo poprzysiągłszy wierność królowi Karólowi, za szkody, coście przez upór wasz onemu i całemu królestwu zrobili, czyniąc rękognicyą panowania jego, zapłacicie talarów bitych 40,000 zakonnicy, drugie tyle szlachta z wami zamknięta. Jeżeli tego nieuczynicie, bez miłosierdzia ogniem i mieczem wszyscy skarani będziecie. Data w obozie dnia 25go Grudnia tegoż roku.“

Na co zakonnicy odpisali: „Pieniędzy nie mamy, małoco i żywności zostało, wkrótce z głodu pomrzemy przez oblężenie, bo co zbóż w gumnach było, hrabia Wrzeszowicz spalił.“ Posłali przytém obrazków kilka Najśw. Panny, także koronek i książki drukowane, historye cudów obrazu częstochowskiego wyrażające. W nocy przed świętym Szczepanem armaty z szańców pozbierano, artyleryą powkładano do wozów i ammunicye, wozy z tém wszystkiem i inne ciężary do Kłobucka wysłali Szwedzi; tak piechota, jako i jazda, o godzinie 9téj przed południem odstąpiła od Częstochowy; Müller do Piotrkowa pojechał, ztamtąd za królem do Prus maszerując; Sadowski do Kalisza, Wrzeszowicz do Wielunia, książe heski do Krakowa rozjechali się; zwiesiwszy nos, że z konfuzyą odstąpić musieli, nie otrzymawszy tego, czego pragnęli. Ze od murów częstochowskich kule odpadywały, heretycy uporczywie tają; ale fortunę króla szwedzkiego i wszystkich wojsk jego, od tego czasu, jak zaczęli atakować Częstochowę, Bóg umknął i od sukcessów zamysły jego odepchnął.

Trybunał lubelski.

(Dalszy ciąg.)

„Ej, porzuć panie Bartłomieju pleść takie koszałki opałki. Czy niewiesz, że pod bokiem trybunału burdę zrobiwszy, można się przed czasem obaczyć z Trójcą świętą. Waćpan całe życie guza szukasz; a jak staniemy, powiem ja księciu panu, jakie waćpan chcesz kwerendy robić w Lublinie: to książe waćpana nie każe wypuścić ze stancyi.“ — „Panie Sewerynie, ja tak żartuję tylko, aby czas prędzéj zchodził. Ktoby tam o burdach myślał! Bądź spokojny, ja pana ciągle się będę trzymał, ale dla Boga księciu panu o niczém nie wspominaj.“ Myślałem, że się panicz utemperował; bo spotykaliśmy po karczmach szlachtę łukowską przy kuflu, a przecie pan Bartłomiéj nikogo nie zaczepił. Przyjechaliśmy do Lublina w sobotę wieczór. Ja byłem rad, że nazajutrz była niedziela, bo dojeżdżając Lubartowa, gdyśmy się spuszczali z góry, naszéjniki pękły i konie nas poniosły. Pan Bartłomiéj śmiał się, ale ja przeląkłem się mocno, i zrobiłem intencyą, że jak Pan Bóg wyratuje mnie z niebezpieczeństwa, przyjechawszy do Lublina, nazajutrz pójdę do spowiedzi i kommunii. Jakoż lubo bryka przewróciła się na grobli, prawdziwym cudem wszyscy wstaliśmy bez szwanku. Ale w niedzielę ledwo przez pół mogłem dopełnić mojéj intencyi; bo książe kazał zrana przyjść do siebie, aby pomagać panu Radziszewskiemu w tłomaczeniu interesu przed panami Hryniewieckim i Koźmianem, co późniéj zostali, jeden wojewodą, drugi kasztelanem lubelskim, a byli pierwszymi mecenasami w Lublinie, i księcia pana wielkimi przyjaciółmi. Szczęście, że książe miał kapelana i ołtarz podróżny z wielkiemi przywilejami od Nuncyusza, bo inaczéj byłbym



Pogrzeb u Turków.

mszą ś. przypiekł. W istocie konferencya po dwunastéj się zakończyła. Ja z panem Bartłomiejem poszedłem do OO. Bazylianów, i trafiliśmy pod sam koniec nabożeństwa. Uprosiłem księdza, że mnie wyspowiadał, ale przyjęcie ciała pańskiego do jutra odłożyć musiałem.—Trybunał w tym roku odbywał się pod laską JW. Chołoniewskiego, starosty kołomyjskiego, co miał jakąś kolligacyą z księciem panem. Prezydentem był kanonik Wodzicki, opat hebdowski, u którego przez czas urzędowania tyle się starego wina wypiło, że parę niedziel koło młyńskie mogłoby się niém obracać. On to mawiał, że wino przynajmniéj jednym rokiem starsze być powinno od uprzejmego gospodarza. Otoż JW. marszałek trybunału tyle miał szacunku dla dostojnego swego kolligata, że pierwszy go nawiedził i zaprosił do siebie na obiad. Książe pan przyjął go przed kamienicą, żaląc się, iż go uprzedził, a potém z JW. marszałkiem pojechał do przewielebnego prezydenta. Że zaś pan Koźmian zaprosił do siebie na obiad WW. Radziszewskiego i Rupejkę Ciwuna Ejragolskiego, co z przyjaźni dla księcia urząd marszałka dworu interymalnie sprawował; więc przy mnie, jako plenipotencie specyalnym, zostawało pierwszeństwo nad dworem, i u stołu marszałkowskiego byłem gospodarzem. Po obiedzie poszedłem miasto poznać, a jednak niebardzo dowierzając panu Bartłomiejowi co do obiecanego statku, zaprosiłem go, by mi dotrzymał kompanii. Poszliśmy więc; ale że jako w niedzielę wszystkie jurysdykcye były pozamykane, a urzędnicy, pacyenci i palestra biesiadowali, okrom tego nie mieliśmy znajomych, więc z panem Bartłomiejem wyszliśmy sobie za miasto od gościńca lwowskiego, aby okolicę obejrzeć. Kilkaset kroków uszedłszy, natrafiliśmy na kilka starych lip, za któremi była karczma, a przed lipami, na samym gościńcu, leżał wielki kamień młyński.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Pogrzeb u Turków.

W Nrze 3. Przyjaciela ludu z roku drugiego, mówiło się o mogilnikach tureckich, miastami milczenia na wschodzie powszechnie zwanych; dziś podajemy łaskawym Czytelnikom rycinę, wystawiającą pogrzeb wiernego wyznawcy Islamu, z krótkim opisem.

Muzułman widząc się bliskim śmierci, rozkazuje natychmiast na wznak się położyć, prawym bokiem zwracając się ku Mekce, w jakiém położeniu zwykle téż i pogrzebiony bywa. Otaczający chorego krewni rozniecają w izbie ogień, sypiąc nań obficie wonne kadzidło, i przywołują derwisza, który przy łożu chorego zasiadłszy z księgami świętemi w ręku, czyta z nich wyznanie wiary, a po niém różne stósowne modlitwy, wzywając niemocą złożonego do ich powtarzania. Gdy żadnych oznaków życia chory więcéj nie daje, najbliższy krewny lub najwierniejszy przyjaciel zamyka mu oczy, przyciskając mu brodę do piersi. Daléj obmywają ciało woniącemi wodami, a głowę i brodę aromatycznemi obkładają ziołmi; skronie, nos, ręce, nogi i kolana nacierając kamforą, dla ich uczczenia, ponieważ części te w modlitwie udział mają. Oczyszczenie ciała przedsiębiorą osoby téjże

płci, do któréj zmarły należał. Obmytego trupa, zawijają w płótno i kładą go do trumny prostéj. Iman, nieodstępujący odtąd ciała zmarłego aż do złożenia zwłok jego do ziemi, modli się nieustannie, skrapiając trumnę wonnościami. — Trumna, obwinięta w płótno, zdobi się w głowach turbanem nieboszczyka i kawałkiem materyi jedwabnéj, która przez czas niejaki na grobie proroka w Mekce leżała. Koran nakazuje zmarłych chować jak najspieszniéj, zalecając, aby, jeśli zmarły do liczby wybranych należy, nie wstrzymywać go od wstąpienia do nieba, a jeśli jest potępionym, żeby się go jak najprędzéj z domu pozbyć. Przed ciałem idą imanie i derwisze, za trumną postępują krewni i przyjaciele, nieokazując najmniejszych oznak boleści; niewiasty nigdy nietowarzyszą umarłym do grobu. Chrześcianom nie wolno się znajdować na pogrzebach Turków. Mogiła pokrywa się darniną i zasadza kwiatami; na miejscu, gdzie zmarły spoczywa, niestawiają pomnika, z obawy, aby go nieuciskał; dlatego téż mogiłę murem tylko obwodzą. Alkoran zabrania siadać na grobach, a tém bardziéj stawać na nich, na téj zasadzie, iż się nie godzi deptać zwłók wiernego. Po zarzuceniu grobu ziemią, odmawia iman długie modlitwy, wołając zmarłego trzy razy po imieniu. W rocznicę pogrzebu schodzą się krewni na grób zmarłego i opłakują stratę jego. Napisy zwykle są krótkie, i oprócz nazwiska i wieku nieboszczyka, mają miejsca z koranu lub myśli o znikomości świata.

Łowicz.

W dawném Mazowszu, ziemi sochaczewskiéj, (podług Starowolskiego w województwie rawskiém), leży nad rzeką Bzurą jedno z najpiękniejszych miast polskich, **Łowicz**. Nazwisko i początek swój winno ono **łowom**, które tu książęta mazowieccy w obszernych niegdyś kniejach odbywali. Ulubione to miejsce książąt mazowieckich wytrąciła z ich rąk zbrodnia, w roku 1239. Naruszewicz tak o tém opowiada: „Dręczyła zawsze Konrada ambicya i umysł podejrzliwy, nie mogąc się zemścić na Bolesławie, szukał gniewu ofiary na poddanym i kapłanie. Miał ten książę dwu synów żonatych, Bolesława mazowieckiego i Kazimierza kujawskiego; bo dwaj młodsi, Ziemowit i Ziemomysł, jeszcze w małoletności zostawali. Lecz młodszy, Kazimierz, będąc tylko zaręczony, dojrzalszéj pory oczekiwał. Wysłał go Konrad do Wrocławia, na dopełnienie małżeństwa, pod dozorem Jana Czapli, scholastyka kujawskiego i płockiego, a kanclerza swojego, który bywszy obu synów książęcych nauczycielem i rządzcą ich młodości, wielki u dworu miał kredyt i powagę. Młody Kazimierz pierwszemi nowéj małżonki powabami usidlony, a w domu pokrewnych z honorem i wspaniałością podejmowany, bawił się długo w Wrocławiu, nie kwapiąc się do Mazowsza, groźną tylko popędliwego ojca postacią, a pruskich trwóg odgłosem posępnego i dzikiego. Ztąd urosło w Konradzie podejrzenie, jakoby te przewlokłe na Szląsku pobyty, niosły w sobie jakoweś zdrady, i że Henryk, ojciec synowéj, knując tajemną na niego zemstę za więzienie ojcowskie, umyślnie Kazimierza trzymał na biesiadach, aby niespodzianą tymczasem do Mazowsza uczynił wycieczkę. Nie lubiła Czapli Agazya, żona książęcia, chytra i okrutna Ruska, z przyczyn niewiadomych. Oboje zatém księstwo zwaliło przyczynę mniemanego podejścia na prałata, jakoby on, ile rządzca i faworyt Kazimierza, najdzielniejszą uknowanego fortelu sprężyną ruszał. Użyto na uludzenie jego powierzchownych grzeczności, aby go sprowadzić ze Szląska pod pozorem, że książę rady jego w głównych jakichści sprawach potrzebował. Lecz skoro Czapla do Płocka przybył, wtrącono go natychmiast do katuszy i po kilkodniowych na katowniach ciągnieniach, jak publicznego złoczyńcę powieszono. Mściła się krwawa Agazya i po śmierci jeszcze, albowiem gdy tameczni Dominikanie zmarłego do pogrzebu nieśli, kazała porwać trupa i przywlókłszy go wołami do przygotowanéj na to umyślnie szubienicy, niedaleko kościoła tych księży nad Wisłą, naprzeciwko tumu powtórnie powiesić kazała. Gdy się złości zadosyć stało, Marcin, przeor dominikański, pogrzebł ciało w kościele większym. To gdy się działo, przeniknęła żalem duchowieństwo zniewaga mu uczyniona od Konrada. Andrzéj, biskup płocki, bojaźnią zdjęty, nie chciał się ująć kościelnego oręża: dobył go Piotr, arcybiskup gnieźnieński. Włożona została klątwa na dyecezyą kujawską i płocką, w których Czapla był prałatem. Odcięty Konrad od społeczności kościelnéj, widząc, że gniewy jego i pogróżki nie wielkie w mężnym metropolicie sprawiły wrażenie, a bojąc się dalszych wyklęcia skutków, żądał pokuty i jechał do Łęczycy, dla pojednania się z Kościołem. Ułożony sposób téj zgody, ażeby Konrad, na zadosyćuczynienie za popełniony występek, oddał na wieczne czasy arcybiskupowi miasto Łowicz z okolicznemi tam puszczami, gdzie dawniéj bywały łowy książęce, arcybiskup zaś dla uznania najwyższéj zwierzchności książąt mazowieckich, corocznie jednę grzywnę złota do skarbu ofiarował. Żeby tenże arcybiskup miał w katedrze płockiéj miejsce między kanonikami i prebędę.“ — Tym sposobem Łowicz stał się własnością arcybiskupów gnieźnieńskich. Wszakże książęta mazowieccy nie mogli długo zapomnieć téj utraty. W roku 1372. Ziemowit, książę mazowiecki na Płocku, podburzał Pietraszka, syna Krystyna, wojewody płockiego, aby Łowicz i okolicę na-

jeździł i łupił. Arcybiskup ówczesny, Jarosław, uciekł się do broni kościelnéj, rzucił na całe księstwo mazowieckie klątwę i rzecz zaspokojoną została darowizną dwóch wiosek od Pietraszka w nagrodę szkód, Kościołowi poczynionych. Ten sam Ziemowit po śmierci Jana Suchywilka, arcybiskupa gnieźnieńskiego, obległ w roku 1382. Łowicz, zajął po krótkim oporze i usiłował sobie przywłaszczyć.

Łowicz wzrost swój i znaczenie w rzędzie miast polskich winien szczególniéj Jarosławowi Skotnickiemu, arcybiskupowi gnieźnieńskiemu, († 1376.), który mu prawo magdeburgskie i rozmaite swobody nadał i stolicą księstwa tegoż nazwiska uczynił. Ten sam arcybiskup wystawił za miastem nad błotami zamek i opasał go murem. Odtąd ciągłe przebywanie w tém mieście arcybiskupów z licznym dworem, synody po wielekroć odprawione (n. p. w latach 1556, 1593 i t. d.) nareszcie walne jarmarki, na które kupcy nie tylko z Polski, ale nawet z zagranicy przybywali, sprawiły, że Łowicz w 16tym i 17tym wieku do najludniejszych i najzamożniejszych miast w Polsce należał, i tę wyższość miał nad innemi miastami w koronie, że wszyscy mieszkańce jego byli krajowcy, żydostwu bowiem niedopuszczali arcybiskupi gnieździć się w murach jego. Dla tego téż Łowicz tak był obfitym w bogatych kupców i zręcznych rzemieślników chrześciańskich, że Cellaryusz w Opisie swoim Polski, porównywa go z Norymbergą.

Klęski krajowe za Jana Kazimierza przywiodły Łowicz do zubożenia i upadku. Szwedzi opanowawszy to miasto w roku 1655., uciskali je bardziéj jeszcze, jako własność kościelną, niż inne miasta szlacheckie i rządowe. W następnym roku Polacy, napadłszy tu niespodzianie na Szwedów pod dowództwem Izraela, półkownika szwedzkiego, i poraziwszy ich, dali się także w znaki miastu; powietrze morowe dokonało reszty. Łowicz utracił ⅘ części swojéj ludności; domy i świątynie leżały w gruzach. Dopiero pod panowaniem monarchów z domu saskiego, zaczął Łowicz odzyskiwać nieco dawną świetność, w czém największe zasługi położył prymas Potocki. On bowiem zamek odnowił, kościół Ś. Jana i klasztór Bonifratrów wystawił i wiele gmachów z gruzów podniósł. Do podźwignienia miasta przyczyniły się także licznie niegdyś uczęszczane szkoły XX. Pijarów, otworzone tu w roku 1668.

Po upadku Polski, Łowicz z księstwem tego nazwiska stał się własnością skarbową. W roku 1807. cesarz Napoleon darował go marszałkowi Davoust, a cesarz Alexander w roku 1820 Joannie Grudzieńskiéj, małżonce księcia Konstantego. — Miasto to posiadało niegdyś i posiada jeszcze poczęści kilka wspaniałych świątyń; n. p. kollegiatę fundowaną od Macieja Łubieńskiego, prymasa, klasztory XX. Bernardynów i XX. Dominikanów (fund. 1400 r.) przerobione w nowszych czasach na koszary jazdy, kollegium XX. Pijarów, seminaryum XX. Missyonarzy z piękną kaplicą, wystawioną kosztem kardynała Radziejowskiego, który ją wybornemi malowidłami włoskiemi przyozdobił; kościół Ś. Jana i t. d.

W dawniejszych czasach arcybiskupi utrzymywali w Łowiczu drukarnią; pierwszym z drukarzy łowickich był Stanisław Murmeliusz, około 1560 roku drukujący. Z czasem drukarnia ta upadła; wznowił ją prymas Władysław Alexander Łubieński, który założywszy w Łowiczu instytut XX. emerytów świeckich, obdarzył go także drukarnią, do któréj dwie prasy i litery z Lipska sprowadził.

Łowicz w dzisiejszym swym stanie liczy 316 domów i około 3,500 mieszkańców; przed rokiem 1830. posiadał szkołę nauczycieli wiejskich i piękny ogród w guście angielskim, zasadzony mnóstwem rzadkich drzew i roślin kosztem generała Klickiego.

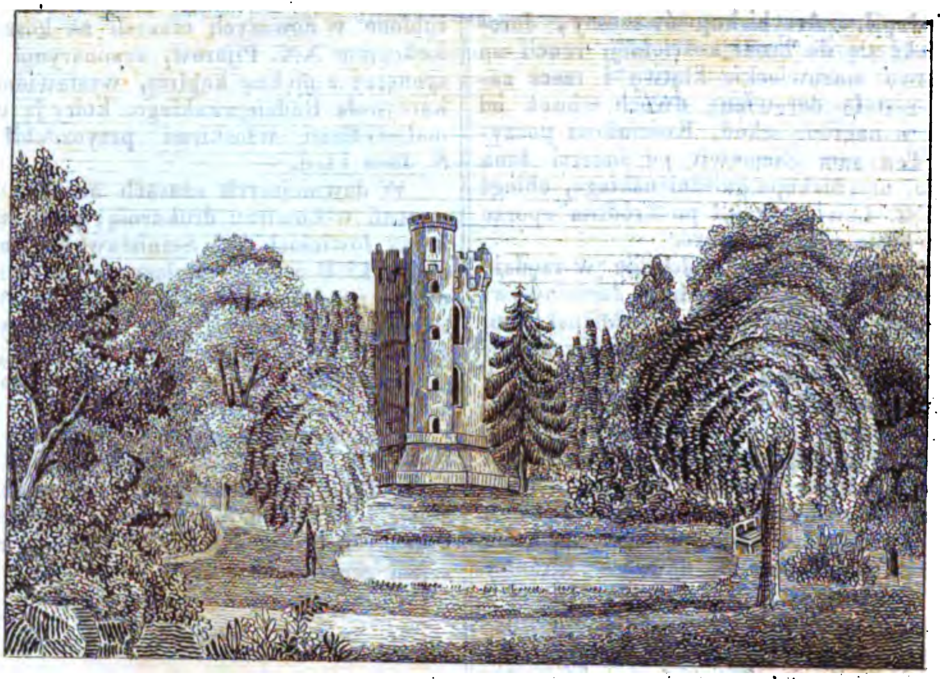
Rozmaitości.

Judel Klaczko, Izraelita, trzynastoletni poeta.

(Z Tygodnika petersburgskiego Nru 76.)

Przed kilku miesiącami będąc w Wilnie, dowiedziałem się o nadzwyczajném zjawisku trzynastoletniego poety, Izraelity! Byłato właśnie chwila, kiedy w tém mieście nie mówiono o niczém więcéj, jedno o Judelku Klaczce. Jedni z uniesieniem prawili o poetycznych zdolnościach tego dziecka i jego talent aż pod niebiosa wynosili; drudzy zaś żadnéj mu nie chcieli przyznać wartości, a nawet by przez nich czytane poezye były istotnie utworami Judelka. Bawiąc kilka dni w Wilnie, dogodziłem méj ciekawości i odwiedziłem go, i wyznam szczerze, więcéj znalazłem, niż się spodziewałem.

Gdym przybył do domu Klaczki, matka tego młodego poety przyjęła mnie z radością, wprowadziła do wykwintnie umeblowanego pokoju i posłała po syna, który w swoim pokoiku pracował. Czekając na jego przybycie, wdałem się w rozmowę z matką i znalazłem ją bardzo rozsądną i posiadającą wychowanie i sposób myślenia daleko wyższy nad te, jak pospolicie bywają niewiasty izraelskie w Polsce. Wtém wszedł Judelek. Jestto piękne, drobne, słabe dziecię, bardzo delikatnych rysów, tak, iż na twarzy wszystkie najmniejsze żyłki policzyć można; wyniosłego czoła, włos ma blond świattły, w prześliczne wijący się kędziory, oczy zniszczone ciągłą pracą, z których rodzaj pewnego natchnienia wytryskać się zdaje. Bardzo był rad z tych odwiedzin. Mówi czysto i poprawnie po



Ogród w Łowiczu.

polsku; lecz jego organ nie jest uartykulowany, dziecinny. Prosiłem go o pokazanie swoich prac: uczynił to z ochotą, ale razem i z pewnym rodzajem skromności. Czytał mi prawdziwie artystowski (jak na swoje lata) wstęp do poematu, pod tytułem: *Powódź*, i śliczny wierszyk, napisany do swojéj siostry, którego mi na prośbę udzielił. Oto jest początek:

Luba siostro! nieszczęsne przeznaczeń igrzysko,
Istoto! nie dla ziemi, dla niebios stworzona;
Służąc prawu ludzkości szlachetnie i wiernie,
A dostawszy w nagrodę tylko głóg i ciernie;
Z pogardą wreszcie ziemskie rzuciłaś siedlisko,
I uciekłaś do nieba — tam do Ojca łona!
Uciekłaś, gdzie się ziemskie spojrzenie nie wciska,
Gdzie wielką Boską prawdą poi się twa dusza,
Tam wysoko! do ducha twojego ogniska,
Gdzie kończy się nadzieja i cierpień katusza!

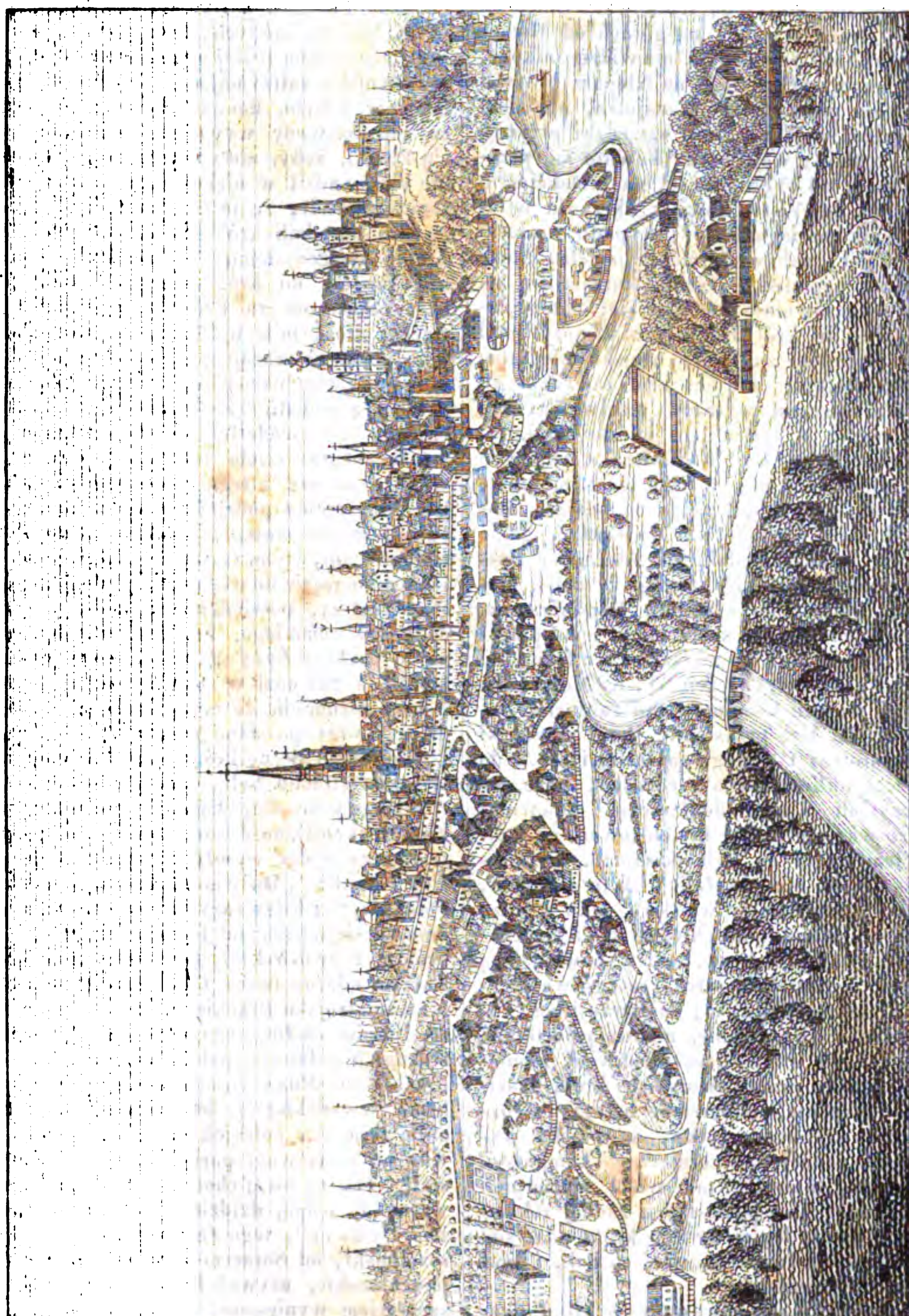
Rozmawialiśmy potém o literaturze polskiéj i francuzkiéj. Klaczko posiada nader wiele wiadomości, umie na pamięć prawie wszystkie piękniejsze miejsca z naszych poetów, sądzi o płodach piśmiennych, jak człowiek dojrzały, a co większa, zawsze ma swoje własne zdanie. Na trzynastoletnie dziecko tyle znajomości, to nie do pojęcia, a zwłaszcza kiedy zważymy, co umieją nasze dzieci w tym wieku?! Literaturę polską Klaczko najwyżéj ceni, do tego stopnia, iż porównywając ją z francuzką, rzekł mi, że najpierwsi dzisiejsi poeci francuzcy nie są godni być użytymi do ucierania świec w téj chwili, kiedy autor Grażyny swoje pisze poezye. Jestto entuzyazm, nie mówię czy sprawiedliwy, ale wielki i poetyczny. O jeśli jest jeszcze ktokolwiek, co nie wierzy, że młody Klaczko ma prawdziwy poetycki talent, niech pójdzie i choć na chwilkę pomówi z tém exaltowaném dziecięciem; niech się przysłucha jego rozmowom; niech się wpatrzy w jego błyszczące oczki, z których strzela wyższéj zdolności promień; niech oceni ten zapał, jaki go porywa, kiedy o swojéj ulubionéj poezyi rozprawia, a pewno wątpić przestanie. Takich ludzi, jak Judelek Klaczko, nie zrażać, ale zachęcać z całego serca należy.

Ludwik z Porejewa.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (*Red. J. Łukaszewicz.*)

Przyjaciel Ludu.

Rok szósty. **No. 19.** **Leszno,** *dnia* **9.** *Listopada* **1839.**



Kraków w wieku siedmnastym.

Oblężenie Krakowa przez Szwedów w roku 1656.

(*Wyjątek z Pamiętników do panowania Jana Każimierza, których tom pierwszy w tych dniach z druku wyjdzie.*)

Karól Gustaw, król szwedzki, przy fortunnych sukcessach, dążył do Krakowa. Sulcbach z przednią strażą przybył; na górach od Michałowic ukazali się Szwedzi, a nie widząc nikogo, ktoby się onym opponował, na Kleparz przyszli i noc w polu przepędzili. Nazajutrz, niedziela była, z całém wojskiem król szwedzki przyciągnął na Promnik; wojsko uszykowało się przeciwko miastu; od Woli pałacu, na przedmieściu będącego, aż do Wisły, korpus; skrzydła w lewo strzelnicy rozciągnęły się; wypadli z miasta nasi, harcując, zabawiali nieprzyjaciela, który przeszedłszy popieliska jeszcze kurzące się na Kleparzu, na równinie lokował się; zatém dowiedział się, że król Każimierz w góry udał się i senatorowie za nim, wojsko niepłatne w związku zostaje; zaczém król szwedzki za królem Każimierzem w tropy rezelwował się, ścigając onego; a tymczasem miasto Kraków, kędy Czarnieckiego król Każimierz z wojskiem wsadził, niepokoiło go; wojsko téż komputowe niedało Szwedom pokoju, z tyłu napadając. Poszedł za królem Każimierzem do Bochni, gdzie przybył do króla szwedzkiego Alexander Pracki, towarzysz luzarskiéj chorągwi, człek niespokojny; wstąpił do klasztoru Dominikanów, a potém niepodobawszy sobie tam, wystąpił, i w wojsku był okazyą do związku; ten Karólowi Gustawowi namienił: „Jeżeli W. K. Mość zaległe zasługi wojsku komputowemu zapłacisz, łatwie do W. K. Mci przystąpi.“ Król szwedzki zaraz deklarował i zasługi zapłacić, i corok do tego obiecał akkomodacyą rycerstwu, byle posłów przysłali z taką deklaracyą. Upewniał Pracki, że wkrótce przybędą delegowani od wojska, bylem się ja do nich powrócił, bo mnie z tém do W. K. Mci wysłali. A tu wszędzie, tak między starszyzną w wojsku, jako między pospólstwem, jednostajnie chwalili króla szwedzkiego łaskawą protekcyą, niewypowiedzianą klemencyą, wspaniałość serca, szczęśliwe zwycięztwa i szczodrobliwość; nieszczęśliwe zaś króla Każimierza panowanie, nieustające kłótnie, jedna po drugiéj wzniecające nienawiść, pieniędzy żołnierskich przez dworskich króla Każimierza rozszarpanie, nadaremne usługi, nienagrodzone odwagi bez pożytku, w wojsku wyiskrzenie się, żadnéj nad żołnierzami kompassyi, ran zawinień, niewoli; tak wiele wycierpieli głodów, żimna, słót ponieśli, a żadnéj rekompensy nie doznali, lepiéj do tego króla udać się, który sam będąc żołnierzem, wie, co boli, i miał respekt nad żołnierzami.

Król szwedzki spróbowawszy w kilku okazyach rezolucyi wojska komputowego, onych estymował, a uwierzywszy, co Pracki powiedział, że posłów deklarowali komputowi przysłać, z radości sam przeciwko nich wyjechał we 200 koni, zostawiwszy swoje wojsko pod wsią Bieżanowem; od Szwedów wstrzymany trochę, którzy perswadować poczęli, żeby W. K. Mość nie wpadł w jakie niebezpieczeństwo, bo różne Polaków partye włóczą się; niepowaga W. K. Mci szukać tych, którzy W. K. Mci szukać powinni; zatém lepiéj przed sobą wyśléj, a sam przy wojsku zatrzymaj się. Niedaleko Wieliczki miasteczka było, dokąd siła było różnych dróg, co soli bałwany wywożący porobili; zmieszał się Pracki, żeby, nie wiedząc drogi, króla gdzie nie wprowadził w niebezpieczeństwo; zaczém i sam wymówił, że to błędna droga, i Szwedzi swemu odradzili królowi jechać. Wysłał tedy hrabię Witgensztejna i Slipenbacha młodszego, aby posłów do króla przyprowadzili od wojska. Spiesznie za Prackim pojechali; ledwo trzecią część mili ujechali, aż 300 Polaków, z podjazdu powracających, spotkali onych, a co więcéj strachu nabawiło, z tyłu Szwedom i Prackiemu zajechali. Zatém jeden rzekł do Prackiego: „Prowadziłeś nas do przyjaciół, a tu z tyłu nieprzyjaciele chcą nas ogarnąć; uprowadź nas teraz z tego niebezpieczeństwa, albo gdzie się mamy podziać, poradź nam.“ Na co Pracki śmiało stawając, odpowiedział: „„Nie trwóżcie się, tymczasem do stogu siana idźcie, i ono nabierajcie do wiązania; ja do nich pójdę.““ Przybiegłszy, powiedział im, żeby się spieszyli do Lanckorońskiego, hetmana, jakoby umyślnie po to posłany był; usłuchali go i prędko pobiegli, a Szwedzi w strachu będący ocaleli, bo Polacy rozumieli, że to są króla Każimierza ludzie, którzy po siano przybyli.

Powrócili się do króla Szwedzi, opowiedzieli, w jakim strachu byli, ale przemyślność onych Prackiego ratowała. Uwierzył onym król szwedzki i lekkomyślność sam sobie ganił; podczas wieczerzy będąc wesołym, wymówił do przyjaciół swoich: „Doświadczyłem dziś poczciwości Polaków,“ i kilka razy to powtarzał, albowiem dnia dzisiejszego, od jednego człowieka dwóch królów i dwóch królestw fortuna zawisła była. Zaczém udarowawszy i półkownikiem zrobiwszy w swém wojsku Prackiego, w jednym momencie niesłusznie zasłużonego wywyższył, zachęcając i drugich żołnierzy polskich do siebie. Jednak Pracki nie długo cieszył się z tych respektów króla szwedzkiego, bo zaciągając w Krosnie półk żołnierzy polskich na króla Karóla Gustawa, od przeciwnéj partyi Polaków zabitym został. Ten na swéj chorągwi wyszyć kazał trzy wrony na jednéj dzidzie z takim napisem: „Casus Deusve“; tego Godfryd Bouillon, król jerozolimski, od Saracenów windykując królestwo jerozolimskie, używał hieroglifiku. Tak Pracki szczęściem wyniesiony, a od Boga skarany, że zdrajcą ojczyzny został.

Król szwedzki, Karól, odważywszy się na wszystko, żadnych niebezpieczeństw nie zważał; Kaźimierza króla ścigając, podstąpił pod Wiśnicz, zamek Lubomirskiego, w którym zamku była szlachta i 200 piechoty nawojowieńskiéj; kilka razy strzelili z zamkowych armat; lecz dowiedziawszy się, że sam król szwedzki osobą swoją podstąpił, przestali strzelać; król téż posłał trębacza, żeby mu się poddali, obiecując onym całość i bezpieczeństwo, inaczéj każe szturmować. Zdali się tedy królowi szwedzkiemu, których mile przyjął, puszczając echo łaskawości po sobie. Ztamtąd ruszył do Wojnicza, gdzie Lanckoroński, hetman polny koronny, z wojskiem komputowém stał, które pod jego kommendę poszło, związek na czas wstrzymawszy.

Wyprawił był hetman Modrzewskiego na podjazd z wyborném rycerstwem, aby się wywiedział, dokąd się król szwedzki z Wisznicza obróci, ale Modrzewski podczas poranku mglistego, spotkał się z przednią strażą szwedzką, dał wiedzieć wojsku o nadchodzących Szwedach, sam się ze Szwedami ucierał, aby wojsko tymczasem do boju się przygotowało. Zatrąbiono na trwogę; do koni co żywo przebierało się; zatém Szwedzi nadeszli, Polacy w pole wypadłszy, żwawie z Szwedami się spotkali, jako po ochocie rozweseleni. Przednią straż, Bretlach i Roza, półkownicy szwedzcy, kommenderowali; na tych Koniecpolski, wojewoda sandomierski, natarł śmiało; jednego, ugodziwszy szablą w łeb, z konia zwalił; drugiego Burzyński, towarzysz bardzo zręczny, ściął; drudzy drugich zabijali; i z naszych wiele padło, między którymi Szandarowski, grzeczny młodzian, zastrzelony. Tak przywitali nasi przednią straż wojska szwedzkiego, aż król szwedzki trąbiąc do marszu nadciągnął i rozproszonych zgromadził; nadesławszy sukursu wojska bitnego.

Nie spodziewali się nasi, żeby król szwedzki miał od Krakowa odejść i tu do polskiego wojska przyciągnąć; choć podjazdy chodziły, nic pewnego nie przynosiły; nie tracąc serca, śmiało się spotkali. Obaczyli króla szwedzkiego, szykującego liczne wojsko, zaszedłszy onym tył, że umykać Polakom ciężko było, ile że z armat dużo porażono. Zważyli, że nie mogą wytrzymać, wyprawili przodem wozy i ciężary, aby w Dunajcu rzece uchodzącym przeprawy nie zatrudniały. Zaczekali, nim się wozy umknęły; poczęły chorągwie umykać, a potém kto rączego miał konia, umykał, niemógł hetman i półkownicy onych wstrzymać; zaczém hetman opponując się Szwedom, ledwie nie zginął, bo go odstąpiło wojsko. Już, już, co go Szwedzi mieli wziąść. Przypadłszy Budziński i Kochowski, autor Kroniki, z odważniejszymi rycerzami, wydarli z rąk nieprzyjacielskich i onego uprowadzili; koń jego porażony poległ, ledwo mu drugiego poddali. Szwedzi téż niedaleko pędzili, obawiając się zasadzki, kontenci, że pole otrzymali; za przeprawą poczęli się nasi wstrzymywać i zbierać, a nie uchodząc, lecz tylko umykając się do gromady. Pod Tarnowem hetman zgromadził rozproszonych; niewielką liczyli szkodę, oprócz konfuzyi, że uszli; lecz tam stać było trudno, gdzie niemożna było zwyciężyć: wozy i ciężary uprowadzili. Król szwedzki rad, że wojsko polskie rozpłoszył, bo się tego obawiał, żeby nie dokuczało w oblężeniu Krakowa, dokąd zwycięzca powrócił. Tu za dobyciem stolicy i królestwa polskiego cel największy zakładając, Wirtenberg około porobiwszy approsze i szańce wysypawszy, przybliżał się do murów krakowskich, powracającego z tryumfem króla witał, wreszcie wojenne muzyki grać kazawszy, potém z armat bijąc, do Krakowa wysłał z nowinami o zniesieniu doszczętu wojska polskiego.

Kraków miasto oblewa Wisła, rozdwoiwszy się, Kaźimierz także obtacza; około rzeki pastwiska wyśmienite, a abrys miasta podobny do lutni, rynek w cyrkule mając; daléj jak szyja dwie ulice Ś. Jana, grodzka i kanoniczna. Zamek na skale wysokiéj, Wawel nazwanéj, dołem Wisła płynie, prospekt daleko z zamku, dwa mury około miasta, inszéj fortyfikacyi niema podług dawnego Polaków humoru, że onych wszystkie rycerstwa bitwy w otwartém polu.

Czarniecki, kasztelan kijowski, odważny i szczęśliwy żołnierz, był gubernatorem Krakowa; Fromhold Ludinganseu, Wolff, półk. nad gwardyą króla Kaźimierza; Mikołaj Gnoiński, węgierskiéj piechoty województwa sandomierskiego był półkownikiem; 3,600 ludzi wojennych do obrony było. Mieszczan i akademików w Krakowie, dokąd i szlachta z województwa krakowskiego rejterowała się, było wiele: ochoczy i odważni do obrony mieszczanie, z armat, jako i z ręcznéj broni, strzelać przyuczeni dobrze.

Król szwedzki, choć ufał wojsku swemu, lecz widział, że siła stracić musi ludzi, szturmem dobywając Krakowa. Bardziéj gryzło go, że gdy do szturmu ordynuje wojsko, z pola tak wojsko rozpłoszone zebrawszy się, jako i szlachta, oraz król Kaźimierz z senatorami do Szląska umknąwszy, żeby z niemieckiemi sukkursami nie przybył, ordy także 20,000 jakoby miało przychodzić, wieść przyszła; przytém Czarniecki, stary żołnierz, odważny, szczęśliwy, nie rychło zdasię go ani szturmami ustraszyć; na to wszystko nie zważając, na los fortuny się spuścił, która jako go z początku piastowała, gdyby tak do końca statecznie dźwigała należycie, niezwyciężonym monarchą był, ile że Boska protekcya, chcąca mieć w prasie i mizeryi tak ciężkiéj królestwo polskie, póki nie wypełnią wyroków jego Boskich, biedy narodu polskiego, dopuściła to prześladowanie Szwedów, dopomagając onego zamysłom.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Klasztór Przemienienia Pańskiego przy górze Synai. (*)

Dziesiąty dzień temu, jakeśmy opuścili Kairo; dziś po pierwszy raz ujrzałem z niewymowną radością wzniosły szczyt Synai; padłem natychmiast na oblicze, aby oddać hołd Temu, co w płomieniach zstąpił na ziemię, aby rozmawiać z domem Jakóba i głosić prawa swoje synom Izraela. (**) Uczuć, jakie przejmowały serce moje w owéj chwili, nie jestem Ci zdolny opisać kochany Przyjacielu. Sześć godzin drogi byliśmy oddaleni od celu podróży naszéj; i gdy niemożna było żadną miarą w dalszą puszczać się drogę, kazałem stanąć karawanie i rozbić namioty. Większą część nocy strawiłem na czytaniu drugiéj księgi Mojżesza, opisującéj miejsca, po którycheśmy stąpali. Podziwiałem ja zawsze opisy Mojżesza, czytałem je ze sto razy w życiu mojém, z tém zawsze przedsięwzięciem, aby się niemi jak najczęściéj jeszcze poić można; lecz niemyślałem nigdy, aby się one dla mnie stać miały kiedy źródłem takiéj roskoszy, jak w owéj szczęśliwéj nocy.

25. Marca, wraz ze dniem, wyruszyliśmy w dalszą drogę: wkrótce znikł nam Synai z oczu, pokazując nam tylko niekiedy śnieżną swą głowę, wśród otaczających ją skalistych szczytów. Beduini, w towarzystwie naszém będący, mówili nam o bliższéj drodze, prowadzącéj do klasztoru. Puściliśmy się nią; byłto wąwóz pomiędzy urwiskami skał, co chwila grożącemi upadkiem. Po dwugodzinnym pochodzie i niezmiernėm znużeniu, stanęliśmy nareszcie na dość rozległéj dolinie, zewsząd pasmem gór otoczonéj. Tutaj leży w środku sławny ów klasztór Przemienienia Pańskiego, błędnie od wielu podróżników klasztorem Świętéj Katarzyny nazywany. Zdala zdawał się nam być twierdzą jaką obronną. Zbliżywszy się do murów (5420 stóp nad powierzchnią morza wznoszących się), spostrzegliśmy w nich otwór na 40 stóp od ziemi, a w nim kilku zakonników, witających nas i spuszczających nam do krążka przymocowaną linę, do któréjśmy papiery nasze, legitymujące nas, przytwierdzili. Po przejrzeniu ich, spuszczono znowu na drodze téj kosz, do któregośmy kolejno wstępując, podróż tę powietrzną odbywać musieli. Jest wprawdzie w murach klasztornych fórtka do wejścia, lecz ta zamurowaną jest zawsze, otwieraną bowiem tylko bywa, gdy Patryarcha konstantynopolitański miejsce to święte zwiedza. Przyjęto nas z największą uprzejmością; przełożony klasztoru, szanowny starzec, z braterską miłością przywitał mnie, i do przeznaczonéj celi, przydając jednego z braci za nieodstępnego towarzysza, który włoski język posiadał, odprowadził. Gdy zadzwoniono na wieczerzę, udałem się do refektarza, gdzie nam skromną, lecz zdrową dano strawę, z oświadczeniem, iż od dnia jutrzejszego, ponieważ podług greckiego kalendarza, post wielki swój brał początek, nie w towarzystwie braci, lecz sam jadać będę musiał. Żądałem pościć z innymi, lecz niepozwolono mi, wystawiając, jak potrzebnym jest posilniejszy pokarm, przy tylu trudach podróży i niewygodach. Na co chętnie

(*) Z podróży X. Fr. hrab. de Geramb, którego życiopis późniéj Czytelnikom łaskawym podamy.

(**) Ex. XIX. 3 n.

zezwoliłem, przekonawszy się po krótkim w klasztorze wypoczynku, jak podróż ta mnie osłabiła.

Klasztór ten jest jakby osadą, otoczoną zewsząd wysokimi granitowemi murami. Wśród murów tych spostrzegasz kilkanaście budowli, w rozmaitym kształcie i w różnych czasach wystawionych; wyjąwszy kościół sam, wszędzie widzisz ubóstwo, lecz odznaczające się wzorową czystością. Co zaś jest największém Opatrzności dla miejsca tego dobrodziejstwem, to jest wielka obfitość wody; albowiem, oprócz licznych źródeł, znajduje się tu głęboka i przedziwnéj wody dostarczająca studnia, a jak podanie głosi, jest tą samą, przy któréj Mojżesz spotkał córy Jetrona. (*) Sam klasztór założony został r. 527. przez cesarza Justyniana; pokazują tu miejsce, co przed 140 laty służyło Katolikom za świątynię, dziś jest w ręku schizmatyków, usiłujących podstępami swemi, wszystkie miejsca święte sobie przywłaszczyć. — Drugiego dnia pobytu mego w klasztorze, udałem się z przydanym mi towarzyszem do kościoła. Podziwiałem jego wspaniałą budowę: podzielony jest na trzy nawy; niebieskie, złotemi gwiazdami okryte podniebienie, wznosi się na dwóch rzędach granitowych kolumn różnego, najwięcéj koryntskiego porządku. Mury świątyni i posadzka jest z białego i czarnego włoskiego marmuru. Wszystko nosi cechę odległéj starożytności.

Mnóstwo złotych i srebrnych lamp, zawieszonych u podniebienia na bogatych łańcuchach, oświecało ciemny nieco kościół. Ściany zdobią liczne, w przepyszne ramy oprawne, lecz pod względem sztuki nie wielce cenione, obrazy. Ztąd udałem się do kaplicy, nazwanéj kaplicą *gorejącego krzaka*.

„Mojżesz,“ mówi pismo święte (**), „pasł owce Jethro, świekra swego, kapłana medijańskiego: a gdy zagnał trzodę w głębokość pustyni, przyszedł do góry Bożéj Horeb. I ukazał mu się Pan w płomieniu ognistym z pośrodku krza: i widział, iż kierz gorzał, a niezgorzał. I rzekł Mojżesz: pójdę, a oglądam widzenie to wielkie, czemu nie zgore ten kierz. A widząc Pan, iż szedł patrzyć, zawołał go z pośrodku krza, i rzekł: Mojżeszu, Mojżeszu. Który odpowiedział: owom ja. A On do niego: nieprzystępuj sam i rozzuj bóty z nóg twoich, miejsce bowiem, na którém stoisz, ziemią święta jest. I rzekł: Jam jest Bóg ojca twego, Bóg Abrahama, Bóg Izaaka i Bóg Jakuba. Zakrył Mojżesz oblicze swe: bo nie śmiał patrzeć naprzeciw Bogu. Któremu rzekł Pan: widziałem utrapienie ludu mego w Egipcie, i słyszałem krzyk jego dla surowości tych, którzy są przełożeni nad robotami. A wiedząc boleść jego, zstąpiłem, abym go wyzwolił z rąk Egipcyan, i wywiódł z ziemi onéj, do ziemi dobréj i przestronnéj: ale pójdź, a poślę cię do Faraona, abyś wywiódł lud mój, syny Izraelowe, z Egiptu.“ Właśnie w tém miejscu, gdzie Bóg z Mojżeszem rozmawiał, jest podług podania, wybudowaną kaplica, pamiątkę zdarzenia tego najpóźniejszym pokoleniom przekazywać przeznaczona. Bosemi nogami wstępuje się do niéj: w środku stoi wspaniały marmurowy ołtarz, a pod nim znajduje się miejsce święte. — Pococke twierdzi mylnie, pisząc, iż zakonnicy w ogrodzie klasztornym krzak cierniowy pokazują, wydając go za ten sam, z którego Jehova z prorokiem swoim rozmawiał.

Na drugi dzień zwiedziłem kaplicę Ś. Katarzyny, w któréj ciało téj świętéj w bogatéj spoczywa trumnie. Z kaplicy téj zaprowadzono mnie podziemnym chodnikiem do ogrodu klasztornego. Tutaj przekonałem się naocznie, co pracowitość ludzi może: kawał nieurodzajnéj i piaszczystéj ziemi, uprawianéj w pocie czoła, wydaje owoce najpiękniejsze i dostarcza warzywa nie tylko zakonnikom, ale i pokoleniom pustyń okolicznych. Wszystkie gatunki drzew owocowych, wino nawet, znajdziesz tutaj w obfitości. Zakonnicy chętnie dzielą się tém, co im daje Opatrzność, z przychodzącymi do nich po zasiłek ludźmi: nikt nieodchodzi bez wspomożenia i daru. Około murów klasztoru mieszka z pięćdziesiąt rodzin arabskich, pod namiotami, zostających jakoby w służbie zakonników. Obowiązkiem ich jest dawać podróżnym wielbłądy i dostarczać potrzeb różnych dla gości, przybywających zwiedzać ustronie to święte.

Następnego dnia zwiedziłem książnicę klasztoru, dość liczną, pomimo tego, że wielokrotnie przez Arabów i Turków zrabowaną była; mnóstwo zawiera w sobie rękopismów, a pomiędzy nimi kopią rozkazu proroka Mahomeda do wszystkich Chrześcian. Oryginał listu tego, kuficznym charakterem na koziéj skórze pisanego, znajduje się w skarbcu sułtana. Był on aż do roku 1517. własnością biblioteki klasztoru Przemienienia Pańskiego; Selim I. wziął go z niéj, po zdobyciu przez siebie Egiptu, zostawiwszy dziś znajdującą się kopią. P. Mauchon umieścił w swojém dziele o Egipcie wierne tłumaczenie dokumentu tego. Pokazywane mi tutaj książkę, do któréj zwiedzający miejsca te wpisują nazwiska swoje; przebiegłem ją z ciekawością, lecz przekonałem się, iż od dawnego czasu, nie wiele odwiedzin miała góra Synai; pomiędzy wędrownikami lat ostatnich najwięcéj było Anglików i Niemców.

Trybunał lubelski.

(Ciąg dalszy.)

Pan Bartłomiéj odezwał się: „Nie źle byłoby siąść na tym kamieniu pod cieniem, i napić się piwka.“ — „Dobrze mówisz; poczekaj-

(*) Exod. II. 15 n. (**) Exod. III. 1—10.

że na mnie, a ja pójdę do gospody i każę go wynieść.“ Przy gospodzie zastałem kilkunastu młodzieży, do palestry należącéj, jakem wnosił z ich ponsowych lubelskich kontuszów. Ja im się ukłonił, oni mnie, i wszedłem do szynku. Żyd poszedł do lodowni natoczyć garniec świeżego piwa, a ja na niego czekając, czytałem po oknach i ścianach różne popisane koncepta. Gdy Żyd wrócił z piwem, poszliśmy do lip: widzę pana Bartłomieja, siedzącego na kamieniu, jakem go zostawił, a przy nim ci wszyscy panowie, których znalazłem na przyzbie przed karczmą. Stali koło niego, a on na nich poglądał jak gap'. Jużem poznał, że to będą nieprzelewki; przybliżyłem się do niego, a on mnie mazgaja minę zrobiwszy: „Panie Sewerynie, dobrodzieju! cóś ci panowie mówią koroniaszowskim językiem; powiedz panie, czego oni chcą ode mnie?“ — A jeden z ponsowych panów: „Waćpanowie może nie wiecie, że tu się kończy jurysdykcya trybunalska; to jest palestry młyn, oto kamień, a my kołem. Kto się tego kamienia dotyka, musi ztąd wyjść albo mąką, albo krupami. Waćpanów dwóch: powiedźcie, którego mamy zmleć, a którego skrupić?“ — Ja im na to: „Moi panowie, jam już za stary, abyście ze mnie żartowali, a Bóg świadek, że jutro do kommunii przystępuję. Powtóre, będąc tu w interessie księcia Radziwiłła, wojewody wileńskiego, w którego orszaku przybyłem, nie mogę sobą rozrządzać przed końcem jego sprawy. A oto jest pan Chodźko, sędzia ziemski upitski, dworzanin JO. księcia wojewody. Bądźcie więc łaskawi panowie, puśćcie nas z Bogiem.“ — Między nimi był, jakem się późniéj dowiedział, dependent pana Koźmiana, nazwiskiem Czarkowski, z bracławskiego, który wiedział, że jego mecenas chodzi około interessów księcia. Ten się odezwał: „Panowie koledzy, to jest umocowany księcia, ja za nim proszę, ile że on się nie dotknął naszego kamienia; ale pana sędzica upitskiego, co tu na tym kamieniu siedzi, **będziemy mleć bez ceremonii.**“ — „A czyście mnie ze swego spichrza wynieśli, żebyście mnie mleć mieli?“ — „Tyś się naszego kamienia dotknął, to jużeś nasz.“ — „A jakże wy mnie mleć będziecie?“ — „Powiedz'no bracie, czy ty karabelę nosisz tylko dla ozdoby?“ — „Czy waćpan ksiądz, żebym mu się spowiadał?“ — „My z tobą w rozprawy językowe wdawać się nie będziem: wstawaj i dobywaj szabli, a reszty się domyślisz.“ — „A kiedy mi dobrze na tym kamieniu. Nie wolelibyście piwka z nami wypić i odczepić się ode mnie, a zmleć kogo z waszych; bo zboże litewskie ususzone i twarde.“ — „Obaczemy!“ odezwał się jeden, „czy twardsze od naszego. Ja jestem marszałkiem koła, ze mną trzeba zaczynać; wstawaj więc bracie.“ — „A kiedy ja się asandzieja boję: wolę **przeprosić**, niż **bić się.**“ — „Już to zapóźno, bić się musisz; chyba zezwolisz, abyśmy ciebie wypłazowali.“ — „No, kiedyście tacy zawzięci, czy nie masz między wami Łęczycanina jakiego?“ — i zaczął chustką niby łzy z oczu ocierać, dodając: „Oj biedna moja matulo, jakże będziesz płakać po swoim Bartku.“ — Tak ja: „Panowie dobrodzieje, posłuchajcie mnie, jako wiekiem od was starszego. Wszak to w tym samym Lublinie, zrobiła się unija Korony z Litwą: poruszą się zwłoki naddziadów, jak się Litwini z Polakami w témże mieście powadzą. Czyby nie lepiéj na pamiątkę Ludwika, ojca królowéj Jadwigi, a teścia naszego **Jagiełły**, wezwać Węgrzynów, aby nas pogodzili. Dajcie pokój temu chłopcu, a pozwólcie, żebym posłał za winem, i was uczęstował w téj gospodzie.“ — Zaczęła miękczeć palestra, i niektórzy odzywali się do marszałka: „Puść z Bogiem tego poczciwego Litwosza; on nie wiedział o prawach naszego młyna.“ Tu się zaczął obawiać pan Bartłomiéj, aby burda na niczém nie spełzła, i siedząc zawsze na kamieniu, odezwał się, drapiąc głowę: „A to waćpan jesteś marszałkiem tego młyna? Winszuję; ale na Litwie mielnicy i wieprze po młynach siedzą, a nie marszałkowie.“ — „Słuchaj bracie gapiu: przez wzgląd na twego poważnego kolegę, całego cię puszczam; ale trzymaj język za zębami, a z żarcikami występuj na takich, jakiś sam.“ — „Nie gniewaj się W. marszałku, nie będę z tobą żartował, tylko serio mówię. A wiesz dla czego wolałbym z biedy potykać się z Łęczycaninem, niż z waćpanem? Bo mówią, że Łęczycanie mają rozum; a oto świadek mój kolega, że kiedym jechał z Litwy do Lublina, cyganka mnie wróżyła, że z rąk wielkiego błazna mam zginąć: to jakem spójrzał na W. marszałka, bardzom się jego przestraszył.“ — Już tu nie było sposobu poradzić. Marszałek ledwo nie pękł ze złości, i dobywszy szabli, z największym impetem na Chodźkę natarł. Ten tylko miał czas za kamień wyskoczyć, dobył swojego smyczka, plunąwszy w rękę, i od pierwszego składu tak dał po łapie, że szabla na ziemię upadła. Obwiązywali marszałkowi rękę, a on nie tyle z bolu, ile z konfuzyi, stał jak wryty. — „A nu,“ odezwał się pan Bartłomiéj — „myślałem, że bić się z koroniaszem wielka filozofia, a tu marszałka oporządzić mniéj trzeba czasu, niżby butelkę odkorkować.“ — „Poczekaj gburze, dam ja tobie“ — zawołał drugi, i z ogromnym pałaszem na niego. Ale ledwo parę razy się złożył, smyczkiem po łbie dostał. Stanął trzeci: „Chciałeś mieć do czynienia z **Łęczycaninem**, oto masz go tu.“ — Trochę dłużéj trwało, ale i ten

po łbie oberwał. — „A to djabeł, nie Litwin,“ odezwali się koroniasze. „Słuchaj panie bracie, tyś zadrwił z nas: udawałeś gawrona, a tyś rębacz czternastéj próby. Wedle praw naszego młyna, kto trzy razy zwyciężył, wolnym jest od wszelkiéj prepetycyi. Jeżeliś temu rad, ofiarujem ci naszą przyjaźń; jeśli nią gardzisz, chociażeś tęgi, jeden po drugim wszyscy ci służyć będziem.“ — „*Omne trinum perfectum,*“ odezwałem się. „Będzie z waćpana, panie Bartłomieju, a pocałuj się z tymi zacnymi panami.“ — „Zgoda,“ odpowiedział pan Bartłomiéj. „Ja jak mam sobie za zaszczyt, żem się z wami pobawił smyczkiem, tak jeszcze za większy poczytuję waszą przyjaźń.“ Zaczął się z nimi całować, przepraszać tych, co obznaczył, a szczególnie marszałka. Ja, aby ich pocieszyć, powiedziałem: „Niech to panów nie upokarza, żeście nie byli szczęśliwi z moim kolegą, bo to jest pierwszy rębacz na Litwie.“ Jakoż się szczerze pojednali, i odprowadziliśmy do kwatery marszałka, jego samego i kolegów rannych; my piechoto, a ranni na furmance u Żyda najętéj. Palestra fundowała nam hulankę, że dobrze podochoceni wróciliśmy do siebie. Po drodze sztrofowałem trochę pana Bartłomieja, alem go jeszcze więcéj, niż wprzódy, pokochał, bo taki honor prowincyi litewskiéj utrzymał.

Nazajutrz odbywszy się w kościele, poszedłem z panem Bartłomiejem na trybunał, gdzieśmy zastali kilku z tych, cośmy poznali dnia wczorajszego przy kamieniu młyńskim. Oni czekali przybycia członków trybunału, mnóstwo było palestry i pacyentów w ustępnéj sali: było tego więcéj tysiąca, jakem z oka miarkował. Nasi przyjaciele oprowadzali nas wszędzie, wszystko nam tłómacząc.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Bronikowski Alexander.

(*Z Małéj Encyklopedyi polskiéj, wyszłéj w Lesznie* 1839.)

Bronikowski, z ojca Polaka i matki Niemki zrodzony, bardziéj za matczynym poszedł wpływem, i jako pisarz, wyłącznie do niemieckiéj litteratury należy. Przedmioty atoli licznych jego romansów, z polskiéj po większéj części czerpał historyi. Nadało to jakąś indywidualność jego obrazom, i cudzoziemców z polskiemi obeznało stósunkami. Tytuły jego romansów historycznych są: *Mysza wieża, Polska w jedenastym wieku, Kaźimierz Wielki, Hipolit Boratyński, Więzienie Jana Kaźimierza, Elekcya Wiśniowieckiego, Dwór Jana Sobieskiego* i t. p. Widać w tych opisach znajomość faktów i wczytanie się w pamiętniki, zwłaszcza ze zbioru Niemcewicza; ale niewolnicze naśladownictwo Waltera Scotta, a może i brak imaginacyi, przewlekłemi robią jego wieczne dyalogi, bez których obejść się nie umie, a w których jeszcze mało okazuje dowcipu. W tonie nawet tych dyalogów jest coś Polakowi obcego. Niekiedy nawet grzeszy przeciw wyobrażeniom miejscowym, i w błąd wprowadza obcych, których winien był oświecić, mieszając n. p. Rusinów z Rosyanami, przez co w wielkie nawet zagmatwanie wprowadza czytelnika. Najlepszy z wymienionych romansów (przy zbytniéj rozwlekłości) jest bez wątpienia *Boratyński*, wystawiający historyą Barbary Radziwiłłówny. Był on jednym z wcześniejszych, w których istotnie więcéj autor okazał imaginacyi, aniżeli w następnych. Wydał także Bronikowski *krótki rys historyi polskiéj* w jednym tomiku. Jako prozaista niemiecki, należy on do tych dość licznych dzisiaj pisarzy, co upodobanie mają w długich frazach, z podwójną lub potrójną interkallacyą parentezów; który sposób zaiste, ani uchu, ani łatwemu zrozumieniu niedogadza. Romanse jego prawie wszystkie na język polski przetłumaczone zostały. Umarł Bronikowski przed kilku laty w Dreźnie.

Rozmaitości.

Teatra włoskie.

Pomiędzy przedmiotami, ściągającymi szczególniéj uwagę podróżnych, zajmują we Włoszech *teatra* pierwsze miejsce. Każda mała mieścina szczyci się teatrem; jego wystawienie i utrzymanie należy do największych starań całéj gminy, zakładającéj w tém niemałą chlubę, kiedy się w tym względzie przed innemi odznaczyć może. Okazałość, a szczególniéj obszerność teatralnego gmachu, jest skutkiem powszechnego udziału mieszkańców w widowiskach. Teatr więc jest zwykle na większą liczbę widzów obrachowany, jakby w stósunku ludności mieszkańców wypadało. Ponieważ nadto w większych miastach, jako to: w Neapolu, Medyolanie, Wenecyi, Palermie, Turynie, Genui, Florencyi, wielka opera tylko się w jednym głównym teatrze wystawia, przeto publiczność nie rozprasza się tak, jak po innych stolicach; dla tego też obszerność tych teatrów, do wystawy oper i baletów przeznaczonych, jest zwyczajnie tak ogromna, żeby zginął w niéj głos zwyczajny deklamujący lub recytujący.

Wytworny gust, który włoskie dzieła sztuki zwykle znamionuje, świetnieje szczególnie w przyborze teatru. W każdym włoskim teatrze uderza nasamprzód stósunkowo daleko większa liczba lóż teatralnych, niż u nas, co ztąd pochodzi, że podług przyjętego zwyczaju, damy tylko w lo-



Bronikowski Alexander.

żach pokazywać się mogą, i dla każdéj familii, która się nie chce zupełnie od świata usunąć, posiadanie loży w teatrze należy do potrzeb niezbędnych. Wzorem wszystkich teatrów jest wielki teatr w Medyolanie. Zdumiewamy się, wszedłszy po raz pierwszy do téj olbrzymiéj sali, obejmującéj 4,000 widzów. W owalném półkolu wznosi się 213 lóż, strojnych połyskującemi firankami jedwabnemi, a wybornéj roboty płaskorzeźby, złocone arabeski, napawają oko roskoszą na widok takiego przepychu sztuki. Ale najokazalszy sprawia widok na czterech koryncklich filarach wsparty portal sceny, otwierającéj swą niepospolitą szerokością i nadzwyczajną głębokością obszerne pole dla kunsztownych utworów sławnego malarza dekoracyjnego Sanquirico. Okazały z samych czeskich kryształów złożony kandelaber, jak gdyby jaki niezmierny brylant, leje jeszcze światło na ogromną salę i oświeca pyszny plafond, ręką sławnego malarza Vascani malowany, allegorycznemi i mitologicznemi figurami ręki Hayera przyozdobiony. Magiczny sprawia widok rzęsiste oświecenie teatru w czasie jakiéj uroczystości. Goreje wtenczas, prócz zwykłego światła, 1,000 świec jarzęcych, misternie pomiędzy lożami umieszczonych, których blaskiem olśnione zgromadzenie, z zadumieniem zwraca oko na tyle piękności, przed któremi gaśnie nawet cała okazałość sceny. Świątynia ta muz zresztą tak kunsztownie jest zbudowana, że najbardziéj przytłumiony głos ludzki, drgający ton najsłabszego instrumentu, w każdym zakątku sali jak najwyraźniéj się odbija.

Osobliwy gatunek teatrów włoskich składają tak nazwane *teatra dzienne*, które na wzór starożytnego cyrku, amfiteatralnym kształtem są wzniesione. Widzowie zbierają się w nich popołudniu i zwyczajnie pod gołém niebem przypatrują się wystawom. Są one przeznaczone dla najniższéj klassy ludu i obejmują zwykle niezmierne massy, mając zamiast lóż, rzędy stopni (gradinate). Najsławniejsze są w Tryeście, w Mantui i nowo-założony w Genui, wzniesiony z kamienia z otwartemi ścianami i pokryciem, tak, że i do nocnych reprezentacyj z oświeceniem użyty być może. Dzienny teatr w Tryeście zawiera czternaście rzędów siedzeń, na których 3,600 widzów zmieścić się może. Najbardziéj atoli zajmuje uwagę podróżującego starożytny taki teatr w Weronie na wielkiéj Arenie, gdzie widzowie te same zajmują miejsca, które niegdyś przed 2,000 lat na podobnych, częstokroć krwawych widowiskach, ciekawe pospólstwo rzymskie zalegało. Najciekawszy jest widok, kiedy w niedzielę popołudniu nieprzejrzane okiem mnóstwo ludu z rozmaitych klass, w różnobarwnych ubiorach wzniosłe zasiada półkole.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (*Red. J. Łukaszewicz.*)

Przyjaciel Ludu.

Rok szósty. **No. 20.** Leszno, *dnia* 16. *Listopada* 1839.



W i d o k L u b l i n a. **(*)**

Trybunał lubelski.

(Dalszy ciąg.)

W sali sądowéj stał krzyż kamienny z wizerunkiem Zbawiciela, a nad nim był napis wielkiemi złotemi literami: JUSTITIAS VESTRAS JUDICABO. To nas uderzyło, że Chry-

(*) Lublin nad Bystrzycą, stolica województwa, leży w okolicy górzystéj i żyznéj, prawie całe jest zamurowane; mnóstwo liczy gmachów wysokich, starożytnéj architektury, świadczących o dawnéj pomyślności Lublina. Było niegdyś miasto to opasane murem i bronione głębokiemi rowami; dziś znikły mury, tylko cztery bramy przypominają dawne opasanie. Daleko po za miastem sterczą ruiny starożytnych gmachów. Najobszerniejszym ze wszystkich budynków jest dom rady miejski, odnowiony za Stanisława Augusta. W nim odbyła się unia Litwy z Koroną r. 1569. Lublin słynął handlem już za Kaźimierza W., stał na równi z Poznaniem; za Zygmuntów I. i II. używał przywilejów miasta składowego. Od Stefana Batorego aż do rozbioru kraju, był siedliskiem trybunałów małopolskich; wielu z magnatów poczęło się tu osiedlać i stawiać pałace; rzemieślnicy i kupcy przyciągnęli za nimi; ludność miasta aż do czasów Jana Kaźimierza dochodziła do 40,000.

Najgłówniejszém i najwznioślejszém wspomnieniem historyczném Lublina jest uskutecznienie *unii Polski z Litwą* za Zygmunta Augusta. ,,Zrzekł się król (mówi Bandtkie II., 172.) wszelkiego dziedzictwa i wiecznemi czasy Prusy, Podlasie, Wołyń i Ukrainę do Korony przyłączył. Ustanowiono odtąd wspólne dla Korony i Litwy w Warszawie sejmy; naznaczono urzędnikom miejsca i porównano we wszystkiém prawa obojga narodów. Obwarowano przytém, że Inflanty, tak do Korony, jak i do Litwy należeć mają, a książe kurlandzki ma być hołdownikiem Polski i Litwy. Wyznaczono i pruskim posłom miejsce na obradach sejmowych. Ustały

stus Pan miał twarz odwróconą tak, że jéj rysów niemożna było widzieć; ale nasi przyjaciele powiedzieli nam, że snycerz nie był go tak wystawił, i owszem Chrystus Pan wprzódy na trybunał patrzał, ale przed laty pewien wypadek stał się przyczyną téj zmiany. Była wdowa szczupłego miana, uciśniona procederem przez jakiegoś magnata. Jéj sprawa była jak bursztyn czysta, ale magnat, zobowiązawszy wszystkich członków trybunału, zyskał dekret wbrew prawu i sumieniu. Gdy go ogłoszono, nieszczęśliwa wdowa wyrzekła na cały głos w izbie: „żeby mnie sądzili djabli, sprawiedliwszy byłby dekret.“ A że sumienie kłuło nieco deputatów, na roki jéj niepozwano, i wszyscy udali, jakby niesłyszeli, z czém się odezwała; i że to było pod koniec sessyi, porozjeżdżali się marszałek i deputaci, tak duchowni, jako i świeccy; została się tylko kancellarya i pisarze trybunalscy. Aż tu zajeżdża przed trybunał mnóstwo karet, wysiadają jacyś panowie, jedni w kontuszach, drudzy w rokietach, z rogami na głowach i ogonami, które się z pod sukien dobywały. I zaczynają iść po wschodach, a przyszedłszy do sali trybunalskiéj, zajmują krzesła, jeden marszałka, drugi prezydenta, inni deputatów. Pomiarkowali się pisarze i kancellarya, że to byli djabli, i w wielkim strachu przy stołach swoich siedząc, czekali, co z tego będzie. Wtém djabeł, co marszałkował, kazał wprowadzić sprawę téjże wdowy. Przystąpiło do kratek dwóch djabłów jurystów: jeden *pro*, drugi *contra* stawał, ale z dziwnym dowcipem i z wielką praw naszych znajomością. Po krótkim ustępie, djabeł marszałek przywołał pisarza województwa wołyńskiego (bo ten interes był z Wołynia); ale prawdziwego pisarza, nie djabła, i kazał mu siąść za stołem i wziąść pióro. Zbliżył się pisarz w pół umarły z bojaźni, i przymrużając oczy, zaczął pisać dekret, jaki mu dyktowano. Dekret był zupełnie na stronę uciśnionéj wdowy, a Pan Jezus na taką zgrozę, że djabli byli sprawiedliwsi, niż trybunał, przenajświętszą krwią Jego wykupiony, i w którym tylu kapłanów zasiadało, zasmuconą twarz odwrócił, i oblicza swego nie pokaże (jako miał o tém objawienie świętobliwy jeden Bazylian lubelski), aż naród się pozbędzie zaprzedajności w sądach, łakomstwa w księżach, i pijaństwa w szlachcie. Ów dekret djabli podpisali, a zamiast podpisów, były wypalone łapki różnego kształtu, i położywszy go na kobiercu, który pokrywał stół trybunalski, zniknęli. Następnéj sessyi trybunał znalazł djabelski dekret, gdzie był położony; bo rozumie się, że nikt z kancellaryi ruszyć go nie śmiał. Złożono go w archiwach; a że akta nikomu nie są wzbronione, kto zechce, może go odczytać, nawet extraktem wyjąć.

Podczas, gdy my się zastanawiali nad tak niesłychanym wypadkiem, usłyszeliśmy woźnych różnemi tonami powtarzających: „Mości panowie, ustąpcie się, ustąpcie się! JW. sandomierski idzie;“ — a potém znowu: „ustąpcie się! JW. poznański idzie;“ — i tak ciągle coraz innego jaśnie wielmożnego mianując. My czém prędzéj wrócili się do sali ustępnéj, przez którą między dwoma liniami palestry i pacyentów, poprzedzani przez woźnych, szli poważnie deputaci do sali trybunalskiéj, lekkiém skinieniem głowy odpłacając nizkie ukłony, z prawéj i lewéj strony odbierane. Aż huk bębnów i gęste wystrzały, oznajmiły przybycie JW. marszałka. Tu woźniowie wszyscy odezwali się jednym głosem: „Mości panowie, uciszcie się, uciszcie się! JW. marszałek najjaśniejszego trybunału idzie.“ — I prawda, że w tak liczném zgromadzeniu, takie milczenie towarzyszyło przybyciu JW. marszałka, że muchę latającą usłyszećby można było. Prawy i lewy szereg, między któremi przechodził, ukłonem ziemi prawie się dotykał, i dopiero kiedy już był o kilka kroków naprzód, jeden łeb po drugim powstawał, a tak regularnie, jakby za pociągnieniem sznurka. Za marszałkiem kilku magnatów przybyło, i między nimi JO. książe wojewoda wileński z JO. marszałkiem wielkim koronnym szli razem, po przyjacielsku rozmawiając, chociaż się prawowali; bo wielki dla siebie wzajemnie znali szacunek, ile, że pomimo kilkokrotnych krwi związków, JW. Rzewuski, hetman polny koronny, a księcia wojewody szwagier, miał wkrótce łączyć się w dożywotniéj parzę z córką księcia marszałka, księżniczką Konstancyą, panią, która i pięknością i rozumem wszystkich zachwycała. — JW. marszałek trybunału zaprosił księcia marszałka w. k., księcia woje-

---

odtąd osobne litewskie sejmy. Spojone w jedno ciało narody Rzeczypospolitéj, miały odtąd wspólnie jednego obierać pana i jednakowemi rządzić się prawami.“ — Poprzednie i późniejsze wspomnienia, ograniczają się na następujących wypadkach: 1205 r. Roman, książe ruski, nadaremnie Lublin przez 5 miesięcy oblegał. 1240 Tatarzy go spalili, a Daniel, książe ruski, podstępem opanował, odnowił go i wzniósł ku obronie miasta wieżę okrągłą. Przez lat 57 Lublin zostawał w mocy książąt ruskich; dopiero Wacław, król czeski i polski, im go odebrał. 1344 Tatarzy oblegali miasto; 1447 spalili je. Po złączeniu Korony z Litwą, Lublin używał pokoju aż po rok 1606; na jego polach szlachta z województwa odbywała corocznie popisy rycerskie. Dopiero w wojnie domowéj za Zygmunta III. począł się jego upadek. Tu odbywały się zjazdy szlachty związkowéj; ztąd powstała wojna. Felix Herburt, jeden ze związkowych, najechał je i złupił. Uczniowie jezuiccy napadali kościoły różnowierców i niszczyli ich własności. Roku 1655 Kozacy pod Złotoreńkiem podstąpili pod Lublin, przedmieścia oddali pastwie płomieni, najpiękniejsze gmachy z ziemią zrównali; ostatki miasta ocaliły się znacznym okupem. Wojsko szwedzkie tegoż roku zajęło miasto, które już odtąd nie mogło powrócić do dawnéj świetności. — Dzisiaj zaczyna Lublin do dawnego powracać stanu, a wkrótce ową świetność może nawet przewyższy. Historyą Lublina wydał w obecnym roku S. Z. Sierpiński: „Obraz miasta Lublina,“ w Warszawie 1839.

wodę wileńskiego, i innych znajdujących się senatorów za kratę, aby raczyli zająć miejsca w izbie trybunalskiéj, a woźniowie im krzesła poustawiali: bo ministrów i senatorów nawet w czasie ustępu nie wypraszano, sami chyba przez delikatność usuwali. Gdy trybunał zasiadł, JW. przewielebny prezydent zaintonował *Veni Creator*, a deputaci duchowni wszyscy, i niektórzy świeccy, jakoż wielu z palestry i pacyentów, wtórowali, że po całym rynku hymn dał się słyszeć. JW. marszałek uderzył laską i rozkazał woźnemu, aby ogłosił gotowość sessyi, a ten stanąwszy na progu ustępnéj sali, tubalnym głosem wykrzyknął: „Mości panowie! Najjaśniejszy trybunał przywołuje was do attentowania i słuchania spraw. Agitować się będzie regestr ordynaryjny; koléj przypada na województwo krakowskie. Mości panowie, gotujcie się!“ — Regent trybunalski głośno przeczytał wokandę, a sprawa JW. Wielopolskiego, marszałka nadwornego koronnego, powoda, z WW. Dembińskimi, chorążycami krakowskimi, o *avulsa* margrabstwa pińczowskiego wprowadzona została. Pan Koźmian stawał od strony powodowéj, a pan Plichta bronił WW. Dembińskich. To lubo były indukta, ani Demostenes, ani Cycero lepiéjby nie mówili. Odbyło się jeszcze kilka innych wpisów na téj sessyi; bo JWny marszałek był czynny, i co sessya kilka dekretów ogłaszał. — A co to była za okazałość! Deputaci duchowni w rokietach koronkowych, deputaci świeccy w mundurach swoich województw, a palestra cała w mundurze lubelskim: kontusze ponsowe, kołnierze i podszewki zielone, białe żupany. Takito mundur nosił tego dnia i nasz książe, jako obywatel województwa lubelskiego, w którém, oprócz innych dóbr, miał hrabstwo woszczatyńskie, także po Iliniczach, i na tém to hrabstwie pozwy od sukcessorów Tarłowskich były kładzione. — Po sieniach hajduki, pajuki, Węgrzynki, a strzelców, a chałastry, a kozaków, co nie miara; na rynku karéty, kolasy, a konie — i Papież nie powstydziłby się niemi jeździć; a srebro, a złoto wszędzie aż kapało. Na trybunale szlachcic poznawał wielkość swojego narodu. To kiedy po sessyi wracając na kwaterę, przechodziłem po pod sklepami, gdzie Niemcy i Francuzi towarem zagranicznym handlują i wzbogacają się naszym groszem, tom z litością na nich patrzał, i pomyśliłem sobie: nie zazdroscim wam, że u was każdy, jak mówicie, w kamienicy się rodzi, i że u was obfitość figielków stalowych i kościannych. Coby wam było z waszego dowcipu, bez naszych pieniędzy! Ani macie, ani mieć możecie tego, co my. Gdzie się jaki nasz pan pokaże, to ani się opędzi od Francuzów, Włochów, Niemców; a żaden z nas do waszych panów nie lézie.

Tego dnia był obiad wielki u JW. prezydenta, na którym był nasz książe i JO. jego antagonista; tam się téż zrobił początek zgody między nimi. Ksiądz Bykowski, deputat kapituły łuckiéj, a który dzierżał infułę ołycką z kollacyi JO. księcia wojewody wileńskiego, W. Radziszewskiego, i nas wszystkich dworzan księcia zaprosił do siebie na obiad, gdzie było kilku deputatów i mecenasów. Ciągle dawały się nam słyszeć wiwaty z harmat tym, których zdrowia spełniali u JW. prezydenta. — Tego wieczora byłem na teatrze, i przyznaję się, żem się bardzo niecierpliwił. Bo człowiek radby wiedział o sztuce granéj, i nakoniec na to zapłacił, ale nie było sposobu. Co zacznę słuchać, to w prawo i w lewo taki hałas, że człowiek nie wie, gdzie się znajduje. Jak pokaże się wyżéj, czy deputat, czy jakiego deputata żona, krzyczą z dołu wiwat, że aż ściany się trzęsą; a niektórzy wina każą przynieść i wołają na komedyantów, żeby granie przerwali, póki kielich rąk nie obejdzie. Dopiero potém pozwolą biedakom daléj rzecz swoją prowadzić, póki jéj na nowo nie przerwą. Tak sztuka około jedenastéj się skończyła, a tylem o niéj wiedział powracając z teatru, jakbym nigdy z stancyi nie wychodził. Postanowiłem sobie, pókąd będę w Lublinie, na teatr nie chodzić, i czterech złotówek w wodę więcéj nie rzucać.

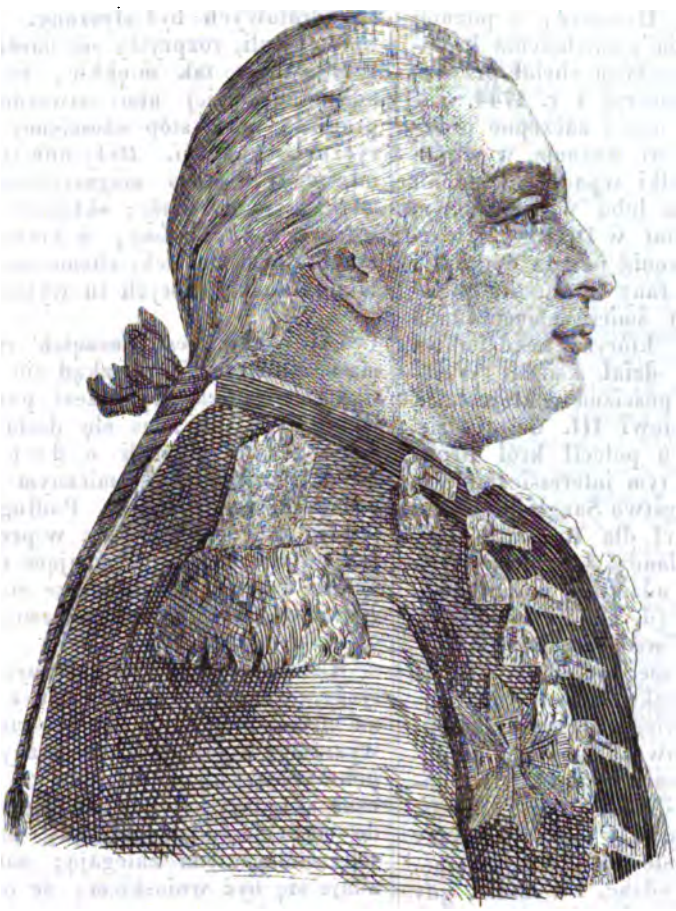
Nie długośmy bawili w Lublinie; bo jak przyjechał brat JO. księcia marszałka, pan Krakowski, i JW. hetman polny koronny, to sprawa, która od dwóchset lat trwała, w kilku godzinach się skończyła. Książe wojewoda wileński odstąpił na rzecz książąt Lubomirskich wszystkich praw, jakie miał wspólnie z nimi do sukcessyi po Szydłowieckich, a książęta zakwitowali go z posagu JW. wojewodziny Iliniczowéj. Komplanacyą sam JW. marszałek trybunału swoją ręką napisał, a strony ją podpisawszy, osobiście przyznały. Extrakt komplanacyi przynieśli księciu plenipotenci książąt Lubomirskich, którym nasz książe rozdał do tysiąca czerwonych złotych; a my podobnież takowy extrakt zanieśli książętom Lubomirskim, co była dla mnie wielka radość, bom jeszcze dotąd nigdy nie widział żadnego kasztelana krakowskiego, który z urzędu swojego jest *princeps senatus* obojga narodów. Co dostał W. Radziszewski i inni, w tom nie wchodził; wiem tylko, że pan Husarzewski, marszałek dworu księcia Lubomirskiego, wręczył mi tabakierkę papierową, ale ciężką, bo w niéj było sześćdziesiąt czerwonych złotych, z których tego dnia użyłem dwadzieścia i cztery, na kupno antała wina u Jokisza Węgra, a to prawdziwego maślaczu, bo mi się tegoż samego roku dziewka urodziła. Ten antał wyprawiłem na Litwę z transportem księcia pana: takim sposobem dostał się do Doktorowicz, że o nim nikt nie wiedział, pókąd na weselu téjże córki, łaskawi przyjaciele ze mną go nie wysuszyli.

(Koniec nastąpi.)

Henryk Brühl.

Sto lat dobiega, jak w całéj Polsce zajęci byli wszyscy człowiekiem, któremu jedni potęgi i wpływu zazdrościli; drudzy, dla zyskania jakiego okruchu majątku narodowego, albo względów królewskich, nadskakiwali; inni nakoniec, dla wyniesienia swego, związków z nim szukali. Tym człowiekiem był Henryk Brühl, pierwszy minister Augusta III., prawa ręka, albo właściwiéj mówiąc, głowa, serce tego monarchy. Wywodził on swój ród z familii polskiéj, lubo Brühlowie byli odwieczną niemiecką rodziną, któréj gniazdem Meklenburgia. Henryk Brühl był synem najmłodszym Jana Maurycego Brühl, dziedzica na Gangloffsoemmern, radzcy tajnego króla Augusta II. (zmarłego 1723 roku) i Zofii Heyde, córki półkownika szwedzkiego. Urodził się dnia 13. Sierpnia 1700 roku. Nauki odbierał naprzód w domu rodzicielskim, potém w gimnazyum w Weissenfels. Ztąd wzięła go na dwór swój za pazia Fryderyka Elżbieta, wdowa po Janie Jerzym, księciu sasko-weissenfelskim; a że w Lipsku mieszkała, przeto młody Brühl kończył tu nauki swoje na uniwersytecie, przykładając się szczególniej do nauk matematycznych i przyrodzonych. Księżna Fryderyka chcąc mu los zapewnić, poleciła go Augustowi II., królowi polskiemu, który go w roku 1726. w poczet swoich kamerjunkrów policzył, a wkrótce potém szambelanem dworu mianował. Przyjemna powierzchowność, uległość i niezmordowane staranie przypodobania się we wszystkiem królowi, zjednały Brühlowi wnet względy u monarchy; a grzeczność i uprzejmość, miłość u dworzan. Wszakże do przyszłego wyniesienia jego posłużyła dopiero następująca okoliczność. Radzca tajny, Karól Pauli, faworyt Augusta II. (który w roku 1738. w Dreznie z okna wypadł, i tym sposobem życie utracił) lubił podchmielać sobie często. Razu jednego przyszły do króla ważne depesze, na które trzeba było natychmiast odpowiedzieć. Król rozkazuje tedy przywołać do siebie Paulego, lecz wysłany do niego kamerdyner, znalazł go tak dobrze podochoconego, że ani ręką, ani nogą władnąć nie mógł. W tym kłopocie musiał król użyć do odpowiedzi na depesze kogo miał pod ręką; a że właśnie był dzień służbowy Brühla, polecił mu załatwienie téj rzeczy. Brühl sprawił się w tém nad oczekiwanie monarchy, który go odtąd zaczął do spraw publicznych używać, i tak go polubił, że go zrobił swoim podkomorzym nadwornym i z upodobaniem towarzystwa jego szukał. Jakoż od téj chwili nieoddalał się Brühl nigdy od boku królewskiego. W roku 1730 był z nim w obozie pod Mühlberg, i w częstych przejażdżkach tego monarchy po Polsce i do Drezna, znajdował się zawsze przy jego osobie, starając się usilnie o utwierdzenie się w łaskach swego pana. Nie trudno téż było dopiąć zamiaru przebiegłemu dworakowi, który przy miernym rozumie, miał wszystkie przymioty, potrzebne samolubowi do wyniesienia się na dworze takiego monarchy, jakim był August II. i August III. Pierwszy mianował go wicedyrektorem skarbu (saskiego) i radzcą stanu (1731): byłby go wyżej posuwał, ale śmierć, dnia 1. Lutego 1733 w Warszawie przypadła, przerwała dalsze względy jego dla Brühla.

Brühl, dobrze już wtajemniczony w majaki i kręte ścieszki dworskie, zmartwiony wprawdzie został śmiercią królewską, ale nie stracił bynajmniéj serca tą przygodą; owszem postanowił zatrzymać się całemi siłami na torze, którym się do wyniesienia swego puścił. — Chcąc się tedy następcy Augusta II. przypodobać, zabrał zaraz klejnoty i rzeczy zmarłego monarchy i z niemi natychmiast do Drezna do Augusta III. pobiegł. Więcej niż 4000 osób, do dworu zmarłego króla należących (prócz 20 obładowanych sześciokonnych wozów z rzeczami zmarłego króla), w 74 sześciokonnych i 20 czterokonnych powozach z Warszawy pod mocną strażą wojska koronnego do Drezna szczęśliwie przeprowadził, lubo po całej Polsce snuli się partyzanci Stanisława Leszczyńskiego i różne swawolne tłumy. August III. przyjął go mile i za tę przysługę przyrzekł łaskę swoję królewską; a że właśnie o tron polski starać się zamyślał, zwrócił natychmiast uwagę na Brühla, który mu też nie omieszkał o wielkich swoich związkach i wpływie w Polsce powiedzieć i tym sposobem wmówić w Augusta III., że on (Brühl) jest mu bardzo potrzebny. — August III. miał przy boku swoim faworyta, Alexandra Józefa Sułkowskiego, który natenczas był kamerjunkrem w wojsku saskiém. Z prawa, podkomorzy zeszłego monarchy, powinien był ten sam urząd sprawować u następcy tronu. Lecz Brühl wiedząc dobrze, że August III. pragnął urząd ten powierzyć swemu polubieńcowi Sułkowskiemu, zrzekł go się dobrowolnie i tym krokiem pozyskał przychylność Sułkowskiego, wyniesionego natychmiast na podkomorstwo, i względy monarchy. Przecież Brühl doświadczył wnet, że pomimo téj ofiary, nie mógł Sułkowskiego używać za narzędzie w widokach swego wyniesienia; owszem Sułkowski stawał mu się w tém silną zawadą i nieraz jego plany krzyżował, niweczył. Postanowił tedy swego współzawodnika usunąć od dworu, co mu się téż, lubo nie bez wielkich trudności, nareszcie udało, za pomocą królowéj, która Sułkowskiego nienawidziła, za to, jak mówiono, że królowi doradzał rzeczy nie w jéj smaku. Na dworze królowej znajdowała się hrabina Kollowrat, która miała córkę nadzwyczajnéj piękności: o rękę jéj prosił Brühl; przyrzeczono mu ją pod warunkiem, jeżli dzieci płci obojéj w wierze katolickiéj wychowa. Brühl, któremu więcej cho-



Henryk Brühl.

dziło o wyniesienie się, niż o wyznanie dzieci, chętnie na ten warunek przystał; poczem ślub jego z panną Kollowrat odbył się w Dreznie dnia 29. Kwietnia 1739. roku z największą pompą; król i królowa prowadzili nowożeńców do ołtarza; Jan Lipski, biskup krakowski, pobłogosławił ich. Od tej chwili hrabina Kollowrat wspierała u dworu wszelkiemi środkami, *per fas et nefas,* zamiary swego zięcia, a królowa z nienawiści ku Sułkowskiemu, podawała rękę swojéj faworycie. Wyrobiła nasamprzód u cesarza Brühlowi tytuł hrabiego; potém przy każdéj sposobności poniżała przed krolem Sułkowskiego, przekładając małżonkowi swemu, że faworyt ten łatwo i daleko lepiéj zastąpionym być może przez hrabiego Brühla. Wszakże król, bądź to z długoletniego nawyknienia do osoby Sułkowskiego, bądź téż z przekonania o jego wyższości w moralnym względzie nad Brühla, opierał się długo podbechtaniom kobiet. Nareszcie sam Sułkowski przyspieszył własny upadek. Chcąc bowiem praktycznie wydoskonalić się w sztuce wojennéj, wziął od króla pozwolenie udania się na wojnę turecką. Z tego nierozważnego kroku korzystali jego nieprzyjaciele. Królowa, hrabina Kollowrat, Brühl i spowiednik królewski Jezuita Gwarini (Neapolitańczyk, zmarły w Dreznie 1748. r., dnia 30. Kwietnia) spiknęli się, aby Sułkowskiego strącić. Słaby monarcha dał się nareszcie nakłonić, i edyktem dnia 5. Lutego 1738. r. wydanym, złożył Sułkowskiego z wszystkich urzędów, wyjąwszy generalstwo piechoty. Teraz Brühl usunąwszy od łaski królewskiéj swego współzawodnika, został podkomorzym królewskim, polubieńcem i wszechwładnym ministrem, nie odstępując nigdy boku monarchy. W krótkim téż czasie tak się zbogacił, że już w roku 1740 kupił majętność w Saxonii, zwaną Pförten, złożoną z 22 wsi i miasteczka. W tym samym roku był z królem w Wschowie, gdzie August III. podpisał uniwersał zwołujący sejm do Warszawy. Na sejmie tym, d. 22. Września, znajdował się w Warszawie. W tym jeszcze samym roku, w wojnie sukcessyjnéj po cesarzu Karolu VI., popierał interes swego monarchy, zgromadził wojsko pod Torgawą i Kulenburgiem, i wysłał je do Czech, zawarłszy

także traktat z Francyą i Bawaryą, a późniéj z Prusami. Ale wnet potém z natchnienia królowéj, któréj się we wszystkiem chciał przypodobać, zbliżył się do Austryi i r. 1744. zawarł z Maryą Teressą odporne i zaczepne przymierze. Krok ten wplątał Saxonią w wojnę z Prusami. Fryderyk Wielki wpadł do Saxonii i cały kraj opanował; a lubo w tym samym jeszcze roku (1745) traktat w Dreznie zawartym został, przecież Saxonia uczuła dotkliwie skutki wojny. Wszakże rany te zagoiła przypadła w roku następnym śmierć księcia Jana Adolfa Weissenfels, po którym bezdzietnym całe księstwo Querfurth, dział książąt Weissenfels, a nadto znaczna puścizna w klejnotach, srebrze i złocie, Augustowi III. dostały się. Uregulowanie tego spadku polecił król Brühlowi, który za fatygę w tym interessie podjętą pozyskał od monarchy księstwo Sanglofsommern. W ogólności rok 1746 był dla Brühla bardzo pomyślny. Szlachta kurlandzka przez swego deputowanego Haugwitz udzieliła mu dyplom na indygienat kurlandzki (d. 12. Lutego 1746), król darował mu dobra Forsta w niższej Luzacyi i wyniósł go na pierwszego ministra. W tym samym roku, gdy księżniczka Marya Anna poszła za kurfirszta bawarskiego Maxymiliana Józefa, Brühl wyprawił nowozaślubionym wspaniałą ucztę. Również wspaniale obchodził w następnym roku (1747) zaślubiny Maryi Józefy, córki królewskiéj z Delfinem. Ale wydawszy z skarbu publicznego wiele na czczą pompę, chciał z innéj strony oszczędzać, i w czasie, gdy sąsiad wojsko swoje powiększał, on zwinął cztery półki piesze i pięć konnych.

(Koniec nastąpi.)

O meteorach, gwiazdach, kamieniach spadających i kulach ognistych.

Wielu jest podobno Czytelników, którzy wcale temu nie wierzą, iżby kamienie z powietrza spadać mogły, ponieważ takowego kamiennego deszczu nigdy nie widzieli. Dla tych opisuję tu najnowsze zdarzenie, pomijając wiele innych dawniejszych, żadnéj wątpliwości niepodlegających. Znajdujący się obecnie na przylądku Dobréj nadziei angielski badacz natury Meclear, donosi sławnemu astronomowi John Herschel w Londynie, następujące szczegóły spadku meteorycznych kamieni na wspomnionym przylądku w Cold - Bok - Kerel 13. Października przeszłego roku wydarzonego. W dniu tym o godzinie 10téj zrana przebiegła ukośnie atmosferę biała jak śnieg kula i pękła nareszcie z hukiem, który podług zasiągnionych późniéj wiadomości, na płaszczyźnie 70 mil kwadratowych był słyszany. Kawały rozpękniętéj kuli, rozprysły się bardzo daleko; z początku były tak miękkie, że się dały krajać nożem, późniéj atoli stwardniały. Zebrano przeszło pięć stóp sześciennych tych meteorycznych kamieni. Były one trzy razy cięższe od wody, nieco magnetyczne, miały pory, miękko się dotykały; składały się, jak wszystkie podobne massy, z krzemionki i innych zwyczajnych cząstek, chemicznie znachodzonych w aerolitach, których tu wyliczać nie myślimy.

Ale jakiż jest początek tych kamiennych mass meteorycznych? zkąd się biorą w powietrzu i z jakich przestrzeni powietrznych, lub eterycznych, do nas się dostają? Czytelnicy zapewne już słyszeli o dwóch hipotezach: o tak nazwanym kosmicznym i tellurycznym początku tych zjawisk. Podług pierwszéj, powstają owe ogniste kule w przestrzeni świata, jak gdyby małe, poczynające ciała niebieskie; podług drugiéj, w atmosferze ziemskiéj. Zdaje się, że obadwa te przypuszczenia są prawdziwe.

Co się najprzód tellurycznych kul ognistych tyczy, wiadomo każdemu, że z wszystkich ciał na ziemi, nietylko z samych cieczy, wychodzą wyziewy; a ponieważ chemiczny rozkład owych pękniętych kul okazał, że te massy meteoryczne składają się z takich pierwiastków, jakie do ciał ziemskich należąc, najobszerniéj powierzchnią ziemi zalegają; naturalnym przeto zdaje się być wnioskiem, że te właściwie niczém inném nie są, jak atmosferyczną osadą (zgęszczeniem się) wzniesionych w górę i ulotnionych delikatnych kruszcowych i kamiennych cząsteczek; tak, jak wodniste meteory deszcze, grad, śnieg i t. d. Przypuszczenie to, że takowe massy meteoryczne w atmosferze się formują, potwierdza następująca okoliczność. Ścisły rozbiór chemiczny śniegu, deszczu, odkrył w nich cząstki choć w małéj ilości téj saméj massy, która się w aerolitach znajduje; a co większa, nieraz już znaleziono grad, zawierający w środku jądro metaliczne, zupełnie do massy kamiennych meteorów podobne, i w takim razie zdaje się, że połączyły się wspólnie oba działania w atmosferze, to jest i to, które wodniste, i które mineraliczne zrządza formacye.

Lecz ztąd, że wiele z tych meteorycznych kul ognistych w atmosferze powstaje, nie wypada bynajmniéj, żeby wszystkie w niéj początek brać miały. Niebieski eteryczny ocean zdaje się być pełen twórczéj materyi i widzimy przy oddzielaniu się i kształceniu gwiazd mglistych, że te codziennie w coraz większe wzrastają kule. Do takich drobnych ciał niebieskich należą szczególniéj owe ogniste kule i gwiazdy spadające, które w Sierpniu i Listopadzie, jak gdyby ognistym peryodycznym deszczem na zie-

mię się leją. Jakoż słuszna jest, aby wowym niezmierzonym eterycznym przestworze, który od czasu tylko do czasu obłędliwy przebiega kometa, aby mówię w téj próżni, dzielącéj dwa jakie niezmiernie odległe niebieskie ciała, przyjąć jakie działanie natury, a tém samem zapobiedz owéj próżnéj czczości. Czy atoli owe kosmiczne utwory spadają na ziemię lub nie, w tém się zdania uczonych różnią, tym więcéj, gdy ich nawet dotąd od tellurycznych podobnych zjawisk rozróżnić nie umieją.

Wiedeński astronom C. L. Litrow, który około zbadania tych i podobnych zjawisk, wielkie położył zasługi, rozróżnia gwiazdy i ogniste kule peryodycznie i w pewnym jednostajnym kierunku 10go Sierpnia i 12go Listopada na ziemię spadające, od podobnych zjawisk, w innych porach roku zdarzających się, i bez żadnéj normy po wszystkich punktach nieba błąkających się. Można więc przyjąć, że nasza ziemia, w swéj ekliptycznéj drodze około słońca, w wzmiankowanym, sierpniowym i listopadnym czasie, przechodzi przez okolice niebieskiego przestworu, które szczególniéj w zarody kosmicznych kul ognistych obfitować się zdają. Okolice te są w przeciwnych zupełnie stronach nieba; i 10go, 11go, 12go Sierpnia godzą owe gwiazdy jednostajnie do punktu, zkąd ziemia wswym pochodzie przyszła; gdy przeciwnie 12go, 13go Listopada dążą wszystkie gwiazdy w kierunku do punktu, do którego i ziemia zmierza. Zdaje się więc, że całe uniwersum napełnione jest takiemi rodzącemi się ciałkami, w niektórych miejscach bardziéj w pewne systemata skupionemi. Być może, że takowe dwa systemata okrążają słońce, i że ich okręgi, w wyżéj wzmiankowanych porach, stykają się z ekliptyką ziemi, i dla tego ziemię swemi ognistemi kulami strychują. Mogłoby wreszcie i to być, że jaki niedyskretny Syrius zieje na uniwersum ten ogień, pod który, gdy ziemia w swéj ekliptyce podbiegnie, gorącą łaźnią wytrzymać musi.

Jest oto Listopad, moi mili Czytelnicy, a przyjdzie podobno nie długo i Sierpień; zaglądają z was jedni pilnie do śpichlerza i bydełka, drudzy do kartek i buteleczki, inni inne jeszcze przedmioty rekognoskują; wznieście téż, proszę, oczy wasze do gwiaździstego nieba, a ujrzycie ów ogień niebieski w tym czasie szczególniéj na was się zlewający! Podnieście razem i serca wasze do tego, który świat cały ze wszystkiemi jego widomemi i niewidomemi cudami w swéj wszechmocnéj trzyma dłoni!

Ale, ponieważ, mili Czytelnicy, byliście tak łaskawi, towarzyszyć mi po niebieskich obszarach, zatrzymam was jeszcze na chwilę; bo niewiem, czy mi się kiedy uda, wywabić was w tak odległą naukową przejażdżkę. Żeby to jeszcze, rzeknie może nie jeden, upatrzyć gdzie na miedzy kota lub stadko kuropatw, toby nie wadziło; ale te mgliste sulfuryczne wyziewy, już mię nudzić poczynają. Proszę na chwilkę tylko.

Powiem wam o powtórném odkryciu dwóch bliższych Saturnowych księżyców. Ogromny, naszą ziemię prawie sto razy wielkością przechodzący planeta Saturn, ma, oprócz pierścienia, okrążającego wolno jego równik, nadto siedm około swego głównego planety w téj saméj płaszczyznie obiegających księżyców. Wszystkie, prócz jednego (szóstego rachując od Saturna, albo drugiego od nas), mniejsze od naszego księżyca, i dla tego w niezmiernéj odległości 200 milionów mil, trudne do znalezienia. Owego największego odkrył hollenderski astronom Huygens w roku 1655: inne późniéj dopiero odkryte zostały. Dwa zaś najbliższe Saturna (to jest pierwszy i drugi, albo szósty i siódmy), odkrył dopiero w roku 1789 Herschel (ojciec) za pomocą swych donośnych i do takiéj doskonałości posuniętych teleskopów. Herschel także oznaczył ich obiegi koło Saturna, to jest najpierwszego w 22 godzinach 36 minutach; drugiego w 32 godz. 53 min. Czytelnik łatwo sobie wystawi pyszny widok nieba na Saturnie, uwieńczonego wspaniałym pierścieniem i siedmiu księżycami, z których dwa ostatnie z tak niepojętą chyżością przebiegają niebo, iż prawie w dniu jednym kończą swe około planety obiegi. Od tego odkrycia dwa rzeczone księżyce zniknęły, i pomimo najtroskliwszych śledztw astronomów, nikt wytropić ich nie mógł; nam tylko drugi ukazał się na chwilkę, ale ostatni lepiéj się schował. Nie tak dawno jeszcze pisał Sir John Hirschel (syn przeszłego) z przylądka Dobréj nadziei, gdzie wtenczas robił spostrzeżenia: „Ten ostatni księżyc żartuje sobie z moich teleskopów i natężonego usiłowania.“ — Tym miléj nam jest donieść, że w Czerwcu roku bieżącego, a zatem prawie 50 lat po pierwszem odkryciu, udało się astronomom w *collegio Romano* odkryć na nowo tych dwóch tak długo ukrytych zbiegów, i że z tych nowych spostrzeżeń wyprowadzone ich peryodyczne obiegi, z oznaczeniami Herschla na włos się zgadzają. Okoliczność, nowe poszanowanie dla téj cudownéj nauki wzbudzająca. Zdaje się, że i do rozszerzenia znajomości owego pierścienia, jedynego w naszym systemacie słonecznym zjawiska, nie mało się owe obserwacye rzymskich astronomów przyłożyły; albowiem, gdy berliński astronom Encke dostrzegł, że ten pierścień, dawniéj jako podwójny znaleziony, jest potrójnym, dziś owi włoscy obserwatorowie, dalsze jeszcze podziały pierścienia tego wykazali.



Ksiądz Kordecki na murach Częstochowy.

Dając Czytelnikom rycinę, wystawującą księdza Augustyna Kordeckiego, przeora XX. Paulinów częstochowskich, broniącego murów klasztoru naprzeciw Szwedom w roku 1655, odsełamy ich do opisu Częstochowy w Przyjacielu ludu roku drugiego Tom I. Nro. 7. str. 49., i w roku obecnym Nro. 18.

Rozmaitości.

Pamięć o Janie Kochanowskim.

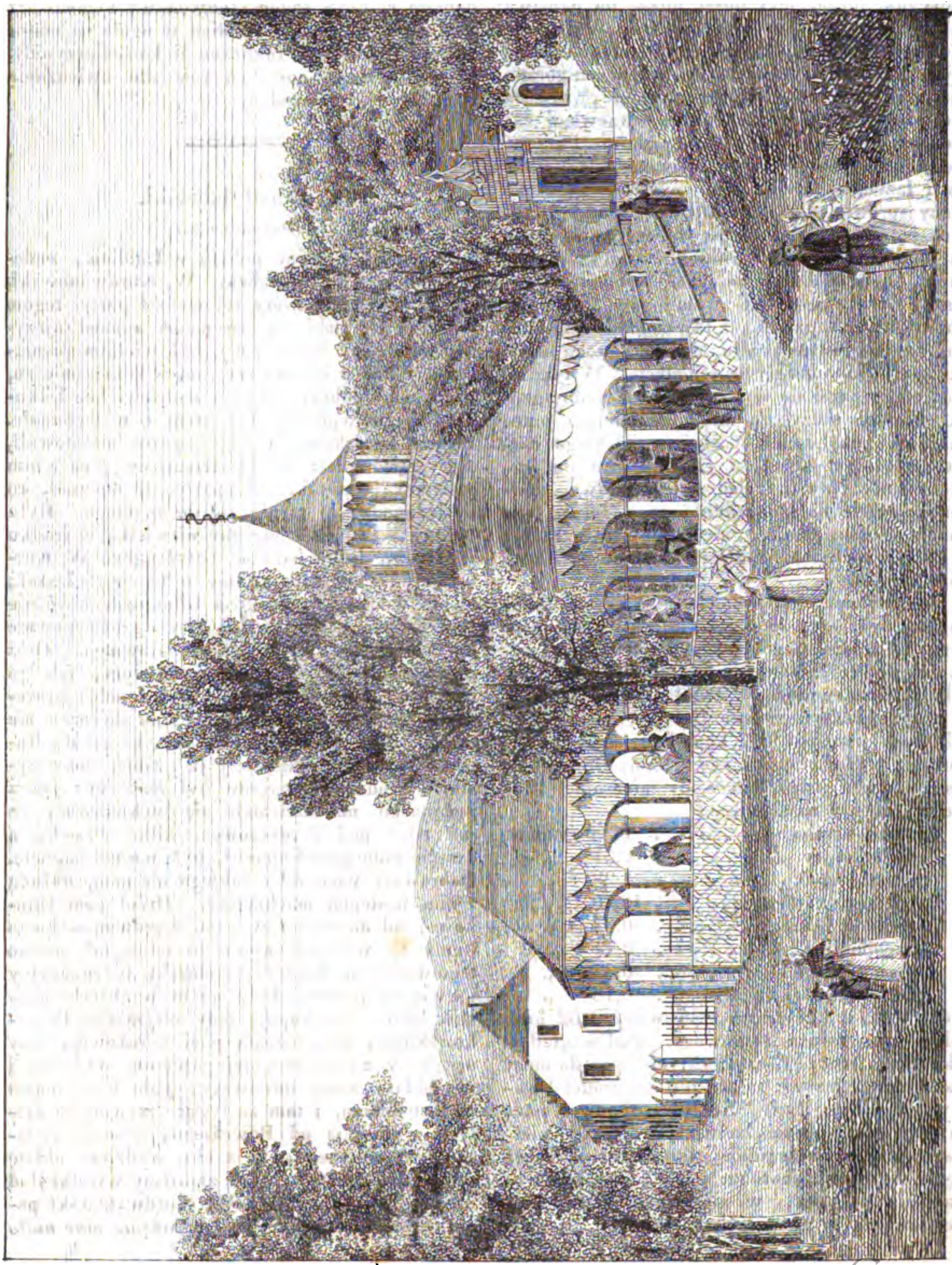
Dnia 4. Września r. b. poraz pierwszy w nowo ukończonéj kaplicy we wśi Czarnolesie, dziś księstwa Jabłonowskich, w królestwie polskiém, pobłogosławił kapłan zgromadzonym na nabożeństwie chłopkom, którzy do dnia dzisiejszego w tradycyonalnéj powieści przechowują święcie od ojców pamiątkę tego, który umiał czuć ich niedolę, 'cenić cierpliwość i cnotę. Kaplica ta, lat temu kilkanaście, przez ówczesną właścicielkę dóbr rozpoczęta, wzniesioną jest w czystym guście gotyckim, pod opiekuńczym cieniem stuletnich lip, niegdyś młodych towarzyszek skołatanéj groźnemi burzami i uginającéj się już wówczas pod ciężarem lat ukochanéj lipy Kochanowskiego. Mury kaplicy oparte są na szczątkach kamieni, fundamentach owego domu z modrzewia, w którym skromny i bogaty w cnoty poeta, zbyt krótkie przepędziwszy chwile, nie jednę łzę uronił, opłacając drogo tytuł ojca poetów, który może poczęści winien temu, że był nieszczęsnym ojcem Urszuli. Ściana wschodów, wiodących do zakrystyi, stoi nieporuszona w ruinie odkrytéj, tak, jak ją czas po owym mężu pozostawił. Zresztą w Czarnolesie wszystko tchnie jego pamiątką: dwór teraźniejszy, obok dawnego postawiony, nosi ten sam napis, którym Kochanowski swój własny ozdobił. Lipy już jednak nie ma; przetrwawszy kres wszystkim rzeczom doczesnym naznaczony, sama, lat temu kilkadziesiąt, ze starości runęła; fałszem jest zupełnym, jakoby przez niewiadomość ściętą została; owszem naznaczono i zachowano w pamięci miejsce, w którém stała, i obecnie pomnik przypomina przechodniom, że sława, szczęście i boleść zarówno przemijają, i że na wspomnienie tylko niekiedy liczyć można.

(*Z Rozmait. lwowskich.*)

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (*Red. J. Łukaszewicz.*)

Przyjaciel Ludu.

Rok szósty. **No. 21.** **Leszno, *dnia* 23. *Listopada* 1839.**



Kąpiele mineralne w Krynicy.

Kąpiele mineralne w Krynicy.

(*Z obrazów Galicyi.*)

Pomiędzy mnogimi zdrojami mineralnymi Galicyi, kąpiele w Krynicy tak pod względem swego pięknego położenia, jako też co do skuteczności, słusznie do najpierwszych liczyć się mogą. Cztery mile od obwodowego miasta Nowego-Sądcza, leży dosyć duża, do państwa kameralnego Muszyny należąca wieś Krynica, w przyjemnéj dolinie, którą bystry potok przerzyna. Północną część doliny, wyższemi górami bardziéj zwężoną, zajmują kąpiele, którym prosto idący chodnik, wysokiemi drzewami zasadzony, postać długiéj ulicy nadaje. Po prawéj i lewéj stronie stoją wygodne pomieszkania i łazienki, do których wodę umieszczone rynny sprowadzają. Źródła mineralne, z których jedno do picia, drugie do czerpania wody na kąpiele dla gości, mieszkających we wsi, służy, ledwie dziesięć stóp od siebie są oddalone i leżą u stóp tak zwanéj góry źródlanéj. Ładny otwarty pawilon z ławkami do spoczynku, kryje główne źródło, do którego się schodzi po kilku okrągłych schodach. W tyle za źródłem, wznosi się wysoka góra; chłodny gaik na takowéj służy za ulubione miejsce przechadzki, ma bowiem postać angielskiego parku, w którym kręte są chodniki, a umieszczone stoły, ławki i siedzenia darniowe, znużonego gościa do spoczynku nęcą. Oprócz tego dodaje całemu miejscu nie mało uroku ładna, r. 1827 wystawiona kaplica, na wzgórzu u stóp góry stojąca.

Woda mineralna krynicka jest czysta, zimna, orzeźwiająca, smaku kwaskowato-ściągającego. Z źródeł swych tak mocno i obficie wybucha, iż przy pierwszém spojrzeniu zdaje się, jakoby była wrzącą. Źródła te dostarczają w przeciągu 24ch godzin 19,000 garncy wody, z których przeszło 477 kąpieli dziennie zrobić można. Podług chemicznego rozbioru Dra. Schultes, zawiéra jeden funt wody mineralnéj krynickiéj cząstki następujące:

solanu wapiennego	0,38	granów,
solanu sody	0,61	„
węglanu sody	1,28	„
węglanu wapiennego	12,16	„
węglanu żelaza	0,33	„
krzemionki	0,17	„
żywicy ziemnéj	0,32	„
pierwiastku extraktowego	0,18	„

prócz tego w kubicznym calu wody 1,62 kub. calów gazu kwasu węglowego. Pod względem lekarskim, woda mineralna krynicka co do mocy i skuteczności swéj, tęższa jest od źródeł kwaśnych w Bilin, Eger, Selters i Spaa, i może nawet z samą pirmoncką wodą walczyć o pierwszeństwo. Szczególniéj skuteczną pokazała się w wszelkich chorobach, pochodzących z osłabienia żołądka, w niektórych słabościach piersiowych, w niemocach nerwowych, w chorowitym stanie narzędzi moczowych, tudzież i w owém ogólném osłabieniu ciała, które pospolicie po młodości, rozwięzłe przepędzonéj, następuje; także pomagała na niepłodność kobiet, jako też na wiele innych chorób.

Krynica była początkowo własnością biskupstwa krakowskiego, źródła zaś mineralne odkrył dopiéro r. 1784 sądecki obwodowy kommissarz Styx z Sanbergen. Okolice w ogóle są malownicze i obfitują w rozliczne piękności przyrody, co też niemało gości co rok dla zwiedzania tych kąpieli sprowadza.

Trybunał lubelski.

(Dokończenie.)

W czasie naszego pobytu w Lublinie, cudowny zdarzył się wypadek. W. Kurdwanowski, możny obywatel, który rej wodził partyi tegoto hetmana Branickiego, co potém zaniósł ojczyznę tam, zkąd dostał żonę, był wielkim pieniaczem, i ani w Zytomierzu, ani w Włodzimierzu, gdzie miał dobra, nie było kadencyi bez kilkunastu jego wpisów; toż samo i w trybunale. Plenipotenci hetmana jego spraw attentowali, plecy miał silne: biada szlachcicowi, co z nim sąsiadował; a taki był uparty, że nie znał, co to się zgodzić, i pieniał się do upadłego. Była wdowa, mająca wioseczkę niewielką w środku jego dóbr, którą bardzo życzył nabyć W. Kurdwanowski, i kilkakrotnie o to się zgłaszał; ale ta wdowa, nazwiskiem Glinkowa, zbyć nie chciała swojéj wioski, lubo jéj wartość pewnie nie dochodziła kwoty za nią ofiarowanéj. Otóż rozgniewany W. Kurdwanowski tym, jak go nazywał, uporem wdowy, ułożył sobie procederem wydrzeć, czego pieniędzmi dokazać nie mógł. Miał on sobie obowiązanym neofitę Ramowicza, który liznąwszy jurysteryi, do wszystkich brudnych interesów był sposobny: jakoż podobnemi na obywatela się wykierował, że już miał pod Berdyczowem kilka wiosek, a przecie żadnego nie opuścił, byle mu coś kapnęło. Dobrawszy więc sobie takiego niecnotę, układa z nim następną machinacyą. Dziad pani Glinkowéj od antecessorów pana Kurdwanowskiego kupił tę wioskę, która go teraz tak mocno tentowała; a donacya, kontrakt rezygnacyjny i kwit *de pretio*, były na to w aktach żytomierskich. Przekupują tedy niejakiego Pazurkowskiego, plenipotenta pani Glinkowéj, aby oryginały z pomiędzy jéj papierów wydobył i im oddał, które dostawszy, jadą natychmiast do Żytomierza, i tam za tysiąc czerwonych złotych wyrabiają od Rojeckiego, pisarza ziemskiego tameczaego, iż z akt wydziera oblatę tychże dokumentów. Tak zatarłszy wszelki ślad nabycia wsi, zapozywa W. Kurdwanowski panią Glinkowę o nieprawne posiadanie *sine nullo*

dato et accepto, jego majątku. Napastowana wdowa, ufna w świętość swojéj sprawy, a niemniéj w światło i przyjaźń Pazurkowskiego, czeka wyroku, co jéj spokojność ma powrócić. Ziemstwo nakazuje stronom komportacyą dokumentów. Pan Ramowicz jako plenipotent przysięga, bo tak i W. Kurdwanowskiego sumienie ruszyło i nie był na sprawie; pan Pazurkowski zaprzysiągł także komportacyą dokumentów, będących w jego ręku, z których zniszczył te właśnie, co stanowiły cały interes jego pryncypałki. A tak sąd ziemski, do którego dobrze panu Kurdwanowskiemu forytował Rojecki pisarz, a który nakoniec może i sumiennie postępował, bo taki sądzi się z dokumentów, nie z własnéj wiadomości, przysądził panu Kurdwanowskiemu, wieś z kalkulacyą od lat kilkudziesiąt. Majętna wdowa, zagrożona tym dekretem, z trojgiem dziatek być bez kawałka chleba, appellowała do trybunału, a trybunał potwierdził wyrok sądu ziemskiego. Ale w Koronie dwa dekreta trybunalskie, *conformiter* zapadłe, stanowią dopiero konwikcyą, Właśnie, kiedyśmy byli w Lublinie, ta sprawa na stół przychodziła. Śpieszył na nią pan Kurdwanowski w dobréj nadziei, bo wsparty dekretem ziemskim i jednym trybunalskim. Miał przytém wielu deputatów za sobą i miał czém ich nabywać; a sumienie swoje już był zwyciężył.

Jadąc do Lublina, gdy mu nocleg w Piaskach wypadł, marzy mu się we śnie, ale tak wyraźnie, jakby to się działo na jawie, że się znajduje w sali trybunalskiéj. Tam widzi marszałka i deputatów miejsca zajęte, ale przez osoby jemu nieznajome. Marszałek ogłasza, iż sądzić się będzie regestr taktowy, i każe czytać wokandę. Pierwszy wpis wychodzi pana Pazurkowskiego. Jakież było zdziwienie pana Kurdwanowskiego, słysząc wprowadzenie jego sprawy, ze wszystkiemi okolicznościami jego zaprzedajności i wydania oryginalnych dokumentów na zgubę pryncypałki! Po wysłuchaniu téj sprawy, w kilku słowach marszałek ogłasza dekret, skazujący na śmierć Pazurkowskiego; a po przeczytaniu onego, każe wprowadzić sprawę następnego wpisu. Wprowadzają sprawę pisarza Rojeckiego. Słyszy W. Kurdwanowski (choć we śnie, ale silnie przerażony), jak instygator dowodzi, że pisarz wziął tysiąc czerwonych złotych, które mu sam Kurdwanowski wręczył, jak pofałszował akta i t. d., a marszałek równéj krótkości dekret, jak poprzedzający, ogłosił, pana Rojeckiego toż samo na śmierć skazując. Czeka więc (zawsze we śnie), co tu daléj będzie. Słyszy, że z kolei regent czyta dwa następne wpisy: Urodzonego Ramowicza i W. Kurdwanowskiego; marszałek oba wpisy połącza, i każe wprowadzać sprawę. Tu słyszy W. Kurdwanowski instygatora, tłumaczącego całą rzecz i dowodzącego z wymową niepospolitą, ale tak, że aż mrowie po nim przechodziło, iż trybunał wskazawszy na śmierć patrona Pazurkowskiego i pisarza Rojeckiego, nie może mniejszéj kary naznaczyć Ramowiczowi, co był główną sprężyną całéj téj zbrodniczéj tajemnicy; a cóż dopiero W. Kurdwanowskiemu, który pieniędzmi swojemi, jako istny szatan, tych wszystkich nikczemników skusiwszy, przywiódł ich do najszkaradniejszego występku: on, co będąc z starożytnego na Podlasiu rodu, powinienby przykładem do cnoty wszystkich zagrzewać, związał się z przechrztami i ludźmi podejrzanego szlachectwa, aby biedną wdowę, prawdziwą jak on szlachciankę, zgubić. Jakażby była sprawiedliwość najjaśniejszego trybunału, gdyby takowa czynność płazem poszła panu Kurdwanowskiemu, i gdyby ten, co największą korzyść ze zbrodni otrzymał, sam jeden był wolny od kary? Po skończonym indukcie, nie czekając repliki, bo po prawdzie powiedziawszy, nie było co replikować, marszałek odezwał się temi słowy: „odkładam sessyą do wielkiéj nocy“ — i silnie stuknął laską; a pan Kurdwanowski się przebudził. Uczuł się zmęczonym tak dziwnym snem, przygotował się w dalszą drogę, i w wielkiéj niespokojności siadł do pojazdu. Ale jak zaczął w umyśle jego djabeł przeciw Panu Bogu patronować, i wmawiać mu: że sen mara, że o tém myślał, więc to się i przyśniło; że raz zacząwszy, ambicya każe kończyć; że prawo jest gatunkiem wojny, w któréj wszelki fortel uchodzi, byle zwyciężyć; że kto przekupuje, za łeb nie bierze, — więc ci, co zaprzedali sumienie, o sobie niech myślą, a on w czémże tak bardzo wykroczył, nawet okazał sumienie dość delikatne, bo nie sam, ale umocowany jego, zaprzysiągł komportacyą dokumentów; że nakoniec kiedyś, jak przyjdą czasy po temu, może znaleść sposobność i panią Glinkowę wynagrodzić: tak i do Lublina przyjechał uspokojony, a przyjechawszy, zaczął chodzić koło swojéj sprawy, i popierać ją na sucho i na mokro. Aż tu przybywa do niego sztafeta z doniesieniem, że przed kilką dniami, gdy pan Pazurkowski wiózł pana pisarza Rojeckiego na jakąś kondescencyą, most się pod nimi zawalił, i pana Pazurkowskiego wyciągnęli z pod mostu bez duszy, a pan Rojecki w kilkanaście godzin po tym przypadku skonał.

Dopiero W. Kurdwanowski tak się przeraził, że pierwszy raz w życiu starał się o zgodę. Nie tylko, że zakwitował panią Glinkowę ze wszelkich pretensyi do jéj majątku, ale z największą skrupulatnością wynagrodził jéj wszystkie wydatki i szkody, jakie poniosła z jego przyczyny, i klęcząc w obliczu nas wszystkich, prosił, by mu odpuściła, opowiadając publicznie sen, który mu Pan Bóg łaskawy zesłał, a który w części już się ziścił. To mu wielką zjednało sławę; bo przyznanie się publiczne do winy, skrucha prawdziwa i zadośćuczynienie dobro-



Żydzi, opłakujący upadek ojczyzny.

wolne, są rzeczy nadludzkie, i tylko ulubieniec Boży może je uzupełnić.

Tak i trybunał, i pany i my szlachta, wielceśmy się z postępku pana Kurdwanowskiego zbudowali, a ten dowód nowy nieogarnionych, a tajemnych rozrządzeń Bożych, pewnie dla nikogo straconym nie został. Odtąd P. Kurdwanowski zupełnie odmienił prowadzenie się swoje, wszelkiego pieniactwa poprzestał, i wiódł życie chrześciańskie. Ale słowa we śnie słyszane: „odkładam sessyą do wielkiéj nocy," utkwiły w nim, bo przez nie rozumiał, że w czasie wielkiéj nocy koniecznie umrzeć musi. Co roku potém przez cały wielki post gotował się na śmierć, rachując się ściśle ze swojém sumieniem. Jakom się dowiedział późniéj, w saméj istocie umarł w czasie świąt wielkanocnych, w podeszłym wieku, bo już i natenczas, kiedym go widział w Lublinie, nie był młody; a śmierć jego była do zazdrości, bo więcéj lat trzydziestu do niéj się gotował.

Żydzi, opłakujący upadek ojczyzny.

(*Obraz Bendemanna.*)

Edward Bendemann, rodem z Berlina, od roku przeszłego professor sztuki malarskiéj w akademii drezdeńskiéj, jest jednym z tych najnowszéj niemieckiéj szkoły mistrzów, których dzieła po wystawach obrazów, w ostatnich latach, po różnych Europy miastach, najbardziéj podziwiane i cenione były. Rzadko który z malarzy, w tak młodym, jak Bendemann, wieku, z tak wykończonemi wystąpił tworami; albowiem w dwudziestym pierwszym roku życia swego ukazał światu swój obraz, wystawiający: „Żydów opłakujących upadek ojczyzny." Myśl do dzieła tego wzięta z Psalmu 136, słów następujących: „Nad rzekami babilońskiéj ziemi, tameśmy sie- „dzieli i płakali, gdyśmy wspominali na Syon. „Na wierzbach wpośród niéj, pozawieszaliśmy „muzyczne narzędzia nasze." W roku 1832. był obraz ten po raz pierwszy na wystawie berlińskiéj: po nim w krótkim czasie wykończył Bendemann swego: *Jeremiasza na gruzach Jerozolimy*, w roku obecnym do Poznania nadesłanego; teraz pracuje nad trzeciém równéj wielkości dziełem, mającém wystawiać *Syon i Babilon.* Znawcy, którzy niewykończone to dzieło oglądali, przyznają mu nad obydwiema wspomnianemi pierwszeństwo.

Jakkolwiek obrazy te znakomitego okazują mistrza, widać jednakże w nich coś wymuszonego. Żal malujący się na twarzach bohatyrów jego, nie jest wcale obrazem owéj boleści, rozdzierającéj serce, z powodu straconéj ojczyzny, lecz zdaje się być oznaką zwykłego u ludzi smutku. I dla tego twierdzi wielu znawców, iż Bendemann w dawnéj swéj sferze, jako li-

rycmo-sielski malarz, pozostać był powinien, tutaj bowiem był jedynym w swoim rodzaju i niezrównanym. Na dowód tego przytaczają obraz jego *Żniwo*, ceniony wielce na wystawie berlinskiéj, mogący stać w równi z *Żniwiarzami* Roberta. (*) W technice celuje Bendemann pomiędzy rówiennikami swymi; kolory bowiem jego żywe i prawdziwe, rysunek poprawny, grupowanie osób naturalne.

Obecnie trudni się Bendemann w zamku królewskim drezdeńskim, wykonaniem kilku obrazów al fresco, wystawiającemi sceny z życia Henryka I. Ptasznika.

M.

Henryk Brühl.

(Koniec.)

Tymczasem majątek Brühla rósł niezmiernie, i już w roku 1749. kupił on znowu znaczne dobra w Polsce, a między innemi Sieraków w Wielkiéj-Polsce od Katarzyny z Opoleńskich Leszczyńskiej, małżonki króla Stanisława, za 200,000 zł. Ale kupno to nabawiło go wiele kłopotu. Działyński, starosta nakielski, wytoczył mu sprawę w trybunale piotrkowskim o nieważność kupna, albowiem prawa polskie zakazywały nabywanie dóbr ziemskich nieindygenom, to jest takim, którzy ślachectwa polskiego nie mieli. Trybunał nakazał Brühlowi złożyć wywód swego ślachectwa polskiego. Nic nie było łatwiejszego dla Brühla nad to, w czasie, w którym fałszowanie i fabrykowanie rozmaitych dokumentów było w Polsce bardzo zwyczajnem. Gdy więc sprawa jego z regestru przypadła, złożył swoję genealogią, opatrzoną w starobytne przywileje, według któréj jeden z mniemanych przodków jego, Ernest Brühl, podkomorzy poznański, hrabia na Ocieszynie, żyjący w piętnastym wieku, miał za sobą córkę kasztelana jakiegoś Oświecińskiego. Potomek tego Ernesta, Jan Brühl, odwożąc córkę Kaźimierza Jagiellończyka, wydaną za Jerzego, księcia saskiego, do Saxonii, dostał od tego księcia w nagrodę pewne dobra w Saxonii prawem lennem. Od tego czasu Brühlowie familia polska rozrodziła się w Niemczech. Trybunał, w którym nieraz potwierdzano rodowody od Popiela, nadał wyrokiem swoim sankcyą drzewu genealogicznemu Brühla, który spokojnie objął dobra sierakowskie i zaczął się odtąd pisać *Hrabia na Ocieszynie.* Na mocy tegoż samego wyroku piotrkowskiego, najstarszy syn Brühla, Alojzy Fryderyk, dostał od króla starostwo warszawskie, ustąpione dobrowolnie przez Augusta, księcia Czatoryjskiego, wojewodę ruskiego. Nowy starosta odprawił wiazd do Warszawy z azyatycką pompą, a złożywszy przysięgę przed Kaźimierzem Poniatowskim, wojewodą mazowieckim, objął zamek (d. 7. Sierpnia 1750), i dał w nim ucztę na 100 osób.— Byłoto atoli ostatnie pomyślne zdarzenie dla Brühla. Wkrótce potém z puduszczenia królowéj wplątał swego monarchę w koalicyą przeciw Fryderykowi Wielkiemu, który przymusiwszy wojsko saskie pod Pirną do złożenia broni, opanował całą Saxonią, wywierając szczególniéj gniew swój na Brühla. Ostatni z królem i królewiczami, Karolem i Xawerym, schronił się wprawdzie przed burzą do Polski, ale dobra jego i pałac w Dreźnie zniszczone zostały całkiem. Król nadgradzając mu te straty, dał mu starostwo spiskie, przynoszące 22,000 dukatów rocznego dochodu, zawakowane po śmierci królowéj († 19. Listopada 1757). Z tem wszystkiem pobyt jego w Polsce niebył mu bardzo przyjemny: wojska zagraniczne niszczyły kraj, sejmy rwano, na osobę jego zasadzki czyniono. Najdotkliwszym przecież ciosem dla niego było nieprzypuszczenie syna jego, Fryderyka Aloizego, starostę warszawskiego, do koła poselskiego, na sejmie 1762., na którym poraz pierwszy do szabel się rwano. Dokazała tego partya Czartoryjskich, zarzucająca mu nieślachectwo przez Stanisława Poniatowskiego i Siemakowskiego, posła ciechanowskiego, który sejm zerwał. Potężny minister, przed którym się dotąd wszystko płaszczyło, doznał pierwszy raz otwartego oporu; znienawidził Polaków i chętnie opuścił z królem Polskę, gdy w roku 1763. pokój hubertsburski stanął. Dnia 30. Kwietnia t. r. przybył do Drezna chorym; w Czerwcu jednakże odzyskał do tego stopnia zdrowie, że królowi, do Teplic jadącemu, towarzyszył. W Lipcu zapadł znowu na zdrowiu, i powrócił bardzo cierpiącym do Drezna. Tymczasem, dnia 5. Października 1763., umarł August III. Śmierć niespodziana monarchy tak umysł Brühla wstrzęsła, że sam wkrótce potém, to jest dnia 28. Paźd. 1763., do wieczności się przeniósł, mając lat 63 wieku. Zwłoki jego złożone zostały w Forste z wszelkiemi, jakie obrządek luterski dopuszcza, okazałościami. W ostatniéj swéj chorobie niezmiernie był nabożny, kazał sobie czytywać modlitwy i psalmy, i z kapelanem swoim, doktorem Herman, o rzeczach wiary często rozmawiał.

Brühl nie był bez pewnych talentów, ale zbywało mu na przymiotach prawdziwie wielkich ludzi, takie same stanowisko w narodzie zajmujących. Uległością, pochlebstwem, zręcznym taktem i ogładą salonową opanował umysł słabego i ociężałego monarchy, któremu się zdawało, że tron jego zawaliłby się natychmiast, gdyby go silna dłoń pierwszego ministra nie wspierała. Wszystkie jego kroki zmierzały do osobistego interessu: nim na pierwszego ministra urosł, miał tylko na celu własne wyniesienie; zostawszy pierwszym mini-

(*) Zob. Przyj. L. T. I. R. 3. No. 24.

strem, myślał tylko o sposobach zbogacenia się; byłoto wcielone samolubstwo, które żadnéj posługi dla kraju bez nagrody nierobiło. Dla tego téż gdy arsenał warszawski w działa i broń palną i sieczną z własnéj kieszeni zaopatrzył, współcześni nie mogli sobie wytłumaczyć, zkąd pochodzi ta bezinteressowność Brühla. Wszakże zdarł wnet wszystkim zasłonę z oczu, kazawszy sobie za to na konwokacyi wschowskiéj zapłacić z skarbu koronnego 40,000 zł. pols. Niepowinno więc dziwić, że zebrał majątek niezmierny, kilkadziesiąt milionów złotych wynoszący. W saméj Polsce miał dobra sierakowskie, bolimowskie, kilka starostw, i t. d. Kochał się w przepychu i zbytku prawie azyatyckim; na stole jego zastawiano codzień 30 do 50 półmisków potraw; w kuchni gotowało 16 kucharzy, tyleż cukierników i pasztetników, prócz licznéj czeladzi kuchennéj; do stołu usługiwało 12. paziów, tyluż kamerdynerów. Ludzi w liberyi chodzących miał przeszło stu. Posiadał piękny księgozbiór, w który także wsiąkła biblioteka Brauna, w dzieła polskie bogata; przepyszną galeryą obrazów, mieszczącą w sobie dzieła pędzla Rembrandta, Tenniera, Ruysdaala, van der Neer, Coreggio, Carrachio i t. d.

Miał pięciu synów i tyleż córek, z których większa część w dzieciństwie pomarła. Jedna z córek jego, Marya Amalia, poszła za Jerzego Wandalina Mniszcha, dnia 14. Lipca 1750. r.; ślub jéj odbył się z największym przepychem w Warszawie; ślub dawał prymas Komorowski. Syn jego, Fryderyk Alojzy Józef Brühl, starosta warszawski, generał-major piechoty, miał za sobą Maryą Annę, córkę Franciszka Salezego Potockiego, wojewody kijowskiego. Drugi jego syn Karól Adolf, był generałem-lejtnantem koronnym, starostą piaseczyńskim i łowczym w. koronnym, gdy ojciec do grobu zstąpił. (*)

(*) Stanisław Trembecki zamknął w następującéj wrotce, wyjętéj z wiersza na śmierć księcia Czartoryjskiego, W. W. X. Lit. w r. 1774. wszystkie przymioty i działania Brühla.

„Niebezpieczny faworyt, pod monarchy cieniem,
Kąkol zamieszek pańskiém rozsiewał imieniem.
Tego, by dłużéj swemi nieszkodził nam błędy,
Ciągnąłeś z pychy szczytu między gminne rzędy.“

Nazywa Brühla poeta *faworytem niebezpiecznym*, z powodu, iż posiadał pełnomocnictwo, niepodległe żadnéj odpowiedzialności; że zaś nie wielu mógł się szczycić zaletami; przeto wielka władza i brak nieskazitelnéj cnoty, robiły go *niebezpiecznym*. Nadto i ponieważ sam niedziałał i działającym przeszkadzał, ztąd *rozsiewał kąkol zamieszek*. Postępowania jego mianuje Trembecki *błędami*, które szkodę przynoszą, a od których książe kanclerz pragnął kraj uwolnić. Wyraz *ciągnąłeś* zamyka wyobrażenie ciągłego acz niedokonanego działania, którem ściśniony minister, usunął się od publicznego życia, czyli zstąpił *z pychy szczytu między gminne rzędy*. Rzadki w nowych poetach znaleść można przykład, w którymby w tak małéj liczbie wyrazów, tyle myśli i wyobrażeń zamknięto.

Oblężenie Krakowa przez Szwedów w roku 1656.

(Ciąg dalszy.)

Od Kaźmierza miasta, które Wisła dzieli od Krakowa, poczęli Szwedzi Kraków dobywać, bo te domy, które zostawili nasi dla ludzi przy bramie grodzkiéj, nieprzyjaciel atakował i armaty na nie powciągał; także Stradom opanowawszy bez żadnéj obrony, i klasztór bernardyński Szwedzi wzięli, zkąd do zamku strzelać zręcznie było i szturmować. Miasto zatém trwożyć się poczęło, że zapalone przedmieścia, wiatr do miasta płomień popędzał, z czego kościół wspaniały franciszkański z klasztorem pogorzał, ledwo biskupi pałac obroniono; świątnice pańskie, pobożne klasztory, to od Szwedów, to od naszych palono, ale najbardziéj klasztór bernardyński bombami musieli spalić i zrujnować; bo ztamtąd srodze do zamku Szwedzi szturmowali, i Czarnieckiego skoro tylko ujrzał z zamku Szwed, w twarz postrzelił; a zatém wszystkich trwoga opanowała, rozumieli, że z tego postrzału umrze, a zostawszy bez głowy, wszystkim upadek jawny.

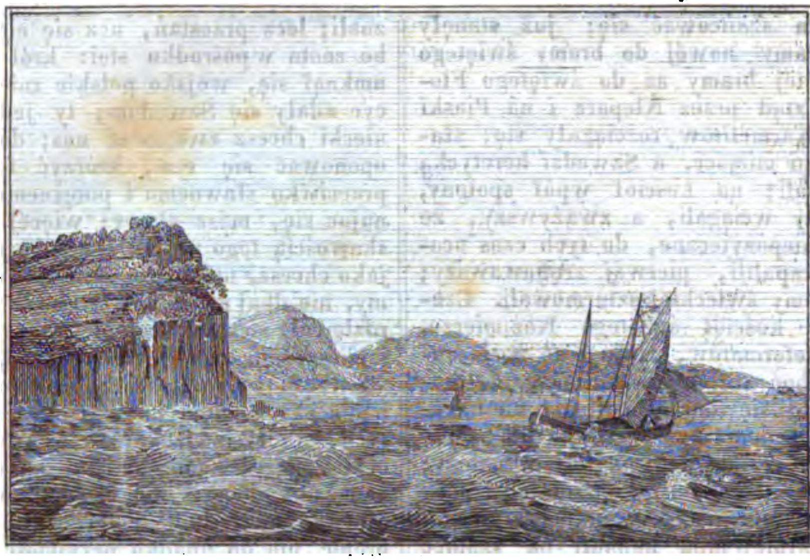
Lecz Czarniecki w wieczór postrzelony, raniuteńko mury objeżdżał, prezentując się żołnierzom, w rynku mieszczanom, lubo mówić nie mógł, do odwagi osobą swą zachęcał, zkąd 400 młodzieży tak akademików, jako rzemieślników, zebrawszy się, do Czarnieckiego przyszli, prosząc, aby onym strzelby i prochu z kulami dano, obowięzując się do upadłéj miasta bronić. W dzień przeniesienia świętego Stanisława, Czarniecki widząc ochotę studentów, tyleż żołnierzy z prezydium onym przydał i pozwolił wycieczkę uczynić na nieprzyjaciela.

Krzysztof Wąsowicz, pułkownik dragoński, i Konstantyn Bylina, huzar, z pod chorągwi króla Kaźmierza, kommenderowali onych; wypadłszy z miasta, przy moście królewskim napadli na zwożących faszyny, wozy pogruchotali, Szwedów za rzekę przepędzili; znowu przez bramę świętego Mikołaja na kwaterę Wittemberga uderzyli, odpędzili tych, co miny kopali; trzy armaty z szańcu zepchnęli i zapały pozabijali, niemogąc onych uprowadzić, i tak się ośmielili, z krzykiem i strzelaniem następując, że sam król szwedzki w mieście Kaźmierzu, w klasztorze Przenajświętszego Sakramentu mający kwaterę, na konia wpaść musiał, od obiadu porwawszy się, narzekając na officerów szwedzkich, uchodzących od następującéj wycieczki; 100 natenczas Szwedów trupem położyli. Zginął tam z naszéj strony Bylina, żołnierz odważny; także Cekwart, kapitan od piechoty, (tenże był inżynierem sławnym), i studentów kilku, którzy śmieléj nad wszystkich stawali, nie wiedząc jeszcze, co boli. Kiedy wojska polskiego nie było na odsiecz Krakowu, bezpieczniéj Szwedzi do murów miejskich strzelać poczęli,

i około miasta szańcować się; już stanęły aprosze od bramy nowéj do bramy świętego Mikołaja, od téj bramy aż do świętego Floryana szły, a ztąd przez Kleparz i na Piaski do klasztoru Karmelitów rozciągały się; sławne tam cudami miejsce, a Szwedzi heretycką nogą profanowali; na kościół wpół spalony, windami armaty wciągali, a zważywszy, że onym miejsce niepożyteczne, do tych czas ocalony klasztór zapalili, pierwéj zrabowawszy; ztamtąd do bramy świeckiéj szturmowali. Czemu zabiegając kościół świętego Kaźimierza, z klasztorem Reformatów, zrujnować nasi musieli; jednak choć zrujnowali kościół, nie mogli zabieżeć, aby się tam w obalinach nie ukrywali Szwedzi. Do dnia 1go Września nic Szwedzi nie opuścili, co do dobycia fortecy należy; dzień i noc z armat do murów strzelając i podkopując się pod mury; nasi wypadłszy z miasta, pod młynem królewskim napadli na szaniec szwedzki w samo południe, gdzie popiłych, a drzymających Szwedów zastawszy, wycięli. Na ten tumult Szwedzi wypadli, ratując swoich; nasi śmiało i tym odpór dają; zatém kapitan szwedzki zaczął z naszym rozmawiać w te słowa: Czy szalejecie Polacy, że wolicie ginąć, niżeli żyć z łaski naszéj? prowiantów wam nie stanie, prezydyum codziennie ubywa, odważnych żołnierzy nie macie; czemuż nie zabiegacie upadkowi swemu, dufając szalonemu Czarnieckiemu, albo też rączce Wolfowi ocalenie miasta dajecie. Na co nasz repplikował mu: Dość mamy żywności w mieście, już dwa razy jadłem, mury mocne i trwałe, po drabinie przelazłem, wszędzie upatrując i zważając; wojennych i odważnych ludzi, że jest dosyć w Krakowie, doświadczycie, tylko szturm przypuśćcie; czemu tchórzostwem bawiąc się, daremno leżycie? Rozgniewany Szwed chciał się z Polakiem wybić, którego Polak z pistoletu zabił i chciał mu szpadę i inną broń odebrać, ale drudzy nadbiegli, chcąc go pognębić; zwycięzywszy jednego, umknął się.

Dnia 7go Października, król szwedzki nie chcąc darmo czasu tracić, ani krwi ludzi swych niepotrzebnie rozlewać, wyprawił trębacza do miasta z ostatnią rezolucyą, jeżeli się nie zechcą poddać; na co nie zważali na ten czas nasi. Odpisał Czarniecki: Na wojnie zrosłem, a między armat hukiem posiwiałem, ani teraz obawiam się onych impetu, a jak zważam, już i chłopcy przywykli do nich w mieście, kule zbierając i do mnie przynosząc, abym wzajemnie niemi szwedzkie poczęstował wojsko.

Wkrótce potém przybył od Oxenstierny, kanclerza, z listem, z perswazyą pisanym drugi, który pośród rynku zgromadziwszy żołnierzy, na prezydium będących i mieszczan zbrojnych, Czarniecki kazał czytać w te słowa: „Dotychczas gubernatorze, co mógłeś w tém mieście, ukazałeś; widzieli cię Szwedzi bijącego się w polu, za wałami i fossami, téjże śmiałości twéj doznali; lecz przestań, ucz się mniéj ażardować, bo cnota w pośrodku stoi: król wasz z Polski umknął się, wojsko polskie zniesione, prowincye zdały się Szwedom; ty jeden tylko Czarniecki chcesz zwojować nas; dość raz i drugi oponować się tym, którzyć folgowali; dość przeciwko sławnemu i potężnemu królowi oponując się, masz sławy; więcéj pogardzać łaskawością tego pana, jestto bezrozumna akcya; jako chcesz, unikaj naszych kul, odpędzaj szturmy, nie dbaj na sztuki artyleryi, będziesz krew rozlewał, stracisz szlachtę, wygubisz żołnierzy i mieszczan, nastąpi na cię głód, a zatem i powietrze; to, co teraz cnocie twójéj przypisują, natenczas uporem nazwą; zważaj na czas, a tych, których łaskawością króla najlepszego ocalić możesz, nie narażaj na ostatnią zgubę, nad którymi masz kommendę. Król Kaźimierz ratować onych tobie polecił, nie zgubić; miasta bronić, nie do upadku przywieść; zaczem, gdy nie możesz obronić się mocą, wczesną kapitulacyą ratuj, a miasto, zamek i tak wielu ludzi, twéj opiece powierzonych, w całości zwycięzcy, królowi oddaj.“ Po przeczytaniu listu tego, trębacza odprawił z miasta, nie odpisując; gdy z armat zewsząd prażyć poczęli Szwedzi, musiał obiedz naokół, jeśli gdzie niemasz szturmu, najmniejszą rzecz upatrując. Już drugi miesiąc Kraków był w oblężeniu. Dowiedział się Czarniecki, że naokół trojakie aprosze Szwedzi porobili, zkąd mieszczanie lada dzień spodziewali się szturmu od Szwedów, i Czarnieckiemu perswadowali, aby nie czekał dobycia szturmem; a króla szwedzkiego, ofiarującego klemencyą, nie irrytował, bo tych, których obronę ma sobie powierzoną, zgubiwszy, ścisły Bogu odda rachunek. Byli niektórzy w mieście, których Czarniecki używał do rady, jakoto: Szymon Starowolski, kanonik i surrogator krakowski; Alexander Płaza, starosta rabszyński, wielkorządzca krapowski; Jan Klemens Branicki, starosta chęciński; Krzysztof Rupiniowski, wojski krakowski, kommendant znaku krakowskiego podług prawa, i wielu szlachty, którzy z województwa krakowskiego do miasta z żonami i dziećmi rejterowali się, z którymi gdy Czarniecki radzić zaczął, przybyli delegowani od magistratu krakowskiego, upraszając Czarnieckiego, aby radził o nich, gdyż więcéj znieść nie mogą oblężenia, ile gdy król szwedzki ofiaruje klemencyą stołecznemu miastu korony polskiéj. Przydawali, czego onym nie stanie; pożywienia i pieniędzy już nie mają, bo ludzie garnizonowi wielkie eksakcye czynili, a w nocy grassujące hultajstwo na domy nachodziło, sklepy odbijało i różne towary i dostatki rabując, więcéj dokuczało, niż nieprzyjaciel atakujący; a trafiło się, że jeden duchowny, zacnego urodzenia, zebrawszy tych hultajów, kilka kramów odbił i porabował; konsystorz natenczas nie sądził się,



Itaka.

jednak uprosili Czarnieckiego duchowni, aby kazał go złapać, i z hultajami uchwycony, w więzieniu siedział, a dwóch pryncypałów z hultajstwa, kazano obwieśić dla postrachu.

(Koniec nastąpi.)

Itaka (Thiaki).

Mała ta wyspa, ojczyzna Ulissa, jestto goła skała wapienna, tu i ówdzie tylko żyznemi poprzerzynana równinami, wynurzająca się z wód morza jońskiego, i tylko nieśmiertelnemu chijskiemu bardowi winna swą sławę. Ta więc szczupła i uboga Itaka była krajem, za którym ów dwudziestoletni tułacz tak tęsknił i który z takim kochał zapałem. Miłość ta ojczystych progów, nieraz za wzór stawiana, najtrafniéj słowami wymownego Cycerona opisać się da: „*non quia larga, sed quia sua arat*" (nie dla tego, że była bogatą, lecz że jego własną). I zkądże teraz bardziéj może nas ta wyspa zajmować, jak tylko ztąd, że była kolebką i tronem boskiego Ulissa, i gdzie wierna Penelope stale małżeńskiéj dotrzymała wiary. Jestto kraina poetycznéj ułudy i omamienia, wpojonéj nam od saméj młodości.

Angielski podróżnik Dodwell twierdzi, że mu się udało wynaleść miejsce, gdzie stał pałac dawnych rządzców Itaki: dotychczas jeszcze widać szczątki ruin na skale niewielkiéj, w morze wsuniętéj, od mieszkańców zamkiem świętéj Penelopy zwane, na ostatnim końcu zatoki Actos. Na urwisku góry spostrzegamy naprzód mury naokół dawnego miasta, powyżéj zaś pokazują się ruiny zamku, który podobnie, jak inne greckie twierdze, n. p. Akropolis, w formie trójkąta był założony, a którego mury są gatunkiem architektury cyklopów, (*) najdawniejszym czasom właściwéj. Cycero powiada, że zamek Ulissa leży jak owo gniazdo orła na nieprzystępnéj skale, i Dodwell jest tego mniemania, iż żadne inne miejsce nieodpowiada lepiéj opisowi. I zapewne za czasów Cycerona były jeszcze jakie ruiny pierwiastkowego Ulissa pałacu. Zachodzi tylko ta okoliczność, że to miejsce jest za szczupłe na mieszkanie, w którém trzystu zalotników, zapewne ze sługami swemi, pomieszczenie znalazło. Miasto stołeczne zowie się Vathi, (**) od jedynego przystępnego portu téj wyspy tak nazwane.

Doniesienie księgarskie.

W księgarni *Stefańskiego* w Poznaniu wyszły dwa następujące, bardzo ważne do dziejów Polski i zajmujące dzieła:

1. Obraz Polaków i Polski w 18m wieku, czyli: Zbiór pamiętników, dyaryuszów, korrespondencyj publicznych i listów prywatnych, podróży i opisów zdarzeń szczegółowych, służących do wyjaśnienia stanu Polski w wieku wspomnionym. Wydany przez Edwarda Raczyńskiego. 12mo. — Tom I. przedaje się po 3 złote polskie.
2. Historya panowania Jana Każimierza, wydana z rękopismu przez Edwarda Raczyńskiego. Tom I. z ryciną piękną Jana Każimierza. Exemplarz, z dwóch tomów sporych złożony, kosztuje 18 zł. polsk.

Dzieł tych dostać można po wszystkich krajowych i zagranicznych księgarniach; w Lesznie u E. Günthera.

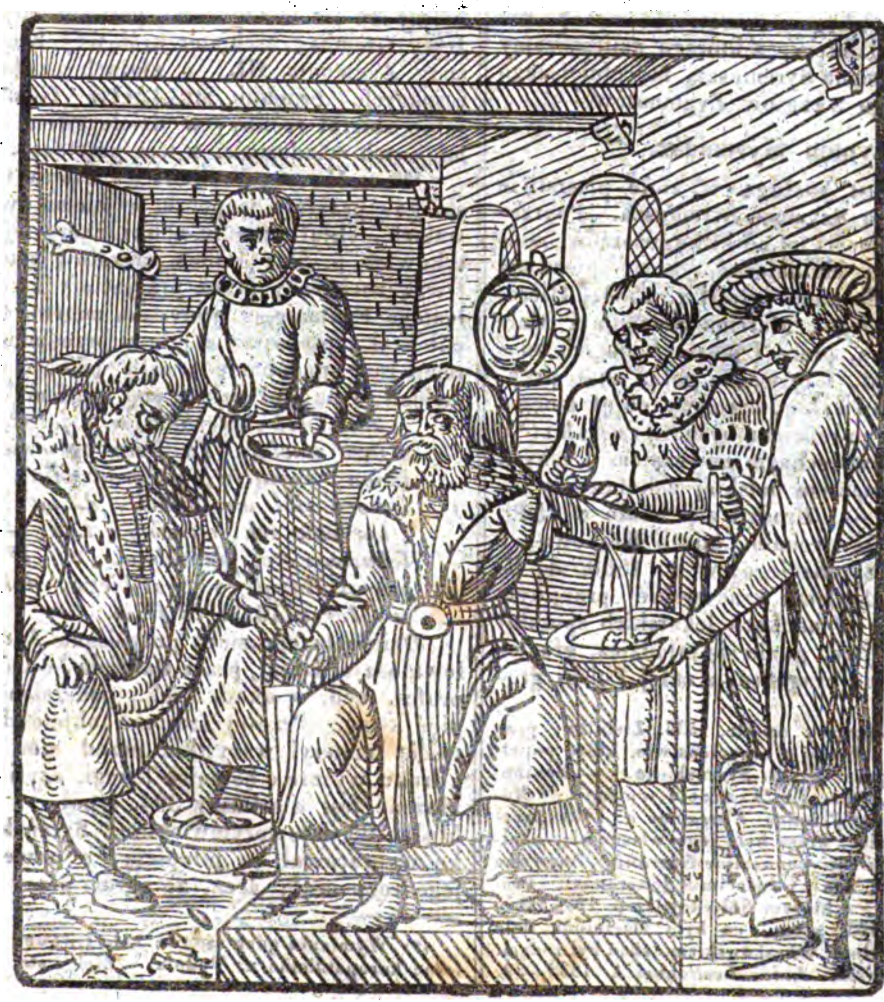
(*) Zob. P. L. T. II. R. piąty No. 29.
(**) Słowo greckie βαϑυ znaczy głęboki.

Przyjaciel Ludu.

Rok szósty. **No. 22.** Leszno, *dnia* 30. *Listopada* 1839.

O czyścieniu przez lekárstwá. List 415.

O Puszczániu Krwie rozmáitym / Ták żylnym iáko y zaskornym bańkámi / á k czemu ktore puszczánie służy.



Str. 415. z Zielnika M. Siennika.

Zielniki polskie.

(*Rycina wyjęta z rzadkiego dzieła: Herbarz, to jest: Opisanie ziół tutecznych [Marcina Siennika], w Krakowie* 1568. *folio.*)

W szczupłéj nader liczbie żyjących badaczy dziejów i rzeczy ojczystych, nieposlednie zajmuje miejsce pan Ambroży Grabowski w Krakowie. Jak żołnierz francuzki, na polach Marengo, Wagramu, Mozajska, ranami okryty, z chlubą do młodszych swoich towarzyszów broni mówi: „*jam jest szczątkiem wielkiéj armii!*" tak pan Grabowski słusznie i z dumą rzec może do młodszéj generacyi polskiéj, puszczającéj się torem Czackich, Ossolińskich, Juszyńskich: jam jest jednym z małéj liczby owych wybranych, którzy z sławnymi tymi mężami odgrzebywali drogie pomniki nauk i sławy przodków. Jakoż Ossoliński, Juszyński, Bandtkie, z wdzięcznością wspominają w dziełach swoich o pomocy, jakiéj doznali w uczonych pracach swoich od pana A. Grabowskiego. Od tego czasu sam pan Grabowski wsławił już imię swoje kilku uczonemi dziełami; teraz zbogaci wkrótce literaturę krajową ważném dziełem, z którego umieszczamy tu biografią Szymona Syreniusza, najcelniejszego botanika naszego z czasów Zygmuntów.

Szymon Syreniusz.

Nie małą jest zasługa w zioło-pisarstwie polskiém doktora Szymona Syreniusza. Poprzedzony w umiejętności téj od kilku pisarzów, mianowicie Stefana Falimierza, który pierwszy Zielnik polski drukiem ogłosił r. 1534., Hieronima Spiczyńskiego, Marcina Siennika i Marcina z Urzędowa, prace i postrzeżenia ich znakomicie rozwinął, i tę ważną gałąź nauk przyrodzonych, botanikę, ogromną objął księgą.

Nazwisko jego rodzinne było Syreński (*), lecz idąc za powszechnym zwyczajem uczonych swego wieku, nazwie polskiéj zakończenie łacińskie nadał. — Urodził się około r. 1540. w miasteczku Oświecimiu, blisko Krakowa, z ojca Mikołaja Syreńskiego; w r. 1560. do liczby uczniów akademii krakowskiéj przyjętym został (**), i tu w naukach lekarskich sposobił się, jako w miejscu, gdzie się młodzież, gruntownego oświecenia pragnąca, z całéj Polski gromadziła. Za dziekaństwa Józ. Tom. Urzędowskiego, pod prezydencyą Stanisł. Zawadzkiego, zwanego Picus, filozofii i medycyny doktora, Syreniusz w r. 1569. zdał examen, i stopień magistra nauk wyzwolonych, oraz doktora filozofii otrzymał. (Rękop. Akad. krak.) Prócz łacińskiego, prawie powszechnego w Polsce, biegłym był w języku niemieckim, a może i w innych. Odbył podróże w krajach zagranicznych, i w wędrówce téj przez Niemcy, Węgry, Szwajcaryą, zbierał wiadomości o ziołach w ogrodach botanicznych, jako to: Falcgrafowym w Heidelbergu, Fukerowskim (Fuggerów) w Augsburgu, tudzież około Moguncyi nad Renem. (Zielnik str. 226. 238. 255. 749. 1060).

Za powrotem do kraju, oddał się ulubionéj sobie nauce botaniki, a szczególniéj obeznaniu się z Florą krajową, i w tym celu zwiedził południowe prowincye Polski, t. j. Podole, Pokucie, okolice Kamieńca, Lwowa (*), Halicza, Sącza, bogate w roślinienie góry Tatry, Bieszczady, Babią-górę, a nadewszystko herbaryzując w okolicach Krakowa. W innych prowincyach polskich utrzymywał piśmienne związki z biegłymi w rzeczy zielniczéj mężami, którzy mu swoich udzielali postrzeżeń, jak n. p. Jerzy Grembs, archiater królowéj Konstancyi, żony Zygmunta III., o ziołach około Wilna rosnących. (Zielnik str. 1241.) Gdzie zaś i jakie zbierał rośliny, w dziele swém na wielu miejscach wiadomości o tém przytacza.

W r. 1589. za rektorstwa Piotra Gorczyńskiego, przyjęty w poczet akademików krakowskich, objął katedrę nauki lekarskiéj. (Sołtykowicz p. 51.) Obok mozołów nauczycielstwa, zachęcany przez przyjaciela swego Walentego Fontaniego, professora matem. w akademii krak., pracował ciągle w przedmiocie, któremu raz upodobanie i całą usilność swą poświęcił, i napisał dzieło pod tytułem:

> *Zielnik, Herbarzem z języka łacińskiego zowią. To jest: opisanie własne imion, kształtu, przyrodzenia, skutków i mocy ziół wszelakich, drzew, krzewin i korzenia ich, owoców i t. d. — Księga lekarzom etc. potrzebna. . . W Krakowie u Bazylego Skalskiego, dokończona w Marcu* 1613. *in folio.*

Dzieło to ogromne, przypisane Annie, królewnie szwedzkiéj, przez Gabriela Joannicego, profes. med. w akad. krak., podzielone jest na pięć ksiąg. Przewyższa ono objętością i obfitością materyi wszystkie przed nim w Polsce z druku wyszłe o botanice księgi, czyli zielniki: złożone jest z arkuszy 394. i pół, i obejmuje blisko 700 drzeworytów roślin. Syreński z wielką wypracował je pilnością, a nawet i druk jego rozpoczął; lecz, że ogrom pracy długiego

(*) Tak jest nazwany na str. 1536. Zielnika, przy piśmie pod tyt.: „Uwagi o okrucieństwie, które popełniają żydzi etc. przez Szym. Syreńskiego." — Bentkowski II. p. 396., także Dr. J. Arnold w piśmie *de Monumentis Hist. nat. Polonae Varsaviae a.* 1818. przywodzą, iż na książce, która była jego własnością, napisał: *sum Sim. Sirenii cognomine Sacrani.* Nazwiska tego używał także Jan z Oświecimia (Sacranus). Professor akad. krak., o którym Sołtykowicz p. 129, także Juszyński II. p. 153. piszą, co było złacinione imie miasteczka Oświecimia w krakowskiém, zkąd był rodem.

(**) J. Muczkowski. *Index Lectionum* A. 1838—39.

(*) Wymienia góry sadowe koło Lwowa, także góry leśne kuropatnickie na Podolu. (Zieln. str. 862.)

czasu wymagał, przeto zaskoczyła go starość, a wnet i śmierć pasmo dni jego przecięła. Ile dziełu temu poświęcił czasu, naucza nas Gabr. Joannicy, może jego uczeń, który się wydaniem i ukończeniem druku dzieła tego zatrudniał: „Syrenius Dr. w nauce lekarskiéj, około 30 lat strawiwszy, tę był o ziołach księgę na pożytek pospolity, z niemałym kosztem i prawie ostatnią majętności swéj odwagą, dał do druku (dedykacya).“ — Lecz, że po śmierci jego na dalszy druk funduszu brakło, pomimo że i Wal. Fontani do takowego się przyłożył (Sołtyk. p. 446.), przeto pośpieszyła z pomocą Anna, królewna szwedzka, Zygmunta III. rodzona siostra, wielka lubowniczka i znawczyni botaniki (*), która przedsięwzięcie to, znakomity nakład za sobą wiodące, hojnie i po królewsku wsparła i koszt na druk łożyła. Dr. Joannicy przypisując Syreńskiego pracę téj plemienniczce Jagiełłów (przez matkę), tak do niéj przemawia: „Że go starego śmierć wzięła, pewnie i praca jego i nakłady w niwecz by się były obrócić musiały. Sprawiło to W. K. Mci serce, do wielkich rzeczy na pospolity pożytek prędkie, żeś W. K. M. ten nakład dla pospolitego dobra na się wziąć raczyła, i tę ginącą wielkiego czasu pracę wydźwignąć, i tak pięknie raczyłaś wystawić.“ — Niżéj zaś wyliczając jéj cnoty dodaje: „Ale i ta sprawa z wielkiemi zrówna, żeś W. K M. staranie uczyniła i nakładu nie żałowała, i aby mieli Polacy z dobrodziejstwa W. K. M. czemby się doma, kiedy doktorów mieć nie mogą, leczyli, aby ziółka poznawać i one do lekarstw przyprawiać umieli etc.“

Dzieła tego ściśle botanicznem nazwać nie można, i raczéj jest ono dziełem lekarskiém: rośliny w niém nie są opisane i porządkowane według systematu w nauce botaniki zaprowadzonego, gdyż ten za życia jego nie był znany, a Linneusz twórca jego, dopiero się w sto lat po śmierci Syreńskiego urodził. Zawsze przecież mieć je należy za wielce dokładne, względnie do stanu, w jakim była nauka botaniki tak u nas, jako i w reszcie Europy, kiedy i najsławniejsi podówczas mężowie, Gesner, Aldrovandus, Bauhinowie, Camerarius i inni, nie więcéj, ani dokładniéj w téj materyi pisali. Syreniusz opisując rośliny, daje ich wyobrażenia w prawdzie nie wytworne, bo na drzewie rznięte; ale obok ich opisu wskazuje miejsce, gdzie róść zwykły, udziela nauki o przyrodzeniu ich, mocy, własnościach, skutkach lekarskich; uczy kiedy je zbierać, jak przyrządzać i t. p. — W rzeczy saméj, w liczbie niezmiernéj przepisów lekarskich, które się tu napotyka, nie trudno jest znaleść środki zaradcze, które dzisiaj do użycia na nowo wprowadzone, *nowém odkryciem* nazywane są, jak n. p. kwiat żyta w chorobach płci żeńskiéj, (Zieln. str. 915.) i inne podobne. Zgoła, dzieło to nietylko pod względem ziołopisarstwa ważne, ma jeszcze użyteczne wiadomości z nauki farmacyi, terapii, dietetyki, bromatologii, weterynaryi, a nawet technologii i ekonomiki. (Z notat Dra. K. S.) — Niekiedy ważnéj przestrogi policyjno-lekarskiéj udziela urzędnikom, i karci nadużycia, jak n. p. mówiąc o piwie, słodzie: „Nie zalecam piw źle uwarzonych, chocia z dobrego i chędogiego zboża, jakowe teraźniejszych czasów w Krakowie na porząd warzą, któremi zdrowie ludzkie psują i trują. Czemu się mało dziwuję, bo ani słodowników, ani piwowarów, ani karczmarzów cnotliwych, umiejętnych, dozornych, jacy przedtym byli, jedno gbury hrube, nie wyczosane, łakome, ze wsi nabiegłe mamy, którzy swą nieumiejętnością, drudzy niedozorem i niedbałością, zboża dobre i chędogie psują, piwa parzą nie warzą,... ku temu wodą przebierają, niedowarzają, tyżbiery abo cienkusze z niemi wespół zlewają..... Nie wspominam innych fałszów, gdzie miasto chmielu, wierzbowe liście i inne zioła kładą i t. d. — A wielebny urząd, widząc, widzieć nie chce; słysząc odnoszące, nie słyszy; któremu tego, jako wiele innych rzeczy, doglądać przystoi, nie dba: abo, jeśli dogląda, to nie dla pospolitego, ale swego prywatnego pożytku, i za beczkę piwa, za garniec wina, za pieczenią górną etc. powinność swoję urzędową przedaje etc. (Zielnik str. 943).

(Koniec nastąpi.)

(*) Była ona córką Jana, króla szwedz., i Katarzyny Zygmunta I. córki, która ją mowy polskiéj wyuczyła. (Janoc. II. p. 257.) Dr. Joannicy przyznaje jéj wielką naukę, i wymienia kilka języków, któremi mówiła, a przytém i znajomość łacinskiego, i mówi: „Jednak z téj mądrości wynikła chęć do téj philosophiéj, która się koło ziół, ziółek, drzewek, kamieni etc. obiera, że się W. K. M. w niéj tak wprawiła, iż i wiadomością przyrodzenia ich, i umiejętnością przygotowania przodkujesz etc.“ — Dama ta wielce kochała naukę zielniczą, i własnemi rękami układała zielnik żywy, którego szczątki przechowywano w bibliotece książąt Radziwiłłów w Nieświeżu. Nawet nauka chemii nie była jéj obcą, czego pozostały ślady w Brodnicy, gdzie mieszkała (Siarczyński II. p. 245.). O niéj to śpiewa K. Sienkiewicz:

Więc witam was ojczyste bławatki i dzwonki,
Zbierane niegdyś ręką naszéj Jagiellonki;
Kiedy ta córa królów smakując w ustroniach,
Do zielników na polskich rwała kwiaty błoniach.

Mieszkanie M. Kopernika w Frauenburgu.

Dopełniając zbioru pamiątek tyczących się nieśmiertelnego naszego Kopernika, (*) dzisiejszą ryciną, wystawiającą mieszkanie jego w Frauenburgu, odsełamy łaskawych Czytelników do opisu dawniéj już w P. L. R. II. T. 2. str. 317 umieszczonym.

(*) Zob. P. L. R. I. T. 1. str. 15. — Rok II. T. 1. str. 4.

Oblężenie Krakowa przez Szwedów w roku 1656.

(Dokończenie.)

Wmieście choć ruiny murów ustawnie reperowali, poszło echo, że chce się poddać Szwedowi gubernator Czarniecki; lubo miał od Kaźimierza króla dwa listy, w których sukkurs obiecuje za przybyciem Leszczyńskiego, wojewody łęczyckiego, jako posła do traktatu z królem szwedzkim; wyrozumiał, iż król w Opolu rezyduje; tudzież, iż Chmielnicki Potockiego, hetmana w. kor., z'dywizyą onego rozpłoszył, a posłowie od wojska komputowego, do króla szwedzkiego przybyli, traktując o poddanie się. Rezolwował się do króla szwedzkiego dać respons na list przeszły w ten sens: „Już to drugi miesiąc kończy się, jako obległszy W. K. Mść stołeczne miasto rzeczypospolitéj Kraków, doświadczasz, jaka szczęścia twojego i naszéj stateczności siła. Wytrzymując W. K. Mć, dla sławy takowe ponosisz trudy: my ojczyzny naszéj bronimy, która nas do téj rezolucyi przymusza, abyśmy dla miłości onéj, ostatnie tchnienie w obronie położyli; co W. K. Mść z wojskami swemi do dzisiejszego dnia nad nami wymódz nie mógłeś, to listem swym pełnym klemencyi w sercach naszych sprawiłeś, obiecując nam z nieprzyjaciela łaskę i protekcyą swoję. Dufając tedy łaskawéj deklaracyi pańskiéj, upraszamy o fryszt odezwania się do króla naszego Kaźimierza; a otrzymawszy rezolucyą od niego, zdamy się na W. K. Mści łaskawą protekcyą, weźmiesz W. K. Mość nie jako nieprzyjaciel stołeczne rzeczypospolitéj miasto, ale jako krewny króla naszego.“

Dostawszy król szwedzki taki list, srodze był wesół; wyprawił kommissarzów do traktowania, dla spisania kapitulacyi, którzy ośm dni czasu od króla szwedzkiego przynieśli, dla odebrania rezolucyi od króla Kaźimierza; jednak zagrzewali broniących się, aby czemprędzej traktowali, a sami nad sobą mając kompassyą, z tego więzienia uwolnili się i Szwedów od straży sfolgowali. Czarniecki, z drugimi naradziwszy się, odpowiedział: że gotowi jesteśmy zdać się, byle W. K. Mść nam nasze prawa utwierdził i bezpieczną dał klemencyi swojéj kaucyą. I to skrycie traktowali, żeby żołnierze i pospólstwo, dowiedziawszy się o traktatach poddania się, nie ustali w całości straży należytéj.

Turbowało się miasto, że niema wiadomości o rezolucyi starszyzny, czy myślą kapitulować z królem szwedzkim, który coraz przyciskał oblężeniem cięższém miasto. Od króla Kaźimierza zdesperowali o sukkursie, wszystka Polska już się zdała Szwedowi, tylko jedno miasto Kraków na zgubę swoję tak uporczywie opiera się. Ustawnie różnych instancye dokuczały Czarnieckiemu, który prezydentów miasta, duchowieństwo, szlachtę, oficerów żołnierskich, do zamku zebrawszy, pytał się zgodnéj rezolucyi: czy bronić się do upadłéj, czy zdać się? Wszyscy jednostajnie prosili Czarnieckiego, aby starał się o kapitulacyą z królem szwedzkim. Zaczem Czarniecki najpierwéj duchownych obligował, ażeby od siebie wysadzili do traktatów, dla obrony wiary świętéj. Posłał Czarniecki do króla szwedzkiego, upraszając na piśmie o traktujących do kapitulacyi. Zaraz król szwedzki przysłał.

Czarniecki wyprawił Fromholda Wolfa, starostę dynaburskiego, Jana Branickiego, starostę chęcińskiego i Aleksandra Płazę, wielkorządcę krakowskiego, delegatów do traktatu. U Wittemberga zasiedli na traktatach; około rycerstwo szwedzkie stało; zaczem jako ustanowiono zdania się artykuły, król szwedzki one zaraz approbował, sam wymówiwszy te słowa: O cokolwiek prosicie, na wszystko pozwalam, tylko bądźcie mi życzliwi i wierni kapitulacyi. Artykuły takowe stanęły:

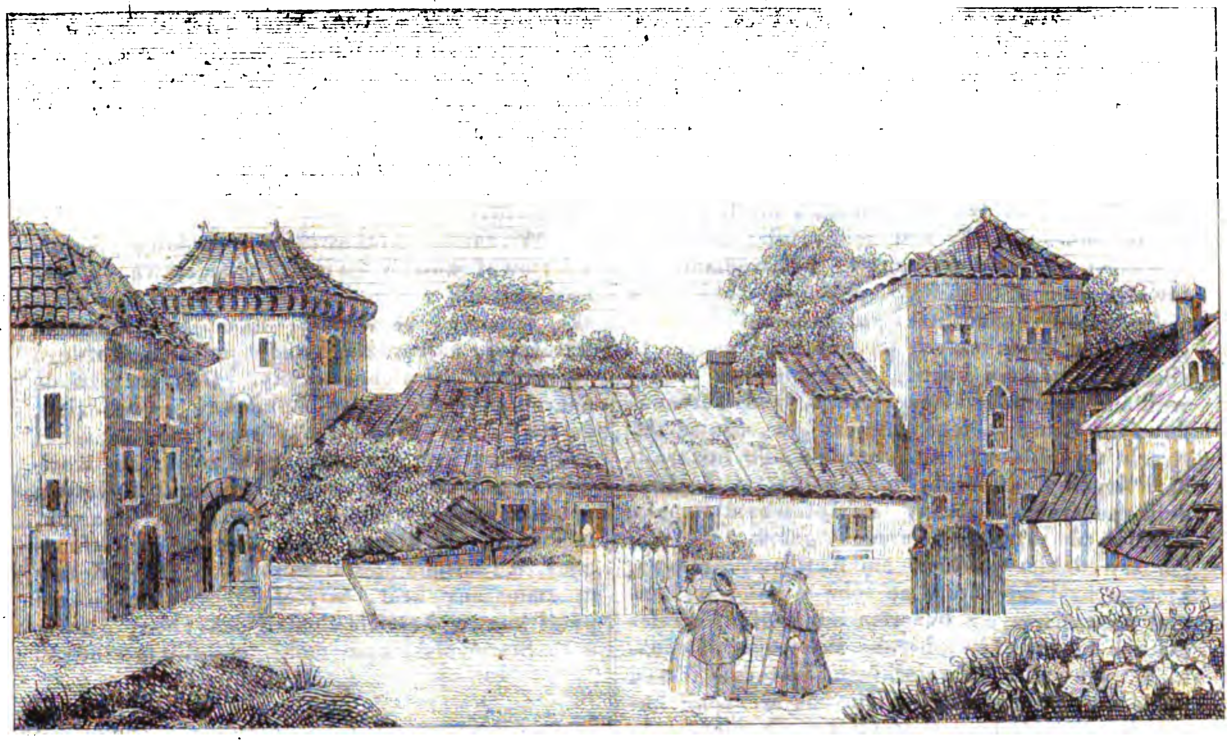
1. Wiara katolicka rzymska i onéj wolne używanie i obrzędy starodawne kościelne, jako przedtem w Polsce były, tak i teraz mają zostawać w tym samym walorze, tak w Krakowie, jako i po całéj Polsce, z tym dokładem, aby ci, którzy téj wiary są, wierni i życzliwi byli królowi szwedzkiemu. Kościoły, zgromadzenia, zakony, klasztory, szkoły, szpitale i wszystkie duchowne dobra, ruchome i nieruchome, od wszelkich ciężarów żołnierskich będą wolne, tylko do kontrybucyj publicznych, jako i przedtém płacili, należeć będą osoby duchowne, tak zakonnicy, jako i mniszki, tudzież świeccy. Księża, byle żyli spokojnie i posłuszni byli, wszystkie swoje prerogatywy, prawa, swobody i wolności, zachowane mieć będą, i dóbr swych spokojne i dobrowolne używanie król jmć szwedzki onym waruje.

2. Gubernator miasta i zamku, pułkownicy i inni oficerowie, żołnierze, burgrabiowie i wszystka szlachta, będąca w oblężeniu w mieście Krakowie, dokąd zechcą, wolno onym będzie odjechać ze wszystkiemi onych dobrami i substancyą, tudzież używaniem honoru i preminencyi.

3. Księgi publiczne, instrumenta prawa, munimenta prawa, zapisy, tak ziemskie, jako i grodzkie, a osobliwie kościelne, w całości nienaruszone być mają. Sądy, juryzdykcye, urzędy jakiéjkolwiek godności i stopnia, przez publiczne innotescencye sprawy sądzić, podług dawnych zwyczajów dekreta egzekwować, sądy limitować, wolni.

4. Ktokolwiek z miasta tego i królestwa zechce gdzieindziéj przenieść się, wolno temu będzie wszystkie dobra leżące ruchome sprzedać, alienować i przeprowadzić podług upodobania swego.

5. Kraków z swoim magistratem, pospólstwem, w cyrkomferencyi swojéj starodawnéj będące, wszystkich starodawnych przywiléjów



Mieszkanie M. Kopernika w Frauenburgu.

i wolności, jako przedtem, używać i onemi szczycić się będzie.

6. Akademia krakowska, podług dawnych praw i prerogatyw, przez konstytucye sejmowe utwierdzonych, z wolném dóbr używaniem i prowentów wybieraniem, bez wszelkiéj przeszkody konserwuje się przy wolności.

7. JWielmożny Stefan Czarniecki na Czarnce, kasztelan kijowski, zamku i miasta Krakowa gubernator, także Fromhold Wolf, starosta dynaburski, z inszymi pułkownikami, kapitanami, porucznikami, z chorągwiami rozciągnionemi, z strzelbą nabitą, lontami zapalonemi, z wolném w bębny i kotły biciem wynidą z miasta, gdzie byli na prezydium, ze 12 armat różnych, którym na wyżywienie król JMć szwedzki daje królewszczyzny, nad granicą szląską leżące, i tam przez dwa miesiące onych używać mają, nie podnosząc przez ten czas ręki przeciw króla JMci szwedzkiego.

8. Króla JMci polskiego dworskim, konsyliarzom, ministrom, wolno do pana swego powrócić, i wolny przejazd pozwala się, byle zdrady jakiéj nieknowali; wozy także i ciężary żołnierskie, bez żadnego zatrudnienia, zatrzymania, na miejsce bezpieczne wolno przeprowadzić.

9. Więźnie szwedzcy, siła onych być może w mieście, sprawiedliwie, bez okupu, mają być uwolnieni. Viceversa król JMć szwedzki, siła ma Polaków w więzieniu, choć z sowitością uwolnić deklaruje.

10. Archiwa królestwa, czy to rachunki skarbowe, czyli ekonomiczne z prowentów królewskich, szczerze, nic nie utajając, kommisarzom króla JMci szwedzkiego mają być wydane.

11. Armaty, moździerze i ammunicye wojenne, i co onych do zamku i miasta należy, prowianty i magazyny, na miejscu swém zostać mają i powinne będą.

12. Waruje się téż, aby jmć pan gubernator żadnéj zdrady nie uczynił, ani zastawił, aby dał poruczników, iż min nie usadził w zamku lub mieście na zgubę szwedzką.

Te kondycye poddania miasta Krakowa z zamkiem przez delegowanych kommissarzów od Czarnieckiego u generała Wittemberga umówione r. 1665. d. 7. Października.

Przysłał zatém król szwedzki Szlipenbacha młodszego w zastaw, aby Czarniecki bezpiecznie mógł przybyć do niego. Lecz Czarniecki niepotrzebując zastawu, słowu królewskiemu dufał, mając to sobie za honor, pokłonić się królowi zwycięzcy. Nazajutrz tenże Szlipenbach przybył do zamku, a obejrzawszy pokoje królewskie, kustoszowi koronnemu, księdzu Miaskowskiemu, rozkazał imieniem królewskiém, aby do skarbu otworzył; ten odpowiedział: że kluczy nie ma; Lubomierski, marszałek w. koronny, zebrawszy korony, insygnia i inne klejnoty, zamknął i klucze z sobą wziął. Zaczem ślósarzy zawoławszy, kazał skoro otworzyć, gdzie nie znaleziono nic

drogiego, tylko starożytności, monumenta, skrypta, przywileje, i dokumenta.

W dzień świętéj Łucyi bramę grodzką i poboczną Szwedzi opanowali, zatém z miasta stare prezydium wychodziło. Mieszczanie zaś zwiesili nos, zważając, co téż będzie za nowém panowaniem; wychodziło wojsko, rozwinąwszy chorągwie; flinty i dzidy, na ramieniu nieśli piechurowie, muzyki grały i w bębny bili; żołnierze żywość i rzeźwość pokazując, z Szwedami żartowali: za nimi Gąsiewski, pułkownik hajduków województwa sandomirskiego, maszerował, niosąc strzelbę w borsukowych pokrowcach; potém 13 chorągwi dragonii konnéj, w kommendzie pułkownika Krzysztofa Wąsowicza i Jana Tetwina; dawnyto Czarnieckiego żołnierz, w różnych bitwach wyćwiczony; na odwodzie 600 huzarów, za którymi Czarniecki, gubernator, w pąsowéj delii, po arabsku ubrany, na sprawnym rumaku siedział, do rozdania kommendy gotów. W obozie szwedzkim pokłonił się Karólowi królowi, którego król do karety ze sobą wziął i na bankiet zaprosiwszy, z honorem odpuścił; Czarniecki zaś nie mógł wychwalić się wojsk szwedzkich. Chwalili Czarnieckiego Szwedzi i nasi wiele mu przypisywali, wielu zaś szczypali honor jego: żołnierze skarżyli się na niego, że skąpo rozdawał żywność, choć onéj było podostatku; ztąd porywając u mieszczan, żywili się; wiele sreber z kościołów i klasztorów, na potrzeby w oblężeniu pożyczonych, zebrał, kazawszy one mincarzowi na pieniądze przebić i do swojéj szkatuły schował, niesłusznie dla siebie uzurpując, a żołnierzowi mało co dostało się, który krew swą lał za ojczyznę, w obronie miasta. — Szlachta i mieszczanie przypisywali Czarnieckiemu, iż żołnierze i grassanci kramy miejskie i sklepy żydowskie odbijając, za półszósta miliona rzeczy różnych zrabowali, których karząc i sądząc, siła Czarnieckiemu dostało się; wziął téż od króla szwedzkiego podarunki bogate, znaczne summy, a za to potém sowicie miastu kazano płacić. Ale to zazdrość wymyślała, chcąc godnego i szczęśliwego wodza podać w nienawiść.

Po wyjściu Polaków z miasta, Wittemberg piechoty szwedzkie ciemnym wieczorem wprowadził, żeby ludzie, wiele onych było, niewiedzieli. Zatém Karól król do zamku prywatnie wjechał, przyjmowany nieżywą ochotą, bo między dwoma królami, szwedzkim i polskim, na zadnie koła siła oglądało się. Heretycy najbardziéj cieszyli się, a mianowicie Aryanie, których w Podgórzu była wielka moc, a ci z Kalwinami nie zgadzając się, a Katolików cale nienawidząc, w tém tylko zgadzają się z pierwszymi, że zarówno na rzymskich Katolików biją. Wydali Aryanie panegiryk, Karólowi, królowi szwedzkiemu, przypisując, w Lesznie wydrukowany. Tytuł taki: „Karólowi, królowi szwedzkiemu, gockiemu, wandalskiemu; królowi zwycięzcy sarmackiemu, bez rozlania krwi i dokąd przyszedł uwolnicielowi pobożnemu, szczęśliwemu, niezwyciężonemu, utrapionym na pocieszenie, królom na przykład urodzonemu etc. etc.“ — Ci Aryanie, albo Anabaptystowie, ze szlachty polskiéj zebrani byli, nie wiedzieli, że Karól, król szwedzki, tak Katolików, jako i Anabaptystów nienawidzi.

W zamku krakowskim rezydował Karól; wizytował kościół świętego Stanisława, z ciekawości, nie z nabożeństwa, którego Starowolski, kanonik, prowadził, ukazując monumenta starożytne, najbardziéj królów polskich, każdego wyrażając chwalebne czyny. Gdy przyszli do nagrobku Władysława Łokietka, powiedział, że ten król wypędzony trzy razy, sam odzyskał królestwo; król szwedzki replikował: ale Kazimierz raz wypędzony, nie będzie mógł królestwa opuszczonego odzyskać. Starowolski, kanonik, odpowiedział: któż to wie? Bóg jest wszechmogący, a i fortuna niestateczna jest. Odpowiedzią tą zmięszany król, więcéj Starowolskiego nie pytał się, w kościele chodził odkrywszy głowę, a co Starowolski opowiadał, cierpliwie słuchał.

Oświadczenie, tyczące się Redakcyi Tygodnika literackiego.

Jakkolwiek nam nieprzyjemném, a światłéj Publiczności prawie dziecinném wydawać się musi to rozpieranie się o Redakcyą Tygodnika; to wszelako zależeć jéj na tém powinno, aby się dowiedziała przecie z czystego źródła o istotnéj prawdzie pod względem sterunku przedsięwzięcia naukowego, które ją dość żywo obchodzić się zdaje.

Nie z próżnéj chluby, lub innego niegodnego zamiaru, ale gwałtem do tego kroku znagleni dwukrotném ogłoszeniem pana Wojkowskiego, w Gazecie poznańskiéj i w Tygodniku literackim w Nrze 35.: *jakoby on sam był jedynym i istotnym redaktorem Tygodnika*, poczytują sobie podpisani, to jest prof. A. Popliński i bibliotek. J. Łukaszewicz za obowiązek, aby w oczach wyrozumiałéj Publiczności oddalić od siebie pozór, jakoby się niesłusznie do Redakcyi Tygodnika wdzierali, wystawić w krótkości, *sine ira et studio* stan rzeczy, to jest same fakta, bez żadnych nad niemi uwag, zaręczając słowem uczciwości, że się ani na włos od prawdy oddalać nie myślą.

Już w roku 1836. przedsięwzięliśmy, ja A. Popliński z moim ukochanym bratem ś. p. J. Poplińskim, prof. w Lesznie, i J. Łukaszewiczem, wydawać pismo peryodyczne w Poznaniu, jako centralnym punkcie, i potrzebne poczyniliśmy kroki do uiszczenia i rozwinięcia takowego naukowego zamiaru, który atoli nie z naszéj winy do skutku nie przyszedł. Nie zrażeni temi przeciwnościami, zabraliśmy się w roku

1837. powtórnie do uiszczenia naszego przedsięwzięcia, choć w innéj formie, a nie chcąc pod własném występować nazwiskiem, zaproponowaliśmy ks. prob. Wróblewskiemu, naszemu poufałemu przyjacielowi, aby zezwolił, iżby redakcya na jego imię wyrobioną była; nie był poczciwy ten kapłan od tego, ale że właśnie wtenczas zachorował, byliśmy przymuszeni szukać kogo innego, i zrobiliśmy tę samę propozycyą panu A. Wojkowskiemu. Ten pochwycił skwapliwie myśl mu podaną, przystając chętnie, żeby konsens na jego imię był wyrobiony. Odebrawszy od rządu pomyślną odpowiedź, napisaliśmy prospekt, bo nam się przez pana Wojkowskiego podany nie podobał; sporządziliśmy listę osób, mogących swym wpływem wesprzeć nasze usiłowania, jako też i autorów, do których się nam zgłosić wypadało. W téj mierze najwięcéj przewodniczył ś. p. Jan Popliński, jako z redakcyjnemi stósunkami, miejscem pobytu piszących, ich prawdziwém nazwiskiem, dobrze obeznany.

Dotąd nasza umowa i cały stósunek redakcyjny polegał na słowie. Chociażeśmy myśleli, że pan Wojkowski nie nadużyje położonego weń zaufania, bobyśmy mu się inaczéj nie byli powierzyli; dla większéj atoli pewności, czyli raczéj dla rozkładu i sforności w pracy około redakcyi, wymagającéj zwłaszcza z początku większéj energii i zabiegów, ułożyliśmy piśmienny kontrakt, któryśmy panu Wojkowskiemu na sessyi, u J. Łukaszewicza na dniu 18. Marca 1838 odbytéj, do przeczytania i podpisania przedłożyli. Kontraktu tego, przez nas wszystkich przyjętego i podpisanego (ś. p. J. Popliński nie był przytomny, więc go wtenczas podpisać niemógł), osnowa jest następująca:

„Niżéj podpisani zamierzając wydawać „wspólnie pismo peryodyczne pod tytułem: *Tygodnik literacki*, umówili pomiędzy sobą następujące warunki, które ich wszystkich w szczególności i w ogólności obowięzywać będą.

„§. 1. Pismo *Tygod. lit.* wychodzić będzie „*kosztem podpisanych*; wszelkie zatem straty, „lub korzyści, *podzielać podpisani będą w równych częściach*; przy dzieleniu przecież korzyści wzgląd będzie miany na tych, którzy „więcéj pracować będą.

„§. 2. Dla zachowania niezbędnego w każdém przedsięwzięciu porządku, a oraz dla „ułatwienia sobie nawzajem pracy, materyalne „zatrudnienia koło Tygodnika podzielone będą „w następującym sposobie:

„1. A. Popliński będzie się trudnił rozdawaniem numerów Tygodnika, odbieraniem „prenumeraty tak od osób pojedyńczych, jako „też od księgarzy krajowych i zagranicznych, „którym, po poprzedniém porozumieniu się „z swymi współwydawcami, pewne rabaty „odstępować będzie. Co pół roku złoży na „sessyi, umyślnie na ten cel umówionéj, rachunek, poświadczony dowodami, tak z pieniędzy, jako też z rozdanych numerów Tygodnika.

„2. A. Wojkowski będzie utrzymywał korrespondencyą i wszelkie w téj mierze czynności, jako to: będzie zawierał kontrakty „i będzie wypłacał należytości drukarni z odebranéj od A. Poplińskiego prenumeraty.

„3. J. Łukaszewicz będzie sprowadzał papier na Tygodnik, wydawał go drukarni Dekera i co pół roku złoży rachunek z użytego papieru, na który odbierze z prenumeraty należytość."

„§. 3. Numera Tygodnika nie będą nikomu „gratis wydawane, prócz osobom udzielającym „w znacznéj ilości artykuły do Tygodnika, po „jednym numerze dla każdego z wydawców.

„§. 4. Wyznaczenie honorarium za nadsełane artykuły, następować będzie za wspólném porozumieniem się wydawców.

b) ze strony naukowéj.

„§. 5. W każdą niedzielę odbywać się będą „sessye u niżéj podpisanych, na których układane „będą numera Tygodnika.

„§. 6. Na rzetelną wartość artykułów, a „bynajmniéj nie na ich autorów wzgląd miany „będzie przy wyborze artykułów.

„§. 7. Odrobione i nadesłane na każdy „numer materyały, składane będą u J. Łukaszewicza, który je drukarni Dekera posyłać będzie; „ten sam trudnić się będzie korrekturą.

„§. 8. O potrzebnych rycinach, nótach, lub „t. p., podpisani wspólnie naradzać się i decydować będą.

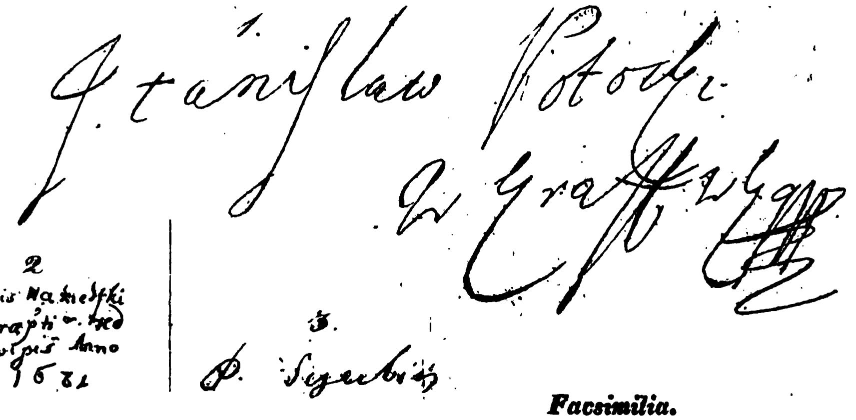
„§. 9. A. Wojkowski utrzymywać będzie „korrespondencyą naukową z osobami do Redakcyi zgłaszającemi się, lub też z tymi, do których „Redakcya uzna za rzecz potrzebną zgłosić się. „Wszakże odebraną korrespondencyą winien na „najbliższéj sessyi współce przedłożyć i w duchu „zdania większości odpisać.

„§. 10. Pisma peryodyczne, kosztem Redakcyi trzymane, mają być na trzy równe części „podzielone, czytane, a na każdéj sessyi artykuły „z nich warte umieszczenia w Tygodniku, mają „być pod rozwagę wszystkich podawane.

„§. 11. Wszystkie interessa, tyczące się „Redakcyi Tygodnika, tak materyalne, jako téż „naukowe, większością głosów przytomnych „członków Redakcyi rozstrzygane będą.

„§. 12. Ponieważ każde pismo peryodyczne „interes traci, skoro Publiczność naprzód o treści „jego jest zawiadomioną, przeto niżéj podpisani „obowięzują się do ścisłego w tym względzie „sekretu.

„§. 13. Gdyby który z podpisanych tu, powodowany jakiemi okolicznościami, chciał nadwerężać którykolwiek z powyższych warunków, a tém samém usuwał się od współki, „wolno mu to będzie uczynić; pozostali atoli



Facsimilia.

„członkowie kontynuować mogą wydawanie Ty-
„godnika pod tą samą firmą.
„Poznań, dnia 18. Marca 1838.
„Popliński.
„Wojkowski.
„J. Łukaszewicz.“

Układ ten w praktyce w tém doznał modyfikacyi, na którąśmy milcząc zezwolili, by w niczem z naszéj strony nie nadwerężać pozoru, że Nra. Tygodnika, zamiast jak się należało u Poplińskiego, u Wojkowskiego składane, i przez niego poczcie i księgarzom wydawane były. Panu Wojkowskiemu była prócz tego poruczona korrespondencya, którą atoli w duchu większości członków, Redakcyą składających, winien był prowadzić, i odebrane listy na najbliższéj sessyi Redakcyi przedłożyć. W ogóle wszystkie interessa załatwiały się na takowych sessyach, kolejno u nas trzech odbywających się, a to większością głosów przytomnych członków, bez względu na to, czy pan Wojkowski z nami się zgadzał, lub nie. Tu także wyznaczano honoraria, składano rachunki, rozkładając wydatki na trzy równe części.

Dla zapewnienia pewnéj jednostajności w redakcyi, przegląd nadesłanych artykułów, zwłaszcza dłuższych, lub wątpliwszych, ocenianie ich i dorabianie bieżących artykułów, piłowanie, a nawet i całkowite przerabianie słabszych, a mianowicie przez pana Wojkowskiego wypracowanych, które niekiedy zupełnie na nowo przepisane do drukarni odchodziły, było przy A. Poplińskim. Tenże sam trudnił się pierwszą, jako główną korrektą, którą podług pewnych, jednostajnych zasad językowych utrzymywał. Odwołujemy się w téj mierze do świadectwa czcionkarzy i dysponentów w drukarni Dekera, gdzie się Tygodnik drukuje.

Nie przytaczalibyśmy nigdy tego faktum, bo pan Wojkowski, człowiek młody, bez literackiego doświadczenia, nie mógł mieć owéj wprawy w pisaniu i potrzebnéj znajomości piśmiennictwa, zwłaszcza ojczystego, by przewodniczyć naukowemu pismu; ale nas do tego znagla obłędliwe w Publiczność wmawianie, jakoby on jedynym był i istotnym redaktorem. Że pan Wojkowski miał i ma na swoje imię wyrobiony konsens, tegośmy mu nigdy zaprzeczać nie myśleli; ale równie i pan Wojkowski tego zaprzeczyć nam nigdy nie zdoła, żeśmy od zawiązania się pisma aż do Nru. 33. 1839. redakcyą kierowali. Publiczność nie jest tak ograniczona, iżby nie wiedziała, że inszy jest sofistyczny wykręt, a inna goła, nieubarwiona prawda.

Poznań, dnia 27. Listopada 1839.

Popliński.
J. Łukaszewicz.

Facsimilia.

1. **Stanisław Potocki**, wojewoda krakowski, wielki hetman koronny. Z listu pisanego z Warszawy r. 1666. dnia 14. Maja do Miechowitów.

2. **Samuelis Nakielski, Praepti S. Haedvigis Anno 1621.** Z książki będącéj niegdyś jego własnością.

3. **P. Szczerbicz.** Podpis zdjęty z konstytucyi z roku 1589, drukowanéj w Krakowie u Mikołaja Szarffenbergera. Książka ta była niegdyś Szczerbicza, jak tego dowodzi podpis i jego własne przypiski.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (*Red. J. Łukaszewicz.*)

Przyjaciel Ludu.

Rok szósty. **No. 23.** **Leszno,** ***dnia 7. Grudnia* 1839.**



Widok ruin zamku w Kownie.

Kowno.

Widziałem piękną dolinę przy Kownie,
Kędy Rusałek dłoń wiosną i latem
Ściele murawę, kraśnym dziwnym kwiatem:
Jestto dolina najpiękniejsza w świecie.
Grażyna.

Gdy włoskie plemię przybywszy w nadniemeńskie strony, zaczęło panować nad częścią Gotów, i tym sposobem, według podań Stryjkowskiego, dało początek narodowi litewskiemu; potomkowie Palemona, naczelnika przybyłych Włochów, znajdując w zarosłéj lasami krainie, wesołe nad brzegami rzék miejsca, liczne w nich pozakładali zamki i miasteczka. Z liczby tych osad było Kowno, które założył Kunos, syn Palemona. Gdy książe ten, założony zamek obrawszy na stolicę, panował w około Wilii, Niemna, Niewiaży i Dubissy, Borkus, brat jego starszy, od Jurborka, stołecznego swojego zamku, aż do morza pruskiego i kurlandzkiego, udział swój rozciągnął; najmłodszy zaś począwszy budować nad jeziorem zamek Sperę, ugruntował swoję siedzibę między Niewiażą, Serwentą i świętą rzeką. Tymczasem nieco daléj nad rzeką świętą, Dosprungus, dziad w linii żeńskiéj wspomnionych trzech synów Palemona, miał Wiłkomierz i Dziewałtów założyć.

Wkrótce potém dwaj bracia Kunosá, Borkus i Spera, bezpotomnie pomarli; udziały ich spadły na brata, a wówczas Kowno stało się stolicą obszernych lasów, od Wiłkomierza po nad rzeką świętą, Wiliją i Niemnem, aż do morza kurskiego, rozciągających się.

Synowie Kunosa, Kiernus i Zywibund, rozdzielili państwo ojca na dwie części: Kiernusowi udział po nad Wiliją, aż do Niewiaży rozciągający się, a Zywibundowi Zmudź się dostała. Drugiego udziału rezydencyonalne zamki były Kowno i Jurbork, pierwszego zaś Kiernow, założony od Kiernusa. To trwało do czasów Kukowojta, syna Zywibunda Dorsprungowicza, który żmudzką stolicę w Jurborku, w Kunassowie albo Kownie, a litewską w Kiernowie opanowawszy, władał, znaną już sąsiadom z dzielności swojego oręża, Zmudzią i powilijską Litwą: gdy tymczasem inni książęta litewscy, szeroko zabory swoje na Wiliją, na Rusi, posuwali, gromiąc przeważnie napadających wschodnią Europę Tatarów.

Po Kukowojcie dostało się Kowno jego synowi Utenesowi, który małoletniego syna swojego, z całą Zmudzią i Litwą, pod swojém władaniem będącą, oddał w opiekę Ryngoltowi, Algimunta synowi, książęciu nowogrodzkiemu. „Ten po śmierci ojca swego Algimunta, w Nowogródku na księstwa ruskie, podlaskie i siewierskie podniesion, a ze strony opieki Swintoroha Utenesowicza w Kiernowie, w Kunassowie i w Jurborgu wielkim księciem żmudzkim i litewskim, wspólnemi obojego pospólstwa głosy wybrany, złączywszy w jedno państwo księstwa: ruskie, żmudzkie, kurskie, litewskie i podlaskie, pierwszy począł się pisać wielkim księciem litewskim.“

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Rampsinit.

(*Gadka z Herodota.*)

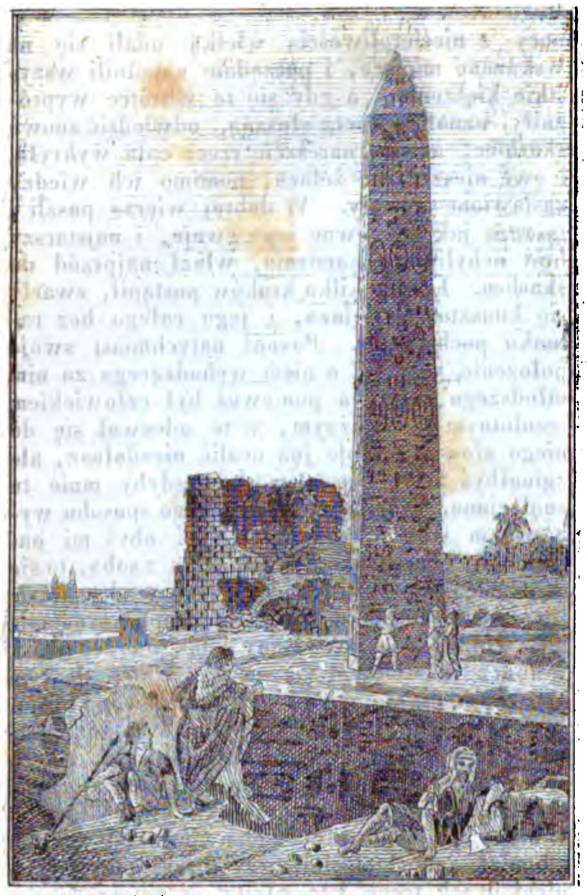
Był jeden Król w Egipcie, nazwiskiem Rampsinit. Ten zamiast sobie skarbić serca poddanych, wolał zbierać pieniądze, za które już, zdaniem Rampsinita, wszystkiego, a nawet i serca dostać było można. Przez kilkanaście lat swego panowania, zgromadził niezmierne skarby, i był najszczęśliwszy, gdy mógł poić oczy widokiem tylu dyamentów, rubinów, pełnych beczek żółtego złota, niezmiernych kadzi siwego srebra. Jedna tylko mała okoliczność niepokoiła jego serce: drżał jak listek osowy na wspomnienie, że te, z takim trudem zgromadzone zbiory, mogły mu być przez niegodziwych ludzi wydarte, skradziona połowica, co mówię połowica, cała dusza jego. Dla tego nie dowierzając nikomu, wisiał jak pies na łańcuchu przy swoich skarbach: najmniejszy szelest w nocy spłaszał go z łoża, bo ciągle miał tém głowę nabitą, że już łotry unoszą skarby. Myśl ta okropna dręczyła go dzień i noc. Kto inny byłby może postawił dubeltowe straże, ale nasz Rampsinit nie w ciemię bity, myślał sobie: a któż mi straże pilnować będzie? Aby się więc uwolnić od ciągłego kłopotu, Rampsinit nie widział innego sposobu, jak wymurować skarbiec najwarowniejszy z granita, czyli raczéj skrzynię kamienną, bez okien i bez żadnego zewnątrz otworu, przypierający do jego sypialni, z któréj jedyne drzwi prowadzić miały do téj pieniężnéj cytadeli. Zawołany do króla budowniczy, ułatwił wkrótce cały interes, zwłaszcza, że nie potrzebował sobie głowy łamać nad wytwornością struktury; szło tu bowiem tylko o grube ściany, o szczelną i warowną robotę. Lubo król nie wyjawił budowniczemu przy abrysie, do czego ten przyboczni osobliwszy gmach był przeznaczony, ponieważ to właściwie nie należało do rzeczy, a Rampsinit téż nie lubił z nikim rozmawiać o swoich skarbach; przecież domyślny rzemieślnik zgadł od razu, o co tu idzie. Nie wiadomo, czyli budowniczy nie zbyt hojnie od skąpego króla za swą pracę wynagrodzony został, czyli téż, co podobniejsza do prawdy, z wrodzonéj ludziom chętki do złego, wywiązał się z danego sobie polecenia w sposób najnieuczciwszy, jak się to niżéj okaże.

Jakokolwiek bądź, Rampsinitowi spadł kamień młyński z serca, gdy ujrzał wszystkie beczki z pieniędzmi, szkatułki z dyamentami, do téj warowni zniesione, porządnie poustawiane

za żelaznemi, mocno kowanemi drzwiami schowane, od których klucz w jego znajdował się kieszeni. Codzień po smacznym obiedzie, dla większéj strawności żołądka, pasł oczy swoje widokiem ponętnego złota, a młoda królewna, córka jego, cieszyła się, jako uśmiechająca się wiosna, że jej dawniéj tak kłopotany ojciec, wypogodził zachmurzone czoło, i nóciła dla jego rozrywki zastósowaną do tego piosneczkę. Ale ten błogi stan nie był długotrwały. Wszedłszy raz Rampsinit do skarbca, i wpatrzywszy się w jednę ulubioną pękatą, złotem napełnioną beczułkę, dostrzegł w jéj złotéj fizyognomii jakąś zmianę, i zdawało mu się, że czerwieńce poruszone były. Zmieszało go mocno tak niespodziewane odkrycie, a jako był pan przezorny, porobił w beczkach pewne znaki. Lecz jakież było jego okropne przerażenie, gdy nazajutrz raniuteńko, zajrzawszy do skarbca, przekonał się dowodnie, że prawie z każdéj beczki pieniędzy ubrano. Od téj chwili powróciła dawna jego niespokojność i trwoga, a to tym bardziéj, że pojąć nawet nie mógł, kto i jakim sposobem zakrada się do jego skarbca, kiedy zamki i pieczęcie, które dla większéj pewności kładł teraz na drzwiach, były nienaruszone. Rampsinit zapalił swoją małą lampkę, chodził z nią około gołych ścian skarbca, szukając jakiego znaku, ale mury wszędzie warownie i szczelnie z granitów spojone, niepodobnem czyniły wniście. Pomimo tego jednak widać było aż nadto jawnie, że tajemna ręka podbiera jego złoto. Rampsinit zachodził w głowę. Na kogo tylko spojrzał, widział w nim złodzieja swoich pieniędzy; a nasz wiarogodny historyk twierdzi, że nawet pierwszego ministra miał w podejrzeniu. Szło teraz tylko o to, jakby schwytać tego niegodziwego człowieka. Postawić wartę zewnątrz skarbca, toby nie było doprowadziło do celu, owszem byłoby go ostrzegło o niebezpieczeństwie. Po długich więc namysłach, przedsięwziął król pozastawiać wewnątrz skarbca, około najpękatszych beczułek, sidła i żelaza. Wierny rzemieślnik narobił ich, ile było potrzeba i pozastawiał, jak żądano.

Teraz wracam do złodzieja, czyli raczéj złodziei. Budowniczy ów, jak się powiedziało, zbyt domyślny, jeden z granitowych kamieni w ścianie tak zręcznie położył, iż tenże łatwo z fug swoich dał się wysuwać, otwierając temsamem wygodne wniście do skarbca. Sam budowniczy nie korzystał nigdy z téj sposobności zbogacenia się, nie długo bowiem po zakończeniu budowy, rozniemógłszy się, śmiertelnie zachorował, a będąc troskliwszym o zapewnienie swéj żonie i synom łatwego sposobu do życia, niż o ich dobre imię i uczciwość, odkrył im na śmiertelném łożu tajemnicę o kunsztownie wprawionym kamieniu do skarbca. Tego im téż właśnie było potrzeba. Ledwie pochowali ojca, natychmiast pierwszéj zaraz nocy z niecierpliwością wielką udali się na wskazane miejsce, i porządnie napełnili wszystkie kieszenie, a gdy się te wkrótce wypróżniły, uznali za rzecz słuszną, odwiedzić znowu skarbiec, aż się nareszcie rzecz cała wykryła, i owe nieszczęsne żelaza, pomimo ich wiedzy zastawione zostały. W dobréj wierze poszli i tą razą jak na pewne i po swoje, i najstarszy brat uchyliwszy kamienia, wlazł najprzód do skarbca. Ledwo kilka kroków postąpił, zwarły się kunsztowne żelaza, i jego całego bez ratunku pochwyciły. Poznał natychmiast swoje położenie, ostrzegł o niém wchodzącego za nim młodszego brata, a ponieważ był człowiekiem rezolutnym i odważnym, w te odezwał się do niego słowa: „Mnie już ocalić niezdołasz, ale zginąłbyś i ty i nasza matka, gdyby mnie tu znaleziono. Nie masz więc innego sposobu wybawienia was przynajmniéj, jak abyś mi natychmiast głowę uciął, i wziął ją z sobą, to się rzecz nieodkryje.“ Młodszy brat wzdrygał się wprawdzie na taką braterską propozycyę, ale gdy widział, że schwytany i tak umrzéć musi, w końcu rezolwował się na wszystko. Po tym krwawym czynie wziąwszy głowę swego brata, wylazł spiesznie otworem, wsunął za sobą kamień, jak należało, i pospieszył do matki. Skoro świt, Rampsinit pokwapił się do skarbca, chcąc się naocznie przekonać o skutku swego fortelu. I nigdy podobno król żaden bardziéj się nie zdumiał, jak Rampsinit, gdy ujrzał przy swych pieniądzach trupa bez głowy, i najmniejszego śladu wniścia. To było dla niego prawdziwą zagadką. Nie tracił jednak nadziei, i spodziewał się za pomocą trupa dójść kłębka po nici. Rozkazał więc wystawić zwłoki zabitego na widok publiczny, i natychmiast chwytać każdego, ktoby na widok trupa smutek lub żal pokazywał. Pomysł ten, nie czyniący wielkiego zaszczytu przenikliwości Rampsinitowéj, niebyłby nigdy wydał współwinowajcy, albowiem ten zbyt ostrożny i przebiegły, ażeby się miał podawać w niebezpieczeństwo przez niewczesne żale, ale matka jego zmusiła go do przedsięwzięcia środków prawdziwie niebezpiecznych. Niewiasta tu strapiona śmiercią syna i zniewagą niepochowanych jego zwłoków, oświadczyła wręcz żyjącemu, iż jeżeli nie wynajdzie sposobu i nie odda jéj ciała do pochowania, sama gotowa jest wszystko królowi wyjawić. Napróżno usiłował nieszczęśliwy syn wybić podeszłéj niewieście z głowy takową rezolucyą; ta, znając przebiegłość syna, nie dała się niczem poruszyć. Gdy nareszcie widział, że wszystkie prośby są nadaremne, zaczął nareszcie myślić nad planem do niszczenia życzeń matki.

Ojuczył kilka osłów worami z winem, zapędził je pod wieczór blisko miejsca, gdzie żołnierze stali przy trupie na straży, i wyciągnął z nienacka czopek z dwóch worów; a gdy to obfitym strumieniem lać się na ziemię za-



Widok ruin pałacu królów egipskich.

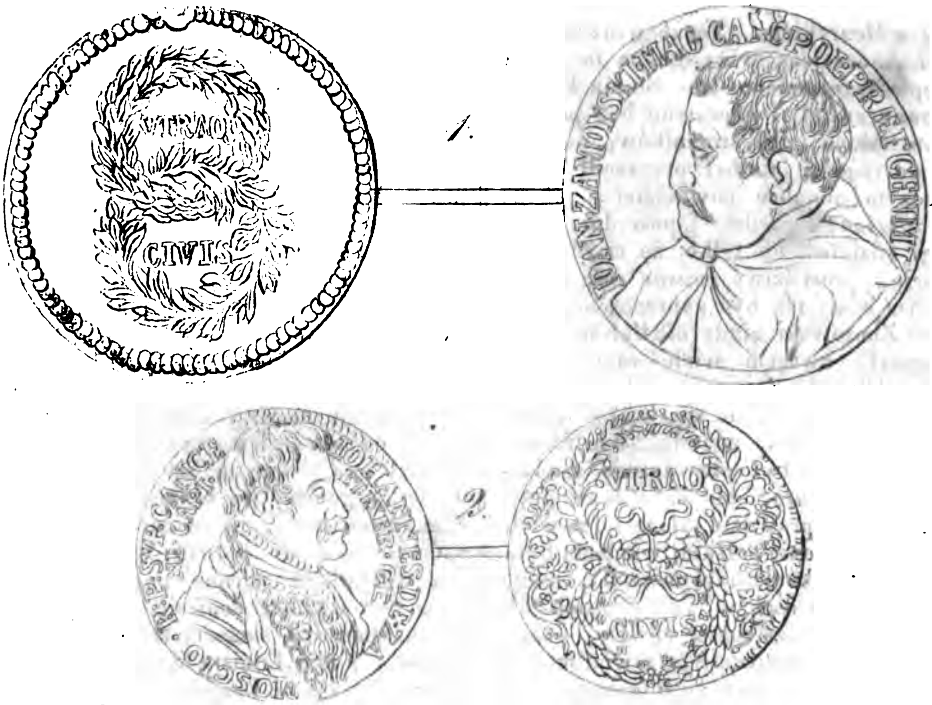
częło, w głos krzyczeć i lamentować począł, usiłując niby zatkać otwory. Na krzyk ten przybiegli żołnierze, ale zamiast dopomódz nieszczęśliwemu, każdy nadstawiał swój szyszak, i zaczęli pić na wyścigi wśród zgiełku i śmiechu. Z początku nasz filut udawał strasznie zagniewanego, ale gdy widział, że ci waleczni rycerze nie pokazywali ochoty do wypuszczenia zdobyczy z rąk swoich, powyciągał, szamocąc się niby z nimi, i inne czopki z pozostałych worów, a tak wino strumieniami w ich szyszaki i gardła płynęło. I na tém się skończyło, że się wszyscy doskonale upiwszy, wkrótce posnęli. Gdy się już dobrze zmierzchło, młodzieniec zabrał zwłoki brata w worek i włożył na osła, a potém chcąc nadto wypłatać królowi figla, ogolił śpiącej straży pół brody po jednéj stronie.

Gdy się nazajutrz Rampsinit o tém dowiedział, wpadł w cholerę i chciał na niedbałych strażników wywrzeć cały gniew swój; wkrótce atoli pomiarkował się, ile, że mu tą razą nic z jego złota nie ubyło, a jako pan słuszny i wyrozumiały, niemógł sam odmówić złodziejowi podziwienia, z przyczyny jego niepospolitego talentu. Już wyżéj powiedziałem, czyli raczéj nasz grecki dziejopis, że Rampsinit szczęśliwszym był w zbieraniu materyalnych, niż umysłowych bogactw; ztąd jego plany, które do odkrycia złodzieja wynajdywał, pokazywały, że jego umysłowe usposobienie, czyli, po prostu mówiąc, rozsądek, najczęściéj pokawił, gdy szło o co innego, jak o pieniądze. Okazuje się to najlepiéj z niezbyt dowcipnie wymyślonych środków do pochwycenia złodzieja. Otóż teraz kazał w całém Memfis ogłosić, że ten królewnę za żonę dostanie, kto jéj najprzebieglejszą opowie historyą; myślał bowiem sobie, że nadzieja osiągnienia ręki królewnéj, może zręci przebiegłego filuta, do kuszenia się o ten zaszczyt i w tém się właśnie nie omylił; ale tego swym bystrym nie przewidział rozumem, że mu tenże nowy wypłatać może figiel. I tak się téż stało. Przebiegły młodzieniec stawił się niebawem, ale domyślając się zasadzki, przygotował się na wszelki wypadek. Udał się więc nad wieczorem w konkury do królewnéj, jak godny jéj papa mieć chciał; a gdy ta młoda dama, podług planu przez króla ułożonego, zapytała go się o dowcipną jaką sztuczkę, opowiedział jéj śmiało swoję przygodę z strażnikami królewskimi. Skoro skończył, królewna, podług umowy z ojcem, uchwyciła go za rękę, i narobiła hałasu, aby chwytano złodzieja. Ale jakież było jéj zdziwienie, gdy ręka oddzielona od ciała, w jéj garści pozostała, a filut uciekł.

Tu już Rampsinitowi przybrakło konceptu; a ponieważ sobie nie chciał dłużéj łamać głowy, a ciekawość jego, aby poznać tego człowieka, rosła coraz bardziéj; przeto kazał ogłosić powtórnie w stolicy, że jeżeli ten cudowny złodziéj sam się przed jego obliczem stawi, nietylko mu winę daruje, ale go jeszcze sowicie wynagrodzi. Młodzieniec, ufny w słowo królewskie, zgłosił się do Rampsinita, i wyjawił mu owę tak dla niego ważną tajemnicę o ruchomym kamieniu w ścianie do skarbca. „A oddzielona ręka?“ dodał ciekawy król. — Odpowiadający uśmiechnął się i rzekł: Ponieważ się domyślałem, że królewna, po uczynioném zwierzeniu, zechce mnie chwytać, przyniosłem na ten cel pod szatą urżniętą umarłego rękę. Król widząc od siebie człowieka mędrszego, nie rozgniewał się wcale, lecz owszem bardzo go polubił, i dał mu córkę swoję za żonę, przeciwko któremu najmędrszemu rozporządzeniu królewskiemu, królewna, jak historyk zaręcza, nie robiła żadnych wyjątków.

Tak się kończy historya najsławniejszego egipskiego w starożytności rzezimieszka; wyznać potrzeba, że ten koniec wcale był inny, jaki zwykle spotyka podobnych ludzi w naszych prozaicznych czasach.

Gaduła.



Medale Jana Zamojskiego. (*) (*Z galeryi Edwarda Raczyńskiego.*)

Opisanie ujęcia i stracenia Samuela Zborowskiego. (**)

W końcu Kwietnia (roku 1584.) ujął Jan Zamojski, kanclerz wielki koronny, Samuela Zborowskiego, i śmiercią go skarał. Że zaś ztąd wielkie zmiany powstaćby mogły, przeto

(*) Nie jest Polakiem i całe z historyą naszą nie obznajomionym, kto bohatera tego nie zna; nie ma i w litteraturze doświadczenia, aby kto o wielkich jego i względem nauk zasługach nie słyszał. Na cześć Jana Zamojskiego podaje nam Edw. Raczyński w galeryi swojéj dwa medale bite, pod Nrem. 90 i 91 umieszczone.

Pierwszy, ma popiersie Jana Zamojskiego, z głową nienakrytą, z lewéj strony widzianą, włosy krótkie, na czoło, do uszu i w tyle do szyi spuszczone, broda ostrzyżona, wąs goły, odzienie w kształcie ferezyi na szyi zapięte, z kapturem i futrem podszyte. Napis: JOAN(nes) ZAMOYSKI MAG(nus) CANC(ellarius) POL(oniae) PRAEF(ectus) GEN(eralis) MI(litum); t. j.: Jan Zamojski, kanclerz w. kor., hetman w.

Strona odwrotna: Dwa wieńce, u góry laurowy, u dołu oliwny, z sobą brzegiem jednym na środku medalu połączone. Napis: UTRAQ(ue) CIVIS; t. j.: Obiema obywatel.

Drugi, popiersie z boku widziane Jana Zamojskiego w zbroi, na któréj draperya jest zarzucona. Napis w otoku w dwóch wierszach: JOHANNES DE ZAMOSCIO R(egni P(oloniae) SUP(remus) CANCE(llarius) ET EXER(citus) GENE(ralis) CAPI(taneus); t. j.: Jan na Zamościu, królestwa polskiego wielki kanclerz, wojska wódz najwyższy.

w krótkości opiszę, jak się ta rzecz prawdziwie miała.

Samuel Zborowski, jako téż Jan, naczelny niegdyś dowódzca wojska pod Gdańskiem, Andrzéj i Krysztof, którzy niejaki czas na dworze cesarza rzymskiego z panem Łaskim bawili, są rodzonymi bracmi, z znakomitego i dawnego rodu w koronie polskiéj. Samuel zabił za czasów króla Henryka, szlachica polskiego, Wapowskiego, i został z kraju wygnanym, ale się za teraźniejszego króla starał, aby się mógł z wygnania powrócić, dla tego jeździł do Francyi i

Strona odwrotna: Dwa wieńce, jeden w drugiego zachodzący. Napis: UTRAQ(ue) CIVIS, t. j.: Obiema obywatel.

Albertrandi dowodzi, iż oba te medale były za panowania króla Stefana bite, i to za staraniem samego Zamojskiego, nieodrzuca jednakże owego pospolitego wykładu, t. j.: iż Zamojski, kanclerz i hetman, na tych dwóch urzędach najwyższego kresu chwały dostąpiwszy, i w pokoju i na wojnie prawdziwym, godnym ojczyzny swéj pokazał się obywatelem, i w skutek tego, od monarchy medalami tymi zaszczyconym został.

(**) Wyjątek z rękopismu tłumaczenia dziełka Wawrzyńca Müllera, opisującego kilka lat z czasów panowania Stefana Batorego. Tytuł tego dzieła, dziś niezmiernie rzadkiego, jest taki: „*Polnische, Liffländische, Moschowiterische, und andere Historien, so sich unter diesem jetzigen König (Batory) zu Polen zugetragen etc. Mit Fleiss zusammen gezogen durch D. Laurentium Müller etc. Anno* 1585. *4to.*“ Müller był radzcą nadwornym księcia kurlandzkiego, znał dobrze wszystkie znakomitsze wówczas domy polskie, używanym był od Batorego do rozmaitych poselstw, a zatém mógł wiedzieć wszystkie szczegóły ujęcia i stracenia Zborowskiego.

poradzał się z Henrykiem. Tenże wraz z braćmi, Janem i Andrzejem, wszystko na to łożyli, jak w wstępie wspomniano, aby Stefan królem polskim obrany został, i zaprawdę bez pomocy panów Zborowskich i ich stronników, nigdyby tenże król do rządów nie był przyszedł, chociaż to przez to nie chcę powiedzieć, jakoby Bóg tego przez inne narzędzia i pośrednie osoby nie był mógł zdziałać, ale tylko, że ci Zborowscy właściwie, prawdziwe *causae sine quibus non* byli. Nie może też być zaprzeczoném, że tenże Samuel Zborowski nigdy nie był ściganym dla proskrypcyi, owszem wiele razy bywał z dobrą miną *in publicis congressibus* w Krakowie i gdzieindziéj, gdzie się król i wielki kanclerz znajdowali, tak, że właściwie niemożna powiedzieć, aby był prawdziwie osądzonym *ex lege et statuto:* ale była inna przyczyna, która dotąd wprawdzie tajoną i nie wielu ludziom nawet w koronie polskiéj wiadomą była. Że zaś z tego takie korowody powstały, i owszem jeszcze wątpliwości w tych stronach dla uniewinnienia czynu rozsianemi zostały, przeto zamierzam wszystko prawdziwie i wiarogodnie opowiedzieć. Krótko pierw wspomniano, że król polski szybko cokolwiek wojska na Podole przeciw Tatarów wysłał; między innymi byli wysłani dwaj węgierscy panowie, pan Zyberk i pan Cobar; pan Zyberk był już o jeden nocleg za ruskim Lwowem; pan Cobar zaś został na noc w Lwowie; przypadkiem znajduje w gospodzie biegłego lutnistę, który kiedy niekiedy fantazye na lutni dla siebie wygrywał; pan Cobar, który dobrze po polsku i niemiecku umiał, zapytał go się: czyby służby nie szukał, chcąc mu ją wyrobić. Tenże odpowiada, że jest u pana Samuela Zborowskiego. Gdy pan Cobar to nazwisko usłyszał, pomyślał sobie zaraz, więcéj się od niego wywiedzieć, albowiem było porozumienie, że Zborowski chce się kazać obwołać attamanem kozackim; ztąd pije do niego i pyta, gdzie się teraz jego pan znajduje? Ten odpowiada, że jest niedaleko od Lwowa. Pan Cobar pyta daléj: co teraz w tych stronach robi, kiedy głośna wieść biega o napadzie Tatarów? Ten miał powiedzieć, że się tam ma z niektórymi umówić, i zarazem miał się wymówić, że szczególne sprawy się knują. Pan Cobar postępuje zawsze daléj, chwali lutnistę, mówiąc, że szkoda, żeby przy swéj biegłości w sztuce, nie miał być sługą królewskim, i daje mu gotówką złoty węgierski, dopija do niego, rzecz daléj prowadząc; zapytuje: czemu się jego pan sam winowatym czyni, nieupokarzając się dokładniéj przed królem, coby mu pożyteczniéj było, jak że tak nienawiścią ściga kanclerza. Lutnista, czy z pijaństwa, czy z łotrostwa, zaczął kilka razy wzdychać, mówiąc, że chciałby utłumić w sobie cześć ku swemu panu; albowiem Zborowscy mają w przedsięwzięciu tak szczególne zamiary, że aż go zgroza pobiera, gdy o nich myśli. Gdy pan Cobar tyle z niego wyciągnął, coraz bliżéj do rzeczy przystępował, przyobiecał, że mu służbę u króla wyrobi, napominał go, by był wierniejszym królowi, jak swemu niewiernemu panu, i by wykrył, co złego wiedział, przyrzekając mu, że z tego żadne niebezpieczeństwo dla niego nie wyniknie. Tenże obiecał mu to wykryć, ale będąc tego wieczora podchmielonym, prosił o czas aż do drugiego dnia. Pan Cobar udał, jakoby miał o czém więcéj do myślenia, i że przypadkiem mógłby to nazajutrz zapomnieć, wyjął dla tego swój puliaresik, mówiąc, by mu sam wpisał, że jutro wykryje zamiary Zborowskich przeciw królowi, co téż lutnista uczynił. Téj saméj nocy wysłał pan Cobar do swego towarzysza, pana Zyberk, gońca, by w imię Boga ruszał, skoro czekać nie może, albowiem odkrył sprawki, na których królowi bardzo wiele, bo życie, a ich wszystkich własna pomyślność zależy, o czém mu wkrótce doniesie. Rozkazał też swemu kucharzowi smaczne ranne śniadanie przygotować i nim lutnista wstał, była już na stole małmazya i inne konfekta. Pan Cobar udawał, jakoby nie chciał więcéj, jak kwadrans czekać, zmusił lutnistę usieść i nieco konfektów spożyć.

Tymczasem obmyślił gospodarz inną jeszcze zupę i potrawy, w czém pan Cobar udał, jakoby to mu było niemiło, i jakoby tego nie żądał, jednakże powiedział późniéj: kiedy już jest sporządzone, musimy więc za dobre przyjąć, i tym lepiéj zajadać. Kazał też swym wozom i jednéj części dworzan naprzód wyruszyć, ale mieli rozkaz czekać w oznaczoném miejscu. Poczem zaczyna znowu z lutnistą popijać, chwali jego biegłość w sztuce, i na nowo daje mu kilka węgierskich złotych. Lutnista może nie był od swego pana w ten sposób obsypywanym węgierskiemi dukatami, co mu się spodobało, i rzekł, że miałby ochotę, na dworze królewskim służyć.

(Koniec nastąpi.)

Myśli Okena względem usposobienia umysłowego zwierząt.

Wymoczki i polipy niemają wiedzy i pamięci, czują rzeczy zewnętrzne, lecz czucia tego nie pojmują. Zycie ich umysłowe, w pewnym względzie jest to stan magnetyczny, w którym widzą, wąchają, smakują, czują, mimo braku odpowiednich zmysłów. Uwaga i przezorność zdają się być pomysłami małżów i ślimaków. Patrząc na ślimaka, mniemamy, iż mamy przed sobą wieszczą boginię na trójnogu. Jaka okazałość w czołgającym się ślimaku, jaka rozwaga i powažność, jaka lękliwość, a zarazem jaka stała otucha. Zaprawdę, ślimak jest wzniosłém go-

dłem, głęboko w swém wnętrzu drzymiącego umysłu. Owad jest głównie organem powietrza i ruchu, czemu równie umysł jego odpowiada. Oddychanie sprawia moc, za tą idzie odwaga, z których każda tak wybitną jest cechą owadu; nad owad niema ziemia mocniejszego, niema waleczniejszego zwierzęcia. Gdy z oddechem jednoczy się powonienie, mają przeto owady węch doskonały, w którego duchu mieści się chytrość i obłuda, przymioty, jakimi niełatwo które zwierzę przewyższy owady. Z ruchu wykwita popęd do dzieł sztucznych. Ryby sąto przeczuwające, sztuczne zwierzęta, które tajną siłą przynęcone, największe odbywają podróże, zdobycz swoją w milowéj odległości wyszukać umieją — są to flegmatyczki. Ziemiowody pojętniejsze są, niż ryby; wiele wspomnień mogą one porównywać, a zatém rozważać; odwaga, jaką posiadają jako zwierzęta piersiowe, przechodzi u nich w bezczelność i bezwstydność — są to tylko zgłodniałe bohatery, właściwa im jest zadumczywość. Ptaki mają władzę tworzenia wyobrażeń, t. j. rzeczy poznać mogą z ich obrazów; mają prócz tego mowę, t. j. znaki, godła, które same nie są rzeczami, lecz je tylko oznaczają; poznają one stósunek objawienia umysłowego do organu lub materyi, postrzegają związek tam nawet, gdy ten pochodzi czysto z wyobrażenia i nie ma w sobie nic materyalnego. Wyobraźnię (sny), rozwagę, chęć naśladowania, władzę porównawczą, posiadają w zupełności — są one temperamentu krwistego. U zwierząt ssących, do innych usposobień zmysłowych, dołącza się dusza oku, z tą właściwie poznawanie i pojmowanie; dla tego spostrzegamy u zwierząt tych pojętności, wstyd, dumę, wierność, nienawiść, mściwość i t. p. — są to choleryki. Wszelako ich pojętność jest jeszcze bez wiedzy własnéj, jest to pojmowanie niektórych znaków, bez ich łączenia lub rozdzielania, bez sądu. Jeżeli z resztą dla zwierzęcia wszystkie jego organa stają się przymiotami, przez wglądanie się na wszech świat i przysłuchiwanie zwierzęciu, w godła i znaki rozpłynionemu, wtenczas wpatruje się samo w siebie, spostrzega się i jest o sobie zupełnie przeświadczone. Wtenczas zwierzę równe jest całemu ogółowi zwierząt, równe jest światu. Tym powszechnym duchem jest człowiek. W jego rodzie powstała indywidualność świata. Człowiek jest obrazem świata. Jego mowa jest duchem świata. W człowieku jednoczą się wszystkie czynności zwierzęce.

Kronika litteracka.

Do najnowszych, mniéj u nas jeszcze znanych dzieł, należą:

1. Piosnki wieśniacze z nad Niemna i Dźwiny, (Wilno 1839) zawierające piosnki kupalne, czyli świętojańskie, rozmaite, weselne, dożynkowe. Autor zbiera teraz podobne pieśni z nad Dniepru. I tak da Bóg, wkrótce będziemy mieli próbki poezyi gminnéj nieledwie wszystkich prowincyj naszych.

2. Rocznik gospodarski, (Wilno 1839) dla synowców przez autora napisany, jak gospodarować mają w każdym miesiącu przez cały rok, zacząwszy od Kwietnia. W końcu jest mowa o używaniu dochodów, o pańszczyznie, o budowach gospodarskich, o fundamentach i dachach.

3. Tironi Medico Trames, opera Erasmi **Brzeziński**, Vilnae 1839. Jestto Przewodnik dla lekarzy.

4. Morbi cutis, tabulis succincte descripti auctore Felice **Rymkiewicz**, Vilnae 1839. Choroby zaskórne, w jednéj wielkiéj tablicy wystawione.
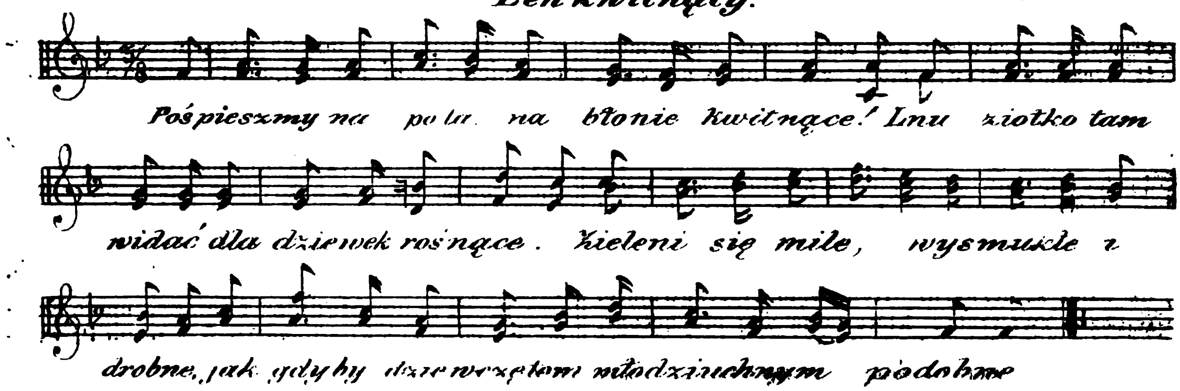
5. Numizmatyką krajowa, opisana przez Kaź. Wł. Bandtkiego, tom I. Warszawa 1839. Autor czerpał tę ważną, do historyi tak wielce pomocniczą naukę, przechowującą pomniki przeszłości i świadczącą o wczesnéj cywilizacyi kraju, jego przemyśle i stósunkach z odległemi państwy, oprócz z **Czackiego**, który pierwszy obudził ducha do zamiłowania podobnych historycznych badań, z Bauna, Lelewela i różnych obcych, z własnego zbioru monet i zamożniejszych zbiorów PP. Fr. Potockiego, Xawerego Legny, x. Pawła Szymańskiego, Przeszkodzińskiego, Lipińskiego i Stańczyńskiego. Przejrzawszy wiele tysięcy monet, zebrał tylko najciekawsze, które lubo nie stanowią jeszcze całości, autor nie traci nadziei, że z dodatkiem, jaki późniéj wyjdzie, dadzą Czytelnikom dokładne wyobrażenie o **dawnym stanie** mennicznym. Kończy się ten tom na Janie Kaźimierzu, zacząwszy od Bolesława Chrobrego.

6. Bajki i przypowieści, do użytku młodzieży obojga płci oryginalnie napisane przez **L. E. Rajszla**, z rycinami kolorowemi i czarnemi, w Warszawie 1839. Sąto bajeczki zupełnie w guście Jachowicza pisane.

7. Pamiętnik sceny warszawskiéj, przez K. W., w Warszawie 1839. Jestto opis teatru warszawskiego. — Autor mówi najprzód o operze i balecie, następnie o dramacie i komedyi, czyli raczéj o artystach w tych przedmiotach wsławionych. Dla tego kto chce poznać obecny stan sceny polskiéj w Warszawie, dziełko to jest pożądane tém bardziéj, że nietylko wystawia w krótkości historyą znakomitszych talentów, ale oraz i przedstawienia, to jest repertorium sceny warszawskiéj w zeszłym roku.

8. Nowy Kolumb, pamiętnik podróży i wiadomości statystycznych, przez **F. S. Dmochowskiego**. Rok 1839. Warszawa.

Len kwitnący.



Kwitnący len. (*)

(*Piosnka z niemieckiego.*)

1.

Pośpieszmy na pola, na błonie kwitnące!
Lnu ziółko tam widać dla dziewcząt rosnące.
Zieleni się mile, wysmukłe i drobne,
Niejako dziewicom młodziuchnym podobne.

2.

Tam pysznią się kłosy w swym złotym ubiorze,
Lnu ziółko tu stoi w swéj cichéj pokorze.
Na główce modrzuchna, jak niebo, korona,
Ta najczystszą z rosy perełką zdobiona.

3.

Tuliła je ziemia, jak matka, w swém łonie,
Aż wnet i podrosło w niebieskiéj obronie.
Już wdzięcznie się kłania i wznosi swe czoło:
„Wam, ziemio i niebo, dziękuję wesoło!“

4.

Wnet zbierzem i zniesiem do domu to ziółko,
Tam włóknem srebrzystém obwije się kółko.
Niech kółka zawarczą, niech śpiewy się wznoszą!
Nić cieńsza nad jedwab' — to naszą roskoszą.

5.

Gdy śniegi te pola zielone pobielą,
Zejdziemy się wszyscy wieczorem z kądzielą.
Jak w lecie len strojny nas cieszy w swym kwiecie,
Tak zimą we wieniec żyjący nas splecie.

6.

Więc śpieszmy na pola, na błonie kwitnące,
Lnu ziółko tam widać dla dziewcząt rosnące.
Zieleni się mile, wysmukłe i drobne,
Niejako dziewczętom młodziuchnym podobne.

(*) W Prusach wschodnich i zachodnich, w okolicach, w których lud polskim językiem mówi, duchowni wyznania augsburskiego nietylko się chętnie w tym języku dla własnéj potrzeby doskonalą, ale nawet z zamiłowaniem w nim pracują, bogacąc tym sposobem literaturę naszą wielu użytecznemi dziełami. Pomijając dawniejsze czasy, w których Ringeltaube, Olóff i inni uczeni duchowni pruscy, naszych Czackich, Ossolińskich, Bandtkich i t. d. w szperaniach bibliograficznych poprzedzili, dziś znamy w tych stronach dwóch kaznodziei ewangielickich, którzy w języku i literaturze polskiéj znakomite zasługi położyli. Pierwszym jest szanowny starzec Celestyn Mrongowiusz, kaznodzieja polski przy kościele ś. Anny w Gdańsku, znany autor słowników polskich, tłumacz Xenofonta i t. d., drugim uczony ksiądz Gizewiusz, kaznodzieja Luterskiéj gminy polskiéj w Osterodzie. Przełożył on już rozmaite dziełka niemieckie na język polski, a z języka polskiego przelał na niemiecki Pamiętniki Radziwiłła, romans: „Dodosiński,“ przez Skarbka i t. d. Prócz tego umieszcza w peryodycznych pismach niemieckich przekłady krótszych powieści polskich; tak n. p. niedawno umieścił w Figaro przekład swój „Czerwonéj sukienki,“ Czajkowskiego. Doświadcza on téż sił w poezyi polskiéj i nadesłał Redakcyi Przyjaciela Ludu tłumaczenie pieśni niemieckiéj: Der blühende Flachs. Przekład téj pieśni inaczéj wprawdzie brzmiałby pod piórem Brodzińskiego lub Mickiewicza; nie jest przecież złym i niewahamy się umieścić go w pismie naszém, pomni na owę naukę Krasickiego: „Z umysłu pracujących szacunek roboty.“

Doniesienie literackie.

Na początku roku 1840 wyjdzie z druku w Petersburgu noworocznik, pod tytułem: Niezabudka. Wydawca, Jan Barszczewski, pochlebia sobie, iż czytająca Publiczność nie będzie zawiedziona na guście, z jakim zrobiony wybór artykułów. Pisemko to, którego objętość zajmie 230 stronnic, składać się będzie z utworów w wierszu i prozie, po większéj części oryginalnych. — Przedpłata w Petersburgu wynosi 6 złp. 20 gr. (Tygodnik Petersb. No. 86.)

W tymże Nrze. znajduje się krytyka przez pana K. Po. Ziemiaństwa Koźmiana, wydanego przez Edw. Raczyńskiego w Wrocławiu, niezawierająca atoli żadnych nowych pomysłów.

Przyjaciel Ludu.

Rok szósty. **No. 24.** Leszno, *dnia* 14. *Grudnia* 1839.



Szymon Syreniusz.

Zieluiki polskie.

(Dokończenie.)

Zaleca się to dzieło mową jędrną i czystą, wykładem jasnym i zrozumiałym. Nawet słownikarstwo polskie wielkiby w niém znaleść mogło zasiłek, bo tu jest wiele wyrazów dobrych, nazwań rzeczy prawdziwie polskich, teraz z używania wyszłych i prawie zapomnianych. Być ono może chwałą swego wieku, i ksiądz Jundził należyty sąd o niém wydał: „Lecz najsławniejsze w owym wieku i aż do naszych czasów, jest dzieło Syreniusza, godne zaiste poszanowania, z którém w owych wiekach przyjęte było: godne i teraz naszego poważania, jako zawierające w sobie wszystkie znajome pod ów czas około roślin lekarskich postrzeżenia. W niém wynalazki Dioskoryda, Mathiola, Fuchsa, Arabów i t. d. pracowicie zebrane, w niém prawie wszystkie krajowe, w medycynie używane rośliny opisane, w niém staropolskie roślin nazwiska aż do naszych czasów dochowane, w niém użycie onych lekarskie, ekonomiczne, rzemieślnicze, wyrażone.“ (Opis roślin wyd. r. 1791.) Również z pochwałą wyrzekł o niém znakomity uczony hrabia Ossoliński: „Od czasu Marcina z Urzędowa aż do Syreniusza, nic nie wyszło na świat, coby dalszy postępek botaniki u nas wsławiło. Winno się Annie, królewnie szwedzkiéj, że chlubny plon całego życia jego w pośmiertnym nie zataił się cieniu.“ (Tom. II. p. 260.) Jakkolwiek zaś to dzieło jest wielkie, przecież nie jest całe, jak je Syreński przygotował, i brakuje w niém traktatów o ziemiach, glinkach, kruszcach, kamieniach drogich, perłach; toż o zwierzętach czworonogich, czołgających, ptactwie, rybach i t. d., które w samym tytule dzieła zapowiedziane są, i trzema księgami objęte być miały. Zamierzał wprawdzie Dr. Joannicy i takowe drukiem ogłosić, jak wspomina w końcu dzieła przed jednym z czterech regestrów, którémi dla ułatwienia w szukaniu jest opatrzone: „wszakże potém, gdy wynidą drugie księgi nagotowane z druku etc.“ ale do tego nie przyszło i rękopismo z wielką dla nauk szkodą zaginęło, lub gdzie w zaniedbaniu utajone spoczywa: w którém zapewne nie małe o kopalniach i fabrykach ówczesnych krajowych znalazłyby się wiadomości.

Dzieło to niegdyś w wielkiéj u nas było powadze, i w czasach, kiedy mała była liczba lekarzy, księga ta niezbędną prawie była w każdym domu ziemiańskim, a z jéj przepisów dawne Polki domowe urządzały apteczki, zaopatrując je w zioła, korzenie, wódki, konfekty i t. p., którémi zdrowie własne, rodzin i włościan swych w wszelkich przypadkach ratowały. Nawet znako-

mici niegdyś dostojeństwem mężowie, nie mieli sobie za ujmę powagi, podręcznemi lekarstwami przynosić ulgę cierpiącym. Sarnicki w *księgach hetmańskich* pisze: „Byli niektórzy zacni hetmani, którzy w lekarskich naukach byli uczeni, i gdy który z żołnierzów chorował, wnet z swéj szkatuły snać gotowsze lekarstwa niż drugi doktor dobywszy, onym użyczali: jako był nieb. P. Jędrzéj z Górki, kasztelan poznański († r. 1551). Ten u Starodubu będąc hetmanem, acz miał lekarze, doktory, snać lepiéj niż inny, bo ten dom zawdy z wielkim dostatkiem i z wielkim rządem dwór swój wiódł; wszakoż jednak szkatuła u niego bywała lekarstwa i rzeczy osobliwszych, niż w znacznéj aptece. I pamiętają dotychmiast niektórzy experientie i lekarstwa, które więc przy stole z roskoszą *convivorum* i powieściami, jako był wymowca i krasomowca wielki, rozpowiadał." (Rękopism.)

O innych szczegółach życia Syreńskiego nic więcéj dobadać się nie mogłem. Zapomnieli o nim współcześni, a bliscy jemu pisarze nie poznali się na wartości jego. Starowolski nawiasowo tylko imię jego wspomniał przy wiadomości o Walentym Widawczyku, że jako współuczeń jego, razem z nim, jako téż z Marcinem Ujazdowskim i Bartł. Wargockim, pierwszy stopień akademicki, *primam lauream*, osiągnął (Ekatontas). W inném miejscu lekko tylko natrąca: „Syreniusz dla tego szczególnie znakomite pomiędzy medykami otrzymał imie, że znajomością ziół celując, naukę o ich własnościach i skutkach ojczystą mową wyłożoną nam zostawił." (Laudat. Acad. Crac.)

Syreniusz późnéj dożył starości, a Dr. Joannicy na stron. 1533 Zielnika mówi, że siedmdziesiąt lat dobrze był przeszedł. Kiedy pracowite życie zakończył? dochował nam wiadomość o tém ksiądz Wielewicki, jednocześnie z nim żyjący, w rękopismie swym (*), który oraz zasłużoną acz krótką cnót jego domieścił pochwałę: „Szymon Syrenius, akademik, filozofii i medycyny Dr., zgromadzenia naszego przy kościele Ś. Barbary (w Krakowie) ordynaryusz, wspieracz ubogich i najgorliwszy opiekun, wsławiony wydaniem znakomitego dzieła o ziołach, mąż wszelkiego rodzaju cnotami ozdobiony, a nasz przyjaciel i dobroczyńca wielki, życie zakończył d. 29. Marca roku 1611."

Żył w stanie małżeńskim, i zostawił dwie córek, Elżbietę, zaślubioną Janowi Molenda, mieszczaninowi oświecimskiemu, i Jadwigę. Acz był medyk, nie znać przecież, aby zgodnie z przysłowiem: *Galenus dat opes*, dostatki znakomite po nim zostały, prócz jakiéjś ojcowizny, którą w Oświecimiu posiadał; całą bowiem oszczędność wyczerpał mu nakład Zielnika: skromne zaś szaty, jakich mężowie powołania jego używali, nie bogatą były spuścizną, a ta składała się z kilku rewerend, sutan, kabatów, koletów, kurt, delijki, kołpaczków i t. p., i trochy futer, które na wezwanie opiekunów córki jego Jadwigi, w obec urzędu miejskiego krak. szacowane były (*). — Piękną po nim pamiątkę od spadkobierców otrzymała biblioteka akademii krak., w darze rzadkiego wydania Psałterza w czterech starożytnych językach (**), o którym mówi Muczkowski w przytoczonym wyżéj indexie lekcyj.

Skromnych mężów zwykle światowe omijają zaszczyty, przeto, mimo zasługi z napisania użytecznéj księgi, nie spotkał go tytuł: medyka królewskiego (Medicus et Physicus Regius); lubo przy dworach królów polskich tytuł ten zdolni w rzeczy lekarskiéj mężowie posiadali (***). Nawet gdy wielom nie zapracowane pomniki wzniesiono, Syreńskiemu nikt téj czci nie wyrządził: i gdy mury świątyń krak. osłaniają liczne pochwalne napisy, nie masz żadnego, któryby pamięć jego potomnym przypomniał.

Saxonia dzisiejsza i jéj stolica, z wspomnieniem o artystach polskich i szkole malarstwa polskiego.

(*Z niedrukowanego Dziennika podróży S. Soc*...... 1839.)

Teraźniejsze królestwo saskie, wedle spisów towarzystwa statystycznego drezdeńskiego, obejmuje przestrzeń ziemi 1,635 mil geograficznych, a osiedleń nań 271,676 mil kwadr., a zatém: 43 część Niemiec całych. Najwyższa w Saxonii wyniosłość, jest szczyt góry Fichtenberg, 3,720 stóp paryzkich nad powierzchnią morza północnego wzniesiony. Elba, największa z rzek, na dwie części kraj cały przerzyna i bieży od południowo-wschodniéj ku zachodnio-północnéj stronie na 16 mil w dłuż; Nissa zaś, jest jedyną w całém państwie, która, za pośrednictwem

---

(*) *Historici Diarii Domus Professae Cracov. Soc. Jesu, ab A.* 1579. *ad* 1637. *inclusive, seu* 58. *annorum durationem continentes, Tomus 1mus et 2dus. Collecta haec omnia per P. Joan. Wielewicki S. J. A. D.* 1637. Rękopismu tego tom 1szy liczy stron. 1124., tom. 2gi tylko 99. in folio. Używał go Niesiecki i często go cytuje.

(*) Obacz: Mrówka poznańska, r. 1821. Kwiecień, artykuł: Syreniusza rzeczy. *Taxatio rerum D. Syrenii, requirente Dre. G. Joannicio, tutore honestae Hedvigis* etc.

(**) Był on zapewne posiadaczem licznéj biblioteki, co wskazują książki z jego podpisem, po różnych zbiorach ksiąg znajdujące się.

(***) Nie wspominając cudzoziemców, z krajowców byli lekarzami królewskimi: Maciéj Miechowita, Struś, Oczko, Tektander, Sleszkowski i t. d. — Król Jan Kazimierz mianował lekarzem i chirurgiem swym brata Modesta Genonio, Neapolitańczyka, przeora Bonifratellów konwentu warszawskiego. Doktor króla Jana III. w r. 1684. podpisywał się: *Alb. Casim. Rezler, Phil. et Medicinae Doctor, S. R. Mtis. Botanicus*, i był professorem akademii krak.

Odry ułatwia z morzem północném związek. — Co do dróg publicznych, które dziś należą do najlepszych, i tysiąckroć budową i systemem przewyższają austryackie, przybyło nowo-bitych w pierwszym kwartale 1838 r. aż do 437,782 ośmiołokciowych prętów. Ludność, podług spisów z dniem 1. Grudnia 1837 dokonanych, wynosiła 1,632,114 mieszkańców; w liczbie téj, Katolików było tylko 29,000, żydostwa zaś, na szczęście kraju całego, 845 głów, pracowitość bowiem i trzeźwość ludu dobrze rządzonego, usamowolnionego, nieprzebytą stawia zaporę mnożeniu się tego ludu. Górnictwo w 1837 r. przyniosło, licząc na pieniądze, blisko 1,881,-412 talarów. Łomy węgla kamiennego wydały do 2,128,000 szeflów. W latach 1836—1838. wybito monety złotéj, srebrnéj i miedzianéj za 1,420,526 tal. Ustawa rządowa jest monarchiczno-konstytucyjna; sejmy podobnież, jak niegdyś w Polsce, do dwóch izb się odnoszą. Ministrowie są odpowiedzialni. Sąd sejmowy na obżałowanych, składa się z członków, przez izbę sejmową i przez króla ku temu wybranych. Ministrów jest sześciu, to jest: sprawiedliwości, spraw wewnętrznych, wojny, oświecenia i interessów zagranicznych. Rada stanu rozważa przedmioty, przez panującego poruczane. Na listę cywilną nie mniéj jak 500,000 tal. przeznaczone. Dochody roczne w 1838—1839. były: 5,074,313 tal.; rozchód zaś budżetem oznaczony, w tychże latach 4,975,837 tal. wynosił. Dług narodowy na 11,170,032 tal. podają; rękojmią wypłaty jest rząd i stany. Kontyngens rzeszy na 12 tysięcy ludzi zakreślony.

Rodzina królewska, dworem (Hof) zwana, liczy obecnie 14 członków, biorąc w to i owdowiałą wielką księżnę Toskanii, siostrę królewską. Co do macochy króla jegomości, księżnéj Lukki, jest tu tenże sam wypadek, co z pełną uprzejmości i dobroci księżną w państwie sąsiedniém. Nie wspomina o tém Drezno, że z panem Rossi w powtórne Drezdenka weszła związki małżeńskie; wszystko to tytułem ręki lewéj przybrane jest. (*) — Order Wieńca (Rautenkrone) siedmiu tylko krajowców nosi, gdy tymczasem za granicą państwa, 48 liczy się członków, między którymi jest Hieronim Napoleon i Maret, książe Bassano. Krzyż wojskowy Henryka, trzech jedynie zdobi mężów; z tych dwaj za granicą. Między cudzoziemcami najwięcéj Francuzów i to komandorskiemi krzyżami zaszczyconych; jestto zabytek dawnych, a brzemiennych w nadzieje czasów!... które niestety! nigdy się nie spełniły. Krzyż rycerski samych niemal przybrał krajowców; orderu zaś Zasługi obywatelskiéj, dwie trzecie cudzoziemcom przyznano; w ogólności w saméj Saxonii 540 osób narodowemi ordery ozdobionych jest. Paziów nadwornych 43, podkomorzych zaś 66 liczą. — Poczet kapeli zamkowéj i teatru nadwornego, 162 obejmuje osób, którym właśnie z sławy europejskiéj głośny nasz ziomek, Lipiński Karól, przodkuje. — Ministrami byli dotąd: spraw zagranicznych i prezydującym, Lindenau; wojny, Zeschwitz; oświecenia, Karlowitz; sprawiedliwości, Könneritz; skarbu, Zeschau, a spraw wewnętrznych, Nostitz. Książe Jan radzie stanu przewodniczy. Sąd appelacyjny najwyższy, równie jak zwyczajny, w Dreźnie zasiada; oprócz tego są trzy jeszcze sądy appelacyjne w kraju, to jest: w Budyszynie (Bautzen), Lipsku i Zwikau; innych pomniejszych sądów do tysiąca liczą. Naczelnikiem górnictwa jest Freiesleben. Posłów nadzwyczajnych pełnomocnych utrzymuje Saxonia w Paryżu, Wiedniu, Petersburgu, Turynie, a nadto w Berlinie, któren zarazem hannowerskie podejmuje sprawy, i w Frankfurcie nad Menem; rezydenta zaś jednego tylko w Londynie, a sprawujących interessa w Monachium i Sztutgardzie; konsulów nakoniec i agentów handlowych w ogóle 22. Posłów dworów zagranicznych liczy Drezno jedenastu, to jest: francuzkiego, angielskiego, bawarskiego, hanowerskiego, austryackiego, pruskiego, rossyjskiego, sardyńskiego, szwedzkiego i wirtembergskiego; prócz tych, Altenburg i Koburg ma sprawujących interessa, a stany zjednoczone konsula.

(Koniec nastąpi.)

Opisanie ujęcia i stracenia Samuela Zborowskiego.

(Koniec.)

Na co mu tenże rękę daje, i żegna się zaraz, mówiąc: że nadszedł czas, w którym musi odjechać; każe sobie podać rachunek, szuka swego puliaresiku, czy czego nie zapomniał, i udaje, jakoby przypadkiem znalazł, co lutnista przeszłego wieczora wpisał; przypomina mu jego podanie ręki i obietnicę, prosząc, by mu chciał odkryć, coby wiedział o zamysłach Zborowskich.

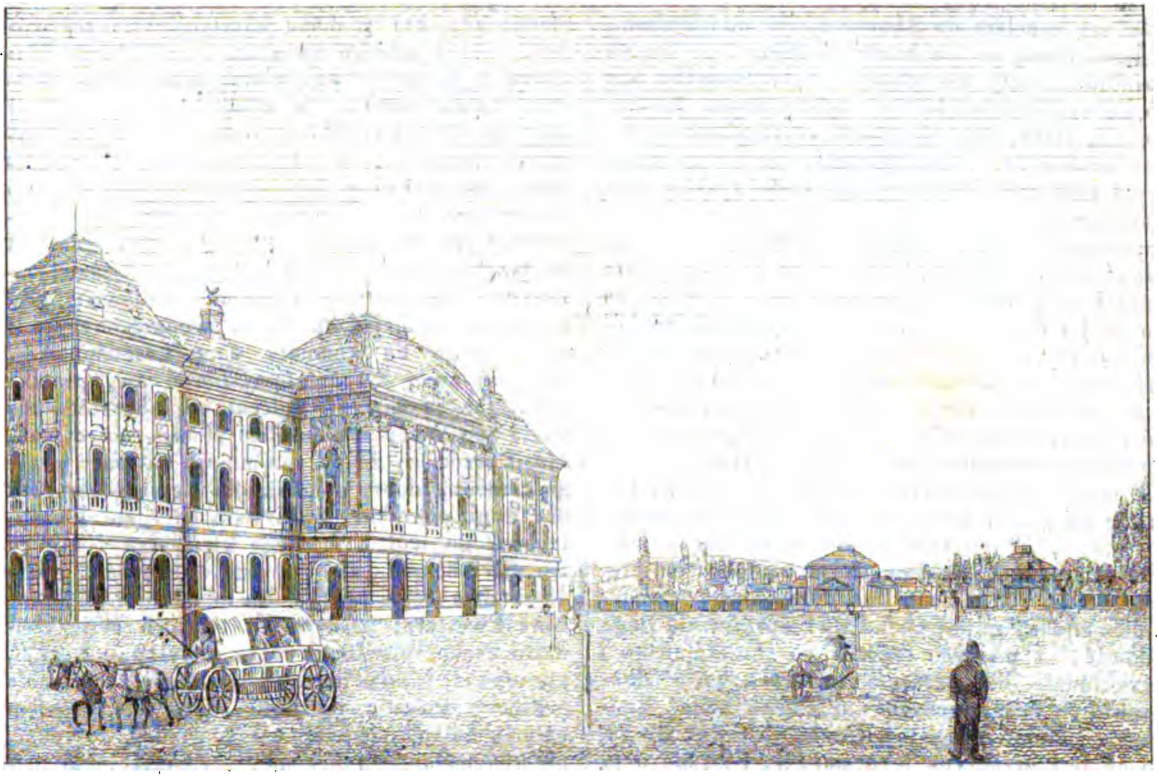
(*) Ktokolwiek bądź życzy sobie bliżéj poznać szcigodną rodzinę panującą, niech korzysta z europejskiéj rzadkości zwyczaju na dworze saskim z dawna panującego, to jest: obiadów publicznych, jako dla wszystkich dostępnych. Pora letnia, pobyt króla w Pilnic, jednę z najlepszych nastręcza sposobność, a do tego żadnego zachodu niewymagającą; z uderzeniem albowiem 3ciéj godziny, otwierają podwoje, na balkony sali jadalnéj wiodące, gdzie wszelkich narodów i stanu ciekawi, zająwszy miejsca, swobodnie przypatrują się wchodzącym do sali członkom rodziny królewskiéj z gośćmi i znaczniejszymi dworu urzędnikami, zajmującym swe miejsca, i w pokoju, uprzejmości przykładnéj, pożywającym południowy dar boży; cisza uroczysta, pewna bez uciążenia skromność, dostatek bez zbytku, czystość w zastawie, dobrym kraszona smakiem, a nadewszystko orszak wiernych sług, serca szczęśliwych poddanych, jednę, że powiem, z panującym rodzinę stanowiących;... nietylko zająć, zachwycić, zbudować zdolne; ale i słodkie na całe życie zostawiają w odwiedzających wspomnienia!...



Widok Drezna.

Lutnista odpowiedział, że jest gotowy odkryć mu to wszystko, jeźli to bez niebezpieczeństwa dla niego będzie, i jeźli mu przyobieca innego pana na dworze znaleść. Gdy pan Cobar mu to podaniem ręki przyrzekł, i zarazem dał się poznać, kim jest, i dla czego wysłanym został; natenczas odrzekł lutnista, że jego pan, Samuel Zborowski, o kilka mil jest tylko ztąd, i że mu przyniesie listy, in originali, które bracia pisywali, z których się będzie można dowiedzieć, jak się połączyli, by króla trucizną uczęstować, a kanclerza o życie przyprawić. Prosił dla tego pana Cobar, by na pół drogi zatrzymać kazał nieco koni, by mógł mieć odsiecz, w przypadku, gdyby Zborowski zarychło się spostrzegł o zniknieniu listów i ścigać go kazał. To się też tak stało; lutnista powraca, przynosi kilka listów, podług których trzej bracia, Samuel, Andrzéj i Krysztof, w wyżéj wspomniony sposób umówić się mieli, i listy i pieczęcie za ich własne uznano. Pan Cobar i Zyberk wsadzili lutnistę na najlepszego z swych koni, dodali mu ludzi, i posłali do króla z listami i całém sprawozdaniem.

Król był jeszcze w Krakowie z wielkim kanclerzem, i dał zaraz dobre utrzymanie lutniście. Tymczasem dowiedział się Zborowski, że jego lutnista w Krakowie się miał znajdować, nie wiedział jednak, że u króla był; napisał do jednego z swych szwagrów, by miał na niego baczność i by mu go zaraz odesłał, skoro go napotka. Tenże jego szwagier spotyka go na zamku w Krakowie, i chce go spiesznie swym sługom uprowadzić kazać, ale słudzy wielkiego kanclerza widząc ten gwałt, opierają się mu i szybko donoszą wielkiemu kanclerzowi. Ten schodzi sam, mówiąc do szwagra Zborowskiego, by wolno puścił lutnistę, albowiem jest teraz sługą królewskim i wierniejszym królowi, niż jego szwagier Zborowski. Gdy ów doniósł to swemu szwagrowi, dopiero Zborowski domyślił się całéj rzeczy, poszukawszy swych listów i spostrzegłszy, że przez lutnistę uniesionemi zostały; poznał, iż jego zamiary na jaw wyjdą. Późniéj poszedł do króla Jan Zborowski, brat Samuela, który w sprawę tę nie był wmieszany, gdy się o tém dowiedział, lub też o to od swych braci proszonym był, i prosił króla, by J. K. M. nie dawał wiary zbiegłemu, krzywoprzysiężnemu lutniście, hultajowi. Ale król kazał mu rozpo-



Pałac japoński w Dreźnie.

znawać pismo i pieczęć. Poczém Jan Zborowski z zgryzotą odejść i na tém przestać musiał. Później zaś uniewinniali się najsolenniéj Zborowscy przed królem, zaprzeczając, jakoby to ich pieczęć lub pismo w tych listach było. Albowiem chociaż pieczęć ich pieczątce podobna, jednakże można po niektórych oznakach dostrzedz, że wielka jest różnica. Pismo podobne jest ich pismu, ale nie oni pisali. Przypominali królowi, że sam przed niejakim czasem miał sekretarza, który tak dobrze każdą rękę udać umiał, że sam król przyznawał, że to jego pismo, ale jakiś hultaj pióro prowadził. Ztąd prosili króla, by im chciał na mocy polskich statutów zbiegłego lutnistę wydać, lub też przynajmniéj w takie miejsce odesłać, gdzieby na nim swych praw dochodzić mogli; do tego oskarzali go o czarnoksięstwo, przez co tém łatwiéj do takowego naśladowania liter mógł się stać sposobnym. Ale wkrótce potém znikł lutnista, bądź to, że sam uciekł, widząc czego nawarzył, lub też do czasu, dla dowodu, przechowanym został, by go nie zabito. Wielu zaś, co z nim obcowało, donoszą, że był szczególny człowiek, i że mógł jakie czarnoksięskie sztuki umieć. To wszystko tak się ciągnęło prawie rok cały, aż w końcu Kwietnia 1584. roku, gdy wielki kanclerz po krótko piérw odbytym połogu żony nieżywym owocem, z Knyszyna do Krakowa na sądy wyruszyć miał, odebrał wiadomość, że Samuel Zborowski mu na służbę z trzysta końmi czeka, dla czego bardzo wolno i bokiem traktu posuwał się, królowi to przez gońca doniósłszy i czekając odpowiedzi: jakby się z nim miał obejść, gdyby go ujął. Kanclerz wielki dostawszy odpowiedź: *quod mortuus canis non morderet*, i wzmocniwszy się tymczasem w cichości, kiedy Zborowski zupełnie spokojnym był, i pod Niepołomicami, trzy mile od Krakowa, w bok od traktu, u jednéj z swych przyjaciółek, wesoło przez noc się bawił, a jego słudzy tu i tam po wśi rozrzuceni byli, każe go kanclerz wielki najść. Gdy Zborowski dostrzegł, że ma być ujętym, schronił się z swéj izby tylko w koszuli do komnaty swéj przyjaciółki, ale gdy mu wojsko kanclerza tak blisko było, że się w inny sposób ukryć nie mógł, skrył się za swą przyjaciółkę i inne kobiety, lecz go znaleziono tak nago, złapano i uprowadzono, później jednak przyniesiono mu jego suknie i rzeczy, pozwolono suknie wdziać po drodze, ale rzeczy zostały pod straż wzięte. Poczém, gdy kanclerz do Krakowa przybył, zaraz kazał posłać do wdowy, któréj męża Zborowski zabił: czy chce razem z nim żałobę przeciw Zborowskiemu wnieść? na co ona odpowiedziała, że jeźli król lub kanclerz co przeciw niemu mają, to niech tego poszukują, ale ona niechce teraz

w to mieszać swéj skargi prywatnéj. Potém udał się kanclerz do Zborowskiego do więzienia, i doniósł mu, że mu bardzo boleśnie, że swych działań inaczéj nie skierował, i życzyłby mu co do swéj osoby, by był daleko ztąd. Że zaś się tak stało, dla tego niech czyta pismo i rozkaz królewski, gdzie znajdzie, że to za surowym rozkazem królewskim, a nie z jakiéj jego osobistéj niechęci takowa sprawa przeciw niemu wytoczoną będzie. Prosił go, by go miał za niewinnego, i pomniał, że to są bez wątpienia kara i sądy boskie, i by sobie przypomniał, że go król i on, kanclerz, kilka razy przez znakomite osoby ostrzegać kazali. Zborowski odpowiedział mu: że dobrze widzi, iż to jest rozkaz królewski, ale że ma dokładną wiadomość, że całe to nieszczęście przez wielkiego kanclerza na niego sprowadzonem zostało, i pytał téż: czy nie może być inaczéj, i czy jemu i królowi tak wiele na garści krwi zależy? Kanclerz znowu go prosił, by go miał za uniewinnionego, i by chciał przyznać, że sam dążył za takowém nieszczęściem. Miało mu być dozwolonem spowiednika żądać, gdyby chciał swe sprawy do Boga odnieść, i z swych czynów po chrześciańsku i przykładnie odpuszczenie uzyskać. Ale Zborowski w żaden sposób nie chciał uznać kanclerza za niewinnego, owszem obstawał długo, że on jest przyczyną jego śmierci, i że się o to uskarżać będzie pod tronem Boga. Ostatecznie płynęły łzy kanclerzowi po policzkach, i prosił na imię Boga Zborowskiego, by go miał za niewinnego, i by mu przebaczył, albowiem jest to rozkaz królewski. Na co w końcu Zborowski odpowiedział: że mu przebacza, kiedy go tak na imię Boga zaklina, ale niech się zaopatrzy również w ostatecznym dniu, w dobrego mówcę lub adwokata, albowiem Bogu pozostawia zemstę. Poczém zażądał spowiednika; że zaś wpuszczono do niego katolickiego księdza, który był trochę podchmielony, i z nim się wiele umawiać zamyślał, dla tego nie chciał się przed nim spowiadać, ale przeleżał tę całą noc na ziemi, swe grzechy w ten sposób opłakując, że aż deski, na których leżał, łzami zmoczone były. Nazajutrz został bardzo rano w cichości ściętym przy małéj fórtce na zamku.

Berlin. *K. M.*

Trafna odpowiedź.

(*Dykteryjka klasztorna.*)

Pani kasztelanowa K. znana była w całéj okolicy z nieograniczonéj dumy, a bardzo ograniczonego umysłu, co zwyczajnie jedno z drugiém w parze chodzi. Pan kasztelan K., godny jéj małżonek, miał serce dobre, lubił pokój w domu, a nadewszystko grosze. Że zaś jéjmość wniosła znaczny posażek w dobrach i gotówce, jegomość zatém rad nie rad ulegać jéj musiał, i na pierwszy rzut oka nie trudno było rozpoznać, kto w domu kasztelańskim rej wodził. Razu jednego kwestarz z pobliskiego klasztoru zajechał na dziedziniec przed dwór państwa kasztelaństwa, a dowiedziawszy się od sług, że pana kasztelana w domu nie było, woźnicy swemu koni wyprządz nie kazał, przekonany, że nienajlepszego dozna przyjęcia, jako prosty braciszek w domu, gdzie tylko wielmożnych i jaśnie wielebnych mile przyjmowano, i że wkrótce znowu nawrócić trzeba będzie. — Zbliżała się właśnie godzina obiadowa, gdy kwestarz z dobrym apetytem, wpuszczony przez odźwiernego do komnaty pani kasztelanowéj, klasztór swój wspaniałomyślności Jw. protektórki, jak ją nazwał, polecał; a lubo sobie nie wiele po owéj wspaniałomyślności obiecywał, sądził przecież, że przynajmniéj, na mocy praw gościnności, dobry obiadek dla siebie i obroczek dla koni pozyska. Skrzywiła się pani kasztelanowa na widok prostego kwestarza i z góry mu oświadczyła, aby poszedł do kuchni, gdzie się będzie mógł zasilić! Na to odrzekł jéj obrażony kwestarz: „Gdyby tu tylko o moję chodziło osobę, zjadłbym obiad nietylko w kuchni, ale nawet i gdzieindziéj; ale mając na sobie sukienkę klasztorną, ubliżyłbym tym krokiem całemu zakonowi; wolę zatém głodny wyjechać, niż coś podobnego uczynić.“ Zmieszało to nieco panią kasztelanowę, która gwardyana obrazić się lękała, ażeby w niedzielę, lub na odpuście, oddając wet za wet, nie pominął jéj w chwili, gdy zgromadzonym paniom patynę po mszy ś. do pocałowania podaje, a ubliżenie takowe byłoby ją okropnie w oczach całego sąsiedztwa upokorzyło. „„Kiedy tak,““ rzecze po chwili do kwestarza, „„zjesz wasze (przydomek, jakim zwykle osoby niższego rzędu uraczała,) przy moim stole obiad.““ Niedługo potém dano na stół, a kwestarz, złożywszy swoję laskę i kapelusz przy samych drzwiach, i zasiadłszy na szarym końcu (jak się samo przez się rozumie), zaczął zajadać potrawy i postanowił ograniczyć się tylko na odpowiedzi, jeżeliby był zapytany, i znosić aż do końca obiadu przycinki, jakich z pewnością dla niego jéjmość szczędzić nie zechce. I tak się téż stało. Już pieczyste było na stole, zwykły znak końca obiadu, kiedy pani kasztelanowa odzywa się do kwestarza: „„Wasze jesteś zapewne synem jakiego chłopa, lub rzemieślnika, bo takiéj kondycyi ludzie tylko kwestarzami zwykle bywają?““ — „Rzemieślnika biednego, jw. dobrodziéjko!“ odrzekł pokornie kwestarz. — „„A jakiéjże był professyi ten ojciec waszeci?““ zapytała znowu kasztelanowa. Kwestarz, już nasycony, nie namyśla się długo, i kontent z sposobności oddania za swoje, rzecze z przyciskiem: „Był on bednarzem; a komu piątéj klepki brakowało, temu ją wprawiał.“ Słowa te dotknęły do żywego panią kasztelanową i postanowiła się

zemścić przykładnie za taką obrazę; ale zanim sługi zgromadzić zdołała, kwestarz nie w ciemię bity, ująwszy laskę i kapelusz, wyniósł się czém prędzéj z sali, i wsiadłszy na brykę, szczęśliwie i śpieszno w dalszą dążył drogę. — Wypadek ten jednak nie był bez korzyści. Upokorzona kasztelanowa poznała swe błędy i całkiem się zmieniła, a mąż, wróciwszy w dni kilka do domu i dowiedziawszy się o wszystkiém, sprowadził na powrót do domu swego kwestarza, chojnie uraczył, o częste bywanie u siebie prosił i klasztór sowitą jałmużną obdarzył. *C.*

Wędrowny Daguerreotyp.

W Francyi otworzył się nowy rodzaj przemysłowego zarobku, to jest pokazywanie Daguerreotypu, dające pewniejszą subsystencyą, jak pokazywanie wyuczonych psów, małp, kanarków i innych z całego królestwa natury już zużytych resursów. Przedsiębierca każe sobie u mechanika Chevalier, albo Giroux w Paryżu, zrobić cały apparat, obejmujący Camerę obscura, tabliczki srebrne, albo téż tylko srebrnym popiołem pociągnięte, merkuryusze, kwasy, jod, słowem, wszystko, jak Daguerre przepisał, i daléj z tym apparatem na prowincyę. W każdém mieście prowincyonalném zajeżdża do Hôtel de Paris, i oddaje potém redaktorowi miejscowéj gazety wizytę. W imieniu sztuki, w interesie oświaty i postępu ludzkości, wzywa tego uczonego literata, którego sława nawet po Paryżu się rozeszła, i którego gazeta w stolicy saméj z entuzyazmem, jak nasz kunsztmistrz improwizowany zapewnia, jest czytana, aby sam to niesłychane zjawisko w swojém ogłosił piśmie. Jakoż w następującym numerze czyta całe miasto, że i je spotkał ten niesłychany zaszczyt, iż głośny na cały świat wynalazek pana Daguerra, ósmy (właściwie więcéj niż milionowy) cud świata w swoich posiada murach. Pierwszy uczeń pana Daguerra, prawa ręka przy odkryciu, przybył tutaj z instrumentem, przez samego pana Daguerra, za najdokładniejszy, jaki dotąd zrobiono, uznanym, będzie miał jutro zaszczyt pokazywać najdoskonalsze rysunki Tuileriów, Louvru, Palais-Royal, paryzkiéj giełdy; lecz nadto w obec licznie zgromadzonéj szlachetnéj Publiczności z miasta, odbije podług téj nowéj metody ryciny ratusza miejscowego, kościoła wraz z wieżą, w Paryżu nawet sławną, jako i inne ważne miejscowe osobliwości daguerreotypować będzie. Któż się potrafi oprzeć takiemu zaproszeniu? Bilet kosztuje tylko 1 frank, za który całéj manipulacyi natychmiast nauczyć się można, a za pomierną cenę 30 franków, rycinę na miejscu zdiętą z ową sławną wieżą dostać można. Nasz sztukmistrz złowiwszy znaczną summkę, przewyższającą kilkanaście razy wartość Daguerreotypu, wywinie się jak może z tarapaty, i nazajutrz spieszy do bliskiego innego miasta. Nie wstrzymuje go nawet i granica; już rozlali się po Szwajcaryi, Hiszpanii, i pewni jesteśmy, że niedługo ci wielcy ludzie i do nas zawitają, a przekonani jesteśmy, że znajdą swych wielbicieli.

Najnowsze dzieła polskie.

W Wrocławiu wyszły z druku nakładem Schlettera:

„Pamiętniki o wojnach kozackich za Chmielnickiego, przez nieznajomego autora wydane z rękopismu (Wrocław 1840), opisujące bunt Chmielnickiego, wojnę z Tatarami, Szwedami i Węgrami, przez lat dwanaście, ab anno 1648. 143 stronic."

„Autentyczne świadectwa o wzajemnych stósunkach pomiędzy Rossyą a Polską, szczególniéj za czasów Samozwańca w Rossyi, zebrane i wydane przez półkownika gwardyi, Pawła Muchanowa, wydanie drugie, w Wrocławiu 1840." (Zdaje się być pierwsze wydanie, tylko tytuł dodrukowany.)

Ważniejszém nierównie i jedyném w swoim rodzaju zjawiskiem w literaturze naszéj, jest następujące dzieło:

„Starożytności historyczne polskie, czyli: Pisma i pamiętniki do dziejów dawnéj Polski, listy królów i znakomitych mężów, przypowieści, przysłowia i t. d., z rękopismów zebrał i przydał żywoty uczonych Polaków Ambroży Grabowski. W Krakowie, nakładem i drukiem Józefa Czecha 1840. 2 tomy grube z pięknemi rycinami, wyobrażającemi wizerunki znamienitych Polaków uczonych."

Z dzieła tego umieściliśmy już w Nr. 22 i dzisiejszym P. L. wiadomość o Syreniuszu, i wspomnieliśmy o znakomitych przysługach pana Grabowskiego, wyświadczonych historycznéj literaturze naszéj. W następnych numerach obeznamy Czytelników naszych bliżéj z niezmiernie ważném tém dziełem; jestto bowiem prawdziwy, jak się szanowny autor w przedmowie wyraża, las rzeczy (sylva rerum), w którym nietylko historyk krajowy wiele i pięknego budulcu znajdzie, ale nawet czytelnik wszelkiego stanu i wieku, przyjemnie się rozerwie. Dzieło to powinno się więc znajdować w ręku każdego: bo słusznie autor w przedmowie z Cyceronem mówi: *parum mihi eruditus videtur, qui nostra ignorat,* a zwłaszcza, gdy nie zna tego rodzaju domowych rzeczy, które obok rzetelnéj, nieżytéj ni czasem, ni kaprysami mody, wartości, zajmują nierównie bardziéj, niż wszystkie memoary francuzkie, nie rzekąc o owych paryzkich romansach, tak chciwie, niestety, dotąd od wyższych klas w narodzie naszym połykanych. — Pochwaliwszy słusznie, lubo daleko mniéj, niż zasłużył, szano-



Daguerre. (*)

wnego autora, musimy także powiedzieć coś na zaletę wydawcy. Niegdyś, ale temu bardzo dawno, bo w 16tym wieku, druki krakowskie słynęły w całéj Europie. Oficyny Szarfenbergerów i Łazarzów równały się najsławniejszym oficynom niemieckim i holenderskim, a ostatnia nienadaremnie nosiła tytuł arcytypografii. Lecz z czasem druki krakowskie tak znikczemniały, że nie mogły się nawet ubiegać o pierwszeństwo z oficyną Jasnéj góry; i niedawno temu jeszcze, najcelniejsze w literaturze naszéj dzieła, jak n. p. Ossolińskiego, Juszyńskiego i t. d., wytłaczały na bibule, czcionkami, jak u nas mówią, po starych Szwedach, i Bóg wie, jakiém czernidłem. Hańbę tę z oficyn krakowskich zrzucili już wprawdzie Gieszkowscy i inni, ale pierwszy pan Czech wydał Starożytności pana Grabowskiego, z tą skromną elegancyą typograficzną, jakiéjśmy się po Krakowie niespodziewali. Biorąc w rękę Starożytności, zdało nam się, że mamy przed oczami druki najsławniejszych oficyn paryskich. Tę atoli wyższość w tym względzie Starożytności nad drukami paryzkiemi mają, że kosztują tylko 5 talarów, gdy téj samèj obiętości romans francuzki kosztowałby 10 tal.

(*) Oto wizerunek męża, którego imię każdy Francuz dziś z uwielbieniem wspomina, ciesząc się, iż rząd wynalazek jego tak pożyteczny za znaczną nabywszy summę, światu go całemu w ręce oddał, przez co na wdzięczność Europy zasłużył sobie sprawiedliwie. O wynalazku pana Daguerre, mówiło się w P. L. w Nrze 17. r. b. str. 134. i następne.

Z końcem pierwszego półrocza roku szóstego istnienia Przyjaciela ludu, uprasza niniejszém wydawca łaskawych Czytelników, aby wcześnie w najbliższych sobie król. urzędach pocztowych, lub księgarniach, przypadającą na następujące drugie półrocze przedpłatę, w kwocie 1 tal. 7½ sgr. (7½ złp.), jak najspieszniéj złożyć raczyli, niechcąc doznać przerwy w odbieraniu co tydzień regularnie wychodzących numerów.

Leszno, dnia 13. Grudnia 1839.

ERNEST GÜNTHER, księgarz i typograf.

Przyjaciel Ludu.

Rok szósty. **No. 25.** **Leszno,** *dnia* **21.** *Grudnia* **1839.**



Tomasz Dolabella, malarz nadworny królów polskich.

Piękne kunszta są dziećmi pokoju. Nie miewał go kraj nasz: i ztąd, gdy w Włoszech, Niemczech, Francyi i innych krajach krzewiły się i kwitnęły nauki i sztuki nadobne; ojcowie nasi służąc za przedmurze Europie, z żelazem w ręku, prawie nie zsiadając z koni, odpierali nawałę dziczy azyatyckiéj, uprawie ich oddawać się nie mogli.

Czyli przed wiekiem XIV. malarstwo u nas było wykonywaném? wiadomo nie jest, i wątpliwość ta w czasie późniéjszym może się wyjaśni. — Że malowania (obrazy świętych) od najdawniejszych czasów znane u nas być mogły, wnosićby ztąd się dało, że w pierwiastkach rozkrzewienia się u nas religii chrześciańskiéj, oraz po wybudowaniu świątyń, weszła oraz i cześć obrazów; któremi nas najpewniéj kraje południowe zaopatrywały, gdyż trudno przypuścić, aby potrzebie téj w ów czas inaczéj zaradzić było można.

W ciągu wieku XIV. już w dziejach naszych o malarzach i malowaniach napotykają się wzmianki. Miechowita w Kronice na str. 232. pisze, że Kaźimierz W., gdy krakowski zamek wystawił, takowy malowaniami (picturis) przyozdobił; lecz bynajmniéj nie wspomina jakiego takowe były rodzaju i czy płodem krajowców, lub też z obcych krajów sprowadzone były.

W aktach radzieckich miasta Krakowa, w wieku XIV. już często malarze są wspominani. W końcu tego wieku (r. 1397.) znajduje się w tychże umowa, którą malarz Mikołaj zawierał przed urzędem radzieckim, o malowanie sklepienia w kościele Panny Maryi, a to pod dosyć trudnemi warunkami, a między temi i siedzenia w wieży, na przypadek, gdyby uczynił zawód.

Król Władysław Jagiełło podnosząc mury zamku krak., zdaje się, że i pałac królewski w tymże rozprzestrzeniał, przy czém bez malarzów obejść się nie mogło, tém bardziéj, że, jak nam to obcy podają pisarze, król ten w zamku krak. umieścić kazał napis (może wyryć, lub za pomocą malarstwa wypisać), na pamiątkę zwycięztwa swego nad Krzyżakami pod Grünwaldem (Tannenberg, Dąbrownem) roku 1410., którytо napis w archiwum sekretném w Królewcu znajduje się.

Następcy jego, królowie polscy, z tejże linii idący, już dawali zatrudnienia malarzom. W wspomnionych aktach radzieckich w wieku XV., już zgromadzenie malarzów (cech, bractwo,) w Krakowie exystujące widzimy, do którego należeli w ów czas snycerze, goldschlagerowie i szklarze, a na początku tego wieku nawet i stolarze, którzy się potém oddzielili, jak to opiewa stary przywiléj, w r. 1419. w języku niemieckim tymże dany, a w r. 1524. już w ję-

zyku polskim potwierdzony i dotąd przy témże zgromadzeniu zachowany, którego początek jest: „My Raycze myasta krakowskyego mlodzy y „starzy, wisnavamy yawnye przesz then lysth „wszytkim y osobliwym, że my zeszwolonym „głosem stolyarzom naschego myasta Czech da-„łysmy, y onych dlya nyechtórych przyczyn „od nassych malyarzów oddzyelyly etc." W r. 1491. Marcin i Maciéj, starsi zgromadzenia malarzów (cechmistrze) wezwani przez Radzców, słuchają rachunków Jana Wielki, malarza z pieniędzy, które wziął od króla Jana Olbrachta na robotę, t. j. 70 zł. węgier., zapewne do upięknienia pokojów pałacu król. służyć mającą.

Nie mamy nigdzie śladów, aby który z królów poprzedników Zygmunta III. w obrazach i malowaniach miał upodobanie i takowe zgromadzał. Pierwszy to był (Zygmunt III.) miłośnik malowań, który sprowadzał z Włoch obrazy, a takowych dostarczali mu bawiący wRzymie Polacy, jako to: X. Andrzéj Batory, X. Stan. Reszka, i znany w dziejach naszych X. Ant. Possevin, Jezuita.

Zamiłowanie króla tego w sztuce malarskiéj w tém jeszcze wyraźniéj postrzegać się daje, że chcąc mieć portret tak swój, jako i rodziny swojéj, jako też i obrazy podług własnych pomysłów pod okiem swém utwarzane, biegłego malarza z Włoch do dworu swego sprowadził. a tym był mąż, o którym tu mówić zamierzyłem.

Tomasz D o l a b e l l a (zwany niekiedy D e l l a B e l l a) malarz nadworny Zygmunta III., Władysława IV. i Jana Kazim., królów polskich, rodem był z Belluno, miasteczka w kraju rzeczypospolitéj weneckiéj. W kunszcie tym był on uczniem Antoniego Vasillachi, znakomitego malarza weneckiego, który wzywany do ozdobienia malowaniami kościołów i pałaców tak w saméj Wenecyi, jako też i w innych miejscach kraju tego, w uczniu niegdyś w szkole swéj wykształconym, zręcznego potém i czynnego miał pomocnika. Dolabella jeszcze w Wenecyi bawiąc, już imię swe pomiędzy znawcami sztuki rozsławił, do czego posłużył obraz formy owalnéj, malowany przez niego na sufficie sali *dei pregatty,* w dawnym pałacu Dożów, wyobrażający cześć najśw. Sakramentu. (Fuessly.)

Polecony z zdolności w kunszcie Zygmuntowi III., około r. 1600. sprowadzony był przez niego do Krakowa, gdzie już na zawsze osiadł i Polskę za ojczyznę sobie przyswoił, połączył się bowiem związkiem małżeństwa z Agnieszką Piotrkowczykówną, córką znanego w drukarstwie polskiém i znamienitego mieszczanina krak. Jędrzeja Piotrkowczyka. Mieszkając długo w Krakowie, jako malarz dworu król., nie czynił starania o uzyskanie prawa miejskiego; dopiero, gdy mu się dla osiągnienia korzyści z tego prawa wynikających odwołać do niego przyszło, a mianowicie, gdy mu żona umarła, a familia jéj o wydanie sobie majątku (Gierady), po niéj pozostałego, upominać się zaczęła, a nawet zwrót takowego na mocy Wielkierza przysądzonym jéj został; wtedy Dolabella udał się z prośbą do króla Władysława IV., który wyrokiem swym r. 1641. przywiléj obywatelstwa krak. mu nadał.

(Koniec nastąpi.)

Saxonia dzisiejsza i jéj stolica, z wspomnieniem o artystach polskich i szkole malarstwa polskiego.

(Dokończenie.)

Drezno, stolica państwa, liczy sześćdziesiąt kilka tysięcy mieszkańców, w położeniu najzdrowszém i jedném z najpiękniejszych w Europie, na pobrzeżu Elby zbudowane, przepysznym mostem ciosowym, na 1380 stóp długim, zjednoczone. Zamek królewski teraz odnowiony, najwyższą wieżą zegarową strzeżony, ma uwagi godną kaplicę; skarbiec s k l e p e m z i e l o n y m (grüne Gewölbe) zwany, z kosztownym dyamentem zielonym (*), a kosztowniejszemi jeszcze klejnoty do ziemi naszéj odnoszącemi się, i zbiorem wizerunków rodzinnych. Pałac niegdyś Brylowski, teraz a k a d e m i i s z t u k nadobnych poświęcony, ma i sale na wystawy publiczne przeznaczone, jakto i w bieżącym roku było; między kilkuset liczbami, znakomitego amatora, ziomka naszego, Michałowskiego, J e ź d z i e c, celniejsze miejsce zajmował, a sławnego Werneta obraz olejny P r z e m y c a c z e, wszystkich zachwycił; były i trzy ryciny do dzieła obcéj sławie poświęconego i t. p. Tarras pałacu rzeczonego o 41 stopniach, lwami egipskiemi (to jest w kapturach, czyli kalantykach) strojny, głośny z pięknego na pobrzeża Elby widoku. Pobliski kościół k a t o l i c k i (*), z ciosowego kamienia budowany, 2 miliony talarów kosztujący, ma zachwalany obraz W n i e b o w s t ą p i e n i a, przez Mengsa, współucznia sławnego naszego Czechowicza malowany; a kościół F r a u e n k i r c h e, piękną kopułę, czyli banię, całkiem kamienną. Dom straży głównéj nowo, podług planu Szynkla stawiany, mimo niestósowne położenie swe, podoba się więcéj przynajmniéj, niż owa galerya obrazów tegoż artysty (w Berlinie), jako całkiem przeznaczeniu swemu nieodpowiadająca, w któréj wszystko niemal dla wschodów i pustéj rotundy, odkazano!... W sąsiedztwie budują tu i wielką operę, która, jeżeli oryginalność planu, drobiazgowe łękowania piąter i widok nakoniec skośny od mostu (pryncypalny), wypadną szczęśliwie, dogadzając potrzebie, doda uroku stolicy. Co do zbiorów, które Dreznowi pierwszeństwo wNiemczech zdawna już zapewniły,

(*) Opisanie tegoż masz w obszernym i szczegółowym „Traktacie o d y a m e n t a c h" przez Sen. Soczyńskiego w Rocznikach T. N. krak. tomie I. umieszczonym.

(**) Zob. P. L. rok IV. Tom I. Nr. 9.

celniejsze galerya obrazów polsko-saska zajmuje miejsce; znany obraz, jeden z pięciu(*) w świecie, pędzla Korredżyo, Noc (Boże narodzenie), i Rafaela Marya di San Sisto, w téj się znajdują; porządek dawny w obrazach, teraz całkiem przemieniono, lecz czy korzystnie? wspomnione obrazy, najlepiéj przekonywają. Są tu i malowania naszych ziomków, atoli prócz Lisiewskiego, Michała Wilmana i Lotyckiego, i to nienajpierwszego wyboru, wcale o wielkich mistrzach naszych niesłychać. Gdy prawdzie założenie, wzrost, słowem byt swój, sławna ta galerya królom polskim Augustowi II i III. zawdzięcza; gdy nadto wiadomém jest, iż niemało obrazów z Polski do Saxonii wywożono; dziwić się by można, dla czego tu, prócz wspomnionych, innych obrazów ze szkoły polskiéj niewidać; jakiemi n. p. były i są między dawnemi dzieła, które Jan i Wit z Krakowa, słusznie wielkich artystów noszący nazwiska, zostawili; i niepospolici mistrze: Mikołaj z Sandomierza, Salomon, Michał i Melchior z Gdańska, Swinka (Sues), Krakowczyk, uczeń Jana Wielkiego; lub z późniéjszych: Gorajczykowie, Gorczynowie, Proszowski, Sieradzki (Sierada), Jan z Bydgoszczy, Pipon, Falk i Reszka; lub téż znowszych: Lubieniecki Bogdan i Krysztof, a daléj Marcin Teofil Czechowicz (polskim Corregio zwany, a nieraz od tegoż wyższy w utworach swoich), Lexicki, Ziernicki (de la Grenée), Kunicki (Kunic, Kunze), wszyscy pięciu rodowici Krakowianie, Piekarski, przez Winkelmana pod imieniem Oefele uwielbiony; prócz nieprzeliczonéj liczby współczesnych, Smuglewiczów, Chodowieckich, Lisiewskich (zwłaszcza Doroty Therbuszowéj), Orłowskich, Kubińskich, Tokarskich, Radwańskich, Płońskich, Oleszczyńskich, Forsterów, Sosnowskich, Głowackich i t. d., coraz to więcéj szkołę ojczystą przez poprzedników swoich założoną wsławiających, którzy to wyżéj przytoczeni fundatorowie, twórcy, formując się po największéj części na wzorach ziemi włoskiéj, klassycznością dzieł, wielością zalet, tak co do rysunku, jak kolorytu, kompozycyi nakoniec i wyrazu, żadnemu z narodów w Europie nieustępując, najwyżéj podobno obok szkoły włoskiéj stanęli!... Przedmiot ten tak ważny, a tyle zaniedbany, zasługuje zaiste na obszerniéjsze wywody, podróże, badania i śledztwa naukowe, a postręczając nieprzebrane materyały, dzieło: *O sztuce polskiéj*, wielkiéj wagi i znacznego ogromu, przyszłości rokuje. Oby ta sławy rodzinnéj puścizna, jak najrychléj prawych znaleść mogła mecenasów, a zatamowała nateraz owe politowania godne i niedołężne potwarze, przez nas samych niebacznie powtarzane [że Nr. 6. Przyjac. L., pag. 41. b. r. wspomnę (*)]: „Jakobyśmy się sztukom niepoświęcali“!!... Gdyby Polska, prócz wielkiego ołtarza(**) u Panny Maryi, rzeźby nieśmiertelnego dłuta Wita z Krakowa (Stwosza, przez Niemców Fayt Sztos przezwanego, o którym późniéj damy wiadomość), i żywotów: Jezusa

(*) Do tych cudów malarskich należą: Przemienienie pańskie, Rafaela, S. Hieronim, Dominikina, Wesele w Kanie galilejskiéj, Pawła z Werony, Ś. Piotr męczennik, Tyciana, i wspomniony przez Corregio malowany obraz. Chcesz-li te cuda pędzla, cudotwórczym dziełem dłuta dopełnić? — Odwiedź Kraków i podziwiaj olbrzymie dzieło naszego ziomka, Stwosza, ołtarz wielki Panny Maryi, krom którego nic równego w Europie nie znajdziesz.

(*) Redakcya Przyjaciela Ludu uwielbia szczerze tę gorliwość o sławę narodową autora niniejszego artykułu; sądzi atoli, że niezgrzeszyła, umieściwszy w Nr. 6 na rok 1839. artykuł, w którym autor utrzymuje, że nie mamy malarzy tak sławnych, jak włoscy, francuzcy i hiszpańscy. Jak jednemu człowiekowi, tak i całym narodom niepodobna we wszystkiém celować. Mieliśmy sławnych w całym świecie astronomów i matematyków (Kopernik, Heweliusz, Poczobut, Śniadecki, Brosciusz, Toński i t. d.); lekarzy (Struś); pisarzy o sztuce wojennéj (Siemieński); badaczy przyrodzenia (Johnston); filologów i mówców (Petrycy, Burziusz, Treter, Orzechowski i t. d.); wojowników (Tarnowski, Zamojski, Chodkiewicz, Jan III. i t. d.); publicystów (Modrzewski, Koryciński i t. d.); poetów (Sarbiewski i t. d.), pocóż szukać sławy tam, gdzie jéj nie mamy? Malarstwo i snycerstwo, aby zakwitły, więcéj jeszcze wymagają zachęceń i spokojności, niż same nauki, i o nich to szczególniéj mówili Rzymianie nie nadaremnie: *furente Marte silent Musae*: byłoż u nas także zachęcenie? gdzież są nasi Medyceusze? Świątynie nasze, prócz kilku, zawierająż w sobie lepsze pomniki malarstwa, albo snycerstwa krajowego? Zszedłże jeden dziesiątek lat bez napaści dzikich hord, bez wewnętrznych zaburzeń? Nie przeczymy wprawdzie, że u nas pewien rodzaj malarstwa miał obszerne pole do rozwinięcia się: wszystkie przysionki, wszystkie komnaty szlachty, wszystkie ściany świątyń okryte były wizerunkami, na płótnie, drzewie, blasze; ale takie malarstwo, chociażbyśmy w niém i pędzel Rafaela odkryli, jest tylko rzemiosłem. Z malarzy naszych najlepszym jest Lubieniecki. Na nim przodkowie nasi okazali, jak sztuki piękne cenili: w średnich wiekach w innych narodach uwalniano od kary śmierci złoczyńców, gdy pisać umieli; u nas w środku 17go wieku wygnano Lubienieckiego z kraju, i nie oglądano się bynajmniéj na wyższy talent jego w malarstwie. Prawdą, a Bogiem, mawiali nasi przodkowie: chwalmy się więc, gdzie jest czego się chwalić, ale nie łudźmy się, nie obwijajmy przed sobą prawdy w bawełnę, bo w rzeczypospolitéj nauk zarozumienie tyle zrządzą szkody, co nieufność w własnych siłach, co wzgarda rzeczy ojczystych, jakkolwiek pobudki i cele mogą tu być odmienne.

Przypisek Redakcyi.

(**) Mam sobie za przyjemną powinność uwiadomić; Że cudowne to i olbrzymie arcydzieło sztuki rzeźbiarskiéj, naszego Wita z Krakowa, przez niemniéj znakomitego artystę Thorwaldsena tyle uwielbione; zajmuje obecnie dwóch zasłużonych professorów akad. krakowskiéj. P. Brodowski z wielkiém poświęceniem zdejmuje pędzlem oblicze tego ubóstwienia Maryi, które następnie P. Giziński, mimo zwątlone w zawodzie nauczycielskim siły, w rycinie upowszechnić przedsiębierze. Oby błoga Opatrzność jak najrychléj uwieńczyła piękne zamiary, i zgotowała tak szlachetnym uczuciom, wdzięczność powszechną!...

Chrystusa i Katarzyny (tamże i w kaplicy Zygmuntów będących), pędzla Jana z Krakowa, słusznie już od współczesnych Wielkim zwanego, obu z przodków rodowitych współziomków naszych; — nic mówię więcéj niemiała; to już dzieła te, z XV. niemal wieku, o niepospolitéj zasłudze naszéj w sztukach nadobnych, dostatecznie wyrokowaćby mogły!...

Lecz skończmy ten ustęp jedną jeszcze uwagą; załatwijmy tymczasem nasunione wyżéj pytanie, losu obrazów naszych tyczące, tą przestrogą, że nieobecność dzieł polskich, wyżéj wspomniona, jest tylko pozorną; niemało albowiem obrazów z podobieństwa cech szkoły włoskiéj, uległszy bierzmowaniu artystowskiemu, pod przybranemi włoskich mistrzów imionami paraduje; te zaś, które widocznie opierały się piętnem szkoły oddzielnéj, polskiéj, przywłaszczeniu; za szczególną łaską pod nazwą: Ein unbekannter Meister, Un incognito etc., wybawienia swego oczekują. To, co mówię o galeryi drezdeńskiéj, rozumieć należy i o innych galeryach, mianowicie Berlina, Florencyi, Paryża i Rzymu; których Polacy będąc dyrektorami, zawiadowcami lub członkami; niepospolitemi téż dary wyposażali je. Nie sam przecież pędzel i rylec, nie samo wyłącznie dłuto, talenta ziomków naszych zajmowały, i to od najdawniejszych czasów; gdyż i wyższe budownictwo już z 10m wiekiem poczynając, zdolne jest znakomitych w swym obrębie wykazać mężów! Przykładem tego niech będą: Mikołaj z Krakowa i Jan z Gdańska, u postronnych nawet pod imionami: Niclas von Krakau, Hans von Danzig, słynący i najpierwsi budowy kościoła Świętego Szczepana w Wiedniu architekci (obacz akta tablicskowe przy tymże kościele); lub ów zawołany w Europie Mieczysława budowniczy, Krakowczyk, Wojski (Woydsko) zwan, któren, po przyjęciu wiary świętéj, przez króla do Włoch wyprawiony, rozpoznawał bliżéj świątynie pańskie; które, za powrotem, tak w domu, jak u obcych, z podziwem wznosić umiał, alboli téż: owi godni sławy tamtych dziedzice, aż czterej rodowici Krakowianie: Oktawian (Wolcza, Wolzner), Tobiasz, wtóry Mikołaj i Paweł Ciołek (Kälbel), lub nakoniec tamci od Bałtyku trzej nadwiślańcy: Jakób, Karól i Józef, Gdańszczanie, co to chwałę narodową i po zagranicsu rozpościerali!... a iluż do tych nienależałoby doliczyć z późniejszych, lub za dni naszych żyjących? Czyż imiona Strubiczów, Freytagów, Fredrów, lub Gucewiczów, Zawadzkich, Aygnerów, Podczaszyńskich, mogą być komu obce? niebyłyżby zaszczytem i dla każdego z celniejszych w Europie narodów?...

Nieprzebrany ten poczet artystów polskich, z których wielu z pierwszymi mistrzami o lepszą w sztukach walczyć mogą, rozumiem, iż jest aż nadto dostatecznym do okazania nicości wspomnionego wyżéj paszkwilu; może nawet bezpieczniéj służyć i za balsam otuchy dla tych pisarzów naszych, którzy bądź przez lękliwość, bądź złe przykłady, nieraz mozolą się nad tém, by przez obcych nawet przyznawanych nam mężów, gwałtem z rodu polskiego wydalić! Tak się stało z Oktawianem z Krakowa, na przekór którego Kluczycki zakłada jakieś tam kolonie, aby tylko czystość krwi jego zamącić!... Nielepiéj wyszedł wielkiéj sławy Wit z Krakowa; któren, mimo, że go powszechność za Polaka, Krakowczyka, ogłasza; mimo, że się w Polsce rodzi, długo żyje, nieśmiertelnemi kraj wzbogaca dzieły; mimo, że własnoręcznie pisze się: Vitus aus Krakau, albo Stwosz, i wykuwa na pomnikach, przez siebie wykonanych, z łacińska Stvos; a nakoniec liczną ma i odumiera rodzinę w krakowskiém Stwoszów; przecież, pomimo tak niewątpliwe świadectwa, Grabowski narzuca mu, i to gwałtem, antenatów teutońskich! — i kiedyż to jeszcze? oto w epoce, w któréj artyści nasi celując nad ościennymi, do wykonywania dzieł wielkich, z Polski z niemałemi nakładami sprowadzani bywali; Norymberga, Bamberg, Schwabach i t. d., jakże się cieszą; ileż się zaszczycają z posiadania pięknych drzeworzeźb Wita z Krakowa, które przecież do tych najcelniejszych robót nienależą, jakiemi miasto swe rodzinne Kraków tak świetnie wyposażył. Nie żądamy bynajmniéj cudzéj sławy; jak równie ustępować własnéj komu bądź, niemamy powodów; wolno nam pobłażać, wolno i litować się nad oszczercami naszymi; nie przecież gorszyć się ich nagannym przykładem. — Bandtkie mógł zwieść błaho sądzących o rzeczach, mógł nawet zostawić po sobie zwolenników, śmiesznych panegirystów; nie przeto zasługuje na wiarę mężów światłych, bezstronnych!...

Po galeryi obrazów, zbrojownia (Rüstkammer) ciekawą jest pod względem rzeczy myśliwskiéj, a ważniejszą nierównie z pamiątek sławy ojców naszych, mianowicie trofeów oswobodzenia Wiednia, przez Jana III. tu licznie złożonych, a nakoniec i wizerunku Wielkiego Łokietka i t. p. — Pałac japoński, prócz znakomitego zbioru monet (*) i antyków, ma zamożny gabinet porcelan, jeden z najpiękniejszych w Europie; kto żywy obraz sztuki téj poznać zamyśla, odwiedzić go powinien; idąc od najsurowszéj pierwiastków prostoty, aż do szczytu rysów, form nadobnych, pysznych wyzłót, nadobności pędzla i barw francuzkiéj smakowitości; w podarunku przez Napoleona księciu warszawskiemu niegdyś przesłanym, postrzeganych. — Biblioteka, do 300,000 ksiąg licząca, na piętrze, nie mało i rzadkich posiada dzieł, do literatury polskiéj należących; rękopisma wscho-

(*) Między innemi są Bolesława IV. i V., Kazimierza V., Zygmunta I. i t. d.



Pomnik Augusta II. w Dreźnie. (*)

dnie, szczególniéj w epoce wybawienia Wiednia zdobyte i przez ziomka naszego Rajskiego, biegłego w oryentalnych językach, spisane i uporządkowane, kogóż z Polaków nie zajmą?...

Te zresztą i t. p. osobliwości, w Dreznie pokazywane, należały dotąd do owych zaklętych niejako pustych zamczysk skarbów, do których jedynie przez wiele zabiegów, trudu i kosztu dostąpić można było. Klauzura ta, równie uczciwości saskiéj uwłaczająca, jak zakwitnieniu sztuk i wzniesieniu przemysłu narodowego całkiem przeciwna, z woli dziś panującego króla ma być całkiem uchylona; wszystkie albowiem musea, na wzór Paryża, i dla wszystkich bezpłatnie mają być otwieranemi. Co do nas, życzymy, aby się znaleść mógł między uczonymi drugi Kluczycki, któreby, jużto dla sławy ojczystéj, już oświecenia niedouczonych, „Obraz pamiątek polskich,“ w Dreźnie, niemal od Wiednia obfitszych, jak najrychléj drukiem ogłosić przedsięwziął.

W sąsiedztwie pałacu japońskiego założona w 1835 r. żelazo-koléj (*) lipska, ożywia martwą niegdyś tę część Drezna i powszechnie przez wszystkich niemal podróżujących odwiedzaną jest; bo któżby tak swobodnéj, lotnéj, a tyle cudownéj jazdy, niezechciał skosztować?... Światło dnia jednego i nie tak wielki datek, podaje łatwość widzenia sławnego targami miasta, i postręcza razem sposobność, uczcić cienia nieprzeliczonych braci naszych, błędy wielkiego wojownika na próżno i tam poświęconych!...

(*) Niedaleko mostu na Nowém mieście, wznosi się pomnik ku czci Fryderyka Augusta II., króla polskiego, elektora saskiego, przez syna jego Augusta III. w roku 1736 wystawiony. Ulany jest ze śpiżu i grubo złocony, stoi na kamiennéj podstawie; nie jest zupełnie piękny, ale wydatny i kosztowny. Król ubrany po rzymsku, a mimo tego w peruce, z buławą w ręku, siedzi na podskakującym rumaku; postawa jego znacząca, twarz i kształt cały zadziwiającego podobieństwa; koń nawet ulany na wzór ulubionego konia królewskiego; równowaga całego posągu spoczywa w ogonie; dziełem jest Ludwika Widemana. Szkoda, że napis żaden nie zdobi pomnika.

(*) Koléj żelazna lipsko-drezdeńska ostatecznie dokończoną i otwartą była 24. Kwietnia 1839. Długość jéj mil 15 i pół w trzech niemal godzinach się załatwia. Ma zaś w przestrzeni swojéj pomostów 104, między któremi most pod Riesa na Elbie, 1200 stóp długi, na 11 płasko-słupach, a drugi pod Wurzen o 1354 stóp na 19 łękach spoczywający, znaczniejszemi są. Stawideł do 228. Nur, czyli tunel, przy Oberau, do 300,000 tal. kosztujacy, ma 1740, a z murami bram biorąc, 1808 stóp długości; wysoki stóp 20, szeroki zaś stóp 26, całkiem ciosami piaskowemi wyłożony; przebiega on popod gościniec do Meissen od Radeburga bieżący. Do rzeczonego miasta, z fabryki porcelany głośnego, promień żelazokoła obiecywanym jest. Pod Medessen wykrój ma stóp 9, a przy przebywaniu Elby, tama 1,000 stóp długa, a 26 stóp wysoka, przewód dróżny stanowiąca, 64 filarami umocowana. Pod Oschatz (Oszac) nasep, czyli grobel 734 łokci długi, a 18 łokci wysoki, płasko-słupami wzmocniony, dolinę Dolnitz przecina. Pod Wurzen żelazo-koléj przeskakuje wielki lipski gościniec zasklepem, na 24 stóp wysokim, a 40 stóp szerokim. W parku wsi Mochbern nasepisko ma 11 tysięcy stóp długości, popod które mnóstwo dróg i dróżyn przelatuje. — Obecnie drugą, do powrotu służyć mającą żelazo-koléj, kładą; na którą stowarzyszeni nową przypożyczkę 3ch milionów talarów otworzyli. Wydawano zaś na koléj aż do dnia otwarcia jéj w Kwietniu b. r. i to na każdą pojedyńczą milę aż po 320,000 tal. pruskich, bo okolice górzyste były powodem tak wielkiego nakładu; jakoż koléj żelazna warszawsko-krakowska, podług wykazów szczegółowych, zaledwo trzecią część tego kosztować ma; prowadzona albowiem równinami, niepotrzebując rozkopów, nasepisk, ani wielce kosztownych nurtowań, czyli tunelów, z nieporównaną oszczędnością snuć się da.

Kowno.

(Ciąg dalszy.)

Wówczas też właśnie przybyli do Inflant Kawalerowie mieczowi, którzy połączywszy się z pruskimi Krzyżakami, nieubłaganymi Litwy nieprzyjaciółmi, srogo ją od północy trapić zaczęli; od zachodu zaś i południa, liczne do tejże krainy czynione były wyprawy przez Polaków. Tak ścieśniona ze wszystkich stron Litwa, wyskakując z leśnych kryjówek, potężny napastnikom dawała odpór; ogniskiem zaś bitw uporczywych i zjazdów, dla zawarcia rozejmu, lub trwalszego przymierza, było miasto Kowno i jego okolice. W tych utarczkach Krzyżacy

liflandscy i pruscy, tak swe zabory rozszerzyli, iż pierwsi po rzekę Świętą, drudzy po Kowno, litewskie grunta posiadali. Lecz Giedymin, założyciel Trok i Wilna, mając zebrane wojsko z Litwy, Rusi i Tatarów, z obozu swego, pomiędzy Jurborkiem i Kownem, w lasach zatajonego, częste czynił wycieczki, a wzmocniwszy swą garstkę posiłkami z Nowogródka i Połocka, za pomocą będącéj w szykach krzyżackich Żmudzi, tłumy ich na głowę poraził, Żmudź odzyskał, i oddał ją Kiejstutowi, jednemu z 7miu synów swoich, z należącém podówczas do tej krainy Kownem, tudzież z Trokami, Grodnem, Upitą i Lidą.

Nie przestając na tém zwycięztwie Giedymin, wspólnie z Władysławem Łokietkiem, królem polskim, mszczącym się na Krzyżakach zaboru ziemi pomorskiéj, kraje ich niszczył. Lecz skoro między królem polskim a Krzyżakami, pokój był zawarty, ci wetując szkód poniesionych przez napady Litwy, podwakroć oblegali Wielunią, albo Welonę, zamek nad Niemnem, i za powtórném w te kraje przybyciem, zbudowali dla siebie dwa zamki, Bejer i Fridburg. Gdy pod Weloną, Giedymin niosący odsiecz dla swoich, zabity został z ognistéj broni, któréj już wówczas zaczęto używać; wystąpili na scenę ciągłych i najzaciętszych bojów, nieubłagani przeciwnych sobie narodów nieprzyjaciele, z litewskiéj Kiejstut i Olgierd, a ze strony krzyżackiej mistrz ich Winrych von Kniprode. Jakoż Kiejstut z Olgierdem, mszcząc się śmierci ojca i spustoszenia Litwy, w krótkim czasie zgromadzili do Kowna 40,000 ludu zbrojnego, z którym napadłszy na zajętych znowu polską wojną Krzyżaków, i niesłychanego w ich ziemi zniszczenia dokonawszy, nader korzystny dla siebie pokój zawarli. Ten atoli pokój trwał niedługo. Krzyżacy bowiem już sami przez się, już z pomocą książąt niemieckich, zachęconych pozorem rozszerzania Chrystusowéj nauki między pogańską Litwą, wielokrotnie, acz nie bez dzielnego odporu, dzierżawy Olgierda i Kiejstuta napadali, mianowicie Winrych (obrany mistrzem r. 1348.), z liczném własném i posiłkowém wojskiem, nieraz gromił Litwinów, i samego Kiejstuta, umiejącego zręcznie z krzyżackiego więzienia umykać, czterykroć złowił.

Nakoniec, w roku 1362, zebrawszy wielkie wojsko, tak z Rzeszy niemieckiéj, jako też z innych krajów, wyprawił się do Litwy i obległszy zamek kowieński, ze wszech stron go dobywał; przybyli na odsiecz Olgierd, Kiejstut i Patryk, uderzyli na obóz niemiecki, a chociaż się z obu stron mężnie i upornie potykano, Litwa ze swojemi książęty ustąpić musiała. Wówczas Winrych tém silniej i gwałtowniéj Kowna dobywać zaczął, i w sobotę wielkanocną, podkopawszy mury i zapaliwszy wieże, wzięli Krzyżacy zamek kowieński. Wszakże kiedy Niemcy do szturmu biegli, mur podkopany na nich upadł i wiele wojska przywalił. Trzy tysiące Litwy w tém oblężeniu od ognia i żelaza zginęło, a Wojdat książe, syn Kiejstuta, z 36cią przedniejszymi Bojarami litewskimi pojmany i do więzienia wtrącony został. Po tak szczęśliwém zwycięztwie, Krzyżacy obchodzili Wielkanoc na Horodyszczu kowieńskiém, a mszą Bartłomiéj Sambijski biskup odprawował. Nazajutrz dokonawszy Winrych reszty spustoszenia murów i przekopów kowieńskich, ruszył z wojskiem do zamku Pisteny, a znalazłszy go opuszczonym, kazał zapalić; dobył nareszcie na drodze leżącą Wielonę i z gromadą więźniów i łupów wrócił do Malborgu.

Roku 1364. książęta litewscy zburzony zamek odnawiać zaczęli, i zbudowali na Niemnie most, wkrótce zniszczony przez Komendatora z Ragnety.

Niepołożyła atoli granic na tych zwycięztwach zaciętość krzyżacka. Winrych na nowo srogie zniszczenia w Litwie i Żmudzi rozsiewał. Kiejstut wpadając tajemnemi drogami do ziemi krzyżackiej, wetował szkód Litwie zadanych. Winrych, dla wstrzymania jego zagonów, założył zamek Chrystymemel między Jurborgiem a Kownem i most na Niemnie, a we trzy lata poźniéj, z materyału pod Kownem schwytanego, zbudował fortecę Gottisweder (wyspa Boża), dobytą i zburzoną przez Olgierda i Kiejstuta, wkrótce po oddaleniu się do Prus mistrza krzyżackiego. We czternaście lat po uprzedniém zniszczeniu, znowu Kowno do obronnego stanu przywiedzione zostało. Mistrz krzyżacki dowiedziawszy się, iż Litwa, pod dowództwem Kiejstuta, Olgierda, Jagiełły i Witołda, srogie zniszczenia rozszerzała w Polsce, słabo rządzonéj przez Elżbietę królowę węgierską, wpadł do Żmudzi, gdzie bez żadnego oporu, sześć powiatów z zamkami, t. j.: Miedniki, Eraigołę, Arwiston, Rosein (Rosienie), Giesów i Pastów, mieczem i ogniem zawojował. Kowno tą razą oblężone i silnie dobywane, mężny opór dawało tak dalece, iż Winrych, po stracie wielu rycerzy, niedobywszy zamku, do Prus powrócił.

To drugie oblężenie Kowna, dostarczyło treści Dyzmie Bończy Tomaszewskiemu, do pięknego w pieśni III Jagiellonidy ustępu, poświęconego waleczności i chwale Bohatérów litewskich.

Początek ustępu w tém miejscu przytoczymy:

Ledwie co się wspaniała uczta ukończyła,
Jeden po drugim goniec do Kiejstuta wpada,
Że ogromna Krzyżaków połączonych siła,
Pod wodzą krzyżackiego mistrza Eberharda.
Już za granicę Żmudzi od Dźwiny wkroczyła,
A zakonników pruskich z drugich stron gromada,
Z Winrykiem od Królewca wpadłszy i Elbląga,
Hufce nieprzeliczone po Litwie rozciąga.
Już Giejsów, Ejragoła, Pastów i Rosienie,
Miedniki i Arwisten, miasta żyznéj Żmudzi,
Zażegnione przez Niemców zniszczyły płomienie ....

Za nimi przybył goniec z wiadomością słowną,
Z twierdzy, którój mur Niemen z Wiliją oblewa,
Że na tych dwóch rzek brzegach posadzone Kowno,
Winryk do poddania się wielokrotnie wzywa,
Ale to miasto, twierdzą wzmocnione warowną,
Pewne odsieczy, wzgardą jego groźby zbywa — i t. d.

W następnych latach stan Litwy wielce się zmienił. Przez Giedymina, dziada Jagiełłowego, założone Wilno (r. 1322.), a po Kiernowie, Trokach i Nowogródku, przeznaczone na główną stolicę księstw litewskich, stało się odtąd najważniejszym punktem, do którego skierowane zostały napady krzyżackie, (mianowicie dwukrotne pod dowództwem Godfryda z Lindy roku 1378). (Koniec nastąpi.)

Seraj turecki.

Lady Mary Wontley Montagu, którój dozwolono było, podczas pobytu jéj w Stambule, zwiedzić seraj jednego z pierwszych urzędników sułtana, tak nam go opisała:

„Będąc zaproszoną od żony wielkiego wezyra na ucztę z znakomitą damą grecką, objawiłam jéj chęć poznania bliżéj życia niewiast w Turcyi. Gościnna i uprzejma pani uczyniła zadosyć memu życzeniu, pozwalając, abym się dnia następnego o wyznaczonéj godzinie z towarzyszką moją, do pierwszéj z jéj służebnic zgłosiła. Jakoż nazajutrz przybyła po mnie o umówionym czasie lektyka, w którój mnie do pałacu wezyra zaniesiono. U drzwi zastałam już znajomą mi Greczynkę, czekającą na moje przybycie obok dwóch czarnych rzezańców z założonemi rękami, kłaniających się ciągle bardzo nisko, i wzywających, abyśmy próg przestąpiły raju pana ich łaskawego. Weszłyśmy zaraz do długiéj galeryi, gdzie dwoma szpalerami stały ozdobnie poubierane dziewice, witające nas dziwnym swym ukłonem. Żałowałam, iż etykieta, z jaką mnie towarzyszka moja obeznała, niepozwalała mi zatrzymać się i przypatrzeć każdéj z tych dziewic z osobna. Lecz zapomniałam o tém, gdym się nagle ujrzała w wielkiéj okrągłéj sali, do którój się przez złocone szyby promienie słońca wdzierały, padając na ustawione rzędem cyprysowe i pomarańczowe drzewa, krzaki róż i jaźminu, roznoszące woń przyjemną, walczącą o pierwszeństwo z tą, jaką fontanna marmurowa kilku promieniami w górę pachnidła wschodnie bijąca, rozrzucała. Sufit sali téj tak misternie był malowany, iż zdawało się, że wszystkie wschodu ogrody zgromadziły nań swe ozdoby, aby nas niemi zasypać. Na miejscu wzniosłém, wśród drzew pomarańczowych, na perskiemi makatami zasłanéj sofie, siedziała na złotém wezgłowiu od niechcenia wsparta pani domu, Fatyma, żona pierwsza wielkiego wezyra, a u nóg jéj dwa dziewczęta, około 12 lat mające, piękne jak aniołki, bogato bardzo ubrane, jaśniejące jak gwiazdy od drogich kamieni i brylantów. Gdyśmy uszanowanie nasze, z daleka się jéj kłaniając, oddały, podniosła się z powagą i przywitała nas z uprzejmością, jakiéj żadne wychowanie dworne nadać nie jest zdolne. Na jéj skinienie, rozpostarły obok jéj siedzenia, gotowe na każdy rozkaz swéj pani niewolnice, kosztowne dywany, na którychéśmy usiadły, otoczone tłumem dziewic zgromadzonych z wszystkich niemal carstwa tureckiego krain. Wszystkie piękności Europy niczém były w porównaniu z wdziękami i urodą małżonki wezyra. Na znak dany przez Fatymę, wstały otaczające ją dziewice, a skłoniwszy przed władczynią swe czoła, jedne na instrumentach, naszym gitarom podobnych, grać zaczęły; inne w rzędy do tańca stanęły. Równie grające, jak i tańczące dziewice, wiele wprawy i wdzięku okazywały. Po skończonym tańcu, weszły cztery białe niewolnice z kadzielnicami, najkosztowniejsze wonie na gorejące w nich węgle rzucając; poczém przyniesiono kawę i trunki chłodzące z owoców; usługujące nam niewolnice podawały nam naczynia z napojami klęcząc. Gospodyni domu rozmawiała ze mną wiele bardzo przez tłumacza, i prosiła, abym ją do liczby przyjaciółek moich przyjęła.

„Przy pożegnaniu, rozkazała Fatyma przynieść dwom dziewicom naczynie srebrne, w którém najpiękniejsze ułożone były szale, wzywając mnie, abym sobie jeden z nich wybrawszy, na pamiątkę go przyjęła. Zniewolona jéj naleganiem, zatrzymałam jeden szal; inne towarzyszącéj mi Greczynce wręczyła, z poleceniem, aby je służebnicom moim rozdała. Inną drogą, zimowemi pokojami Fatymy, wracałam do domu; tutaj nowe, nigdzie w Europie niewidziane uderzyły mnie piękności: komnaty z ścianami wykładanemi perłową macicą i słoniową kością, japońską porcelaną powleczone sale, których podłogi najkosztowniejszemi perskiemi dywanami były pokryte. Wszędzie złota, srebra, kosztownych kamieni pełno, iż mi się zdawało, że się w zaczarowanéj jakiéj krainie znajduję.“

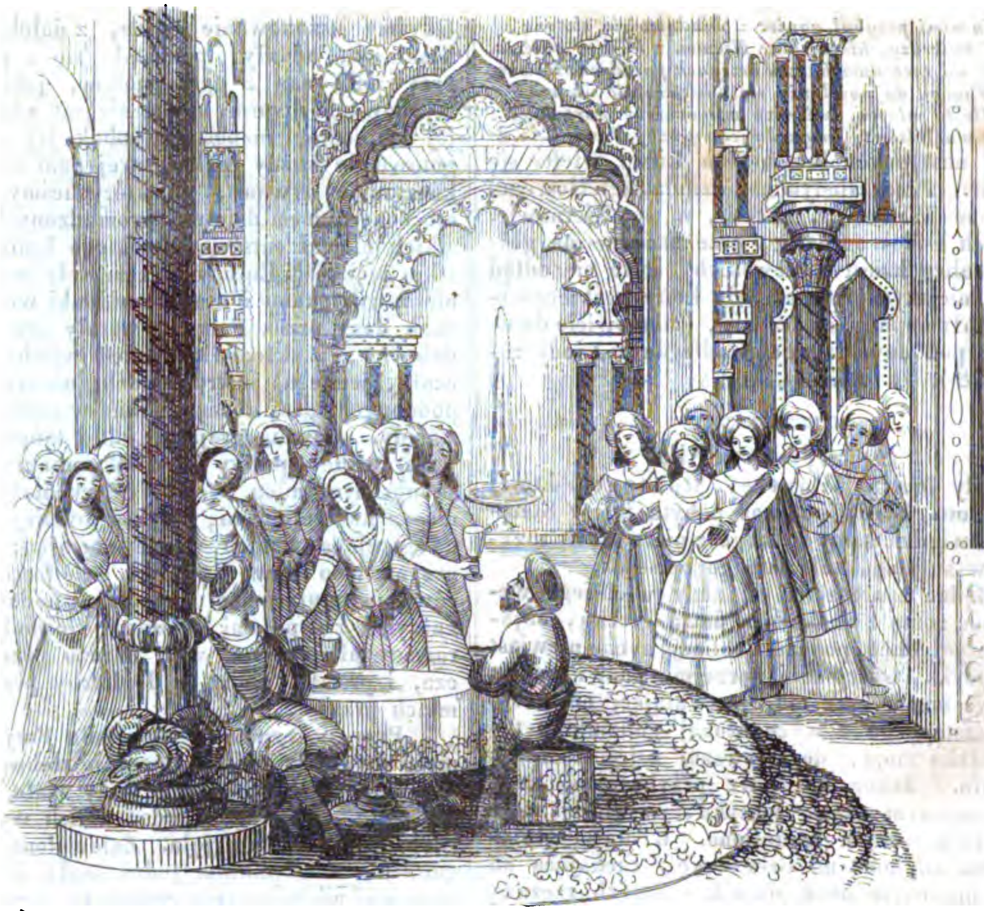
O urządzeniu domu całego wezyra i o położeniu niewiast tureckich, rozwodzi się Lady Montagu obszernie; wyciąg z jéj uwag odkładamy do dalszych numerów.

Doniesienie literackie.

W tych dniach opuścił w Poznaniu w księgarni i drukarni W. Stefańskiego:

„Obrazu Polaków i Polski w XVIII wieku, wydanego p. E. Raczyńskiego, tom IV., zawierający tom pierwszy Pamiętników Józefa Wybickiego, senatora wojewody królestwa polskiego; z rękopismu.“

O ważném tém dziele zdamy wkrótce sprawę Czytelnikom P. L.



Seraj turecki.

Doniesienie litterackie.

Mam sobie za obowiązek donieść czytającéj Publiczności, iż **Przewodnik rólniczo-przemysłowy**, przez przyrzeczoną mi łaskawie pomoc wielu Szanownych Obywateli księstwa naszego, słynnych jako Agronomów, gospodarzy i t. p., od nowego roku **regularnie** wychodzić będzie; mianowicie zwróconą będzie uwaga Redakcyi na prowincyą naszą. Prospekt uwiadomi łaskawych Czytelników bliżéj o planie pisma.

Wszystkie król. urzędy pocztowe i księgarnie tak krajowe, jak i zagraniczne, przyjmują przedpłatę, wynoszącą półrocznie 1½ tal., czyli złp. 9.

Ernest Günther, księgarz i typograf w Lesznie.

Z końcem pierwszego półrocza roku szóstego istnienia Przyjaciela ludu, uprasza niniejszém wydawca łaskawych Czytelników, aby wcześnie w najbliższych sobie król. urzędach pocztowych, lub księgarniach, przypadającą na następujące drugie półrocze przedpłatę, w kwocie 1 tal. 7½ sgr. (7½ złp.), jak najspieszniéj złożyć raczyli, niechcąc doznać przerwy w odbieraniu co tydzień regularnie wychodzących numerów.

Leszno, dnia 13. Grudnia 1839.

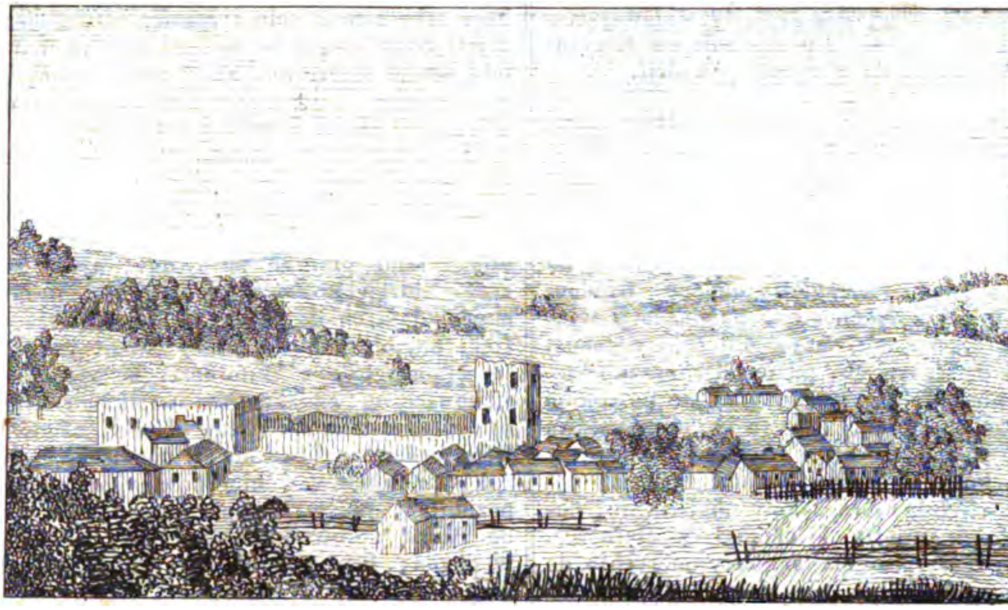
ERNEST GÜNTHER, księgarz i typograf.

W księgarni Ernesta Günthera w Lesznie dostać można:

Kantyczka pieśni nabożnych według obrządku Kościoła ś. katolickiego, na uroczystości całego roku, z przydatkiem nowych pieśni, osobliwie o Bożém narodzeniu; w Krakowie; na papierze lepszym 15 sgr., czyli złp. 3; na gorszym 5 sgr., czyli złp. 1.

Przyjaciel Ludu.

Rok szósty. **No. 26.** Leszno, *dnia* 28. *Grudnia* 1839.



Ruiny zamku w Krewie.

Kowno.

(Koniec.)

Winrych, mistrz pruski, najgroźniejszy nieprzyjaciel Litwy, i Olgierd, znamienitego męztwa książe litewski, r. 1381. żyć przestali; tego zaś ostatniego, pierworodny z drugiéj żony Maryi, księżniczki twerskiéj, syn Jagiełło, przez zaślubienie Jadwigi, córki króla węgierskiego i polskiego, r. 1434. został królem polskim i w. księciem litewskim; tym sposobem na gruzach zniszczonego bałwochwalstwa, zajaśniało w Litwie światło wiary chrześciańskiéj.

Lecz nim dopiero wspomniane wypadki nastąpiły, ważne w rodzie Giedymina wydarzyły się roztérki. Jagiełło, po śmierci ojca swego, zostawszy wielkim księciem litewskim, poduszczony przez zięcia swojego Wojdyłłę, wszedł w zmowę z Krzyżakami przeciw stryjowi, panującemu w Trokach, którego staraniem wyniesiony został na księstwo. Obrażony niewdzięcznością Kiejstut, ubiegł zdradą Wilno, Wojdyłłę rozkazał powiesić, a Jagiełłę, na prośbę Witołda, syna swojego, osobistą przyjaźnią z Jagiełłą złączonego, z więzienia uwolniwszy, przeznaczył mu udział krewski z księstwem witebskiém, po matce nań spadającém. Lecz gdy Kiejstut, uspokoiwszy Jagiełłę, wyprawił się przeciw drugiemu synowcowi swemu Korybutowi, który nie tylko żadnego zwierzchnictwa nad sobą uznawać niechciał, lecz w czasie zdarzonych niesnasków, kilka zamków ubiegł; wówczas Jagiełło, zamiast pomocy stryjowi swojemu, z wojskiem witebskiém i krewskiém Wilno opanował. Kiejstut za powrotem z pod Nowogrodu siewierskiego, zamierzał upokorzyć Jagiełłę, lecz ten układnością i zmyśloną chęcią pogodzenia się, zwabiwszy stryja swego, wespół z Witołdem do własnego obozu, potém do Wilna jechać z sobą zmusił, i tam w nocy obu w kajdany okuć rozkazał. Kiejstut na więzienie do zamku krewskiego odesłany, po swojém doń przybyciu piątéj nocy uduszonym został. Widymunt, wuj matki Witołdowéj Bieruty, a teść Kiejstuta, był w koło wpleciony; sam zaś Witołd naprzód w Wilnie, potém w zamku krewskim więziony, przez fortel swéj żony, od grożącéj mu śmierci ura owany, udał się wprzód do Janusza, księcia mazowieckiego, swojego szwagra, gdzie niewidząc się dość bezpiecznym, u Konrada Zolnera, mistrza krzyżackiego, schronienia szukał. Przyjęli go chętnie Krzyżacy, i pomoc przyrzekli, a gdy prócz tego Żmudź była za Witołdem, w chwili niebytności Jagiełły, zajętego wojną podlaską, a mianowicie dobywaniem Drohiczyna, Suraża, Miel-

nika i Kamieńca, Zolner z Witołdem opanowali zamki trockie, i zostawiwszy załogę, do Prus się wrócili. Wkrótce Jagiełło odzyskał Troki i sekretnie do zgody Witołda namawiał, ofiarując mu zamki podlaskie, tudzież wielkie księstwo litewskie, jeżeli sam królem polskim zostanie. Uwiedziony obietnicami Witołd, z rozranioném wprawdzie tylu krzywdami sercem, wprzód najotwarciéj dla Jagiełły wylewającém się, dał się pojednać, i potajemnie od Krzyżaków umknąwszy, do ojczyzny powrócił.

Niedotrzymał atoli słowa Jagiełło; zostawszy bowiem królem polskim, niedowierzał Witołdowi, i wielkie księstwo litewskie oddał niedołężnemu Skirgajle, rodzonemu bratu swojemu; rozjątrzony Witołd przedsięwziął opanować Wilno; lecz dwakroć odparty od wojska polskiego, zamki od Jagiełły nadane, Grodno, Brześć, Suraż i Kamieniec, najemném i własném wojskiem osadziwszy, odjechał z żoną i skarbami do Mazowsza, gdzie od Janusza i Siemiowita niechętnie przyjęty, udał się powtórnie do mistrza Zolnera. Ten go z uprzejmością przyjął i pomoc ofiarował, z którą jeszcze raz naprożno kusił się dobyć Wilno. Poczém, lękając się chytrego Krzyżaków obejścia się, pogodził się z Jagiełłą i umknął z Malborga. Lecz gdy przyrzeczenia Jagiełły nierychło do skutku przychodziły, nie mogąc siłą, chciał Witołd, na wzór ojca swego, zdradą Wilno ubieżeć. Co gdy się mu nieudało, znowu do mistrza krzyżackiego, Konrada Wallenroda, uszedł, i przez dwuletni swój pobyt u Krzyżaków, ustawicznie Litwę pustoszył. Jagiełło z wojskiem polskiém, mimo silnéj i fortelnéj odsieczy Witołda, zamki, w jego ręku będące, opanował. Witołd w roku 1390. wspólnie z Lankastrem, Henryka, króla angielskiego synem i mistrzem krzyżackim, tudzież inflantskim, trzy wielkie wojska różnemi drogami zgromadzili u Kowna, a dążąc do Trok i Wilna, pierwsze z nich dobyli i zburzyli. Gdy zaś załoga z Polaków i Litwinów, pod dowództwem Oleśnickiego, po spaleniu miasta i niższego zamku wileńskiego, pomimo ponawianych szturmów, wśród murów wyższego zamku broniła się, Witołd pomordowawszy okrutnie krewnych swoich, w czasie oblężenia schwytanych, odciągnął w kraje krzyżackie. Król zasilał Litwę, i Kowno żołnierzem polskim osadził. W następnym roku znowu Witołd z wojskiem Konrada Wallenroda i innych sprzymierzeńców, ziemią i rzeką Niemnem do Litwy wyprawiwszy się, przez Oleśnickiego od Wilna był odparty. W odwrocie spaliwszy Nowogródek, zamek nowo od Skirgajły zbudowany, także Wiłkomeryą z zamkiem nad rzeką Świętą, a w ponowionéj wyprawie, spustoszywszy żmudzkie okolice blisko Miednik albo Wormii i Wełzany, zimą wyruszył z wojskiem niemieckiém pod Kowno. W ponawianych szturmach wielką szkodę w rycerstwie poniósł, i oblężenia zaniechał.

Lecz, ażeby bez korzyści nie odstąpić, uradzono nowe zamki pobudować. Jakoż o milę od Kowna nad Niemnem zbudowano zamki z drzewa, nazwane Neuweder, t. j. nowa wyspa, i Reterweder, t. j. wyspa rycerzów, a trzeci z kamieni, mianowany Metemburg, t. j. góra albo zamek celu i granic. Dwa pierwsze zajęli Krzyżacy, a w Metemburgu osadził Witołd swoje rycerstwo, zkąd wybiegając, pomimo wycieczek, przez Oleśnickiego ponawianych, okoliczne włości kowieńskie niszczył.

Sprzykrzyły się nakoniec Jagielle ciągłe zasilania pustoszonéj przez Witołda Litwy, a gdy Wigunt Alexander, książe krewski, brat Jagiełły, dla znakomitych umysłu i serca przymiotów, szczególniéj przezeń miłowany, życie zakończył, Skirgiełło zaś i Swidrygiełło, uznani za mniéj zdatnych do rządu; przeto Jagiełło przez Henryka, biskupa płockiego, szukał jeszcze raz sekretnie zgody z Witołdem, ze szczerém postanowieniem oddania mu wielkiego księstwa lit. Namówiony do zgody Witołd, zamek swój Reterweder zapalił, kupców niemieckich, Krzyżaków i rejterów w nim się znajdujących, już pozabijał, już w Niemnie potopił, już z sobą do Wilna uprowadził. Krzyżacy szli za nim w pogoń; lecz Witołd wprowadziwszy ich w zasadzkę, zabrał w niewolą, i tym sposobem ogołocone z załogi dwa pozostałe zamki dobył i zburzył.

Dotrzymał tą razą Jagiełło swych obietnic; Witołd wyniesiony na żądane dostojeństwo, wspólnie z żoną swą Anną, podług obrzędów chrześcijańskich, czapką wielkoksiążęcą ozdobiony został.

Nie uspokoiły się jednak niszczące Litwę wojny; wyniesieniem Witołda obrażeni Skirgiełło i Swidrygiełło, pierwszy z wojskiem w Litwie i Rusi zebraném, drugi przy pomocy Krzyżaków, ciągłemi napadami rodzinne kraje trapili. A lubo ustąpieniem niektórych zamków, i obietnicą zdobycia Kijowa, zostającego pod panowaniem Włodzimierza Olgierdowicza, dał się przejednać Skirgiełło, jednakże napaści krzyżackie nie ustały. Z drugiéj strony Witołd, chcąc zniewolić Panów litewskich do uznania go za wielkiego księcia, prowadził wojnę z Korybutem Olgierdowiczem, księciem siewierskim, tudzież z jego bratem Włodzimierzem, którego zmusił do ustąpienia Kijowa Skirgielle; nakoniec z Fiedorem Koryatowiczem; a zabrawszy go w Kamieńcu w niewolą, całe Podole opanował, przez co zbliżył się ku Tatarom, którzy rozszerzając się po wschodniéj Europie, z Podola dań brać zaczynali. Tych Witołd naprzód w roku 1396. nad Donem i Wołgą zwyciężył, i część ich znaczną z sobą przyprowadził. O tém Stryjkowski w umieszczanych gdzieniegdzie w swéj kronice rymach, tak mówi:

Hordę jednę do Litwy Witołd przyprowadził,
Którą za Waką rzeką na rolach posadził,
Gdzie i dziś za tąż Waką szeroko mieszkają,
A powinność rycerską zuchwały działają.
Drugą część onéj hordy posłał Jagiełłowi,
A ci przez chrzest imiona dali Chrystusowi,
Acz mówią, że ich Witołd nie przymusił wojną,
Ale przeciw Krzyżakom namową przystojną.

W téj to epoce w Kownie, równie jak w wielu innych litewskich miasteczkach, Tatarowie osiedli.

Mimo szczęśliwe wyprawy Witołda przeciw Tatarom, potęga ich nagle dla Litwy straszną się stawała. Gdy bowiem Witołd przy pomocy Polaków trzeci raz wyprawił się przeciw Tatarom r. 1399., na głowę od nich nad rzeką Worszlą porażony został. Nadto Krzyżacy, pod dowództwem Swidrygiełły, dwakroć do nich uciekającego, napadów swych na Litwę ponawiać nie zaniedbywali. Z nimi naprzód roku 1404. w Raciążu Jagiełło z Witołdem pokój zawarli. Lecz gdy Swidrygiełło wichrzyć nieprzestawał, a nowa wojna dla Witołda ze swym zięciem Wasilem, książęciem moskiewskim, już się przygotowywała, dla odwrócenia niepomyślności r. 1405, miał Witołd z Krzyzakami zjazd w Kownie, i całą Żmudź ustąpiwszy, pokój z nimi zawarł. Wzbraniała się Żmudź służyć Niemcom, zabijając przysyłanych do siebie krzyżackich urzędników, acz ją sam Witołd pod jarzmo niemieckie mieczem zniewalał. W czasie tego pobytu na Żmudzi, Krzyżacy zbudowali dwa zamki nad Niewiażą, a trzeci przy ujściu Dubissy do Niemna.

Po zawarciu przymierza z Krzyżakami, Swidrygiełło szukał schronienia i pomocy u wspomnionego X. Wasila; co dało powód do drugiéj wojny, która obudwu stronom zrządzając liczne szkody, skończyła się na ugodzie, zapewniającéj też same granice dla Litwy. Krzyżacy, dostarczający Witołdowi najemnego wojska do drugiéj wyprawy przeciw księciu moskiewskiemu, poczęli sami czynić przygotowania do wojny przeciw Litwie. Chcąc ich odwieść od tego przedsięwzięcia, Jagiełło i Witołd złożyli z mistrzem powtórny zjazd w Kownie, gdzie acz długo trwały narady, jednakże dla dumy mistrza, przymierza nie zawarto. A gdy Krzyżacy, nietylko nie chcieli czynić wynagrodzenia, za zrabowanie 20 szkutów posłanych ze zbożem z Polski do Litwy w czasie wielkiego nieurodzaju r. 1409., lecz nadto kupców litewskich w Ragnecie pobili i zrabowali, wetując krzywdy poniesione Witołd, Żmudź opanował. Zapaliła się więc wojna między Litwą a Polską zjednéj, a Krzyżakami od książąt niemieckich wspieranymi z drugiéj strony, skończona zwycięztwem nad Krzyżakami pod Grünwaldem, gdzie Witołd, Markwarda, Salizbacha i Sumberga, Kumturów krzyżackich pomimo próśb Jagiełły, kazał stracić, dla tego, „iż pod Kownem matce sromocili jego. (Stryjkowski.)“

Nakoniec Witołd, przeżywszy lat 80, oznaczonych znakomitemi czynami, żyć przestał. Swidrygiełło, poduszczany przez Krzyżaków, niechciał się z Jagiełłą pogodzić, lecz objąwszy wielkie księtwo litewskie, w ciągłych był z królem polskim niesnaskach. Ztąd poszło, iż za wspólnem Jagiełły z panami litewskimi porozumieniem się, wielkie księstwo oddane było Zygmuntowi Kiejstutowiczowi, mającemu udział na Starodubiu r. 1432.

Tymczasem Jagiełło dni swoich dokonał; po nim na tron polski wstąpił syn jego Władysław; a gdy Zygmunt Kiejstutowicz przez Czartoryskiego Olgierdowicza, uprzedzającego zamordowanie panów litewskich, zabity został w Trokach r. 1440., wielkie księstwo oddano 16letniemu Każimierzowi, drugiemu synowi Jagiełły. Ten zaledwie uspokoił niechętnych Smoleńszczanów, otrzymuje wieść, iż Żmudź, nie jemu, lecz Michałowi, synowi Zygmunta, służyć pragnie. Każimierz z sił zgromadzonych założył obóz pod Kownem; Żmudź stanęła nad Niewiażą. Lecz nim przyszło do bitwy, Gasztołd radami swojemi skłonił młodego księcia do traktowania o pokój. Wysłany starosta Kontowt przywiódł Żmudź do posłuszeństwa; przedniejsi przybywszy do Kowna, wykonali przysięgę na wierność Każimierzowi; ten zaś nawzajem zabezpieczył ich prawa i wolność, nadając im za starostę naprzód Kontowta, późniéj Kirgałłę.

Po śmierci króla Władysława, i po upłynioném półtrzecio-letniém bezkrólewiu, Każimierz obrany królem polskim r. 1447. W r. 1456. dla załatwienia interesów Polski i Litwy, naznaczono sejm w Parczowie; a gdy panowie litewscy niechcąc jechać do naznaczonego miejsca, w Brześciu litewskim pozostali, potém zaś do Łomży zgromadziwszy się, nic nie postanowili, król z królową odjechał do Litwy; że zaś w Wilnie wówczas grassowało powietrze, przeto w Grodnie czas niejaki przebawiwszy, ruszył do Kowna, gdzie większą część zimy strawił.

Od téj epoki, jako dzieje Litwy ściśle się łączą z historyą Polski, tak Kowno przestając być miastem nadgranicznóm, mało już pod względem staczanych przy nim bojów, lecz jako ognisko handlu krajowego, zasługuje bardziéj na uwagę. Zmiany zamożności i zubożenia Kowna, wyświecą się dokładniéj, przez szczegółowe rozważenie epok, na które półtrzecio-wieczny przeciąg czasu podzielić się daje.

Pierwsza epoka zajmuje stan tego miasta od panowania Każimierza Jagiellończyka do 1650; druga do skończonych rządów polskich r. 1794; trzecia do czasów ostatnich.

Panujący monarchowie, ratowali Kowno wszelkiego gatunku dobrodziejstwy. Pozostały liczne świadectwa o przywilejach, dekretach i urządzeniach, udowodniających baczność i gorliwą nad nim rządu opiekę. Dawniéj klęski wojenne, późniéj pożary i powietrze, stawały się tych łask pobudką. Od czasów Witołda, który zniszczone przez pożar przywileje przodków swoich nanowo

zatwierdził r. 1408., znajdują się w papierach ślady nadań, potwierdzanych przez wszystkich królów polskich; są nadto liczne konstytucye i prawa, wyłącznie temu miastu służące, któremi obdarzał go zgromadzony naród, aby się stawało ludniejsze, a tém samém więcéj zamożne i korzystne dla kraju z położenia handlowego. Jakoż mianowicie około roku 1650., handlem i bogactwy szczególniéj zakwitło. Znajdowały się w niém banki, czyli kantory; holenderska, angielska i szwedzka ludność wielka z kupców, rzemieślników i gromadzących się w interesie handlu obywateli, murowane nad rzekami ogromne budowy, na skład zboża i różnych towarów przeznaczone, tudzież najgłówniejsza celna komora. Dostatków i rozległości jego, dowodzą miejscowe tradycye i mnóstwo murów, dających się dziś widzieć w fundamentach tylko, rzekami już większéj części zniszczonych: między któremi najznaczniejsze są rozwaliny kantorów i fortecy, przez coroczne wylewy Niemna i Wilii prawie z ziemią zrównanéj. Ujrzeć tu można ślady trzech ulic: Garbarska, Powilejska i Niemiecki Kąt zwanych, wezbranemi rzekami podartych i zagubionych. Nie brakłoby na autentycznych dowodach bogactw i ludności tego miasta, gdyby klęski wojenne i częste pożary, a nadewszystko wojna r. 1812., publicznych ksiąg i papierów niezatraciła. Ocalone szczątki ksiąg miejskich świadczą, iż około r. 1650. cechy puszkarzów, kowalów, ślosarzów, nożyczników, kotlarzów i płatnerzów, czyli mieczników, po 43 majstrów w sobie liczyły. Ztąd można brać miarę o ilości innych rzemieślników.

W czasie niefortunnych rządów Jana Kaźimierza, okolice kowieńskie i samo miasto wiele ucierpiało. Dźwigane i ratowane sposobami wszelkiéj pomocy, doniszczył w r. 1731. pożar, po którym tylko kościół ewangelicki i kilka domów nietkniętych pozostało.

Między wojną i tym pożarem, pomimo wszelkie ratunki, upadało miasto z powodu, iż państwo ościenne pruskie, wzmagając się w polityczną wielkość i znaczenie, usiłowało wszystkie handlu korzyści z kraju polskiego przenieść do siebie. Władza wykonawcza, przez wojny i mnogie zamieszania słabiejąc, traciła energią uskutecznienia mądrych rozporządzeń, któremi królowie Kowno obdarzali. Wkradały się nadużycia, odmawiające powagi przywilejom, ustawom i konstytucyom. Protegowane niegdyś kupiectwo w Kownie, codziennie drobniało; składy zboża wypróżniały się; zakazy Zygmunta III., wzbraniające zagranicznikom kupować towarów po wsiach i miasteczkach naokoło Kowna, powoli zapominanemi być poczęły. Przekopany nareszcie w Prusiech od Niemna do Pregla kanał, ułatwiający spławienie towarów w miasta pruskie i Królewiec, stawał się przyczyną, iż kupcy z kapitałami do Pruss przenosili się, a za nimi handel przechodził, miasto się wyludniało. Przechód armii rossyjskiéj do Pruss r. 1750., zmniejszył Kowno o kilkadziesiąt kamienic, które rozebrano na potrzeby wojenne. Wszelako, samo położenie miasta utrzymywało w zeszłym wieku dziesięciu kupców handlujących zbożem zasypnem, i różnemi płodami krajowemi; jeszcze w owych latach, corocznie 40 statków kowieńskich żeglowało po Niemnie; kupców zaś, wyłącznie drzewem handlujących, znajdowało się piętnastu, z których każdy dwudziestotysięcznym czerwonych złotych kapitałem obracał. W samém Kownie, nie licząc w to Wiliampola i Aleksoty, za Wiliją i Niemnem położonych, znajdowało się domów chrześcijańskich 357, a liczba Żydów dorównywała Chrześcijanom. Handel przeto i obrót kapitałów, lubo względnie pierwszéj epoki wielce się zmniejszył, był jednakże więcéj kwitnącym, niż w latach poźniejszych.

W roku 1794. wyciągnięty kordon pruski nad Niemnem, wielką zadał klęskę miastu i przyśpieszył upadek handlu. — Kraj zaniemeński, obszerny i bogaty, co w niedostatku własnych miasteczek do Kowna płody swe przesyłał, zamknięto i odłączono kordonem; za Wiliją zaś targowe osady okoliczne, jak w oblężeniu trzymały miasto, nietylko produkta handlowe zakupując, lecz nawet niedostarczając nieodbicie potrzebnéj mieszkańcom żywności. Wśród tych niepomyślności, pożar r. 1800. trzecią część miasta w popioły zamienił. Skończona wojna r. 1807. i zawarte dla kupców niepomyślne traktaty, chylący się ku upadkowi handel zupełnie zniszczyły.

Za naszéj pamięci, w czasie wojny 1812., najwięcéj Kowno ucierpiało, już to jako pierwsze nadgraniczne, już, że środkową massą wojska przywalone zostało. Składy ammunicyi i magazyny cisnęły i obciążały mieszkańców zubożonych. Odwrót zaś armii, prócz rabunku i zgliszczów, innéj pamiątki nie zostawił; przez co pogorszył się stan pozostałéj garstki mieszkańców, którzy z domów swoich żadnego prawie nie pobierają przychodu, a utrzymują się jedynie z posługi szkołom, członkom tamożni i władzom miejscowym; zabytki zaś dawniejszéj świetności ujrzeć może ciekawy przychodzień w gruzach murów, i w nielicznie świecących się miejskich budowach.

W historyi literatury polskiéj wspominaném jest Kowno, jako ojczyzna Alberta Kojałowicza, Jezuity, który, mianowicie w historyi, znakomite położył zasługi; napisał bowiem dzieje narodu litewskiego, których część I. wyszła w r. 1650. Miał braci, Kaźimierza S. J. i Piotra zmarłego w młodych latach; oni wprowadzili Jezuitów do Kowna; obadwaj wiele ksiąg łacińskich i polskich wydali, co stało się powodem pochwał, które im oddaje znakomity zeszłego wieku poeta, w wierszu: *Cny Jezuitów, rozsądny zakonie!* i t. d.

Przed laty kilkunastu, Kowno było kilkoletnim pobytem A. Mickiewicza, który czarownych powabów dolinę, w jego okolicach znajdującą się, wybrał za ulubione miejsce swoich przechadzek i dumań poetyckich. Ona mu natchnęła



Walka majtków z białymi niedźwiedziami.

nie jednę piosnkę, mimowolnie lgnącą do duszy pojętnéj; ona dostarczyła zachwycających obrazów do Wallenroda, który odczytywany w okolicach opiewanych, we dwójnasób na wartości zyskuje. Wdzięczni obywatele kowieńscy uwiecznili pamięć pobytu poety w swém gronie, przydaniem nazwiska jego do opiewanéj przezeń doliny.

K***

Walka majtków z białymi niedźwiedziami.

(*Obraz Biarda.*)

Do wielkiéj liczby malarzy francuzkich, przesełających prace swoje na wystawy obrazów, po rozmaitych miastach Niemiec urządzone, należy pan **Biard**, twórca *walki majtków z białymi niedźwiedziami* na morzu lodowatém. W dawniejszych dziełach mistrza tego ganiono powszechnie pomysły jego, okropnością widza przerażające. Obraz najnowszy pana Biard, którego słabą kopią Czytelnikom podajemy, jest z tego samego rodzaju utworów, nie grzeszy jednak przeciw żadnym Estetyki przepisom. Wystawia on czołno z trzema majtkami między odwieczne massy lodu, wiatrem zapędzone, otoczone mnóstwem zgłodniałych, chciwych żeru, zbiegających się na widok pewnéj zdobyczy niedźwiedzi. Jeden z majtków, zraniony silną źwierza łapą, zapomniawszy o broni, jaką w prawicy trzyma, chwyta się ściany nachylonego już na jednę stronę batu. Bojaźń jego i rozpacz, malują dokładnie oczy i rysy twarzy. Obok niego znajdujący się chłopak okrętowy, nie stracił na ten widok przytomności; rzuca się z odwagą na kaléczącego towarzysza swego źwierza, i topi nóż swój w paszczy jego, z takiém natężeniem, iż ten puszcza swą zdobycz i w morzu się nurza. Na drugim końcu łodzi, stoi silny majtek, nie znający bojaźni, z wzniesioną dzidą, aby nią nowego wroga, grożącego czołnu, śmiertelnie ugodził. Z zimną krwią, pewien zwycięstwa, nie zważa na stojące na brzegach liczne potwory, chciwy walki majtek, nie przypuszcza wcale myśli, aby mógł uledz. Obraz ten jest własnością jednego z obywateli miasta Lipska.

P.

Tomasz Dolabella, malarz nadworny królów polskich.

(Dokończenie.)

Dolabella, jako do pocztu dworzan królewskich należący, nie był wpisany do cechu, czyli bractwa malarskiego w Krakowie, i wcale w aktach cechu tego imienia jego nie widać. Z niektórych jeszcze uchwał zgromadzenia tego przebija, że nie był mile od malarzów widzianym, i że pracownię swoję miał na zamku, znajduję bowiem zapisane w roku 1608.: „Pan Franciszek „Śniadecki (malarz krak.) obieczał wszytkiey „PP. bracziéy dobrowolnie, iako nie ma więcey „brać do tarcia farb chłopczów tich, co na zamku „farby czierali, gdyż są w malarstwie podeyrzani.“

Przez długi czas zamieszkania swego w Krakowie, był on czynnym w zawodzie swéj sztuki, malował wizerunki Zygmunta III. i prawie całéj rodziny królewskiéj, oraz i inne prace podejmował; za co i łaskę króla i znakomitą odniósł nagrodę. (Fuessly.) — Sądzić należałoby, że przez zupełne prawie półwieku tu mieszkając, nie mało pędzla swego płodów zostawić musiał; atoli nigdzie prac jego wyszczególnionych nie widzimy, aczby wnosić wypadło, że takowe w licznych kościołach miasta Krakowa, jeśli ich czas nie zniszczył, okiem znawcy wyśledzone, jeszcze się może odkryją. Jakie jeszcze dotąd prace jego przetrwały, i jakie o nich doszły nas wiadomości, to następnie wyliczy się.

1. W kościele katedralnym krak. na zamku, w wielkim óltarzu, jest obraz Chrystusa ukrzyżowanego, malowany na blasze.

2. W kościele Ś. Franciszka w Krakowie, znajdują się dwa wielkie obrazy, w chórze przy wielkim óltarzu (na płótnie) łokci 18 wysokości, a łokci 11 szerokości mające, bogatéj kompozycyi, które kościołowi temu darował. Wyobrażają one: *a*) sąd ostateczny, *b*) gniew Boga na grzeszników, którego Ś. Franciszek i Ś. Antoni błagają. Na każdym z tych obrazów umieścił on u dołu swój portret z tym podpisem: „Pinxit Thomas Dolabella Venet., Pictor S. R. M. A. D. 1613.“

3. W kościele Ś. Trójcy OO. Dominikanów krak., w kaplicy P. Jezusa ukrzyż., jest także obraz jego ręki, na płótnie, wystawujący processyą kanonizacyi Ś. Jacka, z napisem: „Thomas Dolabella, Pictor Regius, pro defuncto Patre conjugis propriae Andrea Petricovio obtulit. Oretur pro eo. A. 1620.“

4. W przyległéj téjże kaplicy Ś. Wincentego jest inny jego obraz (na płótnie), z tym napisem: „Thomas Dolabella, Pictor Regius, divinissimo Hyacintho obtulit. A. 1620.“

5. W tymże konwencie Ś. Trójcy dotąd widzieć się daje wiele malowań na płótnie, okazałéj wielkości, o których przywiodę to, co w dawnéj rękopismowéj księdze tegoż konwentu zapisane jest: „Na kurytarzach (in angiportu), po których zwykle processya obchodzi, znajduje się dziewiętnaście obrazów, wystawujących zdarzenia z żywotów świętych naszego zakonu, przez znakomitego malarza króla Władysława IV. malowanych. W refektarzu są jego także wyborne dzieła, a mianowicie nad stołem przeora obraz, ewangeliczną historyą pięciu chlebów i ryb, inny nad drzwiami, gody w Kanie galil. wystawujący, wysokości łokci 8., szerokości łok. 10 mające. W kapitularzu także są właściwe temu miejscu tegoż autora obrazy; a na kurytarzach górnych (in dormitorio) nad drzwiami cel, piękne postrzegają się malowania (sztuk 7), wystawujące różne przemiany serca (schola cordis), które są dziełem rąk córek tegoż Dolabelli.“

Wracając się do wyżéj wspomnianych 19tu obrazów na kurytarzach (in angiportu), wspomnieć należy, iż w klasztorze tym utrzymuje się wiadomość, jakoby te wszystkie już tylko były kopiami dawniejszych obrazów Tom. Dolabelli, i że te malował jeden z braci zgromadzenia ich,

podobno Każimierz Cisowski, który umarł w Janidłowku r. 1726. Jakkolwiek bądź, zawsze przecież i z tych kopij przebija się kompozycya znakomitego mistrza, a razem widać i biegłość malarską w ręce Cisowskiego, z pod którój takowe wyjść miały.

Jeszcze i w kościele Panny Maryi jest obraz Zdjęcia z krzyża (pod małym chórem), o którym jest podanie, że go malował Tom. Dolabella; lubo są, co go dziełem Czechowicza być poczytują.

Wspomnienia o pracach tego malarza znajdują się w dziełach następujących:

A. Andrzéj Cellariusz *Descriptio Poloniae* mówiąc o zamku królewskim w Warszawie, przez Zygmunta III. wystawionym, wymienia: że ten wewnątrz upiękniony był obrazami historycznemi (które opisuje), i że takowe malował Włoch Tomasz Dolabella.

B. W pisemku: „Icones amoeniss. Sereniss. atque augustiss. Dnae Caeciliae Renatae Reginae Poloniae etc. d. c. q. quibus Thomas Dolabella Venet., Pictor S. R. M. inventionem, M. vero Joan. Cynerski, Rachtamovius etc. lucem publicam carmine dedit. Cracoviae in off. typogr. Franc. Cesarii A. 1641., in folio, kart. 4.“ — znajdują się napisy wierszem pod trzy obrazy, które on malował, a mianowicie:

1) na przyjazd królowéj Cecylii Renaty,
2) na jéj koronacyą,
3) na obchód urodzin królewica Zygmunta Każimierza.

C. X. Jan Wielewicki w rękopismie: „Histor. Diar.“ pod rokiem 1612. wspomina: „W kościele Ś. Barbary w Krakowie obraz męczenników ŚŚ. Xysta i Krystyny w ołtarzu, malowany przez Tom. Dolabellę.“

D. W dziele: „Congregatio Sacra Rituum, Canonizat. S. Joannis Cantii Crac. typis univer. A. 1676.“ in fol., na str. 102., mowa jest o obrazie Ś. Jana Kantego, który malarz ten malował do ołtarza w kościele Ś. Barbary.

E. Compendium Historiae Congreg. nobilium, per Nic. Zebrzydowski fundatae. 4to. Crac. 1744.“ na stron. 32. rzeczono jest, że dla upięknienia oratorium tego zgromadzenia przy kościele Ś. Barbary, między innymi dostarczył obrazów i Tom. Dolabella; a na str. 39. wymieniony jest obraz Najświęt. Panny wniebowziętéj, która do syna wnosi modły za członków tegoż zgromadzenia (Assumpt. B. V. M.), za który zapłacono mu ośm zł. węg., czyli, podług ówczesnéj rachuby, złp. 18. gr. 20.

F. X. Ciampi w dziele: „Notizie di Medici, Maestri di Musica, Pittori etc.“ przywodzi, nie wspominając z jakiego dzieła: „Starowolski mówi, że Dolabella w pałacu król. w Krakowie malował wzięcie Smoleńska przez Zygmunta III., przyczém umieścił portrety wielu Senatorów i innych znakomitych Polaków. (Zeillerus in posteri Descriptione Regni Poloniae.)“

G. Siarczyński: „Obraz wieku Zygmunta III.“ pisze: „Dolabella malował obraz Najśw. Panny do noszenia dla kościoła żywieckiego, o czém pisze Komoniecki, iż ubiory mieszczan i szlachty starą modą wyraził, jako przedtém chodzono po prostu, nieco z węgierska w delijkach z krótkiemi rękawami.“ Tenże pisze: „Syn jego Stefan równie był dobrym malarzem; u dworu Władysława IV. zostawał, i z jego rozkazu bądź on, bądź ojciec jego Tomasz, malował wizerunki familii Jagiellońskiéj, które zdobiły pokój marmurowy w zamku warszawskim, zastąpione później szeregiem królów polskich, malowanych przez Bacciarellego.“

Biegłość Dolabelli w malarstwie jednała mu zasłużoną sławę, a nawet po śmierci imię jego jeszcze wspominane było w sposób zaszczyt mu niosący. Wespazyan Kochowski opisując skromne mieszkanie swoje, mówi, że je wprawdzie przyozdobił obrazami, ale te nie są pędzla Dolabelli, jakoby przez to chciał oznaczyć, że posiadanie dzieł jego przechodziło zamożność prywatnego ziemianina.

Nic więcéj o życiu i losach tego artysty, który lat pięćdziesiąt na ziemi naszéj przemieszkał, zebrać się nie dało. Zakończył on dni swoje w Krakowie, a O. Ludwik z Oświecimia w rękopismie biblioteki dominikańskiéj: „Necrographia Cracoviensis,“ p. 7., tę wiadomość o końcu życia jego podał: „Tomasz Dolabella, z kraju weneckiego, malarz królów Władysława IV. i Jana Każimierza, według zdania malarzów, w swoim czasie równego w kunszcie niemający, którego imię sława z talentu nietylko w Polsce, ale w Włoszech, Niemczech i Francyi głośném uczyniła; mieszkając w domu do klasztoru krakowskiego Ś. Trójcy należącym, około lat 50, wdzięczności swéj tak kościołowi, jako i konwentowi, wiele pamiątek zostawił. Nakoniec lat wieku mając blisko 80, dnia 27. Stycznia roku 1650. odszedł do Pana, i w pomienionym kościele Ś. Trójcy przed ołtarzem Miłosierdzia Pańskiego pochowany jest.“

Rozmaitości.

Druk obrazów Liepmanna.

Wystawiona kopia Rembrandtowego obrazu w Poznaniu, nie zadowolniła znawców malarstwa, raz, że ta kopia jest zbyt błyskotliwym pokostem pociągniona, a jak się zdaje nie dość czystym i przezroczystym; powtóre, że większa część nagany, z powodu nieczystego i płytkiego wykonania, spada na sam oryginał; potrzecie, że kopista miał do walczenia z przeszkodami, które z trudnością tylko pokonać zdołał. Mówią, że Liepmann przez kilka lat od-

wiedział berlińskie muzeum, i codziennie wpatrując się w obraz, mieszając farbę, spieszył z nią do swego pomieszkania; nie wolno mu bowiem było robić kopii w osobnym pokoiku, tylko miał pozwolenie rytować zdaleka w sali. Owocem téj kilkoletniéj mozolnéj pracy jest stokrotny odcisk obrazu, który on tylko z pamięci rys za rysem, punkt za punktem, do domu w pamięci przenosząc, kopijował. Któżby więc w takiém położeniu rzeczy mógł więcéj wymagać? Rozumie się samo przez się, że śmiałość i delikatność rysów samego mistrza, zniknąć musiała w takiéj mozolnéj manipulacyi. Jakoż kopia jest w części zamazana i starta, i wiele się od samego oryginału różni; jednakże poznać Rembrandta z bliska i z daleka, i w ogóle moc jego i harmonia farb wszędzie należycie oddana, światło skupione i przejście do cienia delikatne; gdy przeciwnie nie jedna pędzlem malowana kopia Rembrandta, wcale nie ma tych zalet, gdzie zamiast lazurów, ciężkie i jasne farby odejmują obrazowi wszelki urok. Dotąd nikt, ani w litografii, ani w miedziorytach tego dokazać nie mógł, aby farbom nadać owę przezroczystość i soczystość olejnéj malatury. Tego dokazał Liepmann, jak się zdaje, przez stopniowy, to jest kilkakrotny druk na każdéj kopii; widziano bowiem u niego odciski, różne stopnie wykończenia obrazu przedstawiające, i w gotowych już exemplarzach widać, że n. p. podpis dwa razy jest odciskany, nie zupełnie na témże samém miejscu. Ile atoli tablic do tego potrzebuje? jakim sposobem Liepmann preparuje cienką tekturę, na któréj wykonywa swe druki? czy po ostatnim odcisku nie potrzebna jest jeszcze poprawka pędzlem, to wyjawienie ostateczne tajemnicy okaże. Zdaje się, że tylko najmocniejsze światło takiéj pomocy potrzebuje, reszta zbyt jest jednostajnie i w duchu całości wykonana, żeby się jakiéj poprawki domyślać można. W ogólności kopie te są jeszcze niedokładne, farby nawet nie zdają się być czyste i dość delikatne. Nadto Liepmann jednego tylko dotąd ma pomocnika; przy takim więc niedostatku zewnętrznych środków, podziwiać należy, że mu się udało wynalazek ten tak daleko doprowadzić, iż kopią tak drukowaną po luidorze przedawać może.

Spory o emancypacyą niewolników

w Stanach zjednoczonych Ameryki północnéj, coraz żwawiéj się toczące, dzielą obecnie mieszkańców na dwie partye: Abolitionistów i Antiabolitionistów. Pierwsza, za zniesieniem niewoli, jest wprawdzie dotąd mniejsza, ale słuszność sprawy dodaje jéj codzień sił nowych; żwawo więc w pismach peryodycznych i przez oświeceńszych duchownych broni praw uciśnionéj ludzkości. Wypadek jest niewątpliwy: albo niewola zostanie zniesioną, albo prowincye południowe oderwą się od północnych, opierających się dotąd emancypacyi.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (*Red. J. Łukaszewicz.*)

jając ulice, kanały i mosty, w 10 minut do sklepu przyleciał. Pan Gruyter ma ogromny skład rysunków — a widząc mię ledwo nie wcwał biegącego, zdyszanego, przeląkł się z razu, myśląc, że mu jakieś nieszczęście zwiastuję. Co pan każe, zapytał. — Rysunków, sztychów, zawołałem. A a to pan chce kupić. — A jużcić. — To i czegoż pan tak nagle dzwonisz, jakby się paliło — proszę pana z sobą.

Ścisnąłem zęby i w milczeniu poszedłem za nim na pierwsze piętro. Przejrzałem ze 20 tek portretów, wybrałem kilkunastu ślicznych Falków, kilku Romanów de Hooghe, Hondiusa, Smitha — zapłaciłem ze 30 florenów i wtedy dopiero pomiarkowałem się, żem głupstwo zrobił, żem kieszeni trochę nadszarpnął. Aż tu nielitościwy Gruyter nowe śliczności pokazuje: Vorstelyck Taffel Roma de Hooghe. (Portrety wszystkich monarchów Europejskich z końca XVII w. z Janem III. we środku — wielki arkusz) 6 flor.

Smitha portret Augusta III. i Eleony — oba *avant la lettre*, 20 flor. — drugi exemplarz Krzysztofa Radziwiłła, Władysława IV., Pontiusa — Holenderskie sprawy Płońskiego 14 flor. i ręczny rysunek tegoż 16 florenów. Kupiłem co było tamże, a zanotowawszy resztę, schowałem pugilares do kieszeni z postanowieniem najmocniejszém, iż nic już więcéj nie kupię.

O jakież ja wtedy męki wycierpiałem — ale słowo się rzekło — odłożyłem do lepszych czasów — jeźli te kiedy nadejdą.

Tegoż samego dnia wyjechałem do Arnheim — poco rzeczywiście nie wiem — znaleźć co w tutejszych archiwach, ani myślałem — a przecież nie żałuję mojéj podróży. Obaczyłem kursa łyżwowe.

Mieszkańcy południa, wschodu i zachodu — macież wy pojęcie o kursach łyżwowych! Mężowie Albionu będziecież się szczycić waszemi kursami konnemi w obec Holenderskich łyżwiarzy. Nie — przejechałem tak ogromny kawał Europy, przyjrzałem się nie jednéj osobliwości, a nic podobnego nie widziałem.

Proszę sobie wystawić ogromne jezioro, kanał, rzekę, lub co chcecie. — Woda doskonale zamarzła, ale tu i ówdzie zdarzają się trzęsawiska i odparzelizny. Myślicież, że te niebezpieczeństwa wstrzymają Holenderskich łyżwiarzy. — Bynajmniéj.

Wzdłuż brzegów wieńcem stanęło koło ciekawych — jeszcze kursa nie rozpoczęte — jeszcze swawolna pogadanka. Zapaśnicy próbują łyżew, sznurują je do butów, a łyżwiarki — o bo w Holandyi i damy się ślizgają. Cudowny to widok, wśród najtęższego mrozu w lekkiéj sukience po kolana w majteczkach czerwonych, z łyżwami na nogach, migają się jak błędne ogniki po zwierciadlanéj lodu powierzchni.

Mężczyzni pozrucali tużurki, stanęli rzędem i... Dano znak.

Naraz pięćdziesięciu łyżwiarzy rzuciło się naprzód. — Bieg ich z początku powolny, coraz się wzmaga, coraz natęża. Już się rozpędzili — lecą jako strzały. Ale linia się łamie, kilka punktów naprzód wybiega, a ogon coraz to dłuższy wlecze się za nimi. Cóż wyrówna ich szybkości — cóż potrafi wstrzymać ich chyżość. — Lód słabieje, na powierzchni pokazuje się woda; widno, że tutaj nie zamarzła. Muszą znać położenie, zapewne zatrzymają się zwolna. Gdzie tam pędzą, żebyś ich nie dogonił, wsiadłszy nawet na gołębia. Nadbiega pierwszy, wytęża siły i skacze — jak żyję takiego skoku nie widziałem, może 12 lub 15 kroków jednym susem przesadzi i pędzi daléj, a za nim reszta. Wszyscy szczęśliwie przeskoczyli. Tylko szereg zupełnie się zerwał i jak stado bocianów leci w nieforemnych grupach. Już ich dojrzeć nawet trudno — już ich wcale nie widać.

Tłum widzów krzyczy radośnie, klaszcze wesoło, biegnie za nimi. Wszyscy kierują się w tamtę stronę, pójdę i ja.

Ale wnet drugi rząd się formuje. Mężczyzni biorą pod rękę damy i czekają na hasło. Puszczają się pary, trzymając za ręce jak w tańcu. Prześliczny widok. Ciała ich schylają się, to w jednę, to w drugą stronę, jako kłosy zboża gnące się przed wiatrem. Różnobarwna gra kolorów, porozpuszczane warkocze, suknie igrające z wiatrem — tworzą taką dziwną, malowniczą mieszaninę. Kobiety na krok nie ustępują mężczyznom, pędzą jak i oni, skaczą jak i oni — rzekłbyś, że ludzie ci zabrali nogi jeleniom, odarli ptaków ze skrzydeł.

Ale dość tych opisów, czuję, że tego dokładnie opowiedzieć nie mogę. Trzeba własnemi patrzeć oczyma, żeby mieć wyobrażenie o podobnego rodzaju widowisku.

Zwycięzcą był p. Okke van der Wal z Workum — 165 łokci Niderl. ubiegł w 14 sekundach, zatém milę w 7 minutach i 51 sekundach.

Mężczyzna z kobietą dłuższego nieco potrzebuje czasu, i w tym stósunku ubiegnie milę w 10 minutach. Imiona znakomitszych łyżwiarzy przechowują się w pamięci Holendrów. *Kuryer Arnhejmski* opisując ostatnie kursa, układa chronologiczną listę:

Roku 1809 20. Stycznia w Lecuwarden Haukje Gerrits ubiegł 148 łokci w 12″ — zatém milę, mającą 5,555 łokci Niderlandzkich, w 7 minutach 35″.

Roku 1823 2. Stycznia Jerzy Atsma z Trynetą Joanną Reidingą i Piotr Speerstra z Anną Speerstra ubiegli 226 łokci w 26″ — zatém milę w 10′ 35″.

Roku 1823 18. Stycznia Anna Speerstra 207 łokci w 8′, milę w 8′ 13″.

Roku 1830 14. Stycznia Hoitema 163 łokci w 17′, milę w 9′ 39″.

Roku 1838 15. Stycznia Fr. Huizinga 162 łokci w 15′, milę w 8′ 34″.

Roku 1840 21. Grudnia Fr. Huistra 168 łokci w 15′, milę w 8′ 16″.

W roku 1823 Piotr Stornebrink ubiegał milę w 7′ 59″. — Biorąc więc te szybkość za zasadę, chcę on wymierzyć do większych odległości, przypuszczając ciągle jednakowy bieg. Biorę najwyżéj położony punkt w Holandyi i kreślę drogę kolei żelaznéj:

Z Lecuwarden do Amsterdamu ujechałby w 2 godz. 36′ 20″.

Z Lecuwarden do Hagi ujechałby w 3 godz. 54′ 30″.

Z Lecuwarden do Brukseli ujechałby w 6 godz. 30′ 50″.

Z Lecuwarden do Londynu ujechałby w 9 godz. 45′ 15″.

Z Lecuwarden do Paryża ujechałby w 12 godz. 22′ 35″.

Szybkość ta przechodzi nieporównanie chyżość konia, lub kolei żelaznéj, gdy koń jak wiadomo ubiega najwięcéj 15 stóp na sekundę, a najszybszy bieg kolei żelaznéj wynosi 6 mil na godzinę.

Ślizganie się na łyżwach w Holandyi nie należy do rzędu saméj tylko przyjemności. Cały kraj przerznięty jest kanałami, kanalikami, tak, że nie masz wsi, nie masz domu, gdzieby woda nie dochodziła. Najłatwiejsza zatém komunikacya w zimie odbywa się na łyżwach, a jako Górale mają między skałami ścieżki najbliższe i najwygodniejsze, tak i łyżwiarze wiedzą, które kanały mają wybierać, aby dojechać jak najprędzéj. Jadąc z Hagi do Amsterdamu, widziałem na pobocznym kanaliku, który szedł wzdłuż kolei żelaznéj, mnóstwo łyżwiarzy, ciągnących z sobą na sankach pakunki do miasta. Opowiadano mi, że każden wprawny łyżwiarz 20 mil bez trudności na krótkim dniu łyżwowym ubiegnie. Komunikacye łyżwowe wystarczają zupełnie do zaspokojenia drobnych potrzeb handlowych, i podają mieszkańcóm wygodny i niekosztowny sposób ciągłego znoszenia się między sobą. Z tego powodu istnieją wielkie stowarzyszenia łyżwiarzy, a rząd wyznaczając nagrodę dla najwprawniejszych ślizgaczy, zachęca do wprawy i konkurencyi.

Ale czas już wrócić do mojéj podróży. Z Arnhejmu wróciłem się do Utrechtu.

Pan Vreede, do którego miałem listy rekomendacyjne, przyjął mię prawdziwie po koleżeńsku. Przedstawił zebranym na herbatę gościom i opuściwszy kompanią, wyłącznie się mną zajął. Zona jego dziwnie łagodnéj i miłéj fizyognomii, bawiła towarzystwo niewymuszoną rozmową, kiedy mężulo biegał z dołu na górę, znosząc książki i manuskrypta. Do jedenastéj wieczorem czas zeszedł mi przyjemnie i pożytecznie, a pan Vreede żegnając się, zaprosił mnie na cały dzień następny do siebie.

Nazajutrz o godzinie 10téj przysłał już po mnie swojego bratanka, i podczas prelekcyi zasadzi mię nad stósem manuskryptów, które już nie czytać, ale po prostu wypisywać mi przyszło, według wskazanych mi miejsc. Następnie zaprowadził mię do Archiwum i Biblioteki, gdzie aż do 4téj spokojnie pracowałem. Ale — ale — pan Archiwista — szkoda, iż zapomniałem jak się nazywa — wyborny człowiek, zagrzebał się w średniowiecznych papierach, i odpowiedział mi, że od XI do XV wieku nic o Polsce nie znalazł — być może, że w następnych cośby się znalazło, ale któżby w tych szpargałach przeglądał — to mówiąc wskazał mi na ogromny rzęd szaf i półek zapchanych stósami woluminów. Nie było do nich ani rejestrów, ani inwentarza. Pożegnałem więc go uprzejmie, on mię nader czule, przepraszając, za Archiwa, żem w nich nic nie znalazł, ale dodał, że gdybym czego potrzebował, z przyjemnością poda mi wypis wskazanego manuskryptu. Co za uczynność!

Wróciłem na obiad do pana Vreede i pracowałem u niego aż do północy. — Nazajutrz pożegnałem zacnego Professora, i opatrzony przezeń listami rekomendacyjnemi, wróciłem do Amsterdamu.

Jeden z moich kolegów klubu szachów, pan Kerekoff, zaprowadził mię do Muzeum rysunków i ogrodu zoologicznego, a następnie na obiedzie u siebie zatrzymał. Tyle razy jadłem już te niegodziwe holenderskie obiady, które zaczynają się od jarzyny, a kończą na herbacie — ale niepodobna mi było do nich się przyzwyczaić. Proszone obiady zawsze mi wychodziły na złe; nie dość, żem za nie musiał służącemu zapłacić zwykłą w traktyerni cenę, ale jeszcze odchorowałem. Wczoraj cały dzień piłem rumianek, przeplatując filiżanki pożegnalnemi wizytami.

Lejda, dnia 27. Lutego.

Kilkudniowy pobyt w Utrechcie, zostawił mi drogie wspomnienie życzliwości zacnego Professora Vreede. Uczony ten mąż, zajmuje się Historyą stósunków politycznych Holandyi, ze Szwecyą często się więc o Polskę ocierał, a z niezwykłą literatom uczynnością nawet ze swoich notat korzystać dozwolił. Dzieło jego: Nederlanden Zweden in staatkundige Betrekking. Utrecht 1841 i 44; dochodzi do roku 1618. Wymieniając stósunki Szwedzkie, koniecznie do Polski zachodzić musi. Bezstronny, pracowity, szuka samych źródeł, z nich czerpie i na nich się opiera. Szczególniéj ważną jest korespondencya Diderika Sticke, Burmistrza z Dewenteru, wysłanego r. 1616 przez Stany generalne do Elektora Brandeburskiego, z któréj Vreede niektóre wyciągi ogłosił mnie, zaś całkowite przeczytanie polecił.

Znalazłem w niéj nieznane szczegóły tyczące się oddania w hołd Xiążęcia Pruskiego Janowi Zygmuntowi. Za wskazówką zacnego Vreede korzystałem również z korespondencyi Korneliusza Hagi, Ambassadora Holend. w Konstantynopolu, od 1611—1637.; z listów Janaole Witta negociacii Dudleja Carleton Traktatu Wicqueforta o Ambassadorach, w którychto dziełach nieraz interessujące szczegóły znaleść się udało.

Biblioteka Lejdejska, zapewne najbogatsza w Holandyi, posiada ogromny zbiór manuskryptów oryentalnych, teologicznych i filologicznych — przeglądając katalog napadłem na Mss. No. 10., pod tytułem: „Ennumeratio villarum mansorum molendinorum etc. in Polonia, qua significatur quot pullos, ova, pisces et alia ad rem „familiarem spectantia Episcopo quotannis incolae „debeant. (In membrana per columnas literis „maximis, olim Caroli Epis. Brix et Vratis(la„viensis.)“

Rękopism ten in fol. min. znacznéj szerokości, z końca XIV, lub pocz. XV wieku, pisany na grubym pergaminie scholastyką prostą, majuskuły ozdobione farbą czerwoną, inicyały są większe i mniejsze. Większa pierwsza inicyalna ozdobiona złotem i zieloną farbą w listki, następne mniejsze inicyalne niebieskie z floresami zielonemi różowemi. Intytulacye czerwone.



Pismo aż do końca jednostajne. Ozdób, oprócz liter inicyalnych, nie masz żadnych.

Stronnica podzielona na dwie kolumny, wierszy 22. — Pismo ścisłości różnéj, tak, że wiérsz liczy od 16—22 głosek. Linie idą w zwyż 4., w szerz 23, skrajne 4 przecinają się, tak, iż tworzą czworokąt podłużny. Ćwiartek zapisanych 81, poprzedza ćwiartka pusta. Ostatnia ma 10 wierszy wolnych.

Widoczna, że rękopism ten jest kopią, oryginał może się znajduje w Archiwach Kapituły Wrocławskiéj. Ręką z XVII wieku zapisane są na boku słowa: „Ser. A. A. Caroli Epis. Brix. et Vratis.“ Treść samego dzieła przypomina dawne libri beneficiorum, jakoż rękopism ten zdaje się być inwentarzem dyecezyi Wrocławskiéj. Zaczyna się taki tytuł: „Nota in anti„qua civitate. In pascuis sunt tres mansi,“ i t. d. Następują tytuły: „Nota Meynhuse sunt. No„ta de Thetów. Nota in antiqua civitate. Re„gestrum terrae Nyssensis. Districtus versus Sty„naviam. Districtus versus Eigynhals. Distric„tus versus Vriemva. Paszcow caret provincia. „Districtus versus Wydnaw. Jure Polonico in „Osmachaw. Nota decimas dni. Episcopi Vrat. „conductas. Nota decimas polonicales. Nota de„cimas Ecclesiarum in Epatu.“ i t. p.

Rękopism (Nr. 134) Kroniki Marcina Polaka, idący aż do r. 1277, in 8vo, z początku XIV wieku, nie odznacza się żadną osobliwością.

Wypadło jeszcze przejrzeć w Lejdzie Album uniwersyteckie w wieku XVII i XVIII. Mnóstwo Polaków stale tam uczyło się; co większa, tak tutaj jak w Utrechcie Litwini, (zapewne w ogóle Kalwini Polscy) mieli subsydia roczne i miesięczne na wydziale teologicznym. Chciałem

więc w tym względzie czegoś się dowiedzieć. Prof. Kist, który naówczas u siebie miał Album uniwersytetu, przestrzegł mię, że musiałbym niezmiernie długo przeglądać, że liczba Polaków jest wielka — a że on wszystkie nazwiska uczniów z Album powyjmował i alfabetycznie je ułożył z każdego wieku, z chęcią więc spis swój przejrzy i wyjąwszy nazwiska Polaków, takowe mi nieco późniéj do Bruxelli prześle. Pochwyciłem go za słówko, oświadczając, że na jego uprzejmość rachuję i dokładnéj listy uczniów Polskich oczekiwać będę.

Kiedy tak spokojnie moją naukową pracą się zajmuję, nagle dobiega do mych uszu odgłos gromu, który strzaskał koronę Orleanów. Wieść o tym wypadku jakby iskra elektryczna wstrząsnęła całym mym organizmem. Stare, na wpół zbutwiałe rękopisma, wypadły mi z ręki. Przyszłość wionęła ożywczym swym powiewem w przeszłość, w któréj siedziałem zagrzebany. Poznałem, że nie czas dziś w historycznych zagłębiać się dociekaniach, że mię inne świętsze powołują obowiązki. W parę godzin po nadejściu pogłoski o rewolucyi Lutego, wyjechałem z Lejdy, rzucając bez westchnienia bogate jéj zbiory, radosny, zatopiony w roskosznych marzeniach. Śnie rozkoszny, po cóż tak prędko przeminąłeś? Dwa lata już prawie dobiega, jak opuściłem Holandyą, i dziś siedzę z głową pochyloną smutkiem, z sercem boleścią przepełnioném. Nieraz zatęschnię za grobową ciszą Niderlandzkich archiwów i bibliotek, w których jeźli nie szczęście, to przynajmniéj spokój znalazłem; chciałbym zagrzebać się w ich wilgotnych murach, ale nieubłagana rzeczywistość w inną pociąga mię stronę. Czy wrócę jeszcze kiedy do Lejdy, Utrechtu; czy posiądę te skarby, które odkryłem, których część zaledwie przywłaszczyć sobie zdołałem? Nie śmiem się spodziewać, a jednak mimowolnie daję przystęp nadziei, bo silną mam wiarę, że wola człowieka potrafi najtwardsze złamać przeciwności.

Droga z Krakowa do Warszawy.

(Opis historyczny.)

W roku 1844—46 i 47 — przejeżdżałem traktem Warszawskim, jużto do dóbr Grabowa w powiecie Radomskim — jużto do Warszawy — przeto co o miastach tych pobieżnie dowiedzieć mi się zdarzyło — przytaczając źródła, z kąd wiadomości czerpałem, w krótkości podam w Przeglądzie dziejowym téj części Polski.

Słomniki.

Pierwsze z przydróżnych miasteczek jadąc z Krakowa. — W starożytnéj Polsce T. Lipińskiego (1) tyle tylko powiedziano o téj lichéj dziś mieścinie: „Słomniki nad Srzeniawą, na mocy przywileju Kazimierza W. w roku 1358 założone na 10 łanach, używało prawa Niemieckiego.“

Miechów.

Klasztór Bożogrobców przez Jaxę herbu Gryf już 1153 r. fundowany. — Wisław, czyli Wislimir miał 1233 r. założyć istniejący dotąd kościół. — Nakielski w Miechowia (2), sławi Hipolita Rzymskiego, Biskupa Chełmskiego, który r. 1180 za Alexandra III., Papieża, był osobliwym dobrodziejem klasztoru Miechowskiego — r. 1312 Władysław Łokietek klasztór Miechowski na zamek obronny zamienił.

W mieście tém urodził się Maciéj z Miechowa, Miechowitą zwany (3) r. 1456. — Kształcąc się w akademii Krak., doszedł do wielkiéj biegłości w medycynie. — Zwiedziwszy obce kraje, został nadwornym lekarzem Zygmunta I. i Kanonikiem katedr. Krakowskim, nareszcie 8 razy sprawował godność rektora akademii. — Fundusze, zostawione przez niego na naukowe pomoce, są następne:

Na Professora nauki lekarskiéj w akademii Krak. — Na professora astrologii.

Na szkoły parafialne Ś. Jana i Ś. Anny w Krakowie, także na szkółkę Ś. Szczepana i WW. ŚŚ. — Uposażył nadto kilka szpitalów. — Bibliotekę XX. Paulinom na Skałce wystawił i wielkim kosztem uposażył. — Kollegia Jagiellońskie i juridyczne po pogorzelisku odbudował. — W swojéj księdze dziejów (ks. IV.) świadczy, że r. 1505 15. Sierp. spłonął klasztór i piękny kościół Miechowski ołowiem kryty. — Szkoła i kościół Miechowski winny także wiele uposażenia temu dostojnemu swemu fundatorowi.

Umarł roku 1523, a Mikołaj Wielicki uczcił go nagrobkiem w katedrze Krak., którego jednak dziś ślad nawet zaginął; a napis w Starowolskiego monumentach *Sarmatarum* czytać można.

Xiąż wielki i mały.

Założenie Xiąża wielk. odnoszą do nader starych czasów, bo do r. 1120, i wtedy miał już być w posiadaniu Tęczyńskich. — Do r. 1582, kiedy Myszkowski, Biskup Krakowski, kupiwszy Xiąż, różnowierców z niego wyrugował, często tu odprawiano synody.

Xiąż zdobi starożytny zamek Wielopolskich, dziś przez następców odnowiony (4).

---

(1) Tom II., str. 161.
(2) Str. 67.
(3) Sołtykowicz w dziele: *O stanie akademii Krakowskiéj*, str. 276.
(4) Starożytna Polska, tom. II., posz. X., str. 150.

Wodzisław.

Miasto to już 1370 r. Kazimierz W. testamentem Lanckorońskim darował. — Dziś prawie zupełnie zamieszkane przez Żydów. — W konstytucyach sejmu Grodzińskiego z r. 1678 czytamy: Że gdy przez dwuletnie powietrze w Krakowie, za Króla Jana III. panujące, wielka część Żydów wymarła; wielu z pozostałych schroniło się przed tą zarazą do miasteczka Wodzisławia, gdzie później wielki pożar znaczną sprawił im klęskę.

Jędrzejów.

Klasztór i opactwo Cystersów — tu przez Janisława, wprzód Biskupa Wrocławskiego a potém Arcybiskupa Gnieźnieńskiego, wystawiony, który jeden z opatów kościoła we wsi Brzeźnicy zwanéj, od rzeki, nad którą stoi dzisiejsze miasto — założył w roku 1271 — a Bolesław I. Wstydliwy, przywilejem swoim potwierdził r. 1576, odprawił się w tém mieście zjazd szlachty na poparcie elekcyi Stefana Batorego. R. 1607 zgromadzili się tu rokoszanie pod naczelnictwem Zebrzydowskiego, Wojew. Krak., co dla błachych powodów zakłócili spokojność kraju (5). — Oprócz, że miasto to chlubi się pobytem i pomnikiem Dziejopisa Kadłubka — jest jeszcze ojczyzną: Stanisława Reszki, Kanonika Warmińskiego — Opata Jędrzejowsk. Znamienity ten mąż, wychował się na dworze Hoziusza. — Zygmunt III. ceniąc w nim wiele pięknych przymiotów i naukę do poselstw, często go używał. — Wydał on kilka uczonych dzieł, a bibliotekę Jezuitom darował. — Umarł w Neapolu 3. Kwietnia 1598 r. (6)

Chęciny.

Zygmunt August 1550 r. potwierdził miastu temu jura montana i pozwolił kopać w okolicy kruszce za opłatą 10téj części — *Olbora* zwanéj i jednego grosza od niecki kruszcu.

Za Zygmunta III. znaleziono miedź niedaleko Kielc; uformowało się towarzystwo Górników, które nawet miało swoje ustawy. Jan Hieronim Caccia, Zygmuntowi III., a synowie jego Władysławowi IV. dostarczali narzędzi wojennych z fabryk przez tychże Królów uprzywilejowanych, które mieli około Kielc.

Za Augusta II., Biskup Szaniawski utrzymywał tu fabryki stali.

Opaliński w dziele: *Polonia Defensa,* str. 1334, mówi, że z Kielc i Chęcin kopią srebro.

W górach Chęcińskich, Władysław IV. rozkazał wykuć 2 kolumny 38 stóp wysokie — na jednéj z nich stoi posąg Zygmunta III. w Warszawie. — Druga, jak świadczy Rzączyński, w dobywaniu się złamała.

Mająca się wydać — Wiadomość o Górnictwie w Polsce — zapewne i dzieje tego miasta objaśni (7).

Piękna droga ku Chęcinom — malownicze położenie wiosek w rozdołach, mnóstwem rzeczek skrapianych — w szybach pojazdu, gdyby w panoramie w coraz piękniejszych przedstawiają się widokach. — Trzy baszty, ostatki ruin Chęcińskiego zamku, co w nim niegdyś dumna Włoszka Bona przemieszkiwać miała, a dziś sterczące obok ruin kościołka i usianego mogiłami cmentarza, do dziwnych uczuć nastroją ci duszę. — Rzeka *Trupnią* zwana, pamiętna porażką Szwedów, gdzie mokry grób dla siebie znaleźli, do smutniejszych jeszcze myśli rozbudzi wyobraźnią. — Okolica poczyna odtąd być coraz lesistszą, a Kielce malują się już na tle borów.

Miasto Chęciny, dla częstych napadów nieprzyjacielskich, znacznemu zniszczeniu i upadkowi uległo. — Na sejmie w Warszawie roku 1677 za Jana III. odbytym, nadano temu miastu przywiléj na lat 4. — a to w sposobie: iż w tém mieście puste place, do których się właściciel w ciągu roku nie zgłosi, przez Starostę na zabudowania mają być ludziom prywatnym oddane.

Mieszkańcom wolno wszelkiemi trunkami szynkować, one robić, lub z kądkolwiek sprowadzać — takież potwierdzenie czytamy w Dyaryuszu następnego sejmu, w Grodnie 1678 roku odbytego.

Szydłowiec.

W koło lasy pełne rud żelaznych — dawniéj dziedzictwa Książąt Radziwiłów — za czasów Starowolskiego pięknie zabudowane; dziś zamieszkane wyłącznie przez Żydów — w długie, lecz brudne rozciągnęło się ulice.

Mijając wsie: Janiszew — Firléj — Wielogura i Wsołę, przerzynane kilkoma korytami rzeki Radomki — ukazują się wieże dziś gubernialnego miasta *Radomia.*

Siarczyński w wydanym świeżo (1847 roku) przez Tymoteusza Lipińskiego: „Opisie powiatu Radomskiego" — tak mówi o początku nazwiska tego miasta. — Nazwisko *Radom* wyprowadzają niektórzy od domu Radnego, w którym tu 12 Wojewodów Rady swe odbywało. Jakoż niesie powieść o miejscu górzystém, pewnie ręką ludzką zrobionèm, za starém miastem, gdzie kościółek pusty Ś. Piotra (najdawniejsze w tém mieście probostwo, teraz do Benedyktynów należące), jakoby tam radne było mieszka-

(5) Opis Starożytnéj Polski Siarczyńskiego.

(6) O nim dowiadujemy się z Baroniusa — Lipsiusa — Starowolskiego w Mecaton str. 32, z Niesieckiego, tom III., str. 857. — Listy jego wydał z rękopismu Ambr. Grabowski w swoich Starożytnościach Polskich.

(7) Opis Starożyt. Polski. — Siarczyński, wyd. II., str. 182.

nie. — Inni od Kazimierza, Króla, jakoby odpowiadając proszącym: *rad, dam,* dał powód temu nazwisku. — Że zaś Radom mógł dalszą dawniéj mieć posadę nad rzeką Radomką, dziś o 2 mile od miasta leżącą, i nazwisko téj rzeki i wzmiankowana w staréj taryfie wieś: Stary Radom, są tego dowodem.

Dzieli się na nowe i stare miasto. Stare straciło zupełnie wszelkie podobieństwo do miasta — w nim kościół farny murowany — założony przez Bolesława Wstydliwego może 1261 r. — Nowe miasto lokował Kazimierz II. i kościół farny murował, — a Kazimierz Wielki obwiódł miasto murem — fosami i 4 basztami ozdobił — jak dotąd widzieć napis na bramie Iłżyckiéj: *Opus Regis Casimiri 1337.* — Opuściwszy drobne szczegóły opisu tego miasta, o których z wspomnionego dziełka, jakoteż z Opisu starożytnéj Polski, Święckiego, str. 188, wyd. II.; — także z starożytnéj Polski Lipińskiego — dowiedzieć się można — nieco powiem jeszcze o téj możnéj niegdyś siedzibie Barbary i Katarzyny, żon Zygmunta Augusta, Elżbiety, i Kazimierza IV. — Tu przyjmowano. Posłów Czeskich z nominacyą Władysława na ich Króla — tu w zbudowanym na ten cel zamku przez Kazimierza Wielkiego przemieszkiwali przejeżdżający do Litwy Królowie nasi. — Zamek ten przekształcono późniéj na Archiwum sądowe. — R. 1503, za czasów Alexandra, odbywał się sejm, na którym powiększono swobody szlachty — na tymże sejmie stawiono przed Królem nieszczęśliwego Szacha Achmeta, Hana Tatarskiego. — Oprócz zniszczeń, jakich ucierpiało to miasto w starych czasach od Tatarów i Litwy, Szwedzi pod wodzą Aschenberga 1656 r. stoczywszy porażkę pod tém miastem, ze szczętem go zniszczyli. — R. 1767, powstała tu generalna Konfed. pod laską Radziwiłła i Brzostowskiego. Oprócz lichego ratusza, miasto to posiada kilka budowli murowanych: Collegium Schol. Piarum fundacyi Wąsowicza, Stolnika Zakroczymskiego, jakto czytamy w Konstytucyi sejmu Warszawskiego z r. 1690.

Ks. Prokopowicz, na miejscu starego Benedyktynów Sieciechowskich kościoła, wybudował nowy. Za miastem są Bernardyni fundacyi Kazimierza W. i Benedyktynki osadzone i nadane od Tarły, Starosty Zwoleńskiego, 1620 roku. — Prócz tych puste kościółki Ś. Leonarda i Ś. Piotra. — O przywilejach temu miastu nadawanych mówi Siarczyński w przytoczoném na czele dziełku — str. 106. — Wzrost dzisiejszy tego miasta, datuje się od przeniesienia tu Gubernii z Kielc, gdzie istniał ten urząd aż do roku 1844.

Jedlińsk.

W okolicy lesistéj — powiększéj części przez Żydów zamieszkane, ma dwa kościoły — jeden w ruinie — a drugiego wyniosłe wieże, z daleka już nęcą ku sobie — kamień nad wchodem głównym wmurowany, świadczy o jego fundacyi, przez Stanisława Wituwiusza, Kasztelana Sandomierskiego, ostatniego z swego rodu (nad drzwiami ciołek — zapewne godło téj rodziny). — Budowę tę dokończył Alexander Józef Załuski, Starosta Rawski — a po spaleniu przez Szwedów, zapomnieniu i zaniedbaniu, odbudował ostatecznie r. 1752 Stanisław Kostka Załuski, Biskup Krakowski.

Napis ten jest następujący:

D. O. M.
Domum hanc Dei
A Stanislao Vitovio Castellano Sando.
Ultimo de familia erectam
Ab Alexandro Josepho Załuski, Palat. Ravena.
Genero ipsius substructam
A Svecis combustam — a Rectoribus neglectam et a possessoribus derelictam
Andreas Stanislaus Kostka Załuski, Episc. Cracov., Dux Severiae, Filius Bonorum haeres.
Primo possesionis suae A. D. MDCCLII.
Ad majorem Dei gloriam
a fundamentis solidavit
restaurit — ornavit.

Wnętrze kościoła zdobią piękne dość *alfresca.* Utrzymywano tu niegdyś szkoły (8) pod dozorem Akademii Krakowskiéj. Za Jagiełły odprawił się sejm. — Władysław IV. nadał 2 w roku jarmarki. — Miasto to dziedziczyli — od niego zwani: Jedlińscy, Kadłubscy, Ożarowscy, Gorajscy, Załuscy, Szembekowie, Sołtykowie; znowu przeszło w ręce Załuskich; późniéj własność Lanckorońskich; nareszcie Trzcińscy, z których jednemu wystawiono pomnik na tamtejszym cmentarzu.

Kraków, dnia 20. Listopada 1849 r.

J. Ł.

Zabytek starożytny, znaleziony w Witosławiu.

Pomnik z *ołowiu*, odlany w formie *kościołka*, tak jak go widzimy przed sobą, znaleziony był w Witosławiu, w powiecie Wyrzyskim; w miejscu, na którém, wedle podania starych ludzi, stała niegdyś kaplica, któréj fundamenta i podziemne sklepienia znajdują się jeszcze cząstkowo w ziemi. — Zabytek ten nie zachował się w całości; braknie na wieży krzyżyka, jak widać z wierzchniego otworu, w któ-

(8) Opis Staroż. Polski, wyd. 2., str. 188.
Opis powiatu Radomskiego. — Warszawa, 1847 r. str. 57.

rym słupek z krzyżykiem niezawodnie był osadzony; braknie także widocznie u dołu *zasuwki*, czyli spodku, który dolny otwór zamykał. — Z całego kształtu tego odlewu, wykonanego surowo, bez żadnego kunsztu, mianowicie zaś z *dolnego zasuwającego się otworu*, niemniéj także z samego materyału, t. j. *ołowiu*, którego do niego użyto, pokazuje się niewątpliwie: najprzód: że zabytek ten nie miał być pomnikiem *osobnym* sam w sobie, lecz, że miał pośrednie przeznaczenie, do innego celu; że więc powtóre i *napis* na nim się znajdujący na *inne* jakieś *dzieło* lub *wypadek* wskazywał. Zdaje się, że to jest modelik, czyli *wzorek kaplicy*, lub kościołka, który stał na tém miejscu, gdzie ten zabytek znaleziono, skazujący nie tyle postać budowy saméj, co służyć mający ku temu, aby wraz z innemi dokumentami, mianowicie pieniędzmi, którym służył niejako za *skrzyneczkę*, zamurowany był na *pamiątkę* zakładaniem fundamentów kaplicy w rzeczoném miejscu. Widać wyraźnie z dolnego otworu, że tenże był *zasuwany*, t. j., że *otwór ten służył za schowanie*. Zresztą mógł modelik ten służyć *sam* za *zasuwkę większego naczynia*, w któróm dokumenta zakładowe były złożone. — *Napis*, znajdujący się na lewéj ścianie pomnika, jest *Niemiecki*, pisany *Gotyckiemi* głoskami, mało foremnemi, bez żadnego przedziału między wyrazami i zgłoskami, w trzech liniach, z których ostatnia kończy się na *froncie wieży* liczbą 4. — Napis brzmi:

Der freibet J. 1684.

To jest:

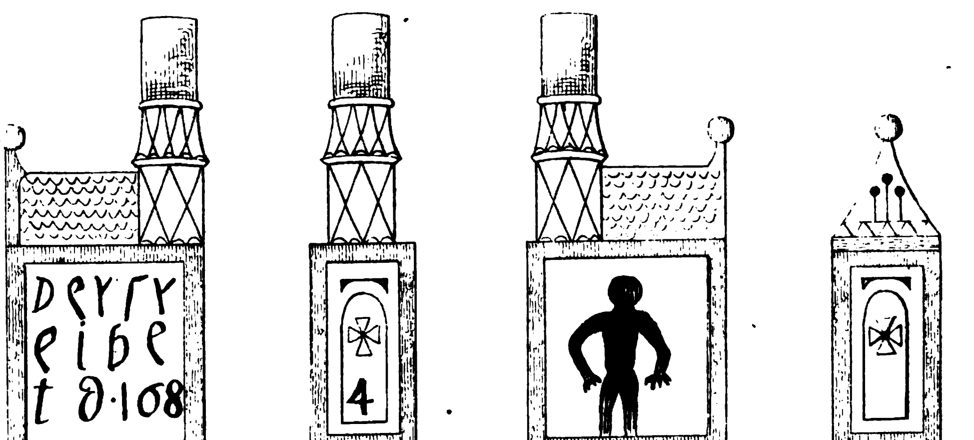
Der schreibet Jahr 1684.; co po Polsku znaczy:

Ten pisze rok 1684.

Zwykła ta forma oznaczenia roku na starych budowlach. Że napis Niemiecki, domyślać się tylko wypada, że *budowniczy* był *Niemcem*, nie, że kościół był *protestanckim*. Ciekawą jest na prawéj ścianie modeliku *figurka*, przypominająca postacią swą, jeśli nie jest prostą ozdobą, postacie bożków pogańskich. Może to *tradycyjny symbol*, że w tém samém miejscu kiedyś było poświęcone miejsce ofiarne, lub świątynie pogan, rozumie się *Słowiańskich*.

Nazwisko wsi Witosław sięga niezawodnie czasów pogańskich. Nie pochodzi ono od imienia *Wit*, ale od pierwiastku *Wit*, *Witek* — *zwycięstwo*, *zwycięzca*, bohatér — jest to więc *miejsce sławne* jakiémś *zwycięstwem*. Całe położenie wsi jest ciekawe. W takich miejscach Sławianie lubili zakładać grody i świątynie, lub ołtarze ofiarne. Sądząc po licznych *urnach*, które się w bliskości wykopują, można wnosić, że tu się jeszcze nie jeden zabytek w ziemi przechowuje. W ogóle strony te ciekawą dla Słowiańskiego podróżnika mają fizyonomią.

P. s. Zabytek ten wedle powyższego objaśnienia, zwłaszcza, że dopiero 165 lat liczy, nie wielką ma wartość artystyczną i antykwarską. — Wszakże wartość jego niesłychanieby się podniosła, gdyby można przypuścić, że w liczbie roku 1684 — liczba 6 jest 0, coby bardzo być mogło, bo i przy literach, D w pierwszéj linii, t w trzeciéj linii, J w téjże linii, są dodatki zbyteczne, pochodzące z niezgrabnego wyrycia liter w formie do odlania. Zabytek, przeniesiony w rok 1084, byłby istotnie wielkiéj wagi, bo byłby świadectwem, *że istotnie na miejscu kaplicy stał niegdyś kościół pogański*. *Figurka* z jednéj strony zabytku, miałaby wtenczas jakieś pewne znaczenie, którego w pier-



Ściana lewa. *Front wieży.* *Ściana prawa.* *Ściana tylna.*

Zabytek starożytny, znaleziony w Witosławiu.

wstym razie tylko domyślać się trzeba. — Zresztą postać téj figurki, niemniéj i modelik sam, *starożytniéj wyglądają* jak rok 1684. Nie jest to jeszcze kształt *Gotycki*, linie *proste* w strukturze, *owalne* na tylnéj i przedniéj ścianie, *krzyże* w kształcie ✝, zwracają uwagę naszą na styl *romański*. — Rzeczywiście, kto spojrzy na zabytek, od razu będzie go uważał za daleko starszy. Zapewne musi się gdzie w archiwach powiatowych znajdować wiadomość o kaplicy Witosławskiéj. Jeżeli się w niéj ukaże, że kaplica była starszą, można z pewnością wnosić, że rok zabytku naszego nie jes t1684, lecz 1084. W każdym razie warto kopać i szukać w miejscu, gdzie przedmiot był znaleziony, i gdzie, jak mówią, kaplica stała. Równie zebrać trzeba szczegóły odkrycia; w ogóle, wszystko co się miejscowości dotycze.

W. Cybulski.

UWIADOMIENIE.

Z numerem dzisiejszym Przyjaciel Ludu wychodzić przestanie. Rocznik zaś bieżący składać się będzie z 26 Numerów i dodatku arkuszowego. Każdemu zapewne wiadomo, jak wiele winna jest pismu temu literatura nasza peryodyczna. W czasie bowiem owym, kiedy po klęsce politycznéj wszystko w letargu pogrążone było, kiedy zemdlenie jakieś ogarnęło umysły, Przyjaciel Ludu wychodzić począł. Powitany z radością, przyjęty ochotnie, wspierany pracami najznakomitszych pisarzy naszych tak z kraju jako i ze zagranicy, puszczał promienie swoje w około — a ogrzane niemi umysły do nowéj zachęcał pracy. Jemu tedy winniśmy nowsze tak obfite piśmiennictwo czasowe. — Lecz okoliczności polityczne, przerwały regularne wychodzenie pisma tego, za czém poszło umniejszenie się prenumeratorów i pracowników. — Pismo to, pierwsze u nas obrazkowe, z wielkim kosztem i niezaprzeczoną starannością wydawane, mieści w sobie wiele skarbów starożytności naszéj — w opisach i rycinach wielce rzadkich i ciekawych, które inaczéj możeby były zaginęły — w pamiętnikach historycznych — których wydanie osobno nie byłoby podobném i t. d.

Nadmienić jednak mi wypada, iż mam nadzieję, że nie zadługo może znajdzie się podobny Mecenas, jak był ś. p. Książe Sułkowski, który parę tysiącami rycin pismo to zaopatrzył, a ze zapomnienia je wyrwie i na stanowisku odpowiedniém postawi, a nawet i ja sam, skoroby się liczba prenumeratorów stósowna znalazła, nie wachałbym się daléj go wydawać.

Dawniejszych roczników Przyjaciela Ludu, od roku 5go do 10go za Tal. 10, od roku 5go do 16go za Tal. 12, w każdéj księgarni nabyć jeszcze można.

Nakładca **E. Günther.**

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: X. *Fr. Wawrowski*, w Krotoszynie.)

Przyjaciel Ludu.

Czyli:

Tygodnik potrzebnych i pożytecznych wiadomości.

Rok szósty.



Tom II.

27—52.

W Lesznie 1840.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera.

Spis artykułów
w Tomie drugim roku szóstego zawartych.

(*Artykuły oznaczone * mają dodane ryciny.*)

Digitized by Google

Przyjaciel Ludu.

Rok szósty. **No. 27.** **Leszno,** *dnia* 4. *Stycznia* 1840.



Wespazyan z Kochowa *Kochowski.*

Lutni moja ulubiona!
Lutni wdzięczna, złotostrona!
Kto twe cnoty, kto przymioty,
Kto wychwali dźwięk twój złoty?
Liryków p. 250.

Niezbyt odległą jest od nas epoka, w któréj żył ten znakomity pisarz dziejów i poeta polski, zaledwie jedném od nas przegrodzony stuleciem; a jednak o życiu jego żadnych nie mamy wiadomości. Nawet od troskliwego zbieracza żywotów, Niesieckiego, nie więcéj się dowiemy nad to, że był wojskim krakowskim, i że na wyprawie pod Wiedniem przeciw Turkom mężnie stawał. Nie on przecież sam jeden temu uległ losowi, że wchodząc w poczet lepszych pisarzów, i to jeszcze w czasie, kiedy język i nauki w największym były u nas zaniedbaniu; w nikim bliżéj niego żyjącym nie zatliła się chęć, aby wiadomość o życiu jego niepamięci wydartą została.

Urodził się Wespazyan Kochowski około r. 1633. (*) z ojca Jana Kochowskiego, herbu Nieczuja, podsędka sandom., sekretarza J.K.M. Rodzice jego zamieszkiwali w wiosce zwanéj Gaj, w pobliżu góry łyséj, czyli klasztoru Benedyktynów Ś. Krzyża, w którym rodzina Kochowskich grób miała familijny (*). Ojciec jego już nie żył w r. 1663., w tym bowiem czasie synowie dzielili pomiędzy sobą ojcowskie włości, i w tym roku Wespazyan pisał wiersz pożegnalny, opuszczając rodzinne gniazdo, pełen tęsknoty za kniejami gór święto-krzyskich, kiedy się przenosił do wśi Goleniowy, w województwie krak., powiecie lelowskim, przyległéj do Szczekocin, która mu działem przypadła; przyczém narzeka na prawa koronne, według brzmienia, których przywiléj obierania części z majątku ojcowskiego, młodszemu służył.

W rodzeństwie swojém, był najstarszym z pomiędzy trzech braci. Po nim idący Seweryn poświęcił się stanowi wojskowemu, i w młodzieńczym wieku za powrotem wojska z Węgier w czasie wojny szwedzkiéj, umarł w r. 1657. w miasteczku Biecz, a wczesny zgon jego, Wespazyan pięciu trenami opłakał (Liryk. p. 133). Najmłodszy brat Jan, dziedzic po ojcu wioski Gaj, którego on w Lirykach p. 243 wspomina, mieszkał potém w Moskorzowie w krakowskiém, a prócz tego była jeszcze i siostra imieniem Anna (**).

(*) W przedmowie do *Annales Poloniae. Clim. III.* który wyszedł z druku r. 1698. liczy sobie lat życia 66.

(*) Wymienia on, kto grób ten fundował: (Fraszki p. 41.)
Najpewniejsze dziedzictwo, niestracone włości,
Grób ten sobie budując i swéj potomności
Thomasz Sarna z Kochowa etc.

(**) Z bliższych krewnych, on sam wspomina stryja

O latach młodości jego, ani gdzieby nauki odbył, nic nie wiemy, lubo tuszyć należy się, że w krakowskiéj się akademii kształcił. Sam o sobie mówi, że kąpiąc się w rzece Pilicy około Sulejowa, o mało nie utonął, i tylko cudowi uratowanie życia pobożnie przypisuje (Lir. p. 118). Za panowania króla Jana Każimierza służył wojskowo przeciw Szwedom i Kozakom (Bentk. I. p. 296). Późniéj zawarł związek małżeński, i z żony Maryanny, któréj nazwisko familijne niewiadome, miał syna Hieronima Franciszka, którego do obrzędu chrztu ś. d. 16. Paźdz. r. 1674. podawał Franciszek z Pilicy Koryciński, z Miszowską, właścicielką Irządzy, a chrzcił go X. Stefan Łodziński, officyał pilicki. (Metryka parafii goleniowskiéj).

W owym wieku, gdy zbytek i za nim idące zepsucie jeszcze nie wcisnęły się były pod dach skromnego dworca ziemianina polskiego, gdy każdy z nich otoczony rodziną, sąsiedztwem i ludem włości swojéj, wiódł życie patryarchalnemu zbliżone, i w szczupłym zagrody swojéj zakresie szukał szczęścia i takowe znajdował; i Wespazyan Kochowski mieszkając w Goleniowy na łonie skromnéj prostoty, używał spokojności, oraz błogiego i niezawisłego bytu, o czém na wielu miejscach Liryków wyraża się. Tamże wystawił sobie dom nowy z drzewa, i daleki zbytku, skromnie takowy ozdobił, jak mówi Liryk. p. 305:

Nie łaje méj marmur nodze,
Bo go nie depcę w podłodze;
Choć stropy nie pozłociste,
Dość sumienie, jeśli czyste.
Choć nie wisi lanszaft nowy
Na méj ścianie rubensowy,
Konterfetów též nie wiele,
I nie dzieło Dollabele;
Lecz szpalery na me ściany,
Zawsze umysł niestroskany i t. d.

Ograniczonemu w pragnieniach, przestającemu na małem, ojczysty spłacheć ziemi dostateczne dawał utrzymanie, a pomny, że przy mierności szczęście mieszkanie zakłada, próżen zazdrości śpiewał:

Mnie lubo szczupłą miarkę szczęście dało
Doczesnych fortun; w tém się dosyć stało,
Że nie chcę więcéj. (Lir. p. 34.)
Panie! i za to dziękować ci trzeba,
Żeś gębie mojéj dał dostatek chleba.
Dosyć mój Panie! i za toć dziękuję,
Więcéj nie pragnę, tém się kontentuję.

swego poetę, kładąc imie jego przy innych celniejszych rymopisach naszych, w wierszu pod napisem: „Poetowie polscy" (Liryków p. 318) w tych słowach:

„*Widzę też z nimi i stryja starego,*
„*Oboją prezą Alexandra mego etc.*"

Z wierszów jego (Alexandra) polskich nic mi nie jest znane, a płód jego muzy łacińskiéj pod tyt.: „Impulsus domesticus", przydrukowany jest na końcu dzieła Wespazyana: „Hypomnema Reginarum Poloniae". Mówi o nim tenże w Klimakterze 3cim pag. 258 i 277, że służył wojskowo przeciw Tatarom, i do niewoli tychże dostał się, w któréj przez lat 16 zostawał. — O innym stryju, Felicyanie Kochowskim, wspomina w Klimakterze 2gim pag. 105.

Niwo ma! niwo, skibie ziemi plenny,
Ty coraz wieniec żytny, także pszenny,
Spokojnie na méj gdy położysz głowie,
Za fraszkę wasze korony, królowie! (Lir. p. 95.)

Czas zbywający od zatrudnień rólniczych, poświęcał naukom, a życie ziemiańskie przeplatał obcowaniem z muzami, i w zaciszu wiejskiém dzieła swe pisał (*). Niesiecki i Bentkowski, idąc za jego własném oświadczeniem się w przedmowie do trzeciego Klimakteru, czternastu dzieł przez niego wydanych tytuły wypisują, a z tych niektóre bezimiennie z druku wyszły (**). Z pomiędzy dzieł jego w poezyi najznaczniejszém jest: „Niepróżnujące próżnowanie" (Liryki) r. 1674.; a w dziejopisarstwie „Annales Poloniae" obejmujące dzieje panowania króla Jana Każimierza, w 3ch tomach, które Klimakterami nazwał, wydane w Krakowie r. 1683 — 1698 in folio. Tom zaś 4ty, obejmujący panowanie Michała, od r. 1669. do 1673., dotąd niedrukowany, znajduje się w rękopiśmie w niektórych bibliotekach, tak krajowych, jak zagranicznych, jak n. p. w Dreźnie.

Dawid Braun, surowy oceniacz pisarzów polskich, takie o téj pracy jego (Annales) pochlebne dał zdanie: „Kto rzeczy a nie słów „ciekawy, ten historyą Kochowskiego znajdzie „sprawiedliwą i dostateczną:" a sąd Brauna nie jest podejrzany, gdyż ten rzadko o którym autorze polskim w sposób pochwalny wyraził się. — Równąż dziełu temu zaletę przyznał w kilku słowach dobry sędzia płodów naukowych, książe Adam Czartoryski, który wyrzekł: „Kochowski wiele zalet ma w sobie (Myśli o pism. pol. p. 9)," — a Łuk. Gołębiowski mówi o nim, że poczet pisarzów XVII. wieku na nim się kończy, a on między nimi do najpierwszych policzonym być winien. (O dziej. pols. p. 148).

Bentkowski, tom I., pisze: „O poezyi Kochanowskiego powszechne jest zdanie, że „wiele w niéj widać mocy i poetycznego zapału; lecz bardzo często postrzegać się daje „brak czystości języka i wykształconego smaku." W zarzucie tym, jakkolwiek sprawiedliwym, to przemawia za Kochowskim, że to była wada powszechna, nie pisarza, lecz wieku, bo żył i pisał w tym czasie, kiedy język polski wiele już z dawnéj czystości utracił i łaciną był skażony. Juszyński (Dykcyonarz poetów,, w przywiedzionych przykładach wykazuje, z jaką łatwością pisał wiersz różnéj miary, i twierdzi: że

(*) Dzieła jego: a) Chrystus cierpiący etc., b) Ogród panieński, wierszem, które dopiero r. 1681. z druku wyszły, już kilką laty wcześniéj ukończone były. Na autografach obu tych dzieł, które posiadam, zapisana jest data: *Goleniovii, Rure meo paterno A.* 1676.

(**) *Jam hic et nunc protestor, me omnia scripta tam publici Juris per praelum jacta, et jam ad praesentem A.* 1698 *quatuordecimum prodit opusculum, quam adhuc dum in fragmentis domesticis existentia* etc. (Clim. III.) — Załuski *Biblioteka* etc. i inni, wspominają o jego rękopismach, które z druku nie wyszły.

tylko czystości języka brakuje, aby pieśni jego wzorową poezyą liryczną nazywać się mogły.

Przy innych zaletach, skromność była nieodstępnym Kochowskiego przymiotem: nie ulegał on bynajmniéj zarozumieniu o sobie, choć tylu płodami pióra swego niwę ojczystych nauk zbogacił. W przedmowie do 3go Klimakteru wyraża się: „Nie autorem, lecz tylko pisarzem dziejów „być się mienię. Kamienie i drzewo z innéj „odbieram ręki, a tylko wzniesienie budowli i „kształt jéj mojém są dziełem. Dla tego prze„cież ani tkanina pajęcza ztąd jest szacowniej„sza, że ją z siecie wysnuwa; ani praca moja „dla tego pośledniejsza, że ją wzorem pszczół „z cudzych zapasów brałem.“ Również nieśmiale trzyma on o swéj muzie, którą sam nieudolną być mieni, a wyliczając rodzaje wierszów, w których pióra doświadczał, księgę Liryków tak zakończył:

A ja pługa gdym dozorny,
Wiersze piszę, zaczém
Trudno ma być wiersz wyborny
Przy dziele wieśniaczém. (Lir. p. 376.)

Niewdzięczném bywało u nas powołanie autora: nietylko, że nie przynosiło korzyści, ale często sprowadzało jeszcze nienawiść i prześladowanie. Doświadczył tego i Kochowski, gdy z powodu dzieła jego „Niepróżnujące próżnowanie,“ akademia krak. processem obłożoną była, który autorowi niemało sprawił przykrości. Gdy dzieło do druku pójść miało, podał je tenże do cenzury duchownéj X. Kucharskiemu, kanonikowi krak., który je odesłał do rektora akademii X. Szym. Makowskiego, a ten je przejrzał, wiele wykreślił (*), znacznie odmienił, a wreszcie drukować pozwolił. Władza dyecezalna pozwała potém akademią, iż dzieło, w którém jest wiele rzeczy lekkich, drukować pozwoliła (**), i chciała ją z tego względu pozbawić władzy udzielania cenzury. Sprawa wytoczyła się do Rzymu, zkąd ją do Nuncyusza, w Warszawie będącego, odesłano. Bronił rektor praw akademii, obstając przy dawnych jéj przywilejach, i dobry się processu okazał skutek, tém bardziéj, gdy sam Kochowski obronę wypracował, w któréj między innemi pisze: „Ile „do książki, w téj nie wiem, coby tak śmiertel„nego było, żeby aż ogniem oczyścić się miało.

„Z dawnych czasów nie tylko téj wolności poe„tyckiéj nie ganiono, ale i owszem chwaloną „była; zwłaszcza w narodzie polskim te *jovia„litates* żartów, i w posiedzeniach przyjaciel„skich bawiące rymy, miejsce miały. Pisał „Jędrzéj Krzycki, arcybiskup gnieźń., Epigram„mata, Jan Kochanowski, Miaskowski, Rey, „Jagodziński, Wojc. Inez, Jezuita: a teraz „mężowie w senacie kor. siedzą, którzy się ta„kiéj w młodszym wieku nie wstydzą zabawy. „Nie wiem jednak, aby kto z pomienionych na „tak *severam crisim* przychodzić miał, jaka „mię teraz potyka. I owszem, Maro nasz pol„ski, Jan Kochanowski, poemata swoje wiel„kiemu senatorowi, Piotrowi Myszkowskiemu, bi„skupowi krak., surowemu przystojnych oby„czajów cenzorowi, przypisał.“ (Rękopism.)

Instrukcya, którą w téj mierze dało województwo krak. posłom swym na sejm r. 1676, zawiera między innemi: „Więc za przypozwa„niem akademii krak. o książkę *Lyricorum* do „JX. Nuncyusza, JP. Wespazyan Kochowski, „autor jéj, musi znaczną honoru swego po„nosić skazę; tedy to zlecamy Jmć PP. posłom „naszym, aby serio z JX. Nuncyuszem znieść „się raczyli, jakoby takie *praejudiciosa* stanowi „szlacheckiemu w sądach J. X. Mci nie stawały, „i honor szlachcica tego, krajowi dobrze zasłu„żonego, aby w całości utrzymany był.“ — Po takiém objawieniu się życzeń szlachty krakowskiéj, Prymas królestwa łącznie z Nuncyuszem, uwolnili X. Makowskiego od napaści, którą Andrzéj Trzebicki, biskup krak., z poduszczenia Jezuitów przeciwko niemu wymierzył.

Kochowski zaszczycał się tytułem podkomorzego i dziejopisa królewskiego (Cubicularius et Historiographus S. R. M.), i z tego zapewne powodu wskazany sobie miał dochód roczny na żupach wielickich. W bezkrólewiu po Janie III. kommissya żupna r. 1697. przyznała mu ten dowód względów królewskich: „Odezwał się „do kommissyi naszéj JP. Wespazyan Kochowski, „i okazał prawo na pensyą tysiąca złot. rocz„nie, od ś. p. króla Jana III. sobie konferowaną; „kommissya uważywszy cel łaski i hojności J. „K. Mci w uznaniu zasług tak godnego czło„wieka, który między innemi i *Annales* wieku „naszego pisze, i nie bez kosztu do druku po„daje, przez co potomkowie nasi wiadomości „rzeczy publicznych nabywać będą mogli; przeto „za nader słuszną rzecz osądziliśmy, JP. Ko„chowskiego nie tylko otrzymać prawem doży„wocia przy téj pensyi, i onę do pensyonarza „dla lepszéj pewności wprowadzić, ale jeszcze „i przyszłemu da Bóg, szczęśliwie panującemu „tak publicznie, jak prywatnie polecić go, aby „znakomite jego cnoty i zasługi hojniéj jeszcze „opatrzonemi były.“

Zgon jego uprzedziła małżonka, która umarła w Krakowie na końcu r. 1696; on zaś sam wkrótce za nią pospieszył, i dni krajowi, oraz nau-

(*) W obronie swéj (o któréj niżéj) pisze Kochowski, że X. Makowski prawie trzecią część Epigrammatów odmienił i wykreślił. Może z tych i podobnych, urósł rękopism, o którym Załuski i Bentkowski wspominają: „Ogród, ale nie pleniony; bróg, ale co snop, to innego zboża; kram rozlicznego gatunku etc.“

(**) Zarzut takowy odnosił się do Fraszek etc, których treść do swych widoków stósowano. Dekret legata pap., Franciszka Martelli, arcybisk. koryntskiego, od Innocentego XI. do króla Jana III., który tenże wydał w téj sprawie d. 25. 8*bris* r. 1676. w Warszawie, obejmuje w treści i akt oskarżenia, a w nim zarzuty przeciw książce, że zawiera w sobie: *multa obscoena et turpia, ac famam et honorem multarum personarum tangentia* etc.

kom zasłużone, zakończył w uroczystość Ś. Trójcy r. 1699. w Krakowie, gdzie i ciało jego pochowane jest, lecz miejsca spoczynku zwłoków wyśledzić nie mogłem. — Krótko przed śmiercią zostawił on pamiątkę pobożności swéj i miłości bliźniego w fundacyi szpitala przy kościele w Goleniowy, na pięciu wysłużonych i wypracowanych włościan, i uczynił stósowny zapis na widerkauf, w grodzie krak. w sobotę po oktawie Bożego ciała r. 1695.; którego to szpitala ordynacya przez niegoż samego sporządzona, w archiwum kościoła wśi Goleniowy utrzymuje się.

Nad zakrystyą kościoła włości jego znajdował się niegdyś staroczesny jego portret, który król Stanisław August, gdy w r. 1787. Kraków odwiedzał i w Szczekocinach w domu Urszuli z Morsztynów Dembińskiéj, starościny olbromskiéj, dni kilka gościł, do Warszawy zabrał, a na miejsce jego kopią nadesłał; i ten portret dotąd jeszcze w kościele goleniowskim widzieć można. Wizerunek zaś jego, przy czele będący, wzięty jest z ryciny tytułowéj, znajdującéj się przy niektórych exemplarzach jego Liryków.

Obyczaje pogańskich Prus i Litwy.

„Wieleby o tym narodzie można było chwalebnego powiedzieć, (mówi jeden kronikarz z 13go wieku), gdyby on wiarę chrześcijańską wyznawał.“ — Pochwała ta, niepodejrzana w ustach zakonnika, mówiącego o narodzie pogańskim, najlepszém jest świadectwem łagodnych jego obyczajów i charakteru.

Sposobem wyżywienia się mieszkańców Prus dawnych i Litwy, było polowanie, rybołówstwo, wychów bydła, i bardzo zaniedbane rólnictwo. Psy i sokoły używane były do łowów; sieci i wędy do rybołówstwa. Krowy i klacze dostarczały mléka, pszczoły miodu, owce wełny. Wychów pszczół szczególniéj ich zajmował. Nie tylko około domów, w dzikich nawet lasach pełno pasiek i barciów, do dziś dnia w Litwie znajomych.

Lud był czerstwy, zdrowy i silny, smukłego i wysokiego wzrostu; tak, że dotąd jeszcze pomiędzy ludem na Żmudzi i Litwie krążą powieści, o mieszkających tam niegdyś olbrzymach; i nie ma prawie okolicy, w któréjby dotąd niepokazywano ich grobów.

Odzież mieszkańców była prosta i skromna, podobna krojem do dzisiejszéj włościan litewskich odzieży. Najbogatsi nawet żadnéj do błyskotek stroju nieprzywiązywali wagi.

Ubiór męczyzn składał się z opiętéj, długiéj do kolan katanki, z grubego płótna, lub sukna, przepasanéj pasem skórzanym. Szyja, piersi i głowa były odkryte w lecie, w zimie ostatnią tylko okrywano futrzaną czapką z uszami. Obuwie składało się ze skór surowych, albo z kurpiów, ze świeżéj kory plecionych. Ostatnie, dotąd używane w Litwie.



Litwin pogański.

Gościnność była powszechna; najpierwszą jéj oznaką było upoić gościa. Każdy z domowych musiał przepijać do niego, dopóki mąż, żona i dzieci, wraz z gościem, nieupadli na ziemię.

Lecz nie sama tylko pijatyka uczty ich składała. Zaczynano je od ofiarowania bogom pierwiastków jadła i napoju. Poczém najstarszy wiekiem z biesiadników powstawał i przypominał, aby używając wesoło darów bogów, nie zapominali o przodkach, o dziadach swoich, a pieśń, sławiąca ich czyny, zwykle kończyła biesiadę.

Mieszkania były pospolicie z drzewa. Znakomitszym tylko dębu używać wolno było. Na górach zwykle wznosiły się ich twierdze, czyli zamki, z drzewa także, ale głębokim przekopem i wałami, od ognia i nieprzyjaciół bronione.

Nowe mieszkania poświęcano uroczyście następującym sposobem. Naprzód wpuszczano do nich przezedrzwi koguta i kurę; tuż za niemi wtaczano dwa okrągłe chleby. Jedno i drugie miało zgodne małżeństwo i obfite gospodarstwo oznaczać. Poczém najznakomitszy z obecnych gości, lub z wajdelotów, wchodził pierwszy do domu, i z pośpiechu niby upadając na progu,



Prusacy pogańscy.

wołał: „Niech tak szczęście i pomyślność spieszą się do tego domu!“

Wielożeństwo było we zwyczaju. Prawo pozwalało mieć trzy żony; możność i bogactwo powiększały dowolnie ich liczbę. Dzieci uważane były jako własność ojca, który mógł niemi podług woli rozrządzać, a nawet życia pozbawić. Ztąd pochodziło, że chcący zaślubić córkę, musiał ją pierwéj za pewną cenę z pod władzy ojca wykupić. Tym sposobem nabyta, nie dziw, że i w domu męża za niewolnicę uważaną była. Używana do wszelkich posług domowych, nigdy u jednego stołu z mężem zasiąść nie śmiała, i jak we wszystkich północnych narodach, żadnego towarzyskiego nie miała znaczenia. Córki jednakże znakomitszych rodzin, większych doznawały względów, i mając tytuł pierwszéj z żon, innych do usługi swéj używać mogły.

Pomiędzy weselnemi obrzędy, były niektóre prawdziwie piękne i pełne głębokiego znaczenia. Gdy już małżeństwo pomiędzy zalotnikiem i ojcem dziewczyny ułożone zostało, to jest, gdy się umówili o cenę; narzeczona, wigilią dnia zaślubin, spraszała do domu krewne i przyjaciółki swoje, i wraz z niemi przez cały wieczór śpiewała żałosne pieśni, opłakując w nich rodziców, ptastwo domowe i ogień, że już ich więcéj doglądać, karmić i utrzymywać nie będzie. Przyjaciółki dopomagały jéj pieśniom, jużto smucąc się razem, już ciesząc. Nazajutrz oblubieniec przysyłał po nią wóz ozdobiony zielonością i kwiatem, który ją do domu jego miał zawieść. Spreszone wczoraj przyjaciółki, postępowały za nim narzekając i płacząc. Przed progiem domu spotykał go oblubieniec, w jednéj ręce rozpaloną głownię, w drugiéj pełny puhar trzymając, i trzykroć z niemi około woza obiegłszy, podawał oblubienicy napój, wołając: „Jak w domu twoich rodziców, utrzymuj ogień w swym własnym!“ Natenczas woźnica, który ją przywiózł, powinien był wpaść szybko do domu, i porwać w biegu stojący przy ognisku stołek lub krzesło, błękitném płótnem zasłane. Płótno to stawało się jego własnością, jeśli się zręcznie uwinął; w przeciwnym razie stawał się przedmiotem pośmiewiska i obelg, i drugiemu miejsca swego ustąpić musiał. Naówczas wprowadzano oblubienicę do domu. Woźnica podawał jéj porwane przez siebie krzesło, mąż powtórnie napełniony puhar. Piła go siedząc przed ogniskiem, gdzie jéj umywano nogi, pokrapiając potém tą wodą gości, bydlęta i wszystkie sprzęty domowe. Poczém usta jéj namaszczano miodem, i zawiązawszy oczy, prowadzono do wszystkich drzwi domu, które się za dotknięciem nogą przed nią otwierały. Naówczas sypiąc na nią zbożem wszelkiego rodzaju, wołano: „Bądź rządną w domu, czcij bogów, a na niczém ci zbywać nie będzie!“ Wesoła uczta z tańcami, do późna w noc trwająca, kończyła obrządek i swobodę dziewczyny. Równo ze świtem następującego dnia, rozpoczynało się jéj niewolnicze życie, nie kończące się nawet i po śmierci męża; gdyż uważana za rzecz, wraz ze wszystkiemi sprzętami stawała się własnością jego dziedziców, którzy nią podług woli samowładnie rozrządzać mogli.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Odpowiedź na wycieczkę pana W. A. Wolniewicza, umieszczoną w Gazecie poznańskiéj numerze 305.

Bolesną jest, nader bolesną rzeczą, być odrywanym od ważniejszych zatrudnień swoich napaściami, na które najstósowniejszą odpowiedzią, byłoby milczenie. I taką odpowiedź miałby od nas pan W. A. Wolniewicz, gdyby w zaczepce z inwektywami na osoby nasze nie był połączył rozmyślnego wykoślawienia stanu rzeczy, tyczących się redakcyi Tygodnika poznańskiego, w niechwalebnym zamiarze durzenia Publiczności niedorzecznemi sofizmatami i parodoxami swemi. Odpieramy więc napaść tę, pomijając inwektywy, samego tylko autora ich hańbiące, i stawając jedynie w obronie świętéj prawdy, praw

i zasług naszych pod względem redakcyi Tygodnika.

Tygodnik poznański, na mocy piśmiennego, w Przyjacielu ludu już umieszczonego układu, jest naszą, niczém niezaprzeczoną współwłasnością; rozwinięcie zaś tego pisma, a nawet myśl do wydawania go, naszą wyłączną zasługą, pomimo najkrzykliwszéj protestacyi pana Wojkowskiego i pana Wolniewicza. Co do pierwszego, dowodzi kontrakt, umieszczony w Nr. 22. r. z. Przyjac. ludu, a zatem już znany Publiczności, która, na szczęście nasze, o powadze i świętości zawartych układów, o większości głosów i arbitralności, wcale różne od pana Wolniewicza ma wyobrażenie. Co do drugiego, mamy dowody w ręku, przemawiają za nami jakiekolwiek poprzednio położone w literaturze krajowéj zasługi, wyliczymy — jeśli tego będzie potrzeba — nasze artykuły, anonime, lub pod rozmaitemi znakami w Tygodniku umieszczane, okażemy korrekty i piłowania, które pan Wolniewicz zbyt łekce waży, pomimo własnego, gorzkiego doświadczenia, na *Marzannie*, (gdzie, gdyby był miał dobrego pilarza, nie byłby się tak na pośmiewisko wystawił), dowiedziemy nareszcie, — jeżeli o tém kto powątpiewa, — że pan Wojkowski niema takowego usposobienia naukowego, aby zdołał wznieść pismo peryodyczne, a cóż mówić, aby pozyskać zaufanie uczonych współziomków, którzy dopiero po zobaczeniu i należytém ocenieniu kilku pierwszych, przez nas ułożonych numerów, lub też na nasze imienne zgłoszenie się, pismo to pracami swemi wspierać zaczęli.

Powody, dla których niewystąpiliśmy publicznie (czego nam nikt rozsądny za złe poczytywać nie będzie) jako redaktorowie, jużeśmy w innéni miejscu wymienili i nie będziemy dla pana Wolniewicza wiecznie jednéj rzeczy powtarzać; dosyć na tém, że nimi byliśmy de jure i de facto, a kierowanie nasze redakcyą, którego pan Wojkowski sam niezaprzecza, (jak się to i z listu jego do nas, już po zaszłém nieporozumieniu pisanym, jawnie okazuje,) nieprzyniosło mu zaiste żadnego uszczerbku ani na sławie, ani na majątku, ani na honorze: owszem, co do pierwszéj — jeśli ją ma — naszéj ją winien pracy; wchodząc z nami w stosunki, nie ryzykował sławy, bo jéj nie miał; nie ryzykował majątku, jak wielu fałszywie mniemało, bośmy na wspólną korzyść lub stratę pismo wydawać zamierzyli i ostatnią istotnie ponieśli; że nie ryzykował honoru, nadmieniać pewnie niepotrzebujemy. — Za cudze głupstwo nie był pan Wojkowski karany, bośmy je dobrze piłowali, a jeszcze częściéj nie dopuszczali go do Tygodnika, jakto panu Wolniewiczowi zapewne wiadomo być musi. I na tém właśnie zasadza się jedna z głównych zalet redaktora, któréj bez nauki, bez wytrawnego sądu, bez zdrowego rozsądku i długiego doświadczenia dostąpić niepodobna.

Znagleni do występowania w własnéj obronie, oświadczamy niniejszém, że jakkolwiek obarczeni trudnemi obowiązkami powołania naszego i użyteczniejszemi pracami literackiemi, niemamy wiele czasu do prowadzenia tego bezowocnego sporu, wszelako każdą złośliwą napaść gotowiśmy odeprzeć, upraszamy tylko, żeby przeciwnicy nasi więcéj w rozumowaniu swojém ścisléj okazali loiki i nie wyrzekali się wszelkiego uczucia prawości, lekce ważąc najistotniejsze współeczności ludzkiéj ogniwa, to jest, dobrowolnie przyjęte zobowiązania, do których przecie każdy uczciwy człowiek, chociażby był i zupełnym nieukiem, poczuwać się zwykł.

A. Popliński.
J. Łukaszewicz.

W przypisku do artykułu swego, w Gazecie poznańskiéj Nro. 305. umieszczonego, powiada pan Wolniewicz, że mi przysłał do umieszczenia w Przyjacielu ludu wyciąg z Dyaryuszu sejmików średzkich; że odebrał odemnie odpowiedź, jakobym artykułu tego nie mógł umieścić (aha! hinc illae lachrymae!) dla tego, że Przyjaciel ludu jest pismem obrazkowém, nie polemicznem; że nie pojmował, jak wyciąg z starego rękopismu ma być polemicznym artykułem, i że nie pojmuje, jak można dla swojéj wygody raz przyjęte zasady nadwerężać. — Wyciąg, o którym tu pan Wolniewicz mówi, byłto wyimek z laudów średzkich z około środka 18go wieku. Zawierał w sobie wycieczkę podawcy, uboczną wprawdzie, ale rozmyślną, przeciw szlachcie, z wymienieniem nazwisk niektórych zacnych osób. Zdrowy rozsądek radził nieumieszczać pisma, nic nieuczącego, a mogącego wielu rozjątrzyć i polemikę niepotrzebną wywołać. Odpisałem zatém panu Wolniewiczowi w téj myśli: że artykułu jego (który za polemiczny indirecte słusznie uważałem) w Przyjacielu ludu umieścić nie można, bo w laudach średzkich, które biblioteka publiczna w Poznaniu od roku 1594. aż do upadku Polski posiada, znajduje się bardzo wiele pięknych rysów sposobu myślenia i działania szlachty; umieszczając tedy w Przyjacielu ludu z laudów średzkich brudy tego stanu, należałoby także z nich umieścić i piękne jego czyny: inaczéj, w cóżby się obróciła święta sprawiedliwość na świecie? Rozumiałem, że pan Wolniewicz pojął słuszność téj uwagi mojéj; zawiodłem się. Może pan Wolniewicz i tego nie pojmie, że bronienie się od napaści w piśmie własnéj redakcyi, nie jest przeistaczaniem go w pismo polemiczne. *J. Łukaszewicz.*

Uwagi nad sporem pomiędzy Redaktorami Tygodnika literackiego. (*).

Czytałem oświadczenie pana Poplińskiego i Łukaszewicza w Przyjacielu ludu; czytałem

(*) Redakcya Przyjaciela ludu, chcąc zatargi, redakcyi Tygodnika poznańskiego tyczące się, wiecznie

i odpowiedź na to pana Wojkowskiego w Gazecie poznańskiéj. Trzymam się faktów. A ponieważ pan Wojkowski nie powiada, że kontrakt w Przyj. ludu drukowany jest sfałszowanym, lub całkowicie zmyślonym, ponieważ więc uznaje go, milcząc, za autentyczny: przeto wniosek jest jasny i logiczny, że pan Popliński i Łukaszewicz mieli i mają prawo do redakcyi Tygodnika literackiego, bo tak paragrafy opiewają. Cóż na to pan Wojkowski? Oto są słowa jego: „Gdyby istotnie mieli najmniejsze prawo do redakcyi pisma mego, nie odstąpiliby byli de facto dobrowolnie od tego, czego tak namiętnie pragną.“ Pytam się każdego zdrowo wnioskującego, co tu za logika? Pan Popliński i Łukaszewicz przedłożyli nam dosłownie kontrakt dowodzący, że są Redaktorami, a pan Wojkowski powiada, że nie mają prawa do redakcyi. Albo panowie tamci zmyślili kontrakt, albo panu Wojkowskiemu nie dostaje siły najmniejszéj kombinowania. Pierwsze zapewne miejsca nie ma, bo pan Wojkowski kontrakt nie zaprzecza: jasną więc rzeczą, że przyznając ugody prawdziwość, głosi ją jednak za nieprawdziwą, czyli wierząc prawdzie, że dwa a dwa są cztery, powiada jednak, że nie cztery. Ci, co podobnie wnioskują, mają u Psychologów osobne nazwisko, nie chcę go jednak wymienić. Ująć się tylko muszę za Publicznością, któréj pan Wojkowski tak mało zdrowego rozsądku przyznaje, że jéj każe wierzyć ugodzie, czyli prawu pana Poplińskiego i Łukaszewicza do redakcyi, ale jednak przez wzgląd na pana Wojkowskiego i jego nową logikę, prawo to zaprzeczyć. — Idźmy dalej do wniosków. „Gdyby istotnie,“ mówi pan Wojkowski, „mieli najmniejsze prawo do redakcyi pisma mego, nie odstąpiliby byli de facto dobrowolnie od tego.“ Znów się odwołuję do zdrowego rozsądku, i pytam się, czyli z tego, że ktoś de facto dobrowolnie od redakcyi odstąpi, wynika to, że prawa do niéj nie miał? To może być osobiste pana Wojk. przywidzenie, lub wreszcie przekonanie, ale nie jest dowodem: bo ktoś prawo mieć może do redakcyi, ale równie dobrowolnie od niego odstąpić. — Owszem przyznaje pan Wojk. sam, że panowie Popliński i Łuk. byli de facto Redaktorami, bo od niéj de facto odstąpili: a odstępuje się tylko od rzeczy, w któréj się pierwej miało udział. Dopóki więc pan Wojkowski nie dowiedzie, że kontrakt wydrukowany jest zmyślonym, dopóty Publiczność mieć będzie wiarę, że panowie Popliński i Łukaszewicz mieli i mają prawo do redakcyi; a jeśli pan Wojk. tego nie udowodni, pokaże:

1., że kłamie;
2., że nie ma logiki za trzy grosze;
3., że pan Wojkowski wziął się w téj sprawie niegodnie. A to opieram jasno i mocno na tym dowodzie:

Ma pan Popliński i Łukaszewicz, podług kontraktu wydrukowanego, prawo do redakcyi, ale im stósunki i położenie poszukiwać go nie dozwalają. Bo lubo ugoda opiewa, że są Współredaktorami, pan Wojkowski jednak sam na imię swoje wyrobił pozwolenie, i dla tego Administracya i Cenzura, zawiadująca pismem tém, milczeć im każe, jako tym, co za Redaktorów nie są wpisani, i bez wiedzy téjże Administracyi redakcyą tę sprawowali. Publiczności! cóż sądzisz o człowieku, który widząc, że ktoś jest stósunkami i względami urzędowemi związany, i dla tego obrony — lubo prawnéj — przedsięwziąść nie może, korzysta z tego moralnego skrupułu i zawiedzie to zaufanie, jakie się w nim położyło? W moich oczach jest to wybiegiem prawniczym, rabulacyą. Wykręt ten mówi głośno za panem Poplińskim i Łukaszewiczem.

Dodaję wreszcie, że nieprzystało panom tym w Przyjacielu ludu nadmieniać o niedoświadczoności pana Wojkowskiego w literaturze, bo pismo się jego ceni i o nim świadczy, a nie jego usposobienie. Ale z drugiéj strony oburzająca jest pana Wojkowskiego zarozumiałość, któryby chciałby w Publiczność wmówić wielkość swoję i zaimponować tak krótkim a pełnym wyrazem: „Kto mnie zna, kto tych panów zna, będzie wiedział, co o téj całéj rzeczy sądzić.“ Myć z prowincyi znamy tych panów; ale by snać ktoś z odległych Czytelników fałszywéj nie miał wieści i opinii o trzech tych panach, donoszę wszystkim, że:

pan Popliński jest professorem literatury polskiéj przy gimnazyum poznańskiém od lat przeszło dziesięciu; ten sam, co oprócz dziełek pomniejszych, napisał Grammatykę obszerną łacińską;

pan Łukaszewicz, bibliotekarz przy książnicy Raczyńskich, jest autorem dzieł: O Braciach czeskich, O Dyssydentach, tudzież Historyi miasta Poznania;

pan Wojkowski, przed laty czterema uczeń klassy drugiéj gimnazyum poznańskiego, krótko po szkół opuszczeniu został Redaktorem Tygodnika literackiego.

Bydgoszcz, dnia 13. Grudnia 1839.

N. Z.

O kolejach żelaznych w Stanach Zjednoczonych Ameryki.

(*Z pism sen. Soczyńskiego.*)

W numerach 28—30 Przyjaciela ludu roku zeszłego, czytaliśmy *Opis otwarcia kolei że-*

umorzyć, nieprzyjmowała nadsełanych sobie z różnych stron artykułów, przeciw panu Wojkowskiemu wymienionych. Ale kiedy pan Wolniewicz po długiéj przerwie wystąpił teraz w porozumieniu z panem Wojkowskim w Nrze 305. Gazety poznańskiéj przeciw innym członkom redakcyi Tygodnika, Redakcya Przyjaciela ludu uważa za rzecz słuszną i potrzebną, aby opinia publiczna nie była mąconą, umieszczenie powyższego artykułu.



Nowy Jork.

laznéj z Paryża do St. Germain; z którego powzięliśmy wyobrażenie szybkości, wygody i poniekąd ważność samą tego nowego wielkiego wynalazku, który obecnie cały świat cywilizowany zajmując, coraz to więcéj się upowszechnia, tak dalece: że i u nas do życia publicznego jest powołanym. Koléj żelazna z Warszawy do Krakowa rozpoczęta, równie, jak z Wiednia ku temuż miastu prowadzona; dwie inne z Kowna do Lipawy i olbrzymia, jedna z największych w świecie, z Petersburga do Odessy, trzysta mil kraju przebiegać mająca, świadczą nietylko o wysokiéj troskliwości rządów krajowych, ale zarazem stają się rękojmią przyszłéj pomyślności ludów, którym poświęcone zostały.

Ameryka przodkując w tych wielkich przedsięwzięciach Europie i przewyższając ją dotąd w dziełach rzeczonych przemysłu i handlu, zasługuje na szczególniejszą z naszéj strony uwagę, za obeznaniem się albowiem z rzeczonymi środki kommunikacyj lądowych, poznamy tym samym ważność robót i błogie ich skutki. — W obrazie niniejszym korzystaliśmy z opisów przez P. Gerstner podanych, który świeżo z Ameryki powróciwszy, dokładną wiadomość o kolejach żelaznych ogłosił.

Pominąwszy niektóre z pomniejszych kolei żelaznych i kanałów, w Ameryce północnéj będących; wszystkie ważniejsze tego rodzaju kommunikacye w ostatnich 20stu latach tamże powstały. Do rzeczonych robót pierwszym powodem był kanał Erye, który prowincye zachodnie z rzeką Hudson, a tym samym z Nowym Jorkiem łączy. Kanał ten zaczyna się od miasta Albany, nad rzeką Hudson leżącego, i bieży aż do Buffalo, nad jeziorem Erye położonem; przebiega tedy 363 mil angielskich, a dodawszy do tego kanały poboczne, długi tém samém na 640 mil tychże, (do 140 mil polskich, nowych) ma zaś wswéj przestrzeni 394 stawideł, czyli śluz, 72 wodociągów i 1065 mostów. Zaczęty był r. 1817., a otwartym już w 1825 r. Nakłady nań wyniosły do 12 milionów dolarów, czyli 17 milionów talarów, a dochody od 1821. do 1838. do 15,204,470 dolarów, czyli około 21½ milionów talarów, z których atoli trzecią część na utrzymywanie odtrącić wypada. Żegluje dziś po rzeczonym kanale do 3000 statków, przez 15 tysięcy ludzi obsługiwanych. A lubo w czasach późniejszych rząd powodowany wielkiemi korzyściami i potrzebą, nowych nie szczędził nakładów, w celu przedłużenia i rozszerzenia robót tego rodzaju, lubo do 20 milionów na nowe przeznaczył odnogi i na boczne przewody 6,200,000 dolarów przyczynił; mimo atoli to wszystko, gdy potrzebie krajowéj i żądaniom przemysłu podołać nie może, zawiązały się w krótkim nawet czasie towarzystwa, końcem założenia wzdłuż dolin tegoż ogromnego kanału kolei żelaznéj, która już w znacznéj części ukończona, bieży od Albany do Buffalo, w długości 318½ mil angielskich, podzielona na siedm ustępów wzajem połączonych, do tyluż towarzystw należących.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (*Red. J. Łukaszewicz.*)

Przyjaciel Ludu.

Rok szósty. **No. 28.** **Leszno,** *dnia* **11.** *Stycznia* **1840.**



***Waleryan Szuszkowski, Protaszewicz*, herbu Drzewica, biskup wileński.**

Z historyą Jezuitów, z historyą zapasków katolicyzmu z protestantyzmem w Polsce, łączy się ściśle biografia Protaszewicza, biskupa wileńskiego; on bowiem pierwszy Jezuitów do Litwy sprowadził, on pierwszy bój zacięty z różnowiercami w stolicy Jagiełłów rozpoczął. Urodził się w roku 1505. Odbył nauki w Akademii krakowskiéj i otarł się podobno o główne szkoły włoskie. Zaopatrzony w znaczne zasoby nauki, a przytém przenikliwego z przyrodzenia rozsądku, zostawszy kapłanem, przebiegł wnet pod tak światłym, jakim był Zygmunt I., monarchą, który talenta wyszukiwać i nagradzać umiał, wszystkie stopnie w hierarchii, został naprzód kanonikiem, wnet potém dziekanem katedry wileńskiéj, pisarzem w. ks. litewskiego, daléj biskupem łuckim, a nakoniec w r. 1555 biskupem wileńskim. Na tym wysokim stopniu zaczęło się pasmo wielkich zasług jego dla ojczyzny i kościoła. Gdy Zygmunt August zamierzył ściślejszemi, niż dotąd, węzłami połączyć Litwę z koroną, jego do wielkiego dzieła tego używał szczególniéj. W téj ważnéj sprawie posłował Protaszewicz w r. 1564 od stanów litewskich na sejm warszawski, a na sejmie lubelskim w r. 1569, gdzie nareszcie pożądana unia doszła, Protaszewicz nieszczędził pracy i ofiar dla dopięcia tak chwalebnego celu. Ten sam sejm lubelski polecił mu korrekturę statutu litewskiego, a wcześniéj nieco Zygmunt August, wydając swoję siostrę Katarzynę za Jana księcia Finlandyi, ojca Zygmunta III., wybrał go między kilku innymi znakomitymi ludźmi do towarzyszenia infantce przy obrządkach ślubu.

Te są jego zasługi dla kraju położone. Nie mniejsze wyświadczył kościołowi. Smutny był stan kościoła katolickiego za jego czasów w Litwie. Z jednéj strony kościół wschodni stawiał silne czoło religii panującéj, z drugiéj Dyssydenci pod swoim możnym naczelnikiem, Mikołajem Czarnym Radziwiłłem, wojewodą wileńskim, odrywali od jedności kościelnéj dusz tysiące. Protaszewicz, podobnie jak niezmordowany sternik rzuconéj na burzliwe morze łódki, opierał się całemi siłami nawałności, miewał sam po kościołach gorliwe kazania; namową, łagodnemi napomnieniami, utwierdzał chwiejących się w wierze; krnąbrnym, zatwardziałym, odmawiał pociech religijnych, i gorliwość swoję do tego stopnia posuwał, że nawet zwłók możnowładzców, w podejrzeniu o słabość wiary zmarłych, w grobach familijnych po kościołach katolickich chować nie dopuszczał. A gdy już siły jego i duchowieństwa świeckiego i zakonnego przeciwnikom zbyt możnym i licznym wydołać nie mogły, oglądał się Protaszewicz na wszystkie strony, aby uciśnionemu kościołowi znaleść zkąd pomoc i obronę. W tém utrapieniu kardynał Hozyusz poradził mu, aby do Wilna

sprowadził Jezuitów. Trafiła myśl ta do przekonania Protaszewicza; zajął się niezwłocznie jéj wykonaniem, i już w roku 1570 oddał gotowe kollegium na 30 osób, Wawrzyńcowi Magiuszowi, prowincyałowi natenczas jezuickiemu w Austryi i Polsce, który z sławnym Stanisławem Warszewickim i kilku socyuszami do Wilna przybył. Wszakże i w tém przedsięwzięciu doznał wiele trudności: opierali się potężnie zaprowadzeniu Jezuitów w Wilnie różnowiercy; nie było dla nowego zakonu tego w mieście kościoła; Protaszewicz ustępował im archiprezbiteralnego, ofiarując proboszczowi jego, sławnemu Royziuszowi, bogatsze i wyższe stopnie kapłaństwa. Royziusz, nieprzyjaciel na głowę Jezuitów, niezważając na żadne prośby i groźby, nie chciał za żadne ofiary ustąpić świątyni i byłby się wszczął gorszący spór między duchowieństwem świeckiém, które Royziusz miał za sobą, a Jezuitami, gdyby śmierć jego nagła nie była uwolniła Jezuitów od najzaciętszego przeciwnika. Po zgonie Royziusza, oddał im Protaszewicz kościół, a w roku 1579 wyrobił u Grzegorza XIII. papieża bullę, upoważniającą Jezuitów do założenia akademii w Wilnie. — W tym samym roku, obciążony laty, styrany pracą, ustanowiwszy na lat kilka poprzednio swoim koadjutorem Jerzego księcia Radziwiłła, umarł Protaszewicz w 74m roku życia. Zwłoki jego złożono w kościele katedralnym wileńskim i poświęcono mu skromny nagrobek, którego napis czytać można w Starowolskiego: *Monumenta Sarmatarum.*

Protaszewicz, który jedynie nauce i cnocie wyniesienie swoje na wysokie w ojczyznie i w kościele stopnie zawdzięczał, usiłował tym samym sposobem drogę do szczęścia i sławy torować ubogiéj młodzieży szkolnéj; za życia wspierał ją datkiem, prowadził jéj kroki radą; po śmierci był jéj użytecznym, założywszy, na kilka lat przed swoim zgonem, przy uniwersytecie wileńskim bursę dla kilkunastu uczniów ubogich, zwaną *bursa Valeriana,* i opatrzywszy ją w dostateczne fundusze. Oby przykład jego w téj mierze, wyższe i dostatniejsze duchowieństwo nasze naśladowało!

Architektura.

II.

Klassyczna.

(Podług estetyki Hegla.)

Klassyczna architektura tém od samoistno-symbolicznéj się różni, że co tam, u ludów wschodnich, sameistne budowy były same dla siebie celem lub otoczeniem grobowem tylko, to teraz, w klassycznéj, są wyłącznie służebnemi dla ludzi lub dla posągów; czyli: duchowość, bądź w kunsztowéj, bądź w bezpośredniéj exystencyi udzielną jest sama i dla siebie i nienależącą do gmachów, będących tylko nieorganiczném jéj otoczeniem i według praw ciężkości zbudowaną całością we formach ściśle regularnych, prostokątnych, kołowatych i stósunkach pewnych liczb. Piękność architektonicznego otoczenia, zależy tu od jego zastósowania się do celu i stanowienia zamkniętéj w sobie całości, bez przybierania form organicznych, duchowych i symbolicznych; ponieważ, dzieło takie, z natury swojéj niezdolne do wyjawienia prawdziwéj duchowości, powinno być tylko zewnętrznym odblaskiem ducha.

Ten więc cel, służenia czemuś drugiemu, stał się odtąd panującym, owładnął całość architektonicznego dzieła, i jego główny kształt zakreślił, niedozwalając ani materyalności, ani swawoli samowładnie rządzić, i jak w symbolicznéj lub romantycznéj architekturze, poza obrębem użytkowym rozwijać ze zbytkiem rozliczne części i formy.

Zastósować się przeto do celu, klimatu, położenia, i umieć wszystkie te względy w zgodnéj całości połączyć: oto jest wszystko, co budowniczemu tutaj zostawione. U Greków najcelniejszym przedmiotem budownictwa były gmachy publiczne, świątynie, kolumnady, przysionki, i do przechadzek ganki, jak n. p. ów sławny wchód na Akropolis w Athenach. Domy zaś prywatne poprostu stawiano. Przeciwnie u Rzymian celują przepychem pałace cesarskie, wille, teatra, łaźnie, publiczne cyrki, studnie i t. d. Lecz budowle takie, jako ściśle użytkowe, mniéj więcéj tylko upiększanemi być mogły, a najmniéj względnym zawodem budownictwa zostały zawsze świątynie, jako kunsztowe otoczenia pięknych i uświęconych posągów rzeźbowych.

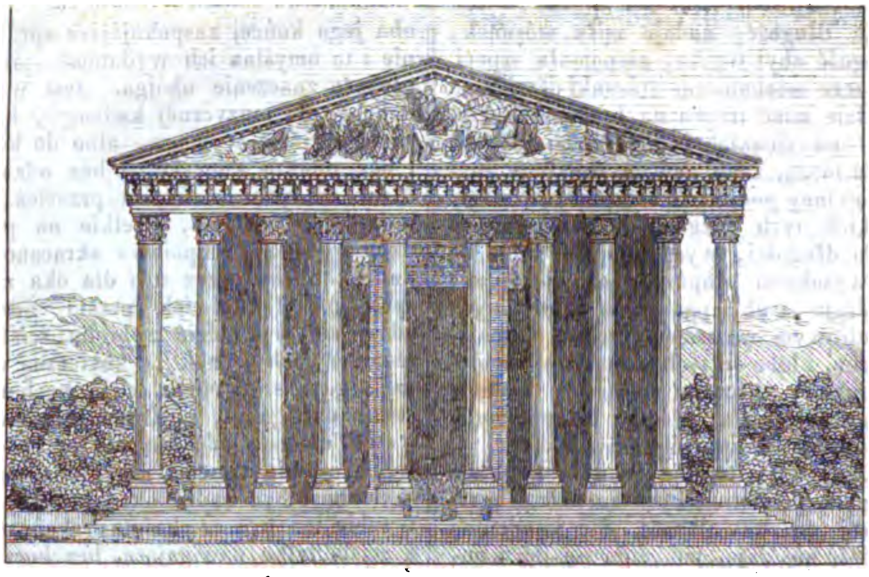
Moznaby ztąd sądzić, że niniejsza architektura właściwa, swobodniejsza jest niż symboliczna, biorąca z natury organiczne formy; swobodniejsza niż sama skulptura, która ulegać musi wzorem postaci ludzkiéj, gdy natomiast architektura klassyczna swe kształty i ich połączenie wedle potrzeby i rozumu wynajduje i tworzy. Wolność ta przecież, jest tylko pozorna, a zakres niniejszego budownictwa w istocie ściśniony. Fryderyk Szlegel nazwał architekturę zmarzłą muzyką; i rzeczywiście, oba te kunszta zasadzają się na jednéj harmonii stósunków, które się do pewnych liczb sprowadzić, i przeto w swoich głównych zarysach łatwo pojąć dają. Dom, jego mury, słupy, belki, z ściśle foremnych krystalicznych kształtów złożone, nastręczają treść do rozwinięcia owych zarysów w całéj ich prostocie, powadze, i wdzięku lubych dla oka stósunków. Tych jednak niemożna dokładnie na liczby i miary zredukować. Ale podłużny n. p. czworobok z prostemi kątami, wiele jest powabniejszy, niżeli równoboczny kwadrat, gdyż w pierwszym obok równości jest także nierówność. Szerokość

pół taka jak długość, nadaje miły stósunek, lecz zato długość zbyt wąska, niepomału szpeci. Przy tém jeszcze mechaniczne stósunki dźwigania i ciężenia pilnie mieć trzeba na baczeniu; n. p. ciężkie belki na cienkich i misternych słupach spoczywać nie mogą, i tak nawzajem, słupy zbyt wielkie niepowinny podpierać leciuchnych belek. We wszystkich tych względach i stósunkach szerokości do długości, wysokości budynku do grubości i wysokości słupów, ich odstępów, liczby i rodzaju osób, panuje u starożytnych tajemnica, zdrowym rozumem greckim wynaleziona eurythmia, i lubo od tych stósunków w pojedyńczych rzeczach zbaczano niekiedy, w ogóle jednak zachować trzeba główne przynajmniéj ich miary, jeśli niechcemy piękności ubliżyć.

Że użytkowe kształty téj architektury klassycznéj w swych prostoliniowych zarysach, pierwotnie, raczéj do drewniannéj, niż kamiennéj budowy odnieść się dają, pokazuje się już z naturalnéj, a właściwéj ku temu postaci drzew; gdy przeciwnie, kamienie w swéj przyrodzonéj nieforemności, zdolne do przyjęcia wielorakich kształtów za materyałem zbyt względnym, a przeto stósowniejszym do formy samoistnéj i fantazyjnych wzorów gotyckiéj architektury, niż do klassycznéj budowy. Mimo to wszakże, w czasach prawdziwego kwitnienia budownictwa greckiego wznoszono wszystkie gmachy z kamienia; lecz tak, że obok zastósowania się do materyału, przełyskał zawsze pierwotny zarys drewniannego składu.

W budowie domu, jako głównego typu architektury klassycznéj, kształty *dźwigające i dźwigane* są najważniejszemi częściami konstrukcyi, gdy znowu w romantycznéj architekturze, jako główny żywioł występuje *ściana,* czyli otoczenie; i lubo w zwyczajnem rozumieniu uważamy dziś ścianę za najwłaściwszą do dźwigania, to rzeczywiście, stanowi ona tylko otoczenie, a słup natomiast, jest najstósowniejszym kształtem dźwigającym i słupy choć w rzędzie postawione, niezamykają budowy, jeno są pewnem jéj odgraniczeniem. Przedewszystkiem tedy, niepowinny być zanadto cienkie do leżącego na nich ciężaru, ale takie i tyle ich tylko, ile właściwa potrzeba wymaga. Powtóre: słup zwyczajny jest bezpośrednio wetknięty w ziemię i również bezpośrednio u wierzchu się kończy, gdzie ciężar na nim spoczywa, zkąd jego wierzch i spód wygląda tylko jak ujemne i przypadkowe oznaczenie, które nie z niego samego pochodzi. Tymczasem z pojęcia dźwigającego słupa wypływa, że jego końce objawić się muszą, jako właściwe mu momenta, i dla tego daje mu piękna architektura *podstawę* i *głowicę*. W porządku toskańskim słup bez podstawy na ziemi bezpośrednio stoi; zaczem też wysokość jego widzi się przypadkową, bo niewiedzieć jak go głęboko, ciężar leżący na nim, wbił w ziemię. Przeciwnie podstawa i głowica oznaczając widocznie oba jego końce, zaspokajające sprawiają wrażenie i ta umyślna ich wydatność stanowi właśnie głębsze znaczenie obojga. Jest w tém coś podobnego do muzycznéj kadencyi, która wyrazistego odcięcia wymaga, albo do książki, która i bez punktu kończyć, i bez odznaczającéj się litery zaczynać może, a przecież, mianowicie w średnich wiekach, wielkie na początku kładziono głoski i stopniowo skracano wiersze na końcu, ażeby przez to i dla oka zadowolnienie sprawić. Jakkolwiek przeto odznaczenia te zdają się wychodzić z obrębu ściśléj potrzeby, nienależy ich jednak za zbyteczną ozdobę uważać, gdyż słup mimo ściśle mechanicznego stósunku dźwigania, powinien mieć swą wysokość i swe dwoiste odcięcia nie przypadkowe, lecz właśnie sobie samemu niby wrodzone. Kolumna taka musi być nadto okrągła; gdyż ona sama w sobie ma być zamkniętą, skończoną i wolną, a ściśle tylko dźwigającą, bez bocznego przylegania i łączenia się takiego, jak zwyczajnie słupy, które już samym kształtem prostokątnych boków zdają się więcéj do składu ścian, niż do dźwigania należeć. Kolumna z resztą, od trzeciéj części swojéj wysokości zwężana nieco ku górze, pokazuje swój mechaniczny stósunek stopniowo osadzającego się ciężaru na częściach coraz mocniejszych. Prostopadłe zaś rowkowanie przydawane jéj bywa, albo dla urozmaicenia tylko, albo, w razie potrzeby, dla pozornego zwiększenia objętości. Następnie: jakkolwiek odosobniona, musi się jednak pokazać wyłącznie ku dźwiganiu przeznaczoną; do domu bowiem wymagającego ze wszystkich stron odgraniczenia, kolumna pojedyncza niejest dostateczną, lecz potrzebuje jeszcze innych obok siebie, przez co, wedle swego istotnego przeznaczenia, występuje tylko w *rzędzie* z drugiemi. Ponieważ zaś wszystkie jeden dźwigają ciężar, przeto też ten ciężar oznacza ich wysokość i zobopólne łączenie się czyli belki.

Z położenia tego belek horyzontalnych na pionowych kolumnach, wynika nasamprzód stósunek prostokątny, według praw ciężkości, najtrwalszy, najpewniejszy i jedynie mocny. Bezpośrednio na rzędzie kolumn leży tak nazwany *architraw,* który je łączy i na nich zobopólnie cięży; lecz zarazem dźwiga spoczywające znowu na nim belki, co architektura piękna wydatnie w nim pokazuje przez dodanie listwy u jego wierzchniéj części. Końce tych belek, oparte na architrawie i próżne między niemi miejsca, razem nazywają się: *fryzem,* szczegółowo zaś, pierwsze: *tryglifami,* drugie: *metopami,* czyli międzybolczami. Tryglify były potrójnie wzdłuż narzynane, a metopy — zapewne dawniéj dziurawo zostawiane — zaczęto późniéj rzeźbami zarabiać. Na fryzie tym spoczywa nakoniec, tak nazwany *wieniec* (Karnies), przeznaczony dopiero do wspierania dachu, który wreście nakrywa całą budowę i jéj zu-



Świątynia słońca w Baalbek.

pełne zakończenie oznacza. Dach dwoistego może być kształtu, albo prostokątnie horyzontalny, albo ostro lub rozwarto-kątny. Potrzeba skłania mieszkańców północy do śpiczastych dachów, dla łatwego okapu i spadania śniegu; południowcy zaś mniéj wystawieni na deszcze i więc potrzebując tylko zasłony od słońca, obyć się mogą płaskiemi dachami. Sama jednakże potrzeba niestanowi praw pięknéj, a przeto głębszego zadowolnienia wymagającéj architekturze. Dach, czyli pokrycie, niepotrzebując dźwigać, ale przeciwnie tylko być dźwiganym, powinien własne to przeznaczenie swoje, materyalnie wyrażać, czyli przyjąć kształt taki, któryby okazał niemożność dźwigania, to jest: formę, bądź rozwartego, bądź ostrego kąta; horyzontalne bowiem pokrycia, jako zupełne płaszczyzny, przypuszczając zawsze jeszcze możność dźwigania, niewyrażają bynajmniéj takiéj skończonéj całości, jak linia, w któréj się schodzą dwa pochyłe boki dachu. Miły widok takiego zakończenia podobne sprawia zadowolnienie, jak piramidalna forma w malarskiém gruppowaniu figur.

Pozostaje nam tu tylko nadmienić jeszcze o murach i ścianach, bo lubo kolumny dźwigają i odgraniczają obwód budowy, to jednak niezamykają tak ściśle jéj wnętrza, jak ściany. Ale ponieważ ostatnie, nietylko otaczać, lecz i dźwigać mogą, a myśmy tylko kolumnom zostawili to przeznaczenie, przeto zdawaćby się mogło, że tam, gdzie obu tym różnym potrzebom zadosyć uczynić trzeba, mogłyby kolumny z ścianami się złączyć i do połowy z nich tylko wystawać. Rzeczywiście jednak, sprzeciwiałoby się to zupełnie prawdziwéj pięknocie, gdyż dwojakie a sprzeczne ze sobą cele, bez konieczności wewnętrznéj, niepowinny się łączyć i mięszać. Jeżeli zresztą, w nowéj architekturze używać zaczęto tak nazwanych *pilastrów*, to je tylko niby jako cień padający na ścianę od stojącéj przed nią kolumny, płasko i niezbyt wydatnie robiono.

Pokazuje się więc z tego, że ściany, jakkolwiek dźwigaćby mogły, stanowią przecież tylko otoczenie w prawdziwie klassycznéj architekturze, a kolumny wyłącznie do dźwigania przeznaczone, najstósowniéj wspierają pokrycie budowy. Proste zaś kładzenie belek i dachu na otaczających ją ścianach, lubo się usprawiedliwiać może potrzebą, nigdy wszelako do piękności nie należy; gdyż ściany, jako całkiem zapełnione i wszędzie dotykające dachu, wspierałyby go zbyteczną massą i większemi, nad potrzebę, przyrządzeniami, a nadewszystko straciłyby przez to na swem odrębnem znaczeniu wyłącznego tylko otaczania. Wszystkie te różnice i odcienia, dopiero co w pojedyńczych częściach rozebrane, powinny się znowu w zgodną połączyć całość, czyli w taką miłą i nasycającą eurythmią miar, jaką podziwiamy w staro-greckich świątyniach, w których nic w górę niestrzela, ale się wszystko szeroko rozkłada i rozdłuża bez wznoszenia. Chcąc fronton takiéj świątyni obejrzeć, niepotrzeba bynajmniéj oczu podnosić, jak przed szczytem gotyckiego kościoła, ale tylko niemi wodzić po długich i szerokich kształtach. W pomniejszych zaś ozdobach, również Grecy umieli przed wszystkiemi innemi, najlepiéj zachowywać umiarkowanie i prostotę. Zupełnie równe płaszczyzny i linie rozmaitością niewymuszonych podziałów zmniejszają tam niejako swą wielkość i tworzą miłe a łatwe do przejrzenia miary; lecz mimo tego niestarano się przecież, ani zbytecznie pomniejszać, ani powiększać, na pozór architektonicznych kształtów, tylko się trzymano środka pomiędzy dziwnie powabną prostotą i odpowiedniem uroz-



Szczątki wielkiéj galeryi w Palmirze.

maiceniem, a główne zarysy budowy tak jasno i wyraźnie przełyskiwały we wszystkich częściach i podziałach, jak w klassycznym ideale wszelką przypadkowość i partykularność, żywotna treść napełnia i wciąga w zgodną ze sobą harmonię.

Co to za miły musiał być widok, kiedy pod kolumnadami, zewnętrznie otaczającemi świątynie, to pojedyńczo, to gromadami, roili się ludzie swobodnie, spokojnie, w pół cieniu, w pół świetle, częścią na zewnątrz patrzący, częścią we wnętrzu gmachów ukryci, bo rzędy kolumn niezamykały świątyni, ale ją tylko otaczały wdzięcznie, a wszędzie pomiędzy niemi przewiewał świeży oddech przyrodzenia, wszędzie słoneczne ciepło i promienie igrały z cieniem i kamiennym chłodem.

Nawet poza obrębem tych kolumn, we wnętrzu saméj świątyni, jakkolwiek spodziewaćby się można ściślejszego zamknięcia ku głębszemu zadumaniu; znachodzimy i tam otwarte na zewnątrz otoczenie. Widok więc tych świątyń, lubo poważny i wzniosły, jest przecież zarazem wesoły, otwarty i luby, a cała budowa zdaje się więcéj ku rozrywce i przechadzce, niż ku wewnętrznemu skoncentrowaniu ludzi służyć.

Ale w budowach tych są różne typy charakterystyczne, różne porządki, objawiające się szczególniéj w pewnych kształtach kolumn, które najstósowniéj podzielić można na: *dorycki*, *joński* i *koryntski* porządek; gdyż toskański, jako zbyt prosty i wcale nieozdobny, wyłączamy z rzędu prawdziwie pięknéj architektury, a rzymski, pomnożeniem tylko ozdób koryntskich, nieprzybiera odrębnych znamion.

Główne punkta owych charakterystycznych typów, tyczą się stósunku wysokości kolumn do ich grubości i różnych rodzajów podstaw i głowic, a nakoniec bliższych lub dalszych odstępów kolumn. Kolumna niemająca czworakiéj wysokości swojéj średnicy, wydaje się zbytecznie stłoczona, niezgrabna; przechodząc zaś dziesięć średnic wysokości, jest znów zacienka i niby zasłaba. W ścisłym związku z pomienionemi stósunkami stoją wzajemne odstępy kolumn, które jeśli na pozór grubszemi zdawać się mają, muszą być bardziéj skupione, i tak przeciwnie szerzéj rozstawione, jeśli je niby węższemi okazać potrzeba. Równie ważnem jest tutaj także, przydanie, lub zupełny brak podstawy u kolumn, toż większa lub mniejsza wysokość i ozdoba głowicy. Sam słup kolumny między podstawą i głowicą, powinien być nieco u góry zwężony, a cały gładki, albo tylko rowkowany.

(Koniec nastąpi.)

Obrazy odsieczy Wiednia w Auszpurgu, Dreźnie i Krakowie.

(*Z Dziennika podróży S. S.*)

W kościele katedralnym w Auszpurgu jest uwagi godnym obraz olejny, na stóp kilkanaście

obszerny, pędzla malarza Breda; który, zgodnie z dziejami ówczesnemi, rozprawę olbrzymią oswobodzenia Wiednia i zbawienia świata chrześciańskiego, przedstawia. **Jan III.**, na czele zastępów polskich (pancernych, kopijników), z wąwozów kalenbergskich snujących się, gromi, znosi, roztrąca wszystko, co tylko na prawém skrzydle czoło stawić poważa się; duch wodza zapala środek wojska i szerzy aż ku krańcom skrzydła lewego. Piechota, którą sam król na wielkie szańce prowadził, po zdobyciu olbrzymiéj twierdzy, goni za rozbitemi kupy niewiernych; jeden i powszechny nieład, zamieszanie, popłoch, wśród tumanów kurzawy i kłębów pożogi, przez nieprzyjaciela uchodzącego w okolicznych włościach i własnych taborach nieconych. Prócz zamożnéj kompozycyi i mnogiéj akcyi walczących, najcelniejszą zaletą pędzla jest wizerunek Jana III.; między tylu albowiem obrazami, bitwę pod Wiedniem przedstawiającemi, tenże Bredy, zgodnie z opisem naocznego świadka, dworzanina królewskiego Dyjakowskiego (*), wiernie jest oddany; osoba króla, pełna powagi, a twarz majestatu; dłoń zwycięzki oręż (pałasz polski) piastuje, a krzyż na wstędze serce męzkie osłania. Ubiór monarchy, jest suknia prosta ciemna, lekka (grodetur), spodem żupan biały, głowa czapką polską nakryta; wierzchowiec płowy, dzielny. Ta pojedyńczość w ubiorze i życiu wielkiego wojownika, jak najwierniéj przez Napoleona za dni naszych naśladowana; przekonywa zarazem, iż wszystkie inne przybrania Jana III. w przyłbice, pancerze i t. p., są własnością malarzy, a nie prawdy! Dzieło to, z tylu zalet ważne, a zbyt blisko drzwi kościelnych umieszczone, niemało już od wpływu powietrza ucierpiało; na domiar złego, mimo poszukiwania moje tak na miejscu, jak i w Monachium, ani w rysunku, ani w rycinie znalezioném być niemogło, a nawet, jak mię upewniano, dotąd nie było wykonane. (**)

Biblioteka drezdeńska posiada w zbiorach swoich inny widok (arkusza wielkiego) *Bitwy pod Wiedniem*, w cztery lata późniéj sporządzony. Zwycięzca, Jan III., na czele pogromców, i tu w okamgnieniu uderza, rozprasza, zwycięża. Zajmuje w planie tym wyraz walczących, a zachwyca nierównie więcéj jeszcze rzeczywistość owéj prawdy, iż Polakom wyłącznie całe to dzieło dokonanego zbawienia chrześciaństwa, wówczas zagrożonego, winni jesteśmy. W chwili albowiem, kiedy krocie bisurmanów w popłochu na wsze rozpierzcha strony, środek i lewe skrzydło, z samych niemal teutońskich sprzymierzeńców złożone, nieczynnie stojąc, korzyści raczéj z odniesionego zwycięztwa oczekiwać się zdaje. Politowania godzien jest opis, obok tego planu pokazywany, jako całkiem z akcyą walczących i prawdą historyczną niezgodny; i dla tego właśnie życzyćby należało, aby nadal przynajmniéj sumienności saskiéj niekaził!....

Kraków nakoniec jest w posiadaniu dwóch obrazów olejnych, również pod względem sztuki, jak dziejów, na uwagę zasługujących; z tych pierwszy oryginalny, przez Rugendasa wykonany (wysoki stóp 3, długi stóp 5), jest własnością sen. Soczyńskiego (*); drugi zaś do akademii należy. W pierwszym środek zajmuje jazda, wzajem ucierająca się; od prawéj, góry Kalenberg z gruzami, środkiem przestwór płaszczyzny muzułman, na widok zwycięzkich proporców polskich pierzchający, zalega; godło narodu, orzeł biały, zwycięzcom przodkuje. W głębi jest widok dalekiéj krainy, którą tumany kurzu i kłęby dymów, od strony Wiednia wznoszące się, zamykają. Ciężka jazda polska, dwójkami z rozdołów kalenbergskich pędząca, rozbija kupy niewiernych; jestto tenże sam oddział rajtarów, który w późniejszéj rozprawie pod **Parkanami**, za świadectwem Dyjakowskiego, życie królewskie, wielce zagrożone, ratował. — Sprzymierzeni, przewagą zwycięztwa ośmieleni, za wojskiem polskiém, zwolna atoli, występują. Dzieło to artysty auszpurskiego, w owéj właśnie epoce żyjącego, zaleca kompozycyi zamożność, kolorytu naturalność i harmonia, rozmaitość położeń walczących nieprzebrana, i t. d., co wszystko usprawiedliwia i słusznie dzisiejszą wysokocenność robót mistrza tego, po Wuwermanie coraz to więcéj wzrastającą!.....

Drugi obraz, to jest akademicki, pomniejszéj wprawdzie obszerności, najobfitszą atoli kompozycyą odznacza się; przestrzeń albowiem mili jednéj nieprzeliczone zapełniają hufce; największe figury, zaledwo cal przenoszące, pełne ruchu, życia, akcyi. Oddziały rozmaitych wojsk w porządku bojowym postępują, walcząc. Środek równiny, zdobycie obozu nieprzyjacielskiego przez wojska polskie zajmuje; wzięcie złotogłowego namiotu wielkiego wezyra, rzeź między Janczarami przy zdobyciu chorągwi Mahomeda, ucieczka nakoniec zwyciężonego dowódzcy przed gromiącym zbawcy chrześciaństwa ramieniem, najwierniéj są oddane. Trwoga, przerażenie i popłoch na wsze szerzący się strony, dopełniają zresztą dzieła, z niemałym namysłem, staraniem i talentem wykonanego. Godła narodowe (orły polskie) wszędzie i tu zwycięzcom przodkują; rajtarzy,

(*) Czytaj: „Dyaryusz wiedeńskiéj okazyi i t. d.“ w dzienniku *Pszczółka krakowska* tomie VIII. str. 238. i t. d. umieszczony.

(**) Odwiedzając atelie znakomitego artysty, ziomka naszego, P. L...., w Monachium, odebrałem to zapewnienie, iż zdjęciem wspomnionego oblicza zbawcy Wiednia, zająć się niеomieszka.

(*) Sławny obraz Czechowicza: *Jezus Chrystus na krzyżu*, przez Grabowskiego wspominany, obecnie w posiadaniu tegoż amatora znajduje się.

w powyższym obrazie tak starannie oddani, tu już w ściśnionéj kolumnie ku siedzibie wezyra awansują. Obok téj rozprawy, po lewéj Wiedeń, ciągle jeszcze przez Janczarów, nieświadomych rzeczy, attakowany, wśród rzucanych bomb goreje; jestto tenże sam korpus bisurmański, który, świadectwem historyków, bliskim nawet był wtargnienia wyłomem do stolicy zagrożonéj, nadybany atoli w sam raz, za rozkazem króla pogromcy, całkiem pod przymurkami miasta w uporze wykłutym został. Widok daleki naddunajskich okolic, krętém korytem Dunaju poprzerzynanych, zamyka scenę. Jan III. na czele prostych kopijników w środku ognia rozkazy wydający, cały w zbroję złotą, pióra, koronę i t. d. przybrany, w niczém do powyższego, w obrazie Bredy wspomnionego, ani pod względem historyi, ani rysów nawet ogólnych, podobnym nie jest.

Obyczaje pogańskich Prus i Litwy.

(Ciąg dalszy.)

Po stracie żony, mąż przez jeden tylko dzień powinien był nosić żałobę; nawzajem żona przez trzydzieści dni, o wschodzie i o zachodzie słońca, musiała modlić się i płakać na grobie straconego męża.

Gdy mężczyzna, mianowicie jeśli był ze znakomitszego rodu, w ciężką zapadł chorobę, wzywano wajdelotę, który go wednie i w nocy pilnując, przepisane nad nim odmawiał modlitwy. Gdy te niepomagały, chory powinien był ślubować jaką ofiarę dla bogów, za co mu kapłan dawał pewną ilość popiołu zpoświęconego ogniska. Jeżeli i to lekarstwo pozostało bez skutku, a chory bliskiéj nadziei ozdrowienia nie czynił, na ów czas za zgodą krewnych, księża nie czekając skonania, sami go poduszkami dusili; rodzaj ten śmierci za zasługę w obliczu bogów uważając. Dzieci, młodzieńców i młode dziewczęta, zwłaszcza jeśli ze znakomitszéj pochodziły rodziny, skoro wszelka nadzieja uzdrowienia ich znikła, palono zwykle na stósach, śpiewając: „Idźcie w świat lepszy, służyć bogom; nim rodzice pośpieszą za wami!“

Samobójstwo, mianowicie dobrowolne spalenie się na stósie w chorobie albo w cierpieniach, miane było za rzecz miłą bogom. Albowiem, powiadali: „Kto bogom jak należy chce służyć, śmiać się, a nie płakać powinien.“

Co do pogrzebów, te były rozmaite, podług stanu i możności zmarłego. Im był bogatszy, tem dłużéj ciało jego, w sztucznem zimnie, przed spaleniem w domu trzymano, codzień dla przyjaciół i krewnych wspaniałe wyprawiając uczty. Gdy wreście dzień pogrzebu nastąpił, i ostatnia na cześć zmarłego biesiada odprawiona być miała, ubierano trupa w białą szatę, i w pośród zaproszonych gości, sadzano go za stołem, na najpierwszém miejscu. Naówczas rozpoczynała się pijatyka. Każdy z gości przepijał do umarłego, wspominając swoje z nim związki, i dając mu różne polecenie do zmarłych przed nim swoich przyjaciół i krewnych, których on miał w krótce oglądać. Po skończenéj kolei, przebierano trupa w inne suknie, przypasywano do boku miecz, kobietom zaś kładziono w rękę igłę i wrzeciono, dając przytém nieco żywności na drogę. Za wozem, na którym trupa do grobu niesiono, postępowali na koniach przyjaciele i krewni, wywijając dokoła dobytemi mieczami, ażeby złych duchów odpędzić. Do granic tylko posiadłości zmarłego, kobiety przeprowadzać go mogły. Na granicy stał pal wysoki, z położonym na wierzchu pieniądzem, lub bogatym, podług możności, sprzętem, do którego, towarzyszący pogrzebowi jeździce, na wyścigi się ubiegali. Kto pierwszy dobiegł, oprócz zdobyczy, chwałę w zysku odnosił. Na miejscu pogrzebu, za zwyczaj w otwartém polu, przy drodze publicznéj leżącem, czekał stós wysoki, z suchego drzewa ułożony, ze słomiannem łożem na wierzchu, na którem umarłego kładziono. Gdy już płomienie wybuchły, przewodniczący obrzędowi wajdeloci, przy odgłosie drzewianych trąb, zaczynali śpiewać koleją pieśni na cześć zmarłego, sławiąc w nich jego przymioty, albo czyny wojenne, i dodając zwykle na końcu: „Oto go już widzimy, jako na koniu ognistym, dzierżąc sokoła na dłoni, otoczon świetnym orszakiem, ulatuje i wchodzi do nieba!“

Ponieważ zaś powszechną wiarą pomiędzy ludem było, iż każdy, bogaty czy ubogi, wysokiego czy niskiego stanu, w przyszłym świecie, tym samym, co na ziemi sposobem żyć, pracować lub bawić się będzie; ztąd poszedł zwyczaj, że wraz z ciałem zmarłego, palono na tymże stósie, jego oręż, sprzęty, konie, charty, sokoły, a niekiedy ulubione sługi, aby mu na niczém w nowym świecie nie brakło. Na stós ludzi niższego stanu, rzucano narzędzia służące do rzemiosła, którém się zajmowali za życia. Nie raz się zdarzało, że żona lub przyjaciel, rzucali się dobrowolnie na pogrzebny stós męża lub przyjaciela. Poświęcenie się to, tém większą ściągało cześć i poszanowanie, że żadném prawem nakazane nie było.

Skoro ogień ciało pochłonął, zbierano starannie pozostałe popioły, i zamknąwszy je, bądź w kształtnie wyrobioną, bądź w prostą glinianą urnę, stawiano ją nakoniec w przygotowanym kurhanie, to jest: w wysokiéj jak pagórek usypanéj mogile, próżnéj i obmurowanéj we środku.

Nie tu jednak był koniec pogrzebowych obrzędów, zwłaszcza u bogatszych, lub ludzi wyższego stanu. Dzień trzeci, szósty, dziewiąty i czterdziesty po pogrzebie, przeznaczone były na nowe na cześć zmarłego biesiady, które już

nie w domu, ale przy jego kurhanie się odbywały. Dla sproszonych gości, stawiano dokoła namioty, lub małe domki z chrustu i gałęzi. Każdy z biesiadników musiał przed ucztą umywać się we własném naczyniu, i potém tę wodę na grobowiec wylewać. Podczas uczty wzywano duszy zmarłego, i z każdéj potrawy rzucano dla niéj pod stół najlepsze kawałki, z każdego kielicha pierwsze krople zlewano. Przejeżdżających nawet podróżnych, zapraszono zwykle na podobne uczty, i każdy z nich najuprzejmiéj przyjęty, obowiązany był dla duszy zmarłego jakiś dar na grobowcu zostawić.

Pamięć zmarłych była w szczególniejszem poszanowaniu u ludu. Co rok, po skończonych żniwach w jesieni, w każdéj wśi, w każdym choć najuboższym domu, obchodzono podobnąż ucztą pamięć zmarłych przodków. Uroczystość ta, z chrześcijańskiemi wyobrażeniami zmieszana, znajomą jest dotąd w Litwie pod imieniem *Dziadów*.

Walczyć za kraj swój i za bogów, było najświętszym obowiązkiem każdego bez wyjątku mieszkańca Prus i Litwy, skoro wróg naszedł granice, lub gdy im Kriwe-Kriwejto, lub Wielki kniaź (jak w Litwie) pod chorągiew stawać rozkazał. W Litwie sami kniaziowie, lub mianowani przez nich dowódzcy, prowadzili wojsko do boju. W Prusach samo niekiedy wojsko obierało sobie naczelnika. Lud go ogłaszał, najwyższy kapłan poświęcał, a najprzedniejsi u szlachty, obnosili go na rękach między szykami zgromadzonego wojska. Wódz ten miał zupełną władzę w polu, nie mógł jednak zawierać pokoju, ani nowéj wojny przedsiębrać, bez poradzenia się i zgody Kriwe-Kriwejty albo kapłanów, którzy w jego imieniu zwykle towarzyszyli wojsku.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Dykteryjka klasztorna.

W pewném miasteczku wielkopolskiém stała przed laty obok klasztoru ojców Bernardynów bożnica żydowska. Że zaś z tego ciągłe wynikały zatargi, postanowiono nareszcie spór przez dysputę załatwić, i albo klasztór, albo bożnicę znieść, stósownie do tego, kto kogo przedysputuje. Na dysputę takową przeznaczono z jednéj strony gwardyana, a z drugiéj rabina. Kalafaktor klasztorny, usłyszawszy o tém, sądził, żeby to powadze gwardyana ubliżało, gdyby miał z Żydem dysputować. Prosił zatém, żeby jemu załatwienie sprawy téj w imieniu klasztoru poruczono, ale żeby dysputa na migi odbyć się mogła. W dniu wyznaczonym stawa z jednéj strony kalafaktor, przybrany w habit, jakby istotny gwardyan, a z drugiéj rabin. Zaczyna się dysputa. Rabin podnosi najprzód palec do góry, na co kalafaktor palec ku ziemi zwraca i przytępuje. Rabin powtóre skazuje ku niemu jednym palcem, a kalafaktor dwoma; nareszcie rabin ukazuje rękę roztwartą, a kalafaktor pięścią na to odpowiada. Tu rabin wyznaje, że został przedysputowany, a w skutek tego bożnica ma być rozebraną i gdzie indziéj wystawioną. Ciekawi widzowie zapytali się następnie rabina, coby on powyższemi znakami wyrażał, i odebrali od niego odpowiedź: „Pokazałem księdzu gwardyanowi palcem w górę wzniesionym, że Bóg jest w niebie; a on spuściwszy palec na dół, dowiódł, że nietylko w niebie, ale i na ziemi; pokazałem mu daléj, wystawiając palec naprzód, że oko Opatrzności patrzy na świat; a on odrzekł znakiem, że nietylko jedném, ale dwoma patrzy oczyma. Ręka roztwarta oznaczała, że Bóg świat na dłoni trzyma; a ściśniona, że Bóg świat mocno w swém ręku trzyma.“ Zapytany nawzajem kalafaktor, całkiem inaczéj rzecz tę tłumaczył. „Palec do góry wzniesiony okazywał, że mnie chce powiesić; na co ja mu dałem do zrozumienia, że go pierw w ziemię wbiję. Daléj chciał mi palcem oko wyżgać; a ja mu odgroziłem utratą obydwóch. Nakoniec chciał mi ręką policzek dać, a jam mu na to całą odgroził pięścią.“

C........

Kronika literacka.

„Michała Wiszniewskiego historya literatury polskiéj. Tom I. Kraków 1840.“

Wszystkie prace uczonego autora tego noszą na sobie cechę głębokiéj erudycyi, niepospolitego talentu pojmowania gruntownie rzeczy, zapatrywania się na nie z prawdziwego ich stanowiska, zdrowego sądu, porządnego, jasnego i do pojęcia wszelkich czytelników zastósowanego wykładu. Te i inne zalety i rozleglejszy zakres zamierzony dziełu, którem uczony professor M. Wiszniewski literaturę naszę prawdziwie bogaci, nadają pracy jego wyższość nad tém wszystkiém, cośmy dotąd o literaturze polskiéj mieli. Zastrzegając sobie rozbiór w inném miejscu tego bardzo ważnego dzieła, zachęcamy teraz współziomków do nabywania go: od rychłego bowiem rozprzedania pierwszego tomu, zależeć będzie przyspieszenie druku dalszych tomów. Nie sarkajmy na drogość szacownego dzieła. Kiedy bowiem materyą jaką, rzecz lub t. p. kupujemy, nie płacimy za nią w miarę objętości lub ciężaru, ale w miarę dobroci: miałyżby same książki z tego ogólnego prawidła być wyjęte? Zamilczając o innych względach, które u nas cenę książek podwyższać muszą, jako to o braku pokupu, drogości materyałów i robotnika i t. d.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (*Red. J. Łukaszewicz.*)

Przyjaciel Ludu.

Rok szósty. **No. 29.** **Leszno,** *dnia* 18. *Stycznia* 1840.



Jerzy Radziwiłł, kardynał.

Zakon Jezuitów sprowadzonym i rozszerzonym został po całéj Polsce, w celu przytłumienia reformacyi w tym kraju: uważano go bowiem, i słusznie, za najdzielniejszy środek, najpotężniejszy taran do burzenia, jak się ówczesni pisarze nasi wyrażali, świątyń Baala. Dopiąwszy on rozmaitemi drogami zamierzonego celu, uiścił, owszem przewyższył powzięte o sobie nadzieje. Do najświetniejszych przecież zwycięstw jego, należy nawrócenie na łono Kościoła katolickiego synów Mikołaja Czarnego Radziwiłła, wojewody wileńskiego. Ten, gorliwy wyznawca i rozsiewacz nauki Kalwina, wychował najstarszego syna swego Mikołaja Krysztofa, zwanego *Sierotką*, w zasadach swego wyznania, a umierając, zaklinał go pod przeklęctwem ojcowskiém, aby w kalwinizmie trwał statecznie do samego zgonu. Po śmierci Mikołaja Czarnego Radziwiłła, czuwał nad krokami Mikołaja Sierotki brat stryjeczny jego ojca, Mikołaj, hetman wielki litewski, także żarliwy zwolennik wyznania helweckiego. Przystęp do młodego Mikołaja Radziwiłła był Katolikom trudny; przykład stryja, nauki najsławniejszych kalwińskich duchownych i uczonych, jakoto: Wolana, Sudrowiusza, Czechowicza i innych, utwierdzały go w wyznaniu, w którém się wychował. Duchowieństwu katolickiemu, a mianowicie Jezuitom w Litwie, zależało na tém bardzo wiele, aby ta sama ręka, która głęboką ranę Kościołowi zadała, onęż znowu zagoiła. Linia książąt Radziwiłłów na Nieświeżu i Ołyce, do któréj Mikołaj Sierotka należał, przewyższała wszystkie inne domy litewskie znaczeniem i dostatkami; nawrócenie przeto jéj na łono Kościoła, obiecywało nieobliczone korzyści. Pokusili się o to wielkie dzieło Jezuici, a wysłany od nich sławny Piotr Skarga, znalazł sposobność zbliżenia się do Mikołaja Sierotki. Głębokiéj nauce i porywającéj wymowie tego prawdziwego Ojca Kościoła polskiego, nie mogły się oprzeć serce i umysł Mikołaja Sierotki: został Katolikiem i przykładem swoim pozyskał Kościołowi trzech młodszych braci swoich.

Jednym z nich był Jerzy Radziwiłł, biskup krakowski, kardynał. Miał lat dwanaście, gdy go ojciec odumarł; matkę utracił trzy lata wcześniéj. Stryj jego, Mikołaj Radziwiłł, hetman wielki litewski, wysłał go, wraz z braćmi jego Stanisławem i Wojciechem, na nauki do Lipska. Tu pobywszy lat kilka, a następnie zwiedziwszy całe Niemcy, powrócił w roku 1572 na Po-

snań do Litwy. Nawrócony, za przykładem starszego brata, Mikołaja Krysztofa, do wiary katolickiéj, poświęcił się stanowi duchownemu. Stanisław Karnkowski, natenczas biskup kujawski, poznawszy przez Jezuitów szczere chęci Jerzego służenia Kościołowi, zalecił go usilnie Waleryanowi Protaszewiczowi, biskupowi wileńskiemu, podeszłemu już w lata starcowi, aby go, jeszcze na kapłaństwo niewyświęconego, za swego koadjutora przybrał. Przychylił się ku temu Protaszewicz, a Stefan Batory i Grzegorz XIIIty, papież, wybór ten potwierdzili. Ostatni wezwał nawet Radziwiłła do Rzymu, przyjął go i traktował po książęcu. Jerzy przepędził lat kilka w stolicy chrześciaństwa, utwierdzając się w wierze i umysł pod najsławniejszymi uczonymi wiadomościami bogacąc. Tymczasem gdy w Rzymie dłużéj jeszcze bawić zamierza, umarł biskup Waleryan Protaszewicz, a kapituła wileńska zaprasza go, aby niezwłocznie przybył objąć zarząd osieroconéj katedry, w chwili właśnie, gdy różnowiercy górę w Litwie wziąwszy, zagrażali ostatecznym upadkiem Kościołowi. Pośpieszył Radziwiłł do Wilna, i objąwszy w 24tym roku życia rządy dyecezyi wileńskiéj, okazał tę samę gorliwość w wytępianiu protestantyzmu, z jaką jego ojciec rozszerzał nowości religijne. Między innymi ku temu środkami, uciekł się Jerzy Radziwiłł także do zbierania i palenia ksiąg różnowierców; za co dziś nie jesteśmy mu bynajmniéj wdzięczni: pozbawił nas bowiem tym sposobem nie jednego może ważnego do dziejów ówczesnych dzieła. Prócz tego zakazał surowo drukarzom i księgarzom litewskim upowszechniania dzieł, tchnących odszczepieństwem, i wiele innych, równie groźnych środków ku oczyszczeniu swéj dyecezyi z kacerstw używał. Ale gwałtowne reakcye rodzą zwykle silny opór. Doznał takiego oporu Radziwiłł, a trafiając ustawicznie na niepokonane zawady, sprzykrzył sobie władzę biskupią i postanowił oddać się bogobojnemu życiu w zakonie Jezuitów, pukając o to po dwakroć do Rzymu. Stolica apostolska znając dobrze, jak ważną dla Kościoła katolickiego w Litwie rzeczą było, utrzymać na tém stanowisku syna Mikołaja Czarnego Radziwiłła, zabroniła mu pod posłuszeństwem wstąpienia do Jezuitów, owszem przyspieszyła jego konsekracyą, zaleciwszy Bolognettemu, nuncyuszowi wówczas swemu w Polsce, aby go na biskupa wyświęcił. Co też w roku 1583 nastąpiło. W tym samym czasie król Stefan powierzył mu rządy Inflant na trzy lata. Radziwiłł nie zawiódł zaufania wielkiego monarchy, utrzymał Inflanty w posłuszeństwie i niektóre miasta, jakoto: Karkuz, Ermes i t. d., zamyślające się poddać Duńczykom przez swego regimentarza Pękosławskiego, pokonał orężem i całą prowincyą do przysięgi wierności królowi polskiemu przywiódł. W ciągu trzechletniéj administracyi swojéj Inflant, wymierzał sumiennie sprawiedliwość, łagodnie się z mieszkańcami obchodził i wielu na łono Kościoła katolickiego nawrócił. Za te zasługi, dla Kościoła położone, Grzegorz XIII., papież, mianował go kardynałem, a król Stefan w Wilnie, w kościele katedralnym Ś. Stanisława, niespodziewającemu się bynajmniéj tego zaszczytu, biret kardynalski na głowę włożył.

Po śmierci króla Stefana, Zygmunt III. przeniósł Radziwiłła na katedrę krakowską, a Klemens VIII., papież, nominował go swoim legatem do skojarzenia pokoju między Rudolfem, cesarzem niemieckim, a Zygmuntem III. Polecenie to Rzymu wykonał Radziwiłł pomyślnie, Annę, córkę cesarza, Zygmuntowi zmówił i do Krakowa z wielkim przepychem wprowadził. Z téj przyczyny polubił go bardzo Zygmunt III. i jemu, nie komu innemu, dzieci swoje starsze Władysława i Annę chrzcić kazał; zamierzał także wynieść go na Arcybiskupstwo gnieźnieńskie, gdy śmierć dalsze względy Zygmunta i nadzieje Radziwiłła nagle przerwała. W roku 1600. wybrał się Radziwiłł na wielki jubileusz do Rzymu; przybywszy do tego miasta, zaczął się źle mieć, i pomimo najdzielniejszéj pomocy lekarskiéj i starań najtroskliwszych, dokonał żywota w 44tym roku życia. Zwłoki jego złożone zostały z wielką okazałością w kościele Jezuitów, których był szczególniejszym wielbicielem i dobroczyńcą. Kollegium bowiem lubelskiemu darował wieś Jeżewo, Akademii jezuickiéj w Wilnie wiele dobrodziejstw świadczył, na kościół Ś. Piotra w Krakowie położył węgielny kamień i ofiarował na budowę znaczną summę. Wreszcie Radziwiłł dostatków swoich używał szlachetnie i wspaniale: założył, albo przynajmniéj powiększył i lępiéj uposażył seminarya duchowne w Wilnie i Krakowie; młodzież ubogą własnym nakładem na nauki za granicę wysełał; ubogie panienki wyposażał, szpitale sam zwiedzał, hojną jałmużną nędze i kalectwa wspierając. Corok całą dyecezyą swoję wizytował. On pierwszy z biskupów krakowskich kopalnie srebra i miedzi w Kielcach otworzył, sprowadziwszy z zagranicy górników. Zamek krakowski, świeżo wówczas pogorzały, miedzią krajową pokrył. Umiał kilka języków dokładnie i w wielu naukach dobrze był przetarty. Śmierć przyspieszył sobie zbytniemi postami i umartwieniami ciała. Między innemi odbył pieszo z Rzymu w ubiorze pielgrzyma i w włosienicy podróż do grobu Ś. Jakóba w Kompostelli, w Hiszpanii.

X**

Architektura.

(Dokończenie.)

W pierwszych konstrukcyach budowli greckich, głównem zadaniem jest bezpieczeństwo,

i dla tego niema w nich jeszcze śmiałéj i wysmukłéj lekkości, tylko pewna ciężkość i zsiadłość. Takim jest najprzód: nisko-szeroki porządek *dorycki*, którego stare kolumny rzadko przechodząc sześć średnic wysokości, a często tylko cztery trzymając, noszą charakter ciężki, męski, bezozdobny, jak n. p. świątynie w Pästum i w Koryncie. Późniejsze jednak dochodziły do siedmiu diametrów, a w niektórych budowlach dodaje Vitruv jeszcze pół średnicy. Z resztą porządek dorycki najwyraźniejszą nosi cechę pierwotnéj budowli drewnianéj, chociaż więcéj już przyjmuje ozdób niż toskański. Kolumny doryckie, najczęściéj niemają podstawy, i albo zupełnie są gładkie, albo dwudziestu tylko rowkami nażłobione, które często jeno do trzeciéj części ku dołowi dochodziły; głowice zaś, składają się zwyczajnie z *burletu*, czyli wypukłéj opaski, i tafli na nim położonéj. Odstępy między słupami u dawnych budowli wynosiły tylko dwa, a rzadko połtrzecia diametru. Właściwe także doryckiemu porządkowi są, wyżéj wspomniane *tryglify* i kwadratowe *metopy*, czyli międzybalcza, oznaczające pierwotność drewnianego składu belek i próżnych miejsc między niemi. Dla przyozdobienia, zapełniano międzybalcza rzeźbami i tryglify potrójnem narznięciem, a u ich spodu przy *architrawie* i górą, przy listwie wieńca, przydawano jeszcze po sześć małych konicznych kształtów, podobnych niby do obwisłych kropel.

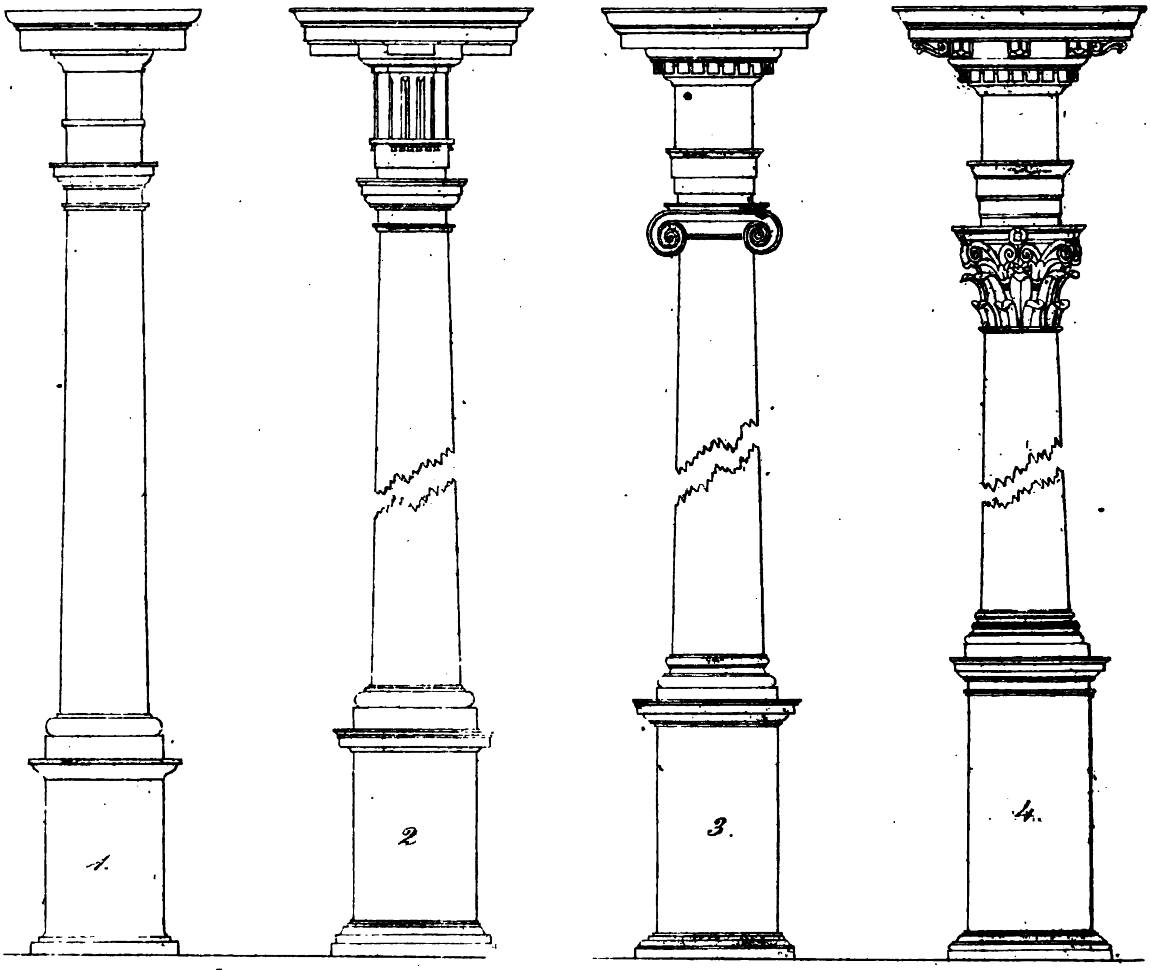
Jak cały porządek dorycki skromną odznacza się uprzejmością i prostotą, tak *joński* przybiera już powabniejszą wysmukłość i wdzięczną lekką ozdobę. Jego kolumny, od siedmiu do dziesięciu spodnich średnic wysokie, stósują się, podług Vitruva, do swego ciaśniejszego lub oddaleńszego rozstawienia; gdyż w pierwszym razie bardziéj skupione, zdają się być dla oka niższe i grubsze, w drugim zaś szerzéj stawiane, cieńszą i wysmuklejszą niby przybierają postać. Gdy przeto odstępy między kolumnami więcéj jak trzy średnice przechodzą, wtedy wysokość ich ośm takich diametrów wynosić powinna, przy odstępach zaś $2\frac{1}{2} + 3$ średnic, wysokość do $8\frac{1}{2}$ tychże diametrów dochodzić musi. Gdyby zaś kolumny stały tylko o dwie średnic od siebie oddalone, wtedy powinny $9\frac{1}{2}$ średnic być wysokie, a nawet i do 10 dochodzić, jeśliby odstępy były $1\frac{1}{2}$ średnicowe. Ostatnich przecież, rzadko u starożytnych używano. Daléj i w tém zachodzi różnica między kolumną dorycką a jońską, że ostatnia niebezpośrednio na ziemi, lecz na urozmaiconéj podstawie stojąca i głęboko dwudziestu czterema rowkami nażłobiona, w łagodném a smukłém zwężaniu, rozwija się w piękniejszą u wierzchu głowicę. Tem zwłaszcza odznacza się *jońska świątynia efezka* obok doryckiéj w Pästum. Głowica jońska nie tylko ma wyrzezywaną opaskę, nietylko listewkę i platę, ale nadto jeszcze po lewéj i po prawéj stronie ślimacze zakręty, obok wypukłości, poduszce podobnéj; co wszystko oznacza niby miękkie i dobrowolne zwinięcie się bujnéj i smukłéj kolumny pod niezbytecznym ciężarem wierzchnich pokładów, które téż stósowny, do powyższéj lekkości kolumn, przybierają charakter. I tak n. p., gdzie u doryckich budowli *tryglify* i *metopy* całym ciężarem belek świecą na zewnątrz, w jońskim natomiast porządku wystają tylko rzeźby głów ofiarnych zwierząt, splotami kwiatów pałączone, na zupełnie gładkim szlaku, i miasto wystających krokwi doryckich, drobne, zębate narzezywania.

Główne zarysy jońskiéj kolumny objawiają się i w *koryntskim* porządku, z tą tylko różnicą, że ostatni, obok wysmukłéj postaci, przepychem ozdób bogato przybrany, rozkwita w całéj pełni architektonicznych piękności. Koryntska kolumna, niewyższa wprawdzie od jońskiéj, wznosi się na $8 + 8\frac{1}{2}$ miar swéj dolnéj średnicy, ale się zato wyższą nadstawia głowicą, która $1\frac{1}{4}$ część spodniego diametru trzyma, i na wszystkich czterech rogach ma wysmuklejsze zakręty, a spód akantusowemi ozdobiony liśćmi, o których Grecy mieli powiastkę, że niańka pewnéj zmarłéj dziewczynki, zebrawszy w koszyk pozostałe po niéj cacka, postawiła na grobie obok rosnącego tam akantusu, którego liście tak się oplotły w okół koszyka, iż ztąd miano powziąść wzór do koryntskiéj głowicy. Co do innych oznak koryntskiego stylu, wspomnieć tu szczególniéj wypada: pięknie, pod wierzchnią listwą, paskowane końce krokiew, toż wydatny okap, i u głównego gzymsu zębate narzynania i kragsztyny.

Wypływający z resztą z koryntskiego stylu porządek tak nazwany *rzymskim*, stanowi przejście od greckiéj do chrześciańskiéj architektury; gdyż w nim znachodzim najpierwéj sklepienia i łuki, których ani Egipcyanie, ani Babilończycy, Izraelici i Feniczykowie nie znali. Przynajmniéj w zabytkach egipskich widzimy tylko z obuch stron tak wysuwane stopniowo jeden na drugim kamienie, iż się u wierzchu nakoniec jednym kamieniem otwór zasklepił. W greckiéj zaś, prostokątnéj architekturze, słup był wyłącznie tylko ku dźwiganiu używany, a przy sklepionych łukach traciłby już to swe pierwotne znaczenie, gdyż takie półkole dźwigając się niejako samo w sobie, daleko mniéj potrzebuje słupów, niż horyzontalnie położone belki. W rzymskiéj natomiast architekturze konstrukcya sklepień i łuków była już nader zwyczajną. *Panteon Agryppy*, poświęcony Jowiszowi Ultrowi, należy do najcharakterystyczniejszych budowli tego rodzaju. (*)

W ogóle rzymska architektura zupełnie różny od greckiéj nosiła charakter. Grecy, obok wszechstronnéj użytkowości swoich budowli, odznaczali się jeszcze prawdziwie kunsztowém wykończeniem, szlachetną prostotą i lekkością

(*) Zob. P. L. rok IV. T. II. Nr. 42. str. 331.



Porządek kolumn: 1. *porządek toskański,* 2. *dorycki,* 3. *joński,* 4. *koryntski.*

ozdób, gdy natomiast Rzymianie, jakkolwiek sztuczni w mechanicznym względzie, mniéj przecież zalecają się szlachetnym powabem, jeno bogactwem, przepychem zbytkują. Prócz tego rozmaitość celów różni ich od Greków, którzy niedbając o swe prywatne mieszkania, zdobili tylko gmachy publiczne. Rzymianie zaś, obok publicznych, nieszczędzili wydatków na prywatne wille, łaźnie, ganki, wschody i t. d., licząc do tego i przyozdobienia ogrodów. *Willa Lukulla* jest z tego względu wzorowym przykładem. Charakterystyczna ta cecha budownictwa rzymskiego, posłużyła za wzór późniejszym Włochom i Francuzom, których znów daléj, po innych krajach, długo naśladowano, aż nakoniec, przed niedawnym czasem, poczęto się dopiero zwracać ku greckim, pierwotnym antykom. *B.*

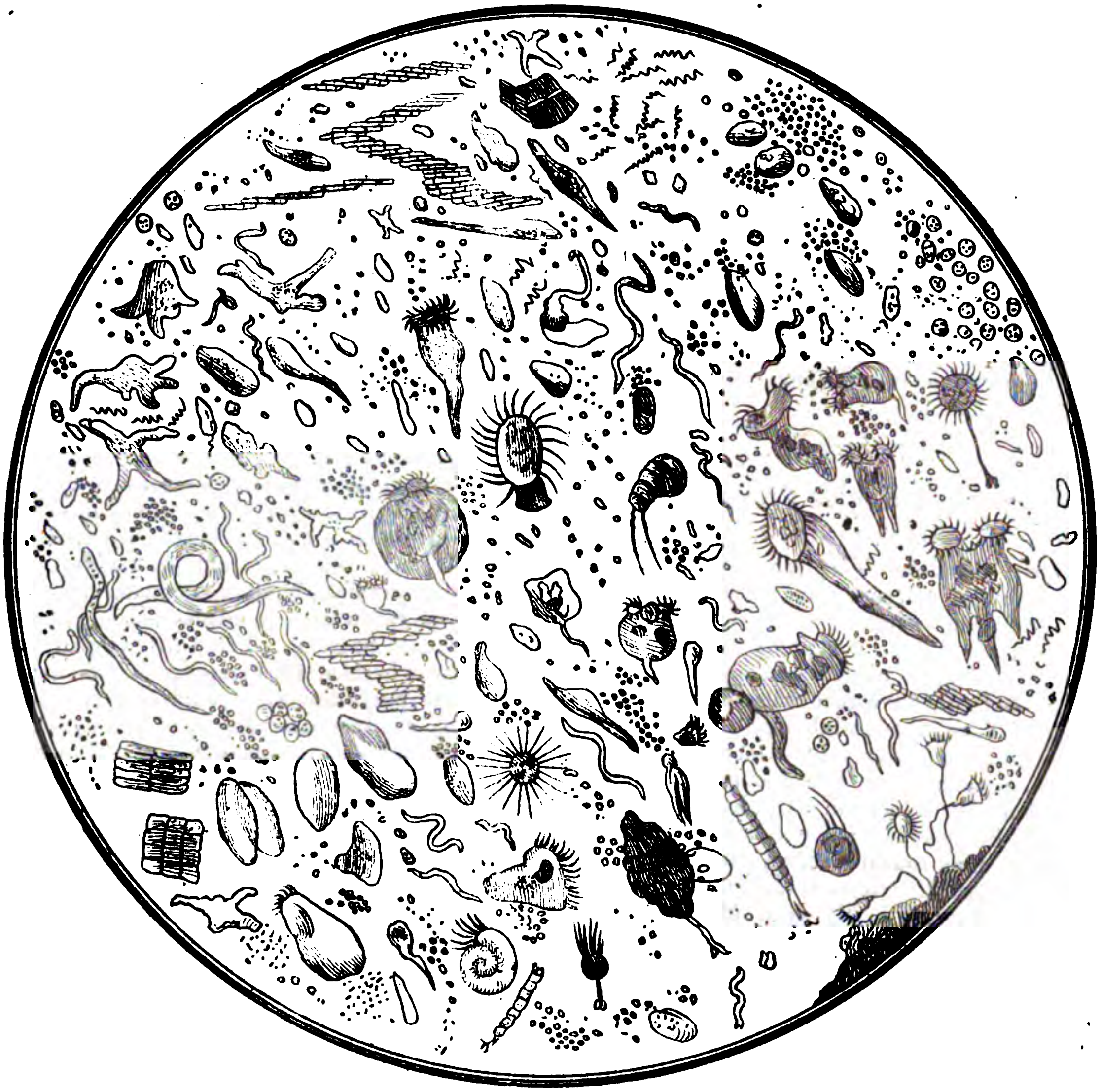
Infuzorya, czyli Wymoczki.

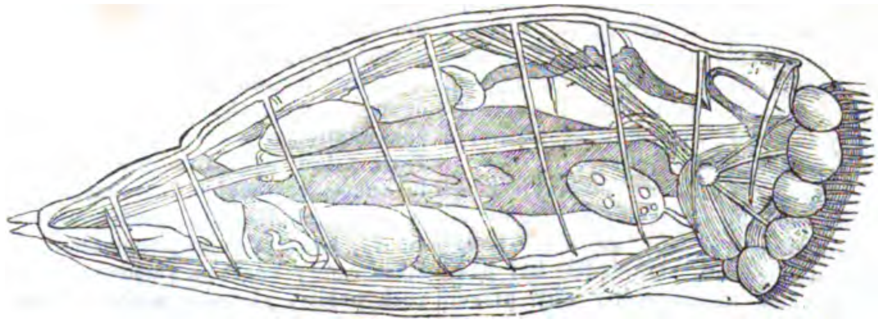
Kiedy astronomowie wznoszą nasz wzrok w górę, rozszerzając coraz bardziéj granice niezmierzonego uniwersum, kiedy nas uczą, że słońce, że bliższe gwiazdy, nie są ciałami stałemi, ale podobnie jak ziemia, nie tylko krążą biegiem wirowym koło swéj osi, ale nawet jako ciała znowu podrzędne innych większych systematów, odprawiają koło pewnych punktów swe miliony lat zapewne trwające obiegi; z drugiéj strony odkrywają inni badacze natury około nas i w nas samych nowe cudowne światy, wskazujące nam przeciwny kierunek nieskończonych i nigdy niezbadanych dzieł Opatrzności.

Sławny uczony niemiecki, Ehrenberg, odkrył, za pomocą udoskonalonego mikroskopu, roje żyjątków, pod naszemi nogami walających się, i swoje postrzeżenia ogłosił w dziele pod tytułem:

Die Infusionsthierchen als vollkommene Organismen. Ein Blick in das tiefere organische Leben der Natur.

Infuzorye, albo wymoczki, sąto robaczki rodzące się, kiedy nalewamy wodę lub inną ciecz na części zwierzęce, lub roślinne. Gołém okiem żyjątka te, z zamoczenia wylęgłe, niewidziane, za pomocą mikroskopów dojrzane, odkrywają poza granicami naszych zmysłów nowy, nadzwyczajnie ożywiony świat. Ehrenberg uwa-





Wymoczki w kropli wody powiększone kilkadziesiąt tysięcy razy.

żał, że jedna linia kubiczna wody bagnistéj, 500 milionów wymoczków zawiera; a jedna macierz tych zwierzątek pomnożyła się w przeciągu 10ciu dni do 100,000. Robaczki te nie tylko w zgniłych znajdują się wodach, ale oraz i w najprzezroczystszych źródłach, rzekach, studniach, jeziorach, morzach; w kwaśnych i słonych cieczach, a nawet w sokach żyjących roślin, zwierząt i ludzi.

W potoczném życiu nie zważamy na te mi-

liony otaczających nas jestestw; uzbrojone dopiero oko odkrywa te otaczające nas ze wszech stron massy, których chmary roją się nawet w powietrzu, w płuca przez nas wciąganém. Ehrenberg dowiódł, że *infuzorye* pojedynczo niewidzialne, w ścisłych i gęstych massach składają pewien gatunek ziemi i pewne posady ogromnych skał, tworząc także ową mąkę górną (Bergmehl).

Pomimo nadzwyczajnéj szczupłości, ciała ich są jaknajlepiéj uorganizowane; u większéj części widać wyraźnie głowę, tułów i ogon; w głowie postrzegać dają się oczy i t. d. Są rozmaitéj barwy: jasno-zielone, ciemno-pomarańczowe, inne jak mleko białe.

Obyczaje pogańskich Prus i Litwy.

(Dalszy ciąg.)

Wojsko składało się z piechoty i jazdy. Piechota stanowiła właściwą moc jego. Używano jéj do oblężeń zamków i wstępnego boju. Jazda służyła tylko do prędkich wycieczek, szerokich łupieży, i niespodziewanych napadów.

Broń była różna w różnych czasach. W pierwszych wiekach, rzadko lub nigdy nie używano żelaza. Bronią odporną była tarcza, zaczepną maczuga, nasadzona na końcu ołowiem, dla powiększenia siły zamachu. Oprócz téj długiéj i ciężkiéj, którą każdy jednę tylko miał w ręku, był jeszcze inny rodzaj maczug, lżejszych, krótszych, i nakształt dzirytów, do rzutu dalekiego sposobnych, których każdy sześć albo ośm zwykle miewał za pasem. Trafianie niemi do celu, było najprzedniejszem z ćwiczeń wojennych. W bitwie, gdy już wszystkie swe maczugi wyrzucił, brał się walczący do procy i zaostrzonych kamieni, albo też z kamiennym młotem, lub siekierą w ręku, ścierał się wręcz z przeciwnikiem. Inne gatunki oręża, równie Prusacy jak Litwini, w wojnach z Polską przejęli, a mianowicie używanie stalowego miecza. Późniéj daleko nauczyli się używać żelaznych tarczy i dzid, do uzbrojenia jazdy służących. W czasie wojen z Krzyżakami, miecz, tarcza, dzida i maczuga, składały zwykle uzbrojenie Prusaków i Litwinów. Użycie łuku, utrzymują kronikarze, że dopiero od Krzyżaków przejęli.

Gdy już zebrane wojsko na nieprzyjaciela iść miało, udawano się naprzód do bogów o poradę i błogosławieństwo, aby się o ich woli i o losie wojny dowiedzieć. Obrządek był następujący: Usiłowano nasamprzód, aby przed wyruszeniem wojska dostać jakimbądź sposobem jeńca, jeśli nie z wojska, to choćby z kraju nieprzyjacielskiego. Gdy się to udało, przywiązywano go do drzewa — byle nie do dębu — i zbliska przebijano wskróś piersi strzałą lub włócznią. Jeźli krew nagle i obficie wytrysła, ucieszone wojsko pewne było zwycięstwa; jeśli przeciwnie powoli i kroplami się tylko sączyła, najwaleczniejsi tracili otuchę. Oprócz téj głównéj, inne wróżby pomniejsze, zachęcały lub trwożyły wojsko, jeźli się podczas jego pochodu zdarzyły. I tak zwycięstwo obiecywał orzeł, biały gołąb', kruk, i żuraw, gdy ze strony nieprzyjaciela naprzeciw wojska leciały. Przeciwnie, napotkany lub przebiegający przez drogę jeleń, wilk, zając, mysz, chory człowiek, lub stara kobieta, były przepowiednią nieszczęścia. Naówczas całe niekiedy wojsko wstrzymywało się w pochodzie, i czekało do zachodu słońca, aby grożącego w tym dniu niebezpieczeństwa uniknąć. Gdy słońce zaszło, całe wojsko ruszało się daléj, przy odgłosie wszystkich trąb i piszczałek, i przy powszechnych okrzykach żołnierzy, ażeby tym hałasem złe duchy odegnać.

Przed wojskiém pruskiém niesiono na wysokim drągu wielką chorągiew, z białego płótna, z obrazami trzech głównych bóstw, błękitno malowanemi, albo też z wizerunkiem tarczy, przez dwa konie utrzymywanéj, z malowaném na niéj popiersiem człowieka, a niedźwiedzią głową i rozdziawioną paszczą. Przed litewskiém zaś, chorągiew z herbem Litwy, przez wielk. księcia Narymunta przybranym, wyobrażającym rycerza na koniu, z gołym mieczem, nad głową wzniesionym, nieprzyjaciół goniącego, i ztąd pogonią nazwanym.

Zbliżywszy się pod obóz nieprzyjacielski, jeśli ten sam bitwy nie zaczął, rzadko równie Prusacy jak Litwini uderzali nań wstępném natarciem, owszem czając się po bagniskach i lasach, woleli czekać sposobniejszéj pory, ażeby albo niespodzianie na nieprzyjaciela uderzyć, albo też oddalone od obozu oddziały, z osobna napadać i znosić. Zmuszeni jednak do otwartéj bitwy, dotrzymywali pola z wytrwałością i męztwem, chociażby nawet nadziei zwycięstwa nie mieli. Wszakże, gdy w samym jéj początku, przeważającą siłę nieprzyjaciela, lub niekorzystne dla siebie pole postrzegli; prędka rozsypka, w którą się naówczas puszczali, nie tylko, że nie była hańbą w ich oczach, lecz owszem popłacała jako zręczność wojennego obrotu.

Gdy wojsko po zwycięstwie wróciło do ognisk ojczystych, zwyczajem było, aby najznakomitszego jeńca na ofiarę bogom poświęcić. Jeźli kilku było równego znaczenia i stopnia, los naówczas wybór rozstrzygał. Wybranego, w pełnéj zbroi i rynsztunku przywięzywano do siodła, również uzbrojonego konia, którego wszystkie cztery nogi przymocowane były do czterech palów, głęboko w ziemię wbitych, i przynajmniéj na wzrost człowieka po nad ziemią sterczących. Poczem, pomiędzy tymi palami pod koniem, składano stós z suchego drzewa, który kapłani zapalili, dopóty podniecając ognisko, aż przepalone pale nie zapadły się w popiół wraz z rycerzem i koniem. Niekiedy pojmane w nieprzyjacielskim kraju najpiękniejsze dziewice,

ubrane biało i uwieńczone kwiatami, podobnego doznawały losu. Zachowani przy życiu jeńcy, używani do najcięższych robót, lub w wiecznéj trzymani niewoli, gorzkie pędzili życie, jeżli okup, zamiana, lub niekiedy wspaniałość zwycięzcy, nieskruszyła ich kajdan. Liczba jeńców w ówczesnym sposobie wojowania, zależącym na niespodzianéj napaści łupieży i prędkim odwrocie, była bardzo znaczna.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

O kolejach żelaznych w Stanach Zjednoczonych Ameryki.

(Dalszy ciąg.)

Prócz powyższéj kolei, jest jeszcze w państwie Nowego Jorku 7 większych i kilka pomniejszych żelazokolei, ogółem 251 mil angielskich wynoszących, to jest:

Żelazokoléj, wprost nowojorkskie przebiegająca obok wspomnionego jeziora Erye	438 mil,
druga z Nowego Jorku do Albany .	150 —
dwie nadto pomniejsze	108 —

Razem biorąc gotowych kolei jest długości mil angiel. 403, a w robocie 908 m., które najdaléj w 3—4 latach skończonemi będą.

Nakład tak na otwarte, jak i w budowie będące, wynosi już do 62 milionów dolarów, czyli do 89 milionów talarów pruskich; co rozrzucając na dwa miliony pięćkroć stotysięcy mieszkańców prowincyi Nowego Jorku, na każdą głowę po 35 i ¼ talara wypada. — Tak zadziwiający wielki rozkład, przechodzący pojęcie Europy mieszkańców, niczem innem wytłumaczyć się daje, jak tylko zasobami prywatnych i zamożnością skarbu publicznego; jakoż rzuciwszy okiem na obraz kraju tego, urzędownie w 1838. roku wykazany, przekonywamy się, iż:

Lista urzędników kosztowała tylko	400,000 dol.
Dług narodowy z 1. Stycz. 1837 był	4,532,756 —
Nadmiar z cła i dochodu kanałów, po odtrąceniu kosztów utrzymywania	1,100,000 —
Fundusz krajowy, na utrzymywanie szkół, tak niższych, jak wyższych	2,197,000 —
Do tego dorzucić należy udział jeszcze czteromilionów dolarów na czynsz danych, który powstał z nadmiaru 42 milionów dol. przez kongress pod 1. Stycznia 1837. r. na zapłacenie długu ogólnego odkazany.	
Podatki na drogi, kanały, zakłady dobroczynne, oświecanie miast, szkółki i t. d., tak osobisty, jak rzeczowy, w 1838. doszedł .	2,860,476 —

Na téj to błogosławionéj zasadzie pomyślności krajowéj, wyznaczona nadzwyczajna komissya sprawowania krajowego, zaprojektowała, aby przez 10 lat po 4 miliony corocznie, czyli razem biorąc 40 milionów dolarów, na budowę kolei żelaznych i kanały obróconemi były.

W państwie Massachuset (stolica Boston), gdzie najdokładniejsze są żelazokoleje, ośm już jest otwartych, długości 213 mil angielskich, trzy zaś właśnie budowane 198 mil wynosić będą, czyli razem biorąc 411 m. a., albo około 90 mil dobrych polskich.

Najdłuższa nietylko w Stanach Zjednoczonych, ale na cały świat wziąwszy, jest koléj żelazna z Bostonu do Greensboro (w Georgii) bieżąca, która następujące ma stanowiska główniejsze:

Z Bostonu do	Providence żelazokolei	42	mil ang.
—	Stonnington -	47½	—
—	Now. Jorku parostatk.	130	—
—	Now. Brunświka żelk.	31	—
—	Trenton . . . . -	27½	—
—	Filadelfii . . . . -	30	—
—	Wilmington . . . -	28	—
—	Havre de Grace -	35	—
—	Baltimory . . . -	36	—
—	Wasyngtonu . . . -	39	—
—	Aquia creek parost.	60	—
—	Frederiksburgaocztą	13	—
—	Richmond . . żelk.	61½	—
—	Petersburg . . . -	22½	—
—	Weldon . . . . -	60	—
—	Wilmington . . . -	160	—
—	Charleston parost.	160	—
—	Augusta . . . żelk.	136	—
—	Greensboro . . . -	84	—
	Razem mil ang.	1203.	

Z czego okazuje się, iż z odległości tysiąca z okładem mil, aż 853 mile po saméj kolei żelaznéj się odbywa. — Przestrzeń tę ogromną, biorąc w to nawet wytchnienia na stanowiskach i dziesięć nadto godzin pobytu w Nowym Jorku, załatwia się mówię w 5ciu tylko dniach (*); a skoro reszta jeszcze żelazokolei dokończoną zostanie, 100 godzin będą aż nadto dostateczne do jéj przebycia. Zastanowiwszy się teraz nad tą okolicznością, iż do pięciu oddzielnych towarzystw należy, że przy zajmowaniu i opuszczaniu kolejowozów, ładowaniu i wyładowaniu sprzętów i t. d. nie mało jest zmarnionego czasu, co najmniéj 15 mil różnicy stanowi. Szybkość ta jazdy jest wielce podziwu godna.

Niedosyć na tém: Droga ta z obu końców będzie jeszcze przedłużoną, to jest: od Bostonu 100 mil dłużéj do Portland prowincyi Maine, a od Greensboro aż do Montgomery na 210 mil ang. Z Montgomery płynie się parostatkiem rzeką Alamba do Nowego Orleanu; za tém idzie, że po dokonaniu tego wielkiego dzieła, w trzech latach obiecywanego, całą tę przestrzeń krajów

(*) Na godzinę po żelazokolei do pięciu mil naszych się ujeżdża.

od Portland do Nowego Orleanu w ośmiu dniach przebiegać się będzie. Tak tedy cały ten przestwór razem wzięty, wynosi aż 2082 mil angielskich, to jest: 1195 m. żelazokolei, a 885 m. żeglugi parowéj.

Dziś, przeciwległa w robocie jest droga między Stonington i Weldon, w któréj żelazokolei będzie 395 m., a parostatkowéj 135 m.

Czyniąc teraz wedle wiarogodnych doniesień ogólny zbiór mil żelazokolei, okazuje się, iż w Stanach zjednoczonych dochodzi ich ilość aż do 3000 mil ang. (około 650 m. polsk.), biorąc milę każdą w przecięciu po 20,000 dolarów tylko, kosztowały tedy 60 milionów dolarów, czyli 86½ milionów talarów; mówię tylko po 20 tysięcy dolarów, albowiem to ocenianie w krajach amerykańskich miejsce mieć może w Anglii, albowiem w wielu innych krajach europejskich w dwój- i trójnasób więcéj kosztują. Towarzystw oddzielnych żelazokolei prywatnych, jak i rządowych, w Ameryce, jest do 100. Liczba zaś parowozów (inaczéj miejscoruchami czyli lokomotywami zwanych), jest 425, a zatem na każde siedm mil jeden wóz parowy.

W robocie obecnie jest kolei do 1100 mil angielskich, z gotowemi na to już pieniędzmi, które z końcem miesiąca Grudnia zeszłego roku 1839 ukończone być miały. A zatém będzie mil ogółem 4100 angielskich; gdy tymczasem po całym świecie resztującym razem zebrawszy, niema ich więcéj, nad 1600 mil. Gdy zaś wspomnieliśmy wyżéj, że prócz pomniejszych, wszystkie niemal roboty wielkich kolei, zaczęto właściwie w 1830. roku; tak olbrzymie tedy kapitały, i w tak krótkim czasie wyłożone, na jeden tylko przedmiot, a do tego w epoce krytycznéj handlowéj, jaka od 1835. do 1838. trwała, i w nowém państwie nie więcéj nad kilkanaście milionów (16 milionów) ludności podającym, najlepiéj przekonywa o rządności i zamożności Stanów zjednoczonych Ameryki północnéj.

Przeglądając zdanie sprawy skarbowe, przez sekretarza stanu w izbie sejmowéj w Wasyngtonie złożone, i to do połowy lata roku 1838. doprowadzone; okazuje się, iż wybudowano od 1807. roku do 1300 statków parowych; z tych podziśdzień jest w użyciu jeszcze do 800, na każden statek, bez względu, że i po dwie miewają nawet silnie parowe, jednę biorąc tylko machinę parową, wypada z ogólnego obrachunku:

na parostatki, siln parowych	800
na parowozy na kolejach żelaznych . .	350
a nakoniec siln parowych w rękodzielniach	1860
Razem machin parowych . .	3010

Pierwszy wóz parowy sprowadzono w 1831. z Anglii, a następnie 84; w saméj zaś Ameryce wykonano ich 266. Od roku 1838. nietylko nikt już więcéj nie sprowadza żadnych siln tego rodzaju, ale owszem wyrób i handel tychże za kraj ma miejsce, tak dalece, że po połowie pierwszéj roku 1838., to jest: po sprawozdaniu wspomnioném wyżéj, William Norris i Baldwin w Filadelfii saméj, wystawili nowych siln parowych do 58, z czego następujący uczynić można wniosek, iż na kolejach żelaznych Stanów zjednoczonych w liczbie obecnéj 425 parowozów, niemasz już więcéj z Anglii sprowadzonych nad 84; ogromna, co większa ta do kilkuset sztuk machin parowych summa, w krótkim nader czasie, to jest: siedmiu tylko latach, wykonaną była.

Zastanówmy się teraz nad kosztami saméjże budowy żelazokolei. Za zasadę w wykazie nakładu przyjęty w ogólności ruch, jaki między miejscem a miejscem bieżeć mającéj kolei trwać zwykł; ziemiomiercom zaś zostawione jest, przemyśliwać, jakto najkorzystniéj, najtaniéj, bez ujmy trwałości, dzieło samo, wedle powyższéj zasady, wykonaném być może. Za tém idzie, że miejscowość położeń i potrzeba mieszkańca, znaczniéj wpływ na budowę wywierając, przedstawia tém samém ich rozmaitość w ogólności na olbrzymiéj drodze z Albany do Buffalo, w przecięciu na jednę milę angielską, od 5000 do 72,000 dolarów; na innych zaś żelazokolejach, od 3500 do 56,000, o podobnéjże wadze szyn, koszta wypadają.

Najdrożéj na całą Amerykę, wyszły koszta budowy na kolei, przez samo miasto Nowy-Jork prowadzonéj; zadziwiająca ta droga, właśnie na dokończeniu będąca, długą jest na ośm mil angielskich, i przebiega najprzód przez kilka ulic, potém przez część nowo-budującą się miasta, którego ludność, corok o piętnaście tysięcy dusz powiększająca się, wznosi po 800 aż do 1000 nowych domów. Nakład tamże niedziw, że 1,200,000 wypada (około miliona talarów na naszą dobrą milę). Do osobliwości tamtejszych kolei i to dodać należy, że przez wszystkie niemal miasta, na drodze przypadające, żelazokoléj środki ich przerzyna; dla większego atoli bezpieczeństwa, zamiast pary, konie do pociągu używanemi są, czyli parowa pociągową w nich chwilowo wyręczoną jest.

Mimo zasadę powyżéj wspomnioną, nie należy sądzić, jak się to wielu zdawało, aby żelazokoleje amerykańskie miały być nietrwaléj budowy, i owszem, wedle postrzeżeń nowszych, układ budowy, u nas nawet, jako w podobnym klimacie, mógłby mieć miejsce.

(Koniec nastąpi.)

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (*Red. J. Łukaszewicz.*)

Przyjaciel Ludu.

Rok szósty. **No. 30.** **Leszno,** *dnia* **25.** *Stycznia* **1840.**



Michał Czajkowski.

Znane Czytelnikom naszym są dzieła jędrne ulubionego pisarza porywających ogniem swoim *Powieści kozackich*, twórcy *Wernyhory*, *Kirdżalego* i *Stefana Czarnieckiego*; spodziewamy się zatém, że ich zajmą rysy genialnego autora, do pierwszych pisarzy naszych obecnie należącego.

O kolejach żelaznych w Stanach Zjednoczonych Ameryki.

(Koniec.)

Co do najmu robotnika, ten w Ameryce jest wyższym, jak u nas, drzewo nawet poniekąd droższe (jako budulec), a nakoniec i same szyny żelazne z Anglii sprowadzanemi są; mimo atoli tak nieprzyjazne okoliczności, nakłady budowy nie są większe, jak w Europie, a nawet i nieraz mniejsze. — Tak zadziwiający

wypadek był właśnie głównym powodem odbywanéj w tym celu podróży przez p. Gerstner, z któréj następujące podajemy wyjaśnienie:

1) Każdy pomysł, nowy projekt budowy kolei, nie przez jednego, ale i kilku mierniczych wykonywany i sprawdzany bywa, daléj najtroskliwiéj wszystkie od miejscowości zależące wykazy nakładów rozważane, i to nie chwilowo, ale nieraz przez 2 do 3 nawet lat poprzednio rozmyślane; bez owéj to naganněj i wielce szkodliwéj, a pozornéj tylko oszczędności, jak to w Europie bywa, przez co tanio, a tym samym źle wykonane dzieło, powtórnie na nowo, a nieraz z gruntu wykonywane, znacznie marnując fundusze, zwyższa bezpotrzebnie nakłady.

2) Przy każdéj wyłącznie budowanéj kolei jest budowlany-mierniczy, który budową kieruje, pobierając płacę od 3 do 5 nawet tysięcy dolarów roczną, stałą. Prócz tego jest drugi znów mierniczy, doradczy, nadzór niejako mający, który o podobnéjże pensyi ustanowiony, co 3—4 miesiące objazdy odbywając, po tygodniu na każdém ważniejszém miejscu zatrzymując się, czuwa nad całém dziełem dokładnéj budowy.

3) Wyniosłości na kolejach amerykańskich bywają i na 50 stóp, a w nieodzownych wypadkach, n. p. w przebywaniu pagórków, aż do 90 stóp na jednę milę angielską. Podobnież krzywizny, objazdy przeszkód, zdarzają się aż do 2000 stóp średnicy mające, i zwyczajnemi parowozami przebywać się dają. Nakoniec wszystkie niemal koleje biegną prądowo (jak bałwany), i nigdzie niebywa skośnych płaszczyzn. Nury nakoniec, czyli tunele, bardzo rzadkie.

4) Mechaniczne środki, zręcznie zastósowane, częstokroć wyręczają ręczne prace, przez co na najem wyrobników tam droższych, jak u nas, mniéj wydają.

5) Mimo mnóstwo rzek, Amerykę w różnych kierunkach przerzynających, wielość jednak mostów nie jest kosztowna, a to z tegoż samego, co wyżéj powodu, to jest: wysokości sztuki budowniczéj; wszelkie albowiem tego rodzaju roboty, są nowéj, wydoskonalonéj, u nas dotąd nieznanéj budowy, ze znaczną oszczędnością nakładów wykonanéj, i tak n. p. na rzecze James wybudowano most na 2859 stóp ang. długi, o 20 filarach, który nie kosztował więcéj nad 115,000 dollarów.

6) Pokład, czyli pobudowa kolei, zastósowana jest do potrzeby miejsc, ztąd téż szyny, w jednych miejscach do 58 funtów ważące, niemiewają w innych nad 9½ funtów wagi, na jard biorąc. Po słabszych szynach lżejsze téż silnie pędzonemi są.

Budowle w ogólności do kolei należące, po prostu z najskrupulatniejszą oszczędnością, a nie tak, jak u nas, z niepotrzebnym zbytkiem, stawianemi są. Toż samo rozumie się o parowozach, jak i kolejowozach, których nierównie mniéj bez niepotrzebnych zasobów, próżno tylko stojących, jak u nas jest.

Te tedy i t. p. przyczyny, trafny rzeczy kierunek, zmysł prawdziwie praktycznéj potrzeby we wszystkich szczegółach robót tego rodzaju w Ameryce panujący, taniości równie, jak dobroci obok rozsądnéj oszczędności w żelazokolejach postrzegać się daje, okoliczności, od których nasze roboty dalekiemi dotąd są; przykładem tego najlepszym jest żelazokolej z Wiednia ku Krakowu prowadzona, któréj pierwszy oddział do Brynu dopiero wykonany tyle przez nierozważne postępowania, zmarnił już funduszów, że towarzystwo w przykrém zaiste znajduje się położeniu, mila każda albowiem przeszło milion złotych polskich kosztowała, podług albowiem urzędowego wykazu pod 29. Marca 1839. sporządzonego, z Wiednia do Brynu wydano na koléj do 5,300,000 ryńskich srebrnych. Przypominam sobie okoliczność, która posłużyć może za prosty dowód nierozsądnie, i nieraz marnionych funduszów: przejeżdżając albowiem pod jesień przez Bryn, zwiedziłem roboty tamtejsze, które tak nagle i niedokładnie, a do tego już w spóźnionéj porze wykonywano, że ośmieliłem się kierującym robotą uczynić uwagę o ich przyszłéj nietrwałości; jakoż nieinaczéj się skończyło, świeżo albowiem i nagle sypane groble, wyprowadzane mury i t. p. nim się uleżały i wyschły, ruiną swą przymusiły do nowych wydatków; to, co o prostych powiedziałem groblach, o tamach i mostach powtórzyć należy, które nieskończenie większych zmarnień funduszów stały się powodem.

Również zalety Amerykanom przyznać winniśmy, i co do **służby** żelazokolei saméj, sprawowanie albowiem jéj jest nierównie prostsze i rychléj załatwiane, jak u nas, a jakkolwiek urzędników dobrze płacą, bywa ich zato mniéj i czynni. **Szybkość** jazdy rozsądniéj jest umiarkowana, przez co mniéj smutnych wypadków i mniejsze zniszczenie sprzętu i sił. Pospolicie podróżni, po 15 tylko mil angielskich na godzinę odbywają, towary zaś, po 8—12 na godzinę, przewożonemi są; ztąd to koszt utrzymywania żelazokolei na jednę milę, i nie wynosi więcéj, i to w przecięciu, nad 500 dolarów. Budowa parowozów jest doskonalsza, poprawniéjsza od angielskich, niesą lżéj, łagodniéj i tém samém mniéj koléj niweczą. To samo powtórzyć należy, i o pakowozach, które w ostatnich latach znacznie udoskonalone, i z cztéro- na ośmiokolne poprzerabiano, ta ostatnia poprawa tak dalece zabezpiecza jazdę od wydrożeń, że od chwili ich zaprowadzenia niebyło dotąd przykładu, aby kiedy kolejowóz z drogi swojéj wyskoczył, co większa, w wydarzonych zetchnieniach się sprzężajów całych, siła starcia, uderzeń, wywiera się jedynie na same wozy, nigdy zaś na osoby podróżujące, które bez szwanku wychodzą.

Po zaprowadzeniu ośmiokolnych kolejowozów, nastały też i płaskie szyny, które nie są szersze, nad 2 do $2\frac{1}{2}$, a nie grubsze, nad pół, a najwięcéj 5 ósmych cala, co nietylko zmniejsza nakład budowy, ale nadto wielce oszczędza sameż wozy, a tém samém zmniejsza koszta poprawy, bez końca w Europie fundusze wyczerpujące. Okoliczności te przemawiają stanowczo za systemem amerykańskim, który w Europie zaprowadzić się powinien, a nawet wszelkie silnie i sprzężaj sprowadzaćby z Ameryki należało, albowiem cały zaprząg, biorąc w to śniegownicę (do odgarniania zamieci śnieżnych) parowóz z dodatkami zasobnych szczegółów, z czterema kolejowozami ośmkolnemi, każdy na 50 osób, i z jednym nakoniec tłomakowozem ośmiokolnym, niekosztuje tam więcéj, nad 16 do 20 tysięcy dolarów, obok nadobności wyższéj, jaką w angielskich sprzężajach, dziś w Europie powszechnie zaprowadzony, widzimy.

Amerykanie, do pędzenia parowozów, czyli wyrabiania pary, nieużywają węgla kąskowanego (czyli kuxowanego), ale drzewa nierównie taniéj wypadającego. Ponieważ zmysł praktycznego użycia, panuje tam wszędzie w zakładach kolei rzeczonych, ztąd też przebiegając zwykle drogi żelazne przez środek i najludniejsze części miast wielkich, odstawę towarów, równie jak wysiadanie osób, ledwo nie w szczegółowych składach i domach, kolejowozy z oszczędnością najmu, same ułatwiają. Ruch po kolejach tak w dzień, jak w nocy odbywany, wyręcza tém samém konne poczty, i znaczny przynosi dochód stowarzyszonym.

Ponieważ w północnéj części Ameryki zawieje śniegów częste nieraz, i na kilkanaście stóp żelazokoléj zasypują, zaprowadzono dziś tak dokładne silnie ku temu, że nietylko zmiatają, rozkopują zaspy, ale nawet tną, rozrębują sameż nalodki, i na strony uprzątają. Śniegownice te, w miarę mniejszéj, lub większéj potrzeby, albo wprost przez parowóz pchane, bieżą i torują drogę, albo przy nadzwyczajnych zaspach, osobnym parowozem pędzone, w pewnéj odległości sprzężajowi przodkując, przejazd wygodny gotują.

Niezapomniano tam i o wygodzie przewodników i pomocników jego, również, jak zabieżono ścinaniu się wśród mrozów wody na wyrób pary, zwłaszcza w zasobnym wozie prowadzonéj, a to w ten sposób, że cały parowóz i zasobnie kryte są, i prócz dymnicy (komina) starannie zamknione; okna z resztą ułatwiają widok przewodniczemu na kolei. Toż samo rozumie się o podróżujących, którzy w opalanych kolejowozach nietylko jadą, ale i przez zaprowadzone między temiż przejścia bawić się wzajem mogą. O miejscach również wygody (wychodkach) niezapomniano, równie, jak o izbach jadalnych, służących, bufecie, familijnych, nawet sypialni do 24 łóżek obejmującéj. Koszta z resztą podróży przy tak wielkich zabiegach o wygodę nie są wielkie, albowiem za całą drogę z Bostonu do Greensboro, to jest: za 1203 m. a., nie płacą więcéj, nad 66 dolarów, którato summa, po dopełnieniu resztki kolei, jeszcze o kilkanaście dolarów zmniejszoną będzie. Niewypada tedy na dobrą milę polską nad 2 złote polskie, groszy sześć; od towarów zaś droższych, po złp. 3 i groszy 6. (*)

Ponieważ w Ameryce pospolicie tylko za interessami jeżdżą, a ludność do tego w stósunku obszerności ziemi mniejszą jest, ruch tedy po kolejach mniejszym bywać zwykł, jak u nas, gdzie prosta ciekawość i nałóg podróżowania najwięcéj kolejowozy zapełnia. Lecz z tych też właśnie przyczyn w Ameryce, przy wzrastającéj pomyślności, przemyśle i handlu, dochody z kolei żelaznych rok rocznie wzrastają tak dalece, że po 5 i 10, a nawet aż do 25 na sto przynosić zaczynają, i w ciągłym wzroście podział, czyli dywidenda korzyści postępuje.

Dziedzice dóbr i kupcy okolic, które przebiega żelazokoléj, pospolicie są pierwszymi członkami stowarzyszeń tamtejszych, którzy ułatwienie i wygodę własną miejscową, prócz procentu wspomnionego, do korzyści swych jeszcze liczyć zwykli. Co do kapitałów, na koleje wyłożonych, prócz składek stowarzyszonych, zasiłki ze skarbu publicznego i pożyczki, należą, i to za opłatą 5 od sta w Anglii najczęściéj zaciągane.

O artyleryi austryackiéj.

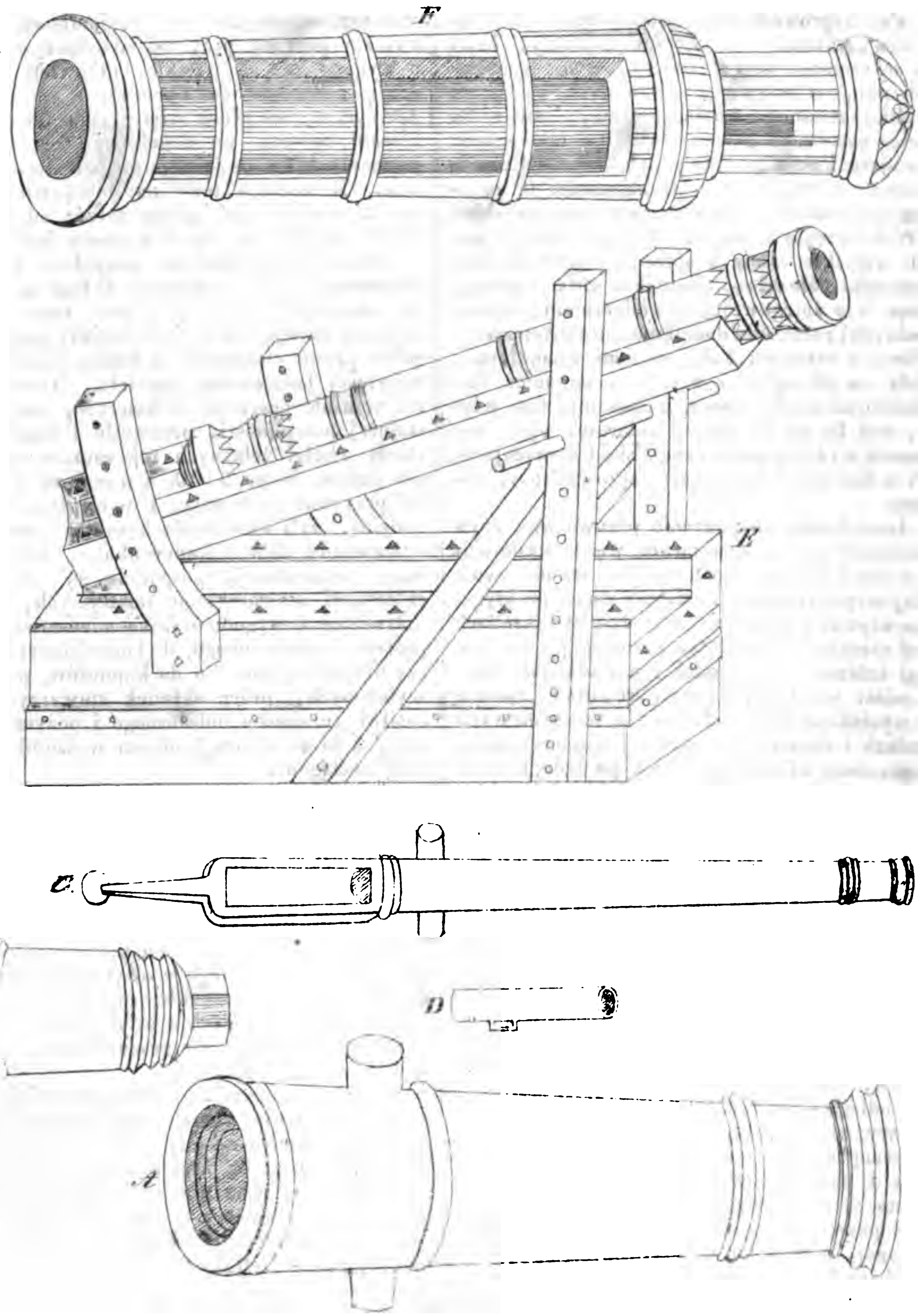
Niedawno urządzenia wojenno-artyleryczne saskie, w Europie za najlepsze miano; dziś zaś Austrya z Francyą w tém na lądzie o pierwszeństwo walczą, i dla tego o artyleryi austryackiéj dać wyobrażenie postanowiliśmy, a przedewszystkiém natrącimy nieco o artyleryi w ogólności, o ile za potrzebne do zrozumienia głównego wykładu uznaliśmy.

Trudno oznaczyć z wszelką pewnością przez kogo, i w jakim okresie czasu proch strzelniczy wynalezionym został; przecież z dziejowych podań nie ulega już wcale żadnéj wątpliwości, że teraźniejszy nasz proch strzelniczy, a przynajmniéj mieszanina z tychże składowych części, podobneż wydająca skutki, o wiele wcześniéj w Azyi, aniżeli w Europie znaną była, któréj wynalazcą ma być jeden z panujących chińskich Vitéj około r. 85 po n. C. żyjący. W Europie znowu powiedzieć można, pierwsi Marek Grek i chemik angielski, Franciszkan Roger Bakon (**)

(*) Na kolejach europejskich w ogólności taniéj od mili opłacać się zwykło, a do tego w kolejowozach pierwszego rzędu.

(**) Artylerya Benjamina Robins.

30

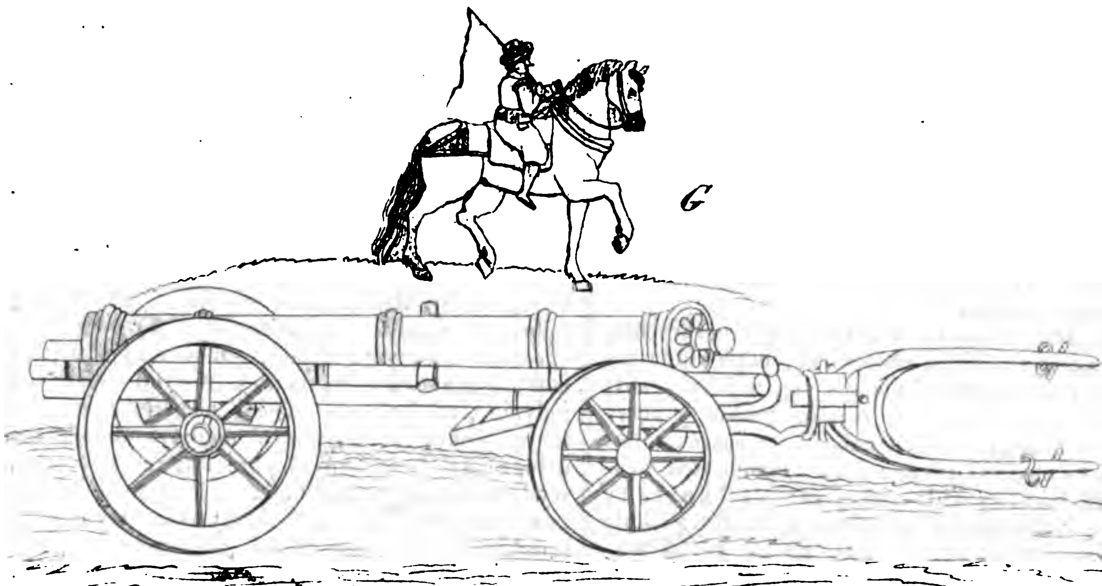


Najdawniejsze działa wojenne. (*)

dopiero przy końcu 13go stulecia (umarł ostatni r. 1288) znali mieszaninę, złożoną z części główych naszego prochu strzelniczego, i skutki z jéj spłonienia, bo tego ich pisma dowodzą. W Niemczech zaś, czyli to z pism klasztornych, czyli téż przypadkiem, mieszaninę tę odkryw-

(*) *A.* Działo ze sztabów żelaznych ukute, używane do kul kamiennych, do szynalów i łańcuchów. *B.* Komórka do nabojów, którą za każdym wystrzałem przyśrubować trzeba było.

C. Działo długie i wązkie, najlepsze ze starożytnych, do użycia było łatwe, mianowicie na okrętach. Równie jak pierwsze z dwóch sztuk sporządzone. *D.* Komórka prochowa, z mosiądzu lub żelaza, nakształt moź-



Kartana na wozie ciężarowym.

szy, rozpowszechnił r. 1320. Franciszkan z Moguncyi, Berthold Schwartz.

Gdy z czasem odkrycia te udoskonalono, badając ściśle naturę przypraw do prochu wchodzących, własności każdéj z osobna, sposoby ich oczyszczenia z cząstek obcych, jakiby był najwłaściwszy i stały stósunek pomięszania, jak skoro wynaleziono i urządzono dokładnie młyny prochowe, przy pomocy których, proch szybko, wygodnie, w znakomitéj ilości wyrabiać się dawał, a sposobem ziarnowania został bezpieczniejszym i sposobniejszym w użyciu, wówczas proch strzelniczy w początkach wynalazku swojego najwięcéj w górnictwie używany, stał się główną ogniów wojennych pastwą i podnietą, zmienił zupełnie doówczasowy układ wojowania, odznaczył nader ważny okres w dziejach ludzkości, lubo zaraz w pierwiastkach pisano przeciw używaniu go, a mianowicie Polidorus Virgilius (*), bo przez ten wynalazek tylko władza w ręku kilku, lub jednego skupioną być mogła.

Lubo niepodpada wątpliwości, że pierwszy Schwartz wystrzelił kulę z żelaznéj rury siłą spłonionego prochu, przecież niepodobna powiedzieć, kto pierwszy wynalazek ten zastósował do wojennego użycia. Tyle tylko z dziejów wiadomo, że pierwszy w Europie użył pewnéj machiny, przez ogień żelazne kule miotającéj, król Maurów z Grenady w r. 1331. przy oblężeniu miasta Alikanty; pewniejszą jeszcze jest rzeczą, że Maurowie r. 1342. w Algeziras obiężeni, bronili się działami. Pierwsze wieści o działach w Niemczech po r. 1356. sięgające, znaleść można w dziejach miast związkowych niemieckich, i tych używanie wydoskonalił nieco pod miastem Einbek, w r. 1365., Fryderyk, margrabia Meissen. Znajomość dział z Niemiec przeszła do Włoch, bo tam dopiero około r. 1367. na wzmiankę o nich natrafić można w opisach wojennych Wenetów z Genueńczykami (*).

Naprzód w Niemczech robiono działa zwane *Donnerbüchsen* albo *Bombarden*, z grubych żelaznych sztab, wzdłuż pozbijanych i ściśnionych także żelaznemi obręczami. Działa te osadzone były na drewnianym klocu, z pomostem w tyle, komorę miały różnego kształtu, a strzelano z nich pociski kamienne, lub żelazne wagi ładunka. Zapewne z początku bywały tylko średniego wagomiaru, lecz, gdy je następnie zaczęto używać przy oblężeniach do łamania murów, coraz bardziéj powiększały się, tak dalece, że przy końcu 14go stulecia używano bombard, z których rzucano pociski żelazne do 250 funtów ważące. Lecz mając wyloty nazbyt obszerne, ciężar odpowiednio znaczny, takie działa w użyciu nie były dosyć ruchliwe, gdy przytém słabe ich ściany nie były w stanie wytrzymywać znaczniejszego rozprężenia, nie można się było przeto spodziewać wielkiéj skuteczności, zaczém już w r. 1378 zaczęto lać działa z żelaza kształtu ostrokręgowego wierzchołkiem od dna ku wylotowi i używać do nich jedynie pocisków

dzierza małego, w otwór w rurze *C.* będący po wystrzale wkładane.

E. Armata żelazna, leżąca na ławecie, nazywana *Escala amira* (celowa drabina); gdy ją rychtowano, musiano ją po żelaznych gwoździach, na których leżała, jako po drabinie na górę i na dół podnosić.

F. Działo kamienne.

G. Kartana na wozie ciężarowym.

(*) libr. 3. de rerum inventione.

(*) Militairischer Notizenschatz, Franz Müllers, Prag 1836.

kruszczowych, które wprawdzie niekosztowne, jednakże były nietrwałe, niełatwe do przeprowadzania, z kształtem kanału niesposobnym do wywarcia na pocisk całéj siły spłonionego prochu i do udzielenia jéj potrzebnego kierunku, jedynie gdzieniegdzie zatrzymane zostały po twierdzach i na okrętach, ale już z kanałem walcowym. Na początku 16go stulecia, wielce rozpowszechnione, i już nawet wpolu używane spiżowe działa, w Niemczech dzielono na następujące gatunki:

A. Murołomy, kartany (Mauerbrecher, Karthaunen), działa oblężnicze, odpowiadające dzisiejszym działom komorowym, nie były zbyt długie, ale znacznie w metalu grube, z przyczyny mocnego do nich naboju, tu rozróżniano: 1) całe murołomy, na 18 wagomiarów długie, 48-funtową kulę ciskające; 2) ¾ kartany na 20 wagomiarów długie, 36-funtową kulę ciskające; 3) półkartany na 22 do 24 wagomiarów, z 24-funtową kulą; 4) ćwierćkartany na 24 wagomiary, z 12-funtową kulą; 5) półćwierćkartany na 27 wagomiarów, z 6-funtową kulą.

B. Szmigownice albo węże (Schlangen), działa polowe, a właściwie odpowiadające dzisiejszym armatom, wyrzucały aż do 18stu funtów żelaza, dosyć cienkie, ale stósunkowo o wiele dłuższe, jak poprzednie; tu należały: 1) całe węże na 30 wagomiarów długie, 18-funtową kulę wyrzucające; 2) półwęże na 36 wagomiarów długie, 9-funtową kulę wyrzucające; 3) ćwierćwęże na 34 wagomiary, z 5-funtową kulą; 4) sokoły na 27 wagomiarów, z 5- lub 6-funtową kulą; 5) półsokoły na 35 do 36 wagomiarów, z 2- lub 3-funtową kulą; 6) ćwierćsokoły, sokołki, na 38 wagomiarów, z jednofuntową kulą; 7) wężyki na 40 wagomiarów, z ½-funtową kulą.

C. Kamienniki (Stein- oder Feuerbüchsen), na 4 do 5 stóp długie, na zwyczajnych łożach osadzone, przy oblężeniach używane do ciskania kul od 25ciu- do 200-funtowych, jakoteż wszelkich sztucznych ogniów, zwane też były *Haufnitzen*, zkąd potém powstał wyraz *Haubitzen*.

D. Moździerze (Morthiere oder Mörser), z których ciskano kamienne kule, od 24- do 200-funtowe, jakoteż kule ogniste. Gatunek ten dział pierwszy raz użyto r. 1588., przy oblężeniu miasta Wachtendonk w Gheldryi, a wynalazek bomb przypisują pewnemu obywatelowi miasta Venlo w Holandyi.

Lecz przy takiej rozliczności gatunków dział, przy tak wielkiéj rozmaitości i pomięszaniu z sobą tyle różnorodnych pocisków, musiał następować zawsze nieład w chwilach działania bojowego, zaczém dołożono starań wszelkich i zabiegów na uproszczenie, jakoż w ciągu 17go stulecia, cały oręż prowadzony, nazwano w ogólności *działem*, wszelkie działa, nad 24 funty żelaza miotające, zarzucono w użyciu polowém jako nieodpowiednie celowi, powszechnie wprowadziwszy działa spiżowe w odmiennym kształcie; znaczne też nastąpiły ulepszenia, albowiem: 1) dokładano coraz większego starania, ażeby wynaleść taką proporcyą mięszaniny, którąby najlepiéj odpowiadała umocowaniu, a oraz lekkości dział; 2) usiłowano zaprowadzić stały stósunek średnicy wylotu do długości kanału; 3) starano się ścianom nadać dostateczną grubość, ażeby działa zbyt ciężkiemi nie będąc, jednakże rozsadzeniu nieulegały; 4) odrzucono ogromne starożytne działa, nieużywając w polu nad 24-funtowe, bo skutek nie od wielkości jedynie pocisku, ale więcéj od siły rzutu zależy; nakoniec 5) uczyniono wygodniejszemi usługę dział w boju, porządki artyleryczne, wydoskonalono celowanie. A nawet przyznać należy, że jak wszystkie wynalazki ludzkie coraz doskonalić się muszą, tak też i umiejętność artyleryczna wraz z innemi umiejętnościami i naukami przyrodzenia postępowała, a mianowicie też w postępach swoich stósować się musiała do postępów taktyki; bo najgłówniéj dla tego wymienione powyżéj działa nie są dziś używane, że sposób budowy i dobywania szańcowań wcale teraz różny od dawnego, że szyk i rozrządzenie wojska w polu inne jak przedtém; zaczém wszystkie węże mające nad potrzebę zbyteczną donośność i daremny ciężar, same przez się pokazały się nieużyteczne. Teraz bowiem daleko obronniejsze twierdze od starożytnych, podstępować przeto potrzeba z nierównie większą ostrożnością i pośpiechem, a więc działa nazbyt wielkiego wagomiaru, w przeprowadzaniu sprawujące wiele trudności i opóźnienia, a w skutku mało co większy pożytek, powinny były być zarzucone, tém więcéj, skoro poznano korzyści dział i w szykach bojowych, potrzeba zaszła tak je usposobić, żeby wszelkie obroty i spieszne oddziałów wojska pochody wcale na tém nie cierpiały (*).

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Powietrze.

(Obraz z podań i pieśni ludu.)

Powietrze, pomór straszliwy, od wieków Ruś i Polskę niszczył, w każdém niemal stuleciu powtarzając swoje klęski, i to nie po razu. — Kraków, Warszawa, Poznań, Lwów, miasta ruskie: Wilno i cała Litwa ze Żmudzią doznawały okropnych ciosów. Nieraz wymierały nietylko sioła wiejskie, ale i miasta całe. Nie dziw przeto, że starożytne podania o powietrzu

(*) Artylerya kapitana Józefa Jakubowskiego w 3ch tomach. Warszawa r. 1781.

i dżumie, dotąd są przechowane, bo klęski zgubne odnawiały je w pamięci ludu. (*a*)

Ruś wyobraża morowe powietrze w postaci niewiasty: gdy spotka którego z ludzi, każe się nosić od sioła do sioła: kto ją weźmie na plecy, temu nic nie szkodzi. Słyszałem na Pokuciu powieść: że szlachetny Rusin jeden umyślił własném życiem ochronić współbraci: spotkał niewiastę zarazy, wziął ją na barki własne, uchwycił silnie rękoma, żeby mu nieuciekła, i rzucił się w głębiznę rzeki. Sam utonął, ale lekka niewiasta, nie zanurzyła się nawet: wszelako przestraszona tą odwagą, poszła w góry, dawszy pokój mieszkańcom doliny.

Ruś tameczna trzy gatunki ziół uważa jako pomocne od morowéj zarazy: *Toja* (*b*), *Odolan* i *Bydrycz*. Ztąd przypowieść w czasie powietrza:

Żeby ne Toja i ne Odolan,
Toby kodyło (zaraza) jak pan.
Jak budesz mały Bydrycz,
To ty ne zrobył nycz.

U Serbów (jak nas naucza Wuk Karadżicz) zupełnie toż samo istnieje podanie: nazywają je *Kuga*.

„Wyobrażają sobie morowe powietrze jako kobietę w białych szatach, idącą przez wioski. Jeżeli zdybie na drodze człowieka, każe mu się na miejsce, gdzie zechce, zanieść, i siada mu na karku: człowiek ją obnosi bez wszelakiéj szkody. Mówią o zarazach, że one mają za morzem swoją krainę, i na rozkaz boga, wychodzą, i oznaczaną liczbę umarzają. Morowe powietrze w takiéj postaci zagląda do chaty; jeżeli garnki i łyżki nie były pomyte, wtedy je zatruwa.“

W Sławonii lud równie wyobraża sobie powietrze jako złą kobietę, i mniema, iż za morzem znajduje się kraj niewiast morowych. „Pan Bóg nasz (mówią) pilnie uważa, gdzie największe panują grzechy, i wyséła tam kobietę podobną, z rozkazem sprzątnienia oznaczonéj części ludzi.“ Powietrze w osobie niewiasty wybiera się w drogę, i każe ludziom nieść się na plecach z miejsca na miejsce, wszędzie mór roznosząc: ma jednak być tak lekka, że jéj nosiciel żadnego nie czuje ciężaru. Nazywają ją podobnież jak u Serbów Kuga, i nie jednę sztukę ryby zabierze z suszarni przez drogę. Mówią zatém, że Kuga ukradła ryby.

W Polsce słyszałem opowiadających starych ludzi, że powietrze w postaci niewiasty, w białe szaty przybranéj, na wysokim wozie o dwóch kołach, objeżdżało wiejskie osady i ulice miasta. Gdy przed dom który przybyła, pukając zapytywała: „co robicie?“ gdy odpowiedziano:

Nic nie robimy,
Tylko Boga chwalimy,

ponurym dodawało głosem: „chwalcież go na wieki.“ i w tym domu zaraza nie panowała. Gdy wieczorem gdzie przybyło, a na zapytanie: „czy śpicie?“ odpowiadano: „śpiemy.“ — wtedy rzekło: „śpijcież na wieki!“ i całe wymierało domostwo.

Na Litwie podobne istnieją wyobrażenia. Powietrze jako morowa dziewica, w białych szatach, olbrzymiego wzrostu, trzymając w ręku skrwawioną chustę; gdzie nią powieje, tam wszystko wymiera. A. Mickiewicz przytacza starożytne litewskie podanie. (*c*)

„We wsi zjawiła się morowa dziewica, i według zwyczaju przeze drzwi, lub okno, wsuwając rękę, i powiewając czerwoną chustką, rozsiewała śmierć po domach. Mieszkańcy zamykali się warownie, ale głód i inne potrzeby wkrótce zmusiły do zaniedbania takowych środków ostrożności; wszyscy więc czekali śmierci. Pewien szlachcic, lubo dostatecznie opatrzony w żywność, i mogący najdłużéj wytrzymać to dziwne oblężenie, postanowił jednak poświęcić się dla dobra bliźnich: wziął szablę Zygmuntowską, na któréj było imię Jezus, imię Marya, i tak uzbrojony, otworzył okno domu. Szlachcic jednym zamachem uciął straszydłu rękę, i chustkę zdobył: umarł wprawdzie, i cała jego rodzina wymarła, ale odtąd nigdy we wsi nieznano morowego powietrza. Chustka owa miała być zachowaną w kościele jakiegoś miasteczka.“

Za ochronicielkę zbawienną od morowéj zarazy była w Polsce Święta Rozalia, patronka sycylijska, któréj część relikwii złożona w Krakowie w kościele Świętéj Barbary. Do niéj lud i szlachta, nieszczęściem obarczeni, wznosili swoje modły. Pieśń, którą zamieszczamy, w prostocie swojéj maluje wymownie całą okropność téj klęski:

Rozalio, pustelnico! Chrystusa oblubienico!
Do ciebie się uciekamy, Ratunku twego żądamy.
Ratowałaś Sycylią, Ratuj także Polonią!
Od powietrza morowego I przypadku gwałtownego!
Oto powietrze morduje, Nie jeden w zdrowiu szwankuje:
Pożera śmierć nieużyta, I słowa się nie dopyta.
Miasteczka, wsi zakowują, Drzewem i strażą wartują:
„Nieprzystępuj! wara tobie! Niebezpieczno o téj dobie.“
Palą domostwa, strzelają, Zarażonych wyłączają:
W polach, w budach ich zabawa: Niewczas, zimno, szczupła strawa!
Jeden się drugiego chroni, Daleko od niego stroni:
Nawet kochany przyjaciel: W takim razie nieprzyjaciel.
Chodzą po zapłociu, krzyczą, A prawie co z gardła ryczą:
„Wynieś! podaj sztukę chleba! Będziesz miał zapłatę z nieba.“

(*a*) Ostatnią tego rodzaju była *cholera* r. 1831. Ruś powtarzała o niéj stare podania, wyobrażając sobie tę zarazę w postaci niewiasty, i ztąd powstało nowe u ludu ruskiego przysłowie, albo raczéj przekleństwo, które słyszałem na Pokuciu i u Górali ruskich za Prutem: *„Szob tebe cholera ne minuła.“*

(*b*) *Toja*, *Tojeść*, *Wilczy jad*, (*Aconitum*), ogrodnicy *bernardynem* zowią, lud zaś polski *czarnobylem*. Własności tego ziela narkotyczne uważa lud polski i ruski, za lekarstwo na smutki. Wedle wyobraźni Ukraińców, z *toja* napój zrobiony i spełniony, rozwesela smutnego młodzieńca i pomaga do zapomnienia doznanych cierpień. W Polsce *kalina*, przyłożona do zbolałego serca, uspakaja go zupełnie.

(*c*) Przypisy do Wallenroda.

Strachem wielkim zatrwożeni, Głodem i nędzą ściśnieni,
Jako bydło umierają, W polach, w lasach się tułają:
Snać i pogrzebu nie mają, Ciała zwierze pożerają:
Alboli też osękami Ciągną w dół także żerdziami. (*d*)
Jakie serce przyjacielów, Pobożnych obywatelów:
Patrzą na takie szarpanie Ciała, członków rozrywanie!
A choć ciało na to przyjdzie, O duszę strach wieczny idzie:
Bo bez świętych sakramentów, Schodzi wiele tych momentów:
Spowiedzi napominania, Ktoby czynił rozwiązania,
Na onę drogę daleką. Niemasz ktoby żegnał ręką!
Ani świecy, ni passyi, Ani żadnéj aspersyi.
Chryste Jezu racz być z niemi, By nie byli potępieni!
Przyczyna Panny Maryi, Także Świętéj Rozalii,
Niech nas od powietrza broni. Od gniewu Twego zasłoni.
Amen! z płaczem rzeczmy wszyscy, Pomarli sąsiedzi bliscy:
Aby się w niebo dostali, Z Bogiem wiecznie królowali! Amen. (*e*)

Posępna nóta téj pieśni, wpośród pomoru, i stósu trupów, silne wrażenie na umysłach czyniła. Był to głos drżący wybladłych duchów z wzniesionemi oczyma w niebo, zkąd tylko ratunku i pociechy oczekiwano. Skurczeni bólem, głodem, i trwogą, czarnemi usty, z cierpiącéj piersi i omdlałego serca, dobywali tonu żałoby, do odśpiewania téj pieśni pogrobnéj. Był to hymn jedyny, co uczcił tysiące nagłą śmiercią upadłych, a dla żyjących wróżył śmierć rychłą.

Ale dawniejszym od téj patronki był zwyczaj za ochronę uważany we wszystkich niemal pokoleniach sławiańskich topienia śmierci, dla zabezpieczenia się od morowéj zarazy.

Bałwan utkany ze słomy, ze starożytną nazwą bogini sławiańskiéj Marzanny (Morena), w nadchodzącą wiosnę ciągniono do rzeki i topiono przy odgłosie wesołych pieśni, w téj nadziei, że gdy raz już śmierć utopią, więcéj ona przez klęski zarazy szkodzić nie będzie. O tym obrzędzie w Polsce wspomina Długosz i Miechowita. M. Stryjkowski widział go za swoich czasów w Wielkopolsce i Szląsku (*f*). Bielski (*g*) obszerniéj opisuje: „Za méj téż jeszcze pamięci „był ten obyczaj po wśiach, iż na białą nie„dziele po poście (*h*), topili bałwan jeden ubra„wszy snop konopi, albo słomy, w odzienie czło„wiecze, który wszystka wieś prowadziła, gdzie „najbliżéj było jakie jezioro albo kałuża; tamże „zebrawszy z niego odzienie, wrzucili do wody, „śpiewając żałobliwie:

„Śmierć się wije po płotu,
„Szukający kłopotu!“ etc.

„Potém co najprędzéj do domu od tego miej„sca bieżeli, a który, abo która się natenczas „powaliła, abo powalił, wróżbę tę mieli, iż tego „roku umrze.“

Sławianie, pod panowaniem Niemców, wynosili podobnego bałwana ze wśi, który śmierć wyobrażał, palili go, lub wrzucali w rzekę, śpiewając pieśni na pochwałę lata. (*i*) W Czechach śpiewają przy takowym obrzędzie:

Giž nesem smrt ze wsi,	*Już niesiemy śmierć ze wsi,*
Nowe léto do wsi,	*Nowe lato do wsi!*
Witej léto ljbezne	*Witaj lato lube,*
Objljcko zelené.“ (*k*)	*Witaj zboże zielone.*

Po utopieniu zaś nócą:

Smrt plyne po wode
Nowe léto k'nam gede. (*l*)

W bolesławskim kraju wesołość ośpiewują, że wyniesiono śmierć ze wśi, a nowe lato do wśi.

Smrt nesem ze wsi,
Nowe léte do wsi:
Budto pani weseli.

Sławianie wendyjscy, dawni mieszkańcy Lipska, zostawili tam pamięć tego obrzędu. Dawid Pfeifer opisuje, że tłuszcza nierządnych kobiet miała zwyczaj, pierwszych dni wielkiego postu, zachowywać stary obyczaj. Jedna z nich niosła na długiéj tyce, postać niezgrabnego ze słomy męszczyzny: całe siostr lubieżnych grono, za nią jakby za wodzem idąc parami, nóciły na śmierć pieśni nieskładne, wszelkie roskosze malujące. Przyszedłszy do rzeki Pardy, topiły bałwana. Tento obchód miał zasłaniać miasto od morowéj zarazy.

Takowy zwyczaj ciągle się zachowuje u ludu, lubo coraz rzadszy. Rusini województwa podlaskiego przechowali go dotąd: jeszcze gdzieniegdzie znajdujemy go w województwach lubelskiem i krakowskiem. Tyle wieków upłynęło, a przecież i w naszym czasie, wody Wisły, Bugu i Narwi, połykają bałwany śmierci, i są świadkami starożytnego obrzędu, który od tak straszliwéj klęski, jaką była morowa niewiasta, miał biednych Sławian ochronić!

K. W. Wojcicki.

(*d*) Było zwyczajem, że dom, w którym się zaraza ukazała, zamykano i ostawiano strażą: żywność podawano na długich żerdziach, lub sami mieszkańcy zarażonego domu ciągnęli je okutemi osękami. — Znałem starców, co zapamiętali ostatnie powietrze w Warszawie za Augusta IIgo. Mieszkańcy ówczesni całe opuścili miasto i na polach koczowali. Z tego pomoru i dziesiąta część ludności niepowróciła; ci, którzy zostali przy życiu, posiedli domy opustoszałe i zostali ich dziedzicami.

(*e*) Kantyczki pieśni nabożnych.

(*f*) Kronika, ed. warszawska 1766. str. 140.

(*g*) Kronika, ed. 1764. str. 34.

(*h*) Byłato niedziela środopostna, zwana inaczéj *czarna*, jako śmierci poświęcona. Lud dotąd w przysłowiu zachował jéj pamięć: „*Wygląda jak czarna niedziela.*“ na człowieka lub ciemnéj cery, alboli téż śmiertelnéj bladości.

(*i*) Prawda ruska, J. B. Rakowiecki T. I.

(*k*) *Obilna*, bogini zboża.

(*l*) Zbiór pieśni czeskich, Fr. Czelakowski T. I.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (*Red. J. Łukaszewicz.*)

Przyjaciel Ludu.

Rok szósty. **No. 31.** **Leszno,** *dnia* **1.** *Lutego* **1840.**



Krzyżacki rycerz.

Obyczaje pogańskich Prus i Litwy.
(Dokończenie.)

Wiadomo jest z historyi, że Giedymin, wielki książe litewski, wydając córkę swoję Aldonę, za Kaźimierza Wielkiego, naówczas jeszcze królewicza polskiego, 20,000 jeńców polskich, w białe szaty ubranych, jako wiano swéj córki, wraz z nią do Polski odesłał.

Zdobyte w czasie wyprawy na nieprzyjacielu łupy, za powrotem na trzy części dzielono. Najpierwsza i najlepsza szła dla bogów; druga dla Kriwe-Krywejty i kapłanów, trzecia ledwo zostawała na równy podział zwycięzcom.

Do oblężenia nieprzyjacielskich zamków przystępowano zwykle z wielką mocą zebranego ludu, aby zamek w koło obtoczyć, i równie tajemnemu wyjściu nieprzyjaciela, jako téż wprowadzeniu żywności zapobiedz. W czasie wojen z Krzyżakami, tak Prusacy jak Litwini, używali do oblężenia zamków wiele różnych machin, jużto do rzucania z daleka kamieni, już do tłuczenia z bliska murów, służących. Często, gdy oblężenie długo trwać miało, naprzeciw wałów twierdzy sypano polne okopy, gdzie się wojsko oblegające chronić musiało. Ubezpieczywszy się niemi, zaczynało dopiero właściwy

szturm z taką natarczywością i wytrwaniem, że żaden dzień, noc żadna, nie minęła bez bitwy, dopóki albo zamek wzięty, zburzony i spalony został, albo też nadchodząca oblężonym odsiecz, nie zmusiła oblegających do odstąpienia od niego.

Niemniéj waleczni Prusacy i Litwini, byli w obronie własnych zamków przed napaścią nieprzyjaciela. Zamki te zwykle budowane były, już to na naturalnych, już na sztucznie usypanych pagórkach, wzdłuż granic, nad brzegami rzek, jezior lub bagien, w takich ogólnie miejscach, gdzie już sama natura utrudniała nieprzyjacielowi przystęp, i ułatwiała obronę. Proste ich utwierdzenie składało się najczęściéj z ziemnego wysokiego wału, wzmocnionego palisadą ostro zaciosanych palów, i głębokiego przekopu, często napełnionego wodą. Same zamki były powszechnie z drzewa, w późniejszych dopiero czasach zaczęto je budować z bardzo pięknéj i trwałéj, czerwonéj cegły, jak widać na istniejących dotąd ruinach różnych zamków litewskich. „Co do osady i obrony tych zamków, taki (powiada Stryjkowski), zachowywano zwyczaj u Litwy: Panujący wybierał pewną liczbę szlachty, i posyłał ich na straż któregokolwiek zamku, założywszy czas, przez który pilnować go mają. Po upłynieniu tego czasu, ci powracali do domu, a drudzy z kolei zajmowali ich miejsce.“

Sławna jest w dziejach litewskich obrona zamku Pulleny, przeciw Krzyżakom, za panowania w. księcia Olgierda 1336. r.

Wielki mistrz krzyżacki, Dietrich von Altenburg, ośmdziesięcioletni starzec, sam na czele wojsk zakonu, wsparty posiłkami przybyłych z Niemiec Krzyżowników, wtargnął do Litwy, i splądrowawszy, jak zwykle, ogniem i mieczem znaczną część kraju, obległ nakoniec zamek Pullenę, gdzie się oprócz 4000 osady, wszyscy mieszkańcy z okolic z żonami, dziećmi i dobytkiem schronili. Wodzem osady był kniaź litewski, imieniem Marger, który tak przezorną czujnością, jako i osobistym przykładem zagrzewając męstwo swoich, długo przemagającym siłom nieprzyjaciela, nieustraszony stawił odpór. Już Krzyżacy odstąpić mieli, gdy rzucone do zamku, smolną kądzielą okręcone strzały, pożar w nim wznieciły. Obrona była daremna, niewola nieuchronna. Wówczas za radą wodza Litwini, bohaterskim ożywieni duchem, śmierć nad niewolę przenosząc, składają stós wśród zamku, i wraz ze wszystkiemi bogactwy, każdy własną swą ręką żonę i dzieci zabiwszy, zwłoki ich składają na nim; sami zaś dokoła stanąwszy, gdy już płomień wznosić się zaczął, uścisnęli się wzajem, i każdy w piersiach drugiego bratnie utopił żelazo. Marger pozostał ostatni. Kilku zaledwo dniami przed napaścią Krzyżaków, pojął był młodą małżonkę, zabić jéj nie miał siły. Stali oboje przy gasnącym już stósie, gdy już chciwi łupu Krzyżacy do zamku wdzierać się zaczęli. Widok nienawistnych wrogów dodał męstwa wodzowi; uścisnął raz jeszcze swą żonę; i w tém ostatniém objęciu serce jéj mieczem swym przeszył. Wówczas porwawszy umarłą, wskoczył z nią razem do stósu, i wznosząc ją na rękach ku niebu, jakby pokazywał ofiarę, zabił się sam i spłonął.

Sami nawet Krzyżacy, mówią kroniki ówczesne, łzami grób bohaterów uczcili.

Oblężenie miasta Poznania przez Patkula w roku 1704.

Rycina na str. 244 będąca wyjętą jest z dziełka: *Stragona, abo stołeczne miasto Poznań, oraz tabula accuratissima tam per totam Poloniam, quam extra regnum, jak wiele do cudzoziemskich miast mil rachować się ma, wystawiona w roku* 1707. Oblężenie Poznania w roku 1704. znajomém już jest Czytelnikom z dzieł Adlerfelda, Nordberga i *Obrazu miasta Poznania*; opuszczając je tedy, zastanowimy się nieco nad samém dziełkiem: *Stragona*. Pisemko to już dla saméj zbyt szczupłéj objętości swojéj dziś niezmiernie rzadkie, śmiem twierdzić, równie rzadkie jak druki Wierzbięty, wydrukowane jest w formacie ćwiartkowym, ozdobione wizerunkami Przemysława I. i II., wyjętemi z Neugebauera, planem miasta Poznania, dwiema tablicami odległości miast województw, poznańskiego i kaliskiego, tudzież miast zagranicznych, koronnych i litewskich od Poznania, i składa się z 4ch i ¾ arkusza. Exemplarz dobrze dochowany znajduje się w bibliotece kurnickiéj hr. Tytusa Działyńskiego. (*) Bezimienny autor *Stragony* żył w epoce, w któréj napisanie dziejów miasta Poznania było rzeczą bardzo łatwą: nie byłoto bowiem jeszcze bezdroże, ale trakt bity, na którym za każdym krokiem nawijały się wskazodrogi, to jest, istniały jeszcze wtenczas kroniki: ratuszna, jezuicka, dominikańska i inne; archiwa miejscowe były nietknięte, a żyjące, że tak powiem, kroniki,

(*) Księgozbiór kurnicki zawiera przeszło 10,000 numerów najrzadszych dzieł do historyi i literatury polskiéj, sięgających tylko do panowania Sasów. Znamy i znaliśmy kilka zbiorów naszych przed rokiem 1830. i śmiało powiedzieć możemy, że co do starożytnych dzieł polskich, biblioteka kurnicka jest najbogatszą w całéj dawnéj Polsce. Ujrzysz tu prawdziwie białe kruki z officyn Hallerów, Unglerow, Wietorow, Szarfenbergów, Łazarzów, brzeskich, łoskich, rakowskich, baranowskich, wilenskich, królewieckich i t. d. Ale najcelniejszą ozdobą tego szacownego zbioru jest rzadka uprzejmość zacnego uczonego posiedziciela jego, hrab. Tytusa Działyńskiego. Nietylko bowiem pracującym nad jakowém dziełem dozwala z tego skarbu swego korzystać, ale nadto swoją biegłością w rzeczach ojczystych i dokładną znajomością tego, co z takim mozołem i nakładem zebrał, naprowadza na wiele nowych odkryć literackich i wskazuje najmniejsze nawet źródełka.

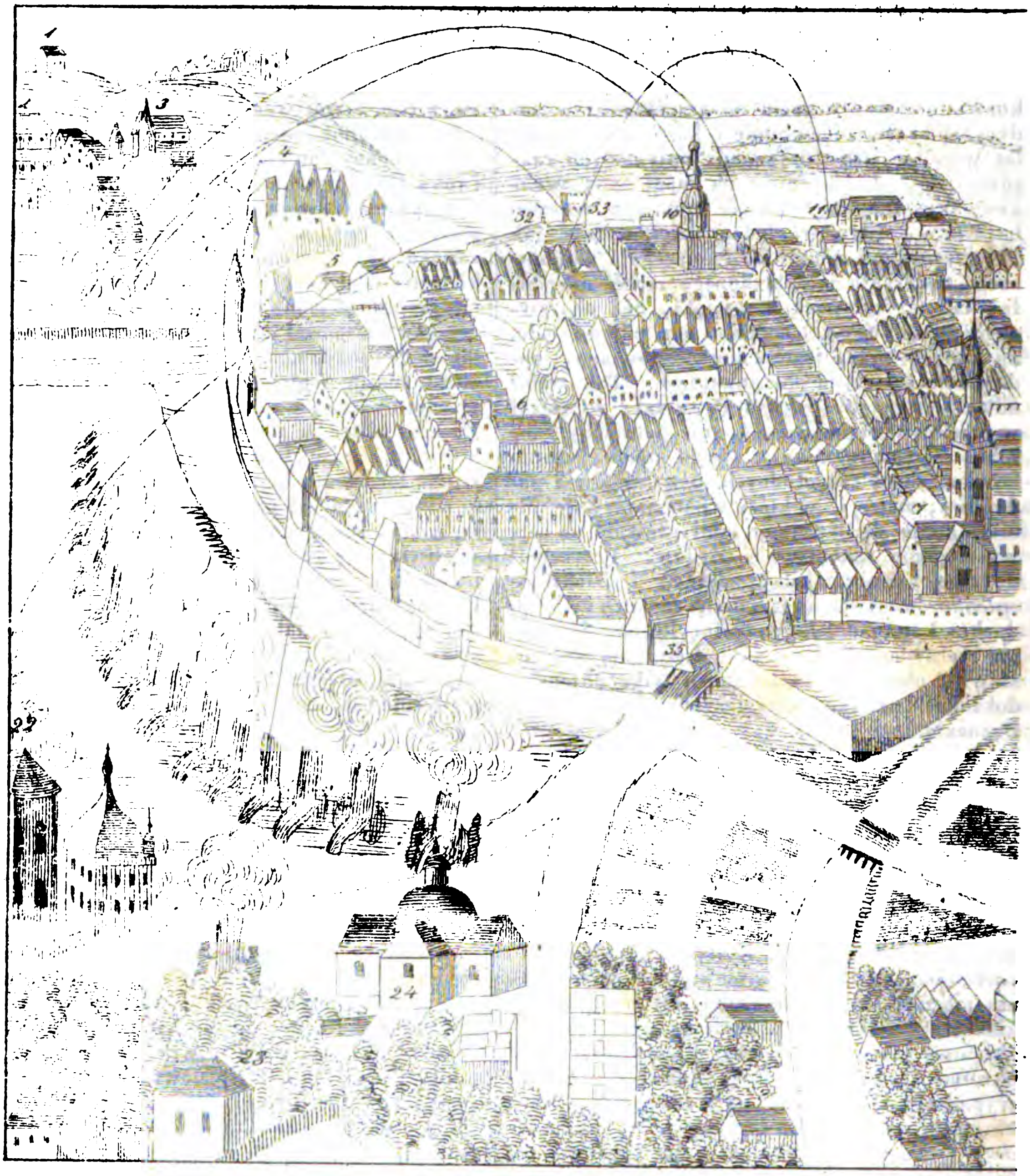
napotykałeś po wszystkich dykasteryach, klasztorach, szkołach, cechach. Przeszłość też z obecnością nie stanowiły wtedy takiego jak dziś kontrastu, który w życiu towarzyskiém i w tradycyach zaciera niezwrotnie w każdym dziesiątku lat wszelkie ślady fizyonomii upłynionych czasów. Przy takich pomocach mógł autor *Stragony* przysłużyć się dziejom krajowym ważném bardzo w każdym względzie dziełem; ale, jak zły rzemieślnik z najwyborniejszego i najobfitszego materyału nic porządnego zrobić nie zdoła, tak też człowiek bez nauki, bez wytrawnego rozsądku, a następnie bez pojęcia celu, do którego praca jego zmierzać powinna, nadaremnie się rzuca do autorstwa. Tak zrobił autor *Stragony*. Gdybyś go spytał: co chciał w dziełku tém powiedzieć, nie potrafiłby zdać sobie samemu sprawy z swego planu. Jestto bowiem chaos różnorodnych, bez ustępów i podziałów, materyj, w który wpatrzywszy się pilniéj, zdaje się, że autor miał głównie na celu wystawienie szkodliwości Żydów. Przyczepił do tego narracyą kilku zdarzeń i pochwałę *splendorów* miasta w rozmaitych epokach i względach. Lepiéj daleko przysłużyłby się był autor rzeczypospolitéj nauk, gdyby nam był zostawił, chociażby takiéj saméj tylko objętości, dokładne dziełko statystyczne o ówczesnym Poznaniu.

Dla obeznania Czytelników z tym historyografem stolicy prowincyi naszéj, udzielamy im następujący wyciąg z *Stragony*:

Autor namieniwszy pokrótce o dobrym bycie Poznania pod Piastami, wpada zaraz na Żydów i tak mówi: „Jednak zazdrosne wyroki znowu inszego, téj fortuny zazdroszcząc, nagotowały miastu mola, który większą wspaniałość podgryzając, wstrętem *ad excelsam* został miastu *fortunam*. Natenczas bowiem, dla wspomnienia niegodnych zbrodni (jako jest w życiu Kaźimierza Wielkiego), śmierdzący naród żydowski, we wszystkich Europy królestwach jeden okrutnie wygubiony, drugi sromotnie z granic wypędzony, jako ten, który według świadectwa Majola: *in perniciem Christianorum vivere videtur*, tu się przybłąkawszy, po cygańsku się tułał, mizernym i do opisania trudnym sposobem życie prowadząc swoje. Więc miłosierdziem nad tułaczami zjęci polscy obywatele i miast rezydenci, znak miłości poczęli im pokazywać, jako świadczy w dekrecie swoim Zygmunt III. A naprzód Bolesław, książę kaliskie, brat rodzony Przemysława, widząc, jako to dziwo i monstrum natury ludzkiéj od każdego zdeptane i zelżone będąc, tak zdespektowane było, że ani chleba kupującemu parszystwu dotknąć się dano, z miłości chrześciańskiéj, aby im tak ciężkiego ulżył uciemiężenia, jako niewolnikom, pierwszy dał protekcyą, niektórych niewolniczych pozwoliwszy im tylko w swoim powiecie kaliskim usług, jako to z miast gnoju i śnieci wynoszenia, starzyzn naprawowania i przedawania, lichwą się żywienia i t. d., przykazawszy przytém poddanym swoim, aby się z tém żebractwem, nie jak z bydłem, ale jak z niewolnikami według opisania obchodzono. Jako pobożny Pan niejako zdał się im dać opiekę i roku 1274 prawka niektóre im pozwolił. A iż był natenczas synowca swego opiekunem, Przemysława *Posthumus* rzeczonego, i poznańską zawiadował tetrarchią, aż zatem pod płaszczykiem téj protekcyi wcisnęło się miłe żydostwo i na przedmieścia tak zacnego miasta tutecznego.“

„Tu opisanemi bawiąc się wysługami i partaninami usnachtując (sic) miastu, w ciasny samego miasta wprosiło się kącik kilku Żydów serwitorów, co jako usnachtom łatwo pozwolono. Zaczem idzie, że ten naród *nullum jus possessionis*, w tém mieście ma, bobyto było w przywileju *locationis*, którym ci wyżéj położył. A że to miastu szkodzić nie miało, żadnego natenczas *indicium*, ani podobieństwa nie było. Jednak wtuliwszy się kilku pod płaszczykiem partanin i starzyzn przedawania, potajemnie z cudzych krajów różne wywożąc towary i po złodziejsku przedając, tak wszystkie nachylili miasta stany, że aż król z Rzecząpospolitą licencyi bezbożnéj zabiegać musieli, luboć i téj do ostatka nigdy nie uskromił. Wygnańcy bowiem Żydkowie tu przyjęci, nie dość na tém mieli, że sami potajemnie wywozili towary, jeszcze przyjeżdżających z towarami cudzoziemców tak mamili czarami swemi, któremi się na on czas, luboć i teraz mało co mniéj, bawili, że nie przedawszy, radzi nie radzi, u nich składać musieli, które oni zrazu potajemnie, a naostatku i publicznie przedając, o ruinę kupców, którymi miasta stoją, prawie przyprawili ostatnią. Więc *alieno ditati aere de pauperata urbe* i o więcéj kusić się zaczęli, ale wiedząc, że *nullo jure* w mieście siedzą, bo i te prawa, które mieli od Bolesława pobożnego, te im tylko w jednym powiecie kaliskim służyły, więc przemyśliwając, jakimby sposobem legitymować się mogli, *et suos actus illegitimos*, nakupiwszy cudzoziemskich cacków, jako tam bywalcy, starali się Kaźimierza Wielkiego ułudzić i omamić. Czem monarcha zwiedziony, nieporządny affekt dla tak bezbożnych darów do nich przyłożył. Tak króla za serce uchwyciwszy, jeszcze się bardziéj zaślepić jego starali, Żydówkę Hester za polubienicę jemu zfaktorowawszy, a tak dokazali, czego chcieli: gdy im, nieporządną upojony miłością, tenże król, też prawa, że miały służyć na całą Polskę, niedyskretnie pociągnął, niektóre z wieczną swą niesławą przydawszy.“

Daléj opowiada autor o rozmaitych krzywdach, które miasto od Żydów ponosiło, i przytacza następnie kilka zkądinąd znanych zdarzeń; n. p. o wielkich powodziach, o zrabowaniu ratusza, o fałszowaniu monety i t. d.



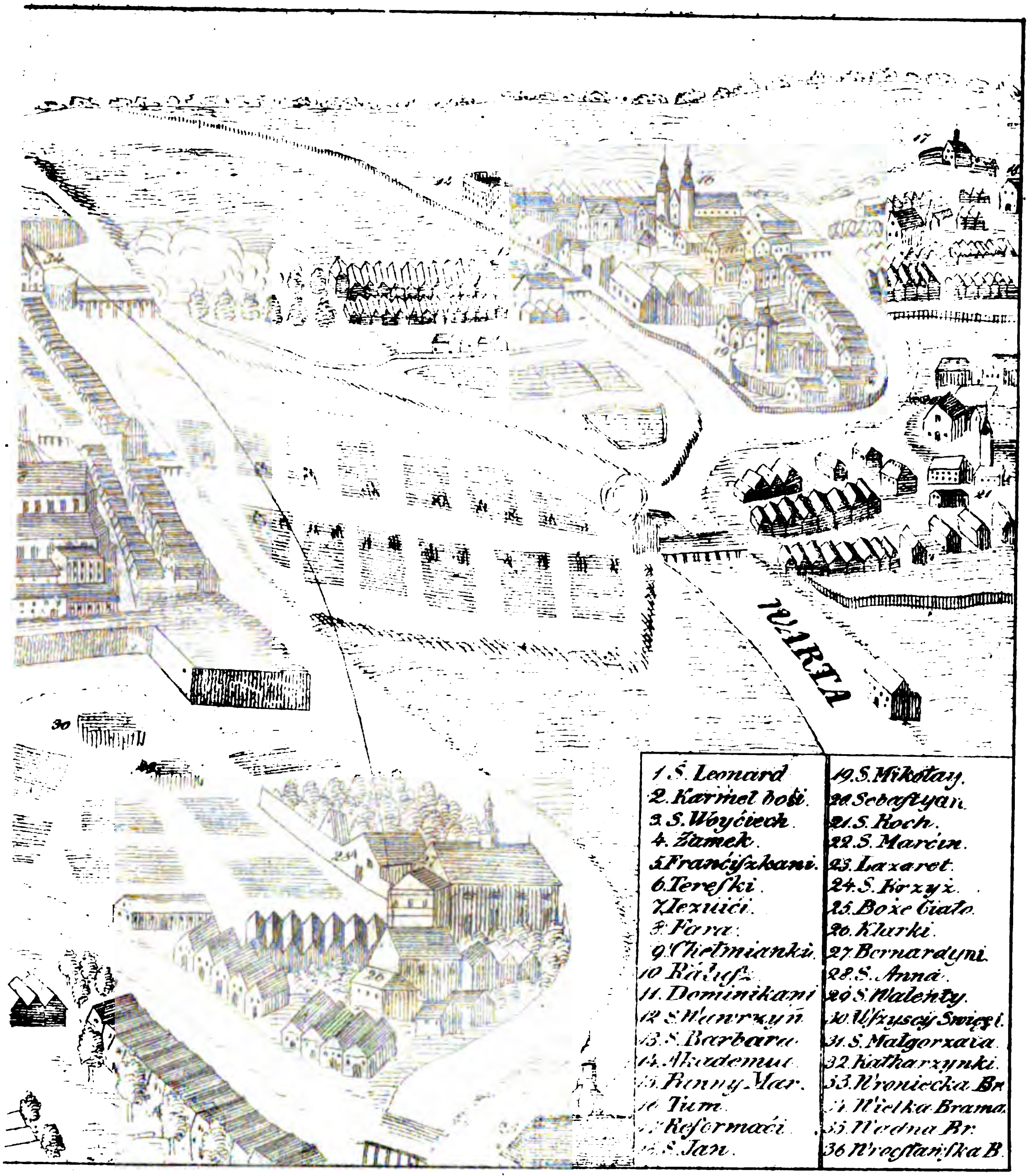
Oblężenie miasta Poznania

Żubr i tur.(*)

Pan Jarocki, Dr. filozofii, dyrektor gabinetu zoologicznego w Warszawie, niegdyś professor fizyki przy gimnazium poznańskiém, który wydanym niedawno szóstym tomem Zoologii, znakomitą zjednał sobie zasługę u przyjaciół nauk przyrodzonych, i przyłożył się tym nowym prac swoich owocem do wzbogacenia literatury i języka polskiego, umieścił w numerze 28. wychodzącego w Warszawie *Magazynu powszechnego* ważny artykuł o żubrze. Artykułowi temu tém chętniéj udzielamy miejsca w pismie naszém, im bardziéj przekonani jesteśmy, że przez to dogodzimy równie ciekawości czytelników *Przyjaciela ludu*, jak własnemu autora życzeniu.

„W zdaniu sprawy, które Komissyi rządowéj wyznań religijnych i oświecenia publicznego dnia 30. Maja 1830. roku, z odbytego polowania na dwa przez najjaśniejszego cesarza i króla, gabinetowi zoologicznemu b. uniwer. warsz. darowane żubry złożyłem, a które późniéj w drugim tomie moich *Pism rozmaitych*, pod napisem: *O puszczy białowiezkiéj i o celniejszych w niéj zwierzętach*, wydrukowane zostało, starałem

(*) Zob. P. L. rok II. T. I. N. 1. str. 5. — rok IV. T. I. N. 14. str. 107.



przez Patkula w roku 1704.

się przynajmniej nawiasowo okazać, że wyrazy żubr i tur jedno i toż samo zwierze oznaczają. To nie bez ważnych przyczyn przyjęte zdanie powtórzyłem w mojéj niemieckiéj rozprawie, którą pod tytułem: Zubr, oder der lithauische Auerochs, na zgromadzeniu uczonych europejskich 1830. roku w Hamburgu czytałem i tamże wydrukować kazałem. Powyższe twierdzenie moje pobudziło kilku znakomitych pisarzów do do ścisłych śledzeń, dla wyjaśnienia zupełnego téj okoliczności. Między pismami, które się w tym przedmiocie po 1830. roku zjawiły, odznacza się szczególniéj, równie głęboką naukowością, jako téż i rozsądną krytyką, rozprawa p. Puscha, intendenta mennicy warszawskiéj, którą pod tytułem: Ueber zwei fossile Ochsenschädel, nebst einem Versuch zur Vervollständigung der Geschichte des europäischen Auerochsen, jako dodatek do wielce szacownego dzieła swego: Polens Paläontologie, 1837. roku w Stuttgarcie in 4to wydrukowanego, dołączył. W téj rozprawie przytoczył p. Pusch tyle, i tak ważnych dowodów, na poparcie rzeczywistości zdania mojego, że każdy prawdy szukający badacz, zagadnienie o znaczeniu wyrazów żubr i tur, za zupełnie rozwiązane uważał. Mimo tę dowiedzioną pew-

ność, że toż samo zwiérze, które Litwini *żubrem* nazywają, w Mazowszu *turem* lub *thurem* mianowano: wystąpił p. von Bär z rozprawą obfitującą w sofistyczne zwroty, którą dnia 4. Maja 1838. roku na posiedzeniu petersburgskiéj akademii nauk czytał i w pamiętnikach téjże akademii (pod tytułem: Nochmalige Untersuchung der Frage, ob in Europa in historischen Zeiten zwei Arten von wilden Stieren lebten) wydrukować kazał. Wspomniany dopiéro, z innych miar szanowny i w zawodzie naukowym wielce zasłużony akademik, w rozprawie swojéj uczoną pracę p. Puscha lekce ważąc, czystą przez niego wykazaną prawdę między innemi tym sofistycznym zwrotem w pomrokę wątpliwości pogrążyć usiłuje, że jakby od niechcenia takich historycznych dowodów z średnich wieków wymaga, któreby wyraźnie okazały, że wyrazy żubr i tur do oznaczenia jednego i tegoż samego gatunku źwierząt były używane, i nadto czyni zapytanie: czy żubry i tury nasze mają jakie podobieństwo lub styczność z owym tak nazwanym *skandynawskim,* a właściwie niegdyś w górach Szkocyi „dziko żyjącym białym gatunkiem bydła, którego dziś ostatnie zabytki, jako osobliwość w niektórych zwierzyńcach Anglii i Szkocyi widzieć jeszcze możemy?“ Takiém zagadnieniem wyzwany p. Pusch, ze zwykłą sobie żelazną pracowitością zebrał wszystko, co tylko od najdawniejszych czasów tak prozą, jak wierszem w Polsce i za granicą o żubrach i turach napisano; a przechodząc każde podanie z krytyczną rozwagą, okazał naprzód, że względem skandynawskiego niegdyś „zupełnie dzikiego,“ a teraz tylko w kilku zwierzyńcach Anglii żyjącego gatunku bydła, które „przy czysto białéj maści ciała“ ma „pyzę, kiść ogonową, uszy i końce rogów czarne,“ nic stanowczego wyrzec nam na stałym lądzie mieszkającym niepodobna; gdyż z podziwieniem wyznać musimy, że tak światły i o rozszerzanie zagranicznych wiadomości dbały naród angielski, na płody swego kraju do tego stopnia jest obojętny, że o tém wyjaśnienia tak blizkim bydle skandynawskiém nietylko pewnych podań historycznych, ale nawet ani wiernego w sztychu wyobrażenia, ani ścisłego opisu, dotąd w żadnym języku nie mamy, ani téż miejscowego ich nazwiska nie wiemy. Po takiém załatwieniu pytania względem owych dzikich szkockich bydląt, przechodzi p. Pusch do właściwego przedmiotu, to jest: do żubrów czyli turów. Wiernem przytaczaniem dowodów okazuje naprzód, że te zwierzęta w dawniejszych wiekach żyły w lasach nietylko Mazowsza, Szlązka i Pomeranii, ale i całych północno-środkowych Niemiec aż po rzékę Ren; a w stronie wschodniéj, dopóki przez najazdy Tatarów lasy Wołynia i Podola niezostały wypalone, tak liczne stada żubrów zamieszkiwały w Galicyi między Sanem i Wisłą, na Polesiu, na Wołyniu i Podolu, w małéj Tataryi i w Krymie, że niektórzy królowie polscy łowy na nich odbywali, i z solonego ich mięsa zapasy dla wojsk swoich na czas wojny robili. Jeżeli zaś ściślejszy opis udowodni, że te zwierzęta, które się dotąd między górami Kaukazu znajdują, są żubrami: więc bytność tego gatunku bydła dzikiego rozciągała się także i na zachodnią część środkowéj Azyi. Następnie okazuje p. Pusch, że nazwisko żubr dla tych zwierząt wyłącznie w Litwie służące, nawiasowo tylko w innych krajach polskich było używane. Najpowszechniéj zaś zwierzęta w mowie będące nazywano *turami,* od których nietylko wsie i miasteczka, ale nawet trawy w miejscach dawnego ich pobytu nazwiska swe dostały. Nakoniec stósownie do żądania p. von Bär w dowód, że nazwiska żubr i tur jedno i toż samo zwierze oznaczały, przytacza między innémi wyjątek z *Historyi polskiéj Długosza,* w którym lubo po łacinie rzecz prowadzona, nazwiska jednak polskie, nietylko żubr i tur, ale i odyniec do oznaczenia jednego i tegoż samego zwierza są użyte. Ponieważ wyjątek ten z przedmiotu swego nader jest ciekawy, niebędzie mniemam czytelnikom naszym nieprzyjemnie, gdy go częścią w treści, a częścią w dosłownem tłumaczeniu zamieścimy; a tém jest rzecz następująca: Pod rokiem 1107., w księdze czwartéj dziejów polskich, Jan Długosz opisuje dosyć obszernie przypadek młodzieńca Setegiusza, piwniczego króla Bolesława Krzywoustego: który lubo waleczny, dobrze wychowany i wymowny, nienajlepszych jednak był obyczajów, a z przyczyny swéj lekkomyślności często obowiązków religijnych zaniedbując, podobnym sposobem i spowiedzi przed szturmem Sztetyna z innymi wojskowymi polskimi nieodbył. Gdy po uporczywym odporze, w którym bardzo wielu Polaków poległo, miasto Sztetyn zostało zdobyte i przez wojska polskie obsadzone: ów Setegiusz w gronie swych towarzyszów broni cały wieczór strawił na bluźnierczéj przechwałce, że dla tego jedynie mimo ustawicznego narażania się w szturmie z drugimi niepoległ, bo się przez zaniedbanie spowiedzi do śmierci nieprzygotował. Po téj niedorzecznej gadaninie, za którą go towarzysze jego strofowali, zaledwie zasnął Setegiusz, widzi we śnie Ś. Egidyusza, patrona królewskiego, w świetnéj białéj szacie przed sobą stojącego i groźnie przemawiającego: „Setegiuszu! za to, żeś się poważył bluźnierczo chlubić, jakobyś zaniedbaniem spowiedzi, pokuty i nabożeństwa uszedł w czasie szturmu przed śmiercią, zapowiadam ci, że cię w krótce śmierć spotka.“ To wyrzekłszy widmo, znikło, Setegiusz się obudził, i nie bez oznaków przerażenia opowiedział dziwny swój sen towarzyszom; ale się w sposobie życia niezmienił. Dalszy opis dosłownie przetłumaczony jest następujący: (*)

(*) Boleslaum ducem post dies quinque venationes tractantem in saltus de Vsosin, quibus zubronum habeba-

„Szóstego dnia po tém zdarzeniu wyjechał Setegiusz z królem Bolesławem do lasu Wsosina, gdzie się mnóstwo żubrów znajdowało. A gdy król Bolesław po ubiciu licznéj zwierzyny wyruszył z legowiska rzadkiéj wielkości i dzikości żubra, którego, jako oddzielającego się od stada, w tamtejszéj mowie Odyńcem, to jest samotnie i pojedynczo chodzącym nazywają, ów zwierz uchodząc przed pogonią psów i pociskami żołnierzy, i zwinną szybkością wszystkie zasadzki omijając, przypadkiem na piwniczego Setegiusza wybiegł. Ten wstydząc się w obliczu króla Bolesława i patrzących się towarzyszów uciekać lub się schronić, skoczywszy z konia, kopiją zwierza ugodził; lecz gdy pociskiem skutku pożądanego niedopiął, rzucił się na ziemię, w nadziei, że tym sposobem uniknie wściekłości rozdrażnionego zwierza. Lecz że tur z natury swojéj najzaciętszą złość na leżących zwykł wywierać; więc naprzód racicami Setegiusza podeptał, potém pochwyciwszy na rogi, kilka razy nakształt piłki wysoko w powietrze podrzucił, a wreszcie połamanego i w pół nieżywego, między krzaki i ciernie cisnął.“

To jedno podanie Długosza byłoby dostateczne do uczynienia zadosyć żądaniu p. von Bär; ale p. Pusch niechcąc żadnéj zostawić okoliczności bez wyjaśnienia, któraby się ściągać mogła do tych niegdyś tak ważnych zwierząt, które mięsem swojém nietylko stoły panów znakomitych, prałatów i akademików krakowskich zdobiły: ale za panowania Władysława Jagiełły nawet wojsko w czasie wojen hojnie żywiły: wszakże na samą wojnę z Krzyżakami, król Władysław z własnych łowów, odbytych 1409 i 1410. roku w lasach Białowieży, Tura, Ratna, Przyszowa, Niepołomic i innych, blisko dwieście beczek solonego żubrego i łosiego mięsa do Płocka zgromadził. Tak więc o tych zwierzętach p. Pusch zebrał wszystko, jak się już powiedziało, co tylko w dawniejszych dziełach zebrać się dało, i utworzył w języku niemieckim, nie ulotną rozprawkę, ale bardzo ważne, ciekawe, blisko dziesięć arkuszy ścisłego druku wynoszące dzieło, które pod tytułem: „Neue Beiträge zur Erläuterung und endlicher Erledigung der Streitfrage über Tur und Zubr,“ w krótce wyjdzie z pod prassy, i względem będących w mowie zwierząt wszelką wątpliwość usunie.

Zapatrzywszy się na powyższe, jakkolwiek krótko zebrane przedstawienie nasze, każdy bezstronny sędzia przyznać musi, że panu von Bär szczere podziękowanie winni jesteśmy; bo, gdyby on był nierzucił wątpliwości na twierdzenie nasze: p. Pusch niebyłby uczuł potrzeby podjęcia tak olbrzymiéj pracy, dla utworzenia tak ważnego pod każdym względem dzieła.

Dr. *na Jaroczynie Jarocki.*

tur copia, Setegius est secutus. Cumque Boleslaus dux muletatis multis feris zubronem unum rarae magnitudinis et ferociae, aliarum spernantem consortia, et quae lingua eorum Odyniec, unicus et singularis, de cubili, in quo latebat, exturbasset: et fera rictus canum venabulaque militum evasura, fuga se efficaci ex omnium insidiis eripuisset, in Setegium forte Pinceram incurrit. Qui cum fugere, aut se occultare duce Boleslao et ceteris commilitonibus inspectantibus turpe ducens, equo desiliens, venabulo aegere excipit feram; sed ferro ne quidquam adacto humi cadit prostratus, ferae saevitiam vel ea prostratione evitaturus. Verum Turus, qui sua natura et more in jacentes obstinatius grassatur, Setegium primum ungulis, deinde cornibus exceptum, et in äera altius ibidem projectum juxta ac quandam pilam frequentius ventilatum, ad extremum in fruteta et spineta confractum et semi vivum projecit.

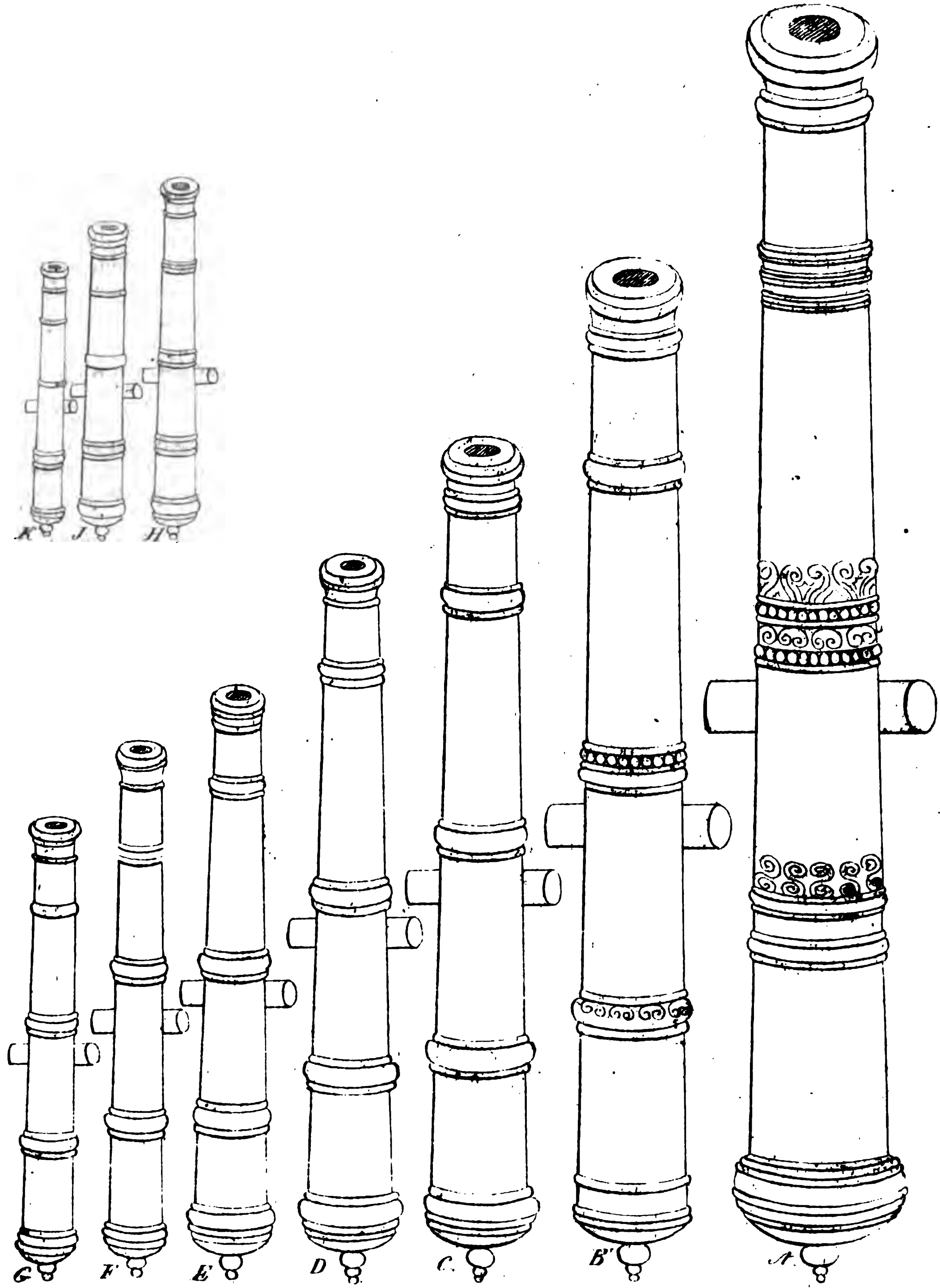
O artyleryi austryackiéj.

(Ciąg dalszy.)

Artylerya w r. 1671., jako część wojska urządzoną została, a na jakim stopniu dziś stoi, o ile głęboką i delikatną stała się nauką, już z samego jéj rozkładu na pierwszy rzut oka poznamy.

Dziś nauka artyleryi podziela się na: 1) Budowniczo-fabryczną (materiel), która się trudni laniem dział i pocisków, wyrabianiem ręcznéj broni, prochu, nabojów i rozlicznych sztucznych ogniów, oraz budową artyleryczných wozów, i na 2) frontową (personel), która obejmuje skład, organizacyą korpusu artyleryi, usługę i użycie dział. Korpus artyleryi dzieli się na dyrekcyą artyleryi i artyleryą frontową. Do dyrekcyi artyleryi należą: ludwisarnie, prochownie, zbrojownie i t. d.; ma ona swoich wszelkiego stopnia officerów, którzy prowadzą roboty, dozorców magazynów i wszelkiego rodzaju rzemieślników, urządzonych w kompanie rzemieślnicze. Artylerya frontowa, przeznaczona do użycia i usługi dział, dzieli się na szańcową (garnizonową), do twierdz przywiązaną i na polową, ostatnia jeszcze może być pieszą lub konną, ciężka (pozycyjną) lub lekką, a to stósownie, jak występują usługujący i do wagomiaru dział. Wojsko austryackie nie ma artyleryi konnéj; zastępują ją tak zwanémi bateryami jazdy (Cavallerie-Artillerie), których usługujący jeżdżą na ławkach, nazwanych kiszką (Wurst); jest to przytwierdzona wzdłuż łoża skrzynia, w któréj się naboje przewożą; dla tego baterye te nie prowadzą za sobą wozów nabojowych, lecz niedostającą im ilość nabojów prowadzą jucznemi końmi. W austryackiéj artyleryi wyraźny i zupełny jest przedział między polową, a szańcową i fabryczną. Artylerya szańcowa złożona jest z ludzi, którzy dla starganych sił, lub podeszłego wieku, do służby polowéj użyci być dłużéj nie mogą; w artyleryi zaś fabrycznéj, umieszczani nieraz bywają rzemieślnicy, wyłącznie pewnéj części fabrykacyi poświęceni, za umowami doczasowemi (*).

(*) Zbiór pism wojskowych wydawany przez Janusza Woronicza. Zeszyt szósty, r. 1836.



Działa używane jeszcze w wieku przeszłym. (*)

(*) *A.* Smok albo Kolubryna, ważyła 140 cent., nosiła pocisk według najwyższéj elewacyi na 8504 kroków,
B. Pospolita Kolubryna ważyła 81 1/2 c. — 7497 kroków,
C. Pół pospolitéj Kolubryny.... 461 c. — 5553 - -
D. Sokół albo 1/4 Kolubryny.. 26 1/2 c. — 4363 - -
E. Falkoneta............. 15 c. — 3318 - -
F. Ribadoqüina.......... 8 1/2 c. — 2560 kroków
G. Krogulec............ 4 3/4 c. — 1938 - -
H. Jaszczurka............ 3 c. — 1504 - -
J. Szerszeń............ 1 1/2 c. — 1155 - -
K. Świercz............ 92 ff. — 892 - -

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (*Red. J. Łukaszewicz.*)

Przyjaciel Ludu.

Rok szósty. **No. 32.** **Leszno,** *dnia* 8. *Lutego* 1840.



Ignacy Werowski.

Dopełniając zbioru wizerunków sławnych artystów dramatycznych narodowego teatru, podajemy dziś znanego z zachwycającéj gry swojéj **Werowskiego**, który i na scenie poznańskiéj nie raz z Bogusławskim, Kudliczem, Szymanowskim, Piaseckim i innymi występował, serce widzów radością napawając.

Nowiny literackie.

Wyszło we Lwowie u Milikowskiego dzieło: *O chowie koni i polepszeniu rasy w Galicyi, uwagi księcia Lubartowicza Sanguszki.* Drzeworyt, wystawujący kobyłę ze żrebięciem, dosyć dobry, robił w Medyce u P. Pawlikowskiego, znawcy i miłośnika sztuk pięknych, Pan A. T. I drzeworyt w kraju robiony i sama książka, przyjemne na czytelniku robi wrażenie. Żeby pisać o koniach, trzeba się w nich kochać, widzieć od dzieciństwa dobre konie, posiadać piękną stadninę, umieć nie tylko po angielsku, ale osobny język koniarzy angielskich posiadać, nakoniec objechać Anglię i poznać się z koniarską częścią, że tak powiem, z cechem koniarskim w Anglii. Otóż właśnie autor te wszystkie warunki posiada. Zamiłowanie koni jest dawne w jego familii; prócz kilkunastu koni ś. p. Wacława Rzewuskiego, nigdzie piękniejszych, jak w Sławucie, koni nieobaczysz. Książe Eustachy, którego ciekawe pamiętniki przed dwudziestu laty w wyjątku czytać nam zdarzyło się, równie był wielkim miłośnikiem i znawcą koni. Wiadomości autora są więc w nim, że tak powiem, dziedziczne. To też od czasów **Dorohostajskiego Hippiki**, od lat dwóchset ważniejsze dzieło o koniach u nas nie wyszło, bo tłumaczenia, jak zwykle tłumaczenia, mądrość cudza przenicowana, żadnego niema wpływu, żadnych niewyda owoców. Naganna, a powszechna naszego konnego

narodu niedbałość w hodowaniu koni, odbiła się w literaturze. W kraju, gdzie same z siebie dobre konie się rodzą, przerzedziła się liczba prawdziwych miłośników i znawców koni. Dawniejsza młodzież konno tylko jeździła, teraźniejsza woli w koczu. Marsowa twarz, osłoniona ogromnym wąsem, bródką hiszpańską najeżona, z *quasi* brodą, aż strach patrzyć, wygląda z kolebki, którą w dawniejszych czasach tylko poważne matrony jeździły. Na drobne konie włościańskie, które dysząc i wśród odgłosu ciągłéj chłosty, naładowany i po osie w błocie zagrzęzły wóz wloką, że aż para z nich idzie, bez litości i wzruszenia serca patrzyć nie można. Na jarmarkach konnych widok oszustów, którzy spasione wapnem konie z dłubanemi zębami, udający znawstwo młodzieży przedaią, ckliwość jedynie wznieca; niemożna prawdziwie pojąć, dlaczego ta młodzież w pocie czoła znawstwo na koniach udająca, prawdziwéj nauki nabyć się nie stara. Niniejsza książka księcia Sanguszki, prawdziwego znawcy, niemało ich objaśnić i nauczyć może. Tam się dowiedzą, że czysta polska rasa koni jest lepsza od angielskich i meklenburskich; że jest spokrewniona z arabskiemi, a choć genealogia tego pokrewieństwa zaginęła, żaden jednakże Bobrowicz jéj niezfałszował, że krzyżowanie ras jest najgorsze, że choć niektórzy przedrukowanie lipskie Niesieckiego za rzecz wcale niepotrzebną dziś sądzą, jednakże genealogia koni jest bardzo pożyteczną, a nawet koniecznie potrzebną, bo źrebie nie dziedziczy przymiotów osobistych ogiera swojego papy, lecz tylko przymioty swojéj rasy, czyli familii w ogólności; dla tego choć możemy szacować człowieka, nawet genealogii jego nieznając, ogiera jednakże genealogią znać koniecznie trzeba. Wreszcie odsełamy czytelnika do téj ciekawéj, i z przepychem drukowanéj książki, w któréj prosty, jasny i niewystawny styl i czysta polszczyzna, wielce podoba się; mamy tylko autorowi do zarzucenia, iż polskiego koniarskiego języka jeszcze się całkiem niewyuczył. Kto go u nas zrozumi, gdy mówi o b e s z e l e r a c h?

Botaniki ogólnéj J. R. Czerwiakowskiego (Professora nauk przyrodzonych przy szkole technicznéj krakowskiéj) zeszyt pierwszy. Kraków 1839. *Do tego ryciny in 4to oblong litografowane w Krakowie przez Lipnickiego.* Niepotrzebne nam zdały się i zbyteczne owe podziały botaniki na Fitognozyą, Fitonomią, Fitotomią i t. d.; trąci to scholastyką, i przypomina czasy, kiedy wyrazy stały za naukę. Greckie wyrazy nie stanowią nauki, więcby się było bez nich obeszło. Tę przywarę wytknąłem najprzód w dziele zkądinąd bardzo szacownem, gruntownie, jaśnie, z objęciem najnowszych w fizyologii roślinnéj odkryć, i postrzeżeń napisanem. w którém matematyczna ścisłość stylu podoba się każdemu; jeszcze tak pięknie napisanego dzieła w języku naszym nieposiadamy. Czeszczyzna, przebijająca się więcéj w wyrazach, niż wysłowieniu, razi tylko tych, co się do niéj jeszcze nieprzyzwyczaili. W ogólności jestto ważne wzbogacenie naszéj ubogiéj botanicznéj literatury. Dawno już bowiem J u n d z i ł ł a początki botaniki, do dzisiejszego stanu nauk niestósowne, potrzebie i życzeniom uczących się odpowiedzieć nie mogły. Przyłączony zeszyt rycin litografowanych w Krakowie przez Lipnickiego z największą dokładnością, text téj pożytecznéj i szacownéj książki objaśniają. Kto się więc chce nauczyć botaniki, poznać cuda wewnętrznego składu roślin, wiedzieć przeznaczenie i użytek każdego organu, przypatrzyć się cudownéj budowie tych kwiatów, które należą do najmilszych życia naszego przyjemności, niech weźmie książkę P. C z e r w i a k o w s k i e g o pod pachę, niezapomni o lupie i scyzoryku, i idzie w pole, na łąki, niziny, lub do lasu, wszędzie znajdzie cuda, które oświecą jego rozum, a duszę podziwieniem napełnią dla Tego, który to wszystko tak opatrznie stworzył. Po wyjściu drugiego zeszytu, obszerniéj o tém ważném dziele się rozpiszemy.

Żywot Hieronima Strojnowskiego, rektora cesarskiego wileńskiego uniwersytetu i biskupa wileńskiego, przez Jana Gwadalberta Rudominę. Wilno, u Zawadzkiego, 1839. *in 8vo.* Zamiast wdzięczności, same tylko wyrzuty panu R u d m i n i e czynić musimy. Wychowaniec uniwersytetu wileńskiego, który własnemi oczyma patrzyć na jego otwarcie i wzrost, pod jego cieniem się chował, w dojrzalszym wieku był członkiem kommissyi edukacyjnéj do wyśledzenia i urządzenia funduszów pojezuickich, przez ś. p. cesarza Alexandra uniwersytetowi darowanych, mówiąc o Pijarze, a potém mężu uniwersyteckim, nic nam, ani o naukach, ani uniwersytecie niepowiada. Omija starannie nadarzającą mu się sposobność odświeżenia i uwiecznienia pamięci wielu rzeczy, których pamięć wraz z dzisiejszą generacyą zaginąć może. Najważniejsze zasługi X. P i j a r a S t r o j n o w s k i e g o są uniwersyteckie. Jego bowiem prawo przyrodzone z sexternów swojego nauczyciela G a r y c k i e g o, professora niegdy akademii krakowskiéj, dosłownie przepisane (na co się ś. p. G a r y c k i gorzko użalał), nie są wcale główną jego zasługą. Nie błahe pisma, ale czyny X. P i j a r a S t r o j n o w s k i e g o do historyi należą. Pan R u d o m i n a niestroniąc od dziejów uniwersytetu wileńskiego, byłby nam powiedział, iż sprowadzeni przez X. S t r o j n o w s k i e g o cudzoziemcy na professorów, wstrzymywali długo wzrost tego uniwersytetu; że ci najemni mędrcy polską młodzież za niezdatną do wszystkiego, a mianowicie do medycyny, osądzili; że jeden tylko G r o d d e c k, Gdańszczanin, szczérze się uczeniem i n a u c z a n i e m zajmował, ale zbyt mocno filologią młodzież wileńską zajął; byłby

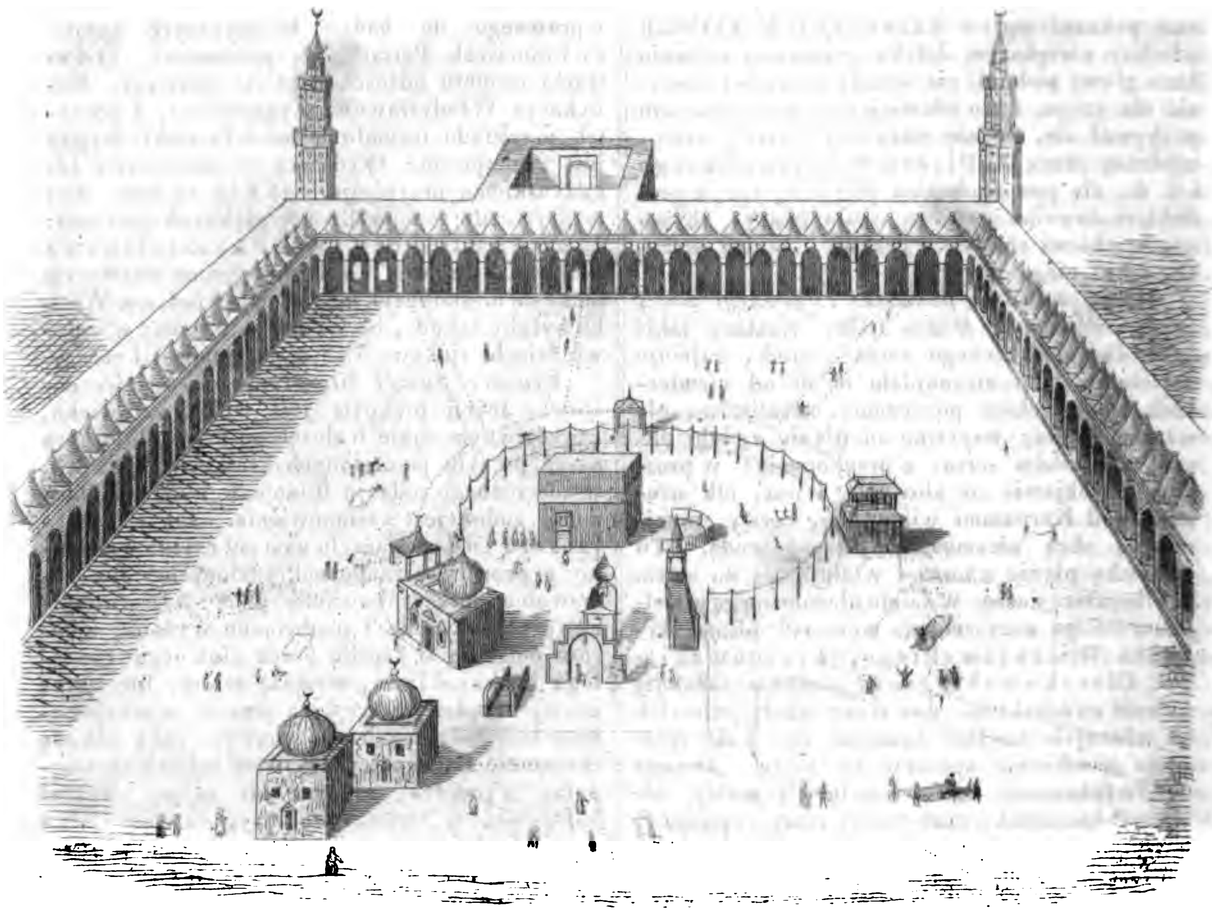
nam pokazał wpływ Sniadeckich, z których młodszy z większym daleko geniuszem w cieniu Jana głowy podnieść nie śmiał; mógł był objaśnić dla czego, i kto zdatniejszych z uniwersytetu pozbywał się, co się stało z tą czeredą naprowadzoną przez X. Pijara Strojnowskiego i t. d., ale pan Rudomina pierwszy raz z produktem dowcipu swojego wystąpiwszy, zbywa nas krótkiemi słowy, i drukuje, co już wszyscy i bez niego wiedzą.

Obraz myśli na pamiątkę exystencyi mojéj żonie i dzieciom. Wilno 1838. Rozlany jakiś miły dla nieskażonego serca smutek, zajmuje czytelnika. Tu nieznajdzie myśli od niemieckich lub greckich pożyczonéj moralistów, ale własne autora; wszystko tu płynie z głębi duszy, z tajników serca, z przekonania; w prostych téż objawia się słowach, i jest, jak strumień pod Karpatami wijący się, czysty, przejrzysty, obcą niezmącony jeszcze wodą. Tu wszystko płynie z serca i wlatuje téż do serca. Już literaturę naszą, w dzieła filozoficznego przedmiotu ubogą nazywać nie możemy; pisma Michała Wiszniewskiego, Trentowskiego, Cieszkowskiego, są pięknym rodziméj filozofii zawiązkiem. Już teraz młody człowiek na własnych dziełach kształcić się, i do wyższego oświecenia sposobić się może. Abyśmy dali wyobrażenie ducha i stylu téj małéj, ale ważnéj książeczki, następujący tutaj wypisujemy kawałek: „Mając człowiek objawienie w duchu, że życie moralne, że dążenie do Boga, do nieśmiertelności, jest jego naturalném powołaniem; w praktycznych stósunkach towarzyskich postrzegał skwapliwe, i jedyne ubieganie się za osobistym interessem, a ztąd wynikające tysiączne zdrożności. Nie wiedząc tedy, gdzie szukać objawionéj idei o cnocie, uwodził się wyobrażeniem szczęśliwéj przeszłości, w niéj widząc wieki złote przodków wychwalanéj cnoty i szczęścia. Na mównicach każdy umarły był bohatyrem wielkich zasług, a narzekając na współczesnych, z przerażeniem wołano: *o tempora! o mores!* Jednakże przekonani zostaliśmy, że na wzór myśli Bożéj, postępującéj ciągle ku wydoskonaleniu doskonalszych tworów, stan społeczności coraz postępuje nie ku zgorszeniu i zepsuciu, jak ojcowie naśi mniemali, ale owszem ku lepszemu i poprawie, coraz a coraz daléj się pomyka; że w dawnych wiekach niktby nawet nieuwierzył proroctwu o takim postępie, w jakim dzisiejsza cywilizacya się znajduje.“

Pisma rozmaite, wydawane przez T. D. Tomik I. Wilno 1838. Zawiera: a) Geniusz wieków, czyli postęp oświaty, zwalczone i do zwalczenia przesądy, przez X. Trynkowskiego. b) Zjazd w Łucku 1429 (wyciąg z historyi Witolda przez I. I. Kraszewskiego). Obraz żyjący. c) Niektóre przysłowia ludu litewskiego, z rękopismów Ludwika z Pokiewa. d) O Herulach, pobratymcach Litwinów. Ciekawa rozprawa już wprawnego do badań historycznych autora. e) Franciszek Petrarka do potomności. f) Petrarki tryumfu miłości, rozdział pierwszy. Dedykacya Władysławowi Zygmuntowi, i początek przekładu tryumfu miłości Petrarki, wyjęty jest z rękopismu. Wydawca to tłumaczenie Jagodyńskiemu przypisuje. g) List ze wśi. Jest to krytyczny rozbiór dwóch pięknych powieści: Jan ze Swisłoczy i pani kasztelanowa i jéj sąsiedztwo. Czyli zbiór ten na pierwszym tomie się nieskończył, nie jest nam wiadomo. Wielka byłaby szkoda, bo wydawca skromny w zapowiedziach, ciekawe i zajmujące umieścił rzeczy.

Grożące naszéj literaturze niebezpieczeństwo. Jeżeli pięknym jest widok człowieka, z przeciwnym sobie walczącego losem, literatura nasza po tylu poniesionych klęskach i stratach, wśród różnego rodzaju trudności, kwitnąca, niemniéj godną jest zastanowienia. Już w Przyjacielu ludu zdarzyło nam się czytać wzmiankę o przedrukowaniach kradzionych. Już samowolne przedrukowanie pism Niemcewicza, poobrzynane i poobcinane wydania autorów polskich w Lipsku przez sławnego genealoga Bobrowicza, niemałą szkodę literaturze naszéj zrządziły i większą jeszcze w przyjaciołach literatury wzniecają obawę. Jaką szkodę literaturze francuzkiéj, chciwość belgickich księgarzy wyrządza, nikomu nie tajno. Handel księgarski w Niemczech, mając swoją stolicę w Lipsku, i porządnie po kupiecku przez zasobnych księgarzy prowadzony, ledwo podobnéj klęsce nie uległ i niewiem ażali całkiem ten złodziejski przemysł zatłumić potrafił. Jeżeli więc we Francyi i Niemczech ukradkowe przedrukowywanie książek tyle wyrządza szkody, u nas całkowitym literaturze grozi upadkiem. Bo i któryż księgarz, który autor, książkę swoim kosztem drukować odważy się? Jeżeli bowiem nie będzie pokupna, to na niéj straci; jeżeli zaś będzie pokupna, to mu ją przedrukują. Niemasz już u nas mecenasów, którzyby do wydawania książek dostatkami swojemi pomagać chcieli; niemasz zamożnych księgarzy, którzyby autorom choć małe dawali wynagrodzenie. Majętni ludzie niepiszą, a niemajętni będąż mogli własnym kosztem drukować? Niepłonna to wreszcie jest obawa. Już Jabłoński, księgarz lwowski, przedrukował małą książkę do nabożeństwa, wydaną w Krakowie, kosztem i drukiem Friedleina. Rozchodzą się wieści, że P. Teofil Glücksberg przedrukował w Wilnie książkę P. Wiszniewskiego: Charakery rozumów ludzkich, ile wiemy, bez pozwolenia autora. Ale powie ktoś, sława literacka powinna być jedyną nagrodą dla autora. Prawda, i wielka prawda, u nas sława, która kilka lat nieprzetrwa, jest jedyną nagrodą za prace. Nikt u nas nie tylko majątku, lecz nawet sposobu do życia w literaturze nieznajduje, i tylko szlachetnéj chęci bycia pożytecznym dla rodaków przy-

32



Swiątynia Kaaba.

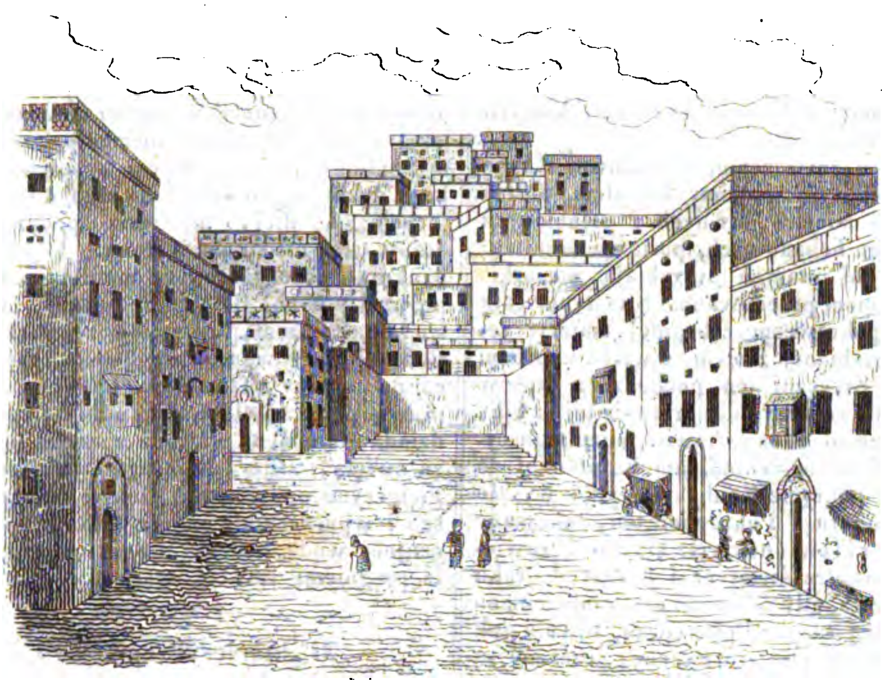
pisać należy, że u nas jeszcze tylu piszących znajduje się. Lecz z drugiéj strony zważyć należy, że napisanie książki, bez kosztów, częstokroć znacznych, się nieobejdzie. Potrzeba kupić sobie książek przynajmniéj najnowszych, bo żaden instytut autorowi wszystkiego niedostarczy; potrzeba ponosić koszta korrespondencyi, trzymać i opłacać pisarza, odbyć nie jedną podróż, żeby coś nowego napisać. A co do autora, który własnym kosztem książki swoje drukuje, ten zaiste prawdziwie na litość i wsparcie zasługuje. Do pracy i trudów autora przybywają mu jeszcze niemiłe, obce i przykre dla niego zatrudnienia księgarskie. Książki jego szczelnie szpagatem związane, leżą w najciemniejszym zakątku księgarni, zkąd je ledwie największa, uprzykrzona natarczywość wydobyć potrafi, niechętnie, z największym wstrętem, i potrójną ceną przedane książki swoje, ledwie po roku księgarskim (który ma najmniéj miesięcy szesnaście) pieniądze odebrać potrafi. Jeżli do tego przydamy obawę, że mu przedrukują książkę, na którą część majątku swego wyłożył, któż się wydawać książki odważy? Na to złe, zgubą literaturze grożące, pilne dawać należy oko, i wcześnie obmyślić środki potłumienia tego literackiego rozboju. Księgarze, autorowie, czytelnicy wszyscy, powinni zakrzyczeć takiego księgokradzcę, i podłe czoło jego napiętnować imieniem złodzieja, i ile z wywołanym, wszelkie literackie i księgarskie związki zerwaćby należało. Inaczéj autorowie przestaną pisać, a księgarnie i drukarnie upadną.

(Koniec nastąpi.)

Kaaba w Mekce.

Lubo pielgrzymki zwolenników Mahometa do grobu jego w Mekce, powszechnie są znane, i od wielu, którzy ją zwiedzali, wspominane, opisu jednakże dokładnego świątyni téj Muzułmanów, ani rysunków, żaden nam z podróżujących niezostawił, albowiem nienawiść i wstręt wyznawców Islamu ku obrazom, przyczyną była nieraz, iż ciekawego wędrownika, co się poważył najświętszą ze wszystkich moszeę rysować, śmiercią karano. W nowszych dopiero czasach przyniósł nam rysunek Kaaby, sławny wędrownik N i e b u h r i umieścił go w opisie swoim Arabii.

Miasto Mekka leży między 21° 40′ szero-



M e k k a.

kości, 70° długości, w prowincyi Hidjaz, w Arabii, w środku równiny, otoczonéj zewsząd pasmem gór. Przez kilka wieków dobijały się o jéj posiadanie wszystkie dynastye, powstałe na łonie Islamizmu. W roku 923 Hegiry (1517 po Chr.) wznieśli się nad innych Sułtani tureccy, a opanowawszy Egipt, stali się innych pokoleń naczelnikami, wschód nie ledwie cały pod berło swoje podbiwszy. Mekka nie była nigdy miastem wielkiém, ani ludném; mur, czyniący je obronném, upadł w skutek częstych napadów: domy proste, bez żadnych ozdób. Założenie Mekki, podług podania Arabów, najodleglejszéj starożytności sięgać ma czasów, utrzymują bowiem, iż wybudował ją Abraham patryarcha, zwiedzając Arabią z synami swymi Izaakiem i Izmaelem. Pewną jest rzeczą, iż w początkach istnienia swego poświęconą była Mekka czci prawdziwego Boga, późniéj jednak oddała się bałwochwalstwu i zostawała w niém aż do czasów Mahometa. Całe swe znaczenie dzisiejsze winna moszei, zaczętéj przez Selima II. w r. 1571.

W środku miasta widać dość obszerne miejsce, otoczone dwustu kolumnami z bronzu, połączonemi między sobą i ozdobionemi bogatemi kopułami; sześć minaretów wznosi się pomiędzy niemi w nierównéj od siebie odległości, a siódmy sterczy nad małą budowlą, leżącą za okręgiem, lecz stykającą się z otaczającemi świątynię kolumnadami, które noszą imię wielkiéj moszei (mesdijdi cherif) i służą pielgrzymom za schronienie w czasie upałów lub niepogody. Dziewiętnaście, a podług **N i e b u h r a** 39 bram prowadzi na dziedziniec, w którego obwodzie znajduje się kilka budynków, do różnych obrzędów religijnych przeznaczonych. Mała świątynia, dla czworograniastego kształtu, **K a a b ą** nazwana, wznosi się pomiędzy czterema domkami, kopułami ozdobionemi. Sama Kaaba ma dach płaski i jedno tylko wejście, umieszczone tak wysoko, iż drabiny do niego używać trzeba, żeby się wewnątrz dostać. Świątynia ta wiele doznała zmian, po kilka razy została odbudowana, lecz zawsze w tém samém miejscu. Pisarze mahometańscy bowiem utrzymują, iż Kaaba miała być wystawioną przez Abrahama, w miejscu, gdzie się wznosił przed potopem przybytek prawdziwego Boga, wybudowany rękami Aniołów. Abraham pracując około świątyni téj z Izmaelem, miał wypocząć na kamieniu, który dziś jeszcze jego imię nosi i o kilka kroków od Kaaby leży. Zalecił Bóg Abrahamowi, aby nakazał wszystkim narodom odwiedzać swój przybytek, który przez to stał się, podług podania Muzułmanów, celem czci wszystkich narodów, wierzących w jednego Boga. Służyła ta świątynia czci **J e h o w y**, późniéj bałwanom, nareszcie przeznaczoną została na główną świątynię dla zwolenników Mahometa, a o prawo strzeżenia jéj i bronienia, ubiegały się pomiędzy sobą wszystkie pokolenia arabskie, jako o znamię przewagi politycznéj. Zgorzała przez nieostrożność niewiasty, palącéj kadzidła, wystawioną została Kaaba na nowo na 5 lat przed powstaniem Mahometa, który sam dzielnie się przyłożył do przywrócenia starożytnego przy-

bytku, i korzystając z téj sposobności, pojednał rozdwojone umysły pokoleń arabskich. Ogłosiwszy się zaś prorokiem Boga i zacząwszy nową opowiadać naukę, wywrócił własną ręką posąg Abrahama i pokruszył bałwany, których 360 tutaj przechowywano.

Po ostatniém zniszczeniu, odbudował Kaabę w takim, jak dziś ją widzimy kształcie, Sułtan Murad IV.: w miejsce dawnych i osłabionych wiekiem kolumn hebanowych, postawiono nowe; z szczątków zaś starych wyrabiają paciorki, drogo pielgrzymom przedawane. Świątynia cała pokrytą jest pokrowcem z bogatéj materyi jedwabnéj, przerabianéj złotem, z wielu napisami z Alkoranu. Zwyczaj ten pochodzi z czasów pogańskich, a o zaszczyt dostarczania téj ozdoby spierali się często Monarchowie muzułmańscy. Pod Sułtanami ottomańskimi sam Egipt miał do tego prawo, a pokrycie Kaaby raz tylko wyszło z fabryk Stambułu. Pokrowiec ten, nazwany kissvei cherifek (pokrycie sławne), zawieszony jest zewnątrz świątyni i 3 razy do roku zmienianém bywa, gdy dawnemi czasy odmieniano go raz lub dwa razy. Pokrycie to, równie jak sznur, na którym jest zawieszone, czczone są wielce od wiernych i rozdzielane różnym meszeom państwa, tak jednakże, iż co siedm lat powracają do Monarchy, a ten je przyjmuje z wielką okazałością i przeznacza na zasłony mauzoleów Sułtanów, książąt i księżniczek.

Na dachu Kaaby, w stronie między Syryą i Iranem znajduje się rynna złota, aby przez nią spływała woda deszczowa. W dawnych czasach pokryta była Kaaba cała złotą blachą, która się podczas pożaru stopiła. Soliman I. pokrył ją srebrem, dzisiejszy lany ze złota dach jest darem hojności Achmeta I. Gdy deszcz pada, biegnie spiesznie lud, aby stanąć pod rynną i obmytym być płynącą z niéj wodą, ztąd przysłowie: „z pod deszczu pod rynnę.“ — Kamień czarny (hadjer ul esued), wmurowany w ścianę świątyni, jest podług pisarzy mahometańskich, znakiem przymierza zawartego pomiędzy Bogiem i ludźmi, co mają oznaczać wyryte na nim litery mistyczne. Adam miał go unieść z raju ziemskiego, a Anioł Gabryel rozkazał Abrahamowi, aby go umieścił w stronie południowo-wschodniéj Kaaby. Wzięty w wojnie domowéj przez hordę Arabów, nieprzyjające Mahometowi, powrócony został na dawne miejsce we 22 lat po tém zrabowaniu. W sto lat późniéj uderzył weń zagorzalec pewien bronią pod suknią ukrytą, bluźniąc przeciw Bogu i prorokowi jego Mahometowi, lecz przypłacił śmiercią za czyn swój bezbożny; kamień został nieuszkodzony. Pielgrzymi, zwiedzający Kaabę, cisną się, żeby kamień ten całować; ci zaś, co się nie mogą zbliżyć do niego, dotykają się go przynajmniéj kijami swoimi, które potém z uszanowaniem chowają. Miał kamień ten pierwiastkowo być biały, lecz zmienił się płacząc nad przewrotnością i zepsuciem ludzi. — Trzy razy do roku otwierają tylko Kaabę, w oznaczonym czasie, przez dwa dni następujące po sobie: w pierwszym dniu wolno wchodzić do niéj męczyznom, w drugim niewiastom. Jest między Muzułmanami mniemanie, że świątynię tę wielka zajmuje jasność i w nawie jéj mieszkają duchy niebieskie, dla tego nikt z wstępujących do niéj, nie śmie podnieść swych oczów, aby nie stracić wzroku. W jednym z budynków, przeznaczonych modłom jednéj z sekt prawowiernych, Chafy nazwanéj, znajduje się studnia Zemzem, powstała na rozkaz Anioła Gabryela, aby ugasić pragnienie Agary, błądzącéj po puszczy z Izmaelem: była ona zaniedbaną prawie przez 1500 lat, lecz odkrytą została przez dziada Mahometa. Woda z studni téj uważana za świętą, służy do oczyszczenia się i picia. Pielgrzymi opuszczając Mekkę, biorą ją w flasze i wpuszczają z niéj po kilka kropli do zwyczajnéj wody podczas drogi, mniemają bowiem, iż pragnienie łatwiéj ugasi. *S. N.*

O artyleryi austryackiéj.
(Dalszy ciąg.)

Frontowość. Obecnie generał-dyrektorem artyleryi jest arcy-książę Ludwik Józef, którego sztab w Wiedniu, a cały korpus officerów artyleryi polowéj składają: jeden feldmarszałek-lejtnant, ośmiu generał-majorów, ośmiu pułkowników, sześciu podpułkowników, ośmnastu majorów, sto-dwudziestu kapitanów pierwszéj i drugiéj klassy, dwustu-dwudziestu poruczników, dwustu-dwudziestu-pięciu podporuczników. Do polowéj artyleryi liczy się korpus bombardyerów, którego sztab w Wiedniu, ustanowiony r. 1786., dowodzony przez pułkownika Franciszka v. Sonnenstein; tudzież korpus ogniomistrzów, dowodzony przez generał-majora Wincentego barona Augustin, którego sztab w Wiener-Neustadt.

Artylerya polowa w Austryi składa pięć pułków: pierwszy czeski, dowodzony przez pułkownika Jakóba barona v. Wolfsberg, sztab w Pradze; drugi niższo-austryacki, dowodzony przez pułkownika Józefa Ehrenblüh, sztab w Wiedniu; trzeci morawski, dowodzony przez pułkownika Michała Keck, sztab w Ołomuńcu; czwarty austryacki, dowodzony przez pułkownika Jana Weigl, sztab w Grätz; piąty węgierski, dowodzony przez pułkownika Dominika Kreiml, sztab w Peszcie. Artyleryą osadniczą składają: trzech pułkowników, dwóch podpułkowników, siedmnastu majorów, ośmdziesiąt dwóch kapitanów pierwszéj i drugiéj klassy, pięćdziesięciu poruczników, ośmdziesiąt siedmiu podporuczników; dzieli się ona na trzynaście okręgów (dystryktów): 1. niższo-austryacki (Wiedeń), 2. czeski (Praga), 3. węgierski (Buda), 4. morawski (Ołomuniec),

5. austryacki (Grätz), 6. wenecki (Wenecya), 7. lombardzki (Mantua), 8. banacki (Temeswar), 9. slawoński (Peterwardein), 10. kroacki (Karlstadt), 11. siedmiogrodzki (Karlsburg), 12. tyrolski (Innsbruck), 13. dalmacki (Zara). Naprzód w r. 1772. podzielono artyleryą frontową na trzy pułki polowéj, i dwanaście stanowisk; w r. 1801. przydano pułk czwarty artyleryi polowéj, i jeden okrąg osadniczy, wreście w r. 1816. postanowiono pułk piąty. Każdy pułk liczy ośmnaście kompanij, co wystarcza do usługi stu-ośmdziesięciu bateryj, czyli tysiąca ośmset dział, bo baterya składa się z dział sześciu; wszakże rozkład ten na pułki służy jedynie na czas pokoju, i każdy w tym czasie ma tylko tyle dział zaprzężonych, ile do nauki usługiwać mających potrzeba (*).

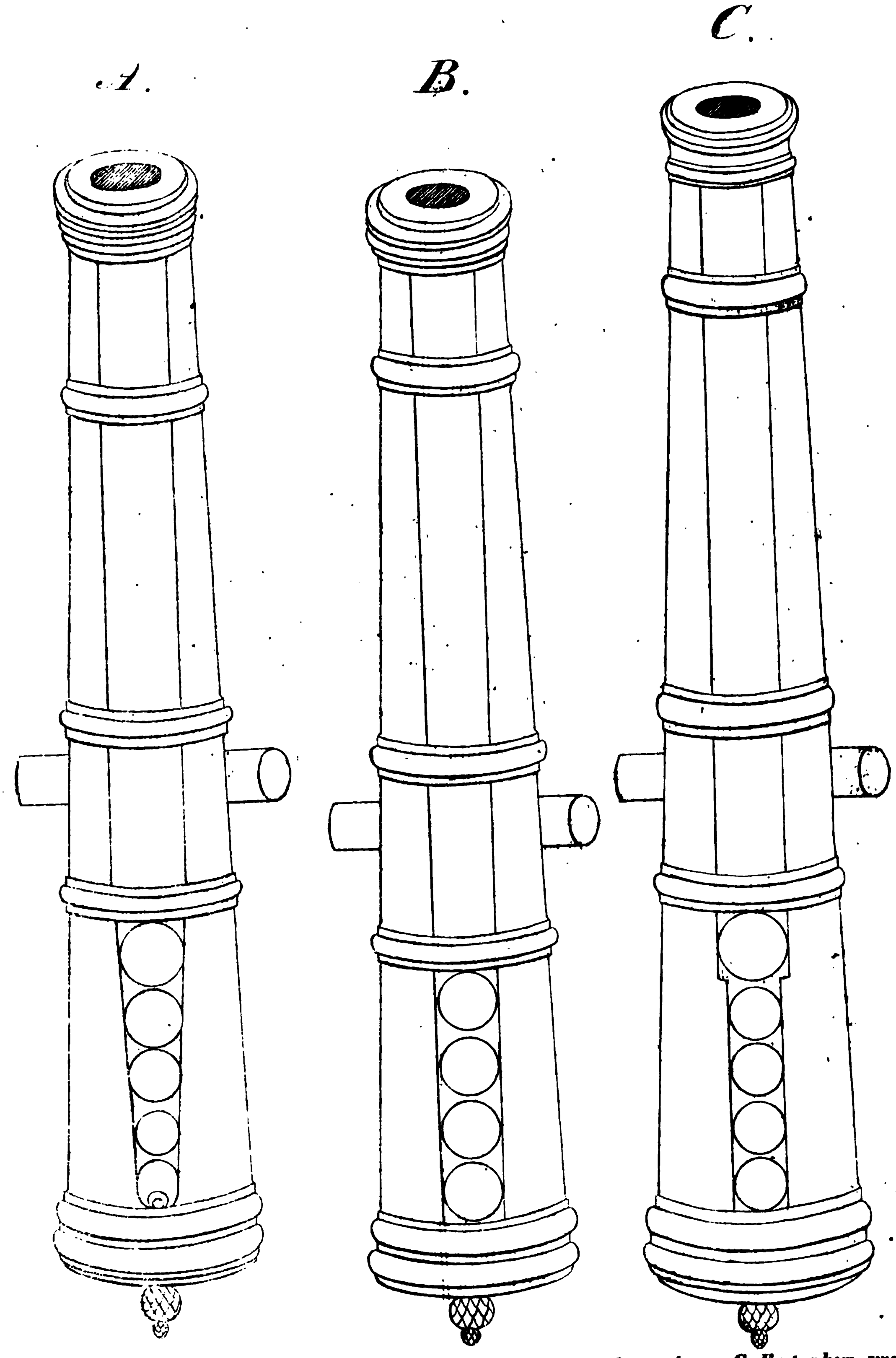
W czasie zaś wojny artylerya austryacka następny ma podział: 1. baterye bojowe (Brigade-Batterien), 2. rezerwy szczególne dywizyów (Reserve-Batterien), 3. rezerwa ogólna wojska, 4. zakład artyleryi, 5. ogólna rezerwa rozrzucona po kraju. Baterye brygadowe stósownie popierają taktyczne poruszenia różnych oddziałów wojska, dla tego tu tylko mniejszego wagomiaru działa używają się, stawiając je po skrzydłach odpowiednich oddziałów, albo w przedziałach szyku bojowego, i służą do pierwszych działań na polu walki. Rezerwowe baterye rzucają się szybko, w razie potrzeby, na słabe, zagrożone punkta szyku, lub w odwrocie, a w napadzie tam, gdzie trzeba przeważną wywrzeć siłę, lub stanowczo rozstrzygnąć walkę; dla tego téż tu do lekkich dział w odpowiednim stósunku przydzielone są działa większych wagomiarów, bo temi można wzmocnić skrzydła, przygłuszyć nieprzyjacielskie działa, na wielką donośność rozrzucać w znacznéj przestrzeni kartacze. Stósunek dział do liczby wojska, zmienia się często wedle przyjętego układu wojowania, miejscowości, siły nieprzyjaciela, siły moralnéj wojska; i tak Napoleon inną liczbę dział przyjął w pomyślnych chwilach, a w odwrocie z nad Berezyny; w rozporządzeniach związku niemieckiego postanowiono, że powinny być dwa działa czynne i jedno rezerwowe na tysiąc ludzi.

Skład kompanii artyleryi w bojowym komplecie, jest pięciu oficerów, siedmnastu podoficerów, dwustu usługujących, dwóch doboszy. Komplet taki służy do posługi trzech bateryj, to jest ośmnastu dział. Bateryą dowodzi porucznik, sekcyą zaś, to jest dwoma działami, podoficer. I znowu w szczególności: bombardyerów dwóch do 7- i 8-funtowego granatnika pieszego i 7-funtowego jezdnego; kanonierów siedmiu do armaty 3-funtowéj, ośmiu do 6-funtowéj, dziesięciu do 12-funtowéj, dwunastu do 18-funtowéj, siedmiu do granatnika 7-funtowego, dziewięciu do 10-funtowego; sześciu do armaty 6-funtowéj jezdnéj, pięciu do granatnika 7-funtowego. A zaś używa się do dział od 2ch do 8 koni, do wozów nabojowych od dwóch do czterech, zaczém baterya 3-funtowa potrzebuje koni 63, 6-funtowa 84, 12-funtowa 90, 18-funtowa 101, 6-funtowa jezdna 132.

Austryacy używają armat 6-funtowych, i granatników siedm funtów na kamień przy jeździe i przy dywizyach piechoty, armaty 12- i 18-funtowe mają w bateryach rezerwowych, armatki zaś 3-funtowe przydzielają do batalionów strzeleckich. Zaopatrzenie bateryów austryackich jest następujące: Działo 3-funtowe ma w przodkarze 24, a w kiessonie 144 nabojów, baterya trzechfuntowa ma przeto 1008 nabojów; działo 6-funtowe piesze w przodkarze 18, w kiessonie 176, cała baterya 1144; działo 12-funtowe ma w przodkarze 12, a w kiessonie 90, cała baterya 712; działo 18-funtowe w kiessonie 64, na przodku nie ma nabojowéj skrzyni, baterya więc 18-funtowa ma 184 nabojów; działo 6-funtowe jazdy ma 14 nabojów w kiszce, 40 w jukach, a 96 w kiessonie, cała przeto baterya zaopatrzona jest w 700 nabojów. Oprócz tego zapas w parku ogólnym wynosi 300 nabojów na armatę, a 200 na granatnik. I znowu w szczególności: działo 3-funtowe ma 270 nabojów z kulmi, 64 kartaczowych; działo 6-funtowe 270 z kulmi, 56 kartaczowych; działo 12-funtowe 198 z kulmi, kartaczowych 3-łótowych 16, 12-łótowych 35, 32-łótowych 31; granatnik 7-funtowy ma strzałów granatnych 175, kartaczowych 24, z kulmi świecącemi 6; granatnik 10-funtowy, granatnych 198, kartaczowych 18, z kulmi świecącemi 72. Zapalników na każdy strzał liczy się półtory sztuki. Przepalniczek do zapałów działowych na jedno działo piesze 100 sztuk, na jedno działo jazdy 130 sztuk. Lecz nie całe zaopatrzenie artyleryczne prowadzi się tuż przy bateryach, część bowiem należy do rezerw, i tak: Rezerwa polowa (Unterstützungs-Reserve) składa się z ¼ części całego zaopatrzenia; główna rezerwa (Haupt-Reserve), wraz z zaopatrzeniem bateryjném, stanowi połowę całego zaopatrzenia; ostatnia część czwarta zaopatrzenia stanowi ostateczną rezerwę (schwere Reserve). Oprócz tego w poblizkich działania obronnych stanowiskach ustanawiają się zakłady artyleryczne (Artillerie-Depots), z których część zapasów w czasie wojny prowadzi się za wojskiem (bewegliche Felddepots).

(Koniec nastąpi.)

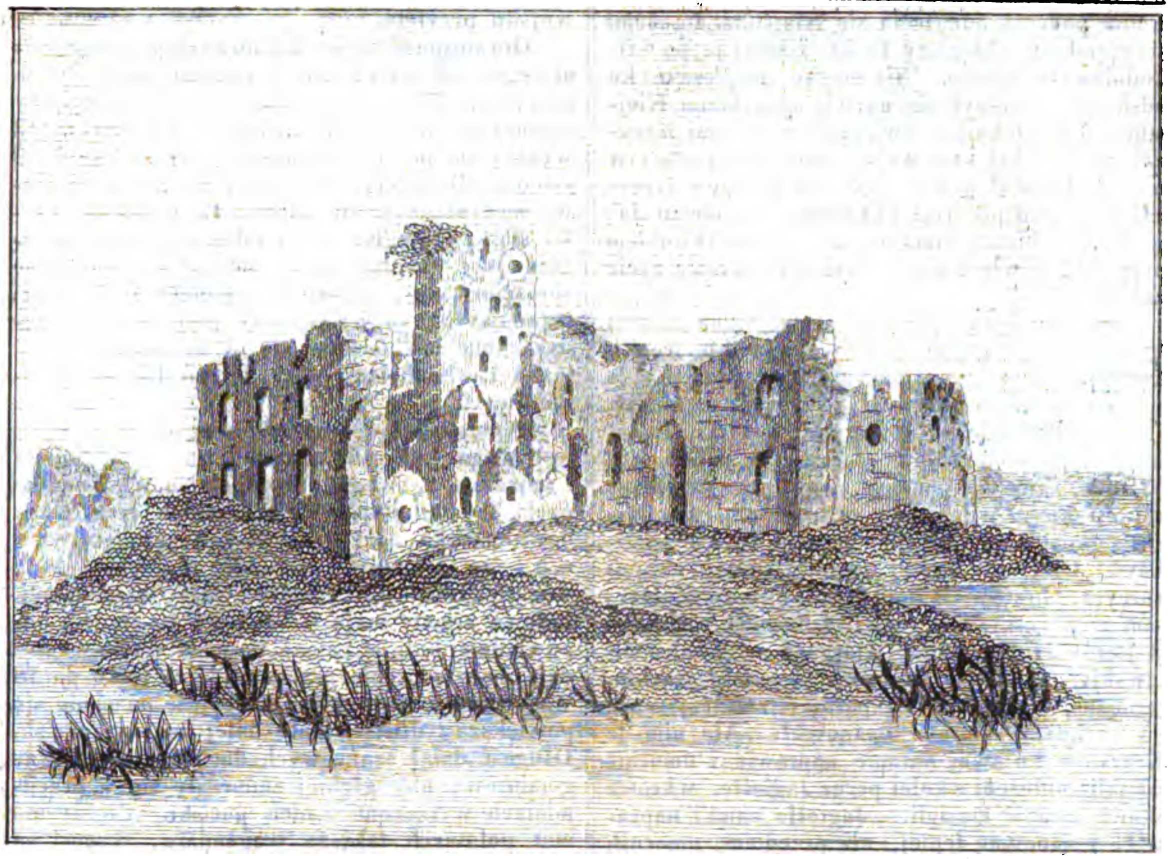
(*) Militär-Schematismus des österreichischen Kaiserthumes. Wien, 1836.



***Dawne działa:* A. Kartana z komórką kończatą do naboju. B. Kart. z kom. równą. C. Kart. z kom. zwężoną.**

Przyjaciel Ludu.

Rok szósty. **No. 33.** **Leszno,** *dnia* 15. *Lutego* 1840.



Ruiny zamku trockiego na jeziorze.

Dwoje jest Trok w Litwie, stare i nowe. Pierwsze, dziś nędzna wioska, były niegdyś przez lat czterysta stolicą potężnéj Litwy. Założył je Gedymin w r. 1321., na pamiątkę pomyślnych w tém miejscu łowów, i nazwał Trokami, ztąd, iż wszyscy otaczający go wówczas myśliwi, rozmaitą zwierzyną troki swe napełnili; z czego rokując Gedymin jużto szczęśliwą wróżbę, już obfitsze w tém miejscu knieje, stolicę swą w tymże roku z Kiernowa do Trok przeniósł, i w nich aż do założenia Wilna utrzymał.

Po śmierci Gedymina, Troki stały się udziałem syna jego Kiejstuta, jednego z najznakomitszych bohatérów nietylko Litwy, ale i wieku swojego. Onto założył Troki nowe, wraz z obudwoma zamkami, w i ę k s z y m i m n i e j s z y m. Większy, nad samym prawie brzegiem ze trzech stron miasto oblewającego jeziora, w bardzo już małych szczątkach dzisiaj widzieć się daje. Drugi, mniejszy, którego ruiny wizerunek wyraża, leżał na wyspie o kilka set kroków od brzegu i nadbrzeżnego zamku odległy. Dotąd przy zniżonéj wodzie widzieć można resztki palów łączącego je kiedyś mostu.

Żaden szczególnie ważny wypadek w dziejach litewskich, nie wiąże się bezpośrednio z Trokami, oprócz, że były mieszkaniem Kiejstuta. Lecz męstwo jego, nie pod murami swéj stolicy nieprzyjaciół czekało. Granice Litwy, Polska, Inflanty, a mianowicie ziemie Krzyżaków pruskich, były teatrem i świadkami czynów, zwycięztw, przeciwności, a zawsze wielkiego umysłu Kiejstuta. W ciągu wieloletnich jego z różném szczęściem wojen, mieszkańcy Trok wtenczas tylko nieprzyjaciół widzieli, gdy ich w pełnym rynsztunku, na podziękowanie

bogom za pomyślną wyprawę, na świętych stósach palono, i nie wprzód zbroje krzyżowe groźnie pod murami trockiemi zabłysły, aż sam W. książę litewski Jagiełło, na dobro poddanego kraju, na związki krwi i przyjaźni, na sędziwość wieku stryja Kiejstuta i na wielką jego chwałę niepomny, zawezwał przeciw niemu Konrada Zölnera, W. mistrza pruskiego, i z nim podczas oddalenia się Kiejstuta do ziemi siewierskiéj, obległszy Troki, zdobył je po kilkodniowym oporze. Nie mogąc pospieszyć ku odsieczy, spieszył się na ich odzyskanie Kiejstut, i niezlękniony świeżemi posiłkami Krzyżaków, już był swe wojsko do walnéj przeciw nim uszykował bitwy, gdy za namową Krzyżaków, pod pozorem układów, do obozu Jagiełły zwabiony, i tam wraz z synem Witoldem pojmany, w więzieniu krewskiém wkrótce życie zakończył.

Na rękę była zakonowi wewnętrzna książąt litewskich niezgoda; godziwe wszelkie środki, którymi ją mogli podniecić; pożądana każda sposobność wmieszania się w sprawy sąsiadów, skoro w tém własne upatrywali pożytki. Podał im ją niebawnie chciwy pomsty za śmierć ojca Witold, gdy za pomocą swéj żony uszedłszy z krewskiego więzienia, przybył na dwór Mistrza pruskiego, szukając przeciw Litwie posiłków. Obietnicą hojnéj nagrody raczéj, niż pozornym chrztem Witolda zniewolony Zölner, sam w towarzystwie jego, z liczném wojskiem Rejtarów i Knechtów wtargnął w granice litewskie, i między innemi oba zamki trockie, taranami i strzelbą do połowy zniszczywszy, po zaciętym szturmie opanował. Ale nim je Krzyżacy ku swéj obronie naprawić i umocnić zdołali, oblężeni z kolei przez Jagiełłę, wkrótce z nich ustąpić musieli. Jagiełło zamki naprawił, i zapewne łepiéj, niż przedtém, umocnił, gdyż późniéj we cztery lata, w roku 1387., oparły się dwom usilnym szturmom krzyżackim, którym, po drugi raz do Prus zbiegły Witold przywodził. Zdobył je wszakże i spalił w r. 1390., gdy po raz trzeci z Mistrzem krzyżackim, Konradem Wallenrodem, i Krzyżownikami, niszczył Litwę i ciągnął na Wilno.

Na tém się kończą dzieje wojenne zamków trockich. Znać musiano je odbudować po ostatniém spaleniu, gdyż w dalszych latach były mieszkaniem samegoż Witolda, który tam nawet życie swoje zakończył: w nich także mieszkał i zabity został brat i następca Witolda, Zygmunt Kiejstutowic, o czém dosyć obszernie mówią kroniki litewskie.

Po unii Litwy z Polską, Troki stały się stolicą województwa, teraz są tylko powiatowém miasteczkiem.

O artyleryi austryackiéj.

(Dokończenie.)

Ogniomistrzowstwo wojenne. Tym sposobem opisawszy rozkład artyleryi austryackiéj, przystępujemy teraz do niektórych szczegółów ogniomistrzowstwa wojennego i wymieniemy niektóre główniejsze proporcye, w témże wojsku przyjęte.

Oto stósunek części składowych prochu strzelniczego, od roku 1826. w wojsku austryackiém przyjęty: Na proch sztuccowy i do strzelby ręcznéj używa się 75 saletry, 12 siarki, 13 węgla; na proch używany do rozsadzania: 64 saletry, 19 siarki, 20 węgla; na proch działowy medyolański: 76 saletry, 12 w równéj części siarki i węgla. Przy robocie prochu szczególniejszy wzgląd mieć należy na dokładne sproszkowanie, i zupełne pomięszanie części składowych, co w nowszych prochowniach austryackich uskutecznia się w beczkach wynalazku Buchenholza, w każdéj po 150 kulek 6-funtowych.

W austryackiéj artyleryi wagomiarem armat jest waga kul właściwych, zaś granatników i moździerzy, waga kul odpowiednich kamiennych, i dotąd jeszcze w rozmiarach tych waga dawna lekka norymberska jest przyjętą, tak n. p., że 3-funtowéj armacie odpowiada kula ważąca tylko 2½ funtów wagi wiedeńskiéj. Polowe armaty mają w długości 16 średnic odpowiedniéj kuli, czynione bowiem w tym względzie doświadczenia przekonały, że tylko do 18 wagomiarów w długości donośność znacznie się powiększa, dłuższe mało daléj donoszą pocisk. Długość dział szańcowych dochodzi do 24 wagomiarów, aby głębiéj zanurzały się w przedmiotach wyrzucone z nich pociski. Ciężar armat polowych takiego wagomiaru, wynosi na każdy funt kuli 120 do 200 funtów wagi; działa szańcowe są stósunkowo cięższe i grubsze, i znowu grubość śpiżu nie jest wszędzie jednakowa, lecz zmniejsza się coraz idąc ku wylotowi od najgrubszego dna, ponieważ siła spłonionego prochu coraz słabiéj działa, a najmniéj na ściany wyletowéj części. Granatników długość stósuje się do długości ręki ludzkiéj, bo się nabój ręką do komory wkłada; grubość mniejsza, jak u armat, albowiem o wiele mniejszy używany nabój; przestwór stósunkowo o wiele większy, jak u armat, ponieważ zapalnik granatu zająć się powinien od płomienia z naboju. Co do moździerzy, taż sama służy zasada, jak i innym działom, że im dłuższe, tém strzały pewniejsze, lecz znowu ograniczyć się w długości należy przez wzgląd na grubość metalu, ciężar, a ztąd trudność przewozu, nie są przeto dłuższe, jak do 1¼ wagomiaru, grube być mają szczególniéj przy dnie, z przyczyny ciężaru bomby.

Co do porządków: osie austryackie są dre-

wniane, koła łóż złożone z dwunastu lub czternastu szprych, sześciu albo siedmiu dzwon; u wszystkich łóż polowych mają w średnicy 4 stopy 3 cale 8 linij.

Proporcya spiżu działowego jest na 100 funtów miedzi, 11 do 12 funtów cyny. W Austryi obecnie leją działa we wzorach z lepu; wzór na działo 12-funtowe wyrobi sześciu ludzi w pięciu godzinach. Świdrownie są urządzone pionowe, poruszane wodą; lecz obecnie w Wiedniu zaprowadzono poziome i zastósowano do nich siłę pary.

Pociski w powszechności żelazne leją się z surowcu w piecach (Hoch-Oefen), pełne we wzorach, wydrążone na rdzennym drążku, a ulane dopiero w beczkach, wodą obracanych, polerują się. Kule karabinowe w formach do tego odlewają się z ołowiu, a po wystygnieniu odcinają się nadrostki i równo całe zgładzają. Grubość granatnika 10-funtowego z wierzchu $6^{III}\ 8^{IV}$, od spodu $1^{II}\ 3^{III}\ 1^{IV}$, 3-funtowego z wierzchu $3^{III}\ 7^{IV}$, od spodu $5^{III}\ 7^{IV}$. Największa długość zapalników dla 7-, 6- i 3-funtowych granatów jest: $4\frac{1}{4}^{II}$, $2\frac{3}{4}^{II}$, $2\frac{1}{4}^{II}$; dwa ostatnie zapalniki goreją pięć sekund. Grubość bomby 100-funtowéj z wierzchu $1^{II}\ 3^{III}$, od spodu $2^{II}\ 8^{III}\ 6^{IV}$; 10-funtowéj z wierzchu $6^{III}\ 3^{IV}$, od spodu $1^{II}\ 3^{III}\ 1^{IV}$. Największa długość zapalników dla bomb 10-, 30- i 60-funtowych jest: $4\frac{3}{4}^{II}$, 7^{II}, 9^{II}; których część 1^{II} długości pali się trzy sekundy. Kule ogniste (Feuerballen) wyrabiają się z massy świetnéj, nabite są granatém 3-funtowym i mordownikami zaopatrzone (Mordschläge), a dopiero obwiedzione szpagatem i osmolone bywają. Proch na nabój używany, wynosi, co do wagi: dla armat polowych $\frac{1}{4}$ wagi kuli, dla dział oblężniczych i wałowych $\frac{1}{3}$ wagi pocisku, dla zrobienia wyłomów $\frac{1}{2}$, przeciw przedmiotom z drzewa między $\frac{1}{3}$ a $\frac{1}{8}$, na strzały odbitkowe między $\frac{1}{8}$ a $\frac{1}{10}$ tejże wagi, na strzały armatno-kartaczowe dają nieco większy nabój, jak dla kuli. Granatnikowe naboje w ogólności są mniejsze od armatnich, ponieważ wyrzucają pociski pod znacznym kątem, a mocne naboje przy większych podniesieniach niszczą bardzo łoza; granica tu używanych nabojów od $\frac{1}{24}$ do $\frac{1}{8}$ wagi pocisku. Naboje dla moździerzy dotąd stanowczo nie są oznaczone, mniéj więcéj stósownie do odległości sypie się prochu około $\frac{1}{20}$ wagi bomby. Do ustawienia dział i nadania im odpowiedniego do celu podniesienia, używane są w austryackiéj artyleryi: ruchliwe celowniki (bewegliche Richtwisire), są to mosiężne liniały na cale i linie podzielone, mające przy podziałach posuwalną dziureczkę, przez którą celuje się do przedmiotu przez najwyższe punkta głowy działa. Do kierowania moździerzy służy ćwierciokrąg (kwadrant) stósownie urządzony.

Donioslość strzałem rdzennym teraz używanych armat, oblicza się na 300 do 400 kroków. Strzał ostro przez metal i w podniesieniu z armat i granatników po równym gruncie przypuszcza się dwa razy taki, jak rdzenny, a w przecięciu $\frac{\text{3-funtowe}}{600}$, $\frac{\text{6-funtowe}}{750}$, $\frac{\text{12-funtowe}}{800}$ $\frac{\text{armaty}}{\text{kroków}}$; $\frac{\text{7-funtowe}}{350}$, $\frac{\text{10-funtowe}}{500}$ $\frac{\text{granatniki.}}{\text{kroków.}}$ Za granicę strzału w podskokach można przyjąć 2000 kroków, bo téż przy większéj odległości trudnó gołém okiem poradzić. Donioslość moździerzy przypada między 100 a 3000 kroków.

Co do prawdopodobieństwa trafu z czynionych doświadczeń wyprowadzono, że armatnie kule w średnich odległościach od 1000 do 1500 kroków, chybiają w donioslości blisko 250, a zbaczają z linii kierunku od 20 do 50 kroków. Strzały granatnikowe o wiele zawodniejsze są, jak armatne, okres w donioslościach średnich przypada pomiędzy $\frac{1}{4}$ a $\frac{1}{8}$, tak n.p., że granat mający z wyrachowania paść o 1800 kroków, padnie w odległości między 1500 a 2100. Zboczenia pocisków z moździerzy wyrzucanych w małych odległościach, są nieznaczne, w dalszych większe od armatnich, ale znowu mniejsze od granatnikowych, tak n. p. można przyjąć w przecięciu, że bomba 60-funtowa na 400 kroków chybiać będzie o 25 kroków.

Skutki strzałów, podług doświadczeń w Turynie czynionych, obliczono takie, że w odległości 400 kroków, kula armatnia 12-funtowa czterdziestu ośmiu, 6-funtowa trzydziestu dziewięciu, 3-funtowa trzydziestu ludzi powalić może, znowu w odległości 800 kroków pierwsza trzydziestu sześciu, druga dwudziestu ośmiu, trzecia dziewiętnastu. Daléj zagłębianie się kul w drzewo, oszacowano o $\frac{1}{8}$, w murze o $\frac{1}{3}$ więcéj, niż w ziemi, przyjęto zaś, że w przedpiersie świeżo usypane bez odzienia zagłębia się kula 12-funtowa, przy naboju 5 funtów prochu, w odległości 800 kroków na $5\frac{3}{4}$ stóp. Granaty i bomby nie tak mocno zagłębiają się, jak kule, bo nie tyle szybko, z mniejszą więc siłą biegną, ale za to przez rozpękanie wynagradzają w skutku; działalność znowu kartaczy zależy od ich wagi, jednak mniejsze kartaczowe kulki, zwłaszcza gdy im miejscowość sprzyja, w małéj odległości są straszne.

Podług podań z 3- i 6-funtowych armat można wypalić w minucie dwa razy, a z 12-funtowéj w dwóch minutach trzy razy. Z dział ciężkich na jeden strzał przypuszcza się pięć minut czasu. Z granatników co minuta, z moździerzy co pięć minut jeden strzał w podniesieniu; kartaczowy ogień nigdy długo nie trwa, jedynie w szczególnych okolicznościach zażywany, lecz wtedy od jak największéj jego szybkości wszystko zależy.

Naukowość. Najrozleglejsza w zakresie naukowym i pierwsza okresem założenia, jest

szkoła inżenierów w Wiednin (Ingenieur-Akademie), jeszcze w roku 1717. ustanowiona. Generał-Dyrektorem jéj jest arcy-książę Jan Baptysta: liczy ona professorów ośmiu wojskowych do przedmiotów wojennych i matematyki, stósowanéj do wojenności, a cywilnych także ośmiu, którzy znowu wykładają dzieje powszechne, geografią ogólną, rysunki, języki niemiecki i francuzki, tańce, sztukę jeżdżenia konno i potykania się. Uczniowie w niéj mieszczą się jedni na koszcie publicznym, a mianowicie dwudziestu z królestwa lombardzko-weneckiego, dwudziestu z królestwa Galicyi i Lodomeryi, dwóch z innych krajów; z prywatnych zaś zapisów w ogólności uczniów dwudziestu dziewięciu. Własnym kosztem utrzymujących się przyjmują, skoro okażą dostateczne przymioty. Wychodzą z niéj usposobieni do każdego zawodu publiczno-cywilnego, i na officerów wszelkiéj broni, po odbytym pięcioletnim kursie.

Druga jest **szkoła dla wojskowych** (Militair-Akademie zu Wiener-Neustadt), w r. 1752. ustanowiona, téj generał-dyrektorem także arcy-książę Jan Baptysta, podzielona jest na ośm klass, cztery oddziały, — mieści się w niéj synów officerskich na koszcie publicznym trzystu dwudziestu dziewięciu, na funduszu stanowym z różnych części cesarstwa stu piętnastu, i tu przyimują uczniów na własny koszt. Wychodzą z niéj usposobieni jedynie do zawodu wojskowego.

Daléj **dwie kompanie kadetów**, jedna w Ołomuńcu, druga w Grätzu, w r. 1808. ustanowione, w których usposobiają się ochotnicy do służby pieszéj.

Wreście **domy wychowania dzieci żołnierskich** (Regiments-Knaben-Erziehungshäuser) w Medyolanie, dla trzystu dwudziestu synów feldweblów i wachmistrzów, w Galicyi dla trzystu trzydziestu sześciu synów żołnierskich, dla całéj armii czterdzieści takichże zakładów, w każdym po czterdziestu ośmiu uczniów, w różnych punktach cesarstwa. Dwa nakoniec domy na sto pięćdziesięciu synów żołnierzy służących w piechocie granicznéj. Nie przepomniano nawet i o wychowaniu córek zasłużonych officerów, jest do tego zakład na czterdzieści dziewięć w Hernals pod Wiedniem.

Artylerya dostaje officerów z dwóch pierwszych zakładów, mianowicie też z pierwszéj szkoły. Instrukcya kanonierów odbywa się w szkołach kompanicznych, gdzie każdy z nich zacząwszy od czytania doprowadzonym być musi aż do geometryi elementarnéj, przytém teoretycznie i praktycznie uczy się wiadomości i obowiązków swojego zawodu. Pilniejsi, bardziéj celujący nauką, przechodzą do szkół pułkowych, gdzie mogą ubiegać się o stopień pod-officerski; ztąd znowu najzdolniejsi przechodzą do korpusu bombardyerów, który także dostarcza officerów, lecz, aby się tam dostać, oprócz pilności i wyższego usposobienia, wymagają zobowiązania się na całe życie.

Widzimy ztąd, że w Austryi zakłady artyleryczne najdokładniéj urządzone, naukowość, co do tego, wysoko posuniona; i tylko oprócz, że jest niewygodną uprząż, biegli w wojenności zarzucają artylerzystom austryackim nieprawność w obrotach polowych, zwłaszcza, gdy je do poruszeń reszty wojska zastósować przychodzi; lecz też winę tę nie na karb korpusu policzyć należy, wypływa ona bowiem z oszczędności przyjętéj w systemacie finansowym państwa, dla czego w czasie pokoju prawie nigdy nie zbierają się na ćwiczenia znakomitsze oddziały wojska, a dawno do boju wystąpić nie przyszło.

J. G.

Chłop i djabeł.

(Z zbioru gminnych gawęd wielkopolskich.)

Zapewne nie jednemu z was, których nie razi widok ubogiéj chatki wieśniaka, zakopciałe jéj ściany i proste sprzęty; którzyście się z roskoszą nieraz przysłuchiwali jego dziwacznym opowiadaniom: o powrocie dusz po śmierci, o wodzeniu po kałach, kuszeniu i t. p.; zapewne, mówię, nie jednemu już się tam dowiedzieć zdarzyło, że jak dziś przebiegłym i mądrym, tak niegdyś djabeł zupełnie był głupim. Zkąd taka zmiana? kto go ucywilizował? jakie trudności i koleje przebiegała ta kultura? — o to raczycie zapytać krytyków, jak n. p. panowie Gawędzki i Dudziński, pod Karpatami żyjący; (*) ja wam tylko ustami ludu chcę stwierdzić, *że* i *jak* istotnie dawniéj djabeł bardzo był głupim!

I.

W jednéj z wioszczyn Wielkopolski, lecz któż to wie, w któréj i kiedy? dosyć, że w jednéj z tych wiosek, żył sobie chłopek pracowity i rzędny. Owoż też w jego zagrodzie nie zbywało na niczém: w stodółce był zboża zapas, w oborze bydełko jak ulane, w domu chleba i miodu sporo, w sakiewce grosz na zawołanie. Ale **Tomek** (takie jego imię) nie miał przyjaciół, i nawet mało dbał o nich. Lecz co najdziwniejsza, że, choć nikomu w życiu najmniej-

(*) Przed niejakim czasem umieszczono w Przyjacielu ludu interessowną dwóch tych panów rozmowę o gadkach gminnych. Odznacza się ona szczególniéj nadzwyczajną umysłu bystrością i oryginalném postrzeżeniem, że owe powiastki, te proste utwory dziecinnéj ludu wyobraźni, są allegoryami!!... Szkoda, że szanowni badacze może za daleko posunęli ostrość swéj krytyki, dając dość jasno do zrozumienia, iż owe drogie pamiątki patryarchalnéj naszego ludu przeszłości, częstokroć téż tylko nazwę takowych nosząc, niczém więcéj nie są, jak wymysłami ich mniemanych zbieraczy. Byłaby to lekkomyślność, lekceważenie narodowych świętości, którego nikt mniéj się nie dopuści, jak piszący dla ludu.

swéj nie wyrządził krzywdy, z nikim się nigdy nie zwaśnił, każdy od niego stronił, jakby od złego ducha. Sąsiedzi dziwne o Tomku powiadają rzeczy: że na msze, do spowiedzi nie chodzi, że musi z Złym trzymać, boć od Boga nie pochodzi ta jego pomyślność. Wszakżeż i na Tomka przyszedł skweres nie mały. Piorun chatę mu spalił; ledwo wzniósł drugą, gdy nowy kłopot: inwentarz mu wypadł, w polu wszystek plon pognił. Aż tylu nieszczęściami pognębionego, jakby na domiar wszystkich, ciężka niemoc powaliła o łoże.

Stan kmiotka był opłakany. Uzbierany przez lata pomyślności pieniądz, wyszedł na budowlę, na nowy inwentarz, zakup żywności, nawet i długu nieco zaciągnąć musiał. Lecz wszystko to bez użytku, gdy ręka gospodarza bezwładną. On na twardém z desek, troszka słomy posłaniu, coraz to gorzéj się miał. Choroba wymagała pielęgnowania; nikt mu go nie niósł, bo każdy nawet próg chaty przestąpić się lękał. Zrazu biedny, jak mógł mocował się z niemocą; lecz wkrótce sił brakło, leżał więc nieporuszony, a śmierć coraz srożéj w oczy zaglądać poczęła.

Sąsiedzi nazajutrz z pierwszym zaraz świtem wyszli na robotę. Ale jakież było ich podziwienie, gdy ujrzeli Tomka około chałupy znów zdrowo i żwawo się krzątającego. Dziwnie potrzęśli głową i szybko odeszli w milczeniu. Za powrotem do domu powiadają im żony, że dziś w północy strasznie świstało i chychotało się w około Tomka chałupy, aż włosy na głowie stawały; pewno bies przyszedł po jego duszę, bo pono wczoraj bardzo już źle z nim było. Zwyczajnie, jak proste kobiety.

Nadszedł tymczasem wieczór. Tomek siedział zadumany przed chałupą, kiedy coś strasznie zaszumiało i zahuczało w powietrzu, i ukazał się przed nim djabeł: z końskiém kopytem u jednéj, kurzą stopą u drugiéj nogi, z długim ogonem, rogami na łbie osmolonym i z sążnistym nosem na potwórném obliczu (*). Chłop się wzdrygnął mimowolnie, lecz djabeł rzekł:

„No, kmoterku? cóżeś się tak zadumał? czyć jeszcze czego potrzeba?“

O i bardzo, bardzo jeszcze wiele.

„Czegoż więc? gadaj!“

Hanu — pieniędzy; boć oto bieda wszystkiemi dziury zagląda, a nie ma jéj czém odegnać. — (Odpowiedział Tomek, drapiąc się w głowę.)

„To fraszka“, odparł djabeł; „tych ci pożyczę; mów tylko, ile?“

Przynajmniéj, przynajmniéj, kumie — (zwolna chłop na to, roskładając rękoma i poglądając w ziemię); ile owo w tę piazdę od koła się zmieści.

(*) Takiego djabła widują jeszcze dotąd pod Goruszkami, za zniesionym klasztorem OO. Reformatów, w powiecie krobskim.

„Dobrze; poczekaj chwilkę, zaraz wszystko mieć będziesz kmoterku!“ rzekł usłużny djabeł i jak piorun sunął w powietrze, z takim trzaskiem i szumem, że cała wieś zadrzała, a wszystkie grusze w polach i sadach do ziemi się przygięły.

Ledwo chłop koło ustawił, już był z powrotem, z ogromnym na barkach miechem pieniędzy.

„Gdzież miara kmoterku? bo jestem.“

Dyć oto, oto, mój kumie, (odpowiedział Tomek.)

„Ale tu tak ciemno, kmoterku; ja nic nie widzę.“

Anu, mój kumie, (rzekł znowu chłopek przebiegły); u światła mogliby nas ludzie zdybać. Trzeba nam już tu pozostać.

„Więc poczekaj!“ I rozerwawszy miech, począł sypać w koło. O jakżeż rozradowało się serce Tomka, gdy posłyszał brzęk złota! Teraz, teraz, to ja dopiero zadrwię sobie z świata, pomyślał w duszy. Ale wtém coś pociemniało mu w jego myśli, bo się zadumał; lecz spojrzał na błyszczący kruszec, i smutek zniknął. Djabeł tymczasem jak sypie, tak sypie, a piazdy napełnić nie może. Aż zniecierpliwiony, krzyknął:

„Pioruńskie, kmoterku, masz koło! Jużem co nie pół miecha wytrząsnął, a jeszcze ni znaku.“

Anu kumie, zważcie téż jeno, że złoto ciężkie i że się usadza.

„Masz racyą, kmoterku.“ Już się téż i druga wypróżniała miecha połowa, gdy djabeł raz jeszcze trząsnął, i poskoczywszy z radością zawołał:

„Przecież zatkałem. Lecz patrz kmoterku, jakem odmierzył: żeby téż jeden nie został dla mnie!... Ale teraz bracie, kiedyż dług zwrócisz?“

Co do tego, mój kumie, toć już nie prędzéj, aż liście z drzewa opadnie.

„Dobrze,“ rzekł djabeł; „ale pamiętaj téż i o drugiéj ugodzie, którąśmy dzisiejszéj nocy zawarli; pamiętaj, że po latach siedmiu i o duszę się będziemy rachować! Bądź zdrów tymczasem.“

Tomek zadrzał na to wspomnienie, począł szczerze żałować za czyn, co popełnił, kiedy doń złoto tak rażącym i tak miłym zaśmiało się blaskiem, że znów o wszystkiém zapomniał. Uniósł z zapałem koło, i tu dopiero nieokreślona roskosz owładnęła mu zmysły, gdy dół, nad którym je mimo wiedzy djabła był położył, cały czerwonemi złotemi zapełniony ujrzał. „Ha kumie!“ wykrzyknął z radości; „jam widzę jednak od ciebie mędrszy, choćeś ty djabeł, a ja chłop. Kto wie, może się wreszcie i pokwitujem tak gładko? . . .“

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Rozmaitości.

Las podziemny.

W okolicy South-Stockton odkryto niedawno wielki podziemny las, składający się z samych kłód olbrzymiéj wielkości. Wiatr i woda zmiatają niekiedy z nich piasek i odkrywają te niezmierne kłody, leżące w jednostajnym porządku, które wtenczas okoliczni mieszkańcy wykopują i stolarzom przedają. Wydobyte świeżo takie drzewo, zdaje się być zupełnie przegniłe; na wolném powietrzu twardnieje tak dalece, że zwyczajnemi narzędziami obrobić się nie da; przeciwnie zaś łupie się bardzo łatwo, i tak prosto, jak gdyby było piłą przerznięte.

Nowa ballista, czyli machina do rzucania pocisków.

14go Czerwca r. z. robiono w Kingston, w Anglii, próbę z nową straszliwą machiną, mogącą zastąpić nietylko armatę, ale i moździerz. Cały apparat ma ważyć tylko 12—15 funtów (?). Zręczną ręką rzucony pocisk na łodź, w pewnéj odległości stojącą, z tak gwałtowną explozyą łodź strzaskał w kawałki, że drzazgi na kilkadziesiąt stóp rozprysły się, a w odległych nawet domach dało się uczuć wstrząśnienie, jak gdyby prochownia w powietrze wysadzoną była.

O francuzkich podróżnikach.

Panu Fresnelowi, mianowanemu konsularnym agentem w Mekce, podaje się najlepsza sposobność do ukończenia himjarytyckich badań i napisania grammatyki tego najstarożytniejszego z arabskich dyalektów. W ogólności obecnie wiele uczonych francuzkich zwiedza wschód w różnych kierunkach. Nie są to owe belletrystyczne geniusze, co się przejeżdżają do Konstantynopola, lub Palestyny, aby kilka artykułów do Journal des Debats napisać; lecz prawdziwi uczeni, którzy nie robią wprawdzie tyle hałasu, ale gruntowną znajomością rzeczy i języków opatrzeni, więcéj się naukom przysłużyć mogą.

Theroulde, uczeń Bernoufa, jest w Indyach. Zabawiwszy dwa lata w Kalkucie, udał się wzdłuż Gangesu. Ostatnie jego doniesienia są z Allahabad; ztąd ma zamiar puścić się do Lahoru i Kaszmiru. Po nim pewniejszych niechybnie spodziewać się można rezultatów, niż po wielomownym Jacquemont. — Boré, uczeń Sylwestra Sacy, jest w Etschmiazin, i ztamtąd zwiedzi Mezopotamią i Persyą. — Botta, syn historyka włoskiego, powrócił niedawno z Arabii i Nubii, gdzie znaczne zgromadził zbiory do historyi naturalnéj. Skoro te nadejdą, ma zamiar powtórnie udać się na zwiedzenie wschodu. — D'Abbadie powrócił także przed kilku miesiącami z Abissynii, gdzie zostawił swego brata w kraju Galla. On sam powróci niebawem do Gondar. — Podróż panów Combes i Tamisier do Abissynii, w 4ch tomach, zawiera nie jeden ważny szczegół, chociaż autorom schodziło i na poprzedniczém usposobieniu i na bystrości do czynienia spostrzeżeń. Zbyt krótko także bawili się na każdém miejscu, aby mogli gruntownie poznać lud i okolice, które tylko w przelocie zwiedzili. Jestto powszechną wadą prawie wszystkich podróżnych, którym więcéj idzie o ilość mil przebieżonych, niż o gruntowność; dla tego rządy, wysełające podróżnych do obcych krajów, powinnyby im zalecić, aby w miejscach ważnych po kilka lat bawili. — Russel w swym opisie Aleppu i Lane w swém dziele o Kairze, więcéj rzucili światła na wyjaśnienie wschodu, niż tuziny podróżnych, przelatujących w zdłuż i w szerz wschodnie kraje.

Nowiny literackie.
(Dokończenie.)

Doniesienie literackie. W Krakowie wyjdzie w krótce drugie wydanie książki Michała Wiszniewskiego: Bakona metoda tłumaczenia natury i charaktery rozumów ludzkich, wydanie przejrzane, znacznie odmienione i powiększone. Musimy tu jeszcze dodać: iż dzieło pierwsze nie jest tłumaczeniem pism Bakona, jak mylnie pewien autor twierdzi, ale wykładem jego metody. PP. Malinowski i Glücksberg (nie księgarz wileński, ale jego krewny) zebrawszy wiele rękopismów do historyi polskiéj należących, zamyślają rozpocząć ich drukowanie w porządnéj własnéj drukarni na wsi założyć się mającéj. Obadwa miłośnicy i znawcy historyi, uzbrojeni potrzebną do tego wytrwałością, sporządzą: *Corpus rerum polonicarum*, którego nasza literatura potrzebuje, bo na błahych wyjątkach Skarbca, historyi budować nie można, a wydanie nowe Pamiętników Niemcewicza przez Bobrowicza, pomnożyło tylko liczbę pomyłek, na których i pierwszemu wcale niezbywało. Jeden z biegłych, w genealogii polskiéj literatów, wkrótce wyda na widok dziełko, które zajmującém będzie, z napisem: Mimowolne i umyślne błędy i fałsze, których niejaki P. Bobrowicz w wydaniu lipskiém Niesieckiego dopuścił się; drugi zaś literat, znany już z dowcipnych powieści, ten sam co napisał: Przygody u zielonego mostu, zacznie w krótce drukować piękną nader i zajmującą powieść historyczną, pod tytułem: Głośny w literaturze bombardier.

Donoszą nam o śmierci X. Alojzego Osińskiego, który niedawno był został biskupem *in partibus*. Był to brat Osińskiego, tłumacza Cyda i dyrektora teatru warszawskiego. Wychowany u Pijarów, był w domu obywatelskim na Wołyniu nauczycielem, kiedy go Czacki, szu-

kający wówczas wszędzie ludzi uczonych, do Krzemieńca na professora literatury polskiéj i łacińskiéj powołał. Do wykształcenia atoli znakomitéj młodzieży, która w téj szkole kształciła się (między innymi Malczewski i Zaborowski, poeci) nie wiele X. Prałat się przyczynił. Odwiedzających, nie literaturą, ale sobą najwięcéj zajmował. Nieprzebierał w pochwałach; lubił najwięcéj, gdy mu przynoszono nowiny o jego nominacyi na biskupa, czego się przez dwadzieścia kilka lat do woli nasłuchał, aż nakoniec doczekał się i tego. Pisma jego, które wyszły z druku: słownik mitologiczny, pochwała Kopczyńskiego, żywoty Czackiego i Skargi, kazania z ucinkowych złożone okresów i mowy akademickie, nieprzeszły granicy, w których mierność kołować zwykła; ale przygotowany słownik polski, który on skarbcem języka polskiego nazywał, i wiadomości o literaturze polskiéj w rękopismie pozostałe, mają być ważniejsze. X. Osiński cały swój niemały majątek (który długą oszczędnością zebrał), miał obrócić na założenie własnéj drukarni, w któréj ten słownik miał się drukować. Już wszystkie do tego przygotowania były poczynione, gdy go śmierć zabrała. Co się stało z rękopismami? *Utinam sim falsus vates!* pieniądze, skrzętnie przez nieboszczyka zbierane, zabiorą sukcessorowie, a rękopisma długo okazywane, przenoszone, na przedaż wystawione, oceniane, pójdą nakoniec na pastwę molów i myszy. Nie jeden o nich przy fajce pogada, nie jeden powie: żeby je koniecznie wydać należało; P. Poniatowski, który własnym kosztem słownik polski X. Osińskiego wydać przyrzekał, podrapie się w głowę, niezaprze się swojéj obietnicy, ale.... to wszystko rozpłynie się w powietrzu, jak kłęby dymu; jeszcze potém z pare razy ktoś o tém wspomni, a potém głuche i wiekuiste nastąpi milczenie.

Bard finlandzki.

Estowie tak mało się obyczajami i religią od innych tego szczepu różnią narodów, że odcieniowanie ostatnich podług rysów głównych, jest także odmalowaniem pierwszych. Nie będzie przeto od rzeczy o Fińczykach cokolwiek w ogólności powiedzieć.

Fińczykowie nigdy zdobywczym nie byli narodem; wszędzie ich ujarzmiano; lecz mylnebyś miał zdanie, gdybyś ztąd o miękkości i braku męstwa chciał wnosić. Wszyscy dawniejsi północni historycy opisując ich, wystawują ich jako nader bitny naród, którego moc ciała ostrości klimatu zupełnie odpowiadała; męstwo ich, tak jak skały, wśród których mieszkają, nieugiętém było. Z mocą wiatru, mówi jeden pisarz, pędzą Fińczykowie, chcąc napaść na nieprzyjaciela, sypią obłoki długich pocisków na niego, i unikają z równą szybkością jego razów, aby w kilku chwilach zebráni, w niewstrzymanym pędzie powtórnie na niego uderzyć.

Jedynymi byli oni na morzu Normanów przeciwnikami: albowiem na licznych swych jeziorach i rzekach, wydoskonalili się na biegłych majtków; do jakiegokolwiek więc bądź zbliżyli się brzegu, bardzo rzadko oprzeć im się zdołano. Kiedy te straszliwe narody, morza północnego, atlantyckiego i środziemnego wyłącznie były panami, a Anglia, Francya, Hiszpania i Włochy pieniędzmi tylko lub ustąpieniem prowincyj, pokój drogo okupować były zmuszone, wtedy na własném morzu upokorzali ich na małych swych statkach Estowie połączeni z Finnami.

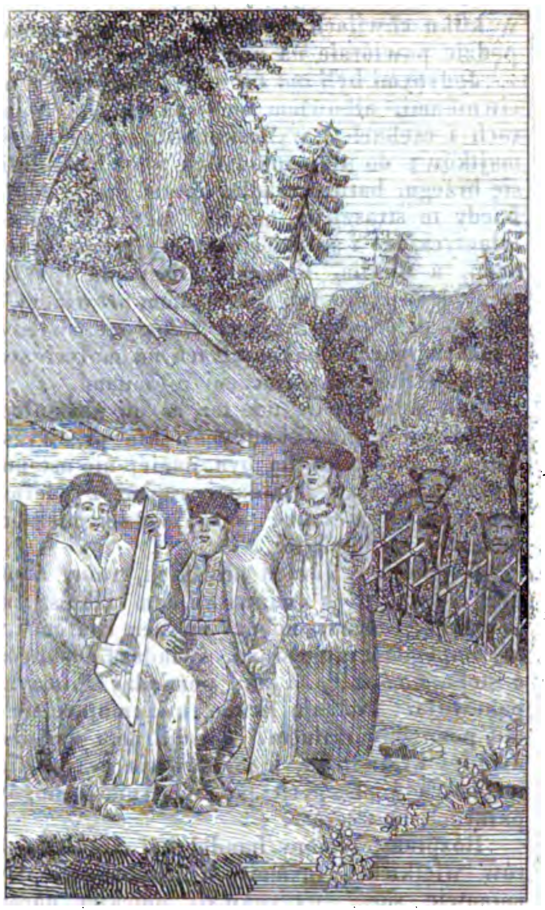
Jak w męstwie, tak téż co do ukształcenia, Finczykowie inne skandynawskie przewyższali narody, w niczém im bynajmniéj nie ustępując. Znani pomiędzy sąsiadami swymi z wierności, przywodzili im także w znajomości niektórych kunsztów i rękodzieł.

Kopalnie w górach uralskich, ruiny zburzonych miast, które z nazwiska nam tylko są znane w dawnéj Biarmii, między morzem Białém i wyżéj wspomnionemi górami, świadczą dostatecznie o stopniu oświaty, jaka pomiędzy Fińczykami panowała. Podania liczne, utrzymujące się dotąd pomiędzy gminem, opisują nam zamożność niegdyś kraju tego, a mianowicie przypominają bogactwa i przepych po świątyniach bogów i pałacach bohatérów.

Rozprzestrzeniony handel był źródłem zbiorów wielkich i rozmaitych wiadomości. Normanowie sami przyznawali finickim narodom ukształcenie i za czarnoksiężników ich poczytywali.

Gdy Froto, mówi wieść, z nimi walczył i do ucieczki na polu bitwy zmusił, rzucali uciekający ziarnka piasku za sobą, które się ścigającym walącemi się na nich górami zdawały, i postęp ich wstrzymały. Nazajutrz stali na miejscu boju Fińczykowie; walka się wszczęła na nowo, tym sposobem, jak dnia poprzedzającego, rozstrzygnięta. Dopiero, gdy dnia trzeciego zwyciężeni byli, poddali się zupełnie, obowiązawszy się corok składać haracz umówiony, widząc w przegranéj po raz trzeci wyraźną bogów wolę.

Szczególniéj kochali się Fińczykowie w muzyce i poezyi. Gdy Estowie, (mówią dzieje Finnów,) razu jednego zamek obronny zdobywali Lettów, usiadł chrześciański kapłan na murze, grając na instrumencie przy śpiewie swoim. Odstąpili Estowie natychmiast od zdobywania i cofnęli się niebawnie. Sami mieli cytary i kobzy, towarzysząc na nich pieniom swoim. Jak u innych narodów Skandynawii, tak byli także i u nich bohatérowie ich bardami, zachęcającymi do boju towarzyszów swoich, przypominając im czyny przodków. Pieśni gminne Finnów mówią o Herkulesie skandynawskim, który cały świat zwiedził, tyranów walczył, uciemiężonym



Wajnemöna, bard finlandzki.

pomoc niósł i pomiędzy ludami złotą wolność głosił. Potrzebujący ratunku, nieszczęśliwi, wzywali go w najodleglejsze krainy; a on z największą radością spieszył na ich wołanie.

Pieśni ludu wspominają imię finnickiego Orfeusza Wajnemöny, na którego głos nietylko się ludzie, ale nawet dzikie zwierzęta zbiegały, i za nim, gdy ze stron liry swéj czarodziejskie wywodził tony, po całym kraju chodziły.

Niewiasty, duchem także wieszczym natchnione, zachęcały do bohatérskich czynów mężów i synów swoich, z którymi w boju wszystkie trudy i niebezpieczeństwa dzieliły. — Młodzieniec upatrzywszy sobie u sąsiada swego dziewicę na żonę, wkradał się potajemnie do jéj mieszkania i zawieszał nad łożem jéj pas swój, przy którym miecz zawieszał. Jeśli oblubienica pas ten wyrzuciła z komnaty na dwór, wzgardzony młodzieniec nie śmiał już po drugi raz o rękę jéj się starać. Jeśli zaś pas nad łożem dziewicy przez dni kilka zostawał zawieszony; śpieszył wtedy młodzieniec do domu jéj ojca i układał się o kwotę pieniędzy, jaką złożyć musiał rodzicom dziewicy, aby żonę dla siebie z ich domu mógł uzyskać. Wykradał ją potém z domu rodziców i prowadził przed ołtarz bogów, aby kapłan związek ten błogosławił. Odtąd była żona nieodstępną jego towarzyszką; chodziła z nim na polowanie, z naciągniętym łukiem tropiła po kniejach dzikiego zwierza, do boju niekiedy nawet z mężem występowała. To zapewne dało powód do podania o Amazonkach północy.

Rząd finnickich narodów był rozmaity. Biarmowie mieli rząd monarchiczno - dziedziczny; Finnowie i Liwowie wybierali sobie sami rządców; Estowie tworzyli Rzeczpospolitą. Jakkolwiek rząd pomiędzy tymi narodami był różny, tak zadziwia pomiędzy nimi panująca zawsze jedność i zgoda. Nigdy pomiędzy sobą niewidziano ich walczących; gdy zaś nieprzyjaciel groził ich granicom, wszyscy jakoby jeden mąż, do boju, w obronie wolności i swobód, równie na lądzie, jak na morzu występowali.

Śpiew matki.

(*Nadesłany przez pewną Podlasiankę.*)

Płakało dziecię długo, płakało rzewliwie,
Aż matka je niewinną tuląca pieszczotą,
Schylona nad kolebką, zanuciła tkliwie:
Śpij moje złoto!..

Dźwięcznego głosu matki harmonijne brzmienie,
Zwolna małego syna uciszało żale;
Boskim nektarem drobne słodziło cierpienie.
Żywość oczek spoczynku otaczało cieniem,
I wreszcie słodkiém dziecię ujęło uśpieniem.
A matka tryumfując, powoli, wspaniale,
Rozsuwała nad główką cieniutkie okrycie,
I choć ciszéj, choć wolniéj, jeszcze mu śpiewała:
Śpij moja nadziejo cała,
Moje ty życie!

Ach! te najpierwsze piosnki, wydane z ust matki,
Których zaledwie całość ucho pojąć umie,
Już wdzięczne serce dziecka, pojmuje, rozumie,
I chowa jak miłości najczulszéj zadatki.
A jeśli późniéj samo śpiewać się ośmieli.
Choć zupełnie odmiennym otoczone światem,
Choć inaczéj mu nóci grono przyjacieli,
Odepchnie ich, pogardzi czczego wdzięku kwiatem.
Zcicha zabrzmi mu w uszach odgłos ulubiony,
Przyjdzie na myśl wiek złoty, roskosz młodociana,
I w piosnce, którą usta zanócą młodziana,
Pierwszych piosenek matki odezwą się tony.

O jak szczęśliwe to dziecię,
Któremu własna matka nad kolebką nóci!
Dla którego zabawy, uciechy porzuci,
Szczęście swoje rodzinną ograniczy chatką,
O całym zapomni świecie,
Wie tylko, że jest matką!...

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (*Red. J. Łukaszewicz.*)

Przyjaciel Ludu.

Rok szósty. **No. 34.** **Leszno,** *dnia* 22. *Lutego* 1840.



Szkoła wiejska.

O szkołach w dawnéj Polsce.

(Wyjątek z rękopismu drukiem dotąd nieogłoszonego.)

Szkoły parafialne dla pospólstwa.

Kiedy wielorakie zakonne zgromadzenia zatrudniały się wychowaniem pańskiém i wyższemi po szkołach pospolitych naukami; duchowieństwo świeckie pracowało w cichości około oświecenia pospólstwa po parafiach, przez ustanowienie szkółek do czytania i pisania.

Ustanowienie to, bardzo dawny ma w kraju

naszym początek; synody prowincyonalne kilkakrotnie zachęcają biskupów, aby na takowe szkółki jak najpilniejszą dawali baczność; w wielu miejscach były one opatrzone funduszem, utrzymywano w nich bakałarza z akademii krakowskiéj, albo kleryka z jakiego seminaryum. Gdzie zaś funduszu nie było, tam plebani zobowięzywali organistę do tak świętéj powinności, naznaczając mu mierną jaką za pracę nagrodę.

Nie równy stan dochodów plebańskich, nie jednakowa zwierzchności dyecezyalnych pilność, robiły wielki zawód tak pożytecznemu ustanowieniu; największym atoli wstrętem do utrzymywania szkółek farnych, było uprzedzenie szlachty.

Właściciele dóbr nie chcieli, aby ich poddani, jak zwykle mówiono, bałamucili się naukami; dla czego szkółki takowe były po większéj części próżném ułudzeniem zwierzchności dyecezyalnéj, w wielu miejscach wcale je zarzucono dla niedbalstwa plebanów, lub pobłażania w tak szkodliwém przeciw ludowi uprzedzeniu szlachty.

Przywiedzione przyczyny, można mieć za ważne w téj mierze, lecz nie za jedyne; kto zna rozległość Polski, wieloraką różność mowy i obrządku w tylu prowincyach; nie będzie się dziwił, że przez samo staranie duchowieństwa świeckiego, łacińskiego obrządku, nie mogły być powszechnie przyjętemi.

Ustawy prowincyonalnych synodów, obowięzywały tylko księży łacińskich, biorąc zaś województwo ruskie, bełskie, wołyńskie, podolskie, bracławskie i kijowskie, mścisławskie i połockie w Litwie; możemy wyobrażić sobie, iż prawie połowa ludu naszego nie należała do zwierzchności biskupów łacińskich.

Dodajmy do tego resztę województw litewskich, gdzie ani po rusku, ani po polsku pospólstwo nie mówi; dodajmy księstwo żmudzkie, gdzie się znajduje mowa wcale od naszéj różna, która dała innym na północy początek; ujrzymy, że tam wcale nie myślano o szkołach dla ludu, ale owszem starano się o to, żeby księża przynajmniéj mogli się nauczyć języka żmudzkiego i litewskiego.

To więc ustanowienie, rozumieć się tylko może o dyecezyach krakowskiéj, gnieźnieńskiéj, kujawskiéj, poznańskiéj i płockiéj, gdzie obrządek łaciński niemiał od innego żadnéj przeszkody i gdzie cały lud polskim mówił dyalektem. W tychto dyecezyach zaprowadzenie szkółek farnych byłoby podobne, gdyby życzeniu dyecezyalnych zwierzchności sprzyjali byli dziedzice dóbr. Bez nich ustanowienie tak chwalebne skutku wziąść nie mogło, przez wzgląd na bardzo nędzny stan plebanów po wielu miejscach i na potrzebę zachęcenia przygnębionego ludu, do oddawania swych dzieci na naukę czytania i pisania.

Dlaczego po miasteczkach i po wielu królewszczyznach, więcéj z tego lud pospolity korzystał, jak po dobrach szlacheckich. We wszystkich prawie dyecezyach łacińskich, nie było żadnéj proporcyi między parafiami: jedna składała się z jednéj lub dwóch wsi, druga miała ich 10 lub 12, lub więcéj; w parafiach nieludnych, najczęściéj pleban był ubogi, w parafiach ludnych i obszernych, szkółka farna, przy kościele będąca, mało była użyteczna, dla odległych od kościoła włości; bo te nie mogły tam posełać swych dzieci; zgoła takowe ustanowienie nie mogło być powszechnie pożyteczne, przez samo staranie dyecezyalnych zwierzchności, które mogły dać przykład, mogły zachęcić, lecz nie mogły się rządzić w żadnych dobrach, co do tego ustanowienia, czyli dobra rzeczone były szlacheckie, czy królewskie.

Dyecezye pruskie, jako to: warmińska, chełmińska i część kujawskiéj, jako i poznańskiéj, mając do czynienia z ludem wolniejszym, daleko obszerniéj zaprowadziły szkółki farne, które gdziekolwiek się utrzymały i rozszerzyły, sprawiły bardzo wiele pożytku i można je było uznać za najlepsze, tak co do celu, jako i skutku; co do celu: bo pracowały około oświecenia pospólstwa, części ludu najliczniejszéj; co do skutku: bo ktokolwiek chciał, mógł się tam nauczyć czytać i pisać. Nadto, były one pod jakimkolwiek dozorem zwierzchności krajowéj, gdy podlegały przynajmniéj władzy dyecezyalnéj. Zważając, iż duchowieństwo świeckie, a jeszcze bardziéj zakonne, najwięcéj z pospolitego składalo się ludu; niemożna dosyć się wydziwić téj obojętności względem oświecenia pospólstwa, która we wszystkich panowała zakonach.

Żaden klasztór nie podjął się u nas szkółek małych, takich naprzykład, jakie były przy farach; nikt nie pracował, aby w spowiedziach i kazaniach zreflektować szlachtę, iż nietylko chrześciańską jest powinnością, starać się o oświecenie tych wspólnych po Chrystusie braci, ale nadto prawdziwym interesem kraju i dobrego gospodarstwa. Nie można wprawdzie mówić, aby lud pospolity nie miał żadnego oświecenia stopnia. Okaże się to indziéj, iż nad nasze mniemanie miał go może więcéj od innych klas obywatelskich; wszelako niewola wprawiła go w bardzo wiele szkodliwych nałogów, w niedbałość o ochędóstwo i ochoczą pracowitość, czego skutecznie wykorzenić nie można, tylko przez naukę czytania, pisania i rachowania. Bez téj trudno im podać w ręce rady pożyteczne, któreby czytać i rozważać mogli.

Oddani na dyskrecyą podstarościch, wystawieni na oszukaństwo Żydów, nie mieli żadnego środka, zapobieżenia największemu swemu uciskowi. Jeżeli jaki gorliwy pleban upominał ich o złe nałogi, przestroga przemijała ze słowy. W potocznych gospodarstwach, potrzebach i zabawach karczemnych, spuszczać się oni musieli na pamięć często zawodną, a najbardziéj przy pijaństwie. W umowach z swymi dziedzicami

nic dla nich nie było trwałego, inwentarze dworu należało uważać jak rękojmią ich powinności; lecz oni tych umów przeczytać nie umieli, zaczém znaleźli się i tacy, co ich przyczynili. Zgoła cała nędza tego ludu najbardziéj ztąd pochodziła, że go nie uczono czytać i pisać. — W czasie, którego dzieje opisujemy, (r. 1750), nic się wcale nie poprawiło względęm szkółek farnych, a nierząd, który opanował całą rzeczpospolitą, bardzo wiele przyczynił się do biedy pospólstwa.

O artyleryi polskiéj.

Artykuł gruntownie o artyleryi austryackiéj napisany, a w poprzedzających numerach P. L. umieszczony, nastręcza nam sposobność powiedzenia słów kilka o artyleryi polskiéj.

Zaprzeczać nie można, że główną siłą wojska polskiego była w każdéj epoce jazda. Wynikało to z saméj natury rzeczy. Nieprzejrzane okiem równiny Polski, dogodne temu rodzajowi oręża, liczne stada wybornych koni, napaści ustawiczne hord, którym się piechotą oganiać nie było można, nareszcie wrodzone Polakowi upodobanie w szlachetnym zwierzu, rozwinęły i wydoskonaliły jazdę polską tak dalece, że w 16m i 17m wieku nie miała sobie równéj w całéj Europie. Nie na saméj przecież jeździe zasadzały się siły wojenne Polski. Już Bolesław Chrobry przekonany, że licznych zaborów utrzymać, a najezdników od granic państwa za pomocą saméj jazdy odpierać nie można, uciekł się do piechoty, a mianowicie do sztuki fortyfikacyjnéj, zakładając na pograniczu i wewnątrz kraju warowne zamki, które według prawideł ówczesnéj sztuki wojennéj, kuszami, procami, taranami i t. p. narzędziami opatrzył. Zamki te Bolesława Chrobrego były bardzo mocne, a kusznicy i strzelba ich dały się w znaki Henrykowi IV. pod Głogową (r. 1109.), Janowi, królowi czeskiemu, pod Poznaniem, (r. 1331.) i t. d.

Gdy wynalazek prochu do sztuki wojennéj zastósowanym został, Polacy przyswoili go sobie natychmiast, a bitwę pod Grunwaldem i Tannenbergiem (r. 1410.) rozstrzygnęły na korzyść Władysława Jagiełły trzy działa polowe, w niéj użyte. Od tego czasu działa w wojsku polskiém stawały się coraz powszechniejsze. Miał je w wojnie pruskiéj Kazimierz Jagielończyk, powiększywszy ich liczbę zabranemi Krzyżakom w różnych bitwach, np. pod Puckiem r. 1462., gdzie mu 15 spiżowych dział po zniesieniu nieprzyjaciół w ręce wpadło. Jan Albert na wyprawę wołoską wziął z sobą znaczną liczbę armat. Zygmunt stary i Zygmunt August zaopatrywali zamki i wojsko w działa spiżowe i żelazne, zakładali zbrojownie i młyny prochowe. Przykład wielkich tych monarchów naśladowały po swoich zamkach i hufcach możne domy, jako to: Mieleccy, Tenczyńscy, Ostrogscy, Radziwiłłowie i inni, a Wielki Jan Tarnowski bitwę pod Obertynem (1532 r.) wygrał głównie za pomocą artyleryi swojéj, którą Staszkowski dowodził.

Przecież artylerya polska udoskonaliła się szczególniéj dopiero za Stefana Batorego. Wielki ten monarcha wynalazł sam kule ogniste, których na wojnie moskiewskiéj w oblężeniu Połocka szczęśliwie używał; wyprowadził znaczny park artyleryi przeciw Gdańszczanom i Moskwie, który zebranemi w roku 1578 pod Kiesią 30stu działami polowemi pomnożył. Ten sam Monarcha na sejmie 1576. przyjął na siebie dobrowolnie obowiązek opatrywania wojska i zamków podczas wojny w działa, amunicyą i puszkarzy; i obowiązku tego sumiennie dopełnił. Następca bowiem jego, Zygmunt III., zastał po swoim poprzedniku wielką liczbę dział, niezmierne zapasy ammunicyi i biegłych puszkarzy. Z możnych pod wielkim tym monarchą położyli znamienite zasługi około artyleryi: Wielki Jan Zamojski i Mikołaj Radziwiłł, hetman litewski. Zygmunta III. nie zajmowała wprawdzie sztuka wojenna, przecież same wojny, bez wytchnienia prowadzone, udoskonalały artyleryą polską, która się w tym czasie niezmiernie pomnożyła i zagranicznym zrównała, dokazując cudów w bitwach pod Kircholmem, Kluzynem, Smoleńskiem, Chocimem. W tym czasie wsławili się jako biegli inżynierowie i artylerzyści: Nowodworski, kawaler maltański; Jan Szorc, starosta klissowski; Paweł Piaskowski i Teofil Szemberg.

Wszakże aż do czasów Władysława IV. nie było w Polsce osobnego korpusu artyleryi: puszkarze wieszali się z swojemi działami przy pułkach kwarcianych. Władysław IV. przypatrzywszy się za młodu na wojnach w Niderlandach, na wyprawach moskiewskiéj i chocimskiéj, jak przeważne usługi rodzaj ten broni wyświadcza, starał się usilnie o zaprowadzenie lepszego w artyleryi polskiéj porządku. Wyjednał naprzód na sejmie w r. 1638. ustanowienie pierwszego generała artyleryi (magister artyleryi, starszy nad armatą) w osobie Pawła Grodzickiego, szlachcica z ziemi łukowskiéj, osiwiałego przy artyleryi na wojnach szwedzkich i moskiewskich, któremu stany zaleciły na polepszenie artyleryi oddać duplę kwartę w Rawie: „któréj przez całe dwie lecie“ — są słowa konstytucyi — „na nic inszego obracać niepowinien, jedno na fundacyą ekonomii wojennéj, żeby ceukhauzy na miejscach sposobnych pobudowane, gdzie są stare poprawione, prochownie postawione i działa, które przelać trzeba, przelane i osadzone były; tudzież w saletrach, prochach, żelazach, kulach, knotach i w inszych do armaty potrzebach prowizya się potrzebna uczyniła.“ Założył ceukhauz w Krakowie i napełnił go działami i wszelką amunicyą, wyséłał młodzież do Holandyi, dla uczenia

34

Tytuł: Archelii Uffana, wyszłéj w Lesznie r. 1643.



ARCHELIA
To iest,
Nauka y Informatia
O STRZELBIE
y o Rzeczach do niey należących,
ięzykiem Polskim swiezo
opisana y wydrukowana.

W LESZNIE
u Daniela Vetterusa.
Roku Panskiego,
M DC XLIII.

SMOLENSK

się inżynieryi i puszkarstwa. Za tego też monarchy i za Jana Kaźimierza słynęli Polacy znajomością artyleryi i sztuki fortyfikacyjnéj w całym świecie. Kaźimierz Siemionowicz napisał w łacińskim języku dzieło o sztuce artyleryczném, które na wszystkie niemal języki przełożoném zostało. Dekan, nauczyciel przy gimnazyum w Lesznie, geometra i budowniczy tamże, przełał na język ojczysty ważne na ów wiek dzieło o artyleryi Uffana, pod tytułem: „Archelia.“ Eliasz Arciszewski biegłością w sztuce téj przewyższał inżynierów hollenderskich i w zdobywaniu zamków w Brazylii sobie wieczną sławę, Holendrom korzyści niemałe zjednał. Krysztof Arciszewski, brat poprzedzającego, w wyprawie przeciw Chmielnickiemu, biegłością swoją w artyleryczném sztuce nieraz zaściełał pola trupami nieprzyjaciół, obraniał miasta i zamki, zmniejszał klęski. Krysztof Grodzicki, generał artyleryi koronnéj, nauczony sztuki inżynierskiéj w Holandyi, umocnił warownię Kudak, wzniósł artyleryą koronną na wysoki stopień doskonałości, sprowadziwszy do niéj biegłych artylerzystów z Holandyi; wsławił swoje imię jako artylerzysta przy zdobywaniu Torunia, Hauptu i Poznania. Zygmunt Przyjemski, generał artyleryi, przyłożył się do zwycięztwa pod Beresteczkiem; nakoniec Fromhold Wolf, generał artyleryi, odznaczył się w obronie Krakowa przeciw Szwedom i w wygranéj bitwie pod Cudnowem.

Za Jana III, Marcin Kątski, generał artyleryi koronnéj, do sławy oręża polskiego pod Chocimem i Wiedniem nie mało się przyłożył. Pod Sasami artylerya polska upadła zupełnie; przyprowadził ją do lepszego stanu Alojzy Brühl, generał artyleryi, a do wydoskonalenia jéj przyczynił się znacznie, za panowania Stanisława Augusta, Jakóbowski, kapitan artyleryi, późniéj wizytator księży Missyonarzy, autor szacownego dzieła o tym przedmiocie. Za Stanisława Augusta, który ludwisarnią własnym kosztem założył, zbrojownia warszawska napełnioną została znaczną liczbą (150 sztuk) dział spiżowych, a artylerya polska w kampanii 1792 i 1794 okryła się pod Dubienką, Szczekocinami i Warszawą, nieśmiertelną sławą.

Główniejsze rządowe ceukhauzy były w 17m i 18m wieku w Krakowie, w Wilnie, Warszawie, Kamieńcu podolskim, w okopach Ś. Trójcy, Białéjcerkwi, w Korsuniu, Lwowie, Malborgu, Elblągu, Brześciu, Pucku. Prócz tego w każdém znaczniejszém mieście koronném i litewskiém, w każdéj warowni były ceukhauzy, jakoto np. w Lublinie, Poznaniu, Zamościu, Częstochowie, Gdańsku i t. p.

Działa polowe polskie bywały zwykle mniejszego kalibru, 3-, 4- i 6-funtowe, z spiżu lane, oznaczone herbami koronnemi (Konst. r. 1641.) Prócz korpusu artyleryi, każdy pułk wojska kwarcianego miał po kilka bateryi rozmaitego kalibru. Zdobyte przez kogokolwiek bądź na nieprzyjacielu działa, stawały się własnością Rzeczypospolitéj (Konst. z r. 1662); tak np. zdobyte pod Ochmatowem 21 dział wcielono do artyleryi narodowéj.

Artylerya zostawała pod bezpośredniemi rozkazami generałów artyleryi, których dwóch bywało, to jest jeden w Koronie, drugi w Litwie.

W roku 1786. korpus artyleryi koronnéj wynosił 404 osób; inżynierów było dwunastu; korpus ten stał częścią w Warszawie, częścią w Kamieńcu podolskim. Korpus artyleryi litewskiéj wynosił tylko 125 głów i stał w Wilnie. — Wszakże i niektóre pułki piesze uważane być mogły raczéj za artyleryą, niż infanteryą; tak np. pułk Potockich, złożony z 400 tylko głów, miał porządny park artyleryi, zawierający 20 dział spiżowych.

Chłop i djabeł.

(Ciąg dalszy.)

II.

O Tomku dziwnie lud we wśi plecie. Stare kumoszki widują go często: to w ognistym płomieniu, rozmawiającego na polu z okropnym djabłem; to jak z ogromnemi skrzydły leci po nad lasem; to znowu wysoko, wysoko gdzieś stojącego w obłokach z szatańskim uśmiechem na licu; gospodarze zaś znów w nocy słyszą, jak rachuje nieprzeliczone skarby i znów ukrywa w zakątach domu, czy w ziemi.

Tomek, chociaż dziś pan bogaty, nie zmienił dawnego obyczaju; jak był, tak jest sobie prostym i pracowitym chłopkiem. Tylko, że nie dba o Bogu; ksiądz z ambony rzuca nań klątwy, on ani zajrzy do Pańskiéj świątyni.

Już się ma dobrze pod Wrzesień; bliżéj uważający sąsiedzi powiadają, że Tomkowi coś strasznego roztacza duszę, bo bardzo zesmutniał; często nawet jak obłąkany chodzi po polach; nie raz go noc tam zaskoczy. Lecz któż odgadnie, co go tam dręczy? Tak mówią ludzie. Tymczasem na łanach coraz to widniéj: zboże po zbożu schodzi do stodół, blade tylko po sobie zostawiając ściernia. Z drzew także znika zieloność, liść po liściu żółknie i za każdym wiatru powiewem w coraz liczniejszych gromadach na ziemię się sypie; a psotny wiatrek, jakby go radowała ta igraszka, coraz to silniéj podmuchuje. Aż przybiegą mu w pomoc szrony i na drzewach już tylko gołe pozostały gałęzie.

Cudny był ranek. Słonko dopiero co wstało z różanego posłania, a już tak mile spogląda na osierociałą naturę! Wiatr od północy się zerwał i mroźno dąć począł, gdy zajrzał w czarujące jego liczko, i mimowolnie ogrzane mu opadły skrzydła, i tylko ciepławym chłodem muska rankiem oszronione trawki. Skowronek, smutnie przyczajony na niwie, chociaż się zda-

wna już wyprzysiągł śpiewu, teraz mimowolnie w niebo podleciał; dzwoni wesołą piosnkę swojéj królowéj. Jastrząbki go widzą ze szczytów olsz zeszkieleciałych, przecież nie gonią, bo patrząc na świetną dnia gwiazdę, zapomniały o żarłoczności. Wróble nawet, te prostaki bez głosu, roskosznie dziś skaczą po dachach i jak mogą wyświstują, a skurczona na wierzchołku gruszy wrona, chrypkim dopomaga im krakiem. Po nad niskiemi strzechy wioszczyny, w powietrzu dymy w niebieskawe układają się kolumny, jaskółki gromadami opędzają, a w dole, po zagrodach, dziewczęta wydajają krowy, uprzątają podwórka, i ponócając, raz po raz spojrzą, czy tam gdzie przez płot nie zagląda Janek lub Ignacy, a bliski kiermasz warczy im w sercach, jak głośne skrzypki Szymka przy tańcu. Czasem się koło nich przetoczy zamyślony gospodarz, czasem przebiegnie żywo jego krzepka żona i dziewkom krzątać się każe, nawet i dobrze ofuka, gdy bezczynne zoczy.

Z porannym brzaskiem już i Tomek, jak zwykle, w podwórzu. Spojrzał na słońce, i ciężko mu na sercu: ono tak czyste, w jego duszy tak ciemno! Posłyszał wesołe śpiewy sąsiadów, miłe rozmowy gospodarzy z gospodyniami, i łzy mu w oczach się kręcą. Zadumał się i pomyślał: jakżeż szczęśliwi, choć stokroć ubożsi odemnie; a ja?... I cóż mi przyniosło to złoto, co tam bez użytku leży?... W samotności płyną moje lata; — nie ma do kogo ust otworzyć; nie ma podpory w starości....

Ale wtém pociemniało dokoła; wicher strasznie zawył i groźnie potrząsł gałęziami, i djabeł stanął przed Tomkiem, taki sam, jak przed rokiem.

„No, kmoterku! liście z drzew opadło; przychodzę po dług mój.“

Chłop spojrzał na niego, i śmiejąc się, odpowiedział zimno: O kumku! nim z wszystkich drzew liście obleci, pierw nam obojgu dobrze posiwieć trzeba.

„Co?“ krzyknął przelękniony wierzyciel; „co ty gadasz? patrz, wskaż mi choć jeden na drzewie.“

Hoho, nie jeden! (śmiejąc się rzekł Tomek), ale i sto wam pokażę kumku. Chodźcie no tylko.

I wyszli żwawo z zagrody; przez pole, po nad łąkami, biegną oboje, aż stanęli w ogromnym lesie sosnowym. Tomek rzekł djabłu, wskazując na drzewa: A co kumku? czy widzicie, ile ich tu jeszcze?

„Ha!“ ryknął djabeł, „czemużem osieł prędzéj o tém nie wiedział. Ale poczekajno hamie! jeszcześ mi nie uszedł.“ I porwawszy się z wściekłością, wskoczył na sosnę i począł zrywać ostre iglice. Lecz jeszcze trzeciéj nie oberwał części, gdy cały krwią zbroczony, po nogach i łapach i łbie pokłuty, ryknął z rozpaczą: „Przeklęty chłopie! niech ciebie piorun zatrzaśnie! widzę, że jesteś mądrzejszy. Nie chcę ani pieniędzy, ani nawet twéj duszy, bobyś ty mi, hamie! stokroć wprzód moją z ciała wydarł.“ I nieobejrzawszy się więcéj, z grzmotem odleciał.

Tomek w zadumaniu powracał do domu. Wieczór nadchodzi; niebo się wyjaśniło: znowu tak piękne, jak nad rankiem. Tomkowi znów ciężko na sercu, te same troski, co wtenczas ściskają mu duszę. Spojrzał na wioskę, i mimowolnie jego oko spoczęło na krzyżu kościółka. Tomek go nieodwrócił, jak dawniéj, bo jakaś wyższa władza rozkruszyła zatwardziałe serce, i po tylu latach, w duszy grzesznika zajaśniała znów myśl o Bogu. Za nią stanęły: odszczepieństwo od wiary i Kościoła, starość, przyszłość okropna! Żal ścisnął serce chłopa, padł na kolana, złożył ręce, wzniósł oko do nieba i modli się gorąco o przebaczenie win.

O północy dopiero posłyszano w podwórku Tomka zgrzyt fórtki i wchodzącego do chaty gospodarza.

(Koniec nastąpi.)

Bławatek.

Do Podlasian.

(Nadesłany przez pewną Podlasiankę.)

Mocą przyjaźni uroku,
Nadaliście Podlasianie
Uśmiech twarzy, słodycz oku,
I sercu uczuć poznanie.
Nasz smutek czując tajemnie,
Pierwsi nieśliście pociechę;
Wy! radość dzieląc wzajemnie,
W raj niską zmienili strzechę.
Jakże nie było was za to
Przyjaźni darzyć zapłatą?
Przebyliśmy długie lata,
Równém uczuciem przejęci,
Pogardzając blaskiem świata,
Dla wspólnéj żyjąc pamięci.
Dzisiaj, kiedy los nas dzieli,
Chciałam jaki dar nieduży
Wynaleźć dla przyjacieli:
Chociaż jeden pączek róży,
Chociaż inny mniejszy kwiatek,
Jako wdzięczności zadatek.
I przebiegłam łan bogaty,
Obszerne przebiegłam błonie,
Nęciły piękne szkarłaty,
Świetne wdzięki, miłe wonie,
Wszędzie był kwiatów dostatek;
Ja nie rwałam, bo w ustroni,
Drobny zajaśniał bławatek,
Co się oczu świata chroni;
Co miły, skromny, trwożliwy,
Rodzinne tylko zna niwy!

Patrzcie, jakie drobne zwoje,
Z kształtnemi w około ząbki!
Wszystkich jednakowe stroje,
Delikatnie tkane rąbki,
Szaty skromnie ułożone,
Kryje barwa błękitnawa,
Coraz bledsza, — a korona
Już tak jasna, jakby łzawa.
Bo téż może, przyjaciele,
I bławatek cierpiał wiele!
Zrywam więc na obcéj niwie
Malutki kwiatek modrawy,
Niechaj przypomina tkliwie,
Wspólnych uczuć związek prawy!
Przyjmijcie go wdzięcznie, mile,
Nie pogardźcie skromnym datkiem,
Niech dla was chociaż na chwilę
Stanie się wspomnienia kwiatkiem!

Kronika literacka.

1. Kodex dyplomatyczny Wielkiéj Polski, zawierający bulle Papieżów, nadania książąt, przywileje miast, klasztorów i wśi, wraz z innemi podobnéj treści dyplomatami, tyczącemi się historyi téj prowincyi od roku 1136. do roku 1597. Wydany przez Edwarda Raczyńskiego. W Poznaniu 1840. 4to. stron 264. z facsimiliami pisma z różnych epok i wybornemi odciskami pieczęci, znajdujących się przy przywilejach oryginalnych, od 13go wieku począwszy.

O użyteczności i niezbędnéj potrzebie kodexów dyplomatycznych (zwłaszcza u nas, gdzie zabytki piśmienne z 13go, 14go i 15go wieku z rozmaitych przyczyn coraz bardziéj nikną), zamilczamy; albowiem sam uczony i literaturze krajowéj tak zasłużony wydawca, mówi o tém w wstępie jak następuje: „Rzeczą byłoby zbyteczną, rozwodzić się nad użytecznością zbiorów dyplomatycznych. Są one fundamentem, na którym cała budowa historyi opiera się i wznosi, a w dziejach średnich wieków, jedyném światłem, przy którém historyk z niejaką pewnością kroki swoje stawiać może. Te to zbiory uzupełniając i prostując podania kronikarzy, obfitém są źródłem, w którém dyplomatyk, prawnik, historyk, heraldyk i jeograf nieustannie czerpać powinni; są nadto jakoby zwierciadłem swoich wieków, w które piszący dzieje pilnie wpatrywać się mają, aby nietylko czystą prawdę powiedzieć, ale tę prawdę w właściwém jéj świetle i w właściwym kolorycie wystawić. — Z tych to przeważnych powodów, kodexa dyplomatyczne wysoko są cenione od wszystkich oświeconych narodów, które mnóstwo zbiorów tego rodzaju posiadają. U nas, prócz Nakielskiego, Szczygielskiego, Damalewicza, Paprockiego, Okolskiego i innych, którzy dyplomata do celu ich służące, w dziełach swoich umieścili, przysłużył się szczególniéj w téj mierze dziejom ojczystym ksiądz Dogiel, wydawca kodexu dyplomatycznego, królestwa polskiego i w. ks. litewskiego. Zbiór przecież Dogiela, jakożkolwiek szacowany, nie jest wcale dostatecznym. Uczony ten albowiem, ściągał pracę swoję najwięcéj do zewnętrznych stósunków Polski. Obszerne zaś pole wiadomości o wewnętrznym stanie kraju naszego pod względem prawodawczym, moralnym i administracyjnym, mało jest dotąd uprawne. Trudna zaiste jest praca około odłogów; lecz ileż ona w tym tu razie obiecuje korzyści? Zebrane w tym duchu kodexa dyplomatyczne, postawią dopiero dziejopisa w stanie wyświecenia prawdziwych stósunków między książętami naszymi a duchowieństwem, lub szlachtą; między temi dwoma stanami, między miastami a rządem, nakoniec między włościanami a dziedzicami dóbr ziemskich, bądź te własnością były książąt, bądź duchowieństwa, lub szlachty.“

2. Poezye Edmunda Wasilewskiego. Tom I. Poznań, w drukarni i księgarni Walentego Stefańskiego 1840 r., 8vo, stron 172. Wydanie ozdobne.

Pan E. Wasilewski ma wiele poetycznego natchnienia, zapału i fantazyi, a owa rzewność po poezyach jego rozlana, przypomina nam bardzo nieodżałowanéj straty Kazimierza Brodzińskiego. Zewnętrzna budowa, dźwięk, melodya wiersza P. E. Wasilewskiego, porywa prawdziwie w niektórych miejscach i unosi. Oczekujemy z utęsknieniem dalszych tomów poezyi tego wieszcza z nad Wawelu.

3. W dalszym ciągu „Obrazu Polaków w 18m wieku,“ wydawanego przez hr. Edw. Raczyńskiego, wyjdą wkrótce pisma historyczne sławnego Hugona Kołłątaja. Druk Pamiętników Wybickiego kończy się.

Do Redakcyi Przyjaciela ludu.

Szan. Redakcya P. L. nie odmówi miejsca w piśmie swojém następującéj odezwie:

Cześć sławie, zasługom i pracy!

Z rzędu najuczeńszych w wieku XVI. rodaków naszych, jest bezwątpienia Wielkopolanin Sebastyan Klonowicz, *Acernus* zwany, biegły w starożytności, krytyk i pogromca nadużyć w owym czasie: przez półwieku jaśniejąc na parnasie polskim, w ubóstwie i nędzy życie zakończył. Kiedy oświecone Niemcy, Francuzi i Anglicy krzątają się z usilnością, aby najmniejszy nawet zabytek sławy uczcić, i przyszłym pokoleniom przekazać; nasz Klonowicz, prawdziwy Homer wielkopolski, dotąd nie ma żadnéj pamiątki, godnéj jego gieniuszu pracy.

W roku 1833. przeznaczony na plebana do Sulmierzyc, miejsca rodzinnego Klonowicza, zacząłem myśleć nad sposobem, czyby niemożna i temu zakątkowi dawnéj Polski nadać powabu historycznego? ale myśli nic nie budują. — Dopiero w roku 1837. otworzyłem zamiar mój Najgodniejszemu naszemu Arcy-Pasterzowi, który reskryptem swoim z dnia 28. Grudnia r. t. pochwalił go, i polecił mi, abym się zgłosił do Rządu o upoważnienie do wzniesienia pomnika i do ogłoszenia kollekty. Zaraz w następnym roku w miesiącu Czerwcu udałem się do Wrocławia, zażądałem rady i wsparcia od znajomych mi Obywateli, na jarmark wełniany zgromadzonych; wielu z nich oświadczyło gotowość do ofiar, a niektórzy zaraz w skutku to uiścili. Pan Kręski z Grembanina ofiarował 2 louidory, P. Wężyk Felix z Mroczenia 2 louidory, P. Matecki Adam z Dupinka tal. 1., P. Łaszczewski Felix z W. Góreczek tal. 1., P. Kręski Edward z Pankow tal. 1., P. Rekowski z Rudniczyska tal. 1., P. Radoński z Kołaczkowic tal. 1., P. Stabłewski Erazm z Dłoni tal. 2., P. Bojanowski Ignacy tal. 3., PP. Taczanowscy tal. 3., P. Węgierski z Węgier tal. 1., P. Karsznicki z Chlewa tal. 1., P. Kołaczkowski z Zakrzewa tal. 1., PP. Niemojowscy Nepomucen i Leopold tal. 4., P. Czyrner z Raszkówka tal. 1., P. Wólicki z Kozichgłów tal. 1., P. Wężyk Adolf tal. 3., P. Potworowski Gustaw z Goli tal. 1., P. Skarzyński Michał z Chełkowa tal. 1. — Ten pierwszy wstęp przez wzgląd na mnie samego, jako człowieka bez znaczenia i okrasy wielkiego świata, uważałem za nader pomyślny. P. major Lipski z Lewkowa, przytomny podówczas w Wrocławiu, doradził mi zebrać komitet, któryby się i wyjednaniem upoważnienia rządowego, i posuwaniem ofiar, i planem do wznieść się mającego pomnika zatrudnił. — Czułem ja aż nadto potrzebę utworzenia komitetu z osób znakomitych, bo małym ludziom duch przedsiębierczy w sprawach ważnych, poczytywany bywa za zuchwalstwo, lub natręctwo,; dla tego przyjąłem ten plan z wdzięcznością.

Powiat nasz odolanowski ma kilku Obywateli bardzo szanownych i godnych szacunku, którzy wbrew naszemu przyrodzeniu, na czynach zakładają cnoty obywatelskie. Wybrałem z nich pięciu: Pana Skórzewskiego, pułkownika, w Szczurach, na prezesa; a na członków komitetu, panów: Sadowskiego, deputowanego z Miedzianowa; Kosseckiego Konstantego, byłego deputowanego, z Kęszyc; Lipskiego Wojciecha, majora, z Lewkowa; Morawskiego Józefa, z Kotowiecka. Nie mógłem w godniejsze złożyć ręce od kilku lat pielęgnowanego pomysłu. Światło, gorliwość i popularność Tych mężów, obiecują mi pomyślny skutek. — Obręb dotychczasowych działań moich w tém ważném przedsięwzięciu, nader był ograniczony; mieszkam tam, gdzie się Polska kończy, a Szląsk zaczyna; jako Kapłan oddalony od reszty uczonego i zamożnego świata, z nikąd ani światła, ani pomocy materyalnéj spodziewać się nie mógłem. Dla tego cały ciężar składam na szanowny komitet, który dla czci ziomka i sławy powiatu pracując, przyda nowy listek do lauru cnót obywatelskich.

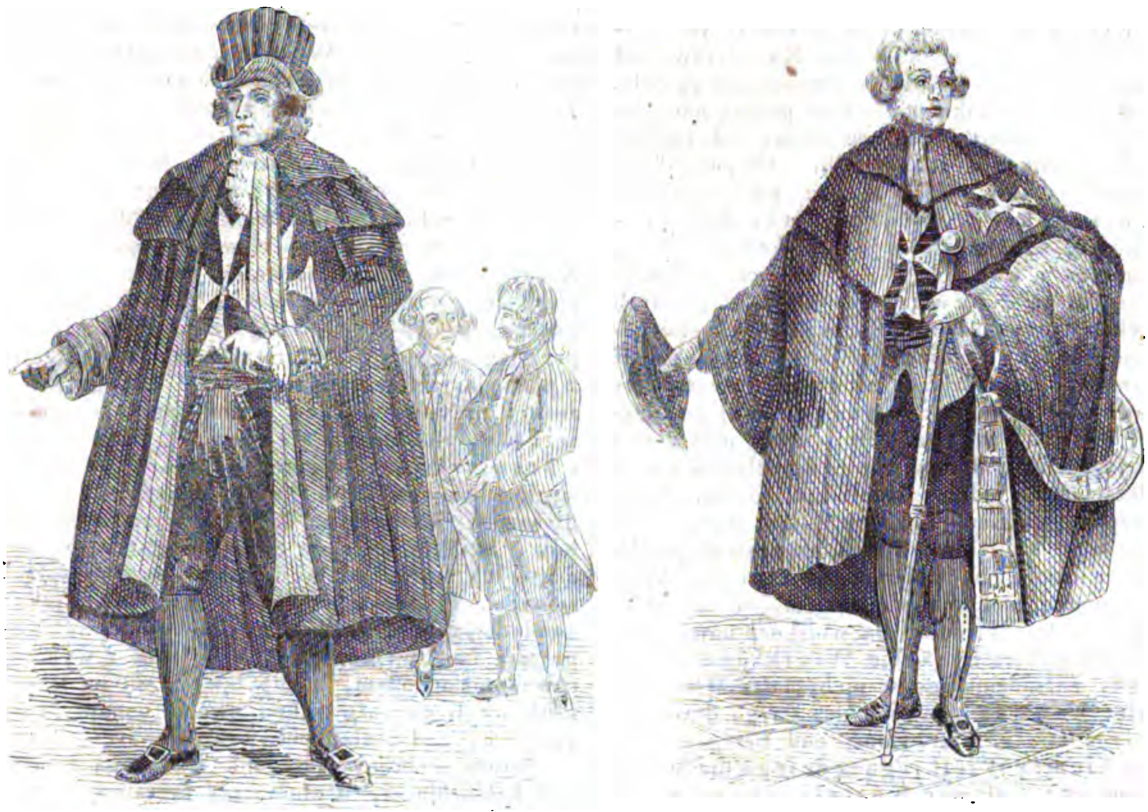
Sulmierzyce, dnia 30. Stycznia 1840.

X. *Siwicki.*

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (*Red. J. Łukaszewicz.*)

Przyjaciel Ludu.

Rok szósty. No. 35. Leszno, dnia 29. Lutego 1840.



Wielki mistrz i Wielki marszałek zakonu Świętego Jana Jerozolimskiego. (*)

Zakon Kawalerów maltańskich świadczył przez długi czas, mianowicie pod względem handlu, ważne narodom europejskim przysługi, zasłaniając okręty ich od rozbójniczych napadów korsarzy afrykańskich. Floty rycerzy Ś. Jana, krążąc po morzu środziemném, ułatwiały wolną żeglugę okrętom chrześciańskim; Malta wyglądała z sinéj głębi wód jako nieustannie czuwająca straż nad bezpieczeństwem na grzbiecie bałwanów morskich, unoszących się statków, a drwiąc sobie z burz i nawałności, przyjmowała na łono swoje szukających przed niemi schronienia. Gdy atoli z czasem morze środziemne z rozbójników, długo zuchwałością swoją hamujących związki handlowe, oczyszczoném zostało; Malta, niemająca żadnéj podniety do rozwijania sił swoich, utraciła wkrótce dawniejszą ważność. Gnuśność zajęła miejsce niezmordowanéj czynności, wkradła się pomiędzy rycerzy rozwiozłość, podkopująca coraz bardziéj przez tyle wieków zapracowaną sławę, aż nareszcie zniweczyła całą zakonu powagę. Przestał wtedy być zakon maltański owém skojarzeniem dzielnych wojowników, których miecz znany, szeroko i daleko siał postrach: dawał on odtąd jeszcze tylko przytułek młodzieży znakomitych rodzin, przenoszącéj nad uciążliwy stan duchowny, sposób życia półświecki. Lecz i w rozwiązaniu samém zachował zakon maltański cień dawnéj swéj świetności. Składając się z osób różnych narodów, połączonych między sobą ścisłym jednéj i téj samej wiary węzłem, przyjął na siebie obowiązek stawać w obronie niewin-

(*) O zakonach rycerskich, zob. P. L. rok III. T. I. str. 69 i następ. — T. II. str. 229 i następ.

ności i pracować nad tém, aby ludy natchnąć wzajemną ufnością i miłością względem siebie. Ścisła i nigdy nienaruszona neutralność, zabezpieczała Kawalerom maltańskim przyjaźń monarchów i książąt, a kształt ich rządu zastósowanym być mógł do ustaw wszystkich mocarstw Europy; widzimy go bowiem jużto monarchicznym, gdy się władza najwyższa w ręku znajdowała jednego; już demokratycznym, gdy do wyboru naczelnika przystępowano; już arystokratycznym, gdy na czele Kawalerów stał jeden z członków wysokiego i znamienitego rodu.

Kawalerów zakonu dzielono podług narodów na pewne klassy, noszące nazwę od języka, jakim członkowie ich mówili. W początkach liczono języków takich siedm: prowancki, owerneński, francuzki, włoski, aragoński, angielski i niemiecki; późniéj dołączono i kastylski, a miejsce angielskiego, zajął bawarski. Do każdego z tych języków przywiązaną była wysoka zakonu godność; i tak językiem prowanckim mówił Komtur, zarządzający skarbem, prezes izby zdawającéj rachunki: owerneńskiego używał Wielki marszałek, który przywodził wszystkim Kawalerom, oprócz Kapelanów i osób należących do rodziny Wielkiego mistrza. Z mówiących językiem francuzkim wyznaczano Dozórcę szpitalów; z tych, co używali języka aragońskiego, obierano Szatnego, który miał pieczę nad tém wszystkiém, co się ubiorów tyczyło, żywności dla wojska i nowicyatu; Włosi wybierali z siebie Wielkiego admirała, zarządzającego w niebytności Marszałka flottą; Anglicy dawali z łona swego dowódzcę jazdy i straży rozstawionéj nad brzegami morza; Niemcy Wielkiego sędziego dla twierdz i zamków; nakoniec Kastylianie mianowali Kanclerza W.

Prócz tych urzędów, było jeszcze pomiędzy Kawalerami wiele niższego rzędu dostojeństw, które daleko sięgająca władza zakonu potrzebnemi czyniła, jako to: godność WW. Komturów i Przeorów, zawiadujących dobrami; Przełożonych klasztorów, do których się bracia jednego języka na obiady zgromadzali; i Sędziów kapitularnych. Ostatni nie mieli wprawdzie obowiązku mieszkania w klasztorze, przytomność ich była atoli konieczną przy główných posiedzeniach. Urzędu tego nie mógł piastować żaden Maltańczyk; ci, których poświęcenie szczególniejsze i znamienite zasługi uwagę zakonu na siebie zwróciły, otrzymywali tylko niższe stopnie w nagrodę, nienadające im jednakże ani godności, ani przywileju Kawalerów. Takowe zaś Maltańczyków wyłączenie, z téj jedynie przyczyny w samych początkach ustawami zatwierdzoném zostało, aby wstępując do zakonu w wielkiéj liczbie, za nadto przeważnego wpływu na resztę Kawalerów nie wywierali. Do dwóch tylko dostojeństw mieli Maltańczycy zostawioną drogę, t. j. do godności Wielkiego Przeora przy kościele S. Jana i Biskupa Malty. Dwaj ci dygnitarze głosowali przy obiorze W. Mistrza, lecz wybór na nich nigdy paść nie mógł. Następujący, nieco osobliwy zwyczaj, dowodzi, jak się starano o utrzymanie zupełnéj między członkami zakonu równości i o oddalenie wszelkich niezgód, jakieby pycha pojedyńczych członków i wpływ obcych książąt łatwo były mogły wywołać. Zaledwo trzy dni po śmierci W. Mistrza upłynęły, a już przystępowano do wyboru nowego następcy. Tym pośpiechem chciano zapobiedz powstać mogącym stronnictwom i wznawianym żądaniom Stolicy apostolskiéj w obiorze W. Mistrza. Kawalerowie wszystkich języków zgromadzali się w kościele S. Jana, oprócz tego, który Mistrza W. zastępował w czasie jego choroby i po śmierci. Każdy język mianował trzech wyborców; to pierwsze głosowanie stanowiło 24ch członków zakonu, prawo wyboru mających. Po złożeniu przysięgi przed W. Marszałkiem, wyznaczali z pomiędzy siebie ci Kawalerowie nowego Prezesa i przystępowali do ustanowienia tryumwiratu, złożonego: z rycerza, kapelana i braciszka. Ci dopiero, po wykonaniu przysięgi, mianowali 13stu innych, mających z kolei głosować. Liczba ich, do 16stu wzrosła członków, dzieliła się znów na dwie równe części, z których każda miała osobnego swego reprezentanta. Podawano jednego lub kilku jako kandydatów; większość głosów rozstrzygała; poczém imię wybranego ogłosił jeden z wyborców zgromadzonym, i zapytawszy się po trzykroć, czyli go cały zakon swoim uznaje Mistrzem, żądał dlań potwierdzenia.

Nowo wybrany Naczelnik siadał na tronie pod baldachinem, a złożywszy przysięgę i zaintonowawszy *Te Deum laudamus*, przyjmował od wszystkich członków ślub posłuszeństwa, poczém udawał się do swego pałacu. Mistrz W. nadane miał sobie właściwe przywileje i dochody stałe, wynoszące rocznie do 400,000 tal. malt. Zakon sam posiadał w Europie, a mianowicie we Francyi, znaczne dobra, pomiędzy temi wiele komturskich, z których dochody W. Mistrzowi przeznaczone były. Konfiskacya ich za czasów Rzeczypospolitéj francuzkiéj, pierwszy zadała cios zakonowi Kawalerów maltańskich. Dziś Malcie, po zniesieniu zakonu, któremu całą swoją zawdzięcza sławę, nic nie pozostało nad korzystne położenie, będące niejako punktem środkowym na morzu śródziemném. Mieszkańcy Malty są dziś tém, czém byli i dawniéj, t. j. majtkami rzadkiéj zręczności i wytrwałości.

Klassy wyższe przyjęły pod panowaniem Anglii obce zwyczaje; niższe pozostały wierne sposobowi życia przodków. Dziwną jest rzeczą, iż niewiasty wszelkiego stanu zatrzymały ubiór dawny, który im tyle ponęty dodaje. Język maltański w ustach ludu prostego wiele zacho-

wał wyrazów arabskich. Anglicy wiele pozaprowadzali dobroczynnych urządzeń; wolność religii jest wielce szanowana, oddziały nawet wojska angielskiego, episkopalnego wyznania, występują z wszelką okazałością przy obrzędach katolickich. Najużyteczniejszym zaś bezwątpienia zakładem na Malcie, jest obszerny instytut dla ubogich dziewcząt.

* *R.*

O stanie nauk w akademii krakowskiéj za Augusta III.

(Wyjątek z rękopismu.)

Opisawszy stan szkół pańskich i pospolitych, zakonnych i świeckich, dawszy wyobrażenie o szkołach farnych; należy już przystąpić do opisu szkół głównych i ich prawdziwego stanu, w przeciągu tych lat 14. Cztery były u nas szkoły takowe. Pierwsza, najdawniejsza w Krakowie, druga w Wilnie, trzecia w Zamościu, czwarta w Kijowie; lecz ta po traktacie grzymultowskim, od państw rzeczypospolitéj odpadła; piąta otworzyła się już za panowania Augusta III. O każdéj pokrótce namienić wypada, abyśmy dokładniéj wiedzieć mogli, w jakim stanie znajdowały się u nas nauki i umiejętności.

Nie będziemy tu wspominać, do jakiego stopnia sławy doszła niegdyś szkoła główna krakowska w Polsce i Europie. Te chwalebne dla nauk i umiejętności czasy, nie mogą należeć do naszych dziejów. Biorąc ich epokę od r. 1750. i rozbierając z uwagą czasy ostatnie, przyznać z żalem potrzeba, że ta sławna niegdyś całéj Polski szkoła, w bardzo lichym znajdowała się stanie.

Wydział filozoficzny.

Co do nauk wyzwolonych.

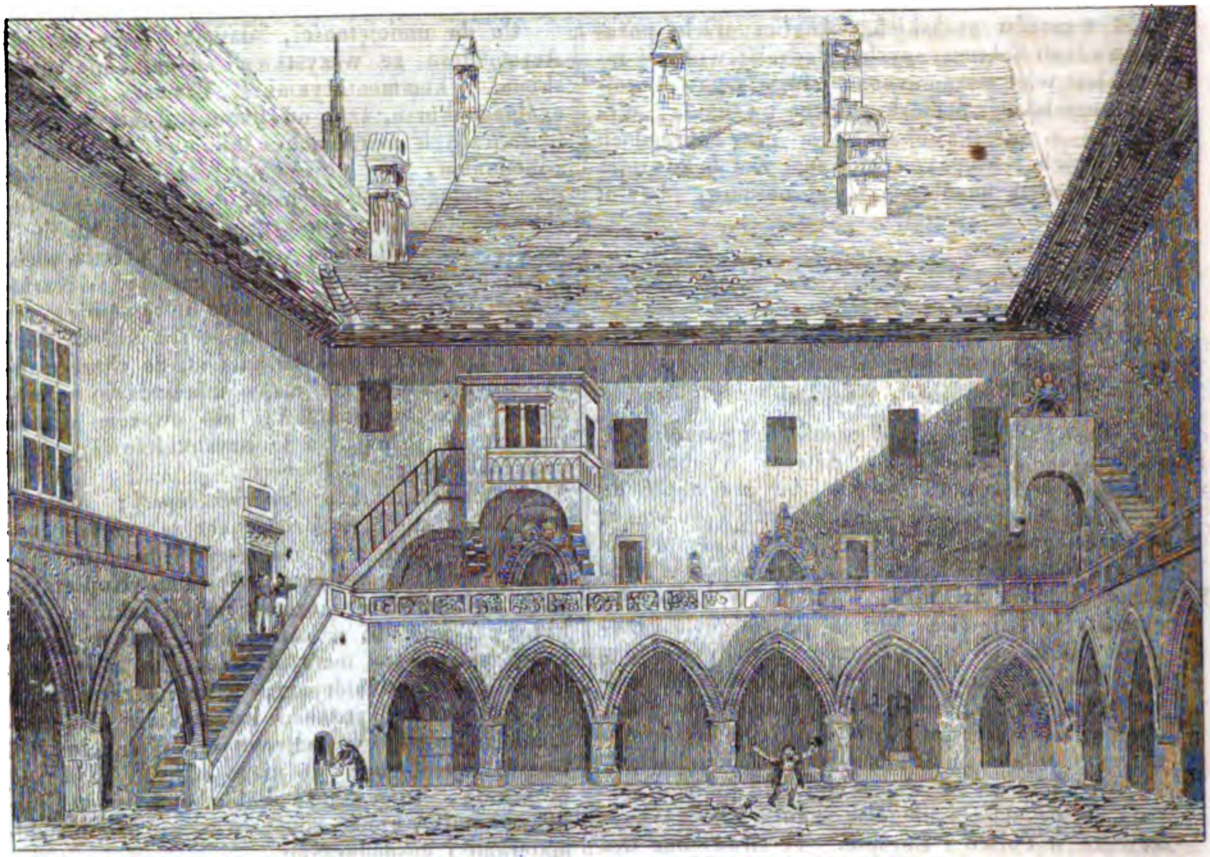
Co do nauk wyzwolonych, mówcy akademicy mizernym pisali stylem w łacinie i polszczyźnie; poetowie układali wiersze w różne figury, zaczynali oni od pierwszych liter, składających imiona osób, których pochwały śpiewać chciano. Na miejsce tłómaczenia na lekcyi publicznéj Cycerona de Oratore lub Quintyliana, jak dawniéj był zwyczaj, professor literatury dawał prawidła z własnéj dyktowane teki o mówcy łacińskim i polskim; była to zbieranina dowcipnych, lecz bez gustu wyskoków, których się chronić należało w statystycznych i kościelnych mowach. Zaniedbano komentować autorów klassycznych. Język grecki, niegdyś po wszystkich szkołach u nas wzięty i w całéj Polsce powszechnie rozkrzewiony, w saméj nawet szkole głównéj zaniedbany; nie przykładano się do historyi starożytnéj, powszechnéj i krajowéj; wszystkie te nauki, niegdyś tak wiele sławy i pożytku przynoszące, zupełnie w szkole głównéj krakowskiéj upadły.

Co do umiejętności, dawano kurs filozofii Arystotelesa ze wszystkiemi dodatkami arabskiemi i kommentacyami ś. Tomasza. Oprócz ogólnego kursu, szły oddzielne traktaty w wielu filozoficznych materyach, jako to: termini distinctionum, dla ułatwienia ergoistów języka; pneumotologia, dla lepszego wyłuszczenia duchownéj istności; makrochnologia o niebie i ziemi, meterologia o waporach i exhalacyach, i tym podobne staréj filozofii części; o Kartezyuszu, Gasendym, Lajbnicu i Newtonie, nie mówiono tam, tylko odrzucając ich układy filozoficzne, kończąc zawsze na tém, że chrześciańskiemu filozofowi nie wolno udawać się za nowemi filozofów sektami, ale owszem winien trzymać się jednéj, a to arystotelesowéj, poprawionéj przez ś. Tomasza.

Matematyka szła przecież lepiéj; algebry wprawdzie nie mieszczono jeszcze między matematyczne nauki; w geometryi jednak trzymano się analisim veterem. Systema Kopernika, choć był uczniem i członkiem téj szkoły, nie było przyjęte ani w astronomii, ani w fizyce, i nie można się temu dziwić, bo astronomia nie miała obserwatoryum, a fizyka zatrudniała się tylko metafizycznemi kwestyami. Najznakomitszą osobą w matematycznéj szkole był Regius Astrologus; do niego należał rząd nad tą szkołą, approbacya kalendarzy z ich prognostykami, które miały wziętość między domatorami i gospodarzami.

Nad wyliczone w wydziale filozoficznym lekcye, był kurs filozofii moralnéj, to jest Etica, politica, oeconomica; na szczęście Arystoteles lepszym jest pisarzem w filozofii moralnéj, którego się we wszystkiém trzymano. Taki był stan umiejętności w szkole głównéj krakowskiéj aż do skasowania zakonu Jezuitów; był on prawda powszechny wszystkim europejskim akademiom na początku 17go wieku, a katolickie dochowały go aż do końca wieku rzeczonego. Nie zaraz się zastanawiać poczęto nad prawdami, które Bakon zawarł w organa scientiarum; ani nad listami, któremi Erazm wyśmiał szkólny uczenia sposób w pochwale głupstwa. Szkoła główna paryzka i sapientia rzymska, były wiernym wzorem krakowskich nauk aż do naszych czasów. Zbytnie przywileje, od dwoistéj pochodzące władzy, robiły zawsze trudną universitatum poprawę. W Paryżu wolano nowe kollegium królewskie założyć, dla dawania kursu umiejętności w sposobie poprawionym, niż wziąść się do reformy kraju, jak mówią, łacińskiego. Przez ten sposób niszczały szkoły główne w krajach katolickich, gdy przeciwnie podnosiły się u dyssydentów, u których bulle papiezkie utraciły dawną powagę.

Pierwszy Wanświten przerobił akademią wiedeńską, inne zostawały pod rządem Jezuitów, nietylko w państwach austryackich, ale nawet w całych katolickich Niemczech.



Uniwersytet Jagielloński.

Każdy ciekawy zgruntować tę ważną część historyi oświecenia ludzkiego, przekona się; że wszystkie universitates, jedne po drugich w tym dopiero wieku poprawiać się zaczęły co do nauk i umiejętności. Dyssydenckie nawet mało je w téj mierze wyprzedziły, trzeba albowiem było, aby filozofia utworzyła się na nowo wprzódy, aby matematyka rozszerzyła swój wpływ na nauki fizyczne, aby prawdy jéj stały się powszechniejszemi; nimby nowéj filozofii układ przyjętym został do szkół głównych. Łatwiéj zawsze wypadło się wsławić jakiemu mężowi przez swe dzieła, jakiemu zgromadzeniu od siebie samego zależnemu; trudniéj nierównie szkołom głównym, które ulegać musiały władzom kraju i Rzymu; nie mogły więc dawać u siebie nauk, tylko takie, o których władze rzeczone, nie miały żadnego powątpienia.

Za rozszerzeniem się u nas anarchii, rząd krajowy nie posiadał tyle, co dawniéj ufności zgromadzeń naukami zajętych; albowiem Rzym opanował całkowicie tę ufność, bo jego opieka była skuteczniejsza, czyli to w kłótniach uczonych, czyli w zasłonie przeciw uzurpacyi biskupów. Akademia krakowska, w nieprzestannéj kłótni z Jezuitami będąca, potrzebowała silnéj opieki dworu rzymskiego; musiała się więc stósować do jego gustu, który wszystkie nowości odrzucał, póki się dobrze o nich nie przekonał, jeżeli jakiéj nie przyniosą szkody zastarzałym, a pożytecznym dla niego opiniom. Oto jest cała przyczyna tak długiego letargu, którym ta szkoła uśpioną była.

Trudność poprawy umiejętności w szkole głównéj krakowskiéj.

Załuski, biskup krakowski, mąż wielkiéj zasługi co do usilnych starań o oświecenie narodu, pragnął wszystkimi sposobami wprowadzić poprawę umiejętności do akademii krakowskiéj.

Był on w dobréj zażyłości z Krystyanem Wolfem, człowiekiem podówczas sławnym w Niemczech północnych: postanowił go więc sprowadzić do Krakowa, aby dał publiczny kurs matematyki i filozofii, aby pod nim uformowana młodzież, wzięła się z ochotą do umiejętności w nowym wykładanych sposobie. Cały atoli zamysł biskupa, obywatela, spełzł nadaremno; bo starzy akademicy oparli się sprowadzeniu Wolfa, jako heretyka, niegodnego uczyć prawowiernych Katolików, takiéj nawet nauki, która żadnego z religią nie miała związku, jak naprzykład matematyka i fizyka; a kiedy Załuski narzekał na zgromadzenie niedbałe o własną

sławę i pożytek narodu; akademicy chlubili się z tego, że potrafili dać odpór biskupowi tak poważnemu i okazać swą ortodoxyą Rzymowi, jako rękojmią niewzruszonéj wiary na północy.

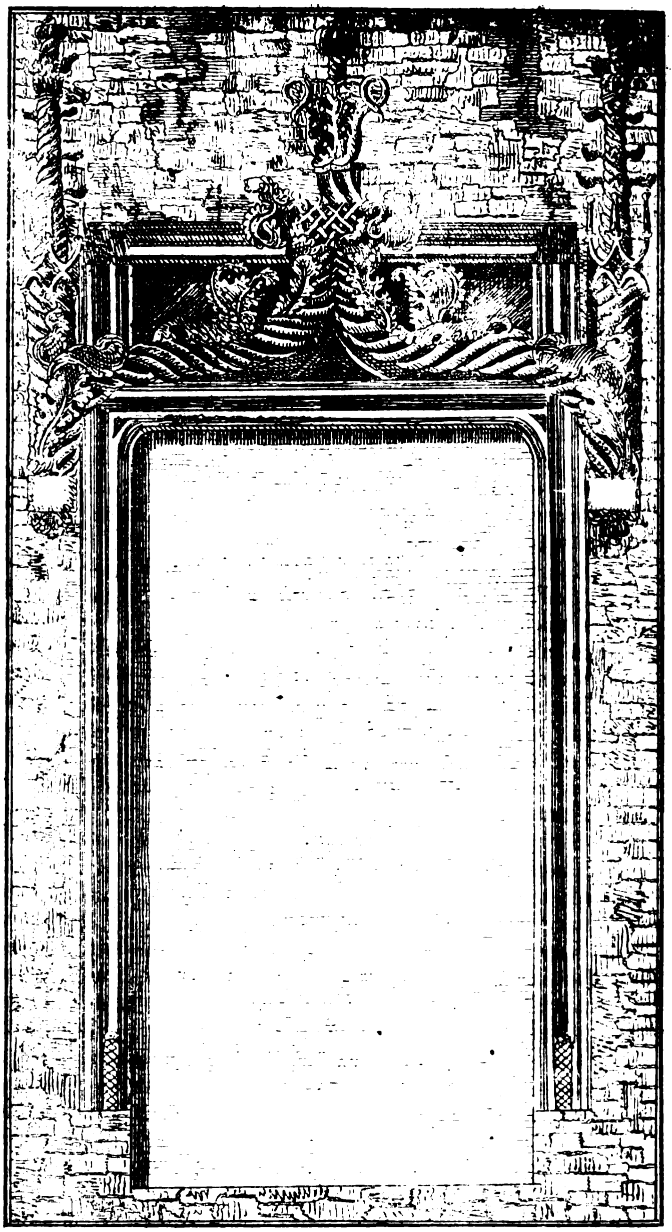
Załuski nie ustawał przecież w swych przedsięwzięciach. Widząc, iż nie mógł sprowadzić Wolfa, posłał do Hali księdza Świątkowskiego, akademika, aby się mógł udoskonalić w matematyce i innych fizycznych umiejętnościach.

Człowiek ten, lubo nie był od natury obdarzony nadzwyczajnym dowcipem, wiele przecież korzystał pod sławnym w Niemczech nauczycielem.

Za swym do Krakowa powrotem, chciał on dawać lekcye matematyczne sposobem, od Wolfa użytym, chciał powoli wprowadzać smak do nowéj filozofii; ale prześladowany od starszyzny, oddalił się prędko od zgromadzenia akademickiego. Załuski nadto krótko był biskupem, żeby zdołał przełamać uprzedzenia starych akademików. Nastał po nim Sołtyk, człek dworski, a przytém gwałtowny i dumny. Zamiast okazania przychylności temu uczonemu zgromadzeniu, zaczął je prześladować; kłótnie z Sołtykiem odstręczyły zupełnie akademików od téj jedynéj w kraju władzy: opieka rzymska coraz potrzebniejszą być zaczęła; zaczém ani przykład, ani powaga możnych, nie były dostateczne do ich poprawienia w tém wszystkiém, czego wymagał po nich pożytek krajowy i honor własny.

Zgromadzenie akademickie podupadło w swych dochodach, nie mając żadnego od możnych wsparcia, nie miało sposobności wysyłać swéj młodzieży do krajów obcych. Jedna tylko fundacya na banku weneckim pozostała, służyła im do rzeczonego celu: co trzy lata wysyłali oni jakiego młodego człowieka do Bononii, który potém znaczniejsze we Włoszech zwiedzał akademie. Właśnie w tym czasie Benedykt XIV. znacznym kosztem odnowił instytut bonoński, mógł więc korzystać z takiéj podróży, komu się dostało być na fundacyi Słowikowskiego; lecz w ciągu czasu, który rozbieramy, czterech młodych akademików z rzeczonéj korzystało fundacyi, z których żaden do nauk fizycznych i matematycznych nie miał ochoty przykładać się.

(Dalszy ciąg nastąpi.)



Drzwi do biblioteki uniwersytetu Jagiellońskiego.

Chłop i djabeł.

(Dokończenie.)

III.

Dzisiaj odpust w parafii. W kościołku ludu pełno i starych i młodych, mężczyzn i kobiet, a wszystkich twarze podziwem zamroczone, wszyscy do siebie zcicha coś szepcą i oczy w jedno obracają miejsce. Tam ksiądz w konfessyonale siedzi, przy nim klęczy chłopek, już w latach, lecz jeszcze krzepkiéj postaci, w modréj sukmanie z pętlicami, na którą spływa włos posiwiały, z obliczem pełném skruchy i boleści, z złożonemi na krzyż rękoma. Kapłan

odmówił nad nim modlitwę po łacinie i przeżegnał. Chłopek się przybliżył i zaczyna spowiedź. Ksiądz grzesznika słucha; widzi, że coś strasznego wyznaje, bo po obliczu kapłana bladość i oburzenie na przemiany błyska; zimny pot leje się strumieniem, a oko strasznym sądem jaśnieje. Organista na chórze już szóstą pieśń kończy z ludem. Pasterz jeszcze nie uwalnia grzesznika — wyznał nareszcie wszystko. Ksiądz z wrytą w ołtarz źrenicą znowu po łacinie odmawia nad nim modlitwy, żegna po trzykroć, podczas gdy chłopek z pochyloną do ziemi twarzą silnie się uderza w piersi i Boga o przebaczenie prosi. Ksiądz się oddalił do ołtarza, rozpoczyna mszę świętą. Chłopek padł krzyżem i przez cały ciąg ofiary leżał.

Po nabożeństwie chłopki do karczmy się schodzą — długie obsiadają stoły i przy półkwaterczach gorzałki coraz głośniéj to o tém, to o owém gwarzą.

„Ale mi téż powiedzcie, Jasiu,“ rzekł Kuba, „cóż się to stało z tym zakamieniałym bezbożnikiem, tym kmieciem?“

„A nu“ — odrzekł Jan — „przyszedł rozum na stare lata i upamiętał się przecież.“

„Nie kumotrze,“ — odparł znów Kuba — choćem tego człeka nigdy cierpieć nie mógł, przecież dziś, jakem go tak skruszonego zoczył przed konfessyonałem, gwałtem mi się łzy z oczu rwały.“

„Ho!“ — zawołał Ignacy — „dość téż sobaka nabroiła złego; żeby mu tylko dobrodziéj dobrze tam był natarł uszu. Nie ma go co żałować.“

„Kumotrze“ — przerwał Jan — „kiedy mu Pan Bóg przebaczył, nam się już nań bluźnić nie godzi; owszem jako nawróconego brata przyjąć znów do siebie.“

„Co to, to już pono nie będzie podobno, mój Jasiu“ — odparł Ignacy. — „Zaraz po kościele zniknął, i, jak powiadają, podobno już więcéj nie wróci do wsi.“

„Kiedyć tak, to niech tam Bóg szczęści pielgrzymce i zapomni mu wszystkich grzechów.“

Po kilkunastu latach — tak dodaje powieść — jechała przez wioskę bryczka, na niéj siedział posiwiały zakonnik w habicie. Gdy mijali wąwóz, po nad którym dość długie rozwlekało się topielisko, woźnica jął się żegnać i konie żwawo poganiać; noc była ciemna.

„Cóż to ma znaczyć, Szymonie?“ zapytał kwestarz.

„A bo Dobrodziéj nie wie?“ — rzekł woźnica. — „Adyć to tu przecie co djabeł chłopa wodził. Tylko, iż Bóg był mocniejszy i obłąkaną przezeń duszę czartu odebrał. Chłop się upamiętał, żałował za grzechy i gdzieś w świat odszedł na pokutę. Bies zaś ze złości snać całe mieszkanie zatopił i z nim pono wielkie skarby. Nieraz one tu się palą o północy, a rogaty nad nimi wykrzykuje i przejeżdżających zawodzi w błota. O, nie ma tu co bawić, Dobrodzieju!“

Zakonnik westchnął głęboko i rzekł do Szymona:

„Zmówmy za wybawionego paciorek, Szymonie; on jest przy tobie.“

Woźnica pojrzał na mnicha z przestrachem, lecz widząc go zatopionego w modłach, sam złożył z głowy czapkę, i przeżegnawszy się, coraz żwawiéj jął poganiać konie. *B.*

Rzadkie dzieło.

Leges sumptuariae, albo uniwersał poborowy, na zbytki, utraty i niepotrzebne wystawy. 1649.

4to. Bez miejsca druku.

Po wygaśnieniu familii jagiellońskiéj skażenie obyczajów i jedna z głównych jego przyczyn i podniet, zbytki wzmagały się w Polsce niezmiernie, a za Władysława IV. doszły już najwyższego stopnia. Od dumnego wojewody do prostego rzemieślnika, od bogatego biskupa do mnicha kwestującego, od zgrzybiałego starca do niedojrzałego młodzika, po dworach, po miastach, po klasztorach, po chatkach nawet kmiecych, wszędzie i wszyscy zbytkowali, a zaraza ta obyczajów szerzyła się z niesłychaną szybkością po wszystkich stanach i tém bezpieczniéj, że była częstokroć odziana płaszczykiem gościnności. Ludzie rozumni, ludzie uczeni, wnosząc z teraźniejszości o losie przyszłych pokoleń, widzieli jak na dłoni kres, do którego zbytki naród doprowadzą. Przestrzegali go więc to z ambony z Skargą, Birkowskim i innymi, to w dziełach w tonie poważnym pisanych z Fredrem, Starowolskim i t. d., to nareszcie mieczem obosiecznym satyry siekli rozpustę, marnotrastwo, opilstwo i inne występki, z Zbylitowskim, Opaleńskim i t. d. Znaleźli się i tacy, co naród na prostą drogę naprowadzić chcieli bronią śmieszności. Do ostatnich należy autor powyższego dziełka. W żartobliwym tonie, ale w szlachetnym celu, podaje on za jedyny sposób uśmierzenia zbytków, nałożenie na takowe podatku, który tak rozkłada:

„Naprzód, aby żadnego pijanicę do rady nie brano, ani mu urzędu dawano, gdyż Solon, prawodawca, jawnym to dekretem ustanowił, mówiąc: jeżeli rządzca będzie pijakiem, nie ma panować, i bliźniego téż pijanemu sądzić grzech.“

„A tak każdy, który się upije, aby dał poboru złotych dziesięć, to jest, kiedy winem, małmazyą: a kiedy gorzałką, złotych piętnaście; bo panom, senatorom sromota pić gorzałki, a kiedy się piwem upije, złotych pięć; taki

pobór za każdy raz powinien dać, pod podwojoną karą (sub·poena duplici).

Szlachta nie mają się téż upijać, tylko co majętniejsi, i to, któryby się zbytnie upił, powinien poboru dać złotych dwa, a który, upiwszy się, zwadę czyni, złotych dwanaście; który żonę tłucze, upiwszy się, złotych sześć. Ci zaś, co kmieci nie mają, a pieniędzy do tego, niechaj wina, ani małmazyi nie piją, chyba kiedy przy wielkich panach pożywić się mogą. Miód, iż się tu w domu rodzi, komu może być, może go pić, a ktoby się nim upił, powinien dać poboru złotych dwadzieścia.

Mieszczanom i rzemieślnikom wino ma być przedawane kwarta po groszy 60; tedy za te pieniądze, aby miał garniec wina, albo małmazyi kupić, tedy będzie wolał beczkę piwa, gdyż się nią dłużéj kontentować samodziesiąt, niżli garncem wina samotrzeć może i rychléj się takiemu rzemiosła robić zachce, a niżli małmazyi pić, albo muszkatèły. A ktoby inaczéj przedawał albo kupował, ma każdy z nich dać poboru złotych dziewięć, toties quoties.

Cudzoziemskie piwa wrocławskie mają być chamowane.

Doktorom ustawa niech nie będzie, bo ci skromnie żyją, a insze rzeczy, nie trąbiąc, cicho odprawują.

Złotnik, co pychę stroi, za każdą ma dać złotych trzydzieści.

Krawcy, którzyby jedwabne rzeczy kłóli, rzezali, mają dawać po złotych pięćdziesiąt.

Szwaczki, coby płótno rzezały, dziurkowały, po groszy 10.

Z strony zbytków stołowych.

Od każdego stołu, dwiema obrusami nakrytego, na którym serwety po włosku złożone, groszy dziesięć.

Od każdego tortu po groszy dwanaście.

Od ciast farbowanych, moździerzowanych, garnuszkowych i fumetowych, po groszy jedenaście.

Od kijowego kołacza złotych dwa, gdyż nadzienie jego nie strawne.

Od bijanek, po groszy sześć.

Od masła formowanego z migdały, po groszy 24, bo dobre bez tego masło.

Od galarety złoty jeden. Od głowy cukru po groszy dwanaście.

Od pączków po groszy cztery. Od pasztetu złotych dwa. Od limonii po groszy piętnaście, gdyż nie zła pieczeń z ogórkami, albo z cebulą; a konew piwa, aż się oczy stulą, lepsza, niż one sapory, bo sapią.

Od zapalonéj kaszy z małmazyą złoty 1, bo tatarczana dobra, czego i dzieci poświadczają.

Od parmazanu groszy 12, bo większa gomołka za grosz, niż parmazanu za dwanaście.

Od każdéj rzeczy niepotrzebnéj po złotych trzydzieści. Od wódki perfumowanéj do nalewki złoty jeden. Od haftowanych ręczników złotych trzy, co jeden, sześciu sług trzymają. Od natrząsania gmachów zioły, złotych trzy; od kadzenia i parfumowania, złotych dwa, bo jałowiec dobry i dębnik od powietrza, niema się tego człowiek napierać, co się mu doma nie rodzi, ale na tém trzeba przestawać, co dom ma. A tak tym zbytkom zabiegając, które nie jednemu ojczyzny (ojczystego majątku) naruszyły, bo utratnik nie może się obaczyć, kiedy kilku kmiotków, abo wiosek utraci, aż kiedy już nie ma; zkąd rośnie conscientia dziwna w głowie, bo troski zawsze pełen, fantazya rozdwojona, postawa płocha, twarz kwaśna, a ono dłużnicy i rzemieślnicy nadchodzą naglądając; do pana przystęp trudny, bo pan na pokoju, a jeżli się który na pokój wemknie, to pan sługom nałaje, chłopięta pobije, a jemu kijem nagroży, gdy go oni dłużnicy strzegą. Mieszczanin, którýby wystawnych potraw półmiskowych, korzennych używał, tedy dani ma dać od każdego półmiska po groszy piętnaście.

Ze strony niepotrzebnych strojów i utraty od srebra stołowego.

Oprócz łyżek, gdyż się cynowemi naje na drewnianym talerzu, a którzy się na srebro przesadzają, *sive fas*, *sive nefas*, byleś miał, co chcesz, powinni dać złotych 100 poboru.

Od opon z jedwabiu ze złotem w jedwab od twarzy haftowanych, które są po złotych dziewięćset, ma dać poboru złotych sto.

Od wezgłowków axamitnych, hatłasowych, złotogłowowych, ze srebrnemi gałkami, z kosztownemi kutasami, złotych 12, gdyż dobre zamszowe, albo skórzane; bez nich téż być może.

Od kolebki (powozu) szkarłatowéj, kołdrą nakrytéj, złotych 10. Od karety frandzlą złotą, axamitem podszytéj, złotych dwadzieścia, gdyż owéj niepotrzeba; azaż zła bez axamitu sama skóra, kiedy cała wody nie dopuści? Od woźników poszosnych złotych cztery; a osobno od forytarza złotych dwa, gdy na sześci koniech o jednym woźnicy nie mogą jeździć. Od rzędu axamitnego złoty jeden. Od siodła srebrem oprawnego i z srebrnemi strzemionami złotych pięć, gdyż dobre żelazne. Od szabel, koncerzów, pałaszów, korbaczów, buław, czekanów i inszéj armaty, srebrem i pozłotą oprawnych, złotych 12, gdyż się żelazem bez srebra, kto umie, bronić może. Od srebrnego zegarka złotych dziewięć, gdyż dobry mosiądzowy.

(Koniec nastąpi.)

Kronika literacka.

1. „Obraz Polaków i Polski w 18tym wieku.“ Tom VI. Obejmuje Tom III. Pamiętników Józefa Wybickiego.

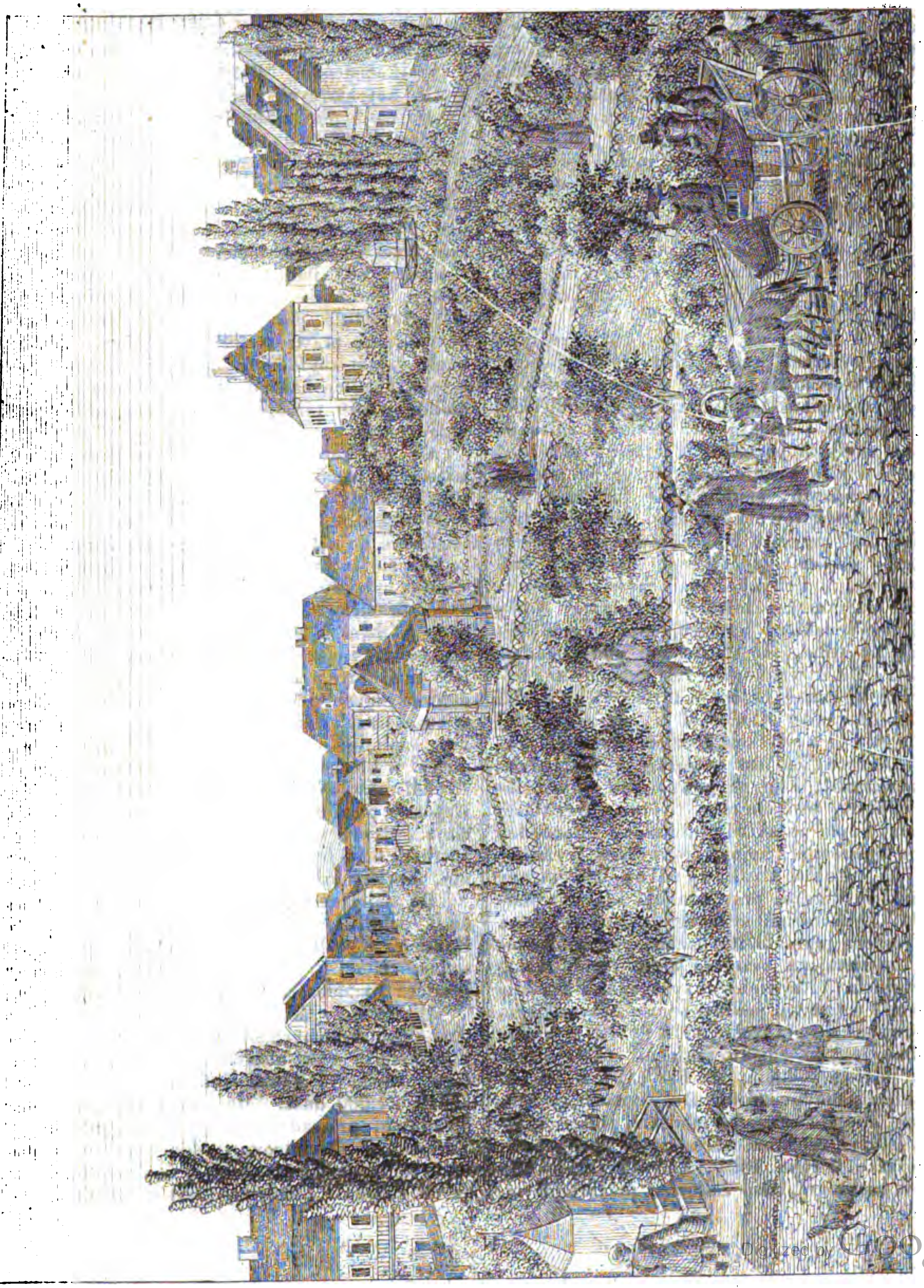
2. „Słowo Boże z starego testamentu wybrane“, podług tłumaczenia ks. Jakóba Wujka. Poznań, w księgarni W. Stefańskiego. 1840. 8vo. stron 162.

Mamy już kilka zbiorów powieści przerobionych z pisma świętego. W dawniejszéj literaturze polskiéj były liczne wydania wyciągów z ewangelii i żywotu Chrystusa dla użytku kapłanów i wiernych. Ale nie posiadaliśmy dotąd starego testamentu w głównéj swojéj treści w jednę książeczkę zebranego. Taką treść pisma św. starego testamentu zawiera dziełko powyższe. Autor jego, nieodżałowanéj straty śp. Jan Popliński, uczynił niém ważną przysługę dla młodzieży i dla płci pięknéj; wybrawszy bowiem najpiękniejsze i najszczytniejsze miejsca z starego testamentu przekładu Wujka, podał młodym czytelnikom łatwą sposobność obeznania się z księgami starego przymierza, nie zawadzając w niém bynajmniéj o rzeczy tajemnicami ś. pokryte. Dziełko to ma wyższość tę nad zbiorami dawniejszemi powieści biblijnych, że w niém poważny język pisma ś. w całéj czystości stylu wieków zygmuntowskich zachowanym został.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (*Red. J. Łukaszewicz.*)

Przyjaciel Ludu.

Rok szósty. **No. 36.** **Leszno,** *dnia 7. Marca* **1840.**



Widok rynku w Brodach.

Wolne miasto handlowe Brody.

(*Z obrazów Galicyi.*)

Wolne miasto handlowe Brody, 12¼ mil od Lwowa oddalone, leży na samym wschodnim końcu Galicyi, blisko rossyjskiéj granicy, pod 50° 9′ 3″ północnéj szérokości, a 43° wschodniéj długości. Jest to po Lwowie najzamożniejsze, najwięcéj zaludnione i najważniejsze miasto w całém królestwie. Nie bardzo przyjaźne ma ono fizyczne położenie, albowiem z jednéj strony przytyka do mokréj i bagnistéj równiny, z drugiéj zaś graniczy z rozległemi stepami piasku, na którym częściowo owies piaszczysty uprawiają, prócz tego zbywa także na dobréj źródłowéj wodzie do picia. W małéj odległości rozszérzają się zaś wzgórza i lasy rozmaitych drzew liściowych. Powietrze wprawdzie równie, jak we wszystkich bagnistych okolicach, nie bardzo jest zdrowe, jednakże zmieniają je ciągle i czyszczą wiatry, przez obszerną równinę piaskową przeciągające. Lato ciepłe i krótkie, źima zaś ostra i trwała.

Miasto, które aż do roku 1812. okopem ziemnym otoczone było, liczy 1400 domów, pomiędzy którémi się niektóre w rynku, w nowém mieście, w ormiańskiéj, lwowskiéj i leśniowskiéj ulicy, piękną i trwałą swą budową zalecają. Po obu wielkich pożarach w latach 1801 i 1834 znacznie miasto zostało upiększone; na miejscu chat drewnianych, znajdują się już teraz wygodne, kilkopiętrowe kamienice. Na staréj targowicy, stoi przeszło 200 murowanych, częścią miedzią, częścią dachówkami pokrytych bud kupieckich, w których Żydzi częścią krajowe, częścią zagraniczne towary sprzedają. Nowy rynek przyozdobiony jest gruppami drzew i partyjami kwiatów, co miastu nie małéj dodaje ozdoby. Do najznakomitszych zabudowań, należy pański zamek, który w 17tym wieku wielki hetman Alexander Koniecpolski, na zachodniéj stronie miasta z wielkim kosztem wystawić kazał. Otoczony on jest w półkręgu podwałami (kazamattami), których zewnętrzna strona ziemią pokryta, wał obronny tworzy. Najwięcéj kazamat użyto na składy towarów. Pomiędzy trzema kościołami; najpiękniejszy jest rzymsko-katolicki, w ormiańskiéj ulicy, zbudowany w kształcie krzyża, przy nim był klasztór Charyttek. Żydowskich synagog jest trzy, prócz tego jeszcze przeszło 100 bożnic, potém biblijoteka, zawiérająca przeszło 8000 tomów ksiąg żydowskich. Największa synagoga z płaskim dachem i wystawą, podług napisu hebrajskiego, zbudowana została roku 5502 (1742); z dala podobna jest do zamku jakiego. Mała synagoga, podług podania, ma być najstarszém żydowskiém zabudowaniem. Duży gmach, w którym się obecnie strażnica miejskiéj policyi znajduje, służył Siostrom miłosiernym za klasztór, po pożarze w roku 1801, który przeszło 650 domów zniszczył, do Załoziec przeniesionym. Magistrat miasta, składający się z burmistrza i 6 assesorów, znajduje się na nowo-miejskim placu w kamienicy należącéj do Sióstr miłosiernych. C. k. urząd kameralny obwodowy z główną komorą celną, jest w oddzielnym, dużym gmachu, przy wjeździe do miasta. Brody były niegdyś siedzibą urzędu obwodowego, który jednakże do Złoczowa, jako do środkowego miejsca obwodowego, przeniesiono. Od roku 1811 ustanowiono tu także komissaryat policyjny i plac-kommendę. Rossyja i Prussy mają tu swych konsularnych ajentów.

Do nauki dla młodzieży poświęcona jest c. k. główna normalna szkoła, dla któréj r. 1817 stósowne zabudowanie wystawiono; prócz tego jest tu jeszcze żydowska szkoła realna z kursem handlowym, szkoła dla dziewcząt i zakład dla wychowania żydowskiéj młodzieży, w którym przeszło 200 chłopców ubogich edukacyję i naukę w Talmudzie pobierają. Chłopcy ci dostają corocznie nowy ubiór, i prócz tego większa część pożywienie. Dwudziestu nauczycieli, i prawie tyleż pomocników, udziela nauk w tym zakładzie. Życzyćby jednak należało, aby ten zakład, dla większego pożytku, podług wzoru tarnopolskiéj wolnéj szkoły był urządzonym.

Co do zakładów dobroczynnych, posiada miasto od bogatego Jüdla Nathansona, w r. 1815 wystawiony i po śmierci jego hojnie uposażony żydowski szpital. Zabudowanie to na piętro, stósownie do celu swego, jest urządzone, i odznacza się swym wzorowym porządkiem i czystością; piękny ogród przy takowém, służy do nabrania sił powracającym do zdrowia. Bogaty Nathanson nie zapomniał także w swym testamencie i o szpitalu chrześcijańskim. Istniejące tutaj cztery łaźnie, również do zakładów dobroczynnych policzyć można, dochody albowiem z trzech łaźni, obracane bywają na fundusz szpitalny, po części zaś na dom dla ubogich, w którym obcy ubodzy, podróżni, przez 16 dni wyżywienie i pomieszkanie, a potém wsparcie pieniężne na dalszą swą podróż otrzymują. Brody mają także 3 dobrze urządzone aptéki, 6ciu lekarzy, 3ch chirurgów, cukiernię, fabrykę cykoryi i papiernię.

Do miejsc poświęconych zabawie należy lasek pobliski, pański park, piękne ogrody p. Hausnera i Müllera, ogród owocowy p. Bernsteina. Hôtel Bacha służy do przyjęcia obcych i zaléca się dobrém swém urządzeniem.

Miasto liczy 22,500 mieszkańców, pomiędzy témi 17,000 samych Żydów, do tego jeszcze w przecięciu 1000 obcych liczyć można; z załogą wojskową zatém ludność cała wynosić będzie 24,000 dusz. Ma ono ważne wolności handlowe, prowadzi znaczny handel z Rossyją, Tureccczyzną, Multanami i Wołoszczyzną, a spekulacye tamtejsze rozciągają się od Irkutska aż do Paryża i Londynu. Jest tu 16 kantorów

kupieckich, przeszło 200 hurtowników i niezliczone mnóstwo kramarzy.

Już w wieku 14tym stała na tém miejscu mała wioska, założona od polskich osadników, którzy za panowania Jérzego, księcia Czerwonéj Rusi, z Mazowsza tutaj przybyli: miała ona mieć nazwisko Lubicz. Kazimiérz Wielki, lubiący osadnictwo i udzielający swym osadom wielkich wolności, powiększył i zaludnił jeszcze bardziéj to miejsce. Tylko przedmieście wraz ze wsią Folwarki wielkie, miało nazwę Brody, zapewnie od wiele brodów (moczar) tak zwane. Miejsce to swymi targami rocznemi, stało się wkrótce bardzo ważne dla handlu. To ściągnęło wiele kupców, mianowicie Żydów, którzy tutaj zamieszkali, i z których to osad wkrótce Nowe-Brody powstały. W przywilejach z roku 1629 miasto to już nazwę Brodów nosi, i należało do obszérnych posiadłości Aleksandra Koniecpolskiego, który za pozwoleniem króla Zygmunta, takowe przeciw napadom nieprzyjacielskim obwarował, i onym wiele wolności i przywilejów udzielił. Zamek roku 1648 oblegali Tatarzy i Kozacy pod Bogdanem Chmielnickim, ale go jednakże nie zdobyli. Późniejszy właściciel, Jakób Ludwik Podlewski, działał również w duchu swego poprzednika, przez co miasto do większego jeszcze przyszło znaczenia; z niego przeszła ta posiadłość na rodzinę hrabiów Potockich, teraz zaś jest własnością pana Mołodeckiego. Ważność handlu zagranicą, skłoniła rząd austryacki, iż najwyższym swém postanowieniem z 29. Sierpnia roku 1779, Brody za wolne handlowe miasto ogłosił. Od tego to czasu mogą tu być wszelkie zagraniczne towary wprowadzane, wyjąwszy regalia (artykuły cesarskie).

Pałac Emira Beschir w Betteddein.

„Pomiędzy różnemi pokoleniami, mieszkającemi w bliskości Libanu, (mówi jeden z najsławniejszych podróżników, P. Robinson,) odznaczają się tak walecznością, jako energicznym rządem pod wodzą szanowanego przez wszystkich Emira Beschir, Druzowie.“ P. Robinson poznał życie i zwyczaje pokolenia tego dokładnie, miał bowiem sposobność przypatrzenia się im, przebywając na dworze angielskiego konsula, P. Abbott w Beirut, zkąd częste robił wycieczki w głąb kraju. Druzowie w życiu swojém nie różnią się wcale od innych wschodnich narodów. Mężczyzni, jako i kobiety, ubierają się jak Turcy, wyjąwszy, iż ostatnie noszą na głowie strój dziwny, Tantur nazwany. Jest to do poduszeczki, na głowie leżącéj, przytwierdzony pręcik złoty lub srebrny, na który zarzuca się kawał muślinu, okrywający całą twarz i spływający równie z przodu, jako i z tyłu, aż do kolan. Niewiasta ma się za nieszczęśliwą, jeśli stroju tego nosić nie może. Córka znacznego urzędnika przy dworze Emira, prosiła ojca na klęczkach, aby jéj nie wydawał za mąż za przeznaczonego dla niéj oblubieńca, ponieważ ten z odległych będąc krain, mówił jéj, że toaletę swoją zamienić będzie musiała na inną, w jego ojczyznie używaną.

Pomimo wszelkich starań widzenia świątyń Druzów wewnątrz i przypatrzenia się ich obrządkom religijnym, nie było podobném Panu Robinson uskutecznić tego zamysłu, wszystko bowiem, co się religii tyczy, pokrytém jest tajemniczą zasłoną. „To, co mi o religii Druzów powiadano,“ mówi ten podróżnik, „same są tylko domysły; mają ich za zwolenników jednéj z licznych sekt mahomedanizmu, i zdaje się, iż w takim stoją stósunku do innych wyznawców Islamu, w jakim niegdyś zostawali Samarytanie do Żydów; dziwném nawet jest, iż ich inni Arabowie o bałwochwalstwo posądzają, jakoby cześć boską cielęciu oddawać mieli. Sami dzielą się na dwie klassy, na *Akul* (uczonych) i *Dżabel* (słuchających). Pierwsi, w liczbie 10,000, są kapłanami i nauczycielami, noszą białe turbany i odznaczają się skromnością szczególniejszą; wstrzemięźliwi są w najwyższym stopniu, nieużywają bowiem ani tytuniu, ani żadnych trunków gorących, mało mówią i nie przysięgają nigdy. Przełożony ich mieszka we wsi El Mutua, otoczony wybraną radą, rozstrzygającą wszelkie wątpliwości i sprzeczki w rzeczach religii. Każdy z Druzów, złożywszy dowody potrzebnéj nauki i moralnego życia, ma przystęp do klassy uczonych. Uczeni ci pozakładali liczne szkoły i uczą dzieci po arabsku, czytając z nimi Koran i ćwicząc je w pisaniu.

Lekarz Meryon z Marsylii, bawiący przez długi czas na dworze Lady Estery Stanhope (*), utrzymuje, iż Druzowie wierzą w przechodzenie dusz z jednego ciała do drugiego (metempsychosis). W księgach ich świętych ma być mowa najwięcéj o Abrahamie, Izmaelu, Pytagoresie i królu Dawidzie. Boga, stwórcę i rządzcę świata, pod nazwą *Hamsa* czczą. Obok Koranu, czytywanego tylko dla oka, mają mieć w wielkiém poszanowaniu Ewanielie. Wierzą nadto, iż Hamsa od czasów Adama siedm razy zstąpił na ziemię, a ostatni raz 400 lat po Mahomecie. Przyjdzie on raz jeszcze na świat ten, upokorzy Turków, rozszerzy religią Druzów i uczyni ją panującą na całym okręgu ziemi.

Pokolenie Druzów liczy 70,000 dusz; mężczyzni wszyscy zdatni do boju i wytrwali żołnierze. Czasu, w którym w okolicach dziś przez siebie zamieszkanych, osiedli, oznaczyć nie mogą, mówią tylko, iż przyszli do krajów tych bardzo dawno. Pewną jest, iż w końcu 16go stulecia dopiero zawojowani zostali przez Amurata III., który im rządzcę dał własnego, z ich

(*) Zob. Przyj. ludu rok VI, Nr. 13.



Durani. *Afghane.* *Tauschik.*

Druzowie.

łona wybranego; nazywał on się **Fachr Eddin**, długo przywodził szczęśliwie swemu pokoleniu, aż nareszcie, gdy coraz bardziéj stawał się Porcie niebezpiecznym, uduszony, na rozkaz Sułtana, rodzinie **Schebak** rządów ustąpił. Dziś panujący Emir, słynny z walki swéj przeciw Ibrahima zwycięzkim zastępom, nazywa się **Beschir** i jest z téj saméj familii.

„Sam Emir z małą liczbą dworu swego jest Katolikiem. Rząd jego jest energiczny, lecz łagodny. Rezydencya jego jest **Deir el Chamar**, na zachód Libanu, gdzie w dawnych czasach stał klasztór pod nazwą **Panny Maryi**. Miasto to liczy do 6,000 mieszkańców, dobrze jest zabudowane i bogate. Składy towarów wschodnich liczne. W środku miasta stoi pałac Emira w stylu włoskim, przez Emira **Fachr Eddina**, który przez długi czas we Włoszech przebywał, wystawiony. Dzisiejszy rządzca Druzów mieszka w pobliskiéj wśi **Beteddein**. Pałac jego na pół w wschodnim, na pół w europejskim guście wybudowany, leży w pięknéj dolinie. Obszerny przedstawia ci się przy wstępie dziedziniec, z trzech stron budynkami zamknięty; w jego środku wytryska w górę z marmurowego łoża mocnym promieniem woda, wodociągiem kunsztownym z źródła, o kilka godzin ztąd leżącego, sprowadzana. Na południowéj stronie dziedzińca stoją gmachy monarchy; na przeciw nich, mieszkania dla dworu i gości. Europejczyk, któremu dozwolony jest wstęp do gmachów Emira, ogląda wszędzie bogactwa i przepych z gustem połączone, jakich nigdzie w swojéj części ziemi niewidzi.

„Uzyskawszy pozwolenie zwiedzenia mieszkania Emira **Beschir** w Betteddein, wstępując na dziedziniec, (mówi P. Robinson), zastałem na nim starca, przeszło 60 lat mającego, gdy z licznym orszakiem dworzan i gwardyi swojéj, powrócił był z łowów. Srebrna broda spływała aż na piersi; ubiór jego turecki bardzo był bogaty; cała postawa starca przyjemna i poważna. Arab towarzyszący mi, powiedział natychmiast, widząc Emira, uprzejmie rozmawiającego z dworzanami, iż Wszechwładzca w dobrym jest humorze, że przeto posłuchanie mieć będziemy. Wprowadzono starca z wszelką okazałością do pałacu, a niezadługo zawołano i mnie do komnat Emira. Przyjął mnie bardzo uprzejmie, kazał usieść niedaleko siebie na złotém wezgłowiu, a wiedząc, iż zwiedziłem Egipt, dowiadywał się z wielką pilnością o zdrowiu i stósunkach politycznych **Mehmeta Ali**, którego się mienił być wielkim czcicielem. Przez cały czas pobytu mego w Beteddein, wszystko było na moje rozkazy, a żegnając Emira i dziękując za jego uprzejmą gościnę, otrzymałem z stajni jego konia dzielnego.“

Rzadkie dzieło.

Leges sumptuariae, albo uniwersał poborowy, na zbytki, utraty i niepotrzebne wystawy. 1649.

(Dokończenie.)

Z strony szat białogłowskich.

Choć się nie uczą w szkole,
Przecie wywiedą w pole.

Od każdéj jedwabnéj szaty, za którą się ogon wlecze, złotych cztery. Od ormętta kunami podszytego, złotych 4, a sobolami zł. 8.; od pożyczanego zł. 1. Od płaszczyka, u którego przodki sobolowe, a pod wszytkim nie-



Pałac Emira Beschir w Betteddein.

ma nic, złot. 6, gdyżby lepiéj barana pod cały kupić dla ciepła, niż wyłogami tylko świat grzać, a grzbiet ziębić. Od szaty otworzystéj, by czucha turecka, czerwony złoty. Od obroży na szyi, albo bindy ze złotemi koronkami aż za kolana, co nic po niéj, po zł. 12. Od dyndela u ucha i od noszenia, by żaba, taler. Od piórka za biretkiem, zł. 1. Od trefienia się, by sowa, zł. 1. Od tego, co się kudlą z francuzka, zł. 9. Od pasa srebrnego, tak wiele jako zankiel zaważy. Która się w mieście sześcią koni wozi, a processya sług przed nią idzie, zł. 10. Od treplów, których djabeł trafiać pomaga, a jednéj Pani były w szyję wrosły, taler. A iże męże swe namawiają i wszystko proszą, aby wyżéj siadały, żeby się o urzędy jakie starali i nawet je kupowali, tedy się o to starać, aby tych urzędów przyczyniono dla nich, aby do jednego urzędu było dziesięć urzędników: tedy im się tém dogodzi z strony miejsca. Od pierścienia, co nim skazuje, albo na pannę kiwa; zł. 1. Od bramek kosztownych, kształtem urobionych z pontałami, złotych 4. Od pożyczanych zł. 1. Od przyprawionych włosów trupich po groszy 20. Od pokoszczanéj twarzy, złoty 1. Od kraszonych brwi groszy 14. Od umizgania groszy 24. Od łańcuszka zł. 1. Od manelli, po którym upominku nic, zł. 1. Od patynek haftowanych, groszy 16. Od pontałów na szacie i na birecie, zł. 3, od korony zł. 10. Od ubioru po hiszpańskn zł. 10, po włosku 5, po francuzku 12. Od przepalanych wódek do umywania lica, po groszy 6, gdyż się dobrze prostą i oczom zdrowo umywać. Od kamienia każdego drogiego, zł. 6. Od koszuli z tkaniczkami marszczonemi, zł. 1. Od pończoszek ozerwonych, groszy 24, od białych groszy 15. Od namiotów do łoża zł. 8. Od kobierca na ziemię u łoża posłanego, zł. 4, gdyż dobra rogoża i tańsza. Która długo sypia, zł. 1. Która mężowi nie wierzy, zł. 10, bo sama nic dobrego. Która mężem rządzi, zł. 20; bo, biada temu domowi, gdzie dobodzie krowa wołowi: gdzie donica rządzi, tam wiercimak błądzi. Która sobie trefieniem czoła wyciąga, żeby za młodą uszła, zł. 40, bo ta młodzieńce zdradza, gdy się uwałkuje. Które używają dragantu, kamfory, mastyki, mają dawać po 10 zł. od apteki. Która nogę wystawia, pół talara. Od dwóch dziewek, co za nią idą w czamletach tureckich, po zł. 16., bo dosyć jedna w makowém suknie, kolor nie blaknie. Od koronek płóciennych, co 19 zł. łokieć, ma dać 60 zł., jeżliby ich sobie nie umiała zrobić: będzieli je umiała robić, najpierwéj ją za mąż wydać. Która gębusie sznuruje, po 12 groszy. Wszystkie, które od Ewy, matki naszéj, starodawny zwyczaj, w piśmie ś. zalecony, kądziel i pracę z domu wygnały, a strojów się zbytnich jęły, na które każą z Holandyi forboty, korony, płótna szwabskie, rąbki kolońskie umyślnie wozić, a to wszystko tam białegłowy robią, taka każda niegodna za mąż iść, ani się stroić, kiedy nie umie robić; od takiéj ma dać matka na miesiąc po 12 zł., a Panu Bogu surowy rachunek, że jéj nieuczy robić, ale stroić.

Z strony mężczyzn.

Młodzieńcy zaś, którzy szpetni a miłośni, mają dawać po zł. 6.; którzy z regestru się zalecają, zł. 2.; którzy na pamięć, zł. 1. Który tańcuje, a nie umie, groszy 10., bo lepiéjby

zaniechał. Który tylko na jednę nogę skacze, zł. 10. Biskup, któryby tańcował, od każdego tańca zł. 60. Opat zł. 20. Kanonik zł. 10. Proboszcz zł. 6. Pleban zł. 2. Wikary zł. 1., bo ci powinni wszelakiéj pokory przykład dawać. Pan, który muzykę chowa, powinien dać od niéj poboru zł. 300, bo lepiéj na to miejsce puszkarza chować. Od regału zł. 10. Od instrumentu zł. 6. Od puzana zł. 1. Od skrzepic zł. 2. Od sztortu, co beczy, zł. 1. Od cytry groszy 10. Od lutni, groszy 20. Dudę wolno będzie chować, chociaż zje za dwoje psów, a wypije za dziesięć wołów, bo mniejszém go mytem odprawi, niż organistę, bo dudy nie tak drogie, gdy kozieł po śmierci wrzeszczy, a woźnica go drażni. Który chowa myślistwo, a dla niego się nędzi, zł. 20, bo lepiéj tém kilkanaście wieprzów uchować i karmić, niż sobie grzbiet, niepewną zwierzynę goniąc, ocierać, w harapie szyję nałomić, konie posadzić, swędu wąchać, gdyż nie tak zwierzyny potrzeba, jako taniego chleba. Pan, który w łańcuchu złotym, a w jedwabnych szatach chodzi, a słudzy za nim pod pióry, zł. 40. Od każdego pachołka, po złotemu. Ktoby nie mając folwarków na troje z korzeniem jadał, od każdego korzennego nad jedno, powinien dać zł. 1. Axamitu łokieć, aby po 20 talarów przedawano, złotogłów po sto, telet po 50 talarów, aby się pychy i utrat umniejszyło, pod winą stu talarów. Skórę safianu po 10 czerwonych złotych, pod tąż winą. A ktoby za kobiercami siadał, a folwarków nie miał, od każdego kobierca ma dać zł. 1. Ktoby dwór nad sto talarów kosztowniejszy z drzewa budował, a nie murował, mogąc, ma dać na każdy rok poboru i na ogień odkładać, zł. 10. Któryby szlachcic na jednym folwarku więcéj sług nad dwu, a trzeciego chłopca chował, nie będąc urzędnikiem, albo dygnitarzem jakim, ma od każdego dawać po zł. 6. A ktoby się nad dziesięć grzywien o mniejszą rzecz pozywał, od każdego pozwu winy ma dać grzywien trzy, albowiem kto chce wygrać kaczora, musi stracić gąsiora. Łgarze, pochlebcy, zwodnicy, powinni dać po zł. 40, bo ci mają jurgielt pewny. Rzemieślnicy, którzy w safianiech chodzą, trzeba je z nich zzuć, bo skóra czarna dobra, a nie tak kosztowna. Kostera każdy ma dać zł. 50, bo ten prędko zarobek miewa. Który wschodek od brzucha do gęby z guzów uczyni, albo drabinkę z pętlic, albo nogi pontały, albo czapragi obuje, by maślanką popluskał, taki jako kaligula powinien dać po zł. 2. Strzelcy, co proch na wiatr darmo z puki puszczają, na bruku strzelają od kaletki, co w niéj miasto pieniędzy ołów chowają na bliźniego, by żubra, od każdego ładunku, albo puku, zł. trzy: bo ludzie dobre głuszą i w nocy wyspać im się nie dadzą. Kto nad przyzwoitość potrzeby wymyśla, ma dać od wymysłu złotych sto, bo tym drugie napomyka, psuje i do utrat przywodzi. Szlachta brukowa, od poboru wolna, jako jezdcy bez konia, bo przepiją by djabła; a tak ich od miast o swym groszu na wojnę wygnać. A gdyby chłop szlachcica w karczmie ubił, od basarunku ma być wolen, a jeszcze on ubity szlachcic ma dać winę onemu, co go ubił, za każdą ranę według statutu, że pił w karczmie i dał się ubić. Nierządnice też powinna rzecz z miast wygnać, albo wyświecić, bo się trudno im polepszyć: ze złego nałogu, trudno ku Bogu. Lichwiarze, którzy jako mól łażąc, jedzą substancye ludzkie, lichwą żyją i dziatki swe przyodziewają, od Boga i od ludzi przeklęctwo mają, a do tego od nas *in duplo* mają być karani i do skarbu, dla obrony Rzeczypospolitéj, trzecią część muszą dać. Marnotrawcę każdego, jako utratnika dobra swego i Rzeczypospolitéj mieć, albowiem, kto sobie zły, a cóż innym nie ma być gorszy? jeżli sobie nie jest pożytecznym, jako komu innemu ma być. Item, mądrego bez dobrych uczynków i nieprzykładnego, starego, nienabożnego, młodego, nieposłusznego, bogatego nie jałmużnika, białogłowę nieuczciwą, młodzieńca niewstydliwego, lud bez prawa, pospólstwo bez karności, które to nadużyciem wieku zowią, nie cierpieć. Poborcom tych rzeczy, którzyby kominów murowanych nie mieli, ma im być na nie dano z tego poboru *solarium*, od złotego po pieniądzu, jeżli go sobie nie wezmą.

Te wszystkie artykuły rozumiejąc być potrzebne Rzeczypospolitéj tak z strony pohamowania się od zbytnich, a sprosnych rzeczy, jako też pożytku do skarbu pospolitego, słusznie, aby były chowane i trzymane dla dobra pospolitego."

O stanie nauk w akademii krakowskiéj za Augusta III.

(Ciąg dalszy.)

Ćwiczenia i popisy w szkole główněj krakowskiéj.

Poznawszy dobrze stan nędzny umiejętności i niepodobieństwo przyprowadzenia starych akademików do poprawy onego; należy oddać sprawiedliwość temu zgromadzeniu, co do sposobu ćwiczenia, którego używano w wydziale filozoficznym dla bakalarzy i doktorów filozofii. Były to tygodniowe popisy; na tych młodzież akademicka winna była okazać pożytek z nauk dawanych.

Dziekan wydziału naznaczał kwestye lub propozycye z logiki, fizyki i z filozofii moralnéj; bakalarz, lub doktor wedle kolei, winien był odpowiedzieć na nie w sposobie dyssertacyi, opisać historycznie stan rzeczy, roztrząsnąć wszystkie inne w téj mierze opinie, położyć swoję konkluzyą, one dowodami poprzeć i na wszystkie czynione sobie zarzuty odpowiedzieć. Takowe ćwiczenia nazywano aktami publicznemi; jakoż każdemu wolno było przyjść i zarzucać

trudności przeciw wyznaczonemu na akt bakalarzowi lub doktorowi.

Dobre popisywanie się na aktach rzeczonych, zjednywało w wydziale filozoficznym promocyą dla młodych akademików; bakalarz n. p. zyskiwał w pewnym czasu przeciągu stopień doktora. Wtenczas wedle przywileju Zygmunta I. wolno mu było obrać sobie herb, co znaczyło, iż od owego czasu zyskiwał dostojeństwo szlachectwa, jeżeli nie był szlachcicem. Zrobiony doktorem, zyskiwał znowu w przeciągu lat kilku wolność używania togi akademickiéj, jeżeli to drugą pracą zasłużył. Daléj otrzymał miejsce w kollegium mniejszém między professorami nauk wyzwolonych; nareszcie przechodził do kollegium większego, co było największą w wydziale nagrodą. Do promowowania z pożytkiem około nauk wyzwolonych i umiejętności, najbardziéj przeszkadzało, że tę władzę uważano jako niższą od trzech innych; mniéj jeszcze w téj mierze szkodziła sama opinia; więcéj nierównie oczywiste straty. Zawsze nauczyciel filozofii był ubogi, i jeżeli chciał przyjść do miernego przynajmniéj sposobu życia, musiał filozofią lub matematykę porzucić, a udać się do teologii lub prawa.

Ludzie sławni w wydziale filozoficznym.

Po opisaniu stanu nauk wyzwolonych w szkole głównéj krakowskiéj, trudno się spodziewać, aby wydział filozoficzny liczył wielu ludzi takich, którzyby zasłużyli na wspomnienie w dziejach narodu polskiego. Co do nauk wyzwolonych, można przecież wymienić Tomeckiego, jako dobrego łacińskiego poetę, pod którym pierwsze początki gustu wziął Trembecki, sławny nasz wierszopis; z mówców polskich ks. Biegaczewicza, który wcale dobrym stylem i czystą polszczyzną pisał. Ksiądz Szlęczkowski uchodził za dobrego mówcę między akademikami; lecz jego prace nie oddają mu tego świadectwa; inni na wspomnienie nawet nie zasługują. Co do umiejętności: można wspomnieć ks. Świątkowskiego, jako najlepszego pod ów czas w Krakowie matematyka, który był uczniem Wolfa, uczonego sławnego w Niemczech.

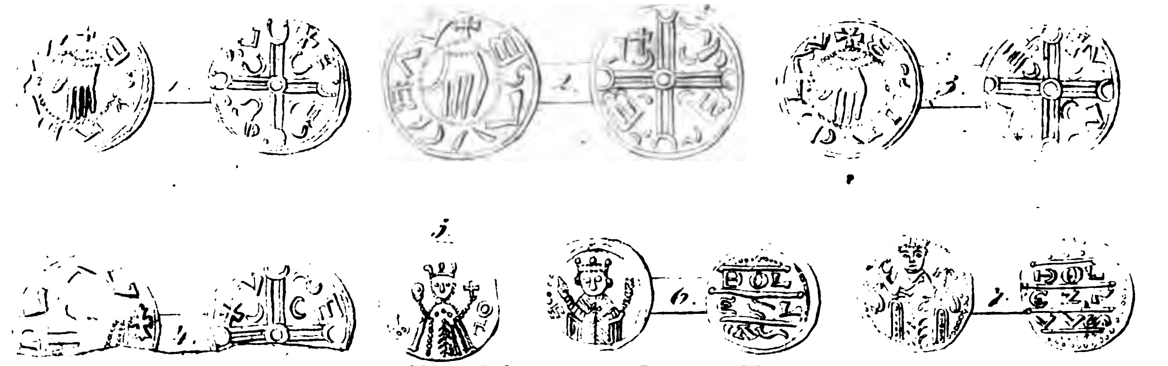
Świątkowski wydał 1764. dzieło: „Prodromus Polonus“, w którém się zastanawia najwięcéj nad naukami w Polsce i porównywa uniwersytet krakowski z innemi w Europie. Ks. Stęplowski wydał dyalektykę Arystotelesa, dla szkół pospolitych; nad te dwa dzieła nic więcéj nie wyszło z druku w akademii krakowskiéj, lub indziéj, przez akademików w wydziale filozoficznym pracujących napisanego. Pisano kalendarze, panegiryki, mowy pogrzebowe, dyssertacye zwyczajne, przy promocyach bakalarzów i doktorów, zaszczycone zwykle imieniem jakiego mecenasa. Był to raczéj wiek dedykacyi, jak dzieł; nic nie mogło pokazać się na świat, żeby jakiemu mecenasowi ofiarowane nie było.

Jeżeli zabrakło na wspaniałym i hojnym na ziemi, szukano go w niebie między świętymi, byle dedykacya miała przyzwoity dla siebie objekt. Moda, pochlebiająca próżności źle oświeconych mecenasów, najwięcéj zatrudniała heraldykę i genealogią: były to u nas czasy, co do dumy, podobne onym, dla jakich w Rzymie trzeba było zmyślić przybycie Eneasza do krajów włoskich, chcąc pochlebić familii Juliuszów, lub wyprowadzić proste pochodzenie od Herkulesa familii Antoniuszów. Magnaci nasi, za pomocą wielu dedykacyi, zyskiwali gruntowne wiadomości, albo o cudownych początkach, albo pochodzeniu sławnych w Grecyi i u Rzymian wodzów, albo od jakich królów i książąt panujących w Niemczech, lub gdziekolwiek indziéj, byle nie w Polsce; bo to było zanadto pospolite szlachectwo, które mogło znaleść swój początek w ziemi ojczystéj.

Nie można wady téj przyznawać samym tylko akademikom, była ona powszechna wszystkim, którzy chcieli uchodzić za mądrych w czasie owym, kiedy wydawano z kilkanaście arkuszy dedykacyi. (Ciąg dalszy nastąpi.)

Najdawniejsze pieniądze polskie.

Dwoma ważnemi dziełami zbogacona została literatura nasza, w krótkim przeciągu czasu, *Galeryą medalów polskich* Edwarda hrab. Raczyńskiego i *Numizmatyką krajową*, opisaną p. K. Wł. Stężyńskiego Bandtkiego, który nam T. I. pracy swojéj w Warszawie r. 1839 ogłosił. „Numizmatyka, nauka tak wielce pomocnicza historyi, przechowująca pomniki przeszłości, świadczące o wczesnéj cywilizacyi kraju, jego przemyśle, stósunkach społecznych z odległemi państwy, i wzajemnie o różnych na przemian chylącéj i wznoszącéj się pomyślności kolejach, była prawie w zupełném u nas zapomnieniu aż do chwili, w któréj uczony Tadeusz Czacki zwrócił pierwszy na nią uwagę, usiłował wyśledzić i zachować przez czas i zaniedbanie zarzucone zabytki starożytne, obudził ducha zamiłowania do badań i poszukiwań odwiecznych dziejów, i położył przez to tamę dalszéj zagładzie historycznych pomników. Odtąd łożono u nas więcéj starania na tę część historyi, zaczęto z większą gorliwością tworzyć zbiory numizmatyczne, a liczba numizmatyków coraz bardziéj zaczęła się pomnażać. Pragnącym atoli poznać ogół numizmatyki, dawał się wtedy czuć niedostatek cząstkowych materyałów. — Dzieła Brauna i Czackiego, zastanawiające się główniéj nad dziejami rzeczy menniczéj, niezaspakajały zupełnie ciekawości czytelników, bo zbyt mało zawierają opisów monet, z których bardzo wiele było im wcale nieznanych, gdy rzadko kto mógł się naówczas poszczycić



Najdawniejsze pieniądze polskie.

jakowym zupełniejszym zbiorem. Późniejsze starania i odkrycia, dały nam dopiero sposobność bliższego i szczegółowego poznania monet, które często prostuje mylne domniemania dawniejsze. Miłośnik numizmatyki, poszukujący wiadomości w dziełach obcych, wiele doznaje trudności w ich nabyciu, a mało pożytku z ich posiadania, bo zawierają one mniéj dokładne i ułamkowe opisy niewielkiéj liczby monet polskich, jakby przypadkiem, bez żadnego systematu, pod uwagę zebranych.“ — Autor chcąc przysłużyć się dokładniejszym obrazem numizmatyki polskiéj miłośnikom rzeczy narodowych, zgromadził wielkiém staraniem i kosztem szacowny zapas starych pieniędzy, czerpał nadto z dzieł, których tylko w kraju mógł dostać, a mając przystęp do zbiorów Fr. Potockiego, Xaw. Segny, X. P. Szymańskiego, Przeszkodzińskiego, T. Lipińskiego, K. Stronczyńskiego, zebrał ich najciekawsze exemplarze i opisy, obiecał nadto uzupełnić swą pracę tomem drugim, którym, żeby nas jak najprędzéj obdarzył, życzymy.

Dzieło to zajmuje stron 159 in 4to., z 38. tablicami litografowanemi.

Najdawniejsze pieniądze polskie wyjęliśmy z wspomnionego dzieła; są to pieniądze Bolesława Chrobrego i Bolesława II. — Nr. I., II., III., IV. Strona ich główna przedstawia rękę Opatrzności, w obwodzie perłowym pomięszane litery w rozmaitych odmianach, z których daje się ułożyć wyraz BOLISLAV. Strona odwrotna pokazuje krzyż przyozdobiony półksiężycami, pomiędzy ramionami którego zawarte są, równie bez porządku, litery oznaczające mincarza i miejsce bicia monety. *Vrocislavia civitas.* Monety te bardzo rzadkie widział autor w zbiorach Konst. Świdzińskiego i Rasławieckiego.

Nr. V. jest *brakteat.* Osoba w majestatycznym stroju, na głowie korona, w prawéj ręce jabłko królewskie, w lewéj berło; pod prawą ręką litery BE, grzbietami z sobą złączone, pod lewą zaś OL; z tych liter początkowych wyrazu: *Bole*, wyczytać można *Boleslav.* Rysunek téj monety jest ten sam, jak Nr. VI., gdzie pod prawém ramieniem jest taka sama litera *E* i *B*, podobna do przekreślonéj litery *D*, jak na Nr. V. Jest to więc pieniądz bity w pierwszych latach panowania Bolesława II. Śmiałego od r. 1058 do 1079; znajduje się w zbiorze P. Przeszkodzińskiego.

Nr. VI—VII. Strona główna: Osoba siedzi na majestacie, podobna do poprzedzającéj; berło odmienne. Strona odwrotna: Napis w trzech liniach BOLEZLAUS. Nr. VII. na str. głów. jest nieco odmienny w postaci, berle i w poręczach tronu, podobnych do liter *SS*, a na stron. odwrot. litera Z innego kształtu. Są to dwa denary Bolesława II. Śmiałego. Trzy te pieniądze są niezaprzeczenie jednego monarchy, okazujące zarazem, jak widocznie się poprawiała czasu swego sztuka rzeźbiarska.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (*Red. J. Łukaszewicz.*)

Przyjaciel Ludu.

Rok szósty. No. 37. Leszno, dnia 14. Marca 1840.



Osieczna.

Osieczna.

(Z zbioru gawęd wielkopolskich.)

Czarowną jest okolica Osieczny, zwłaszcza dla przybywającego od zachodniéj jéj strony. Po żwirach złotowéj piasków topieli jedziesz ocienion z dwóch stron gałęźmi stuletnich wierzb; po lewéj wlecze się łańcuch wzgórz różnobarwem postrojonych zbożem; po prawéj zielona, jako niwa rojeń młodzieńczych łąka, tu się złotym przywabia kwiatem, ówdzie jasnobłękitną nęci niezapominką, tam znów przyciąga śniegiem majowego kwiecia, które z rozsianych tu i ówdzie po niéj krzewin wietrzyk w białych roznosi falach. Po nad wałami krasnéj zieleni grają roje komarów, szybują jaskółki. — Wtém przeleci jastrząb i pogna z świerkiem pierzchające ptastwo.— W dali kmiecy koń szczypie łapawkę — tam trzoda wolnym krokiem już stąpa do wioski — w okeło cisza. Czasem ją tylko skłóci skrzyp derkacza lub poświst wodnéj kurki; czasami rechtanie żabek w dalekich olchach i śpiew samotnego kosa.

Wyżéj, w powietrzu balsamem setnych wyziewów przepełnioném, upędzają dzikie kaczki i kuligi — za niemi z donośnym wrzaskiem płynie, zwinąwszy w kłąb szyję poważna czapla, lub białopióry łabędź srebrnemi przegrywa skrzydły. Wszystko pod wieczór ściąga na błyszczące w dali, na wschód rozległe jezioro, które tak ozdobnie opromienia jaskrawym wieńcem zachód purpurowy.

O luba ziemio, jakżeż słodko podumać dziś w pośród ciebie! Zmartwychwstałe twe życie budzi w piersi zamarłe głosy wspomnień tysiąca i czarodziejskim swoim urokiem zakrzepłe, znów wskrzesza nadzieje. Jak błogo, odetchnąć swobodniéj na twém łonie! — Na krople wonnéj twéj rosy chciałbym roztopić mą duszę i z pełnéj twojéj czary, ojczysta przyrodo! pić krocie roskoszy, któremi skrapiasz tę ziemię. Pragnąłbym być echem twéj swobody, na strony wielkiéj harfy rozprężyć serca mego bicia i uderzyć tryumfalny hymn dziękczynienia twemu Stwórcy!

Jak myśl bez granic, buja oko po tym rozległym obszarze wesela, z każdego przedmiotu ssąc napój roskoszy, aż zakrążywszy bardziéj ku wschodowi, na nowym spocznie widoku. Jak stado żórawi na czystém przy-

padłe polu, pną się tu stopniowo pod góry drobne, lecz porządne, gęsto zbite mieszkania. Nad gontowe, miejscami ceglane ich dachy, wybiegają dwie wieże kościołów, które w dali przesięgają niebotycznym swym szczytem starożytny klasztór. Takim obliczem, wędrowcze zachodu, wita cię miasteczko Osieczna.

Z wypogodzoną twarzą, weselem w duszy, wjeżdżasz do niego. Przecież na samym wstępie zasępi twe czoło sterczący ku prawéj gmach starożytny, wyniosły, ale spustoszały. Jest to dwór, a jak wielu go mieni, zamek osiecki. Wpół z drzewa, wpół z cegieł zmurowany, wznosi się dom ten o dwóch piętrach po nad samém jeziorem w dolnéj części miasta. Zewnętrzna jego postać wcale nie okazała, zewszech stron zniszczeniem napiętnowana. Ściany wyrzucane wapnem, dziś po wielu miejscach już odpadłém, ukazują zaczernione czasem cegły lub przegniłe przyciesi; szyby okien, częścią zabrudzone, częścią wybite, a dach z gontów przegniły, świeci na wylot znacznemi otwory. Przykrym i odstraszającym jest widok téj ruiny: przecież nie odwracaj się od niéj ze wstrętem przechodniu; o postój chwilkę i zajrzyj głębiéj w serce jéj dziejów. Ma i ona duszę, co to umarłe, butwiejące ożywia ciało, ma i ona swoje dalekie, dziwne wspomnienie, co się wyprzędło z jéj murów, i teraz, niby kwiat grobowy, uwieńcza tę walącą się w gruzy pustkę.

Przed laty kilkudziesiąt, tak niesie podanie, miało się w tym dworze pojawiać widmo kobiety. Okropny szelest, z jakim wśród nocy nawiedzało jego mury, wypędził zeń wszystkich mieszkańców, a wieść o straszném zjawisku rozleciała się wkrótce po bliższych i dalszych sąsiedztwach, w przeciągu roku po całéj niemal Wielkopolsce. Różne ztąd powstały mowy: światlejsi, jak zwykle, brali to za bajki, w co prosty lud ślepo wierzył; inni, chociaż wprost nie zaprzeczali, żądali przecież naocznego przekonania; byli zaś i tacy, którzy, acz dziwnemu zjawisku żadnéj nie przypisywali cudowności, przecież jako z naturalnych przyczyn dające się wytłómaczyć, bez wahania przyjmowali. Do liczby ostatnich należał mąż sławny w swoim czasie z głębokich nauk, zwłaszcza przyrodzonych i matematycznych, lecz niemniéj słynny z rzadkiéj i przykładnéj pobożności kapłan, ksiądz dziekan Rogaliński. Przypadek sprowadził tego sędziwego już pasterza do Osieczny, a jeszcze dziwniejszy wskazał mu mieszkanie w bliskości zamku. Mimowolną zdjęty ciekawością oglądania gmachu, o którym w całéj niemal Polsce tyle dziwnych opowiadano wieści; gdy się doń, ile przy wieczornéj porze z niejakiém zbliżał podziwieniem, wyszedł z bocznego domku osiwiały staruszek, wspierający się na kiju, w wytartéj już nieco czamarze, wełnianym pasie i czapce zawiesistéj. Nieznajomy, ujrzawszy kapłana, stanął jak wryty, długo nań patrzał z zastanowieniem, aż postąpiwszy kilka kroków naprzód, ozwał się: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!“ Na co gdy tamten stósownie odrzekł, dopiero staruszek wypogodził pomarszczone czoło i tak mówił: „Pierwszyś to Wielm. Dobrodziéj, którego tak spokojnie i tak blisko widzę, obzierającego ten gmach tu. O gdybyś wiedział, co się w nim wewnątrz dzieje, pewnobyś go więcéj nie zwiedzał.“

„Szanowny ojcze,“ odparł z powagą kapłan, „wiem, co masz na myśli, i dla tego właśnie tak się ciekawie przyglądam temu dworu.“

Na te słowa cofnął się o kilka kroków staruszek i wrył na wpół podziwienia, na wpół zgrozy pełne oczy w pasterza. Co gdy tenże spostrzegł, „nie lękaj się,“ rzecze, „ojcze, jestem takim, jak ty, człowiekiem i równego z tobą wyznaję Boga, jak cię utwierdzi ten krzyżyk złoty z męką Zbawiciela na méj piersi; ale jako namiestnikowi jego na ziemi, nie przystoi mi dawać wiary byle czemu. Opowiedz mi raczéj, zkąd się wzięło i od jak dawna widmo, które was tu w tym gmachu tak wszystkich trwoży?“

„O długa to i smutna powieść, mój Dobrodzieju,“ rzekł starzec, „słyszałem ją jeszcze dzieckiem od ś.p. dziadka mego — jakiś wstręt mi niewiadomy wstrzymywał mnie od wyjawiania jéj innym; przecież przed Wami nie śmiałbym dłużéj zatajać, co w osłabionéj już zostało pamięci — słuchajcie.“

„Nie myśl Asendzi, żeby ten zamek dzisiaj pustką stojący, zawsze był tak głuchym i opuszczonym. O były tu pono czasy, ale ileż to lat temu miły Boże! były, mówię, czasy, kiedy wcale innym jaśniał on kształtem; kiedy w tych omszałych ścianach wrzały szumne zjazdy okolicznéj szlachty, biesiady, zabawy, mnóstwo służebników i dworskich zapełniało te samotne komnaty. Bo dziedzic jego był Pan zamożny i cnotliwy, więc każdy go chętnie nawiedzał i lubił z nim przebywać. Dobrze się też za niego wiodło i wszystkim poddanym; nie skarżył się chłopek na ucisk podstarościch, nie jęczał pod plagami nielitościwych zarządzców. Ale gdy na głos wpadnięcia tam gdzieś daleko w Polskę jakichś straszliwych nieprzyjaciół i Pan tutejszy musiał z innymi chwytać za szablę i ruszyć na wojaczkę, wszystko to poszło w niwecz, jakbyś ręką przewrócił. — Żona jego bowiem, pani krasna jak jagoda, ale dumna, a pono i trochę rozpuście oddana, po oddaleniu się męża, jęła szumieć i trwonić wszystko, co on przemysłem i oszczędnością nagromadził, aż wreszcie zły duch rozwiał i reszty dobytku. Przyszła bieda, za biedą i większe niecnoty. Miał się tu znajdować natenczas jakiś lekarz włoski, z którym pono

groźna pani, nikomu nie przystępna, miała miewać tajne schadzki i rozmowy. Lecz Bóg to tam najlepiéj osądzi. Ten, gdy poczęto mówić o powrocie pana, nagle gdzieś z domu zniknął; nikt nie wiedział, gdzie się podział. Po kilku miesiącach wrócił; Pana dotąd nie było, aż wreszcie posłyszano, że kiedy wracał już do domu, gdzieś tam nagłą zginął śmiercią. Wielki był żal wszystkich domowników, mieszczan, całych gmin z okolicy. Jęto różne ciskać porozumienia na faworyta pani, nawet odgrażać się, gdy jednéj nocy wyniósł się ztąd tajemnie i więcéj nie wrócił. Teraz dopiero pani, snać upomniona od Boga, odmieniła życie; zaczęła pokutować, w ubogiéj szacie chodzić na długie modły do kościołów, suszyć całe tygodnie, jałmużny rozdawać ubogim, aż wreszcie w zgryzocie i nędzy umarła. Myśleli wszyscy, że Bóg jéj przynajmniéj na tamtym świecie odpuści grzechy, bo z jéj przyczyny cały upadł majątek, nawet podobno pan tajemnie zabitym został. Ale za krótką snać jeszcze była jéj pokuta tutaj na ziemi, bo co noc wraca na nię i trwoga przeraża nas wszystkich. O wielki Boże! ileż to modłów i westchnień już poszło za nią do nieba, ileż mszów ś. i postów było; wszystko na próżno. Pomódlcie się za nią Dobrodzieju, może wasza prośba będzie skuteczniejszą."

Zastanowiła dziekana dziwna ta powieść starca, wszakże nie zdołała przekonać o prawdzie cudu. Pożegnawszy go z uprzejmością, udał się w zamyśleniu do mieszkania, dokąd ciekawość widzenia tak znakomitego męża, zwłaszcza tak cnotliwego pasterza, sprowadziła kilku z pierwszych mieszczan Osieczny: w gronie ich znajdował się i Ojciec Onufry, gwardyan miejscowego klasztoru OO. Reformatów, z którym naszego pasterza dawniejsza już łączyła znajomość. Gdy X. Dziekan Rogaliński po powitaniach gości i ogólnych kilku zapytaniach zwrócił nieznacznie rozmowę na pokutowanie w zamku, przysunął się do niego tenże i wśród rozlicznych giestów rzekł po łacinie: *Reverendissime, non licet sacra miscere profanis; sed horrendum, horrendum dictu!* kończył z miną tajemniczą. Wszakże dziekan nie zważając na to, wypytywał się szczegółowo o wszystko. A panowie miejscy przyzywali wszelkiéj do ust elokwencyi na zaspokojenie jego ciekawości, zbyt często tak rozdrabiając swe opowiadania, że i ponury gwardyan, który do tego niebieskiego, jak się wyraził, sekretu, nie chciał przypuszczać prostaczków, pomimowolnie rozmarszczał zasępione czoło i potakiwał głową. Bawiły światłego dziekana te, jak mniemał, baśnie łatwowiernych, coraz więcéj się wypytywał, chociaż częstokroć ledwo zdołał stłumić śmiech głośny, gwałtem się do ust cisnący.

„Moje dzieci," przerwał nareszcie, „pozwólcie, niechaj i ja ducha oglądam. Kto wie, może wam weselszą przyniosę o nim wiadomość, jak te wszystkie, któreście dotąd słyszeli. Walenty!" zawołał na sługę, „pościelesz mi w zamku, w tym pokoju, w którym najmocniéj pokutuje."

Sługa wzrokiem trwogi pojrzał na Pana, niby badając, czy rozkaz jego nie był wyskokiem zwykłéj mu wesołości; ale ujrzawszy twarz jego poważnie zadumaną, odszedł wypełnić zlecenie.

„Jak też Wielmożny Dobrodziéj może się narażać na tak widoczne niebezpieczeństwo?" zawołał jeden z starszych obywateli. „Z duchami wojować — hm! nie ludzka to rzecz!"

„Kto wierzy przykazaniom boskim, kto ma dość czyste sumnienie, ten się niczego lękać nie powinien;" odparł z powagą kapłan.

„Prawda to prawda, zwłaszcza Wiel. Dobrodziéj, który jesteś jego zastępcą na ziemi, aleć to jednak, co duch to duch!"

„No — zażyjmy tabaczki, moi Panowie, a nie troszczmy się o to, co dopiero może nastąpić."

Poczém ojciec Onufry, poszeptawszy jeszcze coś po łacinie w ucho dziekanowi, pożegnał go i udał się na wieczorną modlitwę do klasztoru; reszta towarzystwa także się rozeszła. Ksiądz Rogaliński sam został — mrok już był zapadł. „Jakżeż Walenty, w dworcu czy posłano?" — „Stało się zadosyć rozkazom pańskim," odpowiedział drżący na samo to wspomnienie sługa. Tu kapłan przywdział na siebie komżę, przerzucił na nię stułę z czarnego axamitu, na któréj każdym końcu świecił z srebrnych galonków wyszywany krzyżyk. Na siwą już głowę włożył mały birecik, brewiarz w jednę, a krzyż z męką Zbawiciela w drugą rękę. — „Walenty, ty będziesz spał przy mnie." — Zadrżał i oniemiał młodzik na to wezwanie. Stanął jak wryty, długo ani słowa nie mogąc wybełkotać, aż po chwili nieco do siebie przyszedłszy, niziuteńko się skłonił swemu wesoło uśmiechającemu się panu, i prawie płaczliwym zaczął błagać głosem, żeby go od tak okropnego uwolnił obowiązku. „Nie, nie Wielmożny Panie! wszystko zrobię, we wodę wskoczę, ale tam... tam... już proszę Wielmożnego Pana..., nie, tam już nie pójdę!..." Rozśmiał się serdecznie z téj bojaźliwości prostaczka poważny kapłan i klepiąc go po ramieniu, rzekł z łagodnością:

„Nie lękaj się niczego moje dziecko! Gdzie ja jestem, tam ci włos z głowy nie spadnie. Wiesz, żebym i ja na niebezpieczeństwo nie podawał mego życia. Co o tutejszym powiadają dworze, jest czysta bajka. — Chodź tylko śmiało, a będziesz jutro szydził z tych wszystkich, których baranią skórą można wystraszyć. Z resztą wiesz, że ja najmniejsze twoje poświęcenie hojnie nagradzam;" i pokazując mu



Mehemed-Ali.

woreczek z czerwonemi złotemi, dodał: „sześć takich tymczasem odemnie dostaniesz, jeśli pana twego nie opuścisz!“

Blask złota, spokojność i apostolska rezygnacya pobożnego kapłana, wreszcie i dziecięce doń przywiązanie, nakłoniły strwożonego Walosia. Gdy przyszli na miejsce, uderzyła w mieście godzina dziesiąta. Dziekan Rogaliński, zapaliwszy dwie świece jarzęce postawił wraz z krzyżem na małym stoliczku, w środku rozłożywszy brewiarz. Potém zawarł wszystkie drzwi mocno na klucz, kazał się położyć słudze, sam zasiadł do modlitwy. Uroczysta cisza panuje w samotnym gmachu, w samotnéj komnacie. Niekiedy przerywał ją tylko coraz głośniejszy szmer pacierzy kapłana, co z złożonemi rękoma, okiem gorejącém, przy mdławym blasku świateł i błysku srebrnego nad świętą księgą krzyża, wzywa pomocy niebios. Czasem zakłóci ją i tęskne westchnienie pocącego się z trwogi Walosia, który na próżno snu przyzywa. Uderzy jedenasta — wszędzie głucho, jak wprzód. Bije północ. W dworcu powstaje szelest ogromny — głuchy grzmot zatrząsł jego ścianami — w samotnych kurytarzach gwałtowny rumot i już — już słychać coraz bliżéj pękające bocznych komnat podwoje. „O Jezus, Je...z...us!“ zakrzyknął, dzwoniąc ze strachu zębami, Walenty — porwał się z swojego posłania i uciekł. Dziekan Rogaliński został nieporuszony na swojém krześle. Przecież słysząc, że łoskot coraz więcéj się zbliża do jego pokoju, uchwyciwszy prawicą krzyż, powstał i czeka w milczeniu, co się daléj dziać będzie. Kiedy wtém nagle uderzyło w okół zimno grobowe; zadrżał święty kapłan — drzwi



Ibrahim.



Soliman.

się z trzaskiem roztwierają na ościerz — wchodzi osoba śnieżną osłoniona bielą i zwolna koło niego się przetacza. — „Czego żądasz, tajemnicza duszo?“ zapytał z powagą pasterz. — Martwiec nic nie odpowiada, drugiemi drzwiami wychodzi. Przerażony pasterz pogrążył się w myślach, sam siebie bada, czyby to nie była mara, złudzenie rozognionéj wyobraźni? — kiedy się powtórnie drzwi same roztwierają i widmo tąż samą powraca drogą. Nie ulękniony Dziekan powtórnie się zapytuje — postać znowu nic nie odrzeka, w milczeniu go mija — znika — drzwi się za nią z jękiem zatrzaskają. Dziekan Rogaliński stał długo w miejscu nieporuszony — wreszcie zbliżył się do drzwi komnaty i zastał wszystkie mocno na klucz zawarte. Wraca na swoje krzesło, kończy modlitwę — w dworze wszystko ucichło.

Spędziwszy noc całą na modlitwie, skoro dzień zajaśniał, Dziekan zwołuje wszystkich mieszczan do klasztoru i tam przed wielkim ołtarzem uroczyste odprawia nabożeństwo za pokutującą duszę. I od tego czasu nikt w dworcu nic nie widzi, nie usłyszy — cisza i pokój w nim wieczny.

A. B.

Mehemed-Ali, Ibrahim i Soliman-Bej.

Obrazek wystawia wiernie męża, który obecnie zwrócił na siebie oczy całéj Europy. Starzec ten, odwiedzany przez Europejczyków w stolicy swojéj, chętnie ich do siebie przypuszcza i zdarzenia życia swojego opowiada. Przed dwoma laty tak mówił sam o sobie do księcia Pükiera z Muskau w Luzacyi:

„Z siedmnastu dzieci ojca mojego sam tylko pozostałem. Dziewięciu braci, starszych odemnie, zgasło w pierwszych młodości latach; co właśnie było przyczyną, że rodzice bardzo mnie pieścili. Dotychczas tkwią mi jeszcze w pamięci gorzkie słowa towarzyszów mego dzieciństwa: „„gdyby Mehemed-Ali utracił rodziców, cóżby z niego było? nie ma majątku i do niczego nie jest zdatnym...““ Do żywego mnie te wyrzuty dotknęły, stale więc przedsięwziąłem zupełnie się odmienić i stać się panem moich namiętności. Dwa dni czasem ani jadłem, ani spałem, przemyśliwając nad sposobami, jakichby należało użyć do odniesienia zwycięztwa nad współzawodnikami moim. Pamiętam, z jakiém natężeniem jednego razu robiłem wiosłem na wzburzonem morzu, chcąc przed wszystkimi rówiennikami moimi przybić słabą łódką, na któréj się znajdowałem, do portu wyspy, celu podróży naszéj. Gdy wszyscy mnie opuścili, podwoiłem moje usiłowania, krwią się zafarbowały delikatne me dłonie, lecz w wielkim zapale nie czułem wcale bolu i szczęśliwie dopiąłem mego celu. Dziś jeszcze ta wyspa jest moją własnością.“ —

Matka Mehemeda w czasie ciąży miała mieć sen, z którego wróżono, że dziecię, mające się narodzić, dojdzie do najwyższego szczytu godności i potęgi. Często matka sen ten opowiadała Mehemedowi, lecz nie omieszkała zarazem dodawać, jaka była wie-

szczków przepowiednia; i to bez wątpienia było powodem, że młody Mehemed wcześnie już czuł się do wielkich dzieł powołanym. O szczegółach życia czynnego Mehmeda-Ali mówiliśmy już w Przyjac. Ludu r. II. T. 2. Nr. 35. i 36.

Zasługą jego szczególniejszą jest, iż wzniósłszy się nad przesąd swego narodu, chrześciańską oświatę wpajać usiłował w serca swych ziomków, co właśnie było przyczyną, że Egipt do tak wielkiéj pod nim przyszedł potęgi.

Tulił on się do łona narodu, który nad wszystkie przenosił, a przyjąwszy urządzenia Francyi, utwórzył sobie na jéj wzór wojsko na lądzie i morzu; sprowadził budowniczych, mechaników, chemików, lekarzy; za ich pomocą powystawiał koszary, szkoły, fabryki, rękodzielnie, szpitale wszelkiego rodzaju, nareszcie zaprowadził rząd, pewnemi ścieśniony ustawami.

Gdy w roku 1832. syn jego Ibrahim pasza spotkał się z Turkami, poraziwszy ich na głowę, zdobywszy Syryą i po dwakroć zwyciężywszy pod Bejlan i Koniah, wprost przez Azyą mniejszą zamyślał iść ku Konstantynopolowi; lecz bitwa pod Nezib (28. Czerwca 1839.), po któréj Sułtan utraconą Syryą odzyskać zamyślał, zatrzymała go nieco, lecz oraz pokazała światu, o ile wojska egipskie przewyższają tureckie tłuszcze. Wkrótce po téj potyczce został Mehemed Ali za niepodległego rządzcę uznany, a Egipt z Nubią, Senaar, Arabią i Syryą dla niego i jego następców w wieczne przekazany czasy. Pod Mehemeda rządem wzrósł Egipt w państwo potężne. Egipt, nie tak dawno cząstka ogromnego państwa Turków, jest teraz mocen 200,000 ludzi uzbroić i posiada flottę przeszło 30 okrętów (pomiędzy któremi 10 jest liniowych i sześć fregat.). Mehemeda Alego bez wątpienia można uważać za założyciela państwa, dynastyi rządzącéj w Egipcie i za największego męża wieku ponapoleońskiego; zwłaszcza, gdy się zastanowimy, że tylu nadzwyczajnymi odznaczył się czynami, będąc sam bez żadnéj nauki, wspierany jedynie niepośledniemi przymiotami przyrodzenia, w 42gim roku bowiem życia swego nauczył się dopiero pisać i czytać.

Nie mało téż do wykonania tak wielkiego dzieła przyłożył się Ibrahim pasza, syn jego, którego sława równie na wschodzie, jak i zachodzie lotem się błyskawicy rozeszła. Ibrahim pasza jest to mąż zrodzony, możnaby powiedzieć, do wojny; zapalczywy, lecz umiejący zarazem zachować zimną krew w niebezpieczeństwie, surowy, nieubłagany, lecz zarazem ludzki i w wielkim u wojska szacunku. Zarzuciłby mu można skłonność do okrucieństwa, którego nigdy nie zdołał powściągnąć; lecz jest przytém sprawiedliwym, wspaniałomyślnym, a nawet widać w jego charakterze coś rycerskiego. Beduini w Egipcie, Wechabici w Arabii, Grecy na półwyspie Morei uczuli dzielne jego ramie. Wszyscy rozsądni znawcy zgadzają się na to, że przyrodzenie nadzwyczajnym do prowadzenia wojny obdarzyło go talentem, a pole bitwy, nowe ciągłe w nim tworzy pomysły, coraz wznioślejsze nasuwa mu myśli. On pierwszy z muzułmańskich wodzów nauczył się taktyki europejskiéj, co tém bardziéj jego podnosi sławę.

Ażeby tém dokładniéj swe wojsko mógł przekształcić na stopę europejską, przywołał do siebie pewnego p. Selvis, obecnie pod imieniem Solimana paszy znanego, oficera, który liczne już w armii Napoleona dowody swego męstwa, wytrwałości i biegłości w sztuce wojennéj był złożył, a który teraz, utworzywszy i uorganizowawszy wojska epipskie, wszędzie Ibrahimowi towarzyszy. Wojsko, rząd, szkoły, szpitale, rólnictwo, fabryki, słowem wszystkie urządzenia winien Mehemed Ali Francyi. Obok Solimana paszy mieszczą się imiona **Clot** beja, **Cérisy** beja, **Resson** beja, **Livana**, **Dussapa**, **Jumela**, **Abro** i wielu innych. Od początku zaraz swego działania był Mehemed Ali zawsze wielkim Francuzów przyjacielem; już w Kawali, nim wsławiać się zaczął, żył przyjaźnie z panem Lion, kupcem z Marsylii, którego, chcąc mu się za przysługi wyświadczone wywdzięczyć, zostawszy wice-królem, zaprosił do siebie, aby w Egipcie żył przy jego boku. Pan Lion przyjął te zaprosiny; lecz śmierć zabrała go w dniu przeznaczonym do odjazdu.

Soliman wielce się do tego przyłożył, że Mehemed Ali ciągle wysoko cenił przyjazne stósunki z Francyą. Prędkość, z jaką wyćwiczył wojska egipskie, tém bardziéj świat zadziwia, zważywszy, że pierwsze przedsięwzięcie Mehemeda, chcąc wojsko swe przekształcić, bynajmniéj mu się nie udało. Zarazem było trzeba zwyciężyć opór i religijny zapał Arabów, którzy coraz bardziéj się szerzyli. Z jednego wypadku poznasz trudności, jakie pokonano, i charakter Solimana paszy. Pewnego dnia, gdy przy wojskowém ćwiczeniu kula, widocznie przeciw niemu wymierzona, świsła mu koło ucha, „**powtórzcie ten strzał**," z zimną krwią rzecze, „**jeden bowiem niezgraba** nabił strzelbę na mnie kulą!" Ta wielkość duszy, godna żołnierza wielkiéj armii, do żywego wojsko mu powierzone wzruszyła; nie było już kuli przy drugim wystrzale, a ten, który na jego życie nastawał, stał się najgorliwszym jego obrońcą.

Mehemed Ali ma obecnie 70 lat, Ibrahim pasza 50, a Soliman pasza 58. Inni synowie Mehemeda są: Saïd bej mający 17 lat, zrodzony z niewolnicy; Hussein bej mający lat 13, zrodzony z niewolnicy; Ali bej mający lat 10,

zrodzony z niewolnicy; Iskander bej mający 8 lat, z prawego łoża; Mehemed Ali bej mający 6 lat, zrodzony z niewolnicy. Lecz lubo Mehemed Ali ma syna mającego lat 6, ma zato wnuka mającego lat 26, Abbas paszę, syna Joussonna paszy, który wracając z wyprawy przeciw Wehabitom roku 1816., umarł. Trzeci syn, którego Mehemed Ali miał z pierwszego małżeństwa, Ismaïl pasza, roku 1821. został zamordowany w mieście stołecznem Senaru, które był zdobył wkrótce po zwycięzeniu Nubii. — Ibrahim pasza ma troje dzieci, które się roku 1825, 1827, 1828, urodziły. — Założyciel więc dynastyi egipskiéj będzie miał następców.

O stanie nauk w akademii krakowskiéj za Augusta III.

(Dalszy ciąg.)

Wydział medyczny.

Do liczby umiejętności należy szkoła lekarska, która miała osobny w Krakowie wydział; o téj szkole nie ma nic prawie powiedzieć. Po jéj upadku było tylko dwóch doktorów medycyny, bardzo mizerny mających fundusz, z którego obstać nie mogli; żyli oni tylko z praktyki. Zaden z nich nie dawał kursu nauki lekarskiéj, i tylko podczas postu kilku uproszonym uczniom dyktowali mały traktacik o jakiéj chorobie szczególnéj.

Nie można jednak obwiniać szkołę krakowską główną o zaniedbanie nauk lekarskich, ile żadnego nie mającą funduszu.

Trudno nawet zrozumieć, jak za panowania familii Jagiellonów szkoła ta utrzymać się mogła bez żadnego publicznego opatrzenia. Być musi, że wielka podówczas w Krakowie ludność dostarczała uczniów, którzy płacili nauczycielom za lekcye, co za przeniesieniem rezydencyi królów do Warszawy, wcale ustało. Doktorowie nawet sławniejsi poszli za dworem, gdzie z praktyki zyskowniejsze mieć mogli korzyści, jak z lekcyj przez uczniów opłacanych.

Tak wydział medyczny składał się tylko z dwóch doktorów medycyny, którzy w reprezentacyi akademickiéj mieli poważne miejsce, mieli nawet bezczelność doktoryzować czasem jakiego szarlatana, dać stopień doktorski jakiemu chirurgowi lub akuszerowi.

W czasie anarchii wszystko to uchodziło, któż się albowiem u nas zapytał, jakiém prawem i za czyjém potwierdzeniem wykonywa u nas ktokolwiek professyą lekarza? Polska, co do tego, była ucieczką i schronieniem wszystkich szarlatanów, empiryków, awanturników. Każdy, kto chciał, lub znalazł protekcyą, mógł być doktorem, osiadał sobie po miastach i miasteczkach, leczył, zakładał aptekę, preparował medykamenta bez najmniejszéj komuśkolwiek opowiedzi.

Węgrzyni roznosili lekarstwa ze złotéj bani, a barwierze wiedli handel z aptekami halskiemi.

Żydzi w małych miasteczkach sprawowali professyę doktorów i chirurgów; ustała nawet różnica między barwierzami i chirurgami, wszystko to szło pod imieniem cyrulików, wszystko miało wolność leczenia.

Prawdziwych doktorów dobrych i szczęśliwych praktyków było u nas bardzo mało; bogacili się oni niezmiernie bez najmniejszéj zazdrości przeciw szarlatanom, którym przeszkadzać nie potrzebowali, bo sami zaledwie swym obowiązkom wystarczyć mogli.

W kraju więc tak rozległym, gdzie nie było żadnéj szkoły publicznéj dla aptekarzów, chirurgów i lekarzy, gdzie tylko niekiedy majętniejsi mieszczanie posełać mogli na medycynę swe dzieci do obcych akademii, gdzie cudzoziemcy kosztem magnatów sprowadzani, nie zdołali wystarczyć kosztownie opłaconéj praktyce; nie mogło być inaczéj, wyjąwszy kilku miast większych, gdzie było dość ludzi w praktyce lekarskiéj sławnych; w województwach, osobliwie ruskich, dobry doktor, gdziekolwiek osiadł, zrobił sobie wielki majątek i uszczęśliwił miasteczko, do którego się zewsząd zjeżdżano. Taki można przytoczyć przykład na Hirnesie, który przy Potockim, wojewodzie kijowskim, osiadł w Żartakowie; na Strasserze, który przy Lubomirskim, chorążym koronnym, osiadł w Rzeszowie. Żadne miejsce, sławne przez wody mineralne u obcych, nie było ludne tak w zjazdy, jak Rzeszów i Żartaków z przyczyny Hirnesa i Strassera, do których z najodleglejszych stron Ukrainy, Podola i Wołynia zjeżdżano się na rady.

(Koniec nastąpi.)

Do Redakcyi Przyjaciela ludu.

Podobało się Redakcyi P. L. w artykule moim *Saxonia* (*) etc. niektóre wykreślenia, bądź przez wzgląd na stósunki osób, bądź też żyjące osoby, poczynić; nie mam nic przeciwko temu. Lecz, że Redakcya poczyniła niektóre odmiany, których ja wcale za swoje przyjąć nie mogę; upraszałbym tedy Szan. Redakcyi o ich sprostowanie w nadchodzącym którymbądź numerze.

1. Żeby „jezdziec Michałowskiego celniejsze zajmował miejsce,“ tego powiedzieć nie można; bo dalekie od prawdy — zajmować, zainteressować tylko mógł, i nic więcéj; bo to była tylko skica i to nie z celniejszych robót jego.

(*) Zob. P. L. rok VI. Nr. 23 i 24.

2. Przy Wernecie położyłem nazwę, pod którą obraz ten w Europie jest znany: *Kontrabandyści.* Opuścić termin rzeczony, jestto przeciw wyrażeniom sztuki postępować.

3. Między: Marcinem Teofilem z Krakowa a Michałem Czechowiczem położyłem przecinek; bo to byli dwaj różni i w różnych krajach nawet bawiący i malujący, a wielce znakomici artyści.

4. Kunicki nigdy się nie nazywał Kunic, bo to zakrawa na jakiegoś cudzoziemca; on zaś był rodowitym Polakiem, rodem z Krakowa, z przedmieścia Piasek, z ulicy Biskupiéj; z ojca ogrodnika Kuną zwanego; młody naturalnie Kuniczem zwan, dostawszy się do kuchni biskupa Załuskiego, przez wrodzony talent, kreśląc i trafnie i z wielkim wyrazem to domowników, to dworzan, to różne domowe sceny, po ścianach i ustroniach pałacu; tak wszystkich zajmował, bawił: że wiadomość o nim aż do samego biskupa doszła, któren sprawdziwszy sam wszystkie rysunki, tyle był podobieństwem osób zachwycony, że niebawem stał się mecenasem jego; po odbytych naukach i t. p., do stanu przyszłego zastósowanych i przećwiczeniu się w językach, wysłany nakoniec do Włoch; wkrótce w liczbie najpierwszych artystów słynął, wiele dzieł w Rzymie i Florencyi wykonał; do Anglii i kraju ojczystego przysełał (w katedrze krak. kilka przewybornych mamy obrazów). Gdy Włosi nazywać go zaczęli Kuniki (tak jak Mireckiego Mireki, a Lipińskiego Lipinki), mecenas, Kunze narzucił mu nazwisko, które z poszanowaniem adoptował, i tak na obrazach odtąd podpisywał się. Współcześni, a nawet żyjący dotąd nazywają go: Tadeusz z Krakowa, Kunicz, Kunicki, Konicz, a nawet i Konik, ztąd niektórzy mieszają go i z Conning Salomonem etc., Amsterdamczykiem. Nasz Kunicki jest jednym z celniejszych malarzów europejskich.

5. Najgorszy uszczerbek zadano tam (zob. str. 196.), gdzie mowa o najdawniejszych budowniczych polskich; mimo albowiem zacytowane akta kościoła S. Stefana, gdzie nasz Mikołaj z Krakowa i Jan z Gdańska zapisani są jako pierwsi budowniczy (aus Polen die Paumмayster (sic) bei St. Stephan, als man zölt 798—821), co usprawiedliwia pewność mego wyrażenia się, „że już z 8mym wiekiem etc. etc.“; Redakcya, z ubliżeniem sławy narodowéj, wiek 10ty położyła; i to jeszcze grzech ten, na cudzy rachunek, to jest mój, zaciągnęła!....

W Krakowie, dnia 13. Stycznia 1840.

S...., Sen.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (*Red. J. Łukaszewicz.*)

Przyjaciel Ludu.

Rok szósty. **No. 38.** Leszno, *dnia* 21. *Marca* 1840.



Flisy pod Gdańskiem.

Flis. (*)

Zawsze szczodrość pańska z nami:
Ta obdarza nas pszenicą,
Wyślemy ją galarami,
Żywić głodnych za granicą.

Kamiński.

Kiedy w pogodny letni wieczór mnóstwo powozów dąży nowym światem ku Łazienkom lub Wilanowu, ujrzysz nie raz, jak nieliczne grono, z kobiet i mężczyzn złożone, zwraca się na topolową ulicę, prowadzącą do Wisły, a potém chodząc po kamiennéj tamie, lub na darniowym wale siedząc, zachwyca się cudnym widokiem, roztoczonym przed nim. Lubią oni zapewne patrzeć na gmachy Warszawy, których dachy, wieże, kopuły, nikną w obłokach, albo raczéj w tumanach kurzu, unoszącego się nad nimi, jakby gęsta, dusząca zasłona. Lubią poglądać na liczne ogrody, po których miasto

(*) Wyjęto z „Pierwiosnka", Noworocznika na rok 1840., złożonego z pism samych dam, zebranego przez Paulinę K..... W Warszawie, w drukarni Max. Chmielewskiego.

zdaje się ku Wiśle zstępować; na te drobne ubogie chatki, tak często zalewane przez swawolną rzekę, a jednakże z tak niepojętém zaufaniem powstające coraz to bliżéj brzegu; nakoniec na ową szeroką białą przestrzeń wody, za którą, jakby ciesząc się z przegrody dzielącéj ją od miasta, natura wdzięki swoje roztacza swobodniéj. — Pasma żółtego piasku i łąk zielonych, czerwone dachy wystające z pośrodka ogrodów, białe ściany domków kryjących się zalotnie wśród zarośli Saskiéj kępy, tu i ówdzie migająca się za drzewami łacha, a w końcu czarne pasmo lasów zamykające obraz; wszystko to zajmuje i bawi oko, ożywia wyobraźnię i miłym pokojem duszę napełnia.

Pewnego wieczora podobne towarzystwo stało na tamie. Wisła, zwykle tak poważna i zajmująca, żywszy jeszcze przedstawiała widok. Cały jéj brzeg lewy pokrywały liczne statki, napełnione cynkiem, żelazem, zbożem, przeznaczoném w części do Warszawy, w części do Gdańska. Na tym brzegu, tak nieraz cichym i spokojnym, dziwny ruch panował; za pomocą windy kilku ludzi wyciągało ze statków ogromne paki cynku; Żydzi dźwigali na ramionach ciężkie wory pszenicy, którą niemieccy robotnicy ładowali sztuczny wóz stojący na żelaznéj kolei; ubogie kobiety i dzieci wytrząsały starannie słomiane maty, chcąc się pozostałém pożywić ziarnem, a flisowie spoczywali na wypróżnionych galarach, przyrządzali sobie wieczerzę, lub gwarząc wesoło, żartowali z brodatych dzieci Izraela.

Jeden z większych galarów, przywiązany liną do żelaznego pierścienia, tkwiącego w ścianie granitowéj tamy, stał tak blisko brzegu, że można było łatwo widzieć i słyszeć, co się na nim działo. W jednym rogu, wsparty na pęku słomy, spoczywał flis już nie młody, lecz czerstwy, okazałéj postawy; twarz wesoła, rumiana, czarne żywe oczy, i nasunięta na lewe ucho czerwona magierka, znamionowały prawdziwego Krakowiaka, a czysta bielizna, biała jak śnieg sukmana, pas świecący od kółeczek, i uszanowanie, z jakiém rozochoceni flisowie nawet wśród gonitw i skoków omijali ten galar, dowodziło, że miał u nich niepospolite znaczenie.

W drugim końcu, przed niskiém z piasku usypaném ogniskiem, dwunastoletni może chłopczyna obierał przeznaczone na wieczerzę kartofle; nieraz zapewne patrzył, jak porządna gospodyni podobną czynność odbywała, bo najdrobniejsze czarne plamki starannie wykrawał i co chwila obmywał sobie ręce.

Starszy patrzył na niego z uśmiechem.

„Oj bratku", rzekł po chwili, „strasznieś coś wymyślny; nie jeden z nas wolałby kartofle jeść z łupiną, niż tyle nad ich skrobaniem marudzić. — Znać, żeś fryc, kochanku...... albo możeś widział, jak tam na berlince Niemki przyrządzają jedzenie?"

„Jużcić mój panie Marcinie," odpowiedział chłopczyna, „że oni tam lepiéj i porządniéj żyją, niż my tutaj, to wielka prawda."

„Prawda, czy nie, nie radzę ci tam często zaglądać, bo te Niemcy!... a Niemki!..."

„I dla czegóż tak Niemek nie lubisz, Marcinie?" spytała młoda kobieta z grona przechodzących; nie raz bowiem w ustach prostego ludu spotkała wyrazy niechęci przeciw cudzoziemcom i pragnęła się przekonać, czy niechęć ta ma jakie sprawiedliwe źródło, czy tylko jedni od drugich ją przejmują, sami nie wiedząc dla czego.

Flis spojrzał w górę, a poznając osoby, z któremi od tygodnia prawie co dzień rozmawiał, uchylił czapki i rzekł:

„Dla czego ich nie lubię?... oj, moja Jejmość, wiem ci ja to dobrze."

„A mybyśmy się o tém dowiedzieć nie mogli?"

„Czemu nie! tylko to długa rzecz, gdyby chcieć wszystko opowiadać."

„Nic nie szkodzi, przyjacielu, usiądziemy tu na brzegu, i jeżeli nam zechcesz uprzyjemnić wieczór, posłuchamy z wdzięcznością."

„To i dobrze! nie mam też na dziś nic innego do roboty."

Mówiąc to, Marcin wszedł na tamę po lichéj kładce, o galar opartéj, a skoro ciekawe towarzystwo zajęło długą sosnową kłodę, leżącą pod wałem, zasiadł na pace cynku, wsparł się łokciem na drugiéj, dobył krzesiwa z kaletki zawieszonéj u pasa, i zapaliwszy fajkę, tak mówić zaczął:

„Najprzód trzeba wiedzieć, że to będzie moja własna historya, a powiem z niéj tylko to, z czego się państwo przekonacie, czy mam za co lubić niemiecki naród. Ale czy jeno Jejmość nie Niemka?" dodał, obracając się do jednéj z słuchaczek, na któréj ustach igrał mimowolny uśmiech, „bo oni się już tak po naszemu mówić nauczyli, że ich i poznać ciężko."

Na uroczyste zapewnienie, że w całém towarzystwie Niemca, ani Niemki niebyło, mówił daléj:

„O dwie mile od Krakowa, nad samą Wisłą, leży wioska Bukowiec; w téj wiosce od niepamiętnych czasów mieszkał mój ojciec, dziad, pradziad, prapradziad może! ja i moje dzieci tam się porodziły, i... może się to Państwu dziwacznem wyda, ale w naszéj familii z ojca na syna przechodzi imię i nazwisko, zawsze najpierwszy chłopak chrzcony jest Marcinem, bo powiadają, żeby Wiśle tęskno było, gdyby kiedy Marcin Skorylas po jéj wodzie żeglować przestał."

„Słyszałem często od braci flisaków, że kiedy pierwszy raz odbijają od brzegu, to im tę-

skno, smutno na sercu, i radziby wrócić do domu; ja tego nie pamiętam, bo jeszczem był ot tylkim chłopaczkiem, kiedy po śmierci ojca wziął mię dziadek do Gdańska. Nie tak to wtenczas pływali jak teraz....... Co mi tam za wesele, wlec się na ciężkim niezgrabnym galarze, i wlec się jeszcze z nie swoim towarem! inaczéj wtedy bywało!... płynąłeś sobie szkutą lub półszkutkiem, co z wiatrem leciał, gdyby koń rozpędzony, rufa śmiało w dwa zagony rozbijała wodę, a ona niby w złości wracała z szumem na burty, pluskała po pojazdach, i jeszcze daleko za statkiem pieniła się, że go dognać nie może."

„Dopieroż jak wiatr dmuchnął w rozpostarte żagle, jak flagą zawarczał!... jeszcze się człeku serce raduje. A cóż to za uciecha, jak się do Gdańska zawinęło! bo tam nie same Niemcy mieszkają; nieraz przybija do portu chudy wysoki Anglik, lub tłusty czerwony Holender, czasem i zwinnego Francuza zobaczysz, czasem Turka w zawoju; wszystko to się kręci i zaleca do polskiéj pszenicy, a flis, siedząc sobie na maleńkim statku, patrzy, pokręcając wąsa, jak ci panowie ogromnych okrętów łakomie przeglądają i wąchaja nasze ziarno."

„Ale teraz nie tak! rzadko który z nas na swoją rękę handluje, nasypią ci na galar zboża pod miarą i wieź je do Warszawy, albo do Gdańska; jak zsypiesz w spichlerze i pieniądze odbierzesz, to nie wiesz po czemu się przedało, kto zbył, kto kupił, nikt ci i czapki nie uchyli... ha! i cóż robić?"

„Otóż dobrodziejstwo; byłem jeszcze młodym chłopcem, kiedy mnie na Wiśle już nie frycem znali; puszczałem się to z dziadkiem, to sam na jego szkucie, płacił mi staruszek lepiéj jak najemnym flisom i w dwudziestym roku jużem sobie nie mało grosza uzbierał."

„Jednego razu trzeba było płynąć do Gdańska, ale że nie ze swojém zbożem, nie chciało się dziadkowi wyruszyć z domu; dał mi więc statek, komendę nad chłopakami, i ruszyłem sobie wesoło, bo za mną, jako za doświadczonym, sunęło się z okolicy kilkanaście półszkutków, tratew, galarów, a na wszystkich znajome zuchy. Minęliśmy Sandomierz, Kaźimierz i inne nadbrzeżne miasta, lato było suche, wody mało, ale że za kilka dni miał nadejść Święty Jakób, i jak się z flisowskich prognostyków zdawało, gracka Jakóbówka, stanęliśmy sobie pod Warszawą."

„Nie było jeszcze wtedy tego, jak tam zowiesie, bulwarku, ani topolowéj drogi, ani fabryk, ani młyna, tylko, właśnie jak teraz, tam trochę opodal brzegu stało kilka berlinek. Widziałem już takich mało pięćdziesiąt, ale dopiero stojąc w przystani i nie mając co robić, zacząłem im się przypatrywać tak ot, jak ten frycek. W jednéj osobliwie, co stała tuż przy mnie, podobały mi się małe okienka z firankami, świecące naczynia, które szyprowa codzień starannie czyściła, kwiatki w doniczkach stojące przededrzwiami, a nadewszystko ładna dziewczyna, co je polewała wieczorem."

„Widziałem wszystko, co się w izdebce działo, i zdało mi się, że te Niemcy jak panowie żyją; — dziwna rzecz, jak to tu wszystko czysto i porządnie, choć tak ciasno! piękniéj daleko, niż u nas w chacie!...."

„Z całego Bukowca, myślałem sobie, najpiękniejszą i najporządniejszą dziewuchą jest Marysia; ale choć to koło niéj niby schludnie, jednakże ta Niemeczka, stojąc przy swoim żelaznym piecyku, w cieniuteńkim fartuszku, w koszuli z mankietami i świecącą łyżką blaszaną szumując garnki, wyglądałaby przy niéj, gdyby grafini. Prawda, nie bardzo mi się podobała czarna, okrągła mycka, co jéj zakrywała włosy; Marysi kosa, zapleciona wstęgami, ładniejszą była daleko, tylkoż... jak wiatr rozwieje warkocze, albo gdy przy robocie nie ma ich kiedy utrefić, to możeby i lepiéj, gdyby taką niemiecką czapeczkę nosiła."

„Pókim widział rumiane jagody Marysi, póki przedemną jéj czarne oczy błyszczały, zdawało mi się, że nie ma piękniejszéj na ziemi, i jużem dziadkowi mówił o ożenieniu, jużem się z nim sprzeczał, kiedy mi zaczął przekładać, że ona sierota, u obcych żyje, że za nią i złotówki nie dostanę.... ale ta Niemka.... moi państwo, to wcale co innego; biała jak mleko, znać na słońcu nie bywała, niebieskie miała oczy i poglądała na mnie tak mile, uśmiechała się tak wdzięcznie, że mi mało serce z piersi nie wyskoczyło."

„Przeszło tak ze trzy dni, omyliły nas przepowiednie; wody jak nie było, tak nie było, musieliśmy czekać."

„Czwartego wieczora, jam sobie siedział na statku, moja Niemka stała na samym brzegu berlinki, i białym, gdyby śnieg, grzebieniem, czesała pieska czarnego jak sadze; aż tu nagle zwierzątko wyrwało się z rąk pani i plusk.... wpadło w wodę, tuż przy mnie. — *Ach! Herr Je!...* krzyknęła dziewczyna załamując ręce; ja téż, nie wiele myśląc, skoczyłem w znajomą Wisłę, unoszącą czarne niewdzięczne stworzenie, i wyciągnąłem je szczęśliwie."

„Na krzyk młodéj Niemki, rodzice jéj wybiegli z izdebki, a widząc jak się próżno siliłem, aby jéj podać pieska z brzegu niskiéj szkuty, spuścili małą drabinkę i zaprosili do siebie."

„Nie spodziewałem się nigdy takiego szczęścia; w radości jednym susem stanąłem na berlince, otrząsnąłem się z wody i skłoniłem się wszystkim magierką."

„Stary niemiec wskazał mi ręką krótką belkę, leżącą na pokładzie; miało to pewno znaczyć, żeby na niéj usiąść; nie dałem się dłu-

go prosić, bo przedemną tuż przy drzwiach stała Lotka szyprówna, głaszcząca swojego pieska i patrząca na mnie ukradkiem. Z troskliwości o córkę, szyprowie porzucili byli wieczerzę; żeby im więc do reszty nie ostygła, wrócili do niéj spokojnie, nie troszcząc się o milczącego gościa; ale kiedy Niemiec podjadł, przypomniał sobie o mnie, i nie odwracając głowy od cynowéj misy, zapytał:

„A gdzie jedziecie, kamerad?"

„„Do Gdańska!""

„Na czyim statku?"

„„Na moim własnym,"" odpowiedziałem śmiało; boć wszystko jedno było, czy mój, czy dziadka.

„Stary poprawił szlafmycy; jego żona zdjęła z półki czysty talerz, i stawiając go przy sobie na stoliku, rzekła:

„Może jeszcze nie po wieczerzy? to prosimy..."

Nie wypadało odmówić; usiadłem przy nich i nabrałem sobie kartofli, bo mi się zdawało, że w maśle pływały; gdzie tam! ani to było słone, ani kraśne, tylko jakimsiś dymnym sosem podlane. Na flisówce to człek i nie wybredny, ale tego żadną miarą połknąć nie mogłem; fraszka, myślałem sobie: fraszka cyna i miedź świecąca, wolę ja smaczne jedzenie, choć w glinianéj misie. — Położyłem łyżkę, Niemcy nie namawiali mię dłużéj, a ja widząc, że Lotka, sprzątnąwszy resztki wieczerzy, poszła na drugą stronę berlinki, że staruszka zaczyna kotary od łóżka odsuwać, pożegnałem moich nowych znajomych."

„Odtąd widywaliśmy się po kilka razy na dzień; Lotka, czy to robiąc pończochę, czy obierając kartofle, uśmiechała się do mnie; jam dla niéj czerpał wodę do polewania kwiatków; nie raz nawet zaczynałem z nią rozmawiać, ale to nie długo trwało, bośmy się jakoś porozumieć nie mogli."

„Jednak, na koniec końców, tak mię Niemka zczarowała, że kiedyśmy w tydzień po świętym Jakóbie od brzegu odbili, jużem ani pomyślał o Maryśi."

„W drodze berlinka Gotliba szła tuż przy mojéj szkucie; dziewczyna mało nie cały dzień przesiedziała na pokładzie, pieściła swego pieska i mawiała niby do niego, że bardzo lubi czarne oczy i włosy. Żadne jéj słowo nie przeszło mi mimo ucha, i tuszyłem sobie, że moje oczy jeszcze czarniejsze, niż u szczęśliwego psiny, jeszcze się więcéj Lotce podobać powinny."

„Płyń sobie jak chcesz, szkuto dziadkowa! już tylko chłopaki tobą kierują; a ja ciągle siedzę przy boku berlinki, krzeszę Gotlibowi ognia do fajki, trę cegłę dla jego żony i przypochlebiam się jak mogę, bom sobie ułożył, że jak w Gdańsku staniemy, to się o szyprównę oświadczę. Co tam, że dobrze po polsku nie umie! nie będzie się ze mną sprzeczała. Taka żona najlepsza, któréj gniewu i przycinków nie zrozumiesz; a na dobroci to się i bez słów poznać można!"

„Dopłynęliśmy do Torunia; pod miastem u brzegu Wisły, jak dawniéj tak i teraz, ciągnie się cała processya młynów; wiedziałem nie dopiero, jak koło nich niebezpieczno, i starałem się zawsze w tém miejscu do środka rzeki nawracać; ale tą razą statek Gotliba zastępował mi drogę, Lotka obrywała listki z doniczek i puszczała je z wiatrem, a ja, gdyby bez rozumu, biegałem za niemi z jednego końca szkuty na drugi."

„Hola! ho! zagrzmiało za mną od razu kilkanaście głosów; młyny! na prawo! krzyknęły flisy, ale za późno; mój statek, co miał wszystkim rotmanić, wpadł na słupy pierwszego młyna i zabrał go z sobą."

„*Ach Gott! Ach Herr Je!... O weh!* wołał młynarz z żoną i dziećmi, płynąc pomiędzy nami, aż póki mu Gotlib po niemiecku nie wyperswadował, że to szkoda nie wielka, że moi towarzysze odprowadzą młyn do brzegu. Niemiec dał się niby udobruchać; ale jakeśmy ową nieszczęsną szopę do nowych słupów przywiązali, uchwycił mię za guzik od sukmany, i za swój przestrach i stratę czasu zażądał dziewięć talarów."

„Aż się za głowę ująłem dobrodziejstwo! daléj w targi z młynarzem; Gotlib wdał się także do sprawy, bo to był brat jego rodzony, i po długich naradach stanęło na tém, żem miał dać pięć talarów, ale zaraz, a nie, to do turmu! — Cóż tu robić? u mnie ni dziesięciu złotych w kalecie nie było, bo dopiero w Gdańsku miałem pieniądze odebrać. Drapię się to po jednem, to po drugiém uchu, ani wiem, jak sobie poradzić! ale Lotka, patrząc na mnie z daleka, szepnęła coś matce do ucha, a szyprowa wzięła wypłatę na siebie, bylem jéj tylko skrypt na pięć talarów wystawił."

„Nie tak już wesoło jak z początku, żeglowałem daléj; — otóż masz zaloty! myślałem sobie: dość już tego, trzeba się przecież raz ustatkować; — żebym był miał żonę, tobym nie gonił za zżółkłemi liśćmi, tylko statku pilnował; — więc się ożenię, ale z kim? ha! jużci z Lotką; ona sama ładna, rodzice bogaci i uprzejmi, czegoż mi więcéj potrzeba? i daléj znowu przymilać się dziewczynie, aż póki statki nie zawinęły do portu."

„Gotlibowie mieszkali o pół mili od Gdańska; skorom więc złożył zboże, gdzie należało, i odebrał zaległe dziadkowi pieniądze, pobiegłem oddać dług pani szyprowéj. Aż mię oczy zabolały, gdym wszedł do ich domu; co za bogactwo, haftowane firanki u okien, orzechowe stoły i komody, a podłoga! bałem się progu przestąpić, żeby na niéj podkówkami śladu nie wycisnąć."

„Szafy pełne były miedzi i bielizny, szklanek, filiżanek co nie miara, krów kilka, owiec, kaczek bez liku; za domem wielki ogród, za ogrodem większe jeszcze grunta; to wszystko kiedyś Lotce się dostanie, bo Gotlibowie więcéj dzieci nie mają.“

„Czegóż się było ociągać? tego samego wieczora powiedziałem staremu, że chcę zostać jego zięciem; a on, naradziwszy się z żoną i córką, chętnie na to przystał.“

„Przychodziłem zatém do nich po dwa razy na dzień.“

„Drzesz obuwie, Marcinie, przychodząc z tak daleka, powiedział mi Gotlib w tydzień po oświadczynach; — wydajesz pieniądze płacąc drogo w gospodzie, lepiéjby u nas pozostać; będziesz sypiał na górze, darmo, a za stół, to ci moja żona sumiennie porachuje.“

„Zostałem tedy; kuchnia Gotlibowéj była czysta, ale chuda; jednakże oczy Lotki krasiły i pomnażały mi jedzenie. Nalegałem, żeby jeszcze przed moim odjazdem odbyć zaślubiny, ale mi powiedziano, że Lotki wyprawa jeszcze nie gotowa, że na jéj wesele trzeba z daleka zaprosić starego stryja, po którym miała odziedziczyć majątek, słowem, że dopiero za rok, jak Bóg da doczekać, powiozę żonę do domu.“

„Zacząłem się wybierać do Bukowca, aż tu przyszły mój teść prosi, żeby mu pomódz dożąć jęczmienia, co się opóźnił na polu; jakże tu odmówić, kiedy i Lotka, ściskając mię za ręce, do zostania namawia.“

„Skończyły się żniwa, ja znowu do pożegnania.“

„*Bleib Martinchen!* rzekła Lotka, głaszcząc moje włosy.“

„*Bleib lieber Sohn!* przymówił Gotlib; wykopiemy razem kartofle.“

„Pomyślałem chwilkę, potém odprawiłem szkutę do domu pod kommendą dalekiego krewniaka, co zemną przypłynął, i kazałem dziadkowi powiedzieć, że się do ładnéj, bogatéj Niemki zalecam.“

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Poezya polska w 15tym i 16tym wieku,

przez W. A. Maciejowskiego. (*)

Poezya polska, nosząc na sobie pierwotny swój sławiańsko-narodowy charakter, odznaczyła się w 16tym wieku osobnemi, sobie właściwemi, znamionami; rozszerzywszy się znacznie, ale nie odstrzeliwszy daleko od ogniska, w którém się pierwotnie skupiły jéj promienie. Była liryczno-opisową, utkaną z historycznego i satyrycznego wątku. W hymnach i elegii do najwyższéj, na jaką się wiek ten mógł zdobyć, wzniósłszy się ona doskonałości, krążyła około narodowych pamiątek, tak, iż narodowość główným była przedmiotem, który ówczesni poeci nasi najwięcéj opisywali. Nie czczą więc zabawką, lecz odgłosem narodowych uczuć, będąc już wtedy poezya polska, stała się głównym tłumaczem moralnego usposobienia narodu, w takiéj zawsze pokazując się postaci, w jakiéj się ukazywało i narodowe życie.

Religijném li uczuciem oddychając naprzód liryczna poezya polska, pobratała się wkrótce z moralną, czyli obyczajową, przybraną w szatę satyry i apologu, a pożyczywszy jéj świetnego swego stroju; byłaby mogła okazałym przyodziać blaskiem światowe nasze pienia, gdyby już wówczas polscy poeci umieli byli narodowe, gminne i historyczne pieśni, z poziomu sielskich uczuć, wynieść na szczyt liryki wieszczéj, podnieść je mocą sztuki i wyższém natchnąć życiem, i gdyby oraz byli potrafili układać ich wątek, podług ducha i humoru (skłonności umysłowéj) narodowego. Ale mali w zewnętrznéj i wewnętrznéj poezyi, czyli nieoryginalni w myślach i składzie wiersza, nie byli jeszcze w stanie samodzielnie tworzyć. Umieli tylko naśladować, i jakkolwiek na język polski obce przenosić wzory, czując ich piękność, a jednakże jéj niemogąc oddać w ojczystéj mowie. Wprawdzie polskie wiersze Jana Kochanowskiego, a Reja moralne rymy, tudzież Klonowicza o obyczajności pienia, świadczą o tém, że ci wierszopisowie czuli dobrze, jak należy dla Polaków pisać, że usiłowali bystrym potokiem płynące w swych sercach myśli wylać na papier, i pozbyć się ciężaru, który ogromem brzemienia swego tłoczył im piersi; przecież pod względem narodowego uważani ducha, nie sprostali oni nawet karczemnemu skrzypkowi, który za natchnieniem serca i za słuchem delikatnego ucha idąc, lepiéj umiał z sielskiéj nóty wybrać narodową piosenkę, aniżeli oni z wątku gminnéj pieśni nadobną tak ułożyć całość, żebyś na wystawionym obrazie rozpoznał łatwo i myśl i barwę przedmiotu, w narodowéj wystawionego postaci. A jak tamten z wrzaskliwością prostych skrzypców tylko wtedy nielitościwie raził ucho, kiedy wyżéj sięgał, nad głos sielskiego pienia, tak i ci ranili serce słuchacza, gdy piskliwie jęcząc i dźwięcząc, polskie opiewali przedmioty, albo po prostu rzeczy wystawiając, nie uczyli narodu, jak ma pojmować narodowe swe życie. Nie umieli też ówcześni poeci, dobyć z siebie mogącego ich ożywić zapału, bo nie zdołali przejąć się przedmiotem, wchodząc w najdro-

(*) Z dzieła znajdującego się w rękopismie pod napisem: *Dzieje naukowego i domowego życia Sławian w 15tym i 16tym wieku.* Dla krótkości nie wypisano całkowitych tytułów pism, które za źródła posłużyły do niniejszego artykułu, ponieważ takowe rozbiorą się w samém dziele. Własnymi wyrazami pomników oddana jest rzecz cała, układ jéj tylko i wystawienie zrobił Szanowny Autor podług pomysłu swojego. Przyp. Red.

bniejsze jego szczegóły, i z pojedyńczych maleńkich cząstek wielką jego utworzyć całość. W małéj, bo najmniejszéj nawet przestrzeni, zamknięta przedmiotu całość, przemówi do serca, jeżeli z osnowy rzeczy, te właśnie szczegóły zdoła poeta wywieść na jaw, które dają wmyśleć się w rzecz i ducha jéj odgadnąć. Ubóstwo umysłowego usposobienia swego, chcąc pokryć poeci nasi, pstrzyli swe płody pożyczanemi u innych ozdobami, i, jak zubożały dłużnik wystawnością swoją zwykł swoich oszukiwać wierzycieli, tak i oni oszukali swój wiek, uczyniwszy to, że mu się podobały piękne owe, z obcéj poezyi pokradzione płatki, że ciećkał się z niemi, i na jednéj kładł szali rymopisów naszych z największymi geniuszami, starożytnego i nowożytnego świata. Czas wykrył prawdę i przekonał o tém, że łatwość zostania u nas poetą, dała zgubny popęd całemu niemal narodowi, tak, iż układać wiersze, a być uczonym, jedno u nas znaczyło w długie czasy. (*) To zaszkodziło rozwijaniu się naszéj gruntownéj oświaty, lubo delikatne czucie narodu, przez to wykształciło się wielce. Też same cechy, co poezya, nosiły na sobie polska muzyka i taniec, nieodstępne poezyi towarzyszki, które wszakże prędzéj się wydoskonaliły, niż tamta, bo łatwiéj jest człowiekowi upiększyć i wydoskonalić powierzchowność ciała, aniżeli serce swe i rozum ukształcić. Dla tego też taniec i muzyka polska, prędzéj, niż poezya, stała się europejską; w nich naród nasz żyć będzie wiecznie, one przeciągną jego życie po za przeszłość, one zawsze umysłowość polską pięknie charakteryzować będą. Ziemie ruskie, Małopolska i Mazowsze, były to główne krainy obszernego naszego królestwa, które najwydatniejsze miały cechy poezyi narodowéj, tudzież tańca i muzyki. Trzy nadobne te sztuki, łączyły się w jednéj ojczyźnie polskiéj: ogniwem swojém nie tylko kraje przedjagielońskiéj, ale i ziemie pojagielońskiéj Polski łącząc ściśle. Sielskie pienia, tudzież kozak i dumka; satyra, tudzież krakowiak i mazurek, charakteryzowały poezyą, taniec i muzykę ziem ruskich, Małopolski i Mazowsza; a religijne pienia z tańcem polskim i właściwą muzyką, z pierwotnego swego siedliska, z Wielkopolski, po całym rozlawszy się królestwie, łączyły w jedno całą przestrzeń obszernéj Lechii, pod względem sztuk nadobnych. Tkliwości i wdzięków nadobne te dzieci, Muz i Gracyów córy, (jak starożytni mawiali Grecy) pielęgnował Polak od kolebki aż do grobu, mianowicie też w 16tym wieku, dopóki w 17tym fanatyzm nie zakłócił naród i na chwilę nie przerwał tych przyjemnych zabaw.

Kiedy przyszło poetom naszym puścić się na pole świeckiéj liryki, błąkali się długo, różnie próbując, azali nie natrafią na przedmiot, któryby przypadłszy do smaku narodowi, oryginalnie rozwinął wieszczego ich ducha. Mimo puściwszy pieśni gminne, udali się do fraszek, i z wielką korzyścią zaprawiwszy tkliwe swe czucie na małych piosenkach, pokusili się o wyższe pieśni i treny. Drugie najlepiéj się im udały, i postawiły ich w rzędzie oryginalnych wieszczy. Dalsze w tym zawodzie usiłowania, zawiodły naszych poetów nadzieje. Godowe i pogrzebowe pienia, nie udały się im bynajmniéj; lepiéj poszły pieśni pochwalne, wszakże te pochodzą od wieszczów, którzy się i w religijnéj poezyi odznaczyli znakomicie. W całym przestworze liryczno-polskiéj poezyi okazuje się być oryginalną sama tylko elegia. Przedstawia ona najpiękniejszy widok, i sama tylko wraz z satyrą pojętą jest w prawdziwie sławiańskim duchu przez naszych poetów. Bo smutek z ironią, łączyć najwięcéj przystało Sławianom, od obcych i od swoich nękanym wiecznie, a od losu prześladowanym niemal ustawicznie. Znaczenie i przeznaczenie sławiańsko-polskiéj elegii, dobrze pojął i opisał Jan Daniecki, (w pieniu weselném Mikołajowi Korycińskiemu i Barbarze Pukarzewskiéj zanóconém) w tych słowach:

I to, i wiele rzeczy którekolwiek były
Na świecie, wyście święte muzy oznajmiły:
Żałować pomagacie, gdy kogo przystojnie
I grób łzami dobrego oblewacie hojnie,
Także gdy się weselić dobrym pomagacie,
Zwłaszcza kogo chętnego ku sobie też znacie.

Z wielkiego tłumu elegijnych naszych poetów, trzej głównie zasługują na uwagę: Jan Kochanowski, Sebastyan Klonowicz i Kasper Miaskowski. Pierwszy okazał się w trenach oryginalnych i najwięcéj w nich rozwinął poetyckiéj samodzielności. Bo chociaż Jan Kochanowski umiał Horacego tak zpolszczyć, iż w zewnętrznéj i wewnętrznéj swojéj uważany on postaci, zdaje nam się być Polakiem rodowitym; przecież pożyczone myśli od wenuzyjskiego wieszcza, a rozlane po pieniach poety z Czarnolesia, wyjawiają snadnie, że je Rzymianin po polsku, a Polak po rzymsku wymurzył, nucąc niezgodnie z naszemi rycersko-mężkiemi i moralno-staropolskiemi zwyczajami. Na pierwsze każdy łatwo się zgodzi, na drugie, ażeby przystał, niechaj z pomiędzy wielu odczyta dwudziestą pierwszą pieśń księgi pierwszéj, tudzież pieśń szóstą księgi drugiéj. W Rzymie za czasów **Augusta** powszechném było hasłem, że słodkie są więzy miłości i że dorosłéj dziewczynie unikać mężczyzn nie przystoi; lecz w Polsce nie odzywano się w 16tym wieku z tém zda-

(*) Ważne są słowa Górnickiego w *Dworzaninie* str. 318. o Stanisławie Maciejowskim, kasztelanie sandomirskim. Mylnie powiedział ksiądz biskup Woronicz w Rocznikach towarzystwa II. str. 382.: „Że panowanie Zygmunta III. za prawdziwy kres rozplenienia się naszych poetów naznaczyć można:“ od wieków bowiem było już u nas pełno wierszy i wierszokletów, poetów zawsze mieliśmy mało.

niem publicznie. Inaczéj myślącym i czującym pokazuje się Jan Kochanowski w trenach swoich: bo téż inne było jego położenie, kiedy do drzwi swéj Hanny kołatał, lub nalegającemu na siebie gospodarzowi, wypraszał się od kielicha, a insze, kiedy po próżnych spoglądając kątach, niewidział pieszczoszki swojéj Urszuli, lub kiedy spozierając na pozostałe po niéj sukienki, przypominał sobie stratę drogiéj dzieciny. Dla tego téż poeta z Czarnego lasu będąc w pieśniach potakiwaczem zniewieściałego Mecenasa, w trenach okazuje się być Polakiem, z polskiém prawdziwie sercem, srogie znoszący losy, niepoddający się żalowi zupełnie, ale ufający w Bogu, i spokojnie oczekujący końca swych dolegliwości. Szkoda tylko, że jak w charakterze, tak również i w myślach poetycznych nie okazał się tu samodzielnym Jan Kochanowski. Bo i w trenach panują u niego obce myśli. Nawet w 18tym trenie, ze wszystkich najpiękniejszym, przemawia naśladowca psalmów Dawida. (Dalszy ciąg nastąpi.)

O stanie nauk w akademii krakowskiéj za Augusta III.

(Dokończenie.)

Ludzie sławni w wydziale medycznym.

Lubo w szkole głównéj krakowskiéj nie było kursu lekcyi publicznych w wydziale lekarskim; trzeba jednak przyznać, że Polska miała wiele sławnych doktorów, którzy i około swéj professyi, i około nauk fizycznych wiele się zatrudniali. Im winni jesteśmy bardzo wiele postrzeżeń fizycznych, opisanie chorób w kraju naszym powszechniejszych.

Między krakowskimi doktorami, na pierwsze zasługuje wspomnienie doktor Fermika, dziekan kolegiaty, którego prace znajdują się po większéj części in actis eruditorum instituti Bononiensis; oprócz czego pisał on dysertacye o niektórych chorobach. Był doktorem Załuskiego, biskupa, szacowany od wszystkich dla swéj nauki i dobrych obyczajów.

Ksiądz Łopacki, kanonik krakowski i prałat kościoła farnego Panny Maryi w rynku, był człowiek, jakich bardzo rzadko daje Opatrzność na przykład i pociechę ludziom.

Abym nie miał potrzeby powtarzać jednéj materyi kilka razy, opiszę tu pokrótce zasługi Łopackiego:

Człowiek ten w akademii krakowskiéj do nauk wyzwolonych i umiejętności przykładający się, otrzymawszy stopień doktora w wydziale filozoficznym, wysłany został do Włoch na fundacyą Słowikowskiego do Bononii, tam wziął się do nauki lekarskiéj, i w niéj tak wielki zrobił postępek, że za swym powrotem wyszedł na najlepszego i najszczęśliwszego praktyka.

Tym sposobem zyskał dla siebie powszechną wziętość, za tą, jak zwyczaj, poszły promocye w stanie duchownym, tak dalece, iż mógł wyjść na użytecznego dobroczyńcę miasta Krakowa, przez wiele chwalebnych funduszów i był żywicielem nędznéj ludzkości przez hojne jałmużny. Tak bogaty prałat, nie potrzebował żadnéj nagrody za swe rady i starania około chorych. Wyznaczył każdego dnia godziny, w których gromadzili się do niego ubodzy, odbierali rady i recepty z rąk jego, a w aptekach, do których się udali z receptami, ręką Łopackiego podpisanemi, dawano im darmo lekarstwa, które on na końcu każdego miesiąca opłacał; zaś chorych, którzy do jego domu przyjść niemogli, a w parafii się jego znajdowali, sam odwiedzał, nie tylko zdrowie ratując, ale potrzeby, które mógł postrzedz, wspierając i opatrując.

Majętni ludzie, chcąc mieć od niego ratunek w swém zdrowiu, niemogli mu żadnych ofiarować nagród, boby onych nie przyjął.

Widząc atoli, jak był dla ubogich dobroczynnym, zostawiali w domu jego potajemnie znaczne pieniądze, bez żadnéj kondycyi, bo wiedzieli, że tak dobroczynny człowiek użyje onych dobrze z pożytkiem ludzkości.

Jakoż zdaje się, iż dowcip jego tak był dobroczynnością zajęty, że całą swą pilność ku temu obracał. Zrobił fundacyą, z któréj dochód idzie na zakupienie lekarstw dla chorych, niemających sposobu opłacenia aptecznych regestrów. Szpital w swéj parafii dla starych mieszczan, zupełnie w murach i funduszach upadły, na nowo wymurował i dochodami opatrzył.

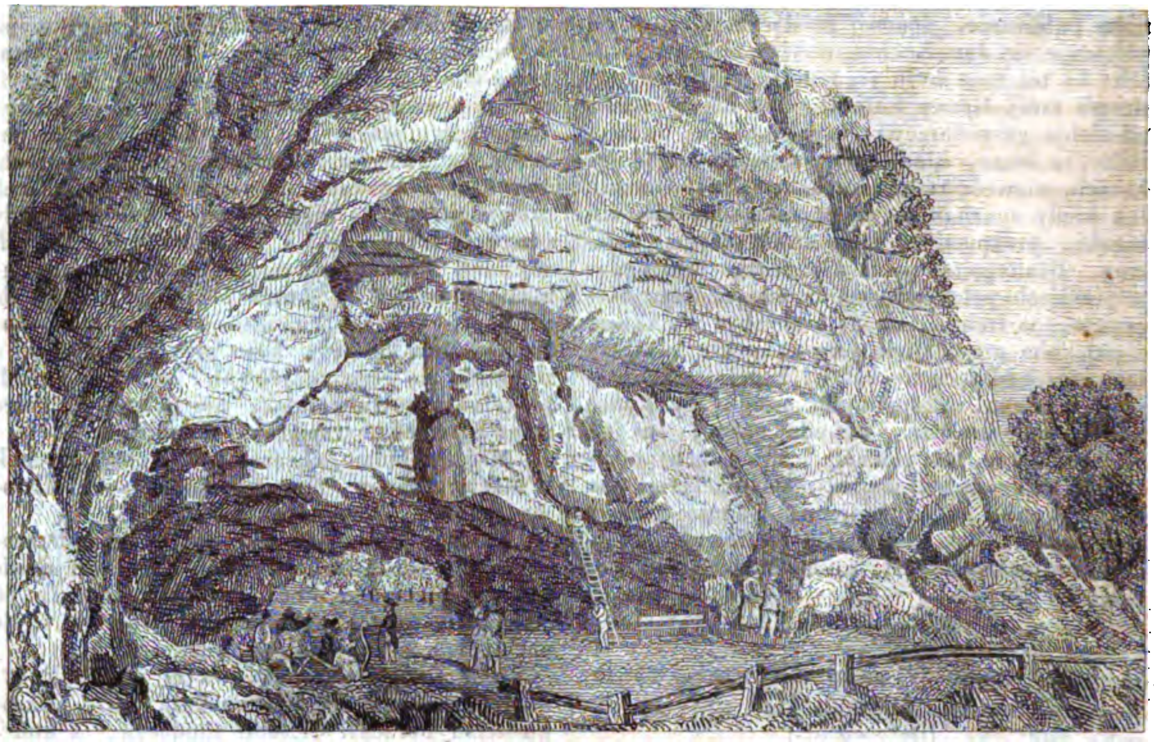
Dla dzieci, któreby lepiéj umiały naukę wiary i miały świadectwo dobréj w szkole farnej aplikacyi, oraz zalecenie, z jakiego czynu wdzięczności i miłosierdzia, premie ufundował, które się im publicznie w kościele Panny Maryi corocznie rozdają.

Dla neofitów jałmużny, a dla wychowania i ćwiczenia ich dzieci, fundusz postanowił.

Bractwo miłosierdzia, niegdy przez Skargę ufundowane i pod dozór kapituły krakowskiéj oddane, a z czasem przez złą administracyą prawie upadłe, na nowo podniósł, urządził, nowymi dochodami zasilił i do dawnéj użyteczności powrócił.

Porządki ogniowe dla miasta Krakowa sprawił i zrobił fundusz, aby w ciągu zimy, kiedy są nocy długie, kiedy rzemieślnicy i ludzie ubodzy dodnia wstawać muszą, dla pracowania przy świetle, kiedy przededniem palą wszędzie po piecach, dla ogrzania izb, a zatem po domu ze światłem kręcić się potrzebują, dwaj zaraz strażnicy od czwartéj godziny po północy czuwali na wieży kościoła Panny Maryi, jeżeli się gdzie ogień nie okaże i przestrzegali straż ratuszną. Żeby zaś strażnicy sami nie zasnęli, obowiązał ich grać sygnał na wieży, od 4téj aż do 6téj godziny.

Mimo te pełne ludzkości i obywatelstwa fundusze, bardzo wiele łożył na ozdobę kościoła



Jaskinia Kuhstall w Saskiéj Szwajcaryi.

Panny Maryi w Krakowie i kolegiaty w Sandomierzu, gdzie także był pierwszym prałatem.

Szkoda, że żył w tym wieku, w którym wielkie łożone koszta, nie wytępiały złego w architekturze i ozdobach gustu, ale owszem pomnażały. Nie zabrakło tam na marmurze, bronzie i srebrze, zabrakło na dobréj architekturze. Łopacki, kochany od świeckich i duchownych, od bogatych i ubogich, od magnatów i ludzi swego stanu, z którego pochodził, zostawił po sobie pamięć wszystkim miłą i słodką; wszyscy go wspominają jako wzór do naśladowania; ci, których zawaśnienia i kłótnie pogodził, których zdrowie uratował, których nędzę osłodził, których łzy w smutku lub ucisku otarł, którym dał wychowanie lub sposób do życia, którzy z wielorakich jego korzystają dotąd fundacyj.

Wszyscy go wystawiają za wzór, jeden drugiemu go przypomina, podają sobie z ust do ust jego odpowiedzi, jego dobroczynności, jego rady. Ten uczony i dobroczynny człowiek, nie zostawił prawda po sobie żadnego wypracowanego w medycynie dzieła, ale zostawił wzór do naśladowania i dowód, jakby było rzeczą pożyteczną, gdyby duchowni przykładali się do nauk lekarskich, gdyby byli lekarzami ludu tak dobroczynnymi, jak był Łopacki. Między sławnych owego czasu w Krakowie doktorów, należy umieścić Arona, Żyda; byłto doktor akademii lejdejskiéj, miał honor być uczniem sławnego Boerhawego, szczęśliwy praktyk i człek wzięty.

Łopacki nawet miewał z nim konsylia w czasie gwałtowniejszych potrzeb; Wadowski i Konuli byli to doktorowie wydziału w szkole głównéj; nie źli praktycy, lecz nic o nich do powiedzenia nie zostaje.

Jaskinia Kuhstall w Saskiéj Szwajcaryi.

„Z Lichentheim," mówi ulubiona autorka, „kazałyśmy się zanieść na wygodnych krzesłach na górę Kuhstall zwaną. Nie jest to zapewne miłe uczucie, dać się nieść w krześle, jak kaleka; lecz przezwyciężywszy wstręt pierwszy, bardzo rzecz wygodna, bez tchu utraty wejść tak wysoko. — Droga na Kuhstall przyjemna; dochodząc do samego miejsca, ukazuje się wąska ciemna uliczka, a na jéj końcu wiśi, jakby wielka biała zasłona; przyszedłszy, spostrzega wędrownik, że to otwór na wylot ogromnéj skalistéj jaskini. To olbrzymie sklepienie, ta gotowa dla człowieka gospoda, którą sporządziła ręka wielkiego Budowniczego świata, może jeszcze w chwili potopu, mocne uczyniła na mnie wrażenie; przejęło mnie uczucie podobne temu, którego doznajemy, wchodząc do starożytnéj świątyni; czułam bytność Boga w tém miejscu. Widoki z saméj jaskini, z wierzchu jéj czyli dachu, piękne, choć zupełnie dzikie. Sądzićby można, że skutkiem gniewu niebios ogromne miasto tu skamieniało; bo ten natłok sterczących różnego kształtu skał, domy, wieże, kominy przedstawia. — Do zupełnego miejsca tego uroku, rówwnie jak w całéj Saskiéj Szwajcaryi, brak czystych strumieni, bystrych potoków, szumiących wodospadów; niedostatek wody i ptastwa, zbyt głuchemi czyni te miejsca, — jest to scena bez aktorów. — Ta jaskinia dla tego nosi nazwę Kuhstall, iż tu w czasie siedmioletniéj wojny okoliczni włościanie bydło swoje przed nieprzyjacielem skryli; tu także mieszkał niegdyś rozbójnik Wilde z zgrają łotrów i napadał bogatych baronów zamki."

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (*Red. J. Łukaszewicz.*)

Przyjaciel Ludu.

Rok szósty. **No. 39.** **Leszno,** *dnia* 28. *Marca* **1840.**



X. Jan Brosciusz.

W dziejach oświecenia narodu naszego znamienitą gra rolę Jan Brosciusz, którego imię znaném musi być każdemu, co zasłyszeł, chociażby tylko z daleka, o zatargach akademii krakowskiéj z Jezuitami za Zygmunta III. — Urodził się w r. 1581. w Kurzelewie, w województwie sieradzkiém, z dosyć zamożnych, a nadewszystko rozsądnych rodziców, zwanych Broszczami, albo Broskiemi, którzy go zaraz od dzieciństwa do nauk napędzali. „Gdy mój ojciec“ — mówi Brosciusz w jedném miejscu — „człowiek poczciwy, który razem był nauczycielem moim, widział, iż mię nie wielka pomoc z zagonów ojczystych czekała, dawszy mi początki nauk w domu, jako téż i geometryi, któréj się sam nauczył z książki polskiéj Stanisława Grzebskiego, mianowicie o najprostszym sposobie mierzenia za pomocą cieniów, naprzód mię do szkół, a następnie do akademii odesłał.“ Młody Brosciusz, oddany do akademii krakowskiéj, poświęcał się szczególniéj naukom matematycznym i językom starożytnym, i w nich tak znaczne postępy zrobił, że w roku 1603., a zatém w 22gim roku życia, w poczet nauczycieli akademickich policzonym został, w roku zaś 1610. stopień doktora filozofii i sztuk wyzwolonych otrzymał, wydawszy uczoną rozprawę matematyczną pod tytułem: „Sposób mierzenia odległości bez pomocy narzędzi.“ Wkrótce potém wezwany został na katedrę professora publicznego matematyki i astronomii, którą przez lat 10 z wielkim użytkiem młodzieży zajmował. Albowiem ucząc młodzież, nie przestawał sam oświecać się, zasięgając rady i nauki od najuczeńszych w tym przedmiocie w wieku owym ludzi, jakimi byli Adryan Rzymianin, Kepler, Pietr, Kryger, matematyk gdański, i Adam Frejtag, Toruńczanin. Dla poznania się z ostatnimi osobiście, odbył podróż do Prus królewskich i zwiedził miejsca uświęcone gieniuszem i zwłokami nieśmiertelnego Kopernika. Z Frauenburga wyjeżdżając, wywiózł napis grobowy Kopernika, który kazał sztychować, oddając tym sposobem winny hołd zasługom i gieniuszowi wielkiego męża. W przeciągu tego samego czasu wydał kilka ważnych dzieł, jako to: *„Disertatio de Cometa Astrophili“*; *„Quaestio de dierum inaequalitate“*; *„arithmetica integrorum“* i t. d.

Mając już dość sławy i zasług w kraju i za granicą z nauk matematycznych i astronomicznych, nie spoczął na laurach, nie zgnuśniał chciwy nauk umysł, ale owszem szukając nowego dla siebie żywiołu, postanowił udzyć się sztuki lekarskiéj, i usposobiwszy się w tym przedmiocie dobrze w akademii krakowskiéj, z woli i za wsparciem Marcina Szyszkowskiego, ówczesnego biskupa krakowskie-

go, kanclerza akademii, udał się w r. 1620. na uniwersytet do Padwy, gdzie szczególniéj wydział lekarski słynął. Jak długo Brosciusz w Włoszech bawił, niewiadomo; w roku atoli 1625. już się znajdował w kraju, albowiem w tym czasie ogłosił drukiem swego „Gratisa“, a w następnym roku (1626.) objął po Janie Petrycem katedrę, fundacyi Piotra Tylickiego, biskupa krakowskiego, któréj professor, podług myśli założyciela, obowiązany był wykładać uczniom księgę Cycerona *de Oratore* (o mówcy) i dla tego zwany był pospolicie: *Orator Tylicianus.*

Było tò właśnie w czasie, w którym Jezuici, częścią z winy saméj akademii, częścią téż wkradłszy się do serca słabego monarchy, magnatów, biskupów, niższego duchowieństwa, szlachty, a nawet pospólstwa, zyskali powszechną przewagę w narodzie, przytłumiali wszędzie szkoły akademickie i usiłowali zadać cios ostatni akademii, otworzeniem szkół swoich w Krakowie. Osiedli oni w tym starożytnym grodzie Piastów i Jagiełłów już w r. 1579., przy kościele ś. Szczepana, a zapomniawszy, że sławę i wziętość swoję w narodzie winni byli jedynie akademii krakowskiéj (najsławniejsi bowiem ich ludzie, jakoto: Jakób Wujek, Piotr Skarga, Stanisław Grodzicki, Benedykt Herbest, Marcin Ujazdowski, Szymon Wysocki, Marcin Smiglecki, Laterna, Adryan Jung, Justus Rab i t. d. wyszli z łona akademii), usiłowali ją zniweczyć. W trzy lata po swojém przybyciu do Krakowa, to jest r. 1582., opanowawszy kościół ś. Barbary, kollacyi akademickiéj, przy nim także gimnazyum otworzyć umyślili. Był natenczas rektorem akademii sławny nauką i kłótnią swoją literacką z Benedyktem Herbestem, Jakób Górski. Poznał on natychmiast niebezpieczeństwo zagrażające akademii i stanął z energią w obronie jéj praw, zaniósłszy żałobę do króla Stefana, nuncyusza papieskiego i biskupa krakowskiego. Przez całe trzy tygodnie sprawa akademii, lubo jasna i sprawiedliwa, była roztrząsaną, aż nareszcie król i legat papiezki za Jezuitów przyrzekli, że ci szkół w Krakowie na uszczerbek przywilejów akademii nie założą. Akademia z swéj strony zrobiła pewną koncessyą dla Jezuitów, zrzekłszy się praw swoich do kościoła ś. Barbary. Tą atoli powolnością nic nie zyskała, bo Jezuici nie porzucili raz powziętego zamysłu, czekali tylko na chwilę dogodną, w któréjby mogli otworzyć śmiało i bez przeszkody szkoły swoje w Krakowie. Za taką poczytali r. 1624. W tym bowiem czasie kollegia ich niezmiernie rozmnożone po Koronie i Litwie, jednały im w wszystkich zakątkach stronników, zapewniały większość głosów na sejmach i sejmikach; partya różnowierców, ich głównych przeciwników, była już przełamaną, unia kościoła wschodniego z zachodnim utwierdzała się coraz bardziéj; sam monarcha był na ich usługi, Marcin Szyszkowski, biskup krakowski, sprzyjał im z serca; największym zaś sprzymierzeńcem ich zdawała się być sama akademia, bo drzymiąc, widocznie nikczemniała. Otworzyli więc w Krakowie szkoły 1624., odmówiwszy akademii wielu studentów i z innych kollegiów swoich wielu do Krakowa przywoławszy, pewni, że akademia przedsięwzięciu ich nieudolny tylko stawi opór. Ale mylne są, by téż najwyrafinowańsze, rachuby ludzkie! Akademia, tym śmiałym krokiem Jezuitów, jak gronem ze snu obudzona, wystąpiła z całą przezornością sędziwego, z całą energią średniego, z całą siłą i zapałem młodzieńczego wieku w obronie praw swoich. Broniła ich przed królem, na synodach, w Rzymie; odpierała napaści w pismach ulotnych, uderzała sama wstępnym bojem na przeciwnika.*) Wszakże pomimo tego położenie jéj było drażliwe i niebezpieczne. Opuszczona, zostawiona saméj sobie, miała przeciw sobie potężnych, możnych przeciwników, ujmujących dla siebie naród wszelkimi sposobami, szukających pomocy po dworach, po klasztorach, po plebaniach; roznoszących skargi po sejmach i sejmikach na akademią i starających się o pozyskanie opinii publicznéj za sobą wszelkiemi drogami; wspieranych od króla, a co gorsza, od samego kanclerza akademii, Marcina Szyszkowskiego, biskupa krakowskiego, który najświętsze obowiązki swoje (obrońca z prawa akademii) zdradzając, wszędzie i zawsze Jezuitów protegował. Tak np. w roku 1621. dnia 10. Lutego zwołał synod do Krakowa i na nim pod klątwami obostrzył, aby się nikt nie ważył żadnego pisma przeciw Jezuitom bez wiadomości jego wydawać; zakaz ten ponowił reskryptem w Bożencinie r. 1623. danym, a innym listem pasterskim w Iłży 1623. datowanym, umieścił na liście książek zakazanych pisma w obronie akademii wydane; gdy tymczasem pod ręką zalecał pisma Jezuitów przeciw akademii wymierzone. Było to obdzierać akademią z ostatniéj broni i oddawać ją bezbronną pod goły miecz potężnego już nieprzyjaciela. Ale akademia nie ulękła się niczego; zaufana w przekonaniu swém, że słuszna sprawa prędzéj czy późniéj

*) W zatargach tych akademii krakowskiéj z Jezuitami wyszło bardzo wiele pism. Do najciekawszych należą następujące: „Cathedra abo kazanie X. J. z Nowego Targu“; „Deklaracya o niewinności X. J. z Nowego Targu“; „Obżałowanie przeciwko Ojcom Jezuitom“; „Responsio ad famosum libellum a Patribus societatis Jesu in Academiam Crac. scriptum“; „Gratis plebański Brosciusza“; „Gratis plebański Józefa Pięknorzeckiego (właściwie Jezuity poznańskiego Fryderyka Szembeka, autora wielu innych, dziś rzadkich pism“); „Obrona Collegium krakowskiego, Patrum Societatis Jesu“; „Zniesienie Obrony Collegium PP. Societatis Jesu w Krakowie“; „Krótka informatia o swywoley Studentów Akademiey Krakowskiey, przez Sebastiana Koszuckiego“ i t. d. i t. d.

zwycięztwo zawsze odnosi. I ta stoicka nieugiętość jéj w walce z Jezuitami, jest najpiękniejszym rysem w czterowiekowém jéj życiu.

Tymczasem walka między akademią i Jezuitami wciąż wrzała i nietylko atrament, przelewały strony w niéj i krew bratnią. Powrót Brosciusza z Włoszech przypadł na takie smutne czasy, na takie zaburzenie w stolicy Jagiełłów. Wstąpił on natychmiast w szeregi obrońców wspólnéj matki, akademii. Nie zrażony zakazami Szyszkowskiego, wydał przeciw Jezuitom pismo śmiałe, otwierające narodowi oczy na jezuickie wychowanie młodzieży, pod tytułem: „Gratis plebański.“ (1625. roku.) W piśmie tém okazuje: „że Jezuitom nie godzi się mieć szkół w Krakowie, bo nie każdą rzecz dobrą czynić każdemu znidzie się, zwłaszcza, jeżeli prawa i przywileje kogo w czém obwarowały; że Jezuici drogo uczą, chociaż ludziom oczy mydlą, jakoby darmo uczyli i droga ta ich nauka jest z wielką dla rzeczypospolitéj szkodą, bo od wielkich swoich dóbr i majętności, ciężarów rzeczypospolitéj nie ponoszą; wybierają zdatniejszą młodzież z pomiędzy uczniów swoich do swego zakonu, podarunki wielkie i upominki biorą od rodziców tych, których dzieci uczą; że zakon swój wszędzie zalecają, naprzód tym, których dzieci uczą, a potém swoim uczniom, gdy już ze szkół do innych się zabaw udają, przypominając im, aby na Jezuity, jako na swe nauczyciele, łaskawi byli, aby w kongregacyi ze swymi bywali, a księży świeckich, zakonników innych i akademików ganią, komedye o nich i kazania stroją, w ohydę onych do ludzi udając pismami źle wspominają; że jezuicki sposób uczenia w szkołach nic nie wart, bo bez potrzeby narobiwszy trudności w gramatyce, długo nią młodzież zabawiają; że Jezuici nie wszyscy są Jezuitami prawdziwymi, chociaż po jezuicku chodzą, ale się dopiero takimi stają, gdy czwarty ślub papieżowi iścia do pogan czynią; że Jezuici przychylniejsi są królowi hiszpańskiemu i innym, niż własnemu krajowi; że Jezuici wszystkich królów póty szanują i ważą, póki im są pożyteczni; zmarłych zaś lekce sobie kładą, bo im się na nic przydać już nie mogą.“ Daléj dowodzi z przywileju Władysława Jagiełły, akademii danego, że Jezuitom nie wolno szkół w Krakowie otwierać. Dzieło to dał Brosciusz wytłoczyć u Jędrzeja Piotrkowczyka, drukarza dyssydenckiego, w Wielkiéjnocy,(?) który za sprawą Jezuitów skazany został wyrokiem sądu grodzkiego krakowskiego na osmaganie u pręgierza za to, że się poważył drukować pismo, uwłaczające sławie Jezuitów. Książka ta rozszedłszy się po rękach, narobiła wiele wzburzenia w publiczności, a Jezuitom kłopotu, albowiem zarzuty czynione w niéj zakonowi, nie były, jak mówią, wyjęte z rękawa, ale z domowego życia *) Wzburzenie to okazywało się szczególniéj pomiędzy młodzieżą akademicką i jezuicką. Przyszło do gorszących scen, do rozlewu krwi. Uczeń akademicki, Bartłomiéj Przepiorka Piątkowski, zabitym został od motłochu, przez Jezuitów, jak utrzymywano, na to nasadzonego. Uczniowie akademiccy oddawali wet za wet, a może byli i stroną zaczepiającą; zwierzchność szkolna z obydwóch stron, zamiast powściągać tę swywolę, zachęcała do niéj, albo przynajmniéj przez szpary na nią patrzała. „Pozwawszy panowie akademicy“ — mówi Jezuita Szembek w odpowiedzi na Gratisa Brosciusza — „Jezuity do Rzymu o szkoły ich krakowskie i tam się o to z nimi prawem rozpierając, nie czekawszy dekretu stolicy apostolskiéj, studenci ich sobie sprawiedliwość czynić z Jezuitów poczęli; studentom bowiem jezuickim ze szkół do domu się wracającym, nieraz na dobrowolnéj drodze zastępowali, rozmaite onym despekty i przykrości czyniąc, ich bijąc, książki wydzierając, czapki zdzierając, chcąc szkoły jezuickie tém wexowaniem rozpłoszyć, a Jezuitów z possessyi zrazić; ale gdy im to nie poszło, z kamieniami i z bronią zastąpili im na grodzkiéj ulicy gromadno, i nie mając względu ani na stan kapłański dwu Jezuitów, obudwu kapłanów i professorów, między studentami dla obrony ich od swawolników onych idących, zbrojną ręką na nie uderzyli i tumult zgwałceniem pokoju publicznego uczynili, tak, że drzwi domów i warsztatów, do których byli tak Jezuici jako i studenci ich ustąpili, siekli, a szlachcica, jednego dyscypuła jezuickiego, w ramię cięli; innym kijmi, drugim kamieńmi dostało się. Jechali zaraz Jezuici do JMci księdza biskupa w téj sprawie, a na X. rektora, nierychło swe hamującego, i na studenty jego protestacye poczyniwszy, króla JMci o tak wielkiéj insolencyi i krzywdzie swéj informowali; bo x. rektor akademicki miasto tego, co studenty swe miał karać i płoche one postępki zganić, to on jeszcze uniewinniał ich swawolę.“ Młodzież akademicka, temi zgiełkami, burdami, zabijatykami i paszkwilami z jednéj i drugiéj strony wyłącznie zajęta, odwodzoną była od nauki; nie mogli o niéj myśleć i professorowie, obarczeni ciężkim processem w Rzymie, zatrudnieni odpieraniem pocisków jezuickich.

Był natenczas rektorem akademii Krzysztof Najmanowicz, mąż nie tak uczony, jak raczéj rozumny i energiczny. Ten chcąc położyć koniec owemu opłakanemu stanowi akademii, pojechał w tym interesie do Warszawy do Zygmunta III., wziąwszy z sobą Brosciusza; nie wskórał atoli nic u monarchy za Jezuitami

*) Na pismo to Brosciusza gotowali Jezuici dwa lata odpowiedź, nareszcie ukazał się ich „Gratis plebański“ Szembeka, wydany w Poznaniu 1627. r.

uprzedzonego. Brosciusz, pokazawszy w téj missyi wielką zręczność w interessach prawnych, był późniéj często wysełanym od akademii w téj sprawie do króla i rzeczypospolitéj, zajmując się prócz tego wykładaniem nauk matematycznych i obroną praw akademii.

Śmierć Zygmunta III. (1632.) uwolniła go od ostatniego zatrudnienia. Następca bowiem Zygmunta III., Władysław IV., wychowany od akademika Władysławskiego, nie będąc przychylnym Jezuitom, popierał sprawę akademii z równą gorliwością, jak ojciec jego niegdyś sprawę Jezuitów. Zaraz po swojéj koronacyi zwiedził akademią; przyjęty jak najuroczyściéj od professorów, mających na swojém czele Jakoba Najmanowicza, rektora *), który monarchę mową łacińską powitał. Władysław IV., rozmawiając uprzejmie z professorami, przyrzekł akademii sprawiedliwość wkrótce wymierzyć. Jakoż w roku 1633. na sejmie popierał ten interes i otrzymał skassowanie wyroków rzymskich, na korzyść Jezuitów zapadłych; poczém w roku 1635. szkoły jezuickie w Krakowie na zawsze zamknięte zostały.

Brosciusz, bądźto znudzony tą literacką i prawniczą kłótnią z Jezuitami, która w ustawicznem natężeniu umysł jego w rzeczach mu niemiłych ciągle utrzymywała, bądź też dla zapewnienia sobie kawałka spokojnego na starość chleba, którego mu stan akademicki nie obiecywał, został w tym czasie kapłanem, a otrzymawszy od Jana Tęczyńskiego, wojewody krakowskiego, intratne probostwo w Międzyrzeczu na Podlasiu, pożegnał akademią (1639). Będąc kapłanem pełnił ściśle obowiązki tego stanu, nie wymawiał się od żadnych posług duchownych i często jeżdżąc na synody, uchwały ich spisywał; wszakże o akademii nie zapominał, a uzbierawszy nieco grosza, zapisał jéj 3,000 złotych ówczesnéj wartości na powiększenie pensyi professora matematyki, na wsparcie ucznia téj nauce poświęcającego się i na pomnożenie biblioteki, darowawszy jéj nadto cały liczny swój księgozbiór, którego atoli używanie zastrzegł sobie do końca życia. Sprzykrzywszy sobie pobyt w miejscu dalekiém od ogniska nauk krajowych, wrócił w r. 1648. do Krakowa, objął na nowo katedrę matematyki w akademii, a w r. 1652. obrany został jéj rektorem, lecz już w tym samym roku w pełności lat wieku i zasług, dnia 15. Grudnia życia dokonał. — Był to mąż głębokiéj nauki, jeden z najcelniejszych matematyków i astronomów naszych, zdrowo myślący, z wszystkiemi gałęziami nauk dobrze obeznany, nieprzyjaciel główny form niepotrzebnych, wybiegów i subtelności dyalektycznych; prawdę nad wszystko kochający, brzydzący się hipokryzyą tak w całych stanach, jako i w osobach pojedyńczych. Sił próbował w wielu rodzajach piśmiennictwa *); wolne od obowiązków chwile poświęcał poezyi, mianowicie satyrze, która mu się, zwłaszcza w Albertusie **), gdzie junakieryą wyszydza, nie źle udawała. Słowem, byłto geniusz, człowiek wyższy nad wiek, w którym żył, człowiek, który się nie dał unieść potokowi ówczesnéj panegiryczności; widział dobrze złe, znał jego sprawców i rozsiewaczów, życzył szczerém sercem swéj ojczyznie szczęścia, ale niemógł korzystnie wpływać na los narodu, reformę nauk, bo przeszkody, które miał, nie były do pokonania.

Kraków 1. Lutego 1840 roku.

X. W. N....

Czchów. ***)

(*Z obrazów Galicyi.*)

W południowo-zachodnim końcu obwodu bocheńskiego leży pomiędzy dwiema górami w nizinie nad Dunajcem małe miasteczko Czchów, zamieszkałe od 1480 Chrześcian i 200 Żydów. Całą tę uroczą okolicę przerzyna piękna górska rzeka, nadająca takowéj życie. Z dawnéj wielkości i znaczenia tego miejsca, będącego dziś własnością barona Adama Niemyskiego, mało śladów pozostało. Miasteczko winne swe powstanie Kazimierzowi Wielkiemu, który według słów polskich kronikarzy: „królestwo drewniane znalazł, a murowane zostawił.“ Król ten obwarował miasteczko wałami i murami, wyniósł go oraz do godności kasztelaństwa i niegrodowego starostwa. Tutaj odbywały się sądy ziemskie województwa krakowskiego, powiatów: sądeckiego, czchowskiego, bieckiego i szczyrzyckiego. Na ostrokręgowém wzgórzu stoi jeszcze czcigodny zabytek odległéj przeszłości: okrągła wieża. Głębokie i smutne ciemnice takowéj służyły za więzienie dla dumnéj i zbrodniczéj szlachty, która za ciężkie

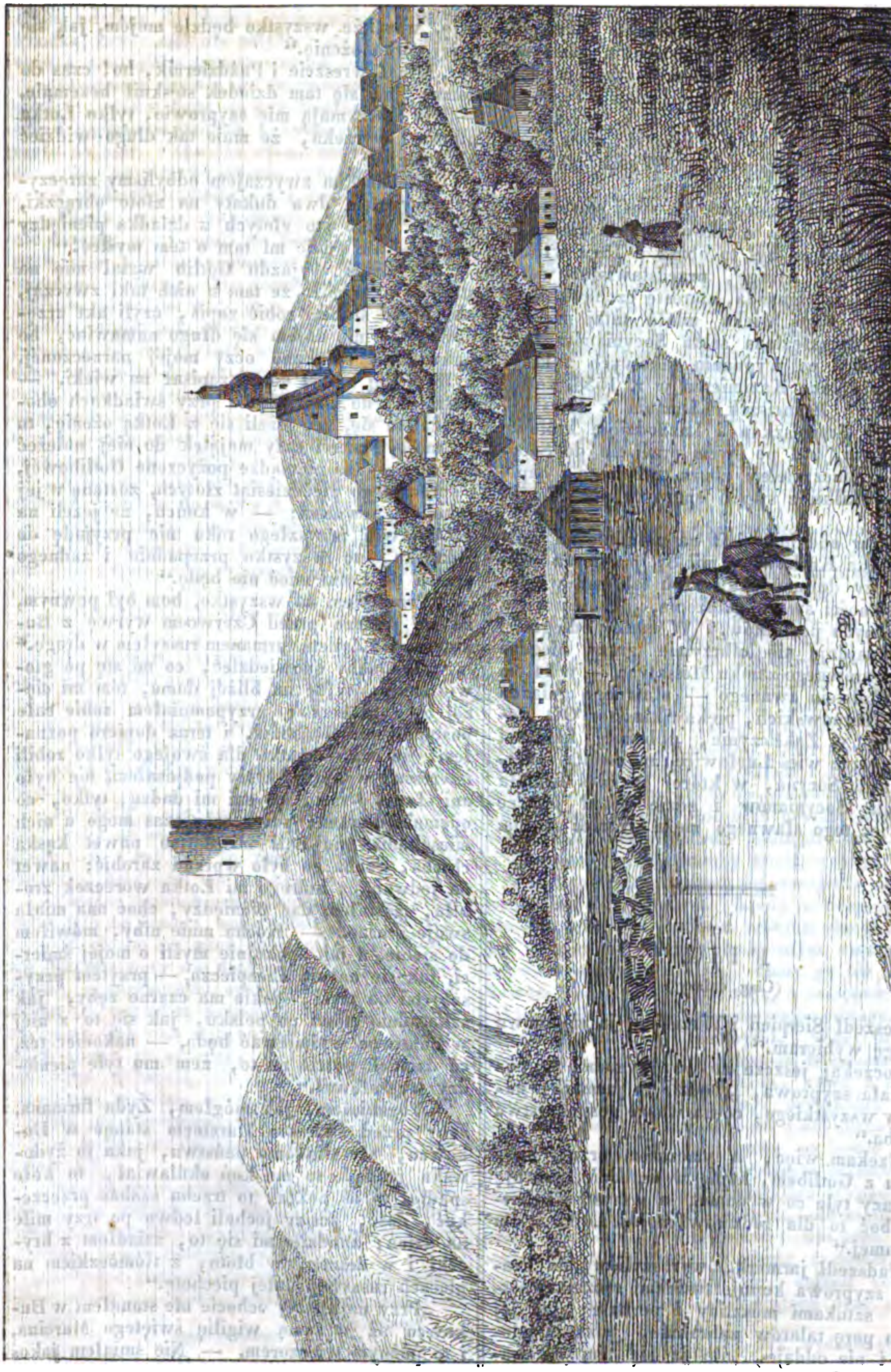
---

*) Mowę tę wydrukowano w ćwiartce: „Reverendi olim Jacobi Naymanovicii J. U. D. ac professoris, Can. Cracov. ad Serenissimum Vladislaum IV. etc.“ 5 kart. Najmanowicz ten był bardzo lubionym, jak się to okazuje z pisemka: „Thren żałobny na Pogrzeb Jego Mości X. Jakuba Naymanowica etc., który obiit 23. Novembris 1641. Wydany przez Tomasza Kalińskiego Sap(ienta) [to jest bedela] Akad. krak. W Krakowie 1641. — 4to.“

*) Pisma jego wyliczają Sołtykowicz, Bentkowski, Siarczyński.

**) W „Gratis plebańskim“, przyznaje się sam, że jest autorem „Albertusa“, dobréj satyry, na wielu junaków, co to z kurami wojują.

***) Zob. P. L. r. V. T. 2. Nr. 48. str. 381.



Czchów.

przestępstwa tutaj traconą bywała. Używano do tego katów z Biecza, miasteczka, gdzie takowi swój cech mieli. Dotąd jeszcze przechowało się w ustach ludu wiele podań o mękach, jakiemi zbrodniarzy karano, n. p. o żelaznéj pannie i innych w owych czasach używanych narzędziach katowniczych. Widok niniejszy przedstawia ową wieżę okropną.

Kościół farny ciekawy ze swéj starożytności; przechowywano w takowym akta ziemskie. Niedawno jeszcze był tu obraz z 15go wieku, zasługujący na uwagę, przedstawiając wołoskiego księcia Ognasda, starostę czchowskiego. Z końcem 16go wieku miała tutaj széroko w Polsce rozgałęziona sekta Socynianów zbór swój, który po wygnaniu takowych z kraju przez króla Jana Kazimierza w r. 1658. został zamknięty. Franciszek Lismanin z Korsyki, pierwotnie Franciszkan i kaznodzieja królowy Bony Sforzy, był po swém przejściu do Socynianizmu nauczycielem zboru tutejszego i napisał tutaj kilka z swych spornych pism łacińskich.

Czchów oddalony jest na południe od wolnego miasta Krakowa o mil 8; przyległa okolica należy do najciekawszych tak pod względem piękności swego położenia, jako téż wielu historycznych pomników. W małéj odległości z tąd znajdują się olbrzymie gruzy niegdyś mocno warownego zamku Melsztyna — w 14tym wieku Molstein zwanego — sławnego gniazda rodziny Tarnowskich, piękny klasztor OO. Reformatów w Zakliczynie, pobożnéj fundacyi Tarłów, oraz wieś Lucławice, znakomita śmiercią Fausta Socyna, w któréj niegdyś istniała drukarnia Socynianów i gdzie dotąd jeszcze grobowiec tego sławnego męża widzieć można.

F l i s.

(Ciąg dalszy.)

„Zeszedł Sierpień i Wrzesień, ja się znowu w drogę wybieram.“

„Poczekaj jeszcze ze dwa tygodnie“, powiedziała szyprowa, „będzie tu jarmark; nakupimy wszystkiego, co na wasze gospodarstwo potrzeba.“

„Czekam więc, a tymczasem orzę, sieję w polu z Gotlibem, kopię w ogrodzie, pracuję dwa razy tyle co w domu, a wszystko ochotnie, boć to dla rodziców mojéj Lotki i dla niéj saméj.“

„Nadszedł jarmark, wyruszyliśmy do kramów; szyprowa kupuje tuzinami ręczniki, serwety, sztukami muszliny i perkale; jak jéj czasem parę talarów zabraknie, pożycza odemnie i nie oddaje, ale ja się tém nie frasuję, wszakże wszystko będzie mojém, jak się z jéj córką ożenię.“

„Minął wreszcie i Październik, ho! czas do domu; już się tam dziadek stęsknił bezemnie. — Nie zatrzymują mię szyprowie, tylko Lotka płacze i wyrzeka, że mnie tak długo widzieć nie będzie.“

„Niemieckim zwyczajem odbyliśmy zaręczyny; wydałem dwa dukaty na złote obrączki, już się tylko sto złotych z dziadka pieniędzy zostało, ale gdzie mi tam o tém myśleć!“

„W dzień wyjazdu Gotlib wziął mię na stronę i oznajmił, że tam u nich taki zwyczaj, aby przed ślubem robić zapis, czyli akt urzędowy; — nie dałem się długo namawiać, bo patrząc na spłakane oczy mojéj narzeczonéj, byłbym jéj nawet duszę zapisał na wieki. — Poszliśmy do magistratu i przy świadkach obowiązałem się, że, jeżeli się z Lotką ożenię, to po mojéj śmierci cały majątek do niéj należeć będzie; — że pieniądze pożyczone Gotlibowéj, i oprócz tego pięćdziesiąt złotych, zostaną w jéj ręku dla pewności; — w końcu, że jeżeli na 1. Czerwca przyszłego roku nie przyjadę do Gdańska, to wszystko przepadnie i żadnego prawa do Lotki mieć nie będę.“

„Przystałem na wszystko, bom był pewnym, że się jeszcze przed Czerwcem wyrwę z Bukowca, i z Żydem furmanem ruszyłem w drogę.“

„Trudnoby opowiedzieć, co mi się po głowie snuło; tylko im bliżéj domu, tém mi cięższéj było na sercu; przypomniałem sobie całe postępowanie Gotlibów, i teraz dopiero poznałem, że oni wszystko dla swojego tylko robili interessu; w akcie, który podpisałem, nie było ani słowa o tém, co oni mi dadzą, tylko, co odemnie dostaną; przez cały czas mego u nich mieszkania nie dali mi darmo nawet kąska chleba, trzeba go było wprzód zarobić; nawet na jedwab, z którego mi Lotka woreczek zrobiła, musiałem dać pieniędzy, choć ona miała swoje grosze. — Kocha mnie niby, mówiłem do siebie, a jak spokojnie myśli o mojéj śmierci, jak się na nią ubezpiecza, — przytém przyszło mi na myśl, jakie ma czarne zęby, jak szkaradnie mówi po polsku, jak się to z niéj w Bukowcu wyśmiewać będą, — nakoniec téż, co dziadek powie na to, żem mu tyle pieniędzy wyszafował.“

„Poganiałem, jak mógłem, Żyda furmana, żeby przed świętym Marcinem stanąć w Bukowcu, ale wiadomo państwu, jaka to żydowska jazda! to mu koń okulawiał, to koło spadło, to oś pękła, to trzeba szabas przeczekać, dość, żeśmy jechali ledwo po trzy mile na dzień; znudziło mi się to, zsiadłem z bryczki i w deszcz, w błoto, z tłómoczkiem na plecach ruszyłem daléj piechotą.“

„Przy najlepszéj ochocie nie stanąłem w Bukowcu aż w samą wigilię świętego Marcina, i to późnym wieczorem. — Nie śmiałem jakoś

wejść od razu do chaty; nadstawiłem ucha do klamki, czy czego nie usłyszę; ale tylko kołowrotek naszéj Małgorzaty warczał bez ustanku.“

„Otwieram drzwi, aż tu zamiast staréj gospodyni, widzę moją dawną Marysię przędzącą przed ogromnym ogniem u komina; — spojrzała na mnie i skinęła ręką, żebym szedł cicho, bo po drugiéj stronie ognia na szerokiéj ławie siedział drzymiący mój dziadek.“

„Blady był i wynędzniały, znać chorował nie dawno; plecy oparł na poduszce, a na nogach jego leżała świąteczna sukmanka Marysi baranami podbita. Nie przebudził się na moje wejście, usiadłem więc przy dziewczynie i słuchałem pilnie, jak przędąc opowiadała mi półgłosem, że Małgorzata umarła w miesiąc po moim wyjezdzie, że dziadek zostawszy bez pomocy, sam wszystko robił około domu, aż póki spracowawszy się pewno, ciężko nie zaniemógł; trzy tygodnie leżał w łóżku i teraz jeszcze nie miał siły wyjść z chaty.“

„A jam się przez ten czas bawił i do Niemki zalecał! rzekłem do siebie z wyrzutem.“

„Nie troszczcie się Marcinie! wszakże moi gospodarze niedaleko ztąd mieszkają; ja tu dopadałam często, i zastępowałam was przy staruszku.“

„A wiedziałaś ty Marysiu, że ja się mam żenić?“

„Wiedziałam, i szczęść wam Boże! bo téż teraz potrzebna gospodyni w domu.“

„Lepsza ona od Lotki! pomyślałem sobie; i jak znów zacząłem jednę z drugą porównywać, no! ale po tém o tém. Marysia wyprzędła len z prześlicy, wstała po cichu i wyjrzała oknem.“

„Już śpią u nas, rzekła: pójdę i ja do domu, boby mi może nie pozwolili prząść tu na drugi raz. Już się tu pan Marcin bezemnie obejdzie, kiedyście wy wrócili.“

„Poszła; dziadek ocknął się niedługo i przywitał mię ze łzami; opowiedział mi, ile wycierpiał, ile się po mnie natęsknił; jak poczciwa Marysia nocy nie dosypiała, byle wydołać służbie i dopilnować opuszczonego starca, co nieraz jéj rodzicom pomagał, a ją samą nosił na ręku; jak ona widząc, że dziadek nakupiwszy zboża na przedaż, mało sobie zostawił pieniędzy, w trzeciéj wsi skupowała miód i inne przysmaki, mówiąc, że to od swojéj gospodyni dostaje; jak mię broniła, kiedy staruszek w gniewie na moją niewdzięczność i zapomnienie powstawał.“

„Szkoda moje dziecko, powiedział idąc na spoczynek; szkoda, żeś się dał jakiéjś Niemce opętać, bo nie ma i nie będzie lepszéj żony pod słońcem, jakby Marysia była!“

„Szkoda! pomyślałem sobie; ale cóż robić, dałem słowo, a słowo krakowskiego flisa jest święte.“

(Koniec nastąpi.)

Poezya polska w 15tym i 16tym wieku,

przez W. A. Maciejowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Znakomitszego, niż Jan Kochanowski, talentu, ale w wieku swoim mało ceniony poeta, to jest Sebastyan Klonowicz, opłakując śmierć wieszcza z Czarnego lasu, tak nócił (w żalu I.):

Już się z niego nie cieszą niebotyczne skały,
Już się lutni nie będą lasy ozywały.
Już nie ma, i żałosna, już nie tak pozorna
W górnych cieniach usiadła Echo głosotworna.

Jego słowa były wieszcze, bo po Janie Kochanowskim miała Polska tłumy elegijnych poetów, i ślepych tamtego naśladowców: ale wieszcza, któryby go przewyższył, a przynajmniéj zrównał mu w trenach, nie miała. Jeden tylko Kasper Miaskowski, równie w hymnach, jak w elegii wielki, godzien jest stanąć około niego. Ale elegia wielko-polskiego poety, inną na sobie cechę nosi, aniżeli treny Małopolanina. Najpiękniejszym tego rodzaju wierszem, jest zrobiony przez niego opis śmierci młodzieńca (*), który zginął na łowach:

Płaczą go wkoło, strachu nie próżne
Z listków deszcz lejąc, gałązki różne.
Tak więć brunatny kwiatek przy błocie
Ostry poderznie pług na uwrocie,
On niż dopadnie do ziemie, mdleje,
Albo jeśli deszcz gwałtowny leje,
Ciężkie schyliwszy na dół mak głowy,
W mętnéj utonie brózdzie, wnet płowy.

Po lirycznéj, satyryczna poezya najwyżéj się u nas wzniosła, ważną w dziejach umysłowego naszego usposobienia odegrawszy rolę. Nasza satyra nie była łajaniem i łżeniem zepsutych obyczajów (tych téż niemieliśmy nigdy, gdyż u nas zepsucie nie było powszechne, ale tylko mała część narodu podlegała mu), jak u Rzymian; byłato raczéj ironia wyszydzająca i wydrwiewająca psującą się moralność narodu, podobnie jak u Greków. Kiedy po drugiéj wojnie kartagińskiéj szybkim krokiem dążył Rzym ku osięgnieniu władzy nad całym ówczesnym ucywilizowanym światem, kiedy go téż niezabawem podbił pod moc swoją, a następnie złupił i zawojował, wtedy próżnowaniu oddany, rozpasał się na wszelkie zbytki. Wnet prozaiczna poezya rzymska, chłostała wierszem sześciomiarowym te zgrozy, i ta, która z resztą naśladowaniem była greckiéj, oryginalną stała się w satyrze. Począwszy od Lucyliusza, satyra tylko oryginalności cechę na sobie nosi, odznaczając się pięknie, w całym przestworze rzymskiéj literatury. Z charakteru wypadło to naszego, żeśmy się musieli psuć, ale nigdy zupełnie się zepsuć nie mogliśmy: dla tego téż i satyra nasza raczéj była ironią i dowcipném wyszydzaniem psujących się, aniżeli chłostą zepsutych obyczajów, otwierającą oczy naro-

(*) Dzieł część II. str. 260. 261. wydanie 1822.

dowi, na złe skutki lekkomyślności jego i swawoli. Poeci nasi, którzy w tym duchu pisywali satyry, cieszyli się zawsze dobrém powodzeniem; przeciwnie, rozjątrzali raczéj, aniżeli naprawiali serca, jako to: Łukasz Opaliński. Ostatnim najznakomitszym satyrykiem polskim był Ignacy Krasicki, z którym ustał ten rodzaj wiersza. Jakoż stał się on już niepotrzebny w końcu 18go wieku, gdy naród wyplątawszy rozum swój z więzów jezuickiego wychowania, znowu myśleć i sam nad sobą zastanawiać się zaczął.

W wieku 16tym liczymy trzech znakomitych satyryków: Mikołaja Reja, Jana Kochanowskiego i Sebastyana Klonowicza.

Po wszystkich dziełach Reja rozlana jest satyra; dowcipną jest w czwartym rozdziale jego zwierzyńca, błazeńską w figlikach. W zwierzyńcu dowcipnie wywiódł Rej na scenę zwierzęta i drzewa łające ludzi, podobne sobie ze skłonności i postaci. Tak bocian łaje łakomcę, paw hardego i pysznego człowieka, sojka błazna; dąb przygania wyższym narodu stanom, nadobna lipa pięknie chwali obyczaje, i t. p. Satyr Jana Kochanowskiego wytyka wady rządu, wiersze pod napisem: *Broda, Marszałek*, przyganiają wymyślnym strojom i łają złych urzędników, nakoniec jego ułamki przywodzą satyryczne Jana dowcipki, które się po całym upowszechniły narodzie. Powiada Kochanowski, że nowo wyświęconych księży nazywała szlachta wróblami na swoją pszenicę (ściągało się to do dziesięcin), że o sędzim, do dalszego sądowego dnia odkładającym sprawę, mawiano, iż do sądnego dnia ostateczne osądzenie sporu zawiesza.(*)

Z wewnętrznego składu zasługuje na uwagę worek Judaszów Klonowicza; zewnętrznie uważany, oryginalnym nie jest, w takim bowiem kroju już poniekąd i Dantego występują pienia, zepsutym Włochów przyganiają obyczajom. Satyryk polski w utworze swoim w liryczność wpada niekiedy. Mianowicie początek wiersza zastanowić powinien, który tak brzmi:

Merkury, wszystkich handlów i przemysłów Boże!
Któż twoję mądrość pojąć i wysłowić może?
Ty rządzisz krzywomyślny dowcip, i ty zbroisz
Język w dziwne chytrości: ty postawą stroisz;
Ty lipkie palce uczysz i ręce umkliwe:
Ty oszukać prostaka każesz w oczy żywe.
Za twoją sprawą oszust swoje fałsze zdobi.
W piękny płaszczyk, kiedy co foremnego zrobi.
Ty ostatnim ratunkiem: gdy rzeczy nie służą,
Czynisz ochotne nogi i puszczasz na dłużą.

Każdy naród wywodzi początek dramatu swego z obrzędów religijnych. U Greków powstała tragedya i komedya z pieniów na cześć bóstwa śpiewanych. Z jasełek betlejemskich i z męki pańskiéj na górze Golgata, powstał dramat chrześcijański, więcéj tragiczny niż komiczny, co przecież z samego przedmiotu poważno-religijnego nie wypływało. Z obrzędów religijnych i sławiańsko-pogański dramat wywodzi swój początek. Wiadomo jest, że w 11m jeszcze wieku, wieśniacy czescy pogańskie naśladując zwyczaje, rodzaj widowisk wyprawiali sobie, w czasie świąt Rusałkami zwanych. Wpływ religii chrześciańskiéj zniweczywszy ten rodzaj widowisk, niepotrafił dokazać tego, ażebyśmy się chrześciańskiemi tak przejęli o scenie wyobrażeniami, jak zachodnia Europa, a szczególniéj téż Germanowie, najsilniejsza w średnich wiekach podpora rzymsko-katolickiego Kościoła. Przyczyną tego było insze pojmowanie u nas chrześciańskiéj poezyi, czyli, jak ją dziś zowiemy, romantyzmu, aniżeli na zachodzie. Charakter nasz, a więc i całe polityczne i prywatne życie, wielce się od germańskiego różniło. My Polacy i wszyscy Sławianie, więcéj o ziemi, Germanowie więcéj o niebie myśleli; my spokojność i rzeczywistość, oni baje i marzenia lubili, oni rozczulać się, my weselić się woleliśmy. Dla tego téż inaczéj oni, a inaczéj my pojmowaliśmy Chrystyanizm. Sławianie wierzyli w to i święcie przestrzegali, co pierwotny przykazał Kościół, a kiedy z czasem pomyśleli Czesi o reformie katolickiego kościoła, dążenia ich zmierzały naprzód do przywiedzenia go w dawne karby katolicyzmu, i do odrzucenia wszystkiego, co późniéj rzymski Kościół do obrzędów religijnych wprowadził. Na tém jedynie pierwotne Czechów ograniczały się życzenia, owéż i synowską miłość, która Bogarodzicę, Apostołów i pobożne niewiasty, łączyła z Bogiem Synem, dosłownie, to jest w znaczeniu pierwotnego Kościoła pojmując, (jako miłość, która stworzenie ze Stwórcą łącząc węzłem ścisłym, na świętém woli jego wykonywaniu zależy), nie rozczulaliśmy się nad nią o tyle, jak Germanowie; którzy w stósunkach reszty życia prozaiczni, a w mniemaniach religijnych poetyczni, (byłoto dalsze następstwo ich skandynawsko-pogańskiéj mitologii), pełni duchów, mar i upiorów, pełni zabobonów i straszydeł, zrodzonych w strefie mglistego i posępnego ich nieba, chrześciańską ową miłością rozmiłowali się wielce; w niéj rozpłynęli, i pod tę miłość wszystko zagarnąć pragnęli, a mianowicie téż Sławian, swoich nieprzyjaciół. Nie dziw więc, że pierwszy rzymsko-katolicki dramat, odmienny od owego, który w czwartym już wieku, po narodzeniu Chrystusa, miał w wschodnio-katolickim kościele utworzyć o męce Zbawiciela Grzegórz z Nazianzenu, pokazał się u Germanów w roku 950, i że go utworzyła kobieta, zakonnicą będąc z powołania (byłato Helena z domu Rosow, Hroswitą, Roswitą zwykle nazywana). Najpiękniejszy swój wiek tak przemarzywszy Niemcy, doczekali się wreszcie w 17m i 18m wieku narodowego dramatu, w skandynawsko-romantycznym wykonanego guście, a w chrześciańsko-filozoficznym pomyślanego duchu.

(Koniec nastąpi.)

(*) Fragmenta w wydan. 1629. str. 7.

Przyjaciel Ludu.

Rok szósty. **No. 40.** Lesno, *dnia 4. Kwietnia* 1840.



Posąg Piotra Wielkiego w Petersburgu.

Posąg Piotra Wielkiego w Petersburgu.

Wszystkie prawie europejskie stolice ozdobione są posągami wielkich ludzi. W jednych monarchowie mniéj, lub więcéj sławni, w innych dzielni bohatérowie, w innych jeszcze wielcy pisarze lub uczeni, następnych wieków pamięci są przekazani. Z tych najmniéj popularną jest owych uczonych pamiątka, którzy jak Newton, Kartezyusz i Kopernik, do uczonéj tylko przemawiać mogą publiczności. Daleko popularniejszemi są te pomniki, które, jak Johanny d'Arc, wybawienie ojczyzny z obcych najazdów przypominają. Najważniejszym atoli ze wszystkich europejskich pomników jest posąg Piotra Wielkiego w Petersburgu. Widok tego arcydzieła sztuki, nadany mu wyraz, nadewszystko zaś wspomnienie na to, co ten monarcha zdziałał, co po dziś dzień z pomysłów jego wypływa, wysokie temu pomnikowi nadają znaczenie. Bo któż istotnie między monarchami historyi pochwalić się może przeistoczeniem całego i licznego narodu, i to w przeciągu niedługiego nawet czasu?

Na jednym z wielkich placów w mieście Petersburgu, między tak nazwanym gmachem admiralicyi, a pałacem senatu, między rzeką Newą, a kościołem Ś. Izaaka, wznosi się kunsztowna skała. Na nią wjeżdża w całym zapędzie ognistego rumaka jeździec spiżowy, i z wysokiego położenia, naprzód wyciągając prawicę, ważne zdaje się wydawać rozkazy. Jestto Piotr Wielki, twórca Petersburga i całéj państwa rossyjskiego potęgi.

Wykonawcą tego posągu był Falkonet, rzeźbiarz francuzki, i wszystkich znawców uzyskał pochwały. Szczęśliwy i śmiały był jego pomysł, ale równie szczęśliwie umiał go wykonać. Twarz cara jest z najpodobniejszych wzorów naśladowana. Głowa jego wawrzynem tylko pokryta. Ubranie jego starosławiańskie we wszystkich częściach, nawet aż do obuwia. Zamiast siodła, siedzi na przewieszonéj na koniu skórze niedźwiedziéj. Osiadanie konia na tylnych nogach, przy największém wysilaniu żył i arteryj, jest tryumfem sztuki rzeźbiarskiéj. Wdzieranie się zaś Piotra na skałę, i wąż, którego końskiemi kopytami depce, wystawiają allegorycznie trudności, które zwyciężyć musiał.

Nie uszło i to arcydzieło wielorakiéj krytyki. Nas te tylko w niém uderzyło, że wśród nadto wielkiego placu, ginie z oczu cały ten pomnik i tylko dla zbliżających się żywsze nabiera znaczenie. Ów zaś zarzut często powtarzany, że Falkonet wyższą pierwiastkowie skałę za nadto zniżył i znikczemnił, każden artysta tą odeprze zasadą, że nie trzeba, aby podstawa samemu dziełu szkodziła, i całą uwagę na siebie ściągnęła. Przy większéj wysokości, zginąłby Piotr na skale, jak dziś ginie cały pomnik wśród nadto rozległéj przestrzeni.

Ale powstał inny jeszcze krytyk, który wiedziony po części artystycznemi, po części filantropicznemi względami, potępiać się zdaje i pomnik i przedmiot pomnika. Mimo tak sprawiedliwie uznanéj powagi Mickiewicza, śmiemy stanąć w obronie i artysty i mocarza. Porównywa nasz poeta posąg Piotra z Mark-Aurelskim w Rzymie, i w spokojnéj wspaniałości tego ostatniego, wielką nad poprzedzającym wyższość upatruje. Odpowiemy na to, że inny był cale przedmiot Falkoneta, jak rzymskiego rzeźbiarza. Ten wystawiał filozoficznego monarchę, który prócz wspomnienia cnót indywidualnych, nic po sobie nie zostawił, tamten silnego budowcę nowych utworów wśród burzliwego zamętu. Stósowna zatém była myśl Falkoneta, a przytém nowsza i śmielsza, jak rzymskiego artysty. Wreszcie ten urok spokojnéj powagi, tyle ceniony od znawców, któremu bynajmniéj hołdu nieodmawiamy, urok ten rzadko bywa zrozumiany od licznego gminu, a przecie posąg pod gołém niebem stojący, przed wszystkiém popularnym być powinien.

Co zaś do samego przedmiotu, do saméj Piotra osoby, nie widzi nasz poeta, tylko ciężkie ramię zdobywcy, spędzającego tłumy niewolników dla zaludnienia nowego miasta, wśród dzikiéj i wstrętnéj natury. Wszędzie tylko widzi gwałt, zmuszający ciemnotę i nędzę, do pysznych gmachów stawiania. Ale długich wieków doświadczenie już nas nauczyło, że przy ocknieniu się z barbarzyństwa, jeden tylko despotyzm dzieło postępu silnie popychać może. Srogim on jest zapewne, ale nie sroższym od stanu anarchii, który go poprzedził, a tém od niego różny, że trwałe ślady po sobie zostawia i przyszłym pokoleniom łatwiejszą gotuje drogę. Nim Piotr o indywidualném szczęściu poddanych mógł pomyśleć, musiał najprzód byt polityczny narodu swego ustalić. Do tego potrzebne były (nie istnące jeszcze natenczas) skarb, wojsko i flotta. W ciągu trzydziesto-letniego panowania, wszystko to utworzył. Tyle zdziałał przez siebie samego, że następcom swoim użycie tylko sił i rozwijanie ich zostawił. Ale nie mógłby był dostąpić wszystkich tych korzyści, gdyby nie użył silnego ramienia, i owéj żelaznéj woli, która jedynie ludzkimi włada losami.

To polityczne usamowolnienie narodu, głównym zawsze będzie powodem wdzięczności Rossyan dla Piotra. Arystokratyczne przewodzenia Bojarów, sprowadziły były niemoc na państwo moskiewskie. Korzystaliby byli ztąd sąsiedzi, i najechaną byłaby Rossya od obcych. On ją wyrwał z przepaści, odparł szwedzkiego bohatéra natarcie i założył podstawę przyszłéj narodu wielkości. Jak błogo każdy Rossyanin poglądać może na posąg Piotra, gdy sobie powie: „Oto człowiek, który nas od największego

„nieszczęścia, od obcego wybawił jarzma. On „nas uczynił świetnym i szanowanym w Europie „narodem! Onto sprawił, że już niepodobna, „abyśmy kiedykolwiek sąsiedzkiéj mieli uledz „przemocy!“ *S. P....r.*

Flis.

(Dokończenie.)

„Nazajutrz w sam święty Marcin odwiedziłem znajomych gospodarzy, zgotowałem obiad, a że zapasów nie było w domu, mieliśmy tylko barszcz i kaszę ze sloniną; wyznałem przy jedzeniu przed dziadkiem, com zrobił i com myślał, staruszek potrząsał głową, żałował mnie, ale wiedział, że nie ma rady na moją biedę.“

„Już mieliśmy wstawać od stołu, aż tu Marysia wchodzi we drzwi i z uśmiechem stawia przed dziadkiem gęś pieczoną, tłustą, rumianą, obłożoną jabłkami.“

„To od gospodarzy! rzekła, spuszczając oczy.“

„Nie prawda, Marysiu! powiedział rozrzewniony dziadek, tyś to kupiła.“

„Kupiłam panie Marcinie, ale nie drogo; nie wiedziałam, że wasz wnuk zdąży na dzisiaj do domu, a bez niego, toby wam się pewno było przypomniało, że u Skorylasów zawsze w dzień Ś. Marcina gęś pieczona była na stole.“

„Dziadek uściskał dziewczynę i posadził ją przy sobie; zjedliśmy pół gęsi, jakże mi też smakowała! nikt mi kąsków nie mierzył, nikt nie liczył, ile razy otworzyłem usta; nie tak jak w Gdańsku! Spojrzałem bacznie na Marysię; znać, że się świątecznie ubrała, a przecież nie miała wstążek u warkocza, i dwie spore łaty zakrywały boki zgrabnych kiedyś trzewików na klinikach.“

„Ona wszystko, co miała, oddała dziadkowi, a bogata szyprówna ostatni grosz wyciągnęła odemnie, byle sobie wzorzyste posprawiać robruny!...“

„Długo trwała zima, a z nią moja męka; nie raz, kiedy się dziewczęta z przędziwem w jednéj chacie zebrały, kiedym słyszał, jak Marysia śpiewa dumki i historye opowiada, to mi mało serce nie pękało!... nie raz chciałem wyrzec się Niemki i zapisu, ale nieszczęsna złota obrączka, co mi wśród mrozów w palec wrosła, przypominała moje własne, dobrowolne przyrzeczenie, i odpychała od Marysi. A jak ona myślała o wszystkiém, coby mi się przydać mogło!.... jeżeli czasem handlarze przyszli do Bukowca, zaraz Marysia biegła do dziadka, mówiąc: „Kupcie to panie Marcinie, trafia się nie drogo, potrzebne w gospodarstwie; jest tu sztuka płótna we wśi na zbycie, trzebaby naszyć bielizny,“ mówiła znowu; a skoro dziadek dał pieniędzy, kupowała, krajała, szyła, gdyby dla rodzonego brata. Może też to ona dla siebie to wszystko przyrządza, myślałem sobie; może ja tam już Lotki w Gdańsku nie zastanę?.... raz nawet powiedziałem to Marysi; ale jak na mnie powstała, jak mi zaczęła przekładać, że kto sobie życzy przeszkody byle słowa niedotrzymać, to tak samo, jakby je złamał, — tak moi państwo, nie śmiałem już o tém ani pomyśleć, i z pokorą poddałem się nieszczęściu, com sobie sam sprowadził na głowę, — bo, że patrząc na Marysię, nie będę z Lotką szczęśliwy, tego byłem pewny. — Zbliżył się czas podróży; wstyd mię płakać, ale kiedym na brzegu ostatni raz Marysię ścisnął za rękę, kiedym sobie pomyślał, że za miesiąc inna będzie moją żoną, to doprawdy gdybym się nie bał Boga, wolałbym był w Wisłę, niż na szkutę skoczyć. W tym roku jak w przeszłym, mała była woda, i choć się niby spieszyłem w drodze, wszelako dopiero drugiego Czerwca stanąłem w Gdańsku. O samém południu zawinąwszy do portu, poszedłem do miasta nie bardzo smutny, bom miał jakieś dobre przeczucie. Przechodząc koło niemieckiego kościoła, zatrzymałem się nieco; przededrzwiami stało mnóstwo koni, bryczek, i pieszych Niemców; patrzę — za drużbami i druchnami wychodzi z kościoła panna młoda, moja kochanka, narzeczona, Lotka Gotlibówna!...suknię miała z tego samego muszlinu, co jéj go matka za moje pieniądze kupiła. Poznała mię i zbladła.

„Stary szyper idąc za nią, poznał mię także. *Es ist der Zweite!* zawołał zdaleka: czemu waćpan wczoraj nie przyjechał? — Nic nie szkodzi! rzekłem: niech was Pan Bóg błogosławi. — Niemcy spojrzeli na mnie zdziwieni, a mnie gdyby kamień zdjął z piersi: pobiegłem do portu, ułatwiłem interessa, kupiłem sztukę perkalu, bicz korali, kazałem obrączkę rozpiłować na palcu i ósmego Czerwca jużem był w Bukowcu. Zastałem chatę wymytą, wybieloną, w spiżarni sery, masło, słoninę, na podwórku kur i kaczek kilkanaście: Marysia wszystko przyrządziła: wreszcie, nie ma co długo opowiadać: w tydzień po moim przyjeździe, Marysia szyła sobie ślubną suknię z gdańskiego perkalu, a w miesiąc ksiądz pleban bukowiecki nasz ślub błogosławił.“

Dzięki Bogu, że się tak stało! ale powiedzcież Państwo sami, czy ja teraz nie słusznie ostrzegam chłopaków, że krakowski flis nie ma po co zaglądać do niemieckiéj berlinki? Już to szczęście rzadko człeka pod wodę dogoni! *Paulina K.....*

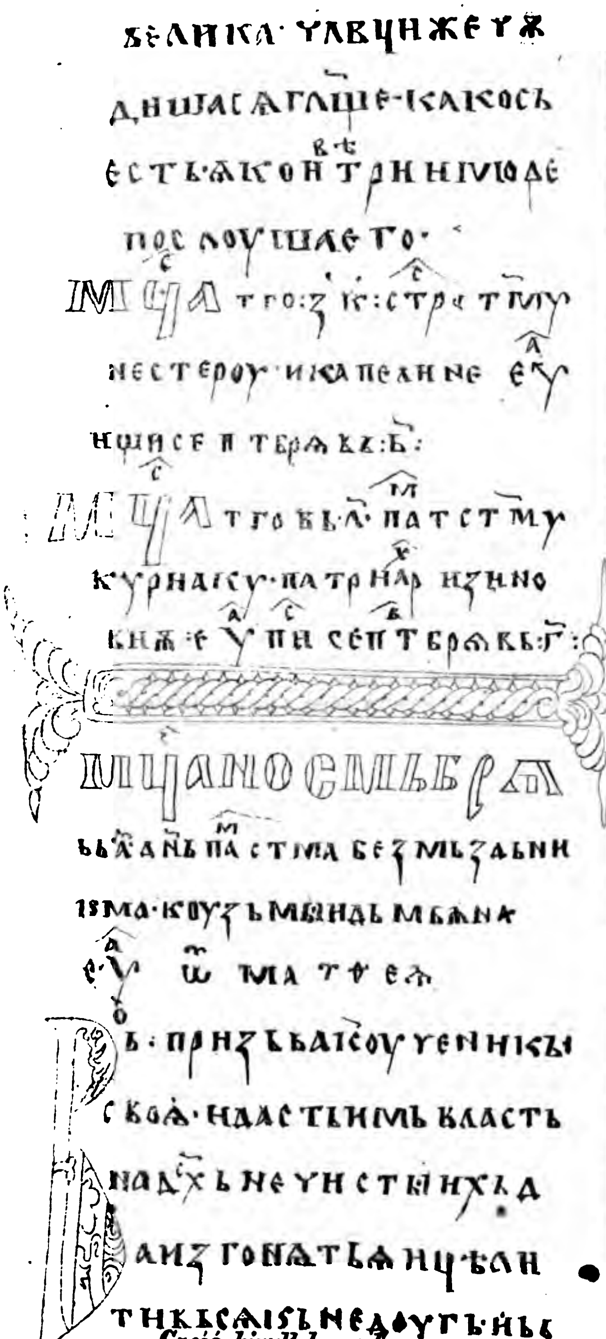
O słowiańskiém Ewangelium w Reims.

(Z czasopisma *Czeskiego Muzeum* 1839., zeszyt IV.)

Wątpliwość i niepewność, w jakiejśmy aż dotąd, we względzie na starożytność i pochodzenie, słowiańskiego Ewangelium w Reims, zostawali, dziś naraz, i pomimo oczekiwania, ku wielkiéj naszéj radości, zniknęła. Chcąc łaskawego czytelnika wprowadzić na stanowisko, z któregoby sam o rzeczy należycie mógł sądzić, zdajem tu przedewszystkiém sprawę o rękopisie tym (*), jak ją pan Strojew w *Ruskich Nowinach* podał, a potém swoje także do niéj poprawki i dodatki dołączamy.

Z *Pszczoły północnéj* Nr. 260. d. 16/28. Listopada 1839.

(*) Rękopis ten, długo za stracony miany, składa się z *dwóch* pierwiastkowo całkiem oddzielnych, a tylko później w jednę książkę zeszytych *części*, t. j. z *kiryllskiéj* 18 kart, i glagolickiéj 29 kart; razem z 47 kart, w ćwiartce. Zobacz czasopis *Czeskiego Muzeum* rok 1838, zeszyt II., str. 252—254.



Część kirylska rękopismu.



Część głagolicka.

Kilka słów o głagolickiéj części słowiańskiego rękopisu, na który przysięgali królowie francuzcy przy koronacyi.

(Z listu do Wiednia do .... [Kopitara?])

...... Udzielam Wam nowość, która Wam jako znawcy i miłośnikowi głagolickiego piśmiennictwa, ważną będzie. To, com dawniéj pisał (zasadzając to na filologicznych i paleograficznych porównywaniach) o czasie, do którego należy ten słowiański rękopis, na który przysięgali królowie francuzcy przy koronacyi w Reims, potwierdza się teraz pozytywnym dowodem. Żądając dopełnić poszukiwań moich o tym osobliwym rękopisie, umieszczonych w *Dzienniku ministerstwa narodowego oświecenia* (1839, No. 1., str. 87—103), pisałem do Paryża do wspólnie nam znajomego Sylwestra (*), i prosiłem go, aby zdjął dla mnie facsimile z ostatnich słupców głagolickiéj części reimskiego rę-

(*) Professora kalligrafii w Paryżu i wydawcy wybornego zbioru facsimiliów rękopisowych, wychodzących pod tytułem: *Paleographie universelle.*

kopisu. Sylwester, przez dobroć, nie odmówił mi téj prosby: pojechał do Reims, i przed tygodniem przesłał mi facsimile z trzech ostatnich słupców. Poczynając rozbierać głagolickie kulasy, ujrzałem, że na końcu reimskiego rękopismu znajduje się przypisek pisany tąż ręką, co i cała głagolicka część manuskryptu. Z tego to przypisku widać, że reimski rękopism należy do r. 1395., że kirylska część jego, pisana przez jakiegoś ojca Prokopa, była własnością jakiegoś *Nebożwika* Karela (*Nebożtika*, Nieboszczyka Karola) i datowana od niego *sławienitemu* klasztorowi, t. j. monasterowi, do kościoła Ś. Trójcy, ku czci ŚŚ. Hieronimowi i Prokopowi. Żałuję, że Wam nie mogę dostawić samego facsimile, bom go przełożył naszéj akademii umiejętności; przynajmniéj posełam Wam jego treść, wypisaną odemnie z największą ścisłością.

„ЛѢТЪ. ГН҃ХЪ. 1. 3. 9. 5. (Ѵ. Т. П. Д.) СВАТО ЄВН҃ЛЇЄ А ЄП҃ЛЇЄ ЄСТО СѸПЇЄАНЇ СЛОВѢНСКНМЪ ѢꙀКЄМЪ ТЇЖ МАЖЇ СПЇЄВАНЇ ВЇТЇ НЪГОДЇ КДЇЖЪ ОЦТЪ ПОД КОРѸНѸ МШЇ СЛѸЖЇ.

А ДРѸГА СТРАНА ТЇЄ ХВ҃О КНЇЖЕКЪ. В НЕНЖЪ Є ПО ВР҃Ѣ РѸССКЕГО ꙀК҃НА. ПСАЛЪ ЄСТЇ ПРОКОПЪ ОЦТЪ СВ҃Ѹ РѸКѸ А ТО ПЇСМО РѸССКЄ ДАЛЪ НѢБОЖВЇКЪ КАРЄЛЪ КЮ ВР҃ВЇ ЦР҃Ъ РꙀЇМСКЇ КО СЛАВѢНЇТОМѸ ВО КЛАШТРѸ. АКЕ ЦТЇ СВАТЕМѸ ЄРОНЇМѸ. Ї СВАТЕМѸ ПРОКОПѸ ГОСПОДЇНЄ РАЧЪ МѸ ДАТЇ ПОКОЇ ВЇЄНѴНЇ. АМ҃НЪ.“

(To znaczy: „Lét hospodnich 1. 3. 9. 5. [c. „t. p. d.] swiato evangelie a epistolie jesto „supisani slowienskim jezykem, tiž maži spie„wani biti ngodi. Kdiž ocet pod korunu msi „služi.“

„A druga strana tie christowo knižek w nemž „jest po wierie russkeho zakona. psal jesti „prokop ocet swu ruku. a to pismo russke dal „niebożwik karel kiuwrwi car rzimski ko sła„wienitomu wo klasteru swiatemu ieronimu. „i swiatemu prokopu. hospodine raczmu dati „pokoi wieczni. amen.“)

Takim sposobem przypisek ten w kilku wierszach niszczy wszystkie do dziś panujące mniemania, wszystkie domysły o reimskim rękopisie. Pomniycie, jak wiele, i jak rozmaicie pisali o nim uczeni filologowie! Jedni, razem z Alterem dowodzili, że jest łupem wzięty z zakrystyi konstantynopolitańskiéj świątyni Ś. Zofii przez oblegających roku 1204. Carogród Krzyżaków; drudzy, społem z Dobrowskim twierdzili, że jest darem serbskiéj władczyni Heleny, Ś. Ludwikowi, królowi francuzkiemu; inni, że go przywiozła do Francyi Anna, córka Jarosławowa; znowu inni...... wszak wszystkich niepodobna przytoczyć. Ja zaś zostaję przy pierwszém mniemaniu mojém względem zjawienia się rękopisu tego we Francyi, wyłożonem odemnie w Dzienniku minist. nar. ośw. (Nr. 1., Styczeń 1839., pag. 78.

Z przesłanych mi facsimilów, i z jednego wprzód u mnie będącego (*) widać, że głagolicka część rękopisu wcale nie jest Ewangelium, za co dotąd miana była. Zawiera ona w sobie ułamek jakiejś nabożnéj książki, w niéj bowiem razem z czytaniami Ewangelii, znachodzą się także czytania ze Starego zakonu (n. p. na ostatniéj karcie z książki Jezusa Siracha, roz. 45., wiersz 1—6). Następnie, głagolicka część reimskiego rękopisu nie jest dalszym ciągiem kirylskiéj, która istotnie w sobie Ewangelię mieści. W wspomnianym powyżéj artykule moim okazałem, na czém się kończy kirylska część reimskiego rękopisu, a od czego się poczyna głagolicka......

W Petersburgu, 3/15. Listop. 1839.

Sergij Strojew.

Wielkie składamy dzięki Sergjuszowi Michajłowiczowi za tę sprawę i wielkie dzięki professorowi Sylwestrowi za wierne zdjęcie facsimilu, przełożonego niebawem rossyjskiéj akademii umiejętności. Z wyżéj wypisanéj treści powiemy przecież, że ten jakiś *Nebożwik Karel* jest wielce znakomita osoba, i ów jakiś *Prokop* dla starosławiańskiéj literatury jeszcze znakomitszy, jak to każdy sam pozna, kiedy wiersze innem rozdzieleniem wyrazów i nieznaczną zmianą niektórych głosek, i jak się nam zdaje, nie oglądawszy ani rękopisu, ani facsimiliów tychże wierszy, *wierniéj i dokładniéj* tu umieścimy (**), niżli w głagolityce niebardzo biegły pan Strojew. Zkąd zaś cerkiew Świętéj Trójcy pod pióro pana Strojewa zabłądziła, niepojmujem.

„ЛѢТЪ ГН҃ХЪ. 1. 3. 9. 5. (Ѵ. Т. П. Д.) СВАТО ЄВН҃ЛЇЄ А СП҃ЛЇЄ ЄШТО СѸ ПІСАНІ СЛОВАНСКІМЪ. АꙀ҃КЕМЪ. ТІЖ МАЈІ СПІЄВАНІ БІТІ НА ІОДІ. КДІЖЪ ОТЦЪ ПОД КОРѸНѸ МШІ СЛѸЖІ.

А ДРѸГА СТРАНА ТІЄХТО КНІЖЕКЪ. В НЕНЖЪ Є ПО ВР҃Ѣ РѸССКЕГО ꙀКНА. ПСАЛЪ ЄСТІ ПРОКОПЪ. ОТЦЪ СВѸ РѸКѸ. А ТО ПІСМО РѸССКЕ ДАЛЪ НЕБОЖТІКЪ КАРЕЛЪ. ѴТВРТІ ЦР҃Ъ РꙀІМСКІ. К ОСЛАВѢНІ ТОМѸТО КЛ҃ШТРѸ. А КЕ ЦТІ СВАТЕМѸ ЄРОНІМѸ І СВАТЕМѸ ПРОКОПѸ. ГОСПОДІНЄ РАЧЪ МѸ ДАТІ ПОКОІ ВІЄѴНІ. АМ҃НЪ.“

(*) To facsimile, już w 1831. roku wygotowane, tutaj dołączamy.

(**) Głagolickie je HP w *maji* czytał pan Strojew za *ž*; *cz* za *k*, a prawie wszystkie *t* nu za *w* uu; czy w wyrazach: *ruskeho* i *ruske* podwojne *s* stoi, niewiemy, tak, jako czy niema w rękopisie *druhu stranu*.

To jest w staroczeskim języku głagolickiemi głoskami, a czyta się jak następuje:

„Let hospodinowych 1395 Swato Ewange„lie a Episztolie, jeszto su pisany slowanskim „gazykem, tyż magi zpiewany byti na hody, „kdyż otec pod korunu mszy sluzy."

„A druha strana tiechto knižek, w niejż jest „po wierze ruskeho zakona, psal gesti Prokop „otec swu ruku (*), a to pjsmo ruske dal „nebożtik Karel cztwrty ciesarz rzimski k osla„wienj tomuto klasztern a ke cti swatemu Je„ronymu i swatemu Prokopu. Hospodine racz „mu dati pokog wieczny. Amen."

Jak często z boleścią serca myślałem: cóż, że też ani jedna głoseczka słowiańskiego pisma z czasów pierwszego chrześciaństwa w Czechach, ani ze słowiańskiego klasztoru na Sazawie, przed przesadzoną gorliwością łacińską nie uszła? Aż tu patrz, po ośmiuset latach, zasłona się przed nami podnosi. O dobrotliwy Durichu! o błogo zamierzający Sperański! o ostro sądzący Dobrowski, któryś mi ostatni raz wyprowadzającemu cię z Pragi o losach słowiańskiego obrzędu w Czechach wiele rozprawiał (**); żeście się nie doczekali téj radości!

O świętym Prokopie położymy tutaj kilka wierszy z legend od 12go aż do 17go wieku, a o cesarzu Karolu IV. pokrótce, co się tyczy założenia i nadania słowiańskiego klasztoru, teraz w Emausie zwanego.

(*) Do tego to kościoła Karól IV, roku, jak wyżéj (1348), kazał przystawić klasztor Ś. Hieronima, dokąd wprowadził Mnichów Słowaków, im *ksiąg słowiańskich* przygotował *mnóstwo*, aby w tym języku wszystką służbę bożą czynili, i ustanowił im opata *koronowanego* i. t. d. Paprocki in Diadocho str. 363.— Za opata Pawła II., Rota Żyżkowa poburzyła się na klasztór, chcąc go zniszczyć. On innéj niewiedząc rady, poruczył klasztor otworzyć, i wyszedł z braćmi w księżych ubiorach przeciw wojsku z Ciałem Bożém — żądając, aby się uspokoili, a świątyni Pańskiéj, od cesarza Karóla ku czci narodu słowiańskiego, z którego Czechowie pochodzą, wystawionéj, nieburzyli. Obiecała to uczynić rota wojenna, jednak, aby im nieomieszkanie Sakrament pod obojąą formą był udzielony: co gdy opat uczynił, a po przyjęciu, przymuszon, otworzył zakrystyą, ztąd zabrano *klejnotów wielkie mnóstwo*. Tamże str. 364. Że było między temi klejnoty i to Ewangelium, na którego bogatych okładkach relikwie świętych osadzone były, jest wiele do wiary podobném. Ale jak się do Reims dostało?

Również tak przez Karóla IV. kościołowi Ś. Wita darowane Ewaagelium Ś. Marka, ze skarbcu na ołtarz uroczyście w święta noszone i śpiewane bywało. A jako ono najstarszym jest dotąd znanym rękopisem łacińskim, tak to najstarszym jest słowiańskim, najdawniejsze bowiem dotąd znane ostromirskie Ewangelium w Petersburgu, pisane było 1057 r., a S. Prokop, który późnéj starości doszedł (umarł 25. Marca 1053) wygotował go *swoją ręką (swú rukú)*, raczéj jako pustelnik jeszcze, albo jeszcze snać przed odejściem z nauki, aby na puszczy książkę miał, niżeli jako opat.

(**) R. 1828. wyprowadzałem Dobrowskiego w dzień Ś. Ludmiły na Tetin: jechał on do Chudenic i więcéj niewrócił!

„Tempore siquidem Ducis Oudalrici, in divinis cultu viri magnifici, fuit Heremita Procopius nomine, natione Bohemicus de villa Chotun, Sclavonicis litteris a Sanctissimo Quirillo Episcopo quondam inventis et statutis, canonice admodum imbutus, in saeculo presbyter eximius honesta vita et casta mysteria celebrans, postmodum infula monasticae armatus professionis, solus cum solo Deo in fidei pignore inconvulsus deguit." *Anonymus Sazaviensis apud Cosmam.*

Z tego jest w Passionale w muzeum z 13go wieku: „Byl w czeskey zemi geden opat, ge„mużto gmie bylo Prokop czech vrozeni. Ge„hoz swati Kwirillus biskup. slowenskemu pi„smu nauczyl. Nayprwe byl swiazby knycz „wsye czty plni przyklada przieswateho. zy„wota przieczysteho."

Z legendy, o któréj nieznany jéj autor mówi, że ją ze współcześnie w słowiańskim języku napisanéj przełożył, nadmienia się: „Deo tamen conscio teste, historia veridica, de sclavonicis litteris in latinitatem translata, cujus materiam succincte adorior explicare. Procopius natione Bohegimena ex ingenuis parentibus etc.— cujus origo extat ex quodam territorio, cui nomen vulgariter Chotim. Qui nimirum ab ipsis infantiae rudimentis Deum, fontem vitae sitiens etc. — Videntes ejus praeclari genitores pueri tantam gratiam Dei in eo rutilare, commendaverant eum in castro Visegradensi Magistro liberalium litterarum studiis, ut eorum informatione coelestibus institueretur disciplinis, ubi tunc temporis famosum studium Sclavoniae linguae vigebat, ibique egregios magistrorium theoriae quotidiae carpebat fructus, cum verba, quae in sacris codicibus legebat, mox in opera cum Dei adjutorio vertebat etc."

Słowiańskiéj legendy nieznamy, ale podobna jest w czeskich rymach, poczynająca się: „Slyszte starzi i wy dieti" i t. d. Zbiór pieśni (W. Hanki) oddział I., str. 1 (Starobyla skladanie).

„Swaty Prokop jest slowenskeho roda
Nedaleko ot czeskeho Broda
Tu wes dobrze Bóh rozplodil
W nieižto sie ten swaty narodil
Tei wsi imie Chotuń dieji
W nieižto bydlesze stary kmet etc. —
Prokop ot diestustwie sweho
By chowanie welmi czsneho
Po Bozie tworci tużierze
Swietsku slawu potupirze etc.
Widuce to roditeli
Jakeho synaczka jmieli,
Wzechu mezi sobu radu
Chtiec jej stali k Wyszehradu
K mistru na slowo wzatemu
By jej uczil czteni wsiemu
Kdeż slawne uczenie biesze,
W slowenskem jazycie ktwiesze
Tu Prokop w uczenie lanie
Czital wzdy s snahu w zakonie

A kekdy tu w kratkan czasie
Temu pismu nauczi sie
Mistrzi sie temu diwiechu.
Mezi sobu tak mluwiechu etc.

Ze starego mszału, który posiadał niegdyś prof. Pelzel, a który teraz niezawodnie z jego książkami dostał się do książnicy zamku Dzieczyńskiego: „Erat s. Procopius bohemus oriundus de quadam villa Chotin, non longe a Praga, a beato Cyrillo slavonicis apicibus episcopo imbutus, in Wissegradum a parentibus nobilibus ad scolas ad literas appositus etc."

Już Cruger · „Sacri pulveres 1663", jako i Buzelinus prawie tegoczesny, żadnéj wzmianki o sławiańskim języku nie czynią. Pierwszy, die XXV Martii mówi: „A. D. 1053 Procopius, Confessor Eremita et sazaviensis Monasterii Abbas etc. — Antequam Benedictinum cucullum Brzevnoviae indueret Procopius, Wissehradi ad s. Clementis sacerdos sacra administravit. Nati in Bohemia tam eximii Coelitis cunas, non civitas aliqua regia, sed Chotanum, Bohemo-Brodam inter & Curzimum regias urbes situs pagus, sibi vindicat etc."

Buzelinus przesadza go już do Brzewniowa, aby słowiańszczyznę ukrył: „Brzevnoviae in Bohemia S. Procopii Abbatis. Hic Cothumae in Bohemia natus, Praga litteris imbutus et sacerdotio initiatus est. Sed altiore animo concipiens, a monacho quodam Brzevnoviensi monasticis institutus disciplinis, mox vitae ab humanis sejunctae negociis narmam accepit etc."

O zawieszeniu liturgii słowiańskiéj w Sazawie mówi Anonymus Sazaviensis apud Cosmam, pag. 102: „Et libri linguae eorum deleti omnino et disperditi, nequaquam ulterius in eodem loco recitabuntur." A znowu pag. 204: „Idem Abbas (Diethardus) libros, quos non invenit loco sibi commisso, praeter *sclavonicos*, ipsemet nocte et die immenso labore conscripsit etc.

Tyle o Ś. Prokopie, na ten raz dosyć będzie: teraz jeszcze o cesarzu Karolu i klasztorze słowiańskim w Pradze kilka słów nadmienimy.

Dnia 19. Listop. 1347. wydał cesarz Karól IV. list na założenie klasztoru benedyktyńskiego dla Słowian na przedmieściu pragskiém ku czci świętych słowiańskich: Cyrilla, Methodyusza, Wojciecha i Prokopa, potém i św. Hieronima, ponieważ ten, jak w ów czas mniemano, biblią z hebrajskiego na słowiański język przełożyć miał. Karól nakazał, aby w tym klasztorze msze, pieśni, godzinki i cała służba boża, podług obyczaju ziem słowiańskich, zawsze w słowiańskim języku się odbywały, co Papież Klemens VI. potwierdził. Przy końcu tych dokumentów prosi następców swych i bardzo ich surowo napomina, aby nic nie zmieniali, a ktoby przecie odważył się inaczéj czynić, na tego gniewu boskiego wzywa. Dnia 23. Sierp. 1348; 18. i 20. Stycz., potém 1. i 20. Listop. 1349.; 15. i 17. Listop. 1350.; 28. Lut. 1351.; 13. Stycz. i 1. Listop. 1352., pomnażał dochody ich opłatami i włościami, a dnia 26. Sierp. 1356. nadał roczny dochód dziesięciu grzywien dla ich pisarza, aby wciąż dla klasztoru książki w szlachetnym języku słowiańskim (nobilis linguae slavoniae) pisał i przepisywał. Dnia 23. Marca 1372., we środę po wielkiéj nocy, udał się uroczyście Karól z synem swym Wacławem w królewskich szatach, w towarzystwie Wacława wojewody i elektora saskiego, Jana, arcybiskupa i elektora moguncкiego, arcybiskupów pragskiego i ostrzehomskiego (Gran, Strigonium w Węgrzech), biskupów metskiego, augszpurgskiego, paryskiego i neuburgskiego, wojewody opolskiego i innych książąt świeckich, do nowego miasta pragskiego, i kazał arcybiskupowi pragskiemu klasztor słowiański jak najuroczyściéj poświęcić. Na to wszystko są dokumenta w dziele: F. M. Pelzel's Karl der Vierte, König von Böhmen. Prag. 1780. w dwóch tomach.

Przyłączone facsimile na str. 316. tak się czyta:

1) *Część kiryllska.*

welika . celowieci — że czu —
diszaja glagoliuszcze kako — i
jest' . jako i wetri i more
posłusza jego .
Miesjaca togo 27 strast' swjatomu
nesteru . i kapeline Evangelie
iszczi septembrja w: 2:
Miesjaca togo w 30 pamiat' swjatomu
Kyriaku patriarchu i zino —
wiju . Evangelie pis . septembrja w: 3:
Miesjaca Nojembrja
w. 1. deń pamiat' swjatonia bezm'zd'ni
koma kuźmy i d'm'jana
Evangelie ot Matheja
Wono wremja priz'wa isus uczeniky
swoja . i dast' im' wlast'
na dusiech neczistyich d —
a izgonjat' ja i cieli —
ti wsjak nedug i w'

Tekst ten z ostrogskiéj biblii:

Math. VIII. 27.
welia. czełowecy - że czudiszasja glagoliusze. kto jest' sej, jako
i wietri i more posłuszajut jego .
Oktewrij 27 swjatago muczennika nestera .
Oktewrij 30 swjatych muczennik zienowia i zienovii.
Miesjaca Nojemwria.
1, swjatych besrebrenik kozmy i damiana

Math. X. 1.
Priswaw obanadesjate ucennika swoja dast im wlast' na duszech necżistych , jako da izgonjat ich isceliti wsjak nedug i wsjaku etc.

Facsimile. 2) *Część głagolicka.*

tost' poda bli|żiki . Koruna bratii
jako nasaždjanie|w gorie liwansce .
sada slawu bogu ot|ust' swoich i wi —

me christowo . slawa iego je w cerkwi christowy .

Ot Luki.

W (o) no wreme . rcze isus uczenikom s woim' . Niktože w|žigajet . swetilnika i postawlajet i po|d spudom' na na swescnici . do wcho|deszcze w dom wid — et' swiet . Swietilnik . . . .

Tekst ten z ostrogskiéj biblii:

Okrest jego wienec brati . jako pro — Eccl. L. 13. *zjabenie kedrsko w liwanie i obyidosze jego etc. Niktože ubo swietilnika wžeg, w skrowe.* Luk. XI. 33. *polagaiet, ni pod spudom, no na swe — tilnicie, da wchodjasci swet widjat.*

Z tych kilku wierszyków Ewangelji i Siracha, daje się wprawdzie bardzo mało o języku kiryllskiéj i głagolickiéj części reimskiego rękopisu sądzić, porównanie wszakże z nim ostrogskiego tekstu okazuje oczywiście wielką różnicę przekładu.

Ze wszystkiego, cośmy wyrzekli, łatwo wyjaśnia się, że Czechom należy sława najstarszego do dziś znanego kiryllskiego Ewangelium: bo jeżeli przypuścimy, że Ś. Prokop rękopis ten jeszcze przed swém pustelnictwem napisał (co w rzeczy samej podobne do wiary), będziemy mieć rękopis przynajmniéj o pół stólecia starszy, niż ostromirskie Ewangelium w Petersburgu pisane r. 1057. (*)

Wreszcie odsełamy czytelników do przeczytania tego, co Dobrowski w swojém piśmie: Geschichte der älteren böhmischen Literatur. Prag. 1818. 8. na str. 46—63 o losie słowiańskiéj literatury, i kiryllskiego i głagolickiego piśmiennictwa w Czechach dokładnie wyłożył.

W. Hanka.

Dodatek.

Właśnie kiedy niniejsza rozprawa już ukończoną była, dostaliśmy z poczty No. 50. *Rozmaitości lwowskich* z dnia 14. Grud. 1839. z tém doniesieniem:

„Pismo: *Journal général de l'instruction publique*, z miesiąca września r. b., zawiera rozprawę o rękopisie słowiańskim, znajdującym się w bibliotece miasta Reims (we Francyi), znanym uczonemu światu pod imieniem: *Le texte du Sacre*, na który, jak podanie i świadectwo dziejopisów niesie, przysięgali dawni królowie francuscy, w czasie ich namaszczania w kościele reimskim. Autorem téj rozprawy jest pan Jastrzębski, który ćwiczy się w królewskiéj szkole dyplomatycznéj (w Paryżu) w umiejętności czytania, rozumienia i oceniania autentycznych piśmiennych pomników; pojechał on do Reims z polecenia byłego ministra oświecenia, pana Salvandy, w celu wyśledzenia istoty i ważności tego słowiańskiego rękopisu, i wypadki poszukiwania swego zamknął w pomienionéj rozprawie. Podług niego, rękopis ten jest całkiem słowiański, i dzieli się na dwie części; jedna z nich pisana jest własnoręcznie przez Ś. Prokopa, opata klasztoru sazawskiego w Czechach, około 1010—1040. r.; druga zaś należy do jednego z mnichów klasztoru Ś. Hieronima (w Pradze), założonego przez Karóla IV. r. 1341. Obie części zawierają nauki na niedziele i święta, wyjęte z nowego zakonu. Długi czas takowa niewiadomość panowała, że rękopis ten za armeński trzymano; dopiero Piotr Wielki, w czasie pobytu swego we Francyi, pierwszy go za słowiański uznał. (*) *S. J.*"

Pan Sz......k, w liście świeżo pisanym do prof. Purkinjego, donosi, że towarzystwo uczone pragskie będzie się starać przez pośrednictwo swego prezydenta i ministra cesarskiego (Kołowrata), o udzielenie rękopisu tego rzeczonemu towarzystwu na krótki czas, dla wierzytelnego przepisania tegoż. Przyp. Tłum.

(*) Wydane przez Alexandra Wostków. Przyp. Tłum.

(*) Zobacz Tygodnik literacki No. 27. z dnia 30. Września i No. 35. z dnia 25. Listopada 1839, z którego, jak się zdaje, wiadomość ta pochodzi. Przyp. Tłum.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (*Red. J. Łukaszewicz.*)

Przyjaciel Ludu.

Rok szósty. **No. 41.** Leszno, *dnia* 11. *Kwietnia* 1840.



Łowiec.

Łowiec.

Gawęda z XVI. wieku.

Przez W. K. Wojcickiego.

Zażył dni rozmaitych w czoła swego pocie,
Ale więcéj wesołych przy ojczystym płocie.
K. Miaskowski, Rytmy 1622.

Szumiał wiatr górą po nad lasem — naginał i łamał wierzchołki kilkowiecznych dębów, olbrzymich modrzewiów. — Szumiały liściem klony, cisy i jawory w téj ciemnéj nieprzejrzanéj puszczy, gdzie z dzikim zwierzem przemieszkiwały bandy rozbójników — postrach podróżnych i kupców krakowskich i sandomirskich. Słońce wiele gęstwin nie ogrzało jeszcze nigdy ciepłym promieniem, a wieczny chłód rozszerzał zgniliznę. Pleśniały pnie drzew wyniosłych, wybiegając z tych moczarów, aby chociaż wierzchołkiem dojrzeć słońca. Rzadko i z dala jedne od drugich wznosiły się liche osady, a pracowita ręka rólnika, obalając toporem starych mieszkańców puszczy, zasiewała na świeżym karczunku pszenicę, żyto, proso i grykę, które hojnym plonem wyrastając z dziewiczéj roli, nagradzały pracę wieśniaka.

W jednym domku, świeżo z jodły zbudowanym, po nad brzegiem czystéj strugi, w pa-

śród małego pola, zawalonego pniami drzew wyciętych, brzmiała pieśń pobożna, nucona męzkim grubym i mocnym głosem:

Uważając grzechy moje,
Biję ciężko w piersi swoje,
Gorzko płaczę, trwożę sobą,
Upadam Boże przed tobą.
Ty k' woli swéj łaskawości,
Nie trać grzesznéj, sprawiedliwy
Zbaw duszę, o litościwy! *)

Była to pieśń, którą młody pan tego domu nucił. — Syn zamożnego szlachcica w powiecie, gdy doszedł dojrzałego wieku po skończeniu lat 36, dostał od rodzica kawał puszczy, cztery woły, cztery konie, krów kilka, starego Grzegorza, co go wypiastował na ręku, trzech parobków, czapkę talarów, narzędzia rólnicze i błogosławieństwo rodzicielskie. Sam wybudował sobie domostwo, wykarczował las na pole i teraz strudzony pracą, przy bliskim zmroku wieczornym śpiewał pieśń nabożną.

Stary Grzegórz, narąbawszy drzewa, wniósł brzemię na ręku i na kominie ogień naniecił.

Buchnął płomień, podsycony jeszcze szyszkami sośniny, i oświecił wę dnie wielką i obszerną izbę.

Świeżo z jedliny zbudowane ściany, świeciły jakby bursztynem od sączącéj się po nich wonnéj żywicy; ze szpar licznych wyzierał mech zielony. Kilka obrazów zdobiło te proste ściany: nad łożem wizerunek Bogarodzicy, naprzeciw drzeworyt Mikołaja Reja z Nagłowic, w delii ze złotym łańcuchem, wydarty z dzieł jego, i panującego w onczas Zygmunta III.: we Włoszech robiony wizerunek drzeworytowy także łowów w niepołomickiéj puszczy za Zygmunta II., wystawiający króla Zygmunta, Bonę i dworzan myśliwych konno, a między tymi słynnego błazna Stańczyka, jak się przewraca z koniem przed ogromnym litewskim niedźwiedziem. — Między oknami wisiał rzęd bogaty na konia i zbroja gospodarza domu. — Świecił się pancerz i chełm z przyłbicą, jaśniała koszula i czepiec z kółek żelaznych; poniżéj zawieszony koncerz obosieczny, szabla i skrzydło sępie — snać ussarskie — po nad oknami na desce leżał proporzec długi z długą chorągiewką. Na osobnéj ścianie błyszczała tarcza potężna i młot do rozbijania zbroi nieprzyjacielskiéj. — Topor, siekiery, piły i inne narzędzia rólnicze przy drzwiach rozwieszono. Wprost komina, stało łoże Dymitra, pana domu, z prostych zbite desek; pościel całą składało siano okryte kilimkiem i skórami niedźwiedzi i łosi. Nad nim dwa samopały, oszczep okuty na niedźwiedzie, łuk z sajdakiem i dziryt. — Z małéj szafki wyzierały talerze i misy cynowe, a między temi jaśniał duży z herbem rodzinnym srebrny puhar. Kilka ksiąg leżało na dębowym stole, jako: Kronika Bielskiego, Reja „Żywot poczciwego człowieka“, Psalmy i poezye Jana Kochanowskiego i Zielnik Marcina z Urzędowa; przy tych dziełach, z kilku kartek złożone ówczesne „Nowiny“, miejsce gazet zastępujące.

Na wilczych skórach leżały dwa ogromne brytany duńskie z kolczastemi obrożami do łamania niedźwiedzi; trzy kundle na dziki i sfora gończych: sokół na berle kołysał się nad niemi.

Stary Grzegórz, słuchając pieśni nabożnéj pana, przystawił garnek z kaszą gryczaną, przysmażał do niéj słoninę, i zasadziwszy na rożen potężną pieczeń jelenią, obracał w milczeniu przy ogniu, czekając, rychło panicz skończy cichą modlitwę, i rozpocznie z nim zwyczajny rozhowor.

Dymitr po skończonych modłach pocałował ziemię i powstał, a spojrzawszy z uśmiechem na swego kuchmistrza, wyrzekł:

„Dobre przysmaki gotujecie dla nas, miły Grzegorzu mój.“

„Adyć paniczu, zaprawdę dobre — gryki Bóg urodził, mamy zapas kaszy, toć się i warzy, a jeleń co hasał przed dwoma dniami w kniei, uraczy posilną pieczenią.

„Miałem ci z nim niemało biedy; całą noc człek przebiedował, zanim go dostałem. W Bogu nadzieja! nie będzie braku mięsiwa.

„O co nie, to nie,“ odrzekł Grzegórz i począł rachować na palcach. Mamyć jelenia całego niemal, sarniny jeszcze kawał, pół łosia solonego, szynki i schaby z dwóch dzików, cztery łapy niedźwiedzie, trzy dropie na kołku, dwa koty świeże, trzy pary cietrzew, słoniny sześć połciów i —

„Dzięki Bogu,“ przerwał Dymitr, „przy pracy i staraniu, na początek gospodarski zapasu nie braknie, a i w polu nie było goło.“

„Co prawda, to nie grzech, mój paniczu, na nowiznie gryka w pas, a w życie i pszenicy chłopa nie dojrzy.“

„Dziękujmy Bogu, urodzaj dobry, nie zabraknie przy mięsiwie chleba.“

„Prawdać to paniczu, i jest za co dziękować Bogu, bo gdy on się rozgniewa, a święta ziemia nie urodzi chleba — okropna to plaga na człowiecze plemię. Pamiętam, byłem w onczas na Litwie małém pachołęciem, kiedy Pan Bóg głodem uderzył na Żmudź i Litwę. Niesłychane działy się dziwy, bo co strach wspomnieć, ojciec syny, matka córy, warzyli dla siebie na strawę; głodni objadali liście drzewa, rozrywali trupy świeże. Zgniłe zboże mieszane ze ścierwem upadłych bydląt, pożerano chciwie. Jakeś zajrzał, wlokły się woj-

*) Codzienne ćwiczenia chrześciańskiéj dusze pobożnéj, a oblubienice Pana Chrystusowéj, St. Grochowskiego. Kraków 1608.

skiem zmorzone sieroty *). Nastały rozboje wielkie, ale nikt w on czas nie rozbijał dla pieniędzy, ale dla żywności. Służyłem wtedy na wielkim i zamożnym dworze u pana wojewody, kędy piwnice pełne i składy żywnością napchane. Czereda zgłodniałych napadła zamek pański. Miły Boże! jakżeż to okropnie wyglądali, wszyscy bladzi, z zapadłemi oczyma, z siniałym obliczem, trzymając w wychudzonéj ręce siekiery i noże, wołali jednym głosem: chleba! chleba! — Wielu z nich na dziedzińcu pomarło. Kiedy im zaczęto wynosić chleb i wędzone mięsiwo, miód i wino, jak psi wściekli rzucali się na wszystko, rwali pazurami mięsiwo, dławili się chlebem — bo mało który żuł, ale co urwał, to chciał i połknąć. — Którzy przed jedzeniem napili się miodu, czy wina, zaraz konali; z dużéj gromady i połowa nie została, a i ta, gdy się najadła, upadła osłabiona, snem zmorzona, można było wszystkich pobrać, jak ptaki na lep. Ale pan wojewoda, bacząc, na co się zanosi, z dobrym przyborem i całym dworem wyruszył nad Wisłę, kędy nie brakowało chleba.“

„Niechże Bóg nas zachowa od podobnéj klęski“, wyrzekł Dymitr, z przeżegnaniem pochyliwszy głowę przed świętym obrazem.

„Wola to boska, stań się jego święta wola nad nami!“ dodał Grzegórz. I wyłożywszy z garka kaszę, suto omaszczoną, postawił na stole przed panem.

Zaledwie łyżkę Dymitr do ust przyłożył, rozległ się okrzyk w około domostwa, trzask z biczów, skowiczenie psów i parskanie koni. Dwóch sąsiadów z téjże puszczy zawitało do Dymitra wraz ze strzelcami i psiarnią z łowów.

Wybiegł gościnny gospodarz na ganek dla przyjęcia miłych sąsiadów, a Grzegorz co rychléj zapalił świece w cynowym świeczniku.

„Służba, sąsiedzie miły, służba!“ zawołali przybyli, ściskając życzliwie rękę Dymitra.

„O, o,“ wyrzekł pan Jakób Sęp Szarzyński, rodzony brat słynnego poety, jak baczę, Waszmość dobrze gospodarzysz; w krótkim czasie wytrzebiłeś nie mało lasu, domostwo po Bogu i gumienka nie liche.“

„Robi się, co można, panie podstoli“, odrzekł z uszanowaniem Dymitr.

„Aleć żywie Bóg prawda,“ mówił Struś, poprawiając pasa i spozierając w około, „sporo idzie robota. Przeszłéj wiosny tuśmy bili łosie, dziki i niedźwiedzie, a teraz albo gęste po żniwie żółcieją rzyska, lub schylone ziarnistym kłosem zboże, oczekuje ostrego sierpa.“

Grzegórz ukazał się we drzwiach sieni ze świecznikiem; wszedł więc naprzód podstoli Sęp, a za nim Struś; strzelcy napełnili czeladną izbę.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

*) Głód tak okropny był na Litwie w roku 1571, a co tu mówi Grzegórz, znaleść dosłownie można w wierszach St. Grochowskiego, 1609. r. wydanych.

Poezya polska w 15tym i 16tym wieku,

przez W. A. Maciejowskiego.

(Koniec.)

Małe, ale przecież pewne ślady drammatu, albo raczéj dyalogu polskiego, za czasów chrześciańskich utworzonego, wskazują na to, że u nas poezya teatralna była zawsze z charakterem narodu zgodną. Kadłubek (II. str. 93. i następn. podług wydania Kownackiego) rozwodząc się nad tém, jak po śmierci Kaźimierza Sprawiedliwego wesołość, smutek, wolność, roztropność i sprawiedliwość rozprawiały o znakomitych cnotach dobrego króla, a przy tém napomykając o zwyczajach pogrzebowych, znać przezto daje, że wówczas rozprawa, czyli dyalog, miany dla uczczenia pamięci monarchy, odbyty został zgodnie z pojęciami narodu o zabawach teatralnych. Powiada on, jak ubrano ciało królewskie w perły, złoto i kwiaty 1), jak nad zwłokami jego szlochano i łkano (eju latus cum singultu) i jak przy tém żałobna muzyka czułe wydobywała tony (dulce canit hoc fistula). W pośród więc łez i smutku, wesołość także występowała na scenę, podobnie jak późniéj przy każdéj niemal najpoważniejszéj sztuce, śmieszne w między-aktach (w intermedyach, było to naśladowaniem włoskiego intermezzo) występowały figury, ażeby na chwilę rozweselić widzów smutnych. I po śmierci Kaźimierza Sprawiedliwego, na takiż sposób odbywały się sceniczne widowiska, w których występowały dziwacznie przebrane osoby 2). W kościołach odbywały się niekiedy zabawy te, a wtenczas sami nawet kapłani mieli czynny udział w zabawach tego rodzaju, występując na scenę 3). Takimże bez wątpienia, smutno-śmiesznym obyczajem, wystawiano rzewliwe sceny w XIV. i następnych

1) Fulget gemmis, auro, sertum illi dat.

2) Monstra larvarum, stoi w liście Innocentego III, papieża, do hierarchii duchownéj w Polsce pisanym, (przytoczył go z Bzowskiego Naruszewicz IV. str. 330).

3) „Interdum ludi fiunt in ecclesiis theatrales in aliquibus festivitatibus, diaconi, presbyteri ac subdiaconi insaniae suae ludibria exercere praesumant,“ (powiedziano tamże.)

wiekach. gdy je odgrywano po polsku 1), jak wyraźnie o widowisku z okoliczności zamordowania Luidgardy księżnéj, przez jéj małżonka Przemysława, króla polskiego, wystawianém, poświadcza Długosz 2). Zapewnie występowały tu dla rozśmieszenia widzów też same figury, co i późniéj, gdy już w XIII. i XIV. wieku w pośmiewisko poszły niektóre osoby, zabobonami i nieskromném życiem osławione. Takimi byli biczownicy 3), ścigani dla fanatyzmu od biskupów polskich; takimi rybałci i klechy 4), to jest posługacze kościelni i szkólnicy, zwykle pijanice. Już w XIV. wieku, jak archidyakon gnieźnieński mówi, nieskromne życie prowadzących duchownych, rybałtami nazywali Arcybiskupi sami. Klechy nazwisko, dopiero w dyalogach XVI. wieku występuje na scenę. Takiemi na koniec miejska czereda 5) i wiejskie gbury 6), złodzieje 7), diabły i czarownice, 8) a nawet sami niższego rzędu obywatele utraciusze i marnotrawcy 9), wreszcie żacy pecorujący. 10)

W pomnikach oświaty naszéj mamy mocne ślady ciągłego istnienia teatralnych zabaw w Polsce. Już przed r. 1500. 11) wystawiano dyalogi o męce pańskiéj u księży Dominikanów w Krakowie. Posiadamy tragedyą pod tytułem „Sąd Parysa“ przez mistrza Stanisława z Łowicza, po łacinie napisaną w Krakowie 1522., a odegraną na zamku królewskim przez lubowników dramatycznéj sztuki, których imiona wyrażone tamże 12); w takimże języku napisaną i odegraną tragedyą r. 1532. przywiódł Juszyński we wstępie do Tomu I. dykcyonarza poetów polskich. Tenże 13) wspomniał o dyalogu Dominikańskim, wystawianym roku 1533. przez dni cztery, tudzież 14) o dyalogu bezimiennego wydanym, bez roku i miejsca o zmartwychwstaniu pańskiém, w którém aniołowie, djabli i żołnierze główne role grali. — Posiadamy dyalogi polskie, przez Wita Karczewskiego r. 1533. napisane, które, jak to ich osnowa naucza, snadź nie były wystawione na scenie. Krysztof Okuń, we wierszu chwały Zygmunta Augusta, króla, powiada (zabawy miane przy obchodzie weselnym tegoż monarchy opisując.)

Pod ten czas komedye y były gonitwy,
I kunsztowne tak konne, jak piesze bitwy.

W bibliotece poryckiéj była tragedya Sofrona, przez Sebastyana Łęczycanina r. 1550. drukiem ogłoszona, zkąd dowód, że sztuki teatralne pisywano i odgrywano i za panowania ostatniego z Jagielonów w roku 1603. 1). Kardynał Bernard Maciejowski zakazał dyalogów w kościele wystawianych, dziwactwy swemi podających religią w pogardę, a tak we świeckich gmachach wydawano odtąd tego rodzaju widowiska, straszne widziadłami piekielnemi, które one przedstawiały. 2) Troistego rodzaju były sztuki dramatyczne, jedne zupełnie poważne, z różnych uklejone obrazów, różne i różnorodne przedmioty, ale jednę składające całość, a z takich jeden tylko o Józefie, przez Mikołaja Reja utworzony, posiadamy; drugie poważno-śmieszne, na sposób włoski ze śmiesznemi między-aktami zrobione, przez naśladowców włoskiéj poezyi, którzy błazeństwa narodowego drammatu, nie umiejąc podnieść mocą sztuki, nadać znaczenie i powagę i tak okrzesawszy gburowatą jego prostotą, przyozdobić nią ojczystą scenę, starali się tak w trajedyi, jak i komedyi (Jurkowski, Jagodyński, Bryka), kiedy niekiedy tylko (w między-aktach), dawać z nich widowisko poklaskującéj tym błazeństwom publiczności; trzecie także zupełnie poważne, w greckim guście z chórami wystawiane, piękne z wysłowienia, jałowe z układu sztuki, były ozdobą owczesnego w Polsce widowiska scenicznego. Jan Kochanowski w Odprawie greckich posłów, wystawionéj roku 1578., pierwszy tego rodzaju ułożył dramat; w dziesięć lat późniéj Jan Zawicki podał r. 1587. do druku sławną swoją trajedyą Jephtes, która azali kiedy wystawiona była na scenie, wiadomo nie jest. Komu się z czasem uda pomysł Reja o dramacie, rozwinąć z gustem i sztucznie, i tak do trajedyi, jako też i do komedyi stósownie dobierać wątku z ojczystych dziejów; kto potrafi jako przedmiot scenicznych widowisk wystawiać ścieranie się stanów narodu wzajemne, kto cudzoziemszczyzny z narodowością walkę wywieść na scenę zdoła; nakoniec, kto życie całego narodu na niejednéj tylko jego części w działaniu na scenę wyprowadzonych osób wyobrazi, ten dopiero ojczysty teatr, tłumaczeniami i naśladowaniem obczyzny dotąd zarzucony, wzniesie i przyozdobi w historycznych obrazach, zalety i wady narodu przedstawiając.

W. A. M.

1) (Vulgari carmine).

2) (I. str. 832.)

3) (O których dopełniacze kroniki Baszka u Sommersb. II. wspominają.)

4) (Cudzoziemskie snadź nie słowiańskie, podług Lindego włoskie i niemieckie figury).

5) Hansknechci u Reja w żywocie Józefa.

6) (Sołtysi.) — 7) (Ktosie, w Jurkowskiego Seyburusie.) — 8) (Tamże.)

9) (Szlachcic Orczykowski i żona jego, tamże).

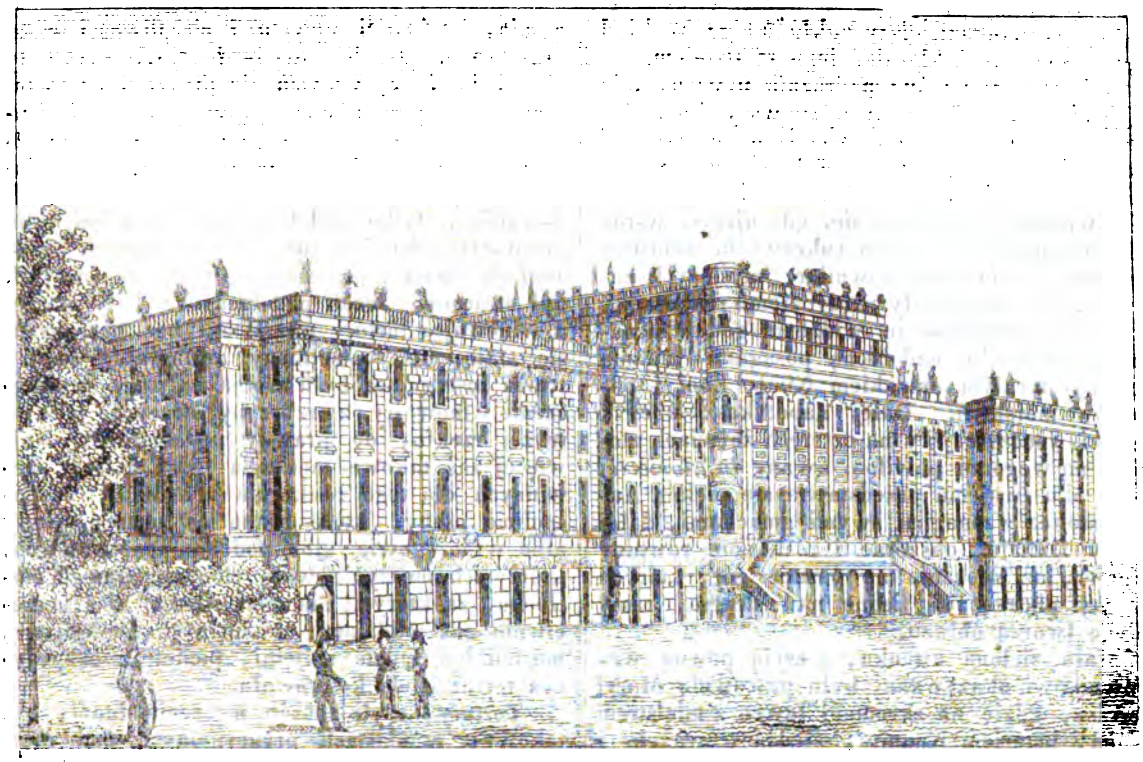
10) (Tamże.) 11) mówi Juszyński II. str. 402.)

12) (Dziennik Warszawski I. str. 255. i następn.

13) (II. Str. 403.) — 14) (II. Nr. 408.

1) (Tamże, stron. 254.) — 2) (Mówi Juszyński II. str. 405.)

2) (Jaszowski w Czasopiśie 1830. poszyt 2. str. 145.)



Pałac Schönbrunn pod Wiedniem.

Opuszczając wesołą stolicę cesarstwa austryackiego przedmieściem, *Mariahilf* zwaném, idziesz nad uroczemi brzegami rzeki Wiedenki, od któréj nad nią leżący gród przybrał swe miano: nie domyślasz się z początku, jeśli ci uprzejmy i gościnny nietowarzyszy Wiedeńczyk, zwracając na wszystko uwagę, iż się znajdujesz w bliskości wspaniałego cesarskiego pałacu *Schönbrunn*. Wszędzie, gdzie tylko rzucisz okiem, zajmuje cię wzorowy porządek, dobre mienie mieszkańców, nieznających na pozór żadnéj dolegliwości, aż nagle zatrzymasz się przy długiéj i wspaniałéj alei, wskazującéj ci drogę do ulubionego miejsca pobytu rodziny cesarskiéj.

Przed 150 laty był Schönbrunn miejscem wypoczynku po łowach dla monarchy: mały tu tylko stał pałacyk wśród obszernego zwierzyńca, który Turcy w r. 1683. z ziemią zrównali. Cesarz Leopold I. zamiłowawszy to ustronie, wzniósł tu pałac, na mieszkanie dla syna swego Józefa przeznaczony. Dwadzieścia lat trwała budowa gmachu tego, a poświęcenie jego nastąpiło w r. 1700. przy wielkich uroczystościach i wspaniałych turniejach. Józef zostawszy cesarzem w r. 1705., zaczął zmianę zamku, chcąc go w równi postawić pałacom widzianym przez siebie za granicami państwa swego, lecz śmierć zawczesna niepozwoliła mu zamierzonych planów przywieść do skutku. Maryi Teresie winien pałac Schönbrunn dzisiejszą swoją postać. Paccasi, budowniczy sławny, z Włoch sprowadzony, od r. 1744. do 1750. wykonywał, z zaleconą sobie przez monarchinię oszczędnością, podane sobie pomysły. Pierwiastkowa budowa pozostała główną częścią gmachu, który będąc skutkiem dwóch myśli i dwóch epok, uderzać musiał koniecznie rozmaitością stylu i nieregularnością szczegółów; lecz cząstkowe te uchybienia, nieprzeszkadzają bynajmniéj ogólnemu wrażeniu, jakie sprawia całość, i nieujmują nic jego majestatycznéj wielkości.

Wnętrze zamku, urządzone z tą samą oszczędnością, piękném jest bez przysady, bogatém bez niepotrzebnéj wspaniałości. Ozdobą pokojów cesarskich są najwięcéj dzieła fabryk krajowych. Obrazy, dzieła pędzla Guglelminiego, Rosy i Marcina Mejtena, jedynie dla tego zajmują, iż wszystkie twarze na nich są portretami osób historycznych. Pałac Schönbrunn wznosi się pomiędzy dziedzińcem i obszernym ogrodem. Skromny dziedziniec zdobią gruppy, wyobrażające Dunaj, Inn i Ens, Austryą użyznające rzeki, i dwie fontanny, w kształcie obelisków. Ogród schönbruński należy do najsławniejszych w Europie, zamiłowanie bowiem botaniki jest dziedzictwem w rodzinie cesarskiéj. Od czasów Maryi Teressy nic nieszczędzono na gustowne i jak najwytworniejsze urządzenie ogrodu tego. Zmarły cesarz Franciszek sam tutaj nieraz w wolnych chwilach jako ogrodnik

pracował, stan dzisiejszy zakładu tego, rozkład jego, wspaniałe szklarnie, jego są dziełem.

„Wszedłszy“ mówi podróżnik pewien, „do szklarni tych, największych ze wszystkich, jakie się tylko znajdują na ziemi, mniemasz, żeś przeniesiony do lasów amerykańskich: wszędzie uderza cię roślinność bujna i wspaniała. Tém większe iest złudzenie, gdy ujrzysz wśród palm wysmukłych i trzcin cukrowych, mnóstwo ptastwa z krain przy równiku, myślących zapewne, że nieopuściły nigdy ziemi rodzinnéj.“

Nadto znajdziesz tu widzenia godną menażeryą, sadzawkę ozdobioną posągami Neptuna i Tetydy z całym orszakiem Nimf, koni i potworów morskich. Daléj napotykasz obelisk egipski, spoczywający na czterech żółwiach złotych i na wzgórzu pawilon, zwany *la gloriette*, zkąd oku twojemu przedstawia się piękna Austryi stolica z mnogimi swymi gmachami, daléj wyspy Dunaju, obszerne i roskoszne równiny Węgier, aż spocznie na pasmie gór, których szczyty piątrząc się iedne nad drugie, ramy całego tworzą obrazu.

Mała zielona altanka, z czcią pewną wędrownikowi okazywana, była pracownią Maryi Teressy, gdzie na skromnéj ławce z ministrem swoim, księciem Kaunitz, siedząc, ważyła i rozstrzygała losy Europy. Pałac Schönbrunn przypomina nam jeszcze, i przywodzi na myśl bohatéra wieku naszego, który po dwa razy, w r. 1805. i 1809., lubo krótki czas, z pałacu cesarzów niemieckich władał Europą. Tutaj Napoleon pierwszy raz ujrzał Maryą Ludwikę; tutaj w kwiecie wieku skonał jedyny potomek jego.

O torturach w Polsce.

(Wyjątek z Pamiętników Kitowicza.)

Tortury były używane w sprawach gardłowych, kiedy winowajca, albo przez inkwizycyą nie był doskonale o występek przekonany, albo choć był, a nie chciał się przyznać do tego, co mu inkwizycyami dowiedziono, którego wyznania winy, podług zwyczaju w wszelkich sądach praktykowanego, koniecznie po winowajcy wyciągano. Choć go zaprzeczenie inkwizycyom nie uwalniało od śmierci, jeżeli te były dokładne; przecież go w takowym razie brano na tortury, których żaden kryminalista uniknąć nie mógł, chyba się sam dobrowolnie przyznał do tego występku, który mu zadawano; nawet kiedy przyznał się pod czas tortur, a po odbytych mękach zapierał się, znowu go trzeci raz męczono. Jeżeli po trzech torturach wytrzymanych wracał się do zapierania, oglądali się sędziowie na okoliczności dowodów i inkwizycye świadków; jeżeli te były mocne, winowajcę śmiercią karano, nie zważając na jego zaprzeczenia, zaciętości umysłu i cierpliwości ciała przypisane. Jeżeli dowody i inkwizycye były słabe, jeżeli się więzień nie przyznał na torturach, albo przyznawszy się na jednych i drugich, a na trzecich zaparł; uwalniano go, z wolném popieraniem kary na stronie, za któréj instancyą był męczony; jeżeli nie było żadnych dowodów, tylko podobieństwa, a więzień na pierwszych, drugich, lub trzecich torturach przyznał się i więcéj przyznania swego nie odwołał, był stracony. Jeżeli podobieństwa były mocne, a winowajca tortury wytrzymał bez przyznania się statecznie, uwolniony zostawał. Lecz i strona instygująca była wolna od kary za udręczenie winowajcy, z przyczyny mocnych, jako się wyżéj rzekło, do prawdy podobieństw. Najwięcéj zaś takowe męczenia ludzi czasem niewinnych dla tego bezkarnie uchodziły, że pospolicie osoby, które brano na tortury, były albo włóczęgowie, albo poddani panów swoich, którzy ich męczyć dawali, albo z ostatniego motłochu, za którymi nie miał się kto ująć; przeciwnie zaś oddający obwinionych na torturę, musieli być ludzie majętni, ponieważ ekspedycya tortur wiele kosztowała.

Tortury, czyli sposób męczenia ludzi, był takowy: w miastach pryncypalnych pod ratuszem była piwnica do tego używana, w któréj ścianach w jednéj był osadzony hak żelazny, gruby, z kółkiem takiém, wysoko od ziemi na półtrzecia łokcia; w drugiéj ścianie takiż hak z kółkiem od pawimentu, czyli od ziemi na łokieć, na środku piwnicy postawiono nizki stołek, na nim kat posadził więźnia, związał mu w tył ręce jednym powrozem, drugim powrozem związał nogi do kupy, a końce powroza przywiązał mocno do kółka niższego; przez powróz u rąk przełożył inny postronek, długi i smagły, i dobrze łojem dla lekkiego pomykania się wysmarowany; ten postronek przez kółko wyższe pojedyncze przewleczony, trzymał za koniec, raz i drugi sobie około ręki okręciwszy, aby mu się w ciągnieniu nie wymknął.

Przyporządziwszy tak więźnia, i stanąwszy tuż przy nim na boku, przyciągnął lekko postronka, do wyprostowania go tylko podług odległości, jaka była od rąk winowajcy do kółka, ażeby ani kółko ani postronek niewisiały, tylko się znajdowały na wyciągłości. Na boku przy ścianie, naprzeciw więźnia, postawiono stolik i stołki z kałamarzem, piórem i papierem na stoliku, za którym zasiadał wójt z jednym lub dwoma ławnikami, a na boku stolika pisarz miejski. Gdy już wszystko było przygotowane, instygator miejski, stojący przy wójcie, imieniem delatora przytomnego lub nieprzytomnego (jak mu się podobało), w krótkiéj perorze upraszał owego szlachetnego magistratu, ponieważ więzień dobrowolnie niechce się przyznać ekscessu popełnionego, aby go wskazał na tortury podług świętéj sprawiedliwości. Wójt zatém za-

czął się pytać więźnia, najprzód: jakiéj jest kondycyi, jakiéj wiary, gdzie się rodził, czém się bawił od młodości aż do czasu swojéj kaptywacyi. Jeżeli już niebył o podobny kryminał obwiniony, sądzony lub torturami próbowany? Gdy na te wszystkie pytania odpowiedział, jak rozumiał, a pisarz wszystkie pomienione depozycye zapisał; dopiero wójt przystąpił do rzeczy, o którą chodziło; mówił łagodnie do więźnia po imieniu: podobno to ty lub waszeć tę kradzież, tę zbrodnię popełnił, przyznaj się dobrowolnie, nie daj się męczyć; zapieranie ci nic nie pomoże, czy się przyznasz, czy nie, równo się od śmierci niewybiegasz, bo są na ciebie wielkie dowody, żeś to ty a nie inny zrobił, a przyznawszy się dobrowolnie, nie będziesz mąk przygotowanych cierpiał, przez wzgląd na dobrowolne twoje wyznanie winy, sąd cię łaskawszą śmiercią ukarze, jeśliś to uczynił z ostatniéj nędzy, na przykład, gdy szło o kradzież, albo o nieostrożność, i albo w pierwszéj popędliwości, gdy kogo zabił, albo z głupstwa, gdy szło o czary, albo z namowy cudzéj, nauczywszy się od drugich starszych czarowników; przyznaj się, może cię sąd za twą pokorą życiem udarować raczy. Gdy więzień na te pierwsze łagodne perswazye nie przyznał się, zaklinał go znowu wójt na wszystkie świętości religii, na zbawienie duszy własnéj, którą podaje w niebezpieczeństwo utraty, kiedy grzechu na siebie wyznać niechce i przez jedyną zaciętość, ciało swoje grzeszne na męki eksponuje. Gdy te eksorty nic nie wyciągnęły z więźnia, dopiero wójt rzekł do instygatora: panie instygator, mów mistrzowi, niech sobie postąpi według prawa. Instygator zawołał kata, mistrzu postąp sobie według prawa; kat nim przystąpił do eksekucyi, zawołał po trzy razy: mości panowie zastolni i przedstolni (wyrażając tymi terminami urząd siedzący za stołem, i instygatora stojącego przy stole), jeśli z wolą czy nie z wolą? Instygator odpowiedział mu za każdym razem: z wolą. Dopiero kat silnie pociągnął za sznur, czyli powróz, którego koniec trzymał w ręku, jako się wyżéj rzekło, wtenczas ręce więźnia poczęły się wyłamywać z stawów ramion, podnosić się w górę tyłem głowy, i stanęły z nią w równéj wysokości, pozytura zaś więźnia podając się wyższą częścią ciała za sznurem, pośladkiem znajdowała się na stoliku. Nogi zaś wyciągnione i do haka przywiązane, wisiały jak na powietrzu. Więzień przeraźliwym głosem wrzeszczał co gardła: nic nie winienem, nieznam się do niczego, nie męczcie mnie; zaklinam was na straszny sąd boski, puśćcie mnie, i tym podobnie; albo jeżeli był miękiego przyrodzenia, prosił o pofolgowanie, i otrzymawszy, przyznawał się do tego, o co był obwiniony, powiadał także inne ekscessa w życiu swojém popełnione, gdyż oprócz występku sprawę czyniącego, nie zaniedbywano nigdy eksaminować z całego życia. Po takiém wyznaniu już niebył więcéj dręczony. Lecz, jeżeli się do niczego niechciał przyznać, albo też inne występki powiadał, a ten, o który chodziło, taił, trzymany w pozyturze pierwszego traktu, czyli pociągnienia, znowu za poprzedzającemi instygatora i kata rozkazami i pytaniami był mocniéj pociągniony. Do drugiego traktu kat przybierał swego czeladnika hycla; obaj tedy, co mieli siły, ciągnęli za sznur; więzień wyciągnął się jak strona, ręce wykręciły się tyłem i stanęły w prostéj linii z ciałem nad głową; w piersiach zrobił się dół głęboki, w który tłoczyła się głowa, cały człowiek wisiał na powietrzu, niedotykając się już nic stolika. Wszystkie żebra, kości, junktury w nim niemal widać było, że mógłby je porachować, do turtur albowiem rozbierano delikwentów do naga obojéj płci, same tylko miejsca wstydliwe jakiém chuściskiem obwinąwszy. Jeżeli się trafiło, że więzień w saméj rzeczy umarł na torturach, wszystko się natychmiast skończyło, pochowano zmarłego, a sprawa przepadła. Trafili się czasem tacy delikwenci, którzy miasto prośby, używali ostatnich słów obelżywych na stronę sędziów, do podziwienia mężnie najsroższe katownie wytrzymując, a tacy się trafiali najczęściéj z złodziejów. Za drugim traktem, dopiero opisanym, kiedy więzień w uporze był zatwardziały, kładli mu na nogi żelazo, ostre karby nakształt zębów piły mające, z dwóch sztuk złożone, przez które przechodziły z obu końców śruby; temi śrubami hycel ściągał żelaza zębate, na wierzch piszczeli nóg i pod spód zadane, które coraz bardziéj gniotąc i kalecząc nogi, nieznośny ból winowajcy wyciągnionemu i bynajmniéj niespuszczonemu zadawały. Mistrzowie te żelaza, podobne dybom, po swojému nazwali bótami hiszpańskiemi; lecz niewszędzie ich używano, tylko w miastach większych. Powiadano mi za rzecz pewną, iż nieznalazł się żaden delikwent, któregoby takie obuwie do przyznania się nie zmiękczyło. Kropienie siarką gorącą, przykładanie do blach rozpalonych, czego po innych miastach używano, niebyło tak skuteczne, jak bóty hiszpańskie. Po innych miastach mniejszych, albo i po wsiach, kiedy do nich miejski urząd na taką inkwizycyą był wprowadzony, męczono więźnia w lada domu lub stodole, ciągnąc go na drabinie położonego i do szczebla pierwszego i drugiego przywiązanego, położywszy pod niego deseczkę, aby się ręce o szczeble nie zawadzały. Kiedy miano czarownice i czarowników próbować torturami, kaci zabobonnicy i guślarze wielcy, golili im nasamprzód włosy, wszędzie, gdziekolwiek te ozdoby i zasłony natura ludziom dała, powiadając, iż w włosy djabeł się kryje i nieodpuszcza czarownicy lub czarownikowi wyznania, i że ukryty w włosach, za niego lub za nią cierpi, biorąc za przyczynę takowego

umiemania, owo ciche i spokojne wytrzymanie tortur, wyżéj wyrażone, z mdłości i upadku z gruntu na siłach pochodzące, nie z łaski djabła, któremu się jako zdrajcy i nieprzyjacielowi ani śniło cierpieć za człowieka. Galili téż także i złodziei, twardych do przyznania. Żydom zaś wskazanym o jakikolwiek ekscess na tortury, regularnie tę galanteryą czyniono; choć nieraz ogolony tak Żyd bez mydła, wszystkie męki, nie przyznawszy się, albo i Chrześcianin wytrzymał. Wtenczas kaci w rzeczach fizycznych wielcy błaznowie, udawali, że im jakiś wielki czarownik tortury oczarował, iż swego skutku wziąść niemogły. Podobnież spędzali na czarowanie płacu niesprawność ręki swojéj, gdy pod miecz wskazanego niegładko ścięli. Lecz im ta ekskuzya przed mądrymi magistratami nieuchodziła, od których pospolicie za niesprawnę ekskuzyą, bierali po sto batogów.

Skończywszy pierwsze tortury, z sukcessem pomyślnym lub niepomyślnym względem wybadania prawdy, kat więźnia spuszczał z tortur i zdejmował mu z nóg bóty hiszpańskie, jeżeli do nich przyszło; posadził go na stołku, tak jak przed torturami, wziąwszy potém ręce powykręcane, odkręcał nazad z nowym bólem; złożywszy je na krzyż przed piersi więźnia, kolanem między łopatki tłocząc i rozmaicie wiercąc, nabijał i naprowadzał w stawy, co było boleśniejsze od saméj tortury; ubrał potém więźnia w suknie, i zaprowadził do aresztu, z którego do katuszy był przyprowadzony.

Takie tortury na twardych więźniach lub niedostających w wyznaniu winy, były powtarzane do trzeciego razu, odpoczynkiem kilkodniowym, dla wzmocnienia sił przeplatanego, za którem dopiero następował dekret śmierci lub uwolnieni według okoliczności. Tortur nietentował nigdy żaden sąd szlachecki; ale jeżeli trybunał ziemski albo gród wskazali na tortury kogo, odséłali go z ekspedycyą onych do urzędu miejskiego. Tęż samę ceremonią czyniono i z dekretami kryminalnemi, w których na końcu po sentencyi śmierci dokładano: *pro cujus modi executione reum ad officium scabinale civitatis praesentis remittit*; oprócz sądów marszałkowskich, koronnych i litewskich, z których prosto nie referując się do miasta, winowajcę na plac prowadzono. Juryzdykcya albowiem marszałkowska ma swoich żołnierzy, a inne juryzdykcye nie mając, odséłają do miast, które miasto żołnierzy, otaczają więźnia ludźmi młodszymi rozmaitych cechów, halabardami i szablami natenczas uzbrojonymi. Trybunały zaś choć mają assystencyą żołnierza komputowego, nie chcą go szarzać; wszakże widzieliśmy nieraz więźnia wychodzącego na plac pod bronią żołnierza komputowego, kiedy był dystyngwowany urodzeniem, i ztąd wynikła bojaźń odbicia go i uwolnienia gwałtownego.

DŁUGOSZ przełożony na język polski.

Szanownym miłośnikom dziejów ojczystych donoszę, iż u księgarza E. Günthera w Lesznie jest pod prasą pierwszy zeszyt: „*Dziejów polskich Długosza, kanonika krakowskiego*“, przekładu mojego. Zeszyt ten zawiera: 1. Niektóre świadectwa o Długoszu, 2. Dedykacyą Autora, 3. Życie jego. Co miesiąc będzie wychodził poszyt jeden czteroarkuszowy. Papier, format i druk podobny jak w Pamiętnikach Kitowicza. Cena każdego zeszytu wynosić będzie 1½ złot.

Dla osądzenia liczby exemplarzy, jakie mają być wybite, zapraszam Szanownych Prenumeratorów, żeby się raczyli zgłosić jak najrychléj ze swemi zleceniami.

Gostyń, dnia 30. Marca 1840.

Borneman Gustaw.

Nr. 3ci Przewodnika rólniczo-przemysłowego zawiera następujące artykuły:

Przemiana rólnictwa angielskiego w 18tym wieku. (Backewell, Arthur Joung, Sir John Sinclair Coke.)
O słodzie świeżym, czyli niesuszonym.
O gospodarstwie angielskiém.
Trawy za najlepsze znane.
O potrzebie założenia dróg bitych.
O sadzeniu zboża.
Rozmaitości.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (*Red. J. Łukaszewicz.*)

Przyjaciel Ludu.

Rok szósty. **No. 42.** **Leszno, dnia 18. Kwietnia 1840.**



Posąg księcia Józefa Poniatowskiego.

Posąg Bohatéra.

Scena artystyczna.

Byłoto roku 1829 w Warszawie. Przywieziono tam z Rzymu pomnik księcia Józefa Poniatowskiego, i odlany z gipsu pokazywano publiczności w jednéj z pobliższych sal dawnego teatru. Równie jak wielu innych, poszedłem go obejrzeć, bo i pamięć wodza i ustalona sława rzeźbiarza, Thorwaldsena, przywabiały ciekawych. Już się téż było zaczęło rozdwojenie szkół i systematów między zwolennikami literatury i sztuk pięknych. Wszedłszy do sali, zastałem dwóch officerów dawnéj służby, jednego od piechoty, drugiego od jazdy, pilnie przypatrujących się posągowi; i gdy między nimi i późniéj nadchodzącymi, różne się utworzyły dyskussye, przytoczę je tu tak, jakem je w pamięci zachował:

Officer od jazdy (obszedłszy posąg ze wszystkich stron): Nie! Niepodobny! Czy tak onto siedział na koniu? Mospanie, nikt tak nie pamięta, jaki był jego akcent w jeżdżeniu. Najprzód mospanie, głowa do góry, potém coś lekko i zgrabnie kołysającego się naprzód. A tu proszę pana! spuszcza głowę, siedzi Bóg wie po jakiemu! I cóż za wyraz w twarzy? ani najmniejszego podobieństwa. A cóż za ubranie? cóžto, czy od pławienia koni powraca? Ma to być niby po rzymsku. Bodaj ich djabli z tém rzymiaństwem! Niechby mu dali kurtkę i rajtuzy, szako na głowę, a byłby frysz chłopak!

Officer od piechoty. Co najgorzéj, że rysy twarzy niepodobne.

Officer od jazdy. Oto naprzykład, jak był pod Czerykowem. Czy widziałeś go wtenczas? Nie, twój pułk był gdzie indziéj, ale ja tam byłem z piątym pułkiem szaserów. Maszerujemy ku Mozajskowi, kolumna piechoty nieprzyjacielskiéj drogę nam przecina. Gdyby jeszcze tylko cokolwiek przewłoki z naszéj strony, więcéjby ich nassło, i bylibyśmy odcięci od reszty

wojska. Cóż robi książę? stawa z całym sztabem i eskortą przed naszym pułkiem, i krzyknie: „Za mną mości panowie! trzeba nam sobie drogę otworzyć.“ Wtém spiął konia i rusza z kopyta. Cała eskorta z nim razem w galop, a pułk nasz szaserski tuż za nim wielkim kłusem, traf, traf, traf. Ale cóż się dzieje? on nas wyprzedza i z kilku adjutantami wpada między bagnety nieprzyjacielskie. Ze dwie minuty może przebijał się w tym odmęcie. Jak on tam nie zginął, to Bóg jeden wie. Ale wystaw sobie, wszyscy prawie officerowie z jego sztabu byli ranni, jemu nic się nie stało. Wkrótce potém i my szasery wpadliśmy na ową piechotę, wszystkośmy zmietli i wolna była droga. Oto, żeby go wtenczas był widział pan Thorwaldsen, takiego było go zrobić! Burka na lewe ramię spuszczona, prawe wolne i hejsa naprzód. Ale tu proszę pana! cóż mi po tym golcu w koszuli. (Wchodzi *Konnesser.*)

Konnesser. Aha! otóż i jest! pięknie! przedziwnie! wzorowo! dobre szkoły! Prawdziwie rzymska postawa! Giest imperatorski! I koń także bardzo kształtny!

Officer od jazdy. Jużci koń nie zły, ale żeby tylko jeździec był lepszy.

Konnesser. I coż pan mówisz o jeźdzcu?

Officer od jazdy. To, że nie wiem kto on jest, bo nie nasz książę.

Konnesser. Cóż to? czy pan go nieznajdujesz podobnym?

Officer od jazdy. Ale ani trochę, a potém cóż to za postawa? jakżeż go ubrali?

Konnessor. Cóż to? czy pan chciałbyś, żeby go w opiętym mundurze wystawili? a gdzie byłaby piękność idealna?

Officer od jazdy. Ale proszę pana, jeźli mi kogoś wystawują, czy w malowidle, czy w rzeźbie, jużci mam prawo żądać, aby był podobny i z twarzy i z postaci.

Konnesser. Malarstwo jest wcale co innego. Tam jest koloryt, tam szukamy złudzenia; rzeźba zaś jest sztuką zupełnie idealną. Zmiłujcie się panowie, nie odzywajcie się z takiém zdaniem. Ściągnęlibyście na siebie wszystkich znawców naganę.

Officer od jazdy. Ja się téż nie wydaję za znawcę, lecz sądzę podług mojego instynktu.

Konnesser. Widzicie panowie: Szycerstwo, to jest poezya, wynosząca się nad nasze poziome zwyczaje. Posąg nie do jednego pokolenia, do wszystkich wieków przemawiać powinien. Nie chodzi więc tu o odzież tego lub owego czasu: gdy przecież jakiśkolwiek ubiór jest potrzebny, wybiera się najozdobniejszy, najpoetyczniejszy, to jest, starożytnych narodów, jak n. p. Greków lub Rzymian. Z téj przyczyny wszędzie, gdzie są posągi wielkich ludzi, wydane są w rzymskiém ubraniu, tak n. p. Fryderyk Wilhelm w Berlinie, August II. w Dreźnie, Józef II. w Wiedniu i t. d.

Officer od piechoty. Bardzo dziękuję panu, żeś nas nauczył. Nie mogę powiedzieć, żeby to zupełnie do uczucia mojego przemawiało, ale dobrze jest wiedzieć, jaki jest przyjęty zwyczaj na świecie.

(Nadchodzi kilku innych widzów, nakoniec literat Romantyk.)

Romantyk. Co widzę! po rzymsku! więc i Thorwaldsen w dawnych przesądach! Nie spodziewałem się!

Konnesser. Cóż to? Czy to pana także uderza?

Romantyk. Ale zapewne! Cóż to za myśl, aby popularny posąg Polaka zdawał się jakby z włoskiéj ziemi wykopany?

Konnesser (z ironią). Więc pan chciałbyś, aby go w kontusz ubrali? albo żeby mu kurtkę ułańską sprawili?

Romantyk. W kontusz nie, bo go nie nosił. Kurtka mogłaby ujść, ale jest inny i lepszy sposób ubrania.

Konnesser. Ale zmiłuj się panie! Gdzie są wzory? we Włoszech, i tylko we Włoszech! Thorwaldsen, który tém się zajął, przejął się szczęśliwie wiecznym i nieodmiennym typem piękności, to jest tym, który nam przekazali Grecy, bo innego nie ma na świecie.

Romantyk. Otóż wasz wieczny kodex panowie klassycy! Nie, nic nie znacie, prócz tego: nie wiecie, że są wzory inne i że je naśladówać trzeba. Nie zastanowiliście się ani razu, dla czego starożytni tak, lub inaczéj naturę pojęli, i o ile się to do nas stósować może. Niczém nie jesteście, tylko ślepymi i martwymi naśladowcami.

Officer od piechoty (do drugiego officera). Otóż i inny znawca, ale podobno więcéj się zbliża do naszego zdania.

Konnesser (do Romantyka). Proszę więc pana, jakbyś chciał, aby nasz książe był wystawiony, czy po teraźniejszemu?

Romantyk. Zapewne.

Dwaj officerowie. Otóż i nam się tak zdaje.

Konnesser. Ha! kiedy tak, nie mam nic do powiedzenia. Wpadniemy w najgminniejsze rzeźbiarstwo. Będziemy mieli posągi, jak są na placu wilhelmowskim w Berlinie, z harcapami, w kapeluszach trójkątnych, w bótach palonych, słowem w prostackiéy i najniezgrabniejszéj rzeczywistości.

Romantyk. Ale jest inny sposób, i natrafił na niego wielki dzisiejszy artysta w Berlinie, pan Rauch. Gdy nowszych bohatérów dłutował posągi, wydał je w rzeczywistém, dzisiejszém ubraniu; ale okrył ich niejaką idealnością. W jego zatem figurach, głowy są bez pokrycia, rzucony na całe ciało płaszcz i sowicie fałdowany, zastępuje część poetyczną, a przynajmniéj nie ma anachronizmu.

Konnesser. Nigdyby się włoski artysta na taki środek nie zgodził. W cóż się obróci wtenczas uczone i szczytne wydanie ciała ludzkiego? Czy takie są arcydzieła Kanowy?

Romantyk. I znowu obca powaga, i zawsze tylko podług obcych wyobrażeń swoje naciągać usiłujecie. Ale ot tak najlepiéj trafimy do końca. Ma to być pomnik popularny. Jest tu nas dość zebranych, pytajmy się ich, jakby życzyli widzieć księcia? w jakiém ubraniu?

Dwaj officerowie. Mybyśmy życzyli tak go widzieć, jakeśmy go znali.

Inny przytomny: Takie jest zdanie tu przytomnych, takie byłoby na ulicy, takie po kwaterach wojskowych, takie tych wszystkich, co znali księcia, i co się wspomnieniem jego karmić pragną.

Konnesser. Ale o tém artyści tylko, i powołani do sztuki rzeźbiarskiéj sądzić mogą; a wreszcie to jest jedno tylko pokolenie. Ci, co po nas przyjdą, i do których pomnik taki przejść powinien, obojętni będą na ubranie posągu.

Romantyk. Nie będą obojętni; i tak będą potępiać rzymskiego Józefa, jak my dziś potępiamy rzymskiego Jana III. w Łazienkach.

Konnesser. O herezya! herezya!

Romantyk. Tak, tak. Wy panowie klassycy niedowiarki, nie znacie innéj prawowierności, jak w katechizmie sztuk pięknych! Pogańskiéj szkoły ucznie, w greckie tylko wzory wierzycie.

Konnesser. Ale mój panie, wśród zapędów waszéj, jak ją zowiecie, nowéj estetyki, zastanów się pan przynajmniéj nad plastyczną pięknością posągu. Jużci jéj nie można odmówić słusznego uwielbienia.

Romantyk. Prawda, przyznaję to chętnie. Wysoka w nim poprawność rysunku, szlachetna idealność w całym pomyśle; tego się téż spodziewać można było po Thorwaldsenie. Ale gniewa mię to, że i on, syn północy, południowym uległ przesądom. A bardziéj jeszcze to mnie martwi, że istotnie popularny pomnik, dla artystycznéj konwencyi, wszelką straci wziętość u ludu.

Konnesser. Pan mi zacytowałeś Rauchowskie posągi w Berlinie; pozwól, że mu na to co innego, jeszcze sławniejszego, przytoczę. Jakże był wystawiony Napoleon na kolumnie w Paryżu za czasów cesarstwa? Jużci tam wielu znawców nad tém radziło, i jakże go wystawili? po rzymsku.

Romantyk. Tak jest, wiem dobrze, po rzymsku; i nawet zupełnie po rzymsku, lecz ten Thorwaldsena posąg nie jest jeszcze (i chwała Bogu) zupełnie podług starożytnych zwyczajów. Widzisz pan n. p., że ma faworyty bez brody, co jest zupełnie sprzeczne rzymskiemu układowi. Obwiązanie nóg tylko i pochwa pod ramieniem, rzymskiéj są tradycyi; reszta jest idealnym kształtem, do tego dążącym, aby jak najwięcéj nagiego ciała mogło być wydatne. Tam zaś, na dawnym posągu paryzkim, nie tylko wszystkie szczegóły były rzymskiego składu, ale jeszcze na dopełnienie téj niewolniczéj tradycyi, trzyma Napoleon w ręku jakąś lalkę, którą, w tłumie patrzących, mało kto sobie wytłumaczyć umiał, aż ich starożytnik nauczył, że w jakichści dalekich wiekach, w obcym kraju i narodzie, uchodziło to za godło fortuny. Takito gwałt zadano wszelkim wyobrażeniom ludu i czasu. Ale jeżli kiedykolwiek inny się zjawi pomnik Napoleona w Paryżu, mam przeczucie, że go w innym składzie wystawią.

Konnesser. Bodajbym się takiego zgorszenia nie doczekał. Kłaniam uniżenie.

(Wychodzi.)

Romantyk (biegąc za nim). Jeszcze muszę uwagę pana na jednę rzecz zwrócić. (Razem się oddalają w głośnéj z sobą sprzeczce; inni przytomni powoli się rozchodzą).

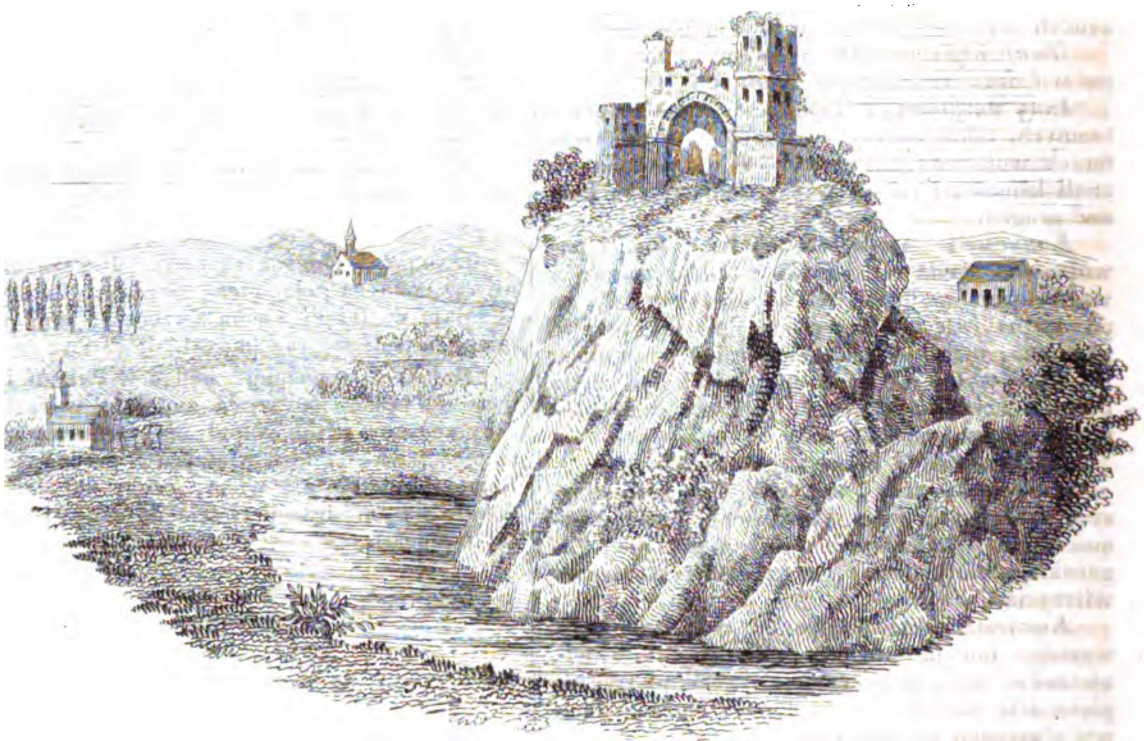
W kilka lat późniéj, będąc w Paryżu i patrząc na odnowiony, ale zupełnie w realistyczny sposób, posąg Napoleona, przyszła mi na pamięć owa, jakby wieszcza, przepowiednia Romantyka, ale nie wiem, czyby mu dziś podobało się to nagłe przejście do drugiéj znowu ostateczności.

S. P....r.

Melsztyn.

Nie masz ciekawszego widoku dla podróżnika, jak gruzy odziane mrokiem starożytności. Z tajemniczą ciekawością wstępuje on na powalone szczątki murów, jak żeglarz na nowy jaki odkryty kawał ziemi; oko szuka na tém miejscu niezwyczajnych rzeczy, a duch jego przenosi się na skrzydłach wyobraźni w krainę przeszłości, i żąda, jakby w czarodziejskiéj skrzyni kuglarza, widzieć ciemne obrazy wieków. Niemy ten trup obudza w nas lube dumanie, a marzenie przedstawia nam mgliste postacie przeszłych czasów, które ciągle miejsce swéj kolebki i grobu otaczają.

Jednym z takowych grodów, którego smutne szczątki o dawnéj wielkości starożytnéj Polski świadczą, jest Melsztyn, leżący na pograniczu obwodu Tarnowskiego. Ładne, aczkolwiek małe miasteczko Zakluczyn, leży u stóp jego, zamieszkane dziś po największéj części rzemieślnikami, trudniącymi się szewstwem, którzy towar swój w dalekie strony na jarmarki prowadzą. Piękny klasztór OO. Reformatów, roku 1647. przez Zygmunta Alexandra Tarło wymurowany, ma wiele osobliwości, śliczne malowidła i marmurowe nagrobki rodziny Tarłów; rozłożyste jego zabudowania leżą w prawdziwie klasztorném zaciszu za miastem Zakluczynem, a z okien jego widać rozsypujące się gruzy Melsztyna. Szumiący Dunajec, dzielący Zakluczyn od Melsztyna, płynie



Melsztyn.

pod samym zamkiem, który od wschodu na wysokiéj urwistéj skale leży. Z zachodniéj tylko strony skała owa jest dostępna, przytyka albowiem do niéj góra, która coraz więcéj rozłożystą się staje i w długim pasmie gór niknie. Górę tę od skały zamkowéj przecina głęboka fossa; płynął nią niegdyś Dunajec, oblewający z trzech stron gród cały. Jedna szczególnie dostępna droga prowadziła do zamku i to od strony góry przez ową głęboką fossę, którą żelazny most zwodzony przykrywał. — Szeroka brama, obwarowana mocnemi żelaznemi drzwiami i zabudowaniem w górze, broniła niegdyś wrogowi wstępu do zamku: stoi po dziś dzień jeszcze wysoka wieża; widać na niéj dotąd gzymsy z ciosanego kamienia i piękne futryny w oknach wysokich. Na wieży téj czuwała straż dniem i nocą, i okiem do koła zbliżającego się nieprzyjaciela śledziła, a dotąd jeszcze z téj wieży najpiękniejszy na przyległe okolice otwiera się widok. Do koła wieży wznosi się gruby murowany przymurek, wzmacniający głęboką posadę téjże. Prócz téj wieży, widać jeszcze ślady kilku potężnych baszt narożnych. Prostopadle z ścianą wysokiéj opoki, wznoszą się dotąd ślady otaczających szerokich murów, które się dzisiaj usuwają; z północnéj strony znajduje się potężny otwór. Mury te zewnątrz tak się zniżyły, że z dziedzińca na nich osada, broniąca zamku, wygodnie stać i przez porobione okrągłe wyłomy strzelać mogła. Po prawéj ręce ciągnęły się stajnie; jedne z nich umieszczone były pod ziemią, drugie zaś z wierzchu; w stajniach tych stały bogate rzędy tureckich koni; nad stajniami wznosiły się pomieszkania dla giermków i sklepione zbrojownie, w których rozmaita broń kształtnie była porozwieszana. Za stajniami są szczątki obszernych komnat i sale; dziś na tém miejscu, gdzie nieraz przy odgłosie trąb i kotłów huczne wrzały gody, głuche osiadło milczenie; a tam, gdzie pyszne łoże pani zamkowéj stało, gnieździ się owad rozmaity i puszczyki, głosem swym chrapliwym łatwowiernych wieśniaków przerażające. — Z okien pokoi, błyszczących niegdyś różnobarwnemi szybami, widać jeszcze kilka potłuczonych marmurowych osad. W téjto stronie są jeszcze głębokie więzienia, w których okuci łańcuchami więźniowie jęczeli, i rozległe piwnice; w jednéj z nich przed parę laty znaleziono beczkę starego wina. Mury z kaplicy

zamkowéj leżą po prawéj stronie dziedzińca. Jest jeszcze na dziedzińcu głęboka dziura, znacząca otwór studni tak głębokiéj, że dno jéj równe było z dnem Dunajca, płynącego po nad górą zamkową. Cały jéj otwór i kanał, prowadzący po nad ziemię do Dunajca, wyłożony był dużemi płytami kamiennemi, które niedawnemi czasami na zbudowanie gorzelni i zmurowanie kościołów parafialnych w przyległych wioskach: Domosławicach i Filipowicach użyto. Prócz tego głosi podanie miejscowe, iż z zamku wysokiego na trzy piętra i pokrytego ładną czerwoną dachówką, prowadził most bardzo długi na słupach aż na drugi brzeg szerokiego Dunajca.

Nie pominąwszy żadnych szczegółów w opisie tych powalonych gruzów, należy tu także napomknąć nieco o dziejach sławnego grodu Melsztyna. Czas zbudowania tego zamku sięga najodleglejszéj starożytności, albowiem już w trzynastym wieku wspominają o nim dzieje polskie, naznaczając go za mieszkanie królowéj Kindze, czyli Kunegundzie, po śmierci męża swego Bolesława Wstydliwego, króla polskiego, r. 1279. przypadłéj. Następnie posiadali Melsztyn, czyli, jak go dawniéj zwano, Mielsztyn: Leliwici, których przodek Spicimir, podług podania kronikarzy, przez króla Władysława Łokietka, z zamku Mondstern, leżącego nad Renem w Niemczech, do Polski powołany i za okazaną królowi w czasie wygnaństwa gościnność, znacznemi dostojeństwy i posiadłościami obdarzony. Syn tegoż Spicimira, hrabi na Tarnowie, roku 1330. Jaśko zwany, otrzymał działem po ojcu w dziedzictwie Melsztyn i zamek na nowo odmurował, albowiem ząb czasu znacznie go nadwerężył. Potomek jego największéj dopiął chwały u narodu; imię tego męża dotąd z czcią wymawiane bywa. I któż nie zna sławnego Spytka z Melsztyna? O nim to prawdziwie można powiedzieć, iż w zbroi został wychowany, albowiem chłopięcą prawie jeszcze ręką ucierał się mężnie z Tatarami. Cnoty te, a nadewszystko roztropność i umiarkowanie w działaniu, zjednały mu wielki szacunek u króla i narodu, jakoż zaraz w ośmnastym roku życia swego, w nagrodę za poniesione trudy, dostąpił krzesła województwa krakowskiego, a późniéj sandomirskiego. Spytek te urzędy godnie piastował, radą swą mocno króla Kazimierza wspierał, a na sejmie wiślickim najbardziéj nalegał na wydanie praw, koło których mądrze pracował. Zawojowaniem Rusi Czerwonéj (galicyjskiéj) dzielnie Spytek kierował, i jemu tylko podziękować trzeba, że się te żyzne kraje pod berło polskie dostały. Zostawszy w nowe przez się zawojowanym kraju starostą lwowskim, po śmierci króla, sprzeciwiał się zamachom chytrego Ziemowita, księcia mazowieckiego, o koronę polską, i najmocniéj wybór Władysława Jagiełły, księcia litewskiego, na króla polskiego, popierał. Wdzięczny Władysław darował Spytkowi, przy wstąpieniu na tron, drogie swe sandały, złotem i perłami ozdobne. R. 1396. wysłał go król na zdobycie Wielunia, Ostrzeszowa i Bolesławic, po któréj to wyprawie r. 1397. dostał w podarunku od króla włości Lubliniec, Strzelce, Domaraz, Olesno i Gorzowo. Dzielny ten mąż i zasłużony senator, poległ roku 1399. z niewymownym żalem całego narodu w walce przeciw Edydze, wodzowi tatarskiemu. Wnuk Spytka, Jan z Melsztyna, po śmierci brata swego, w bitwie pod Chojnicami poległego, zamek odziedziczył. W tymże czasie Melsztyn służył za przytułek Jakóbowi Sienińskiemu, biskupowi krakowskiemu, którego Papież mimo woli króla na tę godność powołał. Protekcya ta zjednała Janowi z Melsztyna niełaskę, która jednakże późniéj ustała, gdy do zgody między biskupem a królem Kazimierzem Jagiellończykiem przyszło. Jan umarł bezpotomnie, a Melsztyn dostał się nazad domowi Tarnowskich. Anna Tarnowska, wdowa po Odrowążu, wojewodzie ruskim, zaślubiona po drugi raz Mikołajowi Jordanowi, kasztelanowi wojnickiemu i staroście spiskiemu, uczyniła Jordanów dziedzicami Melsztyna. Nowy właściciel Melsztyna odznaczał się tedy swém bogactwem w Polsce i aż do roku 1504. żupy wielickie i bocheńskie w zastawie trzymał, dopóki je Bonar dla króla za 12,000 czerwonych złotych nie wykupił. Wawrzyniec Spytek Jordan z Zakliczyna, pan na Melsztynie, kasztelan krakowski, starosta przemyski i czchowski, umarł roku 1568. jako ostatni męzki potomek familii Jordanów na Melsztynie, zostawiwszy pięć córek, które za najznakomitszych wtedy mężów w Polsce powydawał, jako to za St. Bonara, Wapowskiego, Kaspra Zebrzydowskiego, Pietra księcia Zbaraskiego i Samuela Zborowskiego. Melsztyn dostał się Taszyckim, gorliwym zwolennikom aryanizmu, a późniéj Tarłom, z których Zygmunt na Zakliczynie i Melsztynie, kasztelan sądecki, roku 1622. pierwszy OO. Reformatów do Polski sprowadził. Zygmunt Alexander, kasztelan przemyski, sądecki i bełzki, sławny w walkach ze Szwedami, Kozakami, Tatarami i Turkami, był ostatnim panem z rodziny Tarłów na Melsztynie, poczém zamek na dom Lanckorońskich w dziedzictwie przeszedł.

Podczas konfederacyi barskiéj zdobyli zamek melsztyński Konfederaci, którzy, leżąc przez długi czas obozem pod Zakluczynem, Lubomirskiego, trzymającego stronę króla, ku sobie nakłonić chcieli. Jednakże wkrótce wpadli Kozacy na Melsztyn, a zamek przez nich złupiony i zapalony, więcéj z swych gruzów nie powstał.

Ż. P.

Zgoda o Barbarę i Koronacya.
R. 1550.

(Wyjątek z niedrukowanych *Pamiętników o królowéj Barbarze Radziwiłłownie, żonie Zygmunta Augusta*, przez Michała Balińskiego.)

.... w tém okrzyk zgody ze wszech stron powstaje,
Senat cofa swój wyrok, i stany złączone,
U nóg żony Augusta składają koronę.
Feliński. Akt V. Scen. 4.

O! póki ten mój miły, ten świat mojéj duszy,
Łańcucha naszych węzłów swą wzgardą nieskruszy,
Wierny zostanie cnocie, miłości pamiątkom.
— . — . — . — . — . — . — .
Jeszcze się dla mnie życia niezamknęło wieko,
Jeszcze myśl jego o mnie, chociaż on daleko,
Płynąć będzie . . . . .
Malczewski w Maryi.

Zrażony król niezgodami przeszłych obrad w Piotrkowie wzbraniał się składać nowego sejmu. Wszakże niesnaski wewnętrzne, równie jak zuchwałe napady Tatarów, grożąc niebezpieczeństwem krajowi, koniecznie wymagały wspólnemi wszystkich stanów siłami jak najspiesznićj zaradzać złemu. Trzeba było jednak tak wielkiego wpływu, jaki wówczas wywierał na umyśle królewskim Jan Tarnowski, żeby nakłonić Augusta do zwołania sejmu. Ale i temu wielkiemu mężowi nie łatwo było otrzymać zaraz skutek pożądany, zwłaszcza, że Arcybiskup Dzierzgowski nierozważnie, i nadto skwapliwie śmiałém domaganiem się zjazdu, na nowo rozdrażnił króla, lękającego się zawsze wznowienia kłótni o Barbarę.

Jednak przemogły w końcu łagodne upomnienia Tarnowskiego, sejm na dzień 4. Maja we cztery niedziele po Wielkiéj nocy, naznaczony został w Piotrkowie. Udał się tam i August z całym dworem, drugiego Maja opuszczając Kraków i ulubioną żonę, jedynie prawie zajęty myślą ostatecznego uwieńczenia związków swych z Barbarą przez uroczysty akt koronacyi. Ale prócz tego tyle innych najważniejszych spraw państwa, a razem trudnych do pogodzenia interesów, otwierały dlań obszerne pole trudów i frasunku. Z jednéj strony dokonanie zwycięztwa nad niechętną mu szlachtą w koronie, która nawet o bezkrólewiu już zamyślała, z drugiéj głuchy opór panów litewskich względem warunków unii, nakoniec niezgody religijne coraz wzrastające, groziły burzliwością obradom. Mocny jednak w postanowieniu swém August, zręczny w polityce, umiał korzystać z takiego nawet stanu rzeczy, który się nader zawikłanym wydawał. Zdrowe rady hetmana Tarnowskiego i biskupa Maciejowskiego co do spraw koronnych, a co do litewskich biegła pomoc marszałka Radziwiłła i brata jego podczaszego, postawiły go w możności uspokojenia przeciwników, i dopięcia ulubionego celu względem swéj żony. Dążył też wezwany do Piotrkowa z Litwy i marszałek Radziwiłł, w drodze nawet czuwając nad postępkami przeciwnych królowi panów litewskich. Dowodzi tego krótki list następujący z Brześcia pisany do brata podczaszego, w Wilnie zawsze mieszkającego, który tu z rękopisma oryginalnego przytaczamy:

„Oświecone książe, miłościwy panie i bracie, przyniesion ku mnie list od jego k. m., który w. m. należy, radbych go był spiesznićj posłał, ale ja podwodnych listów niemam, a tak panem Pieniążkiem szlę go ku w. m. Jako mi w. m. pisał o zjachaniu niektórych panów do Kowna, byłoby barzo potrzebne, aby pod tym koronnym sejmem, ten ich zjazd był rozerwan; wszakoż jeśli się rozerwać nie będzie mógł, tedy acz o tém uczyń w. m. staranie, aby była tego wiadomość którzy na nim będą; a co wżdy za słuch z ich rad wynidzie, o czem racz w. m. bez omieszkania, Królowi jego m. oznajmić. Nowiny pan Pieniążek polskie i inne postronne w. m. powie. Z tem zalecam w. m. swe braterskie służby, życząc w. m. zdrowia i wszego szczęścia."

„Dan w Brześciu, 10. Maja 1550."

„W. m. powolny brat i sługa

Nicolaus Radziwił."

Illustrissimo Domino Nicolao Radziwil, Duci in Birże et Dubinki, Dno et fratri honoratissimo."

Umiarkowańsze przygotowania mających obradować, po ziemiach i powiatach, zwiastowały pomyślność zjazdu przyszłego w Piotrkowie. Cieszył się tą nadzieją król, wiedząc, że w instrukcyach danych posłom, zupełnie już o jego małżeństwie zapomniano. Jakiéjże dopiero używał radości i pociechy, kiedy zaraz na początku sejmu, Kmita, wojewoda krakowski, ów zawołany nieprzyjaciel Barbary, chociaż przez żonę blisko z nią spokrewniony, niespodzianie prawie przeszedł na stronę królewską. Odpowiadając bowiem zażalonym na senat posłom, że ich nie wspierał w legalném jakoby ograniczeniu władzy Zygmunta Augusta, gdy szkodliwość wzbronienia mu odprawywania sądów wystawiał: to ściągnęło nań powszechny gniew szlachty. Zniechęcony więc takiém niepowodzeniem, a prócz tego oddawna czując się być upokorzonym przez zupełne siebie oddalenie od wszelkiego wpływu na dworze, postanowił przez zmianę zdań swych politycznych, wejść na nowo do łaski królewskiéj. Za nim poszło wielu jego stronników, i tym sposobem król sądy odbywał, posłowie spierali się z senatem, a z utratą główniejszych naczelników, partya przeciwna małżeństwu Augusta z Barbarą, zupełném milczeniem tak się zdawała je teraz potwierdzać, jak wprzódy całemi siłami pragnęła rozerwać. Sam August przewidując wcześnie pomyślny skutek swoich w téj mierze

usiłowań i stałość, czuwał tylko nad schwyceniem wśród tego natłoku spraw publicznych i starcia się namiętności pomyślnéj chwili, do ostatecznego postanowienia względem koronacyi. Ku końcowi drugiego miesiąca po swém przybyciu do Piotrkowa, tak się wyrażał, otwierając potajemnie zamiary swe szwagrowi.

„Zygmunt August i t. d. Wielmożny nam zwłaszcza miły, iżeśmy tak długo do was niepisali, tedyśmy toż tych przyczyn używali, że do tych czasów nic się takowego nieprzytrafiło, coby się zdało wam ku wiadomości przywieść. Abowiem, chwała Panu Bogu, wszystko aż do tego czasu dobrze i spokojnie szło, i jeszcze idzie. Ten sejm nasz koronny za łaską Bożą i dobrze się począł, i wszystkie potrzeby i sprawy koronne po ten czas dobrze *et absque omni turbatione* się odprawią, tak iż mamy dobrą nadzieię, iż się dalibóg do końca ten sejm dobrze dokona. Panie podczaszy, iż niechcielibyśmy ztąd odjachać, ażbyśmy też niejakie postanowienie uczynili około koronacyi królowéj J.M. małżonki naszéj miłéj, i chcielibyśmy jednak nie bardzo długi czas ku temu aktowi zamierzyć. Przeto i tośmy wam oznajmić chcieli, abyście się téż jednak niejako ku temu tu do nas przyjachać gotowali. Wszakosz jeszcze się nie do końca bardzo gotując, jeno tako tym propozycie naszym wiedzieć raczcie. Bo kiedy się to już tak postanowi, my wam nic niemieszkając wnet znać damy, jako i ku któremu czasowi przyjachać byście się gotować mieli. A tak w tém jeszcze nauki naszéj czekajcie, którą skoro się to postanowi, bez omieszkania mieć koniecznie będziecie.“

„Téż się nam zdało wam to oznajmić, iż tu królowa J. M., matka nasza, pod samym Piotrkowem w niejakiéj wśi w Gomolinie mieszka, i przywiozła téż J. M. była z sobą wielkiego Ogoża, to jest czarownicę, którę od dawnego czasu w Warszawie miała; a tę czarownicę zjednała J. M. Falczeska, starościna kobryńska. Myśmy jéj czarownicę tu dostali, jest już u nas w klatce, śpiéwa dosyć nie mało rzeczy, owo jest się czemu podziwować; co jednak potém z czasem wszystko dostatecznie wiedzieć będziecie mogli. A takośmy wam i o tym chcieli dać znać. — Gdzie zatym dobrze być zdrowym żądamy. Dat w Piotrkowie XX. Junii, anno Domini M.D.L. — Regni nostri vigesimo primo.“

„Ad mandatum S. Reg. M. propr.“

„Ceduła sekretna królewska. Panie podczaszy, z tego listu naszego dosyć dobrze i dostatecznie będziecie mogli wyrozumieć dobre za łaską Bożą nasze z tego sejmu rozjachanie 1), tak, iż tylko już na tém rzeczy nasze stoją, że jakośmy wam pierwéj pisali, iż obmyśliwając dostojeństwo majestatu naszego i małżonki naszéj, tośmy najwięcéj przedsiębrać chcieli, abyśmy już nakoniec co pewnego około ceremonii królowéj JM., małżonki naszéj, postanowili. Jakoż niecośmy już stanowić poczęli, jeno i w téj mierze znać, na wiele rzeczy oglądować jeszcze potrzeba. Zwłaszcza widząc matkę naszą, która ni o czym innym snać więcéj nie myśli, jeno abyśmy wszystkich rzeczy i potrzeb naszych, zatrudnienie mieć zawżdy mogli; zwłaszcza o tém się jaśniéj słyszeć się dawa, i niczby raczéj widzieć niechciała, tylko śmierć, gdzieby koronacya małżonki naszéj dojść miała. Przeto bacząc matkę naszą téj myśli przeciw nam i przeciw małżonce naszéj być, nic więcéj nie jest potrzeba, jeno abyśmy to jakokolwiek co najskryciéj postanowić mogli; bo pieniądze, w których jeno samych matka nasza *confidit*, wiele *in hac hominum et temporum iniquitate* mogą, i aczkolwiek niejaką jest nadzieją i jużeśmy tak na to założyli, iż mniemamy, że łacno ta koronacya małżonki naszéj dojść będzie mogła, zwłaszcza, że i hołdy książąt niektórych *vigore conventus* na S. Katarzynę jesteśmy złożyli. Pod którym aktem i koronacyą, jeżeli Pan Bóg zdarzy, odprawićbyśmy chcieli, i już około tego nie mało starania czyniemy, pod którymby obyczajem ta koronacya dojść i odprawićby się mogła. A tak potrzeba, jakoby się to wszystko przed matką naszą ukryć mogło, która gdzieby to najmniéj poczuła, nioczymby więcéj bez pochyby nie myślała, by téż nie tylko pieniądze, ale i zdrowie na to ważyć, bo się już tak w tém jawnie słyszeć dawa, jakoby jeno ten koronacyi akt rozsypać mogła. Przetoż pan podczaszy, iż się już niejako nadziewamy, że za pilném staraniem naszém i za łaską Bożą, ta małżonki naszéj koronacya, pod temi hołdy, które na S. Katarzynę dojść mają, dalibóg dojść będzie mogła, acz jeszcze około tego dostatecznéj pewności nie mamy. A tak was żądamy i napominamy, abyście się tak cicho bardzo, a nikomu, też najpowinowatszemu, nic nie powiadając, sposobiali i ktemu gotowali, jakobyście tu do nas wnet, skorobyśmy wam w około tego pisali, przybieżeć mogli. A jako z najskromniejszym pocztem tu się przyjachać gotujecie, bo gdziebyście się z wielkim pocztem gotowali, tedyby to wasze gotowanie niemogłoby być tak tajemnie; czego jest w téj mierze, aby to tajemno było najwięcéj potrzeba, jako wam i pan marszałek, brat wasz, około to wszystkiego pisać ma, i to wszystko dostatecznie z listu jego wyrozumieć będziecie mogli. Jeno was o-to, i powtóre żądamy i pilnie napominamy, żebyście się tego, co do was na téj cędule piszemy, żadnemu człowieku, by téż najpowinowatszy był, niezwierzali; albo-

1) Te wyrazy nie znaczą końca obrad, ale przyszłe pomyślne z nich rozjachanie się.

wiem nam w téj mierze na tém, aby to jak najtajemniéj było, bardzo wiele, a snać wszystko zależy. Jakoż w tém nic nie wątpiemy, iż to tak tajemnie u siebie będziecie mieli, patrząjąc w tém na nasze i na królowéj JM. małżonki naszéj potrzeby. Pisaliście nam też nieco około tego, iż, gdziebyście tu już przyjachać mieli, tedy, gdy tak cicho gotować się tu przyjechać macie, niemoże też to być, abyście się bardzo świetno tu przyjachać mieli gotować, boby takowe gotowanie musiałoby już być znaczne. Ale zda się nam, żeby chocia ten poczet jakiżkolwiek tu z sobą tak naprędce mieć będziecie mogli, żeby chociaż świetny był, a wy sami w żałobie przyjedźcie; wszak będziecie mogli z sobą wziąść z kilka szat na się świetnych i w wozie je mieć. Będzieli tego potrzeba, będziecie mogli je tu na się oblec."

„*Sigismundus Augustus,* rex Polon."

Z taką tedy usilnością zalecał król szwagrowi zachowanie najściślejszéj tajemnicy o zamiarach i działaniach swoich, względem przyprowadzenia do skutku tak żywo upragnionéj koronacyi. Bo też w rzeczy saméj było się o co troszczyć i lękać. Bona, owa groźna i nieubłagana Bona, jakby złowrogi duch, nigdy niespuszczając z oka ofiary swéj nienawiści; na sam odgłos nowego zjazdu w Piotrkowie, przyleciała ze stolicy Mazowsza, usadowić się tuż pod tém miastem we wśi Gomolinie, żeby wszelkiemi środkami przewrotności krzyżować kroki synowskie i truć ostatek pięknego życia Barbary! Nie wybierając między złém, byle dopiąć swego, zdaje się, że z samém piekłem zawierać chciała przymierze, ażeby w groźniejszéj postaci zbliżyć się do siedliska niegodnych intryg wzniecónych od siebie. Do gusel nawet i czarów zabobonnie uciekając się, chciała mieć czarownicę ku pomocy, w każdym razie, gdyby jéj złoto mniéj, niż się spodziewała, wpływu na ludzi miało. Z téj to wśi, jak z otchłani lucyfera, zamierzyła gnieździć domowe niezgody między bracią, draźnić namiętności i pomnażać klęski kraju, o który nie dbała. Tam oparta jedną ręką na skrzyniach, ukrywających jéj skarby; drugą sięgając do magicznych kart strasznéj czarownicy po wróżbę, zdawała się ważyć, z zaiskrzoném okiem, krótkie już dni życia Barbary, lub chciwie badać losu jéj w przyszłości.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Rozmaitości.

Zygmunt III. i młody Radziwiłł.

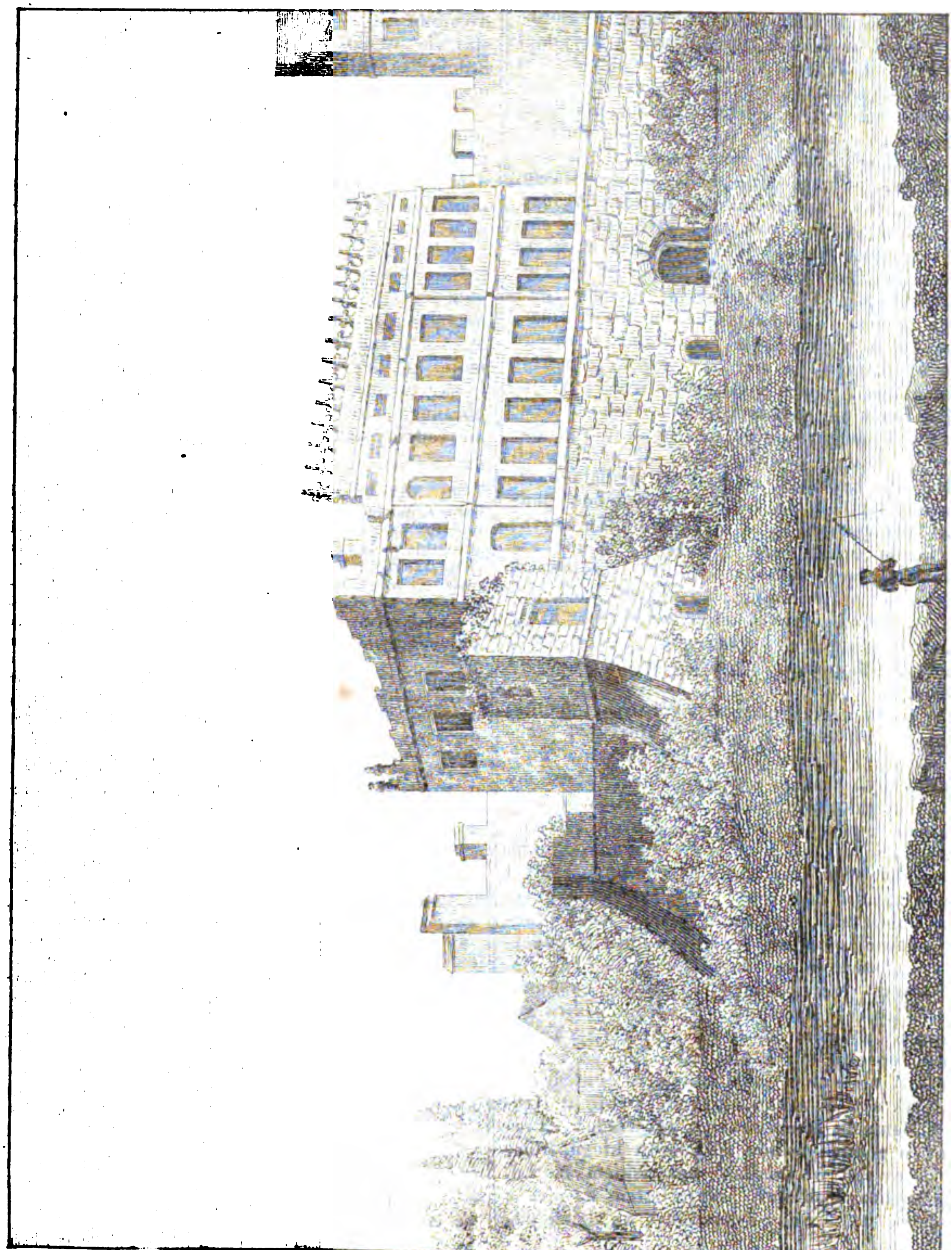
(Według współczesnego rękopismu.)

Piękném tłem w życiu Zygmunta III. jest wspaniałomyślność w przebaczaniu uraz, która częstokroć w słabość przechodziła. Monarcha ten, przytarłszy na polach guzowskich rogów bucie Żebrzydowskiego i innych możnowładzców, mógł sprawiedliwéj poniekąd zemście popuścić nieco cugli, mógł pojmanemu Herburtowi kazać zdiąć głowę, mógł swawolę wychłostać; wszelako przebaczył wspaniale (lubo na szkodę narodu), i, co więcéj jeszcze, krzywdy swojéj, i uraz zapomniał, obsypując rokoszan nawet w potomkach ich licznemi dobrodziejstwy. Do najzaciętszych jego nieprzyjaciół należał Janusz książę Radziwiłł, zmarły 1620. roku, jeden z naczelników rokoszu. Pozostały po nim syn nieletni, Bogusław, dostał się w opiekę stryjowi swemu, sławnemu Krzysztofowi Radziwiłłowi, hetmanowi w. litewskiemu. Ten znajdując się raz w Warszawie, zaprowadził dziewięcioletniego Bogusława na pokoje królewskie, a oddawszy pokłon monarsze, obrócił się do swego synowca, rozkazując mu, aby króla powitał. Na żądanie stryja, młody Radziwiłł podał w poufałym sposobie rączkę królowi; a gdy go stryj o to łagodnie połajał i do nóg monarsze upaść rozkazał, on tego żadną miarą uczynić niechciał, mówiąc: „i na cóż to mam czynić, wszakci i król jest człowiekiem mnie podobnym." Zmieszał się bardzo tą śmiałością synowca hetman, ale Zygmunt III., pogłaskawszy młodego Radziwiłła: „dajcie mu pokój" — rzecze — „rokoszanin jest."

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (*Red. J. Łukaszewicz.*)

Przyjaciel Ludu.

Rok szósty. **No. 43.** **Leszno,** *dnia* **25.** *Kwietnia* **1840.**



Zamek w Krupie.

Zamek w Krupie.

Krupa, w ziemi chełmskiéj, niegdyś własność Zborowskich, wyszła z posiadania ich rodziny z posażném wianem Kunegundy Zborowskiéj, oddanéj za mąż za Hieronima Gnoińskiego, matki Mikołaja i Samuela Gnoińskich. Samuel Zborowski, ojciec Kunegundy, jeszcze przed owém nieszczęsném zabiciem Wapowskiego, żył w sąsiedzkich sporach i kryjoméj nienawiści z Janem Zamojskim, dziedzicem Krasnego-Stawu. Choć był bogaczem, posiedzicielem mnogich włości na Ukrainie, na Rusi, w Polsce, a nawet i w litewskiém Polesiu, na przekorę Zamojskiemu wzniósł zamek w Krupie, półtoréj mili od Krasnego-Stawu, taki warowny, jakich mało w Polsce. Widać, że dzika i ponura była myśl twórcza w stawianiu tego zamku. Na iłowatém wzgórzu wznosił się duży gmach, podobniejszy do więzienia zbrodni, niż do okazałéj siedziby polskiego pana. Siodmiogrodzkim zwyczajem, siedm baszt półkołowemi cielskami z okręgu muru wystawało, a mur tak wysoki, iż krył przed okiem i zamek i czubiaste wieże. W jednéj z baszt od południa brama ciasna i wsunięta w framugę; przed murem w okrąg potrójny przekop i potrójny wał, w przekopach woda. Na kopułach wszystkich siedmiu baszt kamienne tarcze, na każdéj wyżłobiona podkowa barkiem na dół, w niéj we środku krzyż; nad każdą tarczą hełm z koroną, a nad nią jastrząb mający skrzydła do lotu wzniesione, obrócony w prawą stronę, na nogach dwie pęciny, w szponie prawéj takąż podkowę z krzyżem trzymający. To jastrzębiec godło staréj szlachty. Zborowskich rodzina miała go swoim herbem.

W tymto zamku Samuel Zborowski, banita, odsądzony od czci i wygnany z ojczyzny, przemieszkiwał, bezprawnie wróciwszy do niéj. I gdyby był z niego nie wyjeżdżał, pewnieby marszałkowska władza na nim gardłowéj kary nie byłaby wykonała; byłby umarł swoją śmiercią, bo ani Zamojski, ani nikt w świecie nie pokusiłby się dobywać krupieńskiego zamku. W tym samym zamku Zborowski, wichrzyciel spokojności publicznéj, uniesiony dumą, knuł przeciw własnéj ojczyznie czarne zdrady i popełnił szaleństwa trudne do uwierzenia. Tak np. zaprosiwszy razu jednego w gościnę znakomitego Włocha, Kandiana, gwałcąc prawa gościnności, święcie od ojców naszych zachowywane, obszedł się z nim nie tylko po barbarzyńsku, ale nawet jako szaleniec. Posłuchajmy, jak sam Kandian przygodę swoję w Krupie u Samuela Zborowskiego opowiada: „Proszony w gościnę usilnie od Zborowskiego, który mi za swego wieśniaka, nazwiskiem Kurka, dług wyliczyć obiecał, przyjechałem do niego; przyjęty, traktowany i bawiony, aż dzień odjazdu mego nadszedł. Zborowski usłyszawszy, że się do domu wybieram, broni mi i odradza wyjazdu, strasząc powietrzem morowém, naokół panującém. Zatrzymałem się więc u niego dłużéj. Potém, jak zwykł bywać żartobliwym, przywiódł mię swemi żartami do tego, że w przytomności licznego zgromadzenia szlachty byłem zmuszony uderzyć w twarz jednego z dworzan jego, nazwiskiem Ruskiego. Wnet stał się w sali rozruch, wszyscy rwą się do broni; przecież za staraniem rozsądniejszych pogodzono nas, atoli tylko na pozór. Zborowski bowiem, rozgniewany, prześladował mię wszelkimi rodzajami obelg. Między innemi przymusił mię, człowieka bezbronnego, miodem osmarowanego, do spotkania się z starym niedźwiedziem, od psów poprzednio rozdrażnionym, przeciw prawom gościnności i obyczajom szlachetnych ludzi. Wyszedłszy z walki téj z bestyą zwycięzko, powaliwszy niedźwiedzia, oburzony takowém obejściem, postanowiłem natychmiast odjechać, nie pożegnawszy się z gospodarzem. Ale on kazał koła od bryki mojéj pozdejmować, pojmać mię zdradziecko, i skrzywdzonego, z kosztowniejszych rzeczy obranego, znieważonego, ze wzgardą mego i méj rodziny stanu szlacheckiego, przytrzymać.*)“

*) Takich szaleństw popełnił Samuel Zborowski bardzo wiele. Owcześni pisarze nasi nie mogą się wyżalić na jego wyuzdaną swawolę. Między innemi Bzowski w dziełku: „Propago, divi Hyacinthi“ mówi: „Opierał się i brat Leonard z bratem Zygmuntem Piotrowi Zborowskiemu, wojewodzie krakowskiemu, naczelnikowi i opiekunowi heretyków. Wstyd jest powiedzieć o Samuelu Zborowskim, który potém za zbrodnię obrażonego majestatu na gardle ukaranym został, jak on, gorzéj psa wściekłego, Dominikanów prześladując, czyhał na sposobność wyrządzenia im jakiéj obelgi i zniewagi. Jednego dnia, spostrzegłszy na ulicy w Krakowie idących dwóch Dominikanów, rozkazuje swoim siepaczom, aby ich pochwycili, skrępowali i do niego przyprowadzili. Jeden z nich ratował się ucieczką; drugi schwytany, skrępowany i przyprowadzony przed Zborowskiego, pozbawionym został tego, co natura ukryła.“ — Trafną też dał o nim odpowiedź wielki Stefan, spytany od Zamojskiego: coby z schwytanym S. Zborowskim miał zrobić? Wściekły pies — odpisał kanclerzowi monarcha — zabity, nie kąsa. Sciętego nikt nie żałował; nawet współwiercy jego, brzydząc się niecnymi postępkami, nie podnieśli na żadnym sejmiku, ani też sejmie, głosu za nim. Mało co lepsi byli bracia jego Krysztof i Andrzéj. Jeden z nich starał się o rękę Halszki, księżniczki ostrogskiéj. Dowiedziawszy się o tém król Zygmunt August, pisał natychmiast list do Mikołaja Czarnego Radziwiłła, wojewody wileńskiego, zaklinając go, aby małżeństwo to wszelkiemi sposoby rozrywał, gdyż nieradzibychmy widzieli — mówi monarcha — tego hardego i niespokojnego człowieka w tamtych stroniech. — Zresztą, że Samuel Zborowski i wszyscy bracia jego, byli wyznania helweckiego, wiadomo powszechnie, zwłaszcza naszym duchownym, którzy „Dzieje kościoła polskiego“ Ostrowskiego czytali; niepodobna zaś przypuszczać, aby który dzieła tego nie czytał, bo, mówi sprawiedliwie Cycero: mnie się zdaje wielkim nieukiem, kto dziejów i rzeczy krajowych nie zna.

Po Samuelu Zborowskim posiadał w środku 17go wieku Krupę z zamkiem niewyrodny wnuk jego Samuel Gnoiński, który służąc w wojsku szwedzkiém, zamknął w tym zamku garstkę ludzi, przeciw własnéj ojczyznie walcząc. Zamek, od Polaków zdobyty, ucierpiał wiele; wszakże od następców Samuela Gnoińskiego dobrze utrzymywany, dotrwał niemal cały do dni naszych.

X. A. S. P.

Łowiec.

Gawęda z XVI. wieku.

(Ciąg dalszy.)

Dymitr zaprosił gości do swojéj wieczerzy; gąsior miodu starego i wielki rodzinny puhar, ozdobił prostą ucztę. Dwaj zgłodniali myśliwi, nasyceni jadłem, rozweseleni miodem, wesoło zabierali się do żądanego spoczynku. Na woniejącém sianie złożyli utrudzone ciała, gdy Grzegórz, nalewając, podawał kolejno srebrny puhar, jedyny zbytkowy sprzęt w domostwie Dymitra.

„Przyznam się Waści,“ prawi rozweselony podstoli, „że lubo mam przydomek niewesołego ptaka, bo, jak Waści wiadomo, od sępa nazywamy, troskami zgniecione czoło i oblicze, zasępionem, wrzekomo, nie zasępiam się wcale, i lubię wesołość: a do tego potrzeba, a o czém zawsze baczę, aby żołądek był niegłodny, a w głowinie szmerał nieco, albo nasz luby krajowy miodek, albo stary a wytrawny madzar (*). Wtedy pieśń wesoła — albo gawęda z dobrym towarzyszem pieści uszy szlacheckie rado i przystojnie. Miłyć Boże! żabrałeś mi brata mego w młodzieńczym wieku, a byłto poeta niepospolity: nieraz bywało przy uczcie, jak z procy lub zaśpiewał pieśń stworzoną w téjże chwili w jego głowie: to sonet gładki wypowiedział. Miły to był młodzieniaszek, zgasł przed czasem. Ja lubo nie pismak, gdy przecie „wiele ludzi zacnych, którzy nieboszczyka pana Mikołaja albo zaznali, albo „też pisma jego czytali, rozmawiali ze mną i znarzekaniem, żem się o to nie starał, aby prace „i pisma jego do kupy były za mojém staraniem zebrane i światłu pokazane. Ja zaiste „będąc w téj mierze i sam frasowity, żem do „tego przyjść nie mógł, i narzekaniem ludzkiém „poruszony, starałem się, jakobym i żądności „onéj prawie pospolitéj od wszystkich, którzy „się w dowcipie brata mego zakochali i po„winności mojéj braterskiéj, a przytém sławy „brata mego nieodbiegał; użyłem więc jednéj „zacnéj osoby duchownéj do przejrzenia i spo„rządzenia pism, aby świat widziały, i pod „miłościwą obronę jegomości panu Jakóbowi „Leśniowskiemu, podczaszemu ziemi lwowskiéj, „oddałem. **) Dla Waszeci téż, panie Dymi„trze, rytmy te wydrukowane zachowałem, bo „wiem, że od ksiąg nieuciekata, ale radzi czy„tacie.“

Dymitr podziękował za dar obiecany, wielce wynosząc zalety zmarłego poety. „Pamięć jego (wyrzekł) nie zaginie u nas mościwy panie podstoli: imię Mikołaja, jako i cały dom Szarzeńskich, świetnie jaśnieje w wielkiém dziele Bartosza Paprockiego: *Herby rycerstwa polskiego*, kędy zmarłego młodzieńca liczy po Janie Kochanowskim jako przedniejszego w polskim wierszu.“

Podstoli z radością pogłaskał czupryny, zakręcił wąsa z rozrzewnienia, gdy pan Struś, podniósłszy w górę pełny puhar, zawołał:

„Mościwi panowie bracia! piję zdrowie uczonego Bartosza, co nasze herby na wieczną uchował sławę, i razem zmarłego pana Mikołaja Sępa. Onto sławę i pamięć brata mego Stanisława, co zabit na Rastawicy od Tatarów, wierszem w potomne wieki podał.“ I dwie łzy spłynęły mu po zczerwieniałych policzkach.

„Był to też rycerski człowiek i zacny; gdy wszyscy uciekali, on nieuszedł, (mówił podstoli) zdziwieni pohańcy na rękę nie śmieli się z nim spotkać, ale zdaleka razili: i tak imie ulegając, zabit, aleć żyje sławą i ozdobą rodzinnego domu swego. A ja (i podał rękę Strusiowi) łzy rzewne po śmierci waszego brata, dzieliłem nad mogiłą mego brata stojęcy. Ale precz smutek, (zawołał w końcu) niedotrzymałem Wam słowa mościwy bracie, nasz gospodarzu. Starego Sępa czoło zasępione. Poczciwy Grzegorzu, naléj miodu, niech troski w nim utoną.

I wychylił do dna, a napełniony podał stojącemu przy jego posłaniu Dymitrowi.

„Piję Wasze zdrowie, mościwi panowie bracia i sąsiedzi moi, aby Bóg zachował was w zdrowiu czerstwém długie lata, na pociechę waszych domów, sąsiadów i moję!“

Skłonili głowami już weseli goście, gdy wszedł nagle strzelec podstolego, donosząc, że gajowy ostrzegł, iż się wilk wściekły w pobliżu okazał.

„Zamknąć psy wszystkie w bezpiecznem miejscu i niewychodzić za domostwo,“ rzekł pan podstoli; a obracając się do Dymitra:

„Nieuwierzysz Waszmość, co to za okropna pomsta boża, kogo pies zapomniały, koń, lub wilk ukąsi; nie masz dlań ratunku, chyba jedna litość boska. Mieliśmy sąsiada, pana Pawła z Krupnika, przed czterema laty pies go zapo-

(*) Wino węgierskie.

(**) Patrz przypisanie przez Jakóba Sępa rytmów Mikołaja podczaszemu leśniowskiemu.

mniały ukąsił w nogę. Jakoć z początku ani słychu choroby, ale nim się rok czwarty skończył, napadła go wścieklizna. Miał on żonę i czworo dziatwy: właśnie pierwszy raz uczuł napad straszny, gdy pieścił najmniejszą córeczkę. Bóg dobry tyle mu siły dodał, że krzyknąwszy: „Żono, uciekaj z dziećmi!“ rzucił dziecinę na ręce matki, sam upadłszy, owinął głowę kobiercem. Potém przyszedł ku sobie, aleć niedługo żył niebożątko — w pół roku skonał, dzięki niebu! nieskaleczywszy nikogo.“

„Wszakże pan podstoli znał pannę Ewę z Szczekarzowic: byłato gładka i urodziwa dziewka (mówił Struś). Wuj rodzony chciał się z nią ożenić, bo w niéj się na prawdę rozmiłował. Potrzeba było pozwolenia na to Papieża: począł się więc o nię usilnie starać. Po roku dostał *breve*, kazał przeto zaprządz do ozdobnéj kolebki sześć białych koni, i wyruszył do dworu, kędy rodzice panny Ewy przemieszkiwali. Wszakże często człowiek tak, a Bóg inak: w ciągu czasu, kiedy się starał o pozwolenie z Rzymu, począł zajeżdżać w zaloty, pan Mateusz, herbu Cholewa, galant i grzeczny młodzian. Jakoż niedługo przyciągnął serce panny ku sobie, a rodzice widząc, jako się ich córa rozmiłowała, zezwolili na związek, bacząc w tém pomyślność większą, niż żeby za wuja rodzonego poszła, bo takie bliskie krwi związki nie zawsze w małżeństwie mają błogosławieństwo boże. Właśnie ten dzień oznaczono do ślubu, kiedy wuj panny Ewy śpieszył, mając w zanadrzu pozwolenie, i w tę dobę trzask z bicza i przed gankiem stanął, gdy otworzono drzwi komnaty wielkiéj i ukazała się panna młoda ze swoim narzeczonym strojnie. Wuj, który *breve* niósł w ręku radosny, struchlał na ten widok wrzekomo prędzéj, niż się spodziewano potłumił miłość w sercu, a poddając się Opatrzności, wziął za rękę siostrzenicę, i jako drużba powiódł ją do ółtarza. Gdy po uczcie późnéj oddalili się nowożeńcy na spoczynek, smętny wuj panny Ewy nie mógł poskromić jakiegoś przeczucia; ze łzami w oczach pożegnał siostrzenicę, dla któréj tyle łożył starań i trudów, co mu miała resztę podeszłego wieku umilić; żegnał tak, jakby ją już więcéj niemiał uwidzieć. Tymczasem ochoczy goście wysuszali puhary; jeden z nich przechodząc koło sypialni państwa młodych, usłyszał z przerażeniem krzyk okropny, potém jęk i zgrzytanie zębów: blady jak Piotrowin z grobu wrócił, gdzie puhary krążyły, i opowiedział wszystko wiernie. Przerażenie powstało ogólne, gdy pachołek w służbie nowożeńca z trwogą począł mówić, jak pan Mateusz rano przed ślubem nie mógł się umyć i że mu kazał prędko wynieść z komnaty wodę.“

„Drzę cały“, wyrzekł wuj panny Ewy, „jakieś smutne przeczucie dręczy moją duszę, ale przemiły Bóg, przy uczcie Mateusz miał dzikie oczy, nie ludzkie.“

„Co to być może?“ zapytało kilku.

„Chyba że go kiedy zwierzę wściekłe pokąsało, a ta choroba i po kilku latach powraca!“ przemówił stary chorąży.

„Prawda, wielmożny panie!“ z ukłonem odrzekł pachołek, „przed dwoma laty zapomniały go ogar pokąsał, ale zaraz leczono i zdrów był zawsze.“

„Boże mocny, cóż poczniemy?“ zawołał wuj panny z rozpaczą.

„Chcecie rady? jakem chorąży, jest tylko jedna!“

„Jaka?“ zapytało wielu.

„Mościwi panowie bracia, nabić rusznicę, wyostrzyć kordy i zabić wściekłego, a może uratujem dziewkę.“

„Czyż niema innego ratunku?“ wyrzekł wuj Ewy, drżąc cały.

„Jakem chorąży, niema, może i to zapóźno.“

A więc z pośpiechem uzbrojeni weszli do sieni pachołcy; gdy po kilkokrotném uderzeniu we drzwi nikt nie odpowiedział, wysadzili podwoje. Co za okropny widok! Łoże było krwią zalane, kołdra zdarta i rzucona na ziemię, na niéj z przegryzionėm gardłem leżała martwa panna Ewa, a przy łożu stał Mateusz. Oczy stały kołem, twarz we krwi unurzana i włosy, ręce sine ściśnięte, nie oznaczały w nim życia, tylko że pianę nieczystą toczył i zgrzytał zębami głośno. Cofnęli się wszyscy, gdy stary chorąży zawołał: „Bóg nam przebaczy mężobójstwo z potrzeby, na użytek bliźnich. Mościwi panowie bracia (i obrócił się do mających rusznicę) mierzcie w nieszczęśliwego, on ztąd wyjść nie powinien!“

Mateusz, jakby przeczuł blizką godzinę śmierci, zadrżał i westchnął boleśnie, a zwróciwszy dzikie oczy na zwłoki małżonki, załamał ręce. Wtém kilka strzałów zatrzęsło dworem, upadł martwy przy jéj nogach.

„Wielka go szkoda, był to młodzian wielkich nadziei“, wyrzekł z westchnieniem podstoli; żyli w przyjaźni z nieboszczykiem bratem moim. Myśliwy niepospolity, dużéj siły, i w biegu osobliwy. Niemało wziął na oszczep niedźwiedzi, dwa nawet w biegu dziki osadził na nim; a gdy puścił się w zawód, zające doścignął. Gdy na wyścigi puszczano konie, najlepszego przegonił rumaka, ztąd téż nosił przydomek „nogi jelenie.“ Bo widzisz waszeć, że ten biedak Mateusz był z rodu dzielnych mężów, a u nas rodem szły siła i cnota, ba nawet barwa oczu i włosów. Zarębowie rodzili się zawsze czarni jak krucy i o tém w „Zwierzyńcu“ pisał Rej z Nagłowic, którego wizerunek wielce podobny na ścianie baczę. Ale wracając do psów zapomniałych, muszę wam powiedzieć dykteryjkę o jednym kwestarzu. Przybył na dwór pana jednego, właśnie wtedy, kiedy zaczęto na dziedzińcu

wołać przed zamkiem, że biega pies zapomniały. Kwestarz uciekając wraz z drugimi, wpadł na szychtę drzewa, gdzie sobie nogę skaleczył, a że był franta kawał, wchodzi do pana i jak najobojętniéj donosi, że go pies zapomniały ukąsił. Pan przerażony każe mu co rychléj naładować zbożem furę i wyséła z zamku. Ale wieść o tém, że kwestarza pies ugryzł, rozchodzi się po całym dworze; dowiedział się o tém i chłop, co mu miał furmanić. Z przerażeniem siada na furę, popędza co żywo konie, wrzekomo oglądając się po za siebie, aby dojrzeć, kiedy się znaki wścieklizny na kwestarzu ukażą, aby wcześnie zemknąć zdołał. Ten siedział spokojnie, dopóki nie ujrzał się w opłotkach dworu szlachcica, kędy zamierzył zajechać; gdy więc chłopek macha biczem, popędza: wio! hej! a oczy weń wlepił; kwestarz nagle twarzą skrzywił, zawarczał i szczeknął. Dosyć było tego; wystraszony kmieć rzuca bicz i lejce, zeskakuje z wozu i leci jak strzała do dworu, donosząc, że kwestarz, znajomy tam dobrze, wściekł się. Właśnie nie było gospodarza: pani domu, widząc nadjeżdżającego, który się sam teraz powoził, uciekła z dziećmi do bocznéj komnaty, zamknąwszy drzwi mocno. Wchodzi kwestarz, pusto w jadalnéj izbie, ale niepusty był stół nakryty, bo właśnie ta wiadomość zastała wszystkich przy obiedzie. Zmiarkowawszy, ile to strachu narobiło, począł, zjadłszy ulubionego szczupaka dzwon kilka, prosić pani i zaklinać, że nie jest ugryziony i tylko z chłopa żartował. Po długich prośbach wychyla pani głowę, a przekonana zdrową cerą o prawdzie, zasiada z dziećmi do stołu. Ale dziatwy była chmara; jak poczęto dzielić między nie ryby — znikł ulubiony mu sandacz, lin i karp' tłusty. Kwestarz bacząc, że głodny wstanie od stołu, obraca się do pani i rzecze: „Mościwa pani, mnie aktualnie pies pokąsał, czuję teraz coś, coś takiego...“ i zawarczał, zęby ukazał, a pani z dziećmi z krzykiem ucieka. Kiedy więc w najlepsze zajada swoją zdobycz, ukazuje się nagle we drzwiach gospodarz domu, któremu dano znać o tém do kniei, kędy polował. Szlachcic stanął we drzwiach z nabitą rusznicą, i lontem zapalonym, wymierzył do kwestarza i zawołał grzmiącym głosem: „Odpowiadaj, czyś wściekły, bo wypalę!“ Tu dopiero zobaczył, że to nieprzelewki; wyznał szczerą prawdę, dla czego i żonę jego nastraszył, a gospodarz uspokojony, postawiwszy na boku rusznicę i lont zgasiwszy, zasiadł i z dobrym apetytem począł zmiatać talerze. Kwestarz z żalem spojrzał na sendacza, którego szlachcic przysunął ku sobie; więc nagle porywa się od stołu, plecami zakrywa rusznicę, warczy, wywala ślepie, szczęka zębami i szczeka. Szlachcic mało się nie udawił pierwszym kawałkiem sendacza, wyskakuje oknem z izby, niepomnąc o strzelbie. Tego właśnie czekał nasz żartowniś, co rychléj zmiata talerze, a w obawie, aby myśliwych nie przywiódł, dosiada fury i ujeżdża.

Śmiał się szczerze Dymitr, gdy Struś, rozmarzony miodem, drzymać począł; podstoli więc życząc dobréj nocy gospodarzowi, odmówił modlitwę, pocałował szkaplerz i wkrótce usnął. Grzegorz na palcach wysunął się z komnaty, a gdy i Dymitr strudzony zachrapał, pierwsze kury zapiały.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Zgoda o Barbarę i Koronacya.
R. 1550.

(Ciąg dalszy.)

Tymczasem, kiedy to się działo w Piotrkowie i okolicach jego, kiedy król powolnie, ale przezornie uśmierzał nieukołysane jeszcze z przeszłego zjazdu namiętności, kiedy z wytrwałości w postanowieniu i ze sprężystości w działaniu, stawił nieprzebitą tarczę naprzeciw wszystkich pocisków Bony i oddanych jéj burzycieli; szwagier jego w Litwie innemi jeszcze troskami, prócz tych spraw, umysł miał zajęty. Dotknięty żywo nieukojoną dotąd niezgodą dwóch braci swych stryjecznych, Mikołaja i Jana Radziwiłłów, bojąc się o złe ztąd następstwa dla pomyślności całego ich domu, wśród znacznéj liczby nieprzyjaciół, nieustawał w usiłowaniach o pojednanie poróżnionych. Oprócz tego pilne zwróciwszy oko na wszystkie kroki zawistnych jego znaczenia w kraju panów, czuwał bezprzestannie nad ich zmowami, niwecząc najbardziéj zamysły Wirszyła i Chodkiewicza, którzy ostatecznie pod Kownem wspólnie o tém naradzali się. Wszystkie te okoliczności ścisły związek miały z walnym i głównym interesem małżeństwa Barbary; nieprzyjaciele bowiem domu Radziwiłłowskiego, na zepsuciu losu królowéj i odstrychnieniu od małżonka, gruntowali najwięcéj wszystkie swoje nadzieje przyszłego obalenia nieznośnéj dla nich potęgi. Im bardziéj zatém usiłowania swe natężali przeciwnicy, tém więcéj należało się lękać rozdwojenia między Radziwiłłami, tém silniéj bronić się od zamachów przeciwnego im stronnictwa arystokracyi litewskiéj. — Prócz tego, widoki może osobiste utrzymania na przyszłość przewagi swéj w kraju, dotąd jeszcze udzielnie od korony rządzonym, miłość własna, że tak powiem, narodowa, i zawiść sąsiedzka, miotały ciągle umysłem podczaszego Radziwiłła i nieprzeparty w nim wstręt niecił do coraz ściślejszego połączenia się z Polską. Myśli jego w tym względzie od-

krywają się zupełnie, rzucając nie małe światło na dzieje ówczesne, w następującym liście, nieogłoszonym dotąd, który pisał do marszałka lit., a brata swego stryjecznego, zostającego przy królu w Piotrkowie:

„Jaśnie wielmożny Panie, Panie a bracie mój łaskawy!“

„Dopiero teraz niedawno w tych czasach dowiedziałem się tego, iż w. m. raczył przyjechać do Piotrkowa, przeto skorom się tego dowiedział, tedym tego zaniechać niechciał, abych o onych rozmowach w. m. ze mną w Wołkowysku niemiał w. m. dać znać, a zwłaszcza o tém, o co mię w. m. pilno prosić raczył i w gospodzie i potém na polu za miastem, o brata w. m., pana krajczego (Jana Radziwiłła), chcąc to przez mię od niego wiedzieć, jeśliżebyś się w. m. miał o zdrowie swe onego strzedz? Jam się tego ważył od w. m. pytać pana krajczego, gdzie mi na to pan krajczy powiedział temi słowy: „„„Alboć pan marszałek mnie coś takiego musiał zadziałać, przez bych ja się miał starać o jego zdrowie? a chociażby mi i zadziałał, tedy niechaj tak o mnie nierozumie, abych ja miał niewarcząc, kąsać, bowiem co na tém należy każdemu rycerskiemu człowiekowi, gdybych z nim miał, abo chciał co czynić, dałbych mu pierwéj znać, abych się mnie strzegł“““; i powiedział: że się temu dziwię, że w. m. tego przedsięwziąść nieraczył, jego powolnego i pokornego przez mię wskazania, którém się on starał i starać chciał o łaskę w. m. z którego się to znaczyło, iż on pragnął łaski w.m., a nieżądał żadnych rosterków abo odpowiedzi. A tak to jest na wskazanie w. m. przez mię odkaz pana krajczego, iż go w. m. o zdrowie swe nieracz się strzedz, pókiby on w. m. o tém nie dał znać, co nigdy nie będzie, dalibóg! To już od pana krajczego tyleż ja z powinności swéj krewnéj, którą obiema w. m. równém jest związan, a iżbych rad miłość bracką w domu naszym spólnym między w. m. i wszemi nami widział, rozumiejąc, że to prawie grunt szczęścia sławy, obrony od nieprzyjaciół, których teraz dosyć jest zewsząd domu naszego, rozumiem, żeby trzeba w. m. niejedno jednemu od drugiego rozgniewałym tyle się waśnić a różnymi być, ale i owszem i dosyć doległą krzywdę a jednak znośną, w sobie umarzać, dusić, i będąc mędrszym, drugiemu przebaczać i ścierpieć. Bo jeśli co za szczęście jakieżkolwiek tu na świecie przekładamy, możemy to z przeciwka rozumieć to za wielkie nieszczęście domu naszego, takie nieluboście, jakie dziś są między ww. mm. rodzonymi. Wiem ja dobrze, że w. m. temu raczysz lepiéj, niż ja piszę, rozumieć; ale ja, którym jest tegoż płotu pal, tego żałuję natenczas rosterku w. m., którego ja nie mogę inak u siebie rozumieć, póki mię kto mędrszy nie nauczy, jedno z upadem i złą sławą naszą. A przeto my powinni, krewni, przyjaciele w. m., prosim Pana Boga, aby was raczył natchnąć płomieniem Ducha św., a dał w. m. serca w gniewie uśmierzenie, a mnożył w niém bracką miłość. Bo jakom ja znał w. m. być żałościwego i gniewliwego w Wołkowysku na p. krajczego za jego sprawę, która w. m. w cedułach dochodziła, czegom ja mu iście nie powiedział, tylko to pokrótce: iż w. m. ani przyjąć, ani odłożyć na on czas, przez mię ku w. m. wskazania jego nie raczył i przez krótkość czasu i potém przez pana, o którego się te między wami wszczęło; tak téż widzę p. krajczego, z drugą stronę, żałosnego i gniewliwego, z nieprzyjęcia prośby, pokory jego przed w. m. uczynionéj przez mię. Bo p. krajczy tak powiada, iż o zajście brzeskie już się koniec cedułami stał przez pana, a on potém prosił o toż w. m., a coby się potém ponowiło u w. m., on się w niczém nie czuje, powiadając, iż jeśli kto nań co powiadał w. m. szkodliwego o osobie, a sławie w. m., że się powiadacze na tém mylą; tak się on w tém powiada i wie iście. Ja już sobie to piszę, co głupio, ale życzliwie rozumiem. Chociaż i czego innego panu krajczemu ku téj prośbie, abo pokorze było potrzeba, na osobę w. m., ale jakożkolwiek czego ja od niego niewiem, daléj jeśli on przecię będzie chciał to wznowić, a łaskę w. m. słusznie najdować, zaprawdę nie do końca, by się w. m. godziło tego na stronę odkładać, bo pokutą prowadzeni błogosławieństwo odnoszą od Boga, a ten to sam i człowiekowi przykazał, aby odpuszczał. Proszę w. m., niechaj to będzie z łaską w. m. przyjęto odemnie, że to o w. m. idzie mniemanie u ludzi, a to tak, jeśli bratu rodzonemu, z przygody w grzech wpadłemu, niema odpuszczenia, ani mu słuszne kajanie się pomódz może, a któż dalszy, abo zachowały, a w gniew w. m. wpadły, nie uporem, tylko przygodą, mógłby mieć nadzieję o nalezieniu łaski w. m.? Ja już o tém daléj pisać nie chcę, puszczam to rozumowi w. m., a com począł na tym papierze, tém i zawieram. To mię w to wiodło, iżbych rad widział zgodę ww. mm., na którą abych ja rychło patrzył, amen. Pisałem do jego k. m. niedawno przedtém o témże, co tu w. m. oznajmuję. Wirszyło, Chodkiewiczowie obadwa mieli się zjechać, byli w Kownie na jakieś judaskie sprawy i rady, otóż potém się niezjeżdżali, tam chyba Wirszyło się zjeżdżał z trockim panem (Hieronimem Chodkiewiczem) od Kowna trzy mile i byli tam z sobą kilka godzin; co tam radzili, trudno wszystko wiedzieć, ale to wiem, iż on Wirszyła wyprawił do Piotrkowa, który już wyjechał, aby się na króla upominał zelżywości téj, którą cierpi, iż jest od spraw odrażon, w owém państwie, będąc kasztelanem wileńskim. A to nieprawda,

bo gdyś w. m. sam przyjeżdżał, on być niechciał, a potém gdy był w Wilnie w domu swym, biskup i Gronostaj poń do rady słali, on niechciał być, nałajawszy Gronostaja, jechał precz z Wilna. Chodkiewicz Hieronim téż snać chce o toż jechać, aleć jeszcze jest we Żmudzi, jedno to więcéj powiezie z sobą, jeśli pojedzie, kilka ciwunów i kilka szlachty, prosząc i napominając króla, aby nie on, ale starosta z nimi ciwuny obierali we Żmudzi, a królby tym niechaj dawał ciwunowstwo, a włoki téż, aby król nie dał mierzyć włok we Żmudzi, a koszt ktemu muszą z niego mieć, co tam jadą. To mię téż dochodzi, iż ten łotr Wirszyło snać chce tam w Piotrkowie o mnie i mówią i co większego, panu na mnie skarzyć, będąc mnie sam winien. Ja o nic innego nie proszę w. m., a zasługować będę, abyś w. m. przyczyną swą, to mnie wymógł u jego k. m., abych ja tam jechać mógł, a tam na wszystko, dali Bóg, słuszny odpór jemu dam, z radą w. m., przyjaciół swych, a za niewinnością swą. Bo wierz w. m. temu, iżbych radziéj tam przed senatem polskim z nim się o to rozprawiał, niż ówdzie przed kijowskim księdzem biskupem (Janem Andruszewiczem), który gdy nam *votum* przyjdzie w téj sprawie, rozumiem, że się niestęskni onego nikomu słuchać. Miłościwy panie marszałku, słyszę, iż Polacy, doczynają o uniją na pana naszego, a snać tedy, iżby już od tego czasu sejm był złożon w Parczawie, abo w Lublinie, abo w Litwie, a nań aby panowie z pany, a posłowie z posły, społu litewscy z polskimi wotowali i radzili, a kondycyi mało abo nic, jako ja sam siedząc słyszę ktemu nie powiadali. Przeczby tego im i nam była potrzeba? Chcą, aby prawa nasze i wolności nasze, tak skarbu królewskiego, tak i miejskiego były im pokazane, toć się jawnie znaczy, że nie potrzeba obrony od nieprzyjaciela. Unii potrzebują, ani jéj na nas prośbą dochodzić chcą, abo panu każą, ale już nas i wolności nasze wyrokiem swym przecię w sprawę przymuszają. To gwałt, bo iż my na to jeszcze nie przyzwolili, a oni nam każą wolności nasze przedsię kłaść na sejmie, to znak, że nas sobie lekce ważą i ku jakiéj unii abo panowaniu nad nami się ściąga! czego nam, panie Boże, niedaj doczekać! Przeto ja to w. m. oznajmuję, iż sam tak wielcy, jako i mali, oprócz Wirszyła a Chodkiewicza, za którymi w to, mniemam, nikt nie pójdzie, niejedno, aby mieli na to przyzwalać, ale się od tego żegnają i tego się bardzo strzegą. To w. m. racz wiedzieć, iż tego się boją, aby pan nasz tam im niedał się na co przywieść, czegoby sam nasi potém nieuczynili, ażby im gardła brano. A o to teraz mówią i wierzą z nimi, bo to bez przyczyny być nie może, iż się oni dopierają pokładania wolności naszych, od pana nam poprzysiężonych i takież miejskich, muszą co od kogo o nich słyszeć, abo z nich kopije mieć, które jeśli mają, pewno nie od Litwina, ani Rusina; musiałto jakiś ich narodu człowiek gdzie tego zarwać i tam to przynieść. O miejskie, o tém tak sam słyszeć, że wójt wszystkie kopije spisał, więc je mógł tam podać. Chociaż w naszych wolnościach nic niemasz opisanego, czémbyśmy jaką unią byli Polakom powinni, ani w miejskich, ale dziś siła ludzie glozują, owaby mając wiadomość ich, chcieli co w nich glozować, przetoby dobrze i na zamku i w ratuszu i w pańskim skarbie i w majętnościach naszych, mieć rodzice nasze, ani Polaki, boć i to niemały fortel, czyniąc co z kim, wiedzieć intraty jego i majętność jego; bo się to ściąga ku sile bardziéj, niż ku dobrowolnéj unii. Oni tylko panu każą, aby nam kazał być na sejmie, gdzie już oni obrali sobie miejsca i już rozkazują swym obyczajem z posły nam jechać, a nas jeszcze o to niepytali, jeśli my na to przyzwolimy; więcby się trzeba warować, aby nam onego Zawichosta, kijmi namiotanego, nie oddali, gotowymby nam zasię gnojem, nienamiotali Drohiczyna, bo tam już swe prawo mają. Ja i krótce i głupio piszę, ale w. m. racz pana strzedz i napominać tam w Piotrkowie, niechaj nas w niwecz niewwodzi nad wolą i wiadomość naszę wszystkich poddanych swych Litwy, bo się boją Litwa, iż pan snać rad więcéj widzi Polaki, a im dufa, niż Litwie. Wiem ja, żeś w. m. przy tém nie był, ale to ludzie obraża; rozdanie Polakom dzierżenia imion wojewodziny wileńskiéj Gasztołdowéj. Ale pod tym czasem i wojtem Polaka się nadziewają, a snać jeśli dla magdeburskiego prawa, woleliby widzieć jakiego Niemca, niż Polaka. Aczci na urzędnikach imienia Gasztołdowéj w rzeczypospolitéj mało należy, alić to ludzie bardzo boli, iż pan o nich mniema, że są godniejsi oni, niż owi wiary u pana i służby pańskiéj..... których sam znasz, jest nosy bardzo zwiesili, a za Berezynę im nie trudno i nie daleko. Ja to wszystko Panu Bogu poruczam, a sam siebie łasce w. m., życząc w. m. dobrego zdrowia i fortunnego na wszém powodzenia. Posyłam w. m. spady dwie, w jednych poszwach, tak Włosi powiadają: iż to nowy monster, racz w. m. za wdzięczne przyjąć, a one przy sobie nosząc, mnie proszę, nie racz w. m. przepominać. — Wiemci ja, żeby mi przystało większe upominki stanu w. m. posyłać, ale ja posyłam to dobrym braterskim umysłem; wszakże przodkowie nasi rzepą obsypali się, będąc na się askawi."

„Dan w Wilnie 21. Czerwca 1550. r."

„W. m. pana i brata, brat i sługa
Ni. Radzivil, m. propria."

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Doniesienie literackie.

W miesiącu Sierpniu roku zeszłego ogłosiłem prospekt na dzieło fizyczne w sześciu tomach wyjść mające, a tymczasem oznaczyłem przedpłatę na tom pierwszy, który jest częścią obrazu fizyki istniejącéj. Gdy jednak ozwały się głosy z zagranicy osób gorliwych o dobro pospolite, żądające, ażebym od razu kompletnie obraz fizyki istniejącéj wydał; posłuszny temu głosowi, oraz głosowi sumięnia, że trzeba wszystkie siły poświęcać dla dobra społeczności, wykończyłem dzieło całkowite, które acz jest tylko częścią mego planu ogólnego, który dałem poznać, przecież może się nazwać kompletném w swoim rodzaju, kiedy całkowity obraz stanu aktualnego fizyki zawiera. Przychylne chęci szanownych osób, dających mi otuchę wsparcia w moim zamiarze, ozwały się szczególniéj z gubernii wileńskiéj, kijowskiéj, podolskiéj, wołyńskiéj, niemniéj z Galicyi, księstwa poznańskiego i Lipska. Tak więc Bóg wszechmogący, który mi udzielił sił, natchnął oraz innych, ażeby te siły skutecznemi być mogły. W takim rzeczy stanie ogłaszam prospekt na dzieło we dwóch tomach wyjść mające razem; z których pierwszy będzie zawierał mechanikę i cieplik, drugi naukę o świetle, elektryczności, magnetyzmie i elektromagnetyzmie. Mechanikę starałem się treściwie i krótko przedstawić, zastósowując prawdy z niéj do pożytku sztuk i rzemiosł. W nauce o cieplika rozciągałem się nierównie więcéj, przyjmując układ z Pulieta, a trzymając się ścisłości w doświadczeniach Gaylusaka. — O parach i machinach parowych rzecz traktowałem najrozciąglej. Tablice liczbowe, w które nasze fizyki dosyć obfitują, opuszczałem, przywodząc je o tyle, o ile mi potrzebne były do wyciągnięnia jakiego ważnego stósunku; w nauce o świetle trzymałem się systematu Newtona, zostawując szczegóły systemu Dekarta do ściśléj krytyki, co jednak ma być przedmiotem osobnego dzieła. Prawo refrakcyi, przypisywane pozytywe Dekartowi, dowiodłem, wspierając się pismami Delambra, iż ono rzeczywiście należy się naszemu Witelionowi. O Achromatyzmie wspierałem się pracami wielkiego naszego fizyologa, św. pamięci Jana Műlego. O elektryczności rzecz traktowałem obszernie, o magnetyzmie tylko w ustępach przy nauce o elektryczności. W elektryczności uważałem głównie stós Wolty, a w magnetyzmie igłę magnesową; z połączenia tych dwóch narzędzi i ściśléj uwagi ich działań, powstał Elektromagnetyzm, stanowiący dzisiejszą nową fizykę. Naukę o elektryczności podzieliłem na trzy okresy. Pierwszy od początku do wynalezienia machiny elektrycznéj; 2gi do stósu Wolty; 3ci do Ampera, który jest razem okresem naszego czasu. — Rzecz przebiegałem historycznie, przywodząc ciekawe przypadki, prowadzące do odkryć lub wynalazków. Wspomniałem téż o zasłużonych osobach chronologicznie. Zgoła starałem się nie tak dawać relacyą o nauce, jako raczéj wzrost jéj powolny w całym korpusie przedstawić. W traktacie fizyki nowéj o Elektromagnetyzmie najpłodniejszym w zadziwiające fakta, gdzie jeszcze niemasz drogi przetartéj należycie, musiałem ją sobie po większéj części sam torować. Prace wielkiego Ampera, Arrago, Beguerela, Faradaja, Sawarego, Dela-Ryvów, Stużona, Sebeka, zachwycały szczególniéj duszę moją. Dzieło Beguerela: „Biblioth. univers. Annal. de Chim." dostarczyły mi nie przebrodzonych materyałów. Nareszcie rzecz zakończę zastósowaniem elektro-magnetyzmu do nawigacyi, do telegrafów. Ostatnią materyę przebiegnę historycznie, wymieniając usiłowania Salwy z roku 1794. w Hiszpanii; prace już daleko posunięte Sömeringa z r. 1812. w Munich, nareszcie Steincheila, dodając uwagi tyczące się poprawek.

Zamknę zaś wszystko wiadomością o Dageurotypie. Wydanie będzie wystawne i dosyć ozdobne. — Figury będą na kartkach wśród druku. Kosztować będzie złp. 25 w dwóch tomach kompletnych „Fizyka istniejąca", którą starałem się wystawić tak, na jakim stopniu się znajduje u narodów oświeconych. Odwołuję się do serc miłośników téj pięknéj i do najszlachetniejszych uczuć podnoszącéj nauki; mam nadzieję niezachwianą, iż mnie w moich usiłowaniach wesprzeć raczą; — unikając zaś zwyczajnego trybu zbierania przedpłaty na dziełka powszednie, dla zabawy tylko publiczności poświęcone, który dziś bardzo małą ufność wzbudza, i dla tego prawie, jakby dawna pamiątka, tylko się powtarza; pokładam raczéj nadzieję w sercach poczciwych, gorliwie dobro pospolite miłujących osób, iż sposobem pomiędzy sobą przyjacielskim, chęci moje łaskawie wesprzeć raczą. Nieodzywam się tu w imię przyjaźni mojéj, ale w imię miłości nauki i dobra pospolitego.

Za główny punkt korrespondencyi naznaczam Szczebrzeszyn w gubernii lubelskiéj, pod Zamościem.

R. 1840.

Józef Żochowski.

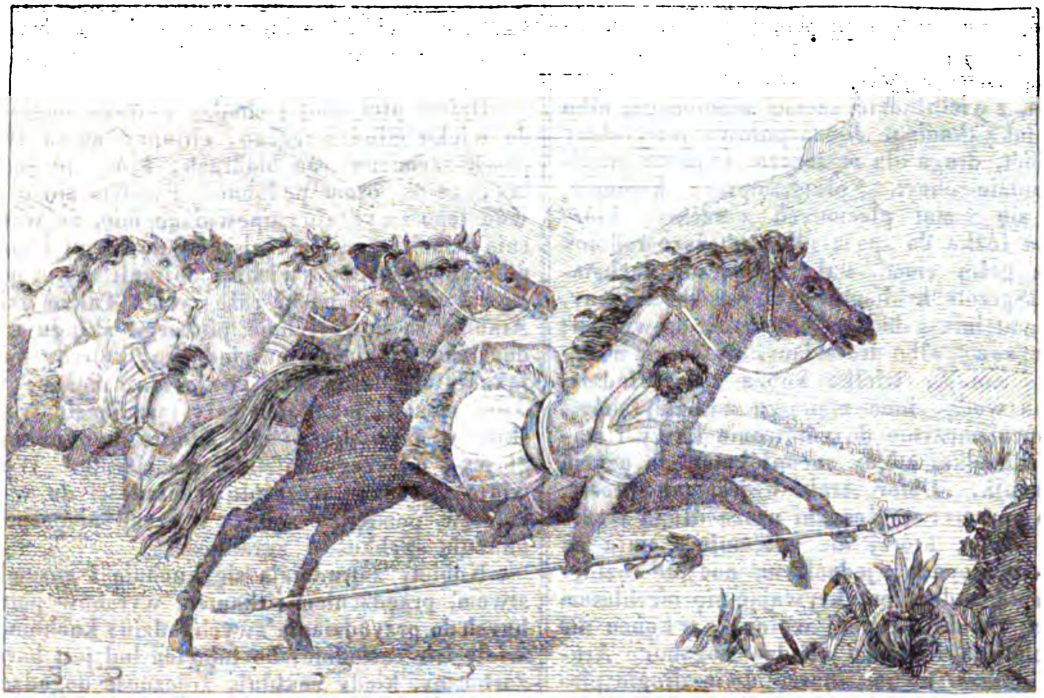
Na dzieło to przyjmuje księgarnia E. Günthera w Lesznie i Gnieźnie prenumeratę.

Nr. 5ty Przewodnika Rólniczo-Przemysłowego zawiera następujące artykuły:

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. *(Red. J. Łukaszewicz.)*

Przyjaciel Ludu.

Rok szósty. **No. 44.** Leszno, *dnia* 2. *Maja* 1840.



Jeźdźcy na wschodzie.

Arabowie i konie arabskie. (*)

Arabowie, jestto naród kowczowniczy, plemionami czyli hordami społeczny, i temi przenoszący się z miejsca na miejsce po pustyniach Arabii skalistéj, pustéj i szczęśliwéj.

Przybycie hordy do jednego punktu pustyni, jest zarówno ciekawym obrazem, jakiby kto mógł sobie wystawić. Spostrzega się naprzód kilku jeźdźców uzbrojonych długiémi pikami, na klaczach obiegających miejsce z lekkością zefiru. Każdy w galopie oznacza zakres obozu, jaki ma być zajęty, i upatruje podług swojéj woli miejsce, gdzie jego jurta ma być postawiona. Skoro ten zakres miejsca zostanie obrany jeździec wbija pikę mocno w ziemię i przywiązuje do téjże swojego rumaka, i dalsi Arabowie z hordy, robią toż samo; niektórzy przyjeżdżają konno, a najwięcéj przybywa ich na wielbłądach; wkrótce dostrzega się groźne wojsko, zdala nadciągające w nieporządku, przyskakujące z największą szybkością, a to są arabskie famile i najpiérwsze osoby plemienia z wielbłądami, na których są jurty i wszystkie bagaże; inne pociągowe bydlęta przynoszą na sobie kobiety, dzieci, sprzęty gospodarskie, a tłum niezliczony pieszych przychodzi za témi.

Wielbłądy przeznaczone do przenoszenia rodzin, w różnym sposobie bywają przystrajane, stósownie do stopnia i dostatków ich właścicieli, do których należą. Wielbłąd szeika, którego widziałem, był bogato przystrojony, miał na grzbiecie rodzaj palankinu, podobnego do bacika leżącego w podłuż bydlęcia, którego przód był otwarty, dla kierowania wielbłądem. Ten rodzaj kufra zawierał w sobie pięć czy sześć kobiét, i tyleż dzieci nagich, jak matka rodziła; każda familia mieściła się koło piki swego naczelnika, i tak w krótkim czasie postrzega się wznoszące się miasto, jakby cudem jakim; dzieci z kufrów wyskakują jak wróble z gniazda, za-

---

(*) Umieszczone tu wiadomości wyciągnięte są z opisów pana Desportes i Damoiso, którzy umyślnie w tym celu z Francyi wyprawieni, odbyli podróż po Syryi, Egipcie i Arabii, ze znajomością tamecznego języka i z dosłownego tłumaczenia z rękopismu w języku arabskim przez pana Desportes przywiezionego, a przez Dragomana J. B. Bodin wytłumaczonego.

czynają po równinie biegać, albo łażą do wody, jeśli się ta blizko znajduje, uszczęśliwieni z tego nowego pobytu. Zadna symetrya ani porządek, nie są zachowane w rozporządzeniu tego obozu; tylko namioty szejka, czyli głowy plemienia, zawsze się mieszczą w samym środku obozu; te namioty nie różnią się od innych ze skór wielbłądzich lub koźlich, pomalowanych ciemną farbą. Są kształtu podłużnego, rozciągnięte dwoma kołami drewnianemi, wysokości trzech łokci, wbitemi zewnętrznie; wnętrza jurty na dwie części są rozdzielone rodzajem kobierca, z wielbłądziéj szerści zrobionego, albo bogatą jaką tkaniną. Jedna połowa jurty służy dla kobiét, druga dla mężczyzn, i tam się przyjmują ludzie obcy. Sprzęt, oprócz kobierca, składa się z mat plecionych z trzciny, które służą za łóżka do spoczynku; uboższe rodziny śpią na gołéj ziemi, nakrywając się łachmanami. Sprzęty kuchenne są: garnek żelazny, wielka patelnia żelazna, albo misa drewniana; kubek cynowy, albo drewniany, z którego wszyscy piją koleją, wielka kobza z wielbłądziéj skóry na wodę, inne mniejsze z koźléj skóry, a w końcu naczynie do gotowania kawy i maleńka filiżanka, nigdy nieopłókana, do użycia całéj familii. Ubiór Arabów jest tak prosty, jak ich sprzęty: mężczyzni noszą długą i szeroką koszulę, któréj nie zdejmują z ciała aż niemal się popada, jednak na noc się rozbierają i śpią nadzy, przykrywając się mechlasem (gatunek tkanki z grubéj wełny), w końcu nie noszą obuwia i bosémi chodzą nogami. Arabowie *Amases* zwani, noszą dwie długie plecionki z włosów, które im z obu stron twarzy zwisają. Zółta chustka jedwabna, zielona albo czerwona, z długiémi frenzlami na około, tegoż samego koloru, osłania im głowę. Związują tę chustkę tak, aby mieć trzy końce wolne, dwa końce na każdym uchu zwisają, a trzeci spada na karku. Oprócz tego dziwacznego stroju, obwijają czoło gatunkiem wałka wełnianego w kształcie zawoju: pas skórzany, przy którym wiśi długi puginał, oto jest całkowity ich ubiór. Nigdy nie oddalają się od jurty swojéj, nie będąc zupełnie uzbrojeni. Pałka z drzewa lub żelaza, szabla mizerna, fuzya i pika, są ich orężem. Niektórzy uzbrajają się siekierą, koszturem, słowem, narzędziem zabójczém, stósownie do możności. Kobiéty są odziane długą tuniką z płótna lnianego, koloru niebieskiego; kwef czarny, ściągniony niżéj nosa, pokrywa ich głowę, długi po kostki; uchylają często téj zasłony, dla pokazania wielkiego kółka wiszącego na prawéj części nosa z małym łańcuszkiem, przy skroniach przyczepionym; pozwalają czasem także widzieć wargi niebiesko ufarbowane, jako też dla popisania się z mnogiémi figurkami, które się znajdują na brodzie, policzkach i karku; kiedy wychodzą z jurt swoich, głowę mechlasem pokrywają. Wzrost ich daleko jest większy, niż kobiét zwyczajnie; ich ruch jest zgrabny i pełny wspaniałości, wielkie czarne oczy są powszechnie bardzo piękne, i jeszcze większém się zdają przez skutek czernidła, jakiém sobie brwi namaszczają. Nos jest składu kształtnego, ale reszta twarzy niegodziwie zeszpecona przez dzikie rysy na niéj pokréślone. Kobiéty arabskie pospolicie mają piękne ramiona, nogi także kształtne, choć trochę za szerokie, z powodu, że żadne obuwie nigdy ich w przyzwoitym obrębie nie zachowało.

Dzieci płci obojéj chodzą zawsze nagie aż do wieku młodzieńczego, chłopcy noszą tylko pasek rzemienny na biodrach, który je ściska tak, że są osom podobne. Pytałem się o powód tego zwyczaju; upewniano mię, że wzmacnia dzieci, czyni je lżejszémi do biegu i mniéj potrzebującémi pożywienia; dojrzali nawet mężczyzni noszą te paski całe życie. Także dzieci Arabów są powszechnie pięknego składu i ładne; nie widziałem ani jednego, któreby miało jakąkolwiek ułomność. Są silne, mężne; widzieć można, jak dzień cały tarzają się w piasku, w największy upał słońca bez nakrycia głowy, od czego najmniéj nie cierpią. Wprawiają się także wcześnie w młodości do walki i bitew pomiędzy sobą, w czem niepospolitą okazują szybkość i zgrabność.

Kobiéty zatrudniają się kuchnią i gospodarstwem, przędzeniem i tkaniem wyrobów potrzebnych do przyodziania swych rodzin; kuchnia nie wiele ich zatrudnia, bo lubo ten lud jest bardzo żarłoczny, kiedy znajdują zręczność dogodzenia w tém swojéj chęci, jednak żywią się pospolicie bardzo skromnie. Zasada ich narodowego pokarmu jest potrawa *pilau*, która się składa z ryżu niedogotowanego, przyprawionego roztopioném masłem. Możniejsi, podług sposobności, przy téj potrawie jedzą kwaśne mléko, daktyle, miód i t. p.

Kobiéty także powinny dopełniać przykrego obowiązku mełcia mąki młynkami ręcznémi, bardzo niezgrabnémi i ciężkiémi, albo tłuczkami ziarna rozbijają w kamiennych stępach. Chleb z téj mąki, piecze się na żelaznéj blasze, i podobny jest do przaśnika. Jeszcze jest obowiązkiem kobiét, przynośić wodę do potrzeb domowych, po którą częstokroć bardzo daleko chodzić muszą; w końcu, pranie bielizny nie bardze je wiele zatrudnić może, bo wątpię, żeby ich bielizna była kiedy prana; gdyż takowa, jako i dalsze odzienia arabskie, zapełnione są brudem i plugawstwem, co jest niezaprzeczonym dowodem najobrzydliwszego niechędóstwa.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Łowiec.

Gawęda z XVI. wieku.

(Dalszy ciąg.)

2.

Słońce wschodzące zajrzało w szyby, kiedy zbudzeni goście z gospodarzem zerwali się na nogi, i poczęli robić przybory do łowów. — Grzegórz zgotował sporą miarę piwnéj ze śmietaną polewki, gdy nagle wiatry napędziły czarne chmury. Lunął deszcz rzęsisty, a huk burzy mięszał się z wyciem wokoło drapieżnego zwierza. Psy więc rozsforowano i zaprowadzono do obórki, rusznice zawieszono na kołku, a ochoczy myśliwi ze smutkiem patrzeli na ciemność coraz większą i burzę coraz silniejszą.

Dymitr zwiesił głowę smętnie, obracając w ręku trąbkę myśliwską.

„Miły bracie!" rzekł podstoli, „trzeba się z wolą boską zgadzać; jużto cały dzionek wypadnie siedzieć w chałupie, pod dachem; zdejmcie więc i trąbkę, już jéj głos nie popłynie dzisiaj z rosą, bo burza do wieczora dotrzyma. A przyznam się waszmości, że człek więcéj życia przepędziwszy pod gołém niebem, czuję jakąś tęsknotę, jakowąś ciężkość na piersi, kiedy pod dachem w domostwie siedzieć by na uwięzi muśi. W źimie, gdy zamieć śnieżna, lub święto, rado zabawi przy ciepłym kominie, luboć i w zimie, kiedy dobra ponowa, hajże w pole, za lisem, zajączkiem, czy wilkiem, a choć mróz ściska, ochota i wesoła drużyna rozwesela serce i rozgrzewa zziębłe ciało."

„Grzegorzu!" zawołał Dymitr, „nanieccie dobry ogień na kominie i pamiętajcie o przekąsce przedobiedniéj. A teraz, mili sąsiedzi, zamknięci czterema ścianami, cóż poczniem?"

„Niech się waszmość nie troska," odpowiedział Struś na to, „pomodlem się Bogu, potém przekąsiem nieco, pogawędziem, jużci obiad, a może i burza ucichnie, to choć na ptaszki wyjdziem."

Gdy przed obrazem Bogarodzicy odmawiali modlitwy, Grzegórz nakrył stół dębowy, i zastawił wędliną, chlebem razowym i miodem. Pierwszy powstał podstoli, i żeby nie próżnować, a ruch ciału nadać, zdjął tarczę, i począł ją czyścić; Struś za jego przykładem zabrał się do pancerza Dymitra.

„Zawsze coś pracować muszę", mówił podstoli, „to dodaje apetytu i umysł weselszy robi. Mój rodzic gdy był dworzanem na dworze króla Zygmunta starego, zawsze czém trudnił godzinę czasu, chociaż nieraz i miał się czemu przysłuchać, boć to był dwór z zacnych, uczonych i dowcipnych mężów złożony. Nie raz mi opowiadał i o licznych figlikach. Na tém dworze Skotnicki Lula i Pukarzewski, zacni dworzanie, słynęli z dowcipu. Pukarzewski zaprośił Skotnickiego na wieczerzę, i tak go spoił, że się na nogach utrzymać nie mógł: sługi i czeladź jego, jedne wyprawił do gospody, drugie pozamykał, samego kazał do przygotowanego więzienia zanieść. Owiany zimnym wiatrem Skotnicki, stracił do reszty zmysły; tak bezprzytomnego okuto w kajdany, a straż przy drzwiach postawiono. Spał upojony kilka godzin, wreszcie zbudziwszy się nadedniem, uczuwszy pęta, zacznie wołać:

„Cóż się dzieje? Ki mię djabeł tak wsadził! Przebóg! gdzież jestem? A jest tu kto! odezwij się proszę!

Straż wyuczona, na kilkokrotne wołanie odezwała się wreszcie.

„A ty ktoś miły bracie?" zawoła uradowany Skotnicki, że się przecież dowołał człowieka.

„Straż nad tobą, abyś się niewyłamał!"

Zdziwiony Skotnicki pyta znowu: „A przez Pana Boga proszę, któż mię to i za co w te żelaza wsadził?"

„Dowiesz się," odrzekł surowy strażnik, „jak cię w dzień na plac wywiodą."

„Ależ mój najmilejszy bracie, przez miłosierdzie boskie powiedz mi proszę, com zawinił? bo ja na Bóg ci to żywy przysięgam, niewiem, ani pomnę, żebym co najmniéj przeciwko komu wystąpił."

„A czy niepomnisz!" zawołał strażnik, „żeś poczciwą dzieweczkę naszedł, a jéj ojca, w obronie córki stawającego, zabił!"

Dopiero Skotnicki w pomięszaniu i rozpaczy począł żałobliwie narzekać:

„O! pocóżem się na ten świat narodził! o! bezecne pijaństwo, do czegoś mię przyprowadziło; oto marnie a sromotnie gardło dać muszę. Czemużeś mi miły Boże w tylu bitwach zginąć raczéj nie dał, niż żebym na katowskie ręce przychodził! O! Pukarzewski, przyjacielu! twoje to wino sprawiło; żeby cię byli pierwéj w sztuki posiekali, niżem ja do ciebie poszedł."

Było tych żalów więcéj pół godziny, nakoniec jął pytać straży:

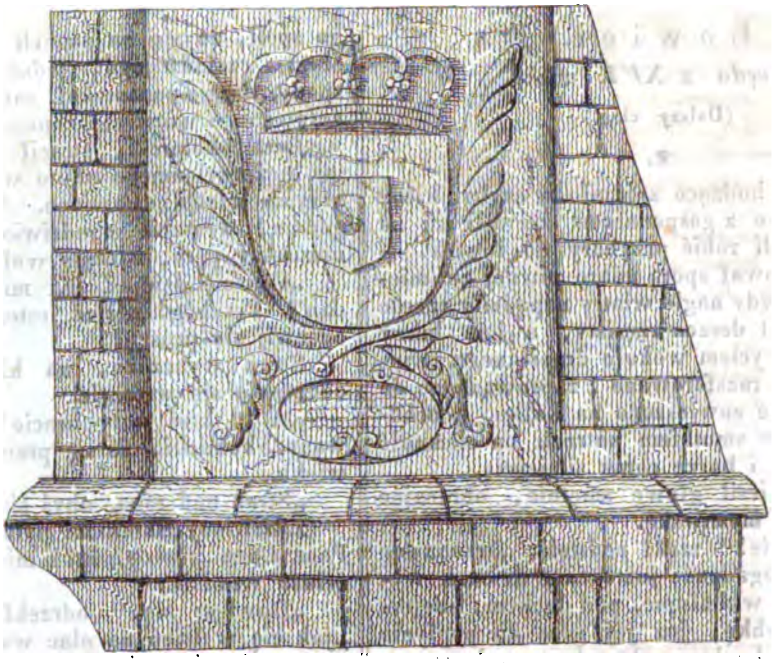
„A moi mili braciszkowie, wiele was tu mnie strzeże?"

„Sześciu nas tutaj."

„Gdyby który z was chciał uczynić to miłosierdzie nademną, a pójść po którego z moich ludzi."

„Siedzą oni jak i ty w więzieniu wszyscy."

„A nieszczęsnyż ja człowiek!" wykrzyknął z boleścią Skotnicki, „czegożem doczekał!" — Po długiém przeklinaniu siebie, uprosił jednego ze straży, ażeby poprosił pana Maciejowskiego, dworzanina, który już był świadomy wszystkiego. Przychodzi proszony wraz z kilku towarzyszami: postawa i Maciejowskiego i reszty obecnych, tak była smutna, że przeraziła Skotnickiego; dopiero gdy usłyszał ich żale i politowania, mało ze strachu nieumarł. — Po wy-



IOANNES III D.G. REX
POLONIÆ MAG. DVX LI.
TVAN. RVS. FIERI FECIT.

Pamiątki Jana III. we Lwowie.

trzymaniu tak bolesném, żądali, ażeby ślubował, że w obec króla stronę urażoną przeprosi i nagrodzi, co wszystko jak najsolenniéj poprzysiągł. Już téż i dłużéj śmiechu powstrzymać nie mogli; poznał Skotnicki żart przykry, ale przytém umyślił odwdzięczyć się Pukarzewskiemu za wstyd, jaki poniósł, gdy go sam król zapytał, za co go w pęta okuli?

„I jakże się pomścił,“ zapytał Dymitr.

„Zaraz też waszeci odpowiem,“ odrzekł podstoli. „W rok blisko zobaczył Skotnicki podpiłego Pukarzewskiego, zaprasza więc do siebie, i tak dopaja, że przytomność utracił; pacholę jego odséła, a przyzwawszy barwierza, któremu ufał, rozkazuje pijanemu pół gęby zaszyć i plastrem oblepić. Posłuszny barwierz dopełnił rozkazu; przenoszą Pukarzewskiego na osobne łoże. Skotnicki siada w głowach, i gdy służba pierwszego przybiega, dowiedziawszy się, że pan chory; Skotnicki rzewliwie płacząc, opowiada, że się pokłócił, i cięty szablą, odniósł mocną ranę. Słudzy już się mścić chcieli, lecz gdy się przeświadczyli, że wymieniony winowajca już odjechał, poszli do gospody, zostawując przy chorym panu pacholę. Budzi się w nocy Pukarzewski, a widząc zawiązaną głowę, rzecze półgębkiem sam do siebie: „Ki djabeł? cóż mi się stało? Pacholę, jesteś tu! rozświeć no prędko.“

Porwie się służką i pytą, czy panu źle leżeć?

„Ba! dobrzeć mi leżeć, ale mi to ki djabeł w gębę?“

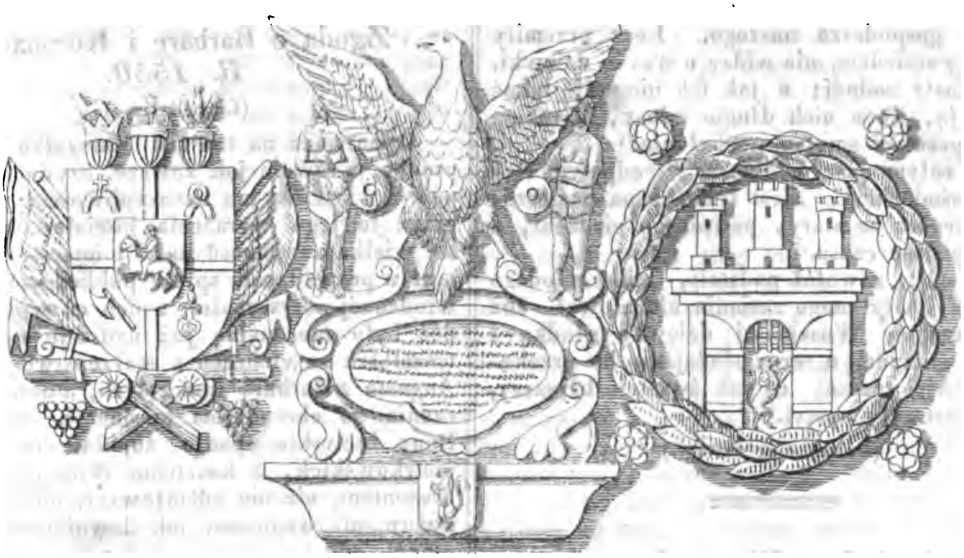
Chłopiec opowiedział, jak się rąbał, i ciętym został.

„Ja tego ani kęs jeden nie pomnę, ani czuję, aby mię bolało.“

Tu pacholę zaczęło zaklinać: „Przez miłość Pana Boga, nie racz Wasza miłość wiele mówić, bo nam barwierz rozkazał, abyśmy to upominali.“

Nad rankiem przyszedł barwierz, opatrzył na nowo ranę; a gdy się dziwi Pukarzewski, że go nic nie boli; „takto zmartwiało ciało do razu (rzekł z powagą barwierz); powoli coraz więcéj będzie Waszą miłość dolegać.“ Uwierzył temu i nagrodził go parą czerwonych złotych: odchodzi barwierz i poleca najmocniéj, by się nie silił rozmową i nie jątrzył rany.

Przyszła obiadu godzina; nadchodzi Skotnicki i z przyjaciółmi, co już wiedzieli o wszystkiém. Pytają go o zdrowie. Pukarzewski przemawia półgębkiem, prosząc, aby mu za złe nie mieli, że mówić nie śmie, bo mu zakazano. — Zadają mu różne pytania, chory na jedno kiwa głową, na drugie milczy. Gdy go już wytrzymali do syta, zaczęli się śmiać. Pukarzewski



IOANNIS III POLONIARUM REGIS
SCVTUM COELO LAPSVM
LAPSA DEDIT LATH. MVRIS ANCILIA MOENIA
MOENIBVS HIS MELIVS PERGAMVM HIC VMBO DABIT.

Pamiątki Jana III. we Lwowie.

domyśliwszy się żartu, rzucił zawinięcie i z plastrem o ziemię. (*)

„O tak! panowie bracia!“ wyrzekł Struś, zawieszając oczyszczony i błyszczący pancerz na ścianie, „bawiono się wonczas wesoło: opowiem i ja Waszmościom facecye z tychże czasów:

„Gdy Zygmunt bawił w Wilnie, Kasper Zebrzydowski i Krysztof Krupski, znamienici dworzanie, ułożyli żart dla dworu. Byłto rok, w którym owies musiano przepłacać, a z powodu nieurodzaju i trudno dostać. Ubierają dwóch pachołków, nieznajomych nikomu, a wyuczywszy ich potrzebnie, posełali imieniem Wierszyłła, kasztelana wileńskiego, od jednego do drugiego dworzanina z cedułami, mocą których mieli podarowane po 20, 30 i 40 beczek owsa, a każdy miał poń posełać do dworu kasztelana, Raj zwanego, tuż pod Wilnem. Każdy z dworzan był uradowany z podarunku owsa, ile w rok tak skąpy, a zszedłszy się na zamek, pytał jeden drugiego, na wiele beczek cedułę otrzymał. Już nie jednemu było niemiło, że nie tyle, co inny dworzanin ma dostać. Że nie wszyscy mieli swoich woźników, zaczęli pożyczać i co prędzéj najmować konie, by pierwéj darowany wziąść owies. Ale i w Raju stał namówiony pachołek, który przybywających do Suderwi, o dobrą milę od Raju odsełał, pod pozorem, że fury dociągnąć nie mogły. Pierwszy, co zajechał do Suderwi, napróżno się dopytywał owsa, napróżno pokazywał darowaną cedułę: dorozumiawszy się żartu, nakrył wóz dobrze i nazad wraca. Zaledwie kilka staj odjechał, spotyka wielu dworzan, co spiesząc, pytają ciekawie: „A owies jest?“ — Jest! (odpowiada pierwszy); tylko prosto na zamek, tam go wam odmierzą! — Przybywają do zamku, poznają błazeństwo; wracają nazad, ale każdemu o owsie dobrą otuchę czynią; tak więc wszyscy się przejechali i powrócili do Wilna z próżnemi wory. Zygmunt się o wszystkiém dowiedział, i miał niemałą biesiadę, dworując z tych, którzy się o ten żart gniewali!“

Gospodarz zaprosił do przekąski przedobiedniéj, a gdy stół obsiedli, burza powoli zmniejszać się zaczęła; już nabierali otuchy, że wyjdą do kniei, gdy niedługo mocniejszy wicher zawył z ulewą straszliwą.

„Co za deszcz! ile wody Bóg wylewa na ziemię!“ rzekł podstoli; „pamiętam w mojéj młodości, jak dwa tygodnie lał taki i cały zalał Kraków; ludzie dla nabożeństwa przystąpić do kościołów wielu nie mogli i tylko stary Wawel z zamkiem i katedrą, jak wyspa wychylał swoje wieże, mury i baszty. Głód był straszliwy, bo wszystko wygniło w polu.“

„Jestto ciężka plaga; właśnie przed przyjazdem Waszéj miłości, opowiadał mój Grzegórz o okropnym głodzie na Litwie i Żmudzi.“

„Ale ja go tu nie baczę, miły panie bracie (wyrzekł Struś z uśmiechem, patrząc na misę zastawionéj grochówki), „bo i komin i stół nieprózny: poczciwy Grzegórz uprzedza chęci go-

(*) Dworzanin Łukasza Górnickiego. 1565.

ścinnego gospodarza naszego. Lecz przemiły Bóg, miły sąsiedzie, nie widzę u was ni dziewki, ni niewiasty żadnéj; a jak ich nie ma, luboć powiadają, że u nich długie włosy, a rozum krótki, przecież smutno w chałupie.“

„Na całym naszym dworze,“ odpowie Dymitr z uśmiechem, „jest tylko żona pasterza; mój Grzegórz za stary, pewno się nieożeni, a dla mnie dość czasu.“

„O! o!“ zawołał podstoli, „nikt młodego ożenienia i wczesnego zasiania nieżałował. Już my obmyślimy Waszmości dziewkę gładką i dobrego gniazda, a teraz siadajmy, bo przekąska i Waści tarcza, co tak świetnie błyszczy, teraz zaostrzyły apetyt.“

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Pamiątki Jana III. we Lwowie.

W numerze 37. Przyjaciela ludu przypomina pan J. G. w pięknym artykule o sprawie wojennéj w dawnéj Polsce, że Jan III. przyjął przez Pacta conventa zobowiązanie odbudować warownie Lwowa. Kto dziś ogląda to miasto, ledwie uwierzy, aby kiedykolwiek było warownem. Znikły już bramy, wały i baszty. Ostatnie ich szczątki rozebrano niedawno przy założeniu fundamentów nowego teatru. Dawniéj nieco zasypano dokoła głębokie rowy; a za kilka lat mała rzeczka Pełtew, co od południowéj strony zalewała rowy forteczne, zupełnie ukryje się pod ciosowém sklepieniem. Są oprócz tego ślady, że i Pacta conventa, o których była mowa, niepozostały bez skutku.

Pominąwszy resztki starego parapetu od bosaskiéj bramy, idąc w górę ku dzisiejszemu klasztorowi Franciszkanów, znajdziesz u narożnika wschodniéj części muru, opasującego klasztór Karmelitów, ciosową tablicę, a na niéj tarcz Jana III. pod królewską koroną. U spodu napis:

Joannes III., D. G. Rex Poloniae, Mag. Dux Lithuan. Rus. fieri fecit.

Druga podobna znajduje się na staréj zbrojowni, wysuniętéj rogiem na nową ulicę. Podobnie kute w kamieniu z prawéj strony herby miasta Lwowa, po lewéj pogoń i herby szlacheckie, w środku orzeł z podpisem:

Joannis III., Poloniarum Regis, Scutum coelo lapsum.
Lapsa dedit Latii muris ancilia Moenia,
Moenibus his melius Pergamum hic umbo dabit.

Załączone na str. 348 i 349 ryciny, przedstawiają wiernie obadwa te historyczne pomniki.

A. K.

Zgoda o Barbarę i Koronacya. *R. 1550.*

(Ciąg dalszy.)

Odpowiedź na ten list Marszałka lit. była prędka, a równie jak zawsze, ożywiona dowcipem i właściwą mu uszczypliwością. Wszakże przez te jego wyrażenia jowialne, przebijała się wielka znajomość ludzi i interesów, pewien takt w prowadzeniu spraw publicznych, pomimo wrodzonéj porywczości; z nich co większa! widać było nie mylną już nadzieję uspokojenia wszelkich zawichrzeń o małżeństwo Zygmunta Augusta z Barbarą wszczętych, a nawet uwieńczenia go obrządkiem koronacyi. Stronnictwo Bony litewskie upadło zupełnie na obradach piotrkowskich, a kasztelan Wirszył, jego reprezentant, nic nie zdziaławszy, odepchnięty od dworu, nie wspierany jak dawniéj od braci koronnéj, oddalał się z upokorzeniem napowrót do Litwy. Obok tego panowie Rada w rozmowie w tym celu mianéj, zaniechali ostatecznie burzyć daléj spokojność stadła królewskiego. Tym sposobem wszystko zwiastować zdawało się pomyślną przyszłość dla Barbary i całego domu Radziwiłłów. Ale raczéj starajmy się w samychże wyrazach listu tego, zupełnie jeszcze nieznanego, szukać potwierdzenia wszystkiego, cośmy tu powiedzieli.

„Oświecone książe, miłościwy panie i bracie. Aczbych ja był raczéj widział wedle żądości méj, abyś się był w. m. raczył imieniem swojém dowiedzieć na mym bracie, nieposłując odemnie, a potém mię przestrzedz z jego złego serca ku mnie, bo zda mi się, acz podług przyrodzenia krewnością jednę powinność z obiema nam raczysz w. m. mieć, ale ja tak wierzę, że w. m. znając, iżem się ja do tego przykładał, abyś w. m. powinniejszym mnie, niżli jemu był, i prze osobę mą i prze pana, któremum ja stateczniéj służył i lepiéj, niżli on. A iż w téj mierze idzie niemało o pana, między mną a onym, tedy i po drugie tego dokładam, że w rzeczy tak zadanéj, miałem, czemu jeszcze niewątpię, większą w. m. pomoc przy sobie znać, niżli on, chociaż jest w tymże stopniu krewności z w. m., jako i ja. Wszakoż biorąc się do rzeczy: ponieważ tak się w. m. zdało mówić z nim, a pytać go odemnie, puszczam to imo się, bo już inak być niemoże. Na co ja ku w. m. samemu nie w obyczaj responsu odpisuję, bez argumentów i bez wymyślonych sentencyi. Co się tycze tego, iż powiedział, że niewarcząc nieukąsi, ja zasię tak wiem: iż warczy aż nazbyt, ale dali Bóg nieukąsi, a nieda mu się Pan Bóg mną naigrać niwczem; jako człowiekowi szczeremu i cnotliwemu przeciw każdemu i przeciw samemu jemu. Iż też i to rzekł, jakoby to miało być, iż go o to pytam, iżem mu niepraw, takiem mu krzyw, jako i pan, któremu co on działał, acz ze czcią swą

tego działać niemógł, także i mnie działa, po karczmach i zamtuzach, i po Morsztynowych dworach, a ja milczę, bom się nauczył i znosić i cierpieć. A zaprawdę też bych nierad wszedł w rozmowę z takim człowiekiem; jemu by też przystało, by miał rozum, nieweksować mię, ponieważ ze mną ma dokonany akt, przez one ceduły, czego żal się Panie Boże, iż niebyły chowane jako pozwy nadworne, dla ustawicznéj rzeczy pamięci. Jakomikolwiek w. m. w téj rzeczy napisał, wdzięcznie od w. m. przyjmuję, znając i skłonność i obyczaje w. m., a iż mię w. m. raczysz z winności swéj napominać ku szczeréj przyjaźni z nim, ganiąc to, co się dziś między nami święci, na to odpisować tą chwilą ja ku w. m. niemam, boby też musiała być interpretacya odemnie; ale ja to znam, iż ani w. m., ani żaden cnotliwy może niedubitować na méj przyjaźni przeto, że z nim chcę pokój mieć, bo się tego powszedni rozum domaga, że ja co czynię, słusznie czynię, a żaden na gorsze tego we mnie wykładać niemoże. A tak proszę to nieodpisanie w téj rzeczy wybaczyć, i z listem w. m. tak być musi prze skąpość czasu. O Wirszyła, jako mi w. m. piszesz, nie zda mi się repetować, bo sam nic tu niesprawował, jedno tak w. m. wiedzieć racz o jego sam przyjeździe: że przyjechał do Piotrkowa *confuse,* odjechał jeszcze *confusius.* Życzę mu tego, iż Wirszył, ale z drugiéj strony, iż jest radą pierwszą onego państwa, zaprawdę lituję go, iż się tak zelżywie ówdzie pokazał. Był sam tak tam, że żaden kasztelan polski nietańszy; żal mi też téj jego wzgardy, która go ówdzie w obec od wszech potkała, iż wżdy jest *de armis ternariae tubae.* Wszakoż aczem go z tych dwu przyczyn niemógł nieżałować w owéj jego powadze, i w takiéj odprawie i witaniu, jakie sam wziął, jednak acz mię chciał mieć z sobą na rozmowie, ubroniłem się z tego; choć ja *privatim* z nim niemam czego czynić, ale iż wiem w. m. zajście z nim, musiało tak być, bo mi tak przystało, i krewności méj z w. m. postrzegać przed owymi ludźmi, którym to jest nie tajnie, iż w. m. zajście z nim raczysz mieć. A tak jednom go mało zajrzał na potkaniu, z konia w ulicy, ale więcéj niewiem o nim, jedno od ludzi, co się z nim działo. I gdy ku mnię przysłał swe sługi, wyśliznąłem mu się ze wszego, co najkrótszą odpowiedzią, abych w rozmowę nieprzychodził, bom mu prze w. m. winien jako mówią wilczy ząb pokazać. Około czego Marek, który na to patrzył, jakom się ówdzie przeciw niemu zachował, w. m. powie i inni nasi, którzy tam do Litwy z dworu jechali. Jeśliże sam pan Trocki przyjedzie, a toż go potka, małoby nielepiéy, aby już zowąd niewracając się do domu, jachał gdzie *in fines orbis terrarum;* bo krótkiemi słowy w. m. wiedz, że sam Wirszyło użył wielkiéj lekkości, a tak jedno się w. m. za tą desperacyą jego strzeż od niego *aliquid occulti,* ale nic jawnego w. m. od niego niepotka po owéj chłoście, którą wziął na sejmie piotrkowskim. Powtóre piszę, bo *in desperatis casibus extrema tentantur,* racz w. m. swe zdrowie opatrznie chować, pomniąc, iż rad za młodu czyże łowił. W. m. dla Wirszyła, nietrzeba ówdzie z Litwy przyjeżdżać, ale ku ezemu innema dali Bóg w. m. przyjedziesz ze czcią i pociechą swą, a Wirszył już podobno dziś ciągnie znów koła przez Wisłę w Warszawie. Już się to nad dwiema znacznie pokazało, którzy źle panu życzyli, że na chromym do domu; jeśli jeszcze kto trzeci tego chce skosztować, tedyć żałować go niebędą, bo *aliena pericula debent cautum facere.* Jako mi w. m. raczył szeroce a pożytecznie około unii pisać, o téj acz jest artykuł podany jego k. m., ale zda mi się, że o tém traktowanie trudne na tym sejmie ma być. Czas się ukrócił, a jeszcze się mało poczęło. Wieleby dobrego, aby oprócz naszych, ich same koronne sprawy doszły, które są tak zatrudnione, że i panowie i posłowie niewiedzą od czego począć, tak wiele nabrali w głowę. Św. Małgorzata się przybliża coraz bardziéj, acz za łaską Bożą większe poły u méj delii, niżli mi ją nieprzyjaciele skroili, wszakożbych rad zowąd swój choć jeden wóz wyruszył, bo sam baczę nie po marszałkowsku stoję, cudzymi sługami zmagam, bo swych niemasz, a ktemu tak sam strawno, że wśród Niemiec niemoże być drożéj, co bardzo uprzykrzyło się mojemu mieszkowi, bo mię sam nawiedzają często wszyscy stanowie, przed którymi trudno mi się kurczyć, strzegąc i powagi książęcéj i sławy przodków naszych, u których też czasem trąbiono k stołu. Umnie choć trąbią w liśi ogon, jednak mam komitywę zawsze k stołu, a zwłaszcza posłów ziemskich, którzy tak rok łajali, dziś już milczą. Muszą między sobą niemieć wodza, ktoby ich na mnie naprawował po pierwszemu. To w. m. piszę niezalada nowinę, że się sam po kęsu odkrywa to, kto był autor i pryncypał owych paskwilusów. Owa, Pan Bóg do końca objawi tych, kto poczciwość ludzką mazał. Bo acz Pan Bóg nic złego niecierpi, ale daleko mniéj tych, kto kogo o lekkości a o złe mniemanie przyprawuje, dla czego i samego i znak kaźni swéj ostawia na domu jego, aby to sam na sobie nosił, w co chciał bliźniego wieść abo wepchnąć, *et retribuit unicuique secundum opera eius.* Raczył mi w. m. szpadę posłać ze stron północnych, skąd pierwéj łuki a kołczany bywały. W. m. za tę nową broń dziękuję, ale iżem ja już niewaleczny człowiek, o pokój Pana Boga proszę, a też mię tego ludzie uczą, że niechcą abych hetmanił, podobno znają po moim mieszku, że temu urzędowi niesprostam, trzeba na to wiele sług i niemałego obozu, nieprzystoi na krzywym przyjechawszy

hufów szykować. Owa u kogo rubli, u tego i rozum, a ubogi kiep, jako dawno; jednak ja w. m. i po drugie za tę szpadę nowéj formy dziękuję. Około postanowienia małżeństwa jego k. m. ja tak widzę z domysłów, że ta rzecz weźmie słuszny koniec. Między radami już się dokonała o tém rozmowa. Przyzwolą, by kto rozumu za piórkiem nie posłał na rynek. Wszystko mi się widzi głupiemu, że ówdzie z wielkich głów wielkie błędy powstają. Wszakoż jeśli się co ponowi około unii, w. m. będzie to nietajno od jego k. m., a ja téż co będę mógł w. m. rad oznajmię. Raczysz mi w. m. pisać około Polaków, którzy gęsto i wszędy i w majętności lazą do nas, ja sto rozumu niemam, a pogotowiu powagi, jakoby to hamować, jedno Pana Boga proszę, aby to ich wnieśienie do naszéj ojczyzny, raczył w dobro obrócić, by nam nieprzyszło w ziemi swéj im służyć, bo zaprawdę wielkie są do tego początki. Tego Marka, jakeś mi go raczył w. m. załecić, oddałem go jego k. m., a iż pod tym czasem wakowało ciwuństwo żmudzkie w. m. i mojém imieniem prosiłem jego k. m. o to za nim; raczył jego k. m. to jemu dać. A tak niech to w. m. zasługuje. Ja ówdzie jeszcze mieszkam; co będzie daléj, wszyscy milczą; od posłów w poniedziałek przyszły, co będzie, usłyszymy, a potém kto się przylepi, w. m. oznajmię, jako się wszystko dokona. A zatém życząc w. m. dobrego zdrowia i wszéj fortuny od Pana Boga, zaleciwszy się staréj powinnéj braterskiéj miłości, proszę nie racz mię w. m. w niéj przepominać. Dan w Piotrkowie, w wigiliją św. Małgorżaty (12. Lipca) roku 1550.“

„W. m. powolny brat i sługa
Ni. Radzivil.“

„Illustrissimo principi Domino Domino
Nicolao Radzivil in Dubinki et Birże
Pocillatori Magni Ducatus Lithuaniae etc. in proprias manus.“

Długo się ciągnęły obrady w Piotrkowie: bo zaczęte pierwszych dni Maja, jeszcze w połowie Lipca trwały bez przerwy, zatrzymując króla z całym dworem w tém miejscu, pamiętném dla niego tylu wielkiéj wagi wypadkami. Barbara cały ten czas przemieszkała w zamku krakowskim (*), niepocieszona nigdy w oddaleniu od drogiego małżonka, codzień ze łzą w oku zwracała myśl zasępioną ku stronie, gdzie jéj ukochany August dokonywał nakoniec zwycięztwa nad wrogami tkliwego ich związku. Głębokie westchnienia zdradzały smutek, który osiadł w jéj duszy, zdradzały może nawet bolesne przeczucie, że niedługo już wolno jéj będzie używać szczęścia ziemskiego, obok tego, co ją ukochał nad życie. Jednakże w pośród najdotkliwszych chwil tęsknoty, walczyła w jéj sercu powinność królewéj z uczuciami rozdzielonéj z przedmiotem kochania małżonki. Tamta nakazywała jéj poświęcać wszelkie troski domowe, robić ofiarę z najmilszych żądz i nadziei, dla dobra kraju, którego małżonek jéj był władzcą; drugie zajmowały duszę Barbary, jedną tylko myślą, jedną potrzebą tylko, jak najrychlejszego oglądania Augusta. I wtenczas były chwile, że nie bacząc na surowe obowiązki wysokiéj godności swéj; zapominała o wszystkiém, biło w niéj tylko serce kochającéj kobiety; płakała nad samotnością swoją, i przywalona całym ciężarem tęsknoty, wzywała usilnie powrotu Augusta. Jeden z takich listów Barbary, gdzie się maluje ta walka najprzeciwniejszych w jéj sercu uczuć, został zachowany dla potomności, ażeby świadczył, z jak szlachetną duszą łączyły się owe rzadkie wdzięki w osobie pięknéj królowéj! Czytajmy go, składając winny hołd wielbienia dla jéj drogiéj pamięci. (*)

„Najjaśniejszy m. k., panie a panie mój m., daj Panie Boże w. k. m. długo fortunne zdrowie; o to ja Pana Boga ustawicznie proszę, i tego w. k. m., jako sługa wieczna wiernie życzę, którego w dobrém zdrowiu abych rychło oglądała, daj to Panie Boże. Raczyłeś w. k. m., mój m. pan, do mnie pisać, iż się w. k. m. nadziewać raczysz prędkiego dokonania tego tam sejmu, a znać, żeby się już miał dokonać m. k. Aczbym ja życzyła, i Bóg zna, że życzę, aby sprawy państw w. k. m. były przez opatrzenie w. k. m. w dobréj wierze, a nie porywką postanowione: ale natenczas Boże mi odpuść wierabych rada, aby się miało na nim dziać ku długiemu mieszkaniu tam w. k.; daj Panie Boże, aby się to na drugi czas odłożyło. Jakoż w. k. m., swego m. pana i dobrodzieja, pokornie proszę, aby mię w. k. m. służebnicę swą pocieszyć raczył przez pisanie swe, dając mnie znać pewny czas przyjachania swego, czego mnie Boże daj rychło doczekać, bo ja niemam na świecie większéj pociechy, jedno gdy patrzę na dobre zdrowie w. k. m., swego m. dobrodzieja. Za m. nawiedzenie zdrowia mego przez pisanie w. k. m., pokornie dziękuję w. k. m., swemu m. panu. Jam natenczas z łaski Bożéj zdrowa, ale mi Bóg zna zdrowie, nieprawie miło będąc mnie tak długo bez w. k. m., mego m. pana. Zatém służby swe wieczne zalecam m. łasce w. k. m., swemu m. panu. Szlę w. k. m., swemu m. panu, mały upominećzek na znak najmniejszych a wiecznych służb moich, a pokornie proszę, aby w. k. m., moj m. pan, z miłościwéj łaski swéj w niebytności méj wypuszczać nie raczył.“

„W. K. M.

„Najmniejsza sługa a wieczna
b. R.“

(Dalszy ciąg nastąpi.)

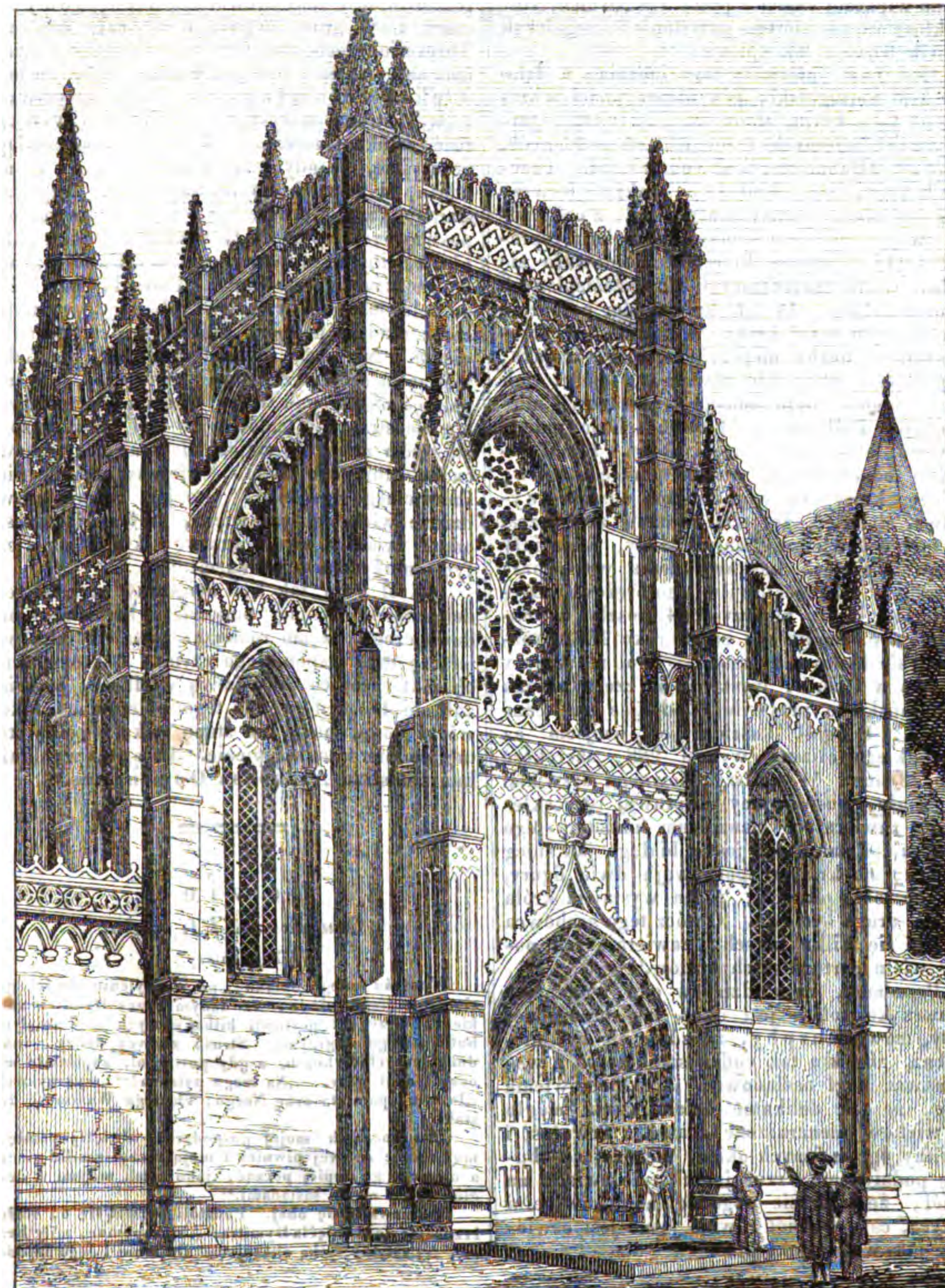
(*) *Górnicki*: Dzieje w koronie pols., ed. warsz. 1750., str. 35. pisze pod r. 1550: „Tegoż téż czasu królowa Barbara przez sejm w Radomiu mieszkawszy, mając ochmistrza Stanisława Maciejowskiego, kasztelana sandomirskiego, a brata rodzonego księdza Maciejowskiego, który potém marszałkiem nadwornym koronnym umarł, ku królowi z Radomia wyjachała.“ Górnicki mięsza tu pobyt Barbary w r. 1549. w Radomiu podczas pierwszego sejmu piotrkowskiego, z powtórném oddaleniem się króla do Piotrkowa, przez które królowa cały czas w Krakowie przebywała, jak niezawodnie wszystkie listy, w tych pamiętnikach przytoczone, zdają się zaświadczać.

(*) Dzien. war. 1826. T. IV. str. 325., gdzie i stara pisownia wiernie jest zachowaną.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Red. J. Łukaszewicz.)

Przyjaciel Ludu.

Rok szósty. **No. 45.** **Leszno, dnia 9. Maja 1840.**



Klasztór w Batalha (w Portugalii).

Klasztór w Batalha (w Portugalii).

Klasztór tu wyobrażony znajduje się w małéj wiosce Batalha, leżącéj w prowincyi Estremadura, dwanaście mil na północ od Lizbony. Otoczony zewsząd górami. Mieszkańcy téj wioski ubodzy, ale pracowici wieśniacy, utrzymują się po większéj części z pracy rąk swoich, służąc klasztorowi, którego powstanie Portugalczyk Ludwik Sousa tak opisuje:

„Don Jan, pierwszy tego imienia, a dziesiąty król portugalski, gdy nieprzyjaciel wkroczył do jego kraju, stanął obozem z małą garstką swych wiernych i odważnych poddanych, na polach Aljubarrota, w obwodzie Leiria. Przeciwnik jego, inny król Jan, także pierwszy tegoż imienia z dynastyi kastylskiéj, z całą potęgą swego królestwa stanąwszy do boju, sprawiał szyki, między któremi znajdowało się bardzo wiele uwiedzionych lub zaślepionych Portugalczyków. W tak krytyczném położeniu nie czas było cofać kroku. Pomimo więc przewyższającéj liczby nieprzyjacielskiego wojska, zalegającego wszystkie równiny i góry, jak okiem sięgnąć było można, postanowił nieszczęśliwy król stoczyć bitwę, chcąc poledz z chwałą, albo ocalić kraj i honor. Przed zaczęciem jednak bitwy, wzniósł gorącą modlitwę do Tego, który sam wojownikom udziela zwycięztwa, ślubując, że jeżeli zostanie zwycięzcą, na cześć Najświętszéj Maryi Panny, wspaniały wystawi klasztór. Łaskawe nieba wysłuchały téj prośby i pobłogosławiły jego orężowi. Nieprzeliczone tłumy nieprzyjaciół poszły w rozsypkę, a następującego zaraz roku 1388. rozpoczęła się budowa klasztoru. Król rezydujący wtenczas w Oporto, wystawił na rzecz zakonu dominikańskiego przywiléj, oddając mu tenże klasztór. Długość kościoła od wnijścia aż do wielkiego ołtarza wynosi 288, szerokość około 70 stóp. Wszedłszy głównemi drzwiami do kościoła, spostrzegamy po prawéj ręce sklepienie, zawierające mauzoleum fundatora tego klasztoru. Pomnik ten jest z białego jak śnieg marmuru, na którym spoczywają dwie figury, podające sobie prawice; jedna wystawia króla w zbroi, druga królowę. Oprócz tego grobowca znajduje się kilka innych, zawierających popioły wielu portugalskich królów."

„Przedmiot, najbardziéj w oko wpadający zewnątrz kościoła, jest okno tak przecudnéj roboty, mówi Murphy, że zdaje się być niepodobna, aby kto tak cudną sztukateryą z wosku nawet mógł naśladować. I to podziwienia godne, że tak delikatne dzieło sztuki mogło tyle wieków nienaruszone ocaleć. Trwałość i kształtny ogrom innych okien, niemniejsze obudzają podziwienie, rzucających tyle światła na kościół, że w czasie pogodnéj nocy, w pełni księżyca, cały kościół równie jasno jest oświecony, jak wolny jaki plac."

„Ale najkunsztowniejszém dziełem architektonicznéj sztuki jest sklepienie klasztorne znacznéj szerokości, opierające się jedynie na zewnętrznych murach, bez zwyczajnych filarów. Dziwne podanie łączy się z tém arcydziełem architektoniczném. Dwa razy tę budowę sklepioną wznoszono, a za każdą razą, gdy usunięto rusztowanie i łuki drewniane, rozstępowały się mury i w gruzy zapadała się cała budowa. Nareszcie trzecią razą wzniosły się mury z owalném sklepieniem, pod przewodem budowniczego Alphonsa Domingues, który uczyniwszy z swéj strony wszystko, czego tylko wytrwałość, sztuka i zręczność wymagały, poprzysiągł uroczyście, że gdyby się i teraz budowa ta nie udała, w gruzach się jéj zagrzebie. Napróżno starano go się odwieść od tego dobrowolnego poświęcenia. Stanąwszy w samym środku sklepienia, silnym głosem zaczął wydawać rozkazy do znoszenia rusztowania. Patrzał, jak belkę po belce usuwali trwożliwi robotnicy, wyjmując coraz rzadsze podpory śmiercią grożącego sklepienia. Nareszcie ruszono ostatniéj! nie jeden z bijącém sercem zakrywał sobie oczy, aby nie patrzeć na okropny widok spustoszenia i śmierci, ale nieustraszony budowniczy stał niewzruszony na swém miejscu, mając wlepione oczy w swe cudne olbrzymie dzieło, wieczny pomnik nieśmiertelnego geniuszu! Oto jest znamię prawdziwie wielkiego człowieka, niewahającego się oddać życie za swoją sprawę, któréj się z całym entuzyazmem poświęcił."

„Król Jan tak był ucieszony szczęśliwém dokonaniem pysznéj budowli i heroizmem budowniczego, iż mu rozkazał zostawić jaką pamiątkę tego wspaniałego czynu. Z skromnością, charakteryzującą prawdziwą wielkość, wywiązał się Domingues z tego polecenia. Jakoż widać dotąd małą, na stopę tylko wysoką statuę, podpierającą sklepienie. Posąg ten wyobraża kunsztmistrza Alphonsa Domingues."

Łowiec.

Gawęda z XVI. wieku.

(Ciąg dalszy.)

Wpośród sutego obiadu, po wychyleniu dwóch gąsiorów starego miodu, za danym przez Dymitra znakiem, Grzegórz postawił kilka sporych zapleśniałych butli starego węgrzyna. Struś, znawca dobry wina, dobył corychléj korek, a gdy powąchał, zajaśniały mu oczy i odął wąsy. „Na mego patrona!" wykrzyknął; „to wino pamięta arkę Noego; zkąd go Waszmość dostał?"

„Na początek mojéj gospodarki, świętéj pamięci mój rodzic ze swéj piwnicy i moją raczył zasilić nieco, a niemogę go lepiéj począć, jako z tak miłymi i drogimi sercu memu sąsiadami."

Rozrzewnili się obaj. Podstoli porwał się od stołu, i rzucając się w objęcia Dymitra: „Niezapomnę, miły bracie, téj estymy, jaką okazujecie dla mnie i Jego miłości

pana Strusia; ale odsłużyć będziema się starać; Bóg swoją drogą nagrodzi ci to uczczenie starszego wieku i początkowéj siwizny.“

Struś trzymając w ręku puhar srebrny, pełny węgrzyna, na wpół z płaczem zawołał: „Życzę naszemu gospodarzowi, aby dożył tyle lat, co ten madziar w puharze, i tak czerstwo, jako się on dochował do téj chwili!“

Gdy spełniał drogi napój, weszło sześciu strzelców, i na trąbkach myśliwych zabrzmiała pieśń znana w on czas powszechnie: *Wesołe chwile ku nam się nawróćcie!* (*) Ochota była serdeczna, zapomniano o burzy i łowach, a ściany jodłowe domostwa skromnego pierwszy raz odbijały pieśni wesołe i wykrzyki radosne, przy brzęku puharów. Struś dał znak swemu strzelcowi, który wnet przyniósł mu kobzę; ucichły trąbki myśliwskie, stary rycerz silném tchnieniem nadąwszy prędko, zagrał pieśń łowiecką, a podstoli z Dymitrem zaśpiewali z chórem strzelców:

„Wstawajcie bracia, bo już słońce wstaje,
Nam pogodę piękną daje;
Konie dawno posiodłane,
Łowczy otrąbił na szczwaczów wsiadane.
To byt na świecie byt nieporównany
Być jednym z cechu Dyanny,
I jeżeli nie myśliwy,
To nie jest żywot na świecie szczęśliwy.“ (**)

Zaledwie chór ostatnie wiersze powtórzył, gdy Struś nagle zmienia nótę, zabrzmiał pieśnią wesołą o chmielu, odetchnął, a porywając puhar, rzekł:

„Muszę odwilżyć piersi i usta, bo kobza zaschła.“

„Miły Boże!“ wyrzekł podstoli z bolesném westchnieniem; „psuje się świat; czy uwierzycie, mili panowie bracia, że wielu ze szlachty nie umie zagrać na kobzie, już się jéj poczynają wstydzić, i może nasze potomki nie będą wiedzieć, że gędźba ta rozweselała ich pradziadów. Nie wiem ci, dla czego i pan Rej z Nagłowic nie lubił kozy, i w swoich pismach przymawiał, przecież lepiéj było, gdy dudy tylko znaliśmy, niż te dziś modne mutety, sztorty, regały i cytary. Nie jeden z prawowiernéj dawnéj szlachty, jak zabrzmi ta djabelska nowa muzyka, nie wie, jak nogami począć, co pan Rej dobrze wydał w figliku jednym, bo powiada: „Szlachcic na swém weselu chciał skakać; sześciu trębaczy grać zaczęło; pan młody ani rusz w tańcu, jeno się obziera w koło, a po łbie drapie; gdy go zapytano, czemu nie tańczy? „Djablić wiedzą, jak zacząć, kiedy ich gra sześciu, po którym skakać.“ Dopieroć zawołał dudarza, a gdy usłyszał swojską kozę, tańczył należycie.“

„Ja się nie wstydam zadąć na kobzie,“ rzekł Struś dumnie; „mój hetman waleczny, książę Samuel Korecki, kiedy się dostał w niewolę turecką i pędzono go do Stambułu, przygrywał na niéj, aby smutnych towarzyszów pocieszał w drodze.“

Już się ściemniało; burza nie ucichła; daleki grzmot zwiastował ją jeszcze, gdy nagle zatrzęsło się domostwo od huku bliskiego piorunu.

Wszyscy upadli na kolana, i zawołali głośno: „A słowo stało się ciałem i mieszkało między nami! Amen.“

Niedługo wśród ciemnego zmroku, widnie ukazała się mocna łuna bliskiego pożaru. „Gore! gore!“ krzyknął Grzegórz, i wybiegł do lasu, a za nim wszyscy z izby na ganek. Słup ognisty błysnął między drzewami, i rósł coraz wyżéj jak olbrzym: dom borowego uderzony gromem, jaśniał objęty płomieniem w około. Dymitr przerażony, rączo jak jeleń poskoczył do pożaru: jakiż go widok uderzył! Stary borowy, siwizną okryty, z załamanemi rękoma, z wlepionemi oczyma w palący się domek, stał martwy jak słup graniczny, przypruszony śniegiem; żona przy nim klęczała, wołając przeraźliwie: „dziecię moję! dziecie moję!“ dwóch małych chłopców i dziewczynka, drżeli przestrachem, a domownicy przerażeni stali niemo, niechcąc gasić ognia, bo się niegodziło, że piorun go wzniecił. Dymitr ledwo mógł się dowiedzieć, że dziecię w kołysce odbieżono w pożarze, natychmiast rzuca się wśród płomieni, a niedługo trzymając niemowlę na ręku, z opaloną głową i żarzącém odzieniem wyskoczył z pożaru i na łonie matki złożył dziecinę, sam zaś skoczył w pobliską sadzawkę, aby tlejące ugasić odzienie. Patrzeli na to podstoli i Struś, dziwem i uwielbieniem przejęci, a borowy upadł przed nim na kolana.

„Panie!“ wyjęknął ze łzami, „Bóg ci to wynagrodzi szczodrze!“

Dymitr zaprosił borowego z rodziną i czeladzią do swego mieszkania, przyrzekając swoją pomoc do odbudowania domostwa przed zimą. Podstoli przy wieczerzy mało mówił, Struś tylko resztę z obiadu wina wychyliwszy, rychło do spoczynku poszli. Gdy trzecie kury zapiały, myśliwi cicho wstali, aby nie zbudzić małą dziatwę borowego, i wraz z nim ruszyli do kniei.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

(*) Nóta téj pieśni była bardzo powszechną w 16m wieku u nas, równie jak melodya do pieśni o księciu Koreckim. Kilkanaście pieśni znam z tamtego wieku pod tę nótę napisanych.

(**) W. Kochowski: „Niepróżnujące próżnowanie.“

Arabowie i konie arabskie.

(Dalszy ciąg.)

Arabowie wiele mają przesądów i w tym względzie odznaczają się bardzo od Osmanlisów, wielu z nich jednak zachowują Ramasan. Pospolicie do modlitwy wspólnie siadają w jeden rząd, naczelnik rodziny na przodzie, który głośno wymawia modlitwę. Bogactwo Arabów odznacza się w wielbłądach i koniach, krów nie mają; małe mają stadka owiec i kóz, które im dostarczają nabiału i masła potrzebnego do ich żywności; używają też mléka wielbłądziego; ilość wielbłądów jest u nich niezmierna, każdy utrzymuje dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści sztuk mniéj, więcéj. Szeik Donechi ma ich więcéj trzechset; wyprzedają ich co rok niezmierną liczbę Turkomanom, a gdym był w ich obozie, mówi pan Desportes, do 2,000 tych zwierząt było przedanych w cenie od 200 do 500 piastrów za sztukę.

Powrót trzody wieczorem do obozu jest dla Europejczyka przedziwném widowiskiem: 5 do 6 tysięcy wielbłądów, z ich drobnémi dziećmi igrających na pylnéj równinie; a te zwierzęta u nas tak poważne i smutne, wybrykując wesołuchno tak jak sarneczki, szczególniejszy sprawują widok. Z trudnością może sobie wystawić ten obraz, kto go w naturze sam nie oglądał. A w końcu trzeba jakiś czas pomieszkać wpośród arabskiego obozu, żeby być w stanie z pewnością pisać coś o tym koczowniczym narodzie: najwięcéj z podróżujących opisuje, widząc ich

tylko zdaleka, wielu dali opisania weale niestósowne; i próżno szukać w tych autorach wiernego wyobrażenia zwyczajów i obyczajów tego ludu, bo żaden nie zdobył się na odwagę pożyć między Arabami, którzy są prawdziwie mili, grzeczni i gościnni dla cudzoziemców, ale tylko zdaleka.

Plemiona rozmaite, albo pokolenia hord arabskich.

1. Pokolenie Onald-Ali. — Douhhy-ebn-Smer, albo El-Tayar, książę tego, pokolenia ma reputacyą dobrego człowieka; lecz bardzo jest skąpy. To pokolenie jest sławne z pięknego rodu koni, latem obozuje, o jeden dzień tylko drogi do Damaszku w dystrykcie Sana Maina, a w zimie w dystrykcie Zergxhonel-Balga, o 14 mil drogi od tegoż samego miasta; ci Arabowie mają szczególniejszy obowiązek eskortowania pielgrzymów, którzy się udają z Damaszku do Mekki.

2. Pokolenie El-renda. — El-daya-ai-ebn-Chewan, naczelnik téj hordy; ich konie tego samego rodu, co i poprzedzającego; latem obozuje w Syryi i Palestynie od Dantal aż do Horan, zimą na pustyni w dyrekcyi Bagdadu, Bassory i Mezopotamii.

3. Pokolenie El-Mentifeeth. — Faares-el-Jarba jest naczelnikiem; książę szlachetny, wspaniały i gościnny, ten sam ród koni: to pokolenie nigdy nie wchodzi do Syryi, zawsze przemieszkiwa między Tygrem i Eufratem, czasem przybliża się tylko do Bagdadu w odległości 15 dni podróży, ale rzadko kiedy posuwa się daléj ku Mezopotamii.

4. Pokolenie El-Sonalmi. — Av-nard-ebn-yendal. Ten książę jest trochę skąpy: ten sam ród koni. Arabowie tego pokolenia są uważani za najlepszych jeźdźców tego stepu: jest w pokrewieństwie ten książę z pokoleniem Ronela, często z nim razem podróżuje i obozuje w Syryi, tak jak często i w stepie.

5. Pokolenie Rani Sahbar. — Mattak, książę dobry i wspaniały: ten sam ród koni: to pokolenie w Palestynie między Jaffą, Ramzą, Gazą i Jerozolimą, aż ku morzu czarnemu i Arabii szczęśliwéj, obozuje.

6. Pokolenie Serdee. Te dwa pokolenia są spokrewnione z następném, razem podróżują i obozują przy granicach paszalików: Damaszku i Akry.

7. Pokolenie El-monaige. — Barchas-ebn-Hedib jestto młody i przystojny książę, pełen grzeczności i wspaniałości: ten sam ród koni; to pokolenie latem obozuje w bliskości poprzedniego, zimą zaś wynosi się w tę część stepu, jaki się rozciąga od Palmiry ku Bagdadowi; jeśli zaś paszy nie ma w Syryi, zostaje się w letniém stanowisku przez cały rok.

8. Pokolenie El-Hharasa. — Aonard naczelnik. To pokolenie posiada najpiękniejszy ród koni z całéj Arabii. Obozuje pospolicie na stepach Arabii pustéj, w dystrykcie Nedgied czasem, ale rzadko przybliża się do Bagdadu; hołdowniczy Wehabitom, czynnie przykłada się do ich wojen. Bardzo jest trudno, jeśli nie powiem, niepodobna dla Europejczyka, dostać się do jego obozu; tylko niedostatek karmu zmusza to pokolenie przybliżać się do Bagdadu, co, jak powiedziałem, rzadko się tylko zdarza.

9. Pokolenie Foedam. To pokolenie ma za naczelnika księcia Douhy. Książę chciwy, chytry, bez żadnego uczucia szlachetnego i delikatności: to pokolenie posiada najlepszy i najszlachetniejszy ród koni pod względem dzielności nad wszystkimi rodami syryjskiemi; latem to pokolenie przemieszkiwa w okolicach Alepu, na zimę wynosi się (nie mogłem wyczytać wyrazu pokolenia). Sahbah i Adaal są mu sprzymierzone i obozują w sąsiedztwie. Są zawsze wszyscy trzej razem zajęci wojną z innémi pokoleniami. Te są plemiona albo pokolenia arabskie najszlachetniejsze i najznaczniejsze, w których znaleść można konie najszlachetniejszego rodu. — Jest ich jeszcze z 50 pokoleń innych, ale te wszystkie tak obozują w środkach stepów i pustyń, że jest rzadkiém zdarzeniem, żeby można było do nich dojechać.

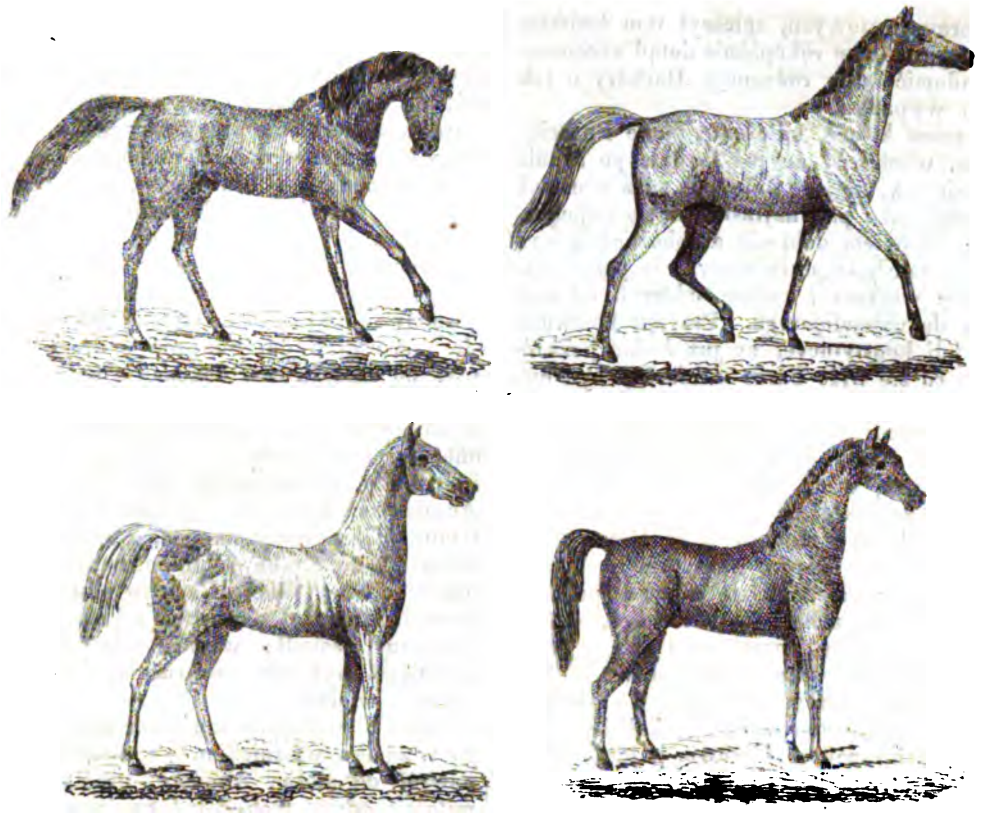
Rozmaite pokolenia mieszkają w pustyniach syryjskich, począwszy od Bagdadu do morza czarnego; te są bardzo liczne, po większéj części ulegają Anazom, zwłaszcza następnym El-Foedseb, Saan i Ebn-Haddal; te trzy są połączone związkiem z pokoleniem Chamar, a dalsze są El-gelas, El-Sagch, El-Abbo, El-Foedaya, El-gedera, Zoubei, Zegritt, Assolam, El-gixcham, Reix, Rusih, Sedam, El-Agratt, Bantemim i t. d. Liczą więcéj nad sto pokoleń w obwodzie syryjskim.

Konie arabskie.

Naród ten nieosiadły i ciągle koczujący, posiada, bez wątpienia, ród koni najdzielniejszych z pomiędzy tych, jakie są dotąd znane. Wiele baśni opowiadają o sposobach hodowania i utrzymywania tych koni, spisywania wywodów ich rodowitości od czasów niepamiętnych, oraz innych urojeń tego rodzaju. Ja sądzę (mówi Pan Desportes) koniecznością wyjaśnić te błędy, okazując czystą prawdę.

Konie arabskie są w powszechności pierwiastkowego pochodzenia z Nedget(*), dla tego znane są te konie pod imieniem nedyjskich, nazywają ich jeszcze Kadichi, rodzaj powszechny. Drugi gatunek Kochlani czyli Kienlani, są to konie daleko szlachetniejsze i rozdzielają się na pięć familii, czyli końskich pokoleń, które jeszcze chodzą pod nazwiskiem szeryf. Sądzą, że one pochodzą od pięciu klaczy ulubionych proroka Mahometa i że były przez tegoż pobłogosławione. Te pięć klaczy nazywałysię u Arabów: Tanaje,

(*) Nedget jestto wielka pustynia, począwszy od Omon do Mekki.



Konie arabskie.

Gilfe, Manegine, Cedie, Isklawe. Wiele jeszcze jest innych familij, których tu nie wzmiankuję, jako przedmiotu mniejszéj wagi.

W końcu, wyznać powinienem, że nie ma istotnych znaków, dla rozróżnienia z pewnością, azali koń jest Nedgedi albo Kienlan; rozpytywałem się u moich poczciwych i dobrych Arabów, którzy mię wszyscy upewnili, że sami nie śmieliby rodu rozróżnić i poświadczyć dobrze, nie znając, albo nie upewniwszy się o pochodzeniu matki. Zachowują czystość rodu swoich koni tylko przez klacze, których strzegą ile możności, ażeby ich nie upodlić. Nawet podług Alkoranu wystawiono jest za grzéch główny poświęcić klacz szlachetną źrzebcowi niższego pochodzenia; jest to prawidło religii, które Arabowie zachowują najściśléj. Kiedy przypadkiem jakim stanie się inaczéj, właściciel klaczy za nic uważa to źrzebię zbenkarcone, gdyby nawet to źrzebię zostało rumakiem najpiękniejszym i najlepszym w świecie, bywa zawsze tanio puszczone. Kiedy klacz Kienlan odchowa się z ogierem Nedgedy, źrzebię będzie poczytane za Kienlana. Jeśli taż klacz zejdzie się z ogierem Gnezidek, jéj płód będzie tylko Gnezidek. Ale jeśli źrzebię jest urodzone z klaczy Nedgedi i z ogiera Kienlan, zawsze będzie Nedgedi. Ztąd pochodzi, że w tym rodzie, choć czasem przerwanym, wiele zdarza się koni tak pięknych, jak rodu celnego, i dla tego Arabowie nieznając pochodzenia matki, nie mogą z pewnością poświadczyć: czy koń jest Nedgedi albo Kienlan.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Zgoda o Barbarę i Koronacya.
R. 1550.

(Ciąg dalszy.)

Nie długo ziściły się życzenia stęsknionéj Barbary. Mądrze nadany przez króla kierunek licznym i różnym sprawom, roztrząsanym w Piotrkowie, zbliżył wreście do końca sejm już od kilku miesięcy zaczęty. Umilkły namiętności, wszystkie zabiegi upartéj w zamysłach swych Bony rozbiły się o zdrowy rozsądek i przekonanie sprostowane szlachty obradującéj. Wracała więc do Warszawy taż sama Bona, trawiąc gniew swój w ukorzeniu, a może pokryjomu gotując, z liczną radą ślepo oddanych sobie Włochów, zemstę straszniejszą od wszystkiego, co dotąd zdziałała. Odstępstwo Kmity, wsparte przeiściem na stronę królewską Górki, kasztelana poznańskiego, osłabiając zupełnie stronnictwo dotąd bardzo silne, zniweczyło do ostatka jéj zamiary. Sejm wielką część rzeczy publicznych załatwiwszy, w drugiéj połowie Lipca zamknięty został: a marszałek Radziwiłł, uradowany pomyślnym

obrotem spraw krajowych, spieszył tym krótkim listem, w oryginalnym rękopiśmie dotąd zachowanym, uwiadomić brata rodzonego Barbary o tak pożądanym wypadku.

„Oświecone książe, miłościwy panie i bracie! Racz w. m. wiedzieć, że już ówdzie po sejmie a dokonał się tak, że jego k. m. pan nasz w ustach wszech ludzi, jako pan najłaskawszy a najmędrszy słynie, abowiem dobrocią a pobożnością swą dewinkował tak wszystkie stany, że przodkiem ukorzyli się wszyscy i czołem uderzyli od największego do najmniejszego. Przyjęli konfirmacyą, przyjęli konstytucye, że już żadne bezkrólowie, na co się było barzo zaniosło, być niemoże. Listy na exekucyą niektóre ziemie wzięły, drudzy niezgodzili się, o obronę także niezgodzili się, ale stan rady duchownéj i świeckiéj, postąpili czopowe, wżdy jednak na ten rok obrona będzie. Owa za takim początkiem co barzo było zaskrzypiało, koniec chwała panu Bogu dobry się stał, a co większego wszystkie wakancye koronne rozdano; pojednali się wszyscy panowie między sobą, i rozjachali się w miłości, w któréj, jeśli je pan Bóg, przez syna swego długo zachowa, wtedy wszystko, w tém sławném królestwie szczęśliwą drogą pójdzie. To się jego k. m. zda, i ja téż tak w swéj miałkiéj a natenczas barzo niespokojnéj głowie najduję około owego w. m. zjachania z panem Trockim (Chodkiewiczem Hieronimem), abyś w. m. czekał na miejscu w Wilnie, jeśli ma tego potrzebę, aby się z w. m. zjachał, tedy ten jedzie, komu jest tego potrzeba, wszakoż to na woli w. m. Zatém sprzyjając w. m. z powinności braterskiéj zdrowia, zalecam się łasce w. m. i proszę to krótkie pisanie wdzięczno przyjąć, boć tak czasu stawało.“ Dan z Piotrkowa 28. Lipca 1550.

„W. ks. m. powolny brat i sługa *Ni. Radzivił.*“

„*Illustrissimo principi Nicolao Radzivil, duci in Dubinki et Birże etc. in proprias manus.*“

Miał też ważne powody marszałek Radziwiłł do cieszenia się z tak pomyślnego obrotu rzeczy. Razem z uspokojeniem tych nieszczęsnych zatargów o małżeństwo Augusta z Barbarą, spadał i z niego ciężar nienawiści, który go obarczał u większéj części szlachty koronnéj, jako domniemanego sprawcy tych związków królewskich. Ale też wejście na powrót w powagę i znaczenie u téj drażliwéj arystokracyi, było równie skore jak świetne i pochlebne dla jego dumy. Już na początku sejmu posłowie w znacznéj liczbie zaczęli się doń garnąć, a ci, co przeszłego roku najdotkliwiéj powstawali przeciw niemu w izbie obrad publicznych, teraz hurmem cisnęli się do skromnych komnat jego w Piotrkowie, i codzień obsiadali gościnne jego stoły: także nawet kieszeń Radziwiłła, narażona na tysiąc różnych wydatków, z ciężkością już znosiła koszt na częste ich odwiedziny. Ale pod koniec sejmu, kiedy się już rzeczy w większéj części zgodą ułatwiły, przyszło do tego, że i pierwsi senatorowie, co usiłowali za pośrednictwem marszałka litt. do łaski królewskiéj powrócić, zaczęli się starać o zaskarbienie przyjaźni jego. Prócz Kmity, który się z nim serdecznie pojednał, Górka, kasztelan poznański, i Tenczyński, wojewoda sandomirski, pierwsi przyszli szukać ścisłych z nim związków, a za powrotem do stolicy, z biesiady w dzień ś. Piotra, na imieniny wojewody krakowskiego wyprawionéj, uroczyście go wszyscy do gospody odprowadzili. Kiedy zaś król ruszył się pierwszych dni Sierpnia w drogę do Krakowa, po szczęśliwém dokonaniu sejmu piotrkowskiego, wszyscy niemal panowie przeciwnéj partyi udali się za nim. Dumny nawet Górka pokornie ofiarując swe służby, o milę za dworem jechał, i strzemię wsiadającemu na koń Zygmuntowi Augustowi dawnym obyczajem trzymał. Lecz Kmita nieprzestając na tém, z świetnym pocztem króla aż do Krakowa przeprowadził. Tam zaś poraz pierwszy samą Barbarę powitawszy, gdy do stołu Augusta, publicznie z królową jedzącego, wezwany zasiadł: wzniósł zdrowie téj, któréj niedawno był tak zaciętym nieprzyjacielem, a potém z wielką uczciwością zapraszał oboje królestwo o zrobienie mu zaszczytu odwiedzenia go w zamku wiśnickim. — Takito świetny był powrót do stolicy Augusta, otoczonego zgodą i miłością zawziętych dotąd na jego szczęście domowe przeciwników. Dobitniéj o tém jeszcze objaśni czytelników własny jego list, pisany do szwagra po powrocie z Piotrkowa. (*)

„Zygmunt August i t. d. Wielmożny, nam zwłaszcza miły, niewątpiémy, iż już wam dobrze wiadomo jest, jakiemi obyczajmi ten sejm nasz koronny jest, się wykonał. Abowiem za łaską Bożą, ci, którzy przeszłego sejmu pod jakąż barwą duchów swoich, nam i potrzebom naszym niemałe zatrudnienie czynili, tedy się w tym jaśnie obaczyli, że to, co przedsiębrali, dobrowolnie z nami przytém stać niechcieli. Bo jako przeszłego na sądy zezwalać, ani przy nich być niechcieli: teraz sami najprzód ktemu zwolelі, aby sądy szły, i sami na tych sądziech z nami pospołu siedzieli. Była téż zmianka, przez posły ziemskie nczyniona, dosyć krótkiemi i uczciwemi słowy, około małżeństwa naszego, jako żeśmy wam około tego pierwszym listem pisali; gdzie i na to panowie wszyscy nic wotować nie chcieli, za naszym rzeczy ku nim w téj mierze uczynieniem, tak, iż wszyscy to nasze małżeństwo *visi sunt approbasse.* Posłowie téż za tym umilknęli, ani tego więcéj wspomnieli.“

„Panowie ci wszyscy, którzy sejmu przeszłego nam *contrarii* byli, jako: Arcybiskup, wojewoda krakowski, wojewoda sandomirski, p. poznański i inni ci, *omnibus modis* łaską przenajdowali. Zwłaszcza ksiądz Arcybiskup z wo-

(*) Pam. N. V. I. 448.

jewodą krakowskim, ci się o to najpilniéj przyczyniali, aby *per omnem occasionem* łaskę naszę przenajdując, z wolą się naszą zgadzali. P. poznański ten téż *omnibus modis* starał się ku łasce naszéj przyjść w . . . ., i p. marszałka, brata waszego, i nakoniec p. krakowskiego, chocia do tego czasu nie do końca dobréj przyjaźni z sobą wiedli, nie zaniedbał sollicytować, aby mu łaskę naszę jednali; sam téż nam służby swe z wielką pokorą ofiarował, gdyśmy z Piotrkowa jechali, nas blisko milę prowadził, między innymi poddanych służb swych upokorzeniem, i strzemię u siodła, gdyśmy wsiadali na koń, nam trzymał. P. wojewoda krakowski, ten nas do Krakowa przyprowadził; królową J.M. małżonkę naszą *tam honorificenter* jako i radzie i poddanemu przystało, z kredencem ręki swéj przywitał; przy stole naszym, bo wtenczas z nami jadł, a myśmy téż na ten czas z królową J.M. jedli, przez zdrowie J.K.M. pił, i także z wielką uczciwością nas i królowę prosił do siebie na Wisznice. Wszakoż jeszcze, gdy w Niepołowicach będziemy, pan wojewoda i z żoną pospołu swą do nas przyjachać ma, i nas wespołek z J. K. M. na pewny mianowany czas ma do Wisznica prosić. Jakożeśmy się już pospołu z królową J.M. u niego na Wisznica być obiecali."

„Panie podczaszy! *longe* tu teraz *alia est rerum forma,* niż tak rok była, albo niźli tam niektórzy sławią. Jest tam przy nas brat wasz, pan marszałek, u którego już pan poznański po dwakroć był z nim się zawierał. Wojewoda sandomirski, także wojewoda krakowski, w dzień ś. Piotra na obiedzie. Pana marszałka na Piotrowinach pilnie proszonego z innymi pany miał, wielką mu tam uczciwość czynili; nakoniec go tam po tym obiedzie sam wojewoda krakowski, wojewoda sandomirski, pan poznański, i inni panowie, z wielką uczciwością do gospody przyprowadzili. Owa tu odewszystkich w wielkiéj powadze i w poczciwości jest. Téż i ci wszyscy panowie, nie tak, jako sejmu końskiego, przeciw nam, panu swemu, się zachowywają, ale owszem wszyscy pilnie łaski naszéj szukają."

„Gdzie zatem was dobrze być zdrowym żądamy. — Dan w Krakowie 12. Augusti, anno Domini M.D.L., regni nostri XXI."

„*P.S.* Pan marszałek, brat wasz, kommunikował z nami to, coście mu pisali około tego swatania, żeby X. słuckie chciał ktemu przywieść brata swego młodszego, aby pojąć wojewodziny wileńskiéj dziewkę, a siostrę swą dał za Kiszkę młodszego. Tedy bardzo dobrzeście uczynili, iżeście tu o tm znać dali. A iżbyśmy tego bardzo nieradzi widzieli, zdało się nam to, iż jako jutro poszlemy do X. słuckiego z listem naszym swego własnego komornika, którym listem pisać mu będziemy, że nas słuchy doszły, jakoby on niedołożywszy się nas, miałby chcieć szafować podle woli swéj, swym młodszym bratem i siostrą; gdyżeśmy i jego i tych dzieci brata i siostry jego panem jesteśmy, i ktemu téż jesteśmy ich zwierzchnim opiekunem, tak, iż on tymi młodszymi niemoże, jeno podle woli naszéj szafować, a tak, aby w téj mierze nic nad wolą naszę niepoczynał, boby tego z wielką naszą niełaską używać musiał. Owośmy mu kazali taki list napisać, za którym musi się ten książę cofnąć nazad, a ten list do niego jutro swym własnym komornikiem poszlemy."

„Jeślibyście nie bardzo potrzebowali dworu tego, który na was po pani wojewodzinie nieboszczce trockiéj przypadł, ówdzię u Bernardynów; żądamy was, abyście go nam na przyjazd nasz do Wilna postąpili. A iż jeszcze tam więcéj domu potrzebować będziemy, żądamy was, abyście za temi naszemi listy kredencowemi, które wam posełamy, traktowali z biskupem żmudzkim, aby nam abo tego swego dworu, który dawno ma, abo tego, który nań po nieboszczyku biskupie łuckim przypadł, żeby go ku potrzebie naszéj postąpił. Także téż i z proboszczem wileńskim chciejcie traktować o ten dwór, który mu się na rogu z zamku do Bernardynów idąc, dostał po nieboszczyku doktorze Jędrzeju, żeby nam tego téż dworu swego postąpił, także na przejazd nasz do Wilna. A to wam do obudwu tych wraz kredencyonales na waszę osobę szlemy, przeto chciéjcie z nimi o to pilnie mówić."

(Dalszy ciąg nastąpi.)

O sławnych pijakach za panowania Augusta III.

Za króla Sasa,
Jedz, pij, popuszczaj pasa.

(Z dawnego rękopismu.)

Z między pijaków celowali osobliwszemi przymiotami trzéj w Koronie, a jeden w Litwie, których każdego zostawić w pamiątce potomności za rzecz słuszną osądziłem. Najpierwszy był **Janusz**, książę **Sanguszko**, ordynat ostrogski, marszałek nadworny litewski; tego pijaństwa, opisanego wyżéj, nie będę powtarzał, przydam tylko: iż jego pijaństwo niemiało nic dzikiego, sama wesołość rządziła jego deboszami; a że nigdy się sam nieochraniał, tylko pił szczerze, przeto mało dawał na innych baczenia. Kompanie przytém u niego wielkie, zawsze go czyniły roztargnionym. Miał zaś tak tęgą głowę do picia, że gdy się już tak spił, że się chwiał na nogach, kazał zaprządz do karety; w téj przejechawszy się kilkoro staj, powracał tak trzeźwy, jak gdyby nic nie pił, i pił na nowo z tymi, którzy mu kompanii dotrzymywali.

Drugi, **Borejko**, kasztelan zawichostski; tego można nazwać pobożnym pijakiem; naj-

bardziéj albowiem lubił cieszyć się i pijać z duchownymi, kiedy z świeckiemi osobami niemiał żadnego zatrudnienia. Skoro był wolny od interesów, rozpisał listy do pobliższych mieszkania swego klasztorów, aby mu przysłali po dwóch zakonników, jakikolwiek pobożny pretext do tego wymyśliwszy. Przełożeni klasztorów wiadomi końca téj missyi, posełali mu co lepszych do picia. Z tymi Borejko zamknął się w pokojach osobnych i oznajmił domownikom swoim, że to jest klasztór, do którego po zamknięciu nikogo niewpuszczono, ani z gości, ani z domowych, ani żony, ani żadnéj kobiety, choćby niewiedzieć jaka była potrzeba. Przed zamknięciem tego klasztoru, przygotowano w nim wszystkiego, co należało do wygody i do potrzeby, do jedzenia i picia, a najwięcéj wina. Pokój sypialny był wysłany cały słomą i kobiercami; innéj pościeli dla tego pijackiego bráctwa niepotrzebowano, ponieważ każdy jak padł, tak spał. Słudzy do usług byli naznaczeni i wraz z panami zamknięci. Był także i dzwonek przy jednych drzwiach, tak jak bywać zwykł przy fórcie klasztornéj, albo na kurytarzu; w ten dzwonek dzwoniono na mszą ś., do stołu i na silentium, które dopiero wtenczas następowało, gdy się wszyscy popiwszy, powywracali na owéj słomie. Żeby zaś w tym klasztorze nieuchybić chwały Pana Boga, dziś na jutro naznaczali jednego z pomiędzy siebie kapłana, który nazajutrz miał mieć mszą świętą. Temu niedali pić dłużéj, jak do godziny jedenastéj, chociażby chciał, biorąc jeszcze ściśléj godzinę czas abstynencyi kanonami przepisanéj, dla wszelkiego warunku od omyłki na zegarkach. Gdy nazajutrz wszyscy powstawali, szli na mszą ś. do kaplicy, będącéj przy tym klasztorze. Po wysłuchaniu mszy, napili się herbaty, podług zwyczaju; potém wódki raz i drugi, potém nastąpiło śniadanie, po śniadaniu wino, po winie miernie zażytém obiad, po obiedzie formalna pijatyka aż do wieczerzy, po wieczerzy toż samo. Wszakże przy tém wszystkiém pacierze kapłańskie musiały być w swoich godzinach odbyte i pan Borejko sam je z kapłanami odprawował. Ten klasztór trwał dni trzy najmniéj, a najwięcéj pięć, podług panującéj w pijakach dewocyi. Po rozpuszczeniu klasztoru swego, odesłał każdych zakonników do ich własnych klasztorów, dobrze udarowanych i jałmużną opatrzonych. Gdy mu niestało klasztoru, a niemiał z kim pić, wyszedł na rozstajne drogi, przy których zbudował porządną kapliczkę S. Jana Nepomucena, daszkiem, sztakietami i ławkami do koła opatrzoną; do tego eremitorium przynieśli za nim pająncy puzdro jedno i drugie wina i kilka wielkich kielichów. Tam zasiadłszy z paciorkami, czekał, aż kto nadjedzie, albo nadejdzie z podróżnych, ksiądz, braciszek, kwestarz, szlachcic, mieszczanin, chłopek, żyd, dziad, zgoła byle człowiek; wyszedłszy naprzeciw niemu z kaplicy, zatrzymał przywitaniem: zkąd, dokąd i po co? a tymczasem pachołek wiadomy pańskiego zwyczaju, nalał kielich wina, którym odebranym pił pan do podróżnego, animując, aby na odwrót do niego wypił, i tak długo tego było, póki aż ów podróżny z nóg nie spadł; a jeżeli się wywrócił, to i usnął. Pan Borejko odszedłszy do domu, wyprawił do niego stróża, aby go pilnował od złodzieja, albo innego łotra, żeby nie został obdarty i okradziony. Gdy zaś kilku zebrało się tym sposobem podróżnych, ze wszystkimi póty pił, póki każdego nieupoił. Podróżny, z liczniejszym pocztem jadący, proszony był do dworu na wstęp momentalny, na który jeżeli się dał namówić, nie łatwo się ztamtąd wydobył; jeżeli nie dał, to przynajmniéj z całą swoją czeladzią musiał po którym kielichu, a czasem aż do wysuszenia puzdra wypić. W tém był względny pan Borejko, że nieprzymuszał do ścinania kielichów duszkiem, pozwolił odetchnąć raz i drugi, jednak nie długo. Byłto pan tak wysoki i mężny, że wszedł w przysłowie w województwie krakowskiém, iż kiedy kto chciał klnąć drugiego z dosadnością przeklęctwa, to mówił: „B o d a j e ś t y l e g o d j a b ł a z j a d ł, j a k p a n B o r e j k o.“

(Koniec nastąpi.)

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (*Red. J. Łukaszewicz.*)

Przyjaciel Ludu.

Rok szósty. **Nr. 46.** **Leszno,** *dnia 16. Maja 1840.*

Widok Kijowa.

Kijów, na prawym brzegu Dniepru, dawna stolica województwa, a obecnie gubernii, pod 50° 26′ 53″ szerokości, a 28° 13′ 21″ długości, 120 mil na wschód Krakowa, 120 na połud. w. Warszawy. Kijów dzieli się na cztery części: Staremiasto, Pieczarskie, czyli Twierdzę, Chreszczatkę (mylnie zwaną: Włodzimierskiém miastem), i Podol. Stare miasto i Pieczarskie otoczone są wałami, po za któremi wznoszą się przedmieścia. Najpiękniejszym i najwspanialszym pomnikiem Staregomiasta jest kościół świętéj Zofii. Starożytna ta świątynia, założona w 1037 r. przez Jarosława Włodzimirzowicza, księcia kijowskiego, jest obszernie i okazale zbudowana z cegły. Kopuły tego gmachu pokryte są złotą blachą. Wewnątrz kościoła wielkie bogactwa w szatach kapłańskich i w naczyniach świętych. Przed wielkim ołtarzem zatrzymuje się oko nad szczątkami pięknéj mozaiki na tle złotém; uszkodzili ją znacznie Tatarzy Batu-kana. Grób Jarosława († 1054.), jedyny pomnik tego rodzaju w Ruśi, zasługuje równie na uwagę, jak drzwi bronzowe, grobowce rozmaitych książąt, relikwie świętych osób i mnóstwo obrazów uszkodzonych wiekiem. Kościół świętéj Barbary zawiera w sobie szklanną trumnę ze zwłokami téj świętéj; trumna bywa otwarta w czasie nabożeństwa. Lud ruski przychodząc gromadnie co rok na nabożeństwo do Kijowa, zwiedza najskwapliwiéj zwłoki świętéj Barbary, a ucałowawszy jéj ręce, składa ofiarę w pieniędzach. Te ofiary uczyniły najbogatszym w dochody pomieniony kościół. Najdawniejsza z cerkwi kijowskich jest Desiatynka, inaczéj Narodzenia Panny Maryi: zbudować ją kazał Włodzimierz około 989 r. Podług Nestora, spoczywać tu miały zwłoki tego monarchy, jego żony i jego babki, świętéj Olgi. Na starych ruinach Piotr Mohiła wymurował gmach nowy, lecz niewidać w nim dawnéj świetności; napotyka się tylko napisy w nieodgadnionych charakterach. Na kilka lat przed rokiem 1830.

wykopano w tym kościele zwłoki książąt i biskupów. Cerkiew Andrejowska, kościół dworski, ma wspaniałe wschody o stu stopniach tak szerokich, jak front gmachu. Cerkiew ta stoi na urwisku gór, oddzielających Staremiasto od Podola; fundamenta jéj z tego względu są dwa razy większe od zwierzchnéj wysokości; zdaje się, iż spada z góry. Cztery wysokie wieżyce służą ku zewnętrznéj ozdobie gmachu. Jest nadto dziesięć cerkwi w Starémmieście, lecz wszystkie nic szczególnego niezawierają. Pieczarskie, czyli Twierdza otoczona murem i bastyonami, wznosi się pod nad brzegami Dniepru wyżéj niż Staremiasto, i czarujący oku przedstawia widok na kraj rozległy na lewym brzegu rzeki. W téj części znajduje się kilka pięknych gmachów, jako to: mieszkania gubernatorów wojennego i cywilnego, arsenał, magazyny, koszary i dworzec carski, dawniéj z drzewa, obecnie murowany. Z wspaniałego ogrodu, przepiętrzonego górami, które się schodzi po schodach, masz piękny widok tak na stary Kijów, jako też na przeciwny brzeg Dniepru i ujście Desny do téj rzeki. Lecz najznakomitszém miejscem w téj części jest: kiewsko - pieczarskaja ławra. Jestto najdawniejszy pomnik w historyi religii ruskiéj. Początki tego miejsca sięgają 1055 roku.*) Składa się z małych domków, a raczéj celi i pieczar, gdzie spoczywają zwłoki 150 męczenników, a między innemi świętego Antoniego, założyciela téj pustelni. Pieczary te wyrobione są w skale, i służyły niegdyś za jedyne pomieszkanie dla uczniów świętego Antoniego, którego świętobliwość dotąd we czci powszechnéj się utrzymuje. Jedna z tych pieczar ma 91, a druga 201 sążni obszerności. Miejsce to odwiedzane bywa dotąd tłumnie, osobliwie w czasie świąt wielkich. Ławra ustanowiła się dopiero za Izasława Jarosławowicza, który cisnącym się mnichom całéj góry ustąpił, i dopomógł im do założenia klasztoru. Teodozy był pierwszym tu przeorem; przywiózł on z Konstantynopola przepisy dla swego bractwa. Napływ zwolenników i hojność pobożnych książąt, rychło zbogaciły ten zakon: stał się on wkrótce najmożniejszym w kraju klasztorem, i jest nim jeszcze dzisiaj, pomimo różnych kolei losu, przez jakie przechodził. Około 1160 r. patryarcha konstantynopolitański otrzymał od Jędrzeja Bogolubskiego zwierzchność bezpośrednią nad tą ławrą i utrzymał się przy niéj aż do 1687 r., to jest: po czas panowania Polski w Kijowie. W jednéj z pieczar tutejszych, Nestor, najdawniejszy kronikarz ruski, pisał swe dzieło. W środku budowli tego klasztoru stoi wieża, którą Rusini nazywają dzwonnicą. Lud prosty utrzymuje, że gdy ją stawiano, mury za dnia wzniesione kryły się pod ziemię do czasu, aż je nareście zasklepiono. Lecz jednéj nocy gmach cały wysunął się na powietrze, i przedstawił niezwykłéj wysokości ogrom. Istotnie, gmach ten należy do rzadkich tego rodzaju pomników w Europie. i zajmuje pierwsze miejsce po wieżach wiedeńskiéj, strazburskiéj i pizańskiéj. Od strony polskiéj widać ją na mil kilka. Do pieczarskiego klasztoru należy skarbiec głośny ogromnemi bogactwy, oraz piękna biblioteka. Jest przytem drukarnia. W cerkwi pieczarskiéj spoczywają zwłoki Konstantego Ostrogskiego, sławnego wojownika z czasów Zygmunta I. Oprócz celi przy klasztorze, znajduje się: katedra uspeńska, o dwóch piętrach, bogato ozdobiona; przechowywa rzadką relikwię: głowę świętego Włodzimierza. Kościół ŚŚ. Pawła i Piotra. Z pieczarskiego na Podole przechodzi się przez Chreszczatkę, miejsce tak zwane od chrztu, który się tu odbył za Włodzimirza W. Posąg tego monarchy stoi przy źródle między parowem. Lud ruski ma do tego miejsca religijne przywiązanie, i ze czcią tu przybywa nabierać wodę. W téj części znajduje się kościół katolicki, jedyny w Kijowie, utrzymywany przez Dominikanów. — Najpiękniejsze zabudowania znajdują się na Podolu. Część ta za czasów rządu polskiego była miastem królewskiém, miała osobnego rządzcę, niezależnego od wojewody, i używała różnych przywilejów. Na Podolu znajduje się dawna akademia kijowska, założona w 1588 r. przez Konstantego Ostrogskiego. W początkach była to tylko szkoła wyższa, lecz Piotr Mohiła, metropolita kijowski, i najzapaleńszy nieprzyjaciel unii, która pod tę porę zajęła była cerkiew świętéj Zofii, otrzymał r. 1632 od Władysława IV., króla polskiego, nowy przywiléj, i szkołę na Akademią przekształcił, która wzięła od niego nazwisko: *Kiewo-Mohilna Akademia*. Nasywano ją niekiedy uniwersytetem. Wielu uzdatnionych ludzi wyszło z téj Akademii; w 1830 r. było tu 1500 uczniów, sposobiących się po większéj części do stanu duchownego; posiada ona bibliotekę, którą pożar znacznie uszczuplił. Akademia kijowska zasiada w pięknym domu, przyległym klasztorowi brackiemu, czyli kijewsko-brackiemu; przełożony tego zakonu, który należy do drugiéj klassy, i ustanowiony był 1588 r., jest z urzędu rektorem téj Akademii. Drugim znaczniejszym budynkiem na Podolu jest dom kontraktowy, obszerny i piękny gmach z przedsionkiem, położony na środku obszernego placu. Dolna sala służy na zgromadzenia obywateli, i może mieścić do 3000 osób; w niéj się odbywają ugody; inna sala służy na posiedzenia trybunału: w sali górnéj koncerta i bale. Mnóstwo osobnych pokoików zostawiono dla prywatnych rozmów i zabaw. Znakomite równie w téj części zajmują miejsce: dom sądowy *Prysudstwiem* zwany; jestto piękny murowany gmach, gdzie zasiadają wydziały cywilny i kry-

*) Zob. P. L rok 8. T. I. Nr. 15 i 16.

minalny, izba skarbowa, prokuratorya i ziemska policya. Budynek ten stoi w prost dworca carskiego na Pieczarskiém. Zresztą, oprócz wymienionych przedmiotów, znajduje się w Kijowie przeszło 30 cerkwi, kilka klasztorów Czerńców, kościół luterski, dom przytułku dla sierót, kilka szpitałów, dwa gymnazya, oraz uniwersytet włodzimierski, założony w 1833 r., a niedawno zamknięty, na miejsce zniesionego uniwersytetu wileńskiego i lyceum krzemienieckiego. Dochody tych instytutów, osobliwie dochody lyceum, utworzone z składek obywateli polskich Wołynia, Podola i Ukrainy, przeniesione zostały, równie, jak biblioteka i wszelkie zbiory naukowe, na uniwersytet włodzimierski, gdzie nauki wykładane były w języku rossyjskim; uniwersytet ten składał się z dwóch wydziałów, prawa i filozofii; miał być dodany wydział medyczny. Znajdują się przytém; szkoła dla córek szlacheckich z Wołynia, Podola i Ukrainy, konwikt dla ubogich uczniów, którzy w Krzemieńcu nieznali tego oddzielenia, szkoła mechaników i jeometrów z lyceum wołyńskiego. Uniwersytet włodzimierski w 1834 r. liczył 43ch nauczycieli i urzędników i 62ch uczniów.

(Koniec nastąpi.)

Arabowie i konie arabski.

(Ciąg dalszy.)

Arabowie nieutrzymują, tak jak twierdzono, rejestrów genealogicznych swoich koni, i równie nie jest prawdą, jak wielu podróżników upewniało, że Arabowie do 50 osób zbierają, aby byli świadkami połączenia ze źrzebcem klaczy, i równie narodzenia się źrzebięcia. Nieraz byliśmy świadkami przeciwnego postępowania; pospolicie wybierają na ogiera najlepszego konia w swojém pokoleniu albo w sąsiedzkiém, i utrzymują, równie jak w Europie, ogierów przechodnich z jednego miejsca na drugie. Trudno jest od nich otrzymać, aby choć z tych niemiejscowych ogierów którego przedać chcieli; zwłaszcza w porze stanowienia. Udzielają każdemu ogierowi trzy klacze na dzień, a cena od ich odstanowienia wynosi blisko talara hiszpańskiego. Takie ogiery przechodzą od jednego do drugiego z wymienionych plemion arabskich i często w dość oddalone strony. Abufar, którego Pan Damoiso kupił od Fedan-Anazes dla stajni królewskiéj, uszedł jednéj nocy dziesięć mil i trzy klacze odchował.

Arabowie puszczają do klacz źrzebce dwuletnie i klacze téż odstanawiają tegoż samego wieku, w ośmnaście miesięcy, i źrzebce i źrzebice już zaczynają być jeżdżone, ale za to téż najczęściéj we dwa lub trzy lata zupełnie już są zrujnowane. Ogiery, klacze, źrzebięta pasą się razem; rzadko kiedy dostrzedz można, aby ogiery upędzały się za klaczami; jednak dla ubezpieczenia się od tego, wiadomego używa się sposobu.

Arabowie jeżdżą pospolicie bez munsztuka i uzdeczki: uzdzienica, do któréj jest przywiązany harapnik z żelazem tak jak kawczan, jest całym ubiorem głowy. Najszlachetniejszy wierzchowiec najczęściéj ma na grzbiecie kawał płótna we dwoje złożonego zamiast siodła, a postronki z obu stron służą za strzemiona; rzadko kiedy kują tylne nogi. Mnogie blizny od ognia, które się dostrzegają po różnych częściach ciała wierzchowca arabskiego, bywają częstokroć wypiekane, bo Arabowie nie znają inszego lekarstwa do ratunku chorych swoich koni, jak ogień, równie i dla ludzi; i sami i dzieci bywają także pokryci bliznami kauteryzacyi od głowy do nóg. Wielu z ich koni nawet od 18 miesięcy bywają oszpecone głębokiémi bliznami nad i pod pęciną, z przyczyny nabrzmiałości wznieconych od żelaznych dzwonków, jakie swoim koniom przyczepiają do pęcin, dla ubezpieczenia ich od kradzieży; lękając się zaś, aby te nabrzmiałości od dzwonków nie obróciły się w kostne stwardnienia, rany wypiekają rozpalonêm żelazem. Cały dzień konie przebywają na stepie i często oddalają się dość daleko od obozu; jednakże za przyjściem nocy, każdy Arab spędza około własnego namiotu swój dobytek i zmusza do leżenia, nogi pętając, aby jeśliby który powstał, nie mógł na trzech nogach daleko odejść.

Konie Anazes mało podobne do tych koni arabskich, jakie znamy w Europie, a klacze zdają się także być zupełnie odmienne od ogierów. Widziałem nie jednę klacz, któréj uroda przechodziła łokci 2 cali 10. Ogiery zaś są mniejsze i innego układu. Klacze wszystkie mają małe główki, chrapy spadziste, wielkie oczy na wierzchu głowy, czoło szerokie i kwadratowe, uszy rzadko kiedy piękne, bo najczęściéj zwisłe, chrapy wielkie, ostry koniec nosa; ogiery przeciwnie rzadko kiedy mają piękny łeb, pospolicie on jest dosyć ciężki, oczy małe bez wyrazu, uszy długie, czoło wąskie, a nozdrze nie tylko kończaste, ale powszechnie tak wyniosłe, że często postrzegałem między témi końmi głowy baranie; pospolicie mają szyję wąską, dobre łopatki, ale przednie nogi najczęściéj słabe, i pilnie trzeba śledzić sustawów, które pospolicie u nich są źle wyrosłe. Wreszcie Arabów nic nie obchodzą te przywary, i byleby koń biegał dobrze i prędko, byleby był dobrego rodu, żeby nie miał żadnego złego znaku, lub złéj odmiany, przez Mahometa wskazanéj, będzie zawsze uważany za doskonałego, choćby miał w swoim kształcie wszystkie, jakie tylko mogą być wady i przywary, dadzą mu najpiękniejszą i najszlachetniejszą klacz, bez zastanowienia się; a przeciwnie, pogardzą najpiękniejszém stworzeniem, jeśliby się w jego rodowitości znajdowała najmniejsza wątpliwość, albo jeśliby miał na sobie którykolwiek

Obóz arabski.

ze złych znaków: nie dadzą mu wtedy najmizerniejszéj klaczy.

Wyznać jednak należy, że mimo wszelkie wady uderzające, te konie posiadają nadzwyczajne przymioty: skoro je tylko jeździec dosiedzie, giną w oczach wszystkie przywary, których dostrzedz już niepodobna; tyle posiadają zacności i zgrabności. Wiele koni widziałem z najpaskudniejszym krzyżem, ogon nizko wyrosły; skoro tylko właściciel siadł na niego, gdzieś się podział ten tył brzydki. Ogon tak się podniósł, że wierzyć nie mógłem, aby to była ta sama szkapa. Piękne konie Anazes wielkie mają podobieństwo do kursorów angielskich krwi czystéj; ale są daleko zwinniejsze i przyjemniejsze do jazdy, skoro tylko cokolwiek ujeżdżone zostaną na nasz sposób; albowiem wyszłe z pustyni, nie znają ani siodła, ani ostrogi, bo ich Arabowie nigdy nie używają, z przestrachem chodzą po bruku i trudno ich do truchte zmuśić; ruszają z miejsca wielkim galopem, ale dają się osadzić na miejscu. Łatwo jednak ich pojęcie daje się na nasz sposób wykształcić.

Mówiliśmy już, że pięć głównych rodów poczytane są za pochodzące w prostéj linii od pięciu klacz faworytnych Bobyprofitty: ten ród (koni) oznacza się nazwiskiem Koheyln, albo Kenheylan.

Prawdziwych Keylanów łatwo dostać można w Bagdadzie, Muszul, Orfa i okolicach: te, które się widzieć dają na brzegach Eufratu i w miastach sąsiednych, są wyższe i kościstsze, niżeli stepowe, ale mniéj się odznaczają cienkością muszkułów i nóg tylnych.

Jedne tylko Koheylany utrzymują świadectwa swojéj rodowitości, inne rody ich nie mają.

Porody koni, które do tych nie należą, są bardzo liczne na stepach; każdy z nich nosi nazwisko ogiera, od którego pochodzi, i te są mianowicie rassy: Hemdany, Embojan, Richan, Babelan, Srmcyti, Fryggian, Nadban, Torysan, Choncyman, Tabbalia, Widnan, Abou-Arcoub, Michref, Sex-Sex i tyle inszych. Wszystkie się te konie nazywają Nedgedy, od prowincyi Arabii szczęśliwéj; niektórzy znawcy wolą tych Nedgedy bardziéj, niż Kohelanów, bo są często piękniejsze i dystyngwowańszych przymiotów; chociaż nie dostają świadectw swego pochodzenia, jednak wschodni mieszkańcy są powszechnie za Koheylanami. Trudno jednak upewnić się, czy koń jest Nedgedy, czy Koheylan. Piérwsze mają wypukłość na głowie i nos łękowaty, prawdziwy zaś Koheylan przeciwnie ma nos kolisty, wielkie oczy, szerokie nozdrza, szerokie czoło, a w ogólności łeb piękny. Byleby koń nie był przeznaczony na stadnika, nie ma wielkiéj trudności skłonienia Araba

do sprzedania go, ale jest zupełne niepodobieństwo do skłonienia go, ażeby na sprzedaż klaczy zezwolił; a kiedy jest zmuszony okolicznościami do zbycia jéj, to nie inaczéj go zbywa, jak społeczną umową, która się robi następującym sposobem: Naprzód umawia się cena; kupujący bierze ją do swego użytku i utrzymania; pierwsze i drugie źrzebię powinno być oddane przedającemu, który jeszcze zastrzega sobie i prawo wzięcia klaczy, źrzebięta zostawując nabywcy. Często i w innym względzie układają się, właściciel nieocenionéj klaczy ćwierć jéj tylko przedaje, to jest: tylko źrzebię od niéj, co się po arabsku zowie: („jednę tylko nogę klaczy przedaje.")

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Łowiec.

Gawęda z XVI wieku.

(Dalszy ciąg.)

8.

Siedział zadumany Grzegórz na ławie przy kominie, gdy żona borowego wyręczając go, gotowała obiad: dzieci igrały na wilczych i niedźwiedzich skórach, sprzeciwiając się sokołowi, co z gniewu najeżał pióra. Maryna (tak nazywano zwykle żonę borowego) gdy przyrządziła wszystko, założywszy ręce, spozierała na obrazy ścienne.

„Powiedz mi Wać," rzekła, „co za łowy namalowane."

„Mościwa pani," (odrzekł z uszanowaniem, bo wiedział, że ze szlacheckiego pochodzi domu po kądzieli i po mieczu) „są to sławne łowy, ale niech Bóg zachowa mego panicza od podobnych." Tu pokazując palcem opowiadał:

„To widzicie świętéj pamięci jest król Zygmunt stary, dziad z matki, dzisiaj panującego nam szczęśliwie pana naszego. Ta matrona na koniu, Włoszka Bona; niewieleć jéj żałowano gdy umarła, bom słyszał na dworze pana rodzica mego panicza, iż gdy po jéj śmierci nie rychło wieść o tém do naszéj doszła ziemi, żartowano sobie i gadano: „Czy wiesz, że królowa Bona umarła," i ztąd ci przysłowie, gdy kto stare nowiny za świeże podaje. Owóż ten w pstrych szaciech i szachowanych, jest błazen nadworny Stańczyk; a ten pieszo z oszczepem, sławny z wielkiéj siły Tarło, krajczy. Na niego téż wypadł niedźwiedź; chciał go wziąść na oszczep, ale mu go wydarło zwierzę i samego ledwie nie zabiło. Gdy się rozjuszyło niedźwiedzisko, uciekając przed nim, spadła Bona i poroniła. Stańczyk przewrócił się z koniem. Dużo ludu nakaleczył, nim go dobito."

Grzegorz w zapale miał dłużéj prawić, gdy trąbka myśliwska zabrzmiała. Porwał się przeto, wypadł na ganek i krzyknął; na ten krzyk wybiega Maryna, załamuje ręce i płacze. Na noszach z gałęźi nieśli strzelcy Strusia skrwawionego; smutny poprzedzał ich Dymitr. W wozie drabiniastym siedział podstoli na zabitym niedźwiedziu, opierając nogi na dwóch dzikach i starym jeleniu.

„Ostrożnie zniżyć nosze," rzekł Dymitr strzelcom. Grzegorzowi kazał swoje przygotować łoże.

„Co się stało, miły Boże!" zapytała Maryna męża.

„Nieszczęście!" odrzekł borowy; „przynajmniéj Bóg mu żywot uratował. Gdyby nie pan Dymitr. . . ."

Wtém uciął, bo musiał dopomódz strzelcom wnieść do izby ranionego Strusia. Kiedy złożyli go na łożu, Dymitr obmył ranę, dobył z apteczki maści i plaster przyłożył; natarł mu skronie octem, a w usta ścięte wlał starego węgrzyna. Wtedy Struś odetchnął i otworzył oczy, a widząc przy sobie Dymitra, ścisnął mu ręce, wymawiając zcicha: „Dziękuję ci miły bracie!"

Podstoli kazał wnieść wszystką zwierzynę do téjże saméj izby, aby widok téj zdobyczy rozweselił rannego łowcę. Jakoż Struś osłabiony krwi upływem, z uśmiechem przecież radości patrzał na ogrom kudłastego niedźwiedzia na czarne smolaste wielkie dziki, z kłami białemi, na jelenia z rosochatemi rogi. Kiedy to dojrzał Dymitr, zasępiałość znikła z oblicza, tém więcéj, gdy chory mocniejszym głosem przemówił:

„Panowie bracia! gdym upadł w kniei bez pamięci, nie słyszałem trąbki, zwiastującéj koniec łowom: niechże jéj głos mię orzeźwi — posłucham go, ale z puharem!" i wyciągnął jeszcze zbroczoną rękę z łoża.

Wchodzą strzelcy, a za nimi dwa brytany duńskie Dymitra: ale ledwo próg przeszły, zawarczały, i obces rzuciły się na leżącego niedźwiedzia.

„Oderwać je," krzyknął Dymitr, „i wyprowadzić."

„Niechno chwilkę," rzekł Struś, „niech popatrzę na nie i to martwe zwierzę . . . jakoś to sercu miło i lżéj człowiekowi."

„Owoż prawdziwy łowiec! przemówił podstoli) leży skaleczały, a oczyma pożéra martwego już niedźwiedzia."

Gdy psy uskromino i wywiedziono z izby, sześć trąbek zagrzmiało, a Struś radośnie wykrzyknąwszy: „Zdrowie nasze!" spełnił pełny puhar co do kropli.

Na żądanie rannego, przysunięto stół do łoża z późnym obiadem; a pomimo udradzania, zmiatał misy z jadłem, połykał kawały sarniny. Przy końcu uczty, zrzucił Struś zawiązanie głowy, obmył winem twarz zbitą, i ręczył że nazajutrz z jutrzenką gotów na nowe łowy.

„Jakżeto było?“ zapytał podstoli, „że gracz taki i łowiec stary, jak nasz miły Struś, raz ciężki oberwał.“

„Jak było,“ odrzekł ranny z uśmiechem, „zaraz Waszeci opowiem. Stałem na stanowisku, gdy ten niedźwiedź wypadł; psy se same już go dzierzyły dobrze; oszczepem przybiłem go do ziemi, ale raz łapą w twarz otrzymałem. Nic to nie było, alić gdy psy odwiedziono, niczego się nie spodziewając, wypada wieprz rozjuszony; ledwiem uskoczył nieco na pieniek, gdy mi pociągnął kłem po łydce; upadłem bez pamięci, krew mię ubiegała. . . .“

„Resztę ja Waszeci dokończę,“ zawołał w uniesieniu podstoli; „byłbyś pod kłami wieprza ducha bez świętéj spowiedzi oddał, gdyby nie szlachetny nasz gospodarz; on przypadł na to stanowisko, i drzę jeszcze, dziwiąc się zuchwałéj odwadze; zajadłe, wściekłe zwierzę chciało razy śmiertelne powtórzyć; ale, dzięki Bogu! natrafiło na ostrze oszczepu pana Dymitra. On zasłonił Waszeci ciało, przykląkł, i oszczep wystawił, a dzik przebił się w szalonym skoku. Upadł, gdy dopiero pśi przypadli, i już go niepuścili: cios drugi oszczepu — zabił wieprza.“

Struś słuchał tego z podziwieniem naprzód, późniéj ze łzami, w ostatku porwał Dymitra prawicę, przycisnął do serca; ze wzruszenia nie mogąc przemówić i słowa. Borowy oczy ocierał, Maryna w głos płakała, a stary Gregórz, całując, łzami zalany, rękę Dymitra, wyrzekł: „Tego nikt inny nie mógł zrobić, jeno mój panicz, któregom wypiastował i wychuśtał na tych samych rękach; wyrósłci on na pociechę mojéj starości.“

„Ej do licha!“ zawołał podstoli, usiłując pokręcaniem wąsa ukryć łzy swoje, „rozbeczeli się wszyscy jak baby; nuże, podajcie kobzę, niech ususzy oczy i rozraduje serce nasze.“

Wzruszony Dymitr porwał kobzę i podziwieniem Strusia, a więcéj jeszcze podstolego, zagrał rzewnie na niéj. Wydobył naprzód żałośne tony, nagle zabrzmiał głosem trwogi; rozróżniłeś w nich krzyk przerywany przestrachu i rozpaczy.

Struś wlepionemi oczyma w grajka, słuchał téj gędźby dzikiéj; snać ją zrozumiał, bo czerwień okryła mu policzki naprózd, poczém silnie ścisnął żylastą prawicą, jakby chciał kord pochwicić; a gdy Dymitr dobył przeraźliwe tony trwogi i rozpaczy, machnął w zapomnieniu ręką, jakby wymierzając silne cięcie.

Podstoli sparłszy głowę na ręku, słuchał rozrzewniony, a dwie łzy jak krople letniéj rosy, zrosiły mu zmarszczone policzki. I Dymitr czuć musiał, co wygrywał na kobzie, bo gdy ją ostatniém tchnieniem nadął. opuścił głowę z wzruszeniem na pierśi. Struś zmęczony upadł na łoże.

„Miły bracie,“ rzekł podstoli do Dymitra, ściskając go za rękę: „chcieliśmy smętne rozerwać myśli, a Wasze zraniłeś nam serca! O znam tę pieśń oddawna; mój rodzic świętéj pamięci umiał ją na kobzie, a kiedy ją zagrał, sam pan Rej z Nagłowic, (a był wonczas małém pacholęciem), gdy dni kilka bawił w naszym dworze, chociaż niemyślał o ni czém, jeno o swawoli — wszedł wtedy do komnaty, chcąc pokazać memu rzdzicowi, jako wronie kraśny ogon przywiązał — usłyszał tę piosnkę i musiał zapłakać. A nasz Struś ranny, widziałeś jako machał ręką, mniemał; że jest na polu bitwy: za to teraz odpoczywać muśi.“

Dimitr nie odrzekł słowa, jeno zadął pieśń łowiecką o niedźwiedziu. Wesołe przygrywki radość wróciły na zasępiałe oblicze. Struś usiadł na łożu i rado poklaskiwał, a podstoli popijał z puhara.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Zgoda o Barbarę i Koronacya.
R. 1550.

(Ciąg dalszy.)

Po koronacyi Barbary, która była pierwszą odtąd myślą króla, i najmilszym przedmiotem jego usiłowań. drugiém wolném przedsięwzięciem, stał się zamiar jechania do Wilna, i okazania Litwie małżonki na téj ziemi zrodzonéj, z pośród tamtejszego obywatelstwa do tronu wzniesionéj, i już blaskiem korony jaśniejącéj. Dowodem tego była owa troskliwość Zygmunta Augusta, żeby, gdy świetnego i licznego dworu zamek wileński, jakkolwiek obszerny, objąć nie mógł, dwory w pobliżu obwodu zamkowego, między nim a klasztorem Bernardynów położone, na pomieszczenie go były gotowemi. Piérwszéj chęci królewskiéj stało się zadosyć, i niezwyciężona miłośą Augusta wkrótce uwieńczyła koroną skronie pięknéj Barbary. Druga była tylko lubém marzeniem, którém się może razem z Barbarą mile ludził, nie sądząc, żeby się tak okropnie i w odmiennym sposobie ziściło! — Jednakże wszystko tchnęło radością na dworze królewskim. Zdrowie znacznie poprawione Barbary, i zbliżenie się wreście uroczystego dnia koronacyi, ożywiało wszystkich nieprzymuszoną wesołością. Powiększyły się niebawnie świetne łowy, na które się król zaraz po powrocie z sejmu udał z królową do Niepołowic. Przybył tam nakoniec i Kmita z żoną Barbarą Herburtowną z Dobromila, siostrzenicą królowéj, powtórnie złożyć hołd Augustowi i Barbarze, i przypomnieć obietnicę odwiedzenia ich w Wisznicu. Mile od królestwa przyjęty, powraca do domu, otrzymawszy powtórne przyrzeczenie przyjazdu ich na dzień św. Bartłomieja. Jakoż istotnie w tym czasie, jak naznaczono, to jest 24. Sierpnia 1550

roku, nastąpiły głośne owe w dziejach naszych odwiedziny. Udał się do Wiśnicza Zygmunt August, w towarzystwie Barbary i brata jéj stryjecznego, Mikołaja Czarnego Radziwiłła, marszałka w. litewsk., otoczony bardzo licznym dworem. Wspaniały i obronny zamek wiśnicki (*) przyjął po raz piérwszy w świetnych swoich podwojach królowę Barbarę Radziwiłłównę, chociaż one, jako pokrewnéj rodziny mieszkanie, nie dziesięćkroć dla téj nadobnéj pani otwieraćby się powinny były. Ale Kmita oddał się cały tą razą niezmordowanym usiłowaniom, ażeby najzaszczytniejszém przyjęciem wysokich swych gości, zagładzić wszelkie ślady dawnych niechęći. Jakoż niczego nie oszczędził, najbardziéj w okazowaniu uszanowania i usług dla saméj Barbary, ażeby dowieść szczeréj przychylności ku niéj, poświęcenia się dla sprawy Augusta i zapomnienia przeszłych nieporozumień. Przez całe trzy dni gościnny Kmita z staropolską hojnością, swoim własnym i wielkim kosztem dwór cały na zamku wiśnickim podejmował (**). Świetne uczty i różnego rodzaju rozrywki, zakończone zostały wspaniałymi i drogimi upominkami, którymi zamożny gospodarz nietylko Zygmunta Augusta i królowę Barbarę, ale cały dwór ich, nikogo nie opuszczając, hojnie obdarzał. Takto, ów dumny wojewoda i w nienawiści rokiem wprzód nieubłagany, z niespodzianém ukorzeniem i nadzwyczajną usilnością, jednał życzliwość i łaskę téj, która z jego powodu tyle przeciwności zniosła, tyle łez uroniła.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

O sławnych pijakach za panowania Augusta III.

(Dokończenie.)

Trzeci, Adam Małachowski, krajczy koronny; tego można nazwać zabójcą ludzkiego zdrowia, wielu albowiem ludzi zalanych winem poumierało, niektórzy nawet w jego domu zasnąwszy raz na zawsze snem śmiertelnym. To rzecz dziwna, że takowe przypadki w oczach jego darzone, nieodmieniły w nim szalonego zwyczaju pojenia ludzi gwałtownie i zalewania winem. Miał u siebie w Bąkowéj górze kielich wielki półgarncowy, na którym wyrznięte były trzy serca z podpisem: „corda fidelium." Używał podczas tego kielicha do bankietów i wetów wielkich, zwyczajnie zaś trzymał go do przywitania każdego, kto pierwszy raz był u niego w Bąkowéj górze. Jeżeli taki gość przybył z rana, co prędzéj sporządzono mu śniadanie, aby miał poczém pić, ponieważ ten kielich nikogo nie mógł minąć. Skoro go oddano w ręce gościowi, przestrzeżono zaraz, że powinien był wypić duszkiem, inaczéj niech cokolwiek niedopił, natychmiast mu pełno dolewano, póty, póki nie wypił: to gwałtowne picie więcéj szkodziło zdrowiu, aniżeli sam zbytek wina. Z panów wielkich, mniéj sposobnych do pijaństwa, z trudna który odważył się nawiedzić krajczego; a jeżeli być u niego wyciągał koniecznie jaki interes, to wprzód wyrobił sobie od niego rewers nakształt salvum conductum pod najcięższemi zaklęciami, jak do pijaństwa, a mianowicie do kielicha corda fidelium nie będzie przymuszany. Najwięcéj do niego zjeżdżali się bibosze koronni, a mianowicie towarzystwo, co się beczki nie lękało, nietylko kielicha. Który pan posłał sługę z listem do krajczego, nie chybiło go to, że musiał za nim posłać drugiego dowiedzieć się, co się z pierwszym stało, a na czas i trzeciego, kiedy pierwszy i drugi wpadłszy w ręce krajczemu, popojeni, lada gdzie pod schodami, albo pod płotem, nie wiedząc o świecie, dopieroż o responsie, spoczywali, albo i wcale pomarli. Nie czynię w tém opisaniu żadnéj exageracyi, bo sam ledwo uniknąłem podobnego nieszczęścia, uciekłszy bez szabli, bez czapki, bez konia, w zastaw niby pewności powrotu zostawione, pod pretextem pilnéj potrzeby, któréj wymieniać nie należy. Przecież ten pan rozumiejąc, iż nie masz na świecie nikogo nadeń w pijaństwie mocniejszego, któregoby swoim kielichem corda fidelium niezwyciężył, czyli mówiąc właściwiéj, niezciemiężył, trafił na jednego takiego, który go w tém mniemaniu zawstydził. Byłto braciszek, kwestarz, Bernardyn, z klasztoru Wielkiéj Woli, czyli Woli Pana Jezusa, w powiecie opoczyńskim leżącego. Ten czując się na siłach, będąc wyprawiony na kwestę, zajechał śmiało do krajczego do Bąkowéj góry, którego miejsca wszyscy inni kwestarze jak morowego powietrza unikali. Trafiło się to przed obiadem z rana. Krajczy rad, że mu taki gość dawno niewidziany wpadł w ręce, na pokorną prośbę braciszka o jałmużnę, zaraz mu podał kondycyą: Jeżeli duszkiem wypijesz ten kielich, (skazując na corda fidelium,) każę ci naładować pełen wóz zbożem; a jeżeli od razu niewypijesz, doleją ci go tyle razy, ilc razy przestając pić, choć kroplę w nim zostawisz. — Braciszek pokornie odpowiedział, iżby wolał być pośilonym pokarmem

(*) Wiśnicz, czyli Wiśnicze, zamek dziś w ruinach stojący, położony jest o milę o Bochni w dawniejszém województwie krakowskiém, teraz w Gallicyi. Lubomirscy, do których późniéj przeszedł, pisali się stąd hrabiami na Wiśniczu. Dziś jest własnością Aleksandra hrabi Potockiego. Jeszcze przed Piotrem Kmitą w Wiśniczu był zamek, ale on go dopiero na nowo odbudował, obwarowawszy wieżamy i wałami, a wewnątrz ozdobił obrazami przodków swych i królów polskich. Wiśnicki zamek wznosi się na górze w przyjemném położeniu. Wizerunek jego znajduje się wraz z opisem w Przyjacielu Ludu Nr. 2. z roku 1837.

(**) Orzechowski Annal. III. pag. 1512. ed. lips.

łakim, niż trunkiem, ponieważ jest głodny. — Krajczy natychmiast kazał mu dać jeść; przyniesiono mu tedy półmisek bigosu hultajskiego i karwasz pieczeni. Zjadłszy certum quantum tego i owego, prośił o szklankę piwa, a tę wypiwszy, zaczął się niby zabierać do odejścia, jakoby z pojaźni kielicha nie śmiał już i o jałmużnę prośić. — Krajczy wesół z jego bojaźni, rzecze: Nie, bracie, z domu mego nikt wyniść niemoże, kto weń pierwszy raz wnijdzie, póki tego kielicha nie wypije. — Bernardyn na taką zapowiedź udając wielkie w sobie pomieszanie, z przymusem wziął kielich w obie ręce strychem nalany, toż zrobiwszy nad nim kilka krzyżów, cuderzywszy się w pierśi jako człowiek przymuszony, i westchnąwszy do niebios, zaczął we czwał łykać, ale jakby mu tchu brakło, odjął nagle od ust, zostawiwszy w kielichu z półkwaterek wina. — Ho, ho! niedopiłeś bracie! (zaczął krajczy wołać). Doléjcie mu, doléjcie! — Hajducy na rozkaz pański skoczyli do Bernardyna z flaszami; ten zaś dopijając z kielicha reszty, począł tam sam umykać po pokoju, pokazując kielich do reszty wypróżniony. – Nic to niepomoże bracie! (znowu krajczy) nie wypiłeś duszkiem, złapcie go i naléjcie mu pełen. — Złapano Bernaśia i dolano w strych jak pierwszy; do tego uchwycono za pas, aby niemógł uciekać. Osaczony Bernardyn jak niedźwiedź w kniei, odetchnąwszy kilka razy, począł doić drugi kielich wolniejszemi łykami, i znowu trochy niedopił. Daléj znowu krajczy: Niedopiłeś, doléjcie mu! — Bernardyn na kolana, w prośby na wszystkię względy. Ale gdy te nic nie pomogły, przyłożył się do trzeciego i wypił w téj mierze jak pierwsze dwa, żeby przyczyna do musu niezginęła. — Krajczy kazał mu znowu nalać, i tak z owemi grymasami zmyślonemi wypił Bernardyn sześć kielichów wina jeden po drugim. Krajczy jak z początku miał wielką uciechę z Bernardyna, tak widząc daléj, że ani z nóg nie spada, ani cery nie mieni, poznał, że z niego żartuje, wpadł w passyą, i kazał go wypchnąć za drzwi. „A to filut jakiś, a wzdyćby on mi całą piwnicę wypił. A to Bernardyni filuty, z umysłu, na szyderstwo ze mnie, takiego mi pijaka z końca świata wyszukanego przysłali." Ochłonąwszy z pierwszéj passyi, kazał pójść za nim obaczyć, co się z nim dzieje. Doniesiono mu, że wsiadł na wóz dobrze, bez najmniejszéj omyłki, i pojechał. Kazał krajczy skoczyć za nim i wrócić go, wysłał mu assygnacyą na kilka korcy zboża, ale niechciał się z nim widzieć, i zakazał, żeby więcéj nigdy u niego niepostał.

Czwarty pijak sławny, był Karól książę Radziwiłł, wojewoda wileński. Wieleby było pisać, jakie on psoty wyprawiał po pijanemu największym familiantom; powiem tylko, co zrobił z Pacem, pisarzem w. ks. litewskiego. Temu jednego razu przykremi pśikusami swemi tak dokuczył Radziwiłł, że niemogąc ichścierpieć dłużéj Pac, pogroźił mu pojedynkiem. Ale Radziwiłł nie chcąc z nim rozrywać przyjaźni, a chcąc go nastraszyć za owę groźbę, udał, jakby się o nią szalenie na Paca rozgniewał, kazał go natychmiast porwać, w kajdany okuć i wtrącić do więzienia; nazajutrz kazał go ubrać w śmiertelną koszulę, wyprowadzić na plac w assystencyi kata i księdza, i dysponować na śmierć. Wszyscy przyjaciele Paca i Radziwiłła struchleli na ten widok, rzucili się Radziwiłłowi do nóg za Pacem, który łzami i lamentami prośił go także o miłosierdzie, ale Radziwiłł udając zapalczywą cholerę i czyniąc się głuchym na wszystkie prośby, naglił na Paca, aby klęknął pod miecz, z którym mistrz stał mu nad karkiem; nareszcie gdy Pac prośił jeszcze o moment do poprawienia spowiedzi, Radziwiłł będąc już syt żartu, skoczył do Paca z miłym uśmiechem i rzekł: „A widzisz, ja ciebie lepiéj nastraszył, niż mię ty pojedynkiem; poprowadził tedy Paca na pokoje w śmiertelnéj koszuli, tak jak był na placu, tam mu zaraz ofiarował za ten żart wielkie prezenta; toż dopiero gala wielka i pijatyka na cześć takiego konceptu. Pac naturalnie śmiercią zmięszany, a potém nagłą radością przejęty, przymuszony będąc w takiéj rewolucyi krwi, do pijatyki, wpadł w chorobę i trzeciego dnia umarł.

Doniesienie literackie.

Opuścił w tych dniach prassę drukarską piérwszy zeszyt *Roczników Towarzystwa do rozszerzenia wiary na całéj kuli ziemskiéj*, w Poznaniu u K. Reyznera. Zeszyt ten na pięknym papierze, drukiem wyraźnym, zawiera w sobie: Missyą w Su-Tchuen; List X. Bochet, Miss. ap. w Chinach, de X. Deboa; List X. Gregois, Prok. francuzkiéj Missyi, do XX. Dyrektorów Seminaryum Missyj zagranicznych; List X. Pausot z Su-Tchuen z d. 22. Sierpnia 1832. do Przełożonych Seminaryów zagranicznych Missyj w Paryżu, List X. Perochean, B. maxulskiego, do X. Langlois; List X. Biskupa z Sinitis, Wikar. ap. w Su-Tchuen, do X. Łanglois; List X. Maubant, ap. Missyonarza, do XX. Dyr. Seminaryum Missyj zagranicznych, z Makao z d. 12. Paźdz. 1832; List X. Rumeaux z Chin, do X. Torrette; List ostatniego do Prokuratora Missyj Łazarzystów w Chinach, z Makao d. 15. Września 1832; Missya w Korei; List X. Bruguiere, Wikar. ap., do Arcypiskupa w Manili, z Makao d. 15. Września 1832; Missya w Korei; List X. Bruguiere, Wikar. ap., do Arcybiskupa w Manili, z Makao d. 25. Paźdz. 1832; List X. Bisk. z Kapsy, Wik ap. w Korei, do Wydawcy Roczników, z Makao d. 14. Grhd. t. r. — Uwagi nad stanem Chrześcian w Korei.

Ponieważ nie zbyt wielka liczba exemplarzy dzieła tego się wytłacza, wzywamy niniejszém wszystkich czcicieli religii, aby się z żądaniami swemi wcześnie zgłosić raczyli, chcąc bez przerwy następne poszyty odbierać. Wszystkie księgarnie krajowe i zagraniczne przyjmują przedpłatę; w Lesznie i Gnieźnie księgarnia Ernesta Günthera. Cena jednego zeszytu, będącego pod prassą, pisma publiczne doniosą.

Przyjaciel Ludu.

Rok szósty. **Nr. 47.** *Leszno, dnia 23. Maja 1840.*

Pieczary kijowskie.

Kijów.

(Dokończenie.)

Kijów ma 3728 domów, po większéj części z drzewa, lecz mnóstwo jest murowanych: obecnie budują twierdzę Nikołajewską. Rząd czyni wszelkie starania do podniesienia tego miasta tak pod względem budowli, handlu, jako téż politycznego znaczenia. Ulice są ciasne i kręte: ludność według Schnitzlera nie przenosi 27,000. Kijów dotychczas świetnieje wspomnieniami tylko; ani pomyślność handlowa, ani wspaniałość zabudowania, dawnéj nieodpowiada pomyślności: ani Odessa, ani Moskwa, nie ma z nim wielkich stósunków, i z położenia swego, z dróg lądowych i wodnych, ważném jedynie być. może od stron zachodnich, to jest przez stósunki z dawną Polską. Czuł tę ważność Paweł I., kiedy po ostatnim rozbiorze Polski w 1798 r., kontrakty z Dubna przeniósł do Kijowa. Kontrakty te, to jest zjazd obywateli dla zawierania ugód o wydzierżawienie dóbr, pożyczkę kapitałów, sprzedaż produktów i t. p., poczynają się w połowie Stycznia i trwają do końca miesiąca. Sprowadzają one, pośrednio biorąc, do 3,500 osób; dochod z mieszkań i wynajęcia sklepów, przynośi około 60,000 rubli bomaźnych; towarów wychodzi za 500,000, rząd na zapisach ugód i stęplu zyskuje w tym samym stósunku do 210,000 rub.; ogólnie odbywają się interesa na 8,000,000 wartości. Jarmark jest rzeczą podrzędną; pielgrzymki pobożne nie zły przychód czynią. Mało przemysłu, a dostatek urodzajów, życie taniém czynią. Ludność składają Małorusini, mówiący różnym od moskiewskiego i polskiego dyalektem; ubierają się po polsku. — Początki Kijowa giną w pomroce pogańskich czasów. Najdawniejśi dziejopisowie

założenie jego przypisują Grekom Chionitom, którzy ze Scytami mieli w tych stronach handlowe stósunki, i rozmaite od Dniepru aż do Dunaju osady pozakładali. Według Lelewela Kijów założyć mieli, około połowy X wieku, Polanie, plemię sławiańskie, ośiadłe nad brzegami Dniepru W téj epoce wspominają o Kijowie pisarze bizantyńszy, pod nazwiskami: Kujah, Kujavah, Kitawa, Cujewa. Konctantyn pogrobowiec nazywa go Samvatas. Skandynawscy kronikarze kraj kijowski nazywali w tym czasie Grecyą (Graecia, Grika); miasto zaś Chanigradem, jako dawne siedlisko Hunów. Kijów słynął już wielką zamożnością przed przybyciem w te strony książąt waregskich, którzy nadawali imię Ruśi krajom przez nich zagarnionym u Nowogrodu i po lewym brzegu Dniepru. Pierwśi z nich Oskold i Dir, zamierzając wycieczki na Konstantynopol, osadzili się tu około 879 r. Oleg, pan Nowogrodu, doszedłszy do tych miejsc w tym samym, co oni, celu, tojest na Konstantynopol, ujęty powabem kraju, kazał pochwycić Oskolda i Dira, i dla zapewnienia swego panowania zamordować. Po tém morderstwie przeniósł stolicę swoją z Nowogrodu do Kijowa. Już około 945 r. widać początki Chrystyanizmu w tych stronych; uroczystego chrztu waregskiéj Ruśi, dopełnił nad brzegami Dniepru poniżéj miasta Włodzimierz I., r. 988, i uznał zwierzchność kościoła wschodniego. Pod tę epokę wystawiają dziejopisowie Kijów na szczycie świetności; miał pośiadać 400 cerkwi, 8 rynków; gmachy jego niektóre były odziane w biały alabaster; miasto siedm mil obwodu zajmowało; w tym stanie przynajmniéj znalazł go Bolesław W., gdy w 1018 r. zdobył Kijów. Monarcha ten mszcząc się najazdu złem i zamków polskich przez książąt ruskich, oraz wyzucia z dziedziny kijowskiej zięcia swego Świętopełka, przez Jarosława, księcia nowogrodzkiego, rozgromiwszy Rusinów, zbliżył się pod Kijów, który przed nim bramy swe zamknął: wziął on mocą Staremiasto, stolicę książąt, i wjeżdżając przez złotą bramę, szablą w nię uderzył; zkąd wyszczerbiony pałasz zwano szczerbcem. Przy téj okoliczności pogorzał kościół Świętéj Zofii, naówczas z drzewa, a bogactwa Teodozyi zdobyte i w nim złożone przez Włodzimierza I., zabrał i do Gniezna przenieść kazał. Nadaremnie przecież oblegał Pieczarskie, mocno bronione; musiał wracać za Bug; bo krainom jego dziedzicznym niemieckie najazdy groziły. To było jedyne w owym czasie nawiedzenie Kijowa przez Polaków: wprawdzie niektórzy twierdzą, iż Bolesław śmiały również był w Kijowie jako zdobywca, lecz ściślejsze poszukiwania nieupoważniają tego podania. Stolica jedynowładnéj monarchii ruskiéj po śmierci Włodzimierza I. (1015.) i rozdzielenia państwa pomiędzy synów jego, stała się tém dla drobnych książąt, czém był Kraków dla potomków Krzywoustego: stolicą państwa rozszarpanego na drobne kraje. W. 1037 r. Jarosław Włodzimirzowicz odbudował z kamienia kościół Ś. Zofii, na wzór katedry carogrodzkiéj, nazwał metropolią i wielkiemi bogactwy uposażył. Niedługo trwała przywrócona swietność Kijowa, trzęsienia ziemi dwukrotne i pożar gwałtowny, uszkodziły go znacznie, lecz upadek główny tego miasta nastąpił dnia 8. Maja 1169 r. Jedenastu książąt ruskich wojowało przeciw Mścisławowi Izasławiczowi, w ks. na Kijowie. Po długiéj wojnie, bramy miasta zdradą otwarte im zostały. Zwycięzcy książęta, niepomni na cześć należną pomnikom narodowym, dopuścili się ostatnich barbarzyństw, idąc tylko za popędem chciwości i zemsty: żelazo i ogień ogarnęły Kijów; kościoły: Święt. Zofii, Narodzenia Panny Maryi, pieczary uświęcone grobowcami Męczenników, dostarczyły łupów dla rabujących książąt, a czego ręka wziąść nie mogła lub nie chciała, ogień strawił. Włodzimierz nad Klaźmą odziedziczył bogactwa i godność Kijowa; książęta waregscy sami, własnym orężem, zniweczyli swe panowanie nad brzegami Dniepru; wznieśli nowe państwo; ustanowili stolicę dla siebie między Oką i Wołgą. Halicz, po upadku Kijowa, stał się stolicą Sławian przeddnieprkich, zabużańskich, którzy uznając pobratymstwo Polaków, uznali i zwierzchność ich królów, a którym z przelotnego, chwilowego panowania waregskich książąt, pozostało jedynie nazwisko Rusinów. Trwały daléj boje i najazdy książąt ruskich w kraju kijowskim: d. 1. Stycznia 1204 r. nastąpiła nowa rzeź i pożar; a miasto w gruzy zamieniono. Królowie polscy kosélali książąt z swego ramienia, i zasiłki im w ludziach dawali, lecz częściéj zajęci u siebie wojnami domowemi, niemogli stanowczego pokoju ustalić w sławiańszczyznie zabużańskiéj. Przyszli Mogołowie i zajęli Kijów dnia 6. Grudnia 1240., hołd i haracz na książętach panujących wymogli. W 1329 r., Gedymin, w. ks. litew., pokonawszy książąt ruskich nad Pierną (Irpień) zajął Kijów: mieszkańcy, znękani tylu klęskami, otworzyli swe bramy zwycięzcy, i pod jego panowaniem odetchnęła swobodnie i powstała z gruzów ta wspaniała i starożytna stolica. Panowali tu osobni książęta z ramienia Litwy aż do 1471 r. W téj epoce Kijów stał się stolicą województwa litewsk., które w 1569 r. powróciło do korony polskiéj i policzone zostało do prowincyi małopolskiéj. Jeszcze w 1415 roku, Witowd ustanowił tu metropolią greckoruską; do tego czasu archimandryta moskiewski nieprawnie zyski wielkie z tych stron ściągał, bowiem panowanie książąt moskiewskich bynajmniéj w tę ziemię ani z prawa, ani z czynu nie sięgało. Patryarcha carogrodzki odmawiał poświęcenia biskupowi, wybranemu z grona kapłanów prawosławnych: Witowd rozkazał poświę-

cić go przez biskupów, którzy do obioru tego należeli. Władysław Jagiełło biskupstwo łacińskie tu ustanowił. W 1458 r. nastąpiła dobrowolna unia z kośiołem łacińskim; pomimo to jednak, Zygmunt I. zezwoiił, aby w 1516 r. na posagę metropolity uniackiego kijowskiego, obrany był Grek prawosławny Janusz, biskup miński. Od r. 1569., gdy nastąpiło zupełne korony polskiéj panowanie, utrzymano wszystkie swobody krajowe i statut litewski zostawiono prowincyom, prawo magdeburskie miastom, które się niém rządziły, język ruski zachował się w aktach rządowych, obywatele prowincyi przypuszczeni zostali do urzędów, bez różnicy religii. Intrygi późniejsze i nadużycia panów polskich, nadweręźyły te prawa i kraj cały w wojnę wprowadziły. 1650 r. opanował Kijów Chmielnicki; 1651. Janusz, książę Radziwiłł, odzyskał go dla korony. Rozejm andruszowski 1660 roku oddał to miasto w ręce Moskali.

Kijów do 1792 r. był stolicą gubernii swego nazwiska, za Dnieprem położonéj; po drugim zaborze stał się stolicą zagarnionego na Polsce województwa kijowskiego po prawym brzegu rzeki, i dotąd jest stolicą gubernii. *J. S.*

Łowiec.

Gawęda z XVI wieku.

(Dalszy ciąg.)

„Miłe czasy," wyrzekł Struś, gdy pieśń zakończył Dymitr, „przypomina mi ta piosnka; miłe czasy, bo one, kiedy byłem małém pacholęciem. Pamiętam, raz pierwszy wysłał mię pan ojciec na niedźwiedzia, pani matka w obawie dała mi na ten raz własny swój szkaplerz. O! byłyto łowy nie lada, bo niedźwiedź tak wielki się pokazał, jakiego starzy nawet myśliwi nie pamiętali. Było nas do pięćdziesiąt człeka, chłop w chłopa, wszystko strzelcy zawołani, tylko ja fryc jeden, a podżyły Strzembosz drugi, bo lubo 50 lat z górą rachował, był mały jak karlik, a krótkonogi. Każdy z nas dobrze nabił rusznicę kulą w płótno zawiniętą — i poszliśma. Pan Gawiński, łowczy, zalecał nam wielką ostrożność z tym niedźwiedziem, gdyż był bardzo wielki, jako sam przed miesiącym baczył, bo pan wojewoda krakowski nań polował; a kazał sobie wysoko altanę zbudować i na niéj bezpiecznym się mniemał. Alić niedźwiedź przyskoczywszy, dosiągł łapą altany, i zciągnął ją razem z panem wojewodą na ziemię; ledwie się salwował z życiem, a niedźwiedź uszedł zdrowo. Był w téj kniei gajowym Waśil, chłopisko by maryacka wieża, dobrze odziany, bo śniegi spadły i zimno ściskało, miał na sobie dwa kożuchy i sukmanę. Jego pan łowczy wysłał, aby poruszył z legowiska zwierzę. Ja z panem Strzemboszem i trzema jeszcze frycami społy staliśmy, dla bezpieczeństwa: Waśił poszedł z psami: stojemy, stojemy, aż niedługo zabrzmiała knieja szczekaniem głośném: wtém przypadł do nas strzelec łowczego pomieszany, wołając, byśmy szli z nim społy, bo źle z Waśilem, gdyż psy w jedném miejscu dojadają. Więc sześciu razem ruszamy; uszedłszy z kilkoro stai, w przerzedzonym leśie widzimy psy, aż téż miły Boże! leży biedny Waśil, a duśi go niedźwiedź; pśi kołem otaczali, naszczekując zajadle. Co tu robić? gdy jeden z fryców niepytany, ni proszony, na wiatr wystrzelił. Niedźwiedź puszcza Waśila, rozbija psy i prosto biegnie w naszą gromadę. Strzelec mierzy, strzela, ale z pośpiechu nie trafia go dobrze, kula przeszła po słabiznie. Rozjadła się tém więcéj bestya, rzuca się ku nam; strzelec w nogi, my za nim, a biedny Strzembosz krótkonogi niemogąc zmykać, gdy ulgnął w śniegu, tyle miał przytomności, że się zwrócił i rusznicę wymierzył. Z mrukiem, na dwóch łapach, spieniony, zażarty, szedł nań z iskrzącemi oczyma niedźwiedź, a my rozbiegli zdala z drzeniem, patrzaliśmy końca. Huknął wystrzał, zadymiło, potém widzimy na ziemi razem leżących Strzembosza i niedźwiedzia. Zbiegają się strzelcy, idziem gromadnie, lecą psy, i dopiero zobaczyliśmy, że zwierzę zabite przygniotło zemdlałego ze strachu Strzembosza. Wydobyty, otrzeźwiony, wziął zeń skórę i łapy sobie na pamiątkę: tak dziwném zrządzeniem Opatrzności, największy wonczas niedźwiedź w całych powiatowych lasach zginął od fryca. Pamiętał go długo Waśil, że pomimo dwóch kożuchów i sukmany, zdarł mu skórę na żebrach."

„To zdarzył przypadek szczególny, wszakże mamy i mieliśmy łowców śmiałych śilnéj ręki i wielkiego serca. Na dworze pana Jana z Tęczyna znałem strzelca, co na dziki niewychodził, jeno w kapturze z surowcowéj skóry, który mu głowę i twarz całą okrywał, bo z małemi otworami na oczy i do oddechu, a za broń jedyną, kordelas długości dobréj stopy, obosieczny, hartowny i ostry kończysto. Tak przybrany i zbrojny, czekał na przesmyku, póki psy nie ruszą dzika; a kiedy ten począł uciekać, w biegu go dosiadał. Wonczas trzymając się jedną ręką krzepko na nim, prawą zatapiał kordelas w żywot i wypuszczał jelita. Jakiéjż to potrzeba odwagi i siły, aby dosiedzieć, gdy wieprz rozjuszony w szalonych skokach, chciał się nieraz pozbyć zgubnego ciężaru: byłto widok straszny, gdy leciał wśród upału słonecznego gęstwiną zimną, chłodną, bo tam promień słonka nie mógł przejrzeć od czasu, gdy Bóg świętą stworzył ziemię: a leciał staj kilka i więcéj za nim zuchwały strzelec, dobył jelita i zdołał przeciąć skórę grubą, okrytą szczeciną twardą, smolną i zbłoconą. Raz pomnę wieprz ogromny, wyruszony z legowiska, leciał; strze-

łec dosiada, ale zwierz w taką gąszcz się zwraca, że szarpany gałęziami, rozbity pniami, począł siły utracać. Leciał więc długo i daleko, aż wypadł na małą łączkę, i dzięki Bogu! trafił na swego brata, co stał na stanowisku. Łowiec poznał brata na dziku, usłyszał słabe wołanie, więc mierzy, a kula kładzie wieprza na miejscu. Upadł wraz z strzelcem, ugodzony w samo czoło: długo poleżał śmiałek, nieprzestał wszakże dosiadać dzików, których dla zabawki pana swego przywodził żywcem z kniei, przy pomocy dobrych kundlów.“

Struś uśmiechał się, nasłuchując, w końcu opowiadania przemówił:

„Mościwy panie podstoli, w mojéj chorągwi miałem jednego towarzysza, podobnego śmiałka; w oczach moich dwa razy wskoczył na dzika, ale raz trzeci zawiodły go oczy, zamiast na grzbiet, upadł przed wieprzem, a jedno kła białego cięcie, pozbawiło go żywota; wpół przecięty, bez męki skonał.“

Dymitr spojrzał na starego Grzegorza, który odstąpiwszy od komina, gdzie gotował wieczerzą, wyprostował pochylone barki i z dumą spoziérał.

„Owoż,“ rzekł Dymitr, wskazując nań, „i nasz kuchmistrz należy do rzędu podobnych śmiałków; cztery dziki tak zakłuł, a podarty kaptur wiśi nad jego łożem, dla pamięci, co dokazywał w młodych leciech; a przecież mnie nigdy niepozwolił, abym z jego rzucił się kordelasem.“

„Dobrze zrobił!“ zawołał podstoli; „życie Bóg dał człowiekowi nie dla igraszki.“

Wtém misa kapusty kwaśnéj z suto krajaną zwierzyną, ukazała się na stole, wraz z trzema dzbanami cynowymi piwa: gdy wkrótce misę wypróżniono, wychylono dzbany, drzymka, poprzednik snu błogiego, poczęła łowców sklejać oczy; po odmówieniu więc modlitwy wieczornéj, przygaszono ogień na kominie, a strudzeni gospodarz i goście smacznie zasnęli.

4.

Zaledwie zorza prześwitywać zaczęła, gdy się zbudził Dymitr jękiem Strusia, który ufając zbytnie żelaznéj budowie swojéj, za wiele jadł i popijał wczora. Rana, kłem dzika zadana w udo, nie była tak lekka; owiązanie spadło w śnie gorączkowym, niespokojnym, i na nowo krew trysnęła. Zerwał się Dymitr na nogi, co rychléj na nowo obwiązał ranę, nogę całą wysmarował skromem zajęczym, a dla uśmierzenia boleści, podał w winie krople bobrowe, obwiązawszy żywot skó.ą tura. Lubo jak najciszéj robił te starania około chorego, zbudził się podstoli.

„Kiedy (rzekł) tak cierpi nasz sąsiad miły, trzebaby go odwieść doma, bliżéj ztamtąd do Sandomierza i po lekarza snadniéj posłać.“

I wnet zerwawszy się z posłania, kazał zaprządz do swéj kolasy, na którą corychle przeniesiono Strusia. Dymitr konno wraz z podstolim jechali obok, a za nimi drużyna strzelców przeciągała zwolna i w milczeniu, jak orszak pogrzebowy. Wydobywszy się z puszczy, wjechali na tak zwany dawniéj gościniec, wązki jak dzisiejsze dróżyny uboczne, odznaczony tém jedynie, że mniéj murawą zarastał od dróg mniejszych; na nim to znajdowałeś owe niegodziwe mosty, postrach podróżnych, gdzie konie łamały lub wykręcały sobie nogi, a których pamięć zachowało przysłowie: że „polski most, niemiecki post, włoskie nabożeństwo, to wszystko błazeństwo.“ Cztery mile jechano dzień cały, zanim zabielał w klonowym gaju, domek Strusia. Wniesiono rannego, i złożono na łożu. Bartosz, stary jego sługa, ze łzami w oczach otulał Strusia niedźwiedzią skórą, naniecił spory na kominie ogień, i radził posłać do staréj Gertrudy, baby leczącéj w okolicy.

Ha no! pośléj mój Bartoszu i po babę, możeć co w to trafi,“ odrzekł na nalegania sługi pan Struś, „ale zobacz, jaką mieć będziemy jutro pogodę, bo i miesiąc świeci.“

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Arabowie i konie arabskie.

(Dalszy ciąg.)

Przepowiednie Mahometa względem rozmaitych cech i znamion rumaków arabskich, równie też względem pomyślności, oraz nieszczęścia, które cechy takowe zapowiadają.

W imie Boga najdobrotliwszego pokłon Bogu, Stwórcy ludów. modlitwa prochu do Pana przyszłości: orędowniku nasz, Mahomecie, przyczyń się za wszystkimi społem naszymi przyjaciołami.

I to jest książka nauki rycerskiéj, i poznanie się na dobrych przymiotach koni, ich wieku, ich znakow, i tego wszystkiego, co jest przeznaczone rycerzowi w szczęściu lub nieszczęściu.

Strzeż troskliwie jak oka swojego, uważając tych znaków, bo one was nauczą ze składów czoła, innych członków, z przyrody włosów, z farby szerści, białéj nogi, przedniéj lub tylnéj, z których poznać można wszystko to, co może się przydarzyć jeźdźcowi razem z przepowiednią: ran i saméj śmierci. Księga ta nauczy razem o wadach i przymiotach wierzchowców szlachetnego ich pochodzenia rodu Kokel konia twardoustego i tych w każdéj rzeczy. które w domu przynoszą szczęście lub nieszczęście, tych, jakie postąpić powinny do stajen Monarchy, za których własciel ozdobionym będzie kaftanem lub futrem honorowém, a wszystko przepowiedziano będzie przez znaki odmiany, skład konia i szerść.

Poczniemy od znaków pomyślnych i obiecujących rączość wierzchowca.

Dwa białe znaki, znajdujące się za uszami, jakich nagłówek zasłonić nie może, oznaczają konia bardzo rączego i śilnego, który szparczszym będzie na końcu, niżeli z początku jazdy, a do tego znak taki długie życie obiecuje dla jeźdźca: jeśli te znaki podsuną się bliżéj pod nagłówek, wszystkie te obiecane przymioty będą w miarę tego mniejszémi: jeśli te znaki znajdą się z boku uszu równoległe, to wszakże, iż trzeba będzie tego konia oddać dla Agi, albo, że właściciel będzie zmuszonym jakoś o obowiązku, albo nakoniec, że ten wierzchowiec będzie skradzionym, i tak, jak był pełen ognia, obróci się w sutego i leniwego; albo jeśli który z tych znaków będzie dłuższy od drugiego, przepowiednia obiecuje, że nie tylko ten koń skradzionym zostanie, ale i właściciel jego ubitym będzie — jeśli wierzchowiec mieć będzie dwa jednostajnie znaki na obu bokach pierśi, właściciel dobrze wypełni powierzoną sobie czynność, ale jeśli będzie miał jeden taki znak, lub dwa na jednymże boku, pomyślność zostanie wątpliwą. Biały znak z obudwóch stron pierśi aż za strzemionami, znaczy biegłość i pewność; taki znak skrzydłami nazwany.

Plamy pod brzuchem dają bezpieczeństwo jeóździcowi, i nigdy koń taki z nim nie upadnie; dwie plamki na skroniach przepowiadają, że jeździec będzie spotwarzony; jedna plamka na łopatce przepowiada jeźdźcowi nieszczęście.

Wierzchowce, posiadejące znaki na obu bokach ogona, są niegodziwe, źle pełnią całą swoję usługę, a nigdy dobrze, zwłaszcza, jeśli nie posiadają żadnych innych znaków; te konie, które mają trzy lub cztéry plamki na czole w jednéj dyrekcyi, obiecują, że jeździec ranionym w twarz będzie, albo jeśli te plamki czyli znaki są przedzielone szerścią nastrzępioną, wtedy otwarty jest grobowiec dla jeźdźca.

U tych konie, co tylko jeden znak mają na czole, który się wznośi jak palma czy pióro, ten znak obiecuje wielki majątek, nazywają go drogą do fortuny. Ale ten koń, co ma znak taki na wyższéj części przedniéj nogi, obiecuje jeszcze większe szczęście, bo ten znak jest nazwanym ręką boską, a jeśli taki znak znajduje się na obu przednich nogach, na takim koniu jeeździec śmiało naciera na dwudziestu konnych rycerzy, on ich zwycięży, i z bitwy powróci bez rany; ale jeśli biała plama znajduje się na przedniéj pęcinie, biada temu, który się potkać z tym jeźdźcem ośmieli!

Wierzchowiec, ktory mieć będzie dwie plamy na ramieniu, właściciel odkryje skarb dla panującego. Wierzchowiec uparty ma pospolicie małe oczy z ściśnionemi nozdrzami, dla których płuca roztwiérać się nie mogą. Konie szlachetnego rodu mają początek ogona cienki, a chrząstki pacierzowe mocne.

(Opuszczają się w tym spisie prognostyki, wypływające z urody i ruchawości konia, jako uwagi mało godne i mało zrozumiane.)

Koń gniady, który żadnéj odmiany niema na froncie, ani czarnego włoska na grzbiecie, obiecuje szkodę właścicielowi, będzie skradziony lub ubity.

Ani na moment nie trzymaj konia, który będzie miał pstre nogi; niech cię Bóg strzeże do niego przystąpić; ten nieodmiennie szkodliwym będzie dla swego pana.

Koń z odmianami na chrapach, obiecuje lekkie tylko rany jeźdźcowi.

Wierzchowiec biało-nogi z czarnémi plamami, obiecuje także rany; jeśli tylne, dla jeźdźca; jeśli przednie, dla konia.

Bóg, Stworzyciel wszystkiego.

Chceszli przedsięwziąć odległą podróż, z boską pomocą siadaj na kasztana z obiema przedniemi białemi nogami i lewą łylną; jakiéjbykolwiek był maści, byleby miał te odmiany, będzie dobry.

Piękny ogon oznacza wytrwałość w biegu, śmiało siadaj na dereszowatego, a szczególnie, jeśli grzywę, ogon i nogi ma czarne.

Koń, co skład i ogon ma grube, nic nie wart do biegu, lecz taki jest dobry do pociągu.

Nie siadaj na wierzchowca z gwiazdą na czole, któryby nie miał nic białego na nogach, on ci zrządzi nieszczęście.

Koń siwo-jabłkowity z okrągłą plamą na chrapie, obiecuje, że pan jego otrzyma futro honorowe.

Konie, co podnoszą wysoko swoje białe nogi, są niebezpieczne; a jeśli białość nogi wyżéj się podnośi z prawéj strony, niż z lewéj, uciekaj od tego konia, bo on nośi oznakę swojéj nikczemności.

Nie siadaj nigdy na konia tych trzech maści: albo myszatéj, albo maści łasicy, albo maści małpiéj.

Bosła klacz jest skarbem. Gwiazda na czole, posuwająca się ku lewéj stronie, obiecuje dobre skutki w interessach.

Wszelkiéj maści konie, coby miały wszystkie nogi białe, są pożyteczne. Siadaj śmiało na konia karego z białemi przedniemi nogami po kolana i z gwiazdą na czole, bo on cię obroni od czarów, otworzy ci wszystkie wrota, dostanie uczczenie od panów, będziesz miał pieniędzy dostatek, i żaden łotr do twego domu nie wejdzie.

Jeśliby koń gniady miał grzywę i ogon jednostajnie ciemne, nie siadaj na niego, on wypędzi z domu twego niebieskie błogosławieństwo; a jeśli to wszystko będzie czarue, choćby i nogi, a trochę białego na czole, śmiało siadać możesz; kiedy jest przerwana i nie na samym środku, strzeż się; klacze, które mają ruse włosy nad pęciną, są płodne; a ogier, co ma szerść dereszowatą, wyborny stadnik.

Wszystkie konie mające włos grzywy i ogona jednego koloru, mają pospolicie dłuższe od zwyczajnych grzyw i ogonów, i koloru ciemniejszego od innych części, oznaczają, że właściciel utonie na morzu, albo zagrzęźnie na trzęsawicy.

Każdy koń, który ma twarde kopyta, nie tylko jest zkolny do biegu, ale téż jest bardzo cierpliwym.

Gdy swoją dłonią możesz zająć cztery żebra, od najkrótszego poczynając, możesz z pewnością sądzić, że koń jest rodu Barka.

Jeśli tylko dłonią zajmiesz trzy żebra, będzie rodu Kolenheyl, a w końcu jeśli twoja ręka pokryje dwa żebra, to będzie rodu Imana-Alb-Abitanii, a Bóg niech będzie miłosierny.

Koń, który na udzie ma znak, jak grzebień koguci, jest z rodu Fers; im mocniéj będziesz go popędzał, szparczéj pobieży.

Konie, które mają nogę krótką, szyję krótką, golenie długie, złe są do biegu, nie lubią strzemion, które służą w miejscu ostrogi.

Koń, który ma na czole gwiazdę mieszaną białą i czerwoną, przepowiada, że głowa jeźdzca niezawodnie upadnie pod żelazem, choćby ten koń zawsze stał w stajni.

Nie lękaj się konia jakiego bądź czarnym pasem od ogona przez grzbiet.

Koń, który ma znak biały na krzyżu i na udzie, zrobi swemu jeźdźcowi sukcessa u kobiet.

Kasztany z wielu białemi odmianami gniade, z wielu czarnościami u nóg, z białościami koło uszu, są przeznaczone do stajen sułtańskich.

Koń, który będzie miał białość na wargach, a razem i pysk niewielki, prędzéj pobieży niż wiatr.

Konie, u których się znajdzie włos kręty w pęcinie, są niebezpieczne dla sąsiadów, którym właściciel konia nie da nigdy pokoju.

Konie, które mają znak czarny na podniebieniu, naniosą w końcu nieszczęścia, są złośliwe, kąsające, bijące i właścicielowi niebezpieczne.

Te, co rżą, kiedy są głodne, prędko zdechną, ale właściciel długo żyć będzie.

Konie, co prędko się kładą i również zrywają do wstawania, są żarłoczne, ale właściciel bezpieczno na nich siedzi.

Te, co od początku życia do końca mają pociąg włosa wichrowatego, przepowiadają właścicielowi więzienie, ale straże tych więzień będą im życzliwe.

Koń z szeroką łopatką łatwo upada, ten co na bok nosi ogon, przyniesie nieszczęście żonie właściciela, umrze, albo będzie porzucona.

Koń, maści soczewicy, przyniesie właścicielowi wzgardę powszechną, i sam będzie wzgardzony od wszystkich.

Klacze, w stajni wiązane, które rozgryzają uzdzinicę, są zawszr niespokojne, a przy nich i właściciciel nie ma pokoju.

Koń, mający białe zęby, jak mléko, i pysk takiż, i dwie plamki na języku, obiecuje swemu panu, że zostanie gubernatorem.

Koń, który ma obrączkę przy pysku, obiecuje swemu panu książęce honory.

Kara klacz, bez żaonéj odmiany, przyniesie nieszczęście swemu jeźdźcowi i sobie saméj.

Koń stalowo-śiwy, z białemi plamami na krzyżu, będzie szkodliwy sąsiadom. Pan jego zawsze nieszczęśliwy w pożyciu, dozna wiele przeciwności domowych.

Każdy koń, jakiéjbykolwiek był maści, z czarnemi plamkami pod pęciną, jeśli te plamki będą parzyste, żadnéj szkody nie przyniesie, jeśli nie parzyste, zawsze będzie z niego zła bestyja, jeśli inszych nieprzyzwoitości dla właściciela nie stanie się przyczyną.

Nie siadaj nigdy na kasztanowatego fryzowanego, te konie gubią włałciciell, ale jeśliby miały trzy białe plamki pod piersiami, a jednę nad łopatkami przy poczęciu szyi, z takiemi niebezpieczeństwo dalekie, i można jechać na skotkanie nieprzyjaciela.

Koń, którego strzałka zatrzyma się na nosie, wierzga nadzwyczaj, i jeździec spadnie, choćby był najlepszy.

Nie siadaj nigdy na klacz powę z wielkim łbem i wielkiemi uszami, i nie trzymaj jéj ani chwili w stajni.

Ale Bóg wszystko uczynił!

(Przekład z arabskiego przez J. B. Bandin drogmana Milady Stanhope.)

(Koniec nastąpi.)

Zgoda o Barbarę i Koronacya.

R. 1550.

(Ciąg dalszy.)

Ale nie na tém skończyły się uroczyste odwiedziny króla w Wiśniczu. Pierwiastkowy ich powód głębsze ukrywał zamiary. Tam bowiem istotnie dokonany został tajemny układ o przyszłą koronacyą Barbary. Nim August opuścił zamek rodzinny przemożnego Kmity, obowiązał się uroczyście gotowy już do wszelkich usług wojewoda, całym swoim wpływem u szlachty, wesprzeć zamiar królewski włożenia korony na głowę Barbary, bez zwoływania sejmu. Król także, prócz pomocy od Kmity, zręcznem postępowaniem, znajomością ludzi i środków działania, a nadewszystko zastósowaniem się we względzie różnowierców do widoków duchownych członków senatu, zjednał ostatecznie dla siebie Arcybiskupa gnieźnieńskiego i prawie wszystkich innych Biskupów. Chociaż postępowania Augusta w sporach religijnych zawsze były ostrożne i umiarkowane, rozsądziwszy je-

dnak na sejmie piotrkowskim sprawę Oleśnickiego, oskarżonego o utrzymywanie w domu w Pinczowie, głośnego w ówczas z rozsiewania nauki Kalwina, Stankara (*), z zadowoleniem obu stron prawie, wydał edykt, czyli też rewers, jako heretykom urzędów rozdawać nie będzie (**). Taka powolność królewska, skutek zobopólnych ustąpień między dworem a władzą duchowną, sprawiła to nakoniec, że Prymas Dzierzgowski stał się gotowym do ukoronowania Barbary podług woli Zygmunta Augusta. Szło tylko o sposobność wykonania tego obrzędu, bez narażenia się na nowe trudności, i bez zwłoki; a układ o to, został do niejakiego czasu głęboką tajemnicą. Kiedy to się działo w Koronie, zajęty sprawowaniem rządu w Litwie Mikołaj Radziwiłł, podczaszy litewski, a bliskiego dokonania rzeczy oddawna świadomy, niecierpliwie oczekiwał wezwania siebie na tę uroczystość do Krakowa. Gdy jednak długo na próżno wyglądał poselstwa od króla, zdjęty obawą, ażeby przez tajemne zabiegi dworaków nie został od wszystkiego odsuniony, napisał do siostry list, usilnie jéj przekładając swoję niespokojność: ażeby z łaski królewskiéj nie był wypuszczony, i prosząc, aby jeśli nie mógł mieć udziału w samych układach o koronacyą, przynajmniéj obrzędowi jéj był obecnym. Ciekawa na to odpowiedź saméj Barbary, wartą jest wiadomości czytelnika tych pamiętników.

„Barbara, z łaski Bożéj i t. d. (***) Wielmożny panie bracie, nam uprzejmie miły. Aby w. m. długo a dobrze zdrów byli, tego w. m. życzliwie sprzyjawamy, Wyrozumieliśmy z listu w. m. to wszystko, coś nam w. m. pisać raczył. A tak, iż w. m. z tego wielkie kochanie mieć raczysz, iż za łaską Bożą, za osobliwém dobrodziejstwem i łaską króla pana i małżonka naszego miłościwego, ktemu już przychodzi, iż J. K. M. to z łaski swojéj tak sposobić raczył, że to już na tym kroku, co w. m. i naszemu dostojeństwu królewskiemu zobopólnie wielce należy, w tych cząślech dojść i skutecznie się dokonać ma; tedy już w tém niewątpiemy, że w. m. ztąd wielką pociechę masz i mieć zawsze będziesz. Za co panu Bogu a królowi J. M. tak wielkiéj łaski i dobrodziejstwa wiecznóm zasługiwaniem dziękować jesteśmy powinni.“

„Jako nas w. m. prosić raczysz, abyśmy przyczynę naszą ku J. K. M. uczynili, iż gdy w. m. ku układu w téj mierze nie jest przypuszczon, aby jednak ku gotowéj już rzeczy tu przyjechać mógł; my Bóg wie w téj ryeczy niewiemy, aby mimo samą K. J. M. osobę, kto inny ku temu radą swą przyczyniać się miał; i owszem jaką o tem wiadomość mamy, próżnoby sobie to kto przypisywać miał, aby téż co ku temu pomagał. Ale to nikt inny, tylko sam K. J. M. okrom wszystkich wiadomości, i tych, którzyby się znać z tém chlubić chcieli, sprawić to z osobnéj swéj łaski raczył. A tak samemu tu tylko królowi J. Mci., a jego wielkiéj przeciw nam służebnicy i małżonce swéj, łasce własnéj, ma być poczytano.“

„Co téż w. m. pisać raczysz, aby nakoniec w. m. od swego tu przyjechania ku J. K. M. tymczasem niebył odrażony, i gdyż w. m. od innych K. J. M. słów niejako widzisz się być odepchanym, a tak my w tém wszystkiém ku J. K. M. raczy pilnie przyczyniać się będziemy, bobych jeszcze z osobnéj łaski i miłości naszéj przeciw wam, nieradzibyśmy tego widzieli, aby w. m. w czem najmniéj był upośledzon. Jakoż i do tego czasu mało widzimy w. m. w czem byc przed kim urośledzonym u. J. K M. osobnéj swéj przeciw wam łaski, i z tego, że w. m. pod swą niebytność wszystkie sprawy i potrzeby onego wielkiego a sławnego księstwa swojego, które do tego czasu w. m. sprawować i owe mimo inne wszystkie, tylko z Księdzem Biskupem, a z panem Hornostajem, na sobie mieć raczysz. Wszakże jednak i w tém J. K. M. waszéj miłości upośledzić niechce. I owszem już to jest wola króla J. Mci., aby w. m. ku temu czasowi tu do J. K. M. przyjechać raczył, które w. m. przyjechanie, jako i pod którym czasem być ma, tedy to wszystko w. m. z króla J. Mci. listów będziesz dostatecznie raczył wyrozumieć. Żądamy przytém w. m. od Pana Boga długo a dobrze być zdrowym.“

„Życzliwa siostra

Barbara królowa.“

„Dan w Drwani, w piątek po Ś. Krzyżu (20. Września), r. bożego 1559.“

Zapis na liście: „*J. Mści., panu Mikołajowi Radziwiłłowi, w księstwa litewskiego podczaszemu, bratu nam uprzejmie miłemu.*“

(*) *Bandtkie II., 113.*

(**) *Andrzéj Węgierski, pisarz historyi kościołów reformowanych słowiańskich, tak opisuje całą tę okoliczność: „Sed horum et evangelicorum hostes, nacti postea occasionem commodam postulante Sigismundo II. Augusto rege, coronationem uxoris suae Barbarae Radziviliae, renuerant obstinatius eo nomine, quod inconsulta rep. illa nupisset; tam diu vero coronationem reginae denegabant, donec extorsissent a rege, contra haereticos edictum sine scitu senatorum et ordinis equestris. Decreti hujus, sive edicti regii adversus evangelicos, summa haec est: Promittebat rex episcopis, sollicite id ab eo petentibus, nullos se deinceps haeresi infectos, in senatum adsciturum, nec ullos honores in eos collaturum. Quodsi, qui apud ipsum delati foret, qui sub specie Christiani nominis Catholicam tollerent doctrinam, eosse extorres facturum. Datum et publicatum id decretum fuit Cracoviae anno 1550., ibid. Decembr.“ etc. — Ob. Andreae Wengerscii, libri quatuor Slavoniae Reformatae etc. Amstelod. 1679, Lib. II., p. 208.*

(***) *P. N. I. 452.*

Reszyd Pasza, minister spraw zewnętrznych w Turcyi.

Reszyd Pasza, pierwszy dziś Porty ottomańskiéj minister, co w państwach samowładzcy swego ważne zmiany na wzór innych Europy mocarstw zaprowadził, z niewolnika starego wezyra Chosrewa Paszy, na tak wysoki dostojności stopień wyniesionym został. Nadpospolite zdatności Reszyda zjednały mu nasamprzód łaski pana, tak, iż udarowanego wolnością, ministrowi handlu polecił. W kilka lat użył go tenże do negocyacyj z Francyą i Anglią, dokąd nawet podróż odbył, podczas któréj na wszystko jak najdokładniéj uważał, coby do Turcyi zastósowaném być mogło. — Od czasu śmierci sułtana Mahmuda, jest Reszyd Pasza najdzielniejszą podporą walącego się państwa tureckiego. Ostatni, w nowszych czasach wydany Hatti-

Reszyd Pasza.

sheriff, który niektórzy Kartą konstytucyjną Turcyi zowią, jego jest dziełem. Czas pokaże, czyli usiłowania Reszyda Paszy pomyślnym uwieńczone będą skutkiem.

Nr. 6ty. Przewodnika rólniczo-przemysłowego zawiera następujące artykuły:

O umorzeniu czynszów włościańskich. (Artykuł czytany na posiedzeniu wydziału przemysłowego w Gostyniu.) — Nowy sposób mycia wełny. — O trawach. — O tarcu, czyli węglu kamiennym. — Opis pieca do palenia kości (z rysunkiem). — Rozmaitości.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. *(Red. J. Łukaszewicz.)*

Przyjaciel Ludu.

Rok szósty. **No. 48.** Leszno, *dnia* 30. *Maja* 1840.

Łowiec.

Gawęda z XVI wieku.

(Dalszy ciąg.)

Wyszedł na ganek Bartosz, obejrzał się na wszystkie strony i powrócił do izby.

„Niepewnać, panie mój, pogoda — miesiąc w liśiéj czapce, a Jaśio dmie od zachodu.“ (1)

„Chciałem wam, mili sąsiedzi, jutro uciechę zrobić na stado jeleni, co mam je w swojéj knieji, ale i z tego nic nie będzie, bo mój Bartosz zna się na czasie, jakby kalendarz krakowski pisał.“

Bartosz z radością pogłaskał się po czuprynie. „Niedopieroć człek na świecie, a potém w tym dworze mieszkamy razem z panem już lat trzydzieści.“

„Tak! żywie Bóg prawda, co wyrzekł; jako zajrzycie w około (prawił Struś, uniósłszy się z łoża i wskazując w okno), była ta knieja i ładna, gruby źwierz gnieździł się rado, jak ten dworek i ten podwórzec. Ja sam toporem i mój Bartosz niemało powaliliśmy modrzewiów, jodeł, cisów, klonów i dębów, zanim zbudowaliśmy domostwo i gumna małe, zanim i sioło powstało, coraz większe rok po roku. Po trzydziestu leciech owoż stoi wieś, co liczy czterdziestu gospodarzy rolnych. — Ten gołębnik, co widzita, jestto pień pamiętnéj buczyny. Miałem żwawego pacholika Marcina, właśnie zbudowałem dla siebie domostwo, a w okół knieja, gdzie nie było raritas spotkać się z niedźwiedziem. Mój Marcin toporem chciał rąbać buk gruby, kiedy wypędzony z legowiska bat'ko (2) ku niemu. Marcin, co nieczuł zająca w sobie (3), uskoczył za buczynę, niedźwiedź za nim; tak w kółko czas niejaki tańcowali, aż wreszcie, pan bat'ko myśląc, że obejmie drzewo razem z pacholikiem, objął go łapami, a Marcin po wierzchu przytrzymał, i począł wrzeszczéć. Mój Bartosz to zobaczył, i oszczepem zabił rozjadłe zwierzę; owoż i skóra, która mię otula. Marcin chorował ze trzy niedziele, i na widok bat'ka pocił się trochę.“

Bartosz spojrzał dumnie i rzekł: „Kat ci tam Marcin nie miał leżyć w niemocy, kiedy mu u kolebki wywróżono, że od niedźwiedzia zginie, i tak się stało; w kilka lat potém, bo na łowach chybił niedźwiedzia, a ten, jak go pogłaskał po żebrach, we trzy doby skonał.“

„Czasem takie przepowiednie ziszczają się na ludziach (wyrzekł podstoli); domowi zacnego rodu z Koniecpola wywróżono, że studnia ród ich połknie. Kto dożyje ostatniego potomka, uwidzi, czy prawda. (1)

(Dalszy ciąg nastąpi.)

(1) Miesiąc w liśiéj czapce, gdy we mgle; Jaśiem zaś dotąd lud wiatr nazywa: młynarze nie inaczéj mówią, tylko, że Jaś obraca wiatrak.

(2) Bat'ko, ruska ludu nazwa niedźwiedzia.

(3) Czuć zająca w sobie, t. j. bojaźliwym, trwożliwym tchórzem podszyty.

(1) Wedle podania ludu, miała się ziścić wróżba: Mamka z ostatniém dziecięciem tego rodu stała nad studnią, gdy jeden z dworzan nastraszył ją nagle; wypuściła dziecię w studnię, z któréj dobyto, ale nieżywe.

Pamiątki z Krakowa.

Kmita Piotr.

(Wyjątki z listów pisanych dnia 6. Maja 18..)

....Jeżeli lubisz posępne i uroczе milczenie świątyń, jeżeli potrafisz rozumieć tajemną mowę pamiątek, jeżeli lubisz myślą zapuszczać się daleko w pomrok przeszłości; idź pod wieczór do katedry krakowskiéj; tam nic nie przerwie świętego milczenia, tam nic nie zmięsza dumania twéj duszy i serca, zaledwie dosłyszysz harmonię olbrzymich dzwonów, która zwolna głuchnie pod sklepieniami świątyni, a zachodzące słońce po ścianach i obiciach z adamaszku, wiesza złote wianki nad grobami i nad pamiątkami dawnych zwycięstw i chwały. Setne twarze z marmuru i z miedzi, zwabią twoją uwagę; wspaniałe groby królów i rycerzy, pamiątki ich wielkości i potęgi, te dotykalne sny przeszłości, pochwycą twoją duszę i przepełnią serce.

Lecz przy wielkich drzwiach kościoła, w posępném cieniu czarnych filarów, mało kto zauważał wspaniałą postać rycerza, a jednak kamienna twarz jego spogląda na wchodzących przychodniów; zupełna okrywa go zbroja od stóp do głowy, lewą rękę wsparł na głowni szerokiego miecza, a w prawéj trzymał kopiją, z takiém męztwem używaną niegdyś od rycerstwa dawnéj Polski. Chociaż twarde i surowe są zarysy jego twarzy, lecz z pod lekkiego hełmu widno wyraz, co oznacza męztwo, godność rycerza i zimną odwagę wojownika. Jego postawa jest niedbała; zdaje się, że dopiero

wstąpił do przybytku świętego po bitwie pod Wiszniowcem lub Orszą, ażeby złożyć dzięki Przedwiecznemu — i nagle skamieniał.

A jednakże cień rzucony od czarnych filarów chóru, posępne światło z pobocznych kaplic, w szczególném świetle okazują wspaniałą i surową postać wojownika polskiego; zda się, że z téj kamiennéj twarzy błyśnie promień życia, że stąpi nogą i stalowy behter chrzęśnie, a szeroka szablica zadzwoni o marmury kościelne.

Lecz i jak dziwne sprawia wrażenie ten zbrojny rycerz północy, obok posągu Włodzimierza; jak sprzecznie odbijają twarde zarysy jego twarzy i ciężka zbroja, szeroki miecz i postawa rycerska i groźna, obok czystych i łagodnych zarysów greckiego posągu; ponury cień i tajemnicze światło, czynią go podobnym do straszliwego ducha bojów. Włodzimierza posąg ukazuje się w świetle jasném jak gieniusz pokoju; czysty i prawie przejrzysty marmur, tworzy jego doskonałe kształty: na pięknéj, mężkiéj i łagodnéj twarzy, jaśnieje uśmiech szczęścia, pokoju i sławy; brakuje tylko ciepła żywotnego członkom, a pierś wzruszy się i oko zajaśnieje życiem. Patrz, jak miękkie i lekkie składy jego tuniki; zda się, że mały wietrzyk wstrząśnie niemi i rozwieje włos na jego czole. Porównywając te dwa posągi, ktokolwiek czuje, co jest prawdziwie piękne, dozna szczególnego uczucia, — dwie sprzeczności, a jednak jaka dziwna harmonia między niemi. Jak silna burza twardéj jesieni i pogodny ranek wiosenny; jak obraz ognistéj łuny pożaru, obok obrazu wschodzącego słońca; jak dzikie i krwawe tło średnich wieków, obok łagodnych i romantycznych czasów Arystomenesa i innych bohatérów Messenii; takim wydawał mi się posąg północnego rycerza, obok posągu stworzonego ręką mistrza, obok posągu Włodzimierza.

Lecz któż to jest ten rycerz, — to jest: Piotr Kmita, syn Dobiesława, marszałek wielk. kor., wojewoda krakowski, herbu Szreniawa. I mieczem i radą przysługiwał. on się ojczyźnie, albowiem w bitwach pod Wiszniowcem z Tatarami, pod Orszą z Moskalami i na Rusi z Turkami, dał dowody męztwa i odwagi; w większéj też wagi interessach ojczyzny do różnych monarchów, ze sławą narodu i imienia swego, poselstwa sprawował. Onto miał zlecone rządy starostwa spiskiego. Podczas wojny Jana z Ferdynandem o królestwo węgierskie, Kmita utrzymywał tajemnie stronę Jana, króla węgierskiego, gdy chciał kryjomo Antoniego Rynkona, francuzkiego posła, z pieniędzmi i bronią, na pomoc Janowi idącego, przez kraj niemiecki przeprowadzić, mieszczanie z Koszyc i z Bardejowa, wypadłszy, Kmitę w tak ciasném miejscu obskoczyli, iż lubo zbrojną ręką drogę sobie otworzył, atoli kilku utraciwszy, sam ledwie niebezpieczeństwa uszedł. Chciał się pomścić Kmita na kupcach, z Koszyc do Polski jadących; lecz gdy Ferdynand się za nimi do Zygmunta przyczynił, a mieszczanie się za to pod karę poddali; Kmita kupców już zabranych wypuścił, i urazę darował. Piotr Kmita statecznie zostawał w jedności z Kościołem rzymskim; pokrzywdzonym, w ucisku będącym, ubogim, radą i pieniędzmi, pomoc i wsparcie dawał: umarł roku 1505.

Nie sądzę tego posągu według ścisłych zasad reguł i sztuki, — wykończenie, delikatność dłuta, rozmiar jego członków, dalekiemi są od arcydzieła Thorwaldsena. Patrzałem na wszystkie pamiątki okiem poety, marzyciela; o ile posąg Włodzimierza działał na mnie pod względem sztuki i poezyi, o tyle Piotr Kmita pod względem pamiątki, piętna i kolorytu swoich czasów, zajmował całą moją uwagę, a porównanie ich ze sobą sprawiało urok, któren słabo usiłowałem opisać. Wszakże sam mistrz w téj sztuce zadumał się nad tym pomnikiem (1); nie tyle zapewne zajęły go wykończenie i lekkość dłuta, o ile śmiałość pomysłu, umieszczenie go, a może i dziwna, lecz harmonijna sprzeczność z jego cudownym utworem Włodzimierza. I poeta krakowski śpiéwając o grobach wawelskich (2), spostrzegł Kmitę, dojrzał w nim myśl śmiałą, poetyczną, jak duszę zaklętą w zimnym marmurze; posłuchajmy jego pieśni:

Któżto w kamiennéj zbroicy,
Strzeże przysionków kościoła?
Dotknę się twardego czoła,
Niech życie błyśnie w źrenicy,
Niech marmur opadnie z ciała!
W twarzy rumieniec zapała.

Ożył — i któżto? — to Kmita,
Szerokiéj Polski strażnica.
Z pod hełmu laur mu wykwita.
Przy boku szczęka szablica:
Idzie — krok jego tak dumny,
Że drzą ciosowe kolumny.

O! daléj, chodź ze mną Kmito!
Chodź ze mną! ja tobie wskażę
Wszystkie męczeństwa ołtarze,
Które krwią naszą obmyto;
Pewnie brzęk naszych łańcuchów,
Odbił się w krainie duchów.

Chodź ze mną! za każdym krokiem
Potrącisz ziomków szkielety;
Za każdym krokiem, niestety!
Krew i łzy płyną potokiem,
Twarze twych potomków zbladły,
Grody w zwaliska zapadły.

---

(1) Thorwaldsen zwiedzając katedrę na Wawelu, zastanowił się przy posągu Kmity; długo wpatrywał się i rozważał dziwną harmonią pięknego pomnika.

(2) Edmund Wasilewski, znany już ze swoich poezyj; większa część jednakże nie jest jeszcze wydaną. Poema: Katedra na Wawelu, zupełnie jest nieznane; umieszczamy tutaj niektóre miejsca z tego poematu.

Nakoniec kończąc pieśń swoją, jakbyłwychodząc myślą i duszą z kościoła wawelskiego, obraca mowę do posągu Kmity w tych słowach:

Kmito! lecz gdzieś ty? . . . niestety!
Kto pieśni przerywa wątek,
Błysnęły wrogów bagnety
W świętym kościele pamiątek,
A Kmita? . . . na widok wroga,
Skamieniał znowu u proga.

Posąg Kmity jest z czerwonego marmuru, tak jako i podstawa; nad głowami jest napis następujący: „Os humerosque Cmitae magni „hospes vides — quo non prestantior alter, Sar„mata corpore ac mente fuit.“ — Na podstawie jest także napis: „Petro Cmitae Palatino, Cmi„tarum ultimo et maximo, cujus familia ex Sre„niava orta, gente continuatis honoribus magnisq. „rebus gestis in Polonia, multis etatibus claruit, „etc.“ — dalej wychwala jego życie wojskowe, cywilne i domowe, nakoniec wyraża rok śmierci 1505.

Obok tego posągu znajduje się jeszcze pomnik z bronzu bas-relief, wyrażający także rycerza w całém uzbrojeniu. — Obadwa te pomniki należą do Piotra Kmity z Wisznica, tychże samych urzędów i znaczenia, z różnicą tylko ich roku zejścia, bronzowy albowiem pomnik wyraża rok 1533, my jednak mówiliśmy o ostatnim z Kmitów, a tym jest rycerz kamienny, mający podpis grobowy, który wyraża jak wyżéj „ultimo et maximo;“ potém wyraża jego dzieła wojenne, o których wspomina także dziełko pod nazwą: *Vita Petri Cmitae*, nieznanego autora.

(Dalszy ciąg późniéj nastąpi.)

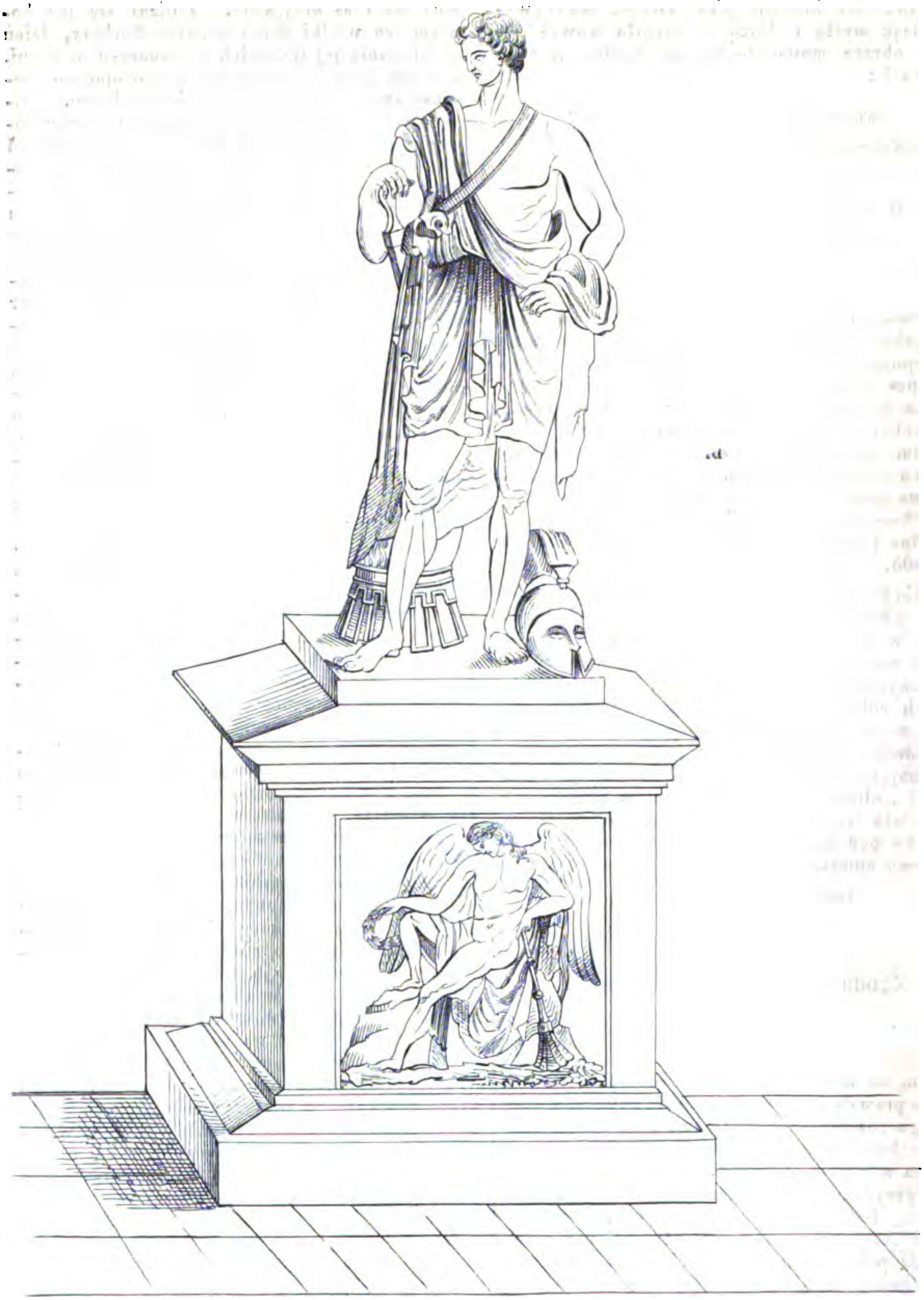
Zgoda o Barbarę i Koronacya.

R. 1550.

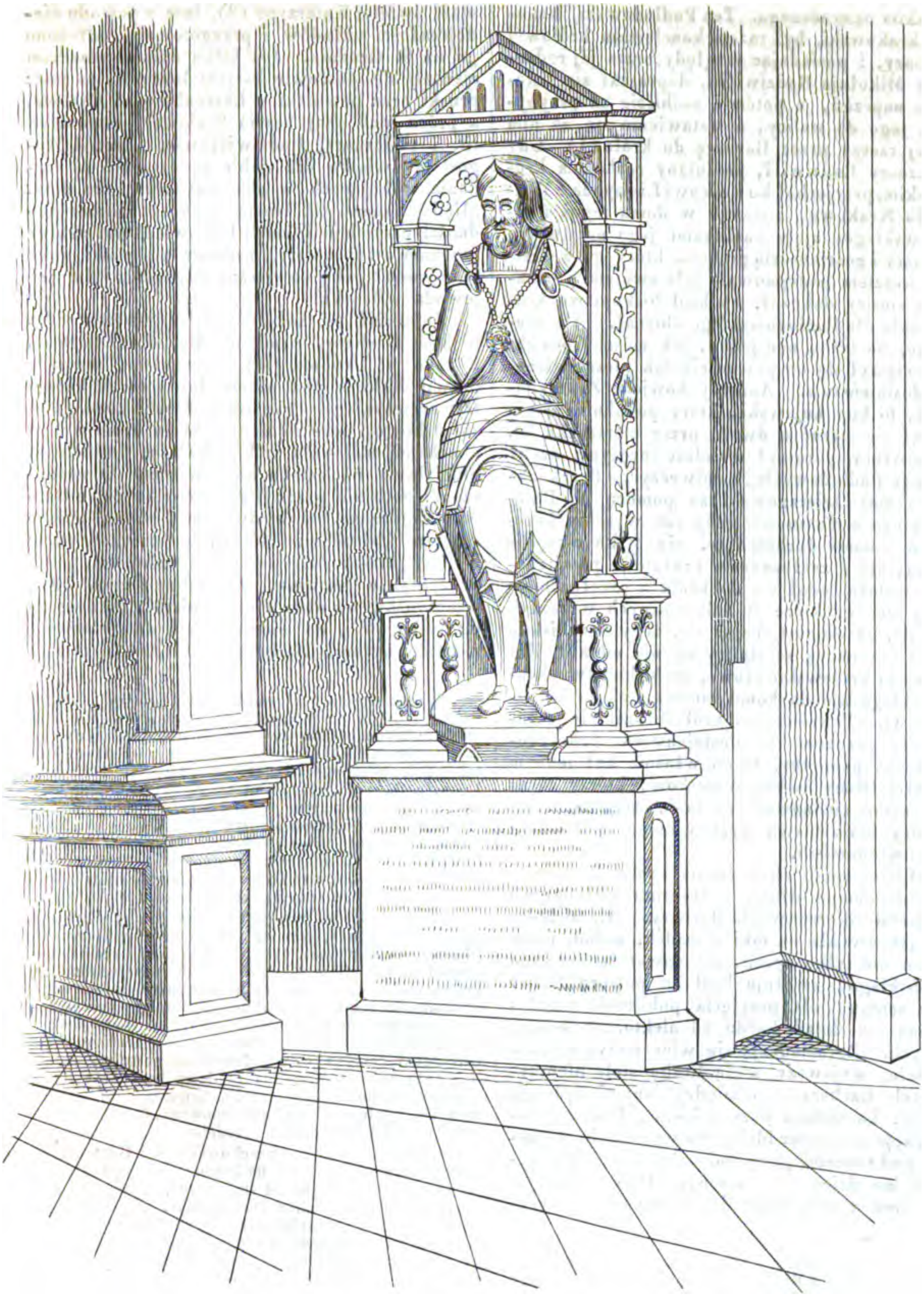
(Dokończenie.)

To, co Barbara pisała do brata, było wyrazem prawdy i słuszności. Król bowiem wśród takiego rozdwojenia umysłów, niemógł na kim innym bezpieczniéj polegać w zarządzie Litwy, jak na własnym szwagrze. I ta tylko była jedyna przyczyna długiéj jego nieobecności w Krakowie. Jednakże ani jego względy i znaczenie u Augusta nie zmniejszały się przez to, ani téż przybycie jego na obchód koronacyi nie było mniéj pożądaném. Owszem listy królewskie współcześnie pisane z listem Barbary, wzywały uprzejmie Mikołaja Radziwiłła podczaszego lit. do stolicy, i wskazywały mu pewny już czas przyjazdu. Zbliżał się już bowiem ten wielki dzień w życiu Barbary, dzień uwieńczenia jéj wysokich przeznaczeń na ziemi, a razem prawie przesilenia powołującego piękność śmiertelną do życia nieśmiertelnego. August wspólnemi siłami z Tarnowskim i nawróconym na stronę swoję Kmitą, pracowali nad uskutecznieniem zamierzonéj od dawna koronacyi. Jednemu tylko Maciejowskiemu, kanclerzowi i biskupowi krakowskiemu, prawdziwemu przyjacielowi królowéj, nieba nie dozwoliły cieszyć się widokiem najwyższéj pomyślności tryumfu Barbary, a razem skończenia tylu zaciętych sporów, które go tyle zdrowia i ofiar kosztowały. Wielki ten mąż w sprawach krajowych, już na sejmie piotrkowskim chorobą trapiony, nie długo po nim w tymże samym roku w Krakowie z wielkim żalem obojga królestwa, świat ten opuścił. Zdaje się, że on, co z takiém poświęceniem się dla spokojności kraju, a z tak chrześciańskiém politowaniem nad niepewnym losem Barbary, najwięcéj usunął cierni z trudnéj ścieżki jéj życia; stał się nakoniec poprzednikiem jéj do bram wieczności. Bo téż za nadejściem zimy zdrowie królowéj znacznie polepszone, znowu odmieniać się i słabieć zaczynało; jednakże upadek sił, jak mówi spółczesny dziejopis, lubym widokiem przyszłego dostojeństwa pokrzepiała, mawiając zwykle, jakby przeczuciem wiedziona, że niczego już więcéj niepragnęła, jak żeby choć dzień tylko jeden po swéj koronacyi przeżyła (1). Żądała tego nie dla czczéj próżności, ale dla zadowolenia gorących życzeń tego, który ją nad wszystko przenosił, dla Augusta, który ją tak mocno kochał, i w którym ona jedynie cel swego życia widziała. Jednakże smutne swoje myśli odkrywając poufałym osobom, które ją otaczały, usilnie taiła przed mężem; pewna bowiem, że każde jéj słowo wątpliwe, każde westchnienie boleści, byłoby okropnym ciosem dla Augusta; przerażała się na samo wspomnienie wyjawienia mu prawdziwego niestety przeczucia! Tymczasem król otaczał ją coraz większém poważeniem, serce jego zdawało się coraz więcéj ulegać mocy przymiotów i powabów Barbary, któréj wpływ nawet na zdanie i łaski mężowskie z każdym dniem wzrastał potężnie. — Wszyscy się przez nią odtąd coraz więcéj do króla udawali, a przyczynienie się jéj w jednym tylko przypadku niewzięło skutku, wtenczas, kiedy zadosyć uczynienie jéj żądaniu mogłoby się było stać hasłem do zerwania koronacyi. Rzecz bowiem szła o danie X. Podlodowskiemu biskupstwa krakowskiego po Macie-

(1) Annal. III., p. 1514. ed. Lips. „Quae tamtesi jam tum langueret, tamen infirmitatem corporis voluptate tanti honoris sustentabat; dicere enim solebat, se non curare, ut una die plus coronationi superesset.“



Posąg Włodzimierza Potockiego.



Posąg Piotra Kmity.

jowskim osieroconego. Ten Podlodowski, kanonik krakowski, był razem kanclerzem królowéj Barbary, i posiadając względy brata jéj rodzonego Mikołaja Radziwiłła, doprasza! się listownie naprzód, a potém i osobiście za przybyciem jego do stolicy, o wstawienie się za nim w téj rzeczy przez Barbarę do króla (1). Gdy podczaszy Radziwiłł, posłuszny rozkazom królewskim, przyjechał ku końcowi Listopada z Wilna do Krakowa, i stanął w domu tegoż Podlodowskiego; ujęty zasługami jego na dworze Barbary i gościnnością prałata, który go z wielkim kosztem podejmował, tyle swojemi prośbami u siostry dokazał, że król biskupstwo krakowskie dla Podlodowskiego obiecał. Ale niedługo, bo tylko noc jednę, jak mówi Górnicki (2), cieszył się on pewnością tak niespodzianego dostojeństwa. Andrzéj bowiem Zebrzydowski, biskup kujawski, który podobnież o nie zaczął się starać u dworu przez marszałka lit. Radziwiłła, poruszył wszelkie sprężyny, ażeby zabiegi Podlodowskiego zniweczyć. Przekonany Prymas Dzierzgowski za pomocą X. Przerębskiego o słuszności, żeby tak wysokie krzesło w senacie duchownym, nie tylko szczęśliwemu, ale i zasłużonemu prałatowi powierzoném zostało, udał się do króla z przełożeniem całéj rzeczy; które w tak mocnych wyrazach uczynił, że August, bojąc się, żeby Arcybiskup przed koronacyą ze stolicy się nie oddalił, dał mu na to królewskie słowo, że biskupstwa krakowskiego nie da komu innemu, jak tylko biskupowi. Wkrótce zaś król skłonił się z łatwością przyznać to dostojeństwo Zebrzydowskiemu, pamiętny, że on właśnie był jednym z małéj liczby owych senatorów, którzy zaraz z początku zjednawszy zaufanie Augusta, o tajemnicy małżeństwa królewskiego z Barbarą byli uwiadomieni.

Wśród takich okoliczności nadszedł wreście czas dokonania długo i zręcznie układanych zamiarów ukoronowania Barbary. Nie składając, jak zwykle na taki obrządek, sejmu, przez bojaźń nie tylko oporu, ale nawet zniweczenia wszystkiego, zwołuje król za pomocą Kmity radę senatu, dla przyjęcia publicznie niezłożonego mu dotąd hołdu od niektórych książąt lennych. Zgromadzają się więc wszyscy senatorowie, wyjąwszy małą liczbę stale nieprzyjaźnych Barbarze, a między innymi Jędrzeja Górkę, kasztelana poznańskiego, którzy przeczuwając o co rzecz idzie, dla wytrwania w oporze, pod różnemi pozorami uchylili się od przybycia na dzień wyznaczony. Dniem zaś tym miał być z razu dzień 13. Listopada, uroczystość świętéj Katarzyny (3), lecz z powodu niedojrzałości układów i przygotowań, odłożono go na 9. Grudnia. Już kilku dniami przedtém zjechali się posłowie książąt lennych, to jest: pruski oraz pomorski z Lawenburga i Bytowa, a prócz nich obaj bracia królowéj, marszałek lit. i podczaszy, Radziwiłłowie. Zaczął August tak wielką dla siebie uroczystość od rozdania wakujących w obu państwach urzędów. Między innemi ciż bracia Barbary w nowe godności przyodziani, mieli być świadkami ukoronowania swéj siostry, rodzony podczaszy jako wojewoda trocki, stryjeczny marszałek jako wojewoda wileński.

Zajaśniał też nakoniec dzień uroczysty dla pięknéj Barbary, pamiętny dla serca Augusta. Z rana 9. Grudnia (4) zgromadzeni wszyscy prawie biskupi pod przewodnictwem Mikołaja Dzierzgowskiego, Prymasa i Arcybiskupa gnieźnieńskiego, oczekiwali przybycia króla i jego ukochanéj małżonki w katedralnym kościele Ś. Stanisława na zamku krakowskim. O naznaczonéj godzinie przybył Zygmunt August z Barbarą, otoczony całym dworem i całym prawie senatem świeckim, których poprzedzał Piotr Kmita, niosąc laskę przed królestwem, jako marszałek w. koronny. Był także obrany i Jan Tenczyński, wojewoda sandomirski, jako senator tylko (5), bo niemogąc się dotąd oswoić z myślą uznania Barbary za królowę, zacięty

(1) Ob. w Dz. W. r. 1826., T. II., str. 69., długi list Podlodowskiego z Krakowa 12. Listopada 1550 pisany do Wilna do Mikołaja Radziwiłła, podczasz. lit., z prośbą o wstawienie się za nim do króla i królowéj.

(2) Dzieje w koronie pols. ed. Warsz. 1750., str. 39.

(3) Tym sposobem Bielski w swojéj kronice uwiedziony tém, że na Ś. Katarzynę naprzód ułożone było odbycie koronacyi Barbary, mylnie podaje datę ową za dzień dopełnienia obrzędu. Za nim poszedł mylnie także autor pięknego artykułu o Barbarze w Przyjacielu Ludu, r. II., T. I., Nr. 13 i nast. Że to jest błędna data koronacyi, sam nawet wyżéj cytowany list Podlodowskiego do podczaszego Radziwiłła 12. Listopada z Krakowa do Wilna pisany dowodzi. Radziwiłł bowiem niezawodnie był obecnym koronacyi, nie mógł więc obrzęd jéj 13. Listopada być dopełnionym w Krakowie, kiedy on 12. t. m. znajdował się jeszcze w Wilnie.

(4) Rysiński M. ŚŚ. pisze o koronacyi Barbary: „Paulo post tamen, cum et a rege contrarium sentientibus satisfactum esset, et alii jam saniora consilia amplectebantur, etiam dissentientes in suam sententiam pertraxissent, atque interea in rege incredibilem constantiam, in regina admirabilem patientiam perspexissent, unanimi omnium consensu Barbara Radzivilis an. 1550, 10. Xbr. a Nicolao Dzierzgovio, Archiepiscopo Gnesnensi, magna cum solemnitate coronata erat.“ Naznacza więc 10. Grudnia za dzień koronacyi, ale i ten nie jest dokładnym, bo 10. Grudnia hołd od posłów książąt lennych był przyjmowany, koronacya zaś odbyła się istotnie dniem przedtém.

(5) Przeciw zdaniu Orzechowskiego i Górnickiego przypuszczamy obecność na koronacyi Tenczyńskiego, bo chociaż to on ośmielił się wyrzec, że wolałby Solimana widzieć w zamku krakowskim, niż koronę na głowie Barbary, jednakże tyleśmy znaleźli szczegółów o jego burzliwéj obecności w parallelach Warszewickiego, że wątpić o niéj nie możemy. Wreście i on, chociaż jeden z głównych przeciwników Barbary, zwolniał jednak w swojéj zawziętości po sejmie piotrkowskim, jak tego dowodzi list królewski, pisany 12. Sierpnia 1550., z Krakowa do podczaszego Radziwiłła.

jeszcze w uporze, niechciał na koronacyi sprawować swego urzędu marszałka nadwornego (1). Z obcych, prócz wyżéj wymienionych posłów od lenników korony, ukazał się przy boku królewskim Jan, książę na Lignicy, którego bytność w Krakowie, jako potomka starożytnego rodu Piastów, była nader przyjemna Augustowi (2). Po odbyciu nabożeństwa Prymas Dzierzgowski przystąpił do obrzędu koronacyi w pośród niezliczonego tłumu ludzi różnych stanów stolicy, namaściwszy piękną Barbarę przy assystencyi biskupów i całego duchowieństwa katedralnego, z największą uroczystością koronę na głowę jéj włożył. Jakaż radość w tym dniu napełniać musiała duszę Zygmunta Augusta, kiedy nakoniec, po tylu przeciwnościach, ujrzał na tronie obok siebie nadobną małżonkę, uwieńczoną godłem dostojności królewskiéj! Kiedy zwycięzca jéj wrogów mógł do niéj powiedzieć, że jest prawdziwą polską królową. I rzeczywiście niczego nie zaniedbał, czémkolwiek tylko radość tę mógł okazać. Po dopełnieniu obrządku, wszystkim zaczęto rozdawać hojne podarunki, mianowicie w rozmaitych bogatych szatach, które ciągle z taką szczodrobliwością udzielane były, że ledwo rzemieślnicy z robotą ich wystarczyć mogli.

Lecz obok powszechnéj radości, jedna Barbara zdawała się jéj niepodzielać zupełnie. Jéj smętne wejrzenie oczu, jéj mimowolne westchnienia, i często zmieniający się nagle wyraz łagodnego zawsze oblicza, odkrywały przenikliwemu oku bacznego widza téj uroczystości jakieś mocne wzruszenie, które miotało duszą Barbary, a które na próżno usiłowała stłumić w sobie. Współczesne świadectwa podają nam, że gdy po powrocie z obrzędu koronacyi bliżsi domownicy winszowali jéj z radością korony, królowa z uśmiechem na ustach, a łzą w oku, uprzejmie im odpowiedziała: „Do innéj mnie „korony Pan niebieski powoła! Proścież go te„dy za mną, aby to ziemskie berło na palmę „niebieską zamienił, a miłego męża mojego „w żalu po mnie utulił.“ Te bolesne wyrazy powtarzał w cichości i z smutkiem dwór cały. Jeden tylko August usuwając z przerażeniem wszelką myśl grożącego uwielbianéj małżonce niebezpieczeństwa, niesłyszał jéj smutnéj przepowiedni: on jeden używał może w téj chwili prawdziwego szczęścia!

Nazajutrz, w koronacyi Barbary, odbyło się uroczyste, dawno zapowiedziane złożenie hołdu przez posłów od lennych książąt królowi. Przybył z zamku na odebranie go Zygmunt August i zasiadł na tronie wzniesionym przed ratuszem według dawnych obyczajów. Królowa zaś z całym dworem swoim przypatrywała się z okien pałacu Jordana Spytka z Zakliczyna, naprzeciw zamku stojącego. Była to już ostatnia uroczystość publiczna, któréj Barbara, jako królowa, obecną była; a jednakże i téj jeszcze zawiść i nie uskromiona niechęć towarzyszyć zdawała się. Tenczyński, acz mimowolnie, z urzędu jednak swego marszałka nadwornego, obecnym być, i do ceremonii przyjmowania hołdu należeć musiał. Kiedy król rozkazał wychodzić wszystkim, do téj uroczystości należącym, z zamku na rynek, postrzegłszy Tenczyńskiego, pytał go: czyliby miał więcéj szat sobolowych, oprócz téj, którą wdział na siebie? Starodawnym bowiem obyczajem, podarunek z nich należał się od dworu marszałkowi jego. Tenczyński odpowiedział, że ich niema. Dam ci więc, rzekł August. Nieprzyjmę, odparł Tenczyński, szat, lecz uważaj m. panie, jak ja będę rozdawał, ażeby nie dostał ich kto inny, któremu mniéj przystało je mieć jak mnie (1).

Ale słabe było echo odbijającéj się jeszcze nieżyczliwości zgasłego stronnictwa Bony. Pomimo wszelkich pocisków jego, Barbara ozdobiona królewską koroną, zasiadła tron starożytny obok ostatniego z Jagiełłów, a imię jéj, zapisane w dziejach krajowych, chwalebną pamięć w potomności znalazło.

*** M. B.*

(1) Warszewicki Parallelar. Lib. II., p. 321. powiada, że Tenczyński widząc Kmitę usłużnie poprzedzającego królowę, stał nieporuszony, a gdy król wskazał mu, żeby i on toż samo zrobił, Tenczyński nie wahał się spuścić na ziemię laski i odejść.

(2) Parall. II. 322.

(1) Parall. 322.

Arabowie i konie arabskie.

(Dokończenie.)

Przesądy Arabów względem koni, nabywanie ich Europejczykom ułatwiające.

Z tego wszystkiego, co się wyżéj powiedziało, jawnie się okazuje, o ile wyznawcy Islamizmu ulegli są przesądowi, wszystkie te prognostyczne znaki najmocniejszą znajdują wiarę u Mahometanów. Jest to okoliczność bardzo ważna dla każdego Europejczyka, któryby żądał nabycia wschodnich koni, wiedzieć przynajmniéj znaki, obiecujące niepomyślności, które ułatwić mu mogą dobre kupno; z drugiéj strony Mahometanie bardzo się strzegą, aby Europejczykowie nie obeznali się z témi przepowiedniami. Lud ten jest ciemny, w najwyższym sposobie zabobonny; mają jeszcze jakieś uprzedzenie względem złych oczu lub zazdrośnych, najusilniéj konie swoje ukrywają przed wzrokiem obcych, z bojaźni, aby ci złém okiem spojrzawszy, nie nabawili nieszczęścia, tysiąc razy większego, niż morowa zaraza, lękając się jednego rzutu oka, nie tylko o swoje konie, ale boją się razem o siebie samych i o swoje dzieci. Tysiąc sposobów używają, dla osłonienia się od szkodliwości, do złego wzroku przy-

wiązanéj. Pospolicie źrzebiętom zawieszają na szyi sznurki, z szerści wielbłądziéj splecione, do których przyczepiają psie kości, konchy i maleńki kamuszek niebieski; koniom dorosłym przyczepiają talizmany do ogona, lub między grzywę: każdy sługa, co o nich ma staranie, powinien być talizmanem opatrzony; kiedy obcy człowiek czy cudzoziemiec, prosi Araba o pozwolenie widzenia jego koni; jeśli na to zezwoli i pokaże, to Arab upatruje, na którego z nich rzucił ciekawém okiem, i nie pozwoli do niego blisko przystąpić, aż patrzący nie wymówi wielkiéj inwokacyi: Macha-Alla! upatrując w tych słowach siłę odwrócenia skutków złych oczu, a przynajmniéj uczynić wpływ wzroku mniéj szkodliwym; gdyby jednak coś niepomyślnego przypadło koniowi, co ja przypisałbym bardziéj skutkom nieprzewidzianéj choroby lub słabości konia, nie opuści Arab przypisać zdarzeniu złego spojrzenia; nie leczy, ale posyła zaraz po czarownika, aby siłą słów kabalistycznych, i jajkiem, które z misterną ceremonią na czole konia rozbija, uwolnił go od złośliwego wpływu; jeśli mimo tego exorcyzmu końby żyć przestał, wtedy czarownik mówi z powagą: „Bóg tak chciał,“ albo: „tak było napisano.“

Bardzo żądałem widzieć ten ceremoniał czarownika (mówi pan Desportes), wkrótce zdarzyło się, że mój własny koń dał mi do tego sposobność, Talmor nazywał się; ten koń naraz dostał mocnéj gorączki z kaszlem konwulsyjnym, i wszystkie symptomata zapalenia płuc. Seys-Baszy, strasznie przerażony, przyniósł mi tę smutną wiadomość, wielką miał zawziętość na Alub-Aga, który godziną pierwéj chodził ze mną do stajni, i nato mocno wpatrywał się w konia wzrokiem zazdrości. — „Nie pierwszy raz,“ rzecze, „ten człowiek rzucił złośliwém okiem; jedno własne moje dziecko w tym momencie jest w niebezpieczeństwie życia, porażone takim złym wpływem; ale jest na to lekarstwo, mówi Seys-Baszy, idę zaraz do Szeryfa; ponieważ nie sprzeciwiałem się téj jego chęci, owszem obiecywałem sobie ciekawą z tego zdarzenia zabawkę.“ Prędko pobiegł po czarownika, wkrótce z nim powrócił, a ten zaraz wziął się do roboty. Przez kilka minut nad czołem chorego konia trzymał jajko, koń zaś był okryty napisami magicznemi; ręka, która robiła tę operacyą, była ozdobiona kółkiem, na którém był ośmiokątny medal, napełniony kabalistycznemi napisami; w końcu czarownik rozbił jajko na czole konia, wymawiając jakieś słowa cudowne. Po skończeniu tego oświadczył, że czary wypędzone. W saméj istocie koń zaraz się poczuł lepiéj; prawda, że jemu poprzednio dawaliśmy ratunek i przyzwoite lekarstwa, zastósowane do choroby. Koniec końcem, czy jedno, czy drugie pomogło, lecz koń ozdrowiał. (*A. Hr. Ch.*)

Odezwa Wydawcy Przyjaciela Ludu.

Na Numerze 52. Przyjaciela Ludu kończy się szósty rok istnienia tego czasopisma. Starania moje około jego wzniesienia, ocenili już tylokrotnie krajowi i zagraniczni uczeni. Zajęty wciąż tąż samą myślą rozwijania mego pisma, wezwałem do współpracownictwa najsławniejszych pisarzy, którzy nietylko mi pomoc przyrzekli, ale nawet już szacownych i obfitych dostarczyli materyałów, nadających pismu memu rzetelną w wszelkim względzie wartość, a oraz zdolnych czytelnika, szukającego w pismach peryodycznych miléj rozrywki, jak najprzyjemniéj zabawić. Wszakże usiłowania takowe wymagają z mojéj strony znacznych ofiar i zmuszają mnie do podwyższenia zbyt niskiéj ceny prenumeracyjnéj o 3 złote rocznie, a 1½ zł. półrocznie. — Wszystkie więc księgarnie krajowe i zagraniczne, jako téż i królewskie poczlamty, przyjmują przedpłatę na Przyjaciela Ludu, rocznie 3 talary, czyli 18 złp., półrocznie 1 talar 15 sgr., czyli 9 złotych, którą Szanowni prenumeratorowie wcześnie złożyć raczą, niechcąc doznawać przerwy w odbieraniu regularnie wychodzących cotydzień numerów Przyjaciela Ludu.

Leszno, 25. Maja 1840.

Ernest Günther, *księgarz i typograf.*

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: *J. Łukaszewicz.*)

Przyjaciel Ludu.

Rok szósty. **No. 49.** Leszno, *dnia* 6. *Czerwca* 1840.



X. *Mateusz Kozłowski.*

Słów kilka po zgonie ś. p. X. M. Kozłowskiego, S. T. D. uniwersytetu Jagielońskiego professora, skreślonych.

Zgasnąć musiał ten kaganiec jasny, piękny, który nam tak długo świecił.
Birkowski, na pogrzebie Skargi.

Kilka dopiero ubiegło miesięcy, bo w końcu zeszłego roku, jak zgasła pochodnia, która dość długo w Kościele Jezusa Chrystusa świeciła. Cnoty i zasługi, są wprawdzie same przez się szacowne i nie potrzebują pochwał ludzkich, i nie w téj też myśli słów kilka postanowiliśmy powiedzieć o mężu, znanym zaszczytnie: powszechny szacunek, jaki pozyskał, najdokładniéj poświadcza o zasługach, za które go nabył. — X. Kozłowski, S. T. D., exprowincyał zakonu kaznodziejów, były uniwersytetu krakowskiego professor, Jan Chrzciciel na świecie, w zakonie Mateusz, z rodziców obywateli, urodził się w starożytnym Krakowie 1759 roku. Początki nauk pobierał w szkołach miejskich, gdzie także uczył się retoryki. W czternastym swego życia, a 1772 roku, policzony do zgromadzenia XX. Dominikanów krakowskich. Tu po ukończonéj próbie, prawami Kościoła przepisanéj, wykonał zakonne śluby 3go dnia Września 1775 r. Młodzieniec w pierwszéj życia swojego wiośnie, Bogu na służbę poświęcony, jak owi wielcy Święci, Arcybiskup Antonin, Tomasz z Akwinu, anielski doktor, i inni, uniknął zarazy i zepsucia świata: wniósł do zakonu niewinność, która się nawet na starcu siedmdziesiątletnim malowała; a obok niéj rozwinął talenta: okazał przykładem, jak zwodnicze tych mniemanie, jak szkodliwe dla Kościoła i Religii, którzy młodzieży dwudziestokilkoletniéj dopiero, gdy ich duszę, a może i ciało, wiatr owionął przewrotności i skażenia, w stan duchowny wstępować, dopuszczają lub radzą, pomimo przeciwnego im zdania Najświętszego Ducha, jakie czytamy w księgach boskich: „Dobrze jest mężowi, gdy nosi jarzmo od młodości swojéj.“ (1) Daléj w naukach filozoficznych i teologicznych, młody Mateusz korzystnie postępując, ściągał na siebie uwagę przełożonych i professorów zgromadzenia; a odbywszy wszystkie examina, tak w domu podług przepisów nakazane, jako też i zwykłe przed dyecezalną zwierzchnością, na godność kapłańską, po ukończeniu lat 23, wyniesiony został. Wnet jako celujący i znakomitemi wzbogacony wiadomościami, po złożonym examinie, ogłoszony studentem formalnym, którzy, podług konstytucyi zakonu, trzechletnią pracą szkolną zwykli uspo-

(1) Treny r. 3. w. 27.

sabiać się na przyszłych professorów. Jakoż z wyboru przełożonych zgromadzenia, posłany w roku 1783 do Rzymu, głównego klasztoru XX. Dominikanów co do nauk, gdzie pobyt posełanych zapewnił fundusz sławnego Bzowskiego. Tam wyższém ukształceniem się zajęty, uważany był za ozdobę zakonu i kraju, na jakiéj nigdy niezbywało Polsce, uczył się oprócz duchownych nauk, języków: greckiego, hebrajskiego, włoskiego; nieposlednio i francuzki posiadał. Uważając znamienite jego zdolności, Generał zakonu Dominikanów, Baltazar de Quinoñes, postanowił zatrzymać go w Rzymie, i naukową katedrę polecić. Gotów był X. Mateusz Kozłowski, jako syn posłuszeństwa, przyjąć na siebie tak pracowitą i zasługę rokującą posadę, atoli Generał postrzegłszy w młodym i wybornym nowoogłoszonym professorze, wielką do ojczyzny tęschnotę, niemniéj słabość zdrowia, z przyczyny zmiany klimatu rodzinnego, powrócić do ojczyzny pozwolił. Smutek w Rzymianach, z przybliżającego się odjazdu X. Mateusza Kozłowskiego, również przychylność i przywiązanie, jakie nabył u znamienitych mężów, jako też przełożonych zgromadzenia; poświadczały, że był godnym piastować znakomite zawody i urzędy, pod okiem apostolskiéj stolicy. Nareszcie wróciwszy do ojczyzny, i właściwego klasztoru, który w osobie jego zdawał się wskrzeszać sławnych Bzowskich i innych, powitany z uprzejmością, rozpoczął zawód nauczycielski. Professorem trzechletnim filozofii w zgromadzeniu ustanowiony, bogacił poruczoną sobie młodzież zakonną obfitemi plony, które na polu nauk pracowicie w kraju, i po za jego obrębem nazbierał. Ledwie ubiegł trzechletni kurs filozoficznych jego wykładań i prac kaznodziejskich w kolegiacie Wszystkich ŚŚ., ażci powołany do Lublina na teologii professora; tam uzupełniony pięcioletni okres na pomienionéj katedrze przepędzając, pozyskał szacunek, i wysokie z talentów i cnót poważanie od współzakonników, prałatów, wszelkiego duchowieństwa, nawet urzędników i obywateli. Następnie zwierzchność zakonna wezwała go na katedrę professora teologii w Krakowie, gdzie w ciągłą i mozolną pracę sześcioletnią wzwyczajony, przez publiczne ówczesne dysputy, z wielkich talentów odgłosem powszechnym uczczony, przyjaźnią i uwielbieniem samychże akademików krakowskich ozdobiony, odznaczał się wpośród wielu uczonych, jak gwiazda blaskiem znamienita. Przechodząc zaszczytnie wszystkie stopnie, jakie zakon dla mężów oddających się nauce zakreślił, w celu nabywania i udzielania umiejętności duchownych; piastując utrudzające urzędy, Bakalarza, Magistra *studentium*, *Praesentata*, nareszcie laurem doktorskim, za przychyleniem się Generała zakonu, Józefa Gaddy, uwieńczony został. Lecz nie tylko zakon sam oceniał księdza Mateusza Kozłowskiego cnoty i zdolności, nie tylko sam ozdobił biretem, nie tylko sam otwierał mu pole zasługi: w Lublinie jeszcze, examinatorem synodalnym i cenzorem ksiąg ogłoszony został, w nagrodę obszernych nauk, cnót i wiadomości. Po ukończeniu szkolnych swych zawodów, przy powszechnym szacunku, jaki mu się słusznie należał; klasztor krakowski wybrał księdza Mateusza Kozłowskiego swoim Zwierzchnikiem i Przeorem w roku 1805. Tu dopiero postawiony na świeczniku tego zakątka, który kościołowi polskiemu tyle wypielęgnował znakomitych mężów, gorliwych Biskupów, głośnych i królewskich kaznodziei, doradców i spowiedników panujących książąt; tu, mówię, w całym blasku cnót i nauk okazał się X. Mateusz Kozłowski Miłość braci i poważanie winne jego zasługom, wyniosły go na stér zarządu, czyli prowincyała obojéj na ów czas Galicyi, i po zaszłych odmianach politycznych, Prowincyała Polski. Wizyta kanoniczna, jaką z pierwszych obowiązków naczelnictwa, po klasztorach sobie podwładnych przedsięwziął, dała go poznać mężem, ze wszech miar godnym, i odpowiadającym tak wysokiemu powołaniu. Zaszczycony zaufaniem Arcypasterzy: gnieźnińskiego, ś. p. księcia Ignacego Raczyńskiego, i lwowskiego Kickiego, nie mniéj wielbiony od Biskupa lubelskiego, podówczas Skarszewskiego, jako też od wielu innych prałatów, jacy w różnych interesach kościoła i dyecezyi, rady, zdania i roztropności jego zasięgali; stawiały go obok znanych uczonemu światu: Bzowskiego, Mościckiego, Grodzieckiego, Birkowskiego. Umiał podwładne sobie klasztory, przykładem, nauką, zaufaniem, ojcowskiemi przymioty, do karbów porządku należnego, który natedy czas i okoliczności, częstokroć smutne, nieco rozprzęgły, przywodzić. Arcybiskup Kicki, usiłował wszelkiemi zabiegi zatrzymać go we Lwowie przy boku swoim, już po odgraniczeniu Galicyi, i pięknymi widoki do swoich żądań zniewolić; znał bowiem czym był X. Mateusz Kozłowski, co dla siebie i dla swojéj archidyecezyi, mógł sobie po nim obiecywać. Atoli wdzięczny rodzinnemu klasztorowi, za wykształcenie, jak sam mówił; chciał mu z całego siebie, i wszystkich wywiązać się talentów. Złożywszy prowincyała godność, do Krakowa wrócił, i dowiódł, że się nigdy widokom światowym uwieść niedozwolił, a zakątek i osobność, do jakiéj nawykł, nad wszystko przełożył.

Tu nowa znowu dla X. Kozłowskiego otwiera się pracy i zasługi epoka. Wakująca katedra w uniwersytecie Jagiellońskim historyi kościelnéj, otworzyła dlań pole uczonemi prelekcyami zaszczycać tę starożytną szkołę. Wprowadzony do niéj z szczególną uprzejmością, do ostatniéj reorganizacyi akademicznéj, która go emerytem ogłosiła, w licznych naukowych posiedzeniach, w urzędzie trzykrotnym dziekana fakultetu, w zastępstwie rektora akademii, professora extraordynaryjnego teologii moralnéj,

w senacie akademickim, pokazał się być jednym z tych uczonych i sławnych professorów, jakimi poszczyca się Jagieloński zakład, i jacy nie mało dodają mu świetności. Biskup Woronicz, sam uczony, i miłośnik uczonych, zwykł był mawiać, iż nie X. Mateusz Kozłowski starać się o nauczycielstwo w Akademii, ale raczéj Akademia wezwać go była powinna. Jakoż ten sławny polski mówca niepoślednio poważał czcigodnego professora X. Mateusza Kozłowskiego. Lubił z nim rozmawiać o naukach, rady jego zasięgał, poufałym przyjacielem uczynił, odwiedzać zapraszał, i sam wzajemnie odwiedzał. A nawet na prymasostwo polskie posunięty, zachęcał, aby się X. Mateusz Kozłowski do grona professorów Akademii warszawskiéj wcielił. Rad go kążącego słuchiwał, godnością examinatora synodalnego, i cenzora ksiąg, czém dawno był ozdobiony, zaszczycił, i czule, przed odjazdem swoim, z uczonym księdzem Mateuszem Kozłowskim się pożegnał. Uwolniony nakoniec uchwałą senatu, ze smutkiem wielu, od katedry, na któréj kilkunastoletnie położył zasługi, przecież nie odpoczął. Zgromadzenie krakowskie wyniosło go na godność swojego przeora; dziwiło to nie mało wszystkich, że starzec zatyrany w szkole, na ambonie, w prowincyalskim urzędzie, trudnego zawodu, w tych zwłaszcza okolicznościach krytycznych dla duchownego stanu, przyjąć się niewahał: uczyniła to, powiadał, prośba i zaufanie moich braci: jakoż przewodniczył wzorem, pobożnością, radą, troskliwością, słowem, wszelkiemi cnotami. Całą akademicką pensyą, od wstępu na katedrę historyi, na potrzeby klasztoru poświęcał, i widać było, że przebijała się na twarzy jego pociecha i ukontentowanie, kiedy tą szczupłą pensyą, mógł się przysłużyć, zakonowi i braciom. Nic sobie nieprzywłaszczał, wszystko własnością klasztoru być mienił. Był to widok, zbyt rzadki w tych czasach fenomen, który się nie tak prędko pojawi. Długo przechowała się chlubna pamięć o X. Mateuszu Kozłowskim, nawet w Rzymie; długi przeciąg ubiegł czasu, a niezapomniano o talentach jego, w chrześciańskiego świata stolicy. Generał zakonu kaznodziejów, Welzi, który kardynalską zaszczycony został godnością, wzywał listownie księdza Mateusza Kozłowskiego do Rzymu, w myśli powierzenia mu wysokich zakonu urzędów; odgłos nauki i cnót jego, obił się o starożytne mury Rzymu: gotów był jako uległy zwierzchności zawsze Mateusz, rodzinną ziemię opuścić; atoli wycieńczone pracami naukowemi siły, odległość zbytnia od tego punktu, do którego chęcią i posłuszeństwem chciał był zabiegnąć, były dostateczne do uwolnienia go od żądań naczelnika zakonu.

Ale cóż to jest wszystko, co o tym czcigodnym namieniłem mężu? Kogóż wyszukać, aby go żałobną i słusznie pochwalną uczcił mową? Oto, jak mówiono, po zgonie Birkowskiego, że potrzeba, aby na jego pogrzebie wzajemnie Skarga odpowiedział; tak zaiste, podług mnie, należałoby przywołać drugiego Kozłowskiego, aby księdzu Mateuszowi godną jego cnót wyrzekł mowę. Bo czyż niezadziwiał X. Mateusz Kozłowski uczonych i światłych mężów? głęboki teolog, biegły historyk, posiadacz języków: włoskiego, francuskiego, a łacińskim, jak ów stary Cycero, chrześciański Laktancyusz, mówił. Wielki kanonista, badacz starożytności, miłośnik dzieł śś. Ojców, a szczególniéj Augustyna i Tomasza. Niepośledni filozof i prawdziwie katolicki. Hermeneutyk znakomity, cały zanurzony w tłómaczach Pisma Ś. Doskonały kaznodzieja, obok obowiązków professora zgromadzenia swoiego, był przez lat sześć katedralnym krakowskim mówcą, na jakich, od czasu pierwiastkowego Dominikanów do Krakowa wstępu, Ś. Jacka i jego następców, nieprzerwanym łańcuchem, kapituła zapraszać była zwykła. — Ówcześni prałaci, Sufragan Olechowski, Dziekan Sołtyk, światły rektor uniwersytetu Szabel, uczony Wacław Sierakowski, cnotliwy Lipiński, akademik X. Markiewicz, podziwiali jego wysokie zasługi i talenta: tegoczesny czcigodny Biskup, Sufragan, administrator dyecezyi krakowskiéj, uczony mąż, oświadczał dlań przychylność i uwielbienie; a o zgonie jego zasłyszawszy, niemało był dotknięty znakomitego męża stratą. Albowiem niepośledni to był klejnot, a znakomita perła Kościoła polskiego i zakonu; blask jego cnót i nauk, rozwidniał obok siebie wielu, i zaszczytną o obojgu duchowieństwie krajowém, ustalał u obcych opinią. Był to mąż nieporównanéj pamięci, wiersze z klasycznych autorów, w pierwiastkach swojéj edukacyi, w pamięci utkwione, jak gdyby dziś odczytane, powtarzał. Dzieła historyczne, epoki i lata, jakie niemało w tym względzie utrudzają, miejscową pamięcią ogarniał. Daleki od tego wszystkiego, za czém inni zapamiętale się ubiegają, całą usilnością szukają; zakonną suknię i ustroń, nad wszystko przenosił, i nie raz powiadał, że wielu stara się o to, od czegoby uciekać, przykładem Świętych, powinni. Czciciel uczonych i kochających nauki, umiał ich oceniać, zagrzewać i z uniesieniem o nich mówić. W każdéj gałęzi nauk, można było z nim śmiele rozprawiać, i nie małe w potrzebie korzyści odnosić. Miłośnik zgromadzenia, i od wszystkich wzajem kochany; wysłużył słodką o sobie pamięć, która przejdzie do następców nawet. Przewodnik gruntownéj pobożności, zbór cnót zakonnych; usiłował popierać tę prawdę, że słowa poruszają, ale pociągają przykłady. Staranna troskliwość życia, gdyby była w nim znalazła miejsce, mogłaby jego doczesny przeciągnąć pobyt; atoli chrześciańskie pragnienie wieczności szczęśliwéj, i połączenie śpieszne duszy z Jezusem Chrystusem, to było jego pra-

gnieniem i celem: krótka słabość sił żywotnych, dziedzictwo potomków Adama, skutek lat 80 i pół upłynionych dla chwały Stwórcy i pożytku Kościoła, poprzedziła zgon jego chrześciański, który dzień 5. Grudnia 1839 roku wszystkim oznajmił, a wielu zasmucił. Szanowne duchowieństwo świeckie i zakonne, z prześwietną Akademią krakowską, przytomne było obrzędowi pogrzebowemu. Jaśnie wielmożny X. Lechert, Oficyał dyecezyi kaliskiéj, jako były uczeń, oznajmił zgromadzeniu, iż podziela jego smutek, z utraty zasłużonego męża w hierarchii Kościoła, oraz oświadczył, iż Kapituła kaliska uchwaliła za duszę jego nabożeństwo żałobne w dowód winnego szacunku. Oby Pan nieba wskrzeszał, w tych smutnych dla Kościoła czasach, obficiéj podobnych mężów! Oby Dawca wszystkiego udzielał w winnicy swojéj, naśladujących jego cnoty pracowników! Oby bogatym wieńcem nagrody wiecznéj, do pokrótce odcienionych prac i zawodów pociągnął! Niech się stanie, niech się stanie! (1)

Pisano w klasztorze XX. Dominikanów krakowskich 1840 r.

X. *W. P.*

Łowiec.

Gawęda z XVI. wieku.

(Ciąg dalszy.)

„Tak, tak, miły panie Dymitrze," przemówił Struś, „w około tu była puszcza i nie lada: po tysiącu brano ztąd modrzewiów na maszty okrętowe, a kto z łowców wybrał się na źwierza, inaczéj nie, jeno na tydzień cały do puszczy téj szedł. A wówczas trzeba mieć półtora funta prochu, półtory kopy kul, knot, zapas hupki w łożu, krześiwo, toporek, nóż i rzemień; więc biesiagi, w których chléb, wędzonka — a wodę pić. A to, aby gdzie jedno pod knieję dobrą zwierzęcą przyjdzie, tam sobie uczynić nocleg, gdyż strzelec nie jako myśliwiec, jeżdżeniem, ale jako szpieg nastawaniem, a czasem na miejscu strzeżeniem, do paszy zwierzowi sposobnych, przed wieczorem na trzy godziny do zmierzchnienia, i nad świtaniem drugie trzy na dzień pilnować ma, bo źwierz na te czasy z gęstew na ulaski trawą przyodziane najczęściéj wychodzi; rad zwłaszcza na dniu wielkim. Jeśliby chodząc po puszczy upatrować chciał, tedy na to najlepiéj w największy wiatr, aby zwierz dla szumu wielkiego, łamania gałązek pod nogami strzelcowemi nie słyszał. Bo wierz mi Wasze, po wiatru do źwierza, a pod słońce do ptaka na drzewie, niechaj nikt nie dybie, bo zwierz pod wiatr nozdrzą, a ptak po słońcu okiem prędko postrzegą strzelca. (1) Abyś w takiéj puszczy nie zbłądził, we dnie po słonku okiem, a w nocy tedy pomacać drzewa, na którém od północy, gdzie nie chodzi słońce, zarasta mech, i z północy kosmate, a z południa gołe drzewo musi być zawzdy. A kto może, niech ma i kompas przy sobie, aby się jedno zkądkolwiek poznał bieg słoneczny. Bo trzeba wiedzieć Waszeci, że nie jednę noc przespało się w puszczy z daleka od ludzi, kędy nie zasłyszałeś głosu człowieczego, jeno wycie wilków, mruk niedźwiedzi, i chrząkanie odyńców. Nieraz strach zajrzał w oczy, aleć w Bogu nadzieja, a w torbie chléb. Miałem téż rusznicę nie lada, rura na półpięty piędzi. Kulę do niéj w cienki oszywałem płatek, potém ostrzygniona, więc w wosk gorąco rozpuszczony wrzucona, w którym gdy obewra, tedy potém ostudzona, w rusznicę nabita, by najdłużéj leżała, nie ordzewieje, zaczém nie targnie. A do niéj brałem prochu co trzecia część kule zaważy. Bo trzeba wiedzieć Waszeci, że inaczéj się nabija do tarczy, abo na nieprzyjaciela, by mu zbroję przebić, wtedy prochu trzeba, co pół kuli zaważy."

Tu odetchnął po długiéj mowie Struś, i sparł głowę na poduszce. Podstoli na oknie ujrzawszy rękopism, sięgnął ręką, co Struś ujrzawszy, rzekł do Dymitra: „Wasze młode pierśi macie, przeczytajcie, com dla pamięci zapisał ku przestrodze drugich; jestto szczera i wierna prawda z doświadczenia."

Dymitr wziął Dyaryusz do ręki i począł czytać:

Przysłowia myśliwcze z doświadczenia szlachcica polskiego.

A. D. 1590.

Kto idzie na niedźwiedzia, gotuj łóżko; kto na dzika, mary.

Do źwierza po wiatru, do ptaka pod słońce, jako do konia w omacni, nie trafny chód.

Ptaki drobne kulą strzelać, zające na śniegu bez rarogów (2) szczwać, ryby w rzece kłonią łapać, to z tych łowów jedno dziesięcinę wytknąć przyjdzie!

Na zająca z rarogiem, na sarny z sieciami, na kuropatwy z jastrząbki, najpewniejszy łów.

---

(1) Redakcya Przyjaciela ludu, przychylając się do życzenia szanownego X. W. P., aby artykuł ten w piśmie jéj umieszczonym został, tém chętniéj to uczyniła, że zasługę w każdym człowieku, a zwłaszcza położoną w trudném powołaniu kapłana i nauczyciela wysoko ceni. Żałuje przecież, że X. W. P. w artykule poświęconym pamiątce zasłużonego męża, nie wspomniał nic o pracach jego naukowych, które podobno w licznych rękopismach zostawił. Dowiadujemy się bowiem z dosyć pewnego źródła, że ś. p. Kozłowski przez lat kilkanaście pracował nad historyą kościelną. Cóż się stało z rękopismem? *R. P. L.*

(1) Gospodarstwo jeździeckie, strzelcze i myśliwcze roku 1600.

(2) Rarog, gatunek sokołów rzadkich do łowów na zające. O nich to przysłowie: „Rzadki jak rarog."

W łowiech uciecha, u stołu znajomość, w cieple sen.

Z rusznicą na wiosnę, z sokoły lecie, z ogary w jesieni, z rarogi zimie, myślistwa najlepiéj uczyć.

Rusznica jako chleb zawsze się przygodzi.

Ogar łakomy, chart pokorny, wyżeł zwajcza, dobre bywają.

Charcice, ogarzyce, wyźlice z domu nie zbywaj, chcesźli mieć psy dobre.

Koń dla owsa, pies dla chleba, ptak dla mięsa, siła się naucsą radzi.

Przejażdżka, myślistwo, gospodarstwo potrzebują rannego wstania.

Koń swawolny, broń tępa, rusznica niepewna od potrzeby, nie dobrzy są.

Koń ogonem wiercący, myśliwiec pogody czekający, kmieć bez dozoru robiący, pewnie z tych każdy raczéj sobie a niż panu dogadza.

Żrzebię tureckie, wyżlę niemieckie, chłopię szlacheckie, najlepiéj chować: bo koń turecki droższy, wyżeł niemiecki ćwiczeńszy, a szlachcic za wychowanie będzie i z przyjacioły dziękował.

Koń wymorzony w drogę, chart obkarmiony w pole, mieszek (worek) czysty do targu, wszyscy nie wiele sprawią.

Koń śiwy, chart płowy, ptak biały, częściéj dobrzy trafiają się.

Wierna miłość, sanna droga, krogulcze pole, głos dyszkantowy, nie trwałe. (3)

Biada téj kokoszy, na którą jastrzębia łowią.

Tam się orłowie zlatują, gdzie ścierw czują.

W post jeleń srogi ukole cię rogi.

Wilk na dziedzinie nie szkodzi. (4)

Z szwagrem na zająca, z bratem na niedźwiedzia. (5)

Jazda bez siodła, pole bez obłowu, gość nie dyskret, prędko naprzykrzy się.

Koń w dzielności, pachołek przy trunku, chart u zająca, jakiemi się raz pokażą, takiemi je długo rozumieć możesz.

Koń bystry, białagłowa strojna, ptak lotny, niemogą ladajako obrócić się z czasem. (6)

Muchy, psy, gachy, gdzie się ponęcą, trudno wygnać.

„Miły panie bracie," rzekł podstoli, gdy skończył czytanie Dymitr, wiele tu prawd zawarłeś, aleć szkoda, że to jakoś w traktacik nie ułożyliście."

„Nie miałem, mój sąsiedzie, do tego i czasu," odrzekł Struś, zawsze w puszcze lub na polu, mało doma siedząc, niewiele pracując, „krótko a węzłowato pisać należało. W młodych leciech najwięcéj rozmyślałem, czy idąc w pole, czy robiąc toporem drzewo, czy z rusznicą w kniei. A kiedyż wolna do pióra ręka, ot co zbyło czasu ziemie, toć się napisało. Aleć już będzie pono i doba do wczasu; dobra noc mili sąsiedzi; Bartosz niech pomyśli o wygodzie; jeno pamiętaj, żeby wielce nie stukać, gdzie chowamy sokoły i ptaki łowieckie nasze."

3.

Nim zapiały pierwsze kury, Dymitr wysłał swoje konie z kolasą tajemnie do blizkiego Sędomierza, aby sprowadzić sławnego lekarza, w one czasy medyka nadwornego kasztelana Jana, Grabi Tarnowskiego, pana Marcina z Urzędowa. Zrobił to tajnie, i dopiero wyznał podstolemu, kiedy medyk na podwórze zajechał równo ze wschodem słonka. Zdziwił się Struś niepomału, ujrzawszy wielbionego lekarza w swoim dworku.

„Czémże Waszeci, wielce miłościwy mistrzu, odwdzięczę za tę łaskę, żeście raczyli zjechać w liche progi moje?"

Medyk skłonił głową, usiadł w milczeniu przy łożu, i wziął słabego za rękę, szukając bicia tętna. (7) Po chwili obejrzał ranę, a z przywiezionéj maści plastrem owinąwszy, ręczył za zdrowie, aby w spokoju trzy dni przeleżał.

„Cieszy mię wielce, że rana Waszéj miłości (rzekł Marcin z Urzędowa) w niczém niezastrasza, maści téj jeno zażywajcie, a niedługo...."

„Czy jutro zapolować możnaby, przerwał Struś."

„To zawczasu, pozajutro nad wieczorem będziecie mogli wyjść nieco z domu, bo wiem, że wam duszno w chałupie siedzieć."

„Czyby nie zawadziło trochę juszki upuścić?" zapytał chory.

Niema potrzeby, a jać szafarzem krwie nie jestem, (8) nie pijcie wina, za napój wody z grzanką chleba."

„Toż Wasza miłość zagrał panu Strusiowi tarabandę, on co jeno myje się wodą," zawołał podstoli.

Struś się skrzywił na tę radę doktora, ale przez szacunek w żart to obróciwszy, wyrzekł: „Źle będzie z nami, moi sąsiedzi, bo dostanę przydomek Wody, jak tam jakiś wojewoda na Mazurach." (9)

„Nie obawiajcie się tego sromu; tamten nie pił cały żywot, jak jeno wodę, a ja wam zalecam na dni kilka."

„Niech tak będzie; posłucham rady waszéj miłości; będę siedział doma, pił wodę, aby się moi sąsiedzi nie nudzili. Bartoszu, weź drzemliki na łowy żórawi!"

Medyk stanąwszy w oknie, z wielką radością ujrzał ogródek w około domku Strusia. „Jako baczę, z Waszéj miłości wielki miłośnik

(3) Gospodarstwo jeźdz. strzel. etc. 1600.
(4) Bo wilk gdzie się gnieździ, nie szkodzi.
(5) Przypowieści Salomona Rysińskiego. 1629.
(6) Jana Zabczyca *Polityka dworska*, 1630.

(7) Tętno, puls.
(8) System Marcina z Urzędowa.
(9) Patrz Herbarz Paprockiego.

ziołek lekarskich i ślicznych kwiatów; owoż gwoździki ziemne albo indyjskie, które tymi czasy nastały w Polsce, śliczny a piękny kwiat (10), myrt niedawno sprowadzony (11), zieleni się groch włoski, nie widziałem go też nigdzie, jeno w ogrodach krakowskich, kędy go siać poczęto. (12) A wieleć osobliwości znajdzie po zamkach panów naszych. Bluszcz prawdziwy ma sam tęczyński zamek, źimie i lecie zielony (13). Rozmaryn już mają w ogródkach krakowskich. Widziałem jałowiec u pana Tęczyńskiego, wojewody sandomirskiego, w Kraśniku, tak wielki, że są drzewa piękne, trudno rozeznać od cyprysu tak duże, tylko jagody dadzą poznać. (14)

Roztworzył okno, chwaląc ogródek, a Struś z radości, że praca jego i starunek znalazły pochwałę, już chciał puhar starego madzaru wychylić, ale pomny na zakaz medyka, patrzył wzdychając, jak goście podany gąsior spijali, a i pan Marcin Urzędów, lubo skromniéj, wychylał kielich miłego napoju.

Bartosz z dwoma drzemlikami ukazał się we drzwiach drugiéj izby. „Wziąłem,“ rzekł, starego ćwika i maiża (15), poprobujem go nieco.

Właśnie Dymitr wychyliwszy puhar, czoło zmarszczył; co widząc podstoli, zawołał ze śmiechem:

„Co któryś tam z naszéj szlachty poetów powiedział, to muszę teraz powtórzyć do młodego naszego łowca:

„Spełnił gość pełną, i zmarszczył się chytrze,“
Gospodarz rzecze: „„Coś nie miło Dmitrze.““
„Gniewam się,“ mówi, „gospodarzu na cię,
Chyba, że aż mię drugą pojednacie.“ (16)

„O nie dla tegom namarszczył czoła, wielmożny podstoli, aby o drugą miarę się upomnieć, boby już oczy zamroczyło, a czas na łowy!“

„Hejże na łowy!“ wykrzyknął rzeźwie Struś, krzepko unosząc się z łoża. „Bartoszu, konia, rękawicy mojéj i bębenek!“

Medyk spojrzał nań z podziwieniem; zrozumiał to Struś dobrze, spuścił głowę zasępiony na pierśi, i rzekł osowiały: „Jedźcie z Bogiem! a przywiesta mi żywego żórawia na nętę. Bartoszu, uważnie z maiżem, żeby nam nie uleciał z domu.“

Podstoli z Dymitrem wsiadłszy na koń, przegnali Marcina z Urzędowa, który co rychle ruszył do Sandomierza, polecając Strusiowi spokój i dyetę. Bartosz konno, na rękawicy unosił dwa drzemliki, a dojeżdżacz, białego i pięknego prowadził na smyczy wołoskiego charta, wyprobowanego z rączości.

Struś zawoławszy pacholika i kilku z czeladzi, kazał się z łożem przysunąć do okna, zkąd widać łąki z wyżarami, kędy łowić miano żórawie. Gdy mu ułożono poduszki, i wszystko, jak na dłoni mógł dojrzeć, kazał przy sobie zostać pacholikowi, i podać trąbkę myśliwską.

Tymczasem łowcy stanęli na łące, bo dojrzeli stado żórawi. Dymitr wziął młodego drzemlika, podstoli starego ćwika. Bartosz odwinął rękawy, aby dobrze wybijać na bębenku, rozkazując dojeżdżaczowi z wolna z chartem zajeżdżać. Łowcy z ptakami czekali rychło puszczą w obłoki lotnych gońców. Dojeżdżacz zręcznie zajechał, ukazał chartowi stado, i puścił ze smyczy, poskoczył chart rączy. Łowcy ruszyli galopem, a gdy przed chartem zerwały się żórawie, Dymitr i podstoli puścili drzemliki. To była ważna chwila dla Bartosza, bił co siła w bębenek, i głosem z całéj mocy pokrzykiwał, zachęcając skrzydlatych łowiów. Struś w oknie nie mógł spokojnie dosiedzieć, to pokrzykiwał z gardła, to wygrywał na trąbie pojezdnego.

Spłoszone żórawie wybiły wysoko w górę. Drzemliki dognały ich prędko, usiłując wyżéj się wzbić nad nie, jakoż wkrótce i młodzik i stary wyleciały nad przestraszone ptaki. Tu był czas właściwy tryumfu łowców; drzemlik stary z góry uderza na głowę żórawia, zbija go z lotu, maiż idzie za jego przykładem, i obadwa z dwoma żórawiami, jak dwa kamienie rzucone, lecą ku ziemi. Bartosz z wlepionemi oczyma, z kopyta poskoczył, Dymitr za nim, równie jak osiwiały podstoli, aby pochwycić zdobycz.

Struś płakał z radości, patrząc, jak pięknie łowią jego ptaki, klaskał z radości, wołając na pacholika: „Chłopie moje, patrz, jak wybijają w górę, o! o! już uderza mój ćwik, o! o! już leci do ziemi; daléj sąsiedzi, w konie z kopyta, daléj!“

Żórawie z drzemlikami już były na ziemi, silne ptaki poczęły z siebie zdzierać napastników swoich, gdy Bartosz z Dymitrem wraz nadbiegli, pochwycili żórawie, i zdięli drzemliki. (17)

Struś ujrzawszy skończone łowy, zatrąbił piosnkę: „Już po herapie, łowcy, łowcy!“ rozkazując przyrządzić co żywo do stołu.

Z radością wracali łowcy, a gdy siedli z koni,

(10) Zielnik Marcina Urzędów, str. 32.
(11) Zielnik Marcina Urzędów, str. 56.
(12) Str. 13.
(13) Str. 269.
(14) Str. 349.
(15) Maiż, ptak zaczynający wprawiać się do łowów. Ztąd przysłowie u Rysińskiego: „Maiż towarzysz, ćwik Pan.“
(16) Daniel Bartkowski: „Świat po części przejrzany.“

(17) Obraz łowów jest wiernie skreślony podług *Myślistwa ptaszego*, dzieła z czasów Zygmunta Augusta.

oddali gospodarzowi dwa żywe żórawie, nieco podrapane tylko: gdy Bartosz wszedł z drzemlikami, Struś kazał je sobie podać, a z pieszczotą głaszcząc je i całując, kazał je wodą obmyć i żyru dodać.

Po obiedzie, Bartosz znając swego pana, zapytał, niby niechcący, czy nie każe spróbować kurów (18) w bitwie, co ich nakarmił dobrze zielem dodającym zapału i ochoty do walki. (19)

„W to mi graj stary," wykrzyknął Struś radośnie, „przynajmniéj leżąc doma człek się jakoś rozweseli."

Zdjęto nakrycie ze stołu, gospodarz kazał dolać w próżne puhary podstolemu i Dymitrowi, sam dla zachowania rady medyka, wodą usta popłókał, a napił się wina, kiedy Bartosz z pacholikiem wnieśli każdy koguta, pierwszy czerwonego, drugi białego jak mléko.

„No!" rzekł Struś. „nasypcie im nieco ziarna, niech się posrożą!"

Bartosz sypnął garść pszenicy na stół, i postawił przy tém koguty; oba poczęły jeść ziarna, ale wraz odsuwając się od siebie. Zwolna gniew w nich wzrastał, w grzebienie krew nabiegała, poczęły grzebać nogami, najeżać pióra, i pochyliwszy głowy, coraz zajadléj spozierać na siebie.

Struś poświstywał, klaskał w ręce, wreszcie zawołał: „Nuże! mili sąsiedzi, za którym trzymacie? Ja za czerwonym.

„Ja za białym," wyrzekł podstoli; za nim Dymitr.

Bartosz pokręcił głową.

„No! a wy za kim, stary?" zapytał Struś ciekawie.

„Mnie się zdaje, wielmożny panie, że biały pobije."

„O co zakład," wykrzyknął Struś, „że czerwony pobije. Słuchajta Bartoszu, jeżeli biały pobije, dam ci gąsior maliniaku starego; a jeśli przegra, sworami dostaniesz."

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Kilka słów o mieście Brodach.

W artykule: „Wolne miasto handlowe Brody," z obrazów Galicyi wyjętym, a w Nrze 36. Przyjaciela ludu r. b. umieszczonym, znajdują się niektóre historyczne błędy. — Mając właśnie w ręku autentyczne dokumenta, rzecz wyjaśniające, mam sobie za obowiązek sprostować je. Redakcya pisma, tylu artykułami wzorowemi celującego, otwierającego zagrzebane skarby, obudzającego drogą przeszłości pamięć, a przezto do wiecznéj rodaków wdzięczności zobowiązującego, przez wzgląd na prawdę historyczną nieodmówi zapewne miejsca i tym kilku wierszom, bo *et hoc forsan meminisse juvabit.* Że już w wieku 14tym na tém miejscu, gdzie dziś miasto Brody stoi, była osada, która od czasów Kaźimierza Wielkiego coraz więcéj zaludniała się, zaprzeczyć niemożna, lecz nie idzie zatém, żeby ta osada już wtedy nazwisko Lubicz nośić miała. I owszem z przywileju Stefana króla, danego Stanisławowi Zółkiewskiemu w Lublinie 22. Sierpnia 1584 roku, który potém Zygmunt III. na prośbę synów Mikołaja Żółkiewskiego, podkomorzego lwowskiego, w Warszawie dnia 20. Marca 1597 potwierdził, okazuje się oczywiście: że przed rokiem 1584, na tém miejscu, gdzie dziś Brody, była wieś tegoż samego nazwiska, i że dopiero w tym roku na gruncie téjże wśi, w miejscu między Moczarami leżącém, Ostrów zwaném, tenże Stanisław Żółkiewski (ojciec Stanisława hetmana i kanclerza w. k., bohatéra z pod Kluszyna i Cecory,) założył nowe miasto (novum oppidum), któremu nazwisko familijne Lubicz (od herbu, którym się Żółkiewscy jak wiadomo piszą), nadał, a którego założenie król Stefan potwierdził, dla tego, że, jak się wielki ten król wyraża, *tamtędy trakt zwykły z Ruśi na Podole i Wołyń, i z różnych miast ruskich do innych miast Ruśi prowadzi; oprócz tego zaś leży na samym przesmyku najazdów tatarskich, a zatem gdy kiedy obwarowane będzie, wielu mieszkańcom za przytułek, a samym nieprzyjaciołom za zawadę w dalszych postępach służyć może.* Czas niedochował w imieniu zamierzonéj przez Żółkiewskiego pamięci, już bowiem na początku 16go wieku nowo założone miasto nie nazywano Lubicze, lecz Brody. Świadczy o tém przywiléj Stanisława Koniecpolskiego, wówczas wojewody sandomirskiego i hetmana polnego k., męża córki hetmana Żółkiewskiego, przez którą dobra Żółkiewskich w dom Koniecpolskich przeszły, danego w Brodziech dnia 8. Kwietnia r. 1629," który się od tych słów zaczyna: „Zostawszy panem dziedzicznym miasta Brodów." Tento Stanisław Koniecpolski, a nie syn jego Alexander, chorąży koronny i starosta pereasławski, który w roku 1629. właścicielem Brodów jeszcze nie był, szczególnemi przywilejami miasto Brody opatrzył, on zamek warowny wystawił, a tak ten, jak i całe miasto, mocnym murem i wałami opasał, i do rzędu pierwszych wówczas obronnych miejsc w Polsce wzniósł. Widać to z przywileju Władysława IV., danego w Krakowie 11. Marca roku 1633, którego wstęp następujący: . . . . *Itaque cum illustris et magnificus Stanislaus a Koniecpole Koniecpolski, Castellanus Cracoviensis . . . . . artibus belli supra fortunam, quam Sagax ipsius prudentia famulari sibi cogit, et supra invidiam quantum fatis antevertere licet, evitetur, totque praeclarissimis gestis rempublicam illustrat, vicinisque ac remotis hostibus majestatis ejus mixtam*

(18) Kogutów.
(19) Dawano u nas ziele, zwane „Matki boskiéj włoski." Ziele to wedle „Syreniusza" czyni koguty śmiałemi do boju.

venerationem injecisset; ne vero heroicis facinoribus suis tantaeque gloriae ad immortale quidquam deesset nomen, non tantum pro memoria civitatis suae haereditariae Brodensis praeferre et munire, verum etiam arcem firmissimam munitione exstruere vellet, nullisque sumptibus parcat, quo ea res Provinciae Roxolanae decori, accolis usui, commodo ac securitati contra quemvis validissimum hostem cadat, tam praeclaris ejus conatibus i t. d. W przywileju tym Władysław IV. potwierdza używane dotąd podług przywileju króla Stefana jarmarki i targi; wszystkim kupcóm, z wszelkiego gatunku towarami tamże jadącym, i ztamtąd wracającym, salvum conductum zapewnia; wolność handlowania na wszystkich kupców, nietylko miast Rzeczypospolitéj, ale i na zagranicznych, tak Chrześcian, jak i Pogan rozciąga i jarmarkom brodzkim równe nadaje wolności, jak w Lublinie i w Toruniu mieć zwykły, równając je z któremikolwiek najsławniejszemi w Rzeczypospolitéj jarmarkami. Rozkazuje daléj król: aby trakt z ziem kijowskich i wołyńskich zawsze na Brody szedł, i z niego kupcy niezbaczali. Nareszcie ustanawia w témże mieście Brodach miasto składowe (emporium seu depositorium) na wszystkie towary, które z Wołynia, z kijowskiego i Polesia do Polski idą, mianowicie: łój, skóry, miód, len, konopie, sól, saletrę, wełnę, chmiel, ryby, i na te towary, które z Gdańska i Polski, do tych ziem, bądź wodą, bądź lądem prowadzą się; w ten sposób: iż żaden kupiec lub woźnik z towarami do tegoż miasta dążący, onegoż pod karą utraty towarów wyminąć nie będzie mógł; nadto obowiązanym będzie w témże mieście trzy dni zabawić, aby w tym czasie mieszczanie towary dla siebie zakupywać mogli. Odtąd to poczyna się świetna dla Brodów epoka, która we względzie handlowym aż do ostatnich trwała czasów. Po wygaśnięciu domu Koniecpolskich, które, jak wiadomo, z zejściem Stanisława Koniecpolskiego, syna Alexandra, a wnuka Stanisława, hetmana, w r. 1659 nastąpiło, miasto Brody przeszło w dom Sobieskich, zapewne prawem spadku naturalnego, bo babka króla Jana III., Daniłowiczówna, urodzona z Zofii Zołkiewskiéj, córki hetmana, była rodzoną siostrą babki ostatniego potomka domu Koniecpolskich, a tak w roku 1699. Brody były już własnością królewicza Jakóba Ludwika **Sobieskiego** (nie Jakóba Ludwika Podlewskiego), jak świadczy przywiléj de dato 4. Czerwca 1699. miastu Brody, raczéj Żydom tamże mieszkającym nadany, dla treści swojéj, wystawiającéj stósunek Żydów do ówczesnych panów dziedzicznych arcyważny. Dziś Brody są własnością **Jana Każimierza Młodeckiego**, nie Mołodeckiego.

Lwów, 8. Maja 1840 r.

A. C.

Odezwa Wydawcy Przyjaciela Ludu.

Na Numerze 52. Przyjaciela Ludu kończy się szósty rok istnienia tego czasopisma. Starania moje około jego wzniesienia, ocenili już tylokrotnie krajowi i zagraniczni uczeni. Zajęty wciąż tąż samą myślą rozwijania mego pisma, wezwałem do współpracownictwa najsławniejszych pisarzy, którzy nietylko mi pomoc przyrzekli, ale nawet już szacownych i obfitych dostarczyli materyałów, nadających pismu memu rzetelną w wszelkim względzie wartość, a oraz zdolnych czytelnika, szukającego w pismach peryodycznych miléj rozrywki, jak najprzyjemniéj zabawić. Wszakże usiłowania takowe wymagają z mojéj strony znacznych ofiar i zmuszają mnie do podwyższenia zbyt niskiéj ceny prenumeracyjnéj o 3 złote rocznie, a 1½ zł. półrocznie. — Wszystkie więc księgarnie krajowe i zagraniczne, jako też i królewskie pocztamty, przyjmują przedpłatę na Przyjaciela Ludu, rocznie 3 talary, czyli 18 złp., półrocznie 1 talar 15 sgr., czyli 9 złotych, którą Szanowni prenumeratorowie wcześnie złożyć raczą, niechcąc doznawać przerwy w odbieraniu regularnie wychodzących cotydzień numerów Przyjaciela Ludu.

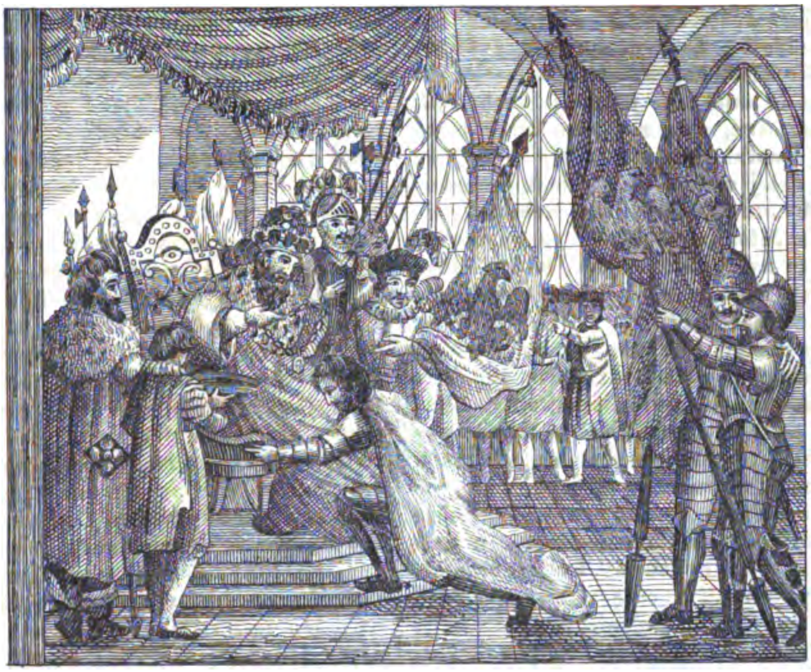
Leszno, 25. Maja 1840.

Ernest Günther, *księgarz i typograf.*

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: *J. Łukaszewicz.*)

Przyjaciel Ludu.

Rok szósty. **No. 50.** Leszno, *dnia* 13. *Czerwca* 1840.



Albrecht Fryderyk, książę pruskie.

Jaśko Narębski.

Ustęp powieści z wieku XVI., napisanéj przez J. J. L.

1.

Jeszcze dobrze było zmroczno, a już na dziedzińcu uwijała się czeladź, woły zganiano z paszy, a konie z trawnika, z owcami czekano, aże rosa opadnie: dziewki kręcą się wedle dójnika, a nie jeden parobeczek radby za niemi puścić się na gzy, ależ gospodarz, pan Wojski Ziemski był także na dziedzińcu, i dawał zlecenia rządzcy. Na drzewach zmrok gęstszy, niż na świecie, — ciemni dodawała gęstwina, — a słońce było jeszcze za głęboko, by owo i z tamtąd noc wypędzić. Po wśi pies jeszcze kiedy niekiedy tylko się odezwie, gdy włódarz z chałupy wyganiał na pańskie. Na niebie mgławo, a przed się gospodarze brali się rączo a wesoło ku robocie, bo to wczora słonko czysto zaszło, pogoda więc była pewna.

Dziedzic wrócił doma, przechadzał się po izbie, a widno było niepokój i na twarzy i w całym ruchu.

„Matko, Jéjmość!“ odezwał się do żony, i znowu przechadzał się w rannym szarafanie płóciennym po izbie, a snać przypadło coś onemu na serce, abo że dręczy go sumienie.

„Co pan mój mi rozkaże?“ odrzekła gospodyni domu.

„Ot sny, sny, rzeką ludzie, śni się i prześni, i ja także z razu myślał..., ale już przez kilka nocy staje mi mój kochany brat Jaśko we śnie, ot i dziś znowu...“

I zasiadł przy stole smutno, założywszy nogę na nogę, uchwycił kolano założonemi rękoma, pochylił głowę, puścił myśl, — może, iż o tamtym świecie rozmyślał? może o swym bracie? boć któż kiedy zbadał myśli ludzkie?

Żona niespokojna dopytuje się go o sny, o ś. p. Jaśku, bracie mężowym.

„Pragnąłem raz go jeszcze, choć we śnie, obaczyć, ależ matko, coś mnie wszystkiego niespokojno. —“ A tu westchnął głęboko, wstał, począł się znowu szerokim krokiem po izbie przechodzić. „Panie, świéć nad duszą jego! śniło mi się zaonegdany, żechmy oto byli na weselu Państwa Niebożęckich, i żem je swatał

z jego Kachną; to znów, że była Wielganoc, i jachaliśmy na rezurekcyą do kościoła wspołem; jam leżał krzyżem przed Panem Jezusem przed grobem, a on poszedł przed nadgrobek nieboszczki matki naszéj, i zatrząsł się cały kościół, by się walił, a kamień odwalili dwaj dziadkowie w bieli; w tém wszystkie co do jednéj pogasły świece w kościele, krom jednego kaganka, co gorzał przed grobem, ten zasię jął rość w dziwnéj jasności światła, i wszystek kościół się rozwidnił, a u grobu wszczęło się czerwienią, jako krew czerwienić — a matka nasza przystąpiła do mnie tak, jakom ją pochował, i rzeknie: „Bartoszu, synu mój, oto masz brata twego!" a ja rozpłakałem się, a nie wiem, co się już zemną daléj stało — a tu ciężko przebudziłem się. A oto znowu, iże napierał się mego gniadosza Jelonka odemnie, to by onemu je podarować, to by onemu przedać, bo chciał iść na Wołoszą, na wojaczkę, i jużem chciał mu go dawać, ale Wasze..."

A wtém zaniemał, by mu mowy już na więcéj słów niestało; przechadzał się po izbie dobrą chwilę jeszcze bardziéj niespokojny, a zatém rzecze do żony: „Każ Jéjmość dawać polewkę, a nagotuj potroszę wędzonki, chleba a masła w jaszczyk, i banieczkę piołunkówki, pojadę do Lublina, trza jechać; książe pruskie będzie składać hołd królowi naszemu, a nam Rzeczypospolitéj — a by onemu kto wzbraniał, odzewnął się po chwili z całą powagą; i cóż? trochem w niemocy, ale spać nie będę."

Długich rozprawiań nie było — pan kazał, żona wszystkiego przyrządziła wedle jego rozkazania. Pan Wojski począł odmawiać ranne pacierze, zatém Anioł Pański, zatém Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie! a modlił się wszystkiém sercem, z całą gorącością ducha! Służąca przyniosła polewkę piwną, śmietaną zabijaną; po śniadaniu przywdziawszy na się odświętny żupan i kontusz. ruszył wierzchem traktem na Lublin. Żona odjeżdżającemu rzekła: „choćby Jegomość dać na Mszę Świętą, albo na wotywę do OO. Dominikanów za ś. p. brata?"

Słońce pięknym różowym kręgiem zaczęło się wymykać z pod ziemi, i nagle wszystko stworzenie prawie ozłocone, i wierzchy lasów zarumieniły się słodkim rumieńcem, i wszystko jęło ku nowemu życiu przychodzić, wszystko jak na raz rzeźwiejsze i najlichszy kwiatek, i co najlichsza trawka wdzięcznie uśmiechnęły się, by dziecina do jakiego błyszczącego gościńca, co mu rodzic przywiezie, a z daleka ukaże, tak one wejrzały ku słońcu! Zboże dojrzewało, czekało jedno sierpa; tam gdzieś odezwała się niektóra przepióreczka, a pod samém Niebem, że go nie dojrzyć, wyśpiewywa sobie jaka ptaszyna, sobieli czy stworzeniu? Bóg to sam wie jedyny, a na prawo gościńca za krzą na łące zamachują kosiarze kosami rzędem, by co wojennego; a zań jakiś kapotowy na koniu, a za wszystkimi prawie bez mała wszystkie pilnujący, stąpa na wysokich nogach, pokiwując dzióbem, pan bociek. Łąka pachniała zielem przeróżném wonném, kwieciem zasypane, wszystko prześliczne, pełne roskoszy, do pocałowania a pieszczenia się! a pan Wojski Ziemski przed się niebaczy tego, iże mu to nieobce, albo co pewniéj — boć czyjeż serce niezadrzałoby do takiéj uciechy całego stworzenia! albo co pewniéj, iż był zamyślony, albo smutny po swym kochanym bracie, zmierzał prosto ku Lublinowi.

Zjazd ci to był zjazd pod owe czasy w Lublinie! Bóg wie, kiedy taki drugi będzie!?! Cała Rzeczpospolita zjechała się na Lublin, bo to sejm był: „Połączenie wieczyste Litwy z Koroną!" . . . Już wszystko było postanowione; szlachta i wszyscy zostali się byli jeszcze od sejmu, nasz Wojski, jedno co odjechał, abo drugi, iże mu to niedaleko było, a k'temu, boć i ciężko się było podówczas pomieścić, gospody drogie bezmiernie, a i tych niedostać, tak straszny był nacisk luda! Jak Polska Polską, nie było jeszcze, niebyło tak licznego zjazdu nigdzie, przenigdzie! ani w Koronie, ni téż na Litwie, chyba jeśli co, to jedno mogło być w oném zawołaném mieście Gnieźnie za onego naszego najpierwszego przodka Lecha, a i to kto wie, a wszystko w niewidzianym nigdy w téj przezacnéj Rzeczypospolitéj przepychu! Jeden się przesadzał nad drugiego; ten się pięknie ubrał, a owo ten jeszcze okazaléj; ten z włoska, a ten żywy Hiszpan; drugi ma suty kontusz, a drugi jeszcze świetniejszy! u drugiego na głowie włoski birecik ze strusiém piérzem, opadającém ku dołu, a u drugiego polska czapa zwiesista; ówdzie z brodą a wąsy sierdzistemi, a drugi jedno co z wąsami a półbrodą z hiszpańska, a tamten znowu cale ogolony. Owo ochędóstwa pełno! Aza chciałbyś ujrzyć świat wszystek ruchający się w swéj przeróżnocie, nieżal jedno co było ci być tam pod owe czasy! Ruch na uliczech nieprzebrany: tam husarz w stal cały okuty widzi się, że niedosiedzi na dzianecie, abo na natolskim rumaku, odziany tygrysem z orlemi skrzydły, oprawnemi w srebro, zwiniętemi w górę do lotu, istny Bóg jaki zwycięztwa, to czoło polskiéj Rzeczypospolitéj, to jéj synowie są, stróżowie jéj zdrowia a wolności, a przy boku ich kopije białe z czerwoném za wiatrem płynące na kopijnicach biało więc i czerwono prążkowanych z pozłotą. Owo z rogu wyjeżdża poczwórna koleba pana Krakowskiego, drugdzie pędzi poszóstna pana wojewody lubelskiego, a druga znów wymija się prawie z drugą, jakiego tam posła zagranicznego, abo Bóg wie już kogo, a wszystko konie przecudne, koń w konia, a rzędy na nich od jedwabiów i od złota a srebra a drogich kamieni! Tam się kręci niektóry szlachcic na jakiéj żwawéj szkapinie, a wszędy myśl dobra; wesołość i ochota, wita-

nia, wypytywań a naradzań się co nie miara. Tam się gładko mieszczaneczka przewinie wystrojona by do ślubu, w sajanikach abo kasyjatkach jedwabnych hatłasowych, a to wszystko z wymysłami; przez biodra szczerozłote łańcuszysko o mało nie wiele, że po ziemi się to niewlecze, uderzając po nogach te bogactwa niewolnicę — a wedle szyjéj jakie teperele! Hej córo Krezusowa, pomyślał se tam nie jeden w duchu, nadałabyś się mi, nadała! nieuciekaj dziewko! dziewko urodziwa! wsparłabyś chudobę moją swoim wątkiem, a niepoślednim dostatkiem. A jeżeliś nie świadom Lublina, a wszedłbyś doń owego czasu, zginąłbyś jako w lesie, jako kropla wody w morzu, gwoli takiemu zbiegowi luda!

Dzień był już jak wół. Nasz Wojski Ziemski wjechał do Lublina krakowskiém przedmieściem, mało go i owa serdeczność ludzka obchodziła, przejechał przez bramę, wyrządziwszy uczciwość męce pańskiéj po nad bramą zamieszczonéj, i zajechał na Korzec do Abrahama arędarza — uwiązał konia w onéj gospodzie, a zaleciwszy pamięć o nim panu Abrahamowi, sam pobieżał co prędzej do wielebnych OO. Dominikanów, dał na wotywę za duszę ś. p. Jaśka, swego rodzonego brata, wysłuchał Mszy Świętéj przed obrazem Świętego Jana Kantego, odmówił różne modlitwy i pacierze za umarłych i *Dies irae, dies illa*, a zatem wyszedł na krakowskie przedmieście.

Już i myśl lepsza u niego, potkał się z kilku braci szlachty swego powiatu, i z co nieco Wielkopolan, — owa kilkoro Litwy i inni drudzy, a po staremu zwrócili się do Abrahama na Korcu, arędarza między szlachtą zachowałego, a te znów powiedli kilku będących sobie w rodzie, owa gromadką zasiedli ławy w izbie Abrahamowéj na tyle, a szlachty była pełna izbica.

Zastaw ino tu, panie Arędarzu, nam jeden garniec, abo trzy! bo to po suchemu na czorta się zdało; jużci pogwarka i miléj idzie; jedni o gospodarstwie, iże to się na uczciwe żniwo znaczy, a inni, iże ciężkie czasy coraz to bardziéj cisną człowieka, abo o taniém zbożu, bo to już czemu zwyczaj; daj gospodarzowi dwa złote za korzec lubo pszenice, lubo żyta, a onci na to rzecze: iże to nie siła, radbych widzieć trzy złote wyliczone; wyliczysz trzy, a jużci i tego mu niedość. Jaka to chęć ludzka na pieniądz! abo też iże się bardzo przebiera u niego pieniądz w mieszku, bo już niewiem, co ma to rzec. W innym końcu szlachta gawędzi, iże to Rzeczpospolita jest we wielkiém zachowaniu między chrześciańskiemi monarchijami, a w innym końcu szerokiéj izbicy siedział Wojski nasz, Borowski, Kamieniecki, abo inni drudzy; popijają na dobrą myśl; Borowski rzecze:

„Panie Wojski! tydzem niedaleko siebie, trzaby się przecisię co bardziéj przybliżyć, abo pójść z sobą w ród; wszakoż Borowscy Waszecinéj krwie Mości Wojski niepowstydzą?“

„A broń mię Boże! jakom żyw nic mi nigdy takowego przez głowę nie przeszło! Panie bracie! Waść szlachcic, jam szlachcic! ale dzieciny moje drobne, sam żeniatym, brata miałem, ale już go niema, a i on był zaręczon, dziewka jego ono w zakonie...“

„Ha, i moje dzieci jeszcze nie rosłe, mam i ja dwie siostrze, jedna wdowa, białogłowa gładka, młoda i rządna, a druga jeszcze dziewka; też jéj Bóg nie odmówił urody — ale postanówmy co o naszych dzieciach? No, panie bracie Wojski! moja Marynka żwawe dziecko, nieczego będzie dzieweczka, matka zaprawia ją do gospodarstwa...“ A wtém weszła rozmowa o czynieniu hołdu książęcia pruskiego Rzeczypospolitéj — jedni mówią: że musi klęczyć, jako owo rodzic jego w Krakowie tak czterdzieście z górą lat temu; drudzy rzeką: że nie, a jeżeli klęczyć, to tylko na jednéм kolanie. Za ostatniém trzymał Wlyński, Wierzchlejski i inni; a inni znowu upierają się do ostatniego, jako widzieli drugie hołdy u obcych, a jedno na jednéм kolanie klęczeli, i już do zwady gotowi; ale Konopka bywalec, stary dowcipski, tak rzecze: „Miłe rycerstwo, panowie bracia! Prze zdrowie Zygmuntowe, króla naszego polskiego!“ a już szlachta dzbany dzierże w garście, każdy w swą, póki mu niedość. „Owo rzecz taka, panowie bracia, u obcych może i na jednéм, bo tam jednemu hołduje, gdzie w ziemi niewolstwo; a u nas po staremu na dwóch, naszemu królowi, a nam Rzeczypospolitéj! owo co wpadło komu do głowy, byle daléj.“ Drudzy znów rozumowali o przyszłości: „co to będzie z miłą Rzecząpospolitą po śmierci zaszłego już w lata króla Zygmunta? iże to niejedność roztargiwa ciało Rzeczypospolitéj; zwady między panami pełno, a między pany znów a księżą, owo, że święta wiara w zachwianiu, a król polski, wielkie książe litewskie, obecne, ostatnie jest z męczyńskiego rodu Jagiełłów!“ Zasmuciła się co nieco cała gromada, a Wojski tak rzecze:

„Już to, że ten nasz król dokonał téj zacnéj sprawy połączenia wieczystego Korony a Litwy, to co prawda siła mu winne obie Ziemice, jako jeden duch, tak dziś za jego dziełem i jedno ciało. Każden tam oj ma sobie krewnego, drugi niektórego znajomego; Korona powzięła serce ku Litwie, i Litwa pokochała się w Koronie; snadniéj będzie nam teraz, czy to spatrzyć Tatara, abo tłuc innego wroga; już i ochota będzie lepsza.“

„Co tam ochota, ochota!“ ozwie się Wierzchlejski, abo to Koronie schodziło kiedy na grzecznych ku mieczu chłopach?“

„Ale, ale, daj no Wasz Mość, panie bracie, pokój,“ rzeknie Wielowiejski, Małypolak, Krakowiak, „już to co czterech, to nie dwóch; weźże Wasz Mość panie bracie miecz; tniesz

Moskala jedną ręką? juści ledwie go razisz, bo to ma kark twardy, a oburącz, a już dwie połsie zeń mieć będziesz. Owo Korona prawą, bo to już Korona, a Litwa lewicą będzie naszéj Rzeczypospolitéj."

„Słuszna! słuszna! panie bracie, oburącz na Moskwę! oburącz!" ryknął jakiś tam z końca, co jedno posłyszał że dzwonią, a niewie gdzie, a snać onemu Moskwa dopiekła do żywego, kiéj się tak zerwał.

„Ot i Waszmościa, panie bracie Wojski, rodzony," rzecze daléj Wielowiejski, „miałbyli był z sobą czterech? pewniejsze by jego gardło było, i niestraciłaby Polska takiego chłopa uczciwego, byłem ono i ja tam. Wiekopomne to dzieło naszego Króla!"

I znów nieszczęsna myśl przypadła Wojskiemu do serca, by mu niewiedzieć co się stało! a któż mu ją oderwie? zakwasiła mu wszystek wczas ochoczy, jako ono kamień przytłaczający kwiecie!

„Hano Litwin tam stoi; coś tam pije po swojemu Mazurom."

„A bo co, cóż wam panowie bracia Litwa?"

„Co Waść myślisz o Unijéj?"

„Źle wam z Litwą? abochmy to nie braty? nie jednéj matki dzieci? kędyście byli przed Jagiełłą naszym?"

„No no Litwinku!" ozwie się Gałęzowski, „bo to stary gadała: plecie trzy po trzy, jako ono o żelaznym wilku. Słyszcie tam, panie Harendarzu, wynieście jeno nam tu niektóry garniec. — Litwy zdrowie! przez Litwinów zacnych braci!"

„Wrzali na wieczyste połączenie. Obojga Ziemie nasze Pany; bruździlí królowi w jego zacném dziele; wszakoż na zatém lepiéj nam wżdy będzie. Prze królowe zdrowie!" i szły zdrowia za zdrowiami; Litwa piła prze Korony! Korona prze Litwy! to znów wieczystéj zgody, więc jedności! to znów kochajmy się!

„A Waść panie Wojski, co Waszeci? co Waszeci?" przybiegło kilku, a dopytują się; „przez Waść panie bracie taki trudny ku ochocie!" ale by onemu słowa marzły na uściech, jakby nie słyszał, i oczu nań niezwraca nawet. Ach! ztrudna przychodzi myśl dobra, gdzie żałość na prawdę serce gniecie....

Wtém wchodzi do izby z wierzchu niby pół Turka, pół Żyda, pół Polaka, chłop za półtora wzrostem, i tak rzecze:

„Kłaniam, panowie bracia! a niema też tu jakim razem między wami Wojskiego Narębskiego?"

„A juści go w lesie nie będziesz szukał, ino tu!" odrzekł niektóry Ryczgórski, Sulimczyk, Litwin.

Za pierwszém wejrzeniem na się, poznali się braty! a nasz Wojski i słowa przemówić niemoże: obłapili się po bratersku wszystkiém sercem, pobeczeli się po staremu, jak bobry; szlachta patrzy, poprostu ogłupiała, a ci jak się całują tak całują braterskim uściskiem a szczerością, a łkaniu końca niema!

„Ale bo! ale bo! Bracie Jaśku, Waść w zdrowiu! braciszku!" i znów beczeć, całować się; „ja Waści braciszku sprawił już nabożeństwo, a ja cię oglądam! ja dziś dał na wotywę za Waści, Jaśku mój!"

„Taka boska wola, że zdrów przychodzę, a Pan Bóg zsyła mi pocieszenie, iż cię także zdrowym miły mi Bartoszu widzę i was, panowie bracia;" rzekł, a wtém łzy mu świerczkiem stanęły w oczach, a ono w owych łzach cała niewola tatarska, i wszystka miłość jego przeciw cnéj ojczyznie, i wszystkę serdeczność jego ku bratu, i ku braciéj szlachcie, i całą chciwość boju, i wszystko, wszystko ujrzałbyś w onym urodziwym chłopie Narębskim Jaśku, Złotogoleńczyku!

„Bracie Jaśku, czy mię oczy nie zwodzą, Wasze żywiesz!?" a wtém Sierociński:

„A Panie bracie i do nas należysz, i nam serce rado, widząc zacnego brata mego sąsiada!" i całowali się, ściskali, „bo raz: że to już to jakoś; kiedy ochota, już serce na wierzchu, a też tego nie zajrzyć nigdzie u żadnego drugiego narodu, jedno co na naszéj ziemicy porosła wysoko serdeczność owa a otwartość!"

„A jakimż to obyczajem Jaśku zwiastujesz mi tę szczęsną godzinę?" Jeszcze się raz obłapili, i popłakali bracia płaczem radości rodzica nad nowonarodzoném dziecięciem; łzami brata nad powróconym do żywota bratem!

Popłakało się i kilkoro szlachty, boć jakżeż pod takowe czasy nie zapłakać?

„Mnie mówili wszyscy, że Wasze już gardło położyłeś; jeździłem, dopytywałem się, a ono każden, że Wasze Jaśku nie żywiesz!"

„Ot tak na tym tu świecie — jęli mię Tatarzy, a oto za zaleceniem wojewody wileńskiego a łaską królewską, abo królownéj Hanny, wolen uczynion jestem, po prostu; zapłacili za człowieka."

„Panie bracie! Abrahamie, dajcie jedno tu zapomogę! prze królowe zdrowie a królownéj Hanny! prze zdrowie Waszecine bracie Złotogoleńczyku! co gardłem swém bronisz zdrowia miléj ojczyzny i wszystkich takich, jak ty, panie bracie!"

„Ho, ho, panowie braty! mam ja tu jeszcze cosik na zakąskę, ale to tego nie siła będzie, trzaby pomyśleć o czém więcéj. Panie harendarzu, przynieście jeno kukiełek, tylko co dość! obliczcie na nas wszystkie." Wybieżał i przyniósł dwa kapłony sążniste; „oto służę czem mogę panom braciom, oną pracą méj Jagusi."

„A prze Bóg! a to prosięta, nie kapłony!" odezwało się kilku.

„Prosię jak prosię", ozwał się Konopka, „ale patrzy by kiepski indyk!"

Owo, poznosił każden, co miał ze sobą, i za-

stawiony był stół przeróżnem jedzeniem, a któmu jeszcze harendarz wysuł na stół całe poły kukiełek — patrzało to by na Święta Wielkanocne, jedno co bez nakrycia i bez ziela. Przypięła się szlachta do owego jadła, a nie wyszło ani chwili, a i mucha niemiałaby się czem pożywić!

„Byłem u bratowéj, sprawiłem jéj uciechy niemało, kazała mi cię tutaj szukać na korcu, i byłbym tu od pół godziny, ale potkałem wojewodę wileńskiego, opowiedziałem wszystkę mą przygodę, dał pocieszenie człowiekowi, sześć łokci teletu na kontusz, i rzekł: iże trzy źrebce mogę sobie wybrać w jego stajni, i kazał mi przyjść na zamek do króla po uczynionym hołdzie o 19 godzinie, mówiąc, iże i onego tam naleść."

„A Waść bez miecza! panie bracie? ja Waści dam swego kontusza, abo pójdziem kupić co gotowego? i jakżeż tam się Jaśku pokażesz? tam będą wszyscy panowie, okropny zabieg wszystkich!"

Nic to, temci lepiéj, król zajrzy mą niedolę, może uraczy człowieka jakiém pocieszeniem."

„Ale przynajmniéj przypasz sobie miecz mój, cóż tam na zamku rzeką? szlachcic bez miecza: naściże."

„Nie, tak jak mię ono pogaństwo puściło, tak tam stanę."

„Ale, braciszku, tam wszystek świat będzie, a jeno przygotuj się Waść dobrze, co na co odpowiedzieć, gdzie się tam pytać będą."

(Koniec nastąpi.)

Łowiec.

Gawęda z XVI wieku.

(Ciąg dalszy.)

Bartosz się skłonił z uśmiechem, i właśnie koguty zażarte rozpoczęły walkę zaciętą. Czerwony pierwszy uderzył, biały się cofnął aż na róg stołu, odpornie się mając; a gdy nacierający w kilkunastu poskokach śmiałych zmęczył się nieco, biały z całą siłą począł uderzać. Teraz zmusił czerwonego do cofania, aż po długiéj bitwie, w któréj i dzióbem i pazurami walczono, biały, pochwyciwszy za grzebień przeciwnika swego, począł nim ciągać po stole. Zbroczony we krwi, kiedy się zdołał wyrwać, uciekł ze stołu; a zwycięzca dumnie przeszedłszy pole bitwy, wyskoczył po łożu Strusia na ogród, kędy na płot wzleciawszy, wesoło zapiał, jakby otrębując wygraną.

Struś poskrobał się po głowie: „Zły ze mnie prorok!" i dodał z uśmiechem: „aleć przynajmniéj mój Bartoszek uszedł plagi sforowéj? no stary, wypij tam za moje zdrowie maliniaku, bom przegrał."

Podstoli uradowany, że rana niegroźna, zaprosił go do siebie wraz z Dymitrem. Przyjęli obaj zaprosiny i nazajutrz równo ze wschodem słonka ruszyli w drogę. Strusia posadził w kolasę, sam z Dymitrem konno przed obiadową godziną stanęli przy pierwszym kopcu dziedziny podstolego.

6.

Alea lipowa prowadziła od kopca granicznego aż do samego dworu podstolego. Dwór ten murowany z dwoma wieżami na czole, stał na wzgórzu nad obszerném jeziorem; stary ogród, zabudowania folwarczne otaczały błota i sadzawki; z przodu wał z fossą wysoki, na którym czerwieniał dziki berberys z polną różą, i czerniła tarń ostra. Przedział między fossami zapełniła brama wjazdowa z spuszczanym na łańcuchach mostem, z wyniosłą wieżą, na któréj straż otrębywała przybycie obcego gościa. Na bramie był rok wyryty 1531, snać budowy, i herb Junosza, rodziny, do któréj dwór ten, więcéj do zamku podobny, należał.

Struś pokręcając wąsa: „Na mego Patrona, dwór Waszéj miłości oparłby się tym psom poganom tatarskim; wałów jeno nieco poprawić, ze szmigownic kilka, w rusznicę przystroić piechotę na walech, bramie: nieco łodzi, by łabędzie ze strzelbą na jeziorko i stawy puścić, a niech z konia spadnę trzeźwy, jeźlibym tu się bał téj szarańczy, choćby jéj było i sześć tysięcy szabel.

Właśnie wjechali w bramę; Struś się zadziwił wielce, widząc, że na wałach ukryte stały działa, a mur wysoki drugi raz wewnątrz zasłaniał dworzec.

„Ho! ho!" wykrzyknął, „com w głowie zamyślił, a tu już wykonano; dobry to snać z Waszéj miłości i łowiec i wojak."

Na ganek dworu wybiegła z powitaniem pani podstolina, i córka młoda Marynka: podstoli pozdrowił je serdecznie: „Owoż przedstawiam wam mego dawnego sodalisa, sławnego imienia pana Strusia; a to jegomość pan Dymitr, o którym wspominałem nie raz. Ale dosyć tych ceregielów; każ moja dzieweczko co rychléj nam obiad podać, bośmy strudzeni i głodni."

Dymitr ukłoniwszy się pani podstolinie, spojrzał na Marynkę, i uczuł, że mu krew uderzyła do serca i liców; jakby go oblał czerwienią, stał pomięszany; kiedy to dostrzegłszy gospodarz, z uśmiechem uderzywszy w ramię, wprowadził do izby.

Struś opierając się na kiju, uważał pomięszanie Dymitra, rzekł więc doń z cicha:

„Mój młody sąsiedzie! lepiéj pono było łowić drzemlikami żórawie u mnie, albo spotkać się z dzikim niedźwiedziem, jak z pięknemi oczyma dziewki." Dymitr nieodrzekł słowa, a znalazłszy napis nade drzwiami, przeczytał go głośno:

W miejscu czych ojców, cne dziatki usiędą,
Z pracy cnotliwéj ich cieszyć się będą:
Bo niecnotliwie nabyta fortuna,
Tak się w lot zerwie, jak się zerwie struna.

„Dobrato myśl, bo przysolona szczerą prawdą!" wyrzekł Struś.

„Bogdajby (dodał gospodarz) za czymi ojcami w ślady ich dziatki poszły. Ale dosyć tego, chodźmy sąsiedzi do stołu, bo już moja pani nas oczekuje."

Struś przy stole zapomniał dyety, nakazanéj przez lekarza; a gdy niewiasty odeszły i zostali sami, wraz z kilką szlachty, na respekcie u podstolego będących, oraz trzech rotmistrzów od ussaryi i z jazdy pancernéj, gęściejsze kielichy zaczęły obchodzić. Żadnego z nich mimo Struś nieopuścił. „Byłobyto jednym z siedmiu grzechów śmiertelnych, żeby być w Rzymie, a Papieża niewidzieć; być u podstolego przy stole, a wina jego niepić."

„A wiesz też mój sąsiedzie, zkąd owo poszło: być w Rzymie i Papieża niewidzieć? Nie! więc powiem. Szedł pielgrzym Mazur i zaszedł do Rzymu; nie wiedząc, że już jest w Rzymie, pyta pierwszego, co spotkał Włocha: „Cy tędy do Zymu?" „„Non intendo,"" odrzekł zapytany. A pielgrzym na to: „No! kiedyć nie tędy, to tza się wrócić." I powrócił do domu, nic nie widząc."

„Słyszałem tę powieść równie gładko, jak pan podstoli, przez sławnego dworzanina Smolika opowiadaną: o! byłto wesoły i dowcipny dworzanin, jakiego już w rychle nie zobaczym wcale.

„Wasza prawda, mój sąsiedzie (odrzekł podstoli); znałem ci go i sam, i pamiętam jego figliki. Pewna pani, chciawszy zażyć Smolika, widząc, że do niéj idzie, kazała wszystkiemu fraucymerowi, którego było nie mało, we dwa rzędy stanąć, przykazując nie tylko nic niemówić, ale ani się ruszyć, chcąc wiedzieć i widzieć, jako w tym razie sobie postąpi. Wchodzi, kłania się pani i fraucymerowi; wszystkie stoją jak wryte, milczą jak nieme. Smolik myśląc, że wszedł między posągi, jeszcze im się raz i drugi pokłoni, aż naostatek postrzegłszy dworstwo, udał się do dworstwa. Zdejmuje suknie, wstęgi rozwięzuje, jakoby chciał ulżyć i wczas sobie uczynić: wtedy gdy już więcéj śmiechu i téj ceremonii wstrzymać niemożono: „Fe! fe!" nań zawołały, a on też jakoby ze wstydem i ze strachem, począł szaty swoje zawięzywać i zbierać."

„Pamiętam (mówił Struś), w podróży z nim razem będąc, stanęliśmy w karczmie. Smolik widząc Żyda, którego znał, a sam był potrzebny, zdjął przed nim czapkę. Gdyśmy mu tę ludzkość jako niepotrzebną ganili, powiedział: „Często to i na większe stany przychodzi, iż nie tylko czapkę, ale i kopeniak, delię, zdjąć przed Żydem potrzeba.""

„Pomnę (wyrzekł podstoli), jak z jedną wielką panią jechał do Poznania, panny więc francymery wszystką mu złość wyrządzały w karecie. Smolik siedząc, pomyślał przeto, jakoby to im oddać. I trafił się im piasek wielki, gdzie wszyscy wyśiadłszy, muśieli iść piechotą. Smolik kazał chłopcu wprzód za krzaczkiem kędy wypróżnić żołądek, a nakryć czapką i na pana wołać, że uchwycił ptaszka. Chłopiec tedy sprawny wnet tak uczynił, jako pan kazał. Przypadnie Smolik i zawoła na panny: „Mam ptastwo! mam!" Panny, jako ciekawe, przybieżały; i kazał im stanąć kołem w około téj czapki: jaka taka rączkę włożywszy pod nią, chcąc ptaszka uchwycić, umazała się. Krzykną: pfe! pfe! a jéjmość pyta coto? Smolik odpowiedział: „Ptaszka panny uchwyciły, ale im uleciał, ślad po sobie zostawiwszy." Odtąd cały fraucymer, że mu nie zrówna, dały mu drugi raz pokój. 1)

Struś zagrzawszy czupryny, chciał konia dośiadać na konną gonitwę; gospodarz, aby go uspokoić, rzekł: „Nie miły sąsiedzie, Waszeć raczysz być sędzią na młodzież; daléj! (zawołał na domowników), niech wyprowadzą konie, my z białogłowami na ganku patrzeć i sądzić będziem."

Przystał na to Struś ochotnie. Hussarze pierwśi dośiedli, za nimi Dymitr.

Była na słupie, w środku podwórza, figura Turka w zawoju, z wyciągniętemi rękoma; w jednéj trzymał pierścień, w drugiéj talar bity: rozpuściwszy konia, trzeba było naprzód kopiją zrzucić mu turban, potém zdjąć pierścień, a kulą z pistoletu wystrzelić talar trzymany. Kto trzy razy tak trafi do celu, miał otrzymać z rąk podstolanki puhar śrebrny i szablę damasceńską.

Struś dopijając zaczętéj czary z winem, zawołał na jeźdźców: „No, panowie bracia, naprzód!" — Hussarze naprzód wolno kłusem objechali szranki wokoło dwa razy, za trzecim zniżyli kopije i skoczyli z kopyta; dwaj pierwśi chybili, ale Dębołęcki, rotmistrz ussarski, zrzucił turban: w drugim zapędzie tamci trafili i zdjęli na kopije pierścień, a Dębołęcki chybił. Patrzył z dala na te wyścigi Dymitr, więcéj oczy mając wlepione w gładką Maryę, a w zadumie czekał, rychło skończą; wtedy podstoli zawołał:

„A nuże, młody łowcze, cóż stoisz niemo?"

Rozbudził się Dymitr, ruszył kłusa, skłonił kopiją przed gospodarstwem, Maryą i Strusiem, objechał trzy razy, za czwartym w pędzie zdjął naprzód pierścień, za drugim zwrotem zrzucił turban.

„Wygrał! wygrał!" krzykął Struś radośnie; „to mi gracz!"

Podstoli poklaskiwał, Marya zarumieniona, z bijącém sercem spuściła oczy do ziemi.

„No! teraz kulą wytrącajcie temu pogani-

---

1) *Co nowego, abo dwór*, broszura z 16go wieku. *Furfanterye dworskie*, z tegoż wieku.

nowi naszego talara: Dębołecki w pędzie strzelił i wyrwał kulą talara; dwaj za nim jadący podobnież: Dymitr prosił, ażeby i w drugą rękę w pierścień włożono talara; spełniono jego życzenia: wtedy z dwoma pistoletami w ręku puściwszy swobodnie konia, dwoma strzałami wytrącił z dwóch rąk dwa talary!

Ussarze, współzawodnicy, sami przyklasnęli; Struś, z radości, czarę w górę rzucił podchmielony. Podstoli zawołał: „Panowie bracia! pan Dymitr bez sporu zwyciężył; no Marynko, wręcz mu puhar i szablę; ja osobny dar mu zrobię.

„Dymitrze, druhu!“ krzyknął Struś, „daléj z rąk panny podstolanki odbierz Waszeć nagrodę.“

Dymitr konno stanąwszy przed gankiem, skłoniwszy kopiję, zeskoczył z siodła, i pomięszany, od zarumienionéj Maryi otrzymał puhar i damascenkę. Podstoli zaś ofiarował mu tegoż samego konia, mówiąc: „Widać, że mój dzianet do Waści ręki; niech Wam służy; a pewny, że tak żywym poganom potraficie turbany zdejmować gładko, jako tu drewnianéj figurze! Daléj, podajcie kielicha bez nogi! wina! wznoszę zdrowie zwycięzcy: niech żyje!“

„Niech żyje!“ krzyknęli wszyscy razem, i wnet 2 kosze świeżo węgrzyna z piwnicy wniesionego, przelało się co do kropli w gardła obecnych.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Kronstadt.

Jako dawna Carów stolica, **Moskwa**, środkowym jest punktem całego wewnętrznego handlu kraju; tak w nowym **Piotra W.** grodzie, z wszystkich stron świata znajdziesz kupców, towary swoje tutaj zwożących. Obrazek dzisiejszy wystawia twierdzę **Kronstadt**, miejsce, gdzie się flotta rossyjska na północném morzu zbiera i gdzie okręty obce, do Petersburga dążące, lądują. Ponieważ Newa przy nowéj stolicy państwa, ładownych okrętów na grzbiecie swoim dźwigać nie zdolna, wszystkie statki przybijają wprzódy do Kronstadtu i tutaj ładunki swoje składają. Miasto Kronstadt leży na wyspie półtoréj mili długiéj, a pół szerokiéj, z warownym i mocnym portem, bronionym przez cytadellę, na skale wystawioną, opatrzoną w wszystko, co tylko do wygody i bezpieczeństwa okrętów i żeglarzy służyć może. W roku 1703. przybił tu pierwszy okręt kupiecki z Hollandyi, uprzejmie od Piotra W. przyjęty; w roku 1714. było tu 16 statków, dziś przybywa do Kronstadtu co rok 1300 — 1500 okrętów, po największéj części angielskich, lubo żegluga trwa najwięcéj około 119 dni, t. j. od środka Maja do końca Listopada. W tym czasie panuje w Kronstadzie i całéj jego okolicy, nadzwyczajny ruch i życie; lecz nagle z końcem Listopada zmienia się wszystko, okręty opuszczają port z bojaźni, aby nie zamarzły, kupcy wyjeżdżają do Petersburga, lub innych miast, zgoła myślałbyś, zwiedzając Kronstadt podczas zimy i oglądając pyszne i obszerne miasta budowle, iż połowa przynajmniéj mieszkańców choroby jakiéj padła ofiarą.

Nowe dzieła.

1. *Literatura i krytyka.* Pisma M. G(rabowskiego) w Wilnie. Tomów dwa. 1840. O szkole ukraińskiéj poezyi i Literatura romansu w Polsce.

2. *Wspomnienia Wołynia, Polesia i Litwy*, przez J. Kraszewskiego. Tomów dwa. Wilno 1840.
Tom I. zawiera: Jarmark w Janowcu, Styr i Horyń, Ossowa Felińskiego; Stepań, osada Łeznicka; Czartoryjsk, lasy polskie, gospodarstwo, kawałek drogi przez Polesie, Horodec, Pińsk i Polesie, karczmy, żydzi, drogi, zamki, włościanie, na Wołyniu, Sławuta, Międzyrzecz Korecki, Ołyka.
Tom II.: Łucki, jego historya. Witold, Wołyń, Młynów, Dubno, Ostróg, Książęta Ostrogowie. Dodatek.

3. *Szkice obyczajowe i historyczne* J. J. Kraszewskiego, zawierają powieść: „Całe życie biédna.“ Wilno 1840.

4. *Dzieła Wiliama Shakspeare*, przekładał Ignacy Kefaliński (Hołowiński). Tom pierwszy. Wilno. 1840. Zawiera: Hamlet, książe duński; Romeo i Julia, i Sen w wigilią Ś. Jana, z pięknym wizerunkiem Szekspira na miedzi rytym.

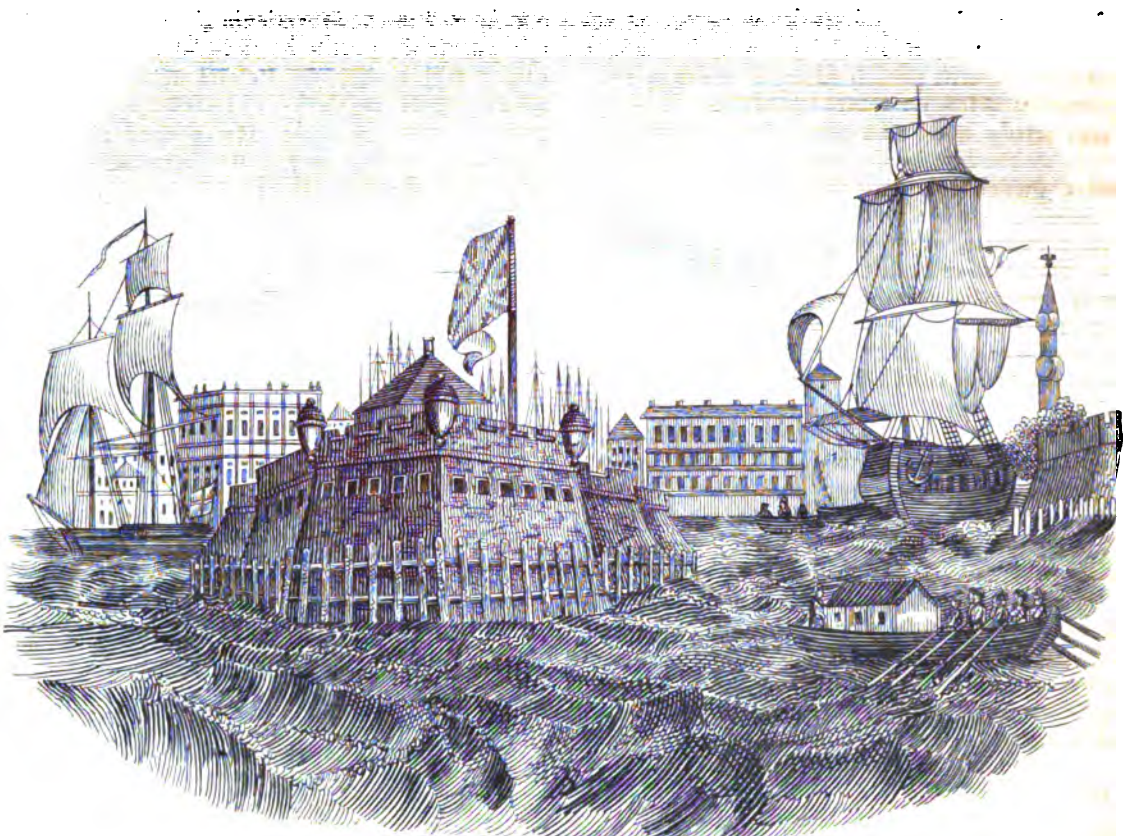
5. *Alleluja.* Rocznik religijny. 1840., w Warszawie, ozdobne wydanie, zawiera: Sceny chrześciańskie, opis historyczny Jerozolimy przez A. księcia Meszczerskiego, fundacya zakonu i kościoła XX. Kapucynów w Warszawie, przez Michała Balińskiego, Fra Angelico da Fiesole, Wielkanoc, Kościół Panny Maryi w Krakowie przez Gawareckiego i kilka innych drobniejszych religijnych obrazów.

6. *Życie Napoleona*, podług najlepszych źródeł, z rycinami na stali rytemi, w Warszawie. Poszyt I. ma dwa staloryty, i zawiera historyą Napoleona od urodzenia aż do zaślubienia Józefiny i początek kampanii we Włoszech.

7. *Przegląd warszawski* literatury, historyi, statystyki i rozmaitości, rok 1840. Zeszyt I. mieści: Rys kształcenia się języka polskiego. Widzenie, gawęda Wojcickiego; poezye, zarysy pożycia, niebezpieczna zemsta, czyli siedm dni. Rozmaitości, to jest kilka słów o literaturze Wiszniewskiego, bibliografii Ad. Jochera, wydawanéj w Wilnie, któréj już 4ty poszyt wyszedł z druku; o pamiętnikach Maciejowskiego, obrazie Poznania J. Łukaszewicza, obrazie Lublina Sierpińskiego, Noworoczniku Pauliny K. i dwóch tłumaczeniach romansów: Snarlej Yow i Jom Kipur. Nareszcie: Gospodarstwo wiejskie Oczapowskiego, ogrody północne Stremilły, dzieła Kurowskiego, i Galerya obrazowa zwierząt, 2 tomy, Leśniewskiego.

8. *Pamiętniki Jana Chryzost. Paska.* Edycya trzecia. W Poznaniu, nakładem J. J. Heinego, 1840. Wydanie to przewyższa dwie poprzednie edycye pięknością druku i papieru.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Widok Kronstadtu.

Odezwa Wydawcy Przyjaciela Ludu.

Na Numerze 52. Przyjaciela Ludu kończy się szósty rok istnienia tego czasopisma. Starania moje około jego wzniesienia, ocenili już tylokrotnie krajowi i zagraniczni uczeni. Zajęty wciąż tąż samą myślą rozwijania mego pisma, wezwałem do współpracownictwa najsławniejszych pisarzy, którzy nietylko mi pomoc przyrzekli, ale nawet już szacownych i obfitych dostarczyli materyałów, nadających pismu memu rzetelną w wszelkim względzie wartość, a oraz zdolnych czytelnika, szukającego w pismach peryodycznych miléj rozrywki, jak najprzyjemniéj zabawić. Wszakże usiłowania takowe wymagają z mojéj strony znacznych ofiar i zmuszają mnie do podwyższenia zbyt niskiéj ceny prenumeracyjnéj o 3 złote rocznie, a 1½ zł. półrocznie. — Wszystkie więc księgarnie krajowe i zagraniczne, jako téż i królewskie pocztamty, przyjmują przedpłatę na Przyjaciela Ludu, rocznie 3 talary, czyli 18 złp., półrocznie 1 talar 15 sgr., czyli 9 złotych, którą Szanowni prenumeratorowie wcześnie złożyć raczą, niechcąc doznawać przerwy w odbieraniu regularnie wychodzących cotydzień numerów Przyjaciela Ludu.

Leszno, 25. Maja 1840.

Ernest Günther, *księgarz i typograf.*

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: J. Ł[redacted]wicz.)

Przyjaciel Ludu.

Rok szósty. **No. 51.** **Leszno,** *dnia* 20. *Czerwca* 1840.



T. Mielcarzewicz rys.

Słowianie.

Słowianie.

Jedno z największych pokoleń ziemi, plemię ludu, dziś jeszcze garstką Wendów dopierające po za Elbę, potém coraz szerzéj, od morza do morza, zalegające kraje, przerznięte Odrą, Wartą, Wisłą, Niemnem, Dunajem, Dniestrem, Dnieprem, Dźwiną i Wołgą; rozlane za pasmo gór uralskich i werhoturskich w drugą część świata, w całéj północnéj Azyi, od Kaukazu aż do Kamszatki; tu ztąd jeszcze koloniami sięgające aż w trzecią część świata; (*) cała ta massa ludzi, zajmująca bez przerwy 200 stopni długości kuli ziemskiéj, czyli 3000 mil geograficznych, — jest ludem słowiańskim. 50 milionów dusz mają w historyi, w ogólnym charakterze, nadewszystko zaś w języku, niezatarte cechy, odnoszące ich do jednego rodu, do jednego słowiańskiego pokolenia. Więcéj Słowianie w tych znamionach między sobą do siebie są podobni, niżeli porzymskie, więcéj nawet, niżeli germańskie narody. Jestto lud dopiero rosnący, młodzieńczy, dla tego liczbą swoją nie stoi w stósunku do rozległości ziemi, oświatą niższy od dziś już zmężniałych i zgrzybiałych sąsiadów, odradzający się w uschłych zawcześnie gałęziach. Zobaczmy, jakie były tego ludu początki.

Z najdawniejszych podań pisarzy greckich i rzymskich dochodzimy, że starożytność wszystkie ludy, mieszkające na północy i na wschodzie, ogólnym wyrazem **Scytami** nazywała. Lecz jak daleko oni się rozciągali, jakie ich były pokolenia, jakie rządy, zwyczaje, jaka historya, niewiadomo. Podania w téj mierze Herodota, żyjącego na 400 lat przed Chrystusem, i niedostateczne, i tylko na niepewnych dosłuchach oparte. Widać przecież, że Grekom już w tych czasach były znane rzeki dziś słowiańskie: Bog (Hypanis), Dunaj (Ister), Don

(*) Na brzégach zachodnich północnéj Ameryki, są osady rossyjskie na półwyspie Alaska; w nowszych czasach rozciąg[illegible]się do Norfolksund, pod nazwiskiem Sitka, czyli [illegible] Archangel.

(Tanais). Spu (oko) ojor (człowiek), pata (zabić), są zabytki mowy Scytów, od Herodota nam przechowane. Jeżeli wyrazy te są prawdziwe, a przynajmniéj niepokaleczone, niepostrzegamy w nich źródłosłowu słowiańskiego, lud zatém Scytami zwany, co wówczas kraje, dziś słowiańskie, zamieszkiwał, do rodu słowiańskiego nie należał.

Tenże Herodot już o Sarmatach wspomina, których historycy powszechnie za przodków Słowian poczytują. Mieli oni wtenczas mieszkać nad Donem i Kaukazem, ale z resztą nic bliższego o nich z téj epoki nie wiemy. Dopiero, kiedy Rzymianie zawojowawszy Panonią (dziśiejsze Węgry), zapuścili się aż do Wisły (Visula zwanéj); kiedy cesarz Trajan r. 105. po Chrystusie całą Dacyą (dziś Multany i Wołoszczyznę) podbił, i wałem wielkim od Białocerkiewczyzny aż do Dniepru, granice państwa swojego zasłonił, zaczęto jaśniejsze o Sarmatach mieć wyobrażenia. Już wówczas znaną była Wołga (Rha); Roxolanów i Jazygów nad morzem Czarném, Wenetów nad Bałtykiem, Pieczyngów pod Karpatami, uważano jako główniejsze Sarmatów pokolenia. W czasach rozszerzającego się Chrześciaństwa, Święty Jędrzéj miał być Apostołem Sarmatów. Ś. Teodoret, w 5tym wieku po Chrystusie, czyni wzmiankę o tłumaczeniu pisma ś. na język sarmacki. W następnych czasach coraz więcéj zacierają się ślady Sarmatów, i dla tego to, choć podania Ptolemeusza o ich zwyczajach wiele podobieństwa do zwyczajów słowiańskich pokazują, trudno wykazać, w jakiéj Słowianie z Sarmatami stoją styczności. Może, że są jedném tylko z ich pokoleń; może, że z tych samych siedzib, co oni, ale późniéj do Europy ruszyli; może wreszcie, że są całkiem oddzielném plemieniem. Bo nazwa Sarmatów, ludom owych najpewniéj wcale znaną nie była, trudno bowiem przypuścić, aby lud jaki siebie pożyczaném od obcych nazwiskiem nazywał, tém bardziéj, jeżeli wyraz Sarmata miałby pochodzić z greckiego sauros (jaszczurka) i omma (oko), coby znaczyło jaszczurczo-oki, nie najpochlebniejsza dla Sarmatów nazwa. Przecież podobniejsze do prawdy, że nazwisko to pochodzi z chaldejskiego Sar madaj (potomek Medów). Ze środkowéj Azyi bowiem, tam, gdzie niegdzie Medów ogromna była dzielnica, wychodziły w pierwszych wiekach po Chrystusie, różne ludy jedne po drugich, i pokazywały się w Europie.

Nie tak się ma z nazwą Słowian. Jestło nazwa czysto słowiańska, pokazująca nam zarazem, że lud ten, choć na tak liczne, jak wkrótce zobaczymy, podzielony pokolenia, znał jednak jedność swojego rodu, i nazwać się ogólnym wyrazem umiał. Niedorzeczném jest, kiedy niektórzy pisarze wywieść pragną nazwisko Słowian, od wyrazu niemieckiego Sklaven (niewolnicy), utrzymując, że ludy te od Niemiec ujarzmione, tak od nich nazwane zostały; że nazwę tę zachowali pisarze bizantyńscy, i że jeszcze dziś jedna z krain słowiańskich zowie się Sklawonią. Dowody te tylko są pozorne. Jordan, zakonnik z 6go wieku, już czyni wzmiankę o Słowianach, kiedy dopiero w 9tym wieku pierwśi Morawianie z Bulgaryą ulegli potędze cesarza Karola W., a za Wisłę i za Karpaty nigdy się zabory jego nie rozciągały. Pisarze bizantyńscy obce nazwiska do swojego nakręcając języka, mogli Słowian nazwać Sclaveni; ale że jedni ich tak, drudzy Stlabini, Stlabi zowią, widać ztąd, że różnie słuchem pojmując litterę słowiańską Ł, już przez kl, już przez tl ją wyrażali. W końcu choć kraj, dziś berłu austryackiemu podległy, Sklawonią nazwano, to przecież mieszkańcy tego kraju, samych siebie nazywają Sławońcami.

Jak to niemieckie nazwy pochodzenie jest ubliżającém, tak zapewne wywód jéj od wyrazu sława pochlebnym i równie nieprawdziwym. Nazwa Niemiec tłómaczy dostatecznie nazwę Słowian. Tamtych z powodu niezrozumiałego ich języka, a może nawet z wypływającéj ztąd konieczności używania sposobu, niemym tylko właściwego, aby się Słowianom dać zrozumieć, nazwali niemymi, czyli Niemcami; siebie zaś, w wspólném wszystkich pokoleń pokrewieństwie, nazwali Słowianami od wyrazu słowo, albo słowić, to jest zrozumiałym językiem mówić. — O Słowianach, jak się już powiedziało, pierwszy wspomina Jordan w dziejach Gotów r. 552 po Chr. Powiada, że od źródeł Wisły rozciąga się naród Winidów, zowiący się Słowianami i Antami. Prokopiusz o kilka lat późniéj namienia, że Słowianie żyją w gminowładztwie, za Boga tylko jednego sprawcę grzmotów uznają, i jemu ofiary czynią; czczą rzeki i nimfy; idą do bitwy, zbrojni w małą tarcz i dzidę, nadzy po pas, rośli, mocni, ale nieschludni, prowadzą życie koczujące. Są przecież ślady, że Słowianie na 200 lat wprzódy, w 4tym wieku po Chrystusie, pokazali się w Europie, wojowani przez coraz nowo napływające hordy Gotów, Hunów, Awarów. W 6tym dopiero wieku niektóre pokolenia samodzielne zaczęły stanowić ludy.

Pasmo gór karpackich, ciągnące się wielkim wypukłym ku północy półokręgiem od rzeki Morawy (March) aż do Orsowy, osłania krainę przerzniętą wskróś Dunajem, do którego wpada liczne mnóstwo rzek mniejszych, spadających już z Karpat, już z dopierających od zachodu gałęzi Alp. To miejsce, naturą warowne, zdaje się być środkiem słowiańszczyzny, zkąd się na wszystkie strony rozlewała. Ze szczytu tych Tatrów, u których podnoża wypływają: Wisła, San, Bug, Bog, Dniester, Prut, Mołdawa, potężne słowiańskich ziem stróże, [illegible] ku północy wyniesioną wysoko równinę [illegible]ki, a ku

południowi i zachodowi daleko głębiéj leżącą ćmę ziemi, tak, że mimowolnie nastręcza się tu myśl młodego poety, iż gdyby wody wszystkie sąsiednie już zalały kraje, Polska i Karpaty jeszczeby sterczyły nad powodzią. Ten fizyczny krain słowiańskich podział, jest w równi z politycznym ich bytem. Z téj strony Karpat rozwinęły się bowiem pokolenia Słowian w potężne i historyczne narody, kiedy za Karpatami, po krótkim tylko czasie istnienia, znikły lub zmalały.

Za Karpatami, po ustaleniu siedzib, zaistnieli Wielkomorawianie, Słowacy i Serbowie (Serwianie). Pierwśi mieszkali między rzekami Sawą i Drawą. Panowanie ich krótkie, od 690 do 811 roku. Wcieleni od ogromnego państwa Karola W., mieli książąt obieranych z poręki królów niemieckich, aż w samym końcu 9go wieku Madziary z siedlisk ich wyparli. Słowacy, do których liczą Chrobatów i Raców, zajmowali kraj dzisiejszych Węgier, zawojowani i oni, przez Madziarów, hordą azyatycką, i uległszy napływowi Żydów, Cyganów, Niemców, Wołochów, dali początek Węgrom. W téj mieszaninie, wynoszącéj do 11 milionów dusz, dziś jeszcze 2 miliony samych Słowaków liczą. Serbowie, podzieleni na Bośniaków, Bułgarów, Dalmatów, Czarnohorców (Montenegrynów), długo dzielny stanowili naród, aż nareszcie potędze Turków ulegli i niedawno dopiero znamienitym talentem księcia swojego, Miłosza, z długiego uśpienia ocuceni, wyłamują się z ucisku i ciemnoty, i staną się może reprezentantami narodowości Słowian zakarpackich.

Z pokoleń przedkarpackich najdaléj ku wschodowi sięgali początkowo Nowogrodzianie, których stolica Nowogród była handlem słynną i zasobami potężną; Krzywiczanie, Smoleńsk mający za stołeczne miasto; koło nich mieszkali Połoczanie; daléj ku Prypeci Dregowiczanie; Drewlanie na Polesiu; Siewierzanie za Dnieprem; Łuczanie, czyli Duleby, koło Łucka; Polanie w Kijowie. Tuż pod Karpatami rozległa się Czerwona Chrobacya, późniéj zwana Ruś czerwona, dziś Galicya; na zachód Karpatów byli Morawianie z Wielkiéj Morawii tu wyparci; za nimi Cześi. W dzisiejszéj Polsce nad Bugiem mieszkali Bużanie, Łęczycanie nad Pilicą; Mazury w Mazowszu; Lachy między Odrą i Wisłą. Nad morzem baltyckiém Pomorzanie; na zachód ujścia Odry, Lutycy, czyli Wilcy. Między Odrą i Elbą Obotryci; wzdłuż Elby Polabowie; koło Hawlu Hawłowie, w Marchii prygnickiéj Brzeżanie; w średniéj Marchii Stoderanie. Dzisiejszą Saxonią dzierżył naród wielki Syrbów, albo Sorbów, potém Wendami zwanych. Słowianie w Luzacyi zwali się Łuzyczanie, w Szląsku Silensi.

Z pomiędzy tych licznych i rozdrobnionych pokoleń, przeznaczeniem było Czech, Polaków i Rossyan [illegible]nieść się nad inne, wcielić do jednego berła, i stać się tym sposobem z kolei reprezentantami Słowiańszczyzny.

Czechowie najprzód przyszli do potęgi, połączywszy się z Łużyczanami i Morawami, a potém powiększeni jeszcze Szląskiem. U nich najprzód zabłysło światło Chrystyanizmu, a z niém i oświata. Aż do początku 14go wieku mniéj ulegali wpływowi sąsiednich Niemiec i z własnego rodu mieli królów. Z Janem, synem cesarza Henryka VII., który Elżbietę, dziedziczkę Czech, pojął za żonę, przeszedł tron czeski na dom luxemburski, a z jego wygaśnieniem (1437) na dom Austryi. Odtąd królowie czescy będąc zarazem cesarzami niemieckimi, uważali Czechy więcéj jako prowincyą, a ich interes jako podrzędny; i choć Cześi rządzili się zawsze własnemi instytucyami, jednak kraj, w tak bliskich zostający z Niemcami stycznościach, musiał się germanizować. Raz tylko, po śmierci Wacława Pogrobowca, na którym wygasł dom Austryi w jednéj linii, zapragnęli Cześi dawnéj udzielności, i z pośród siebie obrali królem Grzegorza Podiebrata (1458); lecz ulegli przemocy Fryderyka III., cesarza z drugiéj linii austryackiéj. Wojna 30-letnia, rozpoczęta w Pradze wyrzuceniem z okien radzców cesarskich, późniéj wojna 7mio-letnia z Prusami, wyniszczyły do reszty zasoby tego kraju.

Późniéj do Czech zasłynęli Polacy (Polachy, po Lechu) aż do Piasta, zapewne Lechami zwani. Od Mieczysława I., pochowanego w Poznaniu, który przyjął wiarę chrześciańską (966), pojąwszy Dąbrówkę, księżnę czeską, za żonę, szybkim krokiem dążyła Polska do potęgi. Jego następca, Bolesław Chrobry (waleczny), już bił słupy żelazne na znak granic państwa, od zachodu tam, gdzie Sala do Elby wpada, od wschodu przy ujściu Suły do Dniepru, od północy na rzece Ossie, od południa nad Dunajem i Cisawą (Theis). Dom panujący Piastów uszczęśliwiał Polskę przez pięć wieków. Pod Jagiellonami (1386 do 1572) była najpotężniejszą. Ogromna Litwa z księstwami czerniechowskiém, siewierskiém, smoleńskiém, i zależnemi księstwy Pskowem, Nowogrodem, była połączona z królestwem; Inflanty były jego prowincyą; hołdowały Kurlandya, Samogicya, Prusy, Multany i Wołoszczyzna; Kozacy jeszcze nie byli odpadli od Korony; samo królestwo przez Kijów, Wołyń i Podole sięgało morza czarnego, gdzie Kilia i Białogrod były polskie porty; z przeciwnéj strony, nad Baltykiem, miała województwa malborskie i pomorskie. Obszer kraju wynosił 30,000 mil kwadratowych, a z niego co rok 365,000 łasztów zboża wywożono za granicę. Za Kaźimierza Jagiellończyka, Wenetowie, Husun-Kasan, król perski, i sułtani tureccy, Mahomet i Bajazet, świetne do Polski wysélali poselstwa. Za Zygmuntów, ostatnich z familii Jagiełły, był wiek złoty literatury polskiéj. Z elekcyą królów zaczyna

się upadek Polski: utraca jednę prowincyą po drugiéj. Tatarzy i morowe powietrze pustoszą ją, aż nareszcie w ten czas właśnie, kiedy się z niemocy i nieładu dźwiga, zupełnie z widowni politycznéj znika. Rossya, ostatnia ze Słowian, przychodzi do oświaty i potęgi. W dziewiątym wieku horda wędrownych Normannów, zowiąca się Waregami, pod wodzem Rurykiem, zawojowała słowiańskie pokolenia nad Dnieprem, i założyła nad jeziorem Ladoga Wielko-księstwo ruskie, od Ruryka tak nazwane, którego dom aż do końca 16go wieku dzierżył Rossyą, z przerwą atoli dwóch wieków (1238 – 1462) panowania Mongołów, którzy z Azyi przybywszy, Ruś zhołdowali. Waregowie się zesłowiańszczyli. Włodzimierz Wielki zaprowadził wiarę chrześciańską (981). Iwan Wasilewicz wydarł panowanie Mongołom (1462), a Iwan Wasilewicz II. zawojował Syber i Astrachan. Do politycznego znaczenia przychodzi dopiero Rossya za panowania Piotra Wielkiego, piątego cara z familii Romanów. Monarcha ten położył fundamenta téj potęgi Rossyi, na jakiéj ją dziś widzimy.

Z tego ogólnego historyi Słowian zarysu pokazuje się, że lud ten początkowo za Karpatami pierwsze zajął siedliska, tu ztąd wylewał się już przez Morawią, po nad Elbę i Salę, już przechodził Karpaty i szerokie zaległe równiny od Odry do Dniepru, a dopiero w późniejszych czasach, kiedy się germanizował i niknął od zachodu, potężniał w przeciwnéj stronie, i zesłowiańszczył wschód i północ, gdzie niegdyś istniały obce pokolenia Prussów, Lettów, Finów, Waregów, Mogołów, Azyatów.

Liczne jednak jeszcze pozostały szczątki Słowian zaodrzańskich i zaelbiańskich. Od wieków ujarzmieni, a często prześladowani, że zachowali rodowość w języku i obyczajach, pokazuje to silne jéj zamiłowanie. Słowianie nad Elbą pierwśi narażeni byli na napady sąsiednich Franków, Sasów, Turyngów; ich tu ciągle wojowali cesarze niemieccy, zajęte kraje zamieniając zaraz na Marchie, i budując w nich zamki obronne (Burgi). Powstali ztąd burgrafowie i markgrafowie, początkowo cesarscy urzędnicy, późniéj udzielni książęta, wielcy Słowian ciemiężyciele. Pomimo to, w Saxonii jeszcze w dziesiątym wieku język Syrbów był powszechny, w Lipsku dopiero 1327 roku przestano po syrbsku mówić. Dziś tylko 500 wiosek syrbskich znajduje się w Wyższéj Luzacyi, język ich podobny do czeskiego, w niższéj Luzacyi więcéj mówią po syrbsku, i to dyalektem bardziéj podobnym do polskiego. W Dreźnie kobiety z okolicznych wśiów na targ przychodzące, nie chcą rozumieć języka kupujących, i po syrbsku do nich przemawiają. Liczba tych Słowian, zowiących się tu Wendami, wynośi do 200,000. Miśnia, Budyszyn, Kamieniec, Łobiec, Wojereże, Mazaków, Komora, były to nazwy syrbskie dzisiejszych miast Meissen, Bautzen, Kamenz, Loebau, Hojerswerda, Muskau, Senftenberg. Rzeka sama Elba zwała się Laba. Coraz niżéj Elby zatarte są całkiem ślady Słowian. Po lewéj stronie w meklemburskiém miasto Wismar, zowiące się dawniéj Wizymir, było przez Wizimirza, podobno księcia polskiego, założone. Książęta obotrydzcy, te okolice dzierzący, zawojowani byli w środku dwunastego wieku przez Henryka Lwa, księcia saskiego; od nich wywodzą ród dzisiejśi książęta meklemburscy. Po prawéj stronie w Marchiach, najwcześniéj plemię Słowian wygasło, tylko jeszcze w nazwach niektórych familij i miast postrzegamy, że były kiedyś słowiańskie. Nad Baltykiem rozszerzali się Słowianie od Lubeki (po słowiańsku Bokowiec), aż do Memla (Klajpeda).

Krainę tę nadmorską zalegali Pomorzanie, przez Duńczyków coraz daléj parci ku wschodowi. Miasta Kolberg, Belgrad, Stargard, Stolpe, nazywały się po słowiańsku: Kołobrzeg, Białogród, Starogród, Słupsko. Pomorzanie zniemczeli dopiero w końcu dwunastego wieku, kiedy Bogusław i Każimierz Wracisławowicz, książęta Pomorscy, stali się książętami rzeszy niemieckiéj.

Szczątki tego pokolenia, w liczbie blisko 200,000, mieszkają pomiędzy Kaszubami w północno-wschodniéj części Pomeranii pruskiéj. Szląsk podzielony na kilka księstw: wrocławskie, głogowskie, lignickie, opolskie; dzierżony przez książąt z linii Piastów, dostał się przez dobrowolne poddanie się książąt szląskich do Czech, a przez wojnę siedmio-letnią do Prus. Znaczna tu jeszcze część kraju jest słowiańską. W niższym kraju, dwie mile od Wrocławia, przez powiat oławski nad Odrą, ciągną się wśie polskie. W księstwie brzeskiém (Brieg) i oleśnickiém (Oels), w baronacie sycowskim, w powiecie namysłowskim, i w całym górnym Szląsku, aż do Opawy, mówią po polsku. Rzeka Slenca (Lohe), płynąca opodal Wrocławia (początkowa nazwa Warcisława) nadała nazwisko téj części kraju. W przyległéj Morawii od rzeki Ostrawicy, aż do Berna (Brün), mówią po wśiach wszędzie językiem morawskim. Sławne Austerlitz zowie się Sławników. W niższych Niemczech liczba Słowian wynosi do czterech milionów, chodzących pod nazwami Słowaków, Selblanów, Raców, Iliryjczyków, Ruśniaków, Kroatów, Windów. Miasta słowiańskie niegdyś: Zelice (Klagenfurt), Lublana (Lajbach), Osik (Essek), Terest (Triest). W kraju lombardzko-weneckim rzeka Isonzo zwała się Sączą, rzeka Sella, nad którą Treviso, nazywała się Siła, a mieszkający tu Słowianie, Sileńcy.

Tak daleko wśród Niemiec rozgałęzione niegdyś plemię Słowian, dopóki samodzielnym cieszyło się bytem, przemysłem i oświatą, przechodziło swoich sąsiadów. [illegible] według

świadectwa Herdera nauczyli Niemców sztuki górniczéj i hutniczéj; u nich rozwinęły się najważniejsze społeczności ustawy. „Własnym oczom zaledwiem uwierzył,“ mówi uczony Maciejowski w przedmowie do historyi praw słowiańskich, „gdym w starych wyczytał szpargałach, że cywilne szluby małżeńskie, sądy przysięgłych i t. p., od wieków były narodowemi Słowian urządzeniami.“ Czasy dopiero zaborów niemieckich, począwszy od cesarza Henryka Ptasznika, tak dalece zmitrężyły Słowian, że nietylko nie postąpili w oświacie, ale nawet wśród ucisku i wyniszczenia pogrążeni w ciemnotę, zapomnieli, czém byli, i te nauki i sztuki potém przyjmowali od Niemiec, w których początkowo sami ich byli nauczycielami.

Maciejowski w pomienioném wyżéj dziele temi słowy charakter Słowian maluje: „Słowianie mieli ciała rosłe, zdrowe i silne. Z twarzy wszyscy byli podobni sobie, toż samo z koloru włosów, oczu, z mowy i charakteru. Z natury weseli, szczególniejsze znajdowali upodobanie w muzyce, mieli oddawna wyraz gęśle, na oznaczenie muzycznego narzędzia. Podług wyznania kronikarzy niemieckich, poczciwość, rzetelność, łagodność, nawet względem swych nieprzyjaciół zachowana, piękne ich cechowały dusze. Był to lud pracowity, i na wszelkie niewygody i trudy zahartowany; ale ucisk i przemoc Niemców zrobiła go gnuśnym i niedołężnym. Starszym i przełożonym okazywał wielkie uszanowanie. Był religijny, i niczém nie dał się skłonić, ażeby nawet, gdzie tego zachodziła potrzeba, przysięgał. Gościnność aż do tego stopnia posuwał, iż osobne czcił bóstwo, gośćmi się opiekujące (Radagast). Charakter jego otwarty, sposób myślenia prosty i niepodstępny; ale im bliżéj Niemiec mieszkał, tém był skrytszy lud słowiański, i w zawieraniu przyjaźni ostrożniejszy, wszelako z kim ją zawarł, wiernie mu jéj dochował. Bratem swoim nazywali Słowianie przedkarpaccy tego, z kim się rozumieć i rozmówić mogli. Od Niemców i od Prusaków, narodu niesłowiańskiego, przyjęli wiele szpetnych obyczajów. Do tych ja liczę zabijanie ludzi bogom na ofiarę, mordowanie nowonarodzonych dziatek i wielożeństwo, które na Pomorzu i nad Elbą u wszystkich klas ludu miało miejsce, gdy przeciwnie u innych Słowian, podobnież jak u Scytów, tylko królom było dozwolone. Wszakże z tego, co im jest wrodzone, to jest z zamiłowania wolności, którą nad życie cenili, nigdy się nie wyzuli Słowianie, bronili jéj do upadłego; i naród, który jaki lud słowiański ujarzmił, musiał go albo wytępić, albo swobody jego zachować. Więc, ażeby zawsze być w stanie obronienia tego, co najdroższém dla serc swoich mieli, zarówno kobiety, jak i mężczyźni, uczyli się władać oręże[illegible]awet i Wenus słowiańska wyobrażoną była zbrojno. Domowe ich pożycie było wzorowe. Pospolicie odbierała sobie życie żona, po stracie męża, nie mogąc przeżyć jego śmierci. Z cudzoziemcami do siebie przybyłymi, jak najgościnniéj się obchodzili, i wywierali zemstę na tego, który się z przychodniem źle obszedł. W obrębie granic swych walcząc, nadludzkie okazywali męztwo. Lekka zbroja najbardziéj im przystała; i walka nie w szeregach, ale pojedyńcza. Z wrogiem zaciętym walcząc, strzał jadem zatrutych używali. Wszakże wroga swego dopóty za nieprzyjaciela uważali, dopóki stał na placu bitwy. Pojmanych nie obracali na niewolników, ale im za okupem do domów wracać, lub z sobą żyć pozwalali.“

L.....

Ostatni Socynianie polscy.

Do liczby współziomków naszych, którzy za granicą żyć zmuszeni, zajmują się użytecznemi dla kraju i nauk pracami, należy pan Waleryan hr. Krasiński. Ważne dzieło jego: *Historical sketch of the rise, progress, and decline of the reformation in Poland.* (Rys historyczny powstania, wzrostu i upadku reformacyi w Polsce). *London* 1840. 2 tomy., przyjęte zostało od Anglików z największym zapałem. Wszystkie niemal peryodyczne pisma, w Londynie i innych wielkich miastach Anglii i Szkocyi wychodzące, napełnione są chlubnemi dla uczonego współziomka naszego rozbiorami szacownego dzieła jego; nawet już niektóre pisma niemieckie umieszczają z niego zajmujące wyciągi. Z dzieła tego dowiadujemy się między innemi ciekawemi rzeczami o ostatnich Socynianach polskich, jak następuje:

„Pewna liczba Socynian,“ mówi autor na str. 402. tom 2., „wygnanych z Polski, udała się do Prus książęcych, gdzie została gościnnie przyjętą od swego współziomka, księcia Bogusława Radziwiłła, który prowincyą tą w imieniu elektora brandenburskiego, ścisłemi węzłami krwi z sobą połączonego, rządził. Socynianie wystawieni tu byli przez długi czas na srogie prześladowania, aż nakoniec elektor brandenburski, na przedstawienie Samuela Przypkowskiego, jednego z najsławniejszych pisarzy socyniańskich, udzielił im zupełnéj wolności religijnéj, któréj oni odtąd używali spokojnie, pomimo oppozycyi czynionéj z strony stanów pruskich w latach 1670 i 1679. Składali dwie osady, zwane Rutow i Andreaswalde, blisko granic polskich. W roku 1779. mieszkańcy tych osad zyskali od króla Fryderyka II. pozwolenie postawienia sobie kościoła; ale liczba ich, która nigdy nie była znaczną, zmniejszała się codziennie, i według urzędowéj wiadomości, któréj w tym względzie zasięgnąłem, gmina w Andreaswalde istnęła tylko do roku 1803.,

a rozwiązawszy się w tym samym roku, śladu nawet po sobie nie zostawiła. Obecnie (1838) znajdują się w Prusach dwie tylko osoby z téj sekty, to jest: niejacy Morsztyn i Schlichting, obadwaj ludzie już w podeszłym wieku, i obadwaj reprezentanci znakomitych imion tak w politycznych, jako téż literackich dziejach Polski.“

Łowiec.

Gawęda z XVI. wieku.

(Ciąg dalszy.)

Nie dzielił téj ochoty Dymitr, a stanąwszy przy gospodyni i Maryi, zaczął nieśmiałą z niemi rozmowę. Podstolina wkrótce odeszła do zatrudnień domowych, została Marya. Gospodarz zachęcając do kielichów, z radością patrzał na młodą parę, i wcześnie się cieszył, że spełni swoje życzenie: zbliżył się więc do nich, a wziąwszy Maryę za rękę, rzekł do Dymitra:

„Młody mój przyjacielu! moja Marynka, jestto dobra i cnotliwa dziewka. Nie wypada swoje pisklę chwalić, ale Bóg widzi, że prawda: kto ją pojmię za żonę, będzie miał skarb w domu.“

„Takiegobym jeno skarbcu pragnął na tym świecie,“ wyrzekł nieśmiało Dymitr.

Podstoli ścisnął go za rękę; a widząc próżne kielichy, powstał, aby kazał je napełnić.

Dymitr w radości niemógł słowa przemówić; porwał rękę Maryi i przycisnął do ust swoich; nikt z pijących nie widział tego; jedna podstolina to ujrzała, bo właśnie w tę porę weszła na ganek. Z uśmiechem odwróciła oczy, i z cicha przemówiła do męża: „Waszeci Kubaśiu projekta może się uiszczą, bo baczę, bo młodzi już się poznali na sobie.“

Podstoli zatarł wesoło czupryny, pokręcił wąsy, a poprawiając pasa, zaprosił do wieczerzy swoich gości.

7.

Tydzień cały zeszedł na wesołéj zabawie w domu podstolego, gdy wieczorem nadjechał stary Grzegórz, sługa Dymitra.

„Jakże się macie, mój Grzegorzu, wszystko dobrze doma, a dworek gajowego już stanął z pogorzeli?“

„Tak jest Wielmożny panie, wszystko doma zdrowo, a gajowy z żoną w nowéj chałupie błogosławią moje panisko.“

„Cieszę się wielce z tego, ale muszę ci miły Grzegorzu wiele znowu pracy zadać.“ I wziął starego za rękę, długo w ucho mu na uboczy kładąc: nazajutrz ze świtem odjechał Grzegórz.

Struś już nie czując rany, dosiadał bieguny, gonił do pierścienia, już dwa niedźwiedzie w kniei zabił. Kilka razy z sokołami podstolego łowił ptastwo, jadł dobrze, pił lepiéj, i spał smaczno w nocy, choć przed obiadem i po obiedzie drzémał. Właśnie chrapał po drugiém śniadaniu przed obiadem, gdy wszedł do téj izby Dymitr, oczekując na rozbudzenie Strusia. Wyczekał się dosyć, zanim roztworzył oczy. „Co tu robita kmotrze (zapytał pozierając), dobrze się bawiem, podstoli święty człowiek, nie żałuje niczego, można tu po chłopsku jeść, po szlachecku pić: a... a... a podstolanka dziewka, czarnobrewka nie lada: niema co mówić, że kraśna, oczka by sokole, by orlicze, warto uderzyć o nie czołem. Waszeć coś wietrzysz, i przystojnie robisz, że zaloty z cicha odbywacie, bo zaloty w głos, a sianie w deszcz djabłu. Już ja baczę, żeś kmotrze zamiłowan jak djabeł w suchéj wierzbie: ależ, na mego patrona, to dziewczę powiedzie na pokuszenie każdego; jać stary, ale, bał tam! prawda, że w starym piecu djabeł pali, ja takowy ogień czuje nieraz. Oj ta Marynka!“

„Nie o tém przyszedłem tu mówić z Waszmością, chciałem was prosić, byście mi dopomogli do miłéj niespodzianki dla pana podstolego.“

„Z duszy! serca!“

„Owoż chciał on gajowemu dom odbudować, ale zajęty gośćmi na późniéj odłożył. Ja dom ten już em zbudował, i chciałem prosić do siebie, aby zobaczył, co się dało robić dla pogorzelców.“

„Co słyszę! chódź mój chłopcze, niech cię uściskam! czegóż więc chceta ode mnie?“

„Ażebyś Waszmość raczył w mojém imieniu poprosić państwa podstolich w odwiedziny rodziny gajowego.“

„Dobrze! dobrze! a kiedyż to mam zrobić?“

„Jutro, bo za dwa dni imieniny podstolanki.“

Struś zerwał się, stanął na nogi, a poziewnąwszy razy kilka: „Zaraz idę i z podstolim pomówię.“

„Tylko żeby nic nie wiedział o wybudowaném domostwie.“

„Dobrze! dobrze!“ Kiwnął ręką, i odszedł, a Dymitr oczekiwał w niepewności i tajemnéj trwodze. Niedługo wszedł podstoli, za nim Struś z wesołém czołem.

„Przyjmuję wasze zaproszenie (rzekł gospodarz) jeno z warunkiem, że o dzień się spóźniem, bo wiele sąsiadów na imieniny dziewki mojéj zjedzie; wyjeżdżać w wigilią niegodzi się, boby myśleli, że zbiegamy z domu, ale jak odprawim tu uroczystość, w sam dzień imienin staniem, gdzie zechcesz, w gronie swoich bliższych.“

Skłonił się Dymitr, ucałował rękę podstolego, który go szczerze uściskał.

Z bijącém sercem nazajutrz Dymitr wstał raniéj od wszystkich, i chodził szpalerem lip odwiecznych; w samotnéj dumce układał, co ma powiedzieć Maryi, jak powinszować, gdy okno jéj sypialne roztwarto, i Marya już ubrana stanęła w niém dla oddychania świeżém powietrzem. Dymitr stał zasłoniony krzewami, w niepewności, czy postąpić naprzód, czy niewidzialny odejść, ale chęć, ażeby pierwszy złożył jéj swoje życzenia, przemogła, wystąpił z kr[illegible], Marya

go uśmiechem i rumieńcem powitała; stanął przy oknie, wziął jéj rękę: „Życzę ci Maryo!“... niemógł więcéj domówić, ale oczy łzami przyćmione, które niemogły zalać w nich ognia, domówiły reszty: Marya ścisnęła mu rękę.

Właśnie w tę dobę szedł z różańcem w ręku, odmawiając ranne modlitwy, podstoli; a lubo dostrzegł wszystko, zwrócił się w inną stronę. Dymitr odstąpił od okna, schowała się za ścianę zawstydzona Marya; podstoli boczną ścieżką nadszedł w toż miejsce. Ale Dymitr już był daleko. W stajni czekał nań koń osiodłany, dosiadł go, i dużym kłusem ruszył ze dworu.

Trzy mile, we trzy godziny przybył, a obejrzawszy domostwo gajowego, i nowe dawszy rozporządzenia do przyjęcia liczniejszych gości; ruszył z powrotem, i nad wieczorem stanął we dworze podstolego. Właśnie wszystkich zastał przy uczcie, przebrał się co rychléj, a nieśmiejąc wnijść w grono biesiadników, poszedł do ogrodu.

„Jeśli mię oczy nie mylą!“ rzekł podochocony przy stole Struś, patrząc w okno, „to albo nasz Dymitr chodzi, albo duch jego w jego kontuszu.“

Podstoli powstał, i zbliżył się do okna, a ujrzawszy Dymitra: „Jako Wasze od naszego stołu uchodzi, niechcesz jeść chleba i soli, przy dobréj woli daléj sąsiedzi chódźmy sprowadzić winowajcę.“ I obadwa ze Strusiem wyszedłszy, wprowadzili pomieszanego młodzieńca.

„Gospodarzu!“ zawołał Struś, trzymając krzepko Dymitra, już mi nie zemknie, trzymam się go, jak mój sokoł zająca; dajcie kielicha, ja z waszém pozwoleniem, gospodarzu, zdrowie jego wypije, a zbieg nasz całą koléj odpić muśi.

„Tak! tak! dobrze radzi!“ zawołali podchmieleni goście.

Przyniesiono wina, a Dymitr trzymany, musiał całą koléj wypić, patrząc miłosiernie na gospodarza. Zmiarkował podstoli, że to już miarę przechodzi, uwolnił go zatem i wyprośił z rąk przyjacielskiego Strusia. Uczta długo w noc potrwała, wysuszyła ona kilka w piwnicy antałów starego wina. Kilkadziesiąt funtów szafranu, bakalii i pieprzu spotrzebowano do licznych i rozmaitych potraw. Muzyka brzmiała do wschodu słonka nazajutrz.

8.

Dymitr raniéj ze Strusiem opuścił dwór podstolego, a stanąwszy doma, wielce się ursdował, że Grzegórz, przy pomocy gajowego i jego niewiasty, przyrządził wszystko jako pragnął; od Strusia przybyła beczka węgrzyna, i zwierzyny zasób, od podstolego kucharz z bakaliami.

Zbliżała się godzina obiadowa, niecierpliwie wyglądał gości spodziewanych Dymitr, wreszcie dosiadł bachmata i ruszył drogą. Za borem, spotkał jadącego konno podstolego, a kolasą jego małżonkę i Maryą.

Powitał młodzieńca serdecznie podstoli, powitały go [illegible]ie matka i córka. Struś stojąc na ganku, [illegible] okrzykiem witał jadących.

„Jako,“ zawołał podstoli sam, a gdzież nasi towarzysze korda i puhara?“

„Co chwila ich wyglądam; jam z niewiastami ruszył naprzód.“

Zaledwie stanęli w izbie, Dymitr stojący na ganku, ujrzał, jak sadził co siła na biegunie rotmistrz Dębołęcki.

„No!“ rzekł wstrzymując spienionego rumaka, „daléj wszyscy na koń! hordy tatarskie nie czekając wici, palą wioski, a postrach rzucili w około; podstoli, jako dawny wojak, wezwany, by stanął na czele powiatu!“

Struś dosłyszawszy, co mówił Dębołęcki, wywołał podstolego do sieni.

„Cicho panowie bracia! niech moja niewiasta i Marynka niesłyszą; zjedzmy z sobą obiad, wypijmy za pomyślność wyprawy.“

„Zgoda!“ rzekł Struś, „może nie dla jednego z nas będzie to uczta ostatnia w przyjacielskiém gronie!“

„O, tak zapewnie,“ odrzekł rotmistrz, „na stepie goniąc Tatarów lotnych, masz za drużbów czarny howoród wron i kawek, a z przyjaciół, gdy polegniesz, wierny kruk wydzióbie ci oczy i kości rozrzuci.“

Podstoli dał znak, aby skończyć niemiłą rozmowę, weszli wszyscy z pogodném czołem, i radośnie spożyli skromny obiad.

Struś biorąc puhar przy końcu uczty, chciał wznieść zdrowie, ale powstał, i nagle postawiwszy puhar na stole nietknięty, usiadł.

Pani podstolina, z podziwem nań spojrzała. „Cóż się stało,“ rzekła ze śmiechem, „że Waszmość dziś ochoty nie dodajecie?“

„Mościwa pani podstolino, kiedy troska gnieździ się w sercu, usta nieochotne, a gardło niesklonne.“

Dębołęcki podchmielony, zawołał na to: „Do stu bisurmańskich turbanów! Waszmość się troszczysz, że tym psom tatarskim zajrzeć mamy w ich małe ślepie.“

„Cóż się stało?“ zapyta podstolina przerażona.

„Nic nadzwyczajnego, moja dzieweczko; chciałem przynajmniéj w tém domostwie utaić przed Waszecią, ale rotmistrz gaduła: wrzekomo byłabyś wiedziała na drodze do domu jadąc.“

„Czy i pan ojciec i wszyscy?“ rzekła nieśmiało Marya, spozierając tkliwie na Dymitra.

„Tak, moja dziewko, wszyscy, jak tu jesteśmy.“

I oczy Maryi łzami zabiegły.

„To czegóż sowieć przy kielichu,“ zawołał rotmistrz, „zły nam przykład daje pan Struś, chociaż stary i wytrawny rycerz.“

Na te słowa, zaczerwieniony Struś powstał, dobył szabli z pochwy i rzekł: „Widzisz Waszmość te szczerby i rysy, każda przypomina wyprawę i bójkę nielada, a sporo ich — przelicz. Ośiwiałem w przyłbicy, doma niezagrzałem,

miałem jedno życzenie, Bogu wiadomo, nie dla siebie. Marzyłem w starym wieku!"

Ujął za rękę Dymitra.

„Pragnąłem widzieć twoje szczęście; nieraz we śnie Bóg mi zsyłał widzenie, jak zgarbiony laty, przy tobie, twéj żonie, w gronie dziatwy twojéj, bawiłem: one rozweselały chwile starca, a wyście umilały zachód żywota!" i spojrzał na Maryę i Dymitra.

Podstoli odwrócił głowę, aby łzy ukryć, podstolina zakryła oczy, Marya w głos zapłakała, a Dymitr blady, drżał cierpieniem i duszy i serca. (Dokończenie nastąpi.)

Szanowny Redaktorze!

Czytałem w Przyj. L. z r. II. Tom. I. Nr. 21, żywot Hieronima Radziejowskiego, którego ryciny wtedy nieumieściłeś. Znalazłem ją przypadkiem w dziele dziś rzadkiém, pod napisem: *Polnische Kriegs- und Staats- Sachen, die sich vor hundert Jahren unter* 6 *Königen in Polen begeben. Nürnberg* 1666., proszę więc, abyś rycinę tę do pisma Twego przyjąć raczył.

Praga, 26. Maja 1840. *L. S.*



Hieronim Radziejowski.

Nr. 7my Przewodnika rólniczo-przemysłowego zawiera następujące artykuły: Gospodarstwo meklemburgskie. — Sposób łatwy i korzystny osuszania pól. — Narzędzia do robienia rowków na łąkach poléwanych (z rysunkiem). — Ile kloc okrągły ma stóp sześciennych (z rys.) — Uwagi nad artykułem: „Słowo o teraźniejszém położeniu Towarzystwa kredytowego."

Odezwa Wydawcy Przyjaciela Ludu.

Na Numerze 52. Przyjaciela Ludu kończy się szósty rok istnienia tego czasopisma. Starania moje około jego wzniesienia, ocenili już tylokrotnie krajowi i zagraniczni uczeni. Zajęty wciąż tąż samą myślą rozwijania mego pisma, wezwałem do współpracownictwa najsławniejszych pisarzy, którzy nietylko mi pomoc przyrzekli, ale nawet już szacownych i obfitych dostarczyli materyałów, nadających pismu memu rzetelną w wszelkim względzie wartość, a oraz zdolnych czytelnika, szukającego w pismach peryodycznych miléj rozrywki, jak najprzyjemniéj zabawić. Wszakże usiłowania takowe wymagają z mojéj strony znacznych ofiar i zmuszają mnie do podwyższenia zbyt niskiéj ceny prenumeracyjnéj o 3 złote rocznie, a 1½ zł. półrocznie. — Wszystkie więc księgarnie krajowe i zagraniczne, jako téż i królewskie pocztamty, przyjmują przedpłatę na Przyjaciela Ludu, rocznie 3 talary, czyli 18 złp., półrocznie 1 talar 15 sgr., czyli 9 złotych, którą Szanowni prenumeratorowie wcześnie złożyć raczą, niechcąc doznawać przerwy w odbieraniu regularnie wychodzących cotydzień numerów Przyjaciela Ludu.

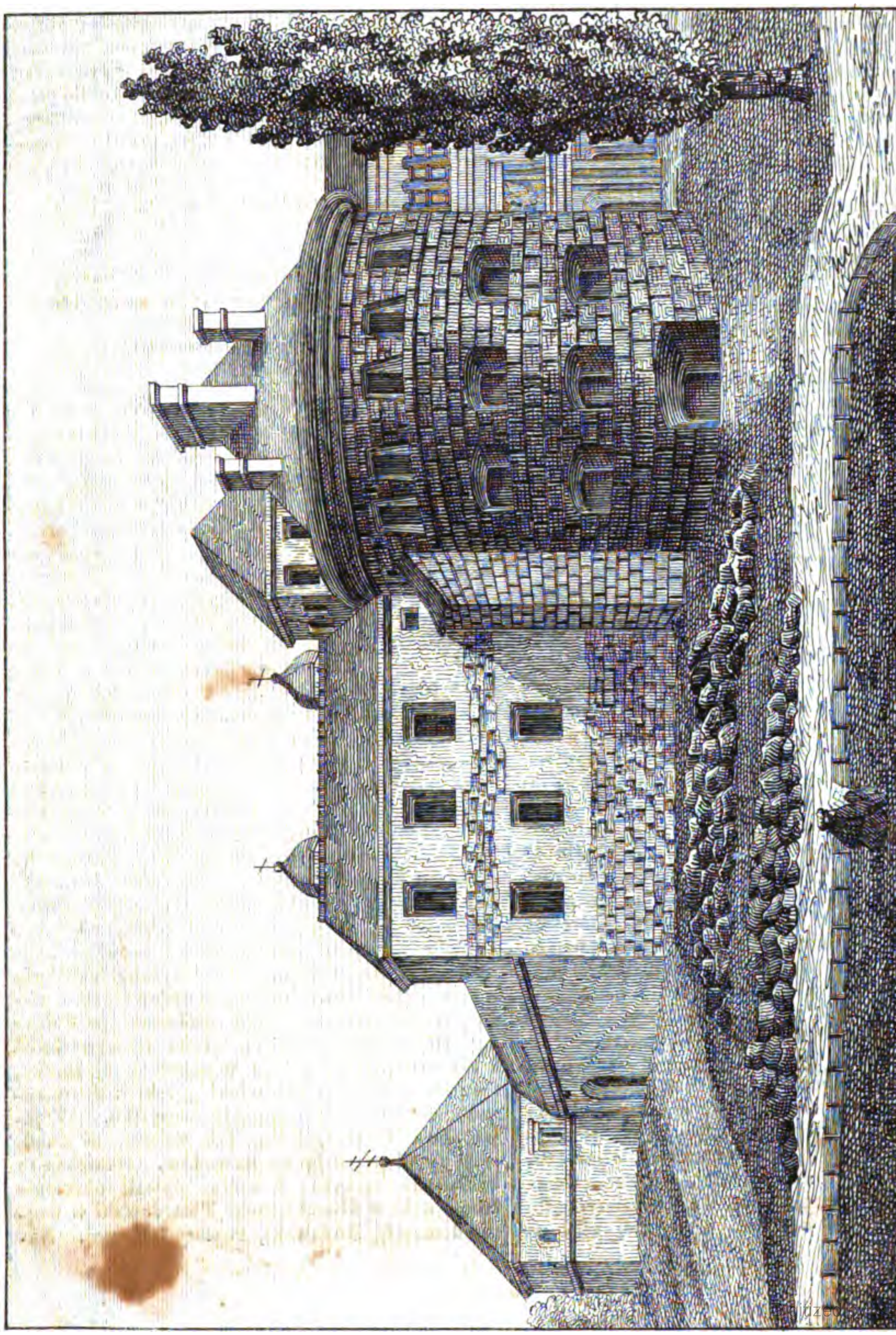
Leszno, 25. Maja 1840.

Ernest Günther, *księgarz i typograf.*

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: *J.* [redacted]wicz.)

Przyjaciel Ludu.

Rok szósty. **No. 52.** Leszno, *dnia 27. Czerwca* 1840.



Zamek w Brzeżanach (w Galicyi).

Zamek w Brzeżanach (w Galicyi).

W odległości 10 mil od Lwowa, w cyrkule brzeżańskim, leży miasto Brzeżany, otoczone na około wałami. Miasto to w czasach dawniejszych do najobronniejszych miejsc należało, jużto przez wzgląd na naturalne jego położenie, już też dla tego, że sztuka ludzka uczyniła go prawie niedostępném. Po kilkakroć kusili się o nie nieprzyjaciele, lecz wstydem okryci, zmuszeni zawsze byli do odwrotu. — Obok starożytnéj fary, fundacyi Sieniawskich, wznosi się na rozległéj równinie obronny zamek, wystawiony na obrazku, oblany w koło rzeką, miano złotéj Lepy noszącą, dzielącą się na dwa koryta. Zamek ten, otoczony wałami, jedno tylko miał wejście przez żelazny most, na łańcuchach zwodzony; opatrzony był strzelnicami do dział i ręcznéj broni. Nad bramą znajdował się napis, herby polskie i litewskie, u spodu zaś herb Sieniawskich. Po lewéj stronie stała ogromna ośmioboczna baszta, w któréj był skład starożytnéj broni. W zbrojowni téż odmalowany był pogrzeb Mikołaja Sieniawskiego, hetmana polnego, a któremu w całéj okazałości towarzyszy Zygmunt August w gronie znaczniejszych panów polskich, wyprowadzając ciało jego z Lublina. Lewa strona zamku od baszty, jest znacznie zrujnowaną. Nad bramą były mieszkania dworu Sieniawskich, gdzie późniéj zaprowadzono klasztór OO. Bartoszków.

Po prawéj ręce bramy znajdują się ganki, podobnie jak w zamku krakowskim, wsparte na filarach. Nad filarami, równo z dachem, wznoszą się trofea i herby założycieli grodu tego. Na pierwszém piętrze były pokoje, wiedeńskiemi zwane, założone przez Mikołaja Hieronima Sieniawskiego, hetmana w., na pamiątkę świetnego zwycięztwa nad Turkami pod Wiedniem, gdzie lewém dowodził skrzydłem. Obraz ten jest pendzla mistrza szkoły włoskiéj; osoby wszystkie wystawione są w kolosalnéj wielkości, a w perspektywie pokazuje się cała bitwa pod Wiedniem. Dziś sala ta zupełnie jest spustoszoną. — Na drugiém piętrze były pokoje, złotemi zwane, w podobieństwie znacznie do tych zbliżone, które się w zamku krakowskim znajdują; głowy sławnych ludzi snycerskiéj roboty, malowane, drogie makaty i obicia zdobiły ściany: sufit, na płótnie malowany, wystawiał tryumf Bachusa. W roku zeszłym zrzucono resztę tych ozdób.

Na dziedzińcu stoi kościół, poświęcony N. Pannie, pokryty blachą. W nim mieściły się groby familijne Sieniawskich, z czasów, kiedy ci jeszcze Aryanami byli. Posągi ich marmurowe stały w około przy ubocznych ołtarzach, z napisami u góry bronzowemi, wyszczególniającemi stopień ich godności i czas śmierci. Po prawéj ręce była kaplica, a w niéj złożone zwłoki Sieniawskich wyznania katolickiego. Nagrobki ich były rznięte z marmuru, podobne królewskim, bo przez tych samych mistrzów, co i w Krakowie w kaplicy Zygmuntów robione, wyobrażały rycerzy w zbrojach, wspartych na ręku. Dziś niemasz ani śladu tych pomników; cała kaplica obrócona na składy rzeczy wojskowych.

Za zamkiem widzisz szczątki niegdyś obronnego ogrodu i liczne zabudowania, wałami dawniéj objęte, na gospodarskie budynki częścią przez dawniejszych właścicieli, częścią przez dzisiejszego dziedzica, Hrab. Alex. Potockiego, zamienione. Obrazek dzisiejszy przedstawia zamek ze strony miasta.

Przejście województw wielkopolskich do Szwedów pod Ujściem w roku 1655.

(Z współczesnego rękopismu.)

Czarną kartą w dziejach Polski, jest przejście województw wielkopolskich do Szwedów pod Ujściem 1655 roku. Karól IX., król szwedzki, taki sam prawie awanturnik jak Karól XII., wysłał wodza swego Wittenberga w kilka tysięcy obdartego i nędznego wojska do Wielkopolski, jedynie dla próbowania szczęścia. I szczęście, jak się dziać zwykło, nie zawiodło nadziei i rachub śmiałego człowieka. Na odgłos zbliżającego się ku Wielkiéjpolsce nieprzyjaciela, ruszyła się ślachta województw: poznańskiego, kaliskiego, inowrocławskiego i brzesko-kujawskiego, i w kilkanaście tysięcy dobrze uzbrojonych ludzi zabiegła drogę Szwedom pod Ujściem miasteczkiem królewskiém. Gdyby w tym niesfornym, krzykliwym tłumie, mogło było przyjść do porządnéj sprawy, Szwedzi byliby albo zgnieceni całkiem, albo też przynajmniéj od dalszego wdzierania się w kraj wstrzymani, a tymczasem nadeszłyby były pospolite ruszenia z innych województw, ukazałyby się dzielne, bitne i na wojnach kozackich wyćwiczone hufce kwarciane, Wielka- i Małopolska, Mazowsze, Prusy ochronioneby zostały od owych klęsk, z których się późniéj przez półtora wieku zupełnie podnieść nie mogły; nie wynurzyłaby się była z ruin Polski nowa potęga, a nadewszystko niebyłoby w Europie znikło ułudzenie, że Polska nie może być pokonaną. Lecz lekkomyślność i niewytrwałość, by też w najmniejszéj rzeczy, (wady, z których nas wieki gorzkich doświadczeń nieuzdrowiły) popsuła wszystko. Województwa Wielkopolskie, jak mówią, ni z tąd, ni z owąd przeszły do Szwedów. Haniebne to odbieżenie ojczyzny i króla, opisali obszernie Kochowski w klimakterach, Twardowski w wojnie domowéj, Rudawski, Pastor[illegible]ni. Na-

oczny zaś świadek, tak o niém opowiada w liście do przyjaciela pisanym:

„Jeden człowiek poprzemawiał powiaty panu wojewodzie kaliskiemu, na stronę pana wojewody poznańskiego, tylko się został przy wałeckim i nakielskim powiatach. Stał na dole pan wojewoda kaliski, a pan wojewoda poznański na górze. Szwedowie natarli na pana wojewodę kaliskiego. Kiedy poczęli mu być bardzo ciężcy, żadnego posiłku pan wojewoda poznański mu niedał, on się wtém do kwatery udał, a potém się poddał. Przy panu wojewodzie będący poznańskim poczęli się rozwijać, ostatek zaskoczyli Szwedowie, oblegli i przywiedli *ad deditionem*. To się stało w niedzielę die 25. Julii. Kondycye takie stanęły ab utrinque poprzysiężone. *Liberum exercitium religionis* i clerus, żeby zostawał przy swoich beneficiach *et immunitatibus*. Trybunał aby był zwyczajny i grodzkie sądy podług dawnego zwyczaju. Oddanie przysięgi królowi szwedzkiemu nastąpi w Poznaniu albo w Gnieźnie, za przyjazdem królewskim. Approbatia wszystkich przywilejów *antecedentium omnium regum* i *ad protectionem* przypadające, podług woli króla szwedzkiego ma konferować. Ziemskie dobra mają być wolne od żołnierza pod gardłem obersterów, a jeźliby z królem teraźniejszym przyszło do bitwy, żeby w tém zaniechano stanu ślacheckiego. Wnośili i to Ich Mość, aby król szwedzki tytułem polskim pierwéj się pisał, aniżeli szwedzkim. Wnośili i to, aby król był Katolikiem. Powiedział Wittemberg, że to król może uczynić dla nich; obiecali króla do Poznania od przyszłej niedzieli za tydzień w ośm tysięcy prowadzić. Chwalą bardzo lud jego i sprawy ich nie mogą się wychwalić, także i rządu. Ordynacyą mają; chleby, piwo i mięso płacą. Dyscyplina wojskowa wielka i porządna.

Po téj dedycyi był bankiet u Wittemberga z podziwieniem wszystkich: na piérwszym stole obrus kosztowny jedwabny, wszystko od srebra, sowite półmiski, potrawy i przyprawy wymyślne, troje noszenie, wety od pastów kosztownych genuwejskich i cukrów lodowatych. Drugie stoły kosztownemi płóciennemi obrusami przykryte, od srebra także; tyloż noszenia i wety, stół na pół staja w ziemi wyrznięty, albo raczéj wyryty na murawie; na cynie dano dostatek potraw. Przyznawano, że wszystkiego dostatek było na tym bankiecie: piwa kto chciał musiał za wielkiém uproszeniem mieć: wina w bród każdemu. Dziwna, że się nikt nie wadził z naszych, choć się wszyscy popili byli. (Dziwniejsza, że w takim stanie rzeczy mogli pić i bankietować!)

Nazajutrz przymawiał się pan Radziejewski: Mości bracia, zszedłem teraz na koniach, podarujcie, ja[illegible]cie łaskawi. Dał mu pan wojewod[illegible]i Turka, a pan wojewoda kaliski [illegible] starosta inowrocławski dzianeta swego jabłkowitego i innych wiele. Pan wojewoda kaliski piechoty swojéj dwieście i pięć działek oddał.

Tegoż dnia zaproszeni Szwedowie od pana wojewody kaliskiego do Złotowa, solenniter uczęstowani i udarowani. Wtém wojsku jest pan starosta grudziącki, który ma rajtaryą. Pan P....., który także ma rajtaryą i piechotę. *Quot infames, tot hostes patriae!* jest i Szawgocz i książe szwedzkie.

Intencya szwedzka snadź z Poznania do Kalisza, z Kalisza do Łowicza, z Łowicza do Warszawy, a z Warszawy do Krakowa na koronacyą. Po koronacyi we dwie niedzieli obiecują Szwedowie, że ustąpi Moskwa z granic litewskich z kozakami; spróbowawszy szczęścia, chce się król szwedzki rozmówić z Prusakami.

Chorągiew usarska pana wojewody poznańskiego, przyjęła służbę u Szwedów, i innych wiele kozackich, pieszych i rajtarskich chorągwi.“

Łowiec.

(Dokończenie.)

Rotmistrz ze wzruszeniem patrzał na Strusia; ten otarłszy oczy połą kontusza, z westchnieniem prawił daléj:

„Teraz, moje dzieci, wszystko w odwłokę pójść musi, a może, życzenia moje gdzie daleko pod mogiłą zagrzebię.“

W milczeniu słuchali wszyscy, gdy pierwszy podstoli wyrzekł wznosząc puhar: „Za szczęście i pomyślność naszéj wyprawy.“

Wznieśli Struś, Dymitr i rotmistrz pełne czary, ale żaden do ust nie poniósł, w ustach każdego była cicha modlitwa.

9.

Na białym koniu, na czele swojéj nadwornéj chorągwi, zebranéj szlachty i dworskich z powiatu kozaków, jechał wesoło podstoli; za nim zasępiony Dymitr, i Struś zamyślony. Wszyscy przybrali głowy w przyłbice stalowe, bo idą na łowy ważniejsze, lubo nie w kniei, ale gonić i ścigać po stepach hordę Tatarów. Stary Grzegórz i Bartosz uzbrojeni, każdy za swoim jechał panem.

„Prze Boga miłego!“ zawołał podstoli, „co Waszeciom, żeście tak posowieli; młody Dymitr nie dziwota, może zostawił dziewkę miłą sercu, a to trekie (1) kaducznie; ale Wasze panie Strusiu, coście to nie jednę wyprawę odbyli, coście już byli na koniu i pod koniem....“

„Tak, miły sąsiedzie, Anioł stróż dziś we śnie ostrzegł mię, że to ostatnia moja wyprawa, a gdym siadał na mego bachmata, i jeno tylo

(1) Dotyka, boli.

wyjechał za bronę, upadł na równéj drodze; a to zły znak, koń próżno tak niepada, trzeba myśleć o ostatniéj godzinie.“

„Skryte są wyroki boskie,“ odrzekł podstoli, pochylając głowy, „ależ nie upadek konia zgon człeku przepowiada; w ręku Boga jest każda chwila żywota naszego.“

Struś zamilkł, a dobywszy szkaplerza, odmawiał ranną modlitwę. Dymitr poszedł za jego przykładem. Podstoli wysłał podjazd, dla schwytania języka, i kazał w gaju dębowym zatrzymać się nieco. Niedługo wrócił rotmistrz z podjazdu, donosząc, że kosz Tatarów za górką stoi, i że napadłszy niespodzianie, łatwo go rozbić, chociaż, jak miarkuje, może być liczny na 3000 szabel.

A więc ruszono, pominięto dwie wsie spalone, i już ujrzano tabor tatarski z wierzchu wzgórza, gdy pogaństwo dojrzało rycerstwo. Z okrzykiem poskoczyło do koni, i zwyczajem swoim stawiło w pół miesiąca pole. Równie szybko podstoli uszykował swoich; prawém skrzydłem w sto koni Kozaków nadwornych dowodził Dymitr, lewém ze stu szlachty zbrojnéj Struś. Podstoli trzymał środek w dwieście ussarzy; kilkadziesiąt koni czeladzi i ciurów obozowych, stanowiło odwód. Podstoli rozkazał podnieść swój buńczuk, i rozwinąć chorągwie przy uderzeniu w kotły.

Tatarzy, z okrzykiem: Hałła! Hałła! wypuścili gradem strzały, ale te mało szkodziły, bo jedne nietrafiły celu, drugie po zbrojach zabrzęczały jaw. Dymitr pierwszy uderzył, za nim Struś, podstoli. kazawszy ussarzom kopije złożyć w pół ucha końskiego, z okrzykiem: Jezus Marya! co koń wyskoczy. Została na wzgórzu czeladź i ciury, a na ich czele Grzegórz i Bartosz. Grzegórz dobywszy szkaplerza z relikwią, żegnał nim chorągiew Dymitra, którą tuman pyłu i chmury strzał zupełnie okryły: a głośno odmawiając modlitwę, osadził wzrok swój na tamtéj stronie!

„Górą nasi! górą nasi!“ wykrzyknął Bartosz, dojrzawszy złamany szyk tatarski, i ucieczkę pogan!

Na ten okrzyk, czeladź i ciury, dobywszy szabel, rzucili się naprzód.

Grzegórz i Bartosz pędzili przodem, przesadzali trupy liczne Tatarów, walające się po stepie, i patrzali, jak rozbitki strzelając w ucieczce celnie z łuków jeszcze ranili naszych. Odbito więźniów i łupy, ale żaden z nich swego pana nie zobaczył. Pędzili więc naprzód, i razem stanęli, zdrętwieli na piaszczystéj wydmie; grono szlachty Kozaków otaczało trupy obu rycerzy. Dymitr leżał obok Strusia przeszyty strzałami. Nadbiegł w tę chwilę podstoli, zeskoczył z konia, a ujrzawszy zabitych swoich przyjaciół, zalał się rzewnémi łzami.

„Nie próżne było wasze przeczucie, o moi przyjaciele; na toż dożyłem, aby was opłakiwać.“ Ukląkł, i każdemu na czole złożywszy bratni całunek, ze łzami modlił się na ich wieczny odpoczynek.

Zwycięztwo drogo opłacono; oprócz dwóch dowódzców poległych, zginęło ośmdziesiąt towarzyszów ussaryj, szlachty i Kozaków; więcéj jeszcze rannych. Podstoli rozkazał w jednéj mogile pochować zwłoki obu przyjaciół; Grzegórz i Bartosz zdjęli z nich zbroje, a obmywszy rany, z temiż samemi szablami złożyli ich w dole. Po odmówieniu modlitwy, rzuciło się rycerstwo do sypania mogiły, i w kilka godzin wysypano wzniosłą nad inne.

Podstoli odebrawszy dzięki uwolnionych więźniów, wysławszy przodem rannych, ruszył z powrotem do domu. Miesiąc odbijał blady promień o jego przyłbicę, bo ze spuszczoną głową na piersi, boleści cięższéj ulżywał łzami, co ciągle rosiły pomarszczone oblicze. Miesiąc ten sam oświecił świeżo usypaną mogiłę; u jéj spodu spętane dwa konie pasły się na trawie; na jéj wierzchołku biła blaskiem rozrzucona zbroja; tam klęczało dwóch starców; byłto Grzegórz i Bartosz.

„Co my biedne sieroty poczniema z sobą,“ wyrzekł łkając Bartosz.

Grzegórz powstał na nogi. „Tam,“ mówił wskazując ręką na zachód, „rycerstwo powraca; zabierzmy zbroje naszych panów, i gdy na świętéj ziemi nie grzebiem ich kości, przynajmniéj zbroje w kościele zawieśmy. Niedługo mi żywota, gdym pochował mego wychowanka, moje drogie serce, moje drogie sokole.“ I zaniósł się płaczem.

„Dosyć kmotrze płaczu niewieściego; patrzta, ja nic nie płaczę,“ zawołał blady z siniałemi oczy Bartosz, a policzki mu drżały, „daléj w drogę! weźmy z mogiły przynajmniej choć ziemi sobie na pamiątkę.“

* * *

We dwa dni Bartosz w drodze skonał; sędziwszy wiek nie tyle go dobił, ile strata Pana, do którego duszą był przywiązany. Grzegórz przy pomocy kilku wieśniaków ze wsi granicznéj pogrzebał starca; sam z dwoma końmi, dźwigającemi zbroje Dymitra i Strusia, przybył szczęśliwie do dworu podstolego.

Słońce w onę dobę było na zachodzie, gdy przebywał bronę, i stanął przed gankiem; siedział w nim zatroskany podstoli z małżonką, blada Marya stała z zapłakanemi oczyma.

„Panie,“ rzekł stary sługa, zdjąwszy zbroję, i składając ją u nóg podstolego, „to pamiątka po moim drogim panu i jego przyjacielu, a to (pokazując krzywą szablę) po [illegible] słudze pana Strusia, a po moim kmot[illegible]śliwy, nie przeżył pana swego!“

Marya upadła na zbroczony pancerz i przyłbicę Dymitra, całując je i przyciskając do serca. Rodzice struchleni, spoglądali na niemą rozpacz jedynego dziecięcia.

Grzegórz wtedy dobywszy woreczka, który chował na piersiach, wziął Maryę za rękę, a wstrząsając mocno, zawołał: „Panienko! dla ciebie jednéj odstępuję pamiątki najdroższéj; miałaś być moją panią, mój Dymitrek cię kochał; jest to ziemia z mogiły, gdzie on i pan Struś spoczywają.“ Marya dar pochwyciła silnie, Grzegórz mówił daléj:

„Jeżeli zakończę żywot, pamiętaj panienko choć połową przysypać oczy starego sługi.“

„Już się nierodzielem z sobą,“ wyrzekł podstoli, biorąc w objęcie Grzegorza, i całując go w głowę, „razem żyć będziem, aby Bóg dobry dał nam dosyć siły do zniesienia cierpień i boleści naszych.“

K. Wł. Wojcicki.

Pamiętniki.

Jestto cechą ludzi wielkich, że wyprzedzając daleko naprzód żółwim krokiem postępującego ducha czasu, znaglają go do przyspieszonego biegu, albo nowym, zupełnie niepraktykowanym dotąd, puszczają go torem. Nieusposobione współczesnych umysły do wiedzy, sferę pospolitych pojęć przechodzącéj, częstokroć obojętnie, a co gorsza, nieraz z zaciętém prześladowaniem przyjmują zarody najzbawienniejszych w przyszłości skutków; dopiero sprawiedliwsza potomność składa hołd geniuszowi, i otacza go blaskiem chwały, przynależnym prawdziwéj zasłudze.

Do takich mężów należy w literaturze naszéj J. U. Niemcewicz, pierwszy wydawca Pamiętników historycznych, a zatem prawdziwy twórca nowego rodzaju piśmiennictwa, górującego obecnie, i kwitnącego nad wszystkiemi gałęziami literatury. Nie z naśladownictwa francuzkiéj manii memoarów, mających jedynie na celu chwilowe zaspokojenie modnéj ciekawości wyrafinowanemi awanturami próżniackich oszustów, albo upojenie massy dymem wojennéj sławy wielkiego ludu; ale z wyższego natchnienia podał Niemcewicz w ręce narodu Zbiór swych Pamiętników o starożytnéj Polsce, jakoby zwierciadło odbijające wiernie rysy zamierzchłych wieków, aby każdy z rozpamiętywania przeszłości, owéj rodzicielki przyszłości, chciał się w swych błędach obejrzyć i upamiętać.

Po Niemcewiczu pochwycił pierwszy przekazaną sobie niejako tę buławę historyczną, i najwięcé[illegible] do uprawy obszaru dziejów krajowych [illegible]żył, niezmordowany i wielce zasłużony wydawca tylu najszacowniejszych pamiętników, Edw. hr. Raczyński. Z licznych dzieł w téj materyi przez niego wydanych, rozgłosiły się najbardziéj w publiczności: Pamiętniki Chryzostoma Paska, nie tak dla ważności opisanych w nich dziejów, jak raczéj dla owéj wdzięcznéj staropolskiéj prostoty i odbijającego się w każdém prawie wyrażeniu ducha narodowego, który sam pismo każde czarodziejskim urokiem ożywić jest zdolny. Ale żadne podobno z Pamiętników, przez szacownego wydawcę drukiem ogłoszonych, jużto ważnością rzeczy, już sposobem jéj wystawienia, tak powszechnego nie obudziły interessu, jak dwa ostatnie, to jest:

a. Obraz Polaków i Polski w XVIII. wieku,

b. Historya Jana Kaźimierza, któréj drugi tom wyszedł dopiero z druku.

Dzieje XVIII. wieku, tak mało w historyi wyjaśnione, nie znalazły dotąd między rodakami historyka. Co Ruliere, Ferrand, Dumourier, Viomenil i inni w obcym języku podali, okazuje nam w prawdzie zewnętrznie chorobliwo-agoniczny stan narodu; ale istotna i wewnętrzna niemoc, z dawnych przestarzałych narowów pochodząca, nie wykrywa na jaw diagnozy tak pewnéj, którąby do radykalnego wyleczenia choroby posłużyć mogła. Ci panowie wieszali się przy poselstwach, głównych sztabach, zbierając tamże swoje materyały, które że są ważne do ogólnych dziejów, nikt nie zaprzeczy; ależ to nie wszystko: u nas rzadko, a w późniejszych czasach na nieszczęście prawie nigdy nie kupiła się wszystka siła narodowa w jedném wspólném ognisku; owszem rozpierzchała się zwyczajnie sporadycznie na tysiączne oddzielne cząstki, osobnym swoim chodzące dworem. Tych oko cudzoziemca, patrzącego pospolicie na sprawy nasze przez szkiełko pryzmatyczne, doścignąć nie mogło. Tylko ten, co sam wzrósł wśród narodu, mógł najlepiéj pojmować naród, i śledzić jego życie w najskrytszych tajnikach. Nie dość mu wiedzieć, co się działo w obozie hetmana odosobnionego niekiedy z swoim autoramentem od głównéj siły krajowéj, ściga on w swych pierwszych zawiązkach rozstrzelone, wyrastające gdyby z smoczych zębów kadmusowych zbrojne konfederacye, uczęszcza na ich koła, wyświeca ich wojaczkę i sposób subsystencyi. W pokoju zajmują go dwory magnatów, skarbiących sobie affekt braci szlachty, burzliwość sejmików, fakcye sejmów, zrywanych nie okrzyczaném liberum veto, ale przemożnym wpływem stronnictw dla dopięcia jakiego celu, przez nasadzonego z pośród siebie dowodnego jednego rębacza. Idzie na trybunał, stojący także pod wpływem przemożnéj fakcyi. Marszałek zatrudniony bankietami, przy huku dział na wiwat bijących; deputaci częstokroć

przedajni, albo nieuki, wyrokujący podług natchnienia przebiegłego mecenasa; cała palestra niesforna i pijacka, prawo bez poważania, tak iż woźny, wręczający pozew, skradać się musiał jak złodziéj z jéj wręczeniem, żeby mu strony świętéj sprawiedliwości mandatu, na jego własnéj skórze batogiem w kawałki nie pocięły; wyroki zostawione bez ekzekucyi prawnéj, oto jest opłakany stan sprawiedliwości, na któréj przecie polega szczęśliwość towarzystwa ludzkiego.

Ale nie dosyć na świeckich sprawach, to dopiero połowa pracy! Pozostaje mu jeszcze druga część równie ważna, to jest duchowna, szeroko rozgałęziona i uorganizowana hierarchia z klasztorami, opactwami, biskupstwami, sądami konsystorskiemi, nuncyaturą, a nadewszystko ważną organizacyą szkolną, kolebką życia narodowego, jestto równie obszerne pole dla historyka, dochodzącego kłębka po nitce.

W tym sposobie znajdujemy odmalowane życie w **Obrazie Polaków i Polski**, przez dwóch dokładnych, acz od siebie zupełnie różnych malarzy, mężów z wyższém naukowém usposobieniem i silniejszym talentem: **Kitowicza i Wybickiego.**

Kitowicz, mąż zaiste nad swój czas już dla tego samego wyższy, że półwiekiem przeczuł niefortunne losy; zapatrując się na naród, letargicznym snem ujęty, jak gdyby na zgrzybiałego starca jedną nogą stojącego w grobie, podczas gdy zapamiętała rozhukana tłuszcza gęste spełniając kielichy, do reszty zalewała iskierkę rozumu, przenosi się myślą w przyszłe czasy, i z troskliwością i umiejętnością Herodota krząta się jak najstaranniéj, aby i najdrobniejszy rys dogorywającego ciała nie uszedł jego bacznéj uwagi. Wiedział wszystko, był wszędzie; życie wojskowe równie mu znane jak cywilne; a duchowne, to właśnie jego element. Obrazy tak są umiejętnie i wiernie skreślone, że ich postacie, jak dobrze Malczewski się wyraził, zdają się błyskać oczyma i ruszać wąsami. Sam atoli autor, u którego wszystko, jak na dłoni, nigdy nie występuje na scenę. Pamiętniki jego są jak ów zaczarowany pałac, gdzie wszystko składnie urządzone, połyskuje brylantami, tysiąc świec jarzęcych goreje; lecz autor téj budowy, tego rozlanego światła, przed ciekawém okiem zdumiałego przychodnia, gdyby zaklęty czarownik, starannie się ukrywa. I w tém właśnie widać powołanie prawdziwego historyka, bo całkiem wyrzekł się osobistości, i że tak rzekę, w przedmiotowości utonął. A przecie nie jestto kronikarz gromadzący ślepo fakta bez ładu i składu: owszem wzorowy w nim panuje porządek, trafny wybór rzeczy do jednéj głównéj myśli należących; wykład naturalny, a co większa dziwnie ożywiony; styl potoczysty, w zamaszystych imiesłowowych zwrotach z wdziękiem płynący.

Wcale odmiennego usposobienia jest **Wybicki**, pisarz autobiografii, to jest: spraw, których sam był świadkiem i w znacznéj części współdziałaczem. Jestto szlachcic polski duszą i ciałem, ze wszystkiemi zaletami, a po części i wadami, choć znacznie przez wyższe naukowe wykształcenie złagodzonemi. Chciwy sławy, do działania bez wielkiego namysłu porywczy, kochający nadewszystko swój kraj; ale oraz próżny, mający się za republikanina, którym jako żywo nigdy nie był. Występuje wszędzie z odkrytém obliczem, pełném zaufaniem, otwartością, wartą lepszych czasów, lecz nie sięga wzrokiem przenikliwym do głębi serca, nie przewiduje skutków, zbywa mu na téj dojrzałéj i głębokiéj rozwadze, wywodzącéj i oceniającéj cały szereg zdarzeń, wynikających z dobrze obrachowanych niepłonnych kombinacyj. Co ztąd pochodzi, że Wybicki, jakkolwiek był najszlachetniejszego sposobu myślenia, mężem nieskażonéj cnoty, silnéj woli, poświęcenia bez granic; nie umiał zaprzeć się siebie samego, nie potrafił wyrwać z łona pierworodnego grzechu narodowego: samolubnéj próżności, która lubo może stać się niekiedy bodźcem najchlubniejszych czynów, prawdziwéj jednak wielkości zrodzić nie zdolna. Jakoż ta osobistość, to ustawiczne odnoszenie wszystkiego do siebie, tak jest w nim przemagające, iż chce, abyśmy na wszystko jego tylko patrzyli oczyma, jego rozumem o rzeczach sądzili. Tę zbytnią dozę samolubnéj próżności darowaćby można młodzieńcowi, noszącemu w swych piersiach wymarzony świat ideałów, który mu się środkiem całego uniwersum być wydaje; ale mąż dojrzały, co poznał ludzi, nie może niczém bardziéj ubliżyć godności myślącego człowieka, jak kiedy co moment powtarza: patrzcie, jak sobie szlachetnie postąpiłem, jakim sobie zjednał powszechny szacunek! To się nie godzi, chyba przemawiając do ludzi, którzy nie mając własnego zdania, uwierzą nareszcie temu, co im się codziennie powtarza; ależ w tym razie i zuchwała bezczelność, ciągle głosząca swe mniemane zasługi, tegoż samego dosięga celu, a wartoż dla takich pisać historyą! Zarzut ten sięga z resztą prawie wszystkich, co się autobiografie pisać poważyli; żeglują oni inter Scyllam et Charibdim, gdzie od własnéj miłości, albo od obcéj niechybna grozi im zguba. Ta tylko chyba okoliczność w oczach światlejszéj publiczności w części usprawiedliwić go może, że to miały być **intra parietes domus** nauki moralne, i przestrogi dla własnych dzieci pisane, które je z uszanowaniem i powolnością synowską przyjąć były powinny.

Pomimo téj jednak słabości, [illegible]ki był znakomitym człowiekiem. Jego [illegible] i nie-

skażony charakter, wyższe zdolności i naukowe usposobienie, energia duszy niepospolita, przytomność umysłu, wielka wymowa i silna, naznaczyły mu zakres działań, na losy narodu przeważnie wpływający, a tém samém pamiętniki jego należą do najważniejszych źródeł historycznych, tak, że nawet uczonych Niemiec uwagę na siebie zwróciły.

Pozostaje nam jeszcze słów kilka powiedzieć o drugiém równie ważném historyczném dziele, to jest: „Historyi panowania Jana Kazimierza." Pamiętne jest w dziejach panowanie tego nieszczęśliwego króla, walczącego nie tylko z szaloną burzą zewnętrznych gromów, bijących w wątłą już nawę, powierzoną słabemu jego sterowi; ale nadto pasującego się z wściekłą domową anarchiczną hydrą, i z zażartém kozactwem, które uciśnione przez rozhukaną szlachtę i zagorzały fanatyzm, stało się dla kraju nieubłaganym wrogiem, na zabój o utrzymanie swego bytu walczącym.

Godna podziwienia i szacunku praca historyka, co w takowym odmęcie zwichrzonych żywiołów, wątek każdego historycznego wypadku z taką jasnością i dokładnością wywikłał, jak gdyby sam był współdziałaczem wydarzonych wypadków.

Prawda jest, że życie publiczne w Polsce było otwartą dla historyka księgą, ale uwielbienia godna jest skrzętność autora, który z czynnością przechodzącą siły jednego człowieka, potrafił pochwycić w biegu te krążące wieści i w jednę sforną wpleść całość. Zdaje się, że wszystkie publiczne i prywatne przewertrował archiwa, czytał każdą relacyą hetmanów, przenikał skryte narady w gabinecie królowéj Ludowiki i kanclerza Prażmowskiego, usiłujących ująć w karby porządku brykającą szlachtę; odprawiał sejmy, obozował z wojskiem, oblegał miasta, odbywał poselstwa, z Tatarami nawet do jassyr jeździł; wszystko to u niego z dziwną wyłożone dokładnością, jaką tylko osobista przytomność lub użycie samych naocznych świadectw nastręczyć może. Słabą stroną autora i okazującą najlepiéj, jak i wyższemu talentowi trudno jest otrząsnąć się z przesądów swego wieku, jest owa łatwowierność w rzeczach nadprzyrodzonych i zaciekła ślepota nierządnéj wolności, czyli raczéj wyuzdanéj swywoli szlacheckiéj, któréj on strzeże, gdyby jakiego palladium, nie bacząc na to, że uprzywilejowane zuchwalstwo roztrącić wreszcie musiało słaby gmach, pod którego ochroną szamotało się tak niebacznie.

*A**

O żegludze parowéj i kolejach żelaznych.

Żaden naród w téj gałęzi przemysłowéj tak olbrzymich nie uczynił postępów, jak Północna Ameryka. Wozy parowe na 8 kołach dla 50—60 osób, z piecem dla lekkiego ogrzania, tak są urządzone, że z jednego woza, za pomocą spuszczającego się pokładu, do innych w czasie podróży, dla odwiedzania znajomych, przechodzić można. W niektórych wozach znajdują się osobne małe izdebki, dla pomieszczenia jednéj familii, ponieważ tam bardzo często całe rodziny podróżują. Osobny wóz z kompletnym buffetem, wiezie najwyszukańsze łakocie, które chłopcy w czasie jazdy po pokojach roznoszą. Nareszcie posunięto wygodę do tego stopnia, że urządzono wozy z 40—50 łóżek mające, tym sposobem, że te w dzień w najwygodniejsze sofy do siedzenia przemienić się dają.

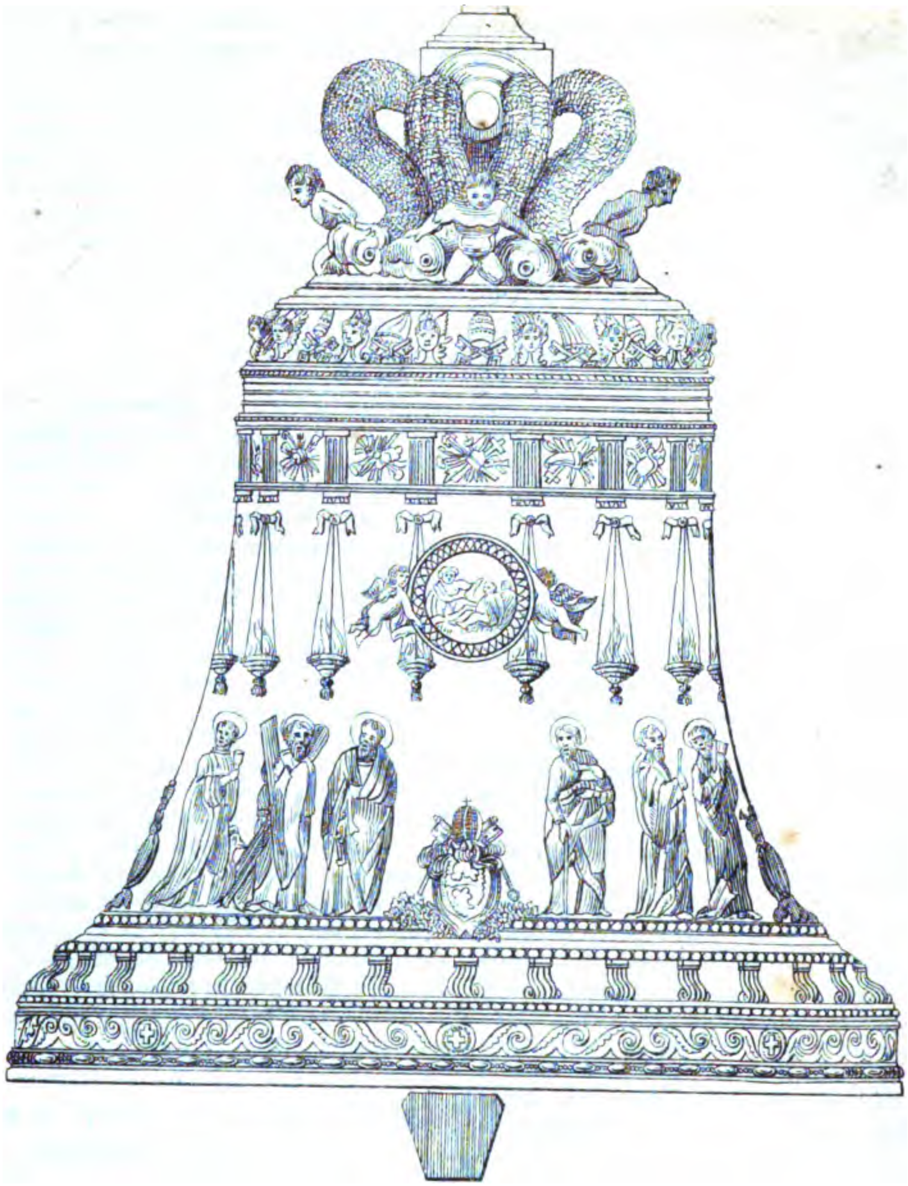
Największą trudność czynią w czasie zimy śniegi i zawieje zasypujące koléj. Dla tego wynalezione osobne do zmiatania śniegów i kruszenia lodów apparaty. Jeżeli śnieg spadł nie wielki, natenczas taki apparat przyczepia się przed samą lokomotywą, lecz w razie wysokiego śniegu, wychodzi osobna lokomotywa przed wyruszeniem wozów, ułatwiająca jazdę.

Amerykańskie koleje żelazne są długości w Europie wcale niezwyczajnéj; tak idzie koléj z Boston aż do Grensboro w Georgii, długości 1203 mil angielskich. Jestto więc teraz najdłuższa koléj w świecie, w co jednak wchodzą już przeprawy przez jeziora na statkach parowych. Płaci się od osoby na angielską milę 2 sgr.

Statki parowe są jeszcze wyborniejszym środkiem do zbliżenia najodleglejszych punktów okręgu ziemskiego; szkoda tylko, że tak wygodnie urządzone podróże, narażają dotąd podróżujących na niebezpieczeństwo utraty życia w razie explozyi kotła. Szkoda, że nie znamy dotąd sposobu zapobieżenia temu nieszczęściu. Przyjdzie podobno do tego, że lokomotywy przy okrętach, podobnie jak przy wozach, będą musiały być odłączone.

Wielki dzwon Ś. Piotra w Rzymie.

Pierwszy pomiędzy kościołami chrześciańskimi w stolicy świata, bazylika Śgo. Piotra, słynna z dzieł pod każdym względem znamienitych, szczyci się także jednym z najpiękniejszych dzwonów w Europie, przez Pap. Piusa VI. sprawionym, ulanym przez Ludwika Valadier, Francuza. Dzwon ten ma średnicy stóp 11, wysokości 12. Figury dwunastu Apostołów odlane są z największą akuratnością podług rysunków Rafaela; pomiędzy niemi herb Piusa VI. Wyżéj cokolwiek dwa ujrzysz medale: z jednéj strony wystawiający Trójcę ś., z drugiéj Wniebowzięcie N. M. P. Napisy łacińskie, wyjęte z Psalmów stósownych. Cała powierzchnia dzwonu, powleczona farbą zieloną, figury tylko i ozdoby wystające, naturalnéj są barwy metalu. Głos dzwonu donośny i wdzięczny, przechodzi wszystkie inne znajdujące się po licznych świątyniach Rzymu.



Wielki dzwon S. Piotra w Rzymie.

Odezwa Wydawcy Przyjaciela Ludu.

Na tym numerze kończy się szósty rok istnienia Przyjaciela Ludu. Starania moje około wzniesienia czasopisma tego, ocenili już tylokrotnie krajowi i zagraniczni uczeni. Zajęty wciąż tąż samą myślą rozwijania mego pisma, wezwałem do współpracownictwa najsławniejszych pisarzy, którzy nietylko mi pomoc przyrzekli, ale nawet już szacownych i obfitych dostarczyli materyałów, nadających pismu memu rzetelną w wszelkim względzie wartość, a oraz zdolnych czytelnika, szukającego w pismach peryodycznych miléj rozrywki, jak najprzyjemniéj zabawić. Wszakże usiłowania takowe wymagają z mojéj strony znacznych ofiar i zmuszają mnie do podwyższenia zbyt niskiéj ceny prenumeracyjnéj o 3 zł. rocznie, a 1½ zł. półrocznie. Wszystkie więc księgarnie krajowe i zagraniczne, jakoteż i królewskie pocztamty, przyjmują przedpłatę na Przyjaciela Ludu, rocznie 3 talary, czyli 18 złp., półrocznie 1 talar 15 sgr., czyli 9 zł., którą Szanowni Prenumeratorowie wcześnie złożyć raczą, niechcąc doznawać przerwy w odbieraniu regularnie wychodzących cotydzień numerów Przyjaciela Ludu. — Leszno, 27. Czerwca 1840.

Ernest Günther, księgarz i typograf.